Kim Stanley Robinson

Lata ryżu i soli

Przełożył Łukasz Tabaka

Chronologia

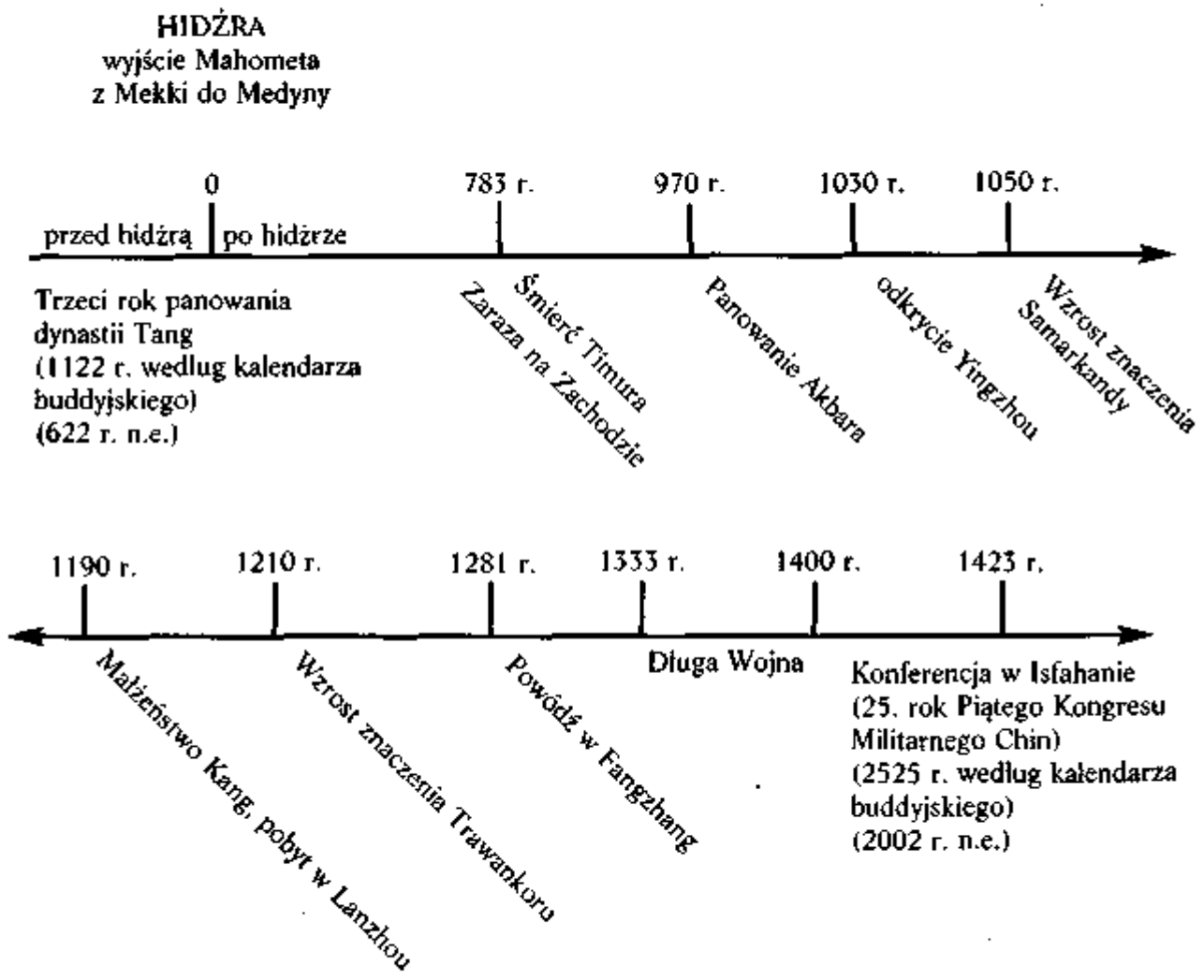

Nota: Muzułmanie i Chińczycy posługują się kalendarzami księżycowymi.
Chrześcijanie i buddyści, słonecznymi.

Księga I

Przebudzenie w pustce

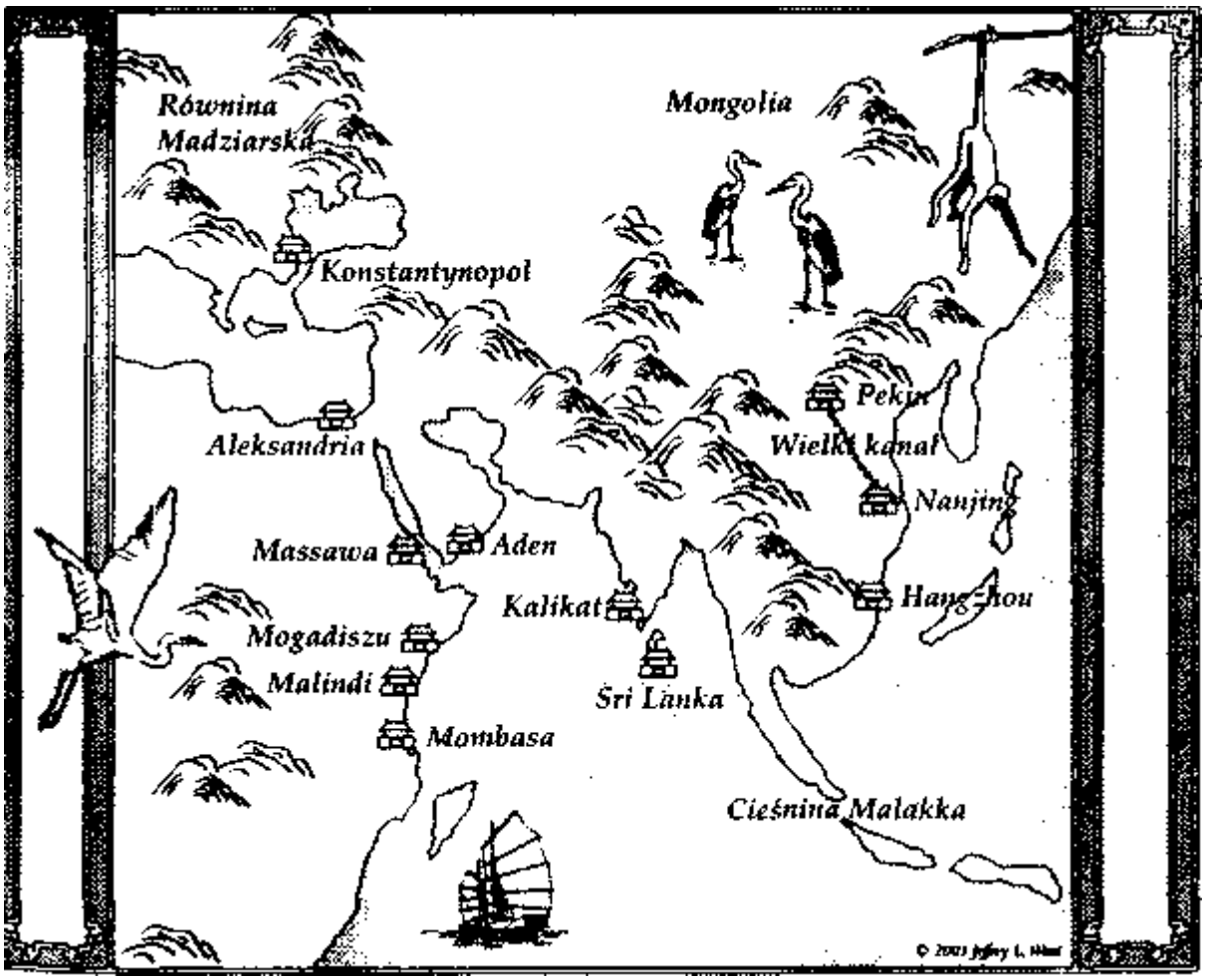

1

Kolejna wyprawa na zachód. Bold i Psin znajdują opustoszałą krainę.

Timur jest niezadowolony. Rozdział kończy się burzliwie

Małpa nigdy nie umiera. Zawsze powraca i pomaga nam w trudnych czasach, tak jak pomógł Tripitace podczas pierwszej, niebezpiecznej wyprawy na zachód, w celu zaniesienia buddyzmu indyjskiego z powrotem do Chin.

Tym razem przyjął formę niskiego Mongoła o imieniu Bold Bardash, jeźdźca w armii Timura Chromego. Będąc synem tybetańskiego handlarza solą i mongolskiej właścicielki oberży, kobiety nad wyraz uduchowionej, podróżował od pierwszego dnia swoich narodzin. Zjechał północ i południe, wschód i zachód, przeprawiał się przez góry i rzeki, przemierzał pustynie i stepy, przecinał świat wzdłuż i wszerz, lecz teraz był już starcem o prostokątnej twarzy, haczykowatym nosie, siwych włosach zaplecionych w warkocz i czterech pojedynczych kosmykach na brodzie. Wiedział, że dla Timura będzie to ostatnia kampania, i zastanawiał się, czy dla niego również.

Jednego dnia grupa zwiadowców oderwała się od głównej kolumny wojsk i o zmroku wyjeżdżała spośród ciemnych wzgórz. Panująca cisza wyraźnie zaniepokoiła Bolda. Nie była to jednak cisza doskonała, jako że lasy były na ogół głośniejsze od stepów. Przed nimi płynęła poza tym szeroka rzeka, a jej pluskot łączył się z wiatrem, szemrającym wśród wysokich drzew. Czegoś jednak

brakowało - może śpiewu ptaków albo jakichś innych odgłosów, których Bold nie potrafił w tej chwili określić. Konie rżały obłędnie, kiedy mężczyźni spinali kolanami ich boki. Zanosiło się na zmianę pogody, lecz w ich sytuacji nie miało to znaczenia. Na nieboskłonie rozciągały się długie, pomarańczowe końskie grzywy, wiatr się wzmagał, a z zachodu nadchodziła burza. Pod szerokim, stepowym niebem wszystko byłoby rozświetlone, lecz tu, na porośniętych lasami wzgórzach, niebo było mniej widoczne, a wiatr zmienny. Zanosiło się na deszcz.

Przez pola zbożem usłane,
Wśród kłosów ku ziemi ciążących,
Wśród wyschniętych owoców i splątanych gałęzi jabłoni,
Po zakurzonej drodze, bez śladu kolein, kopyt i stóp.
Słońce zachodzi, księżyc na niebo się wtoczył.
Sowa pikuje i wznosi się nad polem. Wiatr wieje.
Jak wielki musi być świat, jeśli jego tchnieniem jest wiatr.
Konie się zlękły, Małpa też.

Dotarli do niestrzeżonego mostu i przeprawili się na drugą stronę - kopyta zastukotały na kłodach. Dojechali do drewnianych zabudowań z dachami krytymi strzechą. W żadnym domu nie palił się ogień, nigdzie też nie wisiały zapalone lampiony. Jechali dalej. Pośród drzew spostrzegli kolejne zabudowania, lecz nadal żadnych ludzi. Mroczna kraina zionęła pustką.

Psin popędzał wszystkich. Jechali teraz po łuku, spośród wzgórz

na równinę. Przed nimi wyrosło czarne, ciche miasto. Żadnych świateł ani głosów, tylko wiatr poruszał gałęziami, które ocierały się o siebie i szeleściły nad szeroką taflą wolno płynącej, czarnej rzeki. Miasto było puste.

To oczywiste, że wielokrotnie się odradzamy. Wypełniamy swoje ciała, jak powietrze wypełnia bańki mydlane, a kiedy bańki pękają, ulatujemy do bardo, po którym błądzimy, aż się nas z powrotem wtłoczy w nowe życie, gdzieś tam, na świecie. Wiedza ta często dawała Boldowi pocieszenie, zwłaszcza po bitwach, kiedy słaniał się z wycieńczenia po polach usłanych martwymi ciałami, zalegającymi jak porzucone płaszcze.

Teraz było inaczej. Przybyli do miasta, w którym nikt nie walczył, a jednak wszyscy byli martwi - już od dawna nie żyli, ciała wyschły. Obnażone kości, rozwleczone po okolicy przez wilki i wrony, jaśniały w świetle księżyca. Bold recytował Sutrę Serca:

- Forma jest pustką, pustka jest formą. Forma nie jest różna od pustki, pustka nie jest różna od formy. *Om gate gate para gate para sam gate bodhi svaha.*

Konie wzdragały się przed dalszym pochodem już na rogatkach. Z oddali dobiegał szum rzeki, lecz poza tym okolica sprawiała wrażenie, jakby zastygła w bezruchu. Zezowate oko księżyca błysnęło na obrabianych kamieniach. Pośród drewnianych zabudowań stał wielki kamienny budynek, a obok kilka mniejszych, również z kamienia.

Psin rozkazał żołnierzom owinąć twarze chustami, niczego nie dotykać, pozostać w siodłach i pilnować, żeby konie stykały się z

ziemią tylko kopytami. Jechali powoli wąskimi uliczkami, okolonymi po obu stronach ścianami drewnianych domów, dwu- lub trzypiętrowych, wspierających się jeden o drugi - dokładnie tak jak w chińskich miastach. Konie były bardzo niespokojne, lecz nie odmawiały posłuszeństwa.

Wjechali na wybrukowany plac centralny, nieopodal rzeki, i stanęli przed ogromną kamienną budowlą. Wielu okolicznych mieszkańców przyszło tam po śmierć. Bez wątpienia był to klasztor, siedziba tutejszych łamów. Konstrukcja nie miała dachu, otwierała się na niebo - widocznie nieukończona inwestycja. Wyglądało to tak, jakby ludzie ci zwrócili się do swego boga w ostatnich dniach ich życia, kiedy było już za późno. Cały klasztor zamienił się w zbiorowy grób, pełny wysuszonych kości. *Gate gate para gate para sam gate bodhi svaha.* Całkowity bezruch. Bold przekonał się, że przeprawa przez wzgórza, którą właśnie odbyli, była złym pomysłem, wybrali zachód - krainę umarłych. Coś sobie przypomniał i na ułamek sekundy stanął mu w pamięci obraz z innego życia. Zobaczył miasto, dużo mniejsze od tego, wioskę, wytrzebioną przez brutalną gorączkę, która odbierała ludziom zmysły i posyłała wszystkich do bardo. Spędził wówczas długie godziny w pokoju, oczekując na śmierć - to dlatego tak często miał wrażenie, że rozpoznaje ludzi, których na co dzień spotyka na swojej drodze, że dzieli z nimi los.

- Zaraza - powiedział Psin - wynośmy się stąd.

Twarz miał zaciętą, a jego oczy błysnęły, kiedy spojrzał na Bolda. Wyglądał jak jeden z tych kamiennych urzędników, stojących w

królewskich grobowcach. Boldem wstrząsnął dreszcz.

- Ciekawe, dlaczego nie uciekali.

- Może nie mieli dokąd.

Kilka lat wcześniej w Indiach też wybuchła zaraza, lecz jeśli nie liczyć dzieci, Mongołowie rzadko padali jej ofiarą. Turcy i Hindusi byli na nią o wiele bardziej podatni. Timur miał w swojej armii wszystkich: Persów, Turków, Mongołów, Tybetańczyków, Hindusów, Tadżyków, Arabów i Gruzinów. Zaraza mogła zabić któregokolwiek z nich lub nawet wszystkich, ale oczywiście nie tylko to mogło być powodem ich śmierci. Nikt przecież nie potrafił przewidzieć swojego końca.

- Zawróćmy i powiadommy innych - rzekł Psin.

Pozostali kiwali głowami, ciesząc się, że to Psin podjął decyzję. Timur rozkazał swoim zwiadowcom wybadać równiny madziarskie, leżące cztery dni jazdy stąd na zachód. Nie lubił, kiedy wracali, nie wypełniwszy rozkazów, nawet jeśli na zwiad wyruszali najstarsi qa'uchin. Psin nie obawiał się jednak spojrzeć władcy w twarz.

Jechali z powrotem przy blasku księżyca, robiąc krótkie postoje, by konie odpoczęły. O świcie podążali już szeroką doliną między wzgórzami, którą poprzedni zwiadowcy nazwali Bramą Morawską. Z kominów wiejskich chat i lepianek, które mijali po drodze, nie unosił się dym. Poganiali konie w szybki, miarowy kłus i pędzili bez wytchnienia cały dzień.

Kiedy zjeżdżali po długim, wschodnim zboczu łańcucha górskiego, wprost na rozciągający się w dole step, dostrzegli ogromne kłębowisko chmur zbierających się po zachodniej stronie

nieboskłonu.

Jak czarne włosy Kali ponad ich głowami,
Bogini Śmierci przepędza ich ze swej ziemi,
Jej gęsta czerń, marszczy się od spodu i faluje,
Poniżej wirują świńskie ogony i haczykowate strzępy,
To znak zbyt posępny, aż konie łby pospuszczaiy,
Aż ludzie przestali na siebie spoglądać.

Zbliżali się do obozu Timura. Do tego czasu wielka burzowa chmura zasłoniła cale niebo. Zapadła gęsta ciemność, jak w nocy. Włosy zjeżyły się Boldowi na karku. Spadło kilka grubych kropli deszczu, a od zachodu dobiegł ciężki grzmot, który przetoczył się nad nimi jak gigantyczny rydwan na spiżowych kołach. Pochyleni w siodłach, poganiali konie do galopu, wszyscy bali się wracać z takimi wieściami i to w taką burzę. Timur z pewnością odczyta to za zły omen, tak samo zresztą jak i oni. Często powtarzał, że cale swoje powodzenie zawdzięcza jednemu asurowi, który odwiedził go i udzielił mu porady. Bold był świadkiem tych odwiedzin - widział kiedyś Timura pochłoniętego rozmową z niewidzialną istotą. Po takim spotkaniu władca potrafił odgadywać ludzkie myśli i przepowiadać przyszłość. Tak nieprzeniknienie ciemna chmura musiała zwiastować zło, czające się na zachodzie. Zdarzyło się tam coś okropnego, może nawet coś gorszego od zarazy. Kto wie? Może Timur będzie musiał porzucić plany podboju Madziarów i Franków. Ubiegła go sama bogini czaszek. Nie sposób sobie

wyobrazić, aby mógł ze spokojem przyjąć fakt, iż cały jego wysiłek został udaremniony. Przybyli na miejsce, niosąc ze sobą burzę, jakiej jeszcze żaden z nich nie widział - wszyscy Madziarowie nie żyli.

Z ognisk, nad którymi gotowano strawy, unosił się dym. Z oddali obóz wyglądał jak płonący stos ofiarny, rozsiewający dokoła znajome wonie. Coś jakby zapach domu, który opuścili na zawsze dawno temu. Psin spojrzał na swoich ludzi.

- Tutaj rozbijecie obóz! - rozkazał. Wszystko wcześniej obmyślił.

- Bold! - Bolda przeszył strach. - Pójdziesz ze mną!

Bold przełknął ślinę i skinął głową. Nie był nadto odważny, posiadał za to stoickie usposobienie qa'uchin - najstarszych wojowników Timu-ra. Psin i Bold przejrzeli swoje myśli. Byli świadomi, że właśnie wchodzą na inny plan istnienia, na którym wszystkie przyszłe wydarzenia, nawet te najdziwniejsze, są z góry ustalone, lecz konfrontacja z nimi nieunikniona - to karma, od której nigdy nie ma ucieczki.

Psin miał w pamięci żywe wspomnienie pewnego wydarzenia z młodości, kiedy to obaj zostali porwani przez plemię myśliwych z tajgi, gdzieś na północ od rzeki Kama. Udało im się wtedy zorganizować spektakularną ucieczkę. Zasztyletowali przywódcę myśliwych i uciekli na koniach, przez ognisko, w noc.

Teraz też jechali we dwójkę, minęli zewnętrzną straż i przez środek obozu dotarli do namiotu chana. Ciemne powietrze na zachodzie i północy rozrywały ogniste pioruny. Żaden z mężczyzn nie widział dotąd takich błyskawic. Rzadkie włosy na

przedramionach Bolda stroszyły się niczym szczecina prosięcia. Wyczuwał, jak powietrze iskrzyło się od zgłodniałych duchów - pretów, zbierających się tłumnie, aby uczestniczyć w chwili, gdy z namiotu wyłoni się wspaniały Timur.

Mężczyźni zsiedli z koni. Z namiotu wyszli strażnicy, którzy odgarnęli grube poły wejścia i stanęli po obu stronach, w pełnej gotowości i z napiętymi łukami. Boldowi całkowicie zaschło w gardle. Wydawało mu się, że z wnętrza ogromnej jurty chana bije niebieskie światło.

Timur ukazał się wysoko w powietrzu, usadowiony w palankinie spoczywającym na ramionach sług. Miał bladą twarz i pocił się, białka jego oczu były widoczne dookoła tęczówek. Spojrzał z góry na Psina.

- Dlaczego wróciliście?

- Chanie, u Madziarów panuje zaraza. Wszyscy nie żyją. Chan przyjrzał się uważnie generałowi. Niezbyt go lubił.

- Dlaczego wróciliście?

- Aby ci o tym powiedzieć, chanie.

Głos Psina był równy i miarowy. Potrafił bez lęku spojrzeć chanowi prosto w oczy. Timur nie był zadowolony. Bold przełknął ślinę. Teraz nic nie przypominało tamtej sytuacji, kiedy wyrwali się z niewoli myśliwych. Teraz nawet część tamtego planu nie mogła być powtórzona. Mimo to gdzieś w głębi duszy pozostawała myśl: A może jednak...

Bold zauważył, że w Timurze coś pękło. Teraz przemawiał przezeń jego asura i wyglądało na to, że czynił w nim ogromne

spustoszenie. To nie był asura, może raczej nafs, zwierzęcy duch, który w nim mieszkał.

- Nie wymkną mi się tak łatwo - zachrypiał chan. - Spotka ich za to bolesna kara, nie znajdą bezpiecznej kryjówki.

Po czym skinął leniwie dłonią i rzekł:

- Wracajcie do obozu.

Po chwili zwrócił się do swoich strażników:

- Zabijcie tych dwóch, ich ludzi oraz konie. Rozniećcie ogień i wszystko spalcie. Następnie przenieście nasze obozowisko o dwa dni jazdy na wschód.

Uniósł dłoń.

Przestrzeń rozdarła się na strzępy.

Między nich uderzył piorun. Bold ogłuchł i usiadł. Kiedy oszołomiony rozglądał się dokoła, spostrzegł, że wszystkich innych również powaliło na ziemię. Namiot chana płonął, palankin Timura przewrócił się, jego słudzy z trudem podnosili się, a chan klęczał na jednym kolanie i trzymał się za pierś. Część straży podbiegła do niego i wtedy uderzył drugi piorun.

Bold tracił wzrok. Podniósł się i zaczął uciekać. Spojrzał jeszcze raz za siebie i poprzez pulsującą, zielonkawą poświatę ujrzał, jak czarny nafs Timura ulatuje zeń przez usta. Zarówno nafs, jak i asurowie opuścili Żelaznego Timura-i-Lang Chromego. Puste ciało zwaliło się na ziemię i spadła na nie rzęsista ulewa. Bold pobiegł w noc, prosto na zachód.

2

Po królestwie zgłodniałych duchów przechadza się Małpa, samotna niczym chmura

Przez całą noc Bold to biegi, to szedł na zachód, przedzierał się w strugach deszczu przez las i wspinał na najbardziej strome zbocza, jakie tylko mógł znaleźć, aby uniknąć konnego pościgu, który najprawdopodobniej już za nim wyruszył. Wiadomo, że nikt nie usiłowałby za wszelką cenę schwytać potencjalnego nosiciela śmiertelnej choroby, zawsze jednak mógł zostać zestrzelony z większego dystansu. Pragnął zniknąć z tego świata, jakby nigdy na nim nie istniał. Gdyby nie ta przedziwna burza, już by z pewnością był martwy i rozpoczynał kolejny żywot Nadal jednak żył. *Gate gate para gałę para sam gate bodhi svaha.*

Świt następnego dnia zastał go przy Bramie Morawskiej. Czuł, że nikt nie ośmieliłby się podążać za nim tą drogą. Dotarłszy na Równinę

Madziarską, skierował się na południe, w las. W wilgotnym świetle poranka odnalazł powalone drzewo, wsunął się pod jego wystające korzenie i przespał jeden dzień w suchej kryjówce.

W nocy przestało padać, a trzeciego dnia Bold obudził się głodny jak wilk. Bardzo szybko udało mu się znaleźć, narwać i zjeść trochę polnej cebuli - później upoluje coś konkretnego. Może w spichlerzach opustoszałych wsi zostało trochę suszonego mięsa lub ziarna zbóż, może nawet znajdzie się łuk i kilka strzał? Nie chciał podchodzić zbyt blisko wymarłych osad, ale niestety był to jedyny sposób na znalezienie pożywienia. Postanowił więc to zrobić przy

pierwszej nadarzającej się okazji.

Tej nocy nie spal dobrze i miał wzdęcia po cebuli. Nad ranem ruszył na południe, wzdłuż wielkiej rzeki. Mijał opustoszałe wioski i osady. Wszyscy ludzie, których spotykał, byli martwi i leżeli porozciągani na ziemi. Niepokoiło go to, lecz nic nie mógł zrobić. Sam prowadził teraz niejako pośmiertny żywot zgłodniałego ducha. Żyjąc od jednego znalezionego kęsa pożywienia do drugiego, bezimienny, opuszczony przez towarzyszy, zaczął zamykać się w sobie jak podczas najcięższych kampanii stepowych. Powoli stawał się zwierzęciem, a jego umysł kurczył się jak rogi ślimaka pod wpływem dotyku. Podczas długich wart nie myślał o niczym innym, jak tylko o Sutrze Serca. Forma jest pustką, pustka jest formą. Nie bez powodu w poprzednim wcieleniu nazywał się Sun Wu-kong, Przebudzenie w Pustce. Małpa w próżni.

W końcu doszedł do wioski, która wyglądała na nietkniętą. Obszedł ją dookoła. W pustej stajni znalazł luk pozbawiony cięciwy i kilka strzał w kołczanie, wszystko bardzo prymitywne i niewykończone. Coś poruszyło się na zewnątrz. Wyszedł ze stajni i zobaczył wychudłą, czarną oślicę, którą zwabił główką cebuli, a następnie wskoczył na jej kościsty grzbiet.

Przejechał na niej przez kamienny most, rozpięty nad szeroką rzeką, i powoli przemierzał wyschniętą ziemię, kierując się na południe. W górę i w dół, w dół i w górę. Wszystkie następne wsie również były opustoszałe, a pozostawione w nich zapasy zgniłe lub rozszarpane przez zwierzęta. Teraz jednak miał oślicę - jej mleko i krew pozwolą mu przetrwać jakiś czas, więc na razie głód mu nie

groził.

Była jesień, zaczął żyć jak niedźwiedź, żywiąc się jagodami, miodem i zającami, które udało mu się upolować swoim marnym łukiem, zrobionym najpewniej ręką dziecka. Nie wierzył, aby mężczyzna mógł skonstruować coś takiego - pojedyncza, wygięta gałąź, chyba z jesionu, częściowo rzeźbiona, lecz i tak bardzo nieudolnie. Nie było odpowiedniego wycięcia na strzałę, a na cięciwie brakowało siodełka, naciąg przypominał zwykły sznurek, na którym buddyści rozwieszali modlitewne tanki. Jego stary łuk był laminatem z rogu i klonu, za spoiwo służył klej ze ścięgien, a korpus obciągnięty był niebieską skórą. Napinał się łatwo i strzelał z taką mocą, że potrafił przebić napierśnik z odległości ponad li, *gate gate para gatepara sam gate bodhi svaha...* przepadł z całą resztą jego dobytku. Kiedy tak strzelał gałązkami, przypominającymi strzały, z łuku, który nie był prawdziwym łukiem i chybiał, zastanawiał się, czy w ogóle warto celować. Nie dziwota, że ci ludzie wymarli.

W małej wsi nad brzegiem strumienia stało pięć przylegających do siebie budynków. W największym znajdowała się zamknięta na klucz spiżarnia, w której zostało sporo suszonych ciastek rybnych, przyprawionych w nieznany Boldowi sposób. Dostał od nich mdłości. Mając żołądek wypełniony obcym pożywieniem, poczuł, że mimo wszystko odzyskuje siły i dobry nastrój. W stajni znalazł skórzane sakwy, które wypchał suszonym jadłem i przytroczył do boków oślicy. Ruszył dalej i odtąd baczniej przyglądał się mijanym miejscom.

Pobielone drzewa o czarnych konarach. Sosny i cyprysy

soczyście zielone, Czerwony i niebieski ptak siedzą obok siebie Na tym samym drzewie. Może już się zdarzyć wszystko.

Wszystko, tylko nie powrót do przeszłego życia. Bold nie chował urazy do Timura, sam przecież zrobiłby to samo. Zaraza to zaraza - nie wolno jej lekceważyć. Jednak ta zaraza była o wiele gorsza od innych, zabiła wszystkich mieszkańców okolicy. Wśród Mongołów zmarło jedynie kilkoro dzieci i pochorowało się kilku dorosłych. Myszy i szczury zabijano od razu, a kiedy dzieci dostawały gorączki i na ich skórze pojawiały się krosty, matki zabierały je nad rzekę i pozostawiały samym sobie. Miasta hinduskie miały jeszcze gorsze przejścia z chorobami. Padały tam cale tłumy ludzi, lecz nic z tego nie przypominało obecnej sytuacji. Może tych ludzi zabiło coś innego?

Przez pustą krainę. Przez mgły.
Pod oszronionym niebem, W zimnym świetle księżyca,
Które mrozi swym blaskiem
Przeszywa wiatr, przeszywa strach.
Tysiące drzew huczy w rzadkim lesie,
Samotna Małpa plącze na spalonym wzgórzu.

Wezbrało w nim przerażenie, które po chwili opadło miękką falą, pozostawiając jego umysł pusty jak ziemia dokoła. Panowała cisza. Gate gate para gate para sam gate bodhi svaha. Przez jakiś czas wydawało mu się, że minął już tereny dotknięte zarazą i że w końcu spotka jakichś żywych ludzi. Zamiast tego dotarł do łańcucha

postrzępionych wzgórz, a u ich podnóża dostrzegł rozległe miasto, o wiele większe od tych, które widział wcześniej. Całe dno doliny przykryte było połacią dachów. Miasto opuszczono. Żadnych dymów, żadnych głosów, żadnego poruszenia. Pośrodku stała gigantyczna, kamienna świątynia, otwierająca się ku niebu. Kiedy ją zobaczył, znów przepełnił go strach. Wjechał z powrotem w las, aby uciec od widoku martwych ludzi.

Oczywiście wiedział, gdzie mniej więcej się znajdował. Podążając z tego miejsca na południe, dotarłby do osmańskich ziem na Bałkanach. Potrafiłby się tam porozumieć, miałby szansę wrócić do świata leżącego poza granicami imperium Timura. Na pewno znalazłby tam coś dla siebie, jakiś nowy sposób na życie.

Jechał więc nieustannie na południe, mijając wyschnięte szkielety wieśniaków. Robił się coraz bardziej głodny. Bezlitośnie poganiał oślicę, posilając się co jakiś czas jej krwią.

Pewnej nocy w czasie nowiu usłyszał wilki - wyły i ujadały w pogoni za nim. Zdążył tylko odciąć uzdę oślicy i wspiąć się na drzewo. Większość watahy pobiegła za oślicą, reszta, dysząc, przysiadła pod drzewem. Bold usadowił się wygodnie na gałęzi i postanowił zaczekać, aż bestie odejdą. Kiedy zaczęło padać, wilki leniwie oddaliły się. Nad ranem obudził się dziesiąty raz z rzędu, ale tym razem zszedł na ziemię. Powędrował w dół rzeki i natknął się na ciało oślicy - została tylko skóra, kości i rozwleczone dokoła chrząstki. Ani śladu po skórzanych sakwach.

Ruszył dalej.

Pewnego dnia, zbyt wycieńczony, by iść, zaczaił się przy

strumieniu i koślawą strzałą zdołał upolować jelenia. Rozpalił ognisko i jadł do syta, wrzucając w siebie upieczone kawałki udźca. Postanowił spędzić noc z dala od tuszy i dopiero nad ranem do niej wrócić - wilki nie wspinały się po drzewach, lecz niedźwiedzie owszem. Zobaczył lisa, a ponieważ nafs jego żony był lisicą, poczuł się lepiej. Nad ranem ogrzało go słońce. Jelenia już nie było, najwyraźniej zabrał go niedźwiedź. Jednak Bold, zjadłszy wcześniej mięso, poczuł przypływ sił i ruszył dalej.

Przez kilka kolejnych dni szedł na południe i, o ile było to możliwe, trzymał się górskich grzbietów, wędrował przez wyludnione i wykarczowane wzgórza, po wypłukanej ziemi, wysuszonej do białości przez słońce. W dolinach rozglądał się za lisicą, o poranku pił wodę ze źródeł, a z wymarłych wiosek szabrował ochłapy jedzenia. Znalezienie jakiegokolwiek pożywienia stawało się coraz trudniejsze. Przez jakiś czas musiał zadowolić się kawałkiem skórzanego paska od uzdy - stara mongolska sztuczka, której nauczył się na jednej z cięższych stepowych kampanii. Wydawało mu się jednak, że sztuczka ta o wiele lepiej działała na bezkresnych stepach niż teraz, na zwietrzałych i spieczonych słońcem wzgórzach.

Pod koniec jednego z kolejnych dni, po tym jak już na dobre przywykł do samotnej egzystencji, do wyszukiwania resztek jedzenia, wszedł w zagajnik, aby nazbierać drzewa. Jakże był wstrząśnięty, widząc płonące tam ognisko, podsycane przez żywego człowieka.

Mężczyzna był niski, tak jak Bold. Jego włosy i gęsta broda były rude jak liście klonu na jesień, miał bladą, cętkowaną jak pies

skórę. Z początku Bold myślał, że mężczyzna jest chory, więc trzymał się od niego z daleka. Jednak jego niebieskie oczy były bystre i podobnie jak Bold, był wystraszony, spięty i gotowy na wszystko. Patrzyli na siebie w milczeniu, stojąc po przeciwnych stronach polany pośrodku zagajnika.

Mężczyzna wskazał na ognisko. Bold skinął głową i zbliżył się, zachowując czujność. Na ogniu piekły się dwie ryby. Bold wyjął spod płaszcza upolowanego nad ranem zająca, którego oskórował i oczyścił własnym nożem. Rudzielec kiwał głową i głodnym wzrokiem śledził każdy znajomy ruch. Odwrócił ryby na drugą stronę i rozgrzebał żar, aby zrobić miejsce na zająca. Bold nabił mięso na patyk i położył je na węglach.

Kiedy się upiekło, jedli w milczeniu, siedząc na kłodach po przeciwnych stronach paleniska. Obaj wpatrywali się w ogień i tylko od czasu do czasu wymieniali ukradkowe spojrzenia - byli speszeni, zbyt długo żyli w samotności. Poza tym nie do końca wiedzieli, o czym tak na prawdę można porozmawiać z drugim człowiekiem.

W końcu odezwał się rudobrody. Najpierw drżącym głosem, a już Po chwili rozgadał się na dobre. Czasem używał słów, które w uchu Bolda brzmiały znajomo. Oczywiście nie aż tak znajomo, jak jego wprawne ruchy nożem. Niestety, mimo że Bold naprawdę się starał, nie rozumiał mężczyzny. Po chwili sam postanowił wypróbować kilka prostych fraz. Od razu poczuł obcość słów w swoich ustach, niczym grzechot kamieni w skórzanej sakiewce. Mężczyzna przysłuchiwał się uważnie, a w jego bladej i brudnej twarzy jaśniały żarzące się oczy. Wyglądało na to, że nie znał mongolskiego,

tybetańskiego, tureckiego, chińskiego, arabskiego i chagatai ani nie kojarzył pozdrowień w innych narzeczach, jakich Bold nauczył się przez te wszystkie lata wędrówek po stepach.

Kiedy Bold skończył recytować pozdrowienia, mężczyzna skurczył się i zaczął szlochać. Po chwili wytarł oczy, zostawiając sobie brudne smugi na twarzy, stanął przed Boldem i powiedział coś, intensywnie gestykulując. Wskazał palcem na Bolda, jakby w porywie gniewu, następnie cofnął się o krok, usiadł na pniaku i zaczął udawać, że wiosłuje - tak się Boldowi przynajmniej wydawało. Wiosłował, siedząc tyłem do dzioba, jak kaspijscy rybacy. Udawał, że łowi ryby, pokazał ile ich złowił, jak je czyścił i gotował. Pokazał ludzi, których karmił: swoje dzieci, żonę, wszystkie osoby, z którymi mieszkał. Potem spojrzał w niebo, ponad rozświetlone gałęzie drzew, zwisające nad ich głowami, i znów zawołał. Podciągnął szorstką połę ubrania i wskazał na swoje ciało oraz na pachę, pod którą podstawił pięść. Bold skinął ze zrozumieniem, żołądek mu się ścisnął, kiedy mężczyzna odegrał chorobę i śmierć swoich bliskich, kładąc się na ziemi i skowycząc jak pies. Umarli wszyscy oprócz tego mężczyzny, który zaczął obchodzić ognisko i wskazywać na opadłe liście. Intonował jakieś słowa, a może były to imiona. Bold rozumiał wszystko aż nazbyt wyraźnie.

Następnie mężczyzna pogrzebał całą swoją wioskę - każdy jego gest był czytelny - usiadł na kłodzie i odpłynął. Udawał, że wiosłuje, wiosłował bardzo długo, tak długo, aż Bold pomyślał, że rudzielec zapomniał, o czym opowiadał. Po chwili jednak dobił do brzegu i

padł z wycieńczenia na kłodę. Wyszedł na ląd i udając zaskoczonego, rozglądał się dokoła. Zaczął iść. Tuzin razy obszedł ognisko, udając, że zjada patyki i trawę. Wył jak wilk i kulił się wystraszony pod kłodą, zrywał się i biegł, a potem znów wiosłował - w kółko powtarzał to samo.

- Dea, dea, dea, dea! - wykrzykiwał przez gałęzie w stronę jarzących się nad nimi gwiazd.

Bold skinął głową. Znał tę historię. Mężczyzna wył teraz i warczał niczym zwierzę, jego oczy były czerwone jak u wilka. Bold zjadł jeszcze trochę zająca i podał patyk mężczyźnie, który porwał mięso i pochłonął je łapczywie. Później obaj siedzieli i wpatrywali się w ogień. Bold był w nastroju do towarzystwa, a jednocześnie czuł się samotny. Przyglądał się kompanowi, który, zjadłszy obie ryby, zaczął przysypiać. Drgnął, zamruczał coś pod nosem, skulił się i usnął. Bold dorzucił do ognia i, ułożywszy się po drugiej stronie, też próbował zasnąć. Kiedy się obudził, ogień już wygasł, a mężczyzna znikł. Był chłodny poranek, powietrze przesycone parującą rosą, ślady człowieka wiodły przez polanę, aż do zakrętu szerokiej rzeki i tam się urywały. Nie sposób było stwierdzić, w którą stronę udał się rudobrody.

Mijały kolejne dni, a Bold nadal zmierzał na południe. Często zastawiał się na zwierzynę i wtedy nie myślał o niczym, wypatrywał tylko pożywienia i pogody, powtarzając bez końca jedno czy dwa słowa. Przebudzenie w pustce. Pewnego dnia natrafił na wioskę wyrosłą wokół źródła.

Stare świątynie obrócone w ruinę,
Potrzaskane kolumny strzelające w niebo.
Wszystko tonęło w ciszy.
Czym tak bardzo rozgniewali swych bogów ludzie?
Na cóż bogom samotna dusza przechodząca obok,
Teraz, kiedy świat się skończył?
Marmurowe bębny potoczyły się i zamarły w bezruchu
Świergot ptaka wypełnił pustą przestrzeń.

Nie chciał nic wiedzieć i nie zamierzał nigdzie się włamywać. Obszedł świątynię, intonując mantrę:

- *Om mani padme hung, om mani padme hung...*

Nagle uświadomił sobie, że często mówi do siebie lub mantruje i nawet tego nie zauważa, jakby ignorował starego towarzysza podróży, który zawsze opowiada te same historie.

Nadal kierował się na południowy wschód, choć już dawno zapomniał po co. Przeszukiwał przydrożne budynki i zabierał wszystko, co nadawało się do zjedzenia, a potem szedł pustymi drogami. To musiał być jakiś stary kraj. Sękate drzewa oliwkowe uginające się pod ciężarem zielonych i czarnych, niejadalnych owoców, nie dawały mu spokoju -przecież nie da się najeść siłą własnej woli, nikt tego nie potrafi. Z każdym dniem był coraz bardziej głodny i uwagę koncentrował tylko na pożywieniu. Mijał kolejne marmurowe budowle i przeszukiwał opuszczone wiejskie chaty. Pewnego dnia natknął się na duży gliniany garniec, pełen oliwy z oliwek, i zatrzymał się przy nim na cztery dni, zanim wypił wszystko do dna.

Jelenie pojawiały się coraz rzadziej. Lisicę widział więcej niż dwa razy. Dzięki celnym strzałom z dziecięcego luku oddalał groźbę głodu. Każdej nocy rozpalał coraz większe ognisko i ze dwa razy zastanawiał się, jak potoczył się los rudobrodego. Czy spotkanie z Boldem uświadomiło mu, że bez względu na to, co się stanie i kto go znajdzie, zawsze będzie samotny, więc poszedł i się zabił, aby połączyć się ze swoją jati? A może po prostu poślizgnął się i wpadł do rzeki? Albo puścił z jej nurtem, żeby Bold nie mógł go wyśledzić? Nie sposób stwierdzić. Spotkanie z mężczyzną powracało często w myślach Bolda, lecz przede wszystkim utkwiła mu w pamięci łatwość, z jaką go zrozumiał.

Doliny biegły na południowy wschód. Kiedy spróbował zrekonstruować w myślach trasę swojej wędrówki, okazało się, że nie pamięta szczegółów z kilku ostatnich tygodni i nie potrafi się zorientować względem Bramy Morawskiej, chanatu czy Złotej Ordy. Od Morza Czarnego jechali niegdyś dziesięć dni, czyż nie? Było to jak przypominanie sobie wydarzeń z przeszłego żywota.

Całkiem możliwe, że zbliżał się do Bizancjum. Siedział skulony przy ognisku, zastanawiając się, czy mieszkańcy Konstantynopola też wymarli, a co z Mongolią, a może wszyscy ludzie na świecie poumierali? Wiatr świszczący wśród krzewów przypominał odgłosy błądzących duchów. Bold zapadł w niespokojny sen. Budził się na nocne warty, obserwował gwiazdy i dorzucał gałęzi do ognia. Było coraz zimniej.

Obudził się i naprzeciw siebie dostrzegł ducha Timura, którego groźna twarz skąpana była w ognistej poświacie. Oczy miał czarne

jak obsydian. Bold dojrzał w nich odbijające się gwiazdy.

- A więc to tak - odezwał się Timur ciężkim głosem - uciekłeś.

- Tak - wyszeptał Bold.

- Co się stało? Nie masz ochoty znów wyruszyć na łowy?

Pod koniec jednej z cięższych kampanii Timur zwrócił się do Bolda w ten sam sposób. Był już wówczas tak słaby, że musieli go nieść w lektyce, podczas gdy on ani razu nie pomyślał, żeby dać za wygraną. W czasie ostatniej zimy Timur zastanawiał się, czy ruszyć na wschód, przeciwko Chińczykom, czy też na zachód, przeciwko Frankom. Podczas hucznej biesiady ważył argumenty, przemawiające za jednym i za

drugim rozwiązaniem, i w pewnej chwili spojrzał na Bolda. Coś dziwnego musiał zobaczyć w jego twarzy, gdyż zerwał się nagle i zagrzmiał silnym mimo choroby głosem:

- Co się stało, Bold? Nie masz ochoty znów wyruszyć na łowy? Wtedy Bold odpowiedział:

- Ja zawsze, wielki chanie. Byłem z tobą, kiedy podbijaliśmy Ferganę, Horasan, Sistan, Chorezm i Mogulistan, i jeśli o mnie chodzi, to jeszcze jedno państwo na pewno mi nie zaszkodzi.

Timur roześmiał się gniewnie.

- Ale w którą stronę tym razem, Bold? W którą stronę?

Bold wiedział wystarczająco dużo, aby móc wzruszyć ramionami i rzec:

- Dla mnie bez różnicy, chanie. Może rzucisz monetą?

Na te słowa chan ponownie wybuchł śmiechem i w przypływie dobrego nastroju zapewnił Boldowi ciepłe miejsce w stajni i dobrego

konia na całą kampanię. Zmierzali wówczas na zachód, była wiosna 784 roku.

Teraz duch Timura przybrał całkowicie ludzką postać. Patrzył przez ogień na Bolda wzrokiem gniewnym i pełnym wyrzutu.

- Rzuciłem monetą, tak jak mi powiedziałeś, Bold, ale musiało wypaść coś niedobrego.

- Mogłoby być gorzej, gdyby padło na Chiny - odparł Bold. Timur zaśmiał się:

- Jak to się mogło stać? Zabity piorunem? Jak to możliwe? To twoja sprawka, Bold, twoja i Psina. To wy przynieśliście z zachodu klątwę. Powinniście byli nigdy nie wracać. A ja powinienem był uderzyć na Chiny.

- Może i tak - Bold nie wiedział, jak sobie z nim poradzić. Rozwścieczonym duchom należy się przeciwstawiać, a zarazem starać się je udobruchać. Tylko te czarne jak agat oczy, iskrzące się migotliwym światłem gwiazd...

Timur nagle odkaszlnął. Przystawił dłoń do ust i wykrztusił z siebie coś czerwonego. Spojrzał na przedmiot i uniósł go do góry, aby Bold mógł się dobrze przyjrzeć: czerwone jajo.

- To dla ciebie - rzekł i cisnął jajo przez ogień w stronę Bolda.

Bold schylił się, żeby je złapać, i w tej samej chwili zbudził się, wydając z siebie jęk. Duch Timura był wyraźnie niezadowolony. Wędrował poprzez światy, odwiedzając swoich starych żołnierzy i innych pretów -wzruszające, lecz mimo to Bold nie potrafił się wyzbyć strachu. Duch Timura miał ogromną moc, bez względu na to, na jakim planie egzystował. Mógł z łatwością sięgnąć tego

świata i w każdej chwili złapać Bolda za kostkę.

Przez cały dzień Bold wędrował, pogrążony we wspomnieniach, prawie nie patrzył na mijane okolice. Kiedy Timur odwiedził go wtedy w stajni, było to trudne spotkanie. Chan nie mógł już się utrzymać w siodle o własnych siłach. Patrzył tylko na swą grubokościstą klacz jak na kobietę, gładził jej bok i mówił:

- Pierwszy koń, jakiego w życiu ukradłem, wyglądał dokładnie jak ta klacz. Zaczynałem jako biedak, a życie nie było łatwe. Zostałem naznaczony przez Boga. Pewnie myślałeś, że pozwoli mi dojechać na drugi brzeg - po tych słowach wbił w Bolda żywotne spojrzenie: jedno oko nieco większe i wyżej osadzone od drugiego, dokładnie tak jak we śnie.

Głód zmuszał Bolda do ciągłych polowań. Timur, choć był teraz zgłodniałym duchem, nie musiał już martwić się o pożywienie, lecz Bold nadal cierpiał głód. Grubsza zwierzyna uciekała szerokimi dolinami na południe. Pewnego dnia, idąc wysokim grzbietem, zobaczył wodę - lśniącą w oddali polać brązu. Pewnie jakieś wielkie jezioro albo morze, pomyślał. Stara droga poprowadziła go przez kolejną przełęcz i dalej w dół, do następnego miasta.

Po raz kolejny nie zastał w mieście nikogo żywego. Panował całkowity bezruch i nieprzenikniona cisza. Szedł pustymi ulicami, mijał opustoszałe budynki i cały czas czuł na plecach zimny dotyk pretów.

Na centralnym wzgórzu stał kompleks białych świątyń, wyglądający z daleka jak wyblakła w słońcu klatka piersiowa ludzkiego szkieletu. Przyjrzawszy się nieco dokładniej, Bold

stwierdził, że to musi być stolica tej wymarłej krainy. Wcześniej mijał pomniejsze wsie i mieściny, zbudowane z ciosanego kamienia, aż w końcu doszedł do stołecznych świątyń, budowanych z gładko rzeźbionego, białego marmuru. Nie zastał tam jednak ani jednej żywej duszy. Opadła gęsta mgła, ograniczając widoczność. Bold brnął do przodu i potykał się o kamienie na zakurzonej, stromej drodze, prowadzącej prosto na świątynne wzgórze. Tam zapragnął przedstawić swoją sprawę lokalnym bóstwom.

Na świętym plateau trzy mniejsze świątynie otaczały jedną prostokątną piękność, z podwójnymi rzędami smukłych kolumn na każdym boku, na których wspierał się jasny dach, pokryty marmurowymi dachówkami. Pod okapami wyrzeźbione postaci walczyły, maszerowały, latały i gestykulowały. Ten kamienny obraz przedstawiał tych wszystkich nieobecnych ludzi bądź też ich bogów. Bold przysiadł na jednym z marmurowych walców - pozostałości po wysokich, przewróconych kolumnach - i wpatrywał się w kamienne rzeźbienia. Oglądał świat, który przepadł.

W końcu dotarł do głównej świątyni i wszedł do niej, modląc się na głos. W odróżnieniu od świątyń na północy ta nie była miejscem ostatecznego zgromadzenia ludności. Wewnątrz nie było szkieletów. Wręcz przeciwnie, świątynia wyglądała na od dawna opuszczoną. U krokwi wisiały nietoperze, a panujący wewnątrz półmrok przecinały promienie słońca, wpadające przez dziury po odpadłych dachówkach. W głębi świątyni stało coś na kształt pośpiesznie wzniesionego ołtarza. Palił się jeden knot, zanurzony w misie z oliwą, ich ostatnia modlitwa nadał się tliła, nawet po ich

śmierci.

Bold nie miał nic do złożenia w ofierze, ogromna, biała świątynia stała nad nim w ciszy.

- *Om gate gate para gate para sam gate bodhi svaha* - jego słowa rozchodziły się stłumionym echem.

Wyszedł z powrotem w popołudniową poświatę. Na zachodzie dojrzał poblask morza. Wiedział już, że pójdzie w tamtą stronę, tutaj nic go nie trzymało. Ludzie umarli tu razem z bóstwami.

Długa zatoka wcinała się pomiędzy wzgórza. Znajdujący się w głębi port wydawał się pusty, jedynie kilka mniejszych łódek kołysało się na falach, a niektóre z nich, obrócone do góry dnem, leżały na szerokiej plaży, rozciągającej się w obie strony od doków. Nie zaryzykowałby wyprawy łodzią, nie znał się na tym. Widział w życiu jeziora Issyk Kul i Qinghai, Aralskie, Kaspijskie i Czarne, ale nigdy w życiu nie zdarzyło mu się wsiąść do łódki, z wyjątkiem przeprawy promem przez rzekę. Nie zamierzał ryzykować.

Na długiej drodze żadnego piechura, Żadna łódź na noc do portu nie zawija. Martwy port zastygł w bezruchu.

Zszedł na plażę, zaczerpnął wody w garść i napił się, wypluł od razu, była słona jak Morze Czarne albo wody dorzecza Tarymu - zdumiał go widok tak dużej ilości wody, całkowicie do niczego nieprzydatnej. Kiedyś słyszał, że świat otoczony jest oceanem. Może właśnie dotarł do krańca świata, do jego zachodniego albo południowego brzegu? Może Po południowej stronie tej wielkiej wody żyli Arabowie - tego nie wiedział. Po raz pierwszy podczas całej wędrówki nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje.

Zasnął na ciepłej plaży i śnił o stepach. Siłą woli odganiał wizję Timura. Po chwili ze snu wyrwał go silny uścisk dłoni, które obróciły go na brzuch, związały mu nogi w kostkach i ręce za plecami. Jakiś męski głos zawołał:

- Co my tu mamy? - czy coś w tym tonie. Mówił chyba w tureckim narzeczu. Bold nie rozumiał wielu słów, lecz domyślał się treści po rytmie i melodii wypowiedzi. Wyglądali jak żołnierze albo zabójcy. Zbóje o wielkich, ciężkich łapach, ze złotymi kolczykami w uszach, ubrani w brudne, bawełniane stroje. A on płakał i uśmiechał się głupkowato na ich widok. Czuł, jak wykrzywia mu się twarz i pieką go oczy. Przyglądali mu się bardzo czujnie.

- To jakiś szaleniec - jeden z nich pomyślał na głos. Słysząc to, Bold pokręcił głową.

-]a... ja nikogo nie spotkałem - powiedział w języku malajskim i tureckim. Język rósł mu w ustach, gdyż, mimo że często coś mruczał, mówił do siebie i do swoich bóstw, to właściwie zapomniał, jak rozmawia się z ludźmi. - Ja myślałem, że wszyscy umarli... - wskazał na północny zachód.

Najwyraźniej nie rozumieli go.

- Zabijmy go! - powiedział któryś lekceważącym tonem, przypominającym głos Timura.

- Nie wystarczy ci, że nie żyją już wszyscy chrześcijanie? - powiedział inny.

- Zabijmy go i odpływajmy, łodzie i tak już są pełne.

- Weźmiemy go - powiedział inny głos - handlarze niewolników jeszcze nam za niego zapłacą. Poza tym nie zatopi naszych łodzi,

zobacz, jaki jest chudy.

Zawiązali mu pętlę na szyi i pociągnęli za sobą wzdłuż plaży. Musiał mocno pracować nogami, żeby lina nie targała nim w przód i w tył. Ze zmęczenia kręciło mu się w głowie. Byt wyczerpany. Mężczyźni wonieli czosnkiem i zapach ten jednocześnie odrzucał go i budził w nim wilczy apetyt. Jeśli rzeczywiście zamierzali go sprzedać handlarzom niewolników, to będą musieli go podkarmić. Na samą myśl o tym dostawał ślinotoku, jak zgłodniały pies na widok pełnej miski.

Ciągle szlochał i leciało mu z nosa, a jako że miał ręce związane za plecami, nie mógł wytrzeć sobie twarzy.

- Piana leci mu z pyska jak koniowi.

- Na pewno jest chory.

- Nie jest chory. Dawaj go tu. No chodź! - zwrócił się do Bolda. -Nie bój się. Tam, dokąd cię zabieramy, nawet niewolnicy żyją lepiej niż wy, barbarzyńskie psy!

Wrzucili go na dno łodzi. Szarpnęło ze dwa razy, po czym łódź wypłynęła na wodę i zaczęła kiwać się na boki. Bold przewrócił się i uderzył plecami o drewnianą burtę.

- Tutaj niewolniku! Siad!

Bold usiadł na stercie lin i przyglądał się ich pracy. Cokolwiek miałoby się zdarzyć i tak będzie lepsze od tej pustej ziemi. To, że mógł patrzeć na ludzi i słuchać ich mowy, dodawało mu sił. Przypominało mu to obserwowanie dzikich koni, biegających po stepie. Głodnym wzrokiem patrzył, jak podnoszą żagle. Łódź pochyliła się, a on instynktownie rzucił się w przeciwną stronę. Wszyscy ryknęli

śmiechem. Patrzył na nich wzrokiem zranionej łani i gestykulował coś w stronę największego żagla.

- Musiałoby o wiele silniej dąć, żeby nas przewrócić.

- Niech Allah chroni nas od tego.

- Niech Allah ma nas w swojej opiece. Muzułmanie.

- Niech Allah ma nas w swojej opiece - powiedział potulnie Bold i dodał po arabsku - w imię Allaha Miłosiernego Litościwego.

Przez lata spędzone w armii Timura, nauczył się równie dobrze być muzułmaninem, jak i kimkolwiek innym. Budda z pewnością nie miałby mu tego za złe i choć na pewno nie uchroni go to przed losem niewolnika, to przynajmniej pozwoli zdobyć więcej jedzenia. Mężczyźni śledzili każdy jego ruch, a on patrzył jak ląd znika na horyzoncie. Rozwiązali mu ręce, dali trochę suszonej baraniny i chleb. Każdy kawałek Bold przeżuwał sto razy, a znajomy smak przywoływał wspomnienia z całego życia. Zjadł wszystko, co mu dali, i wypił wodę z kubka, który od nich dostał.

- Niech będzie chwała Allahowi! Wielkie dzięki w imię Boga Miłosiernego litościwego.

Pożeglowali wzdłuż zatoki, aż znaleźli się na morzu. Nocą przepłynęli na drugą stronę przylądka, zarzucili kotwicę i udali się na spoczynek. Bold skulił się pod zwojami lin i zasnął. Za każdym razem, kiedy się budził, musiał sobie przypominać, gdzie się znajduje.

Każdego ranka obierali kurs na południe, jednego dnia przepłynęli przez wąski przesmyk wprost na otwarte morze, pocięte wysokimi falami. Kołysanie łodzi przypominało Boldowi jazdę na wielbłądzie.

Wskazał dłonią na zachód. Mężczyźni podali mu jakąś nazwę, ale nie zrozumiał jej. Któryś z nich dorzucił:

- Wszyscy nie żyją.

Słońce chyliło się ku zachodowi, a oni nadal byli na otwartym morzu. Po raz pierwszy płynęli nocą. Kiedy Bold przebudzał się, widział resztę czuwającej załogi, zapatrzoną w gwiazdy i milczącą. Przez trzy doby płynęli po otwartym morzu. Bold zastanawiał się, jak długo to jeszcze może potrwać, aż czwartego ranka niebo na południu zaczęło się bielić i brązowieć.

Jak pustynny powiew znad Gobi.
Piasek w powietrzu i szlachetnej ziemi proch.
To ląd! Niski ląd, gdzie morze i niebo,
W jeden łączą się brąz,
Najpierw dojrzysz kamienną wieżę,
A za nią falochron z głazów i port.

Jeden z marynarzy z radością wypowiedział nazwę wyłaniającego się lądu:

- Aleksandria!

Bold już gdzieś słyszał tę nazwę, choć na temat samego miejsca nie wiedział nic.

3

W Egipcie nasz pielgrzym zostaje sprzedany jako niewolnik.

W państwie Zanji spotyka Chińczyków, których nigdzie nie brakuje

Porywacze podpłynęli do plaży, przywiązali kamienną kotwicę do skały, skrępowali Bolda i zostawili go na pokładzie pod derką, a sami zeszli na ląd.

Była to plaża dla mniejszych łodzi, tuż obok niej, za wysokim wałem, ciągnęło się długie, drewniane nabrzeże dla większych statków. Mężczyźni wrócili pijani, już z oddali było słychać, jak się awanturowali. Rozwiązali mu nogi i nie zwracając się do niego ani słowem, wyciągnęli go z lodzi i poprowadzili ze sobą. Nadmorski bulwar okazał się strasznie stary, przeżarty solą i zakurzony, a do tego śmierdzący zdechłymi rybami, których sporo było dokoła, porozrzucanych i gnijących w palącym słońcu. W okolicy wejścia do portu, przed podłużnym budynkiem stały bele bawełny, ogromne pudła, gliniane słoje i tkaniny popakowane w sznurowe siatki. Dalej szli przez targ rybny. Bold ślinił się jak pies, a jego żołądek kurczył się boleśnie.

Doszli w końcu do targu niewolników. Był to niewielki plac z podwyższeniem pośrodku. Przypominał miejsce dla wygłaszającego nauki lamy. Zanim przyszła kolej na Bolda, sprzedano szybko trzech innych niewolników. Największe zainteresowanie tłumu wzbudzały sprzedawane kobiety. Nie miały na sobie nic oprócz krępujących ich lin, a w razie konieczności, łańcuchów. Niektóre

stały pogrążone w apatii, inne skulone. Większość z nich była czarna, niektóre brązowe. Wyglądało na to, że dzień handlowy dobiegał końca i kupcy wyprzedawali resztki towaru. Przed Boldem sprzedano wychudzoną dziewczynkę w wieku około dziesięciu lat. Jej nabywcą był gruby, czarny mężczyzna w poplamionych jedwabnych szatach. Targu dobijano w języku podobnym do arabskiego, a za dziewczynę płacono walutą w złotych monetach, której nazwy Bold nigdy wcześniej nie słyszał. Pomógł swoim porywaczom ściągnąć z siebie stare i wymięte ubranie.

- Nie musicie mnie wiązać - próbował mówić do nich po arabsku, lecz nawet go nie słuchali, skuwając mu nogi w kostkach. Wszedł na podwyższenie, poczuł na ciele gorące powietrze i swój własny, intensywny zapach. Spojrzał na siebie i stwierdził, że wędrówka po wymarłej krainie dała mu w kość - był tak samo chudy jak mała dziewczynka sprzedana przed nim. Nadal miał jednak mięśnie. Stał wyprostowany i patrzył w słońce, a jego licytacja trwała. W myślach powtarzał fragment Sutry Lapis Lazuli:

- Podstępne demony nieżyczliwości włóczą się po świecie. Precz! Precz! Budda wyrzeka się niewolnictwa!

- Czy on mówi po arabsku? - zapytał ktoś z tłumu.

Jeden z porywaczy szturchnął Bolda, a ten zaczął mówić po arabsku:

- W imię Boga Miłosiernego Litościwego! Mówię po arabsku, mon-golsku, tybetańsku i chińsku oraz po turecku i malajsku.

Po tych słowach zaczął recytować z pamięci pierwszy rozdział Koranu. W końcu jeden z porywaczy pociągnął za łańcuch i Bold

zrozumiał, że już wystarczy, poczuł suchość w gardle. Za dwadzieścia monet kupił go niski, drobny Arab. Porywacze wyglądali na zadowolonych. Kiedy schodził z podestu, podali mu ubrania, poklepali po plecach i odeszli. Bold zaczął nakładać swój wytłuszczony płaszcz, lecz jego nowy właściciel powstrzymał go i podał mu czystą, bawełnianą płachtę.

- Owiń się tym, resztę brudów zostaw tutaj.

Bold spojrzał ze zdumieniem na pozostałości swego minionego życia. Teraz były to już tylko brudne szmaty, lecz służyły mu wiernie przez całą długą podróż. Wydobył z nich amulet, a nóż skrzętnie ukrył w rękawie, niestety, nowy właściciel od razu to zauważył i odrzucił ostrze na cuchnącą stertę.

- Chodź! Znam jeden targ w Zanji, gdzie za takiego barbarzyńcę jak ty dostanę trzy razy więcej, niż właśnie wydałem. Pomożesz mi się przygotować do rejsu, rozumiesz? Ty pomożesz mi i będzie ci lżej. Może nawet będę cię dobrze karmił.

- Rozumiem.

- To zrozum dobrze. Nawet nie myśl o ucieczce. Aleksandria to praworządne miasto. Mamelucy jeszcze bardziej rygorystycznie pilnują tutaj porządku niż szaria. Nigdy nie odpuszczają niewolnikom, którzy chcą uciekać. To sieroty przywiezione tu z północnych brzegów Morza Czarnego, to mężczyźni, których rodzice zginęli z rąk takich barbarzyńców jak ty.

Bold zabił w życiu niejednego wojownika Złotej Ordy, więc tylko skinął głową i nic nie odpowiedział. Jego właściciel mówił dalej:

- Wyszkolili ich Arabowie ściśle według wskazań Allaha. Teraz są

kimś więcej niż muzułmanami. - Aż zagwizdał na tę myśl. – Wyszkoleni po to, by rządzić Egiptem, by nie zważać na naciski innych i dochowywać wierności prawu szariatu. Wierz mi, nie chciałbyś wchodzić im w drogę.

Bold znów pokiwał głową.

Przeprawa przez Synaj przypominała mu podróż z karawaną po którejś z pustyń w głębi lądu. Tym razem jednak szedł piechotą w wielkiej chmurze pyłu, razem z innymi niewolnikami, na końcu długiego sznura wielbłądów. Rozpoczynał się hadżdż. Nieprzebrane liczby wielbłądów i ludzi sunęły przez pustynię drogą, która przechodziła w szeroki, gładki pas przesuszonej ziemi, wcinający się pomiędzy skaliste wzgórza. Pomniejsze grupy pielgrzymów zmierzające na północ, odbijały na drogę po ich prawej stronie. Bold nigdy wcześniej nie widział tylu wielbłądów naraz.

Karawanseraje, w których się zatrzymywali po drodze, były podupadłe i zakurzone. Ani na chwilę nie rozluźniono lin, które łączyły Bolda

z resztą niewolników, więc musieli spać razem, skuleni w kręgu na ziemi. Noce były o wiele cieplejsze niż Bold się spodziewał, z ledwością dało się odpocząć od upałów panujących za dnia. Ich nowy pan nazywał się Zeyk. Dobrze ich poił i karmił, rano i wieczorem. Bold stwierdził, że Zeyk traktował ich niemal tak dobrze jak swoje wielbłądy. Był mądrym kupcem, dbającym o jakość swoich towarów. Bold zgadzał się z jego podejściem i robił, co mógł, aby utrzymać złachmaniony wianuszek niewolników w dobrej kondycji. Jeśli wszyscy utrzymywali równe tempo, wtedy marsz był

mniej uciążliwy. Pewnej nocy Bold spojrzał w niebo i ujrzał strzelca, patrzącego mu z góry prosto w oczy. Przypomniały mu się samotne noce w opustoszałej krainie.

Duch Timura,
Ostatni ocalały spośród rybackiej braci.
Puste kamienne świątynie, otwarte ku niebu,
Dni głodu i posłuszna oślica,
Koślawy łuk i strzały,
Czerwony i niebieski ptak na jednej gałęzi.

W końcu dotarli do Morza Czerwonego i weszli na pokład statku -trzy lub cztery razy większego niż łódź, którą Bold dopłynął do Aleksandrii - ludzie nazywali je dawa albo zambuco. Wiatr wiał z zachodu, czasem nawet bardzo mocno. Kiedy opuszczali zachodnie wybrzeże, ich wielki, trójkątny żagiel wybrzuszał się krągło na wschód. Mieli bardzo dobry czas. Zeyk coraz lepiej karmił niewolników, wręcz ich tuczył, żeby później dostać za nich dobrą cenę. Bold z radością wrzucał w siebie dodatkową porcję ryżu i ogórków. Zauważył, że rany na kostkach zaczęły mu się goić. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu nie cierpiał głodu. Czuł, jakby wychodził z mgły, jakby każdego dnia coraz bardziej się rozbudzał. Teraz oczywiście był tylko niewolnikiem, lecz nie na zawsze. Przeczuwał, że wydarzy się coś większego.

Po krótkim postoju w spalonym słońcem porcie Massawa, tradycyjnym miejscu odpoczynku wszystkich hadżich, pożeglowali

na wschód, przecinając wszerz Morze Czerwone, po czym okrążyli niski, czerwieniący się w oddali przylądek, znaczący koniec Arabii, i popłynęli dalej, aż do Aden, wielkiej nadmorskiej oazy. Był to największy port, jaki Bold w życiu widział. Bardzo bogate miasto, porośnięte zielonymi palmami, których liście powiewały nad ceramicznymi dachami. Tu i ówdzie wyrastały drzewa cytrusowe i niezliczone minarety. Zeyk jednak nie nakazał rozładunku towarów ani niewolników. Po jednym dniu spędzonym na lądzie wrócił na pokład, kręcąc głową.

- Do Mombasy - powiedział do kapitana statku i zapłacił mu sowicie, po czym pożeglowali na południe, przez cieśninę, wokół przylądka Hafun i dalej, wzdłuż wybrzeża Zanji. Popłynęli daleko na południe, o wiele dalej niż Bold kiedykolwiek się zapuścił. W południe słońce znajdowało się niemal dokładnie nad ich głowami i prażyło nieznośnie dzień za dniem. Na niebie nie było najmniejszej chmury, a powietrze gotowało się, jakby świat był ogromnym piecem. Wybrzeże przybierało barwę martwego brązu, co jakiś czas stawało się soczyście zielone, i tak na zmianę. Po drodze zatrzymali się w Mogadiszu, Lamu i Malindi, były to świetnie prosperujące arabskie porty handlowe, lecz za każdym razem Zeyk opuszczał pokład tylko na chwilę.

Kiedy wpłynęli do Mombasy, zaiste przewspaniałego portu, natknęli się na flotę gigantycznych okrętów, o wiele większych niż Bold sądził, że da się zbudować. Każda z jednostek była wielkości małego miasta, a przez jej środek biegła linia gigantycznych masztów. W porcie stało dziesięć takich kolosalnych, pełnomorskich

jednostek i ponad dwadzieścia mniejszych okrętów, zakotwiczonych pomiędzy nimi.

- Świetnie się składa - rzekł Zeyk do kapitana i właściciela dawy. - Chińczycy już są na miejscu.

Chińczycy! Bold nawet nie podejrzewał, że Chińczycy mogliby posiadać tak wspaniałą flotę. Choć z drugiej strony, było to całkiem logiczne. Te ich pagody, Wielki Mur - Chińczycy lubią wielkie rzeczy.

Ich flota przypominała archipelag wysp. Wszyscy na pokładzie dawy patrzyli na okręty z trwogą i zmieszaniem, jakby stawali twarzą w twarz z bóstwami, wypływającymi w morze. Ogromne chińskie jednostki dwudziestokrotnie przewyższały największe nawet dawy. Na jednym z chińskich okrętów Bold naliczył aż dziewięć masztów. Zeyk spojrzał na okręt i skinął głową na Bolda.

- Przypatrz się dobrze. Jeśli Bóg pozwoli, wkrótce będzie to twój nowy dom.

Kapitan dawy podpłynął do brzegu na odległość powiewu bryzy. Miejskie nabrzeże było w całości zajęte przez zacumowane lodzie przyjezdnych. Po krótkiej dyskusji z Zeykiem, właściciel dawy zakotwiczył przy plaży, na południe od nabrzeża. Zeyk i jego ludzie podwinęli szaty i przez wolną burtę weszli do wody. Następnie poprowadzili związanych niewolników na ląd. Zielona woda była ciepła jak krew.

Bold zauważył kilku Chińczyków, ubranych w charakterystyczne płaszcze z czerwonego filcu, które nosili pomimo gorącego klimatu. Przechadzali się po targu, brali do rąk eksponowane towary i dobijali targu, poprzez tłumacza, który, jak się okazało był dobrym

znajomym Zeyka. Zeyk podszedł do niego, przywitał się wylewnie i poprosił o możliwość bezpośredniego handlu z chińskimi gośćmi. Tłumacz przedstawił Zeyka Chińczykom, którzy na pierwszy rzut oka wydawali się przyjaźni. Jednak oni uprzejmość mieli w zwyczaju. Bold czuł, że drży - może z gorąca, może z głodu, a może na widok Chińczyków -tyle lat ich nie widział, błąkając się po drugiej stronie świata, a oni, jak widać, trzymają się mocno i nadal robią interesy.

Zeyk i jego pomocnik przeprowadzili niewolników przez targ, mieniący się bogactwem kolorów, dźwięków i zapachów, pełnym ludzi czarnych jak smoła, którym oczy i zęby błyskały bielą na tle ciemnej skóry, kiedy sprzedawali dobra i targowali się z uśmiechem. Bold szedł za resztą i rozglądał się dokoła.

Kopce kolorowych owoców,
Ryż, kawa, suszone ryby i kałamarnice,
Rzędy beli bawełny białej i farbowanej,
W pasy i niebieskie grochy,
Bele chińskiego jedwabiu, stosy mekkańskich dywanów,
Brązowe orzechy, miedziane misy,
Pełne klejnotów
I okrągłych kulek słodko pachnącego opium.
Perły, miedź, krwawnik, żywe srebro.
Sztylety i miecze, turbany, szale, chusty.
Kość słoniowa i róg nosorożca.
Żółte drewno sandałowe i ambra,

Formy odlewnicze, monety srebrne i złote,

Białe i czerwone tkaniny, porcelana.

Targ niewolników zajmował osobną przestrzeń tuż obok głównego placu i urządzony byt na planie kwadratu. Pośrodku znajdował się podest aukcyjny, wyglądem zbliżony do pustego siedziska lamy.

Okoliczni kupcy zgromadzili się po jednej stronie placu w oczekiwaniu na handel. Nie przypominało to prawdziwej aukcji. Najwięcej było Arabów, ubranych najczęściej w niebieskie szaty i czerwone, skórzane buty. Za targowiskiem, naprzeciwko cztero- i pięciopiętrowych budynków, wznosił się meczet i minaret. Panował tu nieopisany zgiełk. Zeyk przyjrzał się uważnie całej scenie, potrząsnął głową i rzeki:

- Poczekamy na prywatną audiencję.

Nakarmił niewolników jęczmiennymi ciastkami i zaprowadził ich do jednego z dużych budynków przy meczecie. Po chwili zjawiło się kilku Chińczyków z tłumaczem i wszyscy razem weszli na wewnętrzny, ocieniony dziedziniec, na którym stała fontanna, obrośnięta szerokolistną roślinnością. Sala otwierająca się na dziedziniec miała na wszystkich ścianach wysokie regały, na których stały przeróżne misy i figurki -wszystko starannie poukładane. Bold rozpoznał wśród tych przedmiotów ceramikę z Samarkandy i miniaturowe, kolorowe figurki z Persji oraz malowane na niebiesko misy z chińskiej porcelany i liście ze złota i z miedzi.

- Robi wrażenie - stwierdził Zeyk.

Przeszli do interesów. Chińscy służący skontrolowali wszystkich

niewolników Zeyka, rozmawiali też z tłumaczem. Zeyk dogadał się w końcu na osobności z jednym z mężczyzn, któremu nieustannie przytakiwał. Bold zauważył, że jego właściciel zalewał się potem, choć w budynku było całkiem chłodno. Bardash i reszta niewolników zostali sprzedani hurtem.

Jeden z Chińczyków przechadzał się wzdłuż szeregu niewolników. Jego wzrok spoczął na Boldzie:

- Jak się tu dostałeś? - zapytał po chińsku. Bold zapowietrzył się, pomachał ręką na zachód i wykrztusił z siebie:

- Byłem handlarzem - jego chiński brzmiał topornie, odzwyczaił się od tego języka. - Porwali mnie ludzie Złotej Ordy. Najpierw zabrali mnie do Anatolii, później do Aleksandrii, aż w końcu wylądowałem tutaj.

Chińczyk pokiwał głową i poszedł dalej. Niedługo potem, chińscy marynarze w spodniach i krótkich podkoszulkach zaprowadzili wszystkich z powrotem na nabrzeże. Zebrało się tam w sumie kilka różnych grup niewolników. Wszystkich rozebrano i spłukano wodą. Dano im nowe koszule z surowej bawełny i zaprowadzono do łodzi, którą dopłynęli do ogromnej burty jednego z gigantycznych dziewięciomasz-towców. Wspinając się po drabinie za czarnym, wychudzonym chłopcem, Bold naliczył czterdzieści jeden stopni w górę wysokiej, drewnianej ściany statku. Zabrano ich pod główny pokład do luku w okolicach rufy.

4

Po posępnych wydarzeniach ukazuje się skrawek Buddy. Chińska flota skarbów blaga Tianfei o ciszę

Okręt był tak wielki, że nie kołysał się na falach. Przypominał pływającą wyspę. Niski luk, w którym trzymano niewolników, miał szerokość pokładu. Poprzez okratowane okienka na obu ścianach wpadało do środka świeże powietrze i mdławe światło. Pod jednym z okienek znajdowała się dziura wystająca poza krawędź burty, służąca za wychodek. Wychudły, młody Murzynek długo patrzył w dół, szacując możliwość ucieczki. Mówił po arabsku lepiej niż Bold, choć dla niego również nie był to język ojczysty. Miał jakiś dziwny, gardłowy akcent, którego Bold nigdy wcześniej nie słyszał.

- Thhhrrraktują nas tu jak ściehhhrrrwo!

Pochodził ze wzgórz na południe od Sahary, opowiadał, patrząc w dół przez dziurę. Wetknął w nią jedną nogę, potem drugą, lecz nie było szans, żeby się przecisnął.

Zachrzęścił zamek w drzwiach, chłopiec wyciągnął obie nogi i odskoczył od wychodka jak spłoszone zwierzę. Do środka weszło trzech mężczyzn, którzy kazali wszystkim ustawić się w rzędzie. To pewnie bosman i jego pomocnicy - pomyślał Bold - przyszli sprawdzić ładunek. Jeden z nich długo i uważnie przyglądał się czarnemu chłopcu, następnie skinął głową w stronę pozostałych, którzy postawili na ziemi dwie drewniane miski ryżu oraz bambusową tubę z wodą, po czym wyszli.

Kolejne dwa dni wyglądały tak samo. Kyu, bo tak miał na imię czarny chłopiec, cały czas gapił się przez dziurę wychodka - może

na wodę, a może na nic konkretnego. Trzeciego dnia wyprowadzono ich na zewnątrz do pomocy przy załadunku. Dzięki linom i bloczkom osadzonym na długich masztach wciągali na pokład wielkie paki, a później opuszczali towary do ładowni pod pokładem. Ludzie uczestniczący w załadunku słuchali rozkazów kierownika warty, którym najczęściej był barczysty Han o twarzy jak księżyc w pełni. Bold dowiedział się, że ładownia okrętu poprzedzielana jest ścianami na dziewięć osobnych komór, z których każda była kilka razy większa niż największa dawa żeglująca po Morzu Czerwonym. Niewolnicy, którzy pływali już na tych okrętach, mówili, że owa specyficzna konstrukcja czyni te ogromne statki niezatapialnymi. Jeśli jedno z pomieszczeń przeciekalo, można było je opróżnić i naprawić, lub nawet całkowicie zalać, gdyż pozostałe przestrzenie z łatwością unosiły cały statek na powierzchni. To tak, jakby pływać na dziewięciu powiązanych ze sobą dawach.

Pewnego ranka pokład nad ich głowami zadrżał od stukotu marynarskich stóp. Poczuli, jak dwie kamienne kotwice podnoszą się i jak setki rąk wciągają na maszty i rozwieszają na poprzecznicach wielkie żagle - po jednym na każdy maszt. Statek pochylił się lekko na jedną stronę i rozpoczął miękką i czujną kołysankę na falach.

To było prawdziwe pływające miasto. Setki ludzi przenosiły worki, kufry i skrzynie z jednego luku do drugiego. Bold naliczył pięćset różnych osób, a z pewnością było ich jeszcze więcej. To niesamowite, że na pokładzie jednego statku mogło przebywać takie mnóstwo ludzi. Niewolnicy zgodnie stwierdzili, że wszystko

dookoła urządzone było w prawdziwie chińskim stylu. Tym ludziom nigdy nie przeszkadzał tłok. Był dla nich czymś całkowicie naturalnym i tak samo panował tu na statku, jak i w każdym innym chińskim mieście.

Admirałem ich okrętu był Zheng He, imponujących rozmiarów człowiek o płaskiej twarzy, pochodzący z zachodnich Chin. Prawdziwy Hui, jak nazywali go niektórzy niewolnicy. Kiedy przebywał na mostku, zawsze otaczał go tłum osobistych oficerów, dygnitarzy, kapłanów i innych doradców od dziedzin wszelakich. Pod pokładem najwięcej było czarnych, mieszkańców Zanji i Malajów - ci byli od najcięższej pracy.

Tamtej nocy do luku niewolników weszło czterech mężczyzn. Wśród nich był Hua Man, wiceadmirał Zhenga. Przyszli po Kyu. Hua uderzył chłopca w głowę krótką pałką, pozostali trzej zdarli z niego ubranie, rozchylili mu nogi, obwiązali bandażami uda i talię i podnieśli go półprzytomnego nad ziemię. Hua dobył z rękawa mały, zakrzywiony nóż, chwycił penis chłopaka, pociągnął go energicznie do siebie i jednym wprawnym cięciem, odciął tuż przy ciele razem z moszną. Chłopak wrzasnął przeraźliwie, kiedy Hua zaciskał rzemieniem krwawiącą ranę, następnie pochylił się i wprowadził do środka podłużną, metalową za-tyczkę. Docisnął rzemień i lekko poluzował. Podszedł do wychodka i wyrzucił do morza chłopięce genitalia. Od jednego z asystentów wziął nasączony czymś pasek papieru i przyłożył go do świeżo zadanej rany, podczas gdy pozostali trzej starannie ją bandażowali. Kiedy skończyli, dwóch ujęło chłopca pod ramiona i wyprowadziło z luku. Wrócili z nim po

jednej pełnej zmianie warty i dopiero wtedy pozwolili mu się położyć. Najwidoczniej kazali mu przez cały ten czas chodzić.

- Nie dawajcie mu nic do picia! - rzekł Hua do pozostałych niewolników. - Jeśli przez następne trzy dni coś zje lub wypije, umrze.

Chłopiec jęczał przez całą noc. Niewolnicy instynktownie odsuwali się od niego pod przeciwległą ścianę, byli nadal zbyt przerażeni, aby móc o tym rozmawiać. Bold, który w swoim życiu wykastrował niejednego konia, podszedł do Kyu i usiadł przy nim. Chłopak miał dziesięć, może dwanaście lat, i było w jego twarzy coś, co przyciągało Bolda. Zdecydował się przy nim czuwać. Przez trzy dni chłopak błagał o wodę, Bold nie dal mu ani kropli.

Nocą trzeciego dnia znów pojawili się eunuchowie.

- No to teraz sprawdzimy, czy umrze, czy też będzie żył - powiedział Hua. Podnieśli chłopca i zdjęli mu bandaże, a Hua zwinnym ruchem usunął z rany zatyczkę. Chłopiec zaskowyczał, kiedy wytrysnął z niego silny strumień uryny, który wpadł do porcelanowej misy, podtrzymywanej u dołu przez innego eunucha.

- Jest dobrze - powiedział Hua do reszty milczących niewolników -dbajcie o jego higienę i przypomnijcie mu, że jeśli chce sobie ulżyć, musi usunąć zatyczkę, a potem wkładać ją z powrotem, dopóki rana całkowicie się nie zagoi.

Eunuchowie wyszli i zamknęli za sobą drzwi. Niewolnicy z Abisynii zwrócili się do chłopca:

- Jeśli będziesz dbał o czystość, to się szybko zagoi, uryna też oczyszcza, więc wszystko będzie w porządku, to znaczy... jeśli na przykład zmoczysz się, idąc.

- Jakie szczęście, że nam tego nie zrobili.

- A kto powiedział, że jeszcze nie zrobią?

- Nie robią tego dorosłym mężczyznom. Zbyt wielu od tego umiera. Tylko chłopcy mogą przeżyć taką stratę.

Następnego ranka Bold zaprowadził chłopca do wychodka i pomógł mu zdjąć bandaże, aby tamten mógł wyciągnąć zatyczkę i wysikać się. Następnie Bold umieścił zatyczkę z powrotem na miejscu i pokazał Kyu, jak i gdzie należy ją wkładać. Starał się być delikatny, mimo to chłopiec kwilił i jęczał na zmianę.

- Musisz nosić ją cały czas w środku, w przeciwnym razie przewód zasklepi się i umrzesz.

Chłopiec leżał na swojej bawełnianej koszuli i gorączkował. Wszyscy starali się nie patrzeć na jego okropną ranę, lecz nie sposób było jej co jakiś czas nie zauważyć.

- Dlaczego oni to robią? - powiedział ktoś po arabsku, kiedy chłopiec spał.

- Sami są eunuchami - odpowiedział któryś z Abisyńczyków - Hua jest eunuchem, nawet admirał jest eunuchem.

- I co, myślisz, że im się wydaje, że to oni wiedzą najlepiej?

- Oni wiedzą za dużo i właśnie dlatego to robią. Nienawidzą nas wszystkich. Dyrygują chińskim cesarzem i nienawidzą wszystkich oprócz siebie. Zobaczycie, jak to się skończy - mówił, machając rękami we wszystkie strony - wykastrują nas wszystkich. Jesteśmy zgubieni.

- Wy, chrześcijanie, lubicie tak mówić, ale jak na razie sprawdziło się to tylko w waszym przypadku.

- Bóg zabrał nas wcześniej do siebie, żeby skrócić nasze cierpienie. Nie martw się, na ciebie też przyjdzie kolej.

- Ja nie boję się Boga, tylko admirała Zheng He, eunucha Trzech Klejnotów. Zheng przyjaźnił się z cesarzem od dzieciństwa. Kiedy obaj mieli trzynaście lat, cesarz rozkazał go wykastrować. Dasz wiarę? Teraz już się tak utarło, że eunuchowie rzezają wszystkich chłopców, którzy wpadną w ich niewolę.

Przez następne dni Kyu miał coraz wyższą gorączkę i bardzo rzadko był przytomny. Bold siedział przy nim, wtykał mu do ust wilgotne szmatki i recytował w myślach sutry. Swojego własnego syna, który był wtedy w wieku Kyu, ostatni raz widział jakieś trzydzieści lat temu. Usta chłopca były szare i wyschnięte, jego ciemna skóra przybrała mętny odcień, była sucha i gorąca. Bold jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś przeżył taką gorączkę, i stwierdził w myślach, że dalsza troska jest już tylko stratą czasu. Lepiej pozwolić odejść tej pozbawionej płci istocie. Mimo wszystko nadal podawał mu wodę. Pamiętał, jak chłopak rozglądał się po okręcie, kiedy razem byli na załadunku, jego spojrzenie było takie intensywne i poszukujące. Teraz wyglądał jeszcze biedniej niż ciało afrykańskiej dziewczynki, która rozchorowała się śmiertelnie od infekcji łona.

Gorączka jednak minęła, a Kyu odzyskiwał apetyt, lecz kiedy całkowicie stanął na nogach, nie był już tak rozmowny jak dawniej, zmieniło się też jego spojrzenie. Teraz wpatrywał się w ludzi jak ptak, który nie do końca wierzy w to, co widzi. Bold już wiedział, że chłopiec opuścił swoje ciało, przeszedł bardo i powrócił jako inny

człowiek, o całkowicie odmiennej naturze. Tamten czarny chłopiec już nie żył, ten zaś rozpoczynał właśnie swoją wędrówkę.

- Jak masz na imię? - zapytał Bold.

- Kyu - odpowiedział chłopiec bez widocznego zaskoczenia, jakby nie pamiętał, że już się raz Boldowi przedstawiał.

- Witaj w nowym życiu, Kyu.

Żegluga po otwartym oceanie była dla Bolda całkowicie nowym i zadziwiającym sposobem podróżowania. Niebo płynęło nad ich głowami, a oni jakby stali w miejscu. Bold próbował obliczyć dystans, jaki dziennie pokonywała flota, i zastanawiał się, czy na dłuższą metę ten rodzaj transportu byłby szybszy od koni, nie potrafił jednak dojść do jednoznacznego wniosku. Mógł jedynie wypatrywać pogody i czekać.

Dwadzieścia trzy dni później flota zawinęła do Kalikatu, największego portu na wschodnim Zanji, niemal tak dużego, jak port w Aleksandrii.

Pękate wieże z piaskowca,
Wysokie fortece obrośnięte listowiem,
Pną się ku słońcu i stykają z niebem.
Poniżej drewniane domy, wtulone w zieleń
I bruk ulic w centralnych dzielnicach miasta,
Które ciągnie się w obie strony wybrzeża,
I wcina wysoko pomiędzy wzgórza w oddali.
Jak okiem sięgnąć wielkie miasto.
Aż po strome ściany gór na horyzoncie.

Chociaż miasto rzeczywiście było ogromne, cały ruch zatrzymał się, kiedy do portu zawinęła chińska flota. Bold, Kyu i Etiopczycy patrzyli przez kraty na rozkrzyczane tłumy, na tych wszystkich kolorowo ubranych ludzi, machających bojaźliwie w ich stronę.

- Chińczycy kiedyś w końcu podbiją świat.

- A wtedy Mongołowie podbiją Chiny - dokończył Bold.

Patrzył na Kyu, który obserwował kotłujący się na brzegu tłum. Jego twarz miała wyraz preta - niepochowanego po śmierci. Takie samo spojrzenie miały demoniczne maski na starych malowidłach Bon, spojrzenie anioła śmierci. Bold widział jeszcze ten wzrok u swojego ojca, który potrafił w wielkim gniewie spojrzeć w głąb duszy człowieka, zabrać to, po co przyszedł, i udaremnić wszelki opór. Widząc ten wyraz twarzy u małego chłopca, Bold poczuł przeszywający dreszcz.

Znów wysłano ich do pracy przy rozładunku. Jedne towary przenosili z pokładu na łodzie, inne z łodzi do ładowni. Nie sprzedano tu jednak ani jednego niewolnika i tylko raz zabrano wszystkich na ląd do pomocy przy sortowaniu i transporcie ogromnego stosu bel tkanin. Musieli nosić je do długich czółen, którymi towar transportowano na pokład floty.

W trakcie tych prac Zheng He popłynął na ląd swoją łodzią malowaną w złote wzory, okutą szlachetnymi metalami i wysadzaną klejnotami i porcelanową mozaiką. Na dziobie jaśniał złoty galion. Zheng wstąpił na trap, miał na sobie złotą szatę, haftowaną błękitnymi i czerwonymi nićmi. Jego ludzie rozwinęli przed nim

dywan, lecz on zboczył z niego, aby z bliska przyjrzeć się załadunkowi. Był to potężny mężczyzna, wysoki, barczysty i dumny niczym jego własny okręt na głębokim zanurzeniu. Nie był to Han, ale... eunuch. Wszystko, co mówili o nim Abisyńczycy, okazało się prawdą. Bold zerkał kątem oka na Zhenga i zauważył, że Kyu odstawił swoją belę materiału i w całkowitym bezruchu wpatrywał się w admirała. Zapomniał o pracy, mierzył Zhenga wzrokiem jastrzębia patrzącego na mysz. Bold szarpnął Kyu za ramię i pchnął go z powrotem do pracy.

- Chodź, Kyu, pamiętaj, że jesteśmy skuci tym samym łańcuchem, ruszaj się albo cię ogłuszę i będę ciągnął po ziemi. Nie chcę mieć przez ciebie żadnych kłopotów. Zapytaj Tary, co się dzieje z niewolnikami, którzy zadzierają z takimi jak Zheng.

Z Kalikatu pożeglowali na południe, do Sri Lanki. Niewolnicy zostali na pokładzie, a na ląd zeszli żołnierze, którzy nie wracali przez kilka następnych dni. Sądząc po zachowaniu pozostałych oficerów, Bold stwierdził, że tamci musieli wyprawić się na kampanię. Zaczął uważnie obserwować pozostałych wojskowych, którzy z każdym kolejnym dniem stawali się bardziej niespokojni. Bold wolał się nie zastanawiać, co by było, gdyby Zheng He nie wrócił. Mimo wszystko pewnie nie odpłynęliby od razu. Bombardierzy uwijali się jak w ukropie, przygotowując swój wybuchowy arsenał, kiedy admiralska łódź i towarzyszące jej inne łodzie wyłoniły się z wewnętrznego portu Sri Lanki i sunęły pośpiesznie w ich stronę. W mgnieniu oka byli na pokładzie i wznosili triumfalne okrzyki. Nie tylko udało się im wyjść cało z

zasadzki przygotowanej na nich w głębi lądu, lecz również pojmać zdradzieckiego i samozwańczego władcę, który zasadzkę tę kazał zorganizować. Przy okazji uwięzili również prawowitego władcę - cała historia była dość niejasna, gdyż nie wiadomo było, który z nich jest który i dlaczego Chińczycy poczuwali się w mocy, aby razem

z samozwańcem uprowadzić prawowitego władcę. Najbardziej zdumiewające było to, jak powiadano, że prawowity władca od dawna znajdował się w posiadaniu najświętszej relikwii tej wyspy, zęba Buddy, zwanego Dalada. Zheng uniósł mały, złoty relikwiarz, aby wszyscy na pokładzie mogli zobaczyć cenne trofeum. Niewątpliwie był to ludzki kieł. Cała załoga, pasażerowie, niewolnicy i wszyscy inni spontanicznie, głośno i długo wyrażali uznanie, wydając z siebie rozdzierające okrzyki.

- Niezły dar od losu - powiedział Bold do Kyu, kiedy uciążliwy zgiełk nieco przycichł. W głębi duszy Bold uważał tę relikwię za zbyt hojny dar, aby na jego widok się nie zlęknąć. Złożył dłonie i zaintonował sutrę Zstąpienie na Lankę. Niewątpliwie ten sam lęk wyrażał się w większości okrzyków załogi. Budda pobłogosławił niegdyś Sri Lankę, tę niezwykłą ziemię, na której rosto drzewo Bohdi, a jego skrystalizowane łzy nadal toczyły się po zboczach świętej góry, wznoszącej się w centralnej części kraju. Na owej górze Adam zostawił niegdyś odcisk swej stopy. To oczywiste, że nie powinno się zabierać Dalady z jej pierwotnego miejsca, zwłaszcza z kraju błogosławionego, jakim jest Sri Lanka. Bez wątpienia czyn ten był wielce zuchwały.

Kiedy okręt popłynął dalej na wschód, opowieść o wydarzeniu okrążyła cały statek. Mówiono, że Dalada jest jak pieczęć potwierdzająca prawo króla do sprawowania władzy i że relikwia powróci na Sri Lankę, kiedy cesarz Yongle ureguluje wszystkie kwestie prawne tego przypadku. Niewolników uspokoiła ta wiadomość.

- Zatem to cesarz Chin zdecyduje, kto będzie rządził wyspą - powiedział Kyu. Bold skinął giową. Cesarz Yongle sam doszedł do władzy w wyniku brutalnego przewrotu. Bold nie do końca wiedział, który z lankijskich pretendentów do tronu mógłby być jego sprzymierzeńcem. Fakt pozostawał faktem, Dalada był z nimi na pokładzie.

- To bardzo dobrze - powiedział do Kyu po długim namyśle - nic złego nie może nam się stać podczas tego rejsu.

I tak też było. Ciemne nawałnice zmierzające prosto na nich niezauważenie wyparowywały tuż przed uderzeniem. Wielkie fale kołysały horyzontami, potężne, smocze ogony biły morską pianę, a oni pośrodku żeglowali po spokojnym morzu, w otulającej ich zewsząd ciszy. Przepłynęli cieśninę Malakka i bez większych przeszkód minęli Palembang. Będąc już bardziej na północy, nie padli ofiarami piratów ani japońskich wakou. Z drugiej strony, jak zauważył Kyu, żaden pirat o zdrowych zmysłach nie ośmieliłby się narażać tak potężnej flocie, bez względu na to, czy byłaby ona w posiadaniu zęba Buddy, czy nie.

W końcu wpłynęli na wody Morza Poludniowochińskiego. Ktoś powiedział, że tamtej nocy widział Daladę, jak unosił się na wodzie,

tuż obok okrętu. Podobno wyglądał jak mały płomień świecy.

- Ale czy ten ktoś upewnił się, że to na pewno nie był płomień świecy? - zapytał Kyu.

Następnego ranka słońce wstało na czerwono. Od wschodu na horyzoncie kłębiły się czarne chmury. Widok ten przypomniał Boldowi burzę, która zabiła Timura.

Zacinał rzęsisty deszcz, a porywisty wiatr spienił powierzchnię oceanu i dął na przestrzał ciemnego luku. Bold pomyślał, że burza jest o wiele groźniejsza na morzu niż na lądzie. Pokładowy astrolog wrzeszczał coś o wielkim smoku żyjącym pod wodami morza, przez które płynęli. Podobno rozgniewał się i wielkim ogonem burzył wodę wokół nich. Bold dołączył do innych niewolników, którzy przywarli do wąskich, okratowanych okienek, i razem z nimi wypatrywał łusek, pazura czy smoczego pyska. Niestety, piana unosząca się ponad powierzchnią białej wody znacznie ograniczała widoczność. Przez chwilę Bold miał wrażenie, że dojrzał skrawek zielonego ogona znikający w białej kipieli.

Wicher gwiżdże wśród dziewięciu nagich masztów,
Wielki okręt rozhuśtany przez wiatr.
W jedną stronę, w drugą stronę, jak boja,
Mniejsze statki wśród okrętów, jak korkowe spławiki.
W okratowanym okienku widok pojawia się i znika.
Woda wdziera się pod pokład.
W taką burzę, nic innego tylko trzymać się mocno!
Bold i Kyu przywarli do ściany.

Poprzez świst wiatru słuchają oficerskich okrzyków,
Dudnienia stóp po pokładzie,
To marynarze ratują żagle,
Wiążą rumple we właściwej pozycji.
Słyszą lęk w głosie bosmana
I czują go w swoich kolanach.

Na górnym pokładzie rufowym zebrali się oficerowie i astrologowie, którzy odprawili ceremonię obłaskawienia. Słychać było, jak sam Zheng He woła do Tianfei, chińskiej bogini pomyślności na morzu.

- Niechaj smoki ciemnych wód zejdą w morskie głębiny, niech opuszczą nas i nie sprowadzają na nas klęski! Uniżenie, nabożnie i z szacunkiem ofiarujemy ten oto dzban wina, ofiarujemy raz i jeszcze raz, wylewamy to wspaniałe, wonne wino! Aby nasze żagle wypełniły się pomyślnym wiatrem, aby rejs nasz był spokojny. Niech wszystkosłyszące i wszystkowidzące waleczne duchy wiatrów i duchy pór roku, poskramiacze fal i pożeracze grzmotów, podniebni nieśmiertelni, Bóg roku i opiekunka naszego okrętu, Niebiańska Pocieszycielka, wspaniała, boska, cudowna, słuchająca, tajemnicza Tianfei, ocalą nas!

Patrząc do góry, przez przeciekające pęknięcia w deskach pokładu, Bold dostrzegł całe gromady marynarzy, którzy przyglądali się ceremonii, usiłując przekrzyczeć huk wiatru. Strażnik niewolników zawołał do nich.

- Módlcie się do Tianfei, módlcie się do Niebiańskiej

Pocieszycielki, jedynej nadziei marynarza! Módlcie się o jej wstawiennictwo! Wszyscy! Jeśli nadal będzie tak wiało, to rozerwie okręt na strzępy.

- Ocal nas, Tianfei - mantrował Bold, ściskając mocno ramię Kyu, aby robił to samo, co on. Chłopak jednak nie odezwał się. Wskazał ręką na przedni maszt, który z trudem dostrzegali przez okienne kraty. Bold przyjrzał się uważnie i zobaczył coś na kształt czerwonych smug światła tańczących między masztami niczym gorejące kule, czy chińskie lampiony nieoklejone papierem, niczym ogień buchający w przestrzeń ze szczytów masztów, oświetlający spadające krople deszczu, a nawet spody czarnych chmur, które rozpruwały się ponad nimi. Nieziemskie wręcz piękno tej sceny zepchnęło w cień wszelki lęk. Bold i wszyscy inni znaleźli się poza zasięgiem strachu. Widok był tak niezwykły i porażający, że nikt na pokładzie nie przejmował się już ani życiem, ani śmiercią. Wszyscy krzyczeli i modlili się, ile sił w płucach. Z tańczących czerwonych płomieni wyłoniła się Tianfei. Jej postać jaśniała ponad nimi, a wiatr ucichł. Morze dokoła uspokoiło się. Tianfei rozbłysnęła czerwienią, po czym rozmyta się w powietrzu. Dziękczynne wołania załogi brzmiały głośniej od szumu fal. Spienione bałwany przewalały się i kotłowały, jednak już w bezpiecznej odległości od nich, w połowie drogi do horyzontu.

- Tianfei! - wykrzyknął Bold razem z innymi - Tianfei!

Zheng He stal przy balustradzie, na szerokim pokładzie rufowym i wznosił dłonie do nieba, łapiąc w nie deszcz.

- Tianfei! Tianfei! - krzyczał - ocaliła nas!

Wszyscy na pokładzie wtórowali mu. Wypełniała ich radość, tak jak przed chwilą powietrze wypełniło się czerwonym światłem bogini. Jakiś czas później znów mocno wiało, lecz wtedy już nikt się nie lękał.

5

W restauracji w Hangzhou Bold i Kyu łączą się ze swą jati. W jednej chwili kończy się czas wielomiesięcznej harmonii

Wymęczona przez sztorm, ocalona przez Tianfei, chińska flota skarbów wpłynęła do szerokiego estuarium. Na brzegu, za wysokim wałem widać było dachy wielkiego miasta. Już jego część, widoczna z pokładu okrętu, była większa od wszystkich miast, jakie Bold w życiu oglądał. Gdyby zebrać razem wszystkie bazary środkowej Azji, wszystkie indyjskie miasta, które Timur starł z powierzchni ziemi, wszystkie miasta widma Frengistanu, białe plaże Zanji i Kalikatu, to może zajęłyby ćwierć, a może jedną trzecią powierzchni tej ziemi pokrytej szerokim dywanem dachów, stepem dachów, ciągnącym się aż po linię wzgórz na zachodzie.

Milczący niewolnicy stali na śródokręciu, pośród radujących się Chińczyków, którzy wołali:

- Tianfei, Niebiańska Pocieszycielko, dziękujemy ci!

A inni dodawali:

- Dornie mój rodzinny, Hangzhou! Myślałem, że już nigdy cię nie ujrzę! Dornie mój, żono moja, uczto noworoczna! Jesteśmy najszczęśliwszymi ludźmi na świecie, bo odbyliśmy podróż na drugą stronę świata i udało nam się bezpiecznie wrócić! - Ich

okrzykom nie było końca.

Wielkie, kamienne kotwice zarzucono w miejscu, gdzie rzeka Chien-tang wpływała do estuarium. Tam silne prądy odpływu mogły znieść na mieliznę albo wypchnąć daleko w morze każdy słabo zakotwiczony statek. Rozpoczął się rozładunek. Była to ogromna operacja. Kiedy podczas zmiany warty Bold jadł swoją porcję ryżu, stojąc pod wyciągiem z miską w dłoni, zauważył, że na brzegu nie było ani koni, ani wielbłądów, ani bawołów, ani nawet osłów czy mułów, które mogłyby pomóc nie tylko przy rozładunku, ale i przy innych robotach trwających w mieście. Zamiast zwierząt pracowali ludzie, tysiące ludzi poustawianych w niekończące się kolejki, podających sobie żywność i towary z rąk do rąk. Inni, głównie kanałem, odprowadzali śmieci i nieczystości, w tę i z powrotem, jak gdyby miasto było wielkim cesarskim organizmem, karmionym i wypróżnianym przez wszystkich poddanych jednocześnie.

Praca przy rozładunku ciągnęła się przez wiele dni. Bold i Kyu mieli okazję obejrzeć część portu Kanpu i Hangzhou, kiedy obsługiwali barki na trasie do carskich magazynów, położonych pod wielkim kompleksem, na południowym wzgórzu, gdzie setki lat temu mieściła się cesarska posiadłość. Teraz w dawnych zabudowaniach pałacowych żyli pomniejsi arystokraci, wyżsi rangą urzędnicy i eunuchowie. Po północnej stronie wzgórza ciągnęły się mury starego miasta. Był to rozległy labirynt gęsto stłoczonych, drewnianych budynków, pięcio-, sześcio-, a nawet siedmiopiętrowych. Stare domy pochylały się nad kanałami, pościel wisiała na balkonach i schła w słońcu, z niektórych dachów wy-

rastała zielona trawa.

Rozładowując barki, Bold i Kyu wyglądali z kanałów i gapili się na to wszystko jak oniemiali. Kyu patrzył swoim ptasim wzrokiem, jakby nic go nie dziwiło i nic nie robiło na nim wrażenia, jakby zupełnie niczego się nie bał.

- Dużo ich - stwierdził lapidarnie.

Cały czas pytał Bolda o chińskie nazwy różnych rzeczy, a ten, usiłując odpowiedzieć na wszystkie pytania, sam przyswoił sobie wiele nowych słów.

Kiedy zakończono rozładunek, zgromadzono wszystkich niewolników z okrętu i zabrano ich na Wzgórze Feniksa - wzgórze obcokrajowców - i sprzedano lokalnemu kupcowi o imieniu Shen. Nie było tu targu niewolników, żadnych aukcji i wybrzydzania. Nigdy się nie dowiedzieli, ile za nich zapłacono ani kto tak naprawdę był ich właścicielem podczas morskiego rejsu. Możliwe, iż był to sam Zheng He.

Skutych łańcuchami Bolda i Kyu zaprowadzono wąskimi, zatłoczonymi uliczkami do budynku położonego na brzegu jeziora, stanowiącego zachodnią granicę miasta. Na pierwszym piętrze mieściła się restauracja. Był czternasty dzień pierwszego księżyca w roku, jak powiedział im Shen, początek Święta Lampionów, więc będą musieli szybko przyuczyć się do nowego zawodu, bo w restauracji roiło się od klientów.

Przy restauracyjnych stolikach

Na promenadzie nad brzegiem jeziora

Wszystkie miejsca zajęte przez okrągły dzień.
Tafla jeziora usiana łodziami,
Na każdej lampiony świetliste,
Kolorowe szkło malowane
Biały jadeit rzeźbiony.
Wiatraki furkocą w gorącym powiewie od świec.
Papierowe lampiony spalają się nagłym blaskiem.
Tłumy ludzi przyszły z nimi na szeroką groblę,
Drugi brzeg też zatłoczony,
Więc pod wieczór
Całe jezioro i miasto spowijał uroczysty blask.
Piękno takich chwil zaskakuje znienacka.

Najstarsza żona Shena, I-Li, rządziła w kuchni żelazną ręką. Bolda i Kyu od razu wysłano do przenoszenia ogromnych worków ryżu z barek zacumowanych w kanale z tyłu restauracji do środka. Później wynosili wory z odpadkami z powrotem na inne barki, sprzątali ze stołów, szorowali i zamiatali podłogi. Biegali tam i z powrotem, a nawet czasem na górę, do części mieszkalnej, znajdującej się nad restauracją. Ruch był nieustający. Cały czas otaczały ich zatrudnione w restauracji kobiety ubrane w białe szaty, z papierowymi motylami we włosach oraz setki innych kobiet, przechadzających się pod różnokolorowymi parasolkami. Od wszystkich tych widoków, zapachów i napojów, które wypijali z pozostawianych na stołach czarek, kręciło się im w głowach. Pili poncz z liczi i imbiru, miód, sok z papai i brzoskwiń, zieloną i czarną

herbatę. Shen serwował piętnaście rodzajów wina ryżowego - spróbowali resztek każdego z nich. Pili wszystko oprócz wody, o której powiedziano im, że może być niebezpieczna dla zdrowia.

Jeśli chodzi o jedzenie, to najczęściej trafiało do nich w postaci resztek ze stołów. To, co dostawali oficjalnie, było godne pożałowania. Codziennie rano otrzymywali talerz ryżu i nerki bądź jakieś inne odpadki podrobowe. Musieli radzić sobie sami i żywić się resztkami pozostawianymi przez klientów. Bold zjadał wszystko, co mu wpadało w ręce, i był niezwykle zdumiony różnorodnością tego jadła. Święto Lampionów stanowiło dla Shena i I-Li okazję do pochwalenia się ich pełnym menu. Bold zyskiwał sposobność do spróbowania mięsa sarny, jelenia, królika, kuropatwy, przepiórki, małży gotowanych w ryżowym winie, gęsi w morelach, zupy z nasion kwiatu lotosu, zupy z drzewa pimentowego z omułkami, ryb gotowanych w śliwkach, klusek nadziewanych mięsem, sufletów, ciast i ciastek z mąki kukurydzianej i z owocami - w sumie wszystkiego oprócz wołowiny. Chińczycy nie hodowali bydła, mieli za to osiemnaście gatunków soi, jak mówił Shen, dziewięć ryżu, jedenaście odmian moreli i osiem gatunków brzoskwiń. Każdego dnia w restauracji odbywała się prawdziwa uczta.

Kiedy Święto Lampionów dobiegło końca i ruch nieco zelżał, I-Li zaczęła robić sobie krótkie przerwy w pracy w kuchni i odwiedzała inne restauracje w mieście, aby wybadać, czy podawano w nich coś nowego. Po każdej takiej wycieczce zawiadamiała Shena i kucharzy o konieczności przyrządzenia na przykład słodkiej zupy sojowej, jak ta, którą widziała na Targu Różności, albo wieprza

pieczonego w popiele, podawanego w Pałacu Długowieczności i Współczucia.

Później zaczęła zabierać z sobą Bolda na poranne wyprawy do rzeźni, mieszczącej się w samym sercu starego miasta. Kupowała wieprzowe żeberka, wątrobę oraz nerki dla niewolników. Dopiero po wizycie w rzeźni Bold dowiedział się, dlaczego nie wolno było pić miejskiej wody. Krew i odpadki z ubojni zmywano wprost do szerokiego kanału, który wpadał do rzeki. Często zdarzało się, że przypływ cofał wodę prosto do sieci kanałów miejskich.

Pewnego dnia, wracając za I-Li z taczką wypełnioną wieprzowiną, Bold zatrzymał się, aby ustąpić z drogi dziewięciu pijanym kobietom ubranym w białe stroje. Poczuł, jakby przez chwilę znalazł się w innym świecie. Po powrocie do restauracji powiedział do Kyu:

- Odrodziliśmy się na nowo i nawet tego nie zauważyliśmy.

- A może ty się dopiero co urodziłeś, bo wyglądasz tutaj jak dziecko.

- Obaj się odrodziliśmy, rozejrzyj się! To jest... - nie potrafił tego wyrazić.

- Są bogaci, ot co - powiedział Kyu i wrócili do pracy.

Czy trwało święto, czy nie, promenada nad brzegiem jeziora nigdy nie wyglądała zwyczajnie, a świętowano tu coś każdego miesiąca. Brzeg jeziora był dla mieszkańców Hangzhou głównym miejscem spotkań. Każdego tygodnia pomiędzy bardziej oficjalnymi uroczystościami odbywały się tam prywatne przyjęcia. Przez cały dzień na promenadzie trwała parada większej bądź mniejszej próżności, było więc dużo pracy przy zaopatrzeniu i prowadzeniu

restauracji, lecz jednocześnie oznaczało to ogromne ilości jedzenia i picia, które można było podkradać czy nawet rabować z kuchni - Bold i Kyu byli ciągle nienasyceni.

Wkrótce przywykli do wszystkiego i żyli, jakby nigdy wcześniej nie wiedli innego życia. Jakiś czas przed wschodem rozbrzmiewał dźwięk pałeczek uderzających w deseczki, po czym odzywał się miejski synoptyk i obwieszczał wyniki swoich obserwacji z wieży przeciwpożarowej.

- Pada! Niebo zachmurzone!

Bold, Kyu i około dwudziestu innych niewolników wstawało i opuszczało zamykane na noc pomieszczenie. Większość z nich szła w stronę kanału zaopatrzeniowego, biegnącego tędy z centrum miasta. Tam czekały już na nich barki z ryżem. Załogi barek musiały wstawać jeszcze wcześniej, mieli nocną pracę i zaczynali około północy wiele, wiele li stąd, teraz dźwigali pękate worki z ryżem i ładowali je na taczki, a inni niewolnicy odwozili je wąskimi alejkami do restauracji Shena.

Zamiatają podłogę,
Rozpalają w piecach, zastawiają stoły,
Myją misy, pałeczki, krają warzywa, gotują,
Znoszą jadło do łodzi Shena.
A kiedy wstaje dzień i schodzą się ludzie,
Na śniadanie nad brzegiem jeziora,
Oni pomagają kucharzom, przyjmują zamówienia,
Sprzątają ze stołów - robią wszystko, co trzeba,

Zatopieni w medytacji nad pracą swych rąk.

Z racji tego, że byli świeżymi niewolnikami, najcięższa praca przypadała właśnie im, lecz w restauracji nawet najcięższa praca nie była szczególnie wymagająca. Mieli stały dostęp do pożywienia i pewnie dlatego Bold uznawał ich aktualną sytuację za wynik nad wyraz pomyślnego splotu wydarzeń. Nareszcie mogli przybrać trochę na wadze, przyswoić sobie lokalny dialekt i zwyczaje Chińczyków. Kyu nie dawał po sobie poznać, że zwraca uwagę na takie rzeczy. Udawał, że nie rozumie, kiedy mówiono do niego po chińsku. Bold jednak widział, jak chłopak chłonął wszystko dookoła - spoglądał ukradkiem, jakby w ogóle nie patrzył, a jednocześnie widział wszystko. Taki był Kyu, znał już język chiński o wiele lepiej niż Bold.

Ósmego dnia czwartego księżyca odbywało się kolejne duże święto, poświęcone bóstwu opiekuńczemu miejskich rzemieślników. Szeroka cesarska droga przecinająca stare miasto z północy na południe wypełniła się hucznymi paradami, urządzanymi przez członków wszystkich gildii. Później zabawa przenosiła się nad Jezioro Zachodnie, gdzie można było wziąć udział w wyścigu smoczych łodzi bądź rozerwać się na wiele innych sposobów, jakie zwykle oferowało nabrzeże. Każda gildia miała swoje własne kostiumy, maski, parasolki, chorągiewki lub bukieciki, którymi wymachiwali, idąc razem, ustawieni w kwadraty, i wykrzykując:

- Dziesięć tysięcy lat! Dziesięć tysięcy lat!

Robili tak, odkąd w Hangzhou mieszkali cesarzowie, którzy przyj-

mowali z radością te pełne nadziei życzenia długowieczności. Wygodnie ułożeni na brzegu jeziora, uważnie śledzili korowodowy taniec stu młodych eunuchów - tradycyjny obrządek ściśle związany z tym świętem. Kyu jak zahipnotyzowany przyglądał się roztańczonym dzieciom.

Później tego samego dnia Bold i Kyu zostali przydzieleni do jednej z lodzi wypoczynkowych Shena, stanowiących przedłużenie jego restauracji.

- Dla naszych pasażerów przygotowaliśmy dziś wspaniałą ucztę!

- wołał Shen, kiedy przybyli na miejsce i zaczęli wchodzić na pokład

- będziemy serwować Osiem Przysmaków: smocze wątróbki, szpik Feniksa, łapy niedźwiedzia, małpie usta, nienarodzone króliki, ogon karpia, opiekanego rybolowa a do tego kumis.

Bold uśmiechnął się na myśl o kumisie. Przecież to tylko sfermentowane mleko oślicy, a oni włączają je do Ośmiu Przysmaków. Bold dorastał na kumisie.

- Niektóre z przysmaków zdobywa się łatwiej niż inne – odezwał się, na co Shen zaśmiał się i wepchnął Bolda na pokład.

Wypłynęli na jezioro.

- Za takie kłamstwa powinni ci język odciąć! - zawołał Kyu do Shena, kiedy ten nie mógł go już usłyszeć. Bold roześmiał się.

- Osiem Przysmaków! Co oni sobie wyobrażają!

- Po prostu lubują się w liczbach - stwierdził Kyu - Trzej Oczyszczeni, Czterej Cesarzowie, Dziewięć Ciał Niebieskich...

- Dwadzieścia osiem konstelacji.

- Dwanaście gałęzi czasu, Pięciu Starszych z Pięciu Regionów.

- Pięćdziesiąt gwiezdnych duchów.

- Dziesięć grzechów niewybaczalnych.

- Sześć złych przepisów. Kyu zachichotał.

- Nie, oni nie lubują się w liczbach, oni uwielbiają listy, długie listy rzeczy, które posiadają.

Na środku jeziora Bold i Kyu mogli przyjrzeć się z bliska wspaniale zdobionym smoczym łodziom, przybranym kwiatami, różnobarwnymi chorągiewkami i wiatraczkami. Na każdej z nich szaleni muzykanci przygrywali na bębnach i rogach, jakby chcieli zagłuszyć muzykę, dobiegającą z innych łodzi, podczas gdy stojący na dziobach pikinierzy kijami owiniętymi tkaniną zrzucali ludzi do wody.

Pośród radosnego zgiełku, uwagę zgromadzonych przykuły nagle głosy innej tonacji, niosące się po tafli jeziora. Krzyczeli ludzie na łodziach, którzy pierwsi dostrzegli pożar. W jednej chwili wszelkie zabawy ustały, lodzie spływały gęsiego w stronę lądu i tłoczyły się w dokach, jedna na drugiej. Ludzie przebiegali po łodziach, jedni kierowali się w stronę pożaru, inni do swoich dzielnic. Kiedy Bold i Kyu śpieszyli do restauracji, po raz pierwszy zobaczyli straż pożarną. Każda dzielnica miała własną, w pełni wyposażoną brygadę pożarową, która docierała na miejsce, kierując się oznaczeniami flagowymi na wieżach obserwacyjnych, rozstawionych w całym mieście. W dzielnicach zagrożonych płomieniami dachy nasączano wodą i usuwano pojedyncze zarzewia, niesione przez gorący wiatr. Większość zabudowań w

Hangzhou była drewniana lub bambusowa i co jakiś czas w mieście wybuchał pożar, więc mieszkańcy bardzo dobrze znali całą procedurę. Bold i Kyu biegli za Shenem w stronę płonącej dzielnicy, znajdującej się na północ od ich domu, skąd tego dnia wiał wiatr - więc oni również byli w niebezpieczeństwie.

Wzdłuż granicy ognia uwijali się mężczyźni i kobiety. Ludzie ustawiali się w długie kolejki, ciągnące się od najbliższych kanałów, i z rąk do rąk podawali sobie drewniane i bambusowe wiadra, które trafiały do dymiących budynków, gdzie wylewano wodę prosto w płomienie. Było też wielu mężczyzn z kijami, pikami, a nawet z kuszami. Zatrzymywali i wypytywali wszystkich wyciągniętych z alejek ogarniętych pożogą. Nagle część uzbrojonych zaczęta bić jednego, który wyłonił się z płomieni - zakatowali go na śmierć, na miejscu, pośrodku akcji przeciwpożarowej. Ktoś powiedział, że to szabrownik. Wkrótce na miejsce przybyły posiłki wojskowe, wysłane do pomocy przy łapaniu złodziei, których zabijano na miejscu, a czasem po przeprowadzeniu publicznych tortur.

Bold sam zauważył kilka postaci, które pomimo tak wielkiego ryzyka wskakiwały bez wiader w ogień i po chwili wydostawały się z płonących budynków. Walka z szabrownikami była niemal tak samo zażarta jak z żywiołem. Kyu też zwrócił na to uwagę, podając na górę wiadra z wodą - bez skrępowania przyglądał się teraz wszystkiemu dokoła.

Mijały kolejne dni, a każdy następny był bardziej pracowity od poprzedniego. Kyu nadal prawie w ogóle się nie odzywał i chodził z opuszczoną głową, jak zwierzę pociągowe czy pomywacz niezdolny

do opanowania chińskiego - tak przynajmniej myśleli o nim wszyscy w restauracji. Chińczycy postrzegali czarnych niewolników jako istoty niższego rzędu.

Bold coraz więcej pomagał I-Li, której najwyraźniej spodobało się jego towarzystwo podczas wycieczek do miasta, kiedy to musiał coraz sprawniej manewrować taczką w tłumie, aby nadążyć za swoją panią.

Zawsze gdzieś się śpieszyła, najczęściej w poszukiwaniu nowych potraw, i zawsze wszystkiego skrupulatnie próbowała. Bold zauważył, że restauracja cieszyła się tak dużym powodzeniem głównie dzięki jej staraniom. Shen bardziej zawadzał niż się przydawał, mylił się w rachunkach na liczydle i ciągle o czymś zapominał, zwłaszcza o swoich długach. Poza tym wynajmował za pieniądze swoich niewolników i kobiety.

Bold cieszył się więc, kiedy I-Li zabierała go do miasta. Czasem odwiedzali Mamę Sung, tuż za Bramą Rezerwowych Skarbców, aby spróbować jej białej zupy sojowej. Przyglądali się, jak Wei Szerokie Ostrze gotuje wieprzowinę na Moście Kotów, a u Chong 5. naprzeciwko Pawilonu Pięciu Przęseł próbowali miodowych racuchów. Z powrotem w swojej kuchni I-Li próbowała odtwarzać spróbowane dania, kręcąc złowieszczo głową i cmokając, jak to miała w zwyczaju robić. Czasem przerywała pracę w połowie i udawała się do swojego pokoju, aby spokojnie rzecz przemyśleć. Po chwili najczęściej wołała Bolda na górę i wysyłała go do miasta z listą przypraw i innych składników, które według niej udoskonalą potrawę.

Przy łóżku w jej pokoju stał stół, a na nim szklane pojemniki z kosmetykami, biżuteria, flakony perfum, kryształowe lustra i puzderka łąkowe, jadeitowe, złote i srebrne - zapewne podarunki od Shena. Bold zerkał ukradkiem na te przedmioty, a ona siedziała i rozmyślała.

Tuba białego pudru podkładowego,
Nienaruszona, zapieczętowana,
Cienie w głębokich różach, ogniste rumieńce.
Pudełko liści balsamowca startych z ałunem
Na pękające paznokcie.
Kobiety w restauracji musiały je pokazywać,
Paznokcie I-Li były obgryzione do kości.
Kosmetyki nieużywane,
Biżuteria nienoszona,
W kryształowych zwierciadłach nie oglądała swej twarzy.

Kiedyś poplamiła sobie dłonie różowym barwnikiem z balsamowca, innym razem wpuściła do kuchni wszystkie psy i koty, ot tak sobie, żeby zobaczyć, co się stanie - Bold nie do końca ją rozumiał.

I-Li żywo interesowała się sprawami miasta. Połowę czasu na wycieczkach po przedmieściach zajmowały jej rozmowy i wypytywanie dosłownie o wszystko. Kiedyś wróciła do domu zmartwiona.

- Bold, niektórzy mówią, że na północy ludzie chodzą do restauracji, w których podaje się ludzkie mięso. Nazywają to dwunożnym

baranem. Słyszałeś kiedyś o czymś takim? Może to jakaś inna nazwa starca albo kobiety, a może młodych dziewcząt albo dzieci? Naprawdę mieszkają tam aż takie potwory?

- Nie wydaje mi się - odrzekł Bold - nigdy się z czymś takim nie spotkałem.

Odpowiedź ta nie dała jej pewności. We śnie często widywała zgłodniałe duchy, które przecież skądś musiały się brać. Czasem żaliły się, że zjedzono ich ciała. Było to dla niej logiczne, że zbierają się akurat w okolicy restauracji, gdzie mogą znaleźć jakąś marną rekompensatę. Bold skinął głową, dla niego też było to logicznie, choć trudno było mu uwierzyć, że tak wspaniale rozwijające się miasto mogłoby stanowić schronienie dla praktykujących kanibali. Czego jak czego, ale jedzenia tu nie brakowało.

Restauracja przynosiła coraz większe zyski, więc I-Li wymusiła na Shenie modernizację całego lokalu. Wycięto otwory w bocznych ścianach i wstawiono w nie okna z kwadratowymi treliażami, na których rozpięto pergamin, który lśnił lub pąsowiał od słońca, w zależności od pory dnia i pogody. Cały front budynku nakazała otworzyć na nabrzeżną promenadę, a plac na dole wyłożyć glazurowaną cegłą. Latem, kiedy komary najbardziej dokuczały, zapalała na werandzie kadzidła. Wzniosła kilka ściennych ołtarzyków poświęconych różnym bóstwom, duchom miejsc, duchom zwierząt, demonom i zgłodniałym duchom. Spełniła też pokorną prośbę Bolda i jeden ołtarzyk ofiarowała Tianfei, Niebiańskiej Pocieszy-cielce, choć miała pewne wątpliwości, czy to aby nie jest inne imię Tary, której poświęcono już wiele miejsc i

wnęk w całym domu. I-Li stwierdziła, że jeśli Tara się pogniewa, to będzie to kłopot Bolda.

Jednego dnia wróciła do domu i opowiedziała historię o ludziach, którzy umarli, a wkrótce potem powrócili do życia, gdyż najprawdopodobniej niebiańscy skrybowie popełnili błąd i zapisali nie te imiona, co trzeba. Bold uśmiechnął się. Chińczycy wymyślają zmarłym bardzo skomplikowaną biurokrację, podobnie zresztą jak żyjącym.

- Wrócili na ziemię z przekazem dla swoich krewnych. Wszystko, co mówili, zgadzało się ze stanem faktycznym, a byty to rzeczy, o których niedawno zmarłe osoby po prostu nie mogły wiedzieć.

- Cuda - rzekł Bold.

- Cuda zdarzają się każdego dnia - odparła I-Li. Według niej wszechświat zamieszkiwały duchy, opiekunowie, demony i inne bezcielesne istoty, których było równie dużo, co i smaków. Nikt wcześniej jej nie opowiadał o krainie bardo, nie wiedziała też nic o sześciu planach istnienia, z których wyłaniał się rzeczywisty wszechświat, a Bold nie widział siebie w roli jej nauczyciela, więc świat nadal pozostawał dla niej krainą duchów i upiorów. Te najbardziej złośliwe można było trzymać od siebie z daleka, uciekając się do pewnych praktyk, których nie lubiły. Irytowały je dźwięki petard, bębnów i gongów. Można było także odganiać je patykiem lub palić suszony piołun. Ten botswański zwyczaj I-Li praktykowała od dawna. Zaopatrzyła się też w magiczne napisy kaligrafowane na miniaturowych skrawkach papieru i inne, wyryte na małych, srebrnych tulejach. Na każdym progu w całym domu

porozkładała kwadratowe tabliczki białego jadeitu, tłumacząc, że demony nie lubią jego jasnego blasku. W domu i w restauracji powodziło się, więc czuła, że postępuje prawidłowo.

Podążając za nią kilka razy w tygodniu, Bold zdążył poznać Hang-zhou. Dowiedział się, że najlepsza skóra z nosorożca jest u Chiena, przy małym jeziorku Chinghu, przy końcu kanału zaopatrzeniowego, najwspanialsze turbany u Kanga, pod ósemką na ulicy Wytartej Monety lub u Yanga, pod trójką, wzdłuż kanału, za Trzema Mostami. Najlepszy wybór książek był na straganach pod wielkimi drzewami obok Pomarańczami. Wiklinowe klatki na ptactwo i świerszcze można było znaleźć na Alei Stalowej, grzebienie i szpilki z kości słoniowej u Feia, a malowane wachlarze na Moście Węglowym. I-Li lubiła wiedzieć o takich miejscach, nawet jeśli kupowała tam jedynie prezenty dla znajomych czy dla teściowej. Bold ledwo mógł za nią nadążyć. Kiedyś na ulicy opowiadała jedną ze swoich historyjek, kiedy nagle zatrzymała się, spojrzała mu w oczy i z zaskoczeniem stwierdziła:

- Zrozum, ja chcę wiedzieć wszystko!

Przez cały ten czas Kyu przyglądał się wszystkiemu. Pewnej nocy ósmego księżyca, podczas przypływu, kiedy rzeka Chientang burzyła się wysokimi falami, a w mieście roiło się od przyjezdnych, tuż przed godziną wybijaną na gadających bębnach i przed głośnymi obwieszczeniami synoptyka, Bolda zbudziło delikatne szczypnięcie w ucho i silny zacisk czyjejś dłoni na ustach. To był Kyu. W drugiej, uniesionej dłoni trzymał klucz od ich pokoju.

- Ukradłem klucz.

Bold odjął sobie dłoń Kyu od ust.

- Co ty wyprawiasz? - wyszeptał.

- Wstawaj! - powiedział po arabsku, w gwarze poganiaczy wielbłądów. - Uciekamy stąd.

- Co? - zdziwił się Bold. - O czym ty mówisz?

- Powiedziałem, że uciekamy.

- Ale dokąd mamy uciekać?

- Jak najdalej z tego miasta, na północ, do Nanjing.

- Ale przecież dobrze nam tu!

- Dobrze? Nic mi o tym nie wiadomo. O ile wiem, to już jesteśmy martwi. Właśnie zabiłem Shena.

- Co zrobiłeś?!

- Ciszej, musimy podłożyć ogień i wymknąć się stąd, zanim całe miasto stanie na nogi.

Bold oniemiał i osunął się na kolana, szepcząc.

- Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Dlaczego nie zapytałeś mnie o zdanie, przecież było nam tu dobrze.

- Chcę uciec - powiedział Kyu - ale do tego potrzebuję ciebie, potrzebuję swojego pana, aby móc się przemieszczać.

- Przemieszczać? Gdzie i jak?

Do tego czasu Bold już szedł za Kyu przez ciche i uśpione domostwo. Szedł na pamięć, w całkowitej ciemności - był to pierwszy dom, w którym mieszkał tak długo. Polubił go. Kyu wprowadził go do kuchni. Z pieca wyciągnął wetkniętą w tlący się żar gałąź - musiał włożyć ją tam jeszcze przed zbudzeniem Bolda, gdyż osmolony koniec palił się już żwawym płomieniem.

- Idziemy na północ, do stolicy! - powiedział przez ramię Kyu, wypuszczając Bolda na zewnątrz. - Chcę zabić cesarza.

- Co zrobić?

- Później dowiesz się więcej - odpowiedział Kyu, podtykając płonącą pochodnię pod garść sitowia i podpalając kawały wosku, które wcześniej ułożył pod ścianami w rogu.

Kiedy to się zajęło, wybiegł na zewnątrz i podpalił następną kulę bawełny i wosku podrzuconą wcześniej pod sąsiedni dom, później jeszcze jedno zarzewie cisnął na trzeci dom. Przez cały czas Bold stał tuż za nim, zbyt przerażony, aby trzeźwo myśleć. Na pewno zatrzymałby chłopca, gdyby ten nie zamordował wcześniej Shena. Kyu i Bold zostali pozbawieni życia i podpalenie całej dzielnicy było dla nich jedyną szansą ucieczki. Tylko pożar, w którym spłoną zwłoki Shena, mógł zatrzeć ślady zabójstwa. Całkiem prawdopodobnie spłonie też żywcem wielu niewolników, byli przecież zamknięci w swoich pokojach.

- Oby wszyscy się spalili - powiedział Kyu, odpowiadając na myśl Bolda.

6

Wielkim Kanałem nasi pielgrzymi uciekają przed sprawiedliwością.

W Nanjing proszą o pomoc Eunucha Trzech Klejnotów

Biegli na północ ciemnymi alejkami, wzdłuż kanału zaopatrzeniowego. Za ich plecami już jakiś czas temu rozległ się alarm. Ludzie krzyczeli, dzwony biły na trwogę, świeża, poranna

bryza wiała znad Zachodniego Jeziora.

- Zabrałeś jakieś pieniądze? - przypomniało się nagle Boldowi.

- Wystarczająco dużo - odpowiedział Kyu, wskazując na wypchaną torbę, którą ściskał za pazuchą. Musieli uciekać jak najszybciej i jak najdalej się dało, a w parze z Murzynem trudno było nie rzucać się w oczy. Na jakiś czas Kyu musiał pozostawać młodym, czarnym, zniewolonym eunuchem, a Bold jego panem. To Bold będzie musiał rozmawiać ze wszystkimi i tłumaczyć się, właśnie dlatego Kyu zabrał go ze sobą i tylko dlatego Bold nie zginął razem z resztą domowników.

- A co z I-Li? Ją też zabiłeś?

- Nie martw się, w jej sypialni jest okno, poradzi sobie.

Bold nie był tego taki pewny. Wdowy zwykle nie miały szczęścia. Pewnie skończy jak Wei Szerokie Ostrze - na ulicy, smażąc jadło na ruszcie i sprzedając je przechodniom. Choć z drugiej strony, pewnie i takiej pracy by podołała.

Wszędzie, gdzie byli niewolnicy, tam też było sporo czarnych. Łodzie używane na wodach kanałów były przeciągane przez niewolników za pomocą kabestanów lub ręcznie, wtedy ciągnęli je za sobą, zaprzęgnięci jak muły czy wielbłądy. Może mogliby wcielić się w taką rolę i jakoś wtopić się w tłum. Bold też mógłby udawać niewolnika, ale to i tak na nic, bo przecież nadal potrzebowaliby pana. Jeśli udałoby się im podczepić pod końcówkę liny... Bold nie mógł uwierzyć, że myśli teraz o uczepieniu się do kanałowej liny, kiedy jeszcze niedawno obsługiwał klientów w restauracji. Na samą myśl o tym wezbrała w nim taka złość, że aż syknął na Kyu.

Los Kyu zależał teraz od Bolda. Bold mógłby z łatwością porzucić chłopca. Sam miałby większe szanse na wtopienie się w tłum i zniknięcie wśród cudzoziemskich kupców, buddyjskich mnichów i żebraków przemierzających chińskie drogi. Nawet znani z rozbudowanej biurokracji, lokalni yamenowie nie potrafili wyśledzić i zaksięgować wszystkich biedaków, włóczących się po wzgórzach i żyjących na dalekich obrzeżach miast. Niepokoiło go tylko, że w towarzystwie czarnego chłopca wyróżniał się z tłumu jak świąteczny przebieraniec z małpką na łańcuchu.

Mimo wszystko nie zamierzał zostawiać Kyu samego. Kiedy wychodzili na obrzeża miasta, od razu puszczali się biegiem dalej. Kyu ciągnął Bolda za rękaw i ponaglał go po arabsku.

- Przecież dobrze wiesz, że tego właśnie pragnąłeś. Jesteś mongolskim wojownikiem, sam tak mówiłeś, jesteś barbarzyńcą ze stepów, zaszczutym przez tych wszystkich kolorowych ludzi, i tylko udajesz, że ci nie przeszkadza bycie czyimś niewolnikiem i praca w kuchni. Dobrze ci wychodzi nie-myślenie o jednych rzeczach i przymykanie oka na inne. Tutaj chodzi o działanie. Cały czas tego chciałeś, tylko udawałeś, że nie chcesz.

Bold był zaskoczony, słysząc, że jego słowa można tak opacznie zrozumieć.

Na przedmieściach Hangzhou było o wiele więcej zieleni niż w okolicy starego placu centralnego. Przy każdym zabudowaniu wznosiły się drzewa, a gdzieniegdzie rozciągały się niewielkie sady morwowe. Za ich plecami rozbrzmiewały dzwony, całe miasto wrzało, dzień rozpoczął się w popłochu. Stojąc na niewielkim

wzniesieniu, obejrzeli się za siebie i zobaczyli ognistą łunę nad brzegiem jeziora. Wyglądało na to, że cała dzielnica zajęła się tak szybko jak bawełniane szmatki zmieszane z woskiem, które przygotował Kyu, a silny, zachodni wiatr stale rozniecał pożar. Bold zastanawiał się, czy Kyu specjalnie czekał na noc sprzyjającą takiemu przedsięwzięciu, i myśl o tym zmroziła w nim krew. Wiedział, że chłopak jest bystry, ale nigdy nie podejrzewał go o taką bezwzględność. Co prawda miał on czasem spojrzenie pretów, które przypominało Boldowi wzrok Timura - tę intensywność skupienia, totemiczny wyraz i żarłoczny nafs wyzierający z twarzy. Każda osoba jest w pewnym sensie odzwierciedleniem swojego nafs. Bold już dawno stwierdził, że Kyu był sokołem, zakapturzonym i skrępowanym sokołem. Timur zaś był orłem, który wznosił się ponad chmury, pragnąc rozedrzeć świat na pół.

Zauważał pewne oznaki, miał już o nim jakieś wyobrażenie. Nadal jednak pozostawał ukryty aspekt Kyu, świadomość, że od momentu kastracji jego prawdziwe myśli byty gdzieś daleko stąd, a to miało ogromny wpływ na całą jego osobę. Tego pierwszego chłopca już dawno nie było. Został po nim nafs, który toczył bój o dominację nad nim.

Spiesznym krokiem przecinali teraz wysuniętą na północ prefekturę miasta Hangzhou, które opuścili, wychodząc ostatnią bramą w miejskim murze. Zaczęła się stroma droga, prowadząca na wzgórza Su Tung-po, skąd mieli dobry widok na nabrzeżne dzielnice. O poranku płomienie były już ledwo widoczne, za to więcej było kłębiącego się, czarnego dymu, z którego buchały iskry,

rozniecające ogień dookoła.

- Ten pożar zabije mnóstwo ludzi.

- Nie zapominaj, że to Chińczycy - odparł Kyu. - Jest ich aż nadto, aby kiedykolwiek mogło ich zabraknąć.

Posuwając się na północ, wzdłuż zachodniego brzegu Wielkiego Kanału, mieli wiele okazji, aby się przekonać, jak bardzo zatłoczonym państwem są Chiny. Na wyżynach rozciągały się pola ryżowe i wioski, które żywiły ogromne miasto na wybrzeżu. Rolnicy wychodzili tu w pole tuż po świcie.

Wtykają źdźbła ryżu w ziemię podtopionych pól,
Schylając się raz za razem,
Za bawołem człowiek.
Smutny widok wysmaganej deszczem biedoty.
Maleńkie gospodarstwa, podupadłe, przydrożne wsie,
To wszystko
Po widokach splendoru Hanghzou.

- Nie rozumiem, dlaczego oni nie przeniosą się do miast - powiedział Kyu - ja bym się od razu przeprowadził.

- Nigdy by im to nie przyszło do głowy - odpowiedział Bold, dziwiąc się, że Kyu zakładał, iż wszyscy myśleli tak jak on - poza tym mieszkają tutaj całymi rodzinami.

Wielki Kanał wyłaniał się przed nimi spoza szpaleru drzew, jakieś dwa, trzy li dalej na wschód. Stały tam kopce ziemi i stosy drewna, ślady robót melioracyjnych. Pozostawali w bezpiecznej odległości

od kanału, chcąc uniknąć patroli prefekturalnych i wojskowych, które tego tragicznego dnia mogły dokładniej kontrolował ruch wzdłuż kanału.

- Chcesz się napić wody? - zapytał Kyu. - Myślisz, że możemy się tu napić?

Chłopak był ostrożny i zapobiegliwy, Bold od razu to zauważył, lecz w tej sytuacji po prostu musiał tak się zachowywać. W okolicach Wielkiego Kanału widok Kyu nie był raczej niczym niezwykłym, Bold nie miał jednak żadnych papierów, a lokalni prefekci lub strażnicy mogli w każdej chwili zażądać odpowiednich dokumentów. Zatem ani kanał, ani pobliskie wsie nie były dla nich bezpieczną drogą. Musieli przemieszczać się to tu, to tam, w zależności od sytuacji, również nocą, co przyśpieszało pochód, lecz było bardziej niebezpieczne. Cały czas wydawało im się wielce nieprawdopodobne, aby komuś chciało się sprawdzać dokumenty tym wszystkim ludziom, którzy ich nie posiadali.

Zdecydowali się więc wmieszać w tłum. Kyu niósł swoje zawiniątko za pazuchą. Był skuty łańcuchem i taszczył bukłak z wodą Bolda. Udawał, że nie rozumie nic poza najprostszymi rozkazami. Udało mu się odtworzyć zastraszająco realistyczną postać idioty. Mężczyźni holowali barki w dół i w górę, inni pracowali przy kabestanach, zamykali i otwierali śluzy, przegradzające nurt w regularnych odstępach. Wśród ludzi często zdarzały się pary mężczyzn, pan i niewolnik. Bold rozkazywał Kyu i zarządzał nim, ale był zbyt niespokojny, aby móc traktować to jak zabawę. Kto wie, jakich kłopotów na północy Kyu jeszcze im przysporzy. Bold tego

nie wiedział. Przeczuwał coś, lecz z minuty na minutę przeczucie to zmieniało się. Nadal nie mógł uwierzyć, że Kyu wymusił na nim ucieczkę. Znów gniewnie syknął na niewolnika. Decydował teraz o jego życiu i śmierci, lecz nadal nie przestawał się go bać. Na świeżo wybrukowanym placu przy nowej śluzie z drewnianych bali stał lokalny yamen ze swoimi urzędnikami, którzy kontrolowali co czwartą, piątą grupę przechodniów. Skinęli na Bolda i kiedy ten z beznadziejnym wyrazem twarzy prowadził w ich stronę Kyu, poprosili o dokumenty. Oprócz yamena był tam jeszcze jakiś wyższy urzędnik w lśniącej szacie i prefekt z emblematem na piersiach, na którym w bliźniaczych pozach wyszyty był wróbel i jastrząb. Stopień prefekta w hierarchii urzędniczej był łatwy do odczytania. Na emblemacie najniższych urzędników widniała przepiórka grzebiąca w ziemi, a najwyżsi rangą mieli wyszyte żurawie, szybujące ponad chmurami. Stał więc przed nimi dość ważny służbista, być może wysłany specjalnie w poszukiwaniu podpalacza Hang-zhou. Bold już zaczął wymyślać kłamstwa, a jego ciało samo rwało się do ucieczki, wtedy Kyu sięgnął do swojego bagażu i wręczył Boldowi plik dokumentów, przewiązany jedwabną wstążką. Bold odwiązał węzeł i wręczył papiery yamenowi, zastanawiając się, jaka może być ich treść. Znał tybetańskie litery mantry Om Mani Padme Hung, ale kto ich nie znal, skoro były wyrzeźbione na niemal każdej skale w Himalajach, poza tym był niepiśmienny, a chiński alfabet przypominał mu wzory płatków śniegu - każdy znak inny od pozostałych.

Yamen i wróbli jastrząb przeczytali dwie pierwsze strony i oddali

Boldowi, który związał dokumenty wstążką i oddał je Kyu, nie patrząc w jego stronę.

- Uważajcie na siebie w Nanjing - powiedział wróbli jastrząb. - Na południowych wzgórzach grasują bandyci.

- Będziemy trzymać się kanatu - odpowiedział Bold.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku patrolu, Bold po raz pierwszy uderzył mocniej Kyu.

- Co to miało znaczyć?! Dlaczego nie powiedziałeś mi o dokumentach? Skąd twoim zdaniem miałem wiedzieć, co im mówić?

- Bałem się, że weźmiesz dokumenty, a mnie zostawisz.

- Skoro jest tam napisane, że podróżuję z czarnym niewolnikiem, to chyba potrzebuję czarnego niewolnika, czy ty to inaczej rozumiesz? Co tam jest napisane?

- Że jesteś handlarzem końmi z floty skarbów, w podróży do Nan-jing, gdzie finalizujesz kontrakt, oraz że ja jestem twoim niewolnikiem.

- Skąd to masz?

- Przewoźnik ryżu takie wypisywał, więc poprosiłem go o jeden dla siebie.

- Więc on zna nasze plany?

Kyu nie odpowiedział, a Bold zastanawiał się, czy ów przewoźnik jeszcze żyje. Ten chłopak zdolny był do wszystkiego. Zdobył klucz i fałszywe dokumenty, przygotował płonące kule... jeżeli kiedykolwiek Kyu dojdzie do wniosku, że Bold nie jest mu już potrzebny, wtedy ten obudzi się pewnego ranka z poderżniętym gardłem. Nie ulegało

wątpliwości, że sam byłby o wiele bezpieczniejszy.

Kiedy przekraczali wiązki grubych, barkowych lin, Boldowi zaświtała w głowie myśl. Mógłby porzucić chłopca, skazać go na dalsze niewolnictwo, na szybką śmierć uciekiniera lub na powolną śmierć podpalacza i mordercy. Mógłby skierować się na północny zachód, w stronę Wielkiego Muru i dalej poprzez stepy, do domu.

To jak Kyu unikał spojrzenia Bolda i jak się za nim wlókł, jasno wskazywało, że domyślał się, o czym Bold rozmyślał. Przez kilka kolejnych dni Bold był surowy dla Kyu jak jeszcze nigdy wcześniej, a chłopak skakał na każde jego skinienie.

Bold w końcu nie zostawił Kyu, a Kyu nie poderżnął Boldowi gardła. Kiedy mężczyzna powtórnie wszystko przemyślał, doszedł do wniosku, że pozostaje karmicznie związany z chłopcem, że jest on ważną częścią całego splotu wydarzeń. Bardzo możliwe, że pozostawał przy nim po to, aby mu pomóc.

- Posłuchaj mnie - powiedział kiedyś, gdy maszerowali - nie możesz iść do stolicy i zamordować cesarza. To niemożliwe. A tak w ogóle, to dlaczego chciałbyś to zrobić?

Skulony i posępny Kyu odpowiedział po arabsku:

- Żeby ich obalić.

Słowo, którego użył znów wywodziło się z żargonu poganiaczy wielbłądów.

- Żeby co zrobić?

- Żeby ich zatrzymać.

- Zabicie cesarza nic nie zmieni. Na jego miejsce znajdzie się inny **i** znów wszystko będzie, jak dawniej. Tak to działa.

Po dłuższej chwili Kyu zapytał:

- A czy oni walczą o to, kto ma zostać nowym cesarzem?

- O sukcesję? Czasem i walczą, to zależy komu w linii krwi należy się tron. Nie potrafię ci powiedzieć, jak jest teraz. Obecny cesarz Yongle sam jest uzurpatorem, odebrał tron bratankowi czy wujowi. Prawowitym spadkobiercą jest zawsze najstarszy syn. Cesarz może również wybrać swojego następcę jeszcze za życia. Co by się nie działo, dynastia trwa i jak dotychczas nie było z tym większych problemów.

- Ale jeszcze mogą być.

- Mogą, ale nie muszą. Pomyśl sobie, że teraz wszyscy mieszkańcy Hangzhou nie śpią po nocach i wymyślają dla ciebie nowe techniki tortur. To, co ci zrobili na statku, jest niczym w porównaniu z tym, co mogą ci jeszcze zrobić. Cesarze z dynastii Ming mają najlepszych katów na świecie, nie od dziś o tym wiadomo.

Mozolny marsz trwał nieustannie.

- Wszystko mają najlepsze na świecie. Najlepsze kanały, najlepsze miasta, najlepsze statki, najlepszą armię. Żeglują po morzach i oceanach i wszędzie, gdzie się nie zjawią, ludzie kłaniają im się w pas. Przybywają na jakąś wyspę, widzą tam ząb Buddy, więc biorą go sobie na własność, na wyspie obsadzają króla, który będzie ich służącym. I płyną dalej i z każdym kolejnym lądem robią to samo. Kiedyś podbiją cały świat. Wykastrują wszystkich chłopców i tym samym wszystkie dzieci będą należały do nich, wkrótce cały świat będzie należał do Chin.

- Może i tak będzie - powiedział Bold - całkiem możliwe. Jest ich mnóstwo, to fakt, a ich flota jest potężna, nie ma co do tego wątpliwości. Jednak nie są w stanie dopłynąć do serca ziemi, do stepów, skąd pochodzę. Ludzie, którzy mieszkają na stepie, są twardsi od Chińczyków, a ponadto kiedyś już ich pokonali. Wszystko będzie dobrze. A teraz posłuchaj mnie uważnie: bez względu na to, co się stanie, ty nic na to nie poradzisz.

- Przekonamy się w Nanjing.

- To było oczywiste szaleństwo. Mimo to nadal patrzył tym swoim nieludzkim, totemicznym wzrokiem, a z oczu wyzierał mu nafs. Na jego widok Bold poczuł chłód w najniższym czakramie, znajdującym się między jądrami a odbytem. Oprócz żarłocznego nafs, z którym Kyu przyszedł na świat, była w nim jeszcze jedna budząca lęk cecha - bezosobowa i nieobliczalna nienawiść eunucha. Bold był pewny, że podróżuje z jakimś rodzajem silnej energii, z afrykańskim dzieckiem wiedźmy czy szamanem, tulku, którego porwano, wywieziono z dżungli i okaleczono, co tylko zdwoiło jego moc i dzięki czemu może teraz szykować zemstę! Choć uważał to za szaleństwo, jednak ciekawiło go, co z tego może wyniknąć.

Nanjing było jeszcze większe od Hangzhou. Bold już dawno przestał się dziwić. Był to również macierzysty port chińskiej floty skarbów. Sama stocznia przypominała osobne miasto, położone przy brzegach estuarium Jangcy. Było tam aż siedem olbrzymich suchych doków, biegnących prostopadle do rzeki, a za nimi wysokie tamy, obstawione strażnikami, aby uniemożliwić sabotaż. W dzielnicach za suchymi dokami mieszkały tysiące cieśli okrętowych,

stolarzy i szwaczy. W tym ciągnącym się wzdłuż rzeki mieście warsztatów zwanym Longjiang było wiele tawern i gospód dla przyjezdnych pracowników i marynarzy, którzy schodzili na ląd. Nocne dyskusje w takich miejscach skupiały się wokół wspaniałej floty admirała Zheng He, który aktualnie zajęty byt wznoszeniem świątyni dla Tianfei, a oprócz tego planował kolejną wielką ekspedycję na zachód.

Bold i Kyu nie mieli problemów z wtopieniem się w tło. Jako drobny kupiec z własnym niewolnikiem Bold wynajął dwa miejsca sypialne na materacach w gospodzie Południowomorskiej. Tam też dowiedzieli się o budowie nowej stolicy w Beiping, projektu angażującego sporo uwagi i pieniędzy cesarza Yongle. Oprócz czasów dynastii mongolskiej, Beiping byt zawsze ostatnim bastionem Chin. To w nim rezydował Zhu Di, zanim nie przywłaszczył sobie Smoczego Tronu i został cesarzem Yongle. Teraz chciał zadośćuczynić temu miejscu i ponownie uczynić je stolicą. Nawet zmienił nazwę miasta z Beiping (Północny Pokój) na Benjing (Północna Stolica). Do budowy pałacu wysłano z Nanjing setki tysięcy pracowników. Według wszelkich przekazów, budowla była gigantyczna, całe miasto zostało przerobione na swego rodzaju pałac, który nazwano Wielkim Wnętrzem. Mógł tam wchodzić tylko cesarz, jego konkubiny i eunuchowie.

Wokół Wielkiego Wnętrza planowano wznieść od podstaw całe cesarskie miasto. Mówiło się, że konfucjańscy urzędnicy rządzący krajem za cesarza byli przeciwni temu projektowi. Nowe miasto i flota skarbów to ogromne wydatki, cesarska ekstrawagancja, której

starsi oficjele nie popierali, uważając ją za marnotrawstwo majątku. Najprawdopodobniej nie widzieli rozładunku wielkiej floty albo nie wierzyli, że wszystkie przywiezione przez nią skarby mogłyby zrekompensować koszty ekspedycji. Dobrze rozumieli Konfucjusza, który mówił, że bogactwo cesarstwa winno brać się z ziemi, co oznaczało szeroko rozpowszechnione rolnictwo i tradycyjną asymilację ludności granicznej. Wszystkie innowacje, jak budowa floty i oceaniczne podróże, były dla nich jedynie manifestacją rosnącej władzy cesarskich eunuchów, których nienawidzili jako rywali o wpływy na sprawy państwa. W rozmowach toczących się w portowych gospodach marynarze częściej wyrażali się przychylnie o eunuchach - pewnie dlatego, że marynarz zawsze pozostanie wierny żegludze, flocie, admirałowi Zheng He i innym wysokim rangą eunuchom. Starsi oficjele byli temu wszystkiemu przeciwni.

Bold zauważył, że Kyu wyraźnie interesował się rozmowami w karczmach, czasem nawet sam zadawał pytania. Wystarczyło zaledwie kilka dni, żeby nazbierał takich plotek, jakich Bold nigdy wcześniej nie słyszał - na przykład, że cesarz spadł ostatnio z konia ofiarowanego przez emisariuszy Timura, który złożył w darze swojego najlepszego wierzchowca. Bold zastanawiał się, który to mógł być koń i że to dziwne, że zwierzę dożyło takich czasów. Po chwili dotarło do niego, że przecież minęły dopiero niecałe dwa lata od śmierci Timura. Nieco później piorun uderzył w nowy pałac w Benjing. Budowla doszczętnie spłonęła. Cesarz wydał edykt, w którym obwiniał siebie za nieprzychylność niebios, czym wywołał postrach, zamieszanie i ostrą krytykę. Korzystając z sytuacji,

niektórzy urzędnicy zaczęli otwarcie krytykować ogromne wydatki na nową stolicę i na flotę skarbów, które nadwerężały rezerwy cesarskiej szkatuły, a jakby tego było mało, na południu panował głód i właśnie wybuchła rebelia, co wymagało natychmiastowej interwencji. Cesarza Yongle wkrótce znudził docierający zewsząd krytycyzm, więc jednego z najbardziej zagorzałych oponentów skazał na banicję, a innych wygnał na prowincję.

- To niedobrze - powiedział jeden z bardziej pijanych marynarzy -ale najgorsze dla cesarza jest to, że ma już sześćdziesiąt lat. Na to nic się nie poradzi, nawet jeśli jest się cesarzem Chin, to jest najgorsze.

Wszyscy pokiwali głowami.

- Bardzo niedobrze.

- Nie uda mu się pogodzić oficjeli z eunuchami.

- Może wkrótce będziemy świadkami wojny domowej.

- Za Benjing! - krzyknął Kyu do Bolda.

Przed odejściem z Nanjing Kyu nalegał, aby poszli na wzgórze do domu Zheng He. Była to ogromna posesja, której bramę główną wyrzeźbiono na kształt rufy jednego ze statków floty skarbów. Każde z pomieszczeń w środku (a było ich siedemdziesiąt dwa, jak mówili niektórzy marynarze) było ponoć urządzone na podobieństwo innego kraju muzułmańskiego, a ogrody na dziedzińcu zaprojektowano tak, aby przypominały Yunnan.

Bold nie przestawał marudzić, kiedy wspinali się na wzgórze.

- Na pewno nie przyjmie do siebie ubogiego handlarza i jego niewolnika. Jego służący nie wpuszczą nas nawet na próg! Chyba

żartujesz!

Stało się tak, jak przewidział Bold. Odźwierny zmierzył ich wzrokiem i kazał im się wynosić.

- Dobrze - odpowiedział Kyu - idziemy zatem do świątyni Tianfei. Była to wspaniała budowla, wzniesiona przez Zheng He ku czci

Niebiańskiej Pocieszycielki w podzięce za cudowne ocalenie na morzu.

Pośrodku wznosi się ośmiokątna,
Dziewięciopiętrowa pagoda.
Jej ściany zewnętrzne kryte porcelaną,
Wypalaną w perskim kobalcie,
Przywiezionym z wojaży przez flotę skarbów.
Każde piętro pagody składa się z tej samej liczby
porcelanowych tabliczek,
To cieszy Tianfei.
Piętra zwężają się ku szczytowi, a tabliczki maleją,
I przechodzą płynnie w ostry szpic,
Wysoko ponad wierzchołkami drzew.
Wspaniała ofiara i świadectwo dla bogini czystego miłosierdzia.

Właśnie tam, pośrodku placu budowy, stał Zheng He i rozmawiał z ludźmi wcale niewyglądającymi lepiej niż Bold czy Kyu. Kiedy podeszli bliżej, przerwał rozmowę i spojrzał na Kyu, chcąc się doń odezwać. Bold aż potrząsnął głową, czując ogromną energię, którą pulsował chłopiec.

Zheng kiwał głową, kiedy Kyu tłumaczył, że należeli do załogi podczas jego ostatniej ekspedycji.

- Wyglądałeś znajomo - odpowiedział i zmarszczył brew, kiedy usłyszał, że Kyu chciałby służyć u samego cesarza w Benjing.

- Zhu Di wyruszył właśnie na kampanię lądową - na koniach. On! Ze swoim reumatyzmem! - westchnął. - Musi w końcu zrozumieć, że flota to najdoskonalsze narzędzie podbojów. Przypływamy, handlujemy, instalujemy lokalnego władcę, który będzie chciał współpracować, a resztę zostawiamy naturalnemu biegowi rzeczy. Przede wszystkim należy handlować i zabiegać o przychylność władcy. Aż szesnaście państw złożyło nam hołd i ofiarowało dary podczas tylko jednej wyprawy, szesnaście państw!

- Ciężko byłoby jednak uderzyć flotą na Mongolię - powiedział Kyu, strasząc tymi słowami Bolda. Zheng He jednak roześmiał się.

- To prawda, Wielkie Zewnętrze leży wysoko i jest spalone słońcem. Należy przekonać cesarza, aby zapomniał o Mongołach i skupił się na morzu.

- Temu chcemy służyć - powiedział gorliwie Kyu. - W Benjing będziemy propagować tę myśl przy każdej nadarzającej się okazji. Czy przekazałbyś nam listy polecające dla naczelnego eunucha w cesarskim pałacu? Mógłbym pójść tam na służbę, a mój pan z pewnością mógłby obsługiwać cesarskie stajnie.

Zheng He wydawał się rozbawiony.

- To pewnie i tak nic nie da, ale zrobię to przez wzgląd na wspólną historię. Życzę powodzenia.

7

Nowa stolica, nowy cesarz i ostateczny koniec plotek. Chłopiec przeciwko Chinom - łatwo zgadnąć, kto wygra

Klimat Benjing był pod każdym względem surowy. Wiał zimny i wilgotny wiatr, a drzewo, z którego wzniesiono miejskie budynki, wciąż jeszcze ociekało sokami i wszędzie roztaczał się zapach smoły, skopanej ziemi i rozrabianego cementu. Panował tłok, lecz nie aż taki jak w Hangzhou czy w Nanjing. Bold i Kyu czuli się teraz kosmopolitami i niemal unosili się ponad tym ogromnym placem budowy. Wielu ludzi miało w tym mieście właśnie takie nastawienie.

Skierowali się w stronę kliniki dla eunuchów, wymienionej z nazwy w liście polecającym od Zhenga, która znajdowała się za Wrotami Południkowymi, południowym wejściem do Zakazanego Miasta. Kyu przedstawił list polecający, po czym od razu wpuszczono ich do środka, na wizytę u naczelnika kliniki eunuchów,

- Z referencjami od Zheng He możecie zajść tutaj wysoko - powiedział im eunuch. - Nawet teraz, kiedy ma na pieńku z cesarskimi oficjelami. Przedstawię was pałacowemu Mistrzowi Ceremonii, Wu Hanowi, który jest moim przyjacielem. To także stary przyjaciel Zhenga i akurat potrzebuje eunuchów w Pawilonie Literackiej Głębi do wypisywania dekretów, czekaj... jesteś analfabetą? Wu zarządza również eunuchami w służbie kapłańskiej, których szkolimy do odprawiania duchowych posług dla konkubin.

- Mój pan jest lamą - powiedział Kyu, wskazując na Bolda. - Odkrył przede mną tajemnice krainy bardo.

Eunuch spojrzał na Bolda sceptycznie.

- Niech i tak będzie. W każdym razie list polecający od Zhenga to wasza przepustka. Ocenił was bardzo wysoko. Oczywiście musisz mieć ze sobą swój pao.

- Pao? - zapytał Kyu. - Mój skarb?

- No wiesz... - eunuch wskazał palcem na krocze - to niezbędne do potwierdzenia twojego statusu, nawet po tym, jak cię osobiście przebadam i wydam certyfikat. A tym bardziej po śmierci, pochowają cię z nim na piersiach, aby zmylić bogów. Nie chciałbyś chyba wrócić tu jako samica muła, prawda? - Spojrzał badawczo na Kyu - nie masz go ze sobą?

Kyu potrząsną głową.

- Nie martw się, mamy ich tu sporo do wyboru. To pozostałości po pacjentach, którzy zmarli. Nie sądzę jednak, aby po zakonserwowanym ptaszku dato się odróżnić Murzyna od Chińczyka! - Roześmiał się i poprowadził ich holem.

Przedstawił się im jako Jiang, były marynarz z Fukui. Dziwił się, że ktoś tak młody i sprawny jak oni mógłby zechcieć opuścić wybrzeże i zapuścić się aż tu, do Benjing.

- Dzięki temu, że jesteś czarny, możesz być ciekawym urozmaiceniem na dworze, tak jak ten łaciaty jednorożec, którego flota skarbów przywiozła specjalnie dla cesarza. Chyba też pochodził z Zanji, słyszałeś coś o nim?

- To była duża flota - odpowiedział Kyu.

- Rozumiem. W każdym razie Wu i inni pałacowi eunuchowie uwielbiają egzotykę, cesarz zresztą też, więc nic złego stać się wam nie może. Siedźcie cicho i nie dajcie się wciągnąć w żadne

intrygi, a wszystko będzie dobrze.

W chłodnym magazynie weszli do pomieszczenia pełnego zalakowanych naczyń z porcelany i szkła i wyszukali tam dla Kyu czarny penis. Następnie naczelny eunuch przebadał chłopca i upewnił się, że był on tym, za kogo się podawał, po czym chwycił za pędzelek i na odwrocie listu polecającego od Zheng He wystawił czerwonym tuszem swój certyfikat.

- Niektórzy oczywiście próbują podrobić taki dokument, lecz kiedy w końcu wpadają, wystawiamy im prawdziwy, aby już więcej nie musieli udawać. Zauważyłem, że po rzezaniu nie założono ci tulejki. Powinieneś nosić tulejkę, aby zachować drożność, wtedy zatyczka wchodzi w tulejkę i jest o wiele wygodniej. Powinni byli tak zrobić, kiedy cię rzezali.

- Jest mi dobrze i bez niej - odparł Kyu, uniósł słój pod światło i przyglądał się uważnie swojemu nowemu pao.

Boldem wstrząsnęły dreszcze, poszedł przodem i wyprowadził ich z tego odrażającego pomieszczenia. Podczas dalszych procedur Kyu przydzielono pokój w dormitorium, a Boldowi zaoferowano miejsce w osobnym budynku dla mężczyzn, w kompleksie kliniki.

- Tylko tymczasowo, rozumiesz, no chyba że chciałbyś dołączyć do nas w głównym budynku? Wspaniałe perspektywy awansu.

- Nie, dziękuję - odpowiedział grzecznie Bold. Zauważył jednak, że wielu zdesperowanych ludzi poszukujących pracy zgłaszało się do kliniki z prośbą o wykonanie zabiegu. Kiedy w granicznych wsiach panował głód, w pałacu nigdy nie brakowało chętnych. Czasami musieli odprawiać ludzi z kwitkiem. Jak w całych Chinach,

tak i tu obowiązywała skomplikowana biurokracja. W pałacu zatrudnionych było kilka tysięcy eunuchów, a klinika, w której się znajdowali, stanowiła tylko niewielką częścią całego kompleksu.

Tak więc osiedli w Benjing. Wszystko układało się na tyle dobrze, że Bold zaczął się martwić, czy aby Kyu, jako że nie potrzebował go już tak bardzo jak podczas podróży na północ, nie opuści go teraz, kiedy przeprowadził się do Zakazanego Miasta. Zasmucił się.

Jednak kiedy Kyu dostał się do służby u konkubin Zhu Gaozhi, pierworodnego syna cesarza, desygnowanego na jego następcę, od razu dał znać Boldowi, aby ubiegał się u cesarskiego potomka o posadę stajennego.

- Nadal cię potrzebuję - powiedział z rozbrajającą szczerością. Znów wyglądał jak ten mały chłopiec, którego spotkał na pokładzie chińskiej floty skarbów.

- Postaram się - odpowiedział Bold.

Już wkrótce Kyu udało się zaaranżować spotkanie z masztalerzem cesarskiego potomka. Bold udowodnił swoje kompetencje na dwóch dużych, białych koniach i z miejsca dostał posadę. Mongołowie mieli podobną przewagę w stajni, co eunuchowie w pałacu.

Praca w stajniach nie sprawiała Boldowi trudności. Następca tronu był leniwym człowiekiem, jego konie rzadko ujeżdżano, więc stajenni musieli je co jakiś czas dobrze wybiegać na torze i w pałacowych parkach. Wszystkie konie, jakie miał pod opieką, były białe, piękne i duże, lecz za to kompletnie pozbawione polotu. Bold już wiedział, dlaczego Chińczycy nigdy nie wyruszą na północ od

Wielkiego Muru i nie przeprowadzą udanego ataku na Mongołów, nawet jeśli armia liczyłaby krocie. Mongołowie całe życia spędzają na koniach, lecz oczywiście potrafią żyć i bez nich. Z ich filcu i włosia wytwarzają dla siebie odzież i schronienie, piją ich mleko, żywią się ich krwią, a jeśli zachodzi taka potrzeba, jedzą ich mięso. Mongolskie konie napędzały życie ludzi, podczas gdy te szkapy nadawały się najwyżej do chodzenia w kieracie z klapkami na oczach.

Okazało się, że Zhu Gaozhi spędzał dużo czasu w Nanjing, gdzie dorastał. Tam też odwiedzał swoją matkę, cesarzową Xu. W przeciągu kilku miesięcy Bold i Kyu odbyli kilka kursów między obiema stolicami. Czasem barkami, po Wielkim Kanale, czasem w siodle, wzdłuż wału. Zhu Gaozhi z przyczyn oczywistych, na które składała się kultura i klimat, upodobał sobie Nanjing. Późno w nocy, kiedy wypił za dużo ryżowego wina, zwierzał się swoim najbliższym, że w tym samym dniu, kiedy umrze jego ojciec, on przeniesie stolicę z powrotem do Nanjing. Takie właśnie zwierzenia sprawiały, że kiedy było się w Benjing robiło się nieswojo na widok całego ogromu pracy, wkładanego w jego budowę.

Z czasem wizyty w Nanjing przedłużały się. Kyu nadal pomagał prowadzić harem dziedzica i spędzał większość czasu wewnątrz części zamkniętej. Nigdy nie opowiadał Boldowi o swojej pracy, oprócz jednego razu, kiedy późno w nocy przyszedł do stajni pijany. Była to jedna z niewielu okazji, kiedy Bold mógł się z nim spotkać. Zawsze wyczekiwał z niecierpliwością tych nocnych wizyt, mimo że kosztowały go one sporo nerwów.

Tym razem Kyu opowiedział o swoim nowym zajęciu. Musiał znaleźć mężów dla konkubin cesarza, które skończyły trzydziesty rok życia i jeszcze nigdy nie miały kontaktu z władcą. Zhu Di oddał te kobiety pod opiekę swojego syna, któremu nakazał powydawać je wszystkie za mąż.

- Może chciałbyś żonę, Bold? - zapytał przebiegle Kyu - trzydziestoletnią dziewicę, wyszkoloną przez najlepszych ekspertów?

- Nie, dziękuję - powiedział lekko skrępowany Bold. Byt już po słowie z jedną ze służących w wewnętrznym kompleksie w Nanjing i choć podejrzewał, że Kyu żartuje, to jednak poczuł się nieswojo.

Podczas nocnych odwiedzin w stajni Kyu był zatopiony w myślach i zdawało się, że nie słyszy, o czym opowiadał mu Bold, albo udzielał dziwacznych odpowiedzi, jakby na pytania, które nie padły. Już wcześniej doszły Bolda wieści, że ten młody eunuch cieszył się sporym powodzeniem w pałacu, znał wielu ludzi i był ulubieńcem Wu, Mistrza Ceremonii. Ale czym się naprawdę zajmowano w kwaterach konkubin podczas długich, zimowych wieczorów - nie miał najmniejszego pojęcia. Kiedy Kyu pojawiał się w stajni, najczęściej wionęło od niego winem i perfumami, czasem uryną, a raz nawet wymiocinami. “Śmierdzisz jak eunuch" - przypomniało się nagle Boldowi znane powiedzenie, które teraz nabierało tym bardziej nieprzyjemnej mocy. Zdążył się zorientować, jak ludzie żartują sobie z ich drobnego chodu. Przemieszczali się małymi kroczkami, stawiając stopy palcami na zewnątrz, jakby była to dla nich jakaś fizyczna konieczność lub po prostu maniera tej grupy ludzi - Bold do końca tego nie wiedział.

Mieli różne przezwiska. Najczęściej nazywano ich wronami, z racji głosu wpadającego w falset, i zawsze obmawiano za plecami. Wszyscy byli zgodni co do jednego - gdy eunuchowie starzeli się i tyli w charakterystyczny dla nich sposób, wyglądali jak przygarbione staruszki.

Kyu nadal jednak był piękny i młody, mimo że rozpity i niechlujny. Podczas tych nocnych spotkań z Boldem wydawał się bardzo zadowolony z siebie.

- Daj mi znać, jeśli będziesz potrzebował jakichś kobiet. Mamy ich tam więcej, niż potrzeba.

Podczas kolejnej z licznych wizyt następcy tronu w Benjing, Bold miał okazję przyjrzeć się bliżej cesarzowi i jego synowi, kiedy przez Bramę Niebiańskiej Czystości wyprowadzał dla nich idealnie wypielęgnowane konie, na przejażdżkę po cesarskich ogrodach. Władca wyraził również pragnienie, aby pojechać poza teren Zakazanego Miasta, na północ, i tam spędzić noc w namiotach. Cesarski potomek nie był zachwycony tym pomysłem, podobnie zresztą jak i towarzyszący cesarzowi oficjele. W końcu zgodził się on na jednodniową przejażdżkę za miasto i wzdłuż rzeki. Kiedy dosiadali koni, cesarz zawołał do syna:

- Musisz nauczyć się dobierać karę stosownie do popełnionego przestępstwa. Ludzie muszą czuć sprawiedliwość swoich decyzji! Kiedy lawa karna zaleciła skazanie Xu Pei-yi na powolną śmierć, zgładzenie wszystkich jego potomków i krewnych po szesnastym roku życia i zniewolenie wszystkich kobiet i dzieci w jego rodzinie, wtedy ja okazałem łaskę! Obniżyłem wyrok na ścięcie i

oszczędziłem rodzinę. Wtedy ludzie mówili, że cesarz ma wyczucie proporcji, że rozumie ukryte rzeczy.

- Jasne, że tak mówią - odparł beznamiętnie następca tronu. Cesarz spojrzał na niego i odjechali.

Kiedy wrócili późnym popołudniem, cesarz nadal udzielał nauk synowi, tym razem jednak mówił tonem o wiele bardziej poirytowanym niż rano.

- Jeśli interesuje cię tylko sąd, to nigdy nie będziesz mógł sprawnie rządzić! Ludzie oczekują, że cesarz będzie ich rozumiał, że będzie powoził i strzelał równie dobrze jak sam posłaniec boży! Ty uważasz, że gubernatorzy zrobią, co im rozkażesz, jeśli po cichu uważają, że jesteś zniewieściały? Będą posłuszni jedynie przed twoim obliczem, a za plecami będą z ciebie szydzić i zrobią, co się im spodoba.

- Jasne, że zrobią - odpowiedział dziedzic, patrząc w drugą stronę. Cesarz rzucił na syna gniewne spojrzenie.

- Z konia - powiedział władca posępnym tonem.

Dziedzic westchnął i zsunął się z siodła na ziemię. Bold złapał za uzdę i uspokoił zwierzę otwartą dłonią, prowadząc je w stronę cesarza, który zeskoczył z konia i ryknął.

- Na kolana!

Syn opadł na ziemię i ukorzył się.

- Myślisz, że któremuś z biurokratów na tobie zależy?! Ani jednemu, słyszysz?! Twoja matka nie ma racji, mówiąc, że jest odwrotnie, jak również we wszystkich innych sprawach! Oni mają własne plany i nie wesprą cię w potrzebie. Potrzebujesz własnych ludzi.

- Albo eunuchów - powiedział syn, patrząc na żwir. Cesarz Yongle wbił w niego wzrok.

- Owszem, moi eunuchowie doskonale zdają sobie sprawę, że ich byt zależy przede wszystkim od mojej dobrej woli. Nikt inny się za nimi nie wstawi. To są jedyni ludzie na świecie, którzy staną za tobą murem.

Syn nic nie odpowiedział. Bold zwrócony twarzą w przeciwnym kierunku oddalił się, nie ryzykując oglądania się za siebie, a cesarz potrząsnął tylko głową i poszedł, zostawiając starszego syna klęczącego na ziemi.

- Uważaj, bo możesz obstawiać złego konia - powiedział Bold podczas coraz rzadszych nocnych wizyt Kyu w stajniach. - Cesarz interesuje się teraz swoim młodszym synem. Jeżdżą razem konno, polują i śmieją się. Jednego dnia ustrzelili setkę jeleni, które im nagoniliśmy, podczas gdy prawowitego następcę cesarz musi siłą wyciągać z pałacu i cały czas krzyczy na niego, a dziedzic śmieje mu się prosto w twarz i pozwala sobie na więcej, niż mu w istocie wolno. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby władca zmienił zdanie co do sukcesji.

- Chce to zrobić - odpowiedział Kyu. - Chciałby, ale nie może.

- Dlaczegóż by nie mógł?

- Pierworodny jest synem cesarzowej, a młodszy potomek zrodzony jest z jakiejś kurtyzany pośledniego sortu.

- Ale przecież cesarz może wszystko. Nie mam racji?

- Nie masz. To się sprawdza tylko wtedy, gdy wszyscy przestrzegają wspólnych zasad. Jeżeli ktoś się wyłamuje i gwałci

prawo, wtedy pojawia się groźba wojny domowej i upadku dynastii.

Bold był świadkiem podobnych wydarzeń podczas mongolskich wojen o sukcesję, które ciągnęły się przez wiele pokoleń. Mówiono, że od śmierci Timura jego synowie nadal toczą ze sobą walki, że chanat rozpadł się na cztery części i nie wygląda na to, aby kiedykolwiek znów miał się zjednoczyć.

Bold wiedział jednak, że silnemu władcy dużo może ujść płazem.

- Powtarzasz tylko to, co ci naopowiadała cesarzowa, dziedzic i oficjele. Musisz zrozumieć, że to wcale nie jest takie proste. Ludzie ustanawiają prawo, a czasami je zmieniają lub ignorują, wystarczy, że dzierżą w dłoni miecz.

Kyu w milczeniu rozważał jego słowa, a potem rzekł:

- Mówi się, że wieś cierpi. W Hunan panuje głód, na wybrzeżu szerzy się piractwo, a na południu zaraza. Oficjelom to się nie podoba. Uważają, że wielka flota przywiozła ze sobą choroby zamiast skarbów i że zmarnowano na nią ogromne pieniądze. Oni nie rozumieją korzyści, płynących z handlu, nie wierzą w to. Nie wierzą w nową stolicę. Doradzają cesarzowej i dziedzicowi, aby nieść pomoc ludności, że należy powrócić do rolnictwa, a nie marnować gotówkę na ekstrawaganckie projekty.

- A co innego mogą mówić - zapytał Bold.

- Cesarz pozostaje niewzruszony. Robi, co chce. Ma za sobą armię i swoich eunuchów. Eunuchowie lubią handel zagraniczny, widzą w nim bezpośrednią korzyść dla siebie. Ponadto lubią nową stolicę i tak dalej, prawda?

Bold skinął głową.

- Na to wygląda.

- Szanujący się oficjel zawsze będzie nienawidził eunuchów. Bold spojrzał badawczo na Kyu.

- Odczułeś to na sobie?

- Owszem. Lecz tak naprawdę to oni nienawidzą tylko eunuchów cesarskich.

- Nie ma się co dziwić. Im ktoś jest bliżej władzy, tym większy budzi przestrach.

Kyu znów w milczeniu wszystko przemyślał. Bold zauważył, że chłopiec wyglądał ostatnio na zadowolonego. Ostatnio. Po chwili przypomniał sobie, że w Hangzhou też tak myślał. Zawsze kiedy widział ten uśmieszek na ustach Kyu, na plecach czuł ciarki.

Wkrótce po tej rozmowie, kiedy wszyscy gościli akurat w Benjing, rozpętała się gwałtowna burza.

Pierwsze krople deszczu wiążą kurz w błotnistą maź,
Ognisty piorun rozpruwa ciężkie powietrze,
Zszywając niebo z ziemią,
Widać go jeszcze pod zamkniętymi powiekami.
Po niecałej godzinie nadchodzi wiadomość:
Pożar w nowym pałacu!
Centrum Zakazanego Miasta stanęło w płomieniach,
Jak gigantyczna pochodnia.
Języki ognia zlizują wilgoć z nabrzmiałych chmur,
Dym miesza się z deszczem,

Krople nie sięgają ziemi,
Pożera je powiew z pogorzeliska.

Zaganiając wystraszone konie i biegając tam i z powrotem z wiadrami wody, Bold starał się zachowywać czujność. Nad ranem, kiedy zaprzestano daremnej walki z żywiołem, Bold spostrzegł Kyu wśród ewakuowanych konkubin cesarskich. Wszyscy dworzanie następcy tronu

mieli rozbiegany wzrok, lecz Kyu, jedyny spośród nich, wydawał się w euforii. Białka jego oczu jaśniały dookoła tęczówek jak u szamana, wracającego z udanej wędrówki do krainy duchów. To on podłożył ogień, pomyślał Bold, tak jak w Hangzhou, tym razem skorzystał z zamieszania wywołanego przez burzę.

Podczas kolejnej wizyty Kyu w stajni o północy, Bold bał się spojrzeć mu w oczy. Mimo to zapytał szeptem i po arabsku, choć wokół nie było nikogo, kto mógłby podsłuchać:

- To ty podłożyłeś ogień?

Kyu tylko spojrzał na niego. Jego wzrok zdawał się wszystko potwierdzać, on sam jednak postanowił nie być zbyt wylewnym. Po dłuższej chwili odezwał się ściszonym głosem.

- Ekscytująca noc, prawda? Ocaliłem tylko jeden gabinet w pawilonie skrybów i kilka konkubin. Gryzipiórki byty mi bardzo wdzięczne za uratowanie ich papierów.

Zaczął rozwodzić się nad pięknem ognia, opowiadać o panice wśród konkubin, o wściekłości i strachu, który nadszedł później, o cesarzu, który odczytał pożar jako przejaw boskiego gniewu, jako

najstraszniejszy zły omen, jakiego w życiu doświadczył. Bold nie podążał za słowami chłopca, jego myśli wypełniły się różnorodnymi obrazami powolnej śmierci. Spalenie dobytku kupca w Hangzhou to jedna rzecz, ale żeby obrócić w zgliszcza pałac cesarza Chin! Smoczy Tron! Znów widział w chłopcu to coś - czarny nafs obijał się skrzydłami o wnętrze jego ciała. Poczuł, że dzieli ich przepaść nie do pokonania.

- Zamknij się! - powiedział ostro po arabsku. - Jesteś głupcem. Za biją cię, a mnie razem z tobą.

Kyu uśmiechnął się złowrogo.

- Ku lepszemu życiu, czyż nie? Sam tak mówiłeś. Czemuż miałbym się bać śmierci?

Bold nie miał na to odpowiedzi.

Po tym spotkaniu widywali się o wiele rzadziej. Mijały dni, kolejne święta i parady. Kyu dorósł, a kiedy Bold zobaczył go kiedyś ukradkiem, dostrzegł przechadzającego się drobnym krokiem, smukłego, wysokiego, czarnego eunucha, pięknie ubranego i wyperfumowanego. Miał błysk w oku i drapieżne spojrzenie, kiedy odpowiadał na pozdrowienia przechodniów przyozdobionych klejnotami, otyłych i odzianych w najwspanialsze jedwabie. Kyu był ulubieńcem cesarzowej i następcy tronu, którzy z reguły nienawidzili cesarskich eunuchów. Był ich pupilem, a może nawet i szpiegiem w cesarskim haremie. Bold bal się o niego, tak samo, jak bał się jego samego. Chłopak siał istne spustoszenie w haremie i wielu o tym opowiadało, nawet ludzie w stajni wiedzieli, choć nie mieli informacji z pierwszej ręki. Był zbyt otwarty i bezpośredni w

obejściu, musiał przez to zyskać wielu wrogów. Wkrótce stworzą się nowe kliki, które będą chciały ukrócić jego wpływy. On o tym wiedział i pewnie się tym szczycił, śmiejąc się im prosto w twarz, aby nienawidzili go jeszcze bardziej. Najwyraźniej sprawiało mu to przyjemność. Cesarska zemsta jest jednak cierpliwa i ma ogromny zasięg. Jeśli na kogoś padnie, dosięga wszystkich, których nieszczęśnik znał.

Kiedy więc rozeszły się wieści o powieszeniu się dwóch cesarskich konkubin i o tym, jak rozwścieczony cesarz zażądał wyjaśnień, na jaw zaczęła wychodzić cała sieć pałacowych konszachtów. Na dworze jak plaga szerzył się strach, mnożyły się kłamstwa, a oskarżenia obejmowały coraz szersze grono. W końcu okazało się, że w cały skandal zamieszanych było trzy tysiące konkubin i eunuchów. Bold w każdej chwili spodziewał się, że skażą jego przyjaciela na tortury i powolną śmierć, może nawet usłyszy o tym od strażników, wysłanych celem wykonania egzekucji.

Tak się jednak nie stało. Kyu chronił magiczny czar. To było aż nazbyt oczywiste, wszyscy to widzieli. Cesarz własnoręcznie wykonał egzekucję na czterdziestu konkubinach. Wymachiwał mieczem jak w furii, rozcinał je na pół i jednym uderzeniem ścinał głowy, niektóre wielokrotnie przebijał szybkimi pchnięciami, w tę i z powrotem, a ich krew płynęła strumieniem przez Hol Wspaniałej Harmonii. Kyu stał z boku i włos mu z głowy nie spadł. W pewnej chwili jedna z konkubin wykrzyknęła coś w jego stronę. Stała naga przed wszystkimi, wydając z siebie nieartykułowany jazgot, po czym zaklęła cesarzowi prosto w twarz.

- To wszystko twoja wina! Jesteś za stary! Nie ma już w tobie jang! Eunuchowie robią to lepiej od ciebie! - I ciach! Jej głowa potoczyła się w kałużę krwi jak łeb ofiarnej owcy. Takie piękno zmarnowane. Nadal nikt nie miał pretensji do Kyu. Cesarz nawet na niego nie spojrzał. Chłopak zaś przyglądał się wszystkiemu z błyskiem w oku. Cieszyła go ta strata i nienawiść urzędników. Po tych wydarzeniach w pałacu dosłownie zawrzało. Jedni podejrzewali drugich, nikt jednak nie odważył się zająć dziwnym, czarnym eunuchem.

Ostatni raz Bold spotkał się z nim tuż przed swoim wyjazdem z cesarzem na podbój Tatarów, dowodzonych przez Arughtai'a. Pomysł beznadziejny. Tatarzy byli zbyt szybcy, a kondycja cesarza nie najlepsza. Nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć. Powrót planowano na początek zimy, za kilka miesięcy. Bold zdziwił się na widok Kyu, który przyszedł pożegnać się do stajni.

Rozmawiało się z nim jak z obcym. Niespodziewanie młodzieniec ujął Bolda za ramię, mocno, z uczuciem i powagą, jak książę zwracający się do swego starego giermka. Rzekł:

- Bold, a ty nigdy nie myślałeś o powrocie do domu?

- Do domu?

- Nie masz jakiejś rodziny?

- Nie wiem, minęło tyle lat. Pewnie myślą, że nie żyję. Właściwie to mogą być teraz wszędzie.

- Na pewno nie wszędzie! Mógłbyś ich odnaleźć.

- Może mógłbym. - Przyjrzał się z zaciekawieniem Kyu. - A dlaczego pytasz?

Kyu z początku nie odpowiedział. Nadal zaciskał dłoń na ramieniu Bolda. W końcu odezwał się.

- Słyszałeś kiedyś historię o eunuchu Chao Kao, który spowodował upadek dynastii Chin?

- Nie. I nawet mi nie mów, że nadal o tym myślisz.

- Nie - Kyu uśmiechnął się i wyjął z rękawa małą rzeźbę z czarnego dębu. Była to połowa tygrysa, którego pręgi były wrzecionowatymi nacięciami, biegnącymi w poprzek gładkiej powierzchni, a w miejscu podziału, na obu połówkach, znajdowało się kształtne żłobienie, które po złączeniu obu elementów tworzyło zwartą całość. Był to pewnego rodzaju glejt, podobny do tych, jakimi posługiwali się stołeczni oficjele, aby uwiarygodnić swoich wysłanników na prowincjach.

- Weź to ze sobą, jeśli wybierzesz się w drogę, ja zatrzymam drugą połowę. To ci pomoże. Na pewno jeszcze kiedyś się spotkamy.

Przerażony Bold przyjął dar. Przez chwilę wydawało mu się, że trzyma w dłoniach jego nafs, ale nie, jego przecież nie da się tak łatwo podarować.

- Jeszcze kiedyś się spotkamy, może w przyszłym życiu, sam tak przecież powtarzałeś. Twoje modlitwy za zmarłych są dla nich wskazówkami podczas przeprawy przez krainę bardo, zgadza się?

-Tak.

- Muszę już iść - powiedział Kyu, zdążył tylko pocałować Bolda w policzek i rozpłynął się w mroku nocy.

Próba podbicia Tatarów okazała się żałosną klęską - dokładnie

tak, jak się tego wszyscy spodziewali, a jednej z deszczowych nocy cesarz Yongle zmarł. Bold przez całą tę noc nie zmrużył oka. Pracował przy miechach, rozpalając wielki piec, w którym zgodnie z tradycją cesarscy oficjele topili wszystkie swoje cynowe naczynia, aby odlać trumnę na ciało cesarza, w której miało powrócić do Benjing. Padało przez całą drogę powrotną, niebo zalewało się łzami. Dopiero kiedy pochód wszedł do Benjing, urzędnicy zdecydowali się ujawnić wiadomość.

Ciało cesarza wystawiono we właściwej trumnie na sto dni. Na ten czas zakazano muzyki i organizowania wesel, wstrzymano wszystkie obrzędy religijne, a w świątyniach nakazano bić w dzwony trzydzieści tysięcy razy na dzień. Podczas pogrzebu Bold znalazł się w dziesięciotysięcznym orszaku żałobnym.

Sześćdziesiąt li marszu do cesarskich grobowców,
Na północny zachód od Benjing,
Trzy dni kluczenia zygzakiem,
By zmylić złe duchy, co w linii prostej się snują.
Zespół grobowców głęboko pod ziemią,
Przestrzeń w cesarskich szatach i w złocie,
Na końcu tunelu długości trzech li,
Kamieniem komora i kamienni słudzy czekający na rozkaz.
Ile żywotów będą tu jeszcze czekać?
W trumnach dokoła szesnaście ciał powieszonych konkubin.

Kiedy cesarski potomek zasiadł na Smoczym Tronie, od razu

wydał swój pierwszy edykt, który odczytano w Wielkim Wnętrzu i w Wielkim Zewnętrzu. Pod koniec edyktu pałacowy lektor obwieścił wszystkim zebranym w Holu Wspaniałej Harmonii:

- Wszystkie ekspedycje wielkiej floty zostają zawieszone ze skutkiem natychmiastowym. Statki zacumowane w Hangzhou mają powrócić do Nanjing, wszystkie towary na ich pokładach zostaną przekazane Departamentowi Spraw Wewnętrznych i zmagazynowane. Urzędnicy odbywający wyjazdy handlowe za granicę otrzymują rozkaz powrotu do stolicy, a wszystkich wytypowanych do dalszych ekspedycji odsyła się do domów. Budowa i naprawa statków wielkiej floty zostaje wstrzymana. Należy ponadto zaprzestać ubiegania się o pozwolenia na wyjazd za granicę. Wszyscy kupcy mają obowiązek powrócić do stolicy.

Kiedy lektor skończył, głos zabrał nowy cesarz, który wybrał imię Hongxi.

- Zbyt dużo wydaliśmy na ekstrawagancję. Stolica powróci do Nan jing, a Benjing otrzyma status stolicy pomocniczej. Koniec marnotrawienia cesarskich zasobów. Lud cierpi. Walka z biedą powinna być tak samosprawna, jak ochrona przeciwpożarowa, trzeba działać bez wahania.

Po drugiej stronie dziedzińca Bold dostrzegł twarz Kyu, małą, czarną postać z lśniącymi oczami. Nowy cesarz zwrócił się teraz w stronę świty zmarłego ojca, było wśród nich wielu eunuchów.

- Jeśli chodzi o was, eunuchowie, zawsze myśleliście tylko o sobie i zawsze na koszt Chin. Cesarz Yongle uważał, że byliście po jego stronie. Ale to nieprawda. Zdradziliście Chiny.

Kyu odezwał się, zanim któryś z jego towarzyszy zdążył go powstrzymać.

- Wasza Wysokość! To oficjele zdradzają Chiny! Chcą być twoim regentem, chcą cię traktować jak małego chłopca na tronie.

Podniosła się wrzawa, grupa oficjeli oderwała się w stronę Kyu, część eunuchów wyciągnęła z rękawów noże, inni odskakiwali na boki, wielu uciekło, lecz sporo zaszlachtowano na miejscu. Kyu zadano tysiąc pchnięć.

Cesarz Hongxi stał i przyglądał się wszystkiemu cierpliwie. Kiedy scena dobiegła końca, rozkazał:

- Zabierzcie ich ciała i wywieście je na zewnątrz Południkowych Wrót. Niech wszyscy eunuchowie mają się odtąd na baczności.

Bold siedział sam w stajni, trzymając rzeźbiony glejt. Spodziewał się rychłej śmierci. Wstydził się, że podczas rzezi eunuchów tylko o tym myślał. Mijały kolejne dni i nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Może do tej pory nikt już nie pamiętał, że coś łączyło go z Kyu.

Wiedział, że musi wyruszyć w drogę, ale nie wiedział dokąd. Jeśli udałby się do Nanjing i spalił wielką flotę, port, doki i magazyny, wtedy z pewnością mógłby kontynuować wielki plan czarnego chłopca. Prędzej czy później i tak ktoś to zrobi.

Bold przypomniał sobie ich ostatnią rozmowę. Pora wracać do domu. Może czas zacząć nowe życie?

W drzwiach stajni pojawiły się straże.

8

W krainie bardo Bold objaśnia Kyu prawdziwą naturę rzeczywistości. Ich jati konsoliduje się, zostają wrzuceni z powrotem w świat

W momencie śmierci Kyu ujrzał przejrzyste, wszechobecne, białe światło. Była to jasna i pusta istność, której on sam był częścią i dla której śpiewał swą pieśń.

Niecałą wieczność później pomyślał: Tam właśnie zmierzam.

Po chwili wypadł ze światła i znalazł się z powrotem w świadomości swojej osoby. Jego myśli prowadziły potoczysty monolog, barwny, wręcz karnawałowy, nawet po śmierci. To niesamowite, a jednak prawdziwe. Może więc jeszcze nie byt martwy? Ale przecież jego ciało leży tam, na dziedzińcu Zakazanego Miasta, porąbane na kawałki. Gdzieś głęboko w myślach usłyszał głos Bolda, usłyszał jego modlitwę.

Kyu, czcigodny synu,
Czas, byś odnalazł właściwą ścieżkę.
To życie się skończyło,
Stoisz teraz twarzą w twarz z przejrzystym światłem.

Już tam byłem, pomyślał Kyu. Co dalej? Bold niestety nie wiedział, na którym etapie podróży znajduję się Kyu. Modlitwy za zmarłych na niewiele mogły teraz się zdać.

Za chwilę doświadczysz rzeczywistości
W jej czystej postaci.
Wszystko jest pustką, a ty,
Jak niebo bezchmurne,
Przejrzysty i pusty,
Twój umysł niezachwiany i
Jak źródlana woda czysty.

Już mam to za sobą, pomyślał Kyu, przejdź do następnej części!

- Użyj umysłu, zadaj mu pytanie. Nie zasypiaj w tej ważnej chwili. Niech twoja dusza będzie świadoma, opuszczając ciało. Podążaj przez Brahmę ku Brahmie.

Umarli nie potrafią spać, pomyślał poirytowany Kyu. Moja dusza już dawno opuściła ciało.

Jego przewodnik zostawał w tyle. Z Boldem zawsze tak było. Kyu będzie musiał sam coś wymyślić. Ciąg jego myśli nadal otaczała bezbrzeżna pustka. Niektóre sny, jakie miewał za życia, były właśnie o tym miejscu.

Zamrugał albo przysnął i znalazł się nagle w rozległym gmachu sądu. Podium sędziego znajdowało się na szerokiej platformie, niczym plateau na morzu chmur. Na podwyższeniu zasiadał sędzia, ogromne bóstwo o czarnej twarzy, wydętym brzuchu i ognistej grzywie. Za nim stał czarny mężczyzna, który trzymał w rękach dach pagody, taki sam jak w pałacu w Benjing. Ponad tym wszystkim unosił się Budda, w pozycji lotosu, promieniujący błogością. Po jego prawej stronie znajdowały się łagodne bóstwa,

niosące dary. Były one jednak bardzo daleko od Kyu. Szlachetni zmarli podążali długą drogą, pnącą się w przestrzeń, prosto do tych właśnie bóstw. Na platformie wokół podium zmarłych, którym się nie poszczęściło, rąbały na kawałki demony czarne jak sam Pan Śmierci, lecz mniejsze od niego i zwinniejsze. Poniżej platformy inne demony torturowały dusze. Zbyt dużo się tu działo na raz, Kyu poczuł rozdrażnienie. To mój sąd, a wygląda jak poranek w rzeźni, pomyślał, jak ja mam się tutaj skoncentrować?

Zbliżyła się do niego istota przypominająca małpę. Uniosła rękę.

- Sąd - powiedziała postać głębokim tonem.

Modlitwa Bolda zabrzmiała w głowie Kyu i zrozumiał, że małpę coś łączy z Boldem.

- Zapamiętaj, całe cierpienie, którego doświadczasz, jest wynikiem twojej własnej karmy - mówił Bold - to twoja karma i nikogo innego. Módl się o litość. Pojawi się przed tobą mały biały bóg i maty czarny demon. Oni przeliczą białe i czarne kamienie twoich dobrych i złych uczynków.

I rzeczywiście tak się stało. Białe bóstwo było blade jak skorupka jajka, a drugie czarne jak onyks. Zaczęły przebierać, sortować i układać wielkie stosy białych i czarnych kamieni, które ku zaskoczeniu Kyu były mniej więcej tej samej wielkości, choć on sam nie przypominał sobie żadnych swoich dobrych uczynków.

- Będziesz się bał, będziesz się trwożył, będziesz przerażony.

Wcale nie będę! Na nic mi takie modlitwy, zachowaj je dla siebie, Bold.

- Będziesz kłamał, mówiąc, że nie dopuściłeś się żadnego

występku. Nigdy nie powiem takiej niedorzeczności.

Wtem Pan Śmierci dostrzegł Kyu z wysokości tronu. Chłopcem mimowolnie wstrząsnęły dreszcze.

- Wnieść zwierciadło karmana! - odezwał się bóg przerażającym głosem, a jego oczy zapłonęły jak rozżarzone węgle.

- Nie bój się - ozwał się głos Bolda wewnątrz Kyu. - Nie kłam, nie bądź przerażony, nie lękaj się Pana Śmierci. Ciało, które teraz posiadasz, jest ciałem mentalnym. Nie możesz umrzeć w bardo, nawet jeśli porąbią cię na kawałki.

Dzięki, pomyślał zakłopotany Kyu, wielka mi pociecha.

- Teraz nadszedł czas sądu, trzymaj się mocno myśli o dobrych rzeczach, pamiętaj, że to, co cię otacza, to twoje własne halucynacje. Od twoich obecnych myśli zależy twoje następne życie. Każda chwila ma ogromne znaczenie i potrafi zmienić wszystko. Nie daj się rozproszyć. Kiedy pojawi się sześć świetlistych promieni, przywitaj je ze współczuciem i stań bez lęku przed obliczem Pana Śmierci.

Czarne bóstwo z niebywałą precyzją uniosło zwierciadło, tak że Kyu zobaczył w szklanej tafli swoją własną twarz, czarną jak oblicze bóstwa. Spostrzegł, że twarz ta jest w istocie jego nagą duszą, że zawsze nią była i że zawsze była ciemna i posępna jak Pan Śmierci. To była chwila prawdy! Musiał się skupić, Bold stale mu to powtarzał. A tymczasem dookoła trwał antyczny festiwal, rozlegały się krzyki, piski i pobrzękiwania. W jednej chwili Kyu przyjął na siebie wszystkie kary i odebrał wszystkie nagrody. To było silniejsze od niego, nic nie mógł zrobić i to irytowało go najbardziej.

- Dlaczego czarny to zło, a biały dobro? - zapytał zuchwale Pana Śmierci. - Nigdy sobie tego tak nie wyobrażałem. Skoro wszystko do koła miało być wytworem moich myśli, to dlaczego to się nie zgadza? A dlaczego mój Pan Śmierci nie jest grubym, arabskim handlarzem nie wolników, jaki pojawił się kiedyś w naszej wiosce? Dlaczego jego słudzy nie są lwami i lampartami?

Pan Śmierci jednak był arabskim handlarzem niewolników. Kyu dopiero teraz zobaczył postać Araba, będącego miniaturowym intaglio na gładkiej powierzchni czoła bóstwa. Handlarz spoglądał na Kyu i machał do niego. Był to ten sam człowiek, który uprowadził go i wywiózł na wybrzeże. Pośród wrzasków ludzi przypalanych ogniem, rozlegał się ryk zgłodniałych lwów i lampartów, rozszarpujących wnętrzności jeszcze żywych ofiar.

To tylko moje własne myśli, przypominał sobie Kyu, czując, że strach ściska mu gardło. Plan, na którym się znajdował, przypominał krainę snów, lecz był o wiele bardziej substancjalny, nawet jeszcze bardziej rzeczywisty niż świat, w którym właśnie zakończył żywot. Każdy przedmiot wydawał się tu po stokroć prawdziwszy, nawet liście na krzewach (na ceramicznych misach!) powiewały jak najprawdziwsze liście z jadeitu, podczas gdy nefrytowy tron boga pulsował twardością przewyższającą twardość kamienia. Ze wszystkich światów bardo było rzeczywistością w najczystszej postaci.

Biała twarz Araba na czarnym czole śmiała się i jazgotała:

- Skazany! Skazany!

Z ogromnej, czarnej twarzy Pana Śmierci dobiegł ryk:

- Skazany na piekło! - Po czym zarzucił mu pętlę na szyję, ściągnął go z platformy, odciął mu głowę, wydarł serce, rozszarpał wnętrzności, wypił krew i połamał kości. Kyu jednak nie umarł. Ciało zostało poćwiartowane, a on zachowywał jaźń. Wszystko zaczynało się od początku. Uporczywy, przeszywający ból. Tortura rzeczywistością. Życie jest czymś niesłychanie rzeczywistym, tak samo jak i śmierć.

Wyobrażenia zasadzone jak nasiona w umyśle dziecka mogą później rozrastać się i zdominować całe życie człowieka.

Wołanie - Nie wyrządziłem żadnego zła!

Agonia, w której mieszał się ból, żal i skrucha. Nudności z powodu minionych żywotów, które tak niewiele mu dały. W tej chwili czuł je wszystkie naraz, choć właściwie w ogóle ich sobie nie przypominał. Jednak były. Żeby tylko wydostać się z tego koliska płomieni i łez. Smutek i żal, jakie wówczas odczuwał, były silniejsze od bólu rozczłonkowania. Namacalność bardo nagle rozpadła się. Kyu został zbombardowany światłem, rozbłyskującym z wewnątrz jego myśli. W świetle tym gmach sądu wyglądał jedynie jak jedwabna zasłona, jak malowidło unoszące się w powietrzu.

Jeszcze wyżej unosiła się postać Bolda. Przyszła kolej sądu nad nim. Bold, kuląca się ze strachu małpa, jedyna osoba, poza jego porywaczem, która cokolwiek dla Kyu znaczyła. Chciał krzyczeć do niego o pomoc, lecz poskromił tę myśl, nie chcąc rozpraszać przyjaciela w tym jednym ważnym momencie spośród nieskończonego ciągu chwil, teraz, kiedy najbardziej potrzebował skupienia. Jakiś krzyk musiał się jednak dobyć z Kyu, jęk umysłu,

zlękniona myśl czy też krzyk o pomoc, gdyż od razu pojawiły się czterorękie demony, które zawlokły Kyu daleko w dół, tak że nie mógł się już przyglądać sądowi nad Boldem.

Potem rzeczywiście znalazł się w piekle. Ból był tam jego najmniejszym zmartwieniem, był powierzchowny jak ugryzienia komarów, był niczym w porównaniu z głębokim jak ocean cierpieniem z powodu straty przyjaciela. Ból samotności! Barwne eksplozje pomarańczowe, żółtozielone i rtęciowe, a każdy kolejny odcień jeszcze jaskrawszy od poprzedniego, płonęły w jego świadomości, sprawiając mu coraz większy ból. Błądzę po bardo, ocal mnie, uratuj mnie!

I wtedy Bold zjawił się przy nim.

Stali obok siebie, obleczeni w swoje dawne ciała, i przyglądali się sobie nawzajem. Światła stawały się coraz bardziej przejrzyste, coraz mniej bolesne dla oczu. Pojedynczy promień nadziei przebił się przez głębię rozpaczy Kyu jak samotny papierowy lampion na drugim brzegu Zachodniego Jeziora. - Odnalazłeś mnie - powiedział Kyu.

-Tak.

- To cud, że mnie tu znalazłeś.

- Żaden cud. Zawsze spotykamy się w bardo. Nasze ścieżki będą się krzyżować dopóty, dopóki w tym kosmicznym cyklu nie przeminie sześć światów. Jesteśmy częścią jednej karmicznej jati.

- Co to takiego?

- Jati, podkasta, rodzina, wioska. Różnie się objawia. Wszyscy razem weszliśmy w rzeczywistość. Nowe dusze rodzą się z nicości,

ale rzadko się to zdarza, szczególnie na tym etapie cyklu. Teraz trwa Kali-yuga, Czas Zniszczenia. Jeśli jednak rodzą się nowe dusze, wygląda to jak dmuchawce, dusze jak nasiona ulatują z wiatrem dharmy. Wszyscy jesteśmy nasionami tego, czym możemy się w przyszłości stać. Nowe ziarna zawsze niosą się razem i - o ile mi wiadomo - rzadko się rozdzielają. Przeżyliśmy razem wiele żywotów, a od czasów wielkiej lawiny nasza jati stała się bardzo zwarta. Los związał nas razem, wspólnie wzrastamy i upadamy.

- Nie mam wspomnień z innych swoich żywotów, a z przeszłego życia nie pamiętam nikogo oprócz ciebie. Tylko ciebie poznałem!

- Mnie też nie poznałeś, to my cię znaleźliśmy. Oddalasz się od jati już od wielu inkarnacji, zapadasz się coraz głębiej i głębiej w samego siebie, schodzisz na coraz niższe loka. Jest sześć lok, światów, planów istnienia, powtórnych narodzin i iluzji. Niebo to świat dewów, później świat asurów, gigantów przepełnionych chęcią rywalizacji, później świat

- ludzi, następnie świat zwierząt i świat pretów, zgłodniałych duchów, na końcu zaś jest piekło. Wiodąc kolejne żywoty, poruszamy się między tymi planami w zależności od naszej karmy.

- Jak liczna jest moja jati?

- Nie wiem. Może tuzin, może pół tuzina. Granice są płynne. Niektórzy odchodzą, aby po jakimś czasie powrócić. Kiedyś mieszkaliśmy w jednej wiosce w Tybecie. Pojawili się jednak przyjezdni, handlarze, było nas coraz mniej. Ludzie gdzieś się gubili lub oddalali tak jak ty, pogrążeni w rozpaczy.

Na sam dźwięk tego słowa przepełniła go prawdziwa rozpacz.

Postać Bolda stawała się przezroczysta.

- Bold, pomocy! Co mam dalej robić?

- Bądź dobrej myśli i słuchaj, słuchaj uważnie, Kyu! Jesteśmy tacy, jakie są nasze myśli, zarówno teraz, jak i później, i we wszystkich światach. Rzeczy rodzą się z myśli, oto nasienie wszelkiego działania, dobrego i złego. To, co zasiane, wydaje owoc.

- Będę dobrej myśli, przynajmniej spróbuję, ale co mam robić? Czego mam szukać?

- Będzie prowadzić cię światło. Każdy świat ma swój kolor. Białe światło pochodzi od dewów, zielone od asurów, żółte od ludzi, niebieskie od zwierząt, czerwone od duchów, a dymne pochodzi z piekieł. Twoje ciało przybierze tę barwę, do jakiego świata powróci.

- Przecież jesteśmy żółci! - powiedział Kyu, patrząc na swoje dłonie. Bold też był żółty jak słonecznik.

To znaczy, że musimy spróbować jeszcze raz. Ciągle podejmujemy nowe próby, każde nowe życie to kolejna próba, aż w końcu osiągniemy mądrość Buddy i poprzez nią dostąpimy wyzwolenia. Niektórzy w takiej chwili decydują się na powrót do ludzkiego świata, aby pomagać innym na drodze do wyzwolenia. To Bodhisattwowie. Mógłbyś zostać jednym z nich, Kyu, widzę w tobie potencjał. Posłuchaj mnie teraz. Wkrótce zaczniesz uciekać. Różne rzeczy będą cię ścigać, będziesz ukrywał się w domu, w jaskini, w dżungli, w kwiecie lotosu - oto macice. Będziesz chciał zostać w kryjówce, uciec przed okropnościami bardo. W ten sposób działają pretowie, uważaj, byś nie odrodził się jako duch. Jedyną nadzieją jest dla ciebie ponowne wyłonienie się. Wybierz swoją macicę, nie

kieruj się emocjami, przejdź przez nie bez uwielbienia i bez odrazy. Wzrok może być zwodniczy. Idź tam, gdzie uznasz za stosowne. Podążaj za sercem. Spróbuj pomóc innym duchom, jakbyś już był Bodhisattwą.

- Ale ja nie wiem, co robić!

- Ucz się, bądź skupiony i cały czas się ucz. Musisz się trzymać blisko jati albo stracisz ją na zawsze.

Po chwili zaatakowały ich lwy o bujnych grzywach poplamionych świeżą krwią. Bestie ryczały groźnie. Bold uciekł w jedną stronę, Kyu w przeciwną. Kyu biegł i biegł, mając lwa ciągle za plecami. Ominął kilka drzew i wybiegł na ścieżkę, lew pobiegł prosto i zgubił trop.

Na wschodzie Kyu spostrzegł jezioro, na nim biało-czarne łabędzie, na zachodzie kolejne jezioro i stojące w nim konie, na południu pagody, a na północy także jezioro, w którym stał zamek. Skierował się na południe, w stronę pagód, czując, że taki byłby najprawdopodobniej wybór Bolda, czuł również, że Bold i reszta jati była już tam, na miejscu, i czekała na niego w którejś ze świątyń.

Doszedł do pagód, krążył od jednej budowli do drugiej, zaglądając w każde wrota. Był przerażony widokami chaotycznych tłumów. Ludzie bili się ze sobą i wielkimi grupami uciekali przed strażnikami i dowódcami o hienich łbach. Iście diabelska rodzinka, każda perspektywa okazywała się przerażającą katastrofą. Prawdziwa kolebka śmierci.

Dużo czasu upłynęło na tych strasznych poszukiwaniach. Spojrzał przez bramę kolejnej świątyni i ujrzał swoją jati, swoją

rodzinę. Był tam Bold i z nim cała reszta, Shen, I-Li, Dem, jego matka i Zheng He, każdy z nich natychmiast wydał się Kyu bardzo dobrze znany. Byli nadzy i umazani krwią, w bojowym rynsztunku. Hieny wyły, a Kyu uciekał przez żółte światło poranka, pomiędzy drzewami, by w końcu znaleźć schronienie w wysokich trawach. Hieny przeskakiwały z jednej do drugiej kępy, a Kyu przecisnął się przez ostre jak brzytwa źdźbła jednej z gęstszych darni i schował się w niej.

Zanim hieny poszły, przesiedział dość długo skulony w trawie. Słyszał głosy swojej jati, szukali go i nawoływali, aby trzymał się blisko. Ukrywał się w trawie przez całą noc, wypełnioną okropnymi odgłosami zabijania i zjadania żywych istot. Był jednak bezpieczny. Znów wstał dzień. Kyu zdecydował się ruszyć dalej, lecz okazało się, że dalsza droga była zamknięta. Źdźbła trawy, w której się ukrył przed hienami, urosły i przypominały teraz grube miecze, które zamykały go jak w klatce, której ściany napierały na niego, tnąc jego skórę i rozrastając się. A więc to jest moja macica, wybrałem ją, nie wiedząc, że wybieram, nie słuchałem wskazówek Bolda, jestem daleko od rodziny, nieświadomy i zlękniony, zrobiłem to najgorzej, jak się dało.

Pozostanie oznaczało zmianę w głodnego ducha. Będzie musiał się podporządkować i narodzić na nowo, aż jęknął na tę myśl, przeklął się

i uznał za głupca. Następnym razem staraj się być nieco bardziej obecny umysłem, pomyślał, trochę więcej odwagi! Nie będzie to łatwe. Bardo to straszne miejsce. Teraz, kiedy było już za późno,

zdecydował się spróbować - może następnym razem!

I tak oto z powrotem wyszedł na plan ludzki. Co się tym razem przydarzyło jemu i jego kompanom, nas nie pytaj. *Gate gate para gate para sam gate bodhi svaha.*

Księga II

Hadżdż w dercu hadżiego

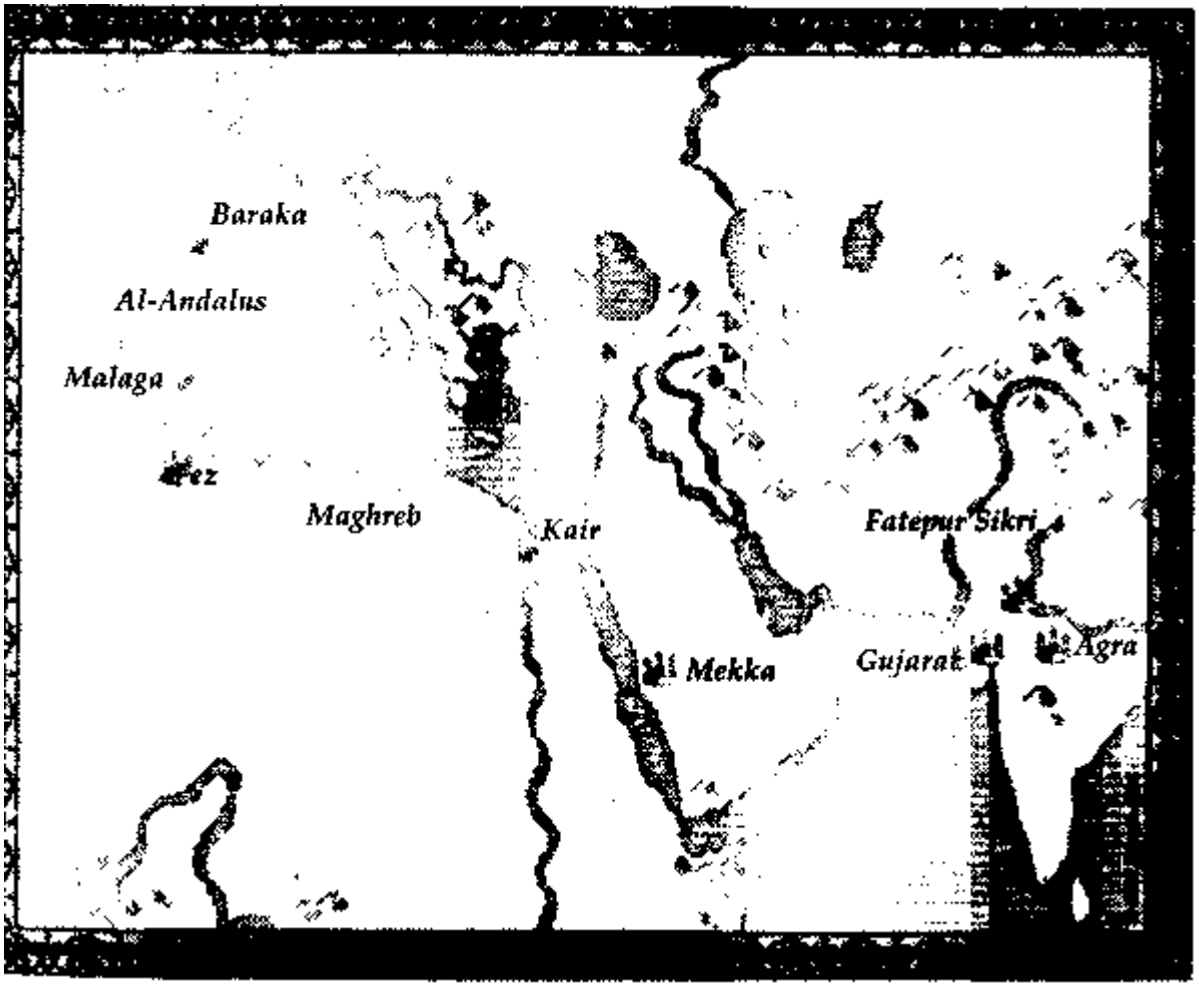

1

Kukułcze jajo

Czasami może zdarzyć się pomyłka. Kiedy reinkarnująca dusza wejdzie w zajęte łono, wtedy w ciele jednego dziecka rezydują dwie dusze i rozpoczyna się walka. Matki od razu mogą wyczuć ten szczególny przypadek po tym, że dziecko rzuca się wewnątrz i siłuje, a kiedy w końcu przychodzi na świat, szok z tym związany uspokaja je tylko na jakiś czas, w którym uczy się oddychać i przyzwyczaja się do nowego życia. Kiedy kończy się ten etap, na nowo rozpoczyna się walka dwóch dusz o panowanie nad jednym ciałem. Najczęściej objawia się to kolką.

Dziecko z kolką płacze i krzyczy jak najęte, napina się i skręca z bólu przez większość dnia. Nie powinno to nikogo dziwić, wszak wewnątrz trwa walka dwóch dusz. Przez wiele tygodni dziecko płacze bez przerwy, a jego wnętrzności rozrywa konflikt. Nic mu nie przynosi ulgi. Nie jest to jednak stan, który utrzymuje się w nieskończoność, to zbyt duże cierpienie jak na jedno młode ciało. W większości przypadków kukułcza dusza przepędza duszę pierwotną i wtedy ciało uspokaja się. Czasem też pierwotnej duszy udaje się wypędzić przybłędę i wtedy na powrót dziecko staje się sobą. Bardzo rzadko zdarza się też tak, że żadna z dusz nie jest na tyle silna, aby wygnać z ciała tę drugą, wtedy po jakimś czasie kolka ustaje, lecz dziecko wyrasta na osobę wewnętrznie podzieloną, zdezorientowaną, nieobliczalną, zawodną i skłonną do szaleństwa.

Kokila urodziła się o północy. Dai wyciągnęła ją i rzekła:

- To dziewczynka, biedactwo.

Jej matka, Zaneeta, przytuliła małą istotkę do piersi, mówiąc:

- I tak będziemy cię kochać.

Miała dopiero tydzień, kiedy dostała ataku kolki. Wypluwała matczyne mleko i płakała bez przerwy przez kolejne noce. Zaneeta bardzo szybko zapomniała, jak pogodne było jej nowe dziecię, łagodny pędrak ssący pierś, kwilący i z zaciekawieniem przyglądający się światu. Męczone kolką dziecko wrzeszczało, płakało, jęczało i skręcało się z bólu. Od samego patrzenia czuło się ból. Zaneeta była bezradna. Trzymała

córkę na rękach, podkładała dłonie pod jej brzuch, który aż marszczył się od kurczących się mięśni, i opuszczała dziecko głową w dół, opierając je o swoje biodra. Pozycja ta najwyraźniej służyła Kokili, gdyż zmuszała ją do utrzymywania główki w poziomie, a tym samym uciszała ją. Nie zawsze jednak to działało, a jeśli już, to nigdy na dłużej. Wkrótce znów zaczynały się bolesne ukłucia, płacz i krzyk. Zaneeta była bliska załamania nerwowego. Musiała nakarmić męża, Radżitiego, i dwie starsze córki. Kiedy urodziła trzecią córkę z rzędu, popadła w niełaskę u męża. Do tego jeszcze niemowlę było nieznośne. Zaneeta próbowała spać z Kokilą w ogrodach dla kobiet, lecz kobiety mające wówczas menstruację, mimo że szczerze współczuły, to nie tolerowały hałasu. Każda z nich lubiła wychodzić z domu z dziewczętami, jednak nie było to miejsce dla niemowląt. Zaneeta musiała więc spać z Kokilą na zewnątrz, pod ścianą rodzinnego domu, gdzie ich łkanie i łzy

przeplatały się wzajemnie.

Sytuacja ta utrzymywała się przez kilka miesięcy, a kiedy ból ustał, dziecko przybrało zupełnie nowy wyraz twarzy. Insef, dai, która odbierała poród, zbadała dziecku tętno, tęczówki i urynę, po czym stwierdziła, że ciało dziewczynki zostało rzeczywiście przejęte przez inną duszę. Nie było to jednak aż tak istotne, gdyż wielu dzieciom się to przytrafiało i często wychodziło to na dobre, gdyż, jak to bywało w przypadku kolki, silniejsza dusza wypierała słabszą.

Kiedy wewnętrzny konflikt ustał, Zaneeta zaczęła się niepokoić o Kokilę, która przez cały okres niemowlęctwa i dzieciństwa mierzyła swoją matkę i resztę świata czarnym i dzikim wzrokiem, jakby nie była do końca pewna, gdzie się znajduje i co tu robi. Była zdezorientowaną i gniewną dziewczynką, lecz mimo to potrafiła sprytnie manipulować innymi. Skora do pieszczot i wrzasków, była nad wyraz piękna i zwinna, a zanim skończyła pięć lat jej pomoc w domu była nie do przecenienia. Do tego czasu Zaneeta urodziła jeszcze dwoje dzieci. Pierwszy był syn, słońce ich życia, przyszedł na świat dzięki Ganesi i Kartikowi. W ich domu było wówczas tyle obowiązków, że matka w końcu doceniła samowystarczalność Kokili i chłonność jej umysłu.

Nowo narodzony syn był oczywiście w centrum zainteresowania całego domu, a Kokilą jedynie najzaradniejszą z córek, zaabsorbowaną sprawami swojego dzieciństwa i młodości. Zaneeta nie zdążyła poznać jej tak dobrze jak swego męża i syna, których naturę znała na wylot.

Przez kilka lat Kokilą swobodnie realizowała swoje dziecięce

pomysły. Insef często mówiła, że dzieciństwo to najlepszy okres w życiu kobiety, ponieważ dziewczynka jest niejako wolna od mężczyzn, może swobodnie pomagać w domu i w polu. Dai była starą kobietą i cynicznie odnosiła się do miłości i małżeństwa - zbyt często widziała, że ich owoce nie przynoszą nikomu nic dobrego. Kokila musiała być jej posłuszna, tak jak i innym, lecz prawdę mówiąc, nie wyglądało na to, aby kogokolwiek słuchała. Każdemu przyglądała się tym zaskoczonym i bacznym wzrokiem, jaki mają leśne zwierzęta, kiedy niespodziewanie natknie się na nie w buszu. Była małomówna, a wypełnianie domowych obowiązków najwyraźniej sprawiało jej przyjemność. W milczącym skupieniu pomagała ojcu i nie interesowała się innymi dziećmi w wiosce, oprócz jednej dziewczynki, którą, jako niemowlę, znaleziono porzuconą w ogrodzie dla kobiet. Insef nazwała ją Bihari i wychowywała na drugą dai w wiosce. Kokila często przychodziła do chaty dai, aby zabrać ze sobą Bihari na poranny obchód po domostwie. Nie rozmawiała z nią więcej niż z innymi ludźmi, za to pokazywała różne rzeczy dokoła, a przede wszystkim chciało jej się nosić dziecko przez cały czas, co za każdym razem zaskakiwało Zaneetę, jako że podrzutek we wsi to nic niezwykłego. Ich przyjaźń była jednym z wielu sekretów Kokili.

Przed porą monsunową Kokila, podobnie jak cala reszta mieszkańców wioski musiała ciężko pracować przez kilka miesięcy z rzędu. Dziewczynka budziła się nad ranem, dokładała do ognia, przechodziła przez chłodną wioskę, gdzie powietrze o tej porze było jeszcze wolne od kurzu, i zabierała Bihari z chaty akuszerki

mieszkającej w lesie. Szła w dół rzeki, do wychodka, po czym podmywała się i wracała przez wioskę po dzbany na wodę, z którymi udawała się w górę rzeki. Mijała zatoczki pralnicze, gdzie już zaczynały zbierać się kobiety i kierowała się w stronę wodopoju. Napełniała wodą dwa duże i ciężkie dzbany i zanosiła je z powrotem do domu, robiąc po drodze kilka przystanków na odpoczynek. Później szła do lasu zbierać chrust. To wszystko zajmowało czasem cały poranek. Następnie wracała na pola, leżące na zachód od wioski, gdzie jej ojciec i jego bracia mieli ziemię, i siała z nimi pszenicę i owies. Zasiew trwał kilka tygodni, tak aby zboża mogły dojrzewać w trakcie długiego miesiąca zbiorów. Rząd zasiany w tym tygodniu był słaby, same małe kiełki, lecz Kokila nie zastanawiała się nad tym i rzucała ziarna w świeżo zaoraną ziemię. Następnie w skwarze dnia siedziała z innymi kobietami i dziewczętami, ucierając ziarna zbóż z wodą na ciasto, z którego lepiła ciapaty i niektóre z nich gotowała. Później szła do krowy. Kilkoma rytmicznymi szarpnięciami palcem w krowim odbycie wywołała potok łajna, które jeszcze ciepłe zbierała rękami, rozklepywała na równomierne porcje wiązką słomy i odkładała do wyschnięcia na kamienno-torfowy mur, graniczący z polem jej ojca. Kilka wysuszonych brykietów krowiego łajna brała ze sobą i zanosiła do domu. Jeden brykiet od razu podrzucała do ognia, po czym szła nad rzekę umyć ręce i przeprać brudną odzież, sari, dhoti i chusty. Później, w słabnącym świetle dnia, kiedy upał i kurz w powietrzu nadawały wszystkiemu złocistą poświatę, szła z powrotem do domu, do paleniska w centralnym pomieszczeniu, aby

upiec ciapa-ty i dal bhat na stojącym obok glinianym piecyku.

Wkrótce po zachodzie słońca do domu wracał Radżit. Zaneeta i dziewczęta od progu otaczały go troskliwą opieką. Zjadłszy dal bhat i ciapaty, mógł w końcu odpocząć i opowiedzieć Zaneecie, co mu się przydarzyło danego dnia, o ile oczywiście nie poszło najgorzej, bo jeśli tak było, to nic nie opowiadał. Zwykle jednak mówił o interesach związanych z obrotem ziemią i bydłem. Rodziny we wsi używały pastwisk drugiego gatunku jako zabezpieczenia dla nowych zwierząt i odwrotnie. Ich ojciec pośredniczył w handlu cielętami, koźlętami oraz prawem do wypasu bydła, głównie między Yelapurem i Sivapurem. Stale też zajmował się wydawaniem za mąż swoich córek, co nie było dobrym interesem, gdyż miał ich po prostu za dużo. Kiedy tylko mógł, kompletował im posagi i wydawał za mąż bez wahania. Nie miał innego wyjścia.

Wieczór się kończył, na noc rozwijali na podłodze materace plecione z sitowia i kładli się spać przy palenisku, jeśli było zimno, a jeśli było gorąco, to dym uchodzący przez otwór w dachu chronił ich przed moskitami.

Jednego wieczoru tuż po obiedzie, na kilka dni przed świętem Durga Pudża, znaczącym koniec żniw, Radżit oznajmił Zaneecie, że pojawiła się możliwość wydania za mąż Kokili, która była następna w kolejce, za mężczyznę z Dharwaru, wioski po drugiej stronie Sivapuru, w której odbywał się targ. Potencjalny przyszły mąż Kokili był Lingayatem, tak jak rodzina Radżitiego i większość mieszkańców Yelapuru. Był trzecim synem przywódcy Dharwaru, wiecznie pokłócony z ojcem, co uniemożliwiło mu zażądanie

obfitego wiana. Kokila podejrzewała, że w Sivapurze nie miał się po prostu z kim ożenić, ale i tak była bardzo podekscytowana. Zaneeta wyglądała na zadowoloną, powiedziała, że przyjrzy się kandydatowi podczas obchodów święta Durga Pudża.

Rytm codziennego życia w dużej mierze zależał od nadchodzącego święta. Każde że nich miało odrębny charakter i atmosferę, która ubarwiała rzeczywistość poprzedzających je dni. Święto Karety Kryszny odbywało się w porze monsunowej. Jego radosne barwy kontrastowały z szarym niebem. Chłopcy dęli w trąby z palmowych liści, jakby chcąc swoim oddechem odegnać deszcz. Czasem można było naprawdę oszaleć od tych dźwięków, od których trąby szybko obracały się z powrotem w palmowe liście. Pod koniec pory monsunowej przychodziło święto Tańczącego Kryszny, wtedy też odbywał się jarmark. Na kolorowych straganach można było kupić dużo niepotrzebnych rzeczy, sitary, bębenki, jedwabie, haftowane nakrycia głowy, a nawet krzesła, stoły i szafy. W końcu przychodził czas Id, święta ludzi wolnych od ziemi i jej bogów. Wtedy też do Sivapuru przyjeżdżali okoliczni muzułmanie, aby podziwiać paradę słoni.

Następne było święto Durga Pudża, jego nastrój zwiastował żniwa, moment kulminacyjny całego roku. Wtedy też czczono boginię matkę i wszystkie jej dzieła.

W pierwszy dzień święta wszystkie kobiety zbierały się i wspólnie ucierały cynobrową pastę bindi, popijając przy tym ognisty czang wyrobu wiejskiej dai. Potem rozchodziły się, umalowane i roześmiane, podążały za muzułmańskimi bębniarzami na czole

parady, wykrzykując:

- Za zwycięstwo Matki Durgi!

Gliniany posąg skośnookiej bogini, złocony i ozdobiony barwnymi szatami, wyglądał prawie jak tybetański oryginał. Wokół niego stały podobnie przybrane statuetki Lakszmi, Saraswati i ich synów, Ganeśi i Katika. Później do slupów ofiarnych, znajdujących się przed posągami, przywiązano dwie kozy i ucięto im łby, które krwawiły, leżąc w prochu ziemi ze wzrokiem wbitym w niebo.

Ofiara z bawołu była jeszcze większym wydarzeniem. Wtedy ze wsi Bhadrapur przyjeżdżał kaptan z wielkim bułatem zaostrzonym specjalnie na tę okazję. Jeśli za pierwszym uderzeniem ostrze nie pokonało całej drogi przez gruby kark bawołu, bogini była niezadowolona i nie przyjmowała ofiary. Przed uroczystością chłopcy spędzali cały ranek, nacierając kark zwierzęcia roztopionym masłem ghee, aby go zmiękczyć.

Tym razem potężny cios kapłana był udany. Rozkrzyczani uczestnicy nabożeństwa wykrwawili ciało ofiary, a z krwi i piachu lepili małe kulki, którymi obrzucali się wzajemnie, piszcząc i nawołując.

Godzinę albo dwie później, nastrój zmienił się całkowicie. Jeden ze starszych mężczyzn zaczął śpiewać.

- Świat jest pełen bólu, a jego źródło w przeszłych czynach.

Kobiety wówczas wstały i odchodziły, gdyż słuchanie, jak mężczyźni rozmawiali ze Wspaniałą Matką, mogło być dla nich niebezpieczne. Kobiety musiały udawać zranione demony, o których opowiadała ich pieśń:

- Kim jest ta, przechadzająca się wśród pól jak Śmierć, ta, co napada i walczy jak Śmierć? Matka swego dziecka nie uśmierci, z jej własnej krwi powstałego, z radości tworzenia. Lecz tam oto ten, który kładzie kres, spogląda tu i tam...

Kiedy zapadał zmierzch, kobiety poszły do domów, przywdziały swoje najlepsze sari, po czym wróciły i ustawiły się w dwóch rzędach, a chłopcy i mężczyźni zawołali:

- Wspaniała Bogini zwyciężyła!

Rozbrzmiała muzyka, szalona i beztroska, tłum ruszył do tańca, a inni zgromadzeni rozmawiali ze sobą wokół wielkiego ogniska, wszyscy wyglądali pięknie i strasznie zarazem, kiedy ich odświętne szaty lśniły w ognistej łunie.

Po jakimś czasie przyszli ludzie z Dharwaru i rozpoczęły się dzikie tańce. Ojciec Kokili złapał ją za rękę, wyprowadził z rzędu i przedstawił rodzicom wybranka. Jego rodzina najwyraźniej zdążyła pogodzić się jeszcze przed świętem, aby móc godnie dopełnić obrządku. Ojca poznała już wcześniej, był przywódcą Dharwaru, miał na imię Shastri. Matki nigdy wcześniej nie widziała, gdyż jej mąż zawsze nakazywał jej zasłaniać twarz, choć w rzeczywistości nie byli aż tak zamożni, aby było to konieczne.

Matka spojrzała na Kokilę ostrym, aczkolwiek przyjaznym wzrokiem. Pasta bindi spływała kobiecie spomiędzy brwi, a jej twarz była spocona w tę gorącą noc. Wyglądała na przyzwoitą teściową. Następnie przyprowadzono wybranka, Gopala, trzeciego syna Shastriego. Kokila skłoniła się sztywno, patrząc na niego z ukosa i nie wiedząc, co tak naprawdę czuje. Miał chudą twarz, wyglądał na

energicznego młodzieńca, może lekko skrępowanego - ale tego Kokila nie była pewna. Była wyższa od niego, ale to się mogło jeszcze zmienić.

Po chwili odprowadzono ich z powrotem do ich własnych grup, nie zdążyli zamienić ze sobą ani słowa, nie mieli nic oprócz jednego, nerwowego spojrzenia. Od tamtej chwili nie widziała Gopala przez następne trzy lata. Cały czas wiedziała jednak, że są sobie pisani, i uważała, że tak jest dobrze, że wyjaśniła się kwestia jej zamążpójścia, a ojciec mógł nareszcie przestać się martwić i zacząć traktować ją bez zbędnego pod-denerwowania.

Z czasem Kokila dowiedziała się od plotkujących kobiet nieco więcej na temat rodziny, do której miała dołączyć. Okazało się, że Shastri nie należał do najpopularniejszych przywódców. Ludzie zarzucali mu, że niedawno skazał na banicję kowala z Dharwaru za to, że odwiedził brata, mieszkającego w górach, nie pytając o zgodę przywódcy. Shastri wydał wyrok samowolnie, bez zwoływania panczajatu, Rady Pięciu, która mogłaby rozważyć decyzję o zastosowaniu takiej kary. Poza tym, od momentu odziedziczenia godności przywódcy po swoim zmarłym ojcu, nigdy jeszcze nie zwołał panczajatu. W końcu ludzie zaczęli szemrać za plecami, bo nikomu się nie podobały poczynania Shastriego i jego najstarszego syna, z którym wspólnie zarządzali Dharwarem, niczym bezlitośni zamindarowie, ściągający ogromny haracz z własnych ziem!

Kokila przyjmowała te opowieści bez emocji i nadal większość czasu spędzała z Bihari, która poznawała właśnie zioła, jakich akuszerka używała w lecznictwie. Kiedy razem wychodziły do lasu

po chrust, Bihari uważnie przeczesywała runo w poszukiwaniu roślin, które zabierała ze sobą do domu. Słodkogórz rósł na nasłonecznionych polanach, kokoryczka w wilgotnym cieniu, rycynus między korzeniami drzewa saal i tak dalej. Po powrocie do chaty Kokila pomagała miażdżyć suszone zioła albo przygotowywać je na inne sposoby, używając spirytusu i różnych rodzajów oleju. Wspólnie szykowały medykamenty, których Insef używała w akuszerstwie, aby wywoływać skurcze, rozluźniać macicę, uśmierzać ból, otwierać szyjkę macicy lub powstrzymywać krwawienie. Obie dostały od Insef długie listy roślin i części zwierząt, których chciała, aby nauczyły się na pamięć.

- Jestem już stara - zwykła mawiać - mam już trzydzieści sześć lat. Moja matka zmarła w trzydziestym roku życia. Jej matka przekazała jej całą swą wiedzę o tradycyjnej medycynie naturalnej, którą sama posiadła od dai z wioski w południowej prowincji Dravida, gdzie własnością zarządzały kobiety, ona nauczyła moją babkę wszystkiego, o czym wiedzą Dravidanki. Ich wiedza przekazywana jest od zarania przez kolejne pokolenia dai, a wywodzi się od Saraswati, samej bogini nauki, więc nie wolno nam pozwolić, by popadła w zapomnienie. Musicie posiąść tę wiedzę i przekazać ją córkom, aby porody były jak najlżejsze i jak najwięcej niemowląt przeżywało.

Ludzie mówili, że Insef miała wija w głowie (było to wyrażenie używane najczęściej w odniesieniu do ekscentryków, choć matki często sprawdzały uszy swoim dzieciom, jeśli leżało się na trawie. Czasem nawet przepłukiwały im uszy olejem, gdyż wije nienawidzą

oleju), czasem mówiła tak szybko, że chyba nikt na świecie nie potrafił mówić szybciej. Trajkotała głównie do siebie, lecz Kokila lubiła jej słuchać.

Insef nie musiała specjalnie przekonywać Bihari o ważności tych spraw. Bihari była żywą i słodką dziewczyną, miała bystry wzrok, który przydawał się w lesie, i doskonalą pamięć do roślin, a do tego była zawsze radosna i dla wszystkich miała dobre słowo. Może była aż nadto wesoła i atrakcyjna, gdyż w tym samym roku, w którym Kokila miał wyjść za Gopala, Shardul, jego starszy brat i najstarszy syn Shastriego, który wkrótce miał zostać jej szwagrem, jednym z tych mężczyzn w rodzinie jej męża, którzy mogli jej rozkazywać, zaczął przyglądać się bliżej Bihari. Później już otwarcie się na nią gapił, cokolwiek by nie robiła, a to nie wróżyło nic dobrego, jako że Bihari była poniekąd nietykalna i nie na wydaniu. Insef robiła wszystko, co w jej mocy, aby ją odizolować. Czas świąt sprzyjał jednak samotnym ludziom do łączenia się w pary, a codzienne życie w wiosce również obfitowało w okazje do ukradkowej wymiany spojrzeń, a nawet do krótkich spotkań. Bihari zaczęła odwzajemniać zainteresowanie Shardula, mimo iż wiedziała, że nie jest na wydaniu. Podobała jej się myśl o normalnym życiu, bez względu na to, jak bardzo stara dai ją przed nim przestrzegała.

Nadszedł w końcu dzień, w którym Kokila poślubiła Gopala i razem z nim przeprowadziła się do Dharwaru. Jej teściowa wydawała się być osobą drażliwą i wycofaną z życia rodzinnego, a Gopal sam w sobie nie okazał się żadną wspaniałą nagrodą. Był to niespokojny człowiek, mający niewiele do powiedzenia,

zdominowany przez rodziców, nigdy do końca niepogodzony z ojcem. Z początku próbował tyranizować Kokilę i pomiatać nią, tak jak nim pomiatano, lecz robił to bez przekonania, zwłaszcza po tym, jak odgryzła mu się kilka razy ostrą ripostą. Przywykł do takich zachowań i dzięki temu dość szybko zdołała go sobie podporządkować. Nie przepadała za nim, zawsze wyczekiwała sposobności, żeby urwać się z domu i spotkać w lesie z Bihari i z dai. Prawdę mówiąc, to jedynie Prithvi, drugi syn w rodzinie przywódcy, wydawał się jej sympatyczną osobą. Lecz jego nigdy nie było w domu, już od wczesnego ranka starał się mieć jak najmniej do czynienia ze swoją rodziną, byt małomówny i powściągliwy.

Pomiędzy dwoma wioskami trwał bezustanny ruch, o wiele żywszy, niż Kokila to sobie wyobrażała. Jakoś jednak musiała sobie radzić, więc w tajemnicy przed wszystkimi zażywała przyrządzoną przez starą akuszerkę miksturę, która uniemożliwiała jej zajście w ciążę. Co prawda miała już czternaście lat, ale chciała jeszcze zaczekać.

Wkrótce wszystko zaczęło się psuć. Starej dai znów dawały się we znaki spuchnięte stawy i prawie w ogóle nie mogła się już ruszać, więc Bi-hari musiała przejąć jej obowiązki i odtąd coraz częściej widywano ją w Dharwarze. Tymczasem Shastri i Shardul knuli jakiś spisek, aby zarobić pieniądze, zdradzając całą wioskę. Planowali dogadać się z wysłannikiem zamindara co do zmiany oceny należności podatkowych na jego korzyść, a część zysków zabrać dla siebie. Właściwie to zmawiali się, aby na miejsce prawa hinduskiego wprowadzić Dharwar, muzułmański system podatkowy.

Prawo hinduskie w formie religijnych nakazów było święte i uznawało podatek w postaci płodów rolnych nie większy niż jedna szósta plonów, natomiast według kodeksu muzułmańskiego opodatkowaniu mogło podlegać wszystko, co znajdowało się w posiadaniu rolnika, i w głównej mierze zależało to od widzimisię zamindara. W praktyce oba systemy działały bardzo podobnie, jednak stawki muzułmańskie zależały od wielkości plonów i ogólnej sytuacji bytowej i tu właśnie wkraczali Shastri i Shardul. Pomagali zamindarowi w wyliczeniach, ile można by jeszcze wycisnąć od mieszkańców wioski, nie zmuszając ich do głodowania. Kokila leżała w nocy obok śpiącego Gopala i przez uchylone drzwi usłyszała, jak Shastri i Shardul rozpatrują istniejące możliwości.

- Pszenica i jęczmień, dwie piąte, jeśli podlewana naturalnie, jeśli wodą ze studni, wtedy trzy dziesiąte.

- Brzmi nieźle. W takim razie daktyle, winogrona, rośliny zielone i ogrodowe, jedna trzecia.

- Ale z plonów letnich jedna czwarta.

Aby ułatwić im pracę, zamindar w końcu mianował Shardula na qanugo, taksatora wioski, lecz nawet bez tego był on podłym człowiekiem i w dodatku nadal oglądał się za Bihari. Podczas święta Karety zabrał ją do lasu. Z tego, co opowiadała później, Kokila zrozumiała, że Bihari nie miała nic przeciwko. Z lubością opowiadała wszystkie szczegóły.

- Leżałam na plecach, w błocie, padał deszcz i krople spływały mi po twarzy, a on je zlizywał, mówiąc - kocham cię, kocham cię.

- Przecież wiesz, że on cię nigdy nie poślubi - zauważyła zaniepo-

kojona Kokila. - A jego bracia wcale nie będą zadowoleni, jak się o wszystkim dowiedzą.

- O niczym się nie dowiedzą. To było takie namiętne, Kokilo, nawet nie potrafisz sobie tego wyobrazić! - Wiedziała, że Kokila nie była zachwycona Gopalem.

- Dobrze, dobrze. Z tego mogą być kłopoty. Czy warto ryzykować dla tych kilku chwil uniesienia?

- Warto! Uwierz mi.

Przez chwilę była taka szczęśliwa, że aż zaczęła śpiewać stare piosenki o miłości, szczególnie tę jedną, którą niegdyś śpiewały razem, jedną z tych starszych.

Często lubię sypiać z kimś
Innym
A najmilej, kiedy mąż wyjechał
Daleko
Nocą deszcz spływa ulicami i wieje wiatr
I nie ma nikogo.

Mimo wszystkich starań i zabiegów Insef, Bihari jednak zaszła w ciążę. Z początku próbowała to ukrywać, lecz kiedy stara dai leżała niemal sparaliżowana, to ona musiała odbierać wszystkie porody. W ten sposób jej stan został szybko zauważony. Ludzie poskładali sobie to, co widzieli i zasłyszeli. Rozpowiadali, że to Shardul zrobił jej dziecko. W tym czasie żona Prithviego zaczęła rodzić, więc Bihari udała się do niej i odebrała poród. Dziecko, chłopiec, zmarło

kilka minut po porodzie. Kiedy wyszli przed dom, Shastri uderzył Bihari w twarz i nazywał ją czarownicą i dziwką.

Kokila dowiedziała się o tym dopiero podczas wizyty w domu Prithviego, od jego żony, która twierdziła, że poród odbył się szybciej niż ktokolwiek się spodziewał i że wątpi, aby Bihari popełniła jakiś błąd. Kokila pośpieszyła do chaty dai, gdzie zastała przygarbioną i połamaną staruszkę, dyszącą między nogami Bihari, próbującą wydobyć dziecko na zewnątrz.

- Poroniła! - wyjaśniła Kokili.

Kokila z miejsca wszystkim się zajęła, robiąc to, co kazała jej dai. Całkowicie zapomniała o swojej rodzinie, w końcu zapadł zmierzch i dopiero wtedy przypomniała sobie coś i aż krzyknęła:

- Muszę już iść!

- Idź, wszystko będzie dobrze - wyszeptała Bihari.

Kokila pobiegła przez las w stronę Dharwaru. Kiedy dotarła do domu, bez słowa dostała w twarz od teściowej, co było tylko wstępem przed Gopalem, który uderzył ją pięścią w ramię, zabronił wchodzić do lasu i pojawiać się w Sivapurze. Był to wręcz śmieszny zakaz, biorąc pod uwagę ich warunki bytowe. Jak zatem mam ci przynosić wodę? - już miała pytać Kokila, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język. Stała i masowała ramię, wbijając w teściową i męża swój szyderczy wzrok, do momentu aż stwierdziła, że są już na tyle przerażeni, że nie będą jej więcej bić.

Później już tylko mierzyła posępnym wzrokiem podłogę, posprzątała po obiedzie, jaki sobie nieudolnie przyrządzili podczas jej nieobecności - nawet zjeść porządnie bez niej nie umieli. Nigdy

nie zapomni tej wściekłości, jaką do nich wtedy zapałała.

Następnego ranka, jeszcze przed świtem, wymknęła się z domu, zabierając ze sobą dzbany na wodę, i pośpieszyła przez szary i wilgotny las. Spadające liście pokrywały każde jego piętro, od runa aż po wysoki baldachim z koron drzew. Dobiegła do chaty dai wystraszona i zdyszana.

Bihari i jej dziecko zmarli. Bihari nie żyła, a stara dai leżała wyciągnięta na swoim sienniku, dysząc z bólu i z wycieńczenia po wszystkich zabiegach, jakie niedawno wykonała. Wyglądała, jakby w każdej chwili sama miała zgasnąć i opuścić ten świat.

- Odeszli godzinę temu - powiedziała. - Dziecko powinno było przeżyć, nie wiem, co się stało, Bihari bardzo krwawiła, próbowałam zatamować krew, ale nie mogłam dosięgnąć...

- Naucz mnie przyrządzać truciznę. -Co?

- Naucz mnie przyrządzać silną truciznę, której mogłabym użyć. Wiem, że się na tym znasz. Naucz mnie przyrządzać najsilniejszą truciznę, jaką znasz, w tej chwili!

Staruszka odwróciła głowę do ściany, płacząc. Kokila mocnym ruchem przekręciła ją w swoją stronę i krzyknęła:

- Naucz mnie!

Insef spojrzała na dwa ciała leżące pod rozłożonym sari. Nie było już nikogo więcej do zawiadomienia. Kokila już uniosła rękę, aby zacząć jej grozić. Powstrzymała się jednak i rzekła:

- Proszę cię! Muszę to wiedzieć.

- To zbyt niebezpieczne.

- Na pewno nie aż tak, jak zasztyletowanie Shastriego.

- Z pewnością.

- Utopię w nim ostrze, jeśli mi nie powiesz. A wtedy spalą mnie na stosie.

- Zrobią to, jeśli go otrujesz.

- Nikt się nie dowie.

- Pomyślą, że ja to zrobiłam.

- Wszyscy wiedzą, że nie możesz się ruszać.

- To nie ma znaczenia, w takim razie pomyślą, że ty to zrobiłaś.

- Zrobię to bardzo sprytnie, uwierz mi. Będę wtedy u swoich rodziców.

- To nie ma znaczenia. I tak będą nas obwiniać. A Shardul jest jeszcze gorszy od Shastriego, dobrze o tym wiesz.

- Naucz mnie!

Kobieta przez dłuższą chwilę wpatrywała się w jej oczy, po czym przewróciła się na drugi bok i otworzyła koszyk z robótkami ręcznymi. Pokazała Kokili małą ususzoną roślinkę i kilka jagód.

- To jest szalej jadowity, a to nasiona rycynusa. Zmiel liście szaleju na pastę i dodaj do niej nasiona tuż przed podaniem. Jest gorzkie, ale nie trzeba dużo. Aby zabić, wystarczy dodać szczyptę do pikantnej potrawy. Ostrzegam cię jednak, że efekty nie przypominają niestrawności i ewidentnie wskazują na otrucie.

Kokila przyglądała się wszystkiemu uważnie i snuła swój plan. Shastri i Shardul nadal pracowali dla zamindara, a z każdym kolejnym miesiącem przybywało im wrogów. Zaczęła też krążyć plotka, że w nocy podczas Gauri Hunnime, święta kobiet, kiedy czci się podobizny Siwy i Parvati zrobione z błota, Shardul zgwałcił w lesie

kolejną dziewczynę.

Tymczasem Kokila nauczyła się na pamięć planu ich dnia powszedniego. Shastri i Shardul bez pośpiechu jedli śniadanie, po czym Shastri przyjmował petentów w pawilonie między ich domem a studnią, a Shardul siedział przed domem i zajmował się rachunkami. Podczas południowych upałów ucinali sobie drzemkę lub przyjmowali gości na werandzie, wcinającej się w las od północnej strony. Popołudniami najczęściej zjadali lekki posiłek, leżąc na kanapach, jak mali zamindarowie, później szli z Gopalem lub jednym z dwóch wspólników na targ, gdzie do zachodu słońca “robili interesy". Do wioski wracali, pijąc po drodze albo będąc już pijanymi. Rozbijali się rozweseleni, przychodząc o zmroku na obiad. To była żelazna rutyna, jaka zresztą panowała w każdej wiosce.

Kokila dopracowywała swój plan podczas samotnych spacerów do lasu po chrust, kiedy większość czasu spędzała na poszukiwaniach szaleju i nasion rycynusa. Można było je znaleźć w najwilgotniejszej i najbardziej zacienionej części lasu, gdzie zaczynało się bagno. Tam kryły się najbardziej niebezpieczne stworzenia, od moskitów po tygrysy. Jednak w południe większość takich zwierząt odpoczywała. Podczas upalnych miesięcy wszystko, co żywe, wydawało się spać w południe, nawet leniwie zwisające z drzew pnącza. Owady bzyczały w sennej ciszy, a dwie trujące rośliny zajaśniały przed nią w nikłym świetle jak zielone lampiony. Zmówiła jeszcze modlitwę do Kali i wyrwała je, czując rozrywające ją od wewnątrz cierpienie. Zmiażdżyła w garści strąk rycynusa, by wydobyć zeń nasiona, które razem z drugim ziołem wepchnęła od

razu za pas swego sari, a następnie ukryła w lesie, niedaleko domu, tuż obok wychodka. Było to na dzień przed świętem Durga Pudża. Tamtej nocy nie mogła spać, miała tylko krótkie, urwane sny, w których przychodziła do niej Bihari i pocieszała ją.

- Źle rzeczy zdarzają się w każdym życiu - mówiła Bihari - nie można się z tego powodu złościć.

W jednym ze snów było coś jeszcze, lecz po przebudzeniu obraz rozmył się i znikł. Kokila poszła do swojej kryjówki po części roślin. Liście szaleju wrzuciła do tykwy i ucierała wściekle na miazgę. Tykwę i kamień cisnęła w kępy paproci, a pastę nałożoną na liść zaniosła w dłoni do domu Shastriego, gdzie czekała na popołudniową drzemkę mężczyzn. Ten dzień ciągnął się w nieskończoność. Po jakimś czasie dorzuciła do pasty drobne nasiona i posmarowała miksturą placki zbożowe, przygotowane dla Shastriego i Shardula na popołudniową przekąskę. Zaraz po tym wybiegła z domu prosto w las, a serce wyrywało się z jej piersi jak spłoszony jeleń, który przed nią umykał. Biegła tak jak i on, w oszalałym tempie, przerażona tym, co zrobiła, może aż nazbyt podobna do zwierzęcia, gdyż nagle wpadła w sidła, zastawione przez mężczyznę z Bhadrapuru. Zanim znalazł ją, oszołomioną i miotającą się w zaciśniętych linkach, z resztkami trującej pasty na palcach, i zabrał do Dharwaru, Shastri i Shardul już nie żyli. Prithvi został nowym dowódcą wioski, a Kokilę okrzyknięto wiedźmą i trucicielką i zabito na miejscu.

2

Z powrotem w bardo

Z powrotem w bardo Kokila i Bihari siedziały obok siebie na czarnej podłodze wszechświata w oczekiwaniu na sąd.

- Znów ci się nie udało - powiedziała Bihari, będąca jednocześnie Boldem, Bel i Borondi, i wieloma innymi swoimi wcieleniami, którymi była do momentu swoich prawdziwych narodzin na początku Kali-yuga, Czasu Zniszczenia, czwartej z czterech er, kiedy to powstała z nicości jako nowa dusza, w wyniku erupcji Bytu z Niebytu. To cud, wymykający się wszelkim próbom eksplikacji w ramach naturalnych praw, a zarazem wskazujący na istnienie jakiegoś wyższego świata, może nawet wyższego od świata dewów, którzy zasiadali teraz na podwyższeniu i przyglądali się im. To świat, do którego wszyscy instynktownie pragnęli powrócić. Bihari mówiła dalej:

- Dharmy nie można przejść na skróty, musisz nad nią pracować krok po kroku, dawać z siebie wszystko w każdej nadarzającej się sytuacji. Nie da się tak po prostu wskoczyć do nieba.

- Mam to gdzieś - odpowiedziała Kokila, wykonując nieprzyzwoite gesty w stronę bóstw. Nadal była tak wściekła, że mogła toczyć pianę z ust. Przerażona płakała i wycierała nos wierzchem dłoni.

- Będę przeklęta za to, co zrobiłam.

- Owszem, będziesz. To właśnie dlatego zawsze gdzieś się zawieruszasz i dlatego, będąc na świecie, nigdy nie rozpoznajesz swojej jati. Powiedz, dlaczego wciąż wyrządzasz krzywdę swojej rodzinie? Czyż nie wiesz, że razem wznosimy się i upadamy?

- Nie wiem, dlaczego tak jest.

W tej chwili odbywał się sąd nad Shastrim, który klęczał z rękami złożonymi w błagalnym geście.

- Jego powinno się wysiać do piekieł! - krzyknęła Kokila w stronę czarnego bóstwa - w najniższe i najstraszniejsze kręgi piekielne.

Bihari potrząsnęła głową.

- Wszystko odbywa się krok po kroku, tak jak powiedziałam. Posuwamy się małymi krokami, w górę lub w dół. Myślę, że to ty zostaniesz zesłana na dól za to, co zrobiłaś.

- To było sprawiedliwe! - krzyknęła Kokila. - Wzięłam sprawiedliwość w swoje ręce, ponieważ wszyscy inni się bali! I gdyby trzeba było zrobić to ponownie, zrobiłabym to! - Krzyczała w górę, ku czarnemu bóstwu. - Sprawiedliwość, przeklęta sprawiedliwość!

- Cicho bądź! - odezwała się stanowczo Bihari. - Będziesz miała swoją okazję. Nie chcesz chyba powrócić jako zwierzę?

Kokila spojrzała na nią gniewnie i odparła:

- Przecież my jesteśmy zwierzętami, nie zapominaj o tym - zamach nęła się, aby uderzyć Bihari w ramię, lecz jej dłoń przeniknęła przez ciało Bihari, co poniekąd ostudziło jej zapał. Znajdowały się w świecie

dusz, to było pewne. - Zapomnij o tych bogach - warknęła. - Potrzeba nam sprawiedliwości i jeśli trzeba będzie, to wzniecę bunt choćby i tutaj, w bardo!

- Wszystko po kolei - powiedziała Bihari - krok za krokiem. Najpierw postaraj się rozpoznać swoją jati i zadbać o nią, a później działaj dalej.

3

Litość tygrysa

Tygrysica Kya przemierzała wysokie trawy z pełnym żołądkiem i futrem wygrzanym w słońcu. Trawy, jak zielona ściana, napierały na jej tułów z każdej strony. Wierzchołki roślin falowały na lekkim wietrze, przysłaniając błękit nieba nad głową tygrysicy, a strzeliste źdźbła wyrastały promieniście z ogromnych kęp i zaginały się u szczytu. Kępy rosły gęsto, a tygrysica, znajdując przy ziemi wąskie prześwity między nimi, brnęła do przodu. W końcu doszła do granicy traw, za którą znajdowała się rozległa parkowa esplanada, wypalana co roku przez ludzi. Wypasały się tu łaciate indyjskie jelenie, dzikie świnie i antylopy, szczególnie antylopy nilghai.

Tego ranka stała tam samotna łania wapiti i skubała trawę. Kya potrafiła naśladować odgłosy kozła wapiti - kiedy była rozgrzana robiła to ot tak sobie, lecz tym razem tylko czekała. Łania musiała coś zwietrzyć, gdyż po chwili uciekła. Na otwartą przestrzeń zabłąkał się teraz młody gaur o kasztanowym umaszczeniu i białych skarpetach. Kiedy zaczął się zbliżać, Kya podniosła przednią łapę, wyprostowała ogon, zachwiała się w przód i w tył, łapiąc równowagę. Po chwili zerwała się z wyrzuconym do góry ogonem i przecięła polanę serią pięciometrowych susów, porykując donośnie. Dopadła gaura, obaliła go na ziemię, zacisnęła kły na gardle i zadusiła.

Jadła, zwycięska.

Jej kol-bal, szakal, którego wygnano z watahy, kręcił się gdzieś w pobliżu, ukazywał swój brzydki pysk po drugiej stronie polany i

szczekał. Warknęła na niego, na co on cofnął się i schował łeb w trawie.

Kiedy najadła się do syta, poczłapała w dół zbocza. Kol-bal i kruki dokończą gaura.

Doszła do rzeki. Powierzchnia płytkiego rozlewiska usiana była wysepkami, na których rosły miniaturowe dżungle, z własnymi baldachimami koron drzew shisham i saal. Na niektórych z nich miała swoje legowiska, w wyleżanych zaroślach, wśród pnączy i chaszczy, pod krzewami tamaryszku, którego gałęzie zwisały nad rozgrzanym piaskiem brzegów strumienia. Stąpając po gładkich kamieniach, tygrysica doszła do wody, pochyliła łeb i piła. Następnie weszła w bród i stanęła, czując, jak jej futro faluje w wartkim nurcie. Woda była przejrzysta i nagrzana. Na piaszczystym brzegu liczne zwierzęta zostawiły odciski łap i kopyt, a okoliczne trawy woniały ich zapachami: przychodziły tu wapiti i piżmowiec, szakal i hiena, nosorożec i gaur, świnia i kolczatka, niemal cala wioska, lecz w zasięgu wzroku nie było nikogo. Przeszła w bród na jedną z wysepek i ułożyła się w zacienionym legowisku, wymoszczonym w trawie. Krótka drzemka. Żadnych młodych w tym roku, nie trzeba polować przez najbliższy dzień, może dwa. Kya ziewnęła szeroko i donośnie, po czym zasnęła, zapadając w ciszę, którą tygrysy pulsują w dżungli.

Śniło jej się, że była małą, brązową, wiejską dziewczynką, jej ogon drgnął, kiedy poczuła ciepło domowego paleniska, miłość fizyczną twarzą w twarz, urazy po ciskanych w nią kamieniach. Zamruczała przez sen i wyszczerzyła kły. Poczuła strach, który

wyrwał ją ze snu, wstała i ułożyła się z powrotem, próbując znów zasnąć.

Jakieś hałasy przywołały ją na powrót do świata. Ptaki i małpy rozprawiały o zbliżających się z zachodu ludziach, którzy płynęli tu z nurtem rzeki. Kya wstała, pośpiesznie opuściła swoją wyspę i znikła wśród najgęstszych okolicznych traw, tuż za kolejnym zakrętem rzeki. Ludzie mogli być niebezpieczni, zwłaszcza w grupie, w pojedynkę byli bezradni, wystarczyło tylko wybrać odpowiedni moment i zaatakować od tyłu. Natomiast grupa ludzi potrafiła zapędzać zwierzęta w pułapki i zasadzki. Taki koniec spotkał już niejednego tygrysa. Widziała je później, obdarte ze skóry i z obciętą głową. Kiedyś ujrzała tygrysicę, która próbowała wspiąć się na drewniany słup, aby zdobyć położone na szczycie mięso, poślizgnęła się na tłustej plamie i spadła na drewniane kolce, ukryte w liściach. Takie rzeczy robili ludzie.

Dziś jednak nie brzmiały żadne bębny, okrzyki ani dzwonki. Poza tym już za późno na polowania. To musieli być podróżni. Kya prześlizgnęła się dyskretnie przez trawy, łapała w nozdrza wiatr i nasłuchiwała. Posuwała się w kierunku rozległej polany, wśród wysokich traw, skąd miała najlepszy widok na płytką zatoczkę.

Ułożyła się na zgniecionej kępie trawy i spod przymrużonych powiek obserwowała, jak przepływają.

W dole, przy brzegu dostrzegła też innych ludzi, rozproszonych po lesie, leżących i czekających na tych, którzy mieli się pojawić.

Kiedy ich obserwowała, kolumna ludzi wpłynęła do zatoki, a ci schowani między drzewami wyskoczyli ze swoich kryjówek i

krzycząc, wypuszczali w stronę tamtych strzały. Wyglądało to na wielkie polowanie. Kya przyczaiła się i obserwowała uważnie, kładąc po sobie uszy. Już kiedyś widziała taką scenę, zaskoczyła ją wtedy ogromna liczba zabitych. Wtedy też po raz pierwszy spróbowała ludzkiego mięsa, tamtego lata miała do wykarmienia bliźnięta. Bez wątpienia ludzie byli najgroźniejszymi stworzeniami w dżungli, oprócz słoni oczywiście. Zabijali bez skrupułów, tak jak czasami robił to kol-bal. Bez względu na to, co się dalej stanie, i tak pozostanie tu dużo mięsa. Kya ukryła się nieco bliżej i bardziej teraz nasłuchiwała, niż się przyglądała. Okrzyki, piski i wrzaski, ryk, nawoływanie, dźwięk trąb, szczęk śmiercionośnej stali. Coś jakby odgłosy zwycięskiego finału jednego z jej polowań, z tym że zwielokrotnione.

W końcu zgiełk ucichł i myśliwi rozeszli się. Po długiej chwili w dżungli na powrót zapanowała głęboka cisza. Kya powstała i rozejrzała się. W powietrzu unosiła się woń krwi, z pyska pociekła jej ślina. Martwe ciała leżały po obu brzegach rzeki, zaplątane w roślinność, inne zalegały na płyciźnie. Tygrysica stąpała ostrożnie, jedno z większych ciał zaciągnęła do cienia i tam zjadła część. Nie była głodna. Usłyszawszy hałas, umknęła zwinnie w cień, sierść zjeżyła się jej na grzbiecie, rozglądała się bacznie w poszukiwaniu źródła dźwięku, który przypominał odgłos łamanej gałęzi. Po chwili usłyszała kroki. To człowiek. Jeszcze stoi. Ocalały.

Kya odprężyła się i jako że była już nasycona, podeszła do człowieka z ciekawości. Kiedy ją ujrzał, odskoczył gwałtownie do tyłu, a właściwie ciało zrobiło to bez jego woli. Stał teraz i patrzył na

nią wzrokiem, jaki miały ranne zwierzęta, pogodzone ze swoim losem. Choć ten wznosił jeszcze oczy ku niebu, jakby mówił: co gorszego mogłoby mnie jeszcze dzisiaj spotkać, albo: tylko nie to. Wyraz jego twarzy był taki sam jak młodych dziewcząt, którym przyglądała się, jak zbierały chrust w lesie, kiedy z pełnym żołądkiem wychodziła im naprzeciw. Ludzie, którzy zasadzili się na grupę tego człowieka, nadal obstawiali szlak do najbliższej wioski. Wkrótce znajdą go i zabiją.

On spodziewał się, że zrobi to tygrysica. Ludzie zawsze są tacy pewni siebie, tacy pewni, że rozpracowali już cały świat i uczynili się jego władcami. Niestety, dzięki swoim śmiesznym kolumnom cyfr i strzałom często mieli rację. Był to jeden z wielu powodów, dla których ich zabijała, jak to miała w zwyczaju robić. Prawdę mówiąc, człowiek należał do mizernych łupów, co jednak nie było najważniejsze. Wiele tygrysów zginęło, próbując dobrać się do wyśmienitego mięsa jeżozwierza, ludzie natomiast smakowali dziwnie, choć biorąc pod uwagę ich dietę, nie było się czemu dziwić.

Ten człowiek na pewno by się zdziwił, gdyby mu teraz pomogła. Podeszła spokojnie do jego nogi, podczas gdy on trząsł się i szczękał zębami. Po chwili oprzytomniał i wrócił do siebie, a ona nosem zarzuciła sobie jego dłoń na głowę, pomiędzy uszy. Stała nieruchomo, czekając, aż ją pogłaszcze, potem poruszyła się, aby mógł pogłaskać jej grzbiet. Stała tuż przy nim, zwrócona w tę samą stronę co on. Następnie z wolna zaczęła iść, a jej tempo wskazywało, że chce, aby szedł za nią. I rzeczywiście, ruszył z

miejsca, gładząc jej grzbiet z każdym krokiem.

Przeprowadziła człowieka przez las. Promienie słońca przebijały przez gęste korony drzew i padały prosto na nich. Nagle spośród drzew, ze szlaku w oddali, dobiegł ich hałas, stukot i głosy, poczuła dłoń zaciskającą się na jej futrze. Zatrzymała się i nasłuchiwała. Były to odgłosy ludzkich myśliwych. Wydala z siebie cichy pomruk, warknęła głęboko, po czym ryknęła donośnie.

Martwa cisza dookoła. Ludzie najwyraźniej nie zorganizowali nagonki, więc nie było szans, aby ją znaleźli. Po chwili wiatr przyniósł z oddali odgłosy ludzi, uciekających w popłochu.

Droga była wolna. Dłoń człowieka uczepiła się futra między jej łopatkami. Kya odwróciła łeb i trąciła nosem jego rękę. Puścił. O wiele bardziej bal się teraz innych ludzi niż jej, która wykazywała tak wielkie zrozumienie. Człowiek przypominał jej bezbronne kocię, choć był znacznie szybszy. Jej matka nosiła ją, chwytając zębami za ten sam fałd skóry między łopatkami, za który i on chwycił, nawet użył podobnej siły jak ona, jakby sam kiedyś był matką tygrysicą.

Wolnym krokiem zaprowadziła człowieka do następnej zatoczki, przeszła na drugi brzeg, po czym posuwała się wzdłuż jednego z jelenich szlaków. Wapiti były większe od ludzi, więc szlak był wygodny. Zabrała go do znanego sobie przejścia do wąwozu, który przecinał tutejszą okolicę. Był to wąski jar, o stromych, granitowych zboczach, a jego dno można było osiągnąć jedynie w kilku miejscach. To było jedno z nich. Poprowadziła go na dno wąwozu i dalej w dół strumienia, do wioski, w której ludzie pachnieli podobnie

jak on. Człowiek musiał iść dość szybko, aby dotrzymać jej kroku, a ona nie zwalniała. Jako że upał panował już od wielu dni, dno wąwozu wyścielały tylko wodne oczka, a woda ze źródeł spływała leniwie po porośniętym paprociami zawalisku. Idąc dnem jaru i potykając się o kamienie, zamyśliła się, przypomniała jej się chata na skraju wioski, do której się zbliżali, chata, która pachniała niemal identycznie jak ten człowiek. Przeprowadziła go przez gęsty zagajnik palm daktylowych, potem minęli jeszcze gęstszy bambusowy las. Zielone krzewy śliwy jawajskiej rosły na ścianach wąwozu razem z ciernistymi drzewkami jujuby, na których złociły się jaskrawopomarańczowe owoce. Prześwit między wonnymi zaroślami poprowadził ich w górę i na zewnątrz wąwozu. Coś zwietrzyła w powietrzu. Samiec tygrysa był tutaj całkiem niedawno, spryskał swoim zapachem wyjście z wąwozu, oznaczając swoje terytorium. Wydała zdławiony pomruk, człowiek znów uczepił się futra między jej łopatkami, aby pomóc sobie we wspinaczce.

Znów znaleźli się na zalesionych wzgórzach, które otaczały jar z każdej strony. Pięli się zakosami pod górę. Tygrysica wielokrotnie pozwalała człowiekowi wesprzeć się na swoim grzbiecie. On najwyraźniej wolałby obejść wzgórze lub zejść bezpośrednio do wioski, a nie iść pod górę i dookoła niej. Wystarczyło jednak, że kilka razy szturchnęła go mocniej nosem, aby porzucił swoje plany i poszedł za nią bez sprzeciwu.

Poprowadziła go przez ruiny starej fortecy na wzgórzach. Zarośnięte bambusem miejsce omijali szerokim łukiem. Tam kilka lat z rzędu Kya miała zimowe legowisko. Tam też rodziła młode,

nieopodal ludzkiej wioski, w ludzkich ruinach. Tutaj samce im nie zagrażały. Człowiek rozpoznał miejsce i uspokoił się. Szli prosto przed siebie, zmierzając ku tyłom wioski.

Idąc tempem człowieka, droga wydawała się bardzo długa. Jego ciało chwiało się na boki, teraz dokładnie widziała, jak trudno chodzić na dwóch nogach. Ani chwili odpoczynku, ciągłe łapanie równowagi, upadanie do przodu i podtrzymywanie się, jakby stale przechodziło się po pniu przerzuconym na drugą stronę rwącego strumienia. Chwiał się zupełnie jak małe tygrysiątko, ślepe i wilgotne.

W końcu dotarli do skraju wioski, gdzie pole jęczmienia dojrzewało w popołudniowym słońcu. Zatrzymali się przy brzegu wysokich traw pod drzewami sal. Na polach z jęczmieniem znajdowały się głębokie bruzdy, które ludzie wypełniali wodą. Sprytne małpy z nich były, przechodzące przez życie na palcach i ciągle łapiące równowagę.

Na widok pola wycieńczona istota ludzka spojrzała w niebo i rozejrzała się dokoła. Teraz on ją poprowadził. Okrążyli razem pole i podeszli tak blisko wioski, jak Kya nigdy sama nie ośmieliłaby się zapuścić, nawet w tym miękkim, popołudniowym światłocieniu, który gwarantował najlepszy kamuflaż, czyniąc jej futro niemal niewidzialnym na tle traw. Kiedy poruszała się odpowiednio szybko, wyglądała jak część krajobrazu, drżąca w gorącym powietrzu. Teraz jednak musiała trzymać powolne tempo. Wymagało to od niej dużo odwagi, a trzeba wiedzieć, że są dwa rodzaje tygrysów, odważne i płochliwe, Kya była jednym z odważniejszych.

W końcu zatrzymali się. Przed nimi, pod drzewem figowym stała chata. Człowiek wskazał ją tygrysicy. To był jego dom, wiedziała to. Wyszeptał coś w swoim języku, przytulił ją na pożegnanie i odszedł w stronę chaty. Kiedy stanął w drzwiach, z wnętrza dobiegły ją krzyki, kobieta i dwoje dzieci wyszło człowiekowi na spotkanie i zaczęli go obejmować. Po chwili, ku wielkiemu zdziwieniu tygrysicy, ciężkim krokiem z chaty wyszedł stary człowiek i uderzył młodszego kilkakrotnie po plecach.

Tygrysica przyczaiła się i obserwowała.

Stary człowiek zabronił młodszemu wejść do chaty, więc kobieta i dzieci wyniosły mu pożywienie na zewnątrz. Po jakimś czasie mężczyzna skulił się na ziemi i zasnął.

Przez kilka kolejnych dni młody człowiek był w niełasce u starego, choć nadal przynoszono mu z chaty jedzenie, a on sam pracował na okolicznej roli. Kya pozostawała przez ten czas w pobliżu i obserwowała jego tryb życia, który był dla niej całkiem obcy. Sądziła nawet, że człowiek zapomniał o niej albo nie chciał ryzykować zapuszczania się w dżunglę, aby ją odnaleźć. Być może po prostu stwierdził, że już dawno sobie poszła - kto wie.

Jakież było jej zdziwienie, kiedy pewnego zmierzchu człowiek wyszedł, trzymając w wyciągniętych rękach tuszę ptaka oskubaną, ugotowaną i pozbawioną kości. Podszedł prosto do niej i ściszonym, lecz pełnym szacunku głosem pozdrowił ją, po czym złożył swój dar. Jego ruchy były niepewne, on sam był wystraszony. Nie wiedział, że kiedy jej wąsy leżą po sobie, wtedy jest odprężona i spokojna. Podarowany smakołyk pachniał gorącymi sokami z

domieszką jakiejś innej nuty zapachowej, gałki muszkatołowej, lawendy. Delikatnie ujęła mięso i odłożyła na bok, by ostygło. Spróbowała przez przypadek odrobinkę, kiedy gorący sok kapnął jej na język. Bardzo dziwnie pachnące mięso. Przeżuła je, mrucząc głęboko, i przełknęła. Człowiek wypowiedział jakieś słowa na pożegnanie, następnie wycofał się między drzewa i wrócił do chaty.

Od tamtej chwili pojawiała się w okolicy mniej lub bardziej regularnie w porze, kiedy jasna aureola brzasku wyzierała ponad horyzont, wtedy też wychodził do pracy. Czasem wychodził nieco później, niosąc dla niej jakiś podarek, resztki mięsne albo jakiś lepszy kąsek, może nie aż tak wykwintny jak tamten ptak, lecz za to o wiele smaczniejszy; zwykłe surowe kawałki mięsa - jednak wiedział, co lubiła. Człowiek spał przed chatą, więc jednej chłodnej nocy Kya zakradła się bliżej, owinęła się wokół niego i usnęła. Odeszła dopiero z pierwszym blaskiem świtu. Małpy mieszkające na okolicznych drzewach były oburzone i zgorszone jej zachowaniem.

Niedługo potem stary człowiek znów pobił młodszego, tym razem na tyle mocno, że krew poszła mu z ucha. Kya pobiegła wtedy do ruin na wzgórzu, rycząc i ryjąc ziemię pazurami. Wielkie drzewo mahua, rosnące na stoku, obsypane było gęstym kwieciem, które unosiło się z najmniejszym podmuchem wiatru. Kya zjadła z ziemi kilka mięsistych, odurzających płatków, wróciła na obrzeża wioski i próbowała zwietrzyć w powietrzu trop starca. W końcu znalazła go na drodze, prowadzącej od zachodu. Spotkał się tam z innymi mężczyznami, bardzo długo ze sobą rozmawiali, pili sfermentowane napoje, upijali się, a on śmiał się jak kol-bal.

Kiedy wracał do domu, Kya rzuciła się na niego i przegryzła mu szyję. Zjadła też część wnętrzności, próbując raz jeszcze tych wszystkich dziwnych smaków. Ludzie jedli tak dziwaczne rzeczy, że aż później sami dziwnie smakowali, bogato i różnorodnie, nieco podobnie jak pierwszy dar, który przyniósł młody człowiek. Był to smak, którym ich ciała przesiąkły i być może ona też już go nabyła.

Kya usłyszała zbliżających się ludzi i postanowiła uciec. Później słyszała już tylko okrzyki przerażenia, a po chwili niepokoju w ludzkich głosach zaczęła pobrzmiewać nuta triumfu czy raczej nabożnej radości, jaką często słyszy się w głosie małp, przekazujących złe wieści o wydarzeniach, które w żadnym stopniu ich nie dotyczą.

Nikt się nie zatroszczył o starca - odszedł samotnie jak samiec tygrysa, nawet w jego własnej chacie nikt go nie żałował. Rozpaczano nie z powodu jego śmierci, lecz z przerażenia, że w okolicy czaił się tygrys ludożerca. Tygrysy, które nauczyły się gustować w ludzkim mięsie, były bardzo niebezpieczne. Zwykle były to matki, mające problemy z wykarmieniem młodych, albo starsze samce, które strata kłów zmuszała do

polowań na łatwą zdobycz. Z pewnością teraz rozpocznie się w wiosce kampania przeciwko niej. Mimo to nie żałowała, że zabiła, wręcz przeciwnie, skakała między drzewami i poprzez cienie, jak młoda tygrysica zaczynająca samodzielne życie, oblizywała się i ryczała. Kya, Królowa Dżungli!

Następnym razem kiedy przyszła odwiedzić młodego człowieka, przyniósł jej duży kawałek surowej koźliny, po czym klepnął ją

delikatnie w nos i zaczął mówić bardzo poważnym tonem. Ostrzegał ją przed czymś i bał się, że nie docierają do niej szczegóły, których rzeczywiście nie rozumiała. Kiedy przyszła do niego po raz kolejny, już z daleka krzyczał na nią, a nawet rzucał w nią kamieniami, ale było już za późno. Zahaczyła o rozciągniętą przy ziemi linkę, zwalniającą cięciwy dwóch naciągniętych i załadowanych łuków. Jej ciało przeszyły zatrute strzały i padła na miejscu.

4

Akbar

Ciało tygrysicy wnosiło do wioski czterech silnych mężczyzn, sapiąc i dysząc pod ciężarem jej cielska, przywiązanego za łapy do świeżo ściętego bambusa. Bistami zrozumiał: Bóg jest wszędzie. Niech wszystkie jego dziewięćdziesiąt dziewięć imion jaśnieje i przepełnia nasze dusze. On nie każe zabijać. Stojąc w drzwiach chaty starszego brata, Bistami krzyczał przez łzy:

- To była moja siostra, moja kuzynka! To ona mnie uratowała przed hinduskimi rebeliantami, nie powinniście byli jej zabijać! Ona nas wszystkich chroniła!

Nikt go oczywiście nie słuchał.

To właśnie Kyę wszyscy oskarżyli o zabicie starszego brata Bistamiego. On jednak bez wahania oddałby jego życie za życie tego tygrysa.

Wbrew samemu sobie poszedł za procesją, zmierzającą do centrum wioski. Wszyscy pili rakszi, a bębniarze wynosili z chat

bębny i wybijali na nich radosne rytmy:

- Kya Kya Kya Kya, odejdź od nas, odejdź!

Rozpoczęło się Święto Tygrysa. Dalsza część dnia, a być może i następny, upłynie na tańcach i zabawach. Spalili jej wąsy, aby upewnić się,

że w innym świecie jej dusza nie wejdzie w zabójcę. Wąsy były trujące. Jeden z nich, zmiażdżony i zmieszany z tygrysim mięsem, mógł zabić dorosłego człowieka, natomiast cały wąs wetknięty w świeży pęd bambusa wywoływał cysty u tego, kto go zjadł, i sprowadzał powolną śmierć - tak przynajmniej mówiono. Hipochondryczni Chińczycy wierzyli w nadprzyrodzone działanie niemal wszystkiego, łącznie z częściami ciała tygrysa. Większość z ciała tygrysicy zostanie oszczędzona i zabrana na północ przez wędrownych handlarzy, a skóra na pewno trafi do zamindara.

Bistami usiadł na zakurzonej drodze nieopodal centrum wioski. Nie miał nikogo, komu mógłby się wytłumaczyć. Zrobił wszystko, co mógł, aby ostrzec i odstraszyć tygrysicę. Nie zwracał się do niej per Kya, lecz per pani, a najczęściej Pani Trójca, jak ludzie z okolicznych wiosek zwykli mówić o tygrysach podczas pobytu w dżungli, aby ich przypadkiem nie obrazić. Składał jej dary i sprawdzał, czy znamię na jej czole nie układało się w literę “s", co znaczyłoby, że bestia jest półtygrysem i w chwili śmierci, w nagrodę za dobro, jakie uczyniła, przekształci się w człowieka. Tak się jednak nie stało, a na jej czole nie było śladu żadnej litery, tylko kształt ptaka w locie. Zawsze utrzymywał z nią kontakt wzrokowy i zachowywał spokój, a ona uratowała mu życie. Wszystkie znane

mu historie o przyjaznych tygrysach - o tym, który odprowadził do wioski dwoje zagubionych dzieci, o tym, który pocałował w policzek śpiącego myśliwego, bladły przy tym, co przydarzyło mu się osobiście, choć dzięki opowieściom wiedział, jak najlepiej się zachować. Tygrysica była jego siostrą, a on teraz smucił się po jej stracie.

Mieszkańcy wioski zabrali się do ćwiartowania zdobyczy. Bistami opuścił wioskę, nie mógł patrzeć na tę scenę. Jego brutalny starszy brat nie żył, pozostali jego krewni, tak samo jak i tamten, nie popierali sufickich zainteresowań Bistamiego. “Wzrok podniesiony wysoko, skierowany ku wysokim, którzy widzą dalej". Niestety, teraz był tak daleko od swych mędrców, że właściwie nic nie widział. Pamiętał jednak dokładnie słowa swojego sufickiego mistrza, Tustariego, który przed odejściem z Allahabadu rzekł mu: W swoim sercu pozostawaj hadżim i odbywaj hadżdż, tak jak Allah sobie tego życzy. Szybko czy wolno, lecz wytrwale podążaj tariką, jedyną ścieżką ku oświeceniu.

Spakował cały dobytek do naramiennej torby i w śmierci tygrysa zaczął upatrywać zwiastuna odmiany swojego losu. Była dla niego jak przesłanie, aby przyjąć dar od Boga, wykorzystać go we własnym działaniu i niczego nie żałować. Nadszedł czas, by powiedzieć: Dzięki ci Boże, dzięki ci, Kya, moja siostro, i na zawsze opuścić rodzinną wioskę.

Bistami udał się do Agry, gdzie ostatnie pieniądze wydał na szatę wędrownego sufiego. Poprosił o schronienie w domostwie sufich, w długim, starym budynku w dzielnicy wysuniętej najdalej na południe

od centrum byłej stolicy. Tam skorzystał z łaźni, obmył ciało i oczyścił swojego ducha. Następnie opuścił miasto i ruszył piechotą do Fatepur Sikri, nowej stolicy imperium Akbara. Na miejscu okazało się, że budowa wciąż trwała, a miasto do złudzenia przypominało kamienną replikę obozowisk mongolskiej armii, z rzędami marmurowych kolumn zamiast ścian, które wyglądały jak potężne stelaże jurt. Całe miasto tonęło w błocie i kurzu. Wszystkie drzewa dokoła były młode, a kwiaty świeżo posadzone i niewyrośnięte. Wysoki mur otaczający pałac stał przy szerokiej alei, przecinającej miasto z północy na południe i prowadzącej do dużego marmurowego meczetu oraz do darga, o którym Bistami usłyszał w Agrze, grobowca świętego sufiego, szejka Salima Chishtiego. Pod koniec swojego długiego życia Chishti udzielał nauk młodemu Akbarowi i od tamtej chwili islam głęboko zakorzenił się w sercu władcy. Ten sam Chishti, za młodu podróżował po Iranie i pobierał nauki u szacha Esmaila, który był również nauczycielem Tustariego, mistrza Bistamiego.

Bistami zbliżał się do wspaniałego białego grobowca Chishtiego, idąc tyłem i recytując Koran:

- W imię Boga Miłosiernego Litościwego. Miej cierpliwość dla tych, którzy pogrążeni w żałobie wzywają swego Pana i szukają jego oblicza, nie odwracaj wzroku od tych, którzy gonią za szczęściem w życiu doczesnym, nie słuchaj tych, których serca zobojętniały na pamięć o nas, którzy oddają się swym żądzom, których zwyczaje są rozwiązłe.

Przed wejściem stanął wyprostowany, twarzą w stronę Mekki.

Zmówił poranne modły, następnie wszedł na dziedziniec grobowca, otoczony z każdej strony ścianami, i oddał cześć Chishtiemu. Inni zgromadzeni robili oczywiście dokładnie to samo. Kiedy zakończył swoje modły pochwalne, wdał się w rozmowę z obecnymi na miejscu mężczyznami, opisywał im swoją wędrówkę, która rozpoczęła się przed wieloma laty w Iranie. W swoich opowieściach pomijał przerwy w praktykach, jakie zdarzały mu się po drodze. W końcu opowiedział swoją historię jednemu ulemie ze świty samego Akbara, podkreślił w niej swoje pokrewieństwo z Chishtim w linii duchowego przekazu, po czym powrócił do modlitw. Teraz do grobowca przychodził już codziennie i z czasem ustanowił rytm modlitw i rytuałów oczyszczających, czasem też odpowiadał na zapytania pielgrzymów, którzy posługiwali się wyłącznie językiem perskim, i nieustannie bratał się z ludźmi przybywającymi do sanktuarium. Wieść o nim dotarła wkrótce do wnuka Chishtiego, który zapragnął rozmawiać z Bistamim, a po spotkaniu sam niezwykle pochlebnie wyrażał się o nim przed Akbarem - tak przynajmniej mówiono. Bistami codziennie zjadał swój jeden posiłek, który dostawał w domu sufich, był głodny i wytrwały, lecz przede wszystkim pełen wiary.

Pewnego ranka, o brzasku, kiedy był już na dziedzińcu grobowca i odmawiał modlitwy, do sanktuarium przyszedł sam władca Akbar, wziął spod ściany miotłę i zamiótł dziedziniec. Był zimny poranek, w powietrzu nadal unosił się chłód mijającej nocy, mimo to zanim władca skończył swą posługę, Bistami zdążył się spocić. Wtedy też zjawił się wnuk Chishtiego i poprosił Bistamiego, aby podszedł,

kiedy tylko skończy modlitwy, gdyż chciałby go przedstawić Akbarowi.

- To wielki zaszczyt - odpowiedział i powrócił do modlitw, mrucząc je mechanicznie, jakby same przepływały wartkim nurtem przez jego umysł. Zastanawiał się, jak długo może zwlekać ze stawieniem się przed władcą, przez co chciał mu pokazać, że modlitwa jest u niego zawsze na pierwszym miejscu. W grobowcu nadal było stosunkowo pusto i chłodno, słońce dopiero wschodziło i dopiero gdy zaczęło oświetlać korony drzew, Bistami wstał, podszedł do Akbara i wnuka Chishtiego i złożył im głęboki pokłon. Powitanie odbyło się z zachowaniem pełnej etykiety. Bistami zgodził się opowiedzieć swoją historię młodemu mężczyźnie o czujnym spojrzeniu, odzianemu w królewskie szaty, który, nie mrugając, wpatrywał się nieprzerwanie w twarz Bistamiego, a właściwie prosto w jego oczy. Opowieść obejmowała studia odbyte w Iranie razem z Tustarim, pielgrzymkę do Qom, powrót do domu i roczną pracę jako nauczyciel Koranu w Gujaracie, następnie wyprawę do rodziny, napad hinduskich rebeliantów i ocalenie przez tygrysa. Kończąc swoją historię, Bistami już widział, że go przyjmą.

- Witamy - powiedział Akbar. Całe Fatepur Sikri świadczyło o jego nadzwyczajnej pobożności oraz o tym, jak potrafił wzbudzać wiarę w sercach ludzi. Teraz mógł podziwiać tę cechę u Bistamiego, którego oddanie objawiało się na wiele świątobliwych form. Ich rozmowa toczyła się dalej, do grobowca schodziło się coraz więcej ludzi, więc Bistami sprowadził dyskusję na dobrze znany sobie hadis, który dotarł do Iranu za sprawą Chishtiego. Jego genealogia,

tak zwany isnad, stanowiła niezbity dowód powinowactwa ścieżek duchowych Bistamiego i Akbara.

- Przekazał mi go Tutsami, który usłyszał go od szacha Esmaila, nauczyciela szejka Chishtiego, który otrzymał go od Bahra ibn Kaniz al-Saqqa, któremu przekazał go Uthman ibn Saj, dzięki wiedzy seida Jubaira, niech Pan otacza go swoim miłosierdziem, który powiedział: I niech przywita się ze wszystkimi muzułmanami, z młodymi i ze starymi, a kiedy przyjdzie po nauki, niechaj każdy, kto siedzi, powściągnie się od wstawania specjalnie dla niego, zaniechanie tego nakazu jest prawdziwą zmorą dla duszy.

Akbar zmarszczył czoło, próbując nadążyć za jego słowami, a Bistami dopiero teraz zrozumiał, że można było je zinterpretować tak, jakby to on sam nie chciał zabiegać o niczyje względy i ukłony. Czuł, jak się poci w tym chłodnym porannym powietrzu.

Akbar zwrócił się do jednego ze swoich przybocznych:

- Ten człowiek wróci z nami do pałacu.

Minęła kolejna godzina modlitw Bistamiego i konsultacji Akbara. Władca nadal był spokojny, lecz z upływem czasu stawał się coraz bardziej oszczędny w słowach, a jako że kolejka mężczyzn pragnących oddać mu hołd, nadal rosła, władca rozkazał wszystkim rozejść się i przyjść później, po tym jak Bistami zostanie odprowadzony przez miejski plac budowy do pałacu.

Miasto, jak każde obozowisko mongolskiej armii, wzniesiono na planie kwadratu. To prawdziwe imperium, twierdził jeden ze strażników. Miało postać czworoboku chronionego przez cztery duże miasta Lahore, Agrę, Allahabad i Ajmer. Strażnik Bistamiego

najwidoczniej upodobał sobie Agrę, gdzie pracował na ukończonej budowie wielkiego fortu cesarskiego.

- Wewnątrz znajduje się ponad pięćset budynków - powiedział tak, jak już nie raz o tym opowiadał. Był zdania, że władca założył Fatepur Sikri, ponieważ port w Agrze był już w większości gotowy, a cesarz znany jest z tego, że uwielbia rozpoczynać nowe projekty.

- On jest budowniczym i to takim, który przed swoim odejściem przebuduje cały świat, ręczę za to. Islam jeszcze nigdy nie miał tak dobrego sługi jak on.

- Tak zapewne jest - odparł Bistami, rozglądając po budowie. Białe budowle wyłaniały się z kokonów rusztowań osadzonych w morzu błota. - Chwała niech będzie Allahowi.

Strażnik, któremu na imię było Husain Ali, spojrzał podejrzliwie na Bistamiego. Nabożni pielgrzymi musieli być tutaj codziennością. Poprowadził Bistamiego za cesarzem, przez wrota do nowego pałacu. Po wewnętrznej stronie muru znajdowały się ogrody, które wyglądały, jakby rosły tam od wielu lat: ogromne sosny szumiały nad jaśminowymi krze-

wami, rzędy kwiatów ciągnęły się we wszystkie kierunki. Sam pałac był mniejszy od meczetu czy nawet od grobowca Chishtiego, lecz nie brakowało w nim żadnego luksusowego detalu. Był to biały, marmurowy namiot, przestronny, lecz niski; jego wnętrze podzielone na chłodne pokoje, ustawione wokół centralnego dziedzińca, na którym stała fontanna, otoczona ogrodami. Całe skrzydło z tylu dziedzińca służyło za długą galerię, gdzie na ścianach wisiały obrazy. Sceny polowań, turkusowe niebo, psy,

jelenie i lwy - wszystkie wyglądały jak prawdziwe. Ubrani w spódnice myśliwi nieśli tuki lub karabiny skałkowe. Obok tych malowideł znajdowały się puste pokoje gościnne o wybielonych ścianach. Bistami dostał do dyspozycji jeden z nich.

Posiłek tamtej nocy był prawdziwą ucztą, wystawioną z przepychem w długim holu, otwierającym się na centralny dziedziniec. Jak się później okazało, był to zwykły wieczorny posiłek w pałacu. Bistami jadł pieczone przepiórki, jogurt z ogórkami posiekanymi z domieszką curry i spróbował wielu innych smaków i potraw, których nie potrafił nawet rozpoznać.

W ten sposób rozpoczął się niemal baśniowy etap w jego życiu. Czuł się jak Mandziuśri z pewnej przypowieści, który spadł do góry, do krainy mlekiem i miodem płynącej. Jedzenie wypełniło czas i myśli Bistamiego. Pewnego razu przyszła do niego grupa czarnych niewolników, ubranych lepiej od niego, którzy w mgnieniu oka odziali go w szatę tak drogą, jak te, które sami nosili, a może i droższą. Owinęli jego ciało miękką i szykowną białą togą, która wyglądała wspaniale, lecz wisiała na nim ciężko. Potem cesarz udzielił mu kolejnej audiencji.

Podczas tego spotkania, kiedy z każdej strony otaczali go cesarscy doradcy, mierzący go ostrym spojrzeniem, generałowie i cała świta dworzan, czuł się zupełnie inaczej niż w czasie porannego spotkania w grobowcu - wówczas razem wciągali w nozdrza chłodne, poranne powietrze i przyglądając się wschodowi słońca, śpiewali pieśni ku czci i chwale Allaha, pana całego świata, i rozmawiali ze sobą, stojąc twarzą w twarz. Teraz, pomimo pewnych

niedogodności, była to nadal ta sama twarz, zwrócona ku niemu, zaciekawiona, poważna, zainteresowana tym, co miał do powiedzenia. Skupianie się na tej twarzy odprężało Bistamiego.

Cesarz rzeki:

- Zapraszamy cię do siebie. Dołącz do nas i podziel się z nami swoją wiedzą o prawie. W zamian za twą mądrość, wydawanie sądów w sprawach, które zostaną ci przedstawione, i odpowiadanie na zadane ci pytania, zostaniesz mianowany zamindarem majątku pozostawionego przez zmarłego niedawno szacha Muzzafara, niech Allah ma go w swojej opiece.

- Niech będzie chwała Allahowi - zamruczał Bistami pod nosem, spoglądając w ziemię. - Będę prosił Boga o pomoc w wypełnieniu tego zadania ku twojej chwale.

Bez względu na to, czy patrzył w ziemię, czy też wpatrywał się w oczy władcy, czuł wyraźnie, że części cesarskiej świty nie spodobała się ta decyzja. Później jednak ci, którzy wyglądali na najmniej zadowolonych, podeszli do Bistamiego, przedstawiali się i łagodnie z nim rozmawiali. Oprowadzając go po pałacu, pytali dyskretnie o jego pochodzenie i historię życia, sami zaś opowiadali mu o majątku, którym miał zarządzać. Okazało się, że będzie sprawował nadzór głównie poprzez lokalnych asystentów i przedstawicieli. Majątek stawał się jego tytułem i głównym źródłem dochodu. W zamian za to miał obowiązek, na prośbę cesarza, wyposażyć i dostarczyć setkę żołnierzy, przekazywać całą wiedzę o Koranie i rozstrzygać przedstawiane przed nim spory cywilne.

- Są takie kwestie, o których może jednak decydować tylko ulema

-powiedział mu doradca cesarza, Raja Todor Mai. - Na cesarzu ciąży ogromna odpowiedzialność, a imperium nie jest trwale zabezpieczone przed wrogami. Dziadek Akbara, Babur, przybył tu z Pendżabu i założył królestwo muzułmańskie zaledwie czterdzieści lat temu. Niewierni ciągle atakują nas od południa i od wschodu. Każdego roku musimy zwoływać nowe kampanie odwetowe. Teoretycznie każdy wierny w imperium znajduje się pod opieką cesarza, lecz ten ma zbyt wiele obowiązków, aby osobiście zająć się wszystkim sprawami.

- To oczywiste.

- Tymczasem, jeśli chodzi o spory międzyludzkie, to nie istnieje żaden inny system wymiaru sprawiedliwości. Prawo oparte jest na Koranie, hadisach, ulemach i innych świątobliwych mężach, takich jak ty, dla których logicznym jest wzięcie na siebie części tego ciężaru.

- Oczywiście.

Przez kolejne tygodnie Bistami rzeczywiście zasiadał w sądzie i rozstrzygał prezentowane mu spory. Pewnego razu pomocnicy cesarskich niewolników przyprowadzili do niego dwóch mężczyzn, którzy rościli sobie prawo do tej samej ziemi. Bistami zapytał ich, gdzie mieszkali ich ojcowie i ojcowie ich ojców, tym samym odkrył, że jedna rodzina żyła dłużej na tamtych ziemiach niż druga. W ten sposób wydawał wyroki.

Od krawców przysłano nową odzież. Dano mu własny dom i zapewniono cały zastęp służących i niewolników. Podarowano mu też kufer wypełniony złotymi i srebrnymi monetami w liczbie stu

tysięcy. Jedyne, co miał w zamian za to robić, to zaglądać często do Koranu i przypominać sobie hadisy, które niegdyś znał na pamięć (znał ich bardzo mało, a tych naprawdę ważnych zaledwie kilka), i wydawać wyroki, które najczęściej były dla każdego oczywiste. A jeśli nie byty, decydował samodzielnie, najlepiej jak mógł. Następnie szedł do meczetu, gdzie modlił się, czasami z wysiłkiem, a później towarzyszył cesarzowi podczas wieczornego posiłku. Codziennie o świcie udawał się samotnie do grobowca Chishtiego, gdzie raz czy dwa razy w miesiącu spotykał cesarza, w tych samych, nie-oficjalnych okolicznościach, w jakich odbyło się ich pierwsze spotkanie. To wystarczyło, aby stale zajęty władca był świadomy jego istnienia. Zawsze wcześniej przygotowywał sobie historię, jaką chciał opowiedzieć Akbarowi danego dnia, w odpowiedzi na jego pytanie o ostatnie wydarzenia. Każda historia była tak dobrana, aby mogła nauczyć cesarza czegoś o nim samym, o Bistamim, o imperium lub o świecie. Z pewnością udzielanie cesarzowi treściwych i głębokich lekcji było absolutnym minimum, jakie mógł zrobić w zamian za szczodrość, jaką okazał mu Akbar.

Pewnego ranka opowiedział mu historię z Sury Osiemnastej, o dziesięciu mężczyznach, którzy żyli w mieście opuszczonym przez Boga, po czym Bóg wybrał tych dziesięciu, odłączył ich od reszty i zabrał do jaskini, gdzie usnęli i przespali noc - tak się im wydawało, ponieważ kiedy wyszli, okazało się, że upłynęło trzysta dziewięć lat. “Podobnie jest z twoją pracą, wspaniały Akbarze, mówił, wprowadzasz nasz w przyszłość". Innego poranka opowiedział o El-Khadirze, poważanym wezyrze Dulkarnaina, o którym mówiono, że

napił się wody z fontanny życia i dzięki jej cudownym właściwościom nadal żyje i będzie żyt aż po sądny dzień. Pojawia się czasem, odziany w zielone szaty, aby nieść pocieszenie strapionym muzułmanom. “Podobnie jest z twoją pracą włożoną w to miasto, komentował, będzie trwała, przekroczy granicę śmierci o wiele, wiele lat, aby nieść pocieszenie strapionym muzułmanom". Cesarzowi najwyraźniej podobały się te rozmowy.

Kiedyś zaprosił Bistamiego na polowanie. Bistami ze swoją świtą zajmował przestronny, biały namiot. Upalne dni spędzał, jeżdżąc konno lub przebijając się przez dżunglę za ujadającymi psami i nagonką. Czasem też, co było bardziej w jego guście, siedział w haudzie na słoniu i przyglądał się wspaniałym sokołom startującym z nadgarstka Akbara. Ptaki unosiły się wysoko w niebo, aby po chwili spektakularnie pikować i dopadać na ziemi zająca albo innego ptaka. Akbar koncentrował swoje spojrzenie na twarzy człowieka, tak jak robiły to sokoły.

Cesarz kochał swoje ptaki. Prawdę mówiąc, kochał je jak własną rodzinę i zawsze podczas polowań był w wyśmienitym nastroju. Czasem

przywoływał do siebie Bistamiego i prosił go o błogosławieństwo dla tych wspaniałych zwierząt, które niewzruszonym wzrokiem sięgały poza horyzont. Gdy wypuszczano je w niebo, rozlegał się donośny furkot skrzydeł, którymi sokoły ciężko pracowały, aby wznieść się na wysokość łowną, gdzie szybowały po spirali. W dole wypuszczano kilka białych gołębi, które ulatywały w popłochu, aby schować się w zaroślach i koronach drzew. Najczęściej jednak

brakowało im szybkości, aby uciec przed sokołami, które atakowały z góry i upuszczały truchła gołębi pod nogi ludzi z cesarskiej świty. Po chwili ptaki powracały na ramię Akbara, który witał je tak samo skupionym spojrzeniem, jak one jego, i karmił je kawałkami surowej baraniny.

Radosny dzień przerwały wieści z południa. Pojawił się goniec z wiadomością o wygranej kampanii Adhama chana przeciwko sułtanowi Malwy, Baz Bahadurowi. Zwycięstwo oszołomiło armię chana, która urządziła rzeź wszystkich pojmanych mężczyzn, kobiet i dzieci z miasta Malwa oraz wielu muzułmańskich teologów, a nawet niektórych seidów, to jest potomków Proroka. Jasna cera Akbara nabiegła krwią i poczerwieniała. Jedynie okrągłe znamię po lewej stronie jego twarzy pozostało niezmienione i wyglądało jak biały rodzynek wetknięty w skórę.

- Dosyć tego - rzekł. Następnie wydał rozkazy, przekazał ptaki sokolnikowi i porzucił polowanie. - On nadal myśli, że jestem małym chłopcem!

Odjechał, spinając energicznie konia i zostawiając za sobą resztę świty. Zabrał tylko Pir Muhammada chana, najbardziej zaufanego generała. Dopiero później Bistami dowiedział się, że jakiś czas temu Akbar osobiście uwolnił Adhama chana spod swoich rozkazów.

Przez kolejny miesiąc Bistami miał grobowiec Chisthiego tylko dla siebie. Po jakimś czasie, o poranku znów spotkał się tam z cesarzem o złowieszczym wzroku. Okazało się, że Zein przemianował Adhama chana na wakila, swojego głównego

ministra.

- To go z pewnością rozwścieczy, lecz to jedyne rozsądne rozwiązanie - powiedział Akbar. - Będziemy musieli zamknąć go w areszcie domowym. Bistami skinął głową i wrócił do zamiatania posadzki w wewnętrznej komorze grobowca. Myśl o Adhamie chanie, trzymanym pod całodobową strażą (stanowiło to najczęściej zapowiedź egzekucji), budziła duży niepokój. W Agrze Adham miał wielu przyjaciół i mógł wykazać się śmiałością i podburzać lud do buntu. Cesarz doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Dwa dni później, kiedy Bistami dołączył do grupy towarzyszącej władcy w popołudniowych zajęciach w pałacu, poczuł

nagłe przerażenie, lecz wcale nie był zaskoczony niezapowiedzianym pojawieniem się Adhama chana, który, stąpając ciężko, wspinał się po schodach. Był w pełnej zbroi, umazany krwią, krzyczał, że przed niespełna godziną zamordował Zeina w jego własnej sali audiencyjnej za to, że uzurpował on sobie prawo do tego, co należne było chanowi.

Słysząc to, Akbar znów poczerwieniał, zamachnął się i rozbił kielich o skroń chana, po czym chwycił go za gardło i przeciągnął po komnacie. Najmniejszy opór ze strony Adhama sprowokowałby natychmiastową reakcję cesarskich strażników, którzy stali po obu stronach, z obnażonymi mieczami w dłoniach. Pozwolił się więc zaciągnąć na zewnątrz, aż na balkon, gdzie Akbar przerzucił go przez balustradę i cisnął w dół. Następnie władca, którego twarz jeszcze nigdy nie była tak czerwona, zbiegł po schodach i na dole dopadł półprzytomnego chana, złapał go za włosy i przeciągnął

jego bezwładne ciało w ciężkiej zbroi po posadzce, po dywanach i po schodach na górę i z powrotem na balkon, gdzie dźwignął je i po raz drugi przerzucił przez balustradę. Ciało z głuchym tąpnięciem uderzyło o kamienną posadzkę. Chan zginął na miejscu, a cesarz oddalił się do swojej komnaty w głębi pałacu.

Następnego ranka Bistami zamiatał sanktuarium Chishtiego, czując wszechogarniające napięcie. Kiedy pojawił się Akbar, serce Bistamiego zaczęło bić jak młotem. Akbar wyglądał na spokojnego, lecz rozproszonego. Grobowiec był jednym z miejsc, w których mógł odzyskać spokój. Jednak kiedy zaczął zawzięcie zamiatać posadzkę, którą Bistami przed chwilą wyczyścił, okazało się, że jego spokój był pozorny. To on jest cesarzem, pomyślał Bistami, może robić, co chce. Z drugiej strony jest władcą muzułmańskim, który powinien służyć Bogu i szariatowi. Wszechwładny, a jednocześnie całkowicie podległy. Nie należało się zatem dziwić jego zadumie, graniczącej z obłędem, w którą popadł tamtego poranka, zamiatając kamienną posadzkę grobowca. Na co dzień trudno było go sobie wyobrazić oszalałego ze złości, a jednak potrafił niczym rozwścieczony słoń miotać człowiekiem i rzucać nim o ziemię, żeby zabić. Miał w sobie głęboką studnię gniewu, a bunt pseudomuzułmańskich poddanych spoczywał w jej najgłębszych czeluściach. Wkrótce doniesiono o nowym buncie w Pandżabie, gdzie do stłumienia zamieszek wysłano wojsko. Oszczędzono nie tylko niewinnych ludzi z całego regionu, lecz nawet tych, którzy brali aktywny udział w rebelii, uwięziono natomiast wszystkich przywódców, około czterdziestu mężczyzn. Przywieziono ich do

Agry i ustawiono pośrodku kręgu słoni, odzianych w wojenny rynsztunek. Zwierzętom przymocowano do kłów ostrza długie jak gigantyczne miecze i napuszczono na zdrajców. Mężczyźni krzyczeli i padali na ziemię rozpłatani i stratowani, ich ciała latały w powietrzu podrzucane i rozszarpywane przez ogromne zwierzęta rozsierdzone zapachem krwi. Bistami nie zdawał sobie sprawy, że słonie mogą zapałać taką żądzą mordu. Akbar unosił się wysoko ponad całą sceną, siedząc na cesarskiej haudzie, na grzbiecie największego ze stojących tam słoni. Obaj w skupieniu przyglądali się masakrze.

Kilka dni później, kiedy cesarz nad ranem odwiedził grobowiec, jakoś nieswojo było wspólnie z nim zamiatać zacieniony dziedziniec. Bistami wykonywał tę czynność dokładnie, unikając spojrzenia Akbara. W końcu jednak musiał zwrócić uwagę na obecność władcy. Akbar patrzył mu prosto w twarz.

- Wyglądasz na zakłopotanego - odezwał się władca.

- Nie, możny Akbarze, nic mnie nie trapi.

- Nie popierasz egzekucji zdrajców islamu?

- Nie, to znaczy, popieram...

Akbar wpatrywał się w niego dokładnie tak, jak robiły to jego sokoły.

- Czyż Ibn Khaldun nie powiedział, że kalif podlega Allahowi jak uniżony sługa? Nie powiedział, że kalif musi przestrzegać prawa islamu? A czyż prawo islamu nie zabrania torturowania jeńców? Czy nie to właśnie Khaldun miał na myśli?

- Khaldum był tylko historykiem - odpowiedział Bistami. Akbar

roześmiał się:

- A czyż nie wspomina o tym hadis od Abu Taiba, przekazany mu przez Murra ibn Hamdana od Sufyana al-Thawriego, który otrzymał go od Ali ibn Abib Talaiba, że Posłaniec Boży, niech Bóg błogosławi Jego imię na zawsze, powiedział: “Nie będziesz torturował swoich jeńców". Co z tymi wszystkimi wersetami Koranu, które nakazują władcy naśladować Allaha i okazywać więźniom litość i miłosierdzie? Czyż nie zadziałałem wbrew tym nakazom, o mądry sufficki pielgrzymie?

- Może i je złamałeś, możny Akbarze, tylko ty to wiesz - odpowiedział Bistami, przyglądając się kamiennym płytom na ścianach dziedzińca. Akbar obdarzył go wnikliwym spojrzeniem.

- Opuść grobowiec Chishtiego - rzekł.

Bistami spiesznym krokiem wyszedł przez bramę. Kolejnym razem Bistami spotkał Akbara w pałacu, gdzie kazano mu się stawić w celu wyjaśnienia, jak to chłodno ujął sam cesarz:

- Dlaczego twoi przyjaciele z Gujaratu buntują się przeciwko mnie? Bistami, z pewnym niepokojem, odparł:

- Opuściłem Ahmadabad właśnie z powodu trwających tam konfliktów. Emirowie zawsze mają jakieś problemy. Król Muzaffar Szach Trzeci utracił kontrolę, wiesz o tym. Dlatego też przejąłeś Gujarat pod swoją opiekę. Akbar skinął głową, najwyraźniej pamiętał tamtą kampanię.

- Teraz jednak emir Husajn powrócił z Dekanu, a wielu możnych z Gujaratu przyłączyło się do powstania. Kto wie, co się jeszcze może stać, jeśli rozejdzie się wieść, że tak łatwo mi się sprzeciwić.

- Koniecznie należy odzyskać Gujarat - powiedział bez przekonania Bistami i, tak jak ostatnio, tak i teraz powiedział to, czego Akbar akurat nie chciał usłyszeć. Bistami nie do końca wiedział, czego od niego oczekiwano. Był tylko kadim, urzędnikiem sądowym, wszystkie jego dotychczasowe porady miały charakter religijny i prawny. Teraz, kiedy jego strony rodzinne ogarnęła rebelia, on sam siłą rzeczy znalazł się w centrum zainteresowania. Tam zaś nikt nie chciałby się znaleźć, zwłaszcza kiedy Akbar był rozgniewany.

- Może być już za późno - odrzekł władca. - Wybrzeże jest dwa miesiące drogi stąd. - Niekoniecznie - zauważył Bistami. - Sam kiedyś pokonałem ten dystans w dziesięć dni. jeśli zabrałbyś jedynie kilka setek swoich najlepszych wielbłądzic, mógłbyś zaskoczyć rebeliantów.

Akbar spojrzał nań przychylnie swoim sokolim wzrokiem. Przywołał do siebie radżę Todora Mała i wkrótce zaplanowano wszystko zgodnie ze słowami Bistamiego. Trzytysięczny oddział kawalerii dowodzony przez Akbara i wspierany przez Bistamiego pokonał drogę z Agry do Ahmadabadu w jedenaście długich i ciężkich od kurzu dni. Kawaleria ta, rozjuszona i rozgrzana prędkim marszem, rozbiła wielotysięczne stado rebeliantów, piętnastotysięczne, jak naliczył jeden z generałów, większość przeciwników zginęła w bitwie. Bistami spędził ten dzień na grzbiecie wielbłąda, podążając za głównymi ruchami frontu. Próbował pozostawać w zasięgu wzroku Akbara, a kiedy mu się to nie udawało, wtedy pomagał przenosić rannych do cienia. Nawet bez ogromnych maszyn oblężniczych

Akbara odgłosy walki były przerażające, w większości składały się z wrzasków ludzi i wielbłądów. Kurz spowijał wszystko gęstą zasłoną, rozgrzane powietrze pachniało krwią.

Późnym popołudniem potwornie spragniony Bistami zszedł ze wzgórza nad rzekę. Zastał tam rzesze rannych i umierających żołnierzy, barwiących wodę na czerwono. Nawet powyżej tego skupiska nie dało się zaczerpnąć choćby kropli, która nie smakowałaby ludzką krwią. Następnie przybył na miejsce radża Todor Mai wraz z silną grupą żolnierzy, którzy dokonywali egzekucji na emirach i Afgańczykach, dowodzących buntownikami. Jeden z emirów dostrzegł Bistamiego i krzyknął:

- Bistami! Ocal mnie! Ocal mnie!

Po chwili nie miał już głowy, jego ciało leżało na brzegu, a krew z otwartej szyi wypływała na ziemię. Bistami odwrócił wzrok, a radża Todor Mai nie spuszczał z niego oczu.

Wieść o tym na pewno dojdzie do Akbara. Podczas zwycięskiego marszu powrotnego do Fatepur Sikri władca byt wyraźnie zadowolony, mimo to nie wezwał przed swoje oblicze Bistamiego. Co dziwniejsze, nie zrobił tego, pomimo że udany atak na rebeliantów był pomysłem sufiego - a może właśnie dlatego. Radża Todor Mai i jego ludzie nie mieli żadnych powodów do zadowolenia. Brakowało czasu, radosne święto na cześć zwycięzców, jakie zgotowano im po powrocie do Fatepur Sikri, niespełna czterdzieści trzy dni po rozpoczęciu działań zbrojnych, nie było w stanie poprawić nastroju Bistamiego. Wręcz przeciwnie, zaczęły przepełniać go obawy, kiedy mijały kolejne dni, a Akbar nie pojawiał

się w grobowcu. Zamiast niego pewnego ranka przyszło trzech strażników. Wydano im rozkaz pilnowania Bistamiego w grobowcu oraz w jego prywatnych pomieszczeniach w pałacu. Poinformowali go, że nie może się nigdzie oddalać i musi pozostać w tych dwóch miejscach, gdyż zostaje zamknięty w areszcie domowym.

W ten sposób najczęściej zaczynała się seria przesłuchań, nieuchronnie prowadząca do egzekucji. Bistami widział w oczach strażników, że tym razem nikt nie zrobi wyjątku i że nawet oni uważali go już za martwego. Nie mógł uwierzyć, że Akbar zwrócił się przeciwko niemu. Z każdym dniem czuł narastający strach. Przed oczami stawało mu pozbawione głowy i tryskające krwią ciało emira. Wizja ta sprawiała, że jego własna krew rozpierała mu żyły, jakby próbowała różnych dróg ucieczki z jego własnego ciała, żarliwie pragnąc wyrwać się na wolność obfitą, czerwoną fontanną.

Wstawał właśnie kolejny, chłodny i przerażający poranek. Bistami udał się go grobowca Chisthiego i zdecydował już go więcej nie opuszczać. Wysłał rozkazy przybocznym, aby każdego dnia po zachodzie słońca przynosili mu jedzenie. Po posiłku układał się do snu na macie w kącie dziedzińca. Od świtu do nocy pościł jak podczas ramadanu i przez kolejne dni recytował na przemian wersety z Koranu, z Mathna-wi Rumiego i z innych świętych tekstów perskich i sufickich. Jakaś mała cząstka wewnątrz niego pragnęła, aby okazało się, że któryś ze strażników rozumie perszczyznę i że docierają do niego słowa Maulany i wspaniałego poety Rumiego, oraz głosy wszystkich sufich płynące nieprzerwanym potokiem z jego ust.

- Oto cudowne znaki, których pragniecie - krzyczał na głos - których wypłakujecie po nocach, o które błagacie, budząc się nad ranem. A gdy dostrzegacie, że nie otrzymujecie tego, czego wam brak, dni wasze stają się coraz ciemniejsze, a kark chudnie jak wrzeciono. To, co oddajecie, jest wszystkim, co posiadacie, to, co poświęcacie i składacie w ofierze, wasze rzeczy, wasz sen, zdrowie, życie, to że czasem siedzi cie, płonąc jak aloesowy stos, i wychodzicie na spotkanie klindze miecza, jak wysłużony hełm. Kiedy akty bezradności stają się dla ciebie chlebem powszednim, wtedy jest to znak. Biegasz tam i z powrotem, wyszukujesz niezwykłych zdarzeń i wpatrujesz się w twarze przejezdnych. Czemu wpatrujesz się we mnie jak szaleniec? Straciłem przyjaciela. Wybacz mi, proszę. Aby odnaleźć, trzeba szukać wytrwale. W końcu pojawi się jeździec, który poniesie cię, i będziesz mdlał i bełkotał. Niewtajemniczeni powiedzą, że udajesz. Skąd mają wiedzieć? Fale obmywają wyrzucone na brzeg ryby.

Innym razem zaś wołał:

- Błogosławiona mądrość, do której serca dociera głos z niebios: “podejdź bliżej". Skalane ucho nie usłyszy głosu, do uczty zasiądą tylko zasłużeni. Nie kalaj swego oka ludzkim policzkiem i znamieniem, gdyż oto nadchodzi władca życia wiecznego, a jeśli zostało skalane, obmyj je łzami, gdyż od łez pochodzi uzdrowienie. Karawana cukru przybyła z Egiptu, coraz głośniejsze odgłosy kroków i dzwonu, zamilknij teraz, gdyż oto nadchodzi król, który przemówił i chce dokończyć swą odę. Po wielu dniach wypełnionych podobnymi treściami zaczął recytować Koran, sura

po surze, powracając często do pierwszej sury, do Otwarcia Księgi, Al-fatiha, do Uzdrowiciela - strażnicy zawsze rozpoznawali ten ustęp.

- W imię Boga Miłosiernego Litościwego! Chwała Bogu, Panu światów, Miłosiernemu, Litościwemu, Królowi Dnia Sądu. Oto Ciebie czcimy i Ciebie prosimy o pomoc. Prowadź nas drogą prostą. Drogą tych, których obdarzyłeś dobrodziejstwami, nie zaś tych, na których jesteś zagniewany, i nie tych, którzy błądzą.

Tę wspaniałą modlitwę wstępną, jakże odpowiednią do jego sytuacji, Bistami recytował setki razy dziennie. Czasem powtarzał tylko “Bóg wystarczy mi za wszystko, on obrońcą doskonałym", a kiedy wyrecytował to trzydzieści trzy tysiące razy pod rząd, wtedy przechodził do “Allah jest litościwy, oddaj się Allahowi, Allah jest litościwy, oddaj się Allahowi". I powtarzał to, aż zasychało mu z gardle, aż głos stawał się chrypliwy, a mięśnie twarzy kurczyły się z wysiłku.

Codziennie starannie zamiatał dziedziniec i wszystkie pomieszczenia sanktuarium, jedno po drugim, uzupełniał oliwę w lampach, przycinał knoty, wpatrywał się w niebo, zmieniające się z upływem dnia, i wciąż powtarzał te same słowa, czując jak przenika go wiatr. Przyglądał się liściom na drzewach, otaczających grobowiec, każdy z nich pulsował przejrzystym światłem. Język arabski to wiedza, perszczyzna to słodycz. Kosztował swego jadła po zmierzchu, w sposób, w jaki nigdy wcześniej tego nie robił. Poszczenie przychodziło mu z łatwością, może dlatego, że nadeszła zima i dni były coraz krótsze. Nadal często odczuwał

paraliżujący strach, który sprawiał, że krew wzbierała w nim z ogromnym ciśnieniem, modlił się wtedy na glos cały dzień i bez wytchnienia, doprowadzając strażników do szału swoim monotonnym zawodzeniem.

W końcu świat skurczył się do rozmiarów grobowca. Bistami zaczął zapominać o rzeczach, które przydarzyły mu się wcześniej lub nadal działy się gdzieś na świecie poza świątynnymi murami. Jego umysł zaczął się oczyszczać. Cały świat wokoło stawał się przezroczysty. Bistami spoglądał do wewnątrz liści, a nawet poprzez ich powierzchnię, jakby były ze szkła, podobnie było z białym marmurem i alabastrem w grobowcu, które po zmroku zaczynały lśnić, jakby ożywały; to samo działo się z jego własnym ciałem.

- Wszystko oprócz oblicza Boga w proch się obraca. Do Niego wszyscy wrócimy. - Były to słowa z Koranu, wplecione w piękny wiersz Maulany o reinkarnacji:

Umarłem jako minerał i rośliną się stałem,
Umarłem jako roślina i wyrosłem na zwierzę,
Umarłem zwierzęciem i Człowiekiem się stałem.
Czegóż mam się lękać?
Kiedyż ubyło mnie, gdy umarłem?
Raz jeszcze umrę, będąc człowiekiem, abym mógł wznieść się,
Wśród aniołów błogosławiony, lecz nawet aniołem będąc,
Odejść muszę: wszystko oprócz oblicza Boga w proch się obraca.
A kiedy złożę w ofierze swoją duszę anielską,

Stanę się tym, czego rozum pojąć nie zdoła.
O! Pozwól mi nie istnieć!
Wszak niebyt dźwięcznym tonem oznajmia:
Do Niego wszyscy wrócimy.

Powtarzał ten wiersz tysiące razy, zawsze wyszeptując końcówkę z obawy na strażników, którzy mogliby donieść Akbarowi, że przygotowuje się na śmierć. Mijały kolejne dni i tygodnie, był bardzo głodny i nadwrażliwy na zapachy i smaki, a w końcu nawet na powietrze i światło. Wyraźnie odczuwał gorące i parne noce, które otulały go jak koc. Podczas krótkich poranków chodził po grobowcu, zamiatał i modlił się, patrząc w niebo, rozciągające się ponad liściastymi drzewami, które z dnia na dzień stawały się coraz lżejsze, aż w końcu pewnego ranka, o wschodzie słońca, wszystko dokoła zaczęło zmieniać się w światło.

- O ten! O ten, który jest Tym! O ten, który jest Tym i nikim innym! - wykrzykiwał nieustannie w świat stworzony z blasku. Nawet jego słowa były promieniami światła, bijącymi z jego ust. Grobowiec przeistoczył się w twór z czystego, białego światła, jaśniejącego tuż obok zielonej, chłodnej poświaty drzew. Z fontanny tryskał w rozświetlone powietrze silny strumień światła, ściany dziedzińca zbudowane były ze świetlnych cegieł, wszystko było miękką, pulsującą poświatą. Ziemia stała się dlań przezroczysta, mógł cofnąć się w czasie, przejść przez Przełęcz Chajberską, utworzoną z sylab żółtego światła, i znaleźć się w czasie swoich własnych narodzin, dziesiątego dnia miesiąca Moharam. Był to dzień, w

którym imam Hosain, jedyny żyjący wnuk Mahometa, zginął w obronie wiary. Bistami zrozumiał, że nawet jeśli Akbar rozkaże go zgładzić, to i tak będzie żył, jako że już wcześniej przeszedł wiele żywotów, a jego wędrówka nie zakończy się wraz z tym życiem.

- Dlaczegóż miałbym się lękać? Czy umierając, kiedykolwiek coś straciłem? Byl istotą stworzoną ze światła, jak wszystko dookoła niego. Kiedyś był wiejską dziewczyną, innym razem jeźdźcem ze stepów, a kiedy indziej służącym Dwunastego Imama. Wiedział zatem, kiedy i dlaczego imam zniknął i kiedy powróci, aby uratować świat. Wiedząc to, nie miał już więcej powodów do obaw.

- Dlaczegóż miałbym się lękać? O ten! O ten, który jest Tym! Bóg moją jedyną potrzebą, On jest wspaniały, On jest najdoskonalszym schronieniem. Allah litościwy, Allah dobroczynny. Allah, który wysłał Mahometa na isrę, wędrówkę w światło, wysyłał teraz Bistamiego, aby mógł się on wznieść w miraj, gdzie wszystko było światłem, przezroczystym i niewidzialnym. Rozumiejąc to, Bistami spojrzał przez przezroczyste ściany, drzewa i ziemię na Akbara, znajdującego się po drugiej stronie miasta w swoim przejrzystym pałacu, odzianego w blask niczym anioł, z pewnością już za życia człowiek ten był na poły aniołem, anielską duszą, które

- Bistami znał z poprzednich żyć i z którymi przyjdzie mu się spotykać w kolejnych żywotach, dopóki wszystkie nie stawią się w jednym miejscu, na zawołanie Allaha, który położy kres wszechświatowi. Bistami dojrzał świetlistego Akbara, który odwrócił głowę i spojrzał przez rozświetloną przestrzeń między nimi. Zauważył, że jego oczy były czarnymi jak onyks kulami osadzonymi

w głowie. Wtadca odezwał się do Bistamiego:

- Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. Nie jestem tym, którego poszukujesz, gdyż ten, którego szukasz, jest gdzieś indziej. Bistami zatoczył się i opadł w kąt dziedzińca. Kiedy doszedł do siebie, świat wokół niego nadal przypominał twory z kolorowego szkła, a tuż przed nim stał Akbar z krwi i kości, i zamiatał dziedziniec grobowca miotłą Bistamiego.

- Panie - powiedział Bistami i zaczął szlochać - Maulano. Akbar stanął nad nim i przyglądał mu się z góry. Po chwili położył dłoń na głowie Bistamiego i rzekł:

- Jesteś sługą Boga.

- Tak, Maulano.

Akbar zaczął recytować po arabsku:

- Bóg zawsze był dla nas łaskawy, gdyż kto się boi Boga, ten przetrwa. Zaprawdę Bóg nie skąpi nagrody praworządnym i sprawiedliwym i pozwala im w proch się obrócić. Była to Sura Dwunasta, przypowieść o Józefie i jego braciach. Bistami podniesiony na duchu, nadal widzący poprzez otaczające go przedmioty, łącznie z Akbarem, jego świetlistą dłonią i twarzą, przez całą jego świetlistą postać, pulsującą przez żywoty, jak wschodzące dni i recytującą końcowe wersety z następnej Sury, z Grzmotu:

- Ci, którzy żyli przed nim, knuli spiski. Lecz Bóg kieruje wszelkim knowaniem, on zna dzieła każdego. Akbar skinął głową, spoglądając na grobowiec Chisthiego i zanurzając się we własnych myślach.

- Tego dnia nie spadnie na ciebie żadna wina - mruczał pod

nosem, wypowiadając słowa Józefa, które kierował do swoich braci, wybaczając im. - Bóg wam wybaczy, przeto on jest najbardziej litościwy ze wszystkich, którzy okazują łaskę.

- Tak, Maulano. Bóg daje nam wszystko. Bóg łaskawy i współczujący, ten, który jest Tym. O ten, który jest Tym! O ten, który jest Tym! O ten, który jest Tym... - przerwał sobie z trudnością.

- Tak. - Akbar znów spojrzał nań z góry. - Cokolwiek się nie wydarzyło w Gujaracie, nie chcę o tym więcej słyszeć. Nie wierzę, abyś miał coś wspólnego z buntem. Przestań płakać. Jednak Abul Fazl i szejk Ab-dul Nabi wierzą w to, a oni są moimi najważniejszymi doradcami, ufam im w większości kwestii. Jestem lojalny wobec nich, tak jak oni wobec mnie. Mogę ich zatem nie posłuchać w tej sprawie i nakazać, aby zostawili cię w spokoju, lecz jeśli nawet tak postąpię, twoje życie tutaj już nigdy nie będzie tak przyjemne jak kiedyś. Rozumiesz?

- Tak, panie.

- Zamierzam więc cię odesłać...

- O nie, Mistrzu!

- Zamilcz. Wysyłam cię na hadżdż.

Usta Bistamiego rozwarły się szeroko. Po tych wszystkich dniach niekończących się recytacji jego szczęka opadła bezwładnie jak wyłamana z zawiasów brama. Białe światło wypełniło przestrzeń, zemdlał. Po chwili powróciły kolory, a on odzyskał słuch.

- ...udasz się do Suratu, stamtąd mój pielgrzymi statek, Ilahi, zabierze cię przez Morze Arabskie do Jiddy. Wagf zebrał całkiem duży datek dla Mekki i Medyny. Mianowałem wezyra emirem

hadżdżu. Do pielgrzymki dołączy również moja ciotka, Bulbadan Begam, i moja żona Salima. Sam bardzo chciałbym pójść z wami, lecz Abul Fazl nalega, abym został. Bistami skinął głową.

- Jesteś niezastąpiony, o panie.

Akbar zastanowił się przez chwilę i rzekł:

- W przeciwieństwie do ciebie. Po czym zdjął dłoń z głowy Bistamiego.

- Emir hadżdżu zawsze może wybrać sobie innego kadiego, poza tym pragnę założyć w Mekce całoroczną szkołę, mógłbyś mi w tym pomóc.

- Ale... i już więcej tu nie wracać?

- Tak, jeśli cenisz swój doczesny żywot. Bistami wbił wzrok w ziemię, czując chłód.

- No już! - powiedział cesarz. - Dla tak oddanego uczonego jak ty życie w Mekce będzie czystą przyjemnością

- Tak, Panie... oczywiście. Akbar roześmiał się.

- Musisz przyznać, że to o wiele lepsze niż ścięcie! Kto wie, co jeszcze może się wydarzyć, życie jest długie, może jeszcze kiedyś tu wrócisz.

Obydwaj wiedzieli, że prawdopodobieństwo jest nikłe, a życie wcale nie takie długie.

- Niech się dzieje wola Boża - wymruczał pod nosem Bistami, rozglądając się dokoła. Ten dziedziniec, ten grobowiec, te drzewa. Znal już tu każdy kamień, każdą gałąź i każdy liść. Życie, które wiódł przez

ostatni miesiąc, mogące zapełnić nawet sto lat, skończyło się.

Wszystko, co tak dobrze poznał, miał wkrótce opuścić, łącznie z tym ukochanym i budzącym grozę młodym człowiekiem. Aż trudno pomyśleć, że każde prawdziwe życie trwa zaledwie kilka lat. Przez jego przetoczyło się już tak wiele żywotów i to w najróżniejszych formach. Powiedział do siebie: - Bóg jest potężny. Już nigdy więcej się nie spotkamy.

5

Droga do Mekki

Od portu w Jiddzie do Mekki przez cały horyzont ciągnął się nieprzerwany sznur pielgrzymów na wielbłądach. Był on tak długi, że zdawać by się mogło, iż opasuje całą Arabię, a nawet cały świat. Płytkie, skaliste doliny wokół Mekki wypełniły się obozowiskami, a po zachodzie słońca pachnący baranim tłuszczem dym z palenisk unosił się w przejrzyste niebo. Chłodne noce, ciepłe dni, ani jednej chmury na mlecznobłękitnym niebie i tysiące rozentuzjazmowanych pielgrzymów pokonujących ostatni odcinek hadżdżu. Wszyscy w mieście uczestniczyli w tym samym ekstatycznym rytuale, każdy w białych szatach, gdzieniegdzie w tłumie widniały zielone turbany seidów, mężczyzn uchodzących za bezpośrednich potomków Proroka. Była to duża rodzina, jeśli sugerować się turbanami, wszyscy recytowali wersety z Koranu, podążając za ludźmi idącymi przed nimi, którzy szli za tymi przed sobą, a tamci sunęli w długiej kolejce, sięgającej dziewięciu wieków wstecz. Podczas żeglugi do Arabii Bistami pościł jak jeszcze nigdy w życiu, bardziej rygorystycznie niż w grobowcu Chishtiego. Płynął teraz kamiennymi

ulicami Mekki lekki jak piórko, spoglądał w górę na palmy przysłaniające niebo swoimi pierzastymi liśćmi, falującymi miękko w nagrzanym powietrzu. Uwzniośloný bożą łaską odniósł wrażenie, że patrzy z góry na korony palm, że przenika ściany i spogląda do wewnątrz Kaby. Aby odzyskać równowagę i poczucie własnego ciała, musiał wpatrywać się w swoje stopy, lecz kiedy to robił, te wydawały się być jakimiś odległymi istotami, które wiodły odrębny żywot, kiedy tak stąpały do przodu, jedna za drugą. O ten, który jest Tym...

Odłączył się od przedstawicieli Faterpur Sikri. Rodzina Akbara mimowolnie budziła w nim wspomnienia utraconego pana. Cały czas rozmawiali o Akbarze, Akbar to, Akbar tamto. Jego żona Salima (druga żona, nie cesarzowa) zawodziła płaczliwym, lecz zdradzającym samozadowolenie głosem, a jego ciotka ciągle się z nią namawiała. Było to nie do zniesienia. Na szczęście kobiety odbywały osobną pielgrzymkę, lecz mężczyźni z mogolskiej świty byli równie nieznośni. Wezyr, emir hadżdżu, był sprzymierzeńcem Abul Fazla i przez to był bardzo podejrzliwy w stosunku do Bistamiego, traktował go lekceważąco, aby nie powiedzieć pogardliwie. W mogolskiej szkole z pewnością nie będzie dla niego miejsca, zakładając, że w ogóle uda im się ją założyć, zanim roztrwonią wszystkie pieniądze z jałmużny i z miejskich funduszy uzyskanych od ambasady. Powoli już się to działo, nadal jednak wszystko wskazywało na to, że przedsięwzięcie dojdzie do skutku. Jedno natomiast było pewne, Bistami nie był wśród nich mile widziany.

Mimo to była to jedna z tych błogosławionych chwil, kiedy zarówno przeszłość, jak i przyszłość przestawały się liczyć. To właśnie najbardziej zdumiewało Bistamiego, nawet w jego sytuacji, kiedy płynął wraz z rzeką wiernych, jeden z miliona ubranych na biało hadżich, pielgrzymów przybyłych z całego Dar al-Islam, od Maghrebu po Mindanao, od Syberii do Seszeli. To niesamowite, jak ci wszyscy ludzie uczestniczyli razem w tej jednej chwili. Niebo i całe miasto pod nim lśniło od ich obecności, nie było jednak przezroczyste, jak w grobowcu Chisthiego, lecz pełne barw, mieniące się wszystkimi kolorami świata. Wszyscy ludzie na całym świecie byli jednością. Owa świętość promieniowała z wnętrza Kaby. Bistami wpłynął wraz z całą kolumną ludzkości do najświętszego meczetu i przeszedł obok dużego, gładkiego, czarnego kamienia, czarniejszego niż heban i gagat, czarnego jak nocne niebo bez gwiazd lub jak dziura w rzeczywistości. Czuł, jak jego ciało i dusza pulsowały tym samym rytmem, co ogromna kolejka ludzi, co cały świat. Dotyk czarnego kamienia był jak dotyk ciała. Miał wrażenie, że kamień wiruje wokół niego. Przed oczami pojawił mu się obraz ze snu, kiedy to wpatrywały się w niego czarne oczy Akbara. Otrząsnął się i odgonił od siebie marę, wiedząc, że jest ona tylko zakłócającym spokój wytworem jego własnego umysłu. Umysł ten był świadom świętego zakazu sporządzania podobizn Allaha, a kamień był tylko kamieniem, a zarazem wszystkim innym, był czarną rzeczywistością samą w sobie, którą Bóg uczynił namacalną. Zajmując miejsce w kolejce, czuł jak dusze ludzi opuszczających świątynię wznoszą się, niczym po schodach,

prosto do nieba.

Rozproszenie. Powrót do obozu, pierwsze łyki zupy i kawy przy zachodzącym słońcu. Wszystko odbywało się cichym i chłodnym wieczorem, pod wieczorną gwiazdą. Ludzie byli spokojni i wewnętrznie oczyszczeni. Patrząc dokoła w twarze hadżich, Bistami zastanawiał się, dlaczego wszyscy na co dzień nie żyją w ten sposób? Co jest aż tak ważne, że odciąga ich od tej chwili? Płomienie ogniska rozświetlały ludzkie twarze, a ponad nimi unosiło się rozgwieżdżone niebo. Z oddali dobiegała pieśń i delikatny śmiech. Nikomu się nie śpieszyło z pójściem spać, nikt nie chciał tak po prostu przerywać tej chwili, by obudzić się następnego dnia z powrotem w namacalnym świecie.

Rodzina Akbara wyruszyła karawaną z powrotem do Jiddy, a Bistami odprowadził ich do granic miasta. Żona i ciotka Akbara pożegnały się z nim, machając doń z grzbietów wielbłądów, reszta była już dawno pochłonięta długą drogą powrotną do Fatepur Sikri.

Bistami został w Mekce, w mieście obcych ludzi. Większość właśnie wyjeżdżała, karawana za karawaną. Był to dość osobliwy i smętny widok: setki karawan, tysiące ludzi, szczęśliwych, lecz zmizerniałych, ich białe szaty, dawno spakowane lub zakurzone, brudne i postrzępione u dołu. Tylu wyjeżdżało, że mogłoby się zdawać, że wszyscy opuszczają miasto przed zbliżającą się katastrofą, jak zapewne zdarzało się w czasie wojny, głodu czy zarazy. Niecały tydzień czy dwa tygodnie później Mekka pokazała swoje zwykłe oblicze wapiennego miasteczka, zamieszkanego przez kilka tysięcy ludzi. Wielu z nich to duchowni, uczeni, sufiowie,

kadiowie, ulemowie lub heterodoksyjni uciekinierzy przeróżnej maści, którzy znaleźli schronienie w świętym mieście. Większość jego mieszkańców stanowili jednak kupcy i rzemieślnicy. Tuż po zakończeniu hadżdżu wyglądali na zmordowanych i wycieńczonych, niemal ogłuszonych. Widać było, że najchętniej zamknęliby się w swoich domostwach, wśród pustych ścian, i zostawili resztę przyjezdnych samym sobie na następny miesiąc albo dwa. Część ulemów i uczonych koczowała w namiotach w sercu islamu, wypełniając je modlitwami, gotując strawę nad ogniskami, rozpalanymi przy granicy miasta, i kupując pożywienie od przejezdnych nomadów. Wielu z nich przez większość nocy śpiewało pieśni.

Nie brakowało również Persów, którzy co noc zbierali się przy ogniskach na wschodnim krańcu miasta, nieopodal kanałów biegnących od strony wzgórz. To oni jako pierwsi doświadczyli wielkiej wody, która wdarła się do miasta, po tym jak ucichły burze na północy, o których słyszeli, lecz których nigdy nie widzieli. Czarna, błotnista woda sunęła kanałami i rozlewała się po ulicach, porywając ze sobą pnie palm i głazy, które w postaci wysokiego wału zepchnęła na południową stronę miasta. Wszystko zostało zalane, nawet Kaba stała w wodzie, sięgającej aż po srebrną obręcz, która utrzymywała ją na miejscu. Bistami z wielką przyjemnością rzucił się w wir pracy przy odprowadzaniu wody i oczyszczaniu miasta. Po doświadczeniu światłości w grobowcu Chi-sthiego oraz po najwyższym duchowym przeżyciu, jakim był hadżdż, czul, że niewiele mu pozostało do zrobienia na planie

astralnym. Żył teraz w cieniu tamtych wydarzeń, czując się całkowicie odmienionym. Jedyne, czego pragnął, to czytać perską poezję w chłodne poranki, a popołudniami pracować w niskim i gorącym zimowym słońcu. Miasto było zniszczone, błoto miejscami sięgało po pas, roboty było w bród. Modlitwa, czytanie, praca, jedzenie, modlitwa, spanie - tak wyglądał plan dobrze spędzonego dnia. Dzień za dniem upływał według tej, jakże przyjemnej dlań, rutyny.

Wraz z upływem zimy zaczął studiować w medresie, założonej przez uczonych z Maghrebu, zachodniego krańca świata, który rósł w siłę i powiększał swoje terytorium, zarówno na północ po Al-Andalus i Firanię, jak i na południe po Sahel. Bistami wraz z innymi czytał i dyskutował nie tylko na temat Rumiego i Szamsa, lecz także i innych filozofów, Ibn Sina i Ibn Rushda, oraz starożytnego Greka Arystotelesa i historyka Ibn Kalduna. Magrebczyków w medresie nie interesowało tak bardzo kontestowanie zagadnień doktrynalnych, jak wymiana informacji ze świata. Mieli na podorędziu mnóstwo historii o ponownym zajęciu terenów Al-Andalus i Firanii i snuli opowieści o zaginionej cywilizacji Franków. Byli przyjaźnie nastawieni do Bistamiego, choć nie wiedzieli o nim zbyt wiele. Uważali go za Persa, a on czuł się pośród nich o wiele lepiej niż wśród Mogolów z ambasady Timura, gdzie traktowano go co najmniej z pewnym skrępowaniem. Bistami był zdania, że jeśli osadzenie go w Mekce było karą w postaci wygnania go z kraju Akbara i z Sin-dhu, to w takim razie inni Mogołowie wysłani w to miejsce powinni się zastanowić, czy czasem oni również raczej nie

popadli w niełaskę niż dostąpili zaszczytu w nagrodę za swą nabożność. Kiedy Bistami przypominał im o tej możliwości, zaczęli unikać go jak trędowatego. Zaczął więc spędzać coraz więcej czasu w medresie Maghrebczyków oraz w perskojęzycznej khicie, którą przeniesiono nieco wyżej, na wzgórza ponad miejskie kanały na wschodzie miasta.

Życie w Mekce zawsze orientowało się w czasie względem nadchodzącego hadżdżu, tak samo jak każdy muzułmanin orientował się w przestrzeni względem Mekki. Mijały kolejne miesiące i rozpoczynały się przygotowania, a kiedy zaczął się ramadan, wszystko poza nadchodzącym hadżdżem przestawało się liczyć. Większość wysiłków koncentrowała się na wykarmieniu tych ogromnych ludzkich mas, które wkrótce miały pojawić się w mieście. Został opracowany cały system, aby ta niebywała uczta udała się. Zaskakujący był jej rozmiar i obfitość, zwłaszcza tutaj na pozbawionym życia pustynnym półwyspie. Oczywiście takie miasta jak Yemen i Aden, na południe od Mekki, były zamożne. Nie ma się czemu dziwić, pomyślał Bistami, rozważając lekturę Ibn Khalduna i idąc przez pastwiska, które z wolna zapełniały się owcami i kozami. System ten powstawał wraz z rozwojem idei hadżdżu, co następowało bardzo szybko: islam wyszedł poza granice Arabii już w pierwszym wieku po hidżrze. Bistami powoli zaczynał wszystko rozumieć. Al-Andalus przyjęła islam do setnego roku, najdalsze zakątki Wysp Korzennych do dwusetnego roku, więc cały znany obszar świata został nawrócony w dwieście lat po tym, jak Prorok otrzymał Słowo i podzielił się nim z ludźmi tego małego kraju. Od

tamtego czasu ściągało tu coraz więcej ludzi.

Jednego dnia Bistami wraz z kilkoma młodymi uczonymi udał się do Medyny. Szli pieszo, recytując modlitwy. Pragnęli jeszcze raz zobaczyć pierwszy meczet Mahometa. Mijali niekończące się zagrody dla owiec i kóz, serowarnie, spichlerze i zagajniki palm daktylowych, aż w końcu dotarli na peryferia Medyny, małej, sennej, zakurzonej i podupadłej mieściny, która ożywała jedynie na czas hadżdżu. W jednym z gęstych skupisk starożytnych palm stał niewielki wapienny meczet, ukryty w cieniu i wypolerowany niczym perła. To właśnie tutaj Prorok nauczał, będąc na wygnaniu, tutaj też otrzymał od Allaha i spisał większość wersetów Koranu. Bistami przechadzał się po ogrodzie na zewnątrz świętego przybytku, próbując sobie wyobrazić, jak się to wszystko odbywało. Zrozumiał dopiero po lekturze Khalduna - to wydarzyło się naprawdę. Początkowo Prorok stał w tym oto zagajniku i nauczał pod gołym niebem. Później, w tym samym miejscu, oparł się o pień palmy, a któryś z jego uczniów zaproponował mu krzesło. Zgodził się, jednak pod warunkiem, że byłoby ono na tyle niskie, aby jego postać nie wyrastała ponad głowy słuchaczy. Prorok zaiste był człowiekiem doskonałym. Zgodził się, aby w miejscu, gdzie nauczał, wybudowano meczet, który przez wiele lat pozostawał bez dachu. Mahomet oświadczył, że na początek wierni mieli o wiele ważniejsze zadanie do wykonania. Wrócili do Mekki i stamtąd Prorok poprowadził dwadzieścia sześć kampanii wojskowych - to był prawdziwy dżihad. Potem Słowo szerzyło się już bardzo szybko. Khaldun upatrywał źródeł tak szybkiego tempa rozprzestrzeniania

się islamu w ludziach, którzy byli gotowi na nadejście kolejnego etapu cywilizacji, oraz w prawdzie, którą krył w sobie Koran.

Bistami, zaniepokojony czymś dla niego samego niedookreślonym, zastanawiał się nad tym wytłumaczeniem. Cywilizacje indyjskie przychodziły i odchodziły, przychodziły i odchodziły. Co prawda islam zdołał podbić Indie, lecz nawet za panowania Mogołów starożytne wierzenia Hindusów przetrwały, a sam islam zmieniał się na skutek ciągłego z nimi obcowania. Bistami zrozumiał to jeszcze lepiej, studiując swoją religię w czystej postaci w medresie. Sufizm był jednak czymś więcej niż tylko powrotem do źródła. Był krokiem naprzód lub (czy można tak powiedzieć?) wyjaśnieniem, a nawet ulepszeniem. Był wysiłkiem w celu obejścia ulemów. W każdym razie stanowił zmianę, której najwidoczniej nie sposób było uniknąć. Wszystko się zmieniało. Kiedyś w medresie sufi Junnaiyd powiedział tak: “Słowo Boże spadło na człowieka jak deszcz na ziemię, w wyniku czego powstało błoto, nie zaś czysta woda". Po zimowej powodzi obraz ten był wyjątkowo wyraźny i niepokojący. Islam rozprzestrzeniał się po świecie jak lawina błotna, mieszanka Boga i człowieka. Ani trochę nie było to podobne do tego, co przydarzyło mu się w grobowcu Chishtiego lub podczas hadżdżu, kiedy miał wrażenie, że Kaba wiruje wokół niego. Jednak nawet pamięć o tych wydarzeniach przeobraziła się. Wszystko na świecie się zmieniało, łącznie z Mekką i Medyną, których populacja szybko rosła, wraz ze zbliżającym się hadżdżem.

Do miasta napływali pasterze ze swoimi trzodami i kupcy,

sprzedający ubrania i sprzęt podróżniczy. Trwały naprawy popsutych sprzętów, przygotowywano skrypty religijne, pamiątki i inne rzeczy. Ostatniego miesiąca przed hadżdżem zaczęli pojawiać się pierwsi pielgrzymi, później zaczęły ściągać długie sznury wielbłądów. Bistami pamiętał z zeszłego roku pełne uczucia twarze podróżników. Rok ten w jego odczuciu minął niezwykle szybko, jednocześnie jego własny hadżdż zajmował już niejako głębsze otchłanie umysłu. Nie potrafił przywołać uczuć, malujących się na twarzach tegorocznych hadżich. Tym razem nie był już pielgrzymem, był mieszkańcem i ewidentnie odczuwał panujące wśród innych mieszkańców niezadowolenie. Ich spokojna wioska, będąca na co dzień jedną wielką medresą, nagle pęczniała i rozrastała się do absurdalnych rozmiarów, jak gdyby cała rodzina i wszyscy weseli krewni zwalali im się w jednej chwili na głowę. Nie był to najszczęśliwszy sposób myślenia o hadżdżu, więc z poczuciem winy Bistami oddawał się modłom, postowi i pomocy pielgrzymom, zwłaszcza tym wycieńczonym

i chorym. Odprowadzał ich do khit, karawanserajów i gospód. Zatapiał się w pracy, aby jeszcze mocniej poczuć atmosferę hadżdżu. Niestety, codzienny widok ekstatycznych twarzy przypominał mu tylko, jak daleko był od ich stanu. Oblicza przybyłych jaśniały Bożą łaską. Teraz widział całkiem wyraźnie, jak ludzkie twarze odzwierciedlały dusze i były niczym okna na głębszy świat.

Miał zatem wielką nadzieję, że kiedy będzie się witał z hadżiami z dworu Akbara, przyjemność zagości i na jego twarzy. Akbar jednak

nie przybył, podobnie jak nikt z jego najbliższej rodziny, a ci, którzy przybyli, nie cieszyli się ani z pobytu w Mekce, ani ze spotkania z Bista-mim. Wieści z dworu nie wróżyły nic dobrego. Akbar zaczął się krytycznie odnosić do swojego ulemy, przyjmował u siebie hinduskich radżów i z życzliwością wysłuchiwał ich uwag i niepokojów. Zaczął nawet otwarcie czcić słońce, kładąc się twarzą na ziemi przed świętym ogniem cztery razy dziennie, a do tego powstrzymywał się od jedzenia mięsa, picia alkoholu i stosunków płciowych - to wszystko były praktyki hinduskie. Ponadto każdej niedzieli udzielał inicjacji dwunastu oddanym mu emirom. Podczas takiej ceremonii każdy z neofitów składał głowę bezpośrednio na stopach Akbara. Był to najgłębszy pokłon, znany jako sijdah, akt podporządkowania się drugiemu człowiekowi - dla muzułmanów był świętokradztem. Co więcej, Akbar nie zdradzał chęci łożenia funduszy na kolejną pielgrzymkę, trzeba było go długo namawiać, aby w ogóle zechciał na ten temat rozmawiać. W końcu wysłał szejka Abdu-la Nabiego i Malauna Abdulla, co było tylko łagodniejszą formą ich wygnania, podobnie jak w ubiegłym roku stało się w przypadku Bistamiego. jednym słowem, wyglądało na to, że Akbar odchodził od wiary. Odchodził od islamu!

Nieco później Abdul Nabi powiedział Bistamiemu otwarcie, że wielu ludzi na dworze właśnie jego, Bistamiego, obwiniało za tę przemianę Akbara.

- Zrobił tak jedynie dla własnej wygody - zapewniał Bistamiego Abdul Nabi. - Zawsze bezpieczniej winić kogoś, kto jest daleko, czyż nie? Stało się tak, jak chcieli, wygnano cię do Mekki w celu

nawrócenia. Naopowiadałeś im o świetle i światłości, więc cię odesłali, a teraz nagle Akbar kłania się słońcu jak jakiś zoroaster czy inny starożytny poganin.

- Nie mogę zatem wrócić - powiedział Bistami. Abdul Nabi potrząsnął głową.

- Obawiam się, że to nie wszystko. Jak mniemam, nawet tutaj nie jesteś bezpieczny. Jeśli zostaniesz, ulema może oskarżyć cię o herezję, a wtedy zjawi się tu po ciebie i postawi cię przed sądem w Fatepur Si-kri, może to też zrobić tutaj.

- Sugerujesz, że powinienem odejść? Abdul Nabi powoli skinął głową.

- Z pewnością jest wiele ciekawszych miejsc od Mekki. Taki kadi jak ty zawsze znajdzie dobrą pracę u muzułmańskiego władcy. Oczywiście nic złego ci się nie stanie w trakcie hadżdżu, lecz po jego zakończeniu...

Bistami pokłonił się i podziękował szejkowi za szczerość. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że i tak chciał odejść. Nie chciał dłużej zostawać w Mekce. Chciał wrócić do Akbara, do bezczasu panującego w grobowcu Chishtiego. Pragnął pozostać w tamtej przestrzeni na zawsze. Lecz jeśli było to niemożliwe, będzie musiał na nowo rozpocząć swą tarikę i włóczyć się w poszukiwaniu prawdziwego życia. Przypomniał sobie, co przytrafiło się Szamsowi, kiedy uczniowie Rumiego znudzili się jego zapatrzeniem w przyjaciela. Szams zniknął i nikt go więcej nie widział, niektórzy mówili, że przywiązano go do głazu i zrzucono do rzeki.

Ludzie w Fatepur Sikri mogli pomyśleć, że Akbar znalazł swojego

Szamsa w osobie Bistamiego - co Bistamiemu wydawało się niedorzeczne. Co prawda, spędzali ze sobą dużo czasu, o wiele więcej, niż dałoby się uzasadnić, lecz nikt nie wiedział, co się między nimi działo i ile z tego było nauką, której Akbar udzielał swemu nauczycielowi. Nauczyciel zawsze musi uczyć się najwięcej, pomyślał Bistami, w przeciwnym razie nic ważnego nie odbywa się w trakcie spotkania z uczniem.

Reszta hadżdżu przebiegała w dziwny sposób. Tłumy wydawały się przeogromne, wręcz nieludzkie, i zawładnięte jakąś siłą, uśmiercające setki owiec dziennie jak zaraza, ulemowie zaś byli pasterzami, urządzającymi tę kanibalistyczną ucztę. Oczywiście nie wolno było tak mówić, jedynie powtarzać dobrze znane frazy, które już dawno wypaliły swoją własną ścieżkę w głąb duszy Bistamiego. O ten, który jest Tym! O ten, który jest Tym! Allah Litościwy! Allah Miłosierny! Czegóż miałbym się lękać? Bóg wszystko wprawia w ruch. Nie dziwił się niczemu, musiał kontynuować tarikę do momentu, gdy nie znajdzie czegoś więcej. Kiedy hadżdż dobiega końca, pora ruszać w drogę.

Najbardziej przyjaznymi uczonymi, jakich poznał, byli Maghrebczy-cy, którzy we wspaniały sposób okazywali sufícką gościnność i gorliwą ciekawość świata. Owszem, mógłby zawrócić do Isfahanu, jednak coś w środku ciągnęło go na zachód. Teraz, kiedy został oczyszczony najczystszym światłem, nie potrzebował wracać do bogactw irańskich ogrodów. W Koranie słowo Raj oraz wszystkie słowa, których Mahomet używał do opisywaniu Raju, wywodziły się z języka perskiego, natomiast słowo Piekło, nawet w

tych samych surach, pochodziło z hebrajskiego - języka pustyni. Był to znak. Bistami nie pragnął Raju. Pragnął czegoś, czego nie potrafił zdefiniować, jakiegoś bliżej niesprecyzowane-go wyzwania na poziomie ludzkim. Powiedzmy, że człowiek jest mieszanką materii i boskości, boska dusza żyje nieustannie. Musi zatem istnieć jakiś cel podróży przez te wszystkie dni, jakiś postęp ku górze, ku wyższym planom istnienia. Khalduniański model cyklicznie zmieniających się dynastii, następujących po sobie bez końca, od żywotnej młodości do nadętej starości, musi zostać odmieniony poprzez dopuszczenie do spraw międzyludzkich rozsądku. Wtedy cykliczność dynastii wyjdzie z koła i zmieni się we wznoszący, spiralny ruch, dzięki któremu następna młoda dynastia będzie rozpoczynać panowanie od wyższego poziomu niż poprzednim razem, kiedy nadchodziła jej kolej i kiedy też dawała z siebie wszystko. Tego właśnie pragnął nauczać, tego również sam pragnął się nauczyć. Na zachód więc, za słońcem, cel jest blisko, wtedy wszystko będzie dobrze.

6

Al-Andalus

Każde miejsce, do którego zaszedł, wydawało mu się nowym centrum świata. Kiedy był młody, Isfahan wydawał mu się stolicą wszystkich krajów, później był Gujarat, Agra i Fatepur Sikri, później Mekka i czarny kamień Abrahama, prawdziwe serce Ziemi. Teraz z kolei Kair wydał mu się największą z możliwych metropolii - niewiarygodnie starożytny, zakurzony i przeogromny. Zatłoczonymi

ulicami przechadzali się mamelukowie z liczną świtą, potężni, w hełmach z piórami. Zarządzając Kairem, Egiptem i większością krajów Lewantu wykazywali się olbrzymią pewnością siebie. Zawsze kiedy Bistami dostrzegał ich na ulicy, szedł za nimi przez chwilę - ich przepych przypominał mu Akbara. Oni sami jednak byli całkowicie inni - z każdym pokoleniem powoływali jati na nowo do życia. Nie było chyba na świecie nic bardziej imperialnego. Potrafili sprawować kontrolę nad ludnością jeszcze sprawniej, niż robiły to dynastie, których oni nie tworzyli. Całkiem możliwe, że wszystko, co Khaldun powiedział o cykliczności dynastii, zostało unieważnione poprzez ten nowszy system zarządzania, który za jego czasów jeszcze nie istniał. Świat się zmieniał. Słowa największego ze znanych historyków mogą nie być ostateczne. Dni spędzone w starym Kairze były ekscytujące. Niestety maghrebskim uczonym spieszno było do rozpoczęcia długiej podróży do domu. Bistami pomógł więc przygotować karawanę, a kiedy byli gotowi, dołączył do nich w drodze na zachód, do Fezu.

Ten etap tariki prowadził go najpierw na północ, do Aleksandrii. Zostawili wielbłądy w karawanseraju i zeszli na dół, aby spojrzeć na legendarny port z szerokim, zakrzywionym pirsem, wcinającym się w sine wody Morza Śródziemnego. Przyglądając mu się, Bistami miał wrażenie, że kiedyś tu był. Odczekał chwilę, dziwne uczucie minęło, więc odwrócił się i poszedł z powrotem za resztą.

Kiedy karawana przecinała Pustynię Libijską, nocne rozmowy przy ognisku koncentrowały się wokół mameluków, Sulejmana Wspaniałego i niedawno zmarłego osmańskiego władcy. Wybrzeże,

które właśnie okrążali, było jego najnowszą zdobyczą, lecz nie odczuwało się tego jakoś specjalnie, jedynie w większych miastach i w oazach, w sytuacji bezpośredniego kontaktu z osmańskimi urzędnikami, którym ludzie okazywali większy respekt. Oni jednak nie stwarzali kłopotów, nawet nie chcieli pobierać myta. Bistami zauważył, że świat sufich, poza wieloma innymi rzeczami, był ucieczką od ziemskiej władzy. W każdym regionie żyli sułtanowie, cesarzowie, Akbarowie i mamełukowie, wszyscy przyznawali się do islamu, a jednak byli bardzo ziemscy, władczy, kapryśni i niebezpieczni. Większość z nich znajdowała się obecnie w khal-uniańskim stanie dynastycznego rozkładu. Oprócz nich byli też sufio-wie. Bistami przyglądał się swoim uczonym towarzyszom zgromadzonym wokół wieczornego ogniska i rozważającym w skupieniu nad doktryną bądź wątpliwym isnadem do jakiegoś hadisu. W ten sposób dochodziło do dysput, prowadzonych z przesadną drobiazgowością, lecz bez śmiechu i kwiecistych tyrad. Tymczasem z uroczystą powagą nalewano do glazurowanych krzemionek gorącą, gęstą kawę, wszystkie oczy dokoła lśniły od blasku ognia i żaru dyskusji. Bistami pomyślał, że to właśnie są muzułmanie, którzy czynią islam dobrą wiarą, oto ludzie, którzy zawojowali świat, nie dobywając miecza. Cale armie wojowników nic by nie zdziałały bez Słowa. Ziemscy, lecz nie potężni, oddani, lecz nie pedantyczni (przynajmniej większość z nich), ludzie, których

interesowała bezpośrednia relacja z Bogiem, niezakłócona interwencją ludzkiej władzy. Więź z Bogiem i braterstwo między

ludźmi.

Pewnej nocy dyskusja zeszła na Al-Andalus. Bistami słuchał ze zdwojoną uwagą. - To musi być dziwne wrażenie, kiedy ponownie wkracza się na opustoszałe ziemie.

- Rybacy i romscy zbieracze różności już dawno sprowadzili się z powrotem na wybrzeże. Romowie i Ormianie przenieśli się w głąb lądu.

- Myślę, że istnieje duże ryzyko, iż zaraza powróci.

- Jak dotąd nikt nie zachorował.

- Khaldun mówi, że zaraza powstaje wskutek przeludnienia - zabrał głos Ibn Ezra, najbardziej wśród nich obeznany z piśmiennictwem Khal-duna. - W rozdziale o dynastiach, części czterdziestej dziewiątej, Muqad-dimah, pisze, że zarazy biorą się z nieczystego powietrza, które powstaje w wyniku przeludnienia, oraz rozkładu złej wilgoci, produkowanej przez ogromną liczbę ludzi skupionych w jednym miejscu. Najpierw atakowane są płuca, stamtąd choroba rozchodzi się na cały organizm. W pewnym miejscu autor czyni ironiczną uwagę, że zaraza to skutek wczesnych sukcesów odnoszonych przez dynastie. Dobre zarządzanie, uprzejmość, bezpieczeństwo, niskie opodatkowanie, to sprzyjało przyrostowi naturalnemu i w prostej linii prowadziło do wybuchu epidemii. Khaldun pisał tak: “Przeto nauka udowodniła nam, że niezbędne są puste przestrzenie między zamieszkiwanymi terenami oraz osobne miejsca do składowania odpadków. Umożliwia to właściwą cyrkulację powietrza, usuwa zanieczysz-czenia i zgniliznę, powstałe w wyniku kontaktu z istotami żyjącymi, i

sprowadza zdrowe powietrze". Jeśli on ma rację, wtedy... no cóż, Firania długo stała pusta, można by się zatem spodziewać, że znów jest zdrowa i czysta. Według mnie, groźba wybuchu kolejnej epidemii już dawno została zażegnana, przynajmniej do momentu, gdy region znów się nie przeludni. Od tego jednak dzieli nas jeszcze sporo czasu.

- To był wyrok boski - powiedział jeden z uczonych. - Allah unice-stwi) chrześcijan za to, że prześladowali muzułmanów i żydów.

- W czasie zarazy Al-Andalus była przecież krainą muzułmańską -zauważył Ibn Ezra. - Zarówno Grenada była muzułmańska, jak i całe południe półwyspu Iberyjskiego. Wszyscy ci ludzie zmarli, podobnie jak i muzułmanie na Bałkanach, tak przynajmniej mówi al-Gazzabi w swoim opracowaniu historii Greków. Najprawdopodobniej było to kwestią lokalizacji. Być może pomór padł na Firanię z powodu przeludnienia, jak mówi Khaldun, a może prawdziwą przyczyną były tamtejsze wilgotne doliny, w których gromadziło się zepsute powietrze. Nie sposób dociec.

- - Faktem pozostaje, że chrześcijanie wymarli. To lud, o którym mówiła Księga, prześladowcy islamu. To oni od wieków prowadzili z nami wojnę i wszystkich swoich muzułmańskich jeńców torturowali aż do ich śmierci. Allah w końcu położył im kres.

- No ale przecież ludność Al-Andalus również wymarła - powtórzył Ibn Ezra - a w Maghrebie czy w Etiopii, a nawet w Armenii nadal żyje wielu ocalałych chrześcijan. Liczne ich grupy mieszkają też w górach. -Potrząsnął głową. - Nie sądzę, abyśmy wiedzieli, co tak naprawdę się stało, wszystko jest w rękach Allaha, to on wydaje

wyroki.

- To właśnie staram się powiedzieć.

- A więc Al-Andalus znów się zaludnia - powiedział tęsknym tonem Bistami.

-Tak.

- A są tam jacyś sufiowie?

- Oczywiście, sufiowie są wszędzie. Słyszałem, że w Al-Andalus świetnie sobie radzą. Ciągną na północ, w głąb opustoszałej krainy, idą w imię Allaha, odkrywają i odczyniają przeszłość, upewniają się, że droga przed nimi jest wolna. Swego czasu Al-Andalus była wspaniałym ogrodem. To dobra ziemia i niemal całkowicie opustoszała. Bistami spojrzał na dno glinianej czarki. Poczuł, jak te dwa słowa krzeszą w jego myślach iskry: dobra i opustoszała, opustoszała i dobra. Podobnie czuł się tylko w Mekce.

Teraz czuł wyraźnie, że wyrwał się na wolność. Jak wędrujący derwisz suficki, bezdomny i poszukujący, pokonywał tarikę i dbał o czystość na ile tylko pozwalał mu na to maghrebski kurz. Doskonale pamiętał słowa Mahometa odnośnie do świętego trybu życia: “I będziesz rozwijał się, myjąc ręce i nie spożywając czosnku, często pościł i czuł się coraz lżejszy, jakbyś unosił się w powietrzu". Jego wizje zmieniały się z dnia na dzień. Od szklanej przejrzystości poranka, przez zamgloną żółć południa, aż po półprzezroczysty zachód słońca, kiedy gloria złocieni i brązów otaczała korony drzew, skały i horyzont. Maghrebskie miasteczka były niewielkie i przyzwoite, często osadzone na zboczach wzgórz i porośnięte palmami i innymi egzotycznymi drzewami, których korony tworzyły

swoisty dach ponad ogrodowymi miastami. Domy - białe, wapienne sześciany pośród palmowych sadów. Na każdym dachu białe patio, a na małych dziedzińcach wewnętrzne ogrody, zielone i tchnące ożywczym chłodem, nawadniane zwykle wodą z fontann. Miasta zakładano tam, gdzie ze wzgórz wypływała woda. Okazało się, że największe miasto miało też największe źródło - to Fez, stacja docelowa ich karawany.

W Fezie Bistami zatrzymał się w domostwie sufich, a następnego dnia razem z Ibn Ezrą wyruszyli na wielbłądach na północ, do Ceuty, gdzie zapłacili za przeprawę statkiem do Malagi. Statki w tym regionie były bardziej zaokrąglone niż te pływające na Morzu Perskim, miały wyeksponowane stewy, mniejsze żagle i stery umieszczane pod centralnym masztem. Przeprawa przez wąską cieśninę po zachodniej stronie Morza Śródziemnego nie należała do najłatwiejszych, jednak już od samego wyjścia z portu w Ceucie widzieli na horyzoncie Al-Andalus. Silny prąd wpływający tędy do Morza Śródziemnego łączył się z porywistym zachodnim wiatrem, przez co mocno kołysało nimi na wysokich falach.

Al-Andalus przywitała ich klifowym wybrzeżem. Ponad zatoką wcinającą się głęboko w ląd, górował skalisty szczyt, dalej brzeg zakręcał ku północy. Lekka bryza wydęła małe żagle statku, który przechylił się i sunął w stronę Malagi. Będąc w głębi lądu, ujrzeli w oddali biały łańcuch górski. Bistami uniesiony dramatyczną przeprawą przez morze, przypomniał sobie widok gór Zargos w Isfahanie, a w sercu poczuł kłującą tęsknotę za domem, o którym już prawie zapomniał. Z powrotem jednak, tu i teraz, niosły go

szalone fale oceanu jego własnego życia, za chwilę miał postawić stopę na nowym lądzie.

Cała Al-Andalus była jednym wielkim ogrodem, zielone drzewa porastały stoki wzgórz, na północy ciągnęły się ośnieżone pasma gór, a na przybrzeżnych równinach pola uprawne i zagajniki pełne okrągłych zielonych drzew, rodzących pomarańcze o cudownym smaku. Świt witał ich codziennie błękitem nieba, słońce, przecinając nieboskłon, nagrzewało ziemię, a w cieniu drzew panował orzeźwiający chłód.

Malaga była wspaniałym, małym miasteczkiem, z solidnym, kamiennym fortem i dużym, wiekowym meczetem, zajmującym centralną przestrzeń miasta. Szerokie, ocienione ulice, wzdłuż których ciągnęły się rzędy drzew, odchodziły promieniście od świątyni, w której trwały właśnie prace renowacyjne. Ze szczytów północnych wzgórz rozciągał się widok na błękitne wody Morza Śródziemnego, rozlewającego się szeroko, aż po spalone słońcem, mleczne góry Maghrebu na dalekim południowym brzegu. O, Al-Andalus! Bistami i Ibn-Ezra znaleźli schronienie w gospodzie przypominającej perskie ribaty, niewielkie wioski na skraju większych miast, wyrastające pośród pomarańczowych gajów i zadbanych winnic. Sufiowie uprawiali pomarańcze i pielęgnowali winnice. Bistami wstawał o świcie i pomagał mieszkańcom w codziennej pracy. Większość czasu spędzali na polach Pszenicy, ciągnących się daleko na zachód. Praca przy pomarańczach była za to łatwa: - Przycinamy drzewka tak, aby owoce utrzymywały się nad ziemią - opowiadał kiedyś Bistamiemu i Ibn Ezrze pewien ro-

botnik z ribatu imieniem Zeya. - Jak sami widzicie, próbowałem już różnych gęstości rozsadu i badałem, jak wpływa to na owoce. Drzewka rosnące samotnie wyrastają na kształt drzew oliwnych, a jeśli przytnie się dolne gałęzie, utrzymując resztę ponad ziemią, wtedy owoce nie łapią z gleby żadnych chorób, a trzeba przyznać, że ogólnie są bardzo podatne na choroby. Na owocach może pojawiać się zielona albo czarna narośl, liście czasem stają się kruche i bieleją lub brązowieją, kora może pokryć się pomarańczowym lub białym grzybem. Wtedy bardzo pomocne stają się biedronki lub okadzanie dymem z węgla drzewnego. Zawsze tak robimy, żeby ochronić drzewa przed mrozem.

- To bywa tutaj aż tak zimno?

- Czasami zimą, owszem. Tu wcale nie jest jak w raju.

Z meczetu dobiegła ich pieśń muezina, wyciągnęli maty i rozpoczęli modły, kłaniając się na południowy wschód. Bistami nadal nie mógł przyzwyczaić się do nowej orientacji. Później Zeya zaprowadził ich do kamiennego pieca, w którym palił się ogień, i zaparzył im po czarce kawy.

- Niby nowa, a jednak stara ta kraina - zauważył Bistami, sącząc z błogością pierwsze łyki kawy.

- Przez wiele stuleci była w rękach muzułmanów. Rządy Umajadów trwały tu nieprzerwanie od drugiego wieku, aż do pojawienia się chrześcijan, którzy podbili te ziemie. Później zabiła ich za to zaraza.

- Lud Księgi - wyszeptał do siebie Bistami.

- Owszem, lecz zepsuty. Bardzo surowi pracodawcy, zarówno

względem wolnych, jak i niewolników, a do tego nieustannie skłóceni między sobą. Wtedy panował tu prawdziwy chaos.

- Podobnie jak w Arabii przed Prorokiem.

- Dokładnie tak samo. I choć chrześcijanie wierzyli w jednego Boga, to jednak nadal w ich poglądach było coś dziwnego, sami ze sobą nie mogli dojść do lądu. Próbowali nawet dzielić Boga Jedynego na trzech. Tak więc islam wziął górę. Parę wieków później życie na tych terenach stało się tak łatwe i przyjemne, że nawet muzułmanie zaczęli się psuć. W końcu Umajadzi zostali pokonani i nie było już kolejnej silnej dynastii, która mogłaby ich zastąpić. Istniało wówczas ponad trzydzieści walczących między sobą królestw taify. W piątym wieku Almorawidzi zaatakowali od strony Afryki, a w szóstym Almohadzi z Maroka wyparli Almorawidów i na swoją stolicę wybrali Sewillę. Tymczasem chrześcijanie prowadzili wojny na północy, w Katalonii i za górami w Nawarze i Firanii, po czym wrócili i zagarnęli większą część Al-Andalus. Nigdy jednak nie zdobyli regionów wysuniętych najdalej na południe, królestwa Nasrydów, łącznie z Malagą i Granadą. Te ziemie do końca pozostały muzułmańskie.

- A mimo to ich mieszkańcy również wymarli - powiedział Bistami.

- Tak jest, wszyscy zmarli.

- Nie rozumiem tego. Ludzie mówią, że Allah ukarał niewiernych za prześladowania muzułmanów, lecz jeśli byłoby to prawdą, to dlaczego uśmiercił też mieszkających tam muzułmanów?

Ibn Ezra zdecydowanie potrząsnął głową.

- Allah nie wytracił chrześcijan, ludzie się mylą.

- Nawet jeśli tego nie zrobił, to pozwolił, aby do tego doszło. Nie ochronił ich, choć jest wszechwładny. Nie rozumiem tego.

Ibn Ezra wzruszył ramionami.

- Cóż, to kolejne z wielu oblicz zła i śmierci na świecie. Ten świat nie jest rajem, Allah stworzył go dla nas i obdarzył nas wolna wolą. Ten świat jest nasz, abyśmy mogli w nim dowieść swego oddania bądź zepsucia, fest to całkiem jasne, gdyż Allah nie tylko jest wszechwładny, lecz przede wszystkim dobry. Nie tworzy zla. A jednak zło istnieje na świecie, najwyraźniej sami je tworzymy. Dlatego właśnie nasze przeznaczenie nie może być z góry przesądzone i przypisane nam przez Allaha. Musimy sami je sobie wypracować.

Czasem tworzymy zło, ze strachu, z chciwości, z lenistwa - to nasza wina.

- No to skąd ta plaga? - zastanowił się Zeya.

- To nie my ani nie Allah. Musisz zrozumieć, że wszystkie żyjące na świecie stworzenia pożerają się wzajemnie, często też zdarza się, że to te mniejsze zjadają większe. Dynastie wygasają, a ci wszyscy mali wojownicy zjadają resztki. Na przykład pleśń, żywiąca się opadłą pomarańczą. Pleśń to takie pole, na którym rosną miliony małych grzybów, pokażę wam przez szkło powiększające, które mam ze sobą. A spójrzcie na ten owoc, czerwona pomarańcza o krwistoczerwonym miąższu, to ludzie ją taką wyhodowali, prawda?

Zeya skinął głową.

- Można otrzymywać hybrydy na tej samej zasadzie co muły, z

tym że rośliny można krzyżować dalej, aż wyhoduje się nową odmianę. W ten sposób stworzył nas Allah. Dwoje rodziców lokuje po części siebie w swoim potomku. Wszystkie ślady mieszają się, lecz nieliczne widoczne są od razu, niektóre wyłaniają się dopiero w którymś z kolejnych pokoleń. Powiedzmy, że jakaś pleśń podobna do tej znalazła się w chlebie i w wodzie mieszkających tu niegdyś ludzi i skrzyżowała się z inną pleśnią będącą w tej samej wodzie czy chlebie. Wskutek ich połączenia mogła powstać trucizna, która bardzo szybko się rozprzestrzeniała i stawała się coraz silniejsza, aż w końcu całkowicie wyparła swoich rodziców i wtedy ludzie zaczęli umierać. Może pleśń unosiła się z wiatrem, jak pyłki kwiatowe na wiosnę, a może żyła w ludziach i podtruwała ich tygodniami, zanim nie zabiła. Mogła przenosić się z oddechem lub przez dotyk. Niewykluczone, że ten rodzaj pleśni wyniszczył zapasy, a ludzie zmarli z głodu.

Bistami spojrzał jeszcze raz na część pomarańczy, którą trzymał w dłoni, i poczuł się słabo. Ten czerwony, mięsisty i soczysty owoc wydał mu się przez chwilę zalążkiem śmierci. Zeya zaśmiał się z niego:

- No co jest? Zjadaj! Niestety nie możemy żyć jak aniołowie! To wszystko wydarzyło się ponad sto lat temu. Ludzie już od dawna wracają na te tereny i żyją bezpiecznie i szczęśliwie od wielu lat. Jesteśmy wolni od zarazy, tak jak każde inne państwo. Ja sam spędziłem tu całe swoje życie. Możesz więc spokojnie dokończyć pomarańczę.

Bistami posłuchał jego rady i zamyślił się.

- Więc to był wypadek.

- Zgadza się - odpowiedział Ibn Ezra. - Tak mi się wydaje.

- Jednak Allah nie powinien był na to pozwolić.

- Wszystkie żywe istoty na tym świecie mają wolną wolę. Poza tym, mogło to też nie do końca być przypadkowe. Koran uczy, iż powinniśmy żyć w czystości. Być może chrześcijanie na własne ryzyko złamali ten nakaz, jedli mięso świń, trzymali psy i pili wino. - Ludzie z tego regionu uważają, że wino to nie problem - dorzucił Zeya, wybuchając ponownie śmiechem.

Ibn Ezra uśmiechnął się.

- Ale jeśli żyliby we własnych ściekach, między garbarniami i rzeźniami, jedli wieprzowinę, dotykali psów i zabijali się nawzajem jak barbarzyńcy ze wschodu, torturowali więźniów, obcowali z chłopcami i wywieszali u wrót martwe ciała swoich wrogów (a robili wszystkie te rzeczy) wtedy być może sami stworzyliby sobie zarazę? Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Twierdzę, że stworzyli sobie takie warunki bytowe, które w końcu ich zabiły.

- Ale czyż oni tak bardzo różnią się od innych? - zapytał Bistami, myśląc o tłumach i brudzie w Kairze czy w Agrze.

- Ibn Ezra wzruszył ramionami.

- Byli surowi.

- Surowsi niż Timur Chromy?

- Nie wiem.

- Podbijali miasta i wycinali w pień ich mieszkańców?

- Mongołowie też tak robili, a przecież stali się muzułmanami. Timur był muzułmaninem.

- Więc może zmienili zwyczaje. Nie wiem. Wiem jednak, że chrześcijanie często stosowali tortury. Może miało to jakieś znaczenie, a może nie. Wszystkie żywe istoty są wolne. Tak czy inaczej, tamtych już nie ma. Teraz jesteśmy my.

- Cali i w większości zdrowi - dodał Zeya. - Oczywiście czasem jakieś dziecko dostanie gorączki i umrze, ale to się zawsze może zdarzyć. Życie tutaj jest słodkie, póki trwa.

Kiedy zakończyły się zbiory pomarańczy i winogron, dni stawały się coraz krótsze. Bistami jeszcze nigdy od czasów Isfahan nie doświadczył takiego chłodu. Jednak nawet o tej porze roku, podczas najzimniejszych nocy drzewa pomarańczowe kwitły i to aż do najkrótszych dni w roku: małe, białe kwiatuszki pokrywające krągłe drzewka, pachnące wonią przypominającą smak dojrzałych owoców, może o nieco cięższej nucie, lecz za to bardzo słodko, niemal odurzająco.

Z drżącego powietrza wyłoniła się konnica, za nią długa karawana wielbłądów i mułów, a po kilku godzinach nadeszła pieszo spora grupa niewolników. Ktoś powiedział, że to sułtan Carmony, leżącej niedaleko Sewilli, niejaki Mawji Darya, wraz ze swoimi towarzyszami podróży. Sułtan był najmłodszym synem nowego kalifa i podobno popadł w konflikt ze swoimi starszymi braćmi, rezydującymi w Sewilli i w al-Majriti. Zdecydował się odejść, zabrał ze sobą całą świtę i wyruszył z zamiarem pokonania Pirenejów i założenia nowego miasta po drugiej stronie gór. Jego ojciec i starsi bracia panowali w Kordobie, Sewilli i w Toledo, a on planował poprowadzić swoich ludzi poza Al-Andalus, w górę

wybrzeża Morza Śródziemnego, starym szlakiem prowadzącym do Walencji i dalej w głąb lądu, do Saragossy, gdzie, jak mówił, znajdował się most nad rzeką Ebro.

Zaraz na początku “hidżry serca", jak to sułtan sam określił, przyłączyło się do niego ponad tuzin wysoko urodzonych ludzi o podobnych Poglądach, a każdy z nich miał ze sobą świtę. Wkrótce na dziedzińcu ri-batu uzbierał się całkiem spory, kolorowy tłum. Znalazła się tam nie tylko młoda arystokracja z Sewilli wraz ze służbą, świtą, przyjaciółmi

i poddanymi, dołączyło też wielu ze wsi i gospodarstw, na drodze między Sewillą a Malagą. Suficcy derwisze, osmańscy handlarze, Turcy, Żydzi, Romowie, Berberowie - wszyscy tam byli. Wyglądali jak kupiecka karawana albo jakiś baśniowy hadżdż, na który wyprawili się wszyscy niewłaściwi ludzie, którzy nigdy nie będą prawdziwymi hadżiami. Była tu i para karłów na kucach, za nimi grupa jednorękich - byłych przestępców, później jacyś muzycy, mężczyźni przebrani za kobiety -w tej karawanie byli wszyscy. Sułtan wyciągnął szerokie ramię:

- Ludzie zwą nas karawaną głupców, bo jak ten statek głupców żeglujemy poprzez góry i lasy, do krainy laski. Bóg nas prowadzi.

Spośród tłumu, jadąc na koniu, wyłoniła się sułtanka. Podjechała i zeskoczyła z konia, nie zwracając uwagi na wysokiego sługę, który już chciał pomagać jej zsiąść. Dołączyła do sułtana, kiedy witał się z Zeyą i z innymi mieszkańcami ribatu.

- Oto moja żona, sułtanka Katima, pochodzi z al-Majriti.

Ta niska, kastylijska kobieta miała odsłoniętą głowę, smukłe

ramiona, a jej spódnice do konnej jazdy obszyto złotem, które połyskiwało w zakurzonym powietrzu. Jej czarne, długie, lśniące włosy zaczesane do tyłu, spinał nad czołem sznur pereł. Jej twarz była wąska, a oczy bladoniebie-skie, co czyniło jej wzrok dość niezwykłym. Pierwszy raz uśmiechnęła się do Bistamiego, kiedy przedstawiano ich sobie, później na farmie, przy młynie wodnym i w pomarańczowym gaju. Cieszyły ją te wszystkie małe rzeczy, których inni nie dostrzegali. Ludzie od razu się zorganizowali i zrobili wszystko, co potrzeba, by zapewnić władcy godziwy wypoczynek, a jednocześnie móc pozostawać jak najbliżej niego i sułtanki. Bistami był wśród nich. Katima spojrzała na niego i powiedziała coś błahego, jej glos zabrzmiał jak turecki obój, nisko, nosowo, a słysząc go, Bistami przypomniał sobie, co powiedziała do niego zjawa Akbara, kiedy był zatopiony w świetle: “To, czego poszukujesz, znajduje się gdzieś indziej".

Ibn Ezra skłonił się nisko, kiedy go przedstawiano.

- Jestem sufickim pielgrzymem, sultanko, pokornym uczniem świata. Planuję udać się na hadżdż, ale bardzo spodobał mi się pomysł waszej hidżry, też chciałbym zobaczyć Firanię, gdyż interesują mnie badania nad starożytnymi ruinami.

- Nad pozostałościami po chrześcijanach? - zapytała sułtanka, wbijając w niego wzrok.

- Tak, lecz również po Rzymianach, którzy byli tam przed nimi, jeszcze w czasach przed Prorokiem. Może powinienem odbyć hadżdż w odwrotną stronę?

- Chętnie witamy wszystkich, którym nie braknie ducha, aby do

nas dołączyć - odparła.

Bistami odchrząknął, a Ibn Ezra miękko wysunął go przed siebie.

- Oto mój młody przyjaciel, Bistami, sufícki uczony z Sindhu, który, odbywszy hadżdż, kontynuuje nauki na zachodzie.

Sułtanka Katima dopiero teraz przyjrzała mu się dokładniej i zastygła w bezruchu, wyraźnie zaskoczona. Jej czarne, gęste brwi, złączyły się pośrodku zdumionego czoła. Bistami przypomniał sobie znamię na czole tygrysicy, układające się w kształt ptaka w locie, który sprawiał, że tygrysica zawsze wyglądała leniwie zaskoczona bądź wręcz zakłopotana - dokładnie tak jak ta kobieta.

- Miło mi cię poznać, Bistami. Zawsze chętnie słuchamy nauk od uczonych w Koranie.

Później tego samego dnia wysłała do Bistamiego niewolnika z zaproszeniem na prywatną audiencję w ogrodzie, który oddano jej do dyspozycji na czas pobytu. Bistami poszedł wolnym krokiem, skubiąc bezradnie swoją znoszoną szatę, niestety, nie mógł nic poradzić na swój niestosowny wygląd.

Słońce zaczęło zachodzić. Na niebie jaśniały chmury, a na ich tle rysowały się czarne sylwetki cyprysów. W powietrzu roztaczała się woń kwiatów cytryny. Zobaczywszy sułtankę stojącą samotnie przy pluskającej fontannie, Bistami poczuł, że wkroczył na miejsce, w którym kiedyś już był. Wszystko było jednak odwrócone, różniące się jedynie szczegółami, a poza tym było dziwnie i przerażająco znajome. Podobne wrażenie miał kiedyś w porcie w Aleksandrii. Sułtanka nie przypominała Ak-bara ani nawet tygrysicy, przynajmniej nie do końca. Usłyszał swój głośny oddech.

Zauważyła go, kiedy stał pod arabeskowym łukiem bramy wejściowej, i skinęła na niego dłonią, uśmiechając się.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że nie noszę czadoru. Nigdy go nie założę. Koran nic nie mówi o czadorze, wspomina jedynie o konieczności zasłaniania piersi, co wydaje się oczywiste. Jeśli natomiast chodzi o twarz, żona Mahometa, Khadijeh, nigdy jej nie zasłaniała, nie robiły tego również pozostałe żony Proroka, po tym jak Khadijeh zmarła. Za życia pozostawała niezwykle wierna samej sobie. Jeśliby nie odeszła, on nigdy nie poślubiłby innej kobiety, sam zresztą tak mówił. Zatem jeśli ona nie nosiła czadoru, ja również nie czuję takiej potrzeby. Noszenie czadoru zapoczątkowali kalifowie, którzy zakładali je, aby oddzielić się od szarych, ludzkich mas i od kszatrijów, których wśród nich nie brakowało. Czador to symbol władzy, będącej w niebezpieczeństwie, oznaka strachu. To oczywiste, że kobiety są niebezpieczne dla mężczyzn, lecz nie do tego stopnia, aby od razu miały zakrywać twarze. Co więcej, kiedy widzi się twarze ludzi, wtedy o wiele łatwiej można zrozumieć, że przed Bogiem, wszyscy jesteśmy tacy sami. Żadnych zasłon między nami a Bogiem - właśnie to osiąga każdy muzułmanin poprzez gorliwe oddanie, czyż nie zgodzisz się ze mną?

- Zgadzam się - powiedział Bistami, nadal porażony i owładnięty uczuciem, że to wszystko już kiedyś mu się przydarzyło. Nawet chmury po zachodniej stronie nieba przybrały w tej chwili znajomy kształt.

- Nie sądzę również, aby Koran dawał mężom przyzwolenie do bi-

cia swoich żon. Jedyna wzmianka na ten temat znajduje się w Surze 4:34: “Jeśli zaś chodzi o kobiety, z których strony obawiacie się braku lojalności lub złego prowadzenia się. Upominajcie je, odmówcie dzielenia z nimi swojego łoża". Jakież to musi być straszne - “w ostateczności lekko je uderzcie". “Daraba" nie “darraba", co tak naprawdę oznacza “bić". “Daraba" znaczy “szturchnąć", a nawet “gładzić lekko piórkiem", jak w wierszach, w sposób prowadzący do miłosnego zbliżenia. Rozumiesz, daraba, daraba. Mahomet przekazał to w bardzo jasny sposób.

Wstrząśnięty Bistami zdołał jedynie skinąć głową. Czuł, że w tej chwili jego twarz ma oniemiały wyraz. Sułtanka zauważyła to i uśmiechnęła się.

- Tak właśnie mówi Koran - powiedziała. - Sura 2:223 mówi: “Twoja żona, jest jak twoja rola, traktuj ją więc jak swą rolę". Pewien ulema odczytał ten fragment i doszedł do wniosku, że kobiety można traktować jak kurz pod stopami. Jednak ci duchowni, będący zbędnymi pośrednikami między nami a Bogiem, nigdy nie uprawiali ziemi, a rolnicy zawsze prawidłowo odczytują Koran i postrzegają swoje żony jako swój pokarm i swój napój, jak pracę i łoże, na którym kładą się co noc, jak prawdziwą ziemię pod ich stopami! Niech Bogu będą dzięki za święty Koran i jego mądrość.

- Bogu niech będą dzięki - powiedział Bistami. Spojrzała na niego i roześmiała się w głos.

- Myślisz, że jestem zbyt śmiała.

- Nie, wcale tak nie uważam.

- Ależ ja jestem śmiała, uwierz mi. Jestem bardzo śmiała. Ale czyż

nie zgadzasz się z moim odczytaniem świętych słów Koranu? Czyż nie trzymałam się wiernie każdej frazy, jak dobra żona wiernie trwa przy swoim mężu, dokądkolwiek by się nie udał?

- Tak właśnie postąpiłaś, sułtanko. Uważam, że Koran kładzie nacisk na to, że przed Bogiem wszyscy jesteśmy równi, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Hierarchie istnieją wszędzie, jednak wszyscy mają ten sam status przed Bogiem i jest to jedyny status, który jest naprawdę ważny. Zarówno ci na wysokich, jak i ci na niskich stanowiskach powinni mieć dla siebie wzajemny szacunek jako prawdziwi bracia w wierze. Bracia i siostry, bez względu czy jest się kalifem, czy niewolnikiem. Stąd wypływają wszystkie koraniczne zasady dotyczące traktowania drugiego człowieka. Dotyczy to nawet cesarzy i ich niewolników bądź ich jeńców z wrogich obozów.

- Księga chrześcijan zawiera bardzo mało zasad - powiedziała ściszonym głosem.

- Naprawdę? Czytałaś ją?

- Mówisz, cesarzowie i ich niewolnicy. Istnieją zasady regulujące i to, nadal jednak nikt nie pragnąłby zostać niewolnikiem, wszyscy woleliby być cesarzem. Ulemowie wypaczyli Koran swoimi hadisami, zawsze wypaczali jego słowa, aby służyły tym, którzy byli u władzy. W końcu przesłanie, jakie Mahomet otrzymał od Boga i wyłożył w prosty i przejrzysty sposób, zostało całkowicie przeinaczone i dobre muzułmańskie kobiety znów uczyniono niewolnicami, a nawet czymś gorszym. Może nie traktuje się ich jak bydło, ale też z pewnością nie jak człowieka. Żona dla męża ma być tym, czym niewolnik dla cesarza, nie zaś kobiecością przy

męskości, potęgą przy potędze, relacją równych sobie istot.

Jej twarz oblała się rumieńcem. Nawet w słabym, wieczornym świetle widział jej kolory. Jej oczy były jasne jak wycinki nieba o brzasku. Kiedy służący przynieśli pochodnie, jej rumieńce nabrały jeszcze bardziej nasyconej barwy. Jej jasne oczy lśniły, a ogień pochodni tańczył w oknach jej duszy. Było w nich dużo gniewu, palącego gniewu, Bistami jednak nigdy wcześniej nie widział tak pięknej istoty. Wpatrywał się w nią, usiłując zatrzymać w pamięci tę chwilę. W sercu myślał: nigdy tego nie zapomnisz, nigdy!

Przez chwilę panowała cisza. Bistami zrozumiał, że jeśli teraz czegoś nie powie, rozmowa może skończyć się na dobre.

- Sufiowie - zaczął - często mówią o bezpośrednim doświadczeniu Boga. To coś w rodzaju oświecenia. Sam kiedyś... doświadczyłem tego na sobie, będąc w skrajnej sytuacji. Zmysły odbierają ten moment jako wypełnienie się światłem, dla duszy jest to stan baraka, Bożej łaski, która dla każdego jest tak samo dostępna.

- Ale czy sufiowie mają na myśli kobiety, mówiąc “wszyscy"? Zastanowił się nad tym. Sufiowie byli mężczyznami, to prawda, tworzyli bractwa, podróżowali samotnie, zatrzymując się w ribatach lub zawijach, wszyscy szukający tam schronienia byli mężczyznami, a w siedzibach sufich nie było żeńskich cel. Jeśli któryś z sufich żenił się, to nadal pozostawał sufim, a jego żona, tylko żoną sufiego.

- To zależy od regionu - próbował grać na zwłokę - i od tego, kim jest twój suficki nauczyciel.

Patrzyła na niego, uśmiechając się z lekka, a on zdał sobie sprawę, że nieświadomie wykonał ruch w grze o pozostanie w jej otoczeniu.

- Sufficki nauczyciel nie mógłby zatem być kobietą, prawda? - zapytała.

- No cóż, raczej nie, ale czasem kobiety prowadzą nabożeństwa.

- Ale codziennie nie mogłyby tego robić.

- No cóż - powiedział zbity z tropu Bistami - nigdy o czymś takim nie słyszałem. - Tak jak o tym, że żaden mężczyzna na świecie jeszcze nie urodził dziecka.

- Zgadza się - powiedział z ulgą.

- Ale przecież mężczyźni nie mogą rodzić dzieci - zauważyła -a kobiety z łatwością mogą prowadzić modlitwy. Ja sama prowadzę codzienne nabożeństwa w haremie. Bistami nie wiedział, co odpowiedzieć. Był całkowicie zaskoczony jej podejściem. - To przecież matki uczą swoje dzieci, jak należy się modlić.

- To prawda.

- Wiedziałeś, że przed Mahometem Arabowie czcili boginie?

- Idole.

- Ale w nich właśnie było to, o czym mówię. Na planie duchowym kobiety są prawdziwą potęgą.

-Tak.

- Zarówno tam na górze, jak i tu, na dole. Taka jest prawda. Niespodziewanie podeszła do niego i położyła dłoń na jego nagim ramieniu.

- Tak - odpowiedział.

- W naszej wyprawie na północ potrzebujemy uczonych w Koranie, aby pomogli nam oczyścić Księgę z pajęczych sieci, uniemożliwiających zrozumienie, i prowadzili nas ku oświeceniu. Czy wyruszysz z nami? Czy podejmiesz się tego wyzwania?

- Tak.

7

Karawana głupców

Sułtan Mawji Darya był niemal tak samo wspaniały i łaskawy jak jego żona i równie zainteresowany rozmowami, w których często powracał do tematu “pokojowej współegzystencji". Ibn Ezra oznajmił Bistamiemu, że ta idea zyskiwała coraz większą popularność wśród młodych dostojników Al-Andalus, pragnących wskrzesić złoty wiek Kalifatu Umajjadzkiego. Wówczas, w szóstym wieku, muzułmańscy władcy pozwalali chrześcijanom i żydom żyć i rozwijać się na ich ziemiach. Dzięki temu razem udało im się stworzyć piękną i sprawną cywilizację - tym właśnie była Al-Andalus przed inkwizycją i zarazą. Kiedy karawana znamienitych obszarpańców wyjeżdżała z Malagi, Ibn Ezra opowiedział Bistamiemu nieco więcej o tamtym okresie, o którym Khaldun tylko wspomina, a kairscy i mekkańscy uczeni milczą. W tamtych czasach swój prawdziwy rozkwit przeżywali andaluzyjscy Żydzi. To oni przetłumaczyli na język arabski niezliczoną liczbę starożytnych tekstów greckich i prowadzili własne badania w dziedzinach medycyny i astronomii. Muzułmańscy uczeni z Al-Andalus używali zdobyczy greckiej logiki, głównie od Arystotelesa, aby bronić zasad

islamu pełną mocą swojego rozumu. W tej dziedzinie największy dorobek zgromadził Ibn Sina i Ibn Rashd. Ibn Ezra miał ogromny szacunek dla pracy tych ludzi.

- Jeśli Bóg pozwoli, chciałbym poszerzyć ich dorobek o swój skromny wkład, w którym odwołuję się bezpośrednio do przyrody i do reliktów przeszłości.

Jechali dalej, kołysząc się w dobrze znanym rytmie karawany. O świcie podsycali ogniska, parzyli kawę, karmili zwierzęta, pakowali rzeczy i ładowali je na wielbłądy, których sznur ciągnął się przez ponad trzy mile, łącząc się z przeróżnymi grupami, jakie dołączały, zatrzymywały się, ruszały, lecz ciągle sunęły do przodu. Po południu rozbijali obozowisko lub robili postój w oazie, choć w miarę jak posuwali się na północ, oazy zdarzały się coraz rzadziej, za to częściej spotykali opustoszałe ruiny. W wielu miejscach drogi były nieprzejezdne, pozarastane przez dorosłe drzewa, o pniach grubych jak beczki.

Przemierzali zaiste wspaniałą krainę, której horyzont kreśliły wysokie łańcuchy gór, poprzerywane tu i ówdzie rozłożystymi plateau. Kiedy w końcu rozpoczęli przeprawę, Bistami poczuł, że trasa prowadzi go coraz wyżej, gdzie cienie przy zachodzącym słońcu ciągnęły się daleko w dół przepastnej, ciemnej i wietrznej otchłani. Pewnego razu, kiedy ostatni promień zachodzącego słońca wystrzelił spod niskich chmur, Bistami usłyszał dobiegający gdzieś z ich obozowiska dźwięk tureckiego oboju, niosący w powietrzu długą, rzewną melodię, która snuła się bez końca. Zdawać by się mogło, że to śpiewa duch wieczornego plateau.

Sułtanka stała na skraju obozowiska i razem z nim przysłuchiwała się muzyce. Wodząc wzrokiem za zachodzącym słońcem, przechylała głowę jak jastrząb, a słońce wysyłało do niej promienie z prędkością równą prędkości upływu czasu. Niepotrzebne były słowa, kiedy świat śpiewał, ten ogromny świat, tak zawiły i skomplikowany świat, którego ludzki umysł nigdy nie zdąży ogarnąć; nawet muzyka mogła jedynie ślizgać się po jego półkolistej powierzchni, czego też do końca nie rozumieli, choć odczuwali wyraźnie. Uniwersalna jednia była poza ich zasięgiem.

A jednak czasami w takich chwilach jak ta, o zmierzchu, w powiewach porywistego wiatru wychwytujemy szóstym zmysłem, którego nie rozpoznajemy, skrawki większego świata - rozległe kształty kosmicznych znaczeń, sens wszystkiego co święte, wykraczający poza możliwości poznawcze rozumu, myśli, a nawet poza odczuwanie - świat, który widzimy na co dzień, żarzy się od wewnątrz i jest gęsto i sprężyście napakowany rzeczywistością.

Sułtanka poruszyła się. Gwiazdy migotały na niebie koloru indygo. Podeszła do jednego z ognisk. Bistami zrozumiał, że wybrała go na ich kadiego, aby mieć więcej przestrzeni do realizacji własnych idei. Społeczność taka jak ta potrzebowała sufickiego nauczyciela, a nie jedynie uczonego. Ludzie mówili, że Katima była kiedyś bardzo pracowitą dziewczyną, do czasu, gdy niecałe trzy lata temu miała atak. Od tamtej chwili bardzo się zmieniła.

Wszystko w swoim czasie się wyjaśni. Tymczasem stała przed nim sułtanka, brzmiała muzyka oboju, rozlegle plateau pulsowało mrokiem - takie rzeczy zdarzały się tylko raz. Wrażenie to uderzyło

go z taką samą siłą jak wówczas w ogrodzie ribatu, kiedy czuł, że już kiedyś przeżywał tamtą chwilę.

Podczas gdy plateau Al-Andalus rozpościerały się wysoko pod słońcem, jej rzeki płynęły głębokimi parowami, podobnie jak maghrebskie wadi, lecz te nigdy nie wysychały, były bardzo długie, a przekraczanie ich wcale nie należało do łatwych. W przeszłości najlepiej rozwijało się tu miasto Saragossa, gdzie wspaniały, kamienny most spinał

brzegi jednej z największych rzek, Ebro. Miasto wyludniło się, jedynie jacyś wędrowni handlarze i pasterze skupiali się w okolicy mostu, zajmując kamienne budowle, które wyglądały, jakby sam most lub jego duch wybudował je przez sen. Reszty miasta właściwie nie było, zarosło chaszczami i sosnami. Most jednak stał. Zbudowany był z wielkich obrabianych kamiennych bloków, tak wygładzonych przez deszcz i wiatr, że wyglądały niczym polerowane. Pojedyncze elementy łączyły się ze sobą na tyle precyzyjnie, że nie sposób było wetknąć pomiędzy nie monety ani nawet paznokcia. Na obu brzegach, jak objaśnił Ibn Ezra, znajdowały się fundamenty mostu - dwie przysadziste, kamienne wieże, wzniesione na litej skale. Ezra przyglądał się im z wielkim zainteresowaniem, podczas gdy karawana przeszła na drugą stronę, gdzie rozbito obóz. Bistami spojrzał na szkic architektoniczny mostu sporządzany przez Ibn Ezrę.

- Czyż nie jest piękny? Jak równanie. Siedem półkolistych łuków, z jednym większym pośrodku, ponad tonią. Każdy most rzymski, jaki widziałem, jest umiejętnie wtopiony w krajobraz. Prawie zawsze

używano kamiennych łuków, które gwarantowały wystarczającą nośność, choć nie sięgały zbyt daleko. Musiano więc zestawiać ich więcej obok siebie, wszystkie były z ciosanego kamienia, tak jak te ogromne, kwadratowe bloki, które przylegają do siebie całą powierzchnią, tak że nic nie jest w stanie ruszyć ich z miejsca. Nie ma w tym nic specjalnego. Sami moglibyśmy zrobić coś takiego, wystarczyłoby poświęcić trochę czasu i trudu, jedyny problem tkwi w zabezpieczeniu fundamentów przed powodzią. Widziałem już kilka, bardzo solidnych rozwiązań, w postaci drewnianych słupów ze stalową końcówką, powbijanych w dno rzeki. Jeżeli coś miałoby zawieść, to będą to fundamenty. Czasem Rzymianie stosowali szybsze rozwiązania, używali ogromnych kamieni, lecz w ten sposób jedynie tamowali rzekę i zwiększali jej napór, na to, co by do niej włożyli. - Tam, skąd pochodzę, rzeki co rusz zrywają mosty - powiedział Bistami. - Wtedy ludzie po prostu budują je od nowa.

- Zgadza się, ale tak trwały most jak ten jest chyba o wiele bardziej elegancki. Zastanawiam się, czy istnieje jakaś literatura na ten temat. Nie widziałem tutaj żadnych ksiąg. Biblioteki, które po sobie zostawili, są w opłakanym stanie - same księgi rachunkowe i okazjonalne wycinki z pornografią. Jeśli kiedykolwiek było tam coś więcej, to już dawno poszło na podpałkę. Na szczęście kamienie również mogą opowiadać swoje historie. Spójrzcie, te kamienne bloki były tak równo ciosane, że do ich łączenia nie potrzeba było zaprawy murarskiej, a te wystające stalowe kołki służyły pewnie do mocowania rusztowań. - Mogołowie zamieszkujący Sindh również byli dobrymi budowniczymi -powiedział Bistami, mając na myśli

idealne sklepienia w grobowcu Chishtiego - lecz stawiali głównie świątynie i forty, mosty najczęściej wznoszono z bambusa i osadzano na kamiennych stosach. Ibn Ezra skinął głową.

- To najczęściej spotykany sposób. Może jednak ta rzeka nie wylewa aż tak szeroko. Okolica wygląda na suchą.

Wieczorem Ibn Ezra zaprezentował mały pokaz dźwigów i wyciągów, jakich Rzymianie musieli używać do transportu ogromnych skalnych bloków. Porozstawiał drewniane trójnogi i porozciągał linki. Jego widownię stanowili przede wszystkim sułtan z żoną, lecz grono pozostałych obserwatorów było dość liczne, a inni pojawiali się na chwilę w świetle pochodni i odchodzili. Ludzie zadawali Ibn Ezrze pytania i dzielili się uwagami. Wszyscy byli skupieni w jednym miejscu, kiedy nagle w świetlnym kręgu pojawił się przywódca sułtańskiej kawalerii, Sharif Jalil, z dwoma swoimi jeźdźcami. Prowadzili ze sobą trzeciego, oskarżonego o kradzież i najwyraźniej nie po raz pierwszy. Kiedy sułtan omawiał przypadek z Sharifem, Bistami dowiedział się, że oskarżony mężczyzna nie miał najlepszej reputacji z powodów, które wszyscy znali, lecz nikt o nich nie rozmawiał - prawdopodobnie chodziło o pociąg do chłopców. Bistami poczuł lęk, który z wolna przeradzał się w przerażenie. Przypomniał sobie sceny z Fatepur Sikri, surowe prawo szariatu domagające się obcinania dłoni złodziejom, a mężczyzn uprawiających miłość z mężczyznami (był to występek częsty wśród chrześcijańskich krzyżowców) skazywano na śmierć.

Mawji Darya podszedł do mężczyzny, wykręcił mu ucho, jakby karcił niegrzeczne dziecko, i rzekł:

- Brakuje ci u nas czegoś? Dołączyłeś do nas w Maladze i jedyne, co miałeś robić, aby stać się częścią naszego miasta, to pracować.

Sułtanka skinęła głową na te słowa.

- Gdybyśmy tylko zechcieli, moglibyśmy skorzystać z prawa do ukarania cię w sposób, jaki by ci się nie spodobał. Jeśli nie wierzysz, to idź i porozmawiaj z naszymi jednorękimi jeńcami. Moglibyśmy również porzucić cię i przekonać się, jak sobie dajesz radę z tutejszymi mieszkańcami. Romowie uważają, że tylko oni mają prawo kraść, i nie lubią, jak się ich okrada. Bardzo szybko by się ciebie pozbyli. A teraz mnie posłuchaj, wszystko to cię spotka, jeśli Sharif jeszcze raz cię do mnie przyprowadzi. Zostaniesz wyłączony z rodziny i uwierz mi - spojrzał znacząco na żonę - będziesz tego żałował.

Mężczyzna wybełkotał coś uniżenie (był pijany, Bistami od razu to zauważył), po czym wyprowadzono go, a sułtan pozwolił Ibn Ezrze kontynuować prezentację o rzymskich mostach.

Później Bistami odwiedził jeszcze sułtankę w dużym, królewskim namiocie i skomplementował otwartość i przyjazność ich dworu. - Nie będzie tu żadnych zasłon - odpowiedziała ostro Katima - ani izarów, ani hidżabów, które ukrywały kalifów przed ludźmi. Hidżab byt pierwszym krokiem w stronę despotyzmu kalifów. Mahomet nigdy taki nie był, nigdy! Jego pierwszy meczet był zgromadzeniem przyjaciół. Każdy miał do niego dostęp i każdy mógł się wypowiedzieć. Mogło przecież tak zostać, wtedy meczet byłby miejscem... innych zwyczajów, gdzie przemawialiby mężczyźni i kobiety. To właśnie zapoczątkował Mahomet, kimże jesteśmy, żeby

to zmieniać? Dlaczego podążać za radą tych, którzy wznoszą mury i stają się despotami? Mahomet pragnął, aby ludzi prowadził wspólny duch, a osoba odpowiedzialna za wszystkich była jedynie hakamem, arbitrem. Tytuł ten najbardziej sobie upodobał, z niego był najbardziej dumny, wiedziałeś o tym?

- Tak. - Lecz kiedy odszedł do nieba, Muawiya ustanowił kalifat i w meczetach porozstawiał straże. Od tamtej chwili trwa tyrania. Islam zmienił się z pokornego oddania w surowe podporządkowanie, z meczetów wygnano kobiety, wygnano je z ich prawowitego miejsca! To przecież istna parodia islamu!

Zaczerwieniła się na twarzy i drżała od tłumionych emocji. Bistami jeszcze nigdy nie widział takiej zapalczywości i piękna w jednej postaci. Nie mógł się skoncentrować, był pełen myśli, jednocześnie i na wielu poziomach. Kiedy skupiał się na jednym ciągu myślowym, czuł jak unoszą go i porywają pozostałe. Byt niespokojny, musiał przestać hołdować swoim myślom, musiał pozwolić, aby wszystkie ich dopływy zlały się ostatecznie w jeden nurt. - Tak - powiedział.

Odwróciła się i podeszła do kolejnego ogniska, gdzie jednym zwinnym ruchem usadowiła się wygodnie w fałdach swojej sukni, pośrodku grupy bezrękich i jednorękich mężczyzn. Przywitali ją radośnie i poczęstowali czarką kawy, wypiła duży łyk, odstawiła krzemionkę na ziemię i rzekła do jednego z nich:

- Dość tego, wystarczy! Znów wyglądasz jak zmokły szczur. Natychmiast podali jej zydel, a jeden z mężczyzn uklęknął tyłem do niej, prezentując swoje szerokie plecy. Następnie wręczono jej grzebień i flakon z oliwą. Przystąpiła do pracy przy rozczesywaniu

długich, spętlonych włosów mężczyzny. Kolorowa załoga statku głupców zasiadła dokoła i przyglądała się wszystkiemu z zadowoleniem.

Na północ od rzeki Ebro karawana przestała się rozrastać. Na starej drodze prowadzącej na północ spotykali coraz mniej miast, a te, które się zdarzały, były coraz mniejsze, zamieszkane przez maghrebskich osadników i Berberów, którzy przypłynęli tu z Algieru, a nawet z Tunezji. Uprawiali jęczmień i ogórki, a w żyznych dolinach o skalistych zboczach, odsuniętych nieco w głąb lądu od wybrzeża Morza Śródziemnego wypasali owce i kozy. Krainę tę zwano Katalonią, były tam wspaniałe ziemie, gęsto zalesione wzgórza. Królestwa taifa zostawili daleko za plecami na południu, a teraz wszyscy byli zadowoleni z miejsca, do którego dotarli, i nie czuli już potrzeby, aby podążać dalej za wydziedziczonym sułtanem i jego kolorową karawaną przez Pireneje, do dzikiej Firanii. Jak słusznie zauważył Ibn Ezra, karawana nie miała na tyle pożywienia, aby zapewnić byt wszystkim. Brakowało złota i pieniędzy, za które kupowali żywność od ludności w mijanych po drodze wioskach. Nadal trzymali się starej drogi. Wychodząc ze zwężającej się doliny, znaleźli się na szerokim, wyschniętym, skalnym plateau, prowadzącym ku zalesionym flankom wysokiego łańcucha gór, o skalach ciemniejszych niż Himalaje. Stara droga wiła się po najniższych partiach pochyłego plateau, wzdłuż żwirowego łożyska, w którym leniwie ciekła niewielka struga wody. Dalej plateau przechodziło w przełęcz, położoną niewiele wyżej nad korytem strumienia, wijącego się w górę, pomiędzy coraz wyższymi i coraz

bardziej skalistymi górami. Teraz podczas nocnych postojów nie spotykali już nikogo, ułożeni na posłaniach lub pod gwiazdami usypiali, słuchając wiatru gwiżdżącego w koronach drzew, szumu strumienia i trzeszczenia skórzanych pasów końskich uprzęży. W końcu droga zaczęła kluczyć pomiędzy skałami, przechodząc w plaski szlak, prowadzący przez skalistą przełęcz, przez górskie łąki pośród szczytów, później stromo do góry, przez kolejną wąską przełęcz, otoczoną granitowymi urwiskami, a za nią nareszcie w dół. W porównaniu z Przełęczą Chajberską, droga wcale nie była trudna, pomyślał Bistami, mimo to wielu członków karawany drżało, zdradzając przerażenie.

Po drugiej stronie przełęczy skalne rumowiska co rusz zagradzały drogę, która bardzo często stawała się zwykły pieszym szlakiem, wijącym się we wszystkie strony po skalnych osuwiskach. Była to trudna przeprawa. Sułtanka często zsiadała z konia, szła pieszo i prowadziła swoje kobiety, nie zważając na niedyspozycje i narzekania. Zaiste, potrafiła mieć ostry język, kiedy coś ją zdenerwowało, ostry i pogardliwy. Każdego wieczora podczas postojów Ibn Ezra badał drogi oraz skalne osuwiska w miejscach, gdzie się kończyły. Sporządzał szkice odsłoniętych odcinków dróg, kopiował kształty ciosanych kamieni i kanałów odprowadzających wodę.

- To klasyczne rzymskie budownictwo - powiedział jednego wieczoru, kiedy siedzieli wokół ogniska, jedząc pieczonego barana. – Ich drogi łączyły ze sobą wszystkie krainy nad Morzem Śródziemnym. Możliwe, że to był ich główny szlak przez Pireneje.

Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, gdyż jest za daleko wysunięty na zachód. Sądzę, że zaprowadzi nas do oceanu, a nie nad Morze Śródziemne. Ale z drugiej strony może jest łatwiejszy. Aż trudno uwierzyć, że nie była to główna droga, jest taka duża.

- Może wszystkie ich drogi były właśnie takie - odezwała się sułtanka. Możliwe. Używali wozów, jak ten, który ludzie niedawno znaleźli zarośnięty bluszczem, więc ich drogi musiały być szersze od naszych. Wielbłądy, jak wiadomo, w ogóle nie potrzebują dróg. A może to była główna droga? Może to właśnie nią podążał na słoniach Hannibal z kartagińską armią w czasie najazdów na Rzym? Widziałem te ruiny na północ od Tunezji. To musiało być wspaniałe miasto. Hannibal ostatecznie przegrał, a z nim przegrała Kartagina. Rzymianie zburzyli miasto, a ziemie uprawne zasypali solą, tak że Maghreb w końcu wysechł. To był koniec Kartaginy.

- A więc tą drogą mogły niegdyś chodzić słonie - powiedziała sułtanka. Sułtan spojrzał na dukt, potrząsając ze zdziwieniem głową. Oboje lubili dostrzegać tego typu szczegóły.

Kiedy zostawili za sobą góry, znaleźli się w znacznie zimniejszej krainie. Południowe słońce złociło oddalone i ledwo już widoczne szczyty Pirenejów. Kraina była plaska i szara, miejscami przy ziemi gromadziły się mgły. Na zachód od nich znajdował się zimny i szary ocean, z dzikimi, pieniącymi się falami.

Karawana doszła do rzeki, wpadającej w tym miejscu, ogromnego zachodniego basenu. Ujście rzeki otaczały ruiny starożytnego miasta, a na jego skraju stało kilka skromnych, świeżo postawionych budynków, zapewne rybackich osad, założonych po

obu stronach nowego, drewnianego mostu.

- Spójrzcie, o ile mniej jesteśmy zaradni od Rzymian – powiedział Ibn Ezra i mimo to pośpieszył w stronę budowli.

Kiedy wrócił, oznajmił:

- Jak mniemam, są to ruiny miasta zwanego Bayonne. Na pozostało ściach wieży mostowej widnieje inskrypcja. Według map, na północy powinno znajdować się jeszcze większe miasto, Bordeaux, Granica Wody.

Sułtan potrząsnął głową.

- Zaszliśmy już wystarczająco daleko. To powinno wystarczyć. Jesteśmy za górami, lecz nadal w optymalnej odległości od Al-Andalus. Dokładnie tak, jak chciałem.

Sułtanka Katima skinęła głową. Rozpoczęto długi proces osiedlania się.

8

Baraka

Na ogół budowali się w górę rzeki, na północ od ruin starego miasta, które rozbierano z kamienia i belek, aż w końcu pozostało w nim niewiele starożytnych budynków, oprócz kościoła, ogromnej budowli na kształt kamiennej stodoły, odartej z idoli i obrazów, której struktura, w porównaniu ze współczesnymi meczetami cywilizowanego świata, nie urzekała pięknem. Była to ordynarna, przysadzista bryła, lecz za to przestronna i usytuowana na lekkim wzniesieniu, tuż nad zakrętem rzeki. Po gorących dyskusjach toczących się wśród wszystkich członków karawany, zadecydowano

wykorzystać budowlę i uczynić z niej meczet.

Przebudowa rozpoczęła się bezzwłocznie. Odpowiedzialność za projekt spoczęła na Bistamim, który spędził mnóstwo czasu z Ibn Ezrą, opisując mu wszystko, co pamiętał na temat grobowca Chisthiego i innych wspaniałych budowli imperium Akbara. Razem studiowali szkice Ibn Ezry i zastanawiali się, w jaki sposób stary kościół upodobnić do meczetu. W końcu wypracowali wspólny plan, który zakładał zdarcie i tak zniszczonego dachu ze starej konstrukcji i wykorzystanie ścian jako wewnętrznych przypór okrągłego, a raczej elipsoidalnego meczetu, który następnie planowano przykryć kopułą. Sułtanka życzyła sobie, aby dziedziniec modlitewny, liwan, otwierał się na przestronny plac miejski, co miało odzwierciedlać ich wizję islamu, otwartego na wszystkich ludzi. Bistami robił wszystko, co mógł, aby sprostać jej rozkazom, mimo iż wyglądało na to, że tutejszy klimat nie byt deszczowy, a zimą mógł padać śnieg. Nie było to jednak najważniejsze. Miejsce kultu miało otwierać się z wnętrza głównego meczetu, na plac, dalej na miasto i na cały świat.

Ibn Ezra z radością zaprojektował i sporządził rusztowania, kozły do noszenia kamieni, wózki, tężniki, przypory, cement i wiele innych przedmiotów. Według gwiazd i map, zorientowanych w kierunku Mekki, określił położenie wskazujących na nią symboli oraz orientację całej budowli. Już wkrótce reszta miasta zaczęła ściągać na północ, w kierunku meczetu, a z czasem, kiedy coraz więcej ludzi osiedliło się w pobliżu, wszystkie pozostałe ruiny rozebrano i zagospodarowano pod budowę nowych domów. Pojedyncze grupy

Ormian i Romów zamieszkujące ruiny przed ich przybyciem albo przyłączały się do ich społeczności, albo przenosiły się dalej na północ.

- Powinniśmy wydzielić część przestrzeni w pobliżu meczetu pod budowę medresy - powiedział Ibn Ezra - zanim miasto zajmie całą okolicę.

Sułtan Mawij uznał to za bardzo dobry pomysł i nakazał, aby ci, którzy osiedlili się tuż przy meczecie i pracowali na jego budowie, przenieśli się. Niektórzy z pracowników sprzeciwili się, a następnie stanowczo odmówili wykonania rozkazu. Podczas spotkania sułtan stracił cierpliwość i zagroził im wygnaniem z miasta, choć prawda była taka, że posiadał niewielką gwardię przyboczną, która, według Bistamiego, nie była go w stanie obronić w przypadku zagrożenia. Przypomniał sobie gigantyczne kawalerie Akbara, żołnierzy mameluków. Cóż, sułtan nie mógł się poszczycić czymś takim - spoglądał na niecałe dwa tuziny swoich barczystych obdartusów i nie mógł z nimi nic zrobić. Tradycyjna idea otwartości karawany, a przede wszystkim jej szczególna atmosfera bezpieczeństwa była zagrożona.

Wtedy, na arabskiej klaczy, wjechała sułtanka Katima. Ześlizgnęła się zwinnie z siodła i podeszła do sułtana. Położyła dłoń na jego ramieniu i powiedziała coś, co tylko on mógł usłyszeć. Wyglądał na spłoszonego, kiedy pospiesznie rozważał jej słowa. Sułtanka wbiła surowy wzrok w opornych i nieskorych do współpracy osiedleńców - potworna nagana, Bistami aż zadrżał - za nic w świecie nie chciałby poczuć na sobie takiego spojrzenia. Rzeczywiście ci szubrawcy

pobledli i zawstydzeni spoglądali w ziemię.

W końcu odezwała się.

- Mahomet głosił, że nauka jest wielką nadzieją, jaką Bóg pokłada w ludzkości. Meczet jest sercem nauki, domem Koranu. Medresa jest przedłużeniem meczetu. Tak właśnie musi być w każdej muzułmańskiej społeczności, abyśmy mogli poznawać Boga lepiej i pełniej. Tak też będzie i tu, oczywiście.

Następnie odprowadziła męża do pałacu, po drugiej stronie starego mostu. W środku nocy sułtańska straż przybyła na miejsce w pełnym rynsztunku bojowym, aby usunąć dzikich osadników, lecz do tego czasu wszyscy wynieśli się ze spornych ziem. Słysząc dobre wieści, Ibn Ezra skinął głową z wyraźną ulgą.

- W przyszłości musimy planować takie rzeczy, aby uniknąć podobnych sytuacji - powiedział Bistamiemu zniżonym głosem. - Ten incydent podniósł poniekąd reputację sułtanki, ale odbyło się to pewnym kosztem.

Bistami nie chciał teraz o tym myśleć.

- Przynajmniej będziemy mieli medresę obok meczetu.

- To dwie części jednej całości, tak jak powiedziała sultanka. Zwłaszcza, jeśli nauka o świecie doświadczalnym będzie wpisana w status medresy. Mam nadzieję, że tak się właśnie stanie. Nie wyobrażam sobie, żeby takie miejsce jak to zmarnowało się jedynie na przestrzeń do nabożeństw. Bóg powołał nas na ten świat, abyśmy go zrozumieli! W ten sposób najlepiej oddaje się cześć Bogu, jak mówił Ibn Sina.

Wkrótce zapomniano o tym drobnym konflikcie, a miasto,

nazwane przez sułtankę Baraka, od terminu oznaczającego łaskę, o którym wspominał jej Bistami, rozrastało się i nabierało kształtów, jakby stało tu od zawsze. Ruiny starego miasta zniknęły całkowicie pod nowymi ulicami, placami, ogrodami i warsztatami; architektura nowego miasta i jego plan przypominały Malagę i inne andaluzyjskie miasta na wybrzeżach. Z jedną różnicą - ściany budynków były tu wyższe, a okna o wiele mniejsze, ze względu na ostre zimy i lodowaty wiatr, wiejący jesienią i wiosną od oceanu. Jedynie pałac sułtana był tak otwartą i lekką budowlą, jak większość zabudowy śródziemnomorskiej. Przypominało to mieszkańcom o ich pochodzeniu i pokazywało, że sułtan żyje ponad wszelkimi wymaganiami, jakie stawiała przed nim natura. Po drugiej stronie mostu, znajdującego się nieopodal pałacu, place były nieco mniejsze, a ulice i alejki jeszcze węższe, coś na kształt nadrzecznej kazby czy medyny, które wyrastały wokół każdego większego maghrebskiego miasta. Wzdłuż gęstej sieci uliczek stały rzędy dwu- i trzypiętrowych domów, oddalonych od siebie na szerokość ramion, tak że sąsiadowi z naprzeciwka można było podać sól przez okno.

Kiedy spadł pierwszy śnieg i mieszkańcy pośpieszyli na wielki plac przed głównym meczetem poubierani we wszystko, co mieli, rozpalono wielkie ognisko, muezin odśpiewał zawołanie i zaczęto recytować modlitwy. Pałacowi muzykanci o skostniałych palcach i zsiniałych wargach przygrywali do sufickiego tańca wokół ogniska. Derwisze wirowali w śniegu, wszyscy uśmiechali się na ich widok, wiedząc, że udało im się przenieść islam na nowe miejsce, w inny

klimat. Czuli, że stwarzają nowy świat.

W dziewiczych lasach na północy nie brakowało drewna, a ptactwa i ryb mieli pod dostatkiem. Nie zmarzną ani nie będą głodni. Zimą życie w mieście toczyło się dalej pod cienką zasłoną topniejącego śniegu, jakby żyli gdzieś wysoko w górach, rzeka swym długim ujściem stale wpływała do oceanu, który kąsał plaże z niezaspokojoną żarłocznością i pochłaniał wszystkie płatki śniegu opadające w jego szare fale. To był ich kraj.

Pewnego dnia następnej wiosny przybyła kolejna karawana, pełna obcych ludzi i ich dobytku. Usłyszeli o nowym mieście Baraka i pragnęli się w nim osiedlić. Kolejna karawana głupców, tyle że tym razem złożona z romskich i armeńskich mieszkańców Portugalii i Kastylii. Ich kryminalna przeszłość była oczywista, sądząc po zaskakującym odsetku jednorękich mężczyzn, muzyków, kuglarzy i wróżów.

- To zaskakujące, że udało im się przeprawić przez góry - powiedział Bistami do Ibn Ezra.

- Potrzeba zmusiła ich do myślenia, to pewne. Al-Andalus jest niebezpiecznym miejscem dla takich ludzi. Brat sułtana okazał się niezwykle surowym kalifem, w czystości jego podejścia pobrzmiewa nawet ton Almohada. Propagowany przez niego islam jest tak czysty, że obawiam się, że nikt wcześniej nie próbował wcielać go w życie, nawet za czasów Proroka. Ta karawana zaś składa się z uciekinierów, jak i z resztą niegdyś nasza.

- W poszukiwaniu sanktuarium - odrzekł Bistami. - Tak chrześcijanie nazywają miejsce schronienia, zwykle są to ich kościoły,

czasem królewskie dwory. Podobnie jak sufickie ribaty w Persji. To dobrze, że się tak dzieje. Kiedy prawo staje się zbyt surowe, dobrzy ludzie zaczynają się gromadzić.

I w ten sposób ich przybywało. Wielu było apostatów i heretyków, Bistami prowadził z nimi dyskusje w meczecie. Przemawiając, starał się wytworzyć atmosferę, w której o wszystkich kwestiach mogliby swobodnie rozmawiać, bez poczucia zagrożenia, unoszącego się gdzieś ponad nimi. Owszem, było ono obecne, na szczęście daleko stąd, po tamtej stronie Pirenejów. Oczywiście nie padały nigdy bluźniercze twierdzenia o Bogu czy o Mahomecie. Nie ważne było, czy jest się sunnitą czy szyitą, Arabem czy Andaluzyjczykiem, Turkiem czy Romem, kobietą czy mężczyzną - najważniejsze było oddanie i Koran.

Bistami z zainteresowaniem dostrzegł, że ten religijny balet stawał się tym łatwiejszy, im dłużej się nad nim pracowało. Czuł, jakby wykonywał ćwiczenia gimnastyczne na skalnym gzymsie lub na wysokim murze. Czyżby to wyzwanie dla autorytetu kalifa? Spójrzmy, co na ten temat mówi Koran. Zignorujmy hadis, który przylgnął jak narośl do świętego tekstu, a i nierzadko go wypaczył: przedzieraj się do samego źródła. Tam przesłania mogą być dwuznaczne, często takie są. Księga jednak spływała na Mahometa na przestrzeni wielu lat i najważniejsze zagadnienia przewijają się w niej wielokrotnie, obleczone w różną formę. Odczytywali je wspólnie i razem omawiali napotkane różnice.

- Kiedy odbywałem nauki w Mekce, słyszałem, jak uczeni mówili... - na takie poparcie swojego autorytetu Bistami mógł sobie pozwolić.

Słyszał, jak prawdziwi nauczyciele przemawiali. Była to metoda stosowana w hadisach, lecz jego hadis miał inne przesłanie: nie wolno zawierzać hadisom, a jedynie Koranowi.

- Poruszałem to zagadnienie z sułtanką... - to było kolejne popularne otwarcie. I rzeczywiście, konsultował z nią niemal wszystkie pytania, jakie wychodziły w dyskusjach. Była prawdziwym autorytetem w sprawach związanych z sytuacją kobiet, z wychowywaniem dzieci, a w sprawach rodzinnych zawsze zdawał się na jej osąd, któremu z upływem pierwszych lat nauczył się ufać. Znała Koran od podszewki, potrafiła z pamięci recytować sury, które budowały jej stanowisko w walce z nierównością, a pomoc, jakiej udzielała ludziom słabym i potrzebującym, była nieoceniona. Przede wszystkim jednak, gdziekolwiek by się nie pojawiła, potrafiła zawładnąć ludzkim sercem i oczarować swą urodą, a nigdzie tak potężnie, jak w meczecie. Nie było żadnych wątpliwości, co do tego, czy wolno jej się tam pojawiać, a czasem nawet prowadzić modlitwy. Zakazanie tej istocie, przepełnionej Bożą łaską, wstępu do miejsca kultu byłoby wbrew naturze, zwłaszcza w mieście nazwanym Baraka. Jak sama zwykła mawiać:

- Czyż Bóg mnie stworzył? Czy ofiarował mi umysł i duszę równie wspaniałe, co i mężczyźnie? Czy dzieci mężczyzn przychodzą na świat z ciał kobiet? Czy odmówiłbyś swojej matce miejsca w niebie? Czy ten, który na ziemi nie został dopuszczony do oblicza Boga, może wejść do nieba?

Nikt z odpowiadających przecząco na większość z tych pytań nie zagrzewał dłużej miejsca w Barace. W górnym biegu rzeki, na

północy,

były już też inne miasta, założone głównie przez Ormian i Romów, u których religijne zaangażowanie nie było aż tak widoczne. Z czasem wielu poddanych sułtana opuściło go i przeprowadziło się do innych miast. Mimo to w głównym meczecie tłum wiernych nadal się powiększał. Wybudowano jeszcze kilka mniejszych, zwykłych meczetów, w dzielnicach na poszerzających się przedmieściach, lecz to meczet piątkowy pozostał głównym miejscem spotkań całego miasta. Jego dziedziniec i medresa zapełniały się ludźmi w święta, podczas uroczystości i w ramadan oraz w dzień, kiedy spadał pierwszy śnieg, kiedy rozpalano zimowe ognisko. W tym czasie Baraka była jedną rodziną, a sułtanka Katima jej matką i siostrą.

Medresa rozrastała się niemal tak szybko jak i miasto, a może nawet i szybciej. Każdej wiosny, kiedy z górskich dróg schodziły śniegi, pojawiały się nowe karawany prowadzone przez górską ludność. Zawsze był wśród nich ktoś, kto przyjechał specjalnie po nauki w medresie, która stała się znana dzięki badaniom Ibn Ezra z zakresu świata roślin i zwierząt, historii Rzymian, technik budowlanych i gwiazd. Nowi podróżnicy z Al-Andalus przywozili ze sobą odzyskane księgi autorstwa Ibn Rashda i Maimonidesa, nowe arabskie przekłady starożytnych greckich myślicieli i swoje własne pragnienie dzielenia się wiedzą oraz zdobywania wciąż nowej. Nowa współegzystencja miała odtąd swoje serce w barackiej medresie, dzięki której Słowo dalej się rozprzestrzeniało.

Nieco później, owego fatalnego dnia w szóstym roku barackiej

hidżry, sułtan Mawji Darya poważnie się rozchorował. Przez kilka poprzednich miesięcy niepokojąco przybierał na wadze, a Ibn Ezra próbował go leczyć dietą mleczno-zbożową, która pomagała na skórę i dodawała mu energii. Niestety, później znów zaniemógł. W nocy Ibn Ezra obudził Bistamiego.

- Chodź ze mną. Sułtan prosi o modlitwy.

Ibn Ezra nie najlepiej nadawał się do odprawiania modłów, więc jego nocne przyjście nie mogło wróżyć nic dobrego. Bistami pośpieszył za nim i dołączyli do królewskiej rodziny w ich prywatnej części pałacu. Twarz Katimy zbielała jak płótno. Bistami wzruszył się, widząc, z jakim bólem przyjęła jego przyjście. Oczywiście nie chodziło o osobę Bistamiego - sułtanka doskonale wiedziała, dlaczego Ibn Ezra przyprowadził go o tak późnej porze. Zagryzała wargi, spoglądała w dal, łzy ciekły jej po policzkach.

W sypialni sułtan wił się z bólu, bezgłośnie, lecz z wielkim wysiłkiem. Jego oddech rwał się, a twarz przybierała ciemnoczerwoną barwę.

- Czy to możliwe, że został otruty? - zapytał szeptem Bistami.

- Nie sądzę. Sługa próbujący potraw czuje się dobrze - powiedział, wskazując na ogromnego, zwiniętego w kłębek kocura, śpiącego na postaniu w rogu komnaty - chyba że ktoś go dźgnął zatrutą igłą. Nie znalazłem jednak żadnych śladów.

Bistami usiadł przy zwiniętym sułtanie i ujął jego rozpaloną dłoń. Zanim zdążył wypowiedzieć słowo, sułtan wydał z siebie słaby jęk, wyprężył grzbiet i przestał oddychać. Ibn Ezra złapał go za ręce, skrzyżował je na piersiach i mocno nacisnął, pochylając się nad

nim. Bezskutecznie. Jego ciało uwięzło nieruchomo w ostatnim, bolesnym paroksyzmie. Sultanka wpadła z płaczem do sypialni i próbowała przywrócić go do życia, wołając go i przyzywając Boga, błagając Ibn Ezra, o ponowienie próby ratunku. Długo im zajęło przekonywanie jej, że wszelkie zabiegi były bezskuteczne, że zawiedli, że sułtan umarł.

Tradycja muzułmańskich pogrzebów sięgała dawnych czasów. Mężczyźni i kobiety gromadzili się zwykle na osobnych uroczystościach, dopiero później wszyscy łączyli się na cmentarzu i wspólnie uczestniczyli w krótkim pochówku.

To jednak był pierwszy pogrzeb sułtana w historii Baraki. Sułtanka osobiście poprowadziła społeczność miasta na plac przed głównym meczetem, gdzie nakazała wystawić ciało męża odziane w najwspanialsze szaty. Jedyne, co Bistami mógł zrobić, to iść z tłumem, stawać przed ludźmi i recytować stare żałobne modlitwy, jakby od zawsze były one kierowane do wszystkich bez wyjątku. A dlaczego nie miałyby być? Niektóre wersety z nabożeństwa nabierały właściwego znaczenia dopiero wtedy, gdy kierowano je do całej społeczności. W pewnej chwili, wpatrując się w obnażone i pogrążone w smutku twarze mieszkańców, zrozumiał, że starą tradycję obciążają błędy, że złem, a nawet jawnym okrucieństwem jest dzielenie społeczeństwa w chwili, kiedy tak bardzo potrzebuje ono poczucia jedności. Nigdy wcześniej nie zrodziły się w jego głowie tak silne myśli heterodoksyjne. Zawsze zgadzał się z poglądami sultanki, po prostu miała rację. Wstrząśnięty tym nagłym przewartościowaniem swoich poglądów i widokiem ciała

ukochanego sułtana leżącego w trumnie na katafalku, rzekł do zebranych, że słońce świeci tylko daną liczbę godzin w życiu każdego z nas. Pierwsze słowa homilii wypowiadał chropowatym, rozdzierającym głosem, który nawet dla niego samego brzmiał, jakby dobywał się z obcego gardła, zupełnie jak wtedy, dawno temu, podczas wiecznych dni, kiedy recytował wersety Koranu pod chmurą gniewu Akbara. To skojarzenie było silniejsze od niego, zaczął płakać i mówił z wysiłkiem. Wszyscy na placu płakali razem z nim, na nowo zaczęło się zawodzenie, niektórzy kaleczyli się i biczowali, aby zagłuszyć gryzący ich ból.

Cale miasto utworzyło wielki kondukt żałobny, a sultanka Katima poprowadziła go nad zatokę, gdzie tłumy ludzi wyły boleśnie, jak morze na skalistej plaży. Sułtana pochowano na wzniesieniu ponad wielkim, szarym oceanem. Przez wiele kolejnych miesięcy w Barace widać było tylko czerń i popiół.

Minął rok, lecz nadal nikt nie ośmielił się zdjąć żałoby. Nie chodziło tu jedynie o śmierć władcy, ale o to, że sultanka sprawowała rządy samodzielnie.

Teraz zarówno Bistami, jak i wszyscy inni mogli mówić na głos, że Katima od zawsze była prawdziwym władcą, a sułtan jedynie jej łaskawym i ukochanym pocieszycielem. Bez wątpienia tkwiło w tym więcej niż ziarno prawdy, lecz kiedy sułtanka pojawiała się w piątki w głównym meczecie, aby odprawiać modlitwy, Bistami znów poczuł się nieswojo, a ponadto wyczuwał niepokój wśród mieszkańców. Katima już wiele razy występowała w tej roli i zwracała się do nich w podobny sposób, teraz jednak wszyscy

wyraźnie odczuwali brak ich łaskawego i wyrozumiałego anioła stróża, którego zabrakło w pałacu po drugiej stronie rzeki.

Wieści o narastających niepokojach bardzo szybko dotarły do Katimy. Jej przemowy stały się teraz ostre, a ton głosu płaczliwy.

- Bóg pragnie, aby w małżeństwie relacja między mężczyzną i kobietą odbywała się na zasadzie równego z równym. Kim pragnie stać się mąż, tym i żona stać się może! W czasie, kiedy panował chaos, przed rokiem pierwszym, w czasie zerowym, mężczyźni traktowali kobiety jak zwierzęta domowe. Bóg przemówił przez Mahometa i wyraźnie stwierdził, że kobiety duchem równe są mężczyznom, tak też powinno się je traktować. Bóg, dając im życie, nadał im też konkretne prawa do dziedziczenia, do rozwodu, do wolnego wyboru, do opieki nad swoimi dziećmi, rozumiecie? Przed pierwszą hidżrą, tuż przed rokiem pierwszym, pośrodku panoszącego się chaosu, pośród morderstw i grabieży w zezwierzęconej społeczności Bóg nakazał Mahometowi wprowadzić zmiany. Mówił, że owszem, możesz poślubić więcej niż jedną kobietę, jeśli tylko tego chcesz, jeśli tylko potrafisz osiągnąć to bez wzburzania konfliktów. A zaraz po tym następny werset mówi: “Lecz tego nie da się osiągnąć bez konfliktów". Cóż to zatem jest, jeśli nie zakaz poligamii, wyrażony w dwóch częściach, w formie zagadki lub lekcji dla mężczyzn, którzy nie potrafią sobie tego inaczej wyobrazić?

Stało się oczywiste, że próbowała zmieniać bieg rzeczy, który od dawna był już ustalony - że próbowała odmienić islam. Oczywiście wszyscy byli za nią, lecz w skrytości ducha nikt się do tego nie

przyznawał nawet przed samym sobą. Musieli stawać twarzą w twarz z ich jedynym władcą, z kobietą. Nigdzie wcześniej nie panowała muzułmańska królowa, żaden hadis nie miał już zastosowania.

Bistami za wszelką cenę chciał jej pomóc i zaczął sporządzać własne hadisy. Czasem dołączał do nich prawdopodobne, aczkolwiek zmyślone isnady i przypisywał je starożytnym sufickim uczonym, którzy akurat przychodzili mu do głowy. Inne znów przypisywał sułtanowi Mawji Darya bądź innemu sufickiemu nauczycielowi, z którymi spotkał się w Persji. Wiele z nich opierało się też na zbyt prostej wiedzy, aby dołączać do nich genealogię. Sułtanka postępowała podobnie, za jego przykładem, jak mniemał, lecz ona odnajdywała schronienie w samym tylko Koranie i obsesyjnie niemal powracała do sutr popierających jej stanowisko.

Oczywiście wszyscy doskonale wiedzieli, jakie tradycje panowały w Al-Andalus, w Maghrebie i w Mekce, a w rzeczywistości na całym terytorium islamu, od oceanu zachodniego po wschodni (Ibn Ezra uważał, że jest to w istocie jeden wielki ocean pokrywający duży obszar Ziemi, która miała kulisty kształt, i której większość powierzchni pokrywała woda). Kobiety nie prowadziły modlitw, a kiedy robiła to sułtanka, nadal było to wstrząsające, zwłaszcza teraz, kiedy odszedł sułtan. Wszyscy o tym rozmawiali. Jeśli będzie chciała nadal podążać swoją ścieżką, musi powtórnie wyjść za mąż.

Katima nie zdradzała jednak najmniejszego zainteresowania tym tematem. Stale nosiła wdowią czerń, do wszystkich miejscowych

odnosiła się z dystansem i nie utrzymywała kontaktów z innymi władcami w Al-Andalus. Bitsami, jeśli nie liczyć Mawji Daryi, spędzał z nią najwięcej czasu. Kiedy zrozumiał spojrzenia mieszkańców, mówiące, że właściwie to mógłby poślubić sułtankę i uwolnić ich od niepokoju, zakręciło mu się w głowie i dostał mdłości. Kochał ją tak bardzo, że nie wyobrażał sobie, aby mógł ją poślubić. To nie była miłość tego rodzaju. Nie uważał też, aby ona potrafiła sobie to jakoś wyobrazić, więc stwierdził, że nie warto było wychodzić z takim pomysłem, jakże atrakcyjnym i przerażającym zarazem, a w ostateczności, jakże bolesnym w swej skrajności. Kiedyś w towarzystwie Bistamiego rozmawiała z Ibn Ezrą o jego poglądach na naturę oceanu, który rozlewał się przed nimi.

- Twierdzisz, że jest to ten sam ocean, który oglądają na Molukach i na Sumatrze, po drugiej stronie świata? Jak to możliwe?

- Świat, na którym żyjemy, ma najprawdopodobniej kształt kuli -odpowiedział Ibn Ezra. - Jest okrągły, jak księżyc czy słońce. Jak duża okrągła piłka. My przybyliśmy na zachodni kraniec lądu, który ciągnie się po obwodzie aż na drugą stronę kuli, gdzie znajduje się brzeg wschodni. Całą resztę pokrywa ocean.

- Zatem moglibyśmy popłynąć stąd na Sumatrę?

- Teoretycznie tak. Próbowałem obliczyć rozmiar Ziemi, używając rachunków sporządzonych jeszcze przez starożytnych Greków i Brahmagupty z południowych Indii oraz własnych wyliczeń z gwiazd, i nadal nie jestem pewny. Sądzę, że obwód musi mieć około dziesięć tysięcy lig. Brahmagupta pisze, że jest to około pięć tysięcy yoganda, co według moich obliczeń jest podobną

wielkością. Całkowitą długość lądu, od Maroko do Moluków, szacuję na około pięć tysięcy lig. Z tego wynika, że ocean, na który właśnie patrzymy, pokrywa połowę kuli ziemskiej, pięć tysięcy lig albo więcej. Żaden statek nie jest w stanie pokonać takiego dystansu.

- Jesteś tego pewny? Czy to prawda, że jest aż tak ogromny, jak mówisz?

Ibn Ezra skinął dłonią w niepewnym geście.

- Nie do końca, sułtanko, to znaczy myślę, że granica błędu jest niewielka.

- A wyspy po drodze? Ocean nie może być przecież zupełnie pusty przez pięć tysięcy lig. Muszą być tam jakieś wyspy!

- Bez wątpienia, o pani, można tak przypuszczać. Andaluzyjscy rybacy donosili o odległych wyspach i lądach, na których lądowali po niejednym sztormie. Żaden jednak nie podaje, gdzie lądy te się znajdowały, ani w którym kierunku, ani jak daleko.

Sułtanka najwyraźniej miała nadzieję.

- Więc moglibyśmy wypłynąć na poszukiwanie tych wysp albo znaleźć inne, podobne do nich.

Ibn Ezra znów skinął dłonią.

- Jak to? - zapytała ostrym tonem. - Uważasz, że nie potrafiłbyś zbudować statku na miarę oceanu?

- Może bym i potrafił, ale wyposażenie go na tak długi rejs... nawet nie wiemy, ile mógłby trwać.

- No więc - powiedziała ponurym tonem Katima - będziemy musieli chyba się dowiedzieć, skoro sułtan nie żyje i nie ma nikogo, kto

mógłby mnie poślubić - w tym momencie rzuciła pojedyncze spojrzenie na Bistamiego. - Wkrótce zjawią się tu andaluzyjscy najeźdźcy i będą Próbowali nas podbić.

- To spojrzenie było jak cios prosto w serce. Tamtej nocy Bistami przewracał się nerwowo w swoim łóżku. Pod zamkniętymi powiekami ciągle widział oczy Katimy. Cóż mógł poradzić? Jak oni mogli się po nim spodziewać pomocy? Przez całą noc nie zmrużył oka.

W tej sytuacji pomóc mógł jedynie mąż. Poczucie harmonii w mieście Baraka zostało zachwiane, a wieści o tym przedostały się przez Pireneje. Wczesną wiosną, kiedy stan wody w rzece nadal utrzymywał się wysoko i w chroniących ich górach nadal zalegał śnieg, drogą spomiędzy wzgórz przyjechali jeźdźcy. Za nimi od oceanu nadciągała zimna wiosenna burza. Była to dość duża kolumna kawalerii, dzierżąca furkoczące chorągwie Toledo i Granady, ich miecze przy udach i kopie połyskiwały w słońcu. Ubrani w kolorowe stroje, wjechali od razu na główny plac przy meczecie, w centrum miasta. Obniżyli kopie, tak że teraz mierzyły dokładnie na wprost. Ich dowódcą był jeden ze starszych braci sułtana, seid Darya. Stanął w swoich srebrnych strzemionach, tak że górował ponad wszystkimi zgromadzonymi, i rzekł:

- Przejmujemy to miasto w imię kalifa Al-Andalus, aby uchronić je od apostazji oraz od czarownicy, która rzuciła urok na mojego brata i zabiła go na śnie.

Tłum rósł z minuty na minutę, ludzie stali i wpatrywali się głupkowato w jeźdźców. Niektórzy gotowali się z oburzenia, inni byli

zadowoleni, większość zaś zmieszana bądź zasmucona. Część starej hałastry z pierwszej karawany głupców już sięgała po kamienie. Bistami obserwował wszystko z alei prowadzącej nad rzekę. Wtem jak błyskawica przeleciała mu przez głowę myśl - te kopie, te łuki wycelowane na wprost, to jak pułapka na tygrysa dawno temu, w Indiach, a ci żołnierze to Bagh-mari, członkowie klanu specjalizującego się w zabijaniu tygrysów, chodzący od wioski do wioski i za odpowiednią opłatą zabijający zwierzęta, jeśli komuś się naprzykrzały. Już ich kiedyś widział. Nie tylko wtedy, gdy uratowała go tygrysica, ale jeszcze wcześniej, w czasach, których nie potrafił sobie przypomnieć, choć stale o nich pamiętał. Zasadzka na Katimę, śmiertelna pułapka, mężczyźni przebijający stalą jej ciało, a ona stojąca na baczność, taka wysoka, czarnoskóra... O nie! To wszystko już się kiedyś wydarzyło!

W panice pobiegł przez most, prosto do pałacu. Katima właśnie dosiadała konia, aby wyjść naprzeciw najeźdźcom, więc rzucił się między nią a wierzchowca. Była wściekła i próbowała go wyminąć, on jednak objął ją ramieniem wokół talii, tak szczupłej, jak u dziewczęcia, i wykrzyknął:

- Nie, nie, nie, nie, nie. Katimo, błagam cię, błagam, nie jedź tam! Zabiją cię, to jest pułapka! Widziałem wszystko! Zabiją cię!

- Muszę jechać - rzekła, a jej twarz zaczerwieniła się. - Ludzie mnie potrzebują. Wcale nie. Potrzebują cię żywej. Możemy wyjechać, ludzie pojadą za nami, na pewno pojadą! Przecież każdy musi mieć jakieś swoje miejsce, budynki nic nie znaczą, możemy przeprowadzić się na północ, twoi ludzie z pewnością do nas

dołączą! Posłuchaj mnie! -Złapał ją mocno za ramiona, przytrzymał i spojrzał głęboko w oczy -widziałem już wcześniej jak rozegra się ta scena, wiedza ta została mi ofiarowana. Musimy uciekać, w przeciwnym razie zginiemy.

Po drugiej stronie rzeki usłyszeli krzyki. Andaluzyjscy jeźdźcy nie przywykli do oporu ze strony społeczności nieposiadającej własnych wojsk ani kawalerii. Jeździli po ulicach miasta i rozpędzali tłum obdartusów zgromadzonych w obronie sułtanki, ciskających kamieniami i uciekających. Najeźdźcy wcale nie mieli tak łatwego zadania. Śnieg wirował w mroku i rozwiewał się na boki od podmuchów wiatru spod ciężkich, szarych chmur sunących nisko nad miastem, które w wielu miejscach zajęło się od płomieni. W ogniu stały już dzielnice sąsiadujące z meczetem.

- Pośpiesz się, sułtanko, nie ma chwili do stracenia! Widziałem, co zrobią! Będą bezlitośni, już tu jadą! Musimy uciekać, natychmiast! To się już wydarzyło! Zbudujemy nowe miasto na północy, niektórzy pójdą za nami, zbierzemy karawanę i zaczniemy wszystko od nowa, brońmy się przed nimi tak, jak trzeba!

- Dobrze! - wykrzyknęła niespodziewanie Katima, spoglądając na płonące miasto. Wiał porywisty wiatr, wraz z szumem powietrza dochodziły ich ludzkie krzyki.

- Do diabła z nimi, niech będą przeklęci. Natychmiast dawajcie mi konia! I wy wszyscy też, na koń! Czeka nas ciężka droga.

9

Kolejne spotkanie w bardo

Kiedy wiele lat po tym, jak udali się na północ i przy ujściu rzeki Lawiyya założyli nowe miasto, Nsarę, które zdołali obronić przed najazdami andaluzyjskich sułtanatów, po tych wszystkich wspaniałych latach ich panowania na morzu, prowadzenia połowów i handlu z odległymi krajami, znów wszyscy razem znaleźli się w bardo, Bistami był zadowolony. Nigdy nie pobrał się z Katimą, a temat ten przestał pojawiać się w ich rozmowach. Przez wiele lat Bistami był głównym ulemą Nsary i pomagał przy uprawomocnieniu tego nowego tworu, jakim była instytucja muzułmańskiej królowej. Praca nad tym projektem zajmowała niemal każdy dzień ich wspólnego życia.

- Rozpoznałem cię! - zwrócił się do Katimy. - W trakcie naszego życia, poprzez zasłonę niepamięci, w tych najważniejszych chwilach, wiedziałem, kim jesteś, i ty też coś wiedziałaś. Wiedziałaś, że działy się rzeczy z wyższej rzeczywistości. Posuwamy się do przodu.

Katima nie odpowiedziała. Siedzieli na kamiennych płytach dziedzińca w kształcie grobowca Chishtiego w Fatepur Sikri, lecz o wiele bardziej przestronnego. Ludzie ustawiali się w długich kolejkach do wejścia do sanktuarium, w którym odbywał się nad nimi sąd. Wyglądali jak hadżiowie ustawiający się w kolejce do Kaby. Bistami usłyszał dobiegający z wewnątrz głos Mahometa, wychwalający jednych i karcący innych.

- Musisz spróbować jeszcze raz - Bistami usłyszał głos podobny

do głosu Mahometa. Dokoła panowała cisza i wszyscy byli potulni. Zbliżał się wschód słońca, powietrze było chłodne i wilgotne i z wolna wypełniało się odległym śpiewem ptaków. Siedząc obok Katimy, Bistami zrozumiał, jak bardzo różniła się ona od Akbara. Akbar z pewnością zesłany został na niższy plan istnienia i prawdopodobnie buszuje teraz w dżungli za pożywieniem, tak jak Katima w poprzednim wcieleniu. Mimo tego zaprzyjaźniła się z Bistamim. Uratowała go przed hinduskimi rebeliantami, a później wzięła go ze sobą z andaluzyjskiego ribatu.

- Ty też mnie rozpoznałaś - powiedział do niej - i oboje poznaliśmy Ibn Ezra - który w tej chwili badał ścianę dziedzińca bardo, wodząc dłonią po linii styku kamiennych bloków.

- To zaiste wspaniały postęp - powtórzył Bistami. - W końcu zaczynamy zmierzać w konkretnym kierunku!

Katima zmierzyła go sceptycznym wzrokiem.

- Ty to nazywasz postępem? Zagonieni do nory na odległym krańcu świata?

- Miejsce nie jest najważniejsze! Rozpoznaliśmy się, a ciebie zabili...

- Cudownie.

- To było cudowne. Moja myśl podróżowała w czasie, poczułem dotyk wieczności. Stworzyliśmy miejsce, gdzie ludzie mogli kochać dobro. W każdym kolejnym życiu posuwamy się do przodu małymi krokami, aż w końcu zajdziemy aż tam, w białe światło - Katima wskazała dłonią, jej szwagier, seid Darya, właśnie szedł pod sąd.

- Spójrz na niego, cóż za żałosna istota! A jednak nie został

strącony do piekieł ani nie stał się szakalem, ani robakiem, na co z pewnością zasłużył. Powróci jako człowiek i znów będzie siał zamęt wśród ludzi. On również jest członkiem naszej jati, rozpoznałeś go, wiedziałeś, że też należy do naszego zespołu tak samo jak Ibn Ezra?

Ibn Ezra usiadł przy nich. Kolejka poruszała się, a oni razem z nią.

- Ściany są lite - oznajmił ze znawstwem. - Doskonałe budownictwo. Nie sądzę, abyśmy mogli stąd uciec.

- Uciec? - wykrzyknął Bistami. - To jest Sąd Boży, nikt nie może przed tym uciec! Katima i Ibn Ezra spojrzeli na siebie. Ibn Ezra stwierdził:

- Mam wrażenie, że jedyny postęp, jaki dokona się w zakresie egzystencji, będzie miał naturę antropogeniczną.

- Słucham? - żachnął się Bistami.

- Wszystko zależy od nas. Nikt nam nie pomoże.

- Wcale nie twierdzę, że ktoś nam pomoże, choć Bóg zawsze pomaga, jeśli się go o to prosi. Oczywiście, że wszystko zależy od nas. Cały czas staram się to wytłumaczyć. Robimy wszystko, co w naszej mocy, i dzięki temu posuwamy się naprzód.

Katima nie była przekonana.

- Zobaczymy - powiedziała. - Czas pokaże. Ja na razie powstrzymuję się od osądu. - Stanęła przed białym grobowcem, wyprężyła się jak królowa i rzekła z tygrysim grymasem na ustach.

- Nikt mnie nie będzie osądzał! - I jednym machnięciem dłoni odegnała sprzed siebie grobowiec. - To, co jest tutaj, jest nieważne.

Ważne jest to, co się dzieje na świecie.

Księga III

Lądy oceaniczne

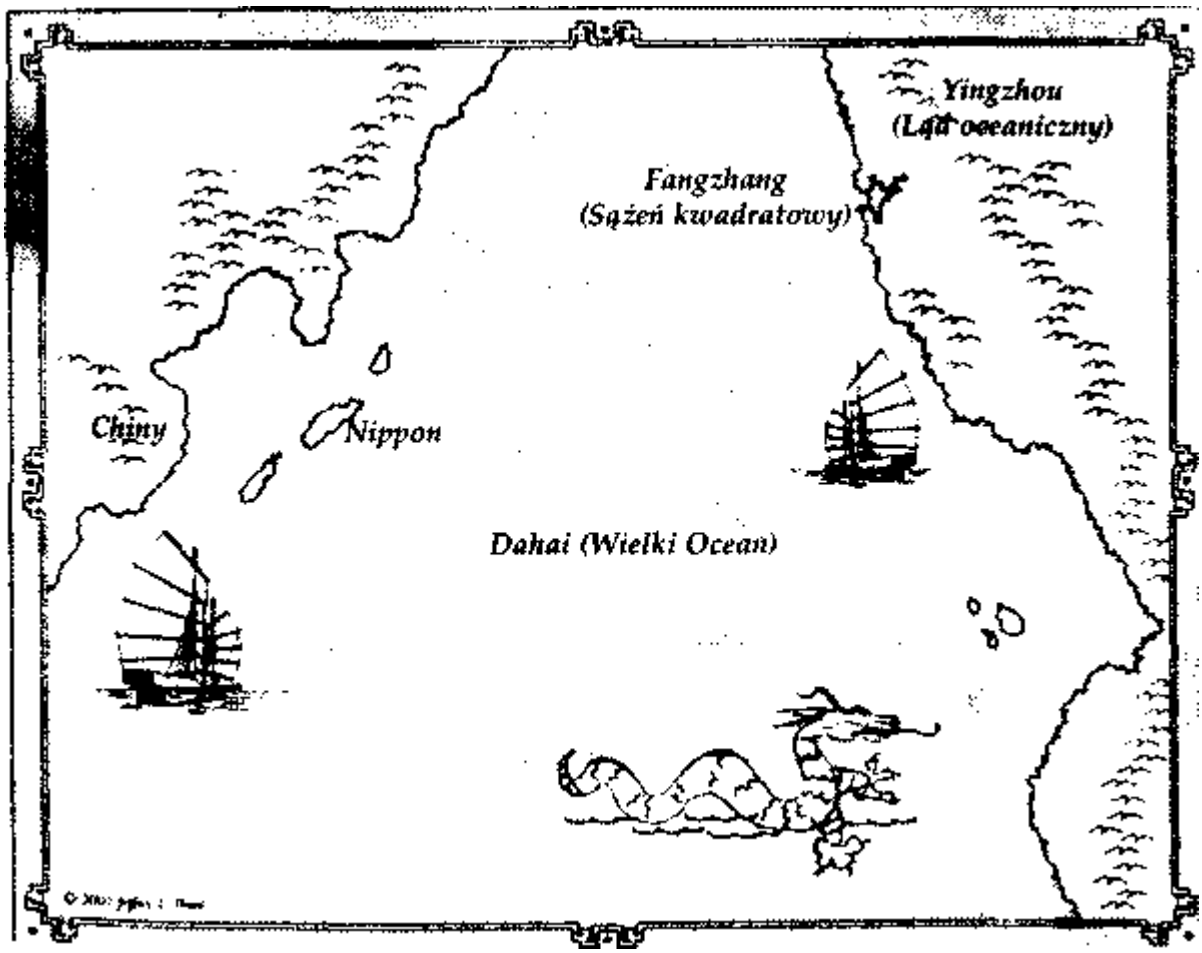

W trzydziestym piątym roku panowania chiński cesarz Wanli zwrócił swój rozgorączkowany i wiecznie nienasycony wzrok na Nippon. Dziesięć lat wcześniej nippoński generał Hideyoshi wyruszył na śmiały podbój Chin, a kiedy Korea odmówiła mu prawa do przemarszu wojsk, zaatakował ją. Trzy lata zajęło wielkiej chińskiej armii wyparcie najeźdźców z Półwyspu Koreańskiego, a cesarza Wanli kosztowało to ponad dwadzieścia sześć milionów uncji srebra - była to na tyle poważna strata dla jego szkatuły, że nigdy nie zdołał jej odrobić. Ale cesarz nadal pragnął zemsty za ten nieuzasadniony napad (jeśli nie brać pod uwagę dwóch nieudanych najazdów na Nippon poprowadzonych przez Kubilaja chana), chciał też zabezpieczyć się na przyszłość i zlikwidować ewentualne zagrożenie ze strony Nipponu, podbijając go i obwołując się jego suzerenem. Hideyoshi wkrótce zmarł, a przywódcą nowego szogunatu Tokugawa został Ieyasu, któremu udało się zjednoczyć pod sobą wszystkie wyspy Nipponu i odizolować kraj od reszty świata. Mieszkańcom zakazano opuszczać kraj, a tym, którzy to zrobili, zakazano powrotu. Zabroniono też budowy pełnomorskich statków, mimo że cesarz Wanli w swoim cynobrowym obwieszczeniu wyraźnie stwierdził, że takie rozwiązanie nie powstrzyma nippońskich piratów przed atakowaniem wybrzeży Chin przy użyciu mniejszych jednostek. Uważał, że decyzja Ieyasu o odizolowaniu się od świata była oznaką słabości, a z drugiej strony nie mógł tolerować, aby tak blisko brzegów Państwa Środka rósł w siłę naród odwiecznych wojowników. Wanli rozkoszował się myślą o przywróceniu tego nieślubnego dziecka chińskiej kultury na

jego prawowite miejsce, pod baldachim Smoczego Tronu, gdzie współistniałoby razem z Koreą, Annamem, Tybetem, Mindanao i Wyspami Korzennymi.

Doradcy Wanli nie zachwycili się tym planem. Po pierwsze skarbiec świecił pustkami, po drugie cały dwór dynastii Ming był mocno osłabiony przez dramatyczne wydarzenia ostatnich lat rządów Wanli. Nie chodziło tylko o ofiarną obronę Korei, lecz także o niepokojące napięcia, powstałe na gruncie konfliktów sukcesyjnych, które Wanli rozwiązał tylko pozornie, wybierając starszego syna, a młodszego zsyłając na prowincję. W przeciągu tygodnia wszystko mogło się jeszcze zmienić. Ponad tą całą, zaognioną sytuacją unosiła się jeszcze groźba wybuchu wojny domowej, gdyż najważniejsze grupy wpływu na cesarskim dworze już od dawna były ze sobą zwaśnione i spiskowały przeciwko sobie: cesarzowa matka, cesarzowa, starsza służba dworska, eunuchowie i generalicja. Było coś w osobowości cesarza, swoista kombinacja inteligencji i opieszałości, to jego ciągłe niezadowolenie i sporadyczne wybuchy gniewnej mściwości, co w późnych latach jego panowania sprawiło, że dwór zamienił się w jałowe i odarte z godności siedlisko intryg. Według doradców, a w szczególności generałów i ministrów skarbu, podbój Nipponu nawet w dalszej perspektywie był praktycznie niewykonalny.

Pozostając wierny własnym postanowieniom, cesarz upierał się przy swoim. Po jakimś czasie generalicja przedstawiła mu plan alternatywny, mając nadzieję, że choć w części zaspokoi on cesarskie żądze. Zaproponowali, aby cesarscy dyplomaci podpisali

traktat z jednym z pomniejszych szogunów Nipponu, na przykład z Tozama Daimyo, który już dawno popadł w niełaskę u Ieyasu, jako że Daimyo podporządkował mu się dopiero po przegranej bitwie pod Sekigahara. Traktat precyzowałby warunki, na których szogun otworzyłby na stałe jeden ze swoich portów w celach handlu z Chinami. Następnie do takiego portu zawinęłaby chińska marynarka, która siłą przejęłaby go i uczyniła portem chińskim, strzeżonym przez potężną chińską flotę, która za panowania Wanli rozrosła się do imponujących rozmiarów, jako że cesarz używał jej do obrony wybrzeża przed piratami. Z kolei większość piratów pochodziła z Nipponu, więc oprócz korzyści płynących z otwarcia nippońskiego rynku była w tym posunięciu też pewna sprawiedliwość. Następnie traktatowy port mógłby stać się przyczółkiem do powolnego i stopniowego zdobywania Nipponu. Byłby to długi proces, przebiegający etapami, na który z pewnością byłoby ich stać.

Wanli narzekał na mizerny, połowiczny i eunuchowaty plan swoich doradców, lecz cierpliwe przekonywania najbardziej zaufanych konsultantów w końcu odniosły skutek i cesarz zatwierdził plan. Przygotowano tajny traktat z lokalnym panem Omurą, który pozwolił chińskim handlarzom wylądować w małej rybackiej wiosce ze wspaniałą przystanią, zwaną Nagasaki. Przygotowania do ekspedycji, mającej na celu przejęcie siłą portu w Nagasaki, odbywały się w przebudowanych dokach Longjiang, nieopodal Nanjing, na wybrzeżu kantońskim. Ogromne okręty floty inwazyjnej wyposażono w zapasy, mające umożliwić wojskom

lądowym przetrwanie długiego oblężenia. Całą flotę po raz pierwszy zebrano w całości u wybrzeży Tajwanu i nikt w całym Nipponie oprócz Omury i jego zauszników nie wiedział o tym przedsięwzięciu. Na rozkaz cesarza Wanli flotę przekazano pod dowództwo admirałowi Kheimowi z Annamu. Kheim kilka lat wcześniej poprowadził cesarską flotę na podbój Tajwanu, lecz większość chińskich biurokratów i generalicji uważało go za człowieka z zewnątrz, za specjalistę od piratów, który zdobywał szlify w tej dziedzinie, plądrując w młodości wybrzeża Fudżi właśnie jako pirat. Cesarz Wanli nie przejmował się jego przeszłością, wręcz przeciwnie, uważał ją za atut. Chciał mieć pod sobą kogoś, kto osiągał wyniki, a jeśli ten ktoś pochodził spoza kręgów generalicji, unikając dworskich i prowincjonalnych intrygi to tym lepiej dla niego.

Flota wyruszyła trzydziestego ósmego roku panowania cesarza Wanli, trzeciego dnia pierwszego miesiąca. Wiosenne wiatry przez osiem dni nieustannie wiały z północnego zachodu, flota płynęła po Kuroshio, Czarnej Rzece. Był to ogromny, oceaniczny prąd, przepływający jak szeroka na sto li rzeka wzdłuż południowych wybrzeży wysp Nipponu.

Wszystko szło zgodnie z planem, obrali właściwy kurs. I wtedy niespodziewanie wiatr ucichł. Powietrze stało nieruchomo, nie było widać żadnego ptactwa, ogromne żagle zwisały luźno, a gafie obijały się o maszty poruszane siłą samego Kuroshio, który uniósł ich na północny wschód, tak że minęli główne wyspy Nipponu. Minęli Hokkaido i wypłynęli na pusty i bezkresny Dahai, Wielki Ocean. Ten niebieski bezmiar wód przecinała silna, choć

niewidoczna Czarna Rzeka, płynąca nieustannie na wschód.

Admirał Kheim wydał rozkaz, aby wszyscy kapitanowie Ośmiu Wspaniałych Okrętów oraz Osiemnastu Lekkich Statków przypłynęli łodziami wiosłowymi na naradę do okrętu flagowego. Wielu spośród przybyłych mężczyzn było doświadczonymi żeglarzami z Tajwanu, Annamu, Fudżi i Kantonu. Wszyscy mieli posępne miny - dać się znieść przez Kuroshio to niebezpieczna sprawa. Każdy z nich słyszał opowieści o wrakach, uwięzionych w tym prądzie przez ciszę morską, o okrętach, którym szkwał połamał maszty bądź odrąbała je załoga, próbując w ten sposób uchronić jednostkę przed wywrotką w trakcie sztormu. Takie statki znikały na wiele lat - według jednej opowieści na dziewięć lat, a według drugiej na trzydzieści - po czym wracały, dryfując z kierunku południowo-wschodniego, wyschnięte, wyblakłe i opustoszałe lub z ludzkimi szkieletami na pokładzie. Takie historie oraz świadectwo pokładowego lekarza okrętu flagowego, I-China, który twierdził, że sam niegdyś przepłynął Dahai na kutrze rybackim zniszczonym przez tajfun, sprawiły, że mężczyźni wspólnie doszli do wniosku, że na bezkresnym oceanie musi istnieć wielki, kolisty prąd, opływający świat dookoła, i jeśli byliby w stanie utrzymać się przy życiu wystarczająco długo, wtedy mogliby zrobić w nim pętlę i wrócić do domu.

Był to plan, jakiego żaden z nich nie podjąłby się z własnej woli, lecz w tej sytuacji nie pozostało nic innego, jak go wypróbować. Kapitanowie rozsiedli się w kabinie admirała i mierzyli się smutnym wzrokiem. Wielu Chińczyków znało legendę o Hsu Fu, admirale ze

starożytnej dynastii Han, który wypłynął z flotą na poszukiwanie nowej ziemi po drugiej stronie Dahai - słuch o nim zaginął. Znali również historię o Kubi-laj-chanie i jego dwóch próbach podboju Nipponu - obie zakończyły się klęską w wyniku starcia z tajfunami, których nikt się nie spodziewał o tamtej porze roku. Wydarzenia te utwierdziły mieszkańców Nipponu w przekonaniu co do istnienia boskiego wiatru, który chronił ich ojczyste wyspy przed obcymi najeźdźcami. Któż mógłby temu zaprzeczyć? Równie prawdopodobne wydawało się teraz, że to ten sam boski wiatr znów sobie z nich drwi, tym razem jednak ukazując swoje ironiczne oblicze w postaci boskiej ciszy morskiej, która uwięziła ich w Kuroshio i zniszczy równie skutecznie co najpotężniejszy tajfun. Cisza była zdumiewająco przenikliwa, a jej rytm całkiem naturalny. Możliwe, że wplątali się w rozgrywkę z samym Bogiem. Jeśli tak właśnie było, to jedyne, co mogli zrobić, to złożyć nadzieję w swoich bogach i nie tracić wiary w przetrwanie.

Admirał Kheim preferował jednak inny sposób działania.

- Dosyć tego - powiedział gniewnym głosem, kończąc naradę. Nie wierzył w dobrą wolę morskich bóstw ani w stare opowieści, oczywiście oprócz tych, które mogły okazać się przydatne. Zostali uwięzieni w Kufoshio. Dysponowali pewną wiedzą o układzie prądów na Dahai - te na Północ od równika biegły na wschód, a te na południe na zachód. Wiedzieli też, że wiatry na ogół układały się w podobnych kierunkach. I-Chinowi udało się przebyć całą drogę po obwodzie tego wielkiego koła, a jego nieprzygotowana załoga żywiła się rybami i wodorostami, piła deszczówkę i uzupełniała

zapasy na mijanych po drodze wyspach. Myśl o tym w dziwny sposób podtrzymywała w nich nadzieję, a z czasem, kiedy powietrze zdawało się zastygać w miejscu, już tylko ona im pozostawała. Najgorsze było poczucie bezradności. Statki stały nieruchomo, okręty były bowiem zbyt wielkie, aby za pomocą wioseł dopłynąć nimi gdziekolwiek. Prawda była taka, że musieli teraz dać z siebie wszystko.

Admirał Kheim wydal rozkaz, aby większość marynarzy jego floty przeszła na pokłady Osiemnastu Lekkich Statków. Jednej połowie rozkazał wiosłować na północ, a drugiej na południe. Liczył, że uda im się wypłynąć z nurtu Czarnej Rzeki i, kiedy tylko pojawi się wiatr, pożeglu-ją do domu i opowiedzą cesarzowi o wszystkim, co ich spotkało. Osiem Wspaniałych Okrętów z minimalną liczbą załogi, niezbędnych do ich obsługi, i ładowniami wypełnionymi większością zapasów całej floty, ustawiło się jeden za drugim, gotowych na przeczekanie podróży dookoła oceanu, dryfując z nurtami jego prądów, jeśli mniejszym statkom uda się dotrzeć z powrotem do Chin, ich załoga miała przekazać cesarzowi, że powrotu wspanialej ósemki może się spodziewać w późniejszym terminie, z kierunku południowo-wschodniego.

Po kilku dniach mniejsze statki znikły za horyzontem, a Osiem Wspaniałych Okrętów dryfowało dalej, połączonych linami, w idealnej ciszy, poza granice map, na nieznany wschód. Nic innego nie można było zrobić.

Minęło trzydzieści dni bez najmniejszego powiewu. Każdego dnia prąd unosił ich coraz dalej i dalej na wschód. Nikt z całej załogi

jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział. Admirał Kheim zabronił wszelkich rozmów na temat boskiej ciszy, choć sam przyznał, że ostatnimi laty pogoda stała się bardzo dziwna - przeważnie było o wiele zimniej. Jeziora, które wcześniej nie zamarzały, zaczęły pokrywać się lodem, pojawiły się dziwaczne wiatry, coś na kształt trąb powietrznych, utrzymujących się tygodniami nad jednym miejscem. Coś niedobrego działo się w niebiosach, a cisza była tylko tego częścią.

Kiedy w końcu znów pojawił się wiatr, uderzył mocno z zachodu, pchając ich jeszcze dalej z prądem. Przechyleni na bok kierowali się na południe, lecz na tyle ostrożnie, aby utrzymać się w domniemanym zasięgu prądu, co było sposobem na najszybsze opłynięcie oceanu i powrót do domu. Ludzie mówili, że pośrodku tej wielkiej pętli znajdowała się strefa wiecznej ciszy. Najprawdopodobniej był to też środek samego Dahai, znajdował się w pobliżu równika i być może nawet w tej samej odległości od lądów na zachód i na wschód, nikt jednak nie miał co do tego całkowitej pewności. Może istniało coś takiego jak pas ciszy równikowej, zastój, z którego żaden statek nie miał prawa się wydostać. Będą musieli popłynąć daleko na wschód, aby ominąć to miejsce, później skierować się na południe, a następnie pod równik i z powrotem na zachód.

Jak dotychczas nie natknęli się na żadną wyspę. Czasem przelatywały morskie ptaki, do których marynarze strzelali z łuków, a następnie zjadali. Dzień i noc łowili w sieci ryby; czasem latające ryby same łapały się w żagle. Wyciągali plątaniny wodorostów,

które ostatnio stały się coraz rzadsze, a kiedy padało, uzupełniali zbiorniki ze słodką wodą, montując na ich wlewach duże lejki w kształcie odwróconych parasoli. Bardzo rzadko byli spragnieni i nigdy nie głodowali.

Nadal jednak na horyzoncie nie pojawiał się ląd. Ich rejs ciągnął się dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem. Rattan i takielunek zaczęły się zużywać. Żagle blakły i przecierały się i - podobnie jak ich twarze, stawały się przezroczyste. Marynarze zaczęli narzekać. Przestał im się podobać pomysł dryfowania wkoło świata po oceanicznym prądzie.

- Nie możemy zawrócić - tłumaczył im Kheim, a narzekanie załogi przechodziło jak wiosenna burza. Kheim był jednym z tych admirałów, którym nie chciałoby się wchodzić w drogę.

Przetrwali burze szalejące na niebie, a teraz czuli kołysanie od burz przetaczających się pod morskim dnem. Minęło już tak wiele dni, że ich życie sprzed wypłynięcia w rejs stało się odległe i niewyraźne. Tajwan, Nippon, a nawet Chiny jawiły im się jak sen, pozostałość z poprzedniego życia. Żegluga była całym ich światem, wodnym światem, usłanym warstwami fal, pod przykryciem przezroczystej czaszy z błękitu nieba - i nic poza tym. Nawet już nie wypatrywali lądu. Skupisko przepływających wodorostów było teraz równie wielkim zjawiskiem, jakim niegdyś byłaby zapewne wyspa. Deszcz był zawsze mile widziany, jako że zdarzające się czasem okresy suszy i racjonowania wody boleśnie przypominały im o ich całkowitej zależności od słodkiej wody. A ją w większości brali z deszczu, gdyż destylator do odsalania wody, skonstruowany przez

I-China, dawał im jedynie kilka wiader dziennie.

Wszystko dokoła zostało zredukowane do podstawowych elementów. Ocean był wodą, niebo powietrzem, statek ziemią, a słońce i ich myśli ogniem. Ogień ten z wolna przygasał. Bywały takie dni, kiedy Kheim budził się, chodził, patrzył, jak znów zachodzi słońce, i zdawał sobie sprawę, że zapomniał tego dnia pomyśleć choćby o jednej rzeczy, a Przecież to on był admirałem. Kiedy indziej znów minęli wyblakły wrak wielkiej dżonki, oplatany wodorostami i pobielony ptasimi odchodami - ledwo unosił się na powierzchni wody. Innym razem, daleko na wschodzie, tuż przed horyzontem dostrzegli węża wodnego, może to on wskazywał im właściwy kierunek.

Być może ogień całkowicie opuścił ich umysły i pozostało tylko słońce, płonące nad ich głowami przez długi ciąg suchych dni. Coś jednak musiało zostać, szarzejące węgle, tlące się ostatkiem sił, gdyż kiedy jednego dnia, późnym popołudniem, spoza horyzontu na wschodzie wychynął ląd, wszyscy krzyknęli tak, jakby tylko o lądzie myśleli przez te wszystkie dni, przez sto sześćdziesiąt dni niespodziewanego rejsu. Zielone ściany gór opadające stromo do morza, najwidoczniej bezludne, lecz nie to było teraz najważniejsze. To był ląd! Wyglądał na dość dużą wyspę.

Następnego ranka ląd nadal był daleko przed nimi. Ziemia na horyzoncie! Bardzo stromy ląd, na tyle stromy, że nie mogli znaleźć miejsca nadającego się na przybicie do brzegu. Żadnych zatok ani ujścia rzek, jedynie wysoka ściana zielonych wzgórz, wyrastających z morza. Kheim rozkazał kierować się na południe - nawet w tej

chwili nie przestawał myśleć o powrocie do Chin. Sprzyjał im nie tylko wiatr, ale i prąd. Żeglowali więc na południe przez cały ten dzień i następny, lecz nadal nie natknęli się na przystań. Następnego ranka, kiedy podniosła się rzadka mgła, zorientowali się, że minęli przylądek, odgradzający od reszty dalszą, piaszczystą część południowego wybrzeża, a jeszcze dalej na południe znaleźli wcięcie między wzgórzami, będące spektakularnym wejściem do zatoki. Na północ, w głębi tej majestatycznej cieśniny, znajdował się obszar spienionej, niespokojnej wody, lecz zaraz za nim znów gładko żeglowali, niesieni falami przypływu, wprowadzającego ich do środka.

I oto znaleźli się w zatoce, jakiej jeszcze nikt z załogi nie widział na żadnej wyprawie. Prawdziwe morze wewnątrz lądu, a na nim trzy lub cztery skaliste wyspy i wzgórza dookoła. Linię brzegu w większości porastały moczary. Wzgórza miały skaliste wierzchołki, lecz poza tym były gęsto zalesione. Moczary byty żółtozielone, ozłocone jesiennymi barwami. Piękny ląd, a do tego opustoszały.

Wzięli kurs na północ i zakotwiczyli w płytkiej zatoczce, chronionej przez skalisty grzbiet wchodzący lukiem w morze. Wtedy ktoś z złogi dostrzegł smugę dymu, unoszącą się w oddali w popołudniowym powietrzu.

- To ludzie - powiedział I-Chin. - Nie sądzę jednak, abyśmy dotarli do zachodniego krańca muzułmańskich ziem, na pewno nie zapłynęliśmy aż tak daleko, chyba że Hsing Ho się mylił. Jeśli jednak miał rację, to z pewnością jesteśmy jeszcze dalej niż bliżej.

- A może prąd był o wiele silniejszy niż myśleliśmy?

- Może. Dziś w nocy spróbuję dokładnie ustalić naszą odległość od równika.

- Doskonale.

Jednak odległość od Chin byłaby cenniejszą informacją, a takiej kalkulacji niestety nie potrafili przeprowadzić. Nawigacja zliczeniowa była niemożliwa podczas długiego okresu swobodnego dryfu i, pomimo coraz to nowych wyników, do których dochodził I-Chin, Kheim nie uważał, aby ich orientacja w terenie sięgała dalej niż tysiąc li. W wypadku odległości od równika, I-Chin doniósł tamtej nocy, że na podstawie obliczeń z gwiazd można było stwierdzić, że znajdowali się obecnie na tej samej szerokości geograficznej co Bejing lub Edo - nieco ponad Edo i poniżej Benjing. I-Chin pogładził pieszczotliwie swój kwadrant.

- W tej samej odległości od równika znajdują się kraje Hui na zachodzie i Fulan, gdzie zaraza zabiła wszystkich. Jeśli oczywiście możemy ufać mapom Hsing Ho. Fulan, o tutaj, spójrzcie na mapę, port Lisbona. Jak dotąd jednak nie zaobserwowaliśmy znajomych form osadnictwa, więc nie sądzę, aby był to Fulan. Myślę, że natknęliśmy się na jakąś wyspę.

- Dużą wyspę.

- Tak... - westchnął I-Chin - bardzo dużą. Jeśli tylko udałoby się nam rozwiązać zagadkę odległości od Chin...

Odtąd I-Chin już tylko na to narzekał i siał ferment wokół budowy zegara. Precyzyjny zegar umożliwiłby pomiar odległości od Bejing, używając almanachu mogliby przypisać gwiazdom chiński czas i rozpocząć odmierzanie. Mówiono, że cesarz miał w pałacu wiele

wspaniałych zegarów, lecz tu, na pokładzie, nie mieli żadnego. Kheim zostawił I-China samego z jego rozterkami.

Następnego ranka zobaczyli niewielką grupę tubylców: mężczyźni, kobiety i dzieci, ubrani w skórzane spódniczki, naszyjniki z muszli i pierzaste nakrycia głowy, stali na brzegu i przyglądali się im. Nie mieli żadnej stali, jedynie niewielkie ilości kutego na zimno złota, miedzi i srebra. Groty ich włóczni i strzał wykonano z łupanego obsydianu, a kosze z plecionej trzciny i sosnowego igliwia. Na plaży, powyżej linii przypływu, stały wysokie stosy muszli. Przyjezdni dostrzegli też dymy unoszące się znad ognisk, płonących wewnątrz wiklinowych chatek, wyglądających, jak szałasy stawiane przez chińskich wieśniaków dla świń na zimę.

Na widok tubylców marynarze zaczęli się śmiać i dyskutować. Częściowo im ulżyło, lecz zdziwienie ich nie opuszczało. Jedyne, co było niemożliwe, to się ich bać.

Kheim nie był jednak tego taki pewny.

- Są trochę podobni do dzikich ludów z Tajwanu - powiedział. - Mieliśmy z nimi kilka cięższych starć, kiedy goniliśmy za piratami w głąb lądu i w góry. Musimy zachować ostrożność.

I-Chin odparł:

- Plemiona takie jak to żyją również na Wyspach Korzennych. Sam widziałem. Lecz ten lud jest o wiele skromniej wyposażony niż tamci.

- Ani cegieł, ani drewnianych domów i, o ile dobrze się przyjrzałem, nie mają również żelaza, a to oznacza, że nie mają broni palnej.

- Tak jak i pól uprawnych. Pewnie żywią się małżami - powiedział, wskazując na wysokie stosy muszli na plaży - i rybami, i czymkolwiek, co uda im się upolować i nazbierać. To biedny lud.

- Toteż i my niewiele zyskamy.

- Niestety nie.

Marynarze zaczęli krzyczeć z pokładu do ludzi na brzegu.

- Ahoj! Witajcie!

Kheim od razu kazał im zamilknąć. Zabrał ze sobą I-China i czterech innych marynarzy, po czym wsiedli do jednej z łodzi wiosłowych i popłynęli do brzegu. Kiedy znaleźli się na płyciźnie, Kheim wstał i przywitał się z tubylcami. Dłonie do góry i w ich stronę, tak jak postępował z dzikusami na Wyspach Korzennych. Tubylcy nie rozumieli nic z tego, co do nich mówił, lecz jego gesty, które najwyraźniej były im znane, zapewniły ich o jego pokojowych zamiarach. Po chwili, pewny pokojowego przyjęcia, wyszedł na ląd. Marynarzom rozkazał trzymać w ukryciu nabite karabiny skałkowe i naciągnięte kusze - na wszelki wypadek.

Na brzegu otoczył ich tłum ciekawskich. Tubylcy żywo dyskutowali w niezrozumiałym narzeczu. Kobiety miały odsłonięte piersi, co mocno rozpraszało marynarzy. Kheim przywitał się z mężczyzną, który wystąpił z tłumu. Nosił najbardziej cudaczne i kolorowe nakrycie głowy, co mogło świadczyć, iż był przywódcą plemienia. Na jedwabnej chuście, którą Kheim zawsze miał na szyi, a która mocno już wyblakła od słońca i soli, widniał wizerunek feniksa. Admirał odwiązał supeł i rozłożył chustę tak, aby mężczyzna zobaczył obrazek. Sam jedwab zainteresował tubylca

bardziej niż rysunek.

- Powinniśmy byli wziąć ze sobą więcej jedwabiu - powiedział Kheim do I-China.

I-Chin potrząsnął głową.

- O ile mi wiadomo, to planowaliśmy podbój Nipponu. Jeśli pozwolisz, zapytam ich o nazwy różnych przedmiotów.

I-Chin zaczął wskazywać na wszystkie rzeczy dookoła: kosze, włócznie, stroje, nakrycia głowy, stosy muszli, powtarzał na głos słowa ich języka i notował je pośpiesznie na tabliczce.

- Dobrze, dobrze, wyśmienicie, wspaniale ujęte. Cesarz Chin i jego uniżeni słudzy przesyłają pozdrowienia.

Myśl o cesarzu wywołała uśmiech na twarzy Kheima. Cóż zrobiłby Wanli, Posłaniec Boży, z tymi biednymi poławiaczami muszli?

- Musimy nauczyć któregoś z nich mandaryńskiego - zauważył I--Chin. - Najlepiej młodego chłopca, oni są bardziej pojętni.

- Albo młodą dziewczynę.

- To nie jest najlepszy pomysł - odparł I-Chin. - Musimy tu zostać na jakiś czas, aby naprawić statki i uzupełnić zapasy. Nie możemy dopuścić, aby cały lud zwrócił się przeciwko nam.

Kheim odegrał gestami plany załogi przed plemiennym przywódcą. Krótki postój, obóz na brzegu, jedzenie i picie, reperowanie statków, powrót do domu, hen za zachodzące słońce. Wyglądało na to, że zrozumieli niemal wszystko. On z kolei zrozumiał, że żywią się żołędziami i różnymi gatunkami dyń, rybami, małżami, drobiem i większą zwierzyną - prawdopodobnie

mieli na myśli jelenie. Polowali na wzgórzach, znajdujących się za ich plecami. Jedzenia mieli pod dostatkiem i chętnie częstowali nim Chińczyków. Podobał im się jedwab Kheima. Oferowali kosze i jedzenie, aby dostać go więcej. Złoto, którego używali do wyrobu ozdób, pochodziło ze wzgórz na wschodzie, ponad deltą dużej rzeki wpływającej do zatoki po przeciwnej stronie, niemal dokładnie z kierunku wschodniego. Pokazali też którędy rzeka wypływa spomiędzy wzgórz - tam była cieśnina, bardzo podobna do tej prowadzącej na otwarty ocean.

Jako że informacje topograficzne zainteresowały I-China, tubylcy przekazali mu więcej szczegółów w niezwykle pomysłowy sposób. Choć nie dysponowali papierem ani tuszem, nie używali pisma ani obrazków (może poza wzorami na plecionych koszach), to jednak posiadali swoistego rodzaju mapy, zrobione z piasku. Plemienny przywódca i kilka innych ważnych osobistości przykucnęło na plaży i z nadzwyczajną precyzją przystąpiło do formowania wilgotnego piasku. Gładka powierzchnia pośrodku przedstawiała zatokę. Już po chwili wywiązała się gorąca dyskusja nad prawdziwym kształtem góry, znajdującej się między nimi a oceanem, którą nazywali Tamalpi, mająca przypominać kształtem śpiącą pannę, zapewne jakąś boginię, trudno było stwierdzić. Trawy użyli do sporządzenia szerokiej doliny wcinającej się w głąb lądu i pomiędzy wzgórza, otaczające zatokę od południa. Wodą polali koryta delty i dwóch innych rzek. Zlewiskiem jednej były tereny na północ od wielkiej doliny, a drugiej na południe od niej. Wschodni koniec doliny otwierał się na pogórze, które pięło się coraz wyżej, aż przechodziło

w góry znacznie wyższe od tych, które widzieli na brzegach wyspy, ze szczytami pokrytymi śniegiem (znakiem umownym śniegu był dmuchawiec), kryjące między sobą co najmniej dwa duże jeziora.

Po długich i zażartych dyskusjach dotyczących najmniejszych detali, zbędnego śladu paznokcia, czy kilku niedbale rzuconych źdźbeł trawy i sosnowych igieł, wszystkie miejsca w końcu znalazły się na piaskowej mapie. Dziwna to mapa, którą zmyje następny przypływ. Chińczycy dowiedzieli się, że złoto tubylców pochodziło od ludzi mieszkających na pogórzu, sól z brzegów zatoki, obsydian z północy i z krainy leżącej daleko za wysokimi górami, skąd również brali turkus i wiele innych rzeczy. Tego wszystkiego dowiedzieli się bez wspólnego języka, posługując się głównie gestykulacją i mimiką oraz piaskowym modelem.

Z każdym kolejnym dniem wymieniali coraz więcej słów opisujących przedmioty i wydarzenia z życia codziennego. I-Chin skrupulatnie kompletował długie listy słownictwa, sporządził glosariusz i zaczął uczyć chińskiego jedno z tutejszych dzieci, sześcioletnią dziewczynkę, córkę przywódcy, niezwykle otwartą, śmiałą i rozgadaną. Chińscy marynarze nazwali ją Bagatelką. Uwielbiała mówić I-Chinowi, co jak się nazywało, była bystra i zdecydowana i szybciej niż się Kheim spodziewał, zaczęła używać chińskiego z taką samą łatwością, co języka ojczystego. Czasem mieszała oba języki, lecz najczęściej rezerwowała chiński dla I-China, jakby to był jego prywatny język, a on sam był jakimś dziwolągiem czy też niezmordowanym żartownisiem, który nieustannie wymyślał dziwno brzmiące słowa na określenie najprostszych

rzeczy -któż wiedział, jak myślała naprawdę. Dla rodziców Bagatelki I-Chin był obcym przybyszem, robiącym bardzo dziwne rzeczy. Badał im puls, naciskał brzuchy, spoglądał do gardła, a nawet prosił o możliwość zbadania ich uryny, na co się nie zgodzili. Mieli w wiosce własnego doktora, który odprawił nad załogą rytuał oczyszczenia w kąpieli parowej. Ten podstarzały i umalowany mężczyzna o dzikim spojrzeniu nie był doktorem w tym samym sensie co I-Chin, lecz I-China żywo zainteresowało herbarium mężczyzny i wszystkie jego opowieści, które starał się zrozumieć, posługując się jeszcze bardziej wyrafinowanym językiem znaków i coraz lepszą chińszczyzną Bagatelki. Język tubylców nazywał się “miwok", tak samo ludzie ci nazywali samych siebie. Słowo oznaczało lud bądź coś zbliżonego. Za pomocą map objaśnili, że ich wioska kontrolowała zlewisko strumienia, wpływającego do zatoki. Inni Miwok żyli na sąsiednich zlewiskach półwyspu, między zatoką a oceanem. Pozostałe ludy, władające różnymi językami, zamieszkiwały inne tereny kraju. Każde plemię miało własne terytorium i nazwę, choć Miwok mogli bez końca kłócić się o najdrobniejsze szczegóły. Opowiedzieli, że wielka cieśnina prowadząca na otwarty ocean powstała w wyniku trzęsienia ziemi, a zatoka ta była niegdyś słodkowodna, zanim kataklizm nie wpuścił do niej oceanu. I-Chinowi i Kheimowi wydawało się to mało prawdopodobne, aż pewnego ranka, po nocy spędzonej na brzegu, obudził ich wstrząs. Trzęsienie ziemi trwało kilka uderzeń serca i tego samego ranka powróciło jeszcze dwukrotnie. Po tym wydarzeniu nie byli już tacy pewni co do genezy cieśniny.

Obaj lubili przysłuchiwać się mowie Miwok. I-Chin zainteresował się, jak tutejsze kobiety sprawiały, że gorzkie żołędzie z dębów o postrzępionych liściach stawały się jadalne. Rozcierały je na proszek, który namaczały w dołkach, wykopanych w piasku i wyłożonych liśćmi. Po jakimś czasie z papki powstawało ciasto. I-Chin uznał to za nadzwyczaj pomysłowe. Właśnie to ciasto i łosoś, suszony lub świeży, składały się na podstawę ich diety. Zawsze chętnie dzielili się tym jadłem z Chińczykami. Jadali również mięso zajęcy i jeleni. Podobno żyła tu jakaś gigantyczna odmiana jelenia oraz najrozmaitsze gatunki ptactwa wodnego. Rzeczywiście, kiedy jesień otuliła całą krainę ciepłymi barwami i mijały kolejne miesiące, Chińczycy zrozumieli, że miejsce to było tak obfite w różnorodne pożywienie, że nie było potrzeby uprawiania ziemi, co w Chinach było koniecznością. Pomimo sprzyjających warunków żyło tam jednak niewielu ludzi - była to jedna z wielu tajemnic wyspy.

Polowania Miwok były wielkimi, całodniowymi wydarzeniami, odbywającymi się na wzgórzach. Czasem zapraszano na nie również Kheima i Jego ludzi. Miwok używali lekkich i słabych łuków, aczkolwiek świet-nie się nimi posługiwali. Kheim nakazał zostawić na statku kusze i broń. Armaty pozostały odsłonięte, lecz nie musieli się z nich tłumaczyć, gdyż żaden tubylec o nie nie zapytał.

Na jednym z polowań Kheim i I-Chin poszli za przywódcą, Ta Ma, i za innymi Miwok w górę przecinającego wioskę strumienia, na strome wzgórza. Dotarli na wysoko położoną polanę, z której na zachód rozciągał się widok na ocean. Zatoka leżała na wschód od polany, a za nią można było dostrzec kolejne pasma zielonych

wzgórz.

Polanę przy strumieniu otaczały bagna, wyżej rosły trawy, poprzetykane skupiskami dębów i innych drzew, o szeroko rozpostartych koronach. W obniżeniu terenu znajdowało się jezioro. Na niebieskiej powierzchni wody unosiła się biała łata ogromnej kolonii dzikich gęsi, które podniosły wrzawę, czując niebezpieczeństwo. Całe stado wzbiło się naraz w powietrze, grupki ptaków kołowały, dzieliły się i z powrotem łączyły, przelatując nad myśliwymi i gęgając. W powietrzu rozchodził się donośny trzepot wielu setek skrzydeł.

Mężczyźni w zachwycie przyglądali się widowisku. Kiedy gęsi odleciały, od razu spostrzegli, co je spłoszyło. Do wodopoju zbliżało się kilka ogromnych jeleni. Osobniki o masywnym i rozłożystym porożu patrzyły na ludzi z drugiego brzegu jeziora, były czujne, lecz nie zniechęcały się.

Na chwilę wszystko zastygło w bezruchu.

W końcu jelenie wycofały się. Rzeczywistość znów się obudziła.

- Wszystkie czujące istoty - mruknął pod nosem I-Chin, który przez większość czasu intonował półgłosem mantry. Kheim nie lubił tracić czasu na czczą gadaninę, lecz teraz, kiedy posuwali się naprzód i przemierzali wzgórza, polując i spotykając co rusz bobry, przepiórki, zające, lisy, mewy, wrony, jelenie czy niedźwiedzicę z dwojgiem małych i czające się stworzenie z łysym ogonem, wyglądające jak skrzyżowanie lisa z wiewiórką i wiele, wiele innych jeszcze dziwniejszych stworzeń, słowem, cały świat zwierząt, żyjący pod milczącym niebem w idealnej harmonii z ziemią,

kwitnącą z wnętrza samej siebie, której tylko niewielką część stanowili ludzie, zaczął czuć się nieswojo. Zrozumiał, że mówiąc dotychczas “rzeczywistość", miał na myśli Chiny -to Chiny były dla niego rzeczywistością. Tajwan, Mindanao i inne wyspy były zaledwie ścinkami lądu, marnymi resztkami. Chiny natomiast wydawały mu się całym światem. Chiny znaczyło lud. Chiny, rozbudowane, uprawiane i rozparcelowane ha na ha - świat stworzony przez człowieka. Kheim nigdy sobie nie wyobrażał, że gdzieś tam daleko mógł istnieć świat w naturalnej postaci, świat całkiem inny od stworzonego ręką człowieka. Tutaj właśnie, na własne oczy widział naturalną krainę, pełną najrozmaitszej zwierzyny, a do tego o wiele większą niż Tajwan, większą nawet niż Chiny, większą niż cały świat, jaki dotychczas znał.

- Gdzie my wylądowaliśmy na tym bożym świecie? - zapytał I-China.

- Dotarliśmy do źródła strumienia kwitnącej brzoskwini.

- Nadeszła zima. Dni były nadal ciepłe, lecz noce stały się zimniejsze. Miwok ofiarowali członkom załogi okrycia ze skór wydry morskiej, pozszywane skórzaną nicią. Nic tak przyjemnego w dotyku nie mieli chyba jeszcze nigdy w życiu na sobie. Płaszcze były niemal tak wytworne jak szaty Nefrytowego Cesarza. W czasie sztormu padało i chmurzyło się, zazwyczaj jednak było jasno i słonecznie. Aż trudno uwierzyć, że kraina leżała na tej samej szerokości geograficznej, co Bejing. Jak twierdził I-Chin, o tej porze roku byłoby tam nieznośnie zimno i wietrznie, dlatego marynarze chwalili sobie tutejszy klimat. Kheim nie mógł uwierzyć, kiedy

tubylcy mówili, że tak właśnie wygląda u nich każda zima. Dzień przesilenia zimowego był równie słoneczny i ciepły co pozostałe. Miwok zaprosili Kheima i I-China do świątyni, małej, okrągłej budowli na kształt karłowatej pagody z zapadniętą podłogą. Całość konstrukcji porastała darń, której ciężar opierał się częściowo na pniach bujnie rozgałęzionych drzew, tworzących swoiste rusztowanie całej budowli. Wnętrze przypominało jaskinię. Mrok rozświetlało ognisko i promienie słońca wpadające przez otwór kominowy w dachu, przebijające się przez dym. Mężczyźni mieli odświętne, pierzaste nakrycia głowy i gęste naszyjniki z muszli, łyskające ognistymi refleksami. Rozległy się bębny, tubylcy zaczęli tańczyć wokół ogniska, zmieniając się co jakiś czas. Dzień przeszedł w noc, a oni nie przestawali tańczyć. Otępiały Kheim pomyślał, że może już nigdy nie skończą. Starał się nie zasnąć, wyczuwał powagę chwili i nie chciał obrazić skupionych na rytuale gospodarzy, którzy wyglądali teraz jak zwierzęta, jakimi się żywili. Powracające na nieboskłon słońce obwieściło nadejście kolejnego dnia. Jednak opanowanie senności było wręcz niemożliwe. W końcu Kheim zebrał się w sobie, podniósł się na nogi i dołączył do młodszych tancerzy, którzy zrobili mu miejsce między sobą. Toczył się teraz z wolna za nimi na swoich pałąkowatych, koślawych i falujących jak ocean nogach. Tańczył i tańczył, aż w końcu poczuł, że brak mu sił, i opadł bezwładnie w kąt świątyni, aby obudzić się dopiero późnym rankiem. Niebo było już całkiem jasne, a słońce powoli wyłaniało się zza wzgórz, okalających zatokę od wschodu. Gromada niezamężnych, młodych kobiet poprowadziła wesołą

grupę lekkonogich tancerzy i bębniarzy do loży parowej. Będąc całkowicie oszołomionym, Kheim zauważył, jak piękne były to kobiety - wyjątkowo silne, zdrowe i rześkie, tak jak i mężczyźni. Miały bose stopy i błyszczące oczy, byty życzliwe i nieskrępowane, serdecznie uśmiechały się do zmęczonych mężczyzn. W łaźni parowej pomogły im zdjąć cudaczne nakrycia głowy i odświętne stroje. Kheim usłyszał coś, co brzmiało jak sprośny komentarz pod jego adresem, lecz całkiem możliwe, że były to tylko jego imaginacje wynikające z pożądania. Rozpalone powietrze, lejący się pot i niezręczny nur do chłodnego strumienia w jednej chwili przywrócił mu trzeźwość myśli i świadomość rozpoczynającego się dnia. To wszystko wyostrzyło jego wrażliwość na ponętność kobiet. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek doświadczył w Chinach tak silnych wrażeń, mimo iż tam, w tawernach i oberżach niejeden zwiędnięty kwiatuszek potrafił zwabić marynarza. Zaduma, pożądanie i chłód strumienia zmyły z niego wycieńczenie. Położył się na słonecznej plaży i zasnął.

Wrócił już na okręt flagowy, kiedy przyszedł do niego I-Chin i przez zaciśnięte usta powiedział:

- Jeden z nich wczoraj zmarł. Zabrali mnie do niego, abym mu się przyjrzał. To ospa.

- Niemożliwe! Jesteś pewny?

I-Chin powolnie skinął głową. Miał tak ponury wyraz twarzy, jakiego Kheim jeszcze nigdy u niego nie widział. Khein cofnął się o krok.

- Musimy pozostać na statkach.

- Powinniśmy odpłynąć - powiedział I-Chin. - Sadzę, że to my

przywlekliśmy ze sobą chorobę.

- Ale jak? Nikt w czasie rejsu nie miał przecież ospy.

- To prawda, ale żaden z tubylców nie ma śladów po ospie. Sądzę, że to dla nich nowa choroba. Niektórzy z nas przechodzili ją w dzieciństwie, co zresztą widać po twarzach Li i Penga, a Peng sypiał z jedną z tutejszych kobiet.]ej dziecko zmarło na ospę, a teraz ona jest chora.

- Nie może być!

- Niestety. Trudno. Dobrze wiesz, co się dzieje z dzikimi plemionami, kiedy pojawia się nowa choroba. Widziałem to w Aozhou. Większość umiera. Ci, którzy przeżyją, będą uodpornieni, mogą jednak przenosić chorobę dalej, na tych, którzy nie mieli z nią wcześniej kontaktu. Nie wiem wszystkiego, ale jest niedobrze.

Usłyszeli Bagatelkę, jak piszczała radośnie na głównym pokładzie, grając z marynarzami. Kheim wskazał na sufit kajuty i zapytał:

- A co z nią?

- Myślę, że możemy zabrać ją ze sobą. Jeśli wróci, na pewno umrze.

- A jeśli zostanie, to może zarazić się od nas.

- To prawda, lecz wtedy będę mógł ją przeprowadzić przez chorobę. Kheim zmarszczył czoło i w końcu rzekł:

- Zapasy wody i pożywienia są uzupełnione, przekaż załodze, że bierzemy kurs na południe, niech wszyscy przygotują się na wiosenną przeprawę z powrotem do Chin.

Zanim odpłynęli, Kheim zabrał Bagatelkę do łodzi, popłynął z nią

w stronę brzegu i zatrzymał się w bezpiecznej odległości od plaży. Ojciec Bagatelki zauważył ich od razu i mówiąc coś w swoim języku, ruszył w ich stronę pośpiesznym krokiem, brodząc po kolana w spokojnych wodach odpływu, jego głos był ochrypły. Kheim zauważył wrzody na jego skórze, zacisnął dłonie na rękojeściach wioseł i odepchnął łódź nieco dalej.

- Co on mówi? - zapytał.

- Mówi, że ludzie chorują, że umierają. Kheim przełknął ślinę.

- Powiedz mu, że to my przywlekliśmy chorobę ze sobą. Spojrzała na niego tak, jakby właśnie przestała go rozumieć.

- Powiedz mu, że to my, że przez przypadek przywlekliśmy chorobę. Możesz mu to powiedzieć? Powiedz mu to!

Zadrżała, siedząc na dnie łodzi.

Nagle poniosła go złość i podniesionym głosem powiedział do przywódcy Miwok:

- To my przywlekliśmy tę chorobę. Przez przypadek! Ta Ma stał wpatrzony w niego.

- Bagatelko, proszę cię, powiedz mu coś, proszę! Dziewczynka podniosła głowę i krzyknęła do ojca w swoim języku.

Ta Ma zrobił dwa kroki w przód, wchodząc po pas w wodę. Kheim szarpnął wiosłami, oddalając się i klnąc. Był zły, lecz wokół nie było nikogo, na kogo mógłby się złościć.

- Musimy odejść! - krzyczał. - Odpływamy! Powiedz mu to! - krzyknął wściekle na Bagatelkę - powiedz mu!

Dziewczynka zawołała zrozpaczonym głosem w stronę Ta Ma.

Kheim stanął w łodzi, kołysząc nią. Wskazał na swoją szyję, na

serce, a potem na Ta Ma. Odgrywał cierpienie, wymioty i śmierć. Wskazał na wioskę i przeciągnął nad nią dłonią, jakby wymazywał ją z tabliczki, następnie wskazał na Ta Ma i gestami pokazał mu, że oni również powinni odejść, że cała wioska powinna się przeprowadzić i rozproszyć, nie iść do mnych wiosek, lecz na wzgórza. Wskazał na siebie i dziewczynę, udał, że wiosłuje i odpływa w dal. Wskazał na dziewczynkę pokazując, że jest szczęśliwa, że się bawi i dorasta, lecz cały czas zgrzytał przy tym zębami.

Ta Ma najwyraźniej nie zrozumiał tego kalamburu. Wyglądał na zdezorientowanego i coś jeszcze krzyknął.

- Co on powiedział?

- Zapytał, co robimy dalej?

Kheim machnął w jego stronę, nakazując rozproszenie.

- Uciekajcie! - krzyknął donośnie. - Powiedz im, żeby stąd uciekali, żeby się rozproszyli!

Płaczliwym tonem powiedziała coś do ojca. Ta Ma odpowiedział jej.

- Co powiedział, Bagatelko, możesz mi powiedzieć?

- Powiedział, żegnajcie.

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Bagatelka spoglądała wystraszona to na jednego, to na drugiego.

- Odejdźcie na dwa miesiące! - krzyknął Kheim, wiedząc, że robi to na próżno, nadal jednak mówił. - Zostawcie chorych i rozproszcie się. Później znów możecie się zejść, choroba po raz drugi nie zaatakuje! Uciekajcie. Zabierzemy ze sobą Bagatelkę, będzie z

nami bezpieczna, na statku wśród ludzi, którzy wcześniej nie chorowali. Zaopiekujemy się nią! Uciekajcie!

W końcu zamilkł

- Powiedz mu, co powiedziałem - rozkazał Bagatelce, która już tylko łkała i pochlipywała skulona na dnie łodzi. Kheim dopłynął do okrętu. Wypłynęli z zatoki przez wielką cieśninę i wzięli kurs na południe.

Przez trzy dni od wyjścia w morze Bagatelka gorzko płakała, później jadła z żarłocznym apetytem, a na koniec mówiła już tylko po chińsku. Kheim czuł ukłucie w sercu za każdym razem, kiedy na nią patrzył, i zastanawiał się, czy dobrze zrobili, zabierając ją ze sobą. Najprawdopodobniej umarłaby, gdyby ją zostawili, przypominał mu I-Chin, lecz Kheim nie był do końca przekonany. Szybkość, z jaką dziewczynka przystosowywała się do nowego życia, wywoływała w nim coraz większy niepokój. Więc teraz w taki sposób mieli zaczynać od nowa? Tacy twardzi i nieczuli, z tak krótką pamięcią? Zdolni wślizgnąć się w każde podsunięte życie? Czuł się bardzo nieswojo, widząc, co się działo z dziewczynką. Po jakimś czasie zameldował się u niego jeden z oficerów: - Penga nie ma na pokładzie żadnego z okrętów. Według załogi, popłynął na brzeg i został z nimi.

Bagatelka wkrótce zachorowała. I-Chin odizolował ją na dziobie okrętu flagowego, w przewiewnym gniazdku pod bukszprytem i ponad złotym

popiersiem Tianfei. Spędził wiele godzin, opiekując się nią i przeprowadzając ją przez wszystkie sześć etapów choroby. Od

wysokiej gorączki i zmiennego pulsu większego jang, poprzez mniejsze jang i słoneczne jang, objawiające się chłodem i gorączką występującymi naprzemiennie, aż po większe jin. Wtedy badał jej puls co zmianę warty, sprawdzał oznaki życiowe, przecinał niektóre pęcherze i dozował medykamenty z różnych słojów. Przeważnie używał mikstury zwanej Darem Boga Ospy, na którą składał się sproszkowany róg nosorożca, śnieżne robaki z Tybetu, skruszony jadeit i perła. Czasem, kiedy wpadała w krańcowe jin i była bliska śmierci, podawał jej minimalne dawki arszeniku. Postęp choroby w jej przypadku nie wyglądał, według Kheima, na zwykłą ospę, mimo to marynarze i tak składali specjalne ofiary bogu ospy, palili kadzidła i papierowe pieniądze w niewielkich kapliczkach, które wznieśli na każdym z ośmiu okrętów. Nieco później I-Chin stwierdził, że żegluga po otwartym oceanie odgrywała kluczową rolę w jej powrocie do zdrowia. Jej ciało złożone w szerokim hamaku kołysało się w rytm fali głębinowej, z którą zharmonizował się też jej puls i oddech. Naliczył cztery oddechy i sześć trzepotliwych uderzeń serca na każdą falę. Takie zestrojenie z żywiołami było niezwykle pomocne. Słone powietrze dodawało jej ki, dzięki czemu miała mniej obłożony język. Czasem dawał jej kilka łyżek oceanicznej wody oraz tyle, ile tylko chciała, wody słodkiej, zaczerpniętej niedawno z jej rodzinnego strumienia. W końcu odzyskała siły i wyzdrowiała, a ospa nie zostawiła na jej ciele śladów, jeśli nie liczyć kilku blizn na plecach i szyi.

Cały czas żeglowali wzdłuż wybrzeża kolejnej wyspy, na którą natrafili, i z każdym dniem ich zdumienie rosło, gdyż stale nie mogli

dopłynąć do jej południowego krańca. Jeden przylądek wyglądał tak, jakby tuż za nim miał być zakręt, lecz kiedy go minęli, ujrzeli ląd, ciągnący się miękkim lukiem na południe. Dalej napotkali jeszcze kilka spalonych słońcem, bezludnych wysp, a jeszcze dalej na południe dostrzegli na plażach wiejskie zabudowania. Wiedza, jaką posiadali, wystarczyła do zidentyfikowania specyficznych budowli, będących połączeniem łaźni i świątyni. Kheim trzymał flotę z daleka od brzegu, pozwolił jednak zbliżyć się jednemu z tubylczych kanoe. Próbowali rozmawiać z miejscowymi za pośrednictwem Bagatelki, lecz nie mogli się porozumieć, więc Kheim odegrał przed nimi głupkowatą pantomimę, udając chorobę i niebezpieczeństwo, po czym tubylcy oddalili się, pracując pośpiesznie wiosłami.

Płynęli teraz pod prąd, nadchodzący z południa. Był to łagodny prąd, a wiatr nieustannie wiał z zachodu. W tym miejscu świetnie brały ryby. a wędkowaniu sprzyjała letnia pogoda. Każdy kolejny dzień był podobny do poprzedniego i do następnego, ląd znów odbił na wschód, a później z powrotem na południe i było tak przez większość drogi do równika. Minęli wielki archipelag niskich wysp, z dobrymi miejscami do zakotwiczenia, ze słodkowodnymi strumieniami, z ptactwem o niebieskich łapach.

W końcu dopłynęli do stromo wznoszącego się wybrzeża, za którym widniały ośnieżone szczyty wulkanów, podobne do tych na Fudżi, lecz dwa lub trzy razy większych. Pięły się strzeliście w niebo, ponad urwistym, nabrzeżnym łańcuchem górskim, który również imponował wysokością. Widząc te gigantyczne formy

krajobrazu, zaczęli się zastanawiać, czy aby na pewno natknęli się na wyspę.

- Jesteś pewny, że to nie Afryka? - zapytał Kheim I-China.

- Może i Afryka. Może ludzie, jakich zostawiliśmy na północy, to ostatni ocaleli mieszkańcy Fulanu, którzy z konieczności cofnęli się do prymitywnego trybu życia. A może to jest rzeczywiście zachodnie wybrzeże świata, a my w nocy lub we mgle wpłynęliśmy na jego wewnętrzne morze. Nie sądzę jednak, aby tak było.

- W takim razie, gdzie jesteśmy?

I-Chin pokazał Kheimowi, gdzie według niego mogli się znajdować. Wyciągnął długi zwój map i wskazał ręką na część wschodnią, poza margines końcowy, tam, gdzie na pergaminie była pusta przestrzeń. Następnie wyciągnął zwój z mapą zachodniej części świata.

- Spójrz, od zachodniej strony Fulan i Afryka wyglądają tak. Muzułmańscy kartografowie zwracają uwagę na wszystkie szczegóły, a Hsing Ho wyliczył, że świat ma około siedemdziesięciu pięciu tysięcy li obwodu. Jeśli ma rację, to przepłynęliśmy dotychczas połowę, a może i mniej z całego dystansu przez Dahai do Afryki i Fulanu.

Może zatem się pomylił? Może ląd zajmuje więcej miejsca albo może świat jest mniejszy?

- Ale jego metoda była dobra. Sam dokonałem niezbędnych pomiarów geometrycznych podczas wyprawy na Moluki i okazało się, że miał rację.

- Spójrz! - powiedział Kheim, wskazując na rozciągający się przed

nimi górski krajobraz. - Jeśli to nie jest Afryka, to co?

- Jakaś wyspa. Jakaś duża wyspa, na odległych wodach Dahai, gdzie nikt wcześniej nie dopłynął. Następny świat, taki jak nasz zachodni, całkiem prawdziwy, wschodni świat.

- Wyspa, do której nikt jeszcze nie dopłynął? O której nikt wcześniej nie słyszał? - Kheim nie mógł w to uwierzyć.

- I co w tym dziwnego? - Powiedział I-Chin. - Czy ktoś wcześniej był tu przed nami, wrócił i opowiedział nam o tym miejscu?

- My też jeszcze nie wróciliśmy - Kheim złapał go za słowo.

- To prawda i nie ma żadnej gwarancji, że wrócimy. Może było tak, że Hsu Fu dotarł tutaj i próbował wrócić, lecz nie powiodło mu się. Może właśnie na tym brzegu spotkamy jego potomków?

Zbliżając się w stronę wielkiego lądu, dostrzegli nabrzeżne miasto. Nie było to nic wielkiego w porównaniu z ich portami, ale wyróżniało się rozmiarami od wiosek, które mijali na północy. Miasto miało złocistą barwę, a w oddali, z jego centralnej części wyrastało kilka większych budowli z dachami pokrytymi lśniącymi arkuszami kutego złota. Tam z pewnością nie mieszkali Miwok!

Podpłynęli w stronę brzegu, czujnie i w napięciu. Działa naładowali i wycelowali. Zdziwił ich widok prymitywnych łodzi powciąganych na plażę, rybackich kanoe, jakie niejeden z nich widział na Molukach. Byty przeważnie dwudziobowe, zrobione ze skręcanej w pęki trzciny. Brakowało broni, żagli, kei i doków, był jedynie długi pirs, najwyraźniej pływający, zakotwiczony daleko od plaży. Czuli nieskrywane zakłopotanie, widząc przepych na lądzie, w postaci złoconych dachów, w połączeniu z tak ubogim

nabrzeżem. I-Chin rzekł:

- Zapewne osiedlił się tu jakiś lud, mieszkający pierwotnie w głębi lądu.

- Sądząc po wyglądzie tych budynków, myślę, że mamy szczęście.

- Tak pewnie wyglądałoby wybrzeże Chin, gdyby nie upadła dynastia Han. To dziwne, lecz nawet mała wzmianka o Chinach przynosiła ukojenie. Po chwili wszyscy podziwiali szczegóły miasta.

- O! To wygląda jak Cham. Albo:

- Tak budują jak na Sri Lance - i tym podobne.

Choć krajobraz wyglądał egzotycznie, to coraz silniej odczuwali, jeszcze zanim dostrzegli na brzegu gapiących się na nich ludzi, że to właśnie ludzie, a nie ptaki czy małpy, mieszkali w tym mieście.

Choć nie wierzyli, aby posługiwano się tu ojczystym językiem Bagatelki, to wzięli ją ze sobą na brzeg w największej łodzi. Karabiny skałkowe i kusze ukryli pod siedzeniami, a Kheim stał na dziobie i wykonywał przyjazne gesty powitalne, które doskonale sprawdziły się w przypadku plemienia Miwok. Następnie poprosił Bagatelkę, aby pozdrowiła ich pokojowo w swoim języku, co uczyniła. Zgromadzony na plaży tłum przyglądał się z zaciekawieniem, niektórzy ludzie, wystrojeni w korony z piór, przemówili, lecz nie był to język Bagatelki ani żaden inny, znajomy.

Wymyślne nakrycia głowy noszone przez część ludzi z tłumu przypominały Kheimowi atrybuty wojskowe. Rozkazał odpłynąć od brzegu na kilka uderzeń wiosłami i przyjrzeć się im uważnie, w

poszukiwaniu luków, włóczni czy innej broni. Coś w ich wyglądzie zdradzało niebezpieczeństwo zasadzki.

Nic złego się jednak nie stało. Wręcz przeciwnie, kiedy następnego dnia popłynęli w stronę brzegu, na plaży było obecne spore zgromadzenie ludzi w pierzastych nakryciach głowy i w tunikach w kratę. Wszyscy już z daleka bili pokłony do samej ziemi. Nieco zmieszany Kheim nakazał zejść na ląd, zachowując czujność i gotowość bojową. Wszystko poszło dobrze - komunikacja za pomocą gestów i szybkie lekcje podstaw języka. Nie wiedzieć czemu, autochtoni traktowali Bagatelkę, jakby to ona była przywódcą gości, ich talizmanem albo kapłanką. Ewidentnie otaczali ją czcią. Pantomimiczną rozmowę chińczycy prowadzili głównie ze starszym mężczyzną w pierzastej koronie, z której zwisała grzywka, zasłaniająca czoło. Ponad piórami błyszczała metalowa odznaka. Porozumiewali się w serdecznej atmosferze, zaciekawieni i pełni dobrej woli. Poczęstowali marynarzy ciastkami z treściwej, grubo mielonej mąki i ogromnymi bulwami, które gotowali i jedli, oraz słabym, kwaśnym piwem. Załodze ofiarowano stos starannie tkanych koców, bardzo ciepłych i miękkich, zrobionych z wełny owiec, wyglądających jak krzyżówki owiec z wielbłądami. Najwyraźniej był to jakiś zupełnie inny gatunek zwierzęcia, nieznany Chińczykom.

W końcu Kheim poczuł się na tyle pewnie, że przyjął od tubylców zaproszenie do złożenia wizyty lokalnemu królowi czy cesarzowi. Władca mieszkał w ogromnym pałacu na szczycie wzgórza, poza granicami miasta. Ze złotym dachem przypominał świątynię. To

wszystko przez złoto, uświadomił sobie Kheim, i kiedy przygotowywał się do drogi, czuł się coraz bardziej nieswojo. Naładował krótki karabinek skałkowy i ukrył go w naramiennej torbie, wciśniętej za pazuchę i przykrytej połą płaszcza. Przed wyjściem przekazał I-Chinowi wszystkie niezbędne instrukcje dotyczące przeprowadzenia ewentualnej akcji posiłkowej. Wyruszyli - Kheim, Bagatelka i tuzin największych marynarzy z okrętu flagowego dali się poprowadzić tłumowi miejscowych, ubranych w kraciaste tuniki.

Podążali szlakiem do góry, wśród pól i domostw. Kobiety pracujące w polu nosiły dzieci przypasane chustami do niewielkich desek na plecach, inne przędły wełnę, przechadzając się. Krosna rozpinali na linach przywiązanych do gałęzi drzew, co dawało im odpowiedni naciąg tkaniny- Wyglądało na to, że stosowali jedynie kraciaste wzornictwo, w czerni i w jasnym brązie, a czasem w czerni i czerwieni. Na ich polach, z dala od terenów zalewowych przy rzece, stały prostokątne kopce, w których najprawdopodobniej uprawiali bulwy. Kopce też stały w wodzie jak pola ryżowe. Wszystko było podobne, a jednak inne. Złoto wydawało się tu tak powszechne, jak żelazo w Chinach, a z drugiej strony, nie widzieli tu jeszcze nic z żelaza.

Górujący nad miastem pałac byt ogromny, o wiele większy niż Zakazane Miasto w Benjing, i składał się z wielu sześciennych budynków, ustawionych w sześcienne wzory. Wszędzie obowiązywał wzór z ich tkanin. Na dziedzińcu przed pałacem stały kamienne cokoły, na których wyryto wizerunki ptaków i zwierząt

połączonych ze sobą i pomalowanych w pstrokate barwy, od których Kheima rozbolały oczy. Zastanawiał się, czy te dziwne stworzenia z cokołów rzeczywiście zamieszkują tutejsze odludzia, czy też są jedynie tutejszą wersją smoka i feniksa. Widział dużo miedzi, brązu i mosiądzu, lecz najwięcej złota. Strażnicy stojący w rzędach wokół pałacu dzierżyli długie włócznie o złotych grotach. Ich tarcze również były złote - stanowiły wspaniałą dekorację, bez praktycznego zastosowania. Wrogowie tego ludu pewnie także nie znali żelaza.

Wewnątrz pałacu poprowadzono ich do przestronnego pomieszczenia, którego jedna ściana otwierała się na dziedziniec, a trzy pozostałe pokryte były złotem. W tym miejscu rozłożono koce, na które zaproszono Kheima, Bagatelkę i marynarzy.

Do pokoju wszedł władca. Wszyscy ukłonili się i usiedli na ziemi. Władca zasiadł na kraciastej tkaninie, tuż obok gości, i powiedział coś uprzejmym głosem. Był przystojnym mężczyzną koło czterdziestki, o białych zębach, wydatnych kościach policzkowych i szerokim czole, pod którym jaśniały bystre oczy. Nosił złotą koronę, ozdobioną małymi, złotymi główkami, dyndającymi w okrągłych otworach wyciętych na obwodzie - wyglądały jak głowy piratów widniejące na wrotach do Hangzhou.

Ten detal wyraźnie zaniepokoił Kheima, który aż poprawił broń pod płaszczem i zaczął się nerwowo rozglądać. Nic innego nie budziło w nim podejrzeń. Co prawda stało tam kilku przysadzistych mężczyzn - najwyraźniej przyboczna gwardia władcy, gotowa rzucić się na nich w każdej chwili, jeśli tylko coś by ich wystraszyło, lecz to

pewnie były zwykłe środki bezpieczeństwa, jakich używali w przypadku wizyty obcych gości.

Pojawił się kapłan w pelerynie z błękitnych piór i odprawił przed władcą ceremonię, po czym zasiedli do długiej uczty. Jedli mięso podobne do baraniny, warzywa i puree o nieznanym Kheimowi smaku. Pili słabe piwo, skusili się też na prawdziwie ognistą brandy. W końcu Kheimowi zaszumiało w głowie, rozejrzał się i stwierdził, że z jego załogą jest jeszcze gorzej. Bagatelce żaden z przysmaków nie podchodził, zjadła i wypiła bardzo mało. Na dziedzińcu jacyś mężczyźni zaczęli tańczyć do rytmu bębnów i trzcinowych piszczałek. Całość przypominała nieco muzykę koreańską, co bardzo zastanowiło Kheima. Może przodkami tych ludzi byli zniesieni przez Kuroshio marynarze, którzy wylądowali tutaj wieki temu? Kilka zabłąkanych statków, których załoga zasiedliła tę ziemię wiele dynastii wstecz, mogło dać początek złotemu miastu. Doprawdy, muzyka brzmiała jak echo minionych wieków. Któż to jednak mógł wiedzieć? Porozmawia na ten temat z I-Chinem, kiedy wrócą na statek.

O zachodzie słońca Kheim wyraził chęć powrotu na pokład. Władca tylko spojrzał na niego, skinął na kapłana i wstał. Wszyscy obecni ukłonili się, po czym władca opuścił pokój.

W chwilę po jego wyjściu Kheim chwycił za rękę Bagatelkę i spróbował wyjść tą samą drogą, którą ich tu prowadzono (choć nie był do końca pewny, czy ją dobrze zapamiętał), lecz strażnicy skrzyżowali złote groty włóczni, robiąc to tak ceremonialnie, jakby była to kolejna figura ich tańca. Kheim odegrał niezadowolenie, co

w tej sytuacji było dość proste, i pokazał, że Bagatelka będzie bardzo smutna i zła, jeśli nie wróci na statek. Strażnicy pozostali niewzruszeni.

No i stało się. Kheim przeklinał samego siebie za opuszczenie plaży pod eskortą tak dziwnych ludzi. Pod płaszczem wymacał rękojeść pistoletu, mógł oddać tylko jeden strzał. Najwyraźniej trzeba było liczyć na akcję ratowniczą I-China. Dobrze, że nalegał, aby lekarz ubezpieczał tyły. Tylko on, według Kheima, mógł najlepiej zorganizować taką operację.

Porwani spędzili noc stłoczeni razem na kocu w otoczeniu strażników, którzy nie zasypiali, lecz zabijali czas żując zielone liście, wyciągane z naramiennych toreb, zatkniętych w fałdach kraciastych tunik. Stale zachowywali czujność, wpatrując się w przybyszów błyszczącymi oczyma. Kheim przysunął się do Bagatelki, która wtuliła się w niego jak kot. Zrobiło się zimno. Kheim zebrał wszystkich, aby skupili się razem i ogrzewali dziewczynkę, jeśli nie dotykiem, to choć ciepłą bliskością swoich ciał.

O świcie znów odwiedził ich władca, ubrany tym razem jak olbrzymi paw lub feniks. Towarzyszyły mu kobiety, których piersi zasłonięte były złotymi stożkami o kształcie łudząco przypominającym prawdziwy biust, z rubinami w miejscu sutków. Widok kobiet zrodził w Kheimie absurdalną myśl, że na pewno nic złego im się nie stanie. Wtem do pokoju wkroczył wysoki kapłan w pelerynie, a z nim zamaskowana, kraciasta postać, której rozłożyste nakrycie głowy pobrzękiwało w powietrzu mnóstwem miniaturowych, złotych czaszek. Prawdopodobnie, bóstwo śmierci

przybyło dokonać egzekucji, pomyślał Kheim i wniosek ten wzniósł go na wyższy stopień świadomości; teraz widział wyraźnie, że arkusze złota, spływające bielą w słońcu, że wszystkie przestrzenie, które przemierzali, posiadały dodatkowy wymiar pewnej głębi i spoistości. Ludzie z kraciastego plemienia byli tak samo żywi, kolorowi i namacalni jak demony tańczące na świątecznych paradach.

Wyprowadzono ich na zewnątrz w mgliste, blade światło poranka, by skierować się na wschód. Przez cały ten i następny dzień pięli się pod górę, Kheim dyszał, zmęczony wspinaczką, i wchodząc na kolejny grzbiet, spoglądał zdumiony za siebie, w dół, na morze, wyglądające, jak ogromna, niebieska plama, niesłychanie gładka i jakże odległa. Nigdy by nie pomyślał, że kiedykolwiek wejdzie tak wysoko nad powierzchnię oceanu. Czuł, jakby unosił się w przestrzeni. Przed nimi, na wschodzie, wyrastały jeszcze większe wzniesienia, a w niektórych miejscach, poprzez przełęcze między nimi można było dostrzec ośnieżone wierzchołki wulkanów, wielokrotnie większych od Fudżi.

W ich kierunku zmierzali. Karmiono ich dobrze i podawano gorzką jak piołun herbatę, a później przy akompaniamencie piszczałek odprawiono rytuał, podczas którego ofiarowano im małe torebki z liśćmi herbaty. Były to te same zielone liście o postrzępionych krawędziach, które żuli strażnicy, pilnując ich podczas pierwszej nocy. Miały gorzki smak, lecz znieczulały gardło i krtań. Kheim czul się po nich znacznie lepiej. Liście były pewnego rodzaju środkiem pobudzającym, jak herbata czy kawa. Pozwolił je żuć Bagatelce i

swoim ludziom. Poczuł niewielki wzrost siły w swoim układzie nerwowym, co dodało mu energii ki niezbędnej do obmyślenia planu ucieczki.

Nie wydawało się prawdopodobne, aby I-Chin zdołał przedrzeć się przez błotno-złote miasto i podążyć za nimi, Kheim jednak nadal nie mógł wyzbyć się tej nadziei, tej zapalczywej nadziei, jaką czul za każdym razem, kiedy spoglądał w twarz Bagatelki, wolną jeszcze od podejrzeń czy strachu. Dla niej był to kolejny etap podróży, która już chyba bardziej dziwna stać się nie mogła. Na razie wszystko ją interesowało, te feerie barw, złoto i góry. Wysokość, na którą się wspięli, najwyraźniej nie sprawiała jej żadnych problemów.

Kheim zaczął rozumieć, dlaczego chmury, które teraz znajdowały się pod nimi, powstawały raczej w zimniejszym i mniej zasolonym powietrzu niż ta ukochana słona zupa, którą zwykli oddychać na poziomie morza. Raz złapał w nozdrza zapach tamtego powietrza, a może był to zapach soli z jego włosów, zatęsknił za nim, jak spragniony tęskni za wodą. Spragniony powietrza! Przeszył go dreszcz na myśl o wysokości, na jaką zaszli. To jednak nadal nie byt koniec wspinaczki. Teraz szli ośnieżonym grzbietem. Szlak był dobrze wydeptany i lśnił porcelanową bielą. Rozdano im miękkie, skórzane buty na drewnianych podeszwach, wyłożone w środku futrem, a także grubsze tuniki i koce z otworami na ręce i głowę, wszystko w kunsztowną kratę. Na niektórych wzorach małe postaci wypełniały niewielkie kwadraty. Koc, który dostała Bagatelka, byt tak długi, że wyglądała w nim jak buddyjska mniszka. Utkano go z

tak wyśmienitej przędzy, że gdy Kheim to zauważył, aż się przestraszył. Szło z nimi jeszcze jedno dziecko. Kheim miał wrażenie, że był to chłopiec, choć nie miał pewności. W każdym razie, strój dziecka przypominał kapłańską pelerynę.

Doszli do obozowiska zbudowanego z kamiennych płyt, poukładanych na śniegu. W zapadniętej części, pośrodku platformy rozpalili ogromne ognisko, a wokół niego rozbili kilka jurt. Porywacze rozsiedli się na swoich kocach i zjedli posiłek, po którym wypili kilka rytualnych czarek gorącej herbaty, piwa i brandy, odprawili ceremonię ku czci zachodzącego słońca, które zeszło teraz pod chmury i wpadało do oceanu. Byli już wysoko ponad chmurami, lecz nadal na wschodzie ponad nimi ogromny wulkan wbijał się w indygo nieba ośnieżonym szczytem, lśniącym teraz głębokim szkarłatem ostatnich chwil zachodu słońca.

Noc była mroźna. Kheim ogrzewał Bagatelkę, a strach budził go za każdym razem, kiedy się poruszyła. Czasem wydawało mu się, że dziewczynka przestawała oddychać, lecz po chwili znów brała wdech.

Obudzono ich o świcie. Kheim był wdzięczny za gorącą herbatę, solidny posiłek i kilka zielonych liści do żucia, mimo że te ostatnie otrzymali z rąk katowskiego bóstwa. Rozpoczęli wspinaczkę po stoku wulkanu, kiedy jeszcze wydawał się szarym, ośnieżonym stożkiem na tle białego, porannego nieba. Po zachodniej stronie leżał ocean, przykryty warstwą chmur, które co jakiś czas się rozrywały, ukazując daleko, daleko w dole wielką, niebieską plamę, która dla Kheima była jak rodzinne strony, jak wspomnienia z

dzieciństwa.

Im wyżej wchodzili, tym było chłodniej i gorzej się szło. Śnieg pod stopami był zmrożony, a lodowe odpryski łyskały w słońcu i chrzęściły z każdym krokiem. Było oślepiająco widno, lecz nieliczne szczegóły i tak pozostawały w mroku. Czarno-niebieskie niebo, bury sznur ludzi. Kheimowi łzawiły oczy, a łzy mroziły mu policzki lub więzły w rzadkim, siwym zaroście. Szedł dziarsko pod górę, stawiając stopy w ślady strażnika idącego przed nim. Co jakiś czas sięgał z mozołem za siebie i chwytał dłoń Bagatelki, żeby przyciągnąć ją do siebie.

W końcu, kiedy zapomniał już oglądać się do góry, porzuciwszy dawno nadzieję na jakąkolwiek zmianę w krajobrazie, śnieżne zbocze z wolna przeszło w płaski teren. Nagie, czarne, postrzępione skały przebijały przez śnieg po lewej i po prawej stronie, a największe ich skupisko znajdowało się przed nimi. Wyżej nie było już nic.

Osiągnęli szczyt: szerokie i surowe skalne rumowisko, wyglądające jak spękane i zamarznięte błoto, zmieszane z lodem i śniegiem. W najwyższym punkcie tej wychłostanej wiatrem zmarzliny tkwiło kilka palików, między którymi rozpięto kolorowe wstęgi, flagi i proporce, jak w górach Tybetu. W takim razie może byli to Tybetańczycy? Kapłan w pelerynie, katowskie bóstwo i strażnicy zebrali się u podnóża skal. Ci ostatni musieli powstrzymać Kheima, który buntował się, kiedy dzieci zaprowadzono do kapłana. W końcu jednak cofnął się, dając do zrozumienia, że nie będzie stawiał oporu, i włożył dłonie pod tunikę, jakby chciał je ogrzać.

Rzeczywiście, zmarzły na kość. Pod płaszczem wymacał rękojeść karabinku, naciągnął kurek i wyciągnął broń spod płaszcza, trzymając ją teraz tylko pod tuniką.

Dzieciom dano jeszcze trochę gorzkiej herbaty, którą zachłannie wypiły. Kapłan i jego słudzy, stojący twarzą do słońca, zaczęli śpiewać Pieśni, rozbrzmiały bębny, dudniące jak bolesny puls na dnie słabnących oczu Kheima. Bolała go głowa, a rzeczy dookoła przypominały cienie.

Na śnieżny grzbiet poniżej nich wspinało się szybko kilka postaci ubranych w kraciaste tuniki, lecz Kheimowi wydawało się, że wyglądają jak I-Chin i jego ludzie. W dole, daleko za nimi dostrzegł kolejną, pnącą się do góry grupę ludzi.

Serce waliło Kheimowi jak młotem, dudniło wewnątrz niego jak uroczyste rytmy bębnów. Katowskie bóstwo wyjęto złoty nóż z drewnianej, misternie rzeźbionej pochwy i poderżnęło gardło małemu chłopcu. Parującą w słońcu krew zebrano do złotej misy. Przy dźwięku bębnów, piszczałek i śpiewanych modłów ciało chłopca zawinięto w miękką, kraciastą tkaninę i złożono delikatnie wewnątrz szczytu, w skalnej szczelinie między dwiema olbrzymimi skałami.

Po chwili katowskie bóstwo i kaptan w pelerynie zwrócili się w stronę Bagatelki, która daremnie miotała się, chcąc uciec. Kheim wyciągnął spod tuniki broń, sprawdził krzemień, ujął pistolet w obie ręce i wycelował w bóstwo. Wykrzyknął coś i wstrzymał oddech. Straż ruszyła w jego stronę, bóstwo spojrzało mu w oczy, Kheim pociągnął za spust i pistolet wystrzelił, wyrzucając z lufy chmurę

dymu i odrzucając Kheima dwa kroki w tył. Katowskie bóstwo runęło plecami w śnieg, krwawiąc obficie z krtani. Zloty nóż wypadł z otwartej dłoni.

Wszyscy pozostali gapili się ogłuszeni na bóstwo, nie wiedząc, co się stało. Kheim wymierzył w nich broń, a drugą dłonią wyjmował amunicję z torby na pasie. Na ich oczach załadował pistolet, wykrzykując groźnie raz po raz, od czego oni aż podskakiwali.

Przeładowawszy pistolet, wycelował w strażników, którzy upadali do tyłu, klękali bądź cofali się niemrawo. Teraz już widział wyraźnie I-China i marynarzy, pokonujących ostatni odcinek śnieżnego stoku. Kapłan w pelerynie odezwał się, na co Kheim wycelował w niego uważnie i strzelił.

Znów rozległ się głośny huk eksplozji, niczym piorun uderzający tuż przy uchu. Towarzyszyła mu smuga białego, gryzącego dymu. Kapłana rzuciło na ziemię, jakby powaliła go ogromna niewidzialna pięść, a błękitna peleryna zaplamiła się krwią.

Kheim przeszedł przez dym w stronę Bagatelki. Odebrał ją porywaczom, którzy teraz trzęśli się jak w febrze, i poniósł na rękach w dół szlaku. Była półprzytomna, bardzo możliwe, że podany jej napar był odurzający. W końcu spotkał I-China, który sapiąc, szedł na czele bandy marynarzy postawionych w stan gotowości bojowej, uzbrojonych w muszkiety i pistolety.

- Wracamy na statki! - rozkazał Kheim. - Strzelać do każdego, kto stanie wam na drodze.

Schodzenie było po stokroć łatwiejsze niż wspinaczka do góry. W tej łatwości kryło się jednak niebezpieczeństwo, gdyż nadal byli

oszołomieni, na wpół oślepieni i tak zmęczeni, że poślizgiwali się i upadali coraz częściej. Ocieplało się, śnieg topniał pod ich stopami. Niosąc na rękach Bagatelkę, Kheim nie widział dokładnie, gdzie stąpa, ślizgał się więc i ciągle upadał. Kiedy szlak na to pozwalał, dwóch ludzi szło po jego bokach i podtrzymywało go, lecz pomimo wszystkich problemów, szło im się całkiem raźnie.

Za każdym razem, kiedy przechodzili przez górskie osady, wychodziły z nich tłumy ludzi. Kheim oddał Bagatelkę pod opiekę marynarzy, a sam szedł z uniesionym nad głowę pistoletem, aby wszyscy mogli go widzieć. Jeśli tłum niebezpiecznie się zbliżał, strzelał do mężczyzny w największym, pierzastym nakryciu głowy. Huk wystrzału przerażał gapiów o wiele bardziej niż nagła i krwawa śmierć ich kapłanów i przywódców. Kheim pomyślał, że może obowiązuje tu system, w którym władca co jakiś czas rozprawia się w podobny sposób z nieposłusznymi lokalnym watażkami. Większość tubylców paraliżował już sam władczy ton chińskiej mowy. Rozlegały się wybuchy, po których następowała śmierć, niczym od rażenia piorunem, co w tych górskich wioskach musiało zdarzać się dość często, ich mieszkańcy szybko zdali sobie sprawę, jakąż to sztukę posiedli Chińczycy - ujarzmili piorun.

Przekazawszy Bagatelkę swoim ludziom, Kheim kroczył ciężko na ich czele, przeładowując broń i strzelając do każdej napotkanej grupy. Czuł, jak rodzi się w nim euforia, potworna władza nad tymi prymitywnymi ignorantami, którzy nieruchomieli ze strachu na widok pistoletu. Teraz on był katowskim bóstwem, przechodził między nimi jak między marionetkami, którym odcięto sznurki.

Później tego samego dnia wysiał załogę po pożywienie do pobliskiej wioski. Posilili się i ruszyli dalej w dół, zatrzymując się dopiero w nocy. Schronili się w przestronnej stodole o ścianach z kamienia i drewnianym dachu, którą po samą krokiew wypełniały bele tkanin, ziarno i złoto. Marynarze omal się nie pozabijali, chcąc zabrać ze sobą wszystko, lecz Kheim pozwolił im wziąć po jednym przedmiocie na głowę, biżuterię lub pojedynczą złotą wlewkę.

- Jeszcze kiedyś tu wrócimy - mówił im - i będziemy bogatsi od samego cesarza.

Dla siebie Kheim wybrał niewielką, złotą figurkę kolibra.

Choć był skrajnie zmęczony, to i tak nie mógł się położyć, a nawet Przestać chodzić w kółko. Dręczyły go koszmary. Na wpół śpiąc, siedział przy Bagatelce, a przed świtem obudził załogę i ruszyli dalej, w dół zbocza, z naładowanymi karabinami, w pełnej gotowości. Kiedy zeszli nad brzeg, stało się oczywiste, że w nocy wyprzedzili ich zwiadowcy, którzy powiadomili mieszkańców niżej położonych wiosek o katastrofie na szczycie wulkanu. Grupa uzbrojonych mężczyzn blokowała skrzyżowanie tuż przed dużym miastem portowym. Wznosili okrzyki do rytmu bębnów, wymachiwali pałkami, tarczami, włóczniami i dzidami. Tubylcy mieli ogromną przewagę liczebną. Pięćdziesięciu ludzi, których zabrał ze sobą I-Chin, wychodziło naprzeciw czterystu, pięciuset lokalnym wojownikom.

- Rozwinąć szyk! - rozkazał Kheim - Maszerujemy drogą, prosto na nich. Śpiewajcie głośno *Znów się upiłem na Wielkim Kanale,* wyciągnijcie broń przed siebie, a kiedy powiem “stać", zatrzymacie

się i wycelujecie w przywódców - to ci z największą ilością piór na głowach. Na mój rozkaz, wszyscy naraz oddajecie strzał, a następnie przeładujcie, najszybciej jak umiecie, lecz nie strzelacie, dopóki nie usłyszycie mojej komendy. Kiedy powiem “ognia", znów wystrzelicie, a później znów przeładujecie.

Pomaszerowali więc drogą, rycząc, ile sił w płucach, starą pijacką piosenkę. Po chwili zatrzymali się i oddali salwę. Ich karabinki skałkowe odniosły taki skutek jak kanonada ze wszystkich dział armatnich na raz. Wielu tubylców padło na ziemię i krwawiło, ci, którzy przeżyli, uciekali w popłochu.

Do zdobycia miasta portowego wystarczyła jedna salwa. Mogli je teraz obrócić w zgliszcza, zrównać z ziemią i zabrać, co tylko chcieli. Kheim jednak poprowadził ludzi ulicami najszybciej, jak się dało, każąc śpiewać im najgłośniej, jak tylko potrafili, aż w końcu dotarli bezpiecznie do plaży i do swoich łodzi. Nie musieli oddawać ani jednego strzału więcej.

Kheim podszedł do I-China i uścisnął mu dłoń.

- Wielkie dzięki - zwrócił się do niego oficjalnym tonem, tak aby wszyscy inni słyszeli. - Uratowałeś nas. Gdyby nie ty, złożyliby Bagatelkę w ofierze jak jagnię, a nas pozabijaliby jak muchy.

Kheimowi wydawało się całkiem logiczne, że tubylcy w końcu otrząsną się z szoku, a wtedy mogą stać się bardzo niebezpieczni, jak każdy motłoch. Nawet teraz w bezpiecznej odległości zbierał się tłum przyglądających się ludzi. Kiedy Bagatelkę i większość załogi przetransportowano na pokłady okrętów, Kheim ustalił z I-Chinem oraz z dowódcą zaopatrzenia, czego im jeszcze brakuje do

rozpoczęcia rejsu powrotnego przez Dahai. Następnie po raz ostatni już zabrał ze sobą na brzeg dużą grupę najlepiej uzbrojonych marynarzy i po tym jak jego flota oddała armatnią salwę w stronę miasta, ruszyli na pałac, maszerując rytm bębnów i śpiewając głośno. W pałacu biegali po pokojach i korytarzach, łapiąc kapłanów i kobiety, próbujących uciec przez tylną bramę. Kheim zastrzelił jednego z kapłanów, a resztę kazał związać.

Następnie stanął przed kapłanami i wyraził gestami swoje żądania. W głowie nadal dudniło boleśnie i wciąż czuł radosne podniecenie wywołane zabijaniem. Zdumiał się, z jaką łatwością przyszło mu przekazanie gestami całkiem długiej listy żądań, Wskazał na siebie, na swoich ludzi, a następnie na zachód. Pokazał, jak jedna jego dłoń odpływa z wiatrem, który odgrywał drugą ręką. Następnie uniósł w górę pożywienie j torebkę z zielonymi liśćmi, wskazując, że tego właśnie im potrzeba. Pokazał, że mają przynieść wszystko na plażę. Podszedł do najwyższego rangą zakładnika i udał, że odwiązuje go i macha mu na pożegnanie. A jeśliby nie wrócili - wycelował pistolet po kolei w każdego z zakładników. Jeśli wszystko zostanie dostarczone, Chińczycy obiecali uwolnić ich i odpłynąć. Każdy z etapów komunikacji odgrywał patrząc zakładnikom głęboko w oczy i niewiele się odzywając, gdyż jak sądził, mogło to tylko zakłócić komunikację. Następnie kazał swoim ludziom uwolnić wszystkie kobiety i kilku mężczyzn bez piór na głowach, których wystano po żądane dobra. Wpatrując się w nich, był niemal pewny, że dokładnie rozumieli, czego od nich chciał.

Udali się z zakładnikami z powrotem na plażę i tam czekali. Tego samego popołudnia na jednej z głównych dróg pojawili się mężczyźni, niosący na plecach ogromne toboły. Złożyli dary na plaży i zaczęli się wycofywać, zwróceni twarzami w stronę Chińczyków. Suszone mięso, ciastka zbożowe, małe, zielone liście, złote dyski i ozdoby (choć Kheim o nie prosił), koce i bele miękkiej tkaniny. Patrząc na te wszystkie rzeczy rozłożone na plaży, Kheim czuł się jak surowy poborca podatkowy. Odczuwał też ulgę. Wiedział, że jego władza tutaj jest ulotna, jakby podtrzymywana przez magię, której nie rozumiał i której nie kontrolował. Mimo wszystko był zadowolony. Mieli wszystko, czego potrzebowali, by wrócić do domu.

Własnoręcznie odwiązał zakładników i pokazał, że mogą odejść. Każdemu z nich wcisnął w omdlewające dłonie po jednej kuli ze swojego karabinu.

- Kiedyś tu wrócimy - zwrócił się do nich - my lub jeszcze gorsi od nas. - Zastanowił się przez chwilę, czy ci ludzie, tak jak Miwok, mogliby zarazić się ospą. Jego marynarze spali przecież w pałacu na ich kocach.

Nie sposób tego stwierdzić. Tubylcy powoli odchodzili, potykając się, ściskając w garści ołowiane kule lub gubiąc je w piasku. Kobiety stały w bezpiecznej odległości, szczęśliwe, że Kheim dotrzymał obietnicy i wszystkich uwolnił. Admirał rozkazał ludziom wejść do łodzi. Powiosłowali w stronę okrętów, a następnie odpłynęli z ogromnej, górskiej wyspy.

Po tych wydarzeniach żegluga po Wielkim Oceanie wydawała im

się bardzo swojska i spokojna. Dni płynęły swoim rytmem. Podążali za słońcem, na zachód, ciągle na zachód. Przez większość dni było słonecznie i gorąco. Później, przez miesiąc, każdego dnia zbierały się nad nimi gęste chmury, z których popołudniami spadał rzęsisty, szary deszcz. Burze trwały krótko. Potem wiał już tylko sprzyjający wiatr południowo-wschodni, który znacznie ułatwiał żeglugę. Wspomnienia marynarzy o wielkiej wyspie, będącej już daleko za nimi, jawiły im się niczym sny albo zasłyszane gdzieś legendy o krainie asurów. Gdyby nie obecność Bagatelki trudno byłoby im uwierzyć, że to wszystko przeżyli naprawdę.

Bagatelka bawiła na okręcie flagowym. Huśtała się na takielunku i wspinała po linach jak małpa. Na pokładzie byty setki mężczyzn, lecz obecność tej jednej małej dziewczynki zmieniała wszystko: żeglowali pod szczęśliwą gwiazdą. Pozostałe statki trzymały się blisko okrętu flagowego, gdyż wszyscy marynarze chcieli choć przez chwilę spojrzeć na nią albo nawet zaprosić na pokład, co czasem się zdarzało. Większość marynarzy wierzyła, że tak naprawdę to Bagatelka była boginią Tianfei, podróżującą z nimi i gwarantującą bezpieczeństwo; dlatego też żegluga powrotna szła sprawniej niż rozpoczęcie rejsu. Pogoda była łagodniejsza, powietrze cieplejsze, a w sieci wpadało więcej ryb. Po drodze minęli trzy niewielkie, bezludne atole. Zabrali ładunek orzechów kokosowych, miękiszu palmowego, a raz nawet wodę. Najważniejsze jednak było to, co Kheim czuł gdzieś głęboko w sobie, że orientowali się na zachód, z powrotem do domu, do znanego świata. Ciężko żeglowało się w kierunku wschodzącego

słońca, trudno też odpływać od znanego świata.

Płynęli dzień za dniem. Słońce, wschodząc nad rufą, a zachodząc przed dziobem, ciągnęło ich za sobą - nawet ono pomagało, czasem nawet za bardzo. Mijał właśnie siódmy miesiąc i panował piekielny gorąc. Przez niemal cały następny miesiąc utrzymywała się bezwietrzna pogoda. Modlili się do Tianfei i musieli się zmuszać, aby nie spoglądać błagalnie na Bagatelkę.

Ta zaś bawiła się na takielunku, nie zważając na rzucane w jej stronę ukradkowe spojrzenia. Do tego czasu już dość dobrze mówiła po chińsku oraz nauczyła I-China swojego języka na tyle, na ile jeszcze go pamiętała. Każde słowo I-Chin zapisywał w słowniku, który, jak mniemał, mógł przydać się kolejnym ekspedycjom na nowo odkrytą wyspę. Opowiadał Kheimowi, dlaczego ta praca tak go ciekawiła. Zwykle, kiedy spisywał ze słuchu słowa języka miwok, używał chińskich ideogramów bądź ich kombinacji, o jak najbardziej zbliżonym brzmieniu. Oprócz tego, korzystając z dostępnej mu wiedzy źródłowej, zapisywał szczegółowe definicje poszczególnych słów. Oczywiście później, kiedy czytał ideogramy, będące zapisem fonetycznym, od razu dosłuchiwał się w nich chińskich znaczeń, w ten sposób cały język miwok stał się kolejnym zbiorem homonimów, który powiększał i tak ogromny ich zasób w języku chińskim. Wiele chińskich symboli religijnych i literackich opierało się na występującym całkowicie przypadkowo zjawisku homonimii, dzięki któremu utworzyły się znaczenia przenośne, na przykład mówiono: dziesiątego dnia miesiąca (shi) kamień obchodził urodziny (shi) albo ideogram czapli i kwiatu lotosu, lu i ljan, dzięki homonimii stał

się nośnikiem przesłania: “Niech ścieżka twoja (lu) prowadzi cię zawsze ku górze (lian)".

Symbol małpy usadowionej na grzbiecie drugiej małpy można odczytać jako: “Obyś z pokolenia na pokolenie ceniony był jak władca". W ten sposób, słowa języka miwok oznaczające “wracać do domu" wyglądały dla I-China jak “wu ya", “pięć kaczek", a miwockie “pływać" jak “Peng-zu", legendarny bohater, który żył osiemset lat. I-Chin więc podśpiewywał sobie “pięć kaczek płynie do domu, dopłyną tam za osiemset lat" albo “wyskoczę za burtę i stanę się Peng-zu". Bagatelka słysząc to, pękała ze śmiechu. Inne podobieństwa między dwoma językami, na przykład w dziedzinie żeglarstwa, sprawiały, że I-Chin zaczął zastanawiać się, czy czasem flota Hsu Fu, podczas swojej ekspedycji na wschód nie dotarła w końcu do oceanicznego lądu Yingzhou i nie zostawiła tam po sobie kilku chińskich słów, jeśli już cokolwiek miałaby zostawić. Może ludzie z plemienia Miwok byli potomkami marynarzy z tamtej ekspedycji?

Część załogi zaczęła już mówić o powrocie na nowy ląd, do złotego królestwa na południu, o militarnym podporządkowaniu go sobie i przetransportowaniu całego złota do prawdziwego świata. Oczywiście nikt nie mówił, że to zrobi, czym można było ściągnąć na siebie nieszczęście, lecz raczej, że gdyby co do czego doszło, to kto wie. Inni marynarze przysłuchiwali się rozmowom, udając, że nic nie słyszą, gdyż dobrze wiedzieli, że jeśli Tianfei pozwoli im wrócić bezpiecznie do domu, wtedy już nikt nie namówi ich na kolejny rejs przez Dahai.

Po jakimś czasie na morzu zapanowała całkowita cisza. Wpłynęli na obszar oceanu, pozbawiony deszczu, chmur, wiatru i prądów - jak gdyby spadła na nich jakaś klątwa, może to z powodu tej próżnej gadaniny o złocie? Zaczęli się smażyć na słońcu. Wokół okrętów roiło się od rekinów, więc nie mogli się też wykąpać dla ochłody. Postanowili rozciągnąć między dwoma statkami żagiel i poczekać, aż opadnie nieco pod wodę, po czym wskoczyli do gotowego basenu, w którym ciepła woda sięgała im pod piersi. Kheim kazał Bagatelce założyć długą koszulę i też pozwolił jej wskoczyć. Zignorowanie jej życzenia na pewno zdziwiłoby i rozgniewało całą załogę. Okazało się, że dziewczynka pływa jak ryba. Ludzie traktowali ją jak boginię, a ona śmiała się, patrząc jak pluskają się w wodzie niby mali chłopcy. Robienie w końcu czegoś innego sprawiło wszystkim ogromną ulgę, niestety, żagiel nie wytrzymał naporu wody i ciągłego skakania i rozdarł się na pół.

Groziło im utkwienie w równikowym pasie ciszy. Wiedzieli, że niedługo skończy się woda, później jedzenie. Całkiem możliwe, że jakiś delikatny prąd nadal niósł ich na zachód, lecz I-Chin nie był optymistą.

- Bardziej prawdopodobne, że zabłąkaliśmy się w okolice środka wielkiego oceanicznego prądu okrężnego, to coś jakby oko cyklonu.

Następnie poradził, żeby kiedy tylko będzie to możliwe, płynąć z powrotem na południe i tam złapać odpowiedni wiatr i prąd. Kheim wyraził zgodę. Mimo to na morzu nadal panowała cisza. Ich obecna sytuacja przypominała pierwszy miesiąc wyprawy, teraz jednak nie pomagał im Kuroshio. Znów zaczęli rozważać możliwość

opuszczenia wszystkich łodzi wiosłowych i odholowania okrętów, z tym że ich przysadziste dżonki były zbyt duże, aby napędzać je jedynie siłą ludzkich mięśni. Poza tym, jak stwierdził I-Chin, zdzieranie skóry z rąk marynarzy mogłoby być dla nich niebezpieczne, jako że i tak już byli odwodnieni. Nie pozostało nic innego, jak oczyścić i rozstawić w słońcu destylator do wody i zacząć racjonować pozostałą zawartość cystern. Oczywiście Bagatelce nie zmniejszono przydziału wody, bez względu na to, jak bardzo upierała się, że będzie robić tak jak wszyscy pozostali. Oddaliby jej ostatnią cysternę w całej flocie.

Po jakimś czasie I-Chin zaproponował, aby załoga zaczęła zbierać swój słomkowy mocz i mieszać go z resztkami wody w cysternach. Wtedy też na południu pojawiły się ciemne chmury i stało się jasne, że wkrótce problem braku wody zmieni się w problem jej nadmiaru. Zerwał się wiatr, chmury przemieszczały się nad ich głowami, a deszcz lał się strugami. Na cysternach zamontowano lejki i niemal od razu uzupełniono zapasy wody. Później musieli już tylko przetrwać sztorm. Jedynie takie duże dżonki jak ich były wystarczająco wysokie i zwrotne, aby przetrzymać długi i zapalczywy atak żywiołu. Osiem Wspaniałych Okrętów, które zdążyły wyschnąć na wiór i wyblaknąć w czasie ciszy morskiej, teraz pęczniało od deszczu i trzeszczało, a łączące je liny pękały lub wyrywały knagi z burt. Chcąc przetrwać sztorm, przemoknięci marynarze toczyli straceńczą walkę z kolejnymi przeciekami, naprawiali złamane drzewce, przybijali klepki i wiązali liny.

Fale były coraz wyższe, w końcu wszystkie statki tylko unosiły się i opadały na ogromnych, dymiących pagórach, przetaczających się z południa na północ w niespiesznym, acz nieubłaganym, a nawet majestatycznym tempie. Kiedy okręt flagowy wpływał na falę, cala załoga gwałtownie wzbijała się w powietrze, a pokład tonął w białych odmętach morskiej piany, wtedy też, przez krótką chwilę, mieli widok na chaos, panujący aż po sam horyzont, a w oddali dwa, a może trzy z pozostałych statków, podskakujące w różnych rytmach i zwiewane przez wiatr w głąb bezdennej topieli. Przez większą część sztormu mogli jedynie schować się w kajutach, przemoknięci i przerażeni, niezdolni do porozumienia się ze sobą w ogłuszającym ryku wiatru i fal.

Dotarłszy do apogeum sztormu, znaleźli się w rybim oczku, w tej dziwnej i złowieszczej ciszy, wokół której oszalałe fale przelewały się we wszystkie strony i rozbijały o siebie, wystrzeliwując w czarne powietrze potężne słupy spienionej wody. Cały czas otaczały ich ciężkie, niskie chmury, przysłaniające horyzont. Tak jak w symbolu jin-jang, wewnątrz wichrów znajdowały się okrągłe plamy ciszy. Wkrótce wichura uderzy z przeciwnej strony.

Uwijali się w wielkim pośpiechu, dokonując niezbędnych napraw i czując, jak zwykle w takich momentach, że jeśli przetrwali do połowy sztormu, pewno przeżyją do końca. Poprzez gęsty mrok Kheim przyglądał się najbliższemu okrętowi, który najwyraźniej wpadł w poważne kłopoty. Załoga, stłoczona przy burcie, wypatrywała tęsknie Bagatelki, a niektórzy nawet głośno ją wzywali. Byli przekonani, że jest im tak ciężko, gdyż dziewczynki nie ma z

nimi na pokładzie. Kapitan zagrożonego okrętu krzyczał do Kheima, że po połowie sztormu będą chyba musieli ściąć maszty, aby uniknąć przewrotki, a inne załogi niech próbują je wyłowić, gdyż później mogą się przydać.

Po drugim uderzeniu tajfunu kłopoty pojawiły się również na okręcie flagowym. Silna boczna fala rzuciła Bagatelką o ścianę i wtedy już żaden mężczyzna na pokładzie nie potrafił ukryć przerażenia. Stracili z oczu pozostałe statki. Porywisty wiatr znów pruł i pienił ogromne fale, a ich spienione grzbiety załamywały się i spadały na pokład. Pękł ster i choć próbowali balansować, wychylając się jak najdalej za burtę, to jednak niewiele to zmieniało. Statek był teraz bezwładnym kadłubem, o którego burty uderzała każda przechodząca fala. Cała załoga walczyła o odzyskanie sterowności i uratowanie okrętu, niektórych marynarzy fale zmyły z pokładu, a inni zaplątali się w liny. I-Chin czuwał przy Bagatelce. Krzyknął do Kheima, że ma złamaną rękę i chyba żebra. Kheim spostrzegł, że dziewczynka z trudnością łapała oddech. Wrócił do walki o sterowność. W końcu zdecydowali się wyrzucić za burtę dryfkotwę, dzięki czemu statek szybko obrócił się przodem do wiatru, co na chwilę ich uratowało, lecz przelewające się ponad dziobem fale były zbyt potężnymi ciosami - cała załoga musiała dawać z siebie wszystko, aby woda nie zerwała włazów i nie zatopiła statku od wewnątrz. Wszystko odbywało się w atmosferze paraliżującego strachu o życie Bagatelki. Marynarze krzyczeli gniewnie, że powinno się o nią lepiej dbać, że to niewybaczalne, że stało się coś takiego. Kheim czuł na sobie ciężar odpowiedzialności.

Kiedy miał wolniejszą chwilę, przychodził do niej, do kabiny położonej najwyżej pod tylnym pokładem, i wpatrywał się błagalnym wzrokiem w I-China, który niestety nie mógł go pocieszyć. Kaszlała spienioną, ciemnoczerwoną krwią, którą I-Chin co jakiś czas odsysał jej z gardła za pomocą rurki wprowadzonej przez usta.

- Żebro przebiło płuco - powiedział krótko, nie spuszczając oczu z dziewczynki.

Bagatelka była przytomna, miała oczy szeroko otwarte, cierpiała, lecz nie skarżyła się. Zapytała tylko:

- Co się ze mną dzieje? - I-Chin oczyścił jej gardło z krwistej piany i powiedział jej to samo, co Kheimowi. Dyszała jak pies, szybko i płytko.

Kheim wrócił do wodnego chaosu panującego na pokładzie. Wiatr i fale wcale nie zelżały od ostatniego razu. Od dużych i małych problemów aż się roiło, rzucił się z wściekłością w wir pracy, mrucząc do siebie i krzycząc wściekle na bóstwa. Bez odzewu, na pokładzie i tak nic nie było słychać, chyba że krzyczało się prosto do ucha.

- Błagamy cię Tianfei! Zostań z nami! Nie opuszczaj nas! Pozwól nam wrócić do domu. Pozwól nam wrócić i powiedzieć cesarzowi, co dla niego znaleźliśmy. Pozwól żyć tej dziewczynce!

Przeżyli sztorm, lecz Bagatelka zmarła następnego dnia.

Tylko trzy okręty odnalazły się i zgrupowały na spokojnej tafli oceanu. Ciało Bagatelki zaszyto w męską togę, w którą zawinięto dwa złote dyski z górskiego imperium, a następnie spuszczono z burty w toń. Wszyscy marynarze płakali, nawet I-Chin, a Kheim z trudnością

wypowiadał słowa modlitwy pogrzebowej. Do kogóż mieli teraz wznosić swoje modły? Nikt nie mógł uwierzyć, że po tym wszystkim, co przeszli, zwykły sztorm mógł zabić boginię mórz. Tak się jednak stało. Jej ciało znikało w falach, oddane w ofierze morzu, tak jak tamten mały chłopiec na wyspie został ofiarowany górze. Słońce czy dno oceanu -nie ma żadnej różnicy.

- Umarła, aby nas ocalić - powiedział krótko Kheim. - Oddała swego awatara w ręce boga sztormu, aby ten pozwoli nam przetrwać. Musimy kontynuować żeglugę i tym samym oddać jej cześć. Musimy wrócić do domu.

Naprawili więc statek na tyle, na ile mogli, i przetrwali kolejny miesiąc suszy. Był to najdłuższy miesiąc w trakcie całej ich podróży, a może nawet i w całym ich życiu. Wszystko się psuło, zarówno na statku, jak i w nich samych. Brakowało jedzenia i picia. Ich skórę i obręb ust szpeciły trudno gojące się rany. Mieli w sobie bardzo mało ki i z trudnością przyjmowali pozostałe resztki pożywienia.

Kheim przestał myśleć. Zauważył, że kiedy jego myśli stawały w miejscu, wtedy rzeczy dookoła robiły się same. Robota nie wymagała myślenia. Pewnego dnia pomyślał: zbyt dużego żagla nie da się wciągnąć na maszt. Innym razem zaś: co za dużo to niezdrowo. Za dużo to zbyt mato, zatem najmniej to najwięcej. W końcu zrozumiał, co rozumieli przez to daoiści. Podążaj właściwą drogą. Oddychaj miarowo. Poruszaj się w rytm fal. Morze nie wie, co to statek, statek nie wie, co to morze. Samoistne unoszenie się, równowaga w równowadze. Usiądź i nie myśl.

Niebo połączyło się z morzem. Wielki błękit. Nikt nic nie robił, nic

się nie działo, żegluga odbywała się samoistnie. I w ten właśnie sposób, kiedy przepłynęli w końcu Dahai, nikt z załogi już się niczym nie zajmował.

Ktoś spojrzał na horyzont i dostrzegł wyspę. Okazało się, że to Mindanao, a dalej reszta archipelagu, Tajwan i wszystkie znajome urwiska prowadzące do wewnętrznych mórz. Trzy ocalałe Wspaniałe Okręty wpłynęły do portu Nanjing niemal dokładnie dwadzieścia miesięcy od wyjścia w rejs. Było to ogromną niespodzianką dla mieszkańców miasta, którzy myśleli, że flota Kheima już dawno połączyła się z Hsu Fu na dnie oceanu. Wszyscy oczywiście cieszyli się z powrotu do domu, a opowieściom o wielkiej i niesamowitej wyspie na wschodzie nie było końca.

Za każdym razem, kiedy Kheim spoglądał na twarze swoich marynarzy, dostrzegał w nich ból. Wiedział, że obwiniali go o jej śmierć. Nie miał więc większych wyrzutów sumienia w związku z opuszczeniem Nanjing i udaniem się Wielkim Kanałem wraz z grupą urzędników do Benjing. Wiedział, że jego ludzie rozproszą się po całym wybrzeżu, że pójdą swoją drogą, aby nie musieć patrzeć sobie nawzajem w oczy i nie pamiętać. Dopiero po wielu latach znów zechcieli się spotkać i przypomnieć sobie ten odległy i wyblakły ból, poczuć jeszcze raz, że naprawdę dokonali tych wszystkich rzeczy i że przeżyli te przygody. Nie mogli jednak pozbyć się wrażenia, że zawiedli. A kiedy wprowadzono Kheima do Zakazanego Miasta i postawiono go przed obliczem cesarza Wanli, aby mógł odebrać wyrazy uznania od wszystkich zebranych urzędników oraz podziękowania od łaskawego i zaciekawionego

cesarza, powiedział tylko:

- Kiedy przekracza się Wielki Ocean, nie ma kogo za to chwalić.

Cesarz Wanli skinął głową, kładąc dłoń na odlewanych, złotych dyskach, które przywieźli ze sobą. Następnie dotknął figurki kolibra z kutego złota, którego pióra i dziób oddane były z największym kunsztem i precyzją. Kheim wpatrywał się w bożego posłańca, próbując dostrzec w nim ślad Nefrytowego Cesarza. Następnie zwrócił się do niego:

- Ten odległy kraj jest zagubiony w czasie, ulice są tam wybrukowane złotem, a pałace mają złote dachy. Mógłbyś, panie, podbić go w miesiąc i zawładnąć całym jego ogromnym terytorium. Mógłbyś przywieźć ze sobą wszystkie jego skarby, niezmierzone lasy, futra, turkus i złoto, o wiele więcej złota niż jest go obecnie na całym świecie. Niestety, największy skarb tego lądu został już utracony.

Ośnieżone szczyty górowały nad ciemną krainą. Przez pęknięcie na niebie przedostała się pierwsza smuga oślepiającego światła, które z wolna rozlało się na całą przestrzeń. Teraz mogłoby mu się udać -wszystko było takie jasne, mógł w jednej chwili wejść w najczystszą biel i już nigdy nie powracać, połączyć się na zawsze z Wszechbytem. Uwolnić się, wyzwolić. Trzeba było naprawdę dużo w życiu zobaczyć, aby tak bardzo pragnąć wolności.

Chwila ta jednak szybko minęła. Znajdował się teraz na czarnej arenie w komnacie sądu w krainie bardo, po chińskiej stronie - był to koszmarny, wielopoziomowy labirynt, z licznymi kancelariami prawniczymi i biurokratami dzierżącymi listy dusz przekazywanych

do dyspozycji gorliwym oprawcom. Ponad tą piekielną biurokracją widniał Tybet, niczym podium zajmowane przez całą menażerię demonicznych bóstw, które siekały potępione dusze i przeganiały ich kawałki do piekła lub z powrotem w nowe życie, na plan pretów, zwierząt. Jaskrawa łuna, gigantyczne podium niczym górujący nad nim płaskowyż i halucynacyjnie kolorowe bóstwa, ryczące, tańczące i błyskające mieczami w czarnym powietrzu - to był najprawdziwszy sąd, prowadzony przez władzę wyższą, przez twórców wszechświata. Kim jednak byli ci, którzy uczynili człowieka tak słabą, tchórzliwą i okrutną istotą, której narzucono poczucie nieuchronnej klęski, fatum, karmę? Karma uderzała za każdym razem, kiedy za sprawą swej mizernej wrażliwości człowiek wyławiał piękno i przyjemność z szarego błota egzystencji. Śmiałe życie prowadzone wbrew przeciwnościom? Wracaj jako pies! Pieskie życie, uporczywie trwanie mimo wszystko? Wracaj jako muł, wracaj jako robak. Na tym to polega.

Rozmyślając, Kheim przedzierał się przez mgły. Wzbierała w nim wściekłość, kiedy przeciskał się przez tłumy biurokratów, rozbijając na ich głowach ich własne tabliczki, drąc ich listy i rejestry, aż w końcu dostrzegł Kali i jej świtę. Stali w półkolu, szydzili z Bagatelki i wydawali nad nią sąd, jak gdyby ta biedna dusza miała coś na sumieniu, w odróżnieniu od tych rzeźniczych bóstw i ich eonów zła - zła zasianego w samym sercu wszechświata, który same stworzyły!

Kheim wybuchnął nieartykułowaną wściekłością, uniósł się do góry, wyrwał miecz z jednej z sześciu dłoni bogini śmierci i jednym ciosem obciął jej parę ramion. Klinga była bardzo ostra. Odrąbane

ramiona upadły na ziemię. Krwawiły i podrygiwały. Nagle, ku zdumieniu Kheima, zaczęły chwytać się kamiennych płyt i przemieszczać się na palcach jak kraby. Gorsze jednak było to, że z krwawiących ran zaczęty wyrastać nowe ramiona. Kheim krzyknął i kopnął odcięte członki daleko z podestu, następnie odwrócił się, zamachnął i przeciął Kali na pół, na wysokości jej talii, nie zważając na pozostałych członków swej jati, stojących tam razem z Bagatelką, podskakujących i krzyczących:

- Kheim! Nie rób tego! Nie rób tego! Nic nie rozumiesz, musisz Przestrzegać procedury!

Był tam też I-Chin, który krzyczał najgłośniej z nich:

- Mogliśmy uderzyć w podpory podestu lub zniszczyć fiolki z niepamięcią, byłoby to bardziej taktyczne posunięcie, a nie od razu tak bez pośrednio!

Tymczasem górna połowa ciała Kali poruszała się po podeście na zaciśniętych pięściach, a jej nogi i talia chwiały się, lecz nadal stały. Po chwili z odciętych części niczym czułki ślimaka wyrosły brakujące połówki. W tej chwili zbliżały się do niego już dwie boginie Kali, a tuzin rąk szastał w powietrzu mieczami.

Zeskoczył z podestu, uderzając ciężko o gołe płyty wszechświata. Reszta jego jati rzuciła się w dół i spadła z łoskotem obok niego, wrzeszcząc z bólu.

- Będziemy mieli przez ciebie kłopoty - jęczał Shen.

- Nie o to tu chodzi - tłumaczyła Kheimowi Bagatelka, kiedy uciekali zdyszani przez mgły. - Widziałam już wielu ludzi, podejmujących takie próby. Rzucają się rozwścieczeni na te

odrażające bóstwa i ścinają im głowy - na co w zasadzie zasługują. Lecz bóstwa odradzają się na nowo w podwójnej liczbie, pod postacią innych ludzi. Takie jest prawo karmy, rządzące całym wszechświatem, mój przyjacielu, jak zasada zachowania równowagi jin i jang, czy prawo grawitacji. Żyjemy we wszechświecie, którym rządzi niewiele praw, a to, że przemoc rodzi przemoc, jest jedną z podstawowych zasad.

- Nie wierzę w to - powiedział Kheim, zatrzymując się, by odeprzeć atak dwóch ścigających ich Kali. Wziął szeroki zamach i ściął głowę jednej bogini. Nowa głowa szybko zaczęła odrastać i pęczniała już na końcu szyi, buchającej jeszcze krwią. Czarne ciało znów było kompletne. Nowa głowa śmiała się, szczerząc do niego białe zęby, podczas gdy jej krwistoczerwone oczy gorzały żywym ogniem. Teraz zrozumiał, że był w poważnych tarapatach. Za chwilę posiekają go kawałki. Za przeciwstawianie się tym złym, niesprawiedliwym, absurdalnym i okropnym bóstwom zostanie posiekany na kawałki i wróci na świat jako muł, małpa albo kaleka.

Księga IV

Alchemik

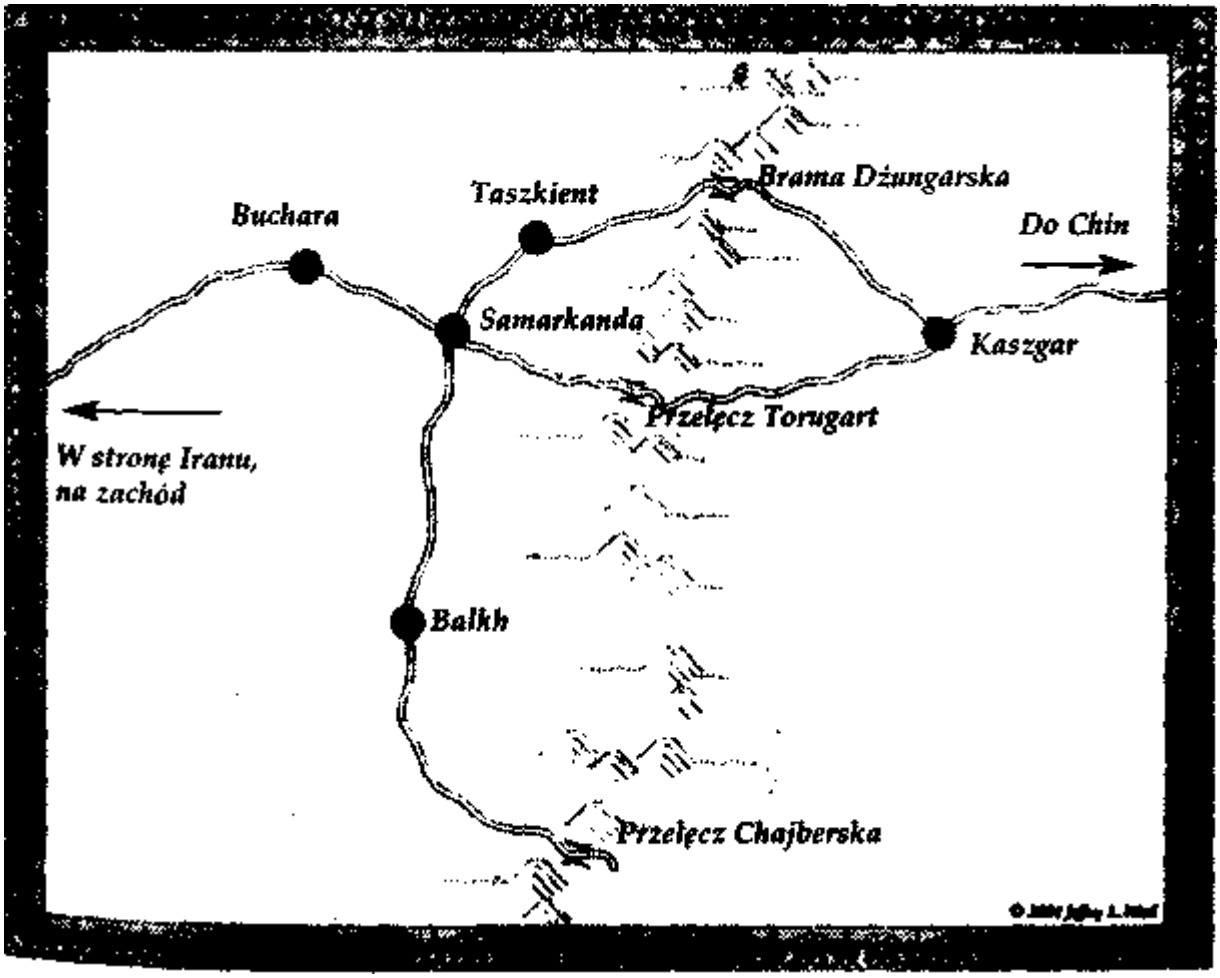

Transmutacja

Tak się złożyło, że kiedy wielki alchemik zbliżał się powoli do punktu kulminacyjnego czerwonej przemiany, to jest do ostatecznego pomnożenia i projekcji kamienia filozoficznego w fermencie i stworzenia tynktury, a mówiąc prościej, do przemiany metali nieszlachetnych w złoto, jego zięć, niejaki Bahram al-Buchara, przepychał się przez tłum na targu w Samarkandzie, załatwiając ostatnie sprawy i nie zważając na zawołania swoich przyjaciół i wierzycieli.

- Nie mogę teraz z wami rozmawiać - wolał - i tak już jestem spóźniony!

- Spóźniony ze spłatą długów! - powiedział Divendi, właściciel straganu z kawą wciśniętego w przestrzeń obok warsztatu Iwanga.

- To też prawda - powiedział Bahram i zatrzymał się na kawę. - Ciągle spóźniony, lecz nigdy znudzony.

- Co u Khalida, robota pali się w rękach?

- Dosłownie. Wczoraj w trakcie degradacji pękł wielki pelikan i wszystko wyciekło prosto na mnie, cypryjski witriol zmieszany z salmiakiem.

- Groźne?

- Że o mój Boże! Tam, gdzie chlusnęło mi na spodnie, materiał został od razu zżarty. Dym był jeszcze gorszy, musiałem uciekać!

- Czyli wszystko po staremu.

- Żebyś wiedział. Myślałem, że wykaszlę płuca, całą noc łzawiły mi oczy. Czułem się jak po twojej kawie.

- Dla ciebie zawsze parzę z fusów.

- Wiem - rzucił, wychylając ostatni, mulisty łyk. - No więc jak, przyjdziesz jutro?

- Żeby zobaczyć przemianę ołowiu w złoto? Jasne, że przyjdę. Większość warsztatu Iwanga zajmował ceglany piec. Rozlegało się

znajome skwierczenie, a w powietrzu unosił się zapach rozniecanego miechami ognia. Słychać było pobrzękiwanie młota, a wzrok przykuwało żarzące się, roztopione szkło. Iwang z namaszczeniem obracał stalową dyszę. Bahram powitał dmuchacza i złotnika w jednej osobie.

- Khalid potrzebuje więcej wilka.

- Khalid zawsze potrzebuje więcej wilka - odpowiedział Iwang, wracając do obracania porcji gorącego szkła. Był wysoki, barczysty

i miał szeroką twarz. Tybetańczyk z urodzenia, lecz od dawna już zamieszkujący w Samarkandzie, należał do najbliższych współpracowników Khalida.

- A przysyła tym razem jakieś pieniądze?

- Powiedział, żebyś dopisał do rachunku. Iwang wydął usta.

- Jego rachunek ostatnio znacznie się wydłużył.

- Zapłaci pojutrze. Właśnie zakończył siedemset siedemdziesiątą siódmą destylację.

Iwang odłożył swoją robotę i podszedł do ściany zastawionej pudlami. Podał Bahramowi małą, lecz ciężką skórzaną sakwę, wypełnioną niewielkimi bryłkami ołowiu.

- Złoto rośnie w ziemi - powiedział. - Nawet sam Al-Razi nie potrafił wyhodować go w swoim tyglu.

- Khalid nie zgodziłby się z tobą. Poza tym Al-Razi żył dawno

temu i nie potrafił otrzymać tak wysokich temperatur jak my.

- Może. - Iwang był sceptycznie nastawiony. - Powiedz mu, żeby uważał.

- Żeby się nie spalił?

- Żeby chan nie rozkazał go spalić.

- Będziesz jutro?

Iwang niechętnie pokiwał głową.

Nadszedł dzień pokazu i co dziwne, wielki Khalid Ali Abu al-Samar - kandi był bardzo niespokojny. Bahram doskonale go rozumiał. Jeśli tylko przezamożny i potężny Seid Abdul Aziz chan, władca chanatu Buchary, zdecyduje się wesprzeć jego przedsięwzięcie, wtedy wszystko będzie dobrze. Jednocześnie należał on do tych osób, których nie chciałoby się zawieść. Nawet jego najbliższy doradca, sekretarz skarbu Nadir Divanbegi, za wszelką cenę unikał przydawania mu zmartwień. Na przykład ostatnio Nadir przyczynił się do wybudowania nowego karawanseraju na wschodnim krańcu Buchary. Kiedy na uroczystym otwarciu pojawił się jak zwykle roztargniony chan i pogratulował wszystkim wybudowania tak wspaniałej medresy, Nadir nawet nie próbował wyprowadzać władcy z błędu, lecz nakazał przebudować kompleks na medresę. Takim chanem był właśnie Seid Abdul Aziz i przed mm właśnie Khalid miał zademonstrować swą tynkturę. To wystarczyło, aby żołądek Bahrama kurczył się i pulsował szybkim rytmem. Mimo że głos Khalida brzmiał ostro i niecierpliwie jak zwykle, to jednak Bahram widział wyraźnie, że twarz jego pobladła jak nigdy.

Nad przemianą pracował od wielu lat. Przestudiował wszystkie dostępne teksty alchemiczne, łącznie z tymi, które Bahram wyszukiwał w hinduskim karawanseraju: *Księgę o końcu poszukiwań* Jildakiego, *Księgę równowag* Jabira oraz *Sekret sekretów,* który niegdyś uważano za zaginiony. Był tam też chiński tekst *Encyklopedia penetracji rzeczywistości.* Ponadto Khalid dzięki rozbudowanej pracowni dysponował technologią umożliwiającą powtórzenie wszystkich koniecznych destylacji w wysokiej temperaturze i z wyśmienitą klarownością siedemset siedemdziesiąt siedem razy. Dwa tygodnie wcześniej ogłosił, że jego praca w końcu zrodziła owoc i że jest gotowy do przeprowadzenia publicznej demonstracji, o której ważności orzekali oczywiście królewscy świadkowie i obecny na miejscu chan.

Tego dnia Bahram uwijał się po całym kompleksie przemysłowym Khalida. Kompleks leżał na północnym skraju Samarkandy, wzdłuż rzeki Zerawszan, będącej źródłem energii dla odlewni i wielu innych okolicznych warsztatów. Pod murami kompleksu zalegały wysokie stosy czekającego na spalenie węgla drzewnego. Wewnątrz znajdowało się kilka budynków, luźno rozlokowanych wokół głównego miejsca prac. Był to dziedziniec, na którym stały kadzie z kąpielami chemicznymi. Kilka różnych odorów łączyło się w jeden ostry zapach, charakterystyczny dla pracowni Khalida. Khalid był nadwornym metalurgiem i głównym wytwórcą prochu dla chana. Dzięki tym dwóm praktycznym przedsięwzięciom mógł oddawać się swej prawdziwej pasji, którą była alchemia.

Bahram lawirował między rozstawionym sprzętem, upewniając

się, że miejsce odpowiednio przygotowano do demonstracji. Na długich stołach, w otwartych na dziedziniec warsztatach, znajdowała się starannie porozstawiana aparatura, a na ścianach warsztatów w równych rzędach wisiały narzędzia. Główny atanor buchał gorącem.

Brakowało tylko Khalida. Miechowi go nie widzieli, Esmerine, żona Bahrama i córka Khalida, również. Dom stojący w głębi kompleksu wydawał się pusty, a na zawołania Bahrama nikt nie odpowiadał. Bahram zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem Khalid nie uciekł ze strachu.

Wówczas Khalid wyłonił się z biblioteki, mieszczącej się tuż obok jego gabinetu, jedynego pomieszczenia w całym kompleksie, którego drzwi zamykały się na klucz.

- Tu się schowałeś - powiedział Bahram. - Pośpiesz się, ojcze, al-Razi i Maria Żydówka już ci teraz nie pomogą. Czas pokazać światu, co osiągnąłeś, czas zademonstrować projekcję.

Khalid, zaskoczony jego widokiem, nerwowo skinął głową.

- Musiałem poczynić ostatnie przygotowania - powiedział i poprowadził Bahrama do warsztatu, w którym stał piec, a mechaniczne miechy, poruszane dzięki przekładni zamontowanej na młyńskim kole, pompowały powietrze prosto w ogień.

Chan i jego świta przybyli z pewnym opóźnieniem, kiedy większość popołudnia już minęła. Dwudziestu jeźdźców w odświętnych, błyszczących strojach wpadło hurmem na podwórze, a za nimi galopem i z pianą na pyskach wjechał pochód pięćdziesięciu wielbłądów. Chan zsiadł z gniadosza i przeszedł

przez podwórze, obok kroczył Nadir Divanbegi, a za nimi jeszcze kilku nadwornych urzędników.

Khalid rozpoczął oficjalne powitanie od prezentacji daru dla chana, jednej z jego najcenniejszych ksiąg o alchemii, lecz jego przemowę skrócił sam Seid Abdul Aziz.

- Pokaż nam - rozkazał chan, odbierając od niego księgę, na którą nawet nie spojrzał.

Khalid ukłonił się.

- Oto alembik, którego używam, nazywa się pelikan. Materią podstawową jest kalcynowany ołów i związki rtęci. Substancje te otrzymałem w wyniku ciągłego procesu destylacji materii, tak że przeszła ona przez pelikana siedemset siedemdziesiąt siedem razy. Dopiero wtedy duch uśpiony w lwie, a używając ziemskich terminów - złoto - kondensuje się w najwyższej temperaturze atanora. Za chwilę wlejemy wilka do tego oto naczynia, które wstawimy do atanora. Odczekamy godzinę, mieszając co jakiś czas siedem razy.

- Pokaż nam - powiedział chan, którego najwyraźniej znudziły szczegóły techniczne.

Bez dalszych wyjaśnień Khalid zaprowadził ich do warsztatu, w którym stał piec. Jego asystenci otworzyli grube i ciężkie drzwi atanora i po tym jak pozwolono gościom obejrzeć i zbadać ceramiczną misę, Khalid ujął w dłoń szczypce, wlał do misy szary destylat i umieścił naczynie na ruchomej platformie, którą wsunął do rozpalonego atanora. Powietrze ponad piecem drżało, kiedy mułła Seida Abdula Aziza odmawiał modlitwy, a Khalid obserwował sekundnik na swoim najlepszym zegarze. Co pięć minut wskazywał

na asystentów obsługujących miechy, którzy otwierali piec i wysuwali platformę. Wtedy mieszał chochlą żarzący się na pomarańczowo płynny metal siedem razy, wykonując siedem pełnych obrotów, po czym platformę wsuwano z powrotem w ogień. Kiedy mijały ostatnie minuty operacji, skwierczenie węgla było jedynym dźwiękiem wypełniającym dziedziniec. Spoceni obserwatorzy, a wśród nich również znajomi Khalida z miasta, wpatrywali się w zegar odmierzający ostatnią minutę tej godziny. Wszyscy trwali w ciszy niczym sufiowie w milczącym transie lub, jak pomyślał z zażenowaniem Bahram, jastrzębie badające powierzchnię ziemi daleko pod nimi.

W końcu Khalid skinął na swoich pomocników i za pomocą dużych szczypiec dźwignął misę z platformy i przeniósł ją na stół, wystawiony na uprzątnięty specjalnie z tej okazji dziedziniec.

- Teraz, wielki chanie, musimy usunąć kożuch żużlowy - mówił, wybierając z misy stopiony oiów i zlewając go do kamiennego naczynia na stole - a na dnie już widać, o... - uśmiechnął się i rękawem wytarł z czoła pot, wskazując na misę. - Nawet roztopione lśni w oczach.

Płyn na dnie misy miał barwę ciemnoczerwoną. Specjalną szpatułką Khalid zebrał z góry resztki kożucha, a pod nim, na dnie misy, spoczywała stygnąca masa płynnego złota.

- Możemy przelać je do formy, póki jest miękkie. Wygląda mi to na mniej więcej dziesięć uncji, czyli około jedną siódmą materii wsadowej, tak jak przewidziałem.

Twarz Seida Abdula Aziza lśniła jak wytopione przed nim złoto.

Zwrócił się do sekretarza, Nadira Dwanbegi, który przyglądał się z bliska ceramicznej misie i nie odzywając się ani słowem, skinął dłonią na jednego ze strażników chana. Reszta straży zebrała się za plecami całej załogi alchemika. Ich piki były nadal wymierzone w górę, lecz teraz przyglądali się wszystkiemu ze wzmożoną uwagą.

- Przejąć aparaturę! - powiedział Nadir do dowódcy straży.

Trzech żołnierzy pomogło zabezpieczyć wszystkie narzędzia używane w trakcie demonstracji, łącznie z samym wielkim pelikanem. Kiedy zgromadzili już wszystkie przedmioty, Nadir podszedł do jednego ze strażników i ujął w dłoń chochlę, której Khalid używał do mieszania roztopionych metali. Gwałtownym ruchem rzucił nią o stół. Zadzwoniła jak dzwon. Spojrzał na Seida Abdula Aziza, który wpatrywał się w swojego sekretarza z nieskrywanym zdziwieniem. Nadir skinął głową na strażnika dzierżącego pikę, po czym odłożył chochlę na stół.

- Przeciąć ją.

Ostrze piki uderzyło z dużą siłą i przecięło chochlę tuż nad łyżką. Nadir podniósł uchwyt i chochlę, przyjrzał się im uważnie i pokazał chanowi.

- Spójrz, o Panie. Trzonek jest pusty w środku, złoto było wewnątrz rurki, z której zrobiono uchwyt. Kiedy nią mieszał, złoto rozgrzewało się, topniało i spływało prosto na dno misy.

Bahram spojrzał na Khalida, był wstrząśnięty. Twarz teścia była biała, nawet przestał się pocić. Już nie żył.

Chan wydał z siebie nieartykułowany ryk, po czym rzucił się w stronę Khalida i powalił go na ziemię, uderzając w głowę złożoną w

darze księgą. Bił woluminem, a Khalid się nie bronił.

- Zabrać go! - wrzasnął Seid Abdul Aziz na żołnierzy. Ci podnieśli Khalida i przeciągnęli go po zakurzonym dziedzińcu, nie pozwalając stanąć na własnych nogach, a następnie przerzucili go przez grzbiet wielbłąda. Po chwili wszyscy opuścili kompleks, pozostawiając powietrze wypełnione dymem, kurzem i echem pojedynczych krzyków.

Litość chana

Nikt się nie spodziewał, że po takiej porażce Khalid zostanie oszczędzony. Jego żona, Fedwa, już chodziła w żałobie, a Esmerine nie dało się uspokoić. Wszelka praca na dziedzińcu ustała, a cisza dobiegająca z warsztatów zaniepokoiła Bahrama. Czekał już tylko na wiadomość, że trzeba iść po ciało, a do tego doskonale zdawał sobie sprawę, że za mało jeszcze umie, aby samodzielnie zarządzać kompleksem.

W końcu przyszły wieści. Dostali rozkaz uczestniczenia w egzekucji. Iwang dołączył do Bahrama w podróży do Buchary, gdzie stał pałac chana. Iwang był smutny i poddenerwowany.

- Powinien był mnie poprosić, jeśli tak bardzo brakowało mu gotówki. Pomógłbym przecież.

Zaskoczyło to nieco Bahrama, jako że warsztat Iwanga był zwykłą dziurą w murze okalającym targowisko, niewyglądającą na dochodowy interes, mimo to nic nie odpowiedział. Teraz było już po wszystkim. Nadal kochał teścia, a głęboki żal, który odczuwał, nie pozostawiał miejsca do rozmyślań nad finansami Tybetańczyka. Nieuchronnie zbliżająca się brutalna śmierć ojca jego żony - ona

przecież będzie zrozpaczona przez wiele miesięcy, a może nawet łat - człowieka tak pełnego energii... Wizja ta nie pozwalała mu myśleć o niczym innym, a paraliżujący strach przyprawiał go o mdłości.

Następnego dnia dotarli do lśniącej w letnim skwarze Buchary, kompozycji brązów i beżów udekorowanych granatowymi i turkusowymi kopułami meczetów. Iwang wskazał na jeden z minaretów.

- Wieża Śmierci - zauważył. - Najprawdopodobniej właśnie stamtąd go zrzucą.

Żołądek podchodził Bahramowi do gardła. Przekroczyli wschodnią bramę miasta i skierowali się w stronę pałacu. Iwang wytłumaczył strażnikom powód ich wizyty. Bahram zastanawiał się, czy ich też pojmą i stracą za współuczestnictwo w oszustwie. Jakoś wcześniej nie przyjmował tej myśli, cały się trząsł, kiedy wprowadzono ich do przestronnego pomieszczenia, otwierającego się na teren pałacu.

Po chwili zjawił się przy nich Nadir Divanbegi i skierował na nich swój jak zawsze skupiony wzrok. Był niskim mężczyzną, z kozią bródką i bladoniebieskimi oczyma. Sam był seidem i to bardzo zamożnym.

- Podobno jesteś równie wielkim alchemikiem co Khalid – zwrócił się Nadir do Iwanga. - Wierzysz w kamień filozoficzny, w transmutację? Uważasz, że metale nieszlachetne można zamienić w złoto?

Iwang odchrząknął i rzekł:

- Trudno powiedzieć, efendi. Ja tego nie potrafię, a mistrzowie al-

chemii, którzy twierdzą, że im się udało, nie podają w swoich pismach żadnej konkretnej formuły, którą dałoby się zastosować.

- Zastosować - powtórzył Nadir. - Właśnie na to słowo chciałbym zwrócić waszą uwagę. Tacy ludzie jak ty i Khalid posiadają wiedzę, z której chan chce korzystać. Chodzi o rzeczy praktyczne: proch strzelniczy o przewidywalnej sile rażenia, twardsza stal, lekarstwa. To są prawdziwe zasługi dla świata. Tracić taki talent na marne oszustwa... Chan jest wielce rozgniewany.

Iwang skinął głową, patrząc w ziemię.

- Długo z nim o tym rozmawiałem. Przypomniałem mu dawne dokonania Khalida na polu zbrojeń i alchemii, jego wkład w produkcję broni i inne zasługi. Na co chan, w swojej niezmierzonej mądrości, zdecydował się okazać litość, która z pewnością spodobała się Mahometowi. - Iwang podniósł wzrok. - Życie zostanie mu darowane, jeśli obieca pracować dla chanatu nad rzeczami, które są prawdziwe.

- Jestem pewny, że zgodzi się na to - powiedział Iwang - to zaiste wielka litościwość.

- Zgadza się. Oczywiście, prawa dłoń zostanie mu odrąbana za kradzież, tak jak wymaga tego prawo. Biorąc jednak pod uwagę bezczelność jego przestępstwa, jest to niezwykle łagodna kara. Sam zresztą się z tym zgodził.

Karę miano wymierzyć po południu tego samego dnia, w piątek, po skończonym targu i przed modlitwami, na wielkim bucharskim placu, przylegającym do jeziora w centrum miasta. Zebrał się spory tłum gapiów, wszyscy w wyśmienitych nastrojach. Kiedy strażnicy

wyprowadzali Khalida z pałacu w białej szacie, jakby świętował ramadan, wielu mieszkańców Buchary rzucało w niego wyzwiskami, że samarkandczyk, że złodziej.

Uklęknął przed Seidem Abdulem Azizem. Ten obwieścił litość Allaha, swoją i Nadira Divanbegi, który stanął w obronie życia tego szubrawca, mimo iż popełnił on tak haniebne oszustwo. Ramię Khalida wyglądało z daleka, jak wychudła noga ptaka. Przywiązano ją skórzanym pasem do katowskiego pnia. Następnie jeden z żołnierzy dźwignął nad głowę topór i spuścił na nadgarstek Khalida. Dłoń spadla z pnia, a krew trysnęła na piach. Tłum ryknął. Khalid przewrócił się na bok. Przytrzymało go dwóch żołnierzy, podczas gdy trzeci nabierał smołę z mosiężnego garnca stojącego na dymiącym piecyku i zaklejał gorącą mazią krwawiący kikut.

Bahram i Iwang zabrali Khalida z powrotem do Samarkandy. Wieźli go w wozie konstrukcji Iwanga, zaprzęgniętym w dwa woły, przeznaczonym do transportu ciężkich ładunków metali i szkła, których nie mogły nieść wielbłądy. Przez całą drogę wozem rzucało na wybojach. Jechali szerokim zakurzonym szlakiem, wyżłobionym w ziemi przez karawany, kursujące od wieków między tymi dwoma miastami. Duże drewniane koła zapadały się w każdą dziurę i podskakiwały na wybojach, z tyłu jęczał Khalid, półprzytomny i oddychający z wysiłkiem. Lewą dłonią podtrzymywał swój blady, osmolony nadgarstek. Iwang wmusił w niego małą porcję opium i gdyby nie jego stękanie, można by powiedzieć, że całą drogę spał.

Bahram z chorą fascynacją przyglądał się kikutowi. Widząc, jak lewa dłoń Khalida zaciska się na prawym nadgarstku, powiedział do

Iwanga:

- Będzie musiał jeść lewą dłonią. Wszystko będzie musiał robić lewą dłonią. Już na zawsze pozostanie nieczysty.

- Czystość tego rodzaju nie jest najważniejsza.

Musieli spać przy drodze, jako że noc zaskoczyła ich z dala od miasta. Bahram usiadł przy Khalidzie i próbował nakłonić go do zjedzenia zupy, którą ugotował Iwang.

- Spróbuj ojcze, no, staruszku. Zjedz choć trochę, poczujesz się lepiej. Poczujesz się lepiej i wszystko będzie dobrze.

Khalid wydał zduszony jęk i przewrócił się na drugi bok. W panującym mroku, pod gęstą siecią gwiazd Bahramowi wydawało się, że całe ich życie w jednej chwili runęło w gruzach.

Następstwo kary

Khalid powracał do zdrowia, a wszystko wskazywało, że nie podziela! opinii zięcia. Chełpił się przed Bahramem i Iwangiem swoim zachowaniem podczas wymierzania kary.

- Nie powiedziałem ani jednego słowa. Wcześniej w więzieniu sprawdzałem swoją wytrzymałość, aby przekonać się, na jak długo potrafię wstrzymać oddech i nie stracić przytomności. Kiedy zbliżał się moment wymierzenia kary, po prostu wstrzymałem oddech i tak dokładnie wszystko wyliczyłem, że zemdlałem dokładnie w momencie, kiedy otrzymałem cios. Nic nie poczułem, nawet tego nie pamiętam.

- Ale za to my pamiętamy - powiedział Iwang, marszcząc brew.

- No dobrze, ale to mnie spotkało, nie was - odpowiedział szorstko Khalid.

- W porządku, możesz użyć tej samej metody następnym razem, kiedy będą odrąbywać ci głowę. Możesz też przekazać tę technikę nam, z pewnością się przyda, kiedy będą nas zrzucać z Wieży Śmierci.

Khalid wbił w niego wzrok.

- Ty się naprawdę na mnie gniewasz - powiedział zaczepnym tonem urażonego.

- Mogłeś nas wszystkich pozabijać. Seid Abdul bez zastanowienia rozkazałby wykonać wyrok. Tak by się stało, gdyby nie Nadir Divanbegi. Trzeba było ze mną porozmawiać. Ze mną i z Bahramem. Pomoglibyśmy ci.

Wciąż milczał.

- A tak naprawdę, to jak to się stało, że wpadłeś w tarapaty? - zapytał Bahram, ośmielony reprymendami Iwanga. - Przecież warsztat przynosi całkiem spore dochody.

Khalid westchnął i przeciągnął kikutem po łysiejącej głowie. Wstał i podszedł do zamykanej na klucz szafki. Otworzył ją i wyciągnął księgę i pudełko.

- To trafiło tu dwa lata temu z hinduskiego karawanseraju - mówił, przewracając pożółkłe strony księgi - to dzieło Marii Żydówki, wielkie go alchemika. To prawdziwy antyk. Jej formuła transmutacji wydała mi się bardzo przekonywująca. Potrzebowałem jedynie odpowiednich pieców, mnóstwo siarki i rtęci. Na tę książkę i na inne przygotowania wydałem małą fortunę. A kiedy zadłużyłem się u Ormian, wtedy zacząłem się pogrążać. W końcu potrzebowałem złota, żeby zapłacić za złoto... - wstrząsnął nim dreszcz

obrzydzenia.

- Trzeba było mi powiedzieć - powtórzył Iwang, przeglądając księgę.

- A poza tym, to ja miałem robić zakupy w karawanseraju - dodał Bahram. - Oni wiedzą, że tobie zależy na tych starociach i szpargałach, a ja jestem ignorantem, dobijam korzystnego targu dzięki sile obojętności.

Khalid ściągnął brwi. Iwang poklepał książkę.

- To tylko odgrzewany Arystoteles i jeśli chodzi o rzeczy użyteczne, to nie wiem, czy możemy na niego liczyć. Przeczytałem go w tłumaczeniach z Bagdadu i Sewilli i uważam, że częściej się myli, niż ma rację.

- Co masz na myśli? - zapytał z oburzeniem Khalid. Nawet Bahram wiedział, że Arystoteles był jednym z największych starożytnych uczonych i wśród alchemików cieszył się ogromnym autorytetem.

- A gdzie niby miałby mieć rację? - zapytał lekceważąco Iwang. -Najprostszy lekarz z chińskiej wsi może zrobić dla ciebie więcej niż Arystoteles. On uważał, że serce jest ośrodkiem myśli, nie wiedział, że pompuje krew. Nie miał pojęcia o śledzionie, o południkach i nigdzie ani słowem nie wspominał o pulsie czy ludzkim języku. Co prawda wykonał kilka dobrych dysekcji zwierząt, lecz o ile mi wiadomo, nie przeprowadził sekcji zwłok człowieka. Chodź ze mną na bazar w któryś piątek, a pokażę ci pięć rzeczy, co do których się mylił. Czoło Khalida pokryło się zmarszczkami.

-A czytałeś *Zgodę między Arystotelesem i Platonem* al-

Farudiego?

- Owszem, lecz jest to zgoda, której nie sposób osiągnąć. Al-Farudi tylko dlatego próbował ich pogodzić, bo nie miał dostępu do *Biologii* Arystotelesa. Gdyby znał tę pracę, wiedziałby, że dla Arystotelesa wszystko i tak pozostaje materią. Jego cztery żywioły próbują osiągnąć właściwe sobie poziomy, a w wyniku ich starań powstaje nasz świat. Oczywiście nie jest to takie proste - wykonał ręką okrężny gest, wskazując na słoneczny, zakurzony dzień, na szczęk dobiegający z warsztatów Khalida, młyny wodne i przekładnie napędzające miechy pod wielkimi piecami, cały zgiełk i ruch - platonicy wiedzą, że wszystko dookoła nas to matematyka. Rzeczy powstają w procesie matematycznych obliczeń. Dla ścisłości należałoby ich nazywać pitagorejczykami. Są nieco podobni do buddystów w swojej wierze w to, że cały świat jest żywym bytem. To niewątpliwie prawda jest wielkim stworzeniem wszystkich stworzeń. Natomiast dla Arystotelesa i Ibn Rashda jest on bardziej podobny do zepsutego mechanizmu zegara.

Khalid od razu zaczął coś mamrotać, lecz jego sytuacja ewidentnie nie sprzyjała wejściu w zażartą dyskusję. Stracił dłoń razem z całą swoją filozofią.

Miewał częste bóle, palił haszysz i dostawał od Iwanga kolejne porcje opium, które przyćmiewało ból, lecz osłabiało umysł i gasiło zapał. Nie mógł tak po prostu wstać i zacząć uczyć chłopców obsługi całej maszynerii, nie mógł podać znajomym dłoni na powitanie, nie mógł z nimi jeść, gdyż miał tylko lewą, nieczystą rękę. Odtąd już zawsze będzie nieczysty. To było częścią jego kary.

Ta świadomość w końcu go dopadła. Porzucił filozoficzne i alchemiczne dociekania i popadł w melancholię. Wychodził z sypialni późnym rankiem, snuł się po warsztatach jak zjawa i nieobecnym wzrokiem przyglądał się pracom. Wszystko toczyło się mniej więcej dawnym rytmem. Nurt rzeki poruszał wielkie koło młyńskie i wprawiał w ruch rozdrabniarki do rud i miechy dmące w paleniska pod piecami odlewniczymi. Załogi pracowników pojawiały się tu zaraz po porannych modlitwach. Każdy wpisywał się na listę i pilnował swojego harmonogramu pracy. Następnie rozchodzili się po całym kompleksie, szuflowali sól, przesiewali saletrę potasową łub wykonywali setki innych czynności, których wymagała od nich praca w przedsiębiorstwie Khalida. Nad nimi czuwała grupa starszych rzemieślników, którzy pomagali Khalidowi koordynować rozpoczęte projekty.

Wszystko było znane, dawno dokonane, rutynowe - straciło dla Khalida sens. Włócząc się bez celu, przesiadując w swoim gabinecie, otoczony własnymi zdobyczami, czuł się jak sroka ze złamanym skrzydłem, uwięziona w swoim gnieździe. Potrafił godzinami wpatrywać się w przestrzeń lub kartkować rękopisy mistrzów: Al-Razi, Jalduki, Jami - przyglądał się ich wiedzy. Pstrykał palcami w przedmioty niegdyś dlań magiczne i fascynujące: kawał korala z wykopalisk, róg jednorożca, starożytne monety indyjskie, szlifowane wielokąty z kości słoniowej i z rogu, kielich z rogu nosorożca ozdobiony złotym liściem, skamieniałe muszle, kość udowa tygrysa, złota figurka tygrysa, posążek śmiejącego się Buddy z bliżej nieokreślonego, czarnego materiału, nippońskie net-

suke, widelce i krzyże z czasów wymarłej cywilizacji Frengistanu - wszystkie te przedmioty, które sprawiały mu kiedyś tyle radości, nad którymi mógł się rozwodzić godzinami i nierzadko zanudzać swoich kompanów opowieściami o nich, teraz tylko budziły irytację. Siedział pośród swoich skarbów i już niczego nie dociekał, nie wybierał się na łowy, jak często widział to Bahram. Zdarzało się bowiem, że Khalid wpadał w wir wyszukiwania podobieństw, stawiania hipotez i snucia spekulacji. Wcześniej Bahram tak naprawdę nie wiedział, jak ważne było to wszystko dla jego teścia.

Czując narastający smutek, Bahram udał się do sufickiego ribatu w Registanie, by poradzić się Alego, sufickiego mistrza, opiekującego się całym przybytkiem.

- Maulano, ukarano go surowiej, niż się z początku wydawało. Jest teraz zupełnie innym człowiekiem.

- Nadal jest tą samą duszą - odpowiedział Ali. - Teraz po prostu obserwujesz inny wymiar życia. Każdy z nas nosi w sobie okryty tajemnicą rdzeń, którego sam Gabriel nie zdołałby pojąć, nawet gdyby chciał. Posłuchaj mnie uważnie. Rozum czerpie z ograniczonych zmysłów, związanych z ciałem, jest on zatem również ograniczony i niezdolny do prawdziwego poznania nieskończonej i wiecznej rzeczywistości. Khalid pragnął poznać rzeczywistość swoim rozumem, co okazało się niewykonalne. Teraz dopiero to zrozumiał i czuje się tą wiedzą przygnębiony. Musisz wiedzieć, że rozum nie posiada prawdziwego ducha walki, pierwsze lepsze zagrożenie każe mu uciekać w najciaśniejszą dziurę. Miłość za to jest boska. Pochodzi z nieskończonego wymiaru i złożona jest

w sercu jako dar od Boga. Miłość nie poddaje się żadnym kalkulacjom. “Bóg cię kocha" to jedyne prawdziwe zdanie! Podążając za miłością, trafisz do serca swojego teścia. Miłość to perła w ostrydze żyjącej w oceanie; umysł żyje na brzegu i nie potrafi pływać. Wyłów ostrygę i przyszyj perłę do swojego rękawa, aby wszyscy widzieli. Doda to odwagi twemu rozumowi. Miłość jest królem, który nieustannie ratuje swego tchórzliwego niewolnika. Rozumiesz?

- Myślę, że tak.

- Musisz być szczery i otwarty, a twoja miłość niech będzie jasna jak błyskawica! Wtedy dopiero jego wewnętrzna świadomość będzie mogła ją dostrzec i oderwać się od siebie w promiennym blasku. Idź, poczuj, jak krąży w tobie miłość i jak wypływa ku niemu.

Bahram postanowił spróbować tej strategii. Budząc się rano w łóżku z Esmerine, poczuł miłość do żony i do jej pięknego ciała - była przecież dzieckiem okaleczonego starca, dla którego miał tak dużo szacunku i uczucia. Czuł przepełniającą go miłość. Przechadzał się między warsztatami lub szedł do miasta. Czul na skórze chłód wiosennego powietrza, a drzewa rosnące wokół jezior lśniły w zakurzonym świetle jak ogromne, żywe klejnoty. Śnieżnobiałe chmury odcinały się na tle granatu nieba,

które przeglądało się w turkusowych i kobaltowych dachówkach na kopułach meczetów. Piękne miasto w piękny poranek, w samym centrum świata, nieopodal bazaru, na którym jak zwykle panował gwar. Ludzie załatwiali między sobą sprawy, lecz wszystko to byłoby nietrwale jak zamki na piasku, jeśli nie byłoby przesycone miłością. Każdy robił to, co do niego należało, w imię miłości tych,

których każdego dnia spotykał na swojej drodze - tak przynajmniej widział to Bahram podczas owych poranków, kiedy przejmował po Khalidzie następne obowiązki w kompleksie, a także w nocy, kiedy Esmerine wtulała się w jego ramiona.

Nie potrafił jednak wywołać podobnego stanu u Khalida. Staruszek warczał na każdy przejaw entuzjazmu czy uczuć wyższych, denerwowały go czułe gesty Bahrama, a nawet własnej żony, Fedwy, Esmerine i jej dzieci, Faziego i Laily.

W kompleksie panował rozgardiasz, a w świetle dnia dobiegał zewsząd szczęk narzędzi i chemiczny swąd. Wszystkie procedury wytopu metali i produkcji prochu, opracowane dawno temu przez Khalida, urzeczywistniały się wokół nich jak uroczysty, hałaśliwy taniec. Bahram wskazał kiedyś dłonią zakład, mówiąc:

- Miłość jest wszędzie.

Na co Khalid tylko warknął pod nosem:

- Zamknij się! Nie rób z siebie głupca!

Jednego dnia Khalid wypadł z gabinetu z dwoma starymi tekstami alchemicznymi. Wszedł do warsztatu i cisnął papiery w otwarte drzwi rozpalonego atanora.

- To kompletne bzdury - odpowiedział Bahramowi, kiedy ten próbował go zatrzymać - z drogi! Spalę je wszystkie!

- Ale dlaczego? - wołał Bahram. - Przecież to twoje księgi! Dlaczego, dlaczego?

Khalid ujął w dłoń bryłę cynobru i potrząsnął nią przed twarzą Bahrama.

- Dlaczego? Powiem ci, dlaczego! Patrz uważnie. Wszyscy wielcy

alchemicy, poczynając od Jabira, przez Al-Raziego, a na Ibn Sinie kończąc, zgadzają się, że wszelkie metale są różnymi kombinacjami siarki i rtęci. Iwang mówi, że chińscy i indyjscy uczeni również są co do tego zgodni, lecz jeśli zmieszamy siarkę i rtęć w najczystszej postaci, jaką potrafimy otrzymać, powstaje właśnie to: cynober! Co to oznacza? Alchemicy, którzy odnoszą się do tego problemu, a jest ich naprawdę niewielu, piszą, że kiedy wspominają o siarce i rtęci, to w gruncie rzeczy nie mają na myśli substancji, które my potocznie nazywamy siarką i rtęcią, lecz raczej czystszą

formę różnych rodzajów suchej materii i wilgoci, które tylko przypominają siarkę i rtęć, lecz są o wiele subtelniejsze! No i co?! - Cisnął bryłę cynobru przez podwórze, w stronę rzeki. - Jaki z tego pożytek? Dlaczego używali takich nazw? Dlaczego miałbym im wierzyć? - Wskazał kikutem na swój gabinet, na pracownię alchemiczną i na całą aparaturę zagracającą przestrzeń na podwórzu. - To wszystko nic nie wart złom! Nic nie wiemy, a oni nie mieli zielonego pojęcia, o czym pisali.

- Już dobrze, ojcze, może i tak było, ale nie pal ksiąg! Weź pod uwagę to, że w wielu z nich jest jeszcze mnóstwo pożytecznej wiedzy, a poza tym są bardzo drogie.

Khalid warknął coś i głośno splunął na ziemię.

Podczas kolejnej wizyty w mieście Bahram opowiedział Iwangowi, co się ostatnio wydarzyło w kompleksie.

- Spalił wiele ksiąg, nie mogłem go zatrzymać. Próbuję mu pokazać, że miłość jest w nas, lecz on jej nie dostrzega.

Potężny Tybetańczyk wypuścił powietrze ustami jak wielbłąd.

- Taka taktyka nie podziała na Khalida - powiedział. - Tobie łatwo jest być pełnym miłości, jesteś młody i zdrowy. Khalid za to jest stary i nie ma prawej dłoni. Stracił równowagę. Jego jin i jang popadły w nie ład. Miłość nie ma z tym nic wspólnego. Iwang nie był sufim.

Bahram westchnął.

- Nie wiem, co mam robić. Musisz mi pomóc, Iwang. On zamierza wszystko spalić i zniszczyć.

Iwang wymamrotał coś niezrozumiale.

- Co mówisz?

- Daj mi czas do namysłu.

- Nie mamy więcej czasu. W następnej kolejności weźmie się za aparaturę.

Arystoteles się mylił

Następnego dnia Khalid rozkazał terminatorom kowali wynieść z pracowni alchemicznych na podwórze wszystkie znajdujące się tam sprzęty, które zamierzał zniszczyć. Dzikim i posępnym wzrokiem wodził po piętrzących się przedmiotach, z których kurz sypał się obficie i wirował w promieniach słońca. Wanny kamienne, wanny żeliwne, piece odlewnicze, destylatory, kotły, kolby i alembiki z dwiema lub z trzema dyszami, wszystko stało teraz w glorii antycznego kurzu. Największego pojemnościowo alembiku używali ostatnio do destylacji olejku różanego i widząc go, Khalid warknął:

- To jedyna formuła, jaką zdołaliśmy opanować. Tyle tu tych wszystkich gratów, a nam udało się otrzymać olejek różany.

Moździerze i tłuczki, fiolki i probówki, misy i zlewki, naczynia do

krystalizacji szkła, garnce, naczynia żaroodporne, świece i lampy naftowe, koksiaki, szpatutki, szczypce, chochle, nożyce do blachy, mioty, kolby, lejki, wielokształtne soczewki, filtry z włosia, bawełny i lnu -wszystko to znalazło się pod gołym niebem. Khalid wskazał na wznoszącą się przed nim stertę i rzekł:

- Spalić to wszystko! A co nie spłonie, połamać i wrzucić do rzeki.

W tej samej chwili zjawił się Iwang, niosąc w rękach mały mechanizm zrobiony ze srebra i szkła. Zmarszczył czoło na widok całej wystawy.

- Coś z tego mógłbyś przynajmniej sprzedać - zwrócił się do Khalida. - Już nie potrzebujesz gotówki?

- Nie obchodzi mnie to - odparł Khalid. - Nie będę sprzedawał kłamstw.

- To nie aparatura kłamie - powiedział Iwang. - Niektóre z tych rzeczy mogłyby się jeszcze przydać.

Khalid obrzucił go gniewnym spojrzeniem. Iwang postanowił zmienić temat i uniósł w dłoniach urządzenie, aby skupić na nim uwagę Khalida.

- Przyniosłem ci zabawkę, która obala całego Arystotelesa.

Khalid z zaskoczeniem przyglądał się urządzeniu. Były to dwie stalowe kulki umieszczone w mechanizmie, konstrukcją przypominającym Bahramowi miniaturę miota kafarowego napędzanego wodą.

- Kiedy wlejemy tu wodę, pływak podniesie się... o tak, i połączy te drzwiczki, a następnie zwolni je w tej samej chwili, spójrz: jedne nie otworzą się przed drugimi.

- To oczywiste.

- Zgadza się, a teraz zważ na to, iż Arystoteles mówi, że cięższa masa będzie spadać szybciej niż lżejsza, ponieważ ziemia przyciąga ją z większą siłą. Spójrz, oto dwie żelazne kulki, jedna duża, druga mała, jedna ciężka, druga lekka. Połóż je na drzwiczkach, ustaw poziom urządzenia, kierując się pęcherzykiem powietrza i umieść je na odpowiedniej wysokości, zapewniając kulkom długą drogę lotu. Minaret byłby dobry, a Wieża Śmierci jeszcze lepsza, lecz nawet ze ściany twojego domu zadziała.

Zrobili tak, jak powiedział. Khalid wspiął się na drabinę i jeszcze raz zbadał cały układ.

- Wlej teraz wodę przez lejek i patrz.

Woda wypełniła powoli dolny zbiornik i drzwiczki nagle odskoczyły. Ze środka wypadły dwie żelazne kulki, które upadły na ziemię w tej samej chwili.

- O! - krzyknął Khalid i wdrapał się z powrotem na drabinę, aby powtórzyć eksperyment, oszacowawszy wpierw masę kulek w dłoni, a nawet zważywszy je dokładnie na jednej ze swoich wag.

- Widzisz! - powiedział Iwang - możesz spróbować z kulkami różnej i tej samej wielkości, nie ma to najmniejszego znaczenia, z wyjątkiem rzeczy tak lekkich, jak na przykład pióro, które unosi się swobodnie w powietrzu.

Khalid spróbował jeszcze raz. Po czym Iwang stwierdził:

- No to tyle, jeśli chodzi o Arystotelesa.

- No cóż - powiedział Khalid, spoglądając na kulki i podrzucając je w lewej dłoni. - Może w tej kwestii się mylił, ale w wielu innych z

pewnością miał rację.

- Bez wątpienia, lecz jeśli pytasz mnie o zdanie, to uważam, że wszystko, co powiedziane, winno zostać sprawdzone i porównane z wiedzą Hsing Ho, Al-Raziego i Hindusów, zademonstrowane i udowodnione, bądź obalone w biały dzień, na oczach wszystkich.

Khalid kiwał głową.

- Przyznaję, że miałbym kilka pytań.

Iwang wskazał dłonią na zgromadzony na podwórzu sprzęt.

- To samo tyczy się aparatury. Możesz ją przetestować, przekonać się, co jest użyteczne, a co nie.

Khalid zmarszczył brwi. Iwang skierował uwagę na spadające kulki i mężczyźni, dyskutując, zrzucili jeszcze kilka innych przedmiotów.

- Coś musi je ściągać w dół - zastanawiał się Khalid - ściągać, zmuszać do spadania, przyciągać, czy coś w tym rodzaju.

- Oczywiście - odparł Iwang - wszystkie zjawiska powstają w wyniku swoich przyczyn. Przyciąganie musi wywoływać jakiś sprawca, działający zgodnie z konkretnymi prawami, lecz kim lub czym mógłby być ów sprawca...

- To, co mówisz, odnosi się do wszystkiego - wymamrotał Khalid. - Nic nie wiemy, żyjemy w ciemnościach.

- Zbyt dużo powiązanych ze sobą czynników - stwierdził Iwang. Khalid skinął głową, podnosząc z ziemi rzeźbiony klocek grabu.

- Jestem już tym wszystkim zmęczony.

- Więc wypróbujmy wszystko po kolei. Coś zrobisz i wychodzi z

tego coś innego, powstaje zwykły łańcuch przyczynowo-skutkowy, dający się opisać logicznym ciągiem, a może nawet równaniem matematycznym. Dopiero wtedy będziesz mógł powiedzieć: rzeczywistość przedstawia się w ten sposób. Myślę, że nie należy się zbytnio martwić definicją owej siły przyciągającej.

- Może miłość jest tą siłą - wtrącił Bahram - tym samym rodzajem przyciągania, jakie występuje między ludźmi, lecz rozciągającym się jeszcze szerzej i ogarniającym wszystko.

- To by tłumaczyło proces, w wyniku którego męski członek unosi się nad ziemię - powiedział, śmiejąc się Iwang.

Bahram zaśmiał się, a Khalid powiedział tylko:

- Wolne żarty. To, o czym mówię, jest zgoła niepodobne do miłości. Jest stałe jak gwiazdy na swoich pozycjach, to siła fizyczna.

- Sufiowie mówią, że miłość jest wypełniającą wszystko siłą sprawczą.

- Sufiowie - powiedział Khalid pogardliwie - to ostatni ludzie, których pytałbym o zdanie, chcąc dowiedzieć się czegoś o świecie. Opowiadają o miłości, piją dużo wina i kręcą się w kółko, też mi coś! Islam byt domeną intelektu zanim jeszcze pojawili się sufiowie, badał świat takim, jakim jest. Mieliśmy już Ibn Sina, Ibn Rashda i Ibn Khalduna, i całą resztę, a później przyszli sufiowie i odtąd żaden muzułmański filozof czy uczony nie posunął się choćby o krok na ścieżce ku zrozumieniu świata.

- Ależ oni zaszli bardzo daleko - powiedział Bahram. - Wyjaśnili, jak ważna jest dla świata miłość.

- Miłość, miłość. Oczywiście, że tak. Wszystko jest miłością, Bóg

jest miłością, lecz jeśli wszystko jest miłością, jeśli wszystko stanowi jedność z Allahem, to dlaczego oni codziennie tak się upijają?

Iwang roześmiał się w głos, a Bahram mówił dalej:

- Wcale się nie upijają, nic o nich nie wiesz.

- Ależ oczywiście, że się upijają. Przyjazne mury bractwa zapełniają się doborową kompanią braciszków poszukujących dobrej zabawy, tymczasem medresa pustoszeje, a chan daje im coraz mniej złota. I oto mamy rok 1020 i głowimy się nad pomysłami wymarłych mieszkańców

- Frengistanu, nie mając zielonego pojęcia o zasadach rządzących takim, a nie innym zachowaniem się materii. Nic nie wiemy! Nic!

- Musimy zacząć od początku - stwierdził Iwang.

- Nie możemy zacząć od początku, bo wszystko jest ze sobą powiązane!

- Musimy zatem wyizolować zjawiska, które moglibyśmy obserwować i kontrolować, a następnie zbadać je i przekonać się, czy potrafimy je zrozumieć. Byłby to punkt wyjściowy do dalszej pracy. Na przykład spadanie, najprostszy ruch. Jeśli uda się nam zrozumieć ruch, będziemy mogli badać jego przejawy w innych zjawiskach.

Khalid zastanowił się nad jego słowami i przestał w końcu wyrzucać przedmioty z instrumentu Iwanga.

- Chodź ze mną - powiedział Iwang. - Pozwól, że pokażę ci coś, co mnie osobiście zastanawia.

Poszli do warsztatu, w którym stały wielkie piece.

- Spójrz, w jaki sposób możesz dziś otrzymać tak wysoką temperaturę. Twój wodny mechanizm napędza miechy o wiele wydajniej, niż zdołaliby to zrobić najsilniejsi miechowi, dzięki temu temperatura jest odpowiednio wyższa. Arystoteles mówi, że ogień uwięziony jest w drzewie, a uwalnia go wysoka temperatura. Jak dotąd wszystko się zgadza, lecz w takim razie dlaczego im więcej powietrza, tym gorętszy ogień? Dlaczego wiatr roznieca pożar? Czy to oznacza, że bez powietrza nie ma ognia? Możemy się przekonać. Jeżeli uda nam się zbudować komorę, z której za pomocą odwróconych miechów usuniemy powietrze, to czy zapłonie w niej ogień?

- Odessać powietrze z komory? - zapytał Khalid.

- Tak. Należy zbudować wentyl, który wypuszczałby powietrze ze środka i nie pozwalał mu dostać się z powrotem. Wypompować całą zawartość komory i nie dopuścić do wymiany powietrza z zewnątrz.

- Ciekawe! Ale co wtedy zostanie w komorze? Iwang wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Próżnia? Może jakaś część pierwotnej pustki. Pytaj o to lamów i swoich sufich lub po prostu zbuduj szklaną komorę i zajrzyj do niej.

- Tak właśnie zrobię - powiedział Khalid.

- Ze wszystkich zjawisk, ruch jest najłatwiejszy do zbadania - ciągnął Iwang. - Możemy wraz z nim zbadać wiele innych. Możemy zmierzyć czas, w jakim przedmioty przyciągane są ku ziemi, możemy porównać prędkości wysoko w górach z tymi w dolinach.

Spadające

- przedmioty przyspieszają, być może to też da się zmierzyć. Można również pokusić się o pomiar właściwości światła. Kąty rozszczepienia światła są stałe, to już sprawdziłem. Khalid pokiwał głową.

- Najpierw zajmijmy się tym odwróconym miechem, niezbędnym do opróżnienia komory. Z pewnością nie uda nam się uzyskać próżni doskonałej, nicość jest nieosiągalna na tym świecie. Wydaje mi się, że coś w środku jednak zostanie, coś rzadszego od powietrza.

- To już bardziej w stylu Arystotelesa - zauważył Iwang. - Natura nie znosi próżni, a jeśli tak nie jest...? Jeśli nie spróbujemy, nigdy się nie dowiemy.

Khalid skinął głową. Gdyby miał obie ręce, już by je z pewnością zacierał.

Po chwili wszyscy trzej wyszli na zewnątrz, obejrzeć mechanizm wodny. Kanałem poprowadzonym od rzeki płynął rwący nurt, a jego sunąca, gładka powierzchnia błyszczała w porannym słońcu. Woda poruszała młyńskie koło, od którego odchodziły osie i wały, napędzające mechanizmy ciężkich młotów kowalskich i kruszarek, a na końcu wirowały rączki miechów, rozniecających ogień pod piecami odlewniczymi. Panował hałas, dźwięki spadającej wody, kruszonych skal i wyjącego ognia zlewały się ze sobą. Ryk żywiołów poddawanych przemianom atakował ich uszy i przesycał powietrze ostrym swędem. Khalid stał przez chwilę nieruchomo, przyglądając się całej wodnej maszynerii. To było jego dzieło, to on

skupił wokół siebie najzdolniejszych rzemieślników i wraz z nimi zbudował tę ogromną, skomplikowaną maszynę, dającą o wiele większą moc niż ludzie czy konie. Byli najpotężniejsi na świecie, myślał Bahram, patrząc na przedsiębiorstwo Khalida. Jednym machnięciem ręki teść rozwiał jego wizję. Teraz Khalid chciał dowiedzieć się, dlaczego wszystko to działało.

Poprowadził ich z powrotem do warsztatu.

- Będziesz nam potrzebny do dmuchania szkła, ja zbiorę swoich kowali i garbarzy. Wentyl, o którym mówiłeś, da się najprawdopodobniej zrobić z owczych jelit.

- Sądzę, że powinien być o wiele mocniejszy - odparł Iwang. - Stalowa klapka zamykająca się pod wpływem ciągu próżni na skórzanej uszczelce.

- Racja.

W tej lampie nie ma dżina

Khalid zaprzągł do pracy swoich rzemieślników, a Iwang zajął się dmuchaniem szkła. Po kilku tygodniach mieli gotowy, dwuczęściowy mechanizm: dużą kulę z grubego szkła, którą planowali opróżnić, i potężną pompę do odessania z niej powietrza. Co prawda zdarzały się jeszcze drobne usterki, defekty zaworów i kłopoty ze szczelnością, lecz na szczęście starzy mechanicy pracujący w kompleksie, wykazali się niezwykłą pomysłowością i zawzięcie usuwali kolejne błędy, aż w końcu zbudowali pięć bardzo podobnych do siebie wersji jednego urządzenia, wszystkie bardzo ciężkie. Pompa była masywna, a jej części precyzyjnie toczone, aby idealnie pasowały do tłoka, rury i wentylów. Szklane kule miały

grube ściany i jeszcze grubsze szyjki, a na ich wewnętrznej powierzchni znajdowały się spiczaste występy, na których można było zawieszać różne przedmioty i obserwować ich zachowanie po usunięciu z wewnątrz powietrza.

Kiedy rozwiązali problem nieszczelności, pozostało tylko zbudowanie przyrządu z przekładnią zębatkową, który umożliwiał napieranie na pompę z dużą siłą podczas odprowadzania resztek zgromadzonego w kuli powietrza. Iwang odradzał próbę stworzenia próżni doskonałej, która mogłaby wessać w siebie pompę, warsztat Khalida, a kto wie, czy nie cały świat - niczym dżin wracający do swojej lampy. Kamienna twarz Iwanga sprawiała, że nie wiedzieli, czy żartował, czy też mówił poważnie.

Kiedy w końcu mechanizm pracował w miarę niezawodnie (czasami tylko pękało szkło lub strzelał wentyl), ustawiono go na drewnianej ramie, a Khalid rozpoczął serię prób. Umieszczał w szklanej kuli różne przedmioty, odsysał powietrze i badał wyniki doświadczenia. Kategorycznie odmawiał jakichkolwiek dyskusji filozoficznych, tyczących się tego, co pozostawało w kuli po odessaniu powietrza.

- Po prostu obserwujmy to, co się dzieje - mówił. - Jest to tym, czym jest.

Na stole obok całej aparatury leżała księga z czystymi stronicami, w której on sam lub jego sekretarz zapisywali każdy szczegół kolejnych doświadczeń i mierzył ich czas na precyzyjnym zegarze.

Po kilku tygodniach zaznajamiania się z aparaturą i przeprowadzania doświadczeń, Khalid poprosił Iwanga i Bahrama o

pomoc przy organizacji małego przyjęcia, na które chciał zaprosić kilku kadich i nauczycieli z medresy w Registanie, a w szczególności matematyków i astronomów z medresy Szir Dar, którzy już od dawna interesowali się poglądami starożytnych Greków i klasycznego kalifatu na temat fizycznych cech rzeczywistości. W wyznaczony dzień, kiedy wszyscy zaproszeni goście zebrali się wokół otwartego na podwórze warsztatu Khalida, stojącego nieopodal jego gabinetu, gospodarz zaprezentował aparaturę i wyjaśnił zasadę jej działania, po czym pozwolił wszystkim śledzić przebieg doświadczenia. Na spiczastym występie wewnątrz szklanej kuli powiesił budzik, który kołysał się swobodnie na końcu krótkiej, jedwabnej nici. Następnie lewą dłonią chwycił mocno za korbę przekładni poruszającej tłok i przekręcił ją dwadzieścia razy. Objaśnił, iż budzik nastawiony był dokładnie na szóstą, tuż po zakończeniu modlitewnych śpiewów na północnym minarecie Samarkandy.

- Aby upewnić się, że budzik naprawdę dzwoni, odsłoniliśmy młoteczek, żeby było widać, jak uderza w dzwonki. Kiedy zaobserwujemy pierwszy wynik eksperymentu, zacznę stopniowo wpuszczać powietrze do wnętrza kuli i wtedy sami usłyszycie efekt.

Był szorstki i bezpośredni. Bahram zauważył, że starał się unikać złowróżbnego i magicznego stylu, jaki wyrobił sobie podczas alchemicznych transmutacji. Nie stawiał tez, nie wypowiadał zaklęć. Zarówno dla niego, jak i dla wszystkich zgromadzonych wspomnienie o jego ostatniej, katastrofalnej w skutkach demonstracji, o oszustwie, jakiego się dopuścił, pozostawało

świeże. Teraz wskazał tylko dłonią na budzik, który za chwilę miał wybić szóstą.

Wtem podwieszony na nitce zegar zaczął wirować wokół własnej osi, a młoteczek drgał w tę i z powrotem, uderzając w dwa mosiężne dzwonki. Ze szklanej kuli nie dobiegał jednak żaden dźwięk. Khalid wykonał dłonią gest i rzekł:

- Być może pomyślicie, że to szkło tłumi dźwięki, lecz kiedy wpuścimy do wewnątrz powietrze, przekonacie się, że tak nie jest. Najpierw jednak proszę, abyście sami przyłożyli ucho do szkła i upewnili się, czy rzeczywiście nic nie słychać.

]eden po drugim podchodzili i sprawdzali. Następnie Khalid odkręcił zawór i otworzył wentyl osadzony w ściance kuli. Świdrujący świst zlał się ze stłumionym dźwiękiem dzwonków, który po chwili był już wyraźnie słyszalny, jakby dochodził z sąsiedniego pokoju.

- Wygląda na to, że bez powietrza dźwięk nie może się rozchodzić - skomentował Khalid.

Goście z medresy z dużym zapałem badali aparaturę, rozważali jej zastosowanie do innych eksperymentów i snuli domysły na temat tego, co jeśli cokolwiek pozostało w kuli po odpompowaniu powietrza. Khalid wytrwale odmawiał włączenia się do dyskusji na ten temat i wolał rozmawiać o właściwościach dźwięku, na jakie wskazywało jego doświadczenie, i o sposobie rozchodzenia się dźwięku w przestrzeni.

- Może echo pomoże nam w wyjaśnieniu tej kwestii – powiedział jeden z kadich. Jego oczy, podobnie jak u wszystkich przyjezdnych

świadków, błyszczały z zadowolenia i podekscytowania. - Coś uderza powietrze, popycha je, dźwięk jest wstrząsem, rozchodzącym się w powietrzu, tak jak fale rozchodzące się na wodzie. Dźwięk odbija się, tak jak fala morska odbija się od nabrzeża, przebycie dystansu od przeszkody z powrotem do źródła zajmuje mu trochę czasu i stąd bierze się echo.

Na to odezwał się Bahram:

- Zatem z pomocą wysokiego klifu, odbijającego echo, moglibyśmy zmierzyć prędkość dźwięku.

- Prędkość dźwięku! - powiedział Iwang. - Wyśmienicie!

- Doskonały pomysł, Bahramie - powiedział Khalid. Po czym spojrzał przez ramię sekretarzowi, aby upewnić się, czy zanotował wszystko, co powiedziano i zrobiono. Następnie wykręcił zawór i zdemontował go, a kiedy sięgał dłonią do wnętrza kuli, aby wyłączyć budzik, jeszcze wyraźniej usłyszeli hałaśliwe dzwonienie. Wszystkim wydało się to dziwne, że jeszcze przed chwilą obijający się o dzwonki młoteczek nie wydawał żadnego dźwięku. Khalid przeciągnął prawym nadgarstkiem po swojej łysinie.

- Zastanawiam się, czy korzystając z tej samej zasady, moglibyśmy ustalić prędkość światła.

- Światło przecież nie odbija się echem - zauważył Bahram.

- Racja, lecz jeśli skierować je na odległe zwierciadło, powiedzmy... tak! Odsłonięta latarnia, oddalone zwierciadło i bardzo precyzyjny zegar, najlepiej taki, co sam by się włączał i wyłączał.

Iwang pokręcił głową.

- Podejrzewam, że zwierciadło musiałoby znajdować się bardzo

daleko, aby obserwator mógł dokładnie ustalić długość przerwy, a poza tym, aby błysk latarni był widoczny, należałoby precyzyjnie dobrać kąt nachylenia zwierciadła i koniecznie...

- Albo niech człowiek będzie zwierciadłem - zaproponował Bahram. - Kiedy jedna osoba na odległym wzgórzu zobaczy światło latarni, odsłania swoją, a obserwator przy pierwszej latarni liczy czas do pojawienia się drugiego światła.

- Doskonale! - powiedziało jednocześnie kilka osób, a Iwang rzucił tylko:

- Podejrzewam, że światło i tak okaże się zbyt szybkie.

- Ale za to zawsze będzie jasne - powiedział wesoło Khalid. - Doświadczenie wyjaśni nam tę kwestię.

Po tych słowach Esmerine i Fedwa podały wszystkim puchary z lodami.

- To w ramach eksperymentów nad sorbetem - zażartował Iwang. Zaczęli jeść i wesoło rozmawiać. Iwang opowiadał o świszczących

krukach w wyższych partiach Himalajów, gdzie powietrze jest o wiele bardziej rozrzedzone, i o wielu innych dziwnych zjawiskach.

Chan staje w obliczu próżni

Iwang zdołał w końcu wyrwać Khalida z głębokiej melancholii, a Bahram podziwiał w duchu wielką mądrość Tybetańczyka objawiającą się w jego podejściu do tak delikatnej sprawy. Odtąd każdego dnia Khalid zrywał się co rano z łóżka, aby zdążyć przed zmrokiem ze wszystkimi zajęciami. Kontrolę nad interesami powierzono Bahramowi, Fedwie i starym mistrzom kierującym poszczególnymi warsztatami. Kiedy pracownicy zjawiali się u

Khalida z pytaniami dotyczącymi kompleksu, udawał zajętego i wcale się nimi nie interesował. Czas spędzał na wymyślaniu, planowaniu, przeprowadzaniu i zapisywaniu kolejnych doświadczeń z pompą próżniową, a później z inną aparaturą i odmiennymi zjawiskami.

Kiedyś o poranku, kiedy w mieście panowała jeszcze cisza, udali się pod wielki, zachodni mur miejski i tam mierzyli czas rozchodzenia się dźwięku uderzanych o siebie drewnianych klocków oraz powracającego echa. Odległość od muru odmierzyli sznurkiem o długości jednej trzeciej li. Iwang zajął się obliczeniami i wkrótce ogłosił, że prędkość dźwięku wynosiła około dwa tysiące li na godzinę. Wszyscy byli zdumieni tak wysokim wynikiem.

- To prawie pięćdziesiąt razy szybciej od najszybszych koni - powiedział Khalid, przyglądając się z radością wyliczeniom przyjaciela.

- A mimo to światło będzie jeszcze szybsze - przewidywał Iwang.

- Tego się dopiero dowiemy. Tymczasem Iwang głowił się nad liczbami.

- Pozostaje tylko pytanie, czy dźwięk, rozchodząc się w przestrzeni, zwalnia, czy też przyśpiesza. Najprawdopodobniej jednak zwalnia, gdyż powietrze stawia mu opór.

- Hałas cichnie wraz ze zwiększającą się odległością - zauważył Bahram - więc dźwięk raczej słabnie, a nie zwalnia.

- Ale dlaczego? - zapytał Khalid i już po chwili wszedł w gorącą dyskusję z Iwangiem o naturze dźwięku i ruchu, o przyczynowości i o działaniu na odległość. Bahram, jako że nie był filozofem, szybko

zgubił wątek, a Khalid z założenia nie poruszał w rozmowie wątków metafizycznych i najczęściej kończył wywód słowami, które sobie upodobał:

- Sprawdźmy to!

Iwang był spokojny. Wpatrując się w rachunki, powiedział:

- Potrzebujemy matematyki, która opisze nie tylko prędkość stałą, lecz również prędkość zmiany prędkości. Zastanawiam się, czy Hindusi zajmowali się tym zjawiskiem.

Często powtarzał, że hinduscy matematycy byli najbardziej zaawansowani na świecie i wyprzedzali w tej dziedzinie nawet Chińczyków. Khalid już dawno udostępnił Iwangowi wszystkie dzieła matematyczne, jakie zgromadził w pracowni, gdzie Iwang godzinami przesiadywał, czytając rękopisy lub kreśląc rysunki i rozpisując kredą na tabliczkach przeróżne wzory.

Wieść o ich pompie próżniowej rozchodziła się, a oni często spotykali się w medresie z grupami zainteresowanych rozmówców. Zwykle byli to mistrzowie uczący matematyki i filozofii przyrody. Na spotkaniach często dochodziło do kontrowersji, lecz mimo to wszyscy przestrzegali obowiązującego w medresie ceremonialnego stylu prowadzenia teologicznych dysput.

Tymczasem w hinduskim karawanseraju sprzedawcy książek rozkładali stragany. Przywoływali do siebie Bahrama, prosząc, aby rzucił okiem na stare zwoje i księgi obite skórą i drewnem lub na drewniane pudełka wypełnione pojedynczymi stronicami.

- Gwarantuję, że starego jednorękiego z pewnością zainteresuje, co Hrahmagupta ma do powiedzenia na temat rozmiarów ziemi -

mówili

do niego, uśmiechając się, gdyż wiedzieli, że Bahram nie potrafił sprawdzić ich słów.

- W tej księdze zebrana jest mądrość stu pokoleń buddyjskich mnichów, zamordowanych przez Mogołów.

- A ta jest opracowaniem myśli wymarłych mieszkańców Frengistanu, Archimedesa i Euklidesa.

Bahram kartkował księgi, udając, że rozumie, co czyta, podczas gdy wyboru dokonywał, sugerując się objętością woluminu, jego wiekiem i częstym występowaniem cyfr, a w szczególności cyfr hinduskich i innych tybetańskich krzaczków, które tylko Iwang potrafił odszyfrować. Jeśli stwierdzał, że Khalid i Iwang mogliby być zainteresowani którąś z ksiąg, zaczynał się o nią targować z uprzywilejowanej pozycji ignoranta.

- Co ty mi tu opowiadasz?! Przecież to nawet nie jest po arabsku ani po hindusku. Gdyby chociaż było po persku lub w sanskrycie! Nie poznaję tego alfabetu, jak Khalid miałby coś z tego zrozumieć?

- Ależ to dzieło pochodzi z Dekanu, każdy buddysta potrafi to odczytać. Twój przyjaciel Iwang z pewnością zechce przybliżyć sobie ten dialekt.

Albo:

- To jest alfabet sikhów, ich ostatni guru stworzył go specjalnie dla swoich uczniów. Jest bardzo zbliżony do sanskrytu, a cały język to nic innego jak wariant dialektu pendżabskiego.

Bahram wraca) później do domu ze swoimi zdobyczami, nieco zaniepokojony wydaniem ogromnej sumy pieniędzy na zakurzone

tomiszcza, z których nic nie rozumiał. Khalid i Iwang zazwyczaj rzucali się na księgi jak sępy i studiowali je dokładnie strona po stronie, po czym gratulowali Bahramowi wyboru i chwalili jego kupieckie zdolności. Bywało też, że Khalid zwymyślał Bahrama od głupców, a Iwang tylko patrzył na niego ze zdziwieniem, że na przykład nie potrafił rozpoznać księgi rachunkowej z Trawankoru pełnej kwitów przewozowych (było to owe dekańskie dzieło, które każdy buddysta potrafił odczytać).

Ich nowe urządzenie przyciągnęło też uwagę mniej mile widzianych gości. Pewnego ranka w bramie kompleksu pojawił się Nadir Divanbegi wraz z grupą żołnierzy z przybocznej gwardii chana. Paxtakor, służący Khalida, oprowadził gości po kompleksie, a Khalid, z powściągliwą gościnnością, rozkazał przynieść im do gabinetu kawę.

Nadir był nad wyraz przyjazny, lecz wkrótce przeszedł do rzeczy.

- Przekonywałem chana, aby ocalił ci życie, ponieważ jesteś wielkim uczonym, filozofem i alchemikiem, prawdziwym skarbem chanatu, klejnotem przydającym chwały Samarkandzie.

Khalid skinął ze skrępowaniem głową, wpatrując się w filiżankę kawy. Uniósł palec, jakby chciał powiedzieć “wystarczy", lecz wymamrotał tylko:

- Jestem wdzięczny, efendi.

- Tak. Teraz już wiadomo, że miałem rację, wstawiając się za tobą, gdyż doszły nas słuchy o waszych działaniach i wspaniałych odkryciach.

Khalid podniósł wzrok, żeby się upewnić, czy Nadir nie robił sobie

z niego żartów, lecz ten tylko uniósł dłoń, by zaświadczyć o swojej prawdomówności, po czym Khalid znów przymknął oczy.

- Przyjechałem, aby ci przypomnieć, że te fascynujące eksperymenty przeprowadzane są na zagrożonej ziemi. Terytorium chanatu znajduje się na przecięciu wszystkich światowych szlaków handlowych, wrogie armie stoją za każdą z granic. Chanowi zależy na skutecznej obronie swoich poddanych przed ewentualnym atakiem, a ostatnio doszły nas słuchy o chińskim dziale, które potrafiłoby zniszczyć mury naszego miasta w tydzień albo nawet mniej. Chan pragnie, abyś mu pomógł uporać się z tym problemem, fest przekonany, że z radością podzielisz się owocami swej nauki i razem z nim staniesz w obronie chanatu.

- Każde moje doświadczenie zawdzięczam chanowi - powiedział poważnym tonem Khalid. - Każdy swój oddech jemu zawdzięczam.

Nadir skinął głową, wyrażając głębokie zrozumienie tej prawdy.

- A mimo to nie zaprosiłeś go na prezentację swojej pompy, wytwarzającej próżnię.

- Nie sądziłem, że tak drobna sprawa zainteresuje chana.

- Chan interesuje się wszystkim.

Nikt już teraz nie wiedział, czy Nadir żartuje, czy mówi poważnie.

- Z radością zaprezentujemy przed chanem naszą pompę próżniową.

- Doskonale, będzie to mile widziany gest. Pamiętaj jednak, że chan życzy sobie konkretnej pomocy przy budowie artylerii i fortyfikacji.

Khalid skinął głową.

- Uszanujemy jego wolę, efendi.

Kiedy Nadir odszedł, Khalid zaczął burczeć żałośnie:

- Wszystkim się interesuje! Jak on mógł to powiedzieć, nie wybuchając śmiechem?!

Mimo wszystko wysłał do chana swojego służącego z oficjalnym zaproszeniem na prezentację nowej aparatury. Zanim doszło do odwiedżin, Khalid zaprzągł do pracy wszystkich robotników w kompleksie, przygotowując nową demonstrację pompy, która, jak miał nadzieję, zrobi na chanie wrażenie.

Kiedy Seid Abdul Aziz przybył na pokaz ze swoją świtą, kulę, w której miała powstać próżnia, zastąpiono dwiema półkulami o ściśle pasujących do siebie krawędziach, na które, przed usunięciem powietrza, nałożono cienką uszczelkę z naoliwionej skóry. Każda z półkul mieściła się w osobnej, stalowej obręczy, do której przywiązano liny.

Seid Abdul zasiadł na poduszkach i przyglądał się uważnie szklanym półkulom. Khalid pośpieszył z wyjaśnieniami:

- Kiedy usuniemy z wewnątrz powietrze, połówki kuli przylgną do siebie z wielką siłą - złożył je w całość, a następnie rozdzielił, po czym znów złożył i w specjalny otwór w ścianie jednej z nich zamontował pompę. Skinął na Paxtakora, aby ten wykonał dziesięć obrotów korbą pompy, po czym zwrócił urządzenie w stronę chana, prosząc, aby sam spróbował rozdzielić szklane połówki. Nie dało się. Chan wyglądał na śpiącego. Khalid przeniósł urządzenie na centralny dziedziniec kompleksu, gdzie już czekały dwie trójki koni, których końcówki uprzęży zaprzęgowych przyczepiono hakami do

szklanych półkul i pognano konie w przeciwnych kierunkach, tak że po chwili szklana kula zawisła w powietrzu między nimi. Kiedy konie zatrzymały się, chłopcy strzelili z batów. Zwierzęta zaczęły parskać, ciągnąć i podskakiwać, usiłując wyrwać się do przodu, rozbiegały się na boki, przeciągały i mocowały, a przez cały ten czas szklana kula unosiła się w powietrzu na naprężonych linach. Nie dało się jej rozdzielić. Po kilku próbach konie zupełnie opadły z sił i stały teraz, chwiejąc się na nogach.

Chan z zainteresowaniem przyglądał się koniom, lecz na kulę nie zwracał uwagi. Po kilku minutach zmagań Khalid nakazał zatrzymać konie, odczepił aparaturę i zaniósł ją w stronę chana, Nadira i jego ludzi. Kiedy odkręcił zawór, powietrze ze świstem dostało się z powrotem do wnętrza kuli, a jej połówki odpadły od siebie, jak połówki rozkrojonej pomarańczy. Khalid zerwał zmiażdżoną skórzaną uszczelkę.

- Proszę spojrzeć - powiedział - to siła powietrza, a raczej ciągpróżni utrzymywał obie połówki przy sobie.

Chan wstał i zaczął się zbierać do odjazdu.]ego towarzysze powstali razem z nim. Wyglądał, jakby za chwilę miał usnąć.

- Tak - powiedział. - Nie wiem, czy wiesz, ale ja chciałbym wysadzić w powietrze moich wrogów, a nie zbierać ich do kupy - i machnąwszy ręką, odjechał.

W zaciszu nocy, we wnętrzu światła

Mało entuzjastyczna reakcja chana zmartwiła Bahrama. Żadnego, choćby najmniejszego zainteresowania aparaturą, która tak fascynowała uczonych z medresy. Zamiast tego rozkaz

wynalezienia nowej broni i umocnień, na jakie nie wpadł jeszcze żaden płatnerz czy rusznikarz w historii zbrojeń. Łatwo można było sobie wyobrazić czekającą ich karę, gdyby zawiedli oczekiwania chana. Prawa dłoń Khalida była ich przekleństwem, szydziła sobie z nich, rezydując wewnątrz swojej własnej próżni. Khalid czasem wpatrywał się w swój prawy nadgarstek, mówiąc doń:

- Pewnego dnia skończę jak ty.

Teraz jednak rozejrzał się tylko po kompleksie i rzekł:

- Powiedzcie Paxtakorowi, żeby zwrócił się do Nadira o udostępnienie nowego działa do testów. Po trzy egzemplarze z każdego kalibru oraz wszystkie rodzaje prochu i amunicji.

- Proch mamy swój.

- Wiem - powiedział z błyskiem w oku. - Chcę się przekonać, co w ich magazynach nie pochodzi od nas.

W trakcie kolejnych dni odwiedził ponownie wszystkie stare zabudowania, wzniesione jeszcze przez niego samego z pomocą jego najstarszych ślusarzy, kiedy to zaczynali interes od produkcji broni i prochu dla władcy. W tamtych czasach, zanim przeszli na system chiński i połączyli energię młyna wodnego z piecami, budując pierwszy piec odlewniczy zasilany energią wodną - dzięki czemu młodzi miechowi mogli zająć się poważniejszymi rzeczami - wszystko było małe i prymitywne, a żelazo bardziej kruche, przez co wszystkie ich wynalazki były toporne i nieporęczne. Było to nawet widać w konstrukcjach budynków z tamtych czasów. Teraz przekładnie zamontowane na młyńskim kole obracały się z całą mocą nurtu rzeki, wpływającej w mechanizm napędowy miechów i

wyjącej jak ogień. Nad wannami z chemikaliami unosiły się żółtozielone opary, terminatorzy ładowali kosze i popędzali wielbłądy, usypując na podwórkach wysokie hałdy węgla. Khalid pokręcił głową na widok tego wszystkiego i wykonał nowy gest, jakby chciał uderzyć w coś brakującą dłonią.

- Potrzebujemy precyzyjniejszych zegarów. Tylko jeśli zdołamy precyzyjniej mierzyć czas, posuniemy się naprzód.

Słysząc to, Iwang wydął usta.

- Potrzebujemy więcej zrozumienia.

- Tak, tak, oczywiście. Któż na całym żałosnym świecie nie zgodziłby się z tym zdaniem? Niestety, mądrość przeszłych wieków nie jest w stanie udzielić nam odpowiedzi na pytanie, po jakim czasie od odpalenia spłonki odpala się ładunek.

Pod koniec każdego dnia we wspaniałym kompleksie przemysłowym zapadała cisza i słychać było już tylko terkotanie koła młyńskiego w kanale. Robotnicy mieszkający na miejscu myli się, jedli posiłek i odmawiali wieczorne modlitwy, po czym udawali się na spoczynek do swoich kwater w nadrzecznej części kompleksu, a pracownicy przyjezdni wracali do miasta.

Bahram opadł na łóżko obok Esmerine. W drugim końcu pokoju spały ich dzieci, Fazi i Laila. Kiedy wracał w nocy, najczęściej zasypiał w tej samej chwili, kiedy wykończony składał głowę na jedwabnej poduszce. Zapadał w błogi sen.

Czasem oboje budzili się o północy i leżeli tak razem, oddychając, dotykając się i szepcząc. Ich nocne rozmowy były czasem krótkie i chaotyczne, czasem zaś najdłuższe i

najpoważniejsze, jakie kiedykolwiek odbywali; a jeśli mieli ochotę się kochać, zwłaszcza teraz, kiedy dzieci całymi dniami nie dawały Esmerine spokoju, to właśnie wtedy, w błogim chłodzie i ciszy owych nocy.

Później Bahram wychodził na podwórze i przechadzał się po kompleksie, podziwiając go w świetle księżyca i sprawdzając, czy wszystko w porządku. Wciąż czul w sobie pulsujący rytm miłości. Wtedy też najczęściej zauważał światło w oknie pracowni Khalida. Wstępował po cichu do środka, aby zastać go pochylonego nad książką, sporządzającego lewą ręką notatki w księdze umieszczonej na stojaku, bądź też leżącego na kanapie i rozmawiającego po cichu z Iwangiem. Ten podawał Khalidowi drugi ustnik fajki wodnej, z której rozchodził się aromat palonej nargilli ze słodką nutą haszyszu. Jeśli zastawał Iwanga i obaj jeszcze nie spali, wtedy Bahram dosiadał się na chwilę, nim znów nie robił się śpiący i wracał do Esmerine. Khalid rozmawiał z Iwangiem o naturze ruchu, o wzroku, czasem trzymali przed sobą jakąś soczewkę i mówili, patrząc przez nią na siebie. Khalid był zdania, że oko odbiera wrażenia docierające na jego powierzchnię w postaci małych obrazów rozchodzących się w powietrzu. Przekonał się, że wielu starożytnych filozofów z Chin i Frengistanu również podzielało tę opinię i nazywało te małe obrazy “eidosem", “symulakrą", “gatunkiem" lub “obrazem", fantazmatem", “kształtem", “intencją", “podobieństwem sprawcy", cieniem filozofa". Słysząc tę ostatnią nazwę, Iwang zawsze się uśmiechał. On sam uważał, że to oko ludzkie wysyłało w przestrzeń strumienie fluidów, z prędkością

zbliżoną do prędkości światła. Fluidy odbijały się od przedmiotów i wracały do oka jak echo, niosąc ze sobą niezmieniony kształt i kolorystykę przedmiotów.

Bahram natomiast utrzymywał, iż żadne z tych tłumaczeń nie było właściwe. Jak sam mówił, wzroku nie dało się opisać za pomocą optyki, gdyż widzenie było kwestią duchową. Mężczyźni wysłuchiwali go, po czym Khalid kręcił głową, mówiąc:

- Być może optyka rzeczywiście nie tłumaczy nam wszystkiego, lecz to właśnie od niej należy rozpoczynać wszelkie tłumaczenia, gdyż ona jest tą częścią fenomenu widzenia, którą potrafimy przetestować, rozumiesz, opisać matematycznie, jeśli oczywiście będziemy odpowiednio bystrzy.

Chan w końcu przysłał armaty, więc Khalid po kilka godzin dziennie spędzał poza murami kompleksu, na skarpie nieopodal zakrętu rzeki, gdzie wspólnie ze starym Jalilem i Paxtakorem oddawali salwy z kolejnych dział. Nadal jednak większość czasu zajmowało mu myślenie o optyce i proponowanie Iwangowi nowych eksperymentów. Iwang wrócił do warsztatu, gdzie z grubego szkła wydmuchał dwie kule o ściętych bokach, wklęsłe i wypukłe zwierciadła i dwa duże, idealnie wypolerowane, trójkątne drążki, z którymi obchodził się jak z relikwiami. On i Khalid zamykali się popołudniami w gabinecie staruszka, w południowej ścianie zrobili mały otwór i do ciemnego wnętrza wpuszczali wąski snop słonecznego światła. Podkładali pod otwór pryzmat i na przeciwległą ścianę bądź na rozwieszony ekran rzucali szeroką tęczę. Iwang twierdził, że było w niej siedem kolorów, Khalid, że

sześć, uznając fioletowy i lawendowy za różne odcienie tego samego koloru. Spierali się niemal o wszystko, co widzieli, przynajmniej tak było na początku. Iwang sporządził diagramy odwzorowujące rozkładanie się barw i zmierzył dokładnie kąty, pod którymi poszczególne barwne smugi wychodziły z pryzmatu. Podkładali też pod otwór szklane kule i dziwili się, dlaczego światło nie rozszczepia się w nich tak jak w pryzmacie. Wszyscy przecież wiedzieli, że jeśli na niebo wypełnione miniaturowymi, przezroczystymi kulami, takimi jak na przykład krople deszczu, padną promienie popołudniowego słońca, wtedy powstanie tęcza, która w tych okolicach rozpinała się na wschód od Samar -kandy. Ileż to razy nad miastem przetaczały się czarne burze, po których Bahram wraz z dwoma starszymi mężczyznami obserwowali prawdziwie piękne tęcze. Zdarzały się też tęcze podwójne, dwa barwne łuki, jeden wyrazisty, a drugi jaśniejszy, a czasem nawet potrójne, z trzecim, wątłym łukiem ponad dwoma pozostałymi. W końcu Iwang opracował prawo rozszczepienia światła, które - jak zapewnił Khalida - obejmowało wszystkie kolory.

- Tęcza główna powstaje w wyniku załamania światła, które wpada do wewnątrz kropli wody, odbija się od przeciwległych ścian i powtórnie się załamuje, wychodząc z kropli w powietrze. Tęcza wtórna powstaje, kiedy światło odbije się wewnątrz kropli dwa lub trzy razy. Teraz spójrzcie tutaj, każda barwa posiada własny współczynnik załamania. Kiedy światło odbija się wielokrotne wewnątrz kropli, wtedy poszczególne barwy oddzielają się od reszty i ukazują się nam zawsze w tej samej kolejności, która jest

odwrócona w tęczy wtórnej, ponieważ tam następuje jeszcze jedno odbicie, powodujące odwrócenie kolejności barw do góry nogami, tak jak to widać na moim rysunku, widzicie?

- Więc jeśli krople deszczu miałyby krystaliczną strukturę, wtedy nie byłoby tęczy.

- Zgadza się. Na przykład śnieg. Jeśli następowałoby tylko odbicie, niebo iskrzyłoby się białym światłem, jakby w powietrzu ktoś porozwieszał lustra. Można to czasem zaobserwować podczas burz śnieżnych. Okrągły kształt kropli deszczu gwarantuje za to ciągłą zmianę kąta padania i odbicia światła, od zera do dziewięćdziesięciu stopni. W ten sposób promienie rozchodzą się pod różnymi kątami i docierają do obserwatora, który musi znajdować się pod kątem czterdziestu, czterdziestu dwóch stopni od linii padającego z tyłu światła. Podwójna tęcza pojawia się w momencie, gdy kąt ten mieści się od pięćdziesięciu i pół stopnia do pięćdziesięciu czterech i pół. Spójrzcie, geometria przewiduje wszystkie te kąty, a w terenie możemy je zmierzyć przy użyciu tego wspaniałego okularu, który Bahram wyszukał specjalnie dla ciebie w chińskim karawanseraju. Urządzenie potwierdza moje pomiary na tyle, na ile da się je utrzymać nieruchomo. To właśnie są tak zwane matematyczne prognozy!

- Tak, tak - powiedział Khalid - ale to dość pokrętne tłumaczenie. Otrzymujesz swoje współczynniki, obserwując światło w pryzmacie, a następnie chcesz je udowodnić, prowadząc dalsze obserwacje i pomiary na niebie.

- Kolory na ścianie to jedna rzecz, a tęcza na niebie to zupełnie

co innego.

- Jako w niebie, tak i na ziemi - był to oczywiście truizm starego alchemika, lecz w jego ustach zabrzmiał on mrocznie i złowróżbnie.

Tęcza znikała wraz z nadchodzącą z zachodu chmurą, która przysłoniła słońce, a dwoje pochłoniętych dyskusją uczonych nawet tego nie zauważyło. Bahram został sam i rozkoszował się żywymi barwami kreślącymi na niebie jasny łuk. Dar od Allaha, jako znak, że już nigdy więcej nie zatopi świata. Mężczyźni wskazywali palcami to na tabliczkę Iwanga, to na instrument do obserwacji nieba.

- Znika - powiedział Bahram, a mężczyźni unieśli tylko głowy, podirytowani tym, że ktoś im przerywa. Kiedy tęcza była jeszcze wyraźnie widoczna, niebo wewnątrz jej łuku było o wiele jaśniejsze niż na zewnątrz. Teraz jednak po obu stronach niebo było tak samo szaroniebieskie.

Tęcza zniknęła, a oni ruszyli z powrotem do kompleksu. Z każdym kolejnym krokiem Khalid był coraz bardziej rozpromieniony i co rusz wchodził w kałużę, nadal przeglądając rysunki na tabliczce Iwanga.

- Wspaniale! Muszę przyznać, że całkiem nieźle. To niemal tak dobre, jak postulat Euklidesa. Dwa załamania, dwa lub trzy odbicia, deszcz, słońce, obserwator i oto mamy tęczę!

- I oczywiście samo światło, dzielące się na uporządkowane wiązki barw - dodał Iwang marzycielskim tonem - które wspólnie docierają do nas od samego słońca. Ono jest takie jasne! A kiedy natrafia na jakąś przeszkodę, odbija się od niej i trafia do oka, jeśli

oczywiście jakieś oko na nie patrzy. A gdyby tak część wiązki... ciekawe, co by się stało... czy wszelkie powierzchnie na świecie są rożnie zaokrąglone? Gdyby tylko dało się im przyjrzeć odpowiednio blisko...

- To dziwne, że przedmioty nie zmieniają barw, kiedy się przemieszczamy - powiedział Bahram, a pozostali dwaj mężczyźni najpierw się nie odezwali, a dopiero po chwili Khalid parsknął śmiechem.

- A oto i kolejna tajemnica! Niech Allah nas przed tym broni. Wszystkie barwy będą tak po prostu spływały na nas bez końca, aż wszyscy staniemy się jednością z Bogiem.

Myśl ta najwyraźniej bardzo go ucieszyła.

W jednym z budynków kompleksu staruszek urządził ciemnię. Pozabijał okna i dokładnie uszczelnił wnętrze, tak że było tam jeszcze ciemniej niż w jego pracowni. W południowej ścianie zrobił dwa zamykane przysłoną otwory, przez które mógł wpuszczać strumień

światła. Spędził tam wiele poranków ze swoimi asystentami, wchodząc, wychodząc i przygotowując kolejne doświadczenia. Jedno z nich tak mu się spodobało, że aż zaprosił na jego prezentację uczonych z medresy Szir Dar, gdyż, jak mówił, obalało ono twierdzenie Ibd Rashda o jednorodnej naturze białego światła oraz to, że barwy powstałe po przepuszczeniu światła przez pryzmat miały być niejako efektem specyficznych właściwości szkła. Jeśli byłoby to prawdą, postulował Khalid, to po dwukrotnym załamaniu światło zmieniałoby barwę dwa razy. Aby to sprawdzić, jego asystenci odsłonili otwór w ścianie i wpuścili do środka światło.

Pierwsza barwna wiązka z pryzmatu padła na ekran rozwieszony pośrodku ciemni. Następnie Khalid własnoręcznie odsłonił niewielką prostokątną szczelinę w ekranie, tak że tylko czerwona część tęczy przedostała się na drugą stronę, do następnego zaciemnionego pokoju, gdzie napotykała kolejny pryzmat, załamujący ją na kolejny ekran, zawieszony na ścianie w głębi drugiego pomieszczenia.

- Jeśli samo tylko załamanie światła pod pewnym kątem powodowałoby zmianę jego barwy, wtedy z pewnością czerwony wycinek po powtórnym załamaniu również zmieniłby kolor. Spójrzcie! Nadal jest czerwony. Każda z barw przepuszczona przez drugi pryzmat pozostaje niezmieniona. - Zademonstrował to, przesuwając powoli zaślepki w szczelinie ekranu i przepuszczając na drugą stronę ekranu kolejne barwy. Wszyscy goście stłoczyli się przy drzwiach do drugiego pokoju, aby osobiście sprawdzić wyniki doświadczenia.

- O czym to świadczy? - zapytał ktoś z tłumu.

- No cóż, w tym właśnie musicie mi pomóc albo zapytajcie Iwanga. Ja sam nie uważam się za filozofa. Według mnie doświadczenie pokazuje, że zmiana barwy nie jest bezpośrednim efektem załamania światła. Przede wszystkim jednak świadczy o tym, że w skład światła słonecznego, światła białego czy - jak wolicie - pełnego światła lub po prostu światła dziennego wchodzą wszystkie te poszczególne barwy.

Świadkowie pokiwali głowami. Khalid rozkazał otworzyć drzwi do ciemni i wszyscy, mrużąc oczy, wyszli na słońce, gdzie czekała na nich kawa i ciastka.

- To było wspaniałe - powiedział Zahar, jeden ze starszych mate-

matyków z Szir Dar. - Czuję się oświecony, jeśli można tak powiedzieć, lecz, jak uważasz, co nam to wszystko mówi o samym świetle. Czym jest światło?

Khalid wzruszył ramionami.

- Tylko Bóg to wie. Myślę, że udało nam się wyjaśnić, tak przynajmniej uważam, pewne zachowanie światła. Zachowanie to ma charakter geometryczny, który najprawdopodobniej można opisać za pomocą liczb, tak jak wiele innych zjawisk na świecie. Allah najwidoczniej upodobał sobie matematyków, sam zresztą to powtarzałeś, Zaharze. Jeśli natomiast chodzi o substancję światła, to nadal pozostaje ona tajemnicą! Z pewnością porusza się bardzo szybko. Jak szybko, nie wiemy i dobrze byłoby się tego dowiedzieć. Jest ciepłe, o czym przekonujemy się, stojąc na słońcu i, w odróżnieniu od dźwięku, rozchodzi się w próżni, jeśli oczywiście istnieje na świecie coś takiego jak próżnia. Być może Hindusi mają rację, może oprócz ziemi, ognia, powietrza i wody istnieje jeszcze jeden żywioł, eter, tak subtelny, że aż niewidoczny, wypełniający wszechświat i będący właściwym ośrodkiem wszelkiego ruchu. Może światło to takie maleńkie cząstki, odbijające się od wszystkiego, na co natrafią, na przykład od zwierciadła, lecz na co dzień nie aż tak dokładnie. W zależności od powierzchni, na jaką padną, konkretna barwa odbija się i trafia do oka, może tak właśnie jest? -Po raz kolejny wzruszył ramionami. - To prawdziwa tajemnica.

Medresa zabiera głos

Demonstracja barw składowych światła wywołała lawinę dyskusji i debat we wszystkich medresach w okolicy. Do tego czasu Khalid

nauczył się już nie wypowiadać na temat przyczyn głosem nieznoszącym sprzeciwu i nie wchodzić zbyt głęboko w dyskurs uczonych z medres, poprzez odwołania do woli Allaha czy do innych aspektów natury wszechotaczającej rzeczywistości. Zwykł mówić tylko:

- Allah daje nam rozum, abyśmy lepiej zrozumieli świetność jego dzieła.

Albo:

- Świat czasem działa zgodnie z zasadami matematycznymi. Allah Kocha liczby, tak samo jak komary na wiosnę i piękno.

Uczeni odchodzili zadowoleni lub poirytowani, lecz zawsze rozpaleni żarem filozoficznej dyskusji. Miejska medresa na placu Registan oraz stare obserwatorium Ulugbega leżące za miastem podchwyciły nową modę przeprowadzania doświadczeń demonstrujących przeróżne zjawiska fizyczne. Warsztat Khalida przestał być jedynym miejscem, w którym budowano coraz bardziej skomplikowane układy mechaniczne i urządzenia. Na przykład matematycy z medresy Szir Dar zaciekawili wszystkich nową i zaskakującą wagą rtęciową o bardzo prostej budowie - trochę rtęci w szklanej główce oraz wąska probówka z rtęcią, zanurzona otwartym końcem w żywym srebrze. Po jakimś czasie słup rtęci w probówce opadł nieznacznie, wytwarzając ponad sobą kolejną tajemniczą próżnię. Matematycy z Sir Dar twierdzili, że to powietrze, naciskając całym swoim ciężarem na rtęć w główce, utrzymywało rtęć w probówce na stałym poziomie, nie pozwalając jej spłynąć w dół do naczynia. Inni utrzymywali, że spadek słupa

rtęci do pewnego poziomu wynikał z niezdolności próżni powstałej w górnej części probówki do dalszego rozszerzania się. Zgodnie z sugestią Iwanga, zaniesiono urządzenie na szczyt Śnieżnej Góry, w górach Zerawszan, gdzie wszyscy przekonali się, że słup rtęci opadł jeszcze niżej. Działo się tak najprawdopodobniej dlatego, że znajdowali się jakieś trzysta czy czterysta łokci ponad miastem, gdzie na rtęć naciskały mniejsze masy powietrza niż w dole. Był to kolejny, silny dowód na twierdzenie Khalida, o tym że powietrze napierało na wszystko swoim ciężarem, a jednocześnie argument obalający Arystotelesa, Al-Farabiego i innych uczonych z arabskiej szkoły arystotelesowskiej, twierdzących, jakoby cztery żywioły pragnęły przebywać na swoich własnych poziomach, wyżej lub niżej. Tę ostatnią tezę Khalid otwarcie wyśmiewał w rozmowach kuluarowych.

- To tak, jakby kamienie czy wiatr mogły chcieć znajdować się tu czy tam, tak jak człowiek. To nic innego, jak kolejny przykład pokrętnego rozumowania: “przedmioty spadają, bo chcą spadać", jakby one mogły chcieć. Rzeczy spadają dlatego, że spadają, i tyle! Na razie musi nam to wystarczyć, nikt przecież nie wie, dlaczego rzeczy spadają, ja na pewno nie wiem. Zasada działania na odległość to wielka tajemnica. Najpierw jednak musimy to stwierdzić, musimy nazwać tajemnice tajemnicami i dopiero potem rozpocząć badania, demonstrować zjawiska i sprawdzać, czy prowadzą do odkrycia i zrozumienia przyczyn lub rządzących nimi praw.

Suficcy uczeni jak zwykle dokonywali ekstrapolacji i z każdego fi-

zycznego doświadczenia wyciągali wnioski, odnoszące się do pierwotnej natury wszechświata, podczas gdy matematyków fascynował czysto numeryczny aspekt uzyskiwanych wyników i objawiająca się przed nimi geometria świata. Te i inne metody poznawcze łączyły się ze sobą, tworząc wartki nurt nowych, energicznych działań, na które składało się

przeprowadzanie eksperymentów, długie rozmowy, wiele godzin spędzonych nad tabliczkami w poszukiwaniu matematycznych formuł i niemały wysiłek rzemieślników wkładany w budowę nowych i coraz doskonalszych urządzeń. W owym czasie Bahram miał wrażenie, jakby w każdym zakątku Samarkandy prowadzono naukowe dociekania: w kompleksie Khalida, w innych warsztatach w mieście, w medresach, w ribacie, na bazarach, przy straganach z kawą i w karawanserajach, skąd kupcy roznosili wieści na cały świat. To było piękne.

Skrzynia pełna mądrości

Daleko poza zachodnimi murami miasta, gdzie Jedwabny Szlak prowadził w stronę Buchary, Ormianie gnieździli się w ciszy swojego skromnego karawanseraju, stojącego obok dużego i hałaśliwego zajazdu Hindusów. O zmroku gotowali strawę na małych piecykach, a ich kobiety nosiły odsłonięte twarze i miały odważne spojrzenia, śmiały się i rozmawiały głośno we własnym języku. Ormianie byli dobrymi handlarzami, a mimo to prowadzili samotniczy tryb życia. Handlowali jedynie najdroższymi towarami i miało się wrażenie, że byli już wszędzie i wiedzieli wszystko o wszystkim. Ze wszystkich ludów trudniących się handlem byli

najzamożniejsi i najpotężniejsi. W odróżnieniu od Żydów czy nestorian mieli swoją własną, małą ojczyznę na Kaukazie, do której regularnie wracali, a ponadto byli muzułmanami, przynajmniej większość z nich, dzięki czemu mieli ogromną przewagę na całym Dar al-Islam, który, prawdę mówiąc, obejmował już cały świat oprócz Chin i Indii poniżej Dekanu. Krążące o nich plotki, że niby tylko udawali muzułmanów, a w skrytości ducha zawsze byli chrześcijanami, bolały Bahrama, który odczytywał je jako sztylet wbijany Ormianom w plecy przez zazdrosnych kupców - prawdopodobnie Romów, których dawno temu wygnano z Indii (niektórzy mówią, że z Egiptu). To kolejny bezdomny lud, tułający się po świecie, któremu nie podobała się silna pozycja Ormian na tak wielu dochodowych rynkach zbytu.

Bahram przechadzał się między ich ogniskami i latarniami, gdzie-niegdzie zatrzymywał się, by porozmawiać ze znajomymi lub przyjąć krzepiący łyk wina, w końcu jakiś stary mężczyzna przedstawił mu jeszcze starszego od siebie księgarza, Mantuniego. Był to niski, zgarbiony i pomarszczony staruszek w okularach, które powiększały mu oczy do rozmiarów cytryn. Znał tylko podstawy tureckiego i mówił z wyraźnym akcentem. Bahram przeszedł na perski, co Mantuni przyjął wdzięcznym skinieniem głowy. Staruszek wskazał na drewnianą skrzynię, stojącą na ziemi, w całości wypełnioną książkami, które specjalnie dla Khalida zdobył we Frengistanie.

- Jesteś pewny, że dasz radę sam? - zapytał zaniepokojony.

- Oczywiście - odpowiedział Bahram, którego martwiło teraz coś

innego. - Ile się należy?

- O, nie, nie! Już zapłacono. Khalid wysłał mnie z gotówką, w przeciwnym razie nie byłoby mnie na nie stać. Pochodzą z wyprzedaży z pewnej posiadłości w Damaszku, bardzo stara rodzina alchemików, z której został tylko jeden, bezpotomny pustelnik. Popatrz na to: Zosym, *Traktat o piecach i przyrządach,* wydrukowany zaledwie dwa lata temu, to dla ciebie. Reszta jest już przygotowana i ułożona w porządku chronologicznym. I tak mamy tutaj Jabira *Sumę doskonałości* oraz jego *Dziesięć ksiąg rektyfikacji,* a tam, spójrz, *Tajemnica stworzenia.*

Ta ostatnia pozycja była ogromnym tomiszczem, obitym w owczą skórę.

- Napisał ją Grek Apolloniusz. Jeden z rozdziałów tej księgi to legendarny *Szmaragdowy stół* - powiedział Mantuni, kładąc delikatnie dłoń na oprawie dzieła - sam ten rozdział wart jest dwa razy więcej, niż zapłaciłem za całą kolekcję, na szczęście oni o tym nie wiedzieli. Jakiś czas po potopie żona Abrahama, Sara, odnalazła oryginał *Szmaragdowego stołu* w jaskini nieopodal Hebronu. Tekst fenickim pismem wyryto na szmaragdowej płycie, którą Sara znalazła w objęciach ramion zmumifikowanych zwłok po trzykroć wielkiego Hermesa, ojca alchemii. Chcąc być szczery, muszę przyznać, że dotarłem też do innych źródeł, przypisujących to odkrycie Aleksandrowi Wielkiemu. Tak czy inaczej, oto jest, w arabskim tłumaczeniu, z czasów kalifatu bagdadzkiego.

- Wspaniale - powiedział Bahram, nie będąc jednak do końca pewnym, czy Khalida będzie to jeszcze interesowało.

- Znajdziesz tam też *Kompletny zbiór biografii Nieśmiertelnych,* cieniutki wolumin, biorąc pod uwagę *Skrzynię pełną mądrości* Bartłomieja Anglika, pisarza z Frengistanu; *O właściwościach rzeczy, List słońca do półksiężyca, Księgę Trucizn,* to się zawsze może przydać i *Wielki skarb,* i *O trzech podobieństwach,* to po chińsku.

- Iwang będzie umiał to odczytać - odpowiedział Bahram - dziękuję. - Spróbował unieść skrzynię i miał wrażenie, jakby była wypełniona kamieniami. Chwiejnym krokiem ruszył jednak przed siebie.

- Jesteś pewny, że doniesiesz to bezpiecznie z powrotem do miasta?

- Jakoś sobie poradzę. Zaniosę to do Khalida. Iwang ostatnio przeniósł się do niego z całą swoją robotą. Jeszcze raz dziękuję. Jestem pewny, że Iwang będzie chciał się z tobą skontaktować i porozmawiać o tych książkach, być może Khalid też. Jak długo zostajesz w Samarkandzie?

- Góra miesiąc.

- W takim razie na pewno jeszcze się spotkacie.

Bahram ruszył piechotą, niosąc na głowie drewnianą skrzynię i zatrzymując się co jakiś czas, by dać odpocząć swojej szyi i pokrzepić się kolejnymi łykami wina z bukłaka. Kiedy wrócił do kompleksu, zapadł wieczór, a w głowie mu szumiało. W oknie gabinetu Khalida stała zapalona lampa. Bahram wszedł do środka i zastał staruszka zatopionego w lekturze. Triumfalnym gestem postawił przed nim skrzynię i rzekł:

- Przyniosłem coś do poczytania - i opadł na krzesło.

Koniec alchemii

Pokręciwszy ze zrezygnowaniem głową na widok pijanego Bahrama, Khalid zaczął przeglądać zawartość skrzyni, pogwizdując.

- Same stare pierdoły - powiedział w pewnej chwili, po czym wyciągnął jedną z książek i otworzył ją. - Aha! Tekst z Frengistanu, przetłumaczony z łaciny na arabski przez Ibn Rabiego z Nsary. Oryginał wyszedł spod pióra Bartłomieja Anglika w szóstym wieku. Zobaczmy, co ma on nam do powiedzenia. Hmm... hmm... - czytał, wodząc pośpiesznie wskazującym palcem lewej dłoni po wierszach kolejnych stron - Co? Przecież to Ibn Sina!... I to też - spojrzał na Bahrama. – Ustępy o alchemii są żywcem wzięte z pism Ibn Sina!

Czytał dalej i co chwilę wybuchał śmiechem.

- Posłuchaj tego! “Żywe srebro...", chodzi o rtęć, “...ma tak wspaniale zalety i siłę, że choćbyś na jednej szali umieścił stufuntowy kamień, a na drugiej dwa funty żywego srebra, to ono i tak przeważy.

-Co?

- Słyszałeś kiedyś taki nonsens? Jeśli już posługuje się jednostkami masy, to zakładam, że rozumie, o czym mówi.

Czytał dalej.

- O! - wykrzyknął po chwili. - W tym miejscu cytuje Ibn Sina: “Szkło, jak powiada Avicenna, jest wśród kamieni tym, czym błazen pośród ludzi, gdyż przyjmuje wszelkie barwy". Słowa zwierciadlanego odbicia człowieka. A to co?! Posłuchaj tej historii, równie dobrze mogłaby być o Seidzie Abdulu Azizie: “Dawno temu

żył człowiek, któremu udało się otrzymać plastyczne szkło. Dawało się giąć i kształtować młotkiem. Zaniósł on do cesarza Tyberiusza flakon z tego szkła uczyniony i cisnął go pod nogi władcy. Flakon nie potłukł się, lecz jedynie pogniótł i powgniatał. Mężczyzna kilkoma wprawnymi uderzeniami młotka przywrócił flakonowi pierwotny kształt". Musimy poprosić Iwanga o takie szkło! “Cesarz natychmiast rozkazał odrąbać mężczyźnie głowę, aby jego odkrycie nigdy nie wyszło na jaw, gdyż jeśliby do tego doszło, złoto nie byłoby już w niczym lepsze od gliny, a inne metale straciłyby na wartości, jako że jeśli szklane naczynia nie tłukłyby się, wtedy z pewnością warte byłyby więcej od naczyń ze złota". Ciekawe stwierdzenie. Podejrzewam, że w tamtych czasach szkło było jeszcze rzadkim materiałem. - Wstał, przeciągnął się i westchnął. - Za to takich Tyberiuszów chyba nigdy nie zabraknie.

Większość pozostałych ksiąg przeglądał pobieżnie i odrzucał z powrotem do pudła. *Szmaragdowy stół* przeczytał uważnie, strona po stronie, prosząc Iwanga i kilku matematyków z Szir Dar o pomoc przy sprawdzeniu każdego zdania tego dzieła, które mogłoby wskazywać konkretny kierunek badań, czy to w pracowniach, czy też w środowisku naturalnym. W końcu wszyscy zgodnie przyznali, że większość zawartych tam informacji była błędna, a to, co było prawdą, sprowadzało się najczęściej do trywialnych stwierdzeń i banalnych obserwacji z dziedziny metalurgii i zjawisk naturalnych.

Bahram pomyślał, że Khalid mógł być rozczarowany, lecz, kiedy badania dobiegły końca, był zadowolony z otrzymanych wyników i wyglądał na jeszcze bardziej pewnego siebie. Bahram zrozumiał,

że gdyby wydarzyło się coś magicznego, Khalid mógłby doznać głębokiego wstrząsu i rozczarowania, gdyż okazałoby się, że porządek w przyrodzie nie jest tak systematyczny, jak założył, i że wymyka się ludzkiemu poznaniu. Przyglądał się więc tym wszystkim nieudanym eksperymentom z ponurą satysfakcją, po czym odłożył mądrości Hermesa Trismegistosa na najwyższą półkę, obok reszty alchemicznej braci, i odtąd już nigdy do niej nie wracał. Później interesowały go już tylko jego własne księgi, których puste strony zapełniał po przeprowadzonych doświadczeniach lub nad którymi spędzał długie noce. Wówczas pootwierane tomy zalegały na stołach i na podłodze w całym jego gabinecie. Pewnej chłodnej nocy, spacerując po kompleksie, Bahram wszedł do gabinetu Khalida i zastał go śpiącego na kanapie. Przykrył go kocem, zagasił większość palących się lamp i przy świetle ostatniej z nich przyglądał się księgom leżącym na podłodze. Leworęczne pismo Khalida było nierówne i postrzępione, niemal nieczytelne - pewnie używał jakiegoś szyfru. Za to niewielkie, pośpiesznie kreślone szkice były na swój sposób precyzyjne i czytelne: przekrój gałki ocznej, duży wóz, pasma światła, tory lotu kul armatnich, ptasie skrzydła, zespoły przekładni, listy wszelkich gatunków damasceńskiej stali, wnętrze atanora, termometry, altymetry, mechanizmy zegarowe, schematycznie nakreślone postaci ludzkie, walczące na miecze lub zwisające z ogromnych spiral jak nasiona lipy, złowrogie twarze z koszmarnych snów, leżące i stojące tygrysy, porykujące z marginesów na nieczytelne gryzmoły.

Było zbyt zimno na przeglądanie kolejnych stron. Bahram

wpatrywał się w śpiącego starca, którego umysł był tak zatłoczony. Jakże dziwni ludzie otaczają nas w tym życiu. Wolnym krokiem wrócił do siebie, by wtulić się w Esmerine.

Prędkość światła

Wielokrotne doświadczenia ze światłem przepuszczanym przez pryzmaty sprawiły, że Khalid powrócił do pytania o prędkość jego rozchodzenia się, i pomimo częstych wizyt Nadira i jego wysłanników nadal potrafił rozmawiać tylko o przeprowadzeniu doświadczenia, które mogłoby tę prędkość wykazać. W końcu udało mu się zorganizować wszystko, co niezbędne do rozwiązania tej palącej kwestii: należało podzielić się na dwie grupy wyposażone w duże latarnie. Grupa Khalida miała wziąć ze sobą jego najdokładniejszy zegar, który został przerobiony tak, aby zatrzymywał się po naciśnięciu dźwigni, blokującej mechanizm. Wstępna

próba wykazała, że podczas nowiu światło największych latarni umieszczonych na szczycie wzgórza Afrasiab było widoczne aż na grani Shamiana. Miejsca te oddzielała od siebie szeroka dolina rzeczna, był to dystans dziesięciu li w linii prostej. Gdyby za źródła światła zdecydowali się obrać ogniska, odsłaniające i zasłaniające za pomocą płacht, wtedy też mogliby wydłużyć dystans. Khalid jednak nie uważał, aby było to konieczne.

Wyruszyli o północy, podczas kolejnego nowiu. Bahram z Khalidem, Paxtakorem i kilkoma innymi służącymi udali się na wzgórze Afrasiab, a Iwang, Jalil i ich pomocnicy na grań Shamiana. Na naoliwionych prowadnicach wokół latarni zamontowano klapy,

które otwierały się z dokładnie zmierzoną uprzednio prędkością i były tak zaprojektowane, aby gwarantowały niemal natychmiastową reakcję. Zespół Khalida miał odsłonić światło i uruchomić zegar, kiedy zespół Iwanga spostrzegał światło, odsłaniał swoją latarnię, a Khalid, ujrzawszy ich światło, zatrzymywał zegar - było to bardzo proste i uczciwe doświadczenie.

Droga na wzgórze Afrasiab była długa i prowadziła przez stary, wschodni most, następnie stromym szlakiem pomiędzy ruinami starożytnego miasta Afrasiab, spowitego mrokiem i ledwo widocznego w migotliwym świetle gwiazd. W suchym, nocnym powietrzu unosiła się woń werbeny, rozmarynu i mięty. Khalid był w wyśmienitym nastroju, jak zawsze zresztą przed eksperymentami. Kiedy spostrzegł, że Paxtakor i inni pomocnicy pociągają dużymi haustami wino z bukłaków, rzekł:

- Ciągniecie lepiej niż nasza pompa próżniowa. Uważajcie, bo w końcu wyssiecie buddyjską próżnię, a wtedy wszyscy znajdziemy się w waszych bukłakach.

Dotarłszy na płaski, bezdrzewny szczyt wzgórza, stali i czekali, aż zespół Iwanga osiągnie czerniejącą na tle gwiazd grań Shamiana. Wierzchołek wzgórza Afrasiab widziany z Shamiana znajdował się na tle gór Dzhizak, dzięki czemu Iwang nie widział gwiazd nad szczytem Afrasiab, których światło mogłyby go zmylić, lecz czarny, opustoszały masyw górski.

Na szczycie pozatykali drewniane paliki, wskazujące położenie drugiego zespołu, po czym Khalid mruknął niecierpliwie i rzeki:

- Zobaczmy, czy już dotarli na miejsce.

Bahram stanął twarzą w stronę grani Shamiana, zwolnił klapy latarni i pomachał nią. Po chwili dostrzegli żółtawy, doskonale widoczny blask nieco poniżej czarnej linii grani.

- Doskonale - powiedział Khalid - a teraz zakryj.

Bahram zaciągnął klapę, po czym latarnia Iwanga również zgasła.

Stanął po lewej stronie Khalida. Zegar i latarnię postawiono na składanym stoliku i połączono za pomocą mechanizmu, który jednym ruchem otwierał klapę latarni i uruchamiał zegar. Khalid położył wskazujący palec na dźwigni zatrzymującej zegar i mruknął:

- Teraz.

Nie wiedzieć czemu, serce Bahrama waliło jak młotem. Zwolnił mechanizm i dokładnie w tej samej chwili na grani Shamiana rozbłysło światło latarni Iwanga. Zaskoczony Khalid zaklął i zatrzymał zegar.

- Na Allaha! Nie byłem gotów, spróbujmy jeszcze raz.

Umówili się na dwadzieścia prób, więc Bahram tylko skinął głową, podczas gdy Khalid sprawdził wskazania zegara i rozkazał Paxtakorowi odnotować wynik: dwa i jedna trzecia uderzenia.

Wykonali kolejną próbę, lecz i tym razem światło latarni Iwanga docierało do nich w tym samym momencie, w którym Bahram zwalniał klapę latarni. Kiedy Khalid przyzwyczaił się do prędkości wymiany, okazało się, że wszystkie próby trwają krócej niż jedno uderzenie. Bah-ramowi wydawało się, jakby to on otwierał klapę latarni znajdującej się po drugiej stronie doliny. To niesamowite, jak szybki był Iwang, nie wspominając już o świetle. Raz nawet spróbował tylko udawać, że zwalnia mechanizm, naciskając lekko

dźwignię i puszczając ją, gdyż chciał się przekonać, czy aby Tybetańczyk nie czytał w jego myślach.

- Wystarczy - powiedział Khalid po dwudziestej próbie. - Dobrze, że mieliśmy tylko dwadzieścia prób, bo w końcu doszlibyśmy do takiej wprawy, że dostrzegalibyśmy ich światło jeszcze przed otwarciem naszej latarni.

Wszyscy wybuchli śmiechem. Podczas prób Khalid był opryskliwy i nieprzystępny, lecz teraz najwyraźniej był już zadowolony, przez co wszystkim znacznie ulżyło. Ruszyli w dół zbocza i kierowali się ku miastu, rozmawiając głośno i popijając wino z bukłaków. Khalid też pił, choć ostatnimi czasy bardzo rzadko mu się to zdarzało. Dawniej była to jedna z jego ulubionych rozrywek. Wcześniej, w kompleksie, zmierzyli swój czas reakcji i okazało się, że większość ich prób trwała dokładnie tyle samo, a nawet krócej.

- Jeśli odrzucimy pierwszą próbę i z pozostałych obliczymy średnią, wyjdzie nam w przybliżeniu ten sam czas, jaki zajmuje samo wykonanie próby.

Bahram odparł:

- Światło więc dociera wszędzie jednocześnie.

- Wszędzie jednocześnie? Z nieskończoną prędkością? Nie sądzę, aby Iwang zgodził się z tym stwierdzeniem, zwłaszcza jeśli miałoby ono opierać się tylko na tym doświadczeniu.

- A ty co o tym myślisz?

- Ja? Myślę, że powinniśmy być w większej odległości od siebie. Jedno jest pewne, przekonaliśmy się, że światło jest bardzo szybkie.

Mijali opustoszałe ruiny Afrasiab, trzymając się głównej drogi z czasów starożytnego miasta, prowadzącej na południe, w stronę mostu. Pomocnicy szli coraz szybciej, zostawiając Khalida z Baharamem w tyle.

Khalid nucił coś niemelodyjnie, a Bahram przysłuchując się mu, przypomniał sobie zapisane strony w księgach staruszka i po chwili zapytał:

- Jak to się dzieje, ojcze, że ostatnimi czasy jesteś taki szczęśliwy? Khalid spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Ja? Wcale nie jestem szczęśliwy.

- Ależ jesteś! Khalid roześmiał się.

- Mój drogi Bahramie, ależ z ciebie prostolinijna dusza. Wyciągnął do góry swój prawy nadgarstek i pomachał kikutem przed nosem Bahrama.

- Spójrz na to, chłopcze. Spójrz tylko na to! Jakże mam być szczęśliwy? Oczywiście, że nie mogę. To moja hańba, to moja głupota i chciwość, obnażone przed wszystkimi i rozpamiętywane każdego dnia. Al-lah jest mądry i takie też są jego kary. Jestem zhańbiony do końca tego życia i nigdy już nie pozbędę się piętna. Nigdy nie będę mógł zjeść w czysty sposób, obmyć się, czy pogłaskać w nocy włosów mojej Fe-dwy. Moje życie się skończyło. Wszystko z powodu dumy i strachu. Oczywiście, że jest mi wstyd, oczywiście, że się złoszczę, na Nadira, na chana, na samego siebie, na Allaha, tak, na niego też! Na was wszystkich! Nigdy już się nie przestanę złościć, nigdy!

- Jakże to? - spytał wstrząśnięty Bahram.

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu między ruinami skąpanymi w poświacie gwiazd.

Khalid westchnął głęboko.

- Posłuchaj mnie, młodzieńcze. Co ja mogę zrobić? Mam dopiero pięćdziesiąt lat i jeszcze trochę czasu mi zostało, zanim Allah zabierze mnie do siebie. Muszę czymś ten czas wypełnić. Nadal zachowałem dumę i oczywiście ludzie nadal mi się przyglądają. Byłem niegdyś wybitnym człowiekiem, więc niektórych z pewnością ucieszył mój upadek i pewnie nadal cieszy! Jaką historię mam im podsunąć tym razem? Bo właśnie tym jesteśmy dla innych ludzi, chłopcze - jesteśmy opowieściami. Cała cywilizacja to ogromny młyn rozdrabniający opowieści. Mógłbym zatem być historią o człowieku, który zaszedł wysoko i spadł na dno, którego duch się rozpadł i jak zbity pies wczołgał do ciasnej dziury, aby jak najszybciej w niej zdechnąć. Mógłbym też być historią o człowieku, który zaszedł wysoko, spadł na dno, po czym podniósł się zuchwale i ruszył nową drogą, nie oglądając się za siebie i nie dając motłochowi żadnej satysfakcji. Taką właśnie historię stworzę i każę im ją przełknąć. Jeśli chcą ode mnie innej historii, to niech się wypchają. Jestem tygrysem, chłopcze, w poprzednim wcieleniu byłem tygrysem, musiałem nim być, gdyż ciągle o tym śnię. Buszuję między drzewami i chodzę na łowy. Teraz zaprzągłem tygrysa do rydwanu i ruszam w drogę! - Przeciągnął lewą dłonią w powietrzu, w stronę miasta przed nimi. - To jest klucz, młodzieńcze, musisz nauczyć się zaprzęgać tygrysa do rydwanu.

Bahram skinął głową i rzekł:

- I przeprowadzać dalsze doświadczenia.

- Tak! tak! - Khalid zatrzymał się i szerokim gestem wskazał na rozgwieżdżone niebo. - To jest właśnie najlepsze, chłopcze. To jest najwspanialsza rzecz, że jest to tak cholernie ciekawe! Nie służy zabijaniu czasu ani nie jest ucieczką od tego. - Znów pomachał kikutem. - To jedyna rzecz, jaka się naprawdę liczy! No bo po co tu jesteśmy? Po co?

- Żeby kochać.

- W porządku, masz rację. Lecz w jaki sposób możemy najlepiej pokochać ten darowany przez Allaha świat? Tylko i wyłącznie poznając go! On tu przecież jest, cały czas taki sam, piękny każdego poranka, a my wchodzimy w niego i zacieramy jego oblicze naszymi chanami, kalifatami i innymi wymysłami. To kompletny absurd. Jeśli natomiast zechcesz zrozumieć otaczające cię zjawiska, przyjrzeć się światu i zapytać, dlaczego tak się dzieje, dlaczego przedmioty spadają, dlaczego słońce wschodzi każdego ranka i ogrzewa powietrze i napełnia liście zielenią, w jaki sposób się to wszystko odbywa, jakich zasad trzymał się Allah, tworząc ten piękny świat, wtedy wszystko wygląda inaczej. Bóg widzi, że doceniasz jego dzieło, a nawet jeśli nie widzi, nawet jeśli w końcu do niczego byś nie doszedł, nawet jeśli poznanie czegokolwiek jest niemożliwe, to i tak nadal możesz próbować.

- A przy tym dużo się uczysz - dodał Bahram.

- Niezupełnie. Właściwie to niczego się nie uczysz. Kiedy mamy jednak pod ręką takiego matematyka jak Iwang, może uda nam się rozwiązać kilka prostszych zagadek lub chociaż stworzyć niewielką

bazę, którą przekażemy następnym pokoleniom. To jest prawdziwe dzieło Boga, Bahramie. Bóg nie ofiarował nam świata, abyśmy w nim stali i przeżuwali pokarm jak wielbłądy. Sam Mahomet powiedział: “Zdobywaj wiedzę, nawet jeśli miałoby to cię zaprowadzić do Chin!". Mając Iwanga, sprowadziliśmy Chiny do siebie. Dzięki temu wszystko jest jeszcze bardziej interesujące.

- No więc sam widzisz, że jesteś szczęśliwy, dokładnie tak jak mówiłem.

- Szczęśliwy i rozzłoszczony. Szczęśliwie gniewny. Wszystko naraz. To jest właśnie życie, chłopcze. Z czasem stajesz się coraz pełniejszy, aż w końcu cię rozsadza i Allah zabiera cię do siebie, aby później zesłać twoją duszę w kolejny żywot. W ten sposób wszystko z czasem staje się pełniejsze.

Przy rogatkach brzmiało pianie kogutów, a ze wschodniego nieba powoli znikały gwiazdy. Pomocnicy dotarli wcześniej do kompleksu i otworzyli bramy na oścież, lecz Khalid zatrzymał się na zewnątrz, między wysokimi hałdami węgla drzewnego i rozglądał się dokoła z wyraźną satysfakcją.

- Iwang dopiero teraz wraca - powiedział po cichu.

Wielki Tybetańczyk kroczył w ich stronę niezdarnie niczym niedźwiedź, zmęczony, lecz z uśmiechem na twarzy.

- No i jak? - zapytał.

- Za szybkie, aby dało się je zmierzyć - przyznał Khalid. Iwang odchrząknął.

Khalid podał mu bukłak z winem, a ten pociągnął duży haust.

- Światło - powiedział. - Cóż możemy o nim powiedzieć?

Wschodnie niebo wypełniało się teraz tą tajemniczą substancją, a Iwang chwiał się na boki jak niedźwiedź tańczący w rytm muzyki. Bahram jeszcze nigdy nie widział go takim szczęśliwym. Obaj mężczyźni byli zadowoleni ze swojej nocnej pracy. Zespół Iwanga miał za sobą noc pełną niefortunnych przygód. Pili wino, gubili drogę, wpadali do rowów, śpiewali piosenki, mylili inne światła ze światłem latarni Khalida, a później, podczas właściwych prób, nie mieli pojęcia, jakie czasy notowano po drugiej stronie doliny na wzgórzu Afrasiab i niewiedza ta sprawiała, że czuli się bardzo dziwnie, aż w końcu mieli wrażenie, że zwariowali.

Wydarzenia te nie byty jednak głównym powodem dobrego humoru Tybetańczyka, to raczej jego własne myśli tak dobrze go nastrajały. Mruczał coś pod nosem w swoim języku i intonował z głębi siebie niskie dźwięki. Pomocnicy śpiewali w tym czasie pieśń powitalną, ku czci wschodzącego słońca.

W końcu Iwang zwrócił się do Bahrama i Khalida:

- Schodząc z grani byłem tak zmęczony, że niemal zasypiałem na stojąco, a myśl o twoim doświadczeniu przyniosła mi ze sobą wizję. Rozmyślając o świetle twojej latarni mrugającej w ciemnościach po drugiej stronie doliny, pomyślałem, że gdybym mógł zobaczyć jednocześnie wszystkie momenty wędrówki świata pośród gwiazd, każdy z nich, jako odrębny i swoisty byt, tylko odrobinę różniący się od pozostałych... i gdybym mógł przechodzić od jednego do drugiego, jak z pokoju do pokoju, wtedy byłbym w stanie sporządzić mapę wędrówki samego świata. Każdy mój krok w dół zbocza był niejako odrębnym światem, fragmentem nieskończoności,

tworzonym przez rzeczywistość tego kroku. Szedłem więc od świata do świata, krok po kroku, nie widząc w mroku ziemi pod stopami, i pomyślałem, że gdyby istniała liczba, znamionująca każde miejsce mojego stąpnięcia, wtedy, poprowadziwszy linię łączącą wszystkie te punkty, ukazałby się obraz całej grani. Nasze ślepe stopy podążają instynktownie poprzez mrok, podobnie i my, nie potrafimy ogarnąć swoim niedoskonałym wzrokiem niezgłębionej rzeczywistości, moglibyśmy jednak uchwycić całość, wykonując regularne oznaczenia i pomiary. Wtedy dopiero moglibyśmy stwierdzić: to jest tym, a to tamtym. Zakładając oczywiście, że po drodze nie natknęlibyśmy się na ogromne głazy czy przepastne jaskinie, w ten sposób poznalibyśmy w końcu kształt całej grań. Każdy krok prowadził mnie ze świata w świat. - Spojrzał na Khalida. - Rozumiesz, o czym mówię?

- Chyba tak - odpowiedział Khalid. - Proponujesz sporządzić wykres ruchu.

- Tak, lecz również ruchu w ruchu, zmiany prędkości, rozumiesz, która zawsze występuje na tym świecie, tak jak opór i wsparcie.

- Opór powietrza - powiedział Khalid z lubością. - Żyjemy na dnie oceanu powietrza. Ma ono swoją masę, jak to wykazała waga rtęciowa, napiera na nas, w nim rozchodzą się docierające do nas promienie słońca.

- Które nas ogrzewają - dorzucił Bahram.

Słońce przebijało już spomiędzy odległych szczytów na wschodzie. Bahram odezwał się:

- Wszelka cześć i chwalą i podziękowanie dla Allaha za cudowne

słońce, które jest na świecie znakiem jego nieskończonej miłości.

- A zatem - powiedział Khalid, ziewając - pora spać.

Demonstracja lotu

Ich najrozmaitsze prace i doświadczenia musiały w końcu zaowocować kolejną wizytą Nadira Divanbegi. Tym razem Bahram był na bazarze, gdzie z przerzuconym przez ramię worem kupował melony, pomarańcze, kurczaki i linę, kiedy nagle stanął przed nim Nadir ze swoją osobistą strażą. Bahram wiedział doskonale, że spotkanie to nie było przypadkowe.

- Dobrze, że cię widzę, Bahramie. Słyszałem, że ostatnio jesteście bardzo zajęci.

- Jak zawsze, efendi - odpowiedział Bahram, skłaniając się. Dwóch strażników w zbrojach, z długolufowymi muszkietami, wbijało w niego wzrok niczym polujące sokoły.

- I, jak mniemam, wasza wspaniała praca skupia się również wokół działań na rzecz chana Seida Abdula Aziza oraz ku chwale całej Samarkandy?

- Oczywiście, efendi.

- Opowiedz mi o nich zatem - powiedział Nadir. - Wymień je i powiedz, jak daleko posunęliście się w każdym z nich.

Bahram z niepokojem przełknął ślinę. Wiedział, że Nadir celowo przydybał go na targu, zakładając, że dowie się od niego więcej niż od Khalida czy Iwanga, tym bardziej w przestrzeni publicznej, gdzie Bahram będzie prawdopodobnie zbyt zdenerwowany i zaskoczony, aby udzielać wymijających odpowiedzi.

Zmarszczył więc brew, próbując robić dobrą minę do zlej gry,

gdyż właściwie nie za bardzo miał się nad czym rozwodzić.

- Dużo pracują nad rzeczami, których nie rozumiem, efendi. Zdaje się, że większość czasu spędzają nad konstrukcją broni i projektowaniem fortyfikacji.

Nadir pokiwał głową, a Bahram wskazał dłonią na znajdujące się obok nich stragany z melonami.

- Mogę?

- Oczywiście - odparł Nadir i poszedł za nim.

Bahram podszedł do stoiska z miodem i kantalupami i zaczął wykładać owoce na wagę. Z pewnością wytarguje za nie dobrą cenę, mając Nadira i jego straż za swoimi plecami.

- Jeśli chodzi o broń - improwizował Bahram, wskazując ponuremu sprzedawcy czerwone melony - to pracujemy nad wzmocnieniem metalu, z którego odlane będą lufy armat, aby były lżejsze i bardziej wytrzymałe. Poza tym stale eksperymentujemy z lotem kul armatnich w różnych warunkach, przy użyciu różnych rodzajów prochu i dział, to znaczy... wszystko spisujemy i badamy wyniki, aby móc precyzyjnie określić, gdzie wyląduje dany rodzaj pocisku.

- To może być bardzo przydatne. Udało już się wam coś ustalić?

- Prace nadal trwają, efendi.

- A co z fortyfikacjami?

- Trzeba wzmocnić mury - odpowiedział prosto Bahram.

Khalid na pewno będzie wściekły, kiedy dowie się o tych pośpiesznie złożonych obietnicach. Bahram nie widział innego wyjścia z sytuacji, musiał mówić ogólnikowo i mieć nadzieję, że

Nadir nie będzie dopytywał się o szczegóły.

- Oczywiście - rzeki Nadir. - Czy byłbyś tak uprzejmy i zorganizował wkrótce jeden z waszych sławetnych pokazów ku intelektualnemu ubogaceniu naszego dworu? - Spojrzał Bahramowi głęboko w oczy, dając do zrozumienia, że nie miałby to być zwyczajny pokaz.

- Oczywiście, efendi.

- Niech będzie to coś, co przykuje również uwagę chana, coś ekscytującego.

- Oczywiście.

Nadir wskazał palcem na swoich ludzi, po czym ruszyli przez bazar, zostawiając za sobą skłębiony tłum.

Bahram odetchnął głęboko i wytarł czoło rękawem.

- Hola! Hola! - krzyknął stanowczo na sprzedawcę, który próbował zdjąć jeden melon z wagi.

- To nie w porządku - powiedział sprzedawca.

- Prawda - odpowiedział Bahram - lecz słowo się rzekło. Sprzedawca nie mógł zaprzeczyć, uśmiechał się tylko złośliwie, widząc jak Bahram poci się i wzdycha.

Kiedy wrócił do kompleksu, opowiedział o spotkaniu Khalidowi. Usłyszawszy wieści, staruszek tylko zawarczał gniewnie, czego zresztą

Bahram mógł się spodziewać. Khalid kończył w milczeniu wieczorny posiłek, nabijając kawałki zająca na mały, srebrny widelec. W końcu odłożył go, wytarł usta szmatką i głośno wstał.

- Chodź ze mną do gabinetu, opowiesz mi dokładnie, co mu

powiedziałeś.

Bahram odtwarzał przed nim rozmowę na tyle, na ile ją pamiętał, podczas gdy Khalid obracał w dłoniach skórzaną kulę, na którą próbował nanieść mapę świata. Większość jej powierzchni pozostawił pustą, lekceważąc twierdzenia znanych chińskich kartografów, piszących o złotych wyspach, dryfujących po oceanie, gdzieś na wschód od Nipponu, które na każdej mapie umiejscawiano gdzie indziej. Kiedy Bahram skończył, Khalid westchnął głęboko.

- Dobrze postąpiłeś - powiedział. - Twoje obietnice były ogólnikowe i wskazywały na nasze prawdziwe zamiary. Możemy je zrealizować mniej lub bardziej dosłownie. Może w trakcie prac dowiemy się czegoś, co i tak chcielibyśmy wiedzieć.

- To oznacza kolejne eksperymenty - powiedział Bahram.

- Zgadza się - powiedział Khalid, a jego oblicze pojaśniało na samą tę myśl.

Przez kolejne tygodnie entuzjastyczne działania w kompleksie obrały zupełnie nowy kurs. Khalid wyprowadził wszystkie armaty, które otrzymał od Nadira, i ich głośne wybuchy wypełniły następne dni. Razem z Iwangiem, Bahramem i balistykami strzelali z dział na zachód od miasta, na rozległej równinie, gdzie mogli odnajdywać kule armatnie wystrzeliwane do celów, w które trafiali dość rzadko.

Khalid warczał, podnosząc z ziemi jedną z lin, których używali po każdym wystrzale do przyciągania armat na oznaczone miejsce.

- Ciekawe, czy dałoby się przytwierdzić armatę do ziemi - powiedział. - Mocne liny, grube pale... może dzięki temu kule latałyby

dalej.

- Możemy spróbować.

Próbowali najrozmaitszych rozwiązań, a pod koniec każdego dnia od wybuchów dzwoniło im w uszach, więc Khalid zatykał je sobie kulkami z bawełny.

Iwang zaczął coraz bardziej się interesować torem lotu kul armatnich. Razem z Khalidem głowili się nad matematycznymi formułami i wykresami, których Bahram nie rozumiał, za to coraz wyraźniej docierało do niego to, że mężczyźni zapominają o nadrzędnym celu swoich działań i zaczynają traktować armaty jako mechanizm do demonstracji różnych rodzajów ruchu, prędkości i jej zmian.

W końcu znów odwiedził ich Nadir, przynosząc kolejne wieści. Chan i jego świta mieli przyjechać z wizytą następnego dnia, aby przyjrzeć się innowacjom i odkryciom.

Khalid spędził całą noc w swoim gabinecie, przygotowując listę ewentualnych demonstracji. W południe następnego dnia wszyscy zebrali się na nasłonecznionej równinie, nieopodal rzeki Zerawszan. Specjalnie dla chana rozstawiono przestronną altanę, w której mógł się schronić przed słońcem i obserwować przebieg wydarzeń.

Tak też się stało. Chan ułożył się na wyścielanej jedwabiami kanapie, kosztował sorbet i częściej rozmawiał z młodą kurtyzaną, niż przyglądał się demonstracjom. Nadir jednak stał tuż przy armatach i uważnie przyglądał się wszystkiemu, a po każdym wystrzale wyciągał z uszu bawełniane zatyczki i zadawał pytania.

- Jeśli chodzi o fortyfikacje - odpowiedział mu w pewnej chwili Khalid - to dość stara kwestia, rozwiązana skutecznie przez ludy

Frengistanu, zanim wszystkie nie wymarły. Kula armatnia zburzy wszystko, co twarde. - Rozkazał swoim ludziom wystrzelić w mur z ciosanych kamieni, połączonych zaprawą. Kula gładko zburzyła mur, z czego chan i jego świta byli wyraźnie zadowoleni, choć w gruncie rzeczy zarówno Samarkanda, jak i Buchara były chronione przez mury z piaskowca, podobne temu, który właśnie runął.

- A teraz - powiedział Khalid - zobaczmy, co się stanie, kiedy kula tych samych rozmiarów, wystrzelona z takiej samej armaty, załadowanej tym samym prochem uderzy w drugi cel.

Celem tym był wał ziemny, usypany z wielkim trudem przez byłych miechowych Khalida. Działo wypaliło, rozwiał się gryzący dym, a ziemny wał pozostał nienaruszony, poza ledwo widocznym wgłębieniem pośrodku.

- Kula armatnia nic nie może zdziałać. Po prostu zatapia się w ziemi. Nawet sto kul armatnich nie zburzyłoby takiego muru, stałyby się one jedynie jego częścią.

Usłyszawszy to, chan nie był zadowolony.

- Sugerujesz, abym obsypał Samarkandę ziemią? Wykluczone. Jak by to wyglądało! Inni chanowie i emirowie wyśmialiby nas. Nie możemy żyć jak mrówki, w ziemnym kopcu!

Khalid zwrócił się w stronę Nadira, lecz jego twarz w elegancki sposób pozbawiona była wyrazu.

- Jeszcze coś? - zapytał Nadir.

- Oczywiście. Proszę o uwagę. Ustaliliśmy, że armata może wyrzucać z siebie kule na duży dystans, lecz nie potrafi strzelać prosto. Kule opadają w wyniku ścierania się z masami powietrza i z

tego samego powodu mogą wpadać w chaotyczną rotację i zbaczać z kursu, jak się zresztą często dzieje.

- Jakiż opór może stawiać powietrze żelaznym kulom? - żachnął się Nadir i aby zilustrować swoje stówa, przeciągnął dłonią w powietrzu.

- Jest to niewielki opór, to prawda, lecz należy wziąć pod uwagę, że kula musi przebić się przez dwa li powietrza. Pomyślmy o powietrzu jak o rozrzedzonej wodzie. Z pewnością ma ono znaczący wpływ. Możemy to lepiej zrozumieć, używając lżejszych, drewnianych kul tej samej wielkości, rzucanych ręcznie, aby dało się śledzić tor ich lotu. Będziemy rzucać pod wiatr i zobaczycie, jak chaotyczny będzie ich lot.

Bahram z Paxtakorem zaczęli ciskać lekkie drewniane kule, które, jak nietoperze, gwałtownie zmieniały kurs w ostrym wietrze.

- To jakiś absurd! - odezwał się chan. - Przecież kule armatnie są o wiele cięższe, tną powietrze jak nóż masło!

Khalid skinął głową.

- To prawda, wielki chanie. Używamy tych drewnianych kul, aby uwypuklić pewien efekt, który zachodzi w przypadku ruchu każdego rodzaju przedmiotów, nawet tak ciężkich jak ołów.

- Albo jak złoto - zażartował chan.

- Albo złoto. W takim przypadku kulą armatnią zarzucałoby jedynie minimalnie, lecz przy długim locie z pewnością by je zniosło. Ma to ogromne znaczenie, gdyż odpalający działo nigdy nie wie, gdzie wyląduje kula.

- To niestety prawda - przyznał Nadir.

Khalid zaczął gestykulować kikutem, nie zważając na to, jak wyglądał.

- Potrafimy w dużym stopniu zredukować ten efekt. Przyjrzyjmy się teraz torowi lotu drewnianej kuli, którą przy wyrzucie podkręcono.

Bahram i Paxtakor rzucali balsowe kule, nadając im końcówkami palców ruch wirowy. Mimo że kilka kul i tak poleciało po luku, to wylądowały znacznie dalej, a ich prędkości były większe niż w przypadku kul niepodkręconych. Bahram trafił w tarczę łuczniczą pięć razy pod rząd i był z tego wyraźnie zadowolony.

- Ruch wirowy kuli stabilizuje jej lot nawet w podmuchach wiatru - wyjaśnił Khalid. - Oczywiście wiatr nadal na nią napiera, tego nie da się uniknąć, lecz za to nie zmienia jej lotu tak gwałtownie. Ten sam efekt osiągamy, przymocowując do strzały łuczniczej pierzysko, które nadaje jej w locie ruch obrotowy.

- A więc proponujesz, abyśmy do kul armatnich przymocowali pióra? - chan zarechotał.

- Nie do końca, Wasza Wysokość, lecz efekt będzie ten sam. Kula po wystrzale będzie wpadać w ruch obrotowy. Aby to osiągnąć, wypróbowaliśmy dwie metody. Pierwsza sprowadza się do wykonania nacięć na powierzchni kuli, lecz powoduje to znaczne osłabienie zasięgu. Druga polega na wycięciu żłobienia wewnątrz lufy. Wystarczy jeden zwój długiej spirali, albo i mniej, na całą długość lufy. Dzięki temu kula będzie opuszczać lufę, obracając się wokół własnej osi.

Khalid ze swoimi ludźmi przyciągnął na miejsce mniejszą armatę,

z której następnie wystrzelono, a lot kuli śledzili rozstawieni po bokach pomocnicy. Czerwoną chorągiewką oznaczyli miejsce jej lądowania. Było to dalej niż wylądowała kula wystrzelona z większej armaty, lecz różnica pozostawała niewielka.

- Powtarzam, że to rozwiązanie nie zwiększy w znaczący sposób zasięgu, lecz za to znacznie poprawi precyzję - wyjaśnił Khalid. - Kule odtąd zawsze będą leciały po linii prostej. Opracowujemy specjalne tabele, które umożliwią odpowiedni dobór ilości i rodzaju prochu do kul o różnym ciężarze, aby zawsze można było posłać je dokładnie tam, gdzie się planuje.

- Interesujące - powiedział Nadir.

Chan Seid Abdul Aziz przywołał do siebie Nadira.

- Wracamy do pałacu - rzekł i poprowadził swoją świtę w stronę koni.

- Lecz nie aż tak ciekawe - rzucił Nadir do Khalida. - Będziesz miał kolejną szansę.

Lepszy dar dla chana

- Podejrzewam, że lepiej będzie, jak zrobię dla chana nową zbroję z damasceńskiej stali - powiedział Khalid nieco później - coś ładnego, co mu się w końcu spodoba.

Iwang uśmiechnął się.

- A wiesz, jak ją otrzymać?

- Oczywiście. To wysokowęglowa stal. Żadna tajemnica. Zawartość tygla stanowi kęs porowatego żelaza, skutego w ogniu z żelazną płytką i drewnem, które uwalnia popiół do mieszanki. Do tego należy dodać trochę wody. Czasem tygiel wstawia się do pieca

i kiedy składniki roztopią się, przelewane są do form, wszystko to w temperaturze uniemożliwiającej całkowite połączenie się wszystkich elementów. Otrzymaną stal wytrawia się następnie nieorganicznymi siarczanami, otrzymując różne wzory i odcienie, w zależności od użytego siarczanu, kęsa i temperatury. To ostrze - powiedział wyciągając i kładąc przed słuchaczami szeroki, zakrzywiony kindżał, z rękojeścią z kości słoniowej i o ostrzu pokrytym gęstym szrafowaniem, będącym efektem trawienia - jest dobrym przykładem trawienia zwanego drabiną Mahometa. Perska robota, podobno wywodzi się z kuźni wielkiego alchemika Jundi Shapura. Mówią, że jest w tym prawdziwa alchemia - zamilkł i wzruszył ramionami.

- I uważasz, że chan...

- Jeśli pobawimy się trochę składem kęsa, strukturą spieku, temperaturą i substancją trawiącą, wtedy na pewno otrzymamy jakieś nowe wzory. Bardzo mi się podobały te wiry, które otrzymałem, używając stali z dużą ilością drewna.

Zapadło milczenie. Od razu było widać, że Khalid nie był zadowolony.

W końcu odezwał się Bahram:

- Mógłbyś to potraktować jako serię doświadczeń.

- Jak zawsze - odparł zirytowany Khalid - lecz w tym wypadku jestem skazany na robienie różnych rzeczy w całkowitej nieświadomości ich przyczyn. Zbyt dużo materiałów, substancji i zjawisk jednocześnie. Podejrzewam, że wszystko to dzieje się na niższym poziomie, którego nie potrafimy obserwować. Szczeliny

powstające w efekcie końcowym przypominają rozerwane struktury krystaliczne. Zjawisko bardzo ciekawe, lecz nie sposób go przewidzieć ani stwierdzić, dlaczego zachodzi -a taki właśnie jest cel użytecznych doświadczeń - aby mówiły coś konkretnego, odpowiadały na pytania.

- Możemy zadawać pytania, na które odpowie nam hutnictwo - zasugerował Bahram.

Khalid skinął głową, nadal niepocieszony, spojrzał jednak w stronę Iwanga, aby przekonać się, co myśli na ten temat.

Iwang stwierdził, że teoretycznie to dobry pomysł, lecz w praktyce sam miał problemy ze znalezieniem odpowiednich pytań, na które odpowiadałby ten proces. Wiedzieli, jak gorący ma być piec, jakie rudy, drewno i wodę mają wprowadzić do tygla, jak długo całość mieszać i jakiej twardości stal się otrzyma. Na wszystkie pytania z zakresu technologii odpowiedziano już dawno temu w Damaszku, odkąd stosuje się tam damaskinaż. Bardziej fundamentalne pytania o przyczyny, na które można by jeszcze próbować szukać odpowiedzi, trudno było sformułować. Bahram tęgo się wysilał, lecz żaden pomysł nie przychodził mu do głowy, a przecież dobre pomysły zawsze były jego atutem, tak mu przynajmniej wszyscy powtarzali.

Podczas gdy Khalid zajęty był swoimi problemami, Iwang dał się całkowicie pochłonąć obliczeniom matematycznym. Posunął się nawet do tego, że odłożył dmuchanie szkła i złotnictwo, zostawiając te zajęcia swoim nowym terminatorom, młodym, wysokim i kościstym Tybetańczykom, którzy jakiś czas temu pojawili się u

niego nie wiadomo skąd. Siedział teraz nad hinduskimi księgami i starymi zwojami z Tybetu, kreśląc kredą na tabliczkach symbole i uzupełniając własne notatki, które utrwalał na papierze: atramentowe diagramy, wzory hinduskich cyfr, tybetańskie, chińskie lub sanskryckie znaki i litery - prywatny alfabet jego prywatnego języka, tak się przynajmniej wydawało Bahramowi. Mało użyteczne przedsięwzięcie, niedające się łatwo podziwiać, jednak z tych wszystkich papierowych stronic emanowała wyczuwalna energia, może nawet magia lub po prostu szaleństwo. Wszystkie jego idee uporządkowane były w heksagonalne wzory ideogramów i liczb. Stojący na bazarze warsztat Iwanga zaczął się jawić Bahramowi jako ciemna jaskinia maga, obracającego w palcach rąbki rzeczywistości.

Iwang wkrótce sam wszystko wyjaśnił. Na słonecznym dziedzińcu, za murami kompleksu Khalida, usiadł razem z Khalidem, Zaharem i Tazim z Szir Dar i Bahramem, który ocieniał ich i spoglądał im przez ramiona, podczas gdy Iwang wykładał matematykę ruchu, mówiąc o czymś, co sam nazywał “prędkością prędkości".

- Wszystko jest w ruchu - zaczął - to karma. Ziemia obraca się wokół Słońca, a ono podróżuje pośród innych gwiazd, które również nie stoją w miejscu. Dla potrzeb tego badania zakładamy rzeczywistość zastygłą w bezruchu. Być może właśnie w takiej nieruchomej próżni zawieszony jest wszechświat... nie ma to jednak teraz znaczenia. Do naszych celów wystarczą nam te oto matematyczne wymiary, które oznaczymy pionową i poziomą linią,

w ten sposób, lub za pomocą długości, szerokości i głębokości, jeśli życzylibyśmy sobie rzeczywistości trójwymiarowej. Dla ułatwienia, zacznijmy od dwóch wymiarów. Ruch danego przedmiotu, dajmy na to kuli armatniej, może być mierzony względem tych dwóch osi: jak wysoko, jak nisko, jak bardzo w prawo czy w lewo - to tak, jakbyśmy nanosili ruch na mapę. Poza tym na poziomym wymiarze możemy zaznaczać upływ czasu, a na pionowym pojedynczy kierunek lotu. Powstaną wtedy krzywe, odzwierciedlające przemieszczanie się przedmiotu w powietrzu. Następnie styczne nakreślone do takiego łuku, wskażą nam prędkość samej prędkości. Mierzymy zatem wszystko, co się da, i zaznaczamy kolejne wyniki. To tak, jakbyśmy w dużym domu przechadzali się po pokojach, a każdy z nich miałby inną objętość, jak szklane kolby, w zależności od ich szerokości i wysokości. W naszym przypadku zmiennymi będą odległość i czas. Badamy cząstki ruchu, rozumiecie? Cały zbiór pojedynczych ruchów.

- W ten sposób dałoby się precyzyjnie opisać lot kuli armatniej -powiedział Khalid.

- Zgadza się, do tego o wiele prościej niż innych przedmiotów, ponieważ kula armatnia pokonuje drogę w jednej płaszczyźnie, po luku, zupełnie inaczej niż na przykład szybujący orzeł lub człowiek przy swoich codziennych zajęciach, aby opisać taki ruch potrzebowalibyśmy matematyki, która... - Iwang się zamyślił i gdzieś odpłynął, po chwili otrząsnął się - o czym to ja mówiłem?

- O kulach armatnich.

- Tak! Najprawdopodobniej da się wyliczyć tor ich lotu, zgadza się.

- To znaczy, znając prędkość kuli przy wylocie z lufy...

- ...moglibyśmy z dużą dokładnością przewidzieć, gdzie wyląduje.

- Powinniśmy o tym porozmawiać z Nadirem.

Khalid opracował zestaw tabel do obliczania ognia armatniego, zawierający precyzyjne wykresy torów lotu pocisków, a Iwang dołożył niewielką tybetańską książkę ze szczegółowymi obliczeniami. Przedmioty te złożyli w misternie rzeźbionej, stalowo-drewnianej szkatule, inkrustowanej srebrem, turkusem i lapisem lazuli. Dołączyli do niej przepiękny napierśnik z damasceńskiej stali i wszystko to zanieśli do gmachu Kha-naka w Bucharze, aby podarować chanowi. Wzór na stalowym prostokącie pośrodku napierśnika układał się w niemal ruchomy wir szarej i białej stali, pokrytej delikatnym deseniem, będącym efektem trawienia kwasem siarkowym i innymi substancjami żrącymi. Khalid nazwał to zdobienie “Wirem Zerawszanu", gdyż rzeczywiście przypominał on wir rzeczny, utrzymujący się w niedużej odległości od fundamentów mostu Dagbit, przy wysokim stanie wody. Było to jedno z najwspanialszych dzieł sztuki kowalstwa, jakie Bahram kiedykolwiek oglądał. Wydawało mu się, że napierśnik i zdobiona szkatułka, kryjąca w sobie matematykę Iwanga, to niezwykle imponujące dary dla Seida Abdula Aziza.

Na audiencję u chana Bahram i Khalid ubrali się w odświętne stroje. Dołączył do nich Iwang w ciemnoczerwonej szacie i w stożkowej, skrzydlatej czapce tybetańskiego mnicha - byt przecież wysoko cenionym lamą. Darczyńcy prezentują się równie wspaniale, co i dary, myślał Bahram. Kiedyś, będąc w Registanie,

pod szerokim sklepieniem łukowym krytej zlotem medresy Tillja Kari, czul się o wiele skromniej. Lecz kiedy tylko weszli do pałacu, od razu poczuł się dość pospolicie, a nawet nędznie, jakby wszyscy troje byli tylko dziećmi udającymi dworzan lub po prostu zwykłymi wieśniakami.

Chan był uszczęśliwiony napierśnikiem i wysoko ocenił umiejętności artystyczne Khalida, założył nawet zbroję na szaty i wcale nie chciał jej zdejmować. Długo też podziwiał szkatułkę, podając Nadirowi papiery ze środka.

Po kilku chwilach podziękowano im, a Nadir poprowadził ich do ogrodu w Tillja Kari. Przeglądnąwszy wykresy, stwierdził, że są bardzo interesujące i że z chęcią przyjrzy im się bliżej i wszystko przedyskutuje. Tymczasem doniesiono chanowi, że po wyżłobieniu spiral wewnątrz luf armatnich jedna z nich eksplodowała przy wystrzale, a pozostałe straciły zasięg. Nadir poprosił więc Khalida, aby odwiedził rusznikarzy i porozmawiał z nimi. Khalid skinął głową, lecz Bahram dobrze wiedział, co staruszek sobie pomyślał - znów zostanie odciągnięty od tego, co tak naprawdę chciał robić. Nadir tego nie dostrzegał, choć uważnie przyglądał się twarzy Khalida, wręcz przeciwnie, ciągnął pogodnie dalej, mówiąc, że chan docenia wielką mądrość i zdolności Khalida i że wszyscy ludzie chanatu i całego Dar al-Islam będą mu wiele zawdzięczać, jeśli, na co wszystko wskazywało, jego wysiłki przyczynią się do ostatecznego rozprawienia się z Chińczykami, którzy ponoć koncentrowali się za zachodnimi granicami imperium. Khalid skłonił się posłusznie.

W drodze powrotnej, biegnącej wzdłuż rzeki, Khalid był

zdenerwowany.

- Cała wyprawa na nic.

- Tego jeszcze nie wiadomo - powiedział Iwang, a Bahram mu przytaknął.

- Wszystko wiadomo. Wiadomo, że chan to... - westchnął - a Nadir traktuje nas jak służących.

- Wszyscy jesteśmy służącymi chana - przypomniał mu Iwang. To go uciszyło.

Zbliżając się do Samarkandy, minęli ruiny starego Afrasiab.

- Żeby znów kiedyś zapanowali tu królowie sogdiańscy. Khalid pokręcił głową.

- To nie są ruiny Sogdiany tylko Marakandu, który stał tu przed Afrasiabem. Aleksander Wielki nazwał je najpiękniejszym miastem, jakie kiedykolwiek zdobył.

- I spójrz, jak wygląda dzisiaj - powiedział Bahram - dookoła tylko zakurzone fundamenty i powalone ściany.

- Samarkanda też kiedyś będzie tak wyglądać - powiedział Iwang.

- Więc nie ma najmniejszego znaczenia, czy na każde kiwnięcie palcem Nadira stawimy się, czy nie - warknął Khalid.

- No cóż, to też się kiedyś skończy - odparł Iwang

Klejnoty na niebie

Spełnianie próśb Nadira zajmowało Khalidowi coraz więcej czasu, a wraz z jego upływem staruszek tracił spokój. Pewnego dnia zjawił się u Nadira z propozycją budowy systemu odpływowego pod Bucharą i Samarkanda, aby odprowadzić wodę ze stojących jezior, otaczających oba miasta, a zwłaszcza Bucharę. Dzięki temu można

było uniknąć zanieczyszczenia wody pitnej, zmniejszyć liczbę moskitów i zachorowań oraz zabezpieczyć się przed zarazą, o której opowiadali karawaniarze, że pustoszy niektóre części Sindhu. Khalid zalecał obejmować kwarantanną wszystkich przyjezdnych, który przynosili takie wieści, i opóźniać przyjazdy karawan z terenów dotkniętych zarazą. Wszystko to miałoby się odbywać w trosce o czystość i bezpieczeństwo miasta -oczyszczające opóźnienie, podobne do duchowego oczyszczenia w trakcie ramadanu.

Nadir oczywiście odrzucił wszystkie jego pomysły. Podziemny system rur, mimo iż szeroko rozpowszechniony w Persji już od czasów inwazji Mongołów, był w tym momencie zbyt drogim przedsięwzięciem. Khalida poproszono o pomoc w zakresie zbrojeń, a nie fizyki. Poza tym Nadir stwierdził, że na fizyce mało się zna.

Khalid powrócił więc do kompleksu i wszystkich swoich ludzi zapędził do pracy nad artylerią dla chana, nadal traktując każdy aspekt rusznikarstwa w kategoriach doświadczenia, lecz niestety wyłączając ze swego podejścia jakiekolwiek próby dociekania pierwotnych przyczyn, jak je sam nazywał. Może za wyjątkiem zjawisk związanych z ruchem. Pracował z Iwangiem nad wzmocnieniem stopów i używał jego matematyki w badaniach nad torem lotu kul armatnich, wypróbował też kilka sposobów na nadanie kulom stabilnej rotacji.

Wszystko to odbywało się w atmosferze zniechęcenia i złego humoru. Tylko popołudniami, po drzemce i posiłku, lub wieczorami,

po paleniu nargilli z jednej ze stojących fajek wodnych, Khalid odzyskiwał spokój i zajmował się własnymi eksperymentami z bańkami mydlanymi i pryzmatami, pompami i wagą rtęciową. Jeśli potrafisz zmierzyć ciężar powietrza, powinieneś również być w stanie zmierzyć gorąco, temperatury o wiele wyższe niż możemy określić, nie parząc się przy tym dotkliwie.

Teraz Nadir wysyłał już swoich ludzi co miesiąc po najnowsze wieści z pracowni Khalida, a od czasu do czasu wpadał również osobiście i bez uprzedzenia, czym wywoływał istny popłoch w całym kompleksie, niczym powódź w mrowisku. Khalid był zawsze grzeczny i posłuszny, lecz później gorzko się żalił Bahramowi na te comiesięczne prośby o nowinki, zwłaszcza teraz, kiedy właściwie nic nowego nie mieli.

- Myślałem, że już uciekłem przed klątwą, kiedy Fedwa przeszła menopauzę - mruknął.

Na domiar złego, te niemiłe wizyty zaczęły niszczyć jego relacje z me-dresą, gdyż zakładano, że skarbnik faworyzował Khalida, który nie mógł przecież ryzykować, opowiadając, jak było naprawdę. Zaczęły się zimne spojrzenia, unikanie na bazarze i w meczecie, a nawet kilka przypadków rażącej służalczości. To go mocno irytowało, a czasem wpadał w istną furię:

- Trochę władzy i od razu widać, jacy ludzie są okropni.

Aby uchronić go przez ponownym popadnięciem w melancholię, Bah-ram buszował po karawanserajach w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby staruszka pocieszyć. Odwiedzał głównie Hindusów, lecz przede wszystkim Ormian, a czasem też Chińczyków i wracał z

książkami, kompasami i zegarami, a raz nawet z astrolabium, które wykazywało, że sześć planet poruszało się po orbitach dających się wpisać w wielokąty. Z każdą kolejna planetą wielokąt upraszczał się o jeden bok i tak Merkury krążył wewnątrz dekagonu, Wenus nonagonu, na tyle dużego, że mieścił w sobie dekagon, Ziemia wewnątrz oktagonu, obejmującego nonagon i tak dalej aż do Saturna, który krążył wewnątrz wielkiego kwadratu. Przyrząd ten zafascynował Khalida i wywołał całonocne dyskusje z Iwangiem i Zaharem o rozmieszczeniu i zachowaniu się planet wokół Słońca.

Nowe zainteresowanie astronomią szybko zajęło miejsce innych zajęć Khalida, stając się jego pasją, zwłaszcza po tym, jak Iwang pokazał kolejny ciekawy przyrząd, wykonany w warsztacie. Była to długa, srebrna tuba, pusta w środku i zamknięta z obu stron soczewkami. Kiedy się przez nią patrzyło, rzeczy zdawały się być o wiele bliżej niż w rzeczywistości, a ich szczegóły były jeszcze bardziej wyraziste.

- Jak to działa? - chciał wiedzieć Khalid, spoglądając przez tubę. Na jego twarzy malowało się dziecinne zdziwienie, podobne do tego, jakie mają kukiełki sprzedawane na bazarze, niewinne i radosne. Bahram czul się wspaniale, mogąc go znów takim widzieć.

- Na tej samej zasadzie, co pryzmaty? - zasugerował niepewnie Iwang.

Khalid potrząsnął głową.

- Nie to, że widzę przedmioty powiększone i przybliżone, lecz to, że dostrzegam o wiele więcej szczegółów. Jak to się dzieje?

- Szczegóły są tam cały czas i docierają do nas wraz ze światłem

-powiedział Iwang - lecz nasze oko zdolne jest do rozpoznania jedynie części z nich. Przyznaję, że też jestem zaskoczony. Wiadomo przecież, że wzrok człowieka słabnie z wiekiem, szczególnie jeśli chodzi o widzenie z bliska, sam jestem na to przykładem. Wykonałem więc dla siebie pierwszy zestaw soczewek, których chciałem użyć jako okularów, no wiesz, dwie soczewki w drucianej oprawie, noszone na nosie. Podczas ich montażu spojrzałem przypadkowo przez obie soczewki naraz, trzymając je w jednej linii - uśmiechał się, wykonując opisywany gest - szczerze mówiąc, nie mogłem usiedzieć na miejscu i musiałem jak najprędzej zapytać was, czy widzicie to samo co ja. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Khalid znów spojrzał przez przyrząd.

Teraz więc zaczęli się wszystkiemu przyglądać. Obserwowali odlegle łańcuchy górskie, ptaki w locie, nadciągające karawany. Wkrótce zaprezentowano szkła Nadirowi, któremu ich militarne zastosowanie wydało się oczywiste. Przyjął jeden egzemplarz, zdobiony granatami, jako dar dla chana, i po niedługim czasie doszła ich wieść, że władca był zadowolony. To oczywiście w żaden sposób nie ograniczyło obecności chanatu w kompleksie, wręcz przeciwnie, przy każdej wizycie Nadir, niby mimochodem, powtarzał, że z niecierpliwością oczekuje się od Khalida kolejnych udoskonaleń, jako że Chińczycy zaczęli się burzyć i nigdy nie wiadomo, co może zdarzyć się dalej.

- To się nigdy nie skończy - powiedział Khalid, kiedy Nadir sobie poszedł - to jest jak pętla, która z każdym twoim ruchem coraz

bardziej się zaciska.

- Karm go małymi porcjami swoich wynalazków - zasugerował Iwang. - Będzie miał wrażenie, że jest ich więcej.

Khalid posłuchał jego rady i dzięki temu znacznie zyskał na czasie. Teraz pracowali razem nad przeróżnymi rzeczami, które według nich mogły wspomóc oddziały chana na polu walki. Khalid oddawał się dociekaniom pierwotnych przyczyn już tylko nocami, kiedy testowali nową lunetę do obserwacji gwiazd, a później tego samego miesiąca, również Księżyca, którego powierzchnia okazała się skalista, górzysta i opustoszała, pokryta niezliczoną ilością kraterów, jakby przetrwała ostrzał artyleryjski armii jakiegoś arcycesarza. Tamtej pamiętnej nocy spojrzeli przez lunetę na Jowisza. Obserwując go, Khalid rzekł:

- Na Boga! Przecież to też jest świat. Opasany własnymi równoleżnikami - a spójrz tam! Te trzy jasne punkty jaśniejsze od gwiazd. Czy to mogą być księżyce Jowisza?

Prawdopodobnie tak było. Krążyły wokół Jowisza dość szybko, te bliżej jego powierzchni poruszały się jeszcze szybciej, niczym planety wokół Słońca. Wkrótce Khalid i Iwang zaobserwowali czwarty kulisty obiekt i rozrysowali dokładnie wszystkie cztery orbity, aby ułatwić kolejnym obserwatorom zrozumienie obrazu w lunecie. Następnie zebrali obserwacje w jeden wolumin i przekazali w darze dla chana - darze pozbawionym zastosowania wojennego, ale wiedzieli, że bardzo mu się spodoba. Odkrytym księżycom nadali bowiem imiona czterech najstarszych żon chana. Podobno powiedział wówczas:

- Klejnoty na niebie! Dla mnie!

Kto obcy, a kto swój

Oczywiście były w mieście grupy, które za nimi nie przepadały. Kiedy Bahram przechodził przez Registan, czuł na sobie pogardliwe spojrzenia ludzi, słyszał urywające się lub rozpoczynające rozmowy. Zrozumiał wówczas, że bez względu na to, jak neutralnie by się nie zachowywał, i tak będą go postrzegali jako członka koterii czy kliki. Był spokrewniony z Khalidem, który trzymał z Iwangiem i Zaharem, lecz wszyscy razem stanowili przedłużenie władzy Nadira Divanbegi. Byli jego sprzymierzeńcami, nawet jeśli zostali do tego zmuszeni i na siłę wtłoczeni w taką rolę - jak miazga drzewna ściśnięta w prasie papierniczej - nawet jeśli go nienawidzili. Wielu ludzi w Samarkandzie nienawidziło Nadira nawet bardziej sam niż Kha-lid, niestety Khalid znajdował się pod jego protekcją, a więc automatycznie był wrogiem. Do najmniej mu życzliwych zaliczali się krewni uśmierconych, uwięzionych i wygnanych przeciwników chana lub wielcy przegrani dawnych pałacowych przepychanek. Chan miał również wielu innych doradców - dworzan, generałów, bliskich krewnych - każdy z nich zazdrościł drugiemu udziału w łaskach władcy i wszyscy zazdrościli Nadirowi jego ogromnych wpływów. Bahram słyszał kiedyś jakieś plotki o zawiązującym się spisku przeciwko Nadirowi, lecz nigdy nie poznał szczegółów. To, że z powodu ich przymusowego związku z Nadirem mogli mieć kło-poty w innych kręgach, uderzyło go jako wielka niesprawiedliwość, zwłaszcza, że sama z nim znajomość była wystarczającym ciężarem.

Pewnego dnia owo przeczucie ukrytej obecności wrogów w końcu się urzeczywistniło. Bahram właśnie przyszedł w odwiedziny do Iwan-ga, kiedy nagle w drzwiach warsztatu Tybetańczyka pojawiło się dwóch kadich, których Bahram nigdy wcześniej nie widział, a za nimi jeszcze dwóch żołnierzy chana i mała grupa ulemów z medresy Tillja Kari. Zażądali od Iwanga kwitów podatkowych.

- Nie jestem dhimmim - powiedział Iwang z niewzruszonym spokojem.

Dhimmiowie, czyli ludzie objęci paktem, to ci spośród niewierzących, którzy urodzili się i żyli na terenie chanatu. Byli oni prawnie zobowiązani do uiszczania specjalnego podatku. Islam byt religią sprawiedliwości, wszyscy muzułmanie byli równi w obliczu Boga i w obliczu prawa, co nie odnosiło się tylko do kobiet, niewolników i dhimmiów. Tylko dhimmiowie mogli w łatwy sposób zmienić swój status, wystarczyło, że zdecydują się przejść na prawdziwą wiarę. Dawniej wszystkich pogan obowiązywało tylko jedno prawo: “Księga albo miecz" i jedynie lud księgi, czyli żydzi, zoroastrianie, chrześcijanie i sabianie mogli pozostać przy swojej wierze, jeśli oczywiście tego chcieli. Teraz jednak najrozmaitsi poganie mogli trwać przy swoich wyznaniach, musieli tylko zarejestrować się u kadiego i uiszczać opłatę dhimma.

To wszystko było dla nich jasne i zwyczajne. Jednak odkąd na perskim tronie zasiadała szyicka dynastia Safawidów, sytuacja prawna dhimmiów pogorszyła się, zwłaszcza tam, gdzie szyiccy mułłowie tak bardzo troszczyli się o zachowanie czystości; czasami zdarzało się to też w niektórych chanatach wschodnich. Nigdy o

tym głośno nie mówiono. Iwang kiedyś słusznie zauważył, że podatek ten, przynajmniej w części był ceną za niepewność ludzi sprawujących władzę.

- Zatem nie jesteś dhimmim? - zapytał ze zdziwieniem jeden z kadich.

- Nie. Pochodzę z Tybetu. Jestem mustaminem.

Mustamini byli gośćmi z zagranicy, którym udzielano okresowego pozwolenia na pobyt na ziemiach muzułmańskich.

- Masz swój aman?

- Mam.

Chodziło o dokument gwarantujący bezpieczeństwo, wydawany mu-staminom i przedłużany każdego roku w gmachu Khanaka. Z tylnego pomieszczenia Iwang przyniósł pergaminowy arkusz i podał go kadim. U dołu dokumentu znajdowało się kilka lakowych pieczęci, więc kadio-wie uważnie zbadali każdą z nich.

- Ależ on jest tu już od ośmiu lat! - zauważył z wyrzutem jeden z nich. - To o wiele dłużej niż zezwala prawo.

Iwang tylko wzruszył ramionami:

- Pozwolenie prolongowano tej wiosny.

Zapadła głęboka cisza, a mężczyźni jeszcze raz sprawdzili wszystkie pieczęcie pod dokumentem.

- Mustamin nie może posiadać nieruchomości - rzeki następny.

- Czy jesteś właścicielem tego warsztatu? - zapytał najwyższy kadi, nie kryjąc już zaskoczenia.

- Nie - odpowiedział Iwang - oczywiście, że nie. Tylko dzierżawię.

- Za comiesięczną opłatą?

- Odkąd przedłużono mi aman, wydzierżawiłem na cały rok z góry.

- Skąd pochodzisz?

- Z Tybetu.

- Masz tam swój dom?

- Tak, w Iwang.

- Posiadasz rodzinę?

- Braci i siostry. Żadnych żon ani dzieci.

- Kto zatem mieszka w twoim domu?

- Siostra.

- Kiedy zamierzasz wrócić? Krótkie milczenie.

- Nie wiem.

- To znaczy, nie planujesz powrotu do Tybetu?

- Nie. Planuję wrócić, ale interes ostatnio toczy się świetnie. Siostra przysyła surowe srebro, a ja wytwarzam z niego różne przedmioty i sprzedaję. Jesteśmy przecież w Samarkandzie.

- Tutaj interes zawsze będzie dobrze szedł! Po cóż miałbyś kiedykolwiek wyjeżdżać? Powinieneś być dhimmim, mieszkasz tutaj na stale, jesteś niewierzącym poddanym chana.

Iwang wzruszył ramionami i wskazał dłonią na dokument. Miał go tylko dzięki zmianom wprowadzonym do chanatu przez Nadira, które, jak wydawało się Bahramowi, wypływały z samego serca islamu. Zarówno dhimmiowie jak i musamini byli chronieni przez prawo, każdy z nich na swój sposób.

- On przecież nawet nie należy do ludu księgi - rzekł z

oburzeniem jeden z kadich.

- W Tybecie mamy wiele ksiąg - powiedział spokojnie Iwang, jakby nie zrozumiał jego słów.

Kadiowie poczuli się obrażeni.

- Jakiego jesteś wyznania?

- Jestem buddystą.

- Nie wierzysz zatem w Allaha i nie modlisz się do Allaha? Iwang nie odpowiedział.

- Buddyści są politeistami - powiedział jeden z nich - jak poganie, których Mahomet nawracał w Arabii.

Bahram wystąpił naprzeciw nich.

- Religia nie jest przymusem - zaczął recytować z emfazą. – Dla ciebie twoja religia, a dla mnie moja. Tego właśnie uczy nas Koran!

Goście obrzucili go chłodnym spojrzeniem.

- Ty też nie jesteś muzułmaninem?

- Oczywiście, że jestem! Wiedziałbyś o tym, gdybyś chodził do meczetu Szir Dar! Nigdy cię tam nie widziałem! Gdzie się modlisz w piątki?

- W Tillja Kari - odpowiedział już wyraźnie rozzłoszczony kadi. To dość ciekawa informacja, jako że medresa w Tillja Kari była centrum szyickiej grupy uczonych, sprzeciwiającej się Nadirowi.

- “Al-kufou millatun wahida" - powiedział któryś z nich. Był to kontrcytat, jak je nazywali teologowie, “Niewiara jest jedną religią".

- Tylko digarazowie mogą formułować zarzuty wobec prawa - odciął się ostro Bahram. Digaraz to ten, który zabiera głos, nie mając złych zamiarów i nie chowając urazy, bezstronny muzułmanin. - Ty

się do nich z pewnością nie zaliczasz!

- Ani ty, młodzieńcze.

- No zbliż się tylko! Kto cię przysłał? Kto dał ci moc podważania prawa amanu? Precz stąd, ale już! Nie macie pojęcia, ile ten człowiek robi dla Samarkandy! W ten sposób napadacie na samego Seida Abdu-la, napadacie na islam! Wynoście się stąd!

Kadiowie stali nieruchomo, lecz ich spojrzenia wyrażały coraz większy dystans.

- Porozmawiamy następnej wiosny - powiedział ich przywódca, spoglądając na aman Iwanga. I jednym skinieniem ręki, dokładnie tym samym gestem, co chan, wyprowadził swoich ludzi na zewnątrz i dalej poprzez wąskie aleje bazaru.

Jeszcze przez dłuższą chwilę przyjaciele stali w pustym warsztacie, nie odzywając się, ogarnięci dziwnym poczuciem skrępowania. W końcu Iwang westchnął:

- Czyż Mahomet nie ustanowił praw regulujących sposób traktowania ludzi w Dar al-Islam?

- To Bóg je ustanowił, Mahomet tylko je przekazał.

- Wszyscy wolni ludzie równi wobec prawa. Kobiety, dzieci, niewolnicy i niewierzący są jednak mniej uprzywilejowani.

- Wszystkie istoty są równe i prawo gwarantuje im konkretne przywileje.

- Lecz nie aż tyle, ile wolnym muzułmanom.

- Nie są na tyle silni, by udźwignąć więcej praw. Wolni muzułmanie, stojący na straży prawa Bożego, mają ich pod swoją opieką.

Iwang wydął usta i po chwili rzeki:

- Bóg jest siłą poruszającą się we wszystkim, kształtem przedmiotów w ruchu.

- Bóg jest przepełniającą wszystko miłością - zgodził się Bahram. -Tak mówią sufiowie.

Iwang skinął głową.

- Bóg jest matematykiem. Wielkim i niezwykle subtelnym matematykiem. Nasze ciała mają się do naszych prymitywnych pieców i destylatorów tak jak boska matematyka do naszej.

- Więc jednak uważasz, że Bóg istnieje? Wydawało mi się, że Budda zaprzeczył istnieniu jakiegokolwiek Boga.

- Nie wiem. Myślę, że wielu buddystów nie zgodziłoby się z tym. Ponoć jesteśmy źródłami tryskającymi z próżni. Sam nie wiem. Skąd zatem wzięła się matematyka, jeżeli wszystko, co widzimy, zatopione

- jest w próżni? Wydaje mi się, że to wszystko może być wynikiem jakichś wyższych przemyśleń.

Bahram był zaskoczony, słysząc takie słowa od Iwanga. Nie był również do końca pewny ich szczerości, biorąc pod uwagę niedawne wydarzenia z kadimi z Tillja Kari. To, co mówił, miało jednak głęboki sens, zwłaszcza że było całkowicie niemożliwe, aby tak cudowna i skomplikowana rzecz jak świat mogła istnieć bez jakiegoś wszechwładnego i kochającego Boga, Stwórcy.

- Powinieneś pójść kiedyś ze mną do wspólnoty sufickiej i posłuchać słów mojego nauczyciela - powiedział w końcu Bahram, uśmiechając się na samą myśl o obecności olbrzymiego

Tybetańczyka w ich grupie; choć prawdopodobnie jego nauczycielowi spodobałoby się to.

Bahram wrócił do kompleksu, mijając zachodni karawanseraj, gdzie hinduscy handlarze rozbili pachnący kadzidłami i herbatą z mlekiem obóz. Bahram załatwił u nich resztę swoich sprawunków, kupując pachnidła i worki z kalcynowanymi minerałami dla Khalida. I wtedy dostrzegł Dola, swojego znajomego z Ladakh. Podszedł do niego, zasiadł z nim i wspólnie popijali herbatę, a później rakszi, przyglądając się rozłożonym na straganach przyprawom i figurkom z brązu. Bahram wskazał dłonią na misternie rzeźbione statuetki.

- To są twoi bogowie?

Zaskoczony Doi spojrzał na niego radosnym wzrokiem:

- Owszem, niektóre z nich przedstawiają bóstwa. To jest Siwa, to Kali niszczycielka, a to Ganesa.

- Bóg słoń?

- W ten sposób go wizualizujemy. Jest wiele różnych form.

- Ale żeby słoń?

- Widziałeś kiedykolwiek słonia? -Nie.

- To bardzo imponujące zwierzęta.

- Wiem, że są duże.

- To coś więcej niż tylko ich rozmiar. Bahram upił tyk herbaty.

- Sądzę, że Iwang mógłby nawrócić się na islam.

- Ma problemy z amanem? - Doi roześmiał się, widząc wyraz twarzy Bahrama, po czym podsunął mu czarkę z rakszi.

Bahram wypił dla towarzystwa i nadal drążył poruszony przez

siebie temat.

- Uważasz, że można zmienić swoją religię?

- Wielu ludziom się to udało.

- A ty byś potrafił? Umiałbyś powiedzieć, że jest tylko jeden Bóg? -zapytał, wskazując na figurki.

Doi uśmiechnął się.

- Wszystkie te rzeźby obrazują różne aspekty Brahmana. Za tym wszystkim stoi wielki Bóg Brahman, w nim wszystko jest jednią.

- Zatem Iwang też mógłby tak uważać. A może on już od dawna wierzy w jednego Boga, w Boga wszystkich Bogów?

- Bardzo możliwe. Bóg na różne sposoby objawia się ludziom. Bahram westchnął.

Trujące powietrze

Bahram przeszedł przez bramę kompleksu i od razu skierował się do Khalida, aby opowiedzieć mu o incydencie, który wydarzył się u Iwanga. Nagle z hukiem otworzyły się drzwi pracowni chemicznej, z której wypadli mężczyźni, a za nimi krzyczący Khalid w gęstej chmurze żółtego dymu. Bahram zawrócił w stronę domu, z zamiarem ratowania Esmerine i dzieci, oni jednak, właśnie w tej chwili, przecinali biegiem dziedziniec. Puścił się pędem za nimi i razem wybiegli przez główną bramę. Wszyscy wrzeszczeli przerażeni, a kiedy żółta chmura opadła na nich, padli na ziemię i pierzchali na czworakach jak szczury, kaszląc, łzawiąc, dusząc się i plując. Stoczyli się ze zbocza, oczy i krtanie płonęły żywym ogniem, a płuca rozsadzał żrący odór trującej, żółtej chmury. Większość ludzi poszła za przykładem Khalida i zanurzała głowy w rzece.

Kiedy chmura rozproszyła się i Khalid nieco ochłonął, brzmiały już tylko jego przekleństwa.

- Co to było? - krzyknął Bahram, kaszląc.

- Eksplodował tygiel z kwasem, przeprowadzaliśmy doświadczenie.

- Jakie doświadczenie?

Khalid nie odpowiedział. Pieczenie błon śluzowych powoli ustępowało. Zmoknięta i niewesoła załoga ruszyła z powrotem do kompleksu. Khalid wyznaczył ludzi do posprzątania pracowni, po czym Bahram poszedł razem z nim do jego gabinetu, gdzie staruszek przebrał się, umył i sporządził notatki w wielkiej księdze, prawdopodobnie odnośnie, nieudanej próby.

Ponieśli porażkę, ale nie całkowitą. Tak się przynajmniej wydawało Bahramowi, kiedy z mamrotania Khalida zaczął wyławiać konkretne informacje.

- Co chciałeś zrobić?

Khalid nie odpowiedział wprost i zamiast tego rzekł:

- Jestem niemal pewny, że istnieją różne rodzaje powietrza. Być może są to różne jego składniki, jak w przypadku metali, lecz niewidoczne dla oka. Czasami wyczuwamy różnicę powonieniem. Niektóre z nich mogą być zabójcze, jak na przykład na dnie głębokich studni. Nie chodzi w tych przypadkach o brak powietrza, lecz o obecność trującego powietrza lub jakiejś jego części, z pewnością tej najcięższej. Podczas destylacji i procesów spalania można tłumić i zwiększać ogień... Pomyślałem sobie, że poprzez połączenie chlorku amonowego z saletrą i siarką otrzymam nowy

rodzaj powietrza. No i otrzymałem, lecz niestety nieco więcej niż się spodziewałem. To było jak eksplozja i to do tego trująca, o czym sami się przekonaliśmy - mówił, pokasłując. - To niczym receptura wan-jen-ti sporządzona przez chińskich alchemików. Iwang przetłumaczył to jako “pogromca miriadów". Sądzę, że mógłbym pokazać Nadirowi tę reakcję i zaproponować ją jako broń. Podejrzewam, że dałoby się tym zabić całą armię.

Przemyśleli jego słowa w milczeniu.

- No cóż - powiedział Bahram - dzięki temu z pewnością umocniłoby to jego pozycję w oczach chana.

Następnie Bahram opowiedział mu, co wydarzyło się u Iwanga.

- A więc uważasz, że Nadir ma kłopoty na dworze? -Tak.

- I myślisz, że Iwang przejdzie na islam?

- Coś na ten temat wspominał.

Khalid roześmiał się, po czym kaszlnął boleśnie.

- To byłoby bardzo dziwne.

- Nie należy śmiać się z ludzi.

- Coś mi mówi, że Iwang nie miałby nic przeciwko.

- A wiedziałeś, że Iwang to nazwa jego rodzinnego miasta?

- Nie, a to prawda?

- Tak. Przynajmniej tak powiedział. Khalid wzruszył ramionami.

- To znaczy tylko tyle, że nie znamy jego prawdziwego imienia -znów wzruszył ramionami. - Nikt z nas nie zna swojego prawdziwego imienia.

Miłość wielka jak świat

Jesienne żniwa rozpoczęły się i skończyły. Karawanseraje

pustoszały na zimę, kiedy to śnieg zamykał przełęcze na wschodzie. Przez kolejne dni Iwang urozmaicał Bahramowi czas swoją obecnością w sufickim ribacie, gdzie zasiadał z tyłu i uważnie przysłuchiwał się wszystkiemu, co mówił stary mistrz Ali. Sam zabierał głos bardzo rzadko i tylko po to, aby zapytać o najprostsze rzeczy, najczęściej o znaczenie jakichś słów. Terminologia suficka przejęła wiele słów z arabskiego i perskiego i choć Iwang płynnie posługiwał się sogdiańsko-tureckim, to jednak język religijny był dlań całkowicie niezrozumiały. W końcu mistrz Ali dał Iwangowi leksykon sufickich terminów technicznych, istilahat, autorstwa Asnariego, zatytułowany *Sto pól i miejsc odpoczynku,* opatrzony wstępem, który kończył się następującym zdaniem: “Żaden termin nie opisze adekwatnie prawdziwej esencji duchowych stanów sufich, niemniej jednak terminy te są całkowicie zrozumiałe dla tych, którzy stanów tych doświadczyli".

Bahram czuł, że właśnie to stanowiło największy problem Iwanga - że nie doświadczył opisywanych stanów.

- Całkiem możliwe - zgodził się z nim Iwang. - No więc w jaki sposób miałbym je osiągnąć?

- Poprzez miłość - odpowiadał Bahram. - Musisz obdarzać wszystko miłością, a ludzi przede wszystkim. Zobaczysz, że to miłość wprawia wszystko w ruch.

Iwang wydął wargi.

- W parze z miłością idzie nienawiść. To dwie strony nadmiaru uczucia. Bardziej współczucie niż miłość, ono wydaje mi się lepszym rozwiązaniem. Współczucie nie ma drugiego, złego

oblicza.

- A obojętność? - zasugerował Bahram.

Iwang kiwał głową, przemyśliwując jego słowa. Bahram zastanawiał się, czy Tybetańczykowi uda się wypracować właściwy pogląd. Jego

własna miłość była niczym silny strumień źródła artezyjskiego bijącego w górach. Było to uczucie, jakim darzył żonę, dzieci i Allaha, który pozwolił mu prowadzić żywot pośród tak pięknych dusz - nie chodziło jedynie o ich trojga, lecz również o Khalida, Fedwę i wszystkich ich krewnych, o wspólnoty kompleksu, meczetu, ribatu, Szir Dar, Samarkandy i całego świata, w chwilach kiedy tak mocno go odczuwał. Iwang nie miał niestety łatwego startu. Był samotny i, o ile Bahram się orientował, bezdzietny, a na dodatek niewierny, więc w jaki sposób miał zacząć odczuwać bardziej uniwersalną i wszechprzenikającą miłość, skoro nawet ta najbardziej konkretna była dla niego niedostępna?

- Serce, które jest władcą intelektu, nie jest tym, które bije w naszych piersiach - zwykł mawiać Ali. Wystarczy, że spróbuje otworzyć swoje serce na Boga, a miłość sama na niego spłynie. Iwang potrafił się szybko wprowadzać w stan głębokiej relaksacji i kontemplować świat w trakcie długich chwil milczenia, kiedy po nocach spędzonych w pracowni, zasiadał na zewnątrz twarzą w stronę wschodzącego słońca. Ze dwa razy Bahram towarzyszył mu w takiej scenerii. Raz, zainspirowany bezwietrznym, złocistym niebem, zacytował Rumiego.

Jakaż cisza w izbie mego serca. Serce jak domowy ogień Sercem

świat objąłem.

Iwang odezwał się dopiero po tym, jak słońce padło na wschodnie grzbiety i skąpało doliny w żółtawym świetle:

- Ciekawe, czy świat jest tak wielki, jak twierdził Brahmagupta.

- To ten, który twierdzi, że Ziemia jest okrągła?

- Zgadza się, a widać to na przykład na stepach, kiedy wzdłuż horyzontu ciągną się długie karawany. Znajdujemy się na powierzchni ogromnej kuli.

- Serca samego Boga.

Iwang nie odpowiedział. Pokiwał tylko głową, co znaczyło, że był innego zdania, ale nie chciał oponować. Bahram odpuścił i zapytał o szacunkowe rozmiary Ziemi, jakie podawali Hindusi, co znacznie bardziej interesowało Iwanga.

- Brahmagupta zaobserwował, że słońce docierało na dno pewnej studni w Dekanie tylko jeden dzień w roku. Następnego roku, w ten sam dzień, ulokował się tysiąc yoganda na północ od studni i zmierzył kąty padania cienia, po czym używając geometrii sferycznej, obliczył, jaki procent koła stanowi ten tysiącyoganandowy łuk. Bardzo proste, a jakież ciekawe.

Bahram pokiwał głową. Tybetańczyk z pewnością miał rację, lecz prawda jest taka, że człowiek zawsze będzie mógł oglądać tylko maty wycinek tej powierzchni. W tej chwili Iwang potrzebował iluminacji, potrzebował miłości. Bahram zaprosił go więc do siebie, aby wspólnie z jego rodziną zjedli posiłek, aby mógł przyjrzeć się Esmerine, jak podaje do stołu i jak uczy dzieci dobrych manier. Dzieci były przyjemnością samą w sobie - ich lśniące oczy, takie

duże, kiedy przerywały zabawy, aby ze zniecierpliwieniem wysłuchać napomnień Esmerine. Nawet ich niekończące się gonitwy po całym kompleksie sprawiały wszystkim radość. Widząc to, Iwang kiwał głową.

- Jesteś szczęśliwym człowiekiem - zwrócił się do Bahrama.

- Wszyscy jesteśmy szczęśliwymi ludźmi - odparł Bahram i Iwang przyznał mu rację.

Bogini i prawo

Równolegle ze studiami religijnymi Iwang przeprowadzał z Khalidem dalsze badania. Większość wysiłku wkładali w projekty dla Nadira i chana. Jak dotąd opracowali dla armii długodystansowy system sygnalizacji, w którym wykorzystali zestawy zwierciadeł i niewielkich teleskopów. Ponadto odlewali coraz większe i coraz cięższe armaty i konstruowali do nich gigantyczne wozy, przeciągane przez zaprzęgi koni lub wielbłądów, z jednego pola bitwy na drugie.

- Jeśli mamy je gdzieś przewieźć, będziemy potrzebować solidnych dróg - słusznie zauważył Iwang, zwłaszcza, że nawet sam jedwabny szlak nie był w większości niczym innym jak ścieżką dla wielbłądów.

Ich ostatnie, prywatne badania nad pierwotnymi przyczynami skupiły się wokół niewielkiego teleskopu, który powiększał niewidoczne gołym okiem szczegóły. Skonstruowali go astronomowie z medresy Ulug-Be-ga. Ostrość na tym przyrządzie ustawiało się przy bardzo małej odległości od oglądanego przedmiotu. Najlepsze były preparaty przepuszczające światło,

ujęte pomiędzy szklane płytki i podświetlone promieniami słonecznymi, odbijającymi się w małym zwierciadle, zamontowanym u dołu przyrządu. Odsłoniły się przed nimi całkiem nowe światy, ukryte dotąd tuż pod ich palcami.

Trzech mężczyzn godzinami obserwowało przez nowy teleskop próbkę wody ze stawu, którą, jak się okazało, zamieszkiwało całe mnóstwo pływających w kółko stworzeń o przedziwnej, segmentowej budowie. Przyglądali się cienkim, przepuszczającym światło płytkom z kamienia, drewna i kości. Oglądali też własną krew i znaleźli w niej mnóstwo ciemnych plamek, niepokojąco podobnych do istot w kropli wody ze stawu.

- Świat staje się coraz mniejszy - zachwycał się Khalid. - Jeśli od tych małych stworzeń w naszej krwi udałoby się pobrać krew i umieścić ją pod jeszcze silniejszym okularem niż ten, wtedy, jestem pewny, że ich krew, tak jaki i nasza, zawierałaby podobne miniaturowe stworzenia, których krew również można by zbadać, aż doszłoby się do... - umilkł, a trwoga nadała jego twarzy oniemiały wyraz. Bahram jeszcze nigdy nie widział go tak szczęśliwym.

- Zapewne istnieje coś takiego, jak minimalna wielkość materii -stwierdził rzeczowo Iwang. - Tak przynajmniej zakładali starożytni Grecy, mówiąc o cząstkach ostatecznych, z których zbudowane jest wszystko dookoła. Sądzę, że są one tak małe, że chyba nigdy nie uda się nam ich dostrzec.

Khalid zmarszczył brwi.

- To dopiero początek, na pewno kiedyś powstaną o wiele silniejsze teleskopy, a wtedy, kto wie, jaki obraz się wyłoni. Może w końcu

pomoże nam to zrozumieć strukturę metali i doprowadzi do udanej transmutacji.

- Może - przytaknął Iwang, wpatrując się w oko teleskopu i nucąc coś pod nosem. - Za to teraz wiemy już na pewno, że granit zbudowany jest z kryształów.

Khalid skinął głową, sporządził notatkę w księdze, po czym nachylił się nad okularem i naszkicował na czystej stronie oglądane kształty.

- Z tych najmniejszych i tych największych - powiedział do siebie.

- Ten okular jest wspaniałym darem od Boga - odezwał się Bahram - przypominającym nam, że wszystko dokoła to jeden świat, jedna substancja, ujęta w różne struktury, lecz nadal ta sama, w dużej i w małej formie.

Khalid pokiwał głową.

- Idąc dalej tym tropem, można pomyśleć, że gwiazdy również ma ją na nas wpływ. Może gwiazdy to też zwierzęta, tak jak te stworzenia w wodzie. Gdybyśmy tylko mogli lepiej się im przyjrzeć.

Iwang pokręcił głową:

- Wszystko jednością, zgoda. Z każdym dniem wydaje mi się to coraz bardziej oczywiste, lecz na pewno nie należy sprowadzać wszystkiego do zwierząt. Podejrzewam, że gwiazdy to coś w rodzaju skal, a nie unikalnych stworzeń.

- Gwiazdy to ogień.

- Skala, ogień, ale nie zwierzę.

- Nadal jednak pozostawałyby jednością - nie odpuszczał Bahram. Obaj mężczyźni skinęli głowami, Khalid z emfazą, a Iwang

niechętnie i z głębokim pomrukiem.

Następnego dnia Bahram zauważył, że Iwang stale coś mruczał pod nosem. Przychodził jak co dzień do kompleksu i towarzyszył Kha-lidowi w doświadczeniach, z Bahramem chodził do ribatu, gdzie wysłuchiwał wykładów Alego, a kiedy tylko Bahram wpadał do jego pracowni, ten bawił się swoimi liczbami bądź przerzucał tam i z powrotem paciorki chińskiego abakusa, w ciągłym roztargnieniu i nieustannie coś mamrocząc.

Bahram nie uważał, aby Iwang musiał się nawracać, nawet jeśli oznaczałoby to jego wyjazd z powrotem do Tybetu i powrót dopiero za jakiś czas. Coraz wyraźniej widział, że Iwang nie zostanie muzułmaninem i że nawracanie go na islam nie byłoby dobrym rozwiązaniem.

Mijały kolejne tygodnie i rzeczywiście Iwang, zamiast się przybliżać, coraz bardziej odpływał, stawał się coraz bardziej obcy i tracił wiarę, zajęty przeprowadzaniem swoich małych doświadczeń, jakby składał ofiary światłu, magnetyzmowi, próżni i grawitacji. Prawdziwy alchemik, lecz z punktu widzenia wschodniej tradycji jeszcze większy samotnik niż jakikolwiek sufi. Nie powracał do buddyzmu, lecz przekraczał go i sięgał głębiej, aż do starszej religii Tybetu, bon.

Tamtej zimy siedział z Bahramem przy rozpalonym piecu w swojej pracowni, wyciągał przed siebie dłonie, aby ogrzać zziębnięte palce, wystające z dziurawych rękawiczek, palii haszysz z długiej, drewnianej fajki, którą od czasu do czasu podawał Bahramowi, a później już tylko siedzieli, wpatrzeni w płomienną poświatę,

tańczącą nad rozżarzonymi węglami. Pewnej nocy, w środku burzy śnieżnej Iwang wyszedł po drwa. Kiedy Bahram został sam, nagle kątem oka zauważył ruch, odwrócił się i ujrzał chińską staruszkę, siedzącą tuż przy palenisku, ubraną w czerwoną suknię, z włosami splecionymi na szczycie głowy w kunsztowny węzeł. Bahram otrząsnął się. Kobieta odwróciła wzrok i spojrzała na niego. Jej czarne oczy były pełne gwiazd. Chwilę później spadł ze stoika, a kiedy z powrotem stanął na nogach, kobiety już nie było. Kiedy wrócił Iwang, Bahram opisał mu dokładnie kobietę i całe zajście, a on wzruszył ramionami i rzekł przebiegłym tonem:

- W tej dzielnicy jest wiele starszych kobiet. Mieszkają tu biedni ludzie i stare wdowy, zmuszone spać na podłodze w opuszczonych warsztatach swoich nieżyjących mężów, zdane na łaskę nowych właścicieli, starające się za wszelką cenę uniknąć głodu.

- Ale ta czerwona suknia, ta twarz, te oczy!

- Z twojego opisu wynika, że mogła to być bogini ogniska domowego. Czasem, jeśli ma się szczęście, ukazuje się tuż przy palenisku.

- Od dzisiaj już więcej nie palę tego twojego haszyszu! Iwang roześmiał się:

- Żeby to tylko o to chodziło!

Innej mroźnej nocy, kilka tygodni później, Iwang zastukał do bram kompleksu i wszedł do środka wielce podekscytowany - pijany, można by pomyśleć o kimś innym, kto zachowywałby podobnie jak on.

- Mam! - krzyknął do Khalida, łapiąc go za rękę i ciągnąc do gabinetu. - Mam! W końcu do tego doszedłem, spójrz!

- Co? Kamień filozoficzny?

- Nic z tych rzeczy! Chodzi o jedno prawo, prawo ponad wszystkimi prawami. To równanie. Spójrzcie!

Wyjął tablicę i zaczął energicznie kreślić na niej kredą alchemiczne symbole, których wspólnie z Khalidem zdecydowali się używać na oznaczenie wielkości, zmieniających się w zależności od sytuacji.

- Jedne wyżej, inne niżej, tak jak zawsze powtarzał Bahram, wszystko się nawzajem przyciąga z taką oto siłą. Należy pomnożyć masy przyciągających się ciał, podzielić przez kwadrat odległości między nimi i całość pomnożyć przez prędkość, z którą jakikolwiek przedmiot przyciągany jest przez Ziemię, i otrzymujemy siłę przyciągania. Proszę, spróbujmy z orbitami planet, wszystko się zgadza. Planety poruszają się wokół słońca po elipsach, ponieważ są nie tylko przyciągane przez słońce, lecz także przyciągają się między sobą. Słońce jest więc jednym źródłem przyciągania w elipsie, a suma pozostałych przyciągań tworzy drugie źródło - mówiąc to, szkicował zamaszyście na tablicy, tak poruszony, jak nigdy wcześniej. - To wyjaśnia wszystkie rozbieżności w obserwacjach nieba, prowadzonych w obserwatorium Ulug Bega. Nie tylko sprawdza się w przypadku planet i gwiazd trwających w swoich konstelacjach, lecz również w przypadku lotu kuli armatniej ponad ziemią i ruchu tych miniaturowych stworzeń w wodzie ze stawu i w naszej krwi. Khalid kiwał głową.

- To jest siła grawitacji w ujęciu matematycznym. -Tak.

- Przyciąganie jest odwrotnie proporcjonalne do kwadratu odległości między ciałami.

- I oddziałuje na wszystko?

- Tak sądzę.

- Na światło też?

- Tego nie wiem. Światło samo w sobie musi mieć bardzo małą masę, jeżeli w ogóle jakąś posiada. Lecz jeżeli rzeczywiście posiada jakąkolwiek masę, wtedy jest przyciągane przez wszystkie inne masy. Masa przyciąga masę.

-Ależ to jest... - powiedział Khalid - to znów jest przykład oddziaływania na odległość.

- Zgadza się - odpowiedział z uśmiechem Iwang. - Może to jest właśnie ten twój wszechobecny duch, działający za pośrednictwem czynników, których nie znamy, takich jak grawitacja, magnetyzm czy pioruny.

- Rodzaj niewidzialnego ognia.

- Lub czegoś, co w porównaniu do ognia jest jak najmniejsze ze zwierząt w porównaniu do nas. Jakaś subtelna moc, przed którą nie sposób uciec, którą posiada każde ciało i w której wszyscy żyjemy.

- Żywy duch, mieszkający w każdej rzeczy.

- To tak jak miłość - wtrącił Bahram.

- Tak jak miłość - wyjątkowo zgodził się Iwang. - Pod tym względem, że zarówno bez jednego jak i bez drugiego Ziemia byłaby martwą planetą. Nic by się nie przyciągało, nie odpychało, nie krążyło, nie zmieniało kształtu, nie mogłoby żyć. Wszystko leżałoby

na jednym miejscu martwe i zimne.

Po chwili uśmiechnął się, a potem już śmiał się swobodnie. Jego gładkie i błyszczące tybetańskie policzki pokryły się głębokimi zmarszczkami, a długie, końskie zęby błysnęły bielą.

- I o to właśnie chodziło! Tak właśnie musi być, rozumiecie? Wszystko jest w ruchu. Wszystko dokoła nas żyje. Siła przyciągania jest odwrotnie proporcjonalna do odległości między przyciągającymi się przedmiotami.

Khalid odpowiedział z nostalgią:

- Ciekawe, czy pomogłoby to nam przy transmutacji?

Lecz dwaj pozostali szybko ucięli ten wątek, śmiejąc się ze staruszka i wołając:

- Ołów w złoto! Ołów w złoto!

- Wszystko dokoła to najszczersze złoto - powiedział Bahram, po czym oczy Iwanga nagle rozbłysły. Wyglądało to tak, jakby natchnęła go sama bogini paleniska. Pociągnął ku sobie Bahrama i objął go po bratersku, znów nucąc coś pod nosem.

- Bahramie, jesteś taki dobry. Jesteś bardzo dobrym człowiekiem. Jeśli uwierzę w twoją miłość, pozwolisz mi tu zostać? A czy obraziłbyś się gdybym wierzył w miłość, jedność wszechrzeczy i w grawitację?

Teorie bez zastosowania sprawiają kłopoty

Przez kolejne dni Bahram i inni ludzie z kompleksu pracowali więcej niż zwykle. Khalid i Iwang nadal rozprawiali nad konsekwencjami obliczeń Tybetańczyka i przeprowadzali najrozmaitsze doświadczenia sprawdzające je lub badające

związane z nimi zjawiska. Niewiele jednak pomagało to Bahramowi przy pracy w kuźni, gdyż zastosowanie ezoterycznych i czysto matematycznych postulatów stawianych przez obu badaczy było niezwykle trudne lub wręcz niemożliwe w jego codziennej pracy, skupiającej się wokół uzyskania twardszej stali i budowania potężniejszych armat. Według chana, większe oznaczało lepsze, poza tym doszły go słuchy o nowych armatach chińskiego cesarza, przy których nawet stare, gigantyczne działa, porzucone w Bizancjum po przejściu plag w siódmym wieku, wydawały się jedynie karłami. Bahram próbował odtworzyć tamte legendarne działa, lecz miał ogromne problemy z ich odlewaniem, transportem i strzelaniem z nich tak, aby nie pękały. Khalid i Iwang mieli co prawda swoje sugestie, lecz nie zdawały one egzaminu, więc Bahramowi znów pozostała tylko metoda prób i błędów, stosowana od wieków przez metalurgów na całym świecie. Po każdej kolejnej próbie dochodził do tego samego wniosku: gdyby udało mu się opracować właściwy wsad i rozgrzać płynny metal do odpowiednio wysokiej temperatury, wtedy na pewno uzyskałby twardszą stal. Wszystko więc sprowadzało się do zwiększenia siły nurtu rzeki, napędzającej miechy pod piecem odlewniczym, aby uzyskać temperatury, w których roztopiony metal nabierałby jaskrawo białej barwy, tak lśniącej, że aż bolałyby oczy. Khalid i Iwang przyglądali się procesowi o zmroku i do samego rana dyskutowali nad pochodzeniem tak jasnego światła, które biło z metalu rozgrzanego do wysokiej temperatury.

Wszystko szło zgodnie z planem, lecz bez względu na to, jak

dużo powietrza wpompowali w rozżarzone węgle, sprawiając, że metal lśnił bielą jak słońce i stawał się płynny jak woda albo nawet jeszcze rzadszy, to jednak odlewane z niego działa były nadal tak samo podatne na pęknięcia jak poprzednie. Nadir ciągle składał niezapowiedziane wizyty, a za każdym razem, kiedy przychodził, znał wyniki ich pracy zanim jeszcze zdążyli o nich opowiedzieć. Najwyraźniej miał swoich szpiegów w kompleksie i nie interesowało go, czy Bahram o tym wiedział, a może nawet chciał mu to pokazać. Tak więc pojawiał się, niezadowolony, a jego spojrzenie mówiło: Więcej! Szybciej! I nawet jeśli słowami zapewniał ich, że wierzy, iż robią wszystko, co w ich mocy i że chan jest bardzo zadowolony z tabel ognia armatniego. Często powtarzał:

- Chan jest pod wrażeniem potęgi matematyki, która potrafi powstrzymać chińskich najeźdźców.

Bahram kiwał wtedy głową, dając do zrozumienia, że dotarło do niego prawdziwe przesłanie tych słów, nawet jeśli Khalid uporczywie je od siebie odganiał. Bahram powstrzymywał się wówczas od prośby o prolongatę amanu dla Iwanga, wiedząc, że na dobrą wolę Nadira lepiej będzie jeszcze poczekać. Tymczasem jedyne, co mógł zrobić, to wrócić do swojego warsztatu i zająć się kolejnymi próbami.

Nowy metal, nowa dynastia, nowa religia

Ze względów czysto praktycznych Bahram zaczął się interesować matowoszarym metalem, który na zewnątrz wyglądał jak ołów, a w swoim wnętrzu przypominał cynę. Oczywiście w rtęci też znajdowało się choćby sporo siarki - jeśli można było ufać dostępnym im

opisom metali. Z początku metal ten niczym się nie wyróżniał, lecz po kilku doświadczeniach okazało się, że jest mniej kruchy od żelaza i bardziej plastyczny od złota, jednym słowem, zupełnie inny niż metale opisywane przez Al-Raziego i Ibn-Sina, co, jeśli się dłużej nad tym zastanowić, było dość dziwne. Nowy metal! Zmieszany z żelazem, tworzył rodzaj stali, która najwyraźniej nadawała się na materiał do wytopu dział armatnich.

- Jak to możliwe, że istnieje nowy metal? - zapytał Bahram Khalida i Iwanga. - I jak powinniśmy go nazwać? Nie mogę go ciągle nazywać “tą szarą substancją".

- Wcale nie jest nowy - odpowiedział Iwang. - Istniał od zawsze, gdzieś pośród całej reszty. Teraz potrafimy uzyskać znacznie wyższe temperatury niż kiedykolwiek wcześniej i tylko dzięki temu nam się ukazał.

Khalid nazwał nowy metal złototowiem - tak dla żartu, lecz nazwa przyjęła się z braku innej i od teraz, za każdym razem, kiedy przetapiali niektóre niebieskawe rudy miedzi, odzyskiwali przy okazji nowy metal, którego zaczęli używać w rusznikarstwie.

Mijały kolejne dni gorączkowej pracy, a pogłoski o wojnie na wschodzie docierały coraz częściej. Podobno barbarzyńcy znów się przedostali przez mur chiński, obalili zepsutą dynastię Ming i w całym kraju wywołali krwawe zamieszki, które zaczęły się przedostawać poza granice. Tym razem nie byli to Mongołowie, lecz barbarzyńskie plemiona z Mandżurii, położonej na północny wschód od Chin, skąd pochodzą najświetniejsi wojownicy, jakich kiedykolwiek wydał świat, którzy, jak mówiono, byli skłonni podbić i

zniszczyć wszystko, co stawało im na drodze, łącznie z cywilizacją muzułmańską, chyba że powstanie coś, co ich zatrzyma.

Takie historie opowiadali ludzie na bazarze, lecz również sam Nadir, na swój okrężny sposób, potwierdzał, że coś było na rzeczy. Mijała zima, a w mieszkańcach Samarkandy rosło poczucie zagrożenia. Znów zbliżał się sezon kampanii wojennych. Wiosna, czas wojny i zarazy, dwóch potężnych broni, którymi władała sześcioręka śmierć, jak powiadał Iwang.

Przez te wszystkie miesiące Bahram pracował niestrudzenie, jakby w każdej chwili miała spaść na niego gwałtowna burza, wisząca ponad wschodnim horyzontem i posuwająca się naprzód, na przekór silnym, przeciwnym wiatrom, wróżąca prawdziwą katastrofę. Czuł kiełkujący w sercu ból, który odbierał mu przyjemność, jaką zawsze czerpał z obcowania z najbliższymi, z rodzinnej atmosfery panującej w całym kompleksie, ze swoich dzieci goniących się po dziedzińcu, wiercących się podczas modlitw i ubranych schludnie przez Esmerine. Zdawałoby się, najgrzeczniejsze dzieci na świecie, oczywiście poza momentami, kiedy wpadały w ziość, co obojgu im zdarzało się dość często i co za każdym razem wprawiało rodziców w osłupienie. Dzieci były głównym tematem ich nocnych rozmów. Nierzadko Esmerine wychodziła przed dom, aby po chwili wrócić i znów zdjąć koszulę. Jej piersi, dwie krople srebrzące się w księżycowej poświacie, spływające w dół, po żebrach, prosto w szukające ciepła dłonie Bahrama. Ten senny świat ich miłości po drugiej zmianie warty był jedną z najpiękniejszych przestrzeni, jaką dzielili w trakcie całego

dnia. Błogi sen, cielesne sny. Tak ciepło i czule, jak nigdy za dnia. Czasami, nad ranem, aż nie mógł uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę, że on i Esmerine, tak surowi pod względem ubioru i obyczajów, Esmerine, która zapędzała kobiety do pracy równie bezlitośnie co Khalid w swoich największych porywach despotyzmu, Esmerine, która nigdy nie spoglądała na Bahrama ani nie zwracała się do niego inaczej niż tonem oficjalnym - tak jak nakazywał obyczaj, w głębi nocy przenosili się na swoim łożu w światy najżarliwszych uniesień. Kiedy popołudniami przyglądał jej się przy pracy, myślał: miłość zmienia wszystko. Ludzie są przecież tylko zwierzętami. Stworzeniami powołanymi do życia przez Boga i niewiele różniącymi się od małp. Tak naprawdę to nie ma powodu, dla którego kobiece piersi miałyby być czymś innym niż krowie wymiona. Kołyszą się nieelegancko, jedna obok drugiej, kiedy kobieta pochyla się przy codziennej pracy. To miłość czyni piersi półkulami najprawdziwszego piękna i tak samo jest w przypadku świata. Miłość oddziałująca, jak siła sugestii, tylko ona mogła ich ocalić.

W poszukiwaniu proweniencji złotołowiu Khalid musiał ponownie przestudiować stare woluminy. W końcu zatrzymał się na ustępie z *Księgi właściwości,* starożytnej klasyki Jabira Ibn Hayyama, spisanej w pierwszych latach dżihadu, w której Jabir wymienia siedem metali: złoto, srebro, ołów, cynę, miedź i kharsini, co oznaczało “chińskie żelazo" - matowoszary, srebrzysty po wypolerowaniu metal, znany Chińczykom jako paitung, czyli “biała miedź". Chińczycy, pisał Jabir, wytwarzali niegdyś z niego małe

zwierciadła, w które wpatrywali się, gdyż ponoć leczyły różne schorzenia oczu. Khalid, którego wzrok pogarszał się z roku na rok, natychmiast przystąpił do produkcji własnego zwierciadła ze złotołowiu, ot tak, aby się przekonać. Jabir sugerował też, że dzwonki wyrabiane z kharsini wydają wyjątkowo melodyjny dźwięk.

Khalid rozkazał więc z reszty złotolowiu odlać dzwonki, aby przekonać się, czy ich brzmienie rzeczywiście będzie takie mile dla ucha - chciał w ten sposób zidentyfikować nowy metal. Wszyscy zgodnie przyznali, że dzwonki dźwięczą wyjątkowo uroczo, lecz niestety wpatrywanie się w zwierciadło z kharsini nie poprawiło wzroku Khalida.

- Niech będzie i kharsini - powiedział Khalid i westchnął głęboko. - Kto wie, co to tak naprawdę jest. Nic nie wiemy.

Nadal jednak przeprowadzał kolejne doświadczenia i po każdej próbie sporządzał obszerne notatki, nad którymi spędzał długie noce i bezsenne poranki. Razem z Iwangiem kontynuowali badania. Khalid kierował Bahramem, Paxtakorem, Jalilem i resztą starych rzemieślników przy budowie nowych teleskopów, mikroskopów, manometrów i pomp. Kompleks stal się miejscem, gdzie ich umiejętności techniczne i metalurgiczne łączyły się, co dawało ogromną moc tworzenia wynalazków. Jeśli tylko wymyślili jakieś nowe urządzenie, potrafili od razu wykonać jego prymitywny prototyp. I zawsze, kiedy rzemieślnicy mogli wycyzelować swoje narzędzia i zbudować precyzyjne formy odlewnicze, margines ich błędu zwężał się. Robili postępy. Okazywało się, że praktycznie wszystko można było udoskonalić: skomplikowane mechanizmy

zegarowe, siłę kola młyńskiego, odlew masywnych luf armatnich. Jednego dnia Khalid rozebrał krosna do tkania perskich dywanów i przyglądał się wnikliwie wszystkim małym, metalowym częściom. Wkrótce potem w rozmowie z Iwangiem wspomniał, że w połączeniu z przekładnią zębatą urządzenie można by wyposażyć w stemple z pojedynczymi literami zamiast czółenek, następnie układać je w rzędy i w całe zestawy, pociągać tuszem i odciskać na papierze. W ten sposób otrzymywaliby całą stronę zapisaną jednym ruchem ręki, w tylu egzemplarzach, w ilu by sobie życzyli, aż w końcu książki stałyby się równie powszechne co armaty. Iwang roześmiał się szczerze i dodał, że w Tybecie mnisi od dawna stosowali do tego celu kamienne bloki z wyrzeźbionym tekstem, lecz pomysł Khalida wydawał mu się o wiele lepszy.

Iwang nie porzucał matematycznych dociekań. Kiedyś rzekł do Bahrama:

- Tylko jakiś bóg mógł to wszystko wymyślić, a następnie przyoblec swoją wizję w realny świat! Jeśli bylibyśmy w stanie zbadać choćby jedną milionową jego część, moglibyśmy dowiedzieć się więcej, niż wszystkie obdarzone czuciem stworzenia nauczyły się na przestrzeni wieków, moglibyśmy spojrzeć prosto w boski umysł.

Bahram skinął niepewnie głową. Teraz już wiedział, że nie chce, aby Iwang przechodził na islam. Wydawało mu się to nieszczere wobec Boga i wobec Iwanga. Zdawał sobie sprawę, że to bardzo samolubna myśl i że Bóg z pewnością zająłby się wszystkim, a może już się zajmował, gdyż Iwang przestał przychodzić w piątki do

meczetu i pobierać nauki w ribacie. Bóg albo Iwang - najwidoczniej któryś z nich zgadzał się z przekonaniem Bahrama. Religii nie wolno udawać ani używać do ziemskich celów.

Smok zaczyna kąsać

Kiedy Bahram zjawiał się teraz w karawanseraju, zawsze wracał z jakąś niepokojącą opowieść ze wschodu. Panowała wojenna zawierucha. W Chinach pod rządami nowej, mandżurskiej dynastii odrodziły się tendencje ekspansjónistyczne. Nowy mandżurski cesarz, naturalnie uzurpator, nie był zadowolony z niemrawego cesarstwa, które właśnie podbił, więc postanowił tchnąć w nie nowego ducha za pomocą wojny i powiększyć swoje zdobycze o bogate królestwa ryżowe, leżące na południu: An-nam, Siam i Birmę, oraz spalone słońcem pustkowia w środku świata, pustynie i góry oddzielające Chiny od Dar al-Isalm, poprzecinane nitkami jedwabnego szlaku. Po przekroczeniu nieużytków cesarz planował wkroczyć do Indii, do muzułmańskich chanatów i do państwa Safawidów. W karawanseraju mówiono, że Yarkand i Kaszgar zostały już zdobyte, co było całkiem prawdopodobne, gdyż przez ostatnie dekady broniła ich jedynie zdziesiątkowana armia cesarza Ming i bandy rozbójników dowodzone przez lokalnych watażków. Chanat Buchary oddzielało od nieużytków jedynie dorzecze Tarymu i Góry Fergańskie, przecięte jedwabnym szlakiem w dwóch lub trzech miejscach. Na tych samych drogach, które zwykle przemierzały karawany, mogły wkrótce pojawić się zbrojne chorągwie.

I już wkrótce tak się stało. Nadeszły wieści, że chorągiew man-

dżurska zajęła przełęcz Torugart, kluczowe miejsce na jednej z dróg jedwabnego szlaku między Taszkientem a pustynią Takla Makan. Napływ karawan ze wschodu będzie najprawdopodobniej na jakiś czas całkowicie wstrzymany, co oznaczało, że Samarkanda i Buchara, stanowiące dotychczas centrum światowej wymiany towarów, stracą prestiż i staną się bezużyteczne. Dla handlu byłaby to prawdziwa katastrofa.

Ostatnia karawana Ormian, Romów, Żydów i Hindusów przyniosła najnowsze wiadomości. Musieli porzucić towary i ratować się ucieczką, najwidoczniej Brama Dżungarska między Xinjiang a stepami kazachskimi również miała wkrótce być zajęta. Po karawanserajach rozlokowanych wokół Samarkandy wieści rozchodziły się szybko i w końcu wszystkie, przebywające w nich karawany zmieniły dalsze plany. Większość zdecydowała się na powrót do Frengistanu, który, mimo iż porozrywany wewnętrznymi konfliktami królestw taify, był przynajmniej w całości muzułmański, a niewielkie sułtanaty i emiraty wchodzące w jego skład cały czas ze sobą handlowały, nawet jeśli prowadziły ze sobą wojny.

Takie decyzje godziły w interesy Samarkandy, która z wolna stawała się niczym innym niż tylko punktem granicznym, gdzieś na skraju Dar al-Islam. Nadir byt zaniepokojony, chan wściekły. Seid Abdul Aziz rozkazał odbić Bramę Dżungarska, a następnie wysłał sporą ekspedycję do obrony Przełęczy Chajberskiej, aby zabezpieczyć przynajmniej stosunki handlowe z Indiami.

Wkrótce znów odwiedził ich Nadir w towarzystwie ciężkozbrojnej straży i pokrótce opowiedział Khalidowi i Iwangowi o rozkazach

chana, przy czym tak postawił całą sprawę, jakby to Khalid był wszystkiemu winien. Pod koniec wizyty oznajmił, że Bahram z żoną i dziećmi udadzą się z nim do gmachu Khanaka w Bucharze i powrócą do Samarkandy dopiero wtedy, kiedy Khalid z Iwangiem opracują broń zdolną pokonać Chińczyków.

- Będzie można ich odwiedzać w pałacu. Możesz przyjść do nich, kiedy tylko zechcesz, a nawet dołączyć, choć z drugiej strony sądzę, że najlepiej będziesz wykonywał pracę tutaj, wśród swoich ludzi i maszyn. Gdybym wiedział, że będziesz szybciej pracował w pałacu, wtedy, wierzmi, na pewno zabrałbym cię ze sobą.

Khalid spojrzał na niego gniewnym wzrokiem. Byl zbyt rozwścieczony, aby móc się odezwać. Wówczas pogrążyłby ich jeszcze bardziej.

- Iwang również się przeprowadzi, do ciebie. Sądzę, że właśnie tu przyda się najbardziej. W dowód uznania za jego wielki wkład w sprawy państwa jego aman zostanie z góry prolongowany. Nadal jednak obowiązuje go zakaz opuszczania miasta. Na wschodzie obudził się smok, który zdążył już pożreć Tybet. Bierzecie więc na siebie niemal boskie zadanie i możecie być dumni, że to właśnie was do niego powołano – obrzucił spojrzeniem Bahrama - twoją rodzinę otoczymy troskliwą opieką, a ty zajmiesz się wszystkim tutaj. Możesz mieszkać razem z nimi w pałacu albo zostać tutaj i pomagać przy pracy, decyzja należy do ciebie.

Bahram skinął głową, zaniemówił ze strachu i niepokoju:

- Będę robił obie rzeczy - udało mu się wycedzić przez zęby, patrząc na Esmerine i dzieci.

Odtąd nic już nie było normalne.

Wiele żywotów zmienia się właśnie w ten sposób - nagle i nieodwracalnie.

Broń od Boga

Przez wzgląd na uczucia Bahrama Khalid i Iwang przerobili cały kompleks na zbrojownię. Wszystkie doświadczenia i eksperymenty przeprowadzali teraz z myślą o zwiększeniu siły uderzeniowej armii chana. Potężniejsze armaty, bardziej wybuchowy proch, wirujące pociski, pogromcy miriadów, tabele strzelnicze, procedury logistyczne, alfabet zwierciadlany do komunikacji na dużych odległościach. To wszystko i jeszcze więcej opracowali wspólnymi siłami, podczas gdy Bahram połowę czasu spędzał w gmachu Khanaka w Bucharze z Esmerine i z dziećmi, a drugą połowę w kompleksie, aż w końcu droga z Samarkandy do Buchary stała się dla niego tym samym, co ścieżka poprzez dziedziniec - przemierzana o każdej porze dnia i nocy, czasem nawet we śnie, na koniu, który znał drogę na pamięć.

Wprowadzone udoskonalenia znacznie zwiększyły moc bojową chana - a raczej wzmocniłyby, gdyby tylko przywódcy wojsk Seida Abdula chcieli stosować się do wskazówek Khalida, który już powoli tracił cierpliwość do uczenia wojskowych. Obie strony były zbyt dumne, aby pójść na ustępstwa, i choć Bahram uważał, że Nadir dopuścił się karygodnego zaniedbania przez to, że nie zaangażował się w całą sprawę, nie zmusił generałów do posłuszeństwa wobec Khalida i nie wygospodarował funduszy ze szkatuły na zaciąg doświadczonych żołnierzy, to i tak nic w tych

kwestiach nie zostało zrobione. Okazało się, że nawet władza wielkiego Nadira Divanbegi miała granice, ostatecznie sprowadzała się do wpływu, jaki miał na chana poprzez rady, których udzielał. Inni doradcy mieli oczywiście swoje zdanie i całkiem możliwe, że władza Nadira zaczynała słabnąć i to dokładnie w momencie, kiedy najbardziej była potrzebna. Co najdziwniejsze, działo się tak pomimo wszystkich innowacji proponowanych przez Khalida i Iwanga, a może właśnie z ich powodu - któż to mógł wiedzieć. Wiadomo było, że chan nie wyróżniał się specjalnie trafnością osądów, a ponadto chodziły słuchy, że jego szkatuła nie była już tak zasobna jak za dawnych czasów, kiedy ka-rawanseraje i bazary tętniły życiem i odprowadzały podatki.

Podobne sugestie wysuwała również Esmerine, choć Bahram mógł się tylko tego domyślać z jej milczących spojrzeń. Miała pewność, że ją nieustannie szpiegują, nawet w trakcie bezsennych nocy, co było wręcz potworną, niedającą spokoju myślą. Z kolei dzieci zasmakowały w pałacowym życiu. Dla nich było to niczym przeprowadzka do świata tysiąca i jednej nocy, a Esmerine nie robiła nic, co mogłoby je wyprowadzić z błędu. Sama oczywiście wiedziała, że byli więźniami, a ich życie leżało w rękach chana, który w każdej chwili mógł wpaść w zły humor z powodu złego obrotu spraw w kompleksie, wydarzeń na wschodzie lub czegokolwiek innego. Nie mówiła więc nic kontrowersyjnego i wspominała tylko, że dobrze ich karmili, że traktowano ich z szacunkiem i że zarówno jej, jak i jej dzieciom żyło się dobrze. Jedynie w chwilach, kiedy byli sam na sam, jej wzrok zdradzał

strach i pragnienie, aby Bahram z przyjaciółmi jak najszybciej wypełnili żądania władcy.

Khalid nie musiał patrzeć w oczy córki, aby o tym wiedzieć. Bahram zauważył, że staruszek wkładał coraz więcej wysiłku w ulepszenie skuteczności bojowej chana, nie tylko wysilając się nad projektami realizowanymi w zbrojowni, lecz również starając się przypochlebić jednemu z mniej opornych generałów oraz czyniąc mniej lub bardziej bezpośrednie sugestie, dotyczące wielu spraw, od renowacji miejskich murów, zgodnie z wynikami swoich eksperymentów nad wytrzymałością konstrukcji ziemnych, do planów wykopu studni i budowy systemu odprowadzającego wodę, stojącą wokół Samarkandy i Buchary. Wszelkie czysto teoretyczne rozważania zostały zepchnięte na margines, w wirze pracy nie było czasu na żadne narzekania. Postęp jednak nie był płynny.

Po mieście zaczęły krążyć plotki, odbierając mieszkańcom radość życia. Mandżurscy barbarzyńcy zdobyli już Yunnan, Mongolię, Cham, Tybet, Annam i wschodnie krańce cesarstwa mogolskiego. Każdego dnia byli gdzie indziej i za każdym razem coraz bliżej. Nie umiano potwierdzić tych doniesień, które zresztą często były dementowane. Jedni zaprzeczali, a inni wierzyli w opowieści karawaniarzy, którzy przybywali z tamtych te-

renów i nie widzieli niczego niezwykłego, lecz tylko powtarzali zasłyszane plotki. Nic nie było pewne oprócz tego, że na wschodzie wrzało. Karawany rzeczywiście ściągały coraz rzadziej i byli wśród nich nie tylko kupcy, lecz również całe rodziny - muzułmańskie, hinduskie i żydowskie, wygnane ze swoich domostw przez strach

przed nową dynastią Qing. Odwieczne osady obcokrajowców znikały z powierzchni ziemi jak śnieg w promieniach wiosennego słońca, uciekinierzy kierowali się na zachód z myślą, że ich życie potoczy się lepiej w Dar al-Islam, pod rządami Mogo-łów, Osmanów lub w królestwach taify w Frengistanie. Islam bez wątpienia był religią praworządną. Bahram dostrzegał na twarzach ludzi cierpienie, strach i ubóstwo, widział mężczyzn zmuszonych do żebrania o pożywienie, widział skąpe zapasy kupców, którzy mieli do przebycia jeszcze całą zachodnią połowę świata.

Na szczęście była to muzułmańska połowa świata. Wizyty w karawan -serajach, niegdyś należące do ulubionych zajęć Bahrama, teraz przepełniały go lękiem. Tak samo jak Nadir nie mógł się doczekać, aż Khalid z Iwangiem wynajdą w końcu metodę obrony chanatu przed inwazją.

- To nie my wszystko spowalniamy - stwierdził gorzko Khalid pewnej nocy w swoim gabinecie. - Nadir to przecież nie żaden wielki generał, a jego wpływ na chana jest niepewny i słabnie z każdym dniem. A sam chan... - parsknął niezadowolony.

Bahram westchnął. Nie sposób było się z tym nie zgodzić. Seid Ab-dul Aziz nie należał do najmądrzejszych ludzi na świecie.

- Potrzebujemy czegoś śmiercionośnego i spektakularnego – rzekł Khalid. - Czegoś na chana i na Mandżurów.

Bahram zostawił go samego, przeglądającego różne receptury ładunków wybuchowych, i udał się w długą i zimną drogę powrotną do pałacu w Bucharze.

Khalid poprosi o spotkanie z Nadirem, a kiedy wrócił, mruczał pod

nosem, że jeśli powiedzie się zaproponowany przez niego pokaz, wtedy Nadir uwolni Esmerine i dzieci i pozwoli im na powrót do kompleksu. Bahram cieszył się tą perspektywą, lecz Khalid od razu go ostrzegł:

- Wszystko zależy od tego, czy chan będzie zadowolony, a kto wie, co może zaimponować takiemu człowiekowi jak on.

- Jaki pokaz masz na myśli?

- Musimy wyprodukować pociski zawierające ładunek sporządzony według chińskiej formuły wan-jen-ti, pociski, które nie eksplodują w momencie wystrzału, lecz przy uderzeniu w ziemię.

- Wypróbowali kilka różnych konstrukcji i już same testy okazały się skrajnie niebezpieczne. Wiele razy musieli ratować się ucieczką. Jeśli wszystko poszłoby zgodnie z planem, wtedy zyskaliby potworną broń. Przez kolejne dni Bahram uwijał się jak w ukropie, wyobrażając sobie powrót swojej rodziny i ocalenie Samarkandy przed niewiernymi - oczywiście, jeśli tylko Allah sobie tego życzył. Wtedy broń byłaby darem od Niego. Myśl ta pomagała pokonywać przerażenie wiążące się z pracą.

W końcu zbudowali wydrążone w środku pociski o płaskiej tylnej ściance, wypełnione płynnymi składnikami pogromcy miriadów. Te znajdowały się w dwóch komorach, oddzielonych od siebie cynową ścianką. Do tego dochodził niewielki ładunek prochowy na czubku, który eksplodował po zetknięciu z ziemią, niszcząc wewnętrzną ściankę i łącząc ze sobą składniki gazu.

Na dziesięć odpalonych przez nich pocisków, eksplodowało średnio osiem. Inny opracowany przez nich pocisk wypełniony był w

całości prochem strzelniczym i posiadał zapalnik. Po uderzeniu w ziemię eksplodował z ogłuszającym hukiem, rozrzucając dokoła ostre fragmenty rozerwanej łuski.

Sporządzili po pięćdziesiąt sztuk każdego z pocisków, po czym zorganizowali pokaz na swoim poligonie nad rzeką. Khalid wykupił niewielkie stado starych chabet od właściciela warsztatu klejarskiego, któremu obiecał odsprzedać je z powrotem, gotowe do przetworzenia. Stajenni przywiązali biedne stworzenia na poligonie, w miejscu spodziewanego lądowania pocisków, a kiedy przybył chan i jego dworzanie, przyobleczeni w odświętne szaty i najwyraźniej znudzeni rutynowymi odwiedzinami. Khalid nawet na nich nie spojrzał, a jego zachowanie balansowało na granicy pogardy, niebezpiecznej dla wszystkich. Udawał, że całkowicie pochłaniała go obsługa dział. Bahram, stwierdziwszy, że nie jest to najlepsze posunięcie, podszedł do Nadira i Seida Abdula Aziza, złożył im hołd, wymienił uprzejmości, a następnie wytłumaczył mechanizm wynalezionej broni, po czym teatralnym gestem przedstawił Khalida, który zbliżał się do nich, pocąc się i dysząc.

Khalid oznajmił swoją gotowość do pokazu. Chan skinął dłonią, wykonując charakterystyczny gest, a Khalid dał znak swoim ludziom przy armatach, aby odpalili lont. Armata wystrzeliła, wydając z siebie chmurę białego dymu i odjeżdżając gwałtownie w tył. Lufę ustawiono pod ostrym kątem, aby pocisk uderzył czubkiem w ziemię. Dym się rozwiewał i wszyscy wpatrywali się w przywiązane na polanie konie. Nic się nie działo. Bahram wstrzymał oddech.

Nagle wśród koni eksplodował obłok żółtego dymu. Zwierzęta odskakiwały w popłochu na boki. Dwie chabety zerwały się z postronków i puściły galopem przez łąkę, inne przewracały się, zatrzymywane przez napięte liny. Dym cały czas się rozprzestrzeniał, jakby jego źródłem był niewidzialny pożar traw, gęsty musztardowożółty dym, zasnuwał powoli całe stadko koni i unosił się ponad nimi. Zakrył jedno ze zwierząt, które zerwało się i przypadkiem pognało prosto w żółtą chmurę. Wszyscy wyraźnie widzieli, jak koń stanął dęba we mgle, upadł i mozolił się, by powstać, lecz w końcu padł, wierzgając kopytami i drżąc na całym ciele.

Żółta chmura rozwiewała się i odpływała z wiatrem w dolinę, rozwlekając się w zagłębieniach terenu. Na polanie, na przestrzeni co najmniej dwustu kroków, leżały dwa tuziny martwych koni.

- Jeśli w tamtym rejonie znajdowałyby się wrogie wojska - odezwał się Khalid - wtedy, o najwspanialszy sługo jedynego prawdziwego Boga, Wielki Chanie, wszyscy padliby trupem. Mógłbyś rozstawić na polu walki dwadzieścia armat załadowanych takimi pociskami albo nawet i sto, a wtedy żadna armia świata nie byłaby w stanie zdobyć Samarkandy.

Nadir wyglądał na przerażonego:

- A co, jeśli wiatr zmieniłby kierunek i zaczął wiać w naszą stronę?

Khalid wzruszył ramionami:

- Wtedy my byśmy zginęli. Dlatego ważne jest, aby produkować małe pociski, które można wystrzeliwać na dużą odległość i, o ile jest to możliwe, zawsze z wiatrem. Należy pamiętać, że gaz

rozwiewa się i rzednie, zatem nawet jeśli wieje lekko w naszą stronę, to i tak nie ma to większego znaczenia.

Chan był wyraźnie zaskoczony pokazem i coraz bardziej zadowolony, jak gdyby zachwycił go nowy rodzaj fajerwerków - z nim jednak nigdy nic nie wiadomo. Bahram podejrzewał, że władca czasem udawał, że jest nieświadom pewnych spraw, aby stworzyć swoisty dystans między sobą i doradcami.

Skinął po chwili na Nadira i ruszył na czele swojej świty w drogę powrotną do Buchary.

- Musisz zrozumieć - rzekł Khalid do Bahrama, kiedy wracali do kompleksu - że w najbliższym otoczeniu chana znajdują się ludzie, którzy chcą obalić Nadira. Dla nich nie ma znaczenia, jak skuteczną broń wyprodukujemy. W gruncie rzeczy, im będzie ona lepsza, tym gorzej. Nie mamy do czynienia z półgłówkami.

To wszystko zdarzyło się naprawdę

Następnego dnia znów odwiedził ich Nadir w otoczeniu straży. Prowadzili przed sobą Esmerine i dzieci. Nadir tylko skinął głową, słysząc wylewne podziękowania Bahrama, po czym odezwał się do Khalida:

- Pociski z trującym powietrzem mogą wkrótce być potrzebne, zatem chcę, abyś wyprodukował ich tyle, ile tylko możesz, co najmniej pięćset. Chan odpowiednio cię wynagrodzi po swoim powrocie. Obietnicą tej nagrody niechaj będzie uwolnienie twojej rodziny.

- Chan się dokądś wybiera?

- W Bucharze wybuchła zaraza. Zamknięto karawanseraje, bazary, meczety, medresy i Khanaka. Najważniejsi dworzanie

udadzą się z chanem do jego letniej rezydencji. Stamtąd będę sprawował pieczę nad wszystkimi jego sprawami. Zajmijcie się teraz sobą. Jeśli możecie opuścić miasto i kontynuować pracę, chan się temu nie sprzeciwi, ma jednak nadzieję, że zamkniecie się w kompleksie i będziecie kontynuować ją na miejscu. Kiedy zaraza przejdzie, będziemy mogli spotkać się ponownie.

- A co z Mandżurami? - zapytał Khalid.

- Mamy informacje, że ich też dopadła zaraza, co było zresztą do przewidzenia. Być może to oni przywlekli ją ze sobą. Nie jest również wykluczone, że wysłali swoich chorych, aby rozprzestrzeniali chorobę w naszych miastach. Musisz przyznać, że to coś innego niż strzelanie do wroga pociskami z trującym powietrzem.

Na te słowa Khalid oblał się rumieńcem, lecz nie powiedział nic. Nadir odszedł, najwyraźniej śpieszył się z wypełnieniem dalszych obowiązków przed wielką ucieczką z Samarkandy. Khalid zamknął za nim z trzaskiem bramę i zaklął pod nosem. Bahram, zachwycony niespodziewanym powrotem Esmerine i dzieci, ściskał i przytulał najbliższych, aż Esmerine zaczęła krzyczeć, że ich w końcu połamie. Wszyscy płakali z radości. Rozkazano zamknąć bramy kompleksu i odizolować się od miasta. Dziesięć lat wcześniej, podczas plagi nosówki, za sprawą takiego rozwiązania stracili tylko jednego służącego, który wymknął się do miasta, aby spotkać się ze swoją dziewczyną, i już nigdy nie wrócił. I dopiero, gdy bramy zamknięto, Bahram zauważył, że jego córka, Laila, miała czerwone policzki, płonące hektycznym rumieńcem. Apatyczna, leżała na

łóżku.

Umieścili ją w jednej z sypialni. Na twarzy Esmerine malował się strach. Khaiid zadecydował, że Laila zostanie objęta kwarantanną i że będą jej podawać jedzenie i picie przez drzwi, w siatkach zamocowanych na końcu tyczek, w tykwach i talerzach, których nie będzie używał nikt poza nią. Zanim jednak wprowadzono wszystkie obostrzenia, Esmerine przytuliła dziewczynkę z całych sił. Następnego dnia Bahram znów widział jej rumieńce i słyszał jak jęczy boleśnie, nie mogąc zasnąć, i wznosi do góry ręce. Pod jej pachami pojawiły się znamiona choroby - twarde, żółte zgrubienia, tuż pod skórą, które, kiedy opuszczała ramię, przypominały mu fasetowane karbunkuły, jakby sama zmieniała się od wewnątrz w drogocenne klejnoty.

Po niedługim czasie kompleks przemysłowy zmienił się w lazaret. Bahram spędzał kolejne dni, opiekując się innymi, biegając tam i z powrotem, w dzień i w nocy, pracując w gorączce zgoła odmiennej od tej, która trawiła wszystkich chorych. Khaiid ciągle go upominał, aby nie dotykał ani nawet nie zbliżał się do zakażonej rodziny. Czasem mu się to udawało, a czasem nie, zwłaszcza kiedy obejmował ich żarliwie, jakby chciał zatrzymać na tym świecie.

Najpierw poumierały dzieci. Później zaczęli umierać dorośli. Byli zamknięci z dala od miasta, niczym w prawdziwym lazarecie, a nie w bezpiecznej kryjówce. Zmarła Fedwa, lecz Esmerine nadal się trzymała. Bahram i Khaiid zajmowali się nią na zmianę i wtedy w kompleksie zjawił się Iwang.

Pewnej nocy Iwang i Khaiid poprosili Esmerine, aby chuchnęła na

szkiełko, po czym obejrzeli wilgoć pod mikroskopem i zaniemówili. Bahram spojrzał ukradkiem przez okular i zobaczył chmarę miniaturowych smoków, nietoperzy i gargulców. Nie mógł spojrzeć po raz drugi, wiedział już, że wszyscy są straceni.

Esmerine zmarła i w tej samej godzinie Khaiid wyczul u siebie pierwsze oznaki choroby. Iwang nie mógł się już nawet podnieść z kanapy w warsztacie Khalida. Badał tylko pod mikroskopem swój oddech, krew i żółć, tworząc szczegółowy opis przebiegu choroby w swoim organizmie. Pewnej nocy, kiedy leżał w warsztacie, chwytając z trudem oddech, odezwał się niskim głosem:

- Cieszę się, że nie zmieniłem wiary. Wiem, że ty też tego nie chciałeś. Teraz byłbym zwykłym bluźniercą, bo jeśli Bóg istnieje, to z pewno ścią winiłbym Go za wszystko.

Bahram nie odezwał się. Odbywał się nad nimi sąd. Ale za co? Cóż takiego zrobili? Czyż wynalezione przez nich pociski mogły obrazić Boga?

- Starcy dożywają siedemdziesiątki - odezwał się Iwang - a ja jestem dopiero po trzydziestce. Co mi po tych wszystkich latach?

Bahram nie potrafił się skupić:

- Mówiłeś przecież, że się odradzamy - powiedział smutno.

- Tak. Ale ja lubiłem to życie. Miałem plany.

Przeciągnął się. Nie był w stanie przełknąć jedzenia, a jego ciało było gorące. Bahram nie powiedział mu, że Khalid zmarł. Stało się to bardzo szybko, staruszek był mocno przygnębiony, a może i zły z powodu śmierci Fedwy, Esmerine i dzieci. Najwyraźniej powodem jego odejścia nie była zaraza, lecz apopleksja. Teraz już tylko

Bahram czuwał przy Tybetańczyku w pogrążonym w ciszy kompleksie.

Po jakimś czasie Iwang odezwał się zachrypniętym głosem:

- Ciekawe, czy Nadir wiedział, że byli zarażeni, i specjalnie ich odesłał, żeby nas uśmiercić.

- Po co miałby to robić?

- Może bał się pogromcy miriadów albo jakiejś dworskiej frakcji. Wcale nie musiał się z nami liczyć. A może to nie on... może nikt.

- Nigdy się nie dowiemy.

- To prawda. Całkiem możliwe, że cały dwór już nie żyje: Nadir, chan i cała jego świta.

- Oby tak było - wyrwało się Bahramowi.

Iwang tylko skinął głową. Zmarł o świcie, bez słowa, w męczarniach. Bahram rozkazał ocalałym mieszkańcom kompleksu owinąć twarze wilgotnymi chustami i przenieść wszystkie zwłoki do zamkniętego warsztatu tuż za pracownią chemiczną. Czuł, że nie było go w swoim ciele. Dziwiły go mechaniczne ruchy jego odrętwiałych kończyn i wypadające z jego ust słowa, których sam nie wypowiadał: zróbcie to, zróbcie tamto. Zjedzmy coś. Nieco później, wnosząc do kuchni wielki garniec, poczuł pod pachą zgrubienie. Usiadł na ziemi, jakby ktoś mu podciął ścięgna pod kolanami i pomyślał - przyszła kolej na mnie.

Z powrotem w bardo

Po takim zakończeniu nietrudno sobie wyobrazić smutek i przygnębienie, jakie zapanowały w ich małej jati, kiedy ponownie znaleźli się stłoczeni na czarnej posadzce w bardo. Któż mógł ich

winić? Skąd mieli brać chęć i siły, aby dalej trwać? Nie widzieli żadnej nagrody za swoje działania, żadnego postępu, żadnej dharmicznej sprawiedliwości. Nawet Bahram nie potrafił się w tym dopatrzyć niczego dobrego, a nikt inny poza nim nawet nie próbował. Spoglądając wstecz, przez minione wieki, na niekończący się łańcuch ich kolejnych inkarnacji, zanim zmuszono ich do pociągnięcia łyku z fiolki niepamięci i zanim wszystko znów stało się dla nich niezrozumiałe, nie zauważyli, aby ich wysiłki zmierzały w jakimś konkretnym kierunku. Jeżeli bogowie mieli jakiś plan albo chociaż ustalony z góry sposób postępowania, jeżeli długi ciąg wcieleń miał ich dokądś zaprowadzić i jeśli to wszystko nie było tylko bezmyślnym kręceniem się w kółko, a czas sam w sobie układającym się w serie chaosem, to i tak nikt tego nie dostrzegał. Cała historia ich transmigracji zamiast być narracją, w której nie istniało pojęcie śmierci, na co mogłyby wskazywać ich pierwsze doświadczenia z reinkarnacją, stała się istną trupiarnią. Po co czytać dalej? Po co podnosić ich księgę z odległego kąta, gdzie się jej pozbyto z bólem i niesmakiem, i czytać dalej? Po cóż ulegać temu okrucieństwu, tej złej karmie, tej marnej intrydze?

Powód jest prosty: to wszystko się wydarzyło. Wydarzyło się niezliczoną ilość razy, tak jak i to, co przeżywali teraz. Nasze słone łzy wypełniają oceany. Nikt nie zaprzeczy, że to wszystko zdarzyło się.

A zatem nie ma wyjścia. Nie mogą uciec z koła narodzin i śmierci ani teraz, doświadczając go na sobie, ani później, kiedy będą o nim myśleć. Natomiast ich antologista, Stary Czerwony Tusz, musi

wiernie relacjonować ich historie, musi zająć się rzeczywistością, w przeciwnym razie historie zgubią sens, a niezwykle ważne jest, aby coś znaczyły.

A więc nie ma ucieczki od rzeczywistości. Siedzieli dalej w bezruchu, tuzin smutnych dusz, stłoczonych razem w odległym kącie wielkiej sali sądu. Panował mrok i chłód. Idealnie białe światło trwało tym razem jedynie przez najkrótszą z chwil, niczym błysk w oku. Po chwili byli już z powrotem. Na wysokim podium szalały psy, demony i czarne bóstwa, które spowijała gęsta mgła, tłumiąca wszelkie odgłosy.

Bahram próbował coś powiedzieć, lecz żadna myśl nie przychodziła mu do głowy. Ostatnie dni spędzone na świecie wprawiły go w oszołomienie. Był gotów wstać i rozpocząć nowy dzień, przywitać kolejny poranek, a nawet dalej zmagać się z kryzysem nadchodzącym ze wschodu, radzić sobie z rozłąką, rozwiązywać problemy, jakie przynosiły ze sobą kolejne dni. Kryzysy i kłopoty - prawdziwe życie. To natomiast nim nie było. Już nie. Słone łzy śmierci w odpowiedniej chwili, gorzkie łzy śmierci przedwczesnej. Gorycz wypełniła przestrzeń jak dym. Lubiłem tamto życie! Miałem swoje plany!

Khalid siedział razem z nimi tak jak zawsze, jakby wcale nie opuścił gabinetu, i ciągle rozmyślał nad jakimś problemem. Na jego widok Bahram poczuł głęboki żal i smutek. Całe tamto życie przepadło. *Gate gate para gate para sam gate bodhi svaha.* Przeszłość przepadła, nawet jeśli nosisz ją w pamięci i tak jej nie ma. W czasie gdy toczyło się jego życie, wiedział doskonale, jak

bardzo je kochał, mimo to ciągle żyt w stanie permanentnej tęsknoty za teraźniejszością.

Wszystko przepadło.

Reszta jati leżała bądź tłoczyła się na surowej posadzce wokół Kha-lida. Nawet Seid Abdul Aziz wyglądał na zdumionego. Oczywiście żałował samego siebie, lecz przede wszystkim był zdumiony i smutny, że musiał opuścić ten niespokojny i jakże ciekawy świat.

Minął jakiś czas, chwila, rok, wiek, a może nawet i kalpa, któż to potrafił stwierdzić w tym okropnym miejscu?

Bahram wziął głęboki wdech, zebrał się w sobie i usiadł po turecku.

- Posuwamy się do przodu - ogłosił stanowczym tonem. Khalid parsknął:

- Jesteśmy niczym myszy dla kotów - powiedział, wskazując na podium, gdzie odbywały się dalsze kurioza.

- Te bydlaki nie będą się z nami cackać. Zabiją nas dla przyjemności. Oni nie umierają, oni nic nie rozumieją.

- Zapomnij o nich - poradził Iwang - zrobimy to po swojemu.

- Bóg nas osądza i wysyła z powrotem - odezwał się Bahram. -Człowiek może tylko chcieć, lecz to Bóg o wszystkim decyduje.

Khalid potrząsnął głową.

- Spójrz tylko na nich! To przecież banda zawistnych dzieciaków, urządzających sobie zabawy! Nikt nimi nie dowodzi. Nie ma żadnego boga bogów!

Bahram spojrzał na niego ze zdziwieniem:

- Naprawdę nie dostrzegasz tego jedynego, obejmującego wszystkich pozostałych, tego, w którym wszyscy jesteśmy zanurzeni? Allaha, Brahmana czy jakkolwiek go zwą, tego jedynego, prawdziwego Boga Bogów?

- Nie. Nic takiego nie widzę.

- Bo nie patrzysz! Cały czas byłeś ślepy. Kiedy spojrzysz, wtedy zobaczysz. A kiedy Go zobaczysz, wszystko się zmieni. Wtedy wszystko będzie dobrze.

- Przestań już nas obrażać tymi niedorzecznościami! - ryknął gniewnie Khalid. - O litościwy Allahu, jeśli w ogóle istniejesz, czemuś poskąpił

- rozumu temu chłopcu! - Wierzgnął w stronę Bahrama. - O wiele łatwiej byłoby nam tu bez ciebie! Ty i to twoje cholerne “wszystko będzie dobrze"! Nic nie jest dobrze, jest beznadziejnie! A ty wszystko jeszcze pogarszasz tymi swoimi bredniami! Nie widziałeś, co się z nami stało, z twoją żoną i z twoimi dziećmi, z moją córką i wnukami? Wcale nie jest dobrze, przypomnij sobie dokładnie. To, że doznajemy tu halucynacji, wcale nie oznacza, że powinniśmy karmić się złudzeniami! Bahram poczuł się urażony.

- Nikt nie potrafi się tak łatwo poddawać jak ty - zaprotestował. -Za każdym razem się poddajesz. Stąd właśnie bierze się twój cynizm, ty nawet nie próbujesz. Brak ci odwagi, aby wytrwać!

- Idź do diabła! Ja się nigdy nie poddaję. Ja nie chcę iść przez życie, rozpowiadając dookoła kłamstwa. Spójrz na siebie! To ty nigdy nie próbujesz! Zawsze tylko czekasz, aż ja albo Iwang zajmiemy się najtrudniejszą robotą. Spróbuj choć raz się za nią

wziąć! Przestań gadać o miłości i zabierz się do roboty! Spróbuj, a zobaczysz, jak trudno zachować pogodną twarz w obliczu bolesnej prawdy o rzeczywistości!

Bahram żachnął się oburzony:

- Ja robię swoje. Zawsze robiłem swoje. Beze mnie już byście dawno wszystkiego zaniechali, zabrakłoby wam wytrwałości. Prawdziwa odwaga polega na tym, że zdając siebie sprawę z rzeczywistego stanu rzeczy, potrafisz skupić się na miłości. Bardzo łatwo jest się złościć, każdy to potrafi. To czynienie dobra jest najtrudniejszą pracą, utwierdzanie w nadziei. To jest właśnie najtrudniejsze: trwanie w miłości.

Khalid machnął lewą ręką:

- Wszystko się zgadza, ale tylko wtedy, kiedy potrafisz sprostać prawdzie o rzeczywistości. Mam już dosyć szczęścia i miłości. Żądam sprawiedliwości.

- Ja też!

- W porządku, zatem pokaż mi. Tak! Chcę, żebyś następnym razem, kiedy znów będziemy na tym żałosnym świecie, pokazał mi, co potrafisz. Mam nadzieję, że będzie to coś więcej niż tylko mamienie obietnicą szczęścia.

- Dobrze! Pokażę ci!

- Świetnie! - burknął Khalid, podniósł się z mozołem i pokuśtykał w stronę Seida Abdula Aziza i jednym zamaszystym kopniakiem powalił go na szeroką posadzkę.

- A ty co?! - wrzasnął groźnie. - Co masz nam do powiedzenia? Dlaczego zawsze musisz być taki zły? Bycie konsekwentnym nie

jest

- wystarczającym wytłumaczeniem. Twój charakter też nie jest żadnym wytłumaczeniem!

Seid Abdul Aziz rzucił mu mordercze spojrzenie, podnosząc się i wysysając krew ze zdartych kłykci.

- Zostaw mnie w spokoju - powiedział niskim tonem, wbijając wzrok w Khalida, który zamierzył się, żeby kopnąć Seida po raz drugi, lecz w ostatniej chwili powstrzymał się i krzyknął:

- jeszcze dostaniesz za swoje, obiecuję ci to!

- Zapomnij o nim - poradził Iwang - to nie on jest prawdziwym problemem, on zawsze będzie z nami. Zapomnij o nim, zapomnij o bogach. Postaraj się tworzyć wszystko po swojemu. Zobaczysz, że można stworzyć swój własny świat.

Księga V

Wątek i osnowa

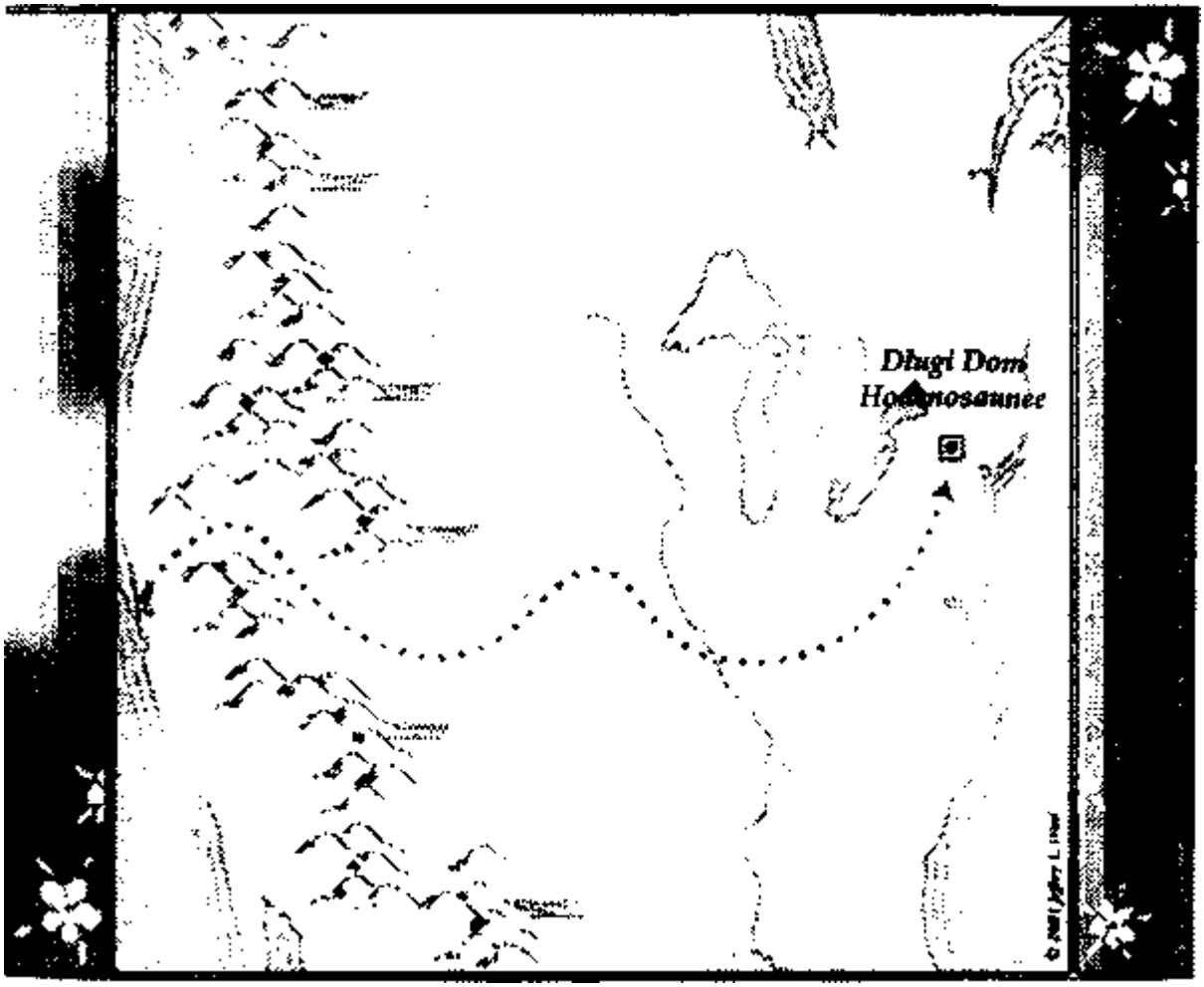

Jedna noc może odmienić świat.

Stróżowie Wrót rozesłali posłańców z wampumami, obwieszczającymi zebranie rady przy Pływającym Moście. Planowano mianować wodzem obcokrajowca, zwanego Zachodniakiem. Pięćdziesięciu sachemów zgodziło się przybyć na spotkanie, choć, jak wiadomo, nie oznaczało ono żadnego specjalnego wydarzenia. Wodzów było więcej niż sachemów, tytuł ten był dożywotni, a po śmierci wodza każde plemię mogło wybrać nowego, w zależności od sytuacji na wojennej ścieżce i od nastrojów panujących w wioskach. Tylko obce pochodzenie kandydata wyróżniało tę nominację. Kandydat od jakiegoś czasu mieszkał u Stróżów Wrót, a wśród Dziewięciu Narodów i Ośmiu Plemion szybko rozeszła się wieść, iż był on bardzo interesującą postacią.

Uratowała go wojownicza grupa Strażników, która wypuściła się daleko na zachód, aby zadać kolejny cios Siuksom, zachodniemu plemieniu graniczącemu z Hodenosaunee. Wojownicy zastali Siuksów w trakcie przeprowadzania tortur. Skazaniec wisiał na hakach wbitych w klatkę piersiową, a pod nim układano ogromny stos. Czekając w ukryciu na sygnał do ataku, wojownicy usłyszeli mocne i odważne słowa skazańca, który posługiwał się zrozumiałym dla nich wariantem dialektu Strażników Wrót. Mieli wrażenie, że wypatrzył ich już z daleka.

Częstym zachowaniem ofiary w trakcie tortur jest śmiech prosto w twarze oprawców, którym daje się do zrozumienia, że żaden ból zadawany przez człowieka nie jest w stanie zatriumfować nad duchem. W przypadku tego cudzoziemca było inaczej. Spokojnym

tonem, w języku zbliżonym bardziej do narzecza Strażników Wrót niż Siuksów, zwrócił się do porywaczy:

- Bardzo niekompetentni z was oprawcy. Pasja nie rani ducha, pasja zawsze dodaje sił. Im bardziej mnie nienawidzicie, tym bardziej mnie wspieracie. To, co naprawdę boli, to być zmielonym jak żołędzie pod kamieniem młyńskim. Tam, skąd pochodzę, istnieją setki przyrządów do rozdzierania ciała, lecz to, co boli naprawdę, to obojętność oprawców. Wy ciągle mi przypominacie, że jestem człowiekiem pełnym pasji, a zarazem przedmiotem pasji. Cieszę się więc, że

tu trafiłem i że już za chwilę wyzwolą mnie wojownicy o wiele potężniejsi od was.

Przyczajeni Seneka uznali to za niezaprzeczalny sygnał do ataku i z wojennymi okrzykami na ustach wyskoczyli z ukrycia i uderzyli na Siuksów, skalpując wszystkich, których złapali, i ratując jednocześnie skazańca, który przemawiał tak dobitnie i to w dodatku w ich własnym narzeczu.

- Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy? - zapytali go. Odpowiedział, że wisząc tak wysoko, dojrzał między drzewami ich błyszczące oczy.

- A skąd znasz nasz język?

- Dawno temu na zachodnim brzegu tej wyspy osiedliło się plemię waszych krewnych. To od nich nauczyłem się waszej mowy.

Opatrzyli go i zabrali ze sobą. Przez kilka miesięcy mieszkał ze Stróżami Wrót i Ludem z Wielkich Wzgórz nieopodal Niagary. Razem z nimi polował i towarzyszył im na wojennej ścieżce, a wieść o jego osiągnięciach rozchodziła się szeroko wśród

Dziewięciu Narodów. Wszyscy, z którymi się spotkał, pozostawali pod jego wrażeniem i nikt się nie zdziwił, kiedy zaproponowano mu wodzostwo.

Na miejsce zebrania rady wyznaczono wzgórze na cyplu wcinającym się w Jezioro Canandaigua, gdzie po raz pierwszy na świecie pojawili się Hodenosaunee, wychodząc z ziemi jak krety.

Lud Wzgórz, Lud Granitu, Posiadacze Krzemienia i Tkacze Koszul, którzy dwa pokolenia wcześniej przenieśli się z południa z powodu złych stosunków z przybyszami zza wschodniego morza, udali się na zachód szlakiem Długiego Domu, przecinającego ziemie ligi ze wschodu na zachód. Rozbili obozowiska w pewnej odległości od głównej siedziby Strażników Wrót i zgodnie ze starymi obyczajami wysłali doń posłańców, obwieszczając przybycie. Sachemowie z plemienia Seneka potwierdzili dzień zebrania rady i ponowili zaproszenie.

Umówionego poranka, jeszcze przed świtem, wszyscy wstali, zwinęli posłania i skupili się wokół ognisk na szybkim posiłku z pieczonych ciastek ryżowych i wody klonowej.

Niebo było przejrzyste, jedynie na wschodzie unosiła się szara, rzednąca chmura, podobna do kunsztownych haftów na rąbkach kobiecych szat. Mgła na jeziorze wirowała wokół duchów sunących po tafli wody, spieszących się na naradę, odbywającą się najczęściej w tym samym miejscu i czasie co zebranie ludzi. Powietrze było chłodne i wilgotne i niczym nie zdradzało uciążliwego upału, który miał nadejść po południu.

Przyjezdne plemiona zgromadziły się na łęgach tuż przy brzegu

jeziora, gdzie zajęły zwyczajowe miejsca. Do czasu gdy kolor nieba przeszedł od szarego do błękitnego, na miejscu zebrało się kilkuset ludzi, wysłuchujących *Pozdrowienia Słońca,* odśpiewanego przez jednego ze starszych sachemów z plemienia Seneka.

Plemię Onondaga opiekowało się Świętym Ogniem rady oraz wampumem ze wszystkimi prawami ligi. Ich stary, potężny sachem, Stróż Wampumu, wstał i w wyciągniętych ramionach zaprezentował białe i ciężkie pasy wampumów. Onondaga to główny ród, ich Święty Ogień rady stanowi centrum wszystkich rad ligi. Stróż Wampumu odtańczył drobnymi krokami niemrawy taniec wokół łąki, intonując pieśń, która dla większości zgromadzonych brzmiała jak niknący w powietrzu krzyk.

W centralnym miejscu rozpalono ogień i podawano sobie fajki. Mohawk, Onondaga i Seneka - bracia między sobą i ojcowie pozostałej szóstki, zasiedli po zachodniej stronie ognia. Oneida, Kajuga i Tuskarora po wschodniej, a nowe plemiona, Czirokezi, Shawnee i Choctaw po południowej. Słońce przebiło się ponad horyzontem, a jego światło zalało dolinę, niczym woda klonowa zatapiająca wszystko dokoła w letnich żółcieniach. Szary i brązowy dym wzbijał się w powietrze, łącząc się w jednolitą barwę. Był bezwietrzny poranek. Smugi nad taflą jeziora wyparowały, a na wschód od łąki, w koronach drzew rozśpiewały się ptaki.

Spomiędzy strzał cieni i świateł wyszedł bosy, niski, barczysty mężczyzna, z opaską posłańca na biodrach. Miał okrągłą, płaską twarz. Cudzoziemiec. Szedł ze złożonymi dłońmi, spoglądając skromnie w ziemię. Przeszedł pomiędzy młodszymi plemionami w

stronę głównego ogniska, gdzie ofiarował swoje otwarte dłonie Honowenato, Stróżowi Wampumu.

Stróż odezwał się do niego:

- Dziś zostaniesz wodzem Hodenosaunee. Z tej okazji zwyczaj nakazuje mi odczytać historię ligi, jaką przekazuje nam ten wampum oraz powtórzyć prawa ligi, które przez wiele pokoleń zapewniały nam pokój i sprawiały, iż przyłączały się do nas nowe plemiona od morza po Mississippi, od Wielkich Jezior po Tennessee.

Zachodniak skinął głową. Na jego piersiach widniały głębokie, zakrzywione blizny - pozostałości po urządzonej przez Siuksów ceremonii nabijania na haki. Jego twarz miała poważny wyraz, przywodzący na myśl oblicze sowy:

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt. Jesteście najhojniejszym z narodów.

- Jesteśmy największą ligą narodów pod słońcem - rzekł Stróż. - Żyjemy na wysoko położonych ziemiach Długiego Domu, skąd we wszystkich kierunkach rozchodzą się wygodne szlaki.

W każdym z narodów jest osiem plemion, dzielących się na dwie grupy: Wilk, Niedźwiedź, Bóbr, Żółw oraz Jeleń, Bekas, Czapla, Jastrząb. Każdy członek Wilka jest bratem lub siostrą wszystkich innych Wilków, bez względu na to, z jakiego rodu się wywodzą. Więź pomiędzy Wilkami jest nierzadko silniejsza od więzi łączącej członków jednego rodu. Jest to więź ponad podziałami, jak wątek i osnowa w tkactwie i wyplataniu koszy. W ten sposób stanowimy jedną tkaninę i jako narody nie możemy się ze sobą nie zgadzać,

gdyż to spowodowałoby rozdarcie tkaniny plemion. Brat nie może walczyć z bratem ani siostra z siostrą.

Dalej, Wilk, Niedźwiedź, Bóbr i Żółw, jako bracia i siostry, nie mogą zawierać między sobą małżeństw. Muszą wybierać swoich mężów i swoje żony spośród Jastrzębia, Czapli, Jelenia i Bekasa.

Zachodniak kiwał głową, wysłuchując kolejnych obwieszczeń Stróża, wypowiadanych namaszczonym głosem mężczyzny, który całe życie ciężko pracował, aby system ten mógł sprawnie działać. Zachodniaka ogłoszono członkiem plemienia Jastrząb, a następnego dnia miał razem z innymi Jastrzębiami rozegrać mecz lacrosse. Teraz jednak z intensywnością skupionego jastrzębia chłonął każde słowo gniewliwego starca, nie zważając na gromadzący się przy jeziorze tłum. Tłum zaś zajęty był swoimi sprawami. Zebrane przy ogniskach kobiety przygotowywały ucztę, a niektórzy mężczyźni zaczęli wyznaczać boisko do lacrosse na największej okolicznej łące.

Stróż zakończył wystąpienie, po czym Zachodniak zwrócił się do wszystkich w zasięgu głosu.

- To największy zaszczyt, jaki spotkał mnie w życiu – powiedział powoli, donośnym głosem, a jego akcent brzmiał obco, lecz zrozumiale. - Być przyjętym przez najwspanialszy naród na Ziemi to o wiele więcej, niż mógłby się spodziewać biedny włóczęga. Mimo wszystko ja zawsze miałem tę nadzieję. Spędziłem wiele lat, przemierzając waszą wyspę, i karmiłem się tylko tą myślą.

Ukłonił się głęboko, składając dłonie.

- Cóż za skromny człowiek - skomentowała Iagogeh, Ta, Która

Słyszy, żona Stróża Wampumu - a do tego wcale nie jest taki młody. Już nie mogę się doczekać, co nam powie tego wieczoru.

- I jak poradzi sobie w rozgrywkach - dodała Tecarnos, Kapiąca Oliwa, jedna z siostrzenic Iagogeh.

- Ty lepiej pilnuj zupy - odpowiedziała Iagogeh.

- Dobrze, matko.

Sędziowie liniowi oczyścili boisko do lacrosse z kamieni, zakopali zajęcze nory i na przeciwległych końcach rozstawili wysokie słupki bramek. Jak zawsze w tego typu rozgrywkach plemiona Wilka, Niedźwiedzia, Bobra i Żółwia grały przeciwko Jeleniom, Bekasom, Jastrzębiom i Czaplom. Rozpoczęło się przyjmowanie zakładów. Zajmujące się tym osoby układały stawiane przedmioty w równych rzędach. Były to głównie rzeczy codziennego użytku i ozdoby, lecz również krzemienie, flety, bębny, sakwy z tytoniem i fajki, igły i strzały, a nawet dwa karabinki skałkowe i cztery muszkiety.

Obie drużyny i sędziowie wyszli na środek boiska. Reszta tłumu otoczyła pole szpalerem lub usadowiła się na pobliskim wzgórzu, skąd rozciągał się znakomity widok na całe widowisko. W meczu brały udział dwa dziesięcioosobowe zespoły; pięć celnych rzutów do bramki dawało zwycięstwo. Sędzia główny, jak zwykle, najpierw ogłosił podstawowe reguły gry: nie wolno dotykać piłki dłonią, stopą, kończynami, ciałem i głową, nie wolno umyślnie uderzać przeciwnika kijem. Następnie uniósł do góry piłkę wielkości mniej więcej jego pięści, uszytą ze skóry jelenia i wypełnioną piaskiem. Dwudziestu zawodników stanęło naprzeciw siebie, po dziesięciu na każdej połowie. Rozstawili obronę swoich bramek, po czym dwóch

graczy z przeciwnych drużyn zbliżyło się ku sobie, aby walczyć o upuszczoną piłkę, która miała rozpocząć mecz. Kiedy sędzia upuścił piłkę, dookoła wybuchły głośne okrzyki, a on usunął się na bezpieczną odległość, skąd wraz z innymi czuwał nad przestrzeganiem reguł gry.

Kapitanowie obu drużyn z szalonym zapałem fechtowali kijami w walce o piłkę, okrągłe siatki na końcach kijów zamiatały ziemię i zderzały się ze sobą. Silne uderzenie w przeciwnika było zabronione, wolno było natomiast uderzyć kijem w kij przeciwnika - była to dość ryzykowna gra. Nieumyślne uderzenie w ciało dawało pokrzywdzonemu możliwość oddania strzału na bramkę przeciwnika. Pierwsi dwaj zawodnicy okładali się zajadle i sprytnie unikali ciosów, aż w końcu jeden z Czapli zgarnął piłkę, cisnął ją w tył, do jednego ze swoich. Zaczęła się gonitwa.

Przeciwnicy puścili się pędem za zawodnikiem przy piłce, który lawirował tak długo, jak mógł, a następnie jednym ruchem kija cisnął piłkę do swojego sprzymierzeńca. Kiedy upadała na ziemię, większość graczy znajdujących się w pobliżu od razu się na nią rzucała, brzmiały trzaski zderzających się ze sobą drewnianych kijów. Dwóch zawodników z przeciwnych drużyn pozostawało na obronie w pewnej odległości od młyna, w razie gdyby któryś z przeciwników przechwycił piłkę i ruszył w stronę bramki.

Wszyscy szybko przekonali się, że Zachodniak już kiedyś grał w la-crosse, najprawdopodobniej ze Stróżami Wrót. Nie był tak młody, jak reszta graczy, ani tak szybki, jak najszybsi z nich, ci jednak obstawiali się wzajemnie, tak że on musiał jedynie zmagać się z

największym graczem z drużyny Niedźwiedzia, Wilka, Bobra, Żółwia, który, mimo niskiego wzrostu i krępej budowy, doskonale balansował ciałem, lecz i tak było mu daleko do zwinności Zachodniaka. Cudzoziemiec trzymał kij oburącz, jak kosę, nisko i z boku lub przed sobą, jakby w każdej chwili miał zamachnąć się i uwolnić piłkę. Przeciwnicy wkrótce się zorientowali, że piłka wyrzucona z takim zamachem nigdy nie sięgnęłaby celu, a kiedy sami próbowali tej sztuczki, Zachodniak wykonywał dziwny obrót i od razu sunął szybkimi zakosami do przodu, tak że krępy obrońca nie był w stanie dłużej się przy nim utrzymać. Kiedy blokowali go inni przeciwnicy, wtedy jego podania świstały w powietrzu jak strzały wypuszczane z łuku i jeśli cokolwiek można było im zarzucić, to chyba tylko to, że były bardzo silne, jako że koledzy z drużyny mieli poważne problemy z ich przyjmowaniem. Jeśli któremuś się to udawało, od razu zrywał się w stronę bramki, wywijając kijem w powietrzu, zmylając ostatniego obrońcę i krzycząc do wtóru rozentuzjazmowanego tłumu. Zachodniak nie krzyczał, nie wypowiedział nawet jednego słowa, grał, zatopiony w osobliwej ciszy, nie drwił z przeciwników i nie patrzył im w oczy, obserwował tylko piłkę i, przynajmniej tak to wyglądało, wpatrywał się w niebo. Grał niczym w transie, jakby wszystko mu się myliło, a jednak, kiedy pozostali gracze z jego drużyny byli ścigani i blokowani, on jakimś sposobem zawsze pozostawał odkryty i gotowy na przyjęcie podania, bez względu na to, jak bardzo przeciwnicy starali się go obstawić lub zabiegać mu drogę. Otoczeni towarzysze, usiłujący za wszelką cenę utrzymać kij w pozycji umożliwiającej

podanie, zawsze odnajdywali Zachodniaka dokładnie tam, dokąd mogli podać, a on biegi, potykał się i ciągle gubił obstawę. Zręcznie odbierał błyskawiczne podanie i znów wypuszczał się w nieprzewidywalną pogoń. Biegał za plecami przeciwników, przecinał boisko pod dziwnymi i zdawać by się mogło niewłaściwymi kątami, aż w końcu, kiedy miał już odciętą każdą drogę ucieczki, nadarzała się okazja do podania. Po jednym z potężniejszych jego wyrzutów piłka zerwała kawał darni, który podskoczył w górę jak na sprężynie. Co za widok, komiczna gimnastyka! Tłum ryczał, kiedy zespół Jelenia, Bekasa, Jastrzębia i Czapli posyłał piłkę tuż pod rzucającym się obrońcą i prosto do bramki. Chyba nigdy wcześniej nie zdobyto tak szybko pierwszych punktów.

Później Niedźwiedź, Wilk, Bóbr i Żółw robili wszystko, co tylko przychodziło im do głowy, żeby zatrzymać Zachodniaka, lecz ciągle zaskakiwały ich jego dziwne reakcje, nie potrafili się przed nim bronić. Jeśli obstawiali go zwartą grupą, podawał do swoich młodych i szybkich zawodników, którzy rozochoceni sukcesem zaczynali grać coraz odważniej. Jeśli próbowali kryć go pojedynczo, kluczył, krążył, potykał się i przebiegał niby w całkowitym pomieszaniu obok kryjącego go przeciwnika, aż w końcu znajdował się w odległości strzału od bramki, wykonywał nagły obrót, trzymając kij na wysokości kolan, i energicznym ruchem nadgarstka wypuszczał piłkę jak strzałę z napiętego łuku. Nikt ze zgromadzonych nie widział tak silnych strzałów.

Po zdobytych punktach, zawodnicy zbierali się przy bocznych liniach, żeby napić się czystej wody lub wody klonowej. Drużyna

Niedźwiedzia, Wilka, Bobra i Żółwia naradzała się w ponurej atmosferze i poczyniła kilka zmian. Wkrótce po wznowieniu gry jeden z przeciwników “przypadkowo" uderzył kijem w głowę Zachodniaka, rozcinając głęboko skórę i zalewając mu twarz krwią. Za ten faul przysługiwał Zachod-niakowi rzut wolny, który wykonał niemal z połowy boiska i, przy wtórze ryczącej publiczności, podwyższył wynik, Nieczyste zagranie bynajmniej nie zmieniło jego dziwacznego, aczkolwiek skutecznego stylu gry i nic też nie dało jego przeciwnikom, z którymi nie wymienił nawet spojrzenia.

- Gra tak, jakby zawodnicy z przeciwnej drużyny byli duchami - powiedziała Iagogeh do siostrzenicy. - Gra, jakby był poza swoim ciałem i uczył się biegać z jeszcze większym wdziękiem.

Była prawdziwą koneserką lacrosse.

O wiele szybciej niż ktokolwiek się spodziewał było cztery do jednego dla młodszej drużyny. Starsze plemiona zebrały się, aby omówić strategię. Kobiety podawały graczom tykwy z wodą i wodą klonową. Iagogeh, sama będąc Jastrzębiem, usiadła obok Zachodniaka i podała mu tykwę z czystą wodą, gdyż wcześniej zauważyła, że tylko taką pijał.

- Teraz będziesz potrzebował dobrego partnera - powiedziała, sadowiąc się przy nim - nikt nie potrafi kończyć w pojedynkę. - Spojrzał na nią ze zdziwieniem, a ona ruchem głowy wskazała na swojego siostrzeńca imieniem Doshoweh. - To twój człowiek - powiedziała i odeszła.

Zawodnicy ponownie zebrali się na środku boiska i czekali, aż sędzia upuści piłkę. Drużyna Niedźwiedzia, Wilka, Bobra i Żółwia

zostawiła tylko jednego gracza w obronie. To oni zdobyli teraz piłkę i z desperacką furią napierali na zachód. Przez długi czas żaden z zespołów nie zdobył bramki, wszyscy biegali tam i z powrotem jak poparzeni. Jeden z zawodników Jelenia, Bekasa, Jastrzębia i Czapli doznał kontuzji kostki, wtedy Zachodniak wywołał na boisko Doshoweh.

Szarża drużyny Niedźwiedzia, Wilka, Bobra i Żółwia nie słabła, wszyscy teraz naciskali na nowego zawodnika. Jedno z ich podań przeszło jednak zbyt blisko Zachodniaka, który zebrał piłkę z powietrza, przeskakując nad upadającym przeciwnikiem, i błyskawicznie podał ją do Doshoweh. W jednej chwili wszyscy przypadli do młodzieńca, który wyglądał na wystraszonego i całkowicie bezbronnego, nie stracił jednak głowy i wykonał długi rzut wzdłuż boiska, z powrotem do rozpędzonego Zachodniaka, który przyjął trudne podanie i od razu skupił na sobie zmasowaną pogoń przeciwników. Wyglądało na to, że cudzoziemiec miał w sobie ukryte pokłady siły i szybkości, których dotychczas nie okazywał, nikt bowiem nie był w stanie go dogonić. W końcu dobiegł do wschodniej bramki, wykonał zręczny zwód i wystrzelił podkręconą piłkę, która przeleciała nad obrońcą i wylądowała daleko w lesie, kończąc mecz.

Tłum opanował wielki entuzjazm. Kapelusze i sakwy z tytoniem latały w powietrzu i spadały deszczem na murawę boiska. Zawodnicy leżeli zmęczeni, a po chwili wstali i zebrali się w jednym wielkim uścisku, stale nadzorowani przez sędziów.

Nieco później Zachodniak dosiadł się do innych na brzegu

jeziora.

- Co za ulga - powiedział - powoli zaczynałem się męczyć. Następnie pozwolił, aby kobiety opatrzyły mu ranę, za co podziękował ze spuszczonym wzrokiem.

Po południu młodzi zabawiali się, rzucając oszczepem przez toczącą się obręcz. Poprosili Zachodniaka, aby przyłączył się do zabawy, a on zgodził się na jedną próbę. Stanął nieruchomo i delikatnym ruchem cisnął oszczep tak, że przeleciał on przez obręcz, która potoczyła się dalej. Zachodniak ukłonił się i ustąpił miejsca innym.

- Znam tę grę z czasów chłopięcych - powiedział - była częścią treningu wojowników zwanych u nas samurajami. Ciało nigdy nie zapomina tego, czego raz się nauczyło.

lagogeh była świadkiem tego wyznania i udała się do męża, Stróża Wampumu.

- Powinniśmy zaprosić Zachodniaka do nas, aby opowiedział nam więcej o swoim kraju - powiedziała. On tylko skinął głową, marszcząc z lekka brwi, jak zawsze, kiedy wtrącała się ze swoimi uwagami, mimo że już od ponad czterdziestu lat omawiali ze sobą najdrobniejsze szczegóły wszystkich spraw dotyczących ligi. Taki właśnie był Stróż, nadpobudliwy i gniewny, lecz tylko dlatego, że liga znaczyła dla niego tak wiele, lagogeh najczęściej więc ignorowała jego humory.

Zasiedli do uczty, a kiedy słońce znikło za linią lasu, jasne płomienie huczały w półmroku. Teren ceremonii pomiędzy czterema największymi ogniskami stał się miejscem spotkania kilkuset ludzi,

którzy podawali sobie jedzenie z rąk do rąk, napełniali miski kaszą kukurydzianą przyprawianą ziołami, ciastkami ryżowymi, zupą fasolową, gotowanymi kabaczkami i pieczonym na ruszcie mięsem jelenia, wapiti, kaczki i przepiórki. Kiedy zaczęto jeść, gwar ucichł. Po głównym daniu podano prażoną kukurydzę i galaretkę truskawkową posypaną cukrem klonowym, którą jedzono już znacznie wolniej i która była prawdziwym przysmakiem dzieci.

W czasie uczty, o zachodzie słońca, Zachodniak przechadzał się po całym terenie z udkiem pieczonej gęsi w dłoni, przedstawiał się ludziom i wysłuchiwał ich historii lub odpowiadał na pytania. Zasiadł też z rodzinami graczy ze swojej drużyny i wspólnie rozpamiętywali zwycięstwo w lacrosse.

- Ta gra podobna jest do mojego dawnego zawodu - powiedział. - W moim kraju wojownicy używają broni podobnej do dużych igieł. Widziałem, że macie tu igły i pistolety, które najpewniej pochodzą właśnie od moich dawnych braci lub od innych przybyszów zza wschodniego morza.

Pokiwali głowami. Cudzoziemcy założyli ufortyfikowaną osadę na wybrzeżu, nieopodal wejścia do wielkiej zatoki, przy ujściu Wschodniej Rzeki. Igły rzeczywiście pochodziły stamtąd, jak również ostrza tomahawków i pistolety zrobione z tego samego materiału.

- Igły są bardzo cenne - powiedziała lagogeh - jeśli nie wierzysz, to zapytaj Łamacza Igieł.

Wszyscy zaczęli żartować z Łamacza Igieł, który uśmiechnął się zawstydzony, a Zachodniak mówił dalej:

- Materiał do ich produkcji wytapia się z pewnego rodzaju skał, z czerwonych skał, które zawierają metal. Jeśli w dużym, glinianym piecu rozpalilibyście odpowiednio gorący ogień, moglibyście wytwarzać własny metal. Odpowiednie skały znajdują się niedaleko stąd, na południe od ziem ligi, w wąskich, meandrujących dolinach - podniósł z ziemi patyk i narysował na piasku orientacyjną mapę okolicy.

Dwóch czy trzech sachemów przysłuchiwało mu się wraz z Iagogeh. Zachodniak ukłonił się im.

- Planuję porozmawiać o tych sprawach z radą sachemów.

- A czy gliniany piec wytrzyma tak gorący ogień? - zapytała Iagogeh, dotykając palcami dużej igły rymarskiej, która zdobiła jeden z jej naszyjników.

- Owszem. Oprócz tego istnieje też czarna skała, która pali się równie gorącym ogniem co węgiel drzewny. Sam kiedyś zajmowałem się wyrobem mieczy. Nasze podobne są do kos, lecz o wiele dłuższe. Ostrze jest jak kij do lacrosse, tej samej długości, a jego krawędzie przypominają głownię tomahawka lub duże źdźbło trawy, jest ciężkie i solidne. Nauka władania takim mieczem trwa dość długo - bekhendem przeciął dłonią powietrze - i nie masz już głowy, nic nie jest w stanie cię zatrzymać.

Wszyscy słuchali z zainteresowaniem. Każdy z nich pamiętał, jak Zachodniak wywijał wokół siebie kijem do lacrosse, wirując przy tym jak nasiona klonu spadające na wietrze.

- Poza kimś z pistoletem - zauważył sachem plemienia Mohawk, Sadagawadeh, Zrównoważony.

- Racja. Lecz najważniejszą częścią pistoletu jest rura, wykonana z tego samego metalu co miecz.

Sadagawadeh skinął głową z autentycznym zafascynowaniem. Zachodniak ukłonił się.

Stróż Wampumu skrzyknął grupę młodzieńców z plemienia Neutralnych, którym nakazał odszukać pozostałych sachemów. Chłopcy wyszli na poszukiwania i tak długo kluczyli po całym miejscu ceremonii, aż udało im się odnaleźć wszystkich pięćdziesięciu. Kiedy wrócili, Zachodniak siedział pośród ludzi i pomiędzy palcem wskazującym i kciukiem trzymał przed sobą piłkę do lacrosse. Miał duże, ciężkie i pokryte bliznami dłonie.

- Spójrzcie, naniosę obraz świata na tę piłkę. Świat w większości pokrywa woda. Na tym światowym jeziorze znajdują się dwie duże wyspy. Największa z nich leży dokładnie po drugiej stronie. Wyspa, na której jesteśmy, też jest duża, lecz nie aż tak wielka, jest może polowy wielkości tamtej albo i jeszcze mniejsza. Nie wiadomo jednak, jak duże jest to jezioro.

Węglem drzewnym zaznaczył na piłce kontury lądów leżących na Wielkim Oceanie, po czym wręczył piłkę Stróżowi.

- To coś w rodzaju wampumu. Stróż skinął głową.

- Jak obraz.

- Zgadza się, obraz całego świata, na powierzchni piłki, ponieważ świat jest taką dużą piłką, na którą można nanieść nazwy jezior i wysp.

Stróż nie wyglądał na przekonanego, lecz co tak naprawdę go odpychało, tego lagogeh nie potrafiła stwierdzić. Zwrócił się do

sachemów, aby przygotowali się na zebranie rady.

lagogeh wstała i poszła pomagać w sprzątaniu. Zachodniak razem z nią odnosił miski na brzeg jeziora.

- Proszę, zostaw - powiedziała zawstydzonym głosem - my się tym zajmujemy.

- Nie zwykłem wysługiwać się ludźmi - powiedział Zachodniak i dalej znosił dziewczętom miski na brzeg, a w międzyczasie pytał o ich hafty. Kiedy spostrzegł, że lagogeh wyprostowała się, żeby usiąść na lekko podwyższonym brzegu, zaraz usiadł obok niej. Przyglądali się dziewczętom, kiedy Zachodniak odezwał się:

- Wiem, że według mądrości Hodenosaunee, to kobiety decydują, kto kogo poślubi.

lagogeh zastanowiła się przez chwilę.

- Tak, można tak powiedzieć.

- Jestem już Stróżem Wrót i Jastrzębiem, resztę swoich dni spędzę tutaj z wami, mam również nadzieję kiedyś się ożenić.

- Rozumiem - spojrzała uważnie najpierw na niego, później na dziewczęta - a czy masz już kogoś na oku?

- Ależ nie! - odpowiedział. - Nie miałbym śmiałości. To przecież ty decydujesz. Zresztą, po tym jak wskazałaś mi partnera do lacrosse, przekonałem się, że robisz to najlepiej.

Uśmiechnęła się. Spojrzała na odświętne stroje dziewcząt, świadomych bądź nieświadomych obecności dorosłych.

- Ile wiosen już widziałeś?

- W tym życiu około trzydziestu pięciu.

- A co, miałeś inne życia?

- Każdy z nas miał. Nie pamiętasz swoich?

Spojrzała na niego, nie do końca wiedząc, czy mówi poważnie.

- Nie - odpowiedziała.

- Wspomnienia powracają przeważnie w snach, lecz czasem również wtedy kiedy dzieje się coś, co rozpoznajemy.

- Znam to wrażenie.

- To właśnie to.

Zadrżała. Robiło się coraz chłodniej. Nastała pora, by zasiąść przy ognisku. Poprzez liściastą sieć gałęzi ponad ich głowami przebijały gwiazdy.

- Na pewno nie masz żadnego typu?

- Żadnego. Kobiety Hodenosaunee są najpotężniejszymi kobietami na świecie. Nie tylko chodzi o to, że ustanawiają dziedzictwo i tworzą linię pokrewieństw, lecz przede wszystkim ustanawiają relacje małżeńskie. W ten sposób decydują, kto powraca na świat.

- A od kiedy to dzieci podobne są do swoich rodziców? - powiedziała drwiącym tonem.

Wszyscy potomkowie, jakich doczekała się ze Stróżem, byli bardzo niepokojącymi ludźmi.

- Ten, kto przychodzi na świat, od dawna wyczekiwał tej chwili, tak jak i wielu innych, lecz to od rodziców zależy, kto pojawi się na świecie.

- Naprawdę tak uważasz? Kiedy patrzyłam na swoje dzieci, jawiły mi się często niczym zwykli nieznajomi, zaproszeni do Długiego Domu.

- Tak jak ja.

- Tak jak ty.

Po tych słowach podeszli do nich sachemowie i zaprowadzili Zachodniaka na miejsce mianowania.

Lagogeh upewniła się, czy dziewczęta skończyły zmywanie, i poszła za sachemami, aby razem z nimi wyszykować nowego wodza. Czesała jego czarne, proste włosy, tak bardzo podobne do jej własnych, i pomogła mu je związać tak, jak sobie tego życzył, na czubku głowy, w kok. Przyglądała się jego radosnej twarzy, myśląc, że jest to naprawdę niezwykły człowiek.

Biodra i ramiona przewiązali mu zdobnymi pasami, plecionymi przez zręczne dłonie kobiet w trakcie długich zimowych dni. Kiedy tylko przywdział pasy, od razu wyglądał w nich wyśmienicie - wojownik i wódz zarazem, mimo płaskiej twarzy i wąskich powiek. Nigdy w życiu nie widziała nikogo, kto wyglądałby tak jak on. Z pewnością nie był podobny do cudzoziemców, przybywających zza morza i lądujących na wschodnim wybrzeżu. Zrodziło się w niej wyraźne odczucie, że Za-chodniak nie jest jej do końca taki obcy, i wrażenie to sprawiło, że poczuła się dziwnie.

Podniósł oczy i podziękował za pomoc, a kiedy jej wzrok spotkał się z jego przenikliwym spojrzeniem, doznała przez chwilę silnego wrażenia swojskości.

Do głównego ogniska dorzucono wiązkę gałęzi i kilka dużych pni, dźwięk bębnów i grzechotek z żółwich skorup słychać było coraz wyraźniej, kiedy pięćdziesięciu sachemów Hodenosaunee zbierało się w kręgu, aby przystąpić do ceremonii mianowania. Za nimi

zbierał się tłum, ludzie znajdowali dla siebie miejsca i siadali tak, aby wszyscy dobrze widzieli, tworząc coś w rodzaju szerokiej doliny o ścianach z ludzkich twarzy. Ceremonia mianowania wodza nie trwała tak długo jak ceremoniał pięćdziesięciu sachemów. Wystąpił sachem wnioskodawca i ogłosił nominację. W tym przypadku był to Duże Czoło z plemienia Jastrzębia, który idąc w koło wolnym krokiem, jeszcze raz i przy wszystkich opowiedział historię Zachodniaka, jak to natknęli się na niego, kiedy torturowali go Siuksowie, i jak pouczał Siuksów o bardziej wyrafinowanych i skuteczniejszych metodach tortur stosowanych w jego kraju. O tym, jak od razu posługiwał się nieznanym wariantem dialektu Stróżów Wrót i o jego wielkiej nadziei na odwiedzenie Ludu Długiego Domu jeszcze przed tym, jak porwali go Siuksowie. O tym, jak żył wśród Stróżów Wrót i uczył się ich zwyczajów, jak stanął na czele wojowników, by udać się z nimi w dół rzeki Ohio i odbić grupę Seneka z rąk Lakota, jak ich prowadził, myląc pościg i bezpiecznie doprowadził z powrotem do domu. Te i inne zasługi czyniły go wyjątkowym kandydatem na wodza, który cieszy się poparciem wszystkich znających go ludzi.

Duże Czoło mówił, jak sachemowie zatwierdzili wybór Stróżów Wrót, jeszcze zanim Zachodniak miał okazję udowodnić swoje umiejętności podczas meczu lacrosse. Rozległy się powitalne okrzyki, a Zachodniaka wprowadzono do kręgu sachemów. Jego płaska twarz lśniła od poświaty ogniska, a uśmiechał się tak szeroko, że jego oczy całkiem znikły w fałdach skóry.

Podniósł dłoń, wyrażając tym swoją gotowość do przemówienia.

Sachemowie usiedli na ubitej ziemi, tak aby całe zgromadzenie mogło oglądać nowego wodza.

- To najwspanialszy dzień w moim życiu - rzekł - i dopóki żyję, zachowam w pamięci wspomnienie każdej jego chwili. Pozwólcie, że opowiem wam, jak do tego dnia doszło, gdyż dotychczas usłyszeliście jedynie część mojej historii. Urodziłem się na wyspie Hokkaido w wyspiarskim plemieniu Nippon, dorastałem jako mnich, aby później zostać wojownikiem, samurajem. Miałem na imię Busho.

W Nipponie panował inny porządek niż tutaj. Co prawda istniało coś na kształt zgromadzenia sachemów, lecz był tylko jeden władca,

którego zwaliśmy cesarzem, oraz plemię wojowników, których szkolono, aby walczyli dla władców i zmuszali rolników do oddawania części ziemiopłodów. Odszedłem ze służby u mojego pierwszego władcy z powodu jego okrucieństwa względem rolników, w ten sposób zostałem roninem, wojownikiem bez własnego plemienia.

Żyłem tak przez wiele lat, przemierzając góry Hokkaido i Honsiu jako żebrak, mnich, pieśniarz i wojownik. Później na Nippon napadł lud z zachodu, z bodaj największej wyspy na wielkim jeziorze. Ów lud to Chińczycy; rządzą oni ponad połową tamtej części świata. Kiedy napadli na Nippon, żaden boski wiatr nie przyszedł nam z pomocą i nie zatopił wrogich kanoe, co dotychczas zawsze się zdarzało. Dawni bogowie opuszczali Nippon, być może działo się tak z powodu wyznawców Allaha, którzy opanowali wyspy

wysunięte najdalej na południe. Tak czy inaczej, kiedy wody naszych mórz w końcu umożliwiły im przeprawę, okazało się, że są nie do zatrzymania. Wystawiliśmy do boju całą naszą artylerię, rozpięliśmy łańcuchy w wodzie, próbowaliśmy ognia, nocnych ataków z ukrycia, ataków na wodach morza wewnętrznego i zabiliśmy wielu z nich, lecz ciągle przybywali następni, flota po flocie. W końcu założyli na naszym wybrzeżu swój własny fort, z którego już nie potrafiliśmy ich wyprzeć. Fort znajdował się na długim półwyspie, który po miesiącu całkowicie wypełnił się ich ludźmi. Następnie zaatakowali od razu całą wyspę. Na wszystkich naszych zachodnich plażach wylądowały tysiące najeźdźców. Cały naród ligi Hodenosaunee byłby jedynie kroplą w obliczu chińskiego potopu. Walczyliśmy ofiarnie, nie poddając się, lecz w końcu musieliśmy wycofać się w góry, gdzie znaliśmy każdą jaskinię i wąwóz. Chińczycy wkrótce opanowali nasze równiny i nie było już Nipponu, mojego rodu i mojego plemienia.

Do tego czasu powinienem był umrzeć setki razy, jednak zawsze jakimś szczęśliwym trafem wychodziłem cało z kolejnych bitew. I często byliśmy bliscy zwycięstwa i znów musieliśmy uciekać i żyć w ukryciu, aby zadać cios innym razem. W końcu na całej wyspie Honsiu pozostała nas niecała setka. Wspólnie więc opracowaliśmy plan. Jednej nocy zebraliśmy się wszyscy i wykradliśmy Chińczykom trzy towarowe kanoe, ogromne statki, wielkości kilku waszych długich domów związanych razem i puszczonych na wodę. Pożeglowaliśmy na wschód, dowodzili na-mi ci, którzy już kiedyś dopłynęli na Złotą Górę.

Porwane przez nas statki łapały wiatr w płócienne skrzydła, przymocowane do długich tyczek wbitych w pokład, jak te, które pewnie wisieliście u cudzoziemców przypływających ze wschodu. Zarówno tutaj,

jak i tam, większość wiatrów wieje z zachodu. Płynęliśmy na wschód przez wiele księżyców, a kiedy nie sprzyjał nam wiatr, dryfowaliśmy w wielkim prądzie morskim.

Kiedy dotarliśmy do Złotej Góry, od razu spotkaliśmy innych Nippończyków, którzy przybyli tam wcześniej, niektórzy przed kilkoma miesiącami, a inni nawet przed dziesiątkami lat. Było wśród nich wielu wspaniałych wnuków naszych osadników, mówiących starszą odmianą nippońskiego. Ucieszyli się na widok bandy samurajów, przybijających do brzegu. Powiedzieli nam, że jesteśmy niczym pięćdziesięciu trzech legendarnych roninów, gdyż chińskie statki zdążyły się już wedrzeć do wewnętrznego portu i ostrzelać wioski ze swoich potężnych dział i wyruszyć z powrotem do Chin, aby przekazać swojemu cesarzowi wieść, że jest nas tu jeszcze wielu do zgładzenia - wykonał gest pchnięcia, demonstrując, jak zadawano śmiertelny cios mieczem w kształcie wielkiej igły; jego twarz wykrzywiła się w przerażającym grymasie.

Postanowiliśmy pomóc naszemu plemieniu osadników, bronić ich wiosek i uczynić z tych ziem nowy Nippon, zachowując oczywiście w pamięci myśl o ewentualnym powrocie do domu. Kilka lat później znów pojawili się Chińczycy, tym razem nie na statkach wpływających przez Złotą Bramę, lecz pieszo, z północy, w towarzystwie dużej armii. Budowali po drodze mosty i drogi i dużo

mówili o złocie, kryjącym się w masywach wzgórz. Wtedy po raz kolejny wytępiono Nippończyków jak szczury w spichlerzu, rozpędzono ich, wycieńczonych, na południe lub na wschód, w niedostępne góry, gdzie przeżył tylko jeden na dziesięciu.

Kiedy zbiegowie ukryli się bezpiecznie w jaskiniach i wąwozach, postanowiłem, że nie dopuszczę do tego, aby Chińczycy opanowali Żółwią Wyspę, tak jak opanowali wielką wyspę świata, leżącą na zachodzie... jakbym rzeczywiście mógł coś na to poradzić. Żyłem wśród lokalnych plemion i uczyłem się ich języka. Z czasem zacząłem przygotowywać się do wyprawy na wschód, przez pustynie i wysokie góry, przez jałowe zwaliska skał i piachu, spalone słońcem i chrzęszczące pod stopami. Przechodziłem przez góry o ogromnych skalistych szczytach poprzecinanych wąskimi kanionami. Dalej, na rozległym, wschodnim stoku, w górnym biegu waszych rzek ciągną się połacie traw, mieszkają tam stada bizonów i plemiona myśliwych, którzy żyją w przenośnych obozowiskach i wędrują za zwierzyną na północ i na południe. To bardzo niebezpieczni ludzie, którzy pomimo dostatku ciągle ze sobą walczą. Kiedy z nimi podróżowałem, starałem się trzymać na uboczu. Szedłem na

wschód, aż natknąłem się na niewolniczych chłopów, pochodzących z Hodenosaunee. Z tego, co mi powiedzieli, w języku, który ku mojemu zdziwieniu całkiem dobrze rozumiałem, wynikało, że Hodenosaunee to pierwszy naród, o jakim słyszałem, który byłby w stanie powstrzymać inwazję Chińczyków.

Rozpocząłem więc poszukiwania Hodenosaunee i doszedłem aż

tutaj, śpiąc po drodze w pustych pniach i skradając się jak wąż, wszystko po to, by przekonać się, kim tak naprawdę jesteście. Poszedłem w górę rzeki Ohio i przeszukiwałem tamtejsze tereny. Po drodze uwolniłem młodą niewolnicę z plemienia Seneka i nauczyłem się od niej wielu nowych słów. Pewnej nocy zostaliśmy porwani przez wojowniczą bandę Siuksów. To był jej błąd, broniła się zbyt zaciekle, więc ją zabili, mnie również chcieli zabić, lecz wtedy akurat zjawiliście się z pomocą. Kiedy pastwili się nade mną, pomyślałem - na pewno zjawią się za chwilę ludzie Seneka i uratują cię, jeden z nich już tam stoi, oto ich oczy łyskające płomiennym blaskiem. I wtedy uderzyliście.

Wyrzucił ramiona przed siebie i zawołał:

- Dziękuję wam, narodzie Długiego Domu! - Sięgnął do pasa, wyjął z sakwy liście tytoniu i cisnął je w ogień. - Dzięki ci, Wielki Duchu, Jedyny Umyśle ogarniający nas wszystkich.

- Co za duch? - pomrukiwali w odpowiedzi ludzie w tłumie, wyraźnie czujący teraz jedność ze zgromadzeniem.

Zachodniak przyjął z rąk Dużego Czoła długą fajkę i zaczął z namaszczeniem nabijać ją zielonymi liśćmi. Miażdżąc je i upychając w cybuchu, mówił dalej.

- To, czego się o was dowiedziałem, autentycznie mnie zaskoczyło. W każdej innej części świata rządzą pistolety. Cesarzowie przykładają lufę do głów sachemów, ci do głów wojowników, którzy mierzą w chłopów, wszyscy przykładają lufę do głów kobiet i tylko cesarz i kilku sachemów ma cokolwiek do powiedzenia w tych sprawach. Przywłaszczają sobie ziemie, jak wy odzież, a reszta

ludzi pozostaje w mniejszym czy większym stopniu niewolnikami. Na całym świecie jest co najmniej pięć lub sześć takich cesarstw, lecz z czasem będzie ich coraz mniej, gdyż ciągłe napadają na siebie i walczą do zwycięstwa któregoś z nich. To one rządzą tym światem, mimo że nikt ich tak naprawdę nie lubi. Jeżeli nikt nie mierzy do nikogo z pistoletu, ludzie rozchodzą się lub wzniecają bunt. Wszystko opiera się na przemocy, mężczyzna przeciwko mężczyźnie i mężczyzna przeciwko kobiecie. Pomimo to ludu ciągle przybywa. Hodują bydło, podobne do tu tejszych łosi, dla mleka, mięsa i skór. Hodują świnie, podobne do dzików, i owce, kozy, a także konie, na których jeżdżą. Budową zbliżone są do młodych bizonów. W ten sposób ich lud rozrósł się do ogromnych rozmiarów, jest ich więcej niż gwiazd na niebie, stłoczonych między oswojonymi zwierzętami i warzywami podobnymi do waszych trzech sióstr: kabaczka, fasoli i kukurydzy. Ich kukurydza nazywa się ryż i rośnie w wodzie, można nim wykarmić przeogromną liczbę ludzi. W każdej z waszych dolin mogłoby ich zamieszkać tylu, ilu liczy sobie cały naród Hodenosaunee. Taka jest prawda, widziałem to na własne oczy. Na dalekim, zachodnim wybrzeżu waszej wyspy już się to zaczęło, a niewykluczone, że na wschodnim też.

Przerwał, skłonił się i wyjął z ogniska rozżarzone polano, od którego odpalił świeżo nabitą fajkę. Następnie podał dymiący instrument Stróżowi Wampumu i mówił dalej, podczas gdy każdy z sachemów raz po raz zaciągał się dymem z fajki.

- Długo przyglądałem się ludowi Hodenosaunee, jak dziecko przygląda się matce. Zobaczyłem, jak linia żeńska wychowuje tu synów,

którzy niczego nie dostają w spadku po swoich ojcach, i jak dzięki temu władza nie kumuluje się w rękach jednego człowieka. Na tej ziemi nie mogłoby być cesarzy. Widziałem, jak kobiety kojarzą małżeństwa i zabierają głos we wszystkich sprawach; jak się tu dba o sieroty i starszych. Jak narody dzielą się na plemiona, które splecione są ze sobą tak, że wszyscy w lidze są dla siebie braćmi i siostrami, jak wątek i osnowa. Jak cały lud, łącznie z kobietami, wybiera sachemów i co oznacza dla nich kara wygnania, jeśli dopuściliby się czynów występnych. Widziałem też, że ich synowie nie są traktowani w sposób nadzwyczajny, lecz jak zwykli ludzie, którzy wkrótce ożenią się, opuszczą dom rodzinny i będą mieć własnych synów, którzy również odejdą, oraz córki, które zostaną na miejscu dopóty, dopóki wszyscy się w ich sprawie nie wypowiedzą. Widziałem, jak ten system gwarantuje pokój całej lidze. Jest to najlepszy system rządzenia z wszystkich wynalezionych przez człowieka.

Uniósł dłonie w dziękczynnym geście. Nabił ponownie fajkę i rozpalił ją, po czym w taki sposób wypuścił długą smugę dymu, że złączyła się z dymem kłębiącym się nad ogniskiem. Rzucił w ogień następną garść liści i podał fajkę kolejnemu sachemowi w kręgu, Przerażonej Twarzy, który w tej chwili rzeczywiście wyglądał na nieco zatrwożonego. Lud Hodenosaunee równie wysoko cenił sobie zdolności oratorskie, co i zręczność na polu bitwy, wszyscy więc z radością słuchali dalszych słów Zachodniaka.

- Najlepsze rządy? Owszem, lecz spójrzcie dokoła. Wasza wyspa jest tak obfita w pożywienie, że nie potrzebujecie narzędzi, aby

nakarmić siebie i dzieci. Żyjecie w pokoju i w dostatku, mimo że nie dysponujecie narzędziami, wasz lud nie rozrasta się nadmiernie. Nie macie również metalu ani zrobionej z niego broni. To właśnie dlatego tak tu jest. Możecie kopać głębokie studnie w ziemi, żeby zdobyć wodę, lecz po cóż mielibyście to robić, skoro dookoła nie brakuje jezior i strumieni? Tak właśnie żyjecie.

Ludzie z wielkiej wyspy walczą ze sobą już od wielu pokoleń, wytwarzają przeróżne narzędzia i broń, potrafią żeglować po wielkich morzach we wszystkich kierunkach i dopłynąć aż tutaj. Tak właśnie się dzieje, przybywają tu jak jelenie zapędzone przez watahę wilków. Spotykacie ich na swoim wschodnim wybrzeżu. Ludzie ci pochodzą z drugiego brzegu tej samej, wielkiej wyspy, z której sam uciekłem, zajmującej niemal połowę całego świata.

Oni nie przestaną tu ściągać! I powiem wam, co się stanie, jeśli nie staniecie w obronie swojej wyspy. Będzie ich coraz więcej, zbudują na wybrzeżu forty, podobne do tych, które już powstały. Będą chcieli z wami handlować, oferując tkaninę za futra - tkaninę! - Tkaninę w zamian za prawo do przejęcia na własność waszych ziem, które potraktują jak własne ubranie. A kiedy wasi wojownicy zaczną się sprzeciwiać, oni będą strzelać do was z pistoletów i jeśli trzeba będzie, sprowadzą więcej wojowników i jeszcze więcej broni, tak, że w końcu nie będziecie w stanie ich odeprzeć, bez względu na to, ilu z nich zabijecie, gdyż mają tylu ludzi, ile jest ziaren piasku na waszych plażach. Zaleją was niczym wody Niagary.

Tu przerwał, aby wizja, jaką roztoczył, utrwaliła się w ich umysłach. Następnie uniósł dłonie i rzekł:

- Tak nie musi być. Lud tak wspaniały jak Hodenosaunee, ze swoimi mądrymi kobietami i zręcznymi wojownikami, naród, za który każdy z nas oddałby życie, jak za własną rodzinę, ten właśnie naród może nauczyć się zwyciężać z cesarstwami, w które tak naprawdę wierzą tylko cesarzowie. Pytacie, jak to możliwe? Jak można zatrzymać spadają ce wody Niagary?

Znów przerwał, nabił fajkę i cisnął w ogień garść liści. Podał fajkę dalej, poza krąg sachemów. - Powiem wam, jak można tego dokonać. Liga może się rozrastać, dowiedliście tego, łącząc się z Tkaczami Koszul, Shawnee, Choctawi Chickasaw. Powinniście zaprosić do ligi wszystkie sąsiadujące narody, nauczyć ich waszych zwyczajów i opowiedzieć im o niebezpieczeństwie wiążącym się z wielką wyspą. Każdy nowy naród wniesie w obronę wyspy swoje umiejętności i oddanie. Jeżeli będziecie pracować razem, najeźdźcy nigdy nie przedrą się w głąb wielkich lasów, które nawet bez ofiarnej obrony stanowią przeszkodę niemal nie do pokonania. Być może jednak najważniejszą rzeczą jest umiejętność wytwarzania własnej broni.

W tej chwili uwaga słuchających szczególnie natężyła się. Jeden z sachemów uniósł muszkiet, który zdobył niegdyś na wybrzeżu. Drewniane łoże, metalowa lufa, metalowy cyngiel i mechanizm iskrowy z krzemieniem. Broń wyglądała jak nie z tej ziemi i lśniła dostojnie w pomarańczowym świetle ogniska, pośród skupionych twarzy, jak coś zrodzonego, a nie skonstruowanego.

Zachodniak wskazał na broń.

- Tak, właśnie o to chodzi. Składa się z mniejszej liczby części niż

wasz pleciony koszyk. Metal pochodzi z kruszonych skał, wypalanych w ogniu. Tygle i formy, w które wlewa się roztopiony metal, zrobione są z jeszcze twardszego, nietopliwego metalu lub z gliny. To samo tyczy się pretów, na które nawija się gorące arkusze metalu, aby zrobić lufy. Odpowiednią temperaturę można uzyskać, używając paliwa w postaci węgla drzewnego i kamiennego oraz dmuchając w ogień za pomocą miechów. Można również wstawić koło w nurt strumienia, które naciskałoby i rozwierało miechy z siłą setek ludzkich rąk.

Następnie przeszedł do opisu całego procesu, który z konieczności odbywał się w jego własnym języku:

- Coś takiego działała w ten sposób z czymś takim. Zilustrował swoje słowa, przystawiając do twarzy rozżarzony koniec

gałęzi i dmuchając weń tak długo, aż rozbłysnął na nowo żółtym ogniem.

- Miechy to takie worki z jeleniej skóry rozpięte na drewnianych ramionach, połączonych zawiasem tak, że można je zamykać i otwierać - mówił, prezentując omawiany ruch. - Wszystkie urządzenia mogą być napędzane siłą nurtu rzeki. Łącząc swoje warsztaty z przepływającymi nieopodal rzekami, staniecie się bardziej wydajni, W ten oto sposób moc rzeki stanie się waszą mocą, a potęga Niagary będzie do waszej dyspozycji. Możecie wytwarzać metalowe dyski o zębatych krawędziach, podłączać je do rzeki i z łatwością ścinać drzewa, rżnąc pnie wzdłuż, na deski, aby móc budować domy i łodzie. - Wskazał dłonią dookoła nich. - Całą wschodnią część Żółwiej Wyspy porastają lasy, ogromna

liczba drzew. Moglibyście z nich zbudować wspaniale statki, na których przeprawilibyście się przez wielkie morze, aby przenieść bitwę na wybrzeża wroga, lub zrobić cokolwiek, na przykład pożeglować tam i zapytać zwykłych ludzi, czy chcą żyć jako niewolnicy cesarstwa, czy też jako plemię, wplecione w tkaninę ligi. Wszystko jest możliwe!

Zachodniak znów przerwał i zaciągnął się dymem. Stróż Wampumu skorzystał z okazji i zabrał głos:

- Ciągle mówisz o walce i trudzie, jednak jak dotąd cudzoziemcy z wybrzeża byli dla nas przyjaźni i troskliwi. Handlują z nami, dają nam broń w zamian za futra, nie strzelają do nas i nie boją się nas. Opowiadają o swoim bogu tak, jakby nas to nie dotyczyło.

Zachodniak skinął głową.

- Tak to właśnie będzie wyglądać, aż pewnego dnia rozejrzycie się dokoła i zobaczycie, że cudzoziemcy są już wszędzie, że zajęli wasze doliny, że wybudowali własne forty na szczytach wzgórz i że chcą przejmować na własność ziemię, na której postawili swoje gospodarstwa, jakby była ona ich własną sakiewką na tytoń, że są gotowi zastrzelić każdego, kto na ich terenie upoluje zwierzę lub zetnie drzewo. Kiedy do tego dojdzie, będą mówić, że ich prawo stoi ponad waszym, ponieważ ich jest więcej i to oni mają broń. Będą mieli w pełni uzbrojone grupy wojowników, gotowe do wkroczenia za nich na wojenną ścieżkę w każdym miejscu na świecie. Wtedy zaczniecie uciekać na północ i opuścicie te tereny, najwyższe tereny na Ziemi.

Wyprężył się, pokazując, jak wysoko wznoszą się tutejsze ziemie,

i pomimo panującej ogólnie konsternacji, kilka osób roześmiało się. Wszyscy też widzieli, jak Zachodniak ściągnął z fajki trzy czy cztery wielkie chmury, podczas gdy inni tylko po jednej, zatem jasne dla nich było to, jak wysoko wzniósł się jego umysł. Powoli ich opuszczał, wszyscy to widzieli. Jego słowa dobiegały z daleka, z wnętrza jego ducha albo spośród gwiazd.

- Przyniosą ze sobą choroby. Wielu z was umrze od gorączki i zakażeń pojawiających się znikąd i przenoszących się z osoby na osobę. Choroby strawią was od środka jak jemioła, rozrastając się w waszych wnętrznościach. Maleńkie pasożyty wewnątrz was i duże pasożyty na zewnątrz - ludzie żyjący z pracy waszych rąk, lecz mieszkający po drugiej stronie świata i zmuszający was do oddania mocą swoich prawi bronią. Prawo jemioły! Stworzone do zapełniania skarbców cesarzy na całym świecie. W końcu będzie ich tutaj tak wielu, że nie starczy dla nich drzew w waszych lasach.

Wziął głęboki, powolny wdech i otrząsnął się jak pies, aby zrzucić z siebie tę okropną wizję.

- A więc! - zawołał - nie pozostaje nic innego, jak żyć tak, jakbyście już byli martwi, niczym wojownicy, którzy dali się uwięzić, rozumiecie mnie? Cudzoziemcom z wybrzeża należy się koniecznie przeciwstawić i, o ile to możliwe, zamknąć ich w portowym mieście. Jednak cokolwiek byście zrobili, wojna i tak prędzej czy później się rozpęta. Im później, tym lepiej będziecie mogli się przygotować i mieć większą szansę na wygraną. Przecież o wiele łatwiej jest bronić własnego domu niż walczyć po drugiej stronie świata. Możemy zwyciężyć! Musimy próbować, w imię wszystkich

przyszłych pokoleń!

Po raz kolejny zaciągnął się głęboko fajkowym dymem.

- A więc broń! Mała i duża! Proch strzelniczy, tartak, konie. To wystarczy, aby wszystko się powiodło. Do tego wiadomości ryte na korze brzozowej. Konkretne znaki odpowiadające poszczególnym dźwiękom w danych językach. Stawiasz znak, jakbyś wypowiadał dźwięk, to proste. Taka rozmowa może trwać nieprzerwanie i odbywać się na dużych dystansach w przestrzeni i w czasie, łącząc mówiącego ze słuchającym bez konieczności bezpośredniego spotkania. W ten sposób porozumiewa się ze sobą cała druga połowa świata. Posłuchajcie mnie uważnie, waszą wyspę dzieli od reszty świata ogromne morze. Właściwie jest tak, jakbyście żyli na innym świecie od momentu, kiedy Wielki Duch stworzył człowieka. Teraz jednak zaczęli ściągać tu obcy! I aby się im przeciwstawić, możecie pole gać jedynie na swojej wiedzy, na swoim duchu, na własnej odwadze i więzi spajającej wasz naród jak wątek i osnowa w wyplatanych przez was koszach, więzi silniejszej od trzcinowego splotu, silniejszej nawet od broni!

Zadarł głowę do góry i zawołał donośnie w stronę wschodnich gwiazd:

- Silniejsi od broni!

I w stronę zachodnich gwiazd:

- Silniejsi od broni!

I w północną stronę:

- Silniejsi od broni! I w południową:

- Silniejsi od broni!

Wielu zgromadzonych krzyczało razem z nim. Zaczekał, aż znów zapadnie cisza, i odezwał się:

- Każdy nowy wódz ma prawo zwrócić się do rady sachemów, która zebrała się, by uświetnić ceremonię jego mianowania, o rozważenie w kwestii dotyczących wspólnej polityki. Zatem zwracam się do sachemów, aby rozpatrzyli kwestię cudzoziemców na wybrzeżu oraz plan ich wyparcia poprzez ujarzmienie potęgi rzek, wyrób broni i podjęcie konsekwentnych działań przeciwko najeźdźcom. Proszę sachemów, abyśmy wspólnie sprawowali pieczę nad naszymi sprawami.

Złożył dłonie i ukłonił się.

Sachemowie powstali. Odezwał się Stróż:

- To więcej niż jedna propozycja. Zajmiemy się najpierw pierwszą z wymienionych, gdyż w niej mieszczą się wszystkie pozostałe.

Sachemowie zebrali się w niewielkich grupach i rozpoczęły się narady. Skalny Grzmot jak zwykle mówił bardzo szybko i z tego co usłyszała lagogeh, wynikało, że popierał Zachodniaka.

W takich sprawach decyzje musiały być podejmowane jednomyślnie. Sachemowie każdego narodu dzielili się na klasy, po dwóch lub trzech w każdej. Kiedy uzgodnili wspólny punkt widzenia, wtedy jeden z nich dołączał do przedstawicieli pozostałych klas ze swojego narodu - czterech od Stróżów Wrót i Moczarników. Ci również naradzali się przez jakiś czas i pod koniec dyskusji wypuścili po jednej chmurze z fajki. Wkrótce z każdego narodu wybrano po jednym sachemie, który prezentował stanowisko wspólplenieńców.

Tej nocy konferencja ośmiu przedstawicieli trwała na tyle długo, że ludzie zaczęli się dziwnie im przyglądać. Kilka lat temu, podczas obrad nad problemem cudzoziemców ze wschodniego wybrzeża, rada nie osiągnęła jednomyślności. Całkiem przypadkiem, a może i świadomie, Zachodniakowi udało się przywołać jeden z najważniejszych i nadal nierozwiązanych problemów ich czasów. Stróż zarządził przerwę w obradach i zwrócił się do wszystkich:

- Sachemowie zbiorą się ponownie nad ranem. Mają przed sobą nie lada problem i nie rozwiążą go tej nocy, poza tym nie chcielibyśmy dłużej odkładać tańców.

Większość od razu przyklasnęła Stróżowi. Zachodniak ukłonił się nisko sachemom i dołączył do pierwszego korowodu, tańczącego w rytm grzechotek z żółwiowych skorup. Chwycił jedną grzechotkę i zaczął potrząsać nią energicznie. W jego tańcu była ta sama osobliwość co w fechtowaniu kijem do lacrosse. Jakaś dziwna płynność znaczyła jego gesty - całkiem odmienne od tanecznych ruchów wojowników Hodenosaunee, którzy wykonywali coś na kształt zwinnych i dynamicznych ataków z tomahawkiem, wyskakując co rusz w powietrze i nieustannie śpiewając. Na ich ciałach wystąpił pot, a swój śpiew prze-

rywali miarowymi i głębokimi wdechami. Zachodniak przyglądał się korowodowi z uśmiechem podziwu i potrząsał głową, dając do zrozumienia, jak bardzo tancerze przewyższają go swoimi umiejętnościami, a tłum, zadowolony, że w końcu znalazła się dziedzina, w której ich wódz nie był najlepszy, śmiał się i ruszył do tańca. Zachodniak przeszedł na tył. Tańczył z kobietami, naśladując

je, a sznur tancerzy obszedł ognisko, boisko do lacrosse i wrócił do ogniska. Zachodniak wyszedł z korowodu, wyciągnął z sakiewki garść zmielonego tytoniu i kładł po szczypcie na język każdemu, kogo mijał, łącznie z Iagogeh i innymi kobietami, które w swoich zgrabnych pląsach miały szansę dłużej wytrzymać niż podskakujący wojownicy.

- Tytoń szamana - wyjaśniał każdej częstowanej osobie. - Podarunek szamana dla tancerzy.

Ziele miało gorzki smak i wielu musiało je przepijać wodą klonową. Młodzi mężczyźni i kobiety nie przerywali tańców, ich kończyny poruszały się w ognistej poświacie, jeszcze bardziej lśniące i silniejsze niż wcześniej. Reszta tłumu tańczyła w miejscu lub spacerowała w pobliżu, omawiając ze sobą wydarzenia całego dnia. Wielu też przyglądało się mapie świata, sporządzonej przez Zachodniaka na piłce do lacrosse, która błyszczała w nocnym świetle rozjaśnionym łuną ognia, jakby posiadała wewnętrzny żar.

- Zachodniaku - zapytała po jakimś czasie Iagogeh - co to za ziele ten tytoń szamana?

Zachodniak odpowiedział:

- Dostałem je od narodu, z którym żyłem kiedyś na zachodzie. Dziś jest właśnie ta noc, kiedy wszyscy Hodenosaunee muszą odbyć wspólną podróż. Mam na myśli wędrówkę duchową, tym razem poza granice ziem Długiego Domu.

Przyjął podany mu flet, przyłożył palce do otworów i zagrał kilka nut, a później gamę.

- Aha - powiedział i przyjrzał się bliżej instrumentowi - w moim

kraju otwory są inaczej rozmieszczone, ale i tak spróbuję.

Zagrał melodię tak przeszywającą, że wszyscy naraz poderwali się i zaczęli dziko tańczyć. Prędko przyzwyczaił się do nowej skali, a na jego twarzy odmalował się spokój.

Kiedy skończył, znów spojrzał na flet i rzekł:

- To była Sakura, a przynajmniej taki jest układ palców do Sakury. Wyszło z tego coś innego. Bez wątpienia wszystko, co mówię, trafia do was w podobnie zmieniony sposób. Tak samo wasze dzieci, to, co przejmą po was, zmienią po swojemu. Nie ma więc większego znaczenia, co dziś jeszcze powiem lub co wy zrobicie jutro.

Jedna z dziewcząt tańczyła w pobliżu, trzymając pomalowane na czerwono jajko, zwykłą zabawkę, jednak Zachodniak śledził ją wzrokiem, zaskoczony. Spojrzał przez ramię i dopiero wtedy wszyscy dostrzegli, że świeża rana na jego głowie otworzyła się i zaczęła krwawić. Przewrócił oczami, opadł na ziemię, jak rażony gromem, a z dłoni wypadł mu flet. Zawołał coś w obcym języku. Tłum ucichł, a ci, którzy byli najbliżej, usiedli.

- To już się kiedyś zdarzyło - oznajmił obcym tonem, zgrzytając zębami. - O tak! Wszystko powraca - wydał z siebie zduszony jęk - nie tyle ta noc, powtarzająca się w dokładnie ten sam sposób, lecz poprzednia wizyta. Posłuchajcie mnie. Przeżywamy wiele żyć. Umieramy i odradzamy się w kolejnych wcieleniach, do czasu aż będziemy żyć na tyle dobrze, aby już nie musieć się odradzać. Wcześniej byłem wojownikiem z Nipponu, zaraz... nie, z Chin - przerwał i zastanowił się chwilę nad tym, co powiedział. - Tak. Byłem Chińczykiem. To mój brat, Peng, przemierzył całą Żółwią

Wyspę, kamień po kamieniu, spał w zwalonych pniach i walczył z niedźwiedzicą w jej gawrze, przebył całą drogę, aż tu, na górę, do tego obozowiska, do tego miejsca zebrania się rady. Opowiedział mi o tym, kiedy umarliśmy. - Zawył urwanie, rozejrzał się w koło, jakby czegoś szukał, po czym zerwał się i pobiegł w stronę domu umarłych, gdzie przechowywano kości przodków. Każdy z nich miał swój indywidualny pochówek, który trwał na tyle długo, aby ptactwo i bogowie mogli oczyścić ich do białości. Następnie kości układano starannie w domu umarłych, znajdującym się u stóp wzgórza. Miejsce to bardzo rzadko odwiedzano, a w czasie tańców nikomu nie przyszłoby do głowy, aby się tam zjawiać.

Szamani jednak znani są ze swojej śmiałości. Przed domem umarłych zebrał się tłum. Poprzez szpary w ścianach, obłożonych korą drzew, przesączały się smugi światła pochodni Zachodniaka, który rozglądał się po całym wnętrzu. Nagle usłyszeli potężny okrzyk, zmieniający się we wrzask.

Zachodniak wybiegł na zewnątrz, trzymając w górze pochodnię i oświetlając nią zbielałą czaszkę, do której mamrotał coś w swoim języku.

Zatrzymał się przy ognisku i uniósł czaszkę tak, aby wszyscy dobrze się jej przyjrzeli.

- Widzicie! To jest właśnie mój brat. To ja! - Przytrzymał pękniętączaszkę przy swojej twarzy, tak że jej puste oczodoły skierowane byty

w stronę zebranych. Rzeczywiście, kształtem i rozmiarem czaszka była zbliżona do jego głowy. Wszyscy zamarli.

- Opuściłem nasz statek na zachodnim wybrzeżu i powędrowałem w głąb lądu z dziewczyną, którą spotkałem po drodze. Szliśmy ciągle na wschód, w stronę wschodzącego słońca. Dotarłem tu w chwili, gdy zbieraliście się na naradę, taką jak ta, aby ustanowić prawa, według których żyjecie do dziś. Pięć narodów było ze sobą zwaśnionych i Daganoweda zwołał je na naradę, aby wspólnie zadecydować o zakończeniu walk w wielkich dolinach.

Mówił prawdę. Tak właśnie wyglądał początek historii Hodenosaunee.

- Widziałem, czego dokonał Daganoweda. Zwołał wszystkich i zaproponował zawiązanie ligi narodów, zarządzanej przez sachemów. Propozycję przyjęto jednogłośnie i podczas tamtego spotkania, w pierwszym roku, narodziła się liga pokoju, która od czasów pierwszej rady pozostała niezmieniona aż po dziś dzień. Podejrzewam, że wielu z was w waszych poprzednich wcieleniach również uczestniczyło w tamtym wydarzeniu, a może byliście wówczas po drugiej stronie świata i budowaliście klasztor, w którym dorastałem. Zaiste niezbadane są prawa reinkarnacji. Byłem tu, aby was bronić przez chorobami, które ze sobą przywlekliśmy. To nie ja zaprowadziłem u was te wspaniałe rządy, zrobił to Daganoweda razem z wami wszystkimi, ja w tym nie uczestniczyłem. Za to nauczyłem was, jak postępować ze strupami. To on przywlókł ze sobą strupy i pokazał wam, jak je nacinać, wkładać do ran i jak zbierać te, które tworzyły się na nowo, jak odprawiać rytuały ospy, jak składać ofiary i modlić się do boga ospy, abyśmy byli zdrowi na tej Ziemi i w niebie.

Odwrócił czaszkę do siebie i rzekł:

- To on tego dokonał i nikt się o nim nie dowiedział. Nikt go nie znał i nikt dziś nie pamięta ojego dokonania, nie istnieje o nim żaden zapis, jedynie od czasu do czasu pojawia się jego obraz w mojej pamięci i w umysłach tych wszystkich ludzi, którzy nigdy nie przeżyliby, gdy by nie on. Tym właśnie jest historia ludzkości. To nie generałowie, cesarzowie i prowadzone przez nich wojny, lecz anonimowe działanie ludzi, o których nigdy się nie pisze, choć dobro, które czynią, spływa na kolejne pokolenia jak błogosławieństwo. Wystarczy, że zrobisz dla obcych to, co twoja matka robiła dla ciebie, lub nie zrobisz tego, czemu się sprzeciwiała. W ten sposób dokonuje się postęp, dzięki temu stajemy się tym, kim jesteśmy.

Dalszą część przemowy wygłaszał we własnym języku.

Wszyscy przyglądali mu się w skupieniu, kiedy mówił do trzymanej w dłoni czaszki i czule ją gładził. Ludzie stali jak zaczarowani, a kiedy nagle przestał mówić, aby posłuchać, co odpowiada czaszka, wszystkim się wydawało, że też słyszą słowa w jego dziwnej mowie podobnej do ptasiego śpiewu. I rozmawiali tak, aż w końcu Zachodniak rozpłakał się. Kiedy znów odezwał się do nich w dziwnej odmianie języka Seneka, wszyscy byli wstrząśnięci.

- Przeszłość wytyka nam błędy! Tak wiele żyć! A my zmieniamy się tak powoli! Myślicie, że to się nie dzieje, a jednak. Ty - skierował czaszkę w stronę Stróża Wampumu - kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem, nie miałeś najmniejszych szans, aby zostać

sachemem. O mój bracie, byłeś wówczas zbyt gniewny. Teraz za to już nie jesteś. A ty -powiedział, wskazując czaszką na lagogeh, której serce w piersi zamarło - wcześniej nie wiedziałabyś, co począć z całą potęgą, którą dzisiaj dysponujesz. O moja siostro, nigdy wcześniej nie byłabyś w stanie nauczyć Stróża tak wiele.

- Dorastamy razem, dzieje się dokładnie tak, jak mówił nam Budda. Dopiero teraz możemy zrozumieć i przyjąć na swoje barki cały ciężar odpowiedzialności. Macie najwspanialszy rząd na świecie, nikt inny dotąd nie zrozumiał, że wszyscy ludzie na Ziemi to szlachetne istoty będące częścią Jednego Umysłu. To jest ciężar, rozumiecie? Musicie go nieść. Wszystkie nienarodzone życia czekające na swoją kolej zależą teraz od was! Bez was świat zmieniłby się w koszmar - mówił, unosząc w dłoni czaszkę niczym fajkę, którą za chwilę chciałby się zaciągnąć. Następnie wskazał nerwowo na dom umarłych. Rana na jego głowie krwawiła teraz obficie, płakał. Tłum wpatrywał się w niego z otwartymi ustami i razem z nim odpływał w świętą przestrzeń szamana.

- Wszystkie narody na tej wyspie są waszymi przyszłymi braćmi i siostrami. Tak waśnie powinniście ich pozdrawiać. Witaj, mój przyszły bracie! Jak ci się wiedzie? A oni rozpoznają wasze dusze jako swoje. Przyłączą się do was, jak młodszy brat do starszego, który potrafi wskazać drogę. Walka między braćmi i siostrami ustanie i liga Hodenosau-nee poszerzy się o kolejne narody i kolejne plemiona. Kiedy cudzoziemcy w swoich kanoe wylądują na waszych plażach, będziecie mogli przeciwstawić się im jako jedność, odeprzeć ich ataki, przejąć od nich to, co użyteczne, a

odrzucić, co szkodliwe, i stawić im czoła, jak istotom równym sobie. Widzę, co się stanie w czasie, który jeszcze nie nadszedł. Widzę! Widzę! Widzę to! Ludzie, którymi kiedyś będę, śpią teraz i mówią do mnie, mówią przeze mnie, mówią, że wszyscy ludzie na Ziemi będą przyglądać się Hodenosaunee i podziwiać sprawiedliwość ich rządów. Wieść o nich będzie się nieść od jednego Długiego Domu do drugiego i docierać wszędzie tam, gdzie władcy ciemiężą swoich ludzi, którzy będą opowiadać sobie nawzajem o Hodenosaunee i o tym, jak może naprawdę wyglądać życie, jak można się wszystkim dzielić i jak zwykli ludzie mogą mieć swój wkład w bieg historii. Żadnych niewolników, żadnych cesarzy, żadnych podbojów i podporządkowania, ludzie jak ptaki na niebie! Jak orły szybujące w przestworzach. O, niech tak się stanie! Niech nadejdzie ten dzień! Ooo! Ochhhhhhh!

Zachodniak przerwał, wciągając powietrze głęboko do płuc. Podeszła do niego Iagogeh i obwiązała mu głowę, aby zatamować krwawienie. Bił od niego cierpki zapach krwi i potu. Spoglądał poprzez nią, a później w niebo, wzdychając.

- Ach! - Jak gdyby gwiazdy były ptakami, a ich blask migotaniem nienarodzonych dusz. Spojrzał na czaszkę, jakby zastanawiał się, w jaki sposób znalazła się w jego dłoni. Oddał ją Iagogeh. Podszedł do młodych wojowników i drżącym głosem zaintonował jedną z tanecznych pieśni, czym zdjął z nich unieruchamiający czar. Zerwali się więc na nogi i znów rozbrzmiały bębny i grzechotki, a tancerze otoczyli ognisko.

Zachodniak wziął czaszkę od Iagogeh, która czuła się, jakby

oddawała mu jego własną głowę. Powoli udał się w stronę domu umarłych, zataczając się jak pijany i malejąc z każdym krokiem. Wszedł do środka już bez pochodni, a kiedy wyszedł i miał wolne ręce, przyjął podany mu flet i wrócił do roztańczonego tłumu. Stał w miejscu, chwiał się na nogach i grał z innymi muzykantami, dmuchając w instrument do rytmu, bez żadnej konkretnej melodii. Iagogeh dołączyła do tancerzy i mijając Zachodniaka, pociągnęła go za sobą do korowodu.

- To było wspaniałe - powiedziała - ta historia, którą opowiedziałeś, była naprawdę wspaniała.

- Nie pamiętam. Nie była zaskoczona.

- Nie było cię tam. Inny Zachodniak mówił poprzez ciebie i opowiedział bardzo dobrą historię.

- A sachemowie? Czy oni też tak uważają?

- Już my zadbamy o ich zdanie.

Prowadziła go teraz przez tłum, przystając co chwilę i sprawdzając, jak się prezentował w towarzystwie tej czy innej panny, którą wybrała dla niego, on zaś w żaden sposób nie reagował na swaty. Tańczył, dmu-

chał we flet i patrzył to w ziemię, to w ogień. Wyglądał na wycieńczonego i przytłoczonego. Po kolejnym tańcu Iagogeh odprowadziła go od ogniska. Usiadł po turecku i z zamkniętymi oczami grał dalej, dodając do muzyki dzikie tryle.

Tuż przed świtem ognisko zmieniło się w kopiec szarego popiołu, żarzącego się tu i ówdzie na pomarańczowo. Wielu ludzi udało się na spoczynek do siedziby Onondaga, inni, skuleni jak psy i owinięci

w koce, zasypiali na trawie pod drzewami, a ci, którzy nie spali, zasiedli w kręgach w pobliżu ogniska, śpiewali pieśni i snuli opowieści, wrzucając do żaru gałęzie i patrząc, jak zajmują się jasnym ogniem. Czekali na świt.

Lagogeh przechadzała się po boisku do lacrosse, była zmęczona, lecz jej uda nadal drżały od tańca i szamańskiego ziela. Rozglądała się za Zachodniakiem, lecz nie mogła go znaleźć ani w domostwie, ani na łące, ani w lesie czy w domu umarłych. W końcu przyłapała się na tym, że zaczęła zastanawiać się, czy to całe niezwykłe wydarzenie nie było przypadkiem snem, w którym wszyscy uczestniczyli.

Niebo na wschodzie zrobiło się bladoszare. lagogeh poszła nad jezioro, do wydzielonego miejsca dla kobiet, za porośniętą lasem mierzeję, aby wykąpać się i odświeżyć, zanim inni zjawią się w pobliżu. Zdjęła ubranie i, pozostając tylko w koszuli, weszła do jeziora, aż woda sięgnęła jej do ud, i zaczęła się myć.

Po drugiej stronie jeziora dostrzegła ruch. Czarna głowa zanurzyła się w wodzie. Od razu wiedziała, że to Zachodniak. Płynął jak bóbr albo wydra - może tym razem zmienił się w zwierzę. Jego głowę wyprzedzały miękkie fale, rozchodzące się dokoła po powierzchni wody. Sapał jak niedźwiedź.

Przez jakiś czas stała w bezruchu, a kiedy on postawił stopę na dnie, nieopodal mierzei, gdzie dno było muliste, odwróciła się i stanęła twarzą do niego. Kiedy ją zobaczył, zamarł. Miał na sobie tylko przepaskę, jak zeszłego ranka w trakcie gry. Złożył dłonie i ukłonił się nisko. Zbliżyła się do niego, rozgarniając ramionami

wodę przed sobą i schodząc z piaszczystego dna w miękki muł.

- Chodź - powiedziała ściszonym głosem - już wybrałam dla ciebie. Spojrzał na nią spokojnym wzrokiem. Wyglądał teraz o wiele starzej

niż poprzedniego dnia.

- Dziękuję ci - odpowiedział, dodając jeszcze kilka słów w swoim języku. To było imię, pomyślała, jej imię.

Ruszyli w stronę brzegu. Jej stopa zahaczyła o coś wystającego i Iagogeh wsparła się na ramieniu Zachodniaka. Na brzegu osuszyła się,

strzepując palcami krople wody, i wciągnęła ubranie, podczas gdy on odzyskał swoją odzież i również się ubrał. Szli obok siebie aż do samego ogniska, mijali ludzi śpiących pod gołym niebem i innych, którzy, nucąc pieśni, przyglądali się wschodowi słońca. Iagogeh zatrzymała się przy jednej z uśpionych postaci. Była to Tecarnos, młoda kobieta, już nie dziewczyna, choć nadal niezamężna. Miała cięty język, była dowcipna, inteligentna i pełna energii. Śpiąc, nie okazywała jednak wielu z tych cech, a spod koca wystawała tylko jej zgrabna noga.

- Tecarnos - powiedziała Iagogeh miękkim tonem. Moja córka. Córka mojej najstarszej siostry. Należy do plemienia Wilków. To dobra kobieta, ludzie jej ufają.

Zachodniak skinął głową, trzymając przed sobą złożone dłonie i przyglądając się jej.

- Dziękuję ci.

- Porozmawiam o tym jeszcze z innymi kobietami, a później

powiemy Tecarnos i mężczyznom.

Uśmiechnął się i rozejrzał dokoła, jakby przenikał wzrokiem wszystko, na co patrzył. Rana na jego głowie była nadal świeża i sączyła się z niej krew. Spomiędzy drzew na wschodzie przebijało słońce, a śpiewy wokół ogniska były coraz donośniejsze. Iagogeh odezwała się:

- We dwoje sprowadzicie na ten świat jeszcze wiele dobrych dusz.

- Miejmy nadzieję.

Położyła dłoń na jego ramieniu, tak jak wówczas, gdy wychodzili z jeziora.

- Wszystko może się wydarzyć. My jednak - mówiła, myśląc o ich dwojgu, o kobietach i o Hodenosaunee - postaramy się jak najlepiej wykorzystać daną nam szansę. Nic więcej nie możemy zrobić.

- Wiem - spojrzał na jej dłoń, spoczywającą na jego ramieniu, i na słońce przebijające się poprzez drzewa - może wszystko będzie dobrze.

Opowiadająca tę historię, Iagogeh, widziała wszystkie te wydarzenia na własne oczy.

Dużo później, kiedy jati znów zebrała się w bardo, po długich latach ciężkiej pracy przy odpieraniu ataków cudzoziemców osiedlających się przy ujściu Wschodniej Rzeki, po walce o ocalenie wspólnoty w obliczu

nękających ją nowych chorób, po sprzymierzeniu się z ludźmi Zachodniaka, borykającymi się z podobnymi problemami na zachodnim wybrzeżu, po zrobieniu wszystkiego, co było w ich

mocy, aby spleść ze sobą wszystkie narody i cieszyć się życiem w lasach ze swoimi krewniakami i wspólplemieńcami, Zachodniak podszedł do Stróża Wampum i rzekł doń dumnie:

- Musisz przyznać, że zrobiłem wszystko, czego ode mnie wymagałeś. Wyszedłem w świat i walczyłem o to, co słuszne! Znów udało się nam zrobić coś dobrego.

Idąc w stronę wielkiego gmachu, znajdującego się na podium sądowym w bardo, Stróż położył dłoń na ramieniu młodszego brata i rzekł:

- To prawda, młodzieńcze, spisałeś się świetnie. Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy.

W tej samej chwili spoglądał już na krajobraz bardo, z ogromnymi wieżami i flankami ciągnącymi się po horyzont. Był ostrożny, niezadowolony i skupiony na czekających go zadaniach. Cały porządek bardo zdawał się urządzony w jeszcze bardziej chińskim stylu niż poprzednim razem, podobnie zresztą było z innymi planami istnienia, a może był to tylko zbieg okoliczności, pozostający w nieokreślonym związku z przyjętą perspektywą. Tak czy inaczej wysoka ściana podium podzielona była na dziesiątki poziomów, a z każdego z nich przechodziło się do setek komnat - wyglądało to jak wnętrze ula.

Biurokratyczne bóstwo o imieniu Biancheng, czekające przy wejściu do labiryntu, wręczało każdemu przewodnik po procesie, który czekał ich na górze. Były to grube tomiszcza, zatytułowane *Nefrytowy protokół* i każde z nich miało po kilkaset bogato ilustrowanych stron, zapełnionych szczegółowymi instrukcjami i

opisami najrozmaitszych kar, których mogli się spodziewać za przestępstwa i niegodziwości, jakich dopuścili się w ostatnich wcieleniach.

Stróż wziął jedną z grubych ksiąg, zamachnął się nią jak tomahawkiem i uderzył Biancheng, powalając go na usłany papierami kontuar, po czym rozejrzał się wkoło po długich kolejkach dusz oczekujących na sąd. Wszystkie przyglądały mu się z wielkim zdumieniem. Zawołał:

- Bunt! Rewolta! Rebelia! Rewolucja! - I nie czekając na reakcję, poprowadził swą niewielką jati do komnaty luster. Był to pierwszy etap długiego procesu, w którym dusze przyglądały się sobie, aby dostrzec, czym tak naprawdę są.

- Bardzo dobry pomysł - przyznał Stróż, wpatrując się w siebie i dostrzegając rzeczy, których nikt inny nie mógł dostrzec. - Jestem po-

- tworem - ogłosił. - Przyjmijcie wszyscy moje przeprosiny, szczególnie ty, Iagogeh, za to, że wytrzymałaś ze mną ostatnim razem i wcześniej też. Ty młodzieńcze również przyjmij moje przeprosiny - skinął głową w stronę Busho, którego poznał jako Zachodniaka. - Mamy jeszcze sporo do zrobienia. Zamierzam obrócić całe to miejsce w zgliszcza -mówiąc te słowa, rozglądał się po komnacie za czymś, czym mógłby rzucić w lustra.

- Zaczekaj - powiedziała Iagogeh która czytała właśnie swoją kopię *Nefrytowego protokołu,* przewracając pośpiesznie kolejne strony. - Z tego, co pamiętam, bezpośrednia napaść nie daje żadnych efektów. Dopiero teraz zaczynam sobie przypominać

pewne rzeczy. Musimy uderzyć w sam system, a do tego potrzeba sposobu. Oto i on: tuż przed odesłaniem nas z powrotem na świat, bogini Meng podaje każdemu fiolkę niepamięci.

- Nie pamiętam niczego takiego.

- O to właśnie chodzi. Wchodzimy w każde kolejne życie całkowicie nieświadomi naszych przeszłych wcieleń. W ten sposób jesteśmy skazani na nieustającą walkę, gdyż nie wyciągamy nauki z czasów, które minęły. Musimy za wszelką cenę tego uniknąć. Posłuchajcie mnie i zapamiętajcie moje słowa: kiedy znajdziecie się w stu ośmiu komnatach bóstwa Meng, niczego nie pijcie! Jeśli będą was zmuszać, udajcie, że pijecie, lecz wyplujcie, kiedy tylko was puszczą. - Czytała dalej - i oto znajdujemy się w Rzece Ostateczności, w rzece krwi, łączącej ten plan istnienia ze światem ludzkim. Jeśli dotrzemy tam z nietkniętym umysłem, wtedy z pewnością będziemy mogli działać skuteczniej.

- W porządku - odezwał się Stróż - ale ja i tak zamierzam zniszczyć to miejsce.

- Pamiętasz, co się stało ostatnim razem, kiedy tego próbowałeś? -ostrzegł Busho, udając się do rogu pomieszczenia, skąd mógł obserwować odbicia wielu odbić jednocześnie. Było tak, jak mówiła Iagogeh, niektóre rzeczy zaczęły do niego wracać. - Ruszyłeś z mieczem na Boginię Śmierci, a ona podwajała się z każdym twoim ciosem.

Stróż zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć. Z zewnątrz dobiegł ich ryk, okrzyki, odgłosy wybuchów i tupot setek par ciężkich butów. Rozzłoszczony i roztargniony Stróż odezwał się:

- Nie można być ostrożnym w takich chwilach jak ta, złu należy się przeciwstawiać za każdym razem, kiedy nadarza się okazja.

- To prawda, lecz należy robić to mądrze, małymi krokami.

- Stróż spojrzał na niego sceptycznie, łącząc przed sobą kciuk z palcem wskazującym.

- Takimi? - Wyrwał księgę z rąk Iagogeh i cisnął nią w ścianę luster. Jedno z nich pękło i zza ściany odezwał się świdrujący wrzask.

- Przestań już się spierać - powiedziała Iagogeh. - Uważaj.

Stróż podniósł księgę i wszyscy razem ruszyli przez następne pokoje. Szli coraz wyżej i wyżej, później znów w dół, seriami schodów, po siedem bądź dziewięć stopni. Po drodze Stróż zaatakował ogromną księgą jeszcze kilku innych urzędników bardo, a Skalny Grzmot ciągle gdzieś się gubił, wślizgując się do bocznych pomieszczeń.

W końcu dotarli do stu ośmiu komnat Meng, Bogini Niepamięci. Każdy z nich musiał przejść sam przez inną z komnat i wypić przygotowane dla nich wino, które nie było winem. Przy każdym wyjściu stali Strażnicy, którzy nie przejęliby się uderzeniem nawet tak grubą książką. Swoją obecnością wymuszali dopełnienie procedury. Dusze nie mogły powracać na świat obarczone zbyt wielkim ciężarem świadomości bądź też przywilejem wiedzy o swoich przeszłych wcieleniach.

- Stanowczo odmawiam - krzyknął Stróż tak, że wszyscy znajdujący się w sąsiednich pokojach słyszeli jego głos. - Nie pamiętam, aby kiedykolwiek wcześniej stawiano mi takie wymagania!

- To dlatego, że osiągamy postęp - próbował wołać do niego Busho. - Pamiętaj o naszym planie! Pamiętaj o planie!

Sam Busho przyjął fiolkę, na szczęście niewielkich rozmiarów, i udał, że jednym haustem połyka jej słodką zawartość, podczas gdy wszystko ukrył pod językiem. Płyn smakował tak wspaniale, że Busho musiał opierać się silnej pokusie połknięcia go. Udało mu się i tylko przypadkiem kilka kropel spłynęło mu do gardła.

Kiedy strażnicy w końcu wrzucili go do Rzeki Ostateczności, gdzie spotkał się z resztą swoich towarzyszy, od razu wypluł tyle, ile się dało z ukrywanego pod językiem napoju, lecz mimo to i tak był mocno zdezorientowany. Pozostali członkowie jati, w podobny sposób wyrzuceni na płyciznę, pluli i krztusili się. Prosta Strzała chichotał jak pijany, pogrążony w całkowitej nieświadomości. Iagogeh trzymała się w pobliżu, a Stróż, bez względu na to, co zapomniał, i tak nie stracił z oczu głównego celu: siania spustoszenia każdym dostępnym mu sposobem. Po części płynęli, po części dryfowali w poprzek czerwonego strumienia, ku odległemu brzegowi.

Kiedy znaleźli się u stóp wysokiego, czerwonego muru, dwa demoniczne bóstwa bardo o imionach Życie Jest Krótkie i Powolna Śmierć,

wyciągnęły ich z rzeki. Na murze, ponad ich głowami, wisiał sztandar z wykaligrafowanym przesłaniem: “Łatwo jest być człowiekiem, ciężko jest prowadzić ludzki żywot, a najtrudniej pragnąć być człowiekiem po raz drugi. Jeśli pragniesz wyzwolenia z koła narodzin i śmierci, nigdy nie trać wytrwałości".

Stróż przeczytał napis i parsknął:

- Po raz drugi... a co dopiero dziesiąty? Albo piętnasty? – Rycząc wściekle, zepchnął Powolną Śmierć prosto do krwawej rzeki. Cała jati wypluła wcześniej do wody wystarczającą ilość napoju niepamięci bogini Meng, aby strażnicze bóstwo, zachłysnąwszy się, od razu zapomniało, kto je tam wepchnął i co ma robić. Nie wiedziało też, jak się pływa.

Kiedy reszta jati zobaczyła, co zrobił Stróż, od razu przypomniała sobie swój początkowy plan. Busho wepchnął do rzeki drugiego strażnika.

- Sprawiedliwość! - krzyczał za ogłupiałym bóstwem. - Życie naprawdę jest krótkie!

Na brzegu, w górze Rzeki Ostateczności pojawili się kolejni strażnicy, którzy zmierzali w ich stronę. Członkowie jati działali teraz błyskawicznie i po raz pierwszy całkowicie zespołowo. Skręcili i powiązali, zwisający z muru sztandar, po którym jak po linie mogli wciągnąć się na Czerwony Mur. Busho, Stróż, Iagogeh, Skalny Grzmot, Prosta Strzała, Zygzak i reszta, wdrapali się na szeroki szczyt muru. Teraz mogli złapać oddech i rozejrzeć się dokoła: w dole za ich plecami rozciągała się ciemna i mglista kraina bardo, w której rozpętał się jeszcze potworniejszy niż zwykle chaos. Wyglądało na to, że wzniecili prawdziwą rebelię. Przed nimi, w oddali rozciągał się spowity chmurami świat.

- Ten widok przypomina mi czasy, kiedy zabrano w góry Bagatelkę, aby złożyć ją w ofierze - odezwał się Stróż. - Teraz zaczynam sobie wszystko przypominać.

- Tam, na dole, możemy stworzyć coś nowego - powiedziała lagogeh. - Wszystko zależy od nas. Pamiętajcie o tym!

I zeskoczyli z muru, spadając jak krople deszczu.

Księga VI

Wdowa Kang

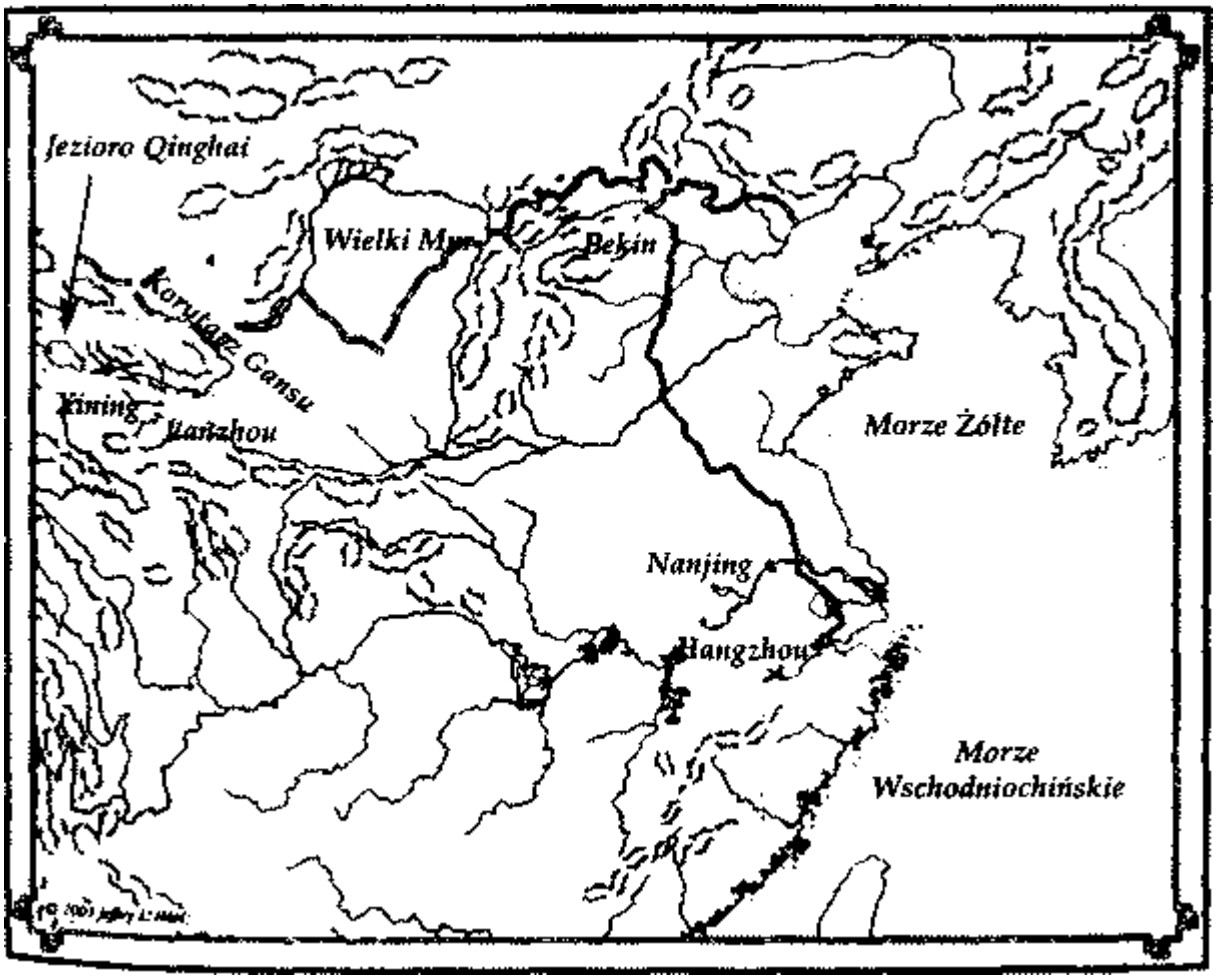

1

Przypadek kradzieży duszy

Wdowa Kang była niezwykle drobiazgowa, jeśli chodziło o obrządki związane z jej stanem cywilnym. Sama mówiła o sobie: wei-wangren, czyli “osoba, która jeszcze nie umarła", i kiedy synowie chcieli uczcić jej czterdzieste urodziny, sprzeciwiła się, mówiąc:

- Coś takiego nie przystoi osobie, która jeszcze nie umarła.

Owdowiała jakiś czas po urodzeniu trzeciego syna, miała wówczas trzydzieści pięć lat i szybko pogrążyła się w rozpaczy. Bardzo kochała swojego męża Kung Xin i nie od razu zdołała odrzucić myśl o samobójstwie jako pretensjonalną manierę dynastii Ming. Prawdziwie szczera interpretacja doktryny konfucjańskiej mówiła jasno, że popełnienie samobójstwa było wyparciem się odpowiedzialności względem dzieci i teściów, co w jej przypadku nie wchodziło w rachubę. Wdowa Kang Tongbi była zdecydowana wieść życie w celibacie aż do pięćdziesiątki, pisząc wiersze, studiując klasyków, dbając o rodzinne interesy oraz mając nadzieję, że po pięćdziesiątce będzie już spełniać wszystkie warunki wymagane do przyznania jej certyfikatu dziewiczej wdowy. Wtedy miała otrzymać elegancko kaligrafowane wyróżnienie od cesarza Qjanlong, które planowała oprawić w ramki i powiesić u wejścia do domu. Nie było również wykluczone, że jej synowie, aby oddać jej cześć, wznieśliby z tej okazji kamienny łuk triumfalny.

Dwaj starsi potomkowie, pełniący urzędniczą służbę u cesarza,

jeździli po całym kraju, więc musiała sama wychowywać swe najmłodsze dziecko i zajmować się jednocześnie domostwem w Hangzhou, w którym został tylko syn Shih i służba po starszych synach. Kierowała też hodowlą jedwabników, która była jej głównym źródłem dochodów, gdyż starsi synowie nie wypracowali sobie jeszcze na tyle dobrej pozycji, aby wysyłać do domu większe kwoty. Cały proces produkcji jedwabiu, haftowanie i wytwarzanie greży były więc na jej głowie. Żaden dom podlegający władzy sądu okręgowego nie był prowadzony tak twardą ręką jak u Tongbi. W ten sposób oddawała cześć mądrości narodu Han, jako że pracę kobiet w tych lepszych gospodarstwach, w których najczęściej uprawiano konopie lub produkowano jedwab, poczytywano za wzór cnoty na długo przed tym, jak rząd dynastii Qing przywróci) oficjalne wsparcie dla takich postaw społecznych.

Wdowa Kang mieszkała w żeńskiej części niewielkiego kompleksu, położonego przy brzegu rzeki Chu. Zewnętrzne mury gospodarstwa pokrywała sztukateria, a wewnętrzne drewniany szalunek. W centralnym miejscu posiadłości, w pięknym, białym budynku o dachu krytym dachówką, znajdowała się część dla kobiet, świetlista i wypełniona kwiatami. W tym budynku i w przylegających do niego warsztatach wdowa Kang wraz ze swoimi kobietami tkała i haftowała przez co najmniej kilka godzin dziennie, a czasami nawet dłużej, jeśli tylko światło pozwalało. Tutaj też odpytywała najmłodszego syna, recytującego ustępy z klasyków, których z jej polecenia musiał nauczyć się na pamięć. Często pracowała przy krośnie, przerzucając czółenko w tę i z powrotem, a

wieczorami przędła nici lub wyszywała większe wzory na jedwabiach. Przerabiała z Shihem Analekta lub teksty Mencjusza i wymagała uczenia się ich na pamięć, dokładnie tak, jak egzaminatorzy, z którymi miał się spotkać w odpowiednim czasie. Mały Shih nie był w tym zbyt dobry, nawet w porównaniu ze starszymi braćmi, których stan wiedzy ledwo przecież zadowalał, zatem wieczory często kończyły się wybuchami płaczu. Kang Tongbi była nieustępliwa i kiedy Shih przestawał płakać, znów wracali do nauki. Z czasem szło mu coraz lepiej, lecz nadal był zestresowanym i nieszczęśliwym chłopcem.

Nikt więc tak nie cieszył się jak Shih, kiedy codzienną rutynę życia w gospodarstwie przerywały święta. Wszystkie trzy urodziny Bodhisattwy Guanyin były dla Tongbi ważnymi wydarzeniami, zwłaszcza te główne, dziewiętnastego dnia szóstego miesiąca. W miarę zbliżania się tej daty, wdowa stawała się coraz bardziej pobłażliwa dla Shiha, zajmowała się bowiem świątecznymi przygotowaniami: kompletowała odpowiednie lektury, pisała wiersze, gromadziła kadzidła i jedzenie dla ubogich kobiet z sąsiedztwa - oczywiście zajmowała się tym wszystkim, nie zaniedbując żadnego ze swoich licznych, codziennych obowiązków. Jednak gdy święta były już za pasem, pościła i powstrzymywała się od wszelkich zbędnych działań, łącznie ze złoszczeniem się, dlatego też zawieszała wówczas lekcje z Shihem i składała ofiary w malej kapliczce, znajdującej się na terenie kompleksu.

Kiedy w księżycową noc przyszliśmy na świat, Stary mędrzec oplótł nić czerwoną wokół naszych stóp. Poznałam cię i poślubiłam

- teraz nie ma cię. Jak szemrzący potok, ulotne życie.

Nagle śmierć nas rozłączyła - tyle wspólnych lat.
Idzie jesień, a z nią łzy.
Ta, która jeszcze nie umarła...
Duch odległy o niej śni.
Przelatuje żuraw i opada kwiat.
Opuszczona i samotna, odkładam tamborek,
Stoję na podwórzu, liczę gęsi oderwane od stad.
Niechaj Bodhisattwa Guanyin dopomoże mi
Podczas tych ostatnich, chłodnych lat.

Kiedy w końcu nadszedł świąteczny dzień, wszyscy od rana pościli, a wieczorem dołączali do procesji, kierującej się na szczyt pobliskiego wzgórza. Nieśli ze sobą drewno sandałowe w płóciennych torbach, wirujące proporce, parasolki i papierowe lampiony, i podążali za chorągwią swojej świątynnej grupy oraz za płonącą, smołową pochodnią, którą torowano drogę i odstraszano demony. Ten ekscytujący, nocny marsz w połączeniu z dłuższą przerwą w lekcjach był dla Shiha prawdziwą okazją do świętowania. Szedł za matką, wymachiwał papierowym lampionem, śpiewał piosenki, słowem - był szczęśliwy.

- Miao Shan była młodą dziewczyną, która sprzeciwiła się nakazowi ojca i nie wyszła za mąż - Kang zagadnęła młodsze kobiety, idące z przodu, choć wiedziała, że już wcześniej słyszały tę opowieść. - Ogarnięty wściekłością ojciec wysłał córkę do klasztoru,

a następnie klasztor ów spalił. Bodhisattwa Dizang Wang zabrał jej duszę do Lasu Trupów, gdzie pomagała zagubionym duchom. Następnie zeszła do piekieł i przemierzyła wszystkie kręgi, nauczając napotkane dusze, jak mogą się wznieść ponad swoje cierpienie. Jej nauki były tak skuteczne, że aż sam Pan Yama przywrócił ją na ziemię jako Bodhisattwę Guanyin, aby mogła przekazywać swą mądrość ludziom, póki żyją i póki nie jest dla nich za późno.

Shih nie zwracał uwagi na historię, którą słyszał już setki razy i której za nic w świecie nie potrafił zrozumieć, ponadto wcale nie pasowała ona do życia, jakie prowadziła jego matka, i nie rozumiał, co ją w niej tak pociągało. Śpiewy, blask płomieni i kadzidlany dym łączyły się w kaplicy na szczycie wzgórza. Buddyjski opat prowadził modlitwy, a ludzie śpiewali i jedli słodycze.

Kiedy schodzili grupami w dół zbocza i dalej ścieżką wzdłuż rzeki do domu, księżyc już dawno zaszedł, a ich śpiew niósł się nieprzerwanie w wietrzną noc. Wszyscy z gospodarstwa posuwali się powoli, nie tylko dlatego, że byli zmęczeni, lecz przede wszystkim po to, by równać do drobnego kroku wdowy Kang. Kobieta miała wyjątkowo drobne stopy, lecz poruszała się z podobną zwinnością, co platfusowate sługi, dzięki temu, że szybko przebierała nogami i w charakterystyczny sposób kręciła biodrami - był to chód, którego nikt nigdy nie śmiał komentować.

Shih szedł przodem i ochraniał dłonią płomień ostatniej, palącej się świecy. W pewnej chwili, w migotliwym świetle, dostrzegł na zewnętrznym murze kompleksu ruchomy kształt, dużą, czarną

postać, kroczącą w dziwaczny sposób, w tę samą stronę, co jego matka; przez chwilę pomyślał nawet, że był to jej własny cień.

Za chwilę jednak zjawa wydała z siebie dźwięk, niczym skomlenie psa, na co Shih odskoczył do tyłu i ostrzegł wszystkich swoim krzykiem. Wszyscy naraz, z Kang Tongbi na czele, pośpieszyli i w świetle pochodni dostrzegli mężczyznę w obdartych szatach, brudnego i przygarbionego, który wpatrywał się w nich wielkimi z przerażenia oczami.

- Złodziej! - ktoś krzyknął.

- Żaden złodziej - odpowiedziała postać zdartym głosem - nazywam się Bao Ssu. Jestem buddyjskim mnichem z Suzhou, próbowałem zaczerpnąć wody z rzeki, której szum wyraźnie stąd słychać. - Wskazał dłonią w stronę źródła dźwięku i pokuśtykał w tamtą stronę.

- To żebrak - odezwał się czyjś głos.

Wdowa Kang słyszała pogłoski o czarnoksiężnikach krążących na zachód od Hangzhou, więc przystawiła lampion tak blisko jego twarzy, aż musiał zmrużyć oczy.

- Jesteś prawdziwym mnichem, czy tylko jednym z tych czupiradeł, co to chowają się po klasztorach?

- Jestem prawdziwym mnichem przysięgam. Miałem nawet certyfikat, ale zabrał mi go sąd. Byłem uczniem mistrza Yu w Świątyni Fioletowego Bambusa - i zaczął recytować Diamentową Sutrę, ulubiony tekst kobiet w pewnym wieku.

Kang przyjrzała się uważnie jego oświetlonej lampionem twarzy. Wtem zadrżała na całym ciele i cofnęła się o krok:

- Czy ja go znam? - powiedziała do siebie, a po chwili do niego. - Znam cię.

Mnich ukłonił się i rzekł:

- Skąd mogłabyś mnie znać, o pani? Pochodzę z Suzhou, chyba że kiedyś sama tam byłaś.

Pokręciła gwałtownie głową, była zdezorientowana, lecz nieustannie wpatrywała się w jego oczy.

- Znam cię - wyszeptała. Następnie zwróciła się do służby:

- Niech śpi przy tylnej bramie, pilnujcie go. Rano dowiemy się więcej. Teraz jest zbyt ciemno, aby dojrzeć prawdziwą naturę człowieka.

Nad ranem do mężczyzny przyłączył się chłopiec, o kilka lat młodszy od Shiha. Obaj byli brudni i razem przerzucali kompost w poszukiwaniu świeższych kawałków pożywienia, które na miejscu zjadali. Mieszkańcom i pracownikom gospodarstwa, którzy zebrali się przy bramie, przyglądali się z czujnością lisów. Nie mogli jednak uciec - obie kostki mężczyzny były spuchnięte i posiniaczone.

- W jakiej sprawie cię przesłuchiwali? - zapytała szorstko Kang. Mężczyzna zawahał się, spoglądając kilkakrotnie na chłopca.

- Wyprawiłem się z synem w powrotną drogę do Świątyni Fioletowego Bambusa i najwyraźniej gdzieś po drodze jakiś młokos obciął mojemu synowi warkoczyk.

Kang syknęła, a mężczyzna spojrzał jej głęboko w oczy i uniósł do góry otwartą dłoń.

- Żaden z nas nie jest czarnoksiężnikiem. Dlatego też puszczono nas wolno. Problem w tym, że mam na imię Bao Ssu i jestem

czwartym synem Bao Ju. Niedawno złapali żebraka, którego oskarżono o rzucenie klątwy na wioskę i on zeznał, że spotkał kiedyś czarnoksiężnika o imieniu Bao Ssu-ju. Pomyśleli, że to ja. Ale ja nie jestem żadnym złodziejem dusz! Jestem biednym mnichem, który wędruje ze swoim synem. W końcu wzięli żebraka na ponowne przesłuchanie i tym razem zeznał, że wszystko wymyślił na poczekaniu, żeby tylko przestali go przesłuchiwać. W ten sposób wszystkich nas wypuścili.

Kang przyglądała się im z podejrzliwością. Podstawową zasadą było trzymać się z dala od konfliktów z sądem, a oni mieli na sumieniu co najmniej to.

- Ciebie też torturowali? - zapytał Shih małego chłopca.

- Chcieli, ale zamiast tego dali mi gruszkę, więc im powiedziałem, że ojciec nazywa się Bao Ssu-ju. Pomyślałem, że tak trzeba.

Bao nie spuszczał oczu z wdowy.

- Nie masz nic przeciwko temu, abyśmy zaczerpnęli wody z rzeki?

- Oczywiście, że nie, proszę! - I przyglądała mu się, kiedy, utykając, szedł ścieżką prowadzącą nad rzekę.

- Nie wolno nam ich wpuścić do środka - zadecydowała - a ty Shih nawet do nich nie podchodź. Mogą zająć kaplicę u bramy, do zimy im wystarczy, sądzę, że to i tak dla nich lepsze niż bruk.

- Nie zdziwiło to Shiha. Jego matka zawsze przygarniała jakichś wyrzutków lub porzucone konkubiny, pomagała utrzymywać miejski sierociniec i naciągała wspólny budżet, wspierając grupę buddyjskich mniszek. Często powtarzała, że kiedyś sama do nich dołączy. Pisała też wiersze:

- Kwiaty, po których stąpam, ranią moje serce - recytowała ze swojego zbioru poezji na każdy dzień. - Kiedy skończą się dla mnie dni ryżu i soli - mawiała - skopiuję wszystkie sury i będę modlić się całymi dniami. Nim jednak do tego dojdzie, weźmy się wszyscy za nasze codzienne obowiązki!

[Zwyczaj ten pochodził z południowych Chin i zwany był posyłaniem radości na nowy rok. Być może autor chciał zasugerować, że mnich Bao sklamat na temat swojego pochodzenia.]

Po niedługim czasie mnich Bao i jego syn na stałe wtopili się w krajobraz okolic rzeki, bramy, bambusowego gaju i niewielkiej kaplicy pośrodku rzednącego lasku. Bao nie odzyskał pełnej sprawności, choć nie utykał już tak bardzo, jak w tamtą świąteczną noc oświecenia Guanyin. Jeśli sam nie potrafił czegoś zrobić, robił to dla nich jego syn, Xinwu, który był bardzo silny jak na swój wiek. W trakcie obchodów nowego roku dołączyli do wszystkich świętujących, Bao przyniósł skądś jajka, które pomalował na czerwono, i rozdał wdowie Kang, Shihowi i innym członkom gospodarstwa.

Bao zaprezentował jajka z wielką powagą, mówiąc:

- Ge Hong podaje, że Budda powiedział, iż kosmos jest w kształcie jajka, a Ziemia jest jak żółtko wewnątrz niego. - Podał jajko Shihowi. - Proszę, chwyć je i spróbuj zgnieść.

Shih zdziwił się, a Kang zaoponowała:

- Jest zbyt ładne, żeby je niszczyć.

- Nie martw się, ono naprawdę jest mocne. No dalej, spróbuj je

zgnieść, jeśli ci się uda, to ja wszystko posprzątam.

Shih zacisnął ostrożnie dłoń, odwracając głowę w bok. Ściskał dotąd, aż całe jego ramię się naprężyło. Jajko jednak nie pękło. Wdowa Kang wzięła je od chłopca i sama spróbowała. Miała silne ramiona, wyrobione przy tkactwie i haftowaniu, mimo to jajko nie dało się zgnieść.

- Widzicie - powiedział Bao - skorupka jajka jest delikatna, to jej luk jest tak wytrzymały. Z ludźmi jest podobnie. Każdy z osobna jest słaby, lecz wszyscy razem jesteśmy silni.

Po tym wydarzeniu w każdy świąteczny dzień wdowa Kang odwiedzała Bao na zewnątrz bramy i dyskutowała z nim o buddyjskich pismach. Natomiast w inne dni z reguły ignorowała obu przybyszy, skupiając się na życiu, toczącym się za murami.

Nauka Shiha nadal szła nie najlepiej. Z arytmetyki nie mógł opanować nic ponad dodawanie, a z klasyków nie zapamiętywał więcej niż kilka początkowych słów każdego ustępu. Jego matka przeżywała w związku z tym ogromną frustrację.

- Shih, ja wiem, że nie jesteś głupim chłopcem. Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem, twoi bracia również nie są w ciemię bici, a ty zawsze potrafiłeś szybko wynajdować najlepsze argumenty na swoją obronę i robić wszystko po swojemu. Pomyśl o tych równaniach jak o wymówkach, a wtedy wszystko powinno się udać. Ale przecież ty zawsze musisz myśleć o tym, jak uniknąć myślenia!

Takich szyderstw, wypowiadanych ostrym tonem, nikt nie byłby w stanie wytrzymać. Nie chodziło jedynie o słowa wdowy Kang, lecz o sposób, w jaki je wypowiadała: skrzekliwym głosem starej wrony.

Wykrzywiała przy tym wargi i paliła swoim nieznoszącym sprzeciwu spojrzeniem. Tym wzrokiem potrafiła przeszyć człowieka na wylot, zalewając go jednocześnie potokiem słów - nikt nie potrafił się jej przeciwstawić. Zawodząc żałośnie, Shih jak zwykle przyjął na siebie całą naganę i wycofał się pokornie.

Jakiś czas po tej reprymendzie chłopiec wracał biegiem z targu do domu, krzycząc i płacząc, jak w ataku histerii:

- Mój warkoczyk, mój warkoczyk, mój warkoczyk!

Został obcięty. Służący krzyczeli przerażeni. Wszyscy byli oburzeni, lecz całą dyskusję uciął zgrzytliwy głos Kang:

- Natychmiast wszyscy się zamknijcie!

Złapała Shiha za ramię i posadziła na lawie, przy oknie, gdzie zawsze go odpytywała, wytarła mu pośpiesznie łzy i przytuliła.

- Uspokój się, no już, wszystko w porządku! Powiedz mi, co się stało.

[Za panowania dynastii Qing chińscy mężczyźni Han, mieli obowiązek golić czoła i w mandżurskim stylu nosić z tylu warkoczyk, czym okazywali posłuszeństwo Hanów wobec mandżurskiego cesarza. W latach poprzedzających spisek bractwa Białego Lotosu, bandy Hanów, na znak rebelii, zaczęty obcinać kucyki, sobie i innym.]

Łkając i zawodząc, w końcu opowiedział całą historię. Wracając z targu, zatrzymał się, aby popatrzeć na wędrownego kuglarza, i wtedy czyjeś dłonie zasłoniły mu oczy, a na twarz naciągnięto mu chustę. Zakręciło mu się w głowie i osunął się na ziemię. Kiedy się ocknął, w pobliżu nie było już nikogo, a jego warkoczyk zniknął.

Kiedy chłopiec snuł opowieść, Kang nie spuszczała z niego wzroku, a kiedy skończył i gapił się już tylko w podłogę, wydęła usta, wstała i podeszła do okna. Wyjrzała na zewnątrz i długo patrzyła na chryzantemy rosnące pod starym, sękatym jałowcem. W końcu podeszła do niej główna służąca, Pao, a Shiha wyprowadzono, aby obmyć mu twarz i nakarmić.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Pao ściszonym głosem. Kang westchnęła.

- Będziemy musieli to zgłosić - powiedziała mrocznym tonem. - Jeśli tego nie zrobimy, to i tak wszyscy dowiedzą się o tym jutro rano, od sług na targu. Będzie wyglądało, że wspieramy rebelię.

- Oczywiście - powiedziała z ulgą Pao. - Czy mam już teraz powiadomić sąd?

Przez bardzo długą chwilę nie padała odpowiedź. Pao wpatrywała się w Kang Tongbi i była coraz bardziej przerażona. Wdowa wyglądała, jakby ktoś rzucił na nią złośliwy urok, jakby nawet w tej chwili toczyła walkę ze złodziejami dusz o duszę syna.

- Tak, Idź z Zunli. Pójdziemy z Shihem za wami.

Pao wyszła. Kang zaczęła chodzić po całym domu i przyglądać się każdej rzeczy z osobna, jakby przeprowadzała inspekcję wszystkich pomieszczeń. W końcu wyszła główną bramą z kompleksu i powoli posuwała się ścieżką wzdłuż rzeki. Tam gdzie zawsze, na brzegu, pod wielkim dębem spotkała Bao z jego synem Xinwu.

- Shihowi odcięto warkoczyk.

Twarz Bao poszarzała, a na czoło wystąpił mu pot. Kang mówiła

dalej.

- Właśnie zabieramy go do sądu.

Bao skinął głową, przełknął głośno ślinę i spojrzał ukradkiem na Xinwu.

- Jeśli chcesz wyruszyć na pielgrzymkę do jakiejś odległej świątyni - powiedziała ostrym głosem Kang - możemy zaopiekować się twoim synem.

Bao ponownie skinął głową. Jego twarz przybrała smutny wyraz. Kang wpatrywała się w rzekę, przepływającą obok w świetle popołudniowego słońca. Patrząc na smugę światła, odbitą od powierzchni wody, mrużyła oczy.

- Jeśli odejdziesz - dodała - będą pewni twojej winy.

Na brzegu Xinwu bawił się rzucaniem kamieni do wody, krzycząc za każdym kolejnym pluskiem.

- Jeśli zostanę, wyjdzie na to samo - odezwał się w końcu Bao. Kang nie odpowiedziała.

Po jakimś czasie Bao przywołał do siebie Xinwu i powiedział mu, że wybiera się na długą pielgrzymkę, a jego zostawia z Shihem i Kang w ich domostwie.

- Kiedy wrócisz? - zapytał Xinwu.

- Wkrótce.

Xinwu wystarczyła taka odpowiedź, a może raczej wolał o tym wszystkim nie myśleć.

Bao wyciągnął rękę i dotknął rękawa wdowy Kang.

- Dziękuję ci.

- Idź i nie daj się złapać.

- Postaram się. Jeśli będzie taka możliwość, skontaktuję się ze Świątynią Fioletowego Bambusa.

- Lepiej nie. Jeśli nie będziemy mieli od ciebie wieści, znaczy, że wszystko u ciebie w porządku.

Bao pokiwał głową i kiedy miał już odchodzić, zawahał się.

- Wiesz, o pani, jak to jest. Każde stworzenie na ziemi ma już za sobą wiele żywotów. Mówisz, że już wcześniej się spotkaliśmy, lecz przed świętem Guanyin nigdy nie odwiedzałem tych stron.

- Wiem o tym.

- Najwidoczniej więc znamy się z poprzednich wcieleń.

- Wiem o tym - rzuciła mu ukradkowe spojrzenie - idź już. Poszedł w górę rzeki, utykając i rozglądając się, czy aby w pobliżu nie było żadnych świadków ich rozstania. I rzeczywiście, byli jacyś rybacy na drugim brzegu. Ich słomiane kapelusze lśniły w słońcu.

Kang zabrała Xinwu do domu, po czym wsiadła do lektyki i kazała zanieść siebie i Shiha do miasta, pod siedzibę sądu.

Sędzia pokoju był tak samo niezadowolony z konieczności zajmowania się tego typu sprawą, co i wdowa Kang, a co gorsza, podobnie jak i ona, nie mógł sobie pozwolić na zignorowanie jej, więc zaczął gniewnym tonem przesłuchiwać Shiha i kazał mu się zaprowadzić na miejsce zdarzenia. Shih wskazał na ścieżkę, przechodzącą obok bambusowego młodniaka. Było to miejsce całkowicie niewidoczne ze straganów targowiska. Tamtego poranka żaden z okolicznych mieszkańców nie widział w okolicy ani Shiha, ani żadnych podejrzanych obcych. Śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Kang i Shih wrócili do domu. Przez całą drogę Shih płakał i żalił się, że jest chory i że nie może się uczyć. Kang wbiła w niego swój wzrok, po czym dała mu jeden dzień wolnego, a do tego zdrową dawkę gipsu startego na pyt z kamieniem żółciowym krowy. Przez długi czas nie mieli żadnych wieści od Bao ani z sądu, a Xinwu czuł się świetnie pośród domowej służby. Jakiś czas Kang folgowała Shihowi, aż pewnego dnia zdenerwowała się na niego. Chwyciła za to, co zostało z jego warkoczyka, i szarpiąc, poprowadziła go w stronę ławy przy oknie.

- Z duszą czy bez duszy, ty i tak zdasz egzaminy! - Wpatrywała się w jego kocią twarz, aż w końcu zaczynał mamrotać lekcję z poprzedniego dnia, zanim obcięto mu warkoczyk. Widać było, że mu żal samego siebie, lecz również, że jest niewzruszony wobec pogardy matki, która była jeszcze bardziej niewzruszona. Jeśli chciał zjeść obiad, musiał się uczyć.

Później pojawiły się wieści, że w zachodnich górach zatrzymano Bao i że przywieziono go z powrotem na przesłuchanie przez sąd i lokalnego prefekta. Żołnierze, którzy przynieśli te informacje, mieli zabrać Kang i jej syna prosto do prefektury. Specjalnie dla nich przyniesiono osobny palankin.

Wysłuchawszy, co mieli do powiedzenia, syknęła i weszła do domu, aby ubrać się stosownie do podróży. Cała służba wyraźnie widziała, że wdowie trzęsą się ręce, że całe jej ciało się trzęsie, a usta są tak blade, że żadna szminka nie potrafiła tego ukryć. Zanim wyszła ze swojego pokoju, usiadła przy krośnie i załkała. Po chwili wstała, poprawiła makijaż i wyszła do strażników.

Pod budynkiem prefektury Kang wysiadła i pociągnęła za sobą Shi-ha prosto do sali przesłuchań. Stojący przy drzwiach strażnicy szybko zatrzymaliby ją, gdyby nagle nie odezwał się z wewnątrz złowieszczy głos:

- Wpuścić ją! To kobieta, która udzielała mu schronienia.

Shih wzdrygnął się na te słowa i przyglądał się urzędnikom zza jedwabnych fałd haftowanej sukni Kang. Oprócz sędziego i prefekta było jeszcze kilku innych oficjeli odzianych w szaty z opaskami na ramionach, zdobione kwadratowymi insygniami wysokiej rangi: był tam niedźwiedź, jeleń, a nawet jeden orzeł.

Ci jednak nie odzywali się, siedzieli tylko na krzesłach i obserwowali sędziego i prefekta, stojących przy nieszczęsnym Bao. Bao unieruchomiony był w drewnianym urządzeniu, przytrzymującym mu ramiona w górze, tuż przy głowie, a nogi wplecione miał w zgniatacz kostek.

Zgniatacz kostek był bardzo prostym narzędziem tortur. Z drewnianej podstawy wyrastały trzy słupki. Środkowy znajdował się pomiędzy kostkami Bao i przymocowany byt na stałe: Pozostałe dwa połączone były z nim na wysokości talii, za pomocą metalowego sworznia, przechodzącego przez wszystkie trzy słupki, umożliwiającego rozchylanie zewnętrznych do granic wyznaczonych przez dwie duże śruby po bokach. Kostki Bao przymocowano po obu stronach środkowego słupka, dolne końcówki zewnętrznych słupków naciskały od zewnątrz na kostki, a górne rozchylano przy użyciu drewnianych klinów. W tej chwili wszystko było już maksymalnie napięte i z każdym następnym

uderzeniem drewnianym miotem w klin, sędzia naciskałby na kostki Bao z ogromną siłą.

- Odpowiedz na pytanie! - ryczał sędzia, pochylając się i krzycząc Bao prosto w twarz. Po czym wyprostował się, cofnął powoli o dwa kroki i energicznie uderzył pobijakiem w jeden z klinów.

Bao zawył.

- Jestem mnichem! Mieszkam z moim synem nad rzeką! Nie mogę daleko chodzić i nigdzie nie chodzę!

- Dlaczego nosisz w torbie nożyczki? - spokojnym głosem domagał się prefekt. - Nożyczki, proszek, książki i kawałek warkoczyka.

- To nie są włosy! To mój talizman, który otrzymałem w świątyni, spójrzcie tylko, jak on jest wypleciony! A to są pisma, również ze świątyni, och!

- To są włosy, powiedział prefekt, przyglądając się talizmanowi pod światło.

Sędzia znów uderzył młotkiem w klin.

- To nie są włosy mojego syna - wtrąciła się wdowa Kang, zaskakując wszystkich swoją śmiałością. - Ten mnich mieszka nieopodal naszego domu i najdalej, gdzie wychodzi, to nad rzekę.

- Skąd to wiesz? - zapytał prefekt, wbijając w Kang swój przenikliwy wzrok. - Skąd możesz to wiedzieć?

- Bo widuję go tam o każdej porze dnia. Nosi wodę i drewno na opat. Ma syna. Opiekuje się naszą kaplicą. Jest biednym mnichem i żebrakiem, okaleczonym przez wasze urządzenia, takie jak to - powiedziała, wskazując na zgniatacz kostek.

- Skąd się tu wzięła ta kobieta? Rozgniewany sędzia wzruszył ramionami:

- Jest świadkiem, jak wszyscy inni.

- Ale ja nie wzywałem żadnych świadków.

- Za to my wzywaliśmy - odezwał się jeden z oficjeli wysłanych przez gubernatora - pytajcie ją dalej.

Sędzia zwrócił się do wdowy:

- Czy możesz zaświadczyć o miejscu pobytu tego mężczyzny dziewiętnastego dnia zeszłego miesiąca?

- Był wówczas na mojej posiadłości, jak już wcześniej mówiłam.

- Akurat tego, konkretnego dnia? Skąd to wiesz?

- Ponieważ następnego dnia obchodziliśmy święto zwiastowania Guanyin, a obecny tu Bao Ssu pomagał nam w przygotowaniach. Cały dzień przygotowywaliśmy się do składania ofiar.

W sali zapadła cisza, po czym ostrym tonem odezwał się jeden z przyjezdnych dygnitarzy:

- A więc jesteś buddystką?

Wdowa Kang spojrzała na niego spokojnym wzrokiem.

- Jestem wdową po Kung Xin, który przed śmiercią pełnił obowiązki lokalnego yamena. Moi synowie Kung Yen i Kung Yi zdali wszystkie egzaminy i pełnią cesarską służbę w Nanjing, a poza tym...

- Tak, tak, ale zapytałem, czy jesteś buddystką?

- Podążam ścieżką Han - odpowiedziała chłodno. Przesłuchujący ją urzędnik był Mandżurem, jednym z wyższych oficerów cesarza

Qianlong. Poczerwieniał lekko na twarzy.

[Według chińskich kalkulacji wiek człowieka obliczano, uznając księżycowy rok jego narodzin za pierwszy rok, a z każdym kolejnym nowym rokiem księżycowym dodawano no jednym.]

- A co to ma wspólnego z twoją religią?

- Oczywiście, że ma. Kultywuję stare tradycje i przez to oddaję cześć mojemu mężowi, moim rodzicom i przodkom. To, czym wypełniam czas dzielący mnie od chwili ostatecznego złączenia się z moim mężem, nikogo poza mną nie powinno interesować. To tylko praktyki duchowe starej kobiety, która jeszcze nie umarła. Poza tym wiem, co widziałam, a czego nie.

- Twój wiek?

- Czterdzieści jeden sui.

- Twierdzisz, że z tym oto żebrakiem spędziłaś cały dziewiętnasty dzień dziewiątego miesiąca?

- Może nie cały dzień, ale wystarczająco dużo czasu, aby wiedzieć, że nie byłby on w stanie pójść na miejski targ i z powrotem. Po południu, oczywiście, jak zwykle pracowałam przy krosnach.

Znów zapadła cisza. Po chwili mandżurski urzędnik skinął z rozdrażnieniem na sędziego:

- Przesłuchujcie go dalej!

Spoglądając nienawistnie na Kang, sędzia pochylił się nad Bao, żeby krzyknąć mu w twarz:

- Po co nosisz w torbie nożyczki?

- Używam ich do robienia talizmanów!

Sędzia stuknął młotkiem w klin jeszcze mocniej niż wcześniej, a Bao zaskowyczał.

- Mów prawdę! Do czego były ci potrzebne? Skąd się wziął warkoczyk w twojej torbie? - krzyczał, uderzając z każdym pytaniem w klin.

Kolejne pytania zadawał prefekt i każdemu z nich towarzyszyły uderzenia młotkiem, wymierzane przez rozgniewanego sędziego oraz nieustające, donośne jęki Bao.

Ostatecznie, purpurowy na twarzy i ociekający potem, Bao zawołał:

- Przestańcie! Błagam, przestańcie! Przyznam się. Powiem wam, co się naprawdę stało.

Sędzia oparł młotek o klin.

- Słuchamy.

- Czarnoksiężnik zmusił mnie podstępem do pomocy. Z początku nie wiedziałem, kim są. Powiedzieli, że jeśli im nie pomogę, to ukradną duszę mojego syna.

- Jak miał na imię ten czarnoksiężnik?

- Bao Ssu-nen, prawie tak, jak ja. Pochodził z Suzhou i miał wielu oddanych wspólników. Potrafił przelecieć nad całymi Chinami w jedną noc. Dał mi porcję ogłupiającego proszku i powiedział, co mam robić. Błagam, zwolnijcie zgniatacz, błagam! Mówię wam wszystko, co wiem. Nie miałem innego wyjścia, musiałem się zgodzić dla dobra duszy mojego syna.

- A więc obcinałeś warkoczyki dziewiętnastego dnia zeszłego miesiąca.

- Tylko jeden! Tylko jeden, błagam. Zmusili mnie. Błagam, zwolnijcie zgniatacz choć trochę.

Mandżurski urzędnik uniósł brwi, spoglądając na wdowę Kang.

- A więc nie byłaś przy nim tak długo, jak twierdzisz. Może to i lepiej dla ciebie.

Ktoś zachichotał.

Kang odezwała się swoim ostrym, chrypliwym tonem:

- Oczywiście mamy tu do czynienia z kolejnym sławetnym już przyznaniem się do winy, wymuszonym przez zgniatacz kostek. Postrach związany z kradzieżą dusz wywodzi się właśnie z takich wymuszonych zeznań. Jedyne, co z tego jest, to coraz szersza panika wśród sług i pracowników. Gorzej już chyba nie można się przysłużyć cesarzowi...

- Cisza!

- Da się was wszystkich przejrzeć na wskroś! Cesarz o wszystkim się dowie!

Mandżurski urzędnik wstał i wskazał na Kang:

- A może ty chciałabyś się znaleźć w zgniataczu kostek, zamiast tego czarnoksiężnika?

[Żadna kobieta z dobrego domu nigdy nie odnosiła się do swoich stóp ani nie odkrywała ich w miejscu publicznym. To była bardzo śmiała osoba.]

Kang nie odpowiedziała. Shih zadrżał i schował się za nią, ona oparła się o jego ramię i wysunęła do przodu jedną stopę, obutą w maleńki, jedwabny pantofel, po czym spojrzała Mandżurowi prosto w oczy i rzekła:

- Już raz to wytrzymałam.

- Usunąć tę obłąkaną kobietę z pokoju przesłuchań - powiedział Mandżur przez zaciśnięte zęby. Kobieca stopa obnażona podczas przesłuchiwania w sprawie tak poważnego przestępstwa, jak kradzież duszy: tego nie przewidywał żaden kodeks.

- Jestem świadkiem - powiedziała Kang, nie ruszając się z miejsca.

- Proszę cię - zawołał do niej Bao - odejdź stąd, pani. Rób, co każe sędzia - ledwo mógł się odwrócić, aby na nią spojrzeć - wszystko będzie dobrze.

Po chwili wyszli. W drodze do domu, w palankinie strażników Kang płakała, odtrącając od siebie ramiona próbującego pocieszyć ją Shiha.

- Co się stało, matko, co się stało?

- Ściągnęłam hańbę na twoją rodzinę. Zawiodłam nadzieje mojego męża.

Shih wyglądał na wystraszonego.

- To przecież tylko żebrak.

- Zamilcz! - syknęła na niego i zaklęła. - Przeklęci Mandżurowie! Żałośni cudzoziemcy! Oni nawet nie są prawdziwymi Chińczykami. Każda dynastia zaczyna się dobrze, od oczyszczania z zepsucia, pozostałego po dynastii, która upadła. Później jednak nadchodzi czas i jej zepsucia. I nastała dynastia Qing. To dlatego tak bardzo ich interesuje sprawa obcinania warkoczyków. To ich piętno, odciśnięte na nas, ich piętno na każdym Chińczyku.

- Tak to jest skonstruowane, matko. Nie można ot, tak sobie zmie-

niać dynastii.

- Nie. Jestem zhańbiona. Straciłam głowę. Nie powinnam była tam iść. To przeze mnie biedny Bao teraz cierpi.

Kiedy dotarli do domu, udała się do części dla kobiet. Tam rozpoczęła post i całymi dniami pracowała w warsztacie tkackim, nie odzywając się do nikogo.

Wkrótce doszły ich wieści o śmierci Bao w więzieniu. Podobno od gorączki, która nie miała nic wspólnego z przesłuchaniami - tak przynajmniej mówili strażnicy więzienni. Kang z płaczem zamknęła się w swoim pokoju, z którego długo nie chciała wyjść. Opuściła go dopiero po kilku dobach i odtąd całe dnie tkała lub pisała wiersze, jadła przy krośnie albo przy swoim stoliku usłanym papierami. Nie chciała już więcej uczyć Shiha ani nawet z nim rozmawiać, co przerażało go jeszcze bardziej niż jej najostrzejsze słowa. Z drugiej strony podobało mu się, że mógł teraz do woli bawić się nad rzeką. Xinwu miał zakaz zbliżania się do niego i ciągle byt pod opieką służby.

Moja biedna małpa wypuściła z rąk brzoskwinię. Księżyc wzeszedl, lecz zapomniał o swym blasku. Już nie będzie wspinać się po sosnach Ani nosić na swym grzbiecie młodych. Wróć do mnie ot, tak sobie, A ja odwiedzę cię we śnie.

Kilka dni później Pao przyniosła Kang mały czarny warkoczyk, znaleziony w morwowym kompoście przez służącego, który przerzucał gnój. Był obcięty pod kątem idealnie pasującym do pozostałości po kucyku z tyłu głowy Shiha.

Kang syknęła na jego widok, weszła do pokoju syna i z całej siły

uderzyła go w ucho. Chłopiec zaskomlał i krzyknął:

- Za co? Za co?

Nie zwracając na niego uwagi, Kang poszła z powrotem do części dla kobiet, gdzie chwyciła za nożyczki i pocięła wszystkie jedwabne tkaniny, porozciągane na ramach i przygotowane do haftowania. Służące krzyczały przerażone, nikt nie mógł uwierzyć własnym oczom. Pani domu zwariowała. Nigdy wcześniej, nawet po śmierci jej męża, nie widzieli, żeby tak gorzko płakała.

Nieco później tego samego dnia rozkazała Pao zachować w tajemnicy informację o znalezisku, lecz ostatecznie i tak się o nim wszyscy dowiedzieli. Odtąd domownicy zaczęli unikać Shiha, lecz jemu najwyraźniej w niczym to nie przeszkadzało.

Wdowa Kang przestała sypiać w nocy i często kazała Pao przynosić sobie wino.

- Znów go widziałam - mówiła - tym razem był młodym mnichem, odzianym w całkiem inne szaty, pochodził z narodu Hui, a ja byłam młodą królową. Ocalił mnie, a później razem uciekliśmy. Teraz jego duch cierpi głód i błąka się między światami.

Przed bramą i na parapetach wyłożyli dla niego dary, lecz Kang nadal budziła domowników swoimi krzykami przez sen, które brzmiały, jak krzyk pawia. Czasem też znajdywali ją, chodzącą we śnie pomiędzy budynkami kompleksu, mówiącą obcymi językami, a czasem nawet i nie swoim głosem. Zgodnie z przyjętą zasadą nie wolno było budzić lunatyka, aby nie wystraszyć jego ducha, który mógłby nie odnaleźć drogi powrotnej do swojego ciała. Chodzili więc przed nią, usuwali z drogi meble i inne przeszkody, aby nie

zrobiła sobie krzywdy, i podszczypywali koguta, aby piał wcześniej niż zwykle. Pao próbowała namówić Shiha, aby napisał do swoich starszych braci i opowiedział im o tych wydarzeniach lub przynajmniej spisywał wszystko, co mówiła w nocy jego matka, lecz on odmawiał.

[Należy wziąć pod uwagę fakt, że gdyby to jego ojciec był chory lub opętany przez duchy, wtedy z pewnością pozwolono by mu doń pojechać.]

W końcu Pao opowiedziała o wszystkim siostrze sługi najstarszego brata Shiha, kiedy spotkała ją na targu w trakcie wizyty w Hangzhou i dopiero wtedy wieści dotarły do najstarszego brata mieszkającego w Nanjing. Ten jednak nie przyjechał, gdyż zatrzymał go nawał obowiązków.

Za to do niego przybył pewien muzułmański uczony, doktor znad granicy, człowiek zawodowo zajmujący się przypadkami opętań, jakie przytrafiło się Kang. Kilka miesięcy później mężczyzna ten złożył wdowie wizytę.

2

Przebłyski pamięci

Kang Tongbi przyjęła gościa w przestronnej bawialni, do której wchodziło się przez frontowy dziedziniec. Usiadła i przyglądała mu się uważnie, podczas gdy on, dziwnie akcentowaną, aczkolwiek zrozumiałą chińszczyzną wyjaśnił, kim jest. Nazywał się Ibrahim Ibn Hassam, był niskim i drobnym mężczyzną o siwych włosach, wzrostem i budową zbliżony do Kang. Nigdy nie rozstawał się z

okularami do czytania, a jego oczy pływały za soczewkami jak ryby w szklanej kuli. Był prawdziwym Chińczykiem Hui, urodził się w Iranie, lecz przez większość okresu panowania cesarza Cłianlong mieszkał w Chinach i, podobnie jak większość przebywających tu cudzoziemców, postanowił osiąść w tym kraju na zawsze.

- Chiny to mój dom - stwierdził, a słowa te brzmiały dość dziwnie, biorąc pod uwagę jego obcy akcent. Kiwał głową, obserwując czujnie wyraz jej twarzy. - Oczywiście nie jestem czystej krwi Hanem, ale bardzo mi się tu podoba. Prawdę mówiąc, wkrótce przeprowadzam się z powrotem do Lanzhou, aby żyć wśród swoich współwyznawców. Są dzę, że dzięki naukom, które odbyłem u Liu Zhi, posiadłem wystarczającą wiedzę, aby przysłużyć się ludziom pragnącym lepszego porozumienia między chińskimi muzułmanami i Chińczykami Han. Taki jest mój cel i mam nadzieję go osiągnąć.

Kang uprzejmie skinęła głową, słuchając o tych niemal nieprawdopodobnych zamiarach.

- Więc przybyłeś tu, aby... Ukłonił się, mówiąc:

- Wspólnie z gubernatorem prowincji zajmowałem się głośnymi przypadkami...

- Kradzieży duszy? - zapytała ostro Kang.

- No cóż, w sumie tak, lecz przede wszystkim chodziło o obcinanie warkoczyków. Bardzo trudno stwierdzić, czy jest to kwestia czarnej magii, czy też zwykłej rebelii przeciwko panującej dynastii. Jestem uczonym, badaczem natchnionych pism, lecz również adeptem sztuki medycznej, powołano mnie, abym spróbował rzucić nowe światło na tę sprawę. Poza tym od dawna

zajmuję się... przypadkami opętań i innymi, podobnymi rzeczami.

Kang rzuciła mu chłodne spojrzenie, a on zawahał się, lecz mówił dalej:

- Twój najstarszy syn poinformował mnie, że podobno cierpisz na tego typu przypadłości.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedziała szorstko. - Wiem jedynie, że obcięto warkoczyk mojemu najmłodszemu synowi. Śledztwo w tej sprawie nie zakończyło się żadnym konkretnym rezultatem. A jeśli chodzi o całą resztę, to ja nic nie wiem. Sypiam normalnie, czasem jedynie budzę się zmarznięta, poza swoim łóżkiem, w różnych częściach domu. Służący donoszą mi, że mówię wówczas rzeczy, których nie rozumieją, w języku, który nie przypomina chińskiego.

Jego oczy łysnęły za szkłami, jak srebrne łuski ryby.

- A czy znasz, o pani, jakieś inne języki?

- Oczywiście, że nie.

- Wybacz, że pytam, ale twój syn mówił, że jesteś znakomicie wykształcona.

- Mój ojciec był rad edukować mnie w zakresie klasyków razem ze swoimi synami.

- Cieszysz się opinią wyśmienitej poetki.

Kang nie odpowiedziała i spłonęła lekkim rumieńcem.

- Mam nadzieję, że spotka mnie ten zaszczyt i będę mógł przeczytać choć część twoich wierszy. Myślę, że będzie to pomocne w mojej pracy.

- Która polega na...

- No cóż, na uwolnieniu cię, w miarę możliwości, od tych nawiedzeń oraz na pomocy cesarzowi przy dochodzeniu w sprawie warkoczyków.

Kang zmarszczyła brew i odwróciła wzrok.

Ibrahim pociągnął łyk herbaty i czekał. Najwyraźniej był jednym z tych, co potrafią czekać co najmniej w nieskończoność. Kang skinęła na Pao, aby ta napełniła jego czarkę herbatą.

- Proszę, możesz mówić dalej.

Ibrahim skłonił się, nie ruszając się z miejsca.

- Dziękuję. Dobrze byłoby zacząć od tego mnicha, który zmarł, Bao Ssu.

Kang zastygła w bezruchu na swojej ławie pod oknem.

- Wiem, że to trudne - mruknął Ibrahim. - Nadal zajmujesz się jego synem.

-Tak.

- Dowiedziałem się również, że kiedy zobaczyłaś go po raz pierwszy, byłaś przekonana, że skądś go znasz.

- Tak właśnie było. Ale on powiedział, że pochodził z Suzhou i nigdy wcześniej nie bywał w tych stronach. Ja z kolei nigdy nie byłam w Suzhou, mimo to czułam, że jest mi znajomy.

- Czy czułaś to samo względem jego syna?

- Nie, ale odczuwam to samo względem ciebie - powiedziała i zakryła dłonią usta.

- Naprawdę? - Ibrahim przyjrzał jej się bliżej. Kang potrząsnęła głową.

- Nie wiem, dlaczego to powiedziałam! Samo się wyrwało.

- Czasem tak się zdarza. - Machnął ręką. - Wróćmy do Bao, który cię nie rozpoznał. Wkrótce po jego pojawieniu się zgłoszono kilka incydentów: obcinanie warkoczyków, zapisywanie imion ludzi na skrawkach papieru i umieszczanie ich pod palowym nabrzeżem, do którego po chwili zawijały łódki, tego typu rzeczy, praktyki złodziei dusz.

- On nie miał z tym nic wspólnego. Każdego dnia był nad rzeką i łowił ryby ze swoim synem. Był zwyczajnym mnichem, to wszystko. Zupełnie niepotrzebnie go torturowali.

- Przyznał się do obcinania warkoczyków.

- W zgniataczu kostek każdy by się przyznał! Równie dobrze mógł powiedzieć cokolwiek. To bardzo głupia metoda prowadzenia przesłuchań w tego typu przestępstwach. Przez to właśnie jest ich coraz więcej, wyskakują jak trujące grzyby po deszczu.

- Masz rację - powiedział mężczyzna, popijając łyk herbaty. - Jestem tego samego zdania, a ponadto jestem coraz bardziej przekonany, że tak właśnie było w tym przypadku.

Kang spojrzała na niego ze skupieniem.

- Słucham, opowiedz mi.

- No cóż - Ibrahim spojrzał w podłogę - mnich Bao i jego syn byli po raz pierwszy przesłuchiwani w Anchi, być może wspominał ci o tym. Śpiewali pieśni i żebrali pod domem przywódcy wioski, więc przywódca dał im kawałek chleba robionego na parze. Bao i Xinwu musieli być bardzo głodni, bo Bao przeklął przywódcę, który oznajmił, że nie są oni u niego mile widziani, i ponowił rozkaz, aby

odeszli. Zanim do tego doszło, Bao po raz drugi przeklął przywódcę, który tak się zdenerwował, że kazał ich aresztować i przeszukać ich rzeczy. Znaleźli jakieś pisma, leki i nożyczki.

- To samo znaleźli u niego i tutaj.

- Tak. Przywódca kazał przywiązać ich do drzewa i wybatożyć łańcuchami. Niczego więcej się nie dowiedziano, a tych dwóch sporo wycierpiało. Następnie przywódca wziął kawałek sztucznego warkoczyka, noszonego przez jego łysego strażnika, włożył go do torby Bao, którego z miejsca wysłał do prefektury na przesłuchanie z użyciem zgniatacza kostek.

- Biedny człowiek - wykrzyknęła Kang, zagryzając dolną wargę -biedna dusza.

- Tak. - Ibrahim wypił kolejny łyk herbaty. - Ostatnio, z polecenia cesarza, który bardzo się wszystkim przejął, gubernator zaczął interesować się bliżej tymi sprawami. Udało mi się nieco rozwinąć śledztwo, oczywiście nikogo nie przesłuchiwałem, badałem tylko dowody rzeczowe, takie jak ten sztuczny warkoczyk, który, jak udowodniłem, składał się z kilku rodzajów włosów. Wtedy postanowiono wziąć na przesłuchanie przywódcę wioski, który od razu wszystko wyśpiewał.

- A więc to wszystko jest jednym wielkim kłamstwem.

- W rzeczy samej. Poza tym, źródła tych incydentów można z łatwością doszukać się w podobnych wydarzeniach z Suzhou.

- Potworne.

- Pozostaje jedynie kwestia twojego syna, Shiha.

Kang nic nie powiedziała. Wykonała gest dłonią, a Pao dolała im

herbaty.

Po długiej chwili milczenia Ibrahim odezwał się:

- Niewątpliwie jacyś chuliganie z sąsiedztwa wykorzystali panujący popłoch, żeby napędzić stracha twojemu synowi.

Kang pokiwała głową.

- Jest jeszcze jedna rzecz - kontynuował Ibrahim. - Jeśli ty doświadczyłaś opętania przez duchy, być może on również...

Nic nie odpowiedziała.

- Czy spotkałaś się ostatnio z jakimiś osobliwościami?

Przez długi czas siedzieli razem w milczeniu i popijali herbatę. W końcu Kang odezwała się.

- Lęk sam w sobie jest pewnego rodzaju opętaniem.

- W rzeczy samej.

Upili po kilka kolejnych łyków.

- Zamierzam poinformować gubernatora, że w związku z twoją sytuacją nie ma się czego obawiać.

- Dziękuję ci. Znów zapadła cisza.

- Szczerze mówiąc, interesują mnie również wszystkie późniejsze oznaki... czegoś niezwykłego.

-Ach tak...

- Mam nadziej, że będziemy mogli o nich porozmawiać. Znam pewne sposoby badania takich zjawisk.

- Naprawdę?

Niedługo potem wizyta doktora dobiegła końca. Kiedy wyszedł, Kang zaczęła chodzić po całym kompleksie, z pokoju do pokoju, a za nią zmartwiona Pao. Weszła do pokoju Shiha. Był pusty. Książki

stały na półkach, nietknięte. Shih na pewno poszedł nad rzekę, spotkać się ze swoim kolegą, Xinwu.

Kang zajrzała też do części damskiej, spojrzała na krosna, którym w większości zawdzięczali swój majątek, na stół i przybory piśmiennicze, kałamarz, pędzle, papier.

Tarczę księżyca przeciął klucz dzikich gęsi. Moi synowie dojrzeli i odeszli. W moim ogrodzie stoi stara ławka.

Czasem wolałabym już tylko słony ryż,

Wolałabym siedzieć, jak zwierzę z wyciągniętą szyją:

Gę, gę!

Odlecieć!

Później ruszyła dalej, do kuchni i do ogrodu, pod stary jałowiec. Nie wypowiedziała przy tym ani jednego słowa i w ciszy udała się do sypialni.

Jednak tej nocy krzyki znów zbudziły domostwo. Pao wybiegła z domu na czele reszty sług i znalazła wdowę Kang rozłożoną na ogrodowej ławce pod drzewem. Pao zaciągnęła rozchylone poły koszuli nocnej swojej pani, zakrywając jej piersi, podciągnęła ją i posadziła na ławce, krzycząc:

- Pani Kang! - Jej oczy były szeroko otwarte, lecz nie oglądały tego świata. Białka błyszczały dookoła tęczówek, a spojrzenie przenikało Pao i wszystkich w pobliżu, widziała innych ludzi i mówiła obcymi językami.

- In czja la! In czja la! - z jej ust dobywały się bełkotliwe dźwięki, okrzyki i piski - om mana pada hum - jej głos był całkowicie zmieniony.

- Duchy! - pisnął Shih, którego obudziło całe zamieszanie - ona jest opętana!

- Cisza! - syknęła Pao. - Musimy ja zaprowadzić do pokoju, póki jeszcze śpi.

Chwyciła ją pod jedno ramię, Zunli pod drugie i podnieśli ją najdelikatniej, jak mogli. Była lekka jak kot, o wiele lżejsza niż się zdawało.

- Delikatnie - powiedziała Pao, kiedy układały ją na szerokim parapecie, lecz nawet gdy już tam leżała, nadal podrygiwała jak marionetka. Głosem zbliżonym do jej prawdziwego głosu powiedziała:

- Mimo usilnych starań, mała bogini zmarła.

Pao powiadomiła doktora o całym zajściu i już wkrótce pojawił się u nich jego służący z listem, w którym prosił o kolejne spotkanie i możliwość przeprowadzenia rozmowy. Kang prychnęła, upuściła list na stół i nie odezwała się ani słowem. Jednak tydzień później nakazała służącym przygotować posiłek na przyjęcie gościa. Gościem tym okazał się Ibrahim Ibn Hassam, który stał właśnie u bramy i mrugał spoza swoich okularów.

Kang powitała go w nadzwyczaj oficjalny sposób i poprowadziła do salonu, gdzie w ich najlepszej porcelanie podano posiłek.

Kiedy zjedli i popijali herbatę, Ibrahim pokiwał głową i rzekł:

- Powiedziano mi, że miałaś kolejny atak lunatyzmu. Kang zarumieniała się.

- Moi służący są bardzo niedyskretni.

- Przykro mi z tego powodu, ale chodzi o to, że może mieć to związek z prowadzonym przeze mnie śledztwem.

- Niestety nic nie pamiętam. Kiedy się obudziłam, wszyscy domownicy byli bardzo zaniepokojeni.

- Może mógłbym zapytać służących, co mówiłaś, znajdując się w stanie... opętania?

- Oczywiście.

- Dziękuję. - Ibrahim ukłonił się, nie wstając z miejsca, i pociągnął łyk herbaty. - Myślałem również, czy nie zgodziłabyś się pomóc mi dotrzeć do tego... obcego głosu przemawiającego z wnętrza ciebie.

- Ale jak?

- Służy do tego metoda, opracowana przez doktorów z Al-Andalus. Polega na pewnego rodzaju medytacji, skupieniu się na jednej rzeczy, tak jak w buddyjskich świątyniach. Śledczy pomaga medytującej osobie wejść w sugestię, jak to sami nazywają, wtedy często zdarza się, że wewnętrzne głosy zaczynają rozmawiać ze śledczym.

- A więc znów kradzież duszy?

- Nie ma tu mowy o żadnej kradzieży - uśmiechnął się - to przede wszystkim rozmowa. To tak, jak wywoływanie ducha osoby nieobecnej, jak zwyczaj przywoływania duszy, praktykowany w waszych południowych miastach. Kiedy medytacja dobiega końca, wszystko wraca do normalnego stanu.

- Doktorze, a czy wierzysz w istnienie duszy?

- Oczywiście.

- A w kradzież duszy?

- No cóż - krótka pauza - uważam, że to zagadnienie ma dużo wspólnego z chińskim rozumieniem duszy. Może potrafiłabyś mi je przybliżyć? Czy istnieją u was takie rozróżnienia, jak hun, dusza duchowa i po, dusza cielesna?

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała Kang. - To jeden z aspektów jin-jang. Dusza hun należy do jang, a dusza po do jin.

Ibrahim skinął głową.

- Ponadto dusza hun, będąc lekką, aktywną i ulotną, może się oddzielać od żyjącej osoby. I, w rzeczy samej, oddziela się, każdej nocy we śnie, a powraca w momencie przebudzenia. To całkiem normalne.

- Zgadza się.

- A jeśli przypadkiem bądź celowo dusza nie powróci, wywołuje to choroby. U dzieci najczęściej jest to kolka, lecz również różne rodzaje lunatyzmu, szaleństwo i tym podobne.

- Tak - teraz wdowa Kang nie patrzyła na swojego rozmówcę.

- Najprawdopodobniej to duszy hun poszukują tak zawzięcie złodzieje dusz, siejący przerażenie w tutejszej okolicy. Chiao-hun.

- Tak. Ale ty oczywiście w to nie wierzysz.

- Nie, oczywiście, że nie. Z reguły rezerwuję swój osąd do rzeczy, których istnienie da się wykazać. Nie mam najmniejszych wątpliwości, co do rozróżnień, o których rozmawiamy. Sam podróżuję w snach, proszę mi wierzyć, podróżuję. Miałem również do czynienia z nieprzytomnymi pacjentami, których ciała funkcjonowały bez zarzutu, można by nawet powiedzieć, że byty w doskonałej formie, mimo iż leżały w łóżku, w całkowitym bezruchu,

przez wiele lat. Jednej pacjentce obmywałem twarz i kiedy wycierałem jej rzęsy, ona odezwała się do mnie, żebym tego nie robił. Po szesnastu latach odezwała się. Tak, wydaje mi się, że widziałem, jak dusza hun wychodzi z ciała i powraca. To w gruncie rzeczy nic nadzwyczajnego. Chińczycy mają ustalone pewne terminy, pewne koncepcje i kategorie, islam oczywiście dysponuje innymi słowami i nieco odmiennymi kategoriami, lecz jeśli przyjrzeć im się z bliska, okazałoby się, że da się je wszystkie skorelować i wykazać, iż są jednym i tym samym. Ponieważ wszystko jest jednią.

Kang zmarszczyła brwi, jakby nie do końca się z nim zgadzała.

- A czy znasz wiersz Rumiego Dżalaluddina, *Umarłem jako mine rał?* Nie? Autorem jest założyciel derwiszów, jeden z najbardziej uduchowionych muzułmanów.

Zaczął recytować:

Umarłem jako minerał i rośliną się stałem,

Umarłem jako roślina i zwierzęciem zostałem,

Umarłem zwierzęciem i człowiekiem się stałem.

Czegóż mam bać się? Czyż ubyło mnie, gdy umarłem?

Raz jeszcze umrę jako człowiek

Otrzymam skrzydła anielskie i wzniosę się w przestworza.

A gdy poświęcę swą duszę anielską

Stanę się tym, czego rozum pojąć nie zdoła.

- Sądzę, że ta ostatnia śmierć dotyczy chwili, gdy dusza hun oddala się od duszy po i zdąża ku transcendencji.

Kang zastanowiła się nad tym.

- A więc muzułmanie wierzą, że dusze powracają, że przeżywamy wiele żywotów i przechodzimy przez kolejne wcielenia?

Ibrahim upił łyk herbaty.

- Koran mówi: “Bóg tworzy istoty i dopóty zsyła je z powrotem, dopóki same doń nie wrócą".

- Naprawdę? - Teraz już Kang słuchała Ibrahima z zainteresowaniem. - W to samo wierzymy my, buddyści.

Ibrahim kiwnął głową.

- Sharif Din Maneri, suficki nauczyciel, za którym niegdyś podążałem, powiedział do nas: “Możecie być pewni, że praca, jaką z wami wykonuję, trwa nieprzerwanie od pradawnych lat i że każdy osiągnął już pewien etap rozwoju. Nikt z was nie przystępuje do tej pracy po raz pierwszy".

Kang wpatrywała się w Ibrahima, nachylając się w jego stronę ze swojej ławy pod ścianą. Odchrząknęła delikatnie.

- Pamiętam pojedyncze fragmenty tego nocnego opętania - przyznała. - Czasem wydaje mi się, że jestem jakąś inną osobą. Najczęściej młodą kobietą, królową jakiegoś odległego państwa, i jestem w niebezpieczeństwie. Mam wrażenie, jakbym dawno temu już to przeżyła, wszystko mi się miesza. Czasem budzę się z przeświadczeniem, że minął rok albo dłużej. Później już na dobre wracam do tego świata, a tamten się rozpada i nic nie pamiętam, zostają tylko strzępy obrazów, jak sen albo ilustracje w książce, lecz o wiele mniej szczegółowe i kompleksowe... przepraszam, nie potrafię tego jaśniej opowiedzieć.

- Owszem, potrafisz - powiedział Ibrahim - bardzo jasno.

- Myślę, że cię znam - wyszeptała - ciebie, Bao i mojego Shiha, i Pao, i kilku innych... to jest podobne wrażenie do tego, jakie ludzie czasem mają, kiedy czują, że to, co się z nimi dzieje, działo się już wcześniej i to w ten sam sposób.

Ibrahim pokiwał głową.

- Znam to wrażenie. W innym miejscu w Koranie napisane jest: “Zaprawdę powiadam wam, że spowinowacone duchy staną się jedną rodziną, choć spotkają się jako osoby o innych ciałach i imionach".

- Naprawdę!? - wykrzyknęła Kang.

- Tak A w innym ustępie jest powiedziane: “Jego ciało odpadnie, jak muszla kraba, a on przywdzieje nowe". Dana osoba jest tylko maską, w jaką dusza przyobleka się na odpowiedni czas, aby później odrzucić ją i na jej miejsce założyć inną.

Kang wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

- Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę - wyszeptała. - Dotychczas nie było nikogo, z kim mogłabym porozmawiać o takich rzeczach. Oni myślą, że oszalałam. Teraz mówi się o mnie...

Ibrahim pokiwał głową i upił łyk herbaty.

- Rozumiem. Ja podchodzę poważnie do takich rzeczy. Sam również mam pewne przeczucia. Może moglibyśmy spróbować poddać cię sugestii i dowiedzieć się czegoś więcej?

Kang pokiwała ze zdecydowaniem głową.

- Zgadzam się.

Jako że zależało mu na półmroku, usadowili się na siedzisku w bawialni, przy zamkniętych oknach i drzwiach. Nieopodal, na niskim

stole, płonęła świeca. W szkłach jego okularów odbijał się jej pomarańczowy płomień. W domu zarządzono ciszę. Z oddali dobiegał ich stłumiony, nienarzucający się dźwięk miasta, szczekanie psów i turkot drewnianych kół.

Ibrahim ujął nadgarstek wdowy Kang. Zrobił to bardzo delikatnie, chłodnymi i lekkimi palcami wyczuł jej puls, który przyspieszył, kiedy poczuła jego dłoń, Ibrahim od razu zarejestrował tę zmianę. Poprosił ją, aby wpatrywała się w płomień świecy, mówił po persku, arabsku i chińsku: intonował coś niskim, neutralnym tonem, przypominającym głębokie mruczenie kota. Nigdy wcześniej nie słyszała takiego głosu.

- Wychodzisz na rześki poranek i przechadzasz się po chłodnej rosie. Panuje spokój, wszystko jest dobrze. W sercu płomienia, jak kwiat rozwija się świat. Powoli i głęboko wdychasz ten kwiat i spokojnie wydychasz. Wszystkie sutry mówią poprzez ciebie i kierują się ku świetlistemu kwiatu. Panuje całkowita harmonia, która rozchodzi się jak przypływ w górę i w dół kręgosłupa. Słońce, księżyc, gwiazdy na nieboskłonie krążą wokół nas, otaczają nas.

W podobny sposób mruczał cały czas, dopóki na wszystkich trzech poziomach puls Kang nie wyrównał się. Byt płytki i nitkowaty, a jej oddech pogłębił się i uspokoił. Doprawdy wyglądało na to, że opuściła Ibrahima, wychodząc z pokoju przez portal płomienia świecy. Jeszcze nigdy żaden jego pacjent nie opuścił go tak szybko.

- Teraz - zasugerował - przemierzasz świat duchowy, widzisz wszystkie swoje wcielenia. Powiedz mi, co widzisz.

Mówiła słodkim i wysokim głosem, który nie brzmiał jak jej praw-

dziwy głos.

- Widzę stary most, bardzo stary, niemal starożytny, rozpięty nad wyschniętym korytem rzeki. Bao jest młody, ma na sobie białe szaty.

Idziemy przez most, za nami idą ludzie, zmierzamy do... jakiegoś miejsca... starego i nowego zarazem.

- Co masz na sobie?

- Długą koszulę, podobną do koszuli nocnej. Jest ciepło. Kiedy przechodzimy, ludzie wznoszą okrzyki.

- Co mówią?

- Nie rozumiem.

- Spróbuj naśladować dźwięki, które słyszysz.

- In sza ar am. In sza ar am. Są też ludzie na koniach. O! I ty jesteś! Też jesteś młody. Coś od nas chcą. Ludzie wołają. Zbliżają się jeźdźcy, jadą bardzo szybko. Bao ostrzega mnie...

Zadrżała.

- Ach! - krzyknęła już swoim głosem.

Jej puls stał się szorstki i nierówny. Otrząsnęła się i podniosła wzrok na Ibrahima.

- Co to było? Co się stało?

- Nie było cię tutaj, oglądałaś inny świat. Czy coś zapamiętałaś? Potrząsnęła głową.

- Konie? - Zamknęła oczy. - Konie, jeźdźcy, kawaleria. Byłam w niebezpieczeństwie.

- Hmm - puścił jej nadgarstek. - Całkiem możliwe.

- Co to było? Wzruszył ramionami.

- Być może było to... a czy ty znasz jakieś obce... nie, nie znasz... mówiłaś już wcześniej, że nie. Tak czy inaczej podczas tej podróży twoja dusza hun najwyraźniej słyszała język arabski.

- Arabski?

- Tak, codzienną modlitwę, jaką muzułmanie często odmawiają po arabsku, nawet jeśli nie jest on ich językiem ojczystym. Bez względu na to jednak...

Kang otrząsnęła się i poprawiła.

- Muszę odpocząć.

- Naturalnie.

Spojrzała na niego, w oczach stanęły jej łzy.

- ...czy to możliwe... ale dlaczego ja... - Potrząsnęła głową, a łzy spłynęły jej po twarzy. - Nie rozumiem, dlaczego to wszystko się dzieje!

Ibrahim skinął głową.

- Rzadko rozumiemy przyczyny wydarzeń wokół nas. Zaśmiała się.

- Tak, ale ja lubię rozumieć rzeczy.

- Ja też, proszę mi wierzyć, to jedna z moich największych przyjemności, mimo iż tak rzadka - odwzajemnił się jej niewielkim uśmiechem, zmieszanym z grymasem zawodu. Doskonale rozumiał tę samotną frustrację z powodu nikłego zrozumienia rzeczywistości.

Kang wzięła głęboki wdech i wstała.

- Bardzo cenię sobie twoją pomoc. Liczę, że jeszcze się spotkamy.

- Oczywiście. - Wstał razem z nią. - Jestem do twoich usług. Czu-

ję, że dopiero co zaczęliśmy.

Nagle coś ją zaniepokoiło. Spojrzała poprzez jego osobę.

- Trzepotały wtedy chorągwie, pamiętasz?

- Kiedy?

- Byłeś tam - uśmiechnęła się przepraszająco i wzruszyła ramionami - ty też tam byłeś.

Zmarszczył brwi, próbując ją zrozumieć.

- Chorągwie... - przez chwilę sam się zagubił - tak... - potrząsnął głową. - Być może. Pamiętam, jako dziecko kiedyś w Iranie widziałem chorągwie, wtedy znaczyło to dla mnie tak wiele, o wiele więcej, niż dałoby się opisać. Czułem, jakbym unosił się w powietrzu.

- Mam nadzieję, że wkrótce znów się spotkamy. Może twoją duszę hun również można wywołać.

Skinął głową, marszcząc brew, jakby gonił uciekającą myśl. Chorągwie, chorągwie... Kiedy pożegnał się z Kang i opuścił jej domostwo, nadal nie mógł się pozbyć tego dziwnego roztargnienia.

Zjawił się u niej ponownie w przeciągu tygodnia i znów urządzili sobie sesję “podróży do wnętrza świecy", jak nazywała je Kang. Kiedy weszła już w głęboki trans, z jej ust niespodziewanie wybuchała mowa, jakiej nie potrafił zrozumieć ani Ibrahim, kiedy jej słuchał, ani Kang, kiedy później odczytał jej spisane słowa.

Ibrahim odetchnął, lecz wyglądał na wstrząśniętego.

- Zapytam kilku moich znajomych. Oczywiście może to być jakiś odległy i dawny język, o którego istnieniu nie mamy pojęcia. Uważam, że powinniśmy się skupić na tym, co widzisz.

- Ale ja nic nie pamiętam! Albo raczej niewiele. Tak jak się pamięta sny, które umykają po przebudzeniu.

- Zatem kiedy następnym razem znajdziesz się już wewnątrz świecy, muszę zachować czujność i rozwagę i zadawać właściwe pytania.

- A co, jeśli cię nie zrozumiem? Albo odpowiem w tym nieznanym języku?

Pokiwał głową.

- Wydaje mi się, że dotychczas mnie rozumiałaś, przynajmniej częściowo. Sądzę, że coś takiego jak przekład istnieje na każdym planie istnienia, albo dusza hun posiada zdolności, o których nie wiemy. A może przez nić, łączącą cię z podróżującą duszą hun, płyną też inne, znane ci informacje. A może to dusza po zajmuje się rozumieniem - wyrzucił ręce do góry - któż może wiedzieć?

Coś zaprzątnęło jej uwagę i położyła dłoń na jego ramieniu.

- Pamiętam, że osunęła się ziemia!

Stali jeszcze przez chwilę, nie odzywając się. Powietrze lekko zadrżało.

Odszedł zaintrygowany i poruszony. Za każdym razem wychodził, od niej speszony, a kiedy pojawiał się z powrotem, znów był pełen pomysłów i hipotez w związku z kolejną podróżą do wnętrza świecy.

- Znajomy z Benjing uważa, że posługiwałaś się wówczas wariantem berberyjskiego, a innym razem używałaś tybetańskiego. Znasz takie miejsca? Maroko leży na drugim końcu świata, na północno-zachodnim krańcu Afryki. To właśnie Marokańczycy zasiedlili Al-Andalus, kiedy wymarli chrześcijanie.

- Ach tak - powiedziała i pokręciła głową - ale ja zawsze byłam Chinką, jestem tego pewna. To musiał być jakiś starożytny, chiński dialekt. Uśmiechnął się, co było dość rzadkim i miłym widokiem.

- Chiński być może on i był, ale tylko w twoim sercu. Myślę, że przyjmując kolejne wcielenia, dusze podróżują po całym świecie.

- Myślisz, że trzymają się w grupach?

- “Losy ludzi przeplatają się ze sobą" - mówi Koran. Jak nici w twoich haftach. Wędrują po powierzchni ziemi jak koczownicze plemiona żydów, chrześcijan czy Romów, jak relikty starych tradycji pozbawione własnego domu.

- Albo te wyspy po drugiej stronie Morza Wschodniego. Może kiedyś i tam żyliśmy, w tych imperiach ze złota.

- Kto wie? Równie dobrze mógł to być język ludów egipskich z czasów Noego, którym udało się uciec przed potopem na zachód. Opinie są podzielone.

- Jakikolwiek nie byłby to naród, ja jestem i zawsze byłam Chinką z krwi i kości.

- Przyjrzał jej się z nikłym uśmiechem, odbijającym się w jej błyszczących oczach.

- Kiedy znajdujesz się wewnątrz świecy, twoja mowa wcale nie brzmi po chińsku. Zakładając, że życie nigdy nie ustaje, na co zresztą wszystko zaczyna wskazywać, można by powiedzieć, że jesteś starsza niż całe Chiny.

Wzięła głęboki wdech i westchnęła.

[Błędnie uznawana za tekst sanskrycki, oryginał powstał w języku chińskim i zatytułowany był “Lengyan jing". Świadomość, o której

jest w nim mowa, nazywana czasem “naturą Buddy" lub ta-thagata albo fundamentem umysłu. Sutra uczy, że gorliwie praktykujący adepci mogą obudzić w sobie ów oświecony stan.]

- Nietrudno w to uwierzyć. Następnym razem kiedy przyszedł, aby poddać ją sugestii, była już noc, mogli więc pracować w ciszy i w mroku. Zdawało się, że poza płomieniem świecy, półmrokiem pokoju i głosem Ibrahima nie istniało na świecie nic innego. Był piąty dzień piątego miesiąca, pechowa data, święto zgłodniałych duchów. W tym dniu oddawano cześć i pokój wszystkim biednym pretom, niemającym żywych potomków. Kang odmówiła sutrę Surangama, opisującą rulai-zang, stan pustego umysłu, umysłu spokojnego i prawdziwego.

Odprawiła rytuały oczyszczające dom, pościła i poprosiła Ibrahima, aby robił to samo. A kiedy zakończyli wszystkie przygotowania, usiedli we dwoje w przystrojonej, ciemnej izbie i wpatrywali się w płonącą świecę. Kang weszła w płomień w tej samej chwili, w której Ibrahim chwycił za jej nadgarstek, jej puls płynął, ten jego rodzaj nazywał się pulsem jin w jang. Ibrahim przyglądał się jej uważnie. Mamrotała coś w języku, którego nie rozumiał, być może był to jeszcze inny język niż poprzednio. Na jej czoło wystąpił pot, wyglądała na zrozpaczoną.

Płomień świecy skurczył się nagle do rozmiarów ziarnka grochu. Ibrahim przełknął głośno ślinę i odpychał od siebie nadciągające widmo strachu, mrużąc przy tym z wysiłku oczy.

Poruszyła się, a jej głos był coraz bardziej wzburzony.

- Mów do mnie po chińsku - powiedział delikatnym tonem – mów

po chińsku.

Kang jęknęła i mruknęła, a po chwili odezwała się już wyraźnie:

- Mój mąż zmarł. Oni nie chcieli... Otruli go, nie potrafili zaakceptować królowej. Chcieli tego, co należało się nam! - Po chwili znów przeszła na obce narzecze. Ibrahim odnotował w pamięci jej słowa, po czym zauważył, że płomień tym razem urósł, a nawet przekroczył swój normalny rozmiar, aż w całym pokoju zrobiło się jasno i gorąco, a Ibra-him spoglądał nerwowo na papierowy sufit.

- Błagam, uspokójcie się, o, wszystkie duchy zmarłych - mówił po arabsku, a Kang wykrzyknęła nieswoim głosem:

- Nie! Nie! To pułapka! - Zaczęła płakać i żałośnie krzyczeć. Ibrahim chwycił ją za ramiona i delikatnie ścisnął. W jednej chwili spojrzała na niego, jak wyrwana ze snu, a jej oczy były wielkie i okrągłe, rzekła:

- Byłeś tam, byłeś tam z nami. Zostaliśmy uwięzieni w lawinie, groziła nam śmierć!

Potrząsnął głową.

- Nie pamiętam.

Wyrwała się z jego rąk i uderzyła go w twarz. Jego okulary przeleciały przez pół pokoju, a ona skoczyła na niego, chwyciła za gardło i utkwiła spojrzenie w jego oczach, które nagle wydały jej się takie małe.

- Byłeś tam! - krzyczała. - Przypomnij sobie, przypomnij sobie to! Kiedy patrzył w jej oczy, miał wrażenie, że widzi obrazy wydarzeń,

o których mówiła.

- O! - powiedział zdziwiony, patrząc teraz poprzez nią.. - O mój

Boże...!

Puściła go, a on osunął się na ziemię i zaczął przeszukiwać podłogę w poszukiwaniu okularów.

- Inshallah, inshallah - błądził po omacku, spoglądając w jej stronę.

- Byłaś wtedy zwykłą dziewczynką...

- Ach! - powiedziała, opadając na podłogę obok niego. Teraz rozpłakała się już na dobre. - To już tak długo trwa. Jestem taka samotna.

- Pociągnęła nosem i wytarła oczy. - Ciągle umieramy i rodzimy się na nowo.

- Takie jest życie - odpowiedział jej, przecierając jednym ruchem oczy i poprawiając się - tak to właśnie jest. Pamiętasz tych ludzi. Kiedyś byłaś czarnym chłopcem, pięknym, czarnym chłopcem, widzę cię. Byłaś moim przyjacielem, znaliśmy się niemal całe życie, razem studiowaliśmy świat, przyjaźniliśmy się. Cóż za wspaniały duch.

Płomień świecy z wolna powrócił do swojego normalnego rozmiaru. Siedzieli razem na podłodze zbyt zmęczeni, by wstać.

W końcu do drzwi nieśmiało zapukała Pao, a oni, z pewnym skrępowaniem, zerwali się na nogi, mimo iż oboje byli pogrążeni w swoich własnych myślach. Usiedli na lawach pod oknem, Kang poprosiła Pao o sok brzoskwiniowy. Kiedy służąca wróciła, zdążyli doprowadzić się do porządku. Okulary Ibrahima znalazły się z powrotem na nosie, a Kang uchyliła okiennicę, aby wpuścić do środka trochę nocnego powietrza. Blask częściowo zachmurzonego

półksiężyca łączył się ciepłym światłem świecy.

Dłonie Kang wciąż drżały, upiła łyk soku i sięgnęła po brzoskwinię. Jej ciało przeszywały dreszcze.

- Nie wiem, czy podołam kolejnej próbie - powiedziała, odwracając wzrok. - Zbyt wiele mnie to kosztuje.

Ibrahim skinął głową. Wyszli do ogrodu, usiedli na ławce i pod chłodnym, nocnym niebem jedli i pili. Byli naprawdę głodni. Zapach jaśminu wypełniał czarną przestrzeń i choć nie rozmawiali, czuli się swobodnie w swoim towarzystwie.

Jestem starsza niż Chiny,
Żyłam w dżungli i chodziłam na łowy,
Żeglowałam dookoła świata
Walczyłam w wojnie asurów.
Byłam ranna i krwawiłam. Tak było. Tak było.
Nie dziwota, że śnią mi się szalone sny,
Nie dziwota, że jestem tak słaba,
Nie dziwota, że się ciągle złoszczę.
Skłębione chmury przysłaniają tysiące szczytów.
Porywiste wiatry barwią dziesięć tysięcy drzew.
Przyjdź do mnie mój mężu miły
Przeżyjmy razem dziesięć kolejnych żyć.

Podczas następnej wizyty Ibrahim miał poważny wyraz twarzy i ubrany był o wiele wytworniej niż wcześniej, w strój muzułmańskiego duchownego.

Po oficjalnym powitaniu, kiedy już znaleźli się sami w ogrodzie, Ibrahim wstał i zwrócił się Kang:

- Muszę wracać do Gansu, wzywają mnie sprawy rodzinne, którymi w końcu muszę się zająć. Poza tym mój sufficki nauczyciel potrzebuje pomocy w medresie. Odkładałem to tak długo, jak się dało, ale teraz muszę już jechać.

Kang odwróciła wzrok.

- Będzie mi bardzo przykro.

- Mnie również. Jest jeszcze tyle rzeczy do omówienia. Cisza.

Po chwili Ibrahim poruszył się i rzekł:

- Myślałem o tym, jak rozwiązać problem naszej niechcianej rozłąki, i sądzę, że powinnaś mnie poślubić. Przyjmij moje oświadczyny i wyjdź za mnie. Będziesz mogła wziąć ze sobą wszystkich swoich ludzi i wyjechać razem ze mną do Gansu.

Wdowa Kang spojrzała na niego z nieskrywanym zaskoczeniem i otwartymi ze zdziwienia ustami.

- Jak to... Ja nie mogę za ciebie wyjść. Jestem wdową. Ibrahim na to:

- Przecież wdowy mogą wychodzić za mąż. Wiem, że jest to nie w smak rządom dynastii Qing, lecz według nauk Konfucjusza nie ma w tym nic złego. Sprawdzałem to i pytałem najlepszych ekspertów. Ludzie tak robią.

- Ale nie szanowani ludzie.

Zmrużył oczy, przez co nagle wyglądał bardziej na Chińczyka.

- Szanowani przez kogo? Znów odwróciła wzrok.

- Nie mogę za ciebie wyjść. Ty wywodzisz się z narodu Hui, a ja

jestem tą, która jeszcze nie umarła.

- Cesarzowie dynastii Ming nakazali wszystkim przedstawicielom narodu Hui brać za żony dobre, chińskie kobiety, aby ich dzieci były Chińczykami. Moja matka była Chinką.

Znów spojrzała na niego z zaskoczeniem i zarumieniła się.

- Proszę cię - powiedział, wyciągając do niej dłoń - wiem, że to dla ciebie zupełnie nowy pomysł, a może nawet i szok. Przepraszam. Zanim jednak udzielisz mi ostatecznej odpowiedzi, przemyśl proszę wszystko i rozważ to.

Wyprostowała się i zwróciła do niego oficjalnym tonem:

- Rozważę więc twoją propozycję.

Skinieniem dłoni dała do zrozumienia, że chce zostać sama. Po krótkim pożegnaniu Ibrahim w największym skupieniu wypowiedział jeszcze jedno, ostatnie zdanie w obcym języku i opuścił kompleks.

W chwilę później wdowa Kang zaczęła spacerować po domostwie. Pao była w kuchni, gdzie kierowała całą grupą służących. Kang poprosiła ją na słowo do ogrodu i opowiedziała, co się wydarzyło. Pao roześmiała się.

- Dlaczego się śmiejesz? - burknęła Kang. - Myślisz, że mi tak bardzo zależy na certyfikacie od cesarza Qing? Że powinnam zamknąć się w pudełku na resztę życia dla marnego kawałka papieru zapisanego cynobrowym tuszem?

Pao zamarła, z początku ze zdziwienia, a po chwili z przerażenia. -Ależ pani Kang... Gansu jest...

[Matka dwóch synów robiących karierę urzędników, których wychowywała samotnie, jako wdowa.]

- Co ty możesz wiedzieć? Zostaw mnie samą. Po tej rozmowie już nikt nie odważył się zamienić z nią słowa. Snuła się po domu, jak zgłodniały duch, nie zważając na nikogo i prawie nie odzywając się. Raz odwiedziła Świątynię Fioletowego Bambusa i pięć razy wyrecytowała Diamentową Sutrę, po czym wróciła do domu z obolałymi kolanami. Przypomniał jej się również wie

Czasem wszystkie nici krosna
Obwieszczają już skończone dzieło.
Wtedy wiem, że nasze dzieci, których nie ma
Śnią o nas w bardo.
Dla nich tkamy, póki w rękach starczy sił.

Kazała zanieść się pod budynek sądu, a gdy służący spełnili jej życzenie, stali przy lektyce okrągłą godzinę, a ona ani na chwilę nie wyszła na zewnątrz. Przez firanki z gazy w niewielkim oknie lektyki było widać tylko jej zastygłą twarz. Po godzinie kazała odnieść się z powrotem.

Następnego dnia, mimo iż nie wypadało akurat żadne święto, kazała zanieść się na cmentarz. Tam, pod gołym niebem, krzątała się tym swoim dziwnym krokiem, zamiatając groby wszystkich swoich przodków. Później z głową zatopioną w dłoniach siedziała przed grobem męża.

Następnego dnia wyszła z domu sama i udała się w stronę rzeki. Całą drogę przedreptała na nogach, przyglądając się tylko drzewom, kaczkom i chmurom na niebie. Usiadła na brzegu rzeki i

siedziała tam w ciszy i w bezruchu, jakby znalazła się w świątyni.

Xinwu też tam był, jak zawsze zresztą, szedł ścieżką, niosąc ze sobą wędkę i bambusowy koszyk. Jego twarz pojaśniała na widok Kang. Pokazał jej złowione przez siebie ryby, a potem usiadł przy niej i razem wpatrywali się w przepływający, brązowy nurt o lśniącej i zwartej powierzchni. On wędkował, a ona siedziała i patrzyła.

- Dobrze ci to wychodzi - powiedziała do niego, kiedy zarzucał wędkę.

- Tato mnie nauczył - a po chwili dodał jeszcze - tęsknię za nim.

- Ja też. - Chwila ciszy. - Myślisz, że... Ciekawe, co on by na to powiedział. - Kolejna pauza. - Jeśli przeprowadzimy się na zachód, pojedziesz z nami.

- Wkrótce poprosiła Ibrahima o spotkanie, a kiedy się zjawił, Pao zaprowadziła go do sali przyjęć, gdzie na życzenie Kang rozstawiono świeże kwiaty.

Stanął przed nią i ukłonił się.

[“Wszystkie etapy życia": zęby mleczne, upinanie włosów do góry, małżeństwo, dzieci, ryż z solą, wdowieństwo.]

- Jestem już stara - odezwała się do niego - przeszłam przez wszystkie etapy życia. Jestem tą, która jeszcze nie umarła. Nie mogę się cofnąć. Nie mogę też dać ci synów.

- Rozumiem - wymamrotał - ja też jestem stary, mimo to proszę cię o rękę, nie dla synów, ale dla siebie.

Przyjrzała mu się uważnie, a jej rumieniec powiększał się.

- Zatem przyjmuję twoje oświadczyny. Uśmiechnął się.

Po tym wydarzeniu w całym domostwie zawrzało. Służący, mimo

iż krytycznie nastawieni do takiego związku, i tak musieli dzień w dzień ciężko pracować, aby przygotować cały dom na piętnasty dzień szóstego miesiąca, czas przesilenia letniego, który tradycyjnie sprzyjał planom rozpoczynania podróży. Starsi synowie Kang byli oczywiście przeciwni jej małżeństwu, ale i tak poczynili plany przyjazdu na ślub. W sąsiedztwie wybuchł niemały skandal, ludzie byli wstrząśnięci do granic pojmowania, lecz, jako że nie zostali zaproszeni na uroczystość, nie mieli okazji podzielić się swym oburzeniem z domem Kang. Siostry wdowy ze świątyni pogratulowały jej i życzyły jej wszelkiej pomyślności.

- Możesz teraz nieść mądrość Buddy narodowi Hui - mówiły jej - wszystkim przyniesie to pożytek.

I tak też się pobrali, w trakcie niewielkiej ceremonii, w której uczestniczyli wszyscy synowie Kang, tylko Shih nie był w nastroju do składania gratulacji i przez większość poranka dąsał się w swoim pokoju, o czym jednak Pao nie doniosła Kang. Po uroczystości w ogrodzie przyjęcie przeniosło się nad rzekę - było skromnie, lecz atmosfera była bardzo radosna. Później zaczęło się wielkie pakowanie, wszystkie meble i inne przedmioty ładowano na wozy, które albo jechały z nimi na zachód do nowego domu, albo do miejskiego sierocińca, w którego utrzymaniu pomagała Kang, albo do domów jej starszych synów.

Kiedy już wszystko było gotowe, Kang po raz ostatni przeszła się po całym domostwie, zatrzymując się w pustych pokojach, które nagle zrobiły się dziwnie małe.

Na tym kwadratowym sążniu ziemi stało moje życie.

Teraz gęsi odlatują,

A z zachodu Feniks śpieszy.

Jakże w jednym życiu zmieścić taką zmianę.

Oczywiście, że niejedno życie jest nam dane.

Po jakimś czasie wyszła przed bramę i wdrapała się do lektyki.

- Tego wszystkiego już nie ma - powiedziała do Ibrahima. W odpowiedzi wręczył jej pomalowane na czerwono jajko - szczęście na nowy rok. Ukłoniła się, skinął głową i ruszył na czele małej karawany, kierując ją na zachód.

3

Zderzające się fale

Podróż trwała ponad miesiąc. Drogi i szlaki były suche, a Kang wolała jechać na wozie, niż być niesioną w palankinie, przez co utrzymywali dobre tempo. Z początku służący myśleli, że decyzja ta wywołała nieporozumienie między młodą parą, gdyż Ibrahim również upodobał sobie jazdę z Kang w zakrytym wozie i odtąd spod ich budy słychać już było tylko odgłosy zażartych dyskusji i sporów, które potrafiły trwać całymi dniami. Raz Pao podeszła bliżej wozu, aby posłuchać, o czym tak zawzięcie rozmawiają, po czym wróciła do reszty służących i z ulgą oznajmiła:

- Bez przerwy dyskutują o religii, to ich jedyny temat. Tych dwoje to prawdziwa para intelektualistów.

Służący mogli więc bez obaw podróżować dalej. W końcu doszli

do Kaifeng, gdzie zatrzymali się u jednego z muzułmańskich znajomych Ibrahima. Później szli równolegle z rzeką Wei, na zachód do Xi'an w prowincji Shaanxi, a następnie trudną trasą, przez przełęcze wyschniętych wzgórz, do Lanzhou.

Zanim zdążyli wjechać do miasta, Kang była zdumiona ponad wszelką miarę.

- Wprost nie mogę uwierzyć, że świat jest taki duży! - mówiła do Ibrahima - że Chiny są tak wielkie! Tyle pól ryżowych i jęczmiennych, tyle gór, pustych i dzikich. Pewnie przejechaliśmy już cały świat.

- Zaledwie setną jego część, jeśli wierzyć marynarzom.

- To dziwna kraina, taka zimna i sucha, piaszczysta i jałowa. Jak my tu utrzymamy nasz dom w czystości, nie będzie nam zimno? To tak, jakbyśmy próbowali mieszkać w piekle.

- Z pewnością nie jest aż tak źle.

- Czy to naprawdę Lanzhou, odnowione zachodnie miasto? Ta mała, przeszyta wiatrem wioska z mułowych cegieł?

- Tak, trzeba przyznać, że ostatnio bardzo szybko się rozwija.

- 1 my tu mamy mieszkać?

- No cóż, *mam* dobrych znajomych i kontakty zarówno tu, jak i w Xining, nieco dalej na zachód. Możemy osiedlić się tu albo tam.

- Zanim ostatecznie się zdecydujemy, pokaż mi jeszcze Xinmg. Czuję, że tam będzie lepiej.

Ibrahim nic nie odpowiedział, za to nakazał ich małej karawanie nie zatrzymywać się w Lanzhou i iść dalej. Mijały kolejne dni

podróży. Wraz z upływem siódmego miesiąca codziennie przetaczały się nad nimi ciężkie, burzowe chmury, z których jednak ani razu nie spadł deszcz. Pod niskim i ciemnym sufitem z chmur wysuszone wzgórza wyglądały jeszcze bardziej niegościnnie niż wcześniej. Gospodarstwa rolne spotykali już na sztucznie nawadnianych, tarasowych równinach, wewnątrz długich i wąskich dolin.

- Jak ci ludzie tu żyją? - zapytała Kang. - Co oni jedzą?

- Hodują owce i kozy - odpowiedział Ibrahim - czasem też bydło. Stąd na zachód tak to już będzie wyglądać, aż po drugi koniec wyschniętego serca świata.

- Niesamowite. To jak podróż do przeszłości.

W końcu dotarli do Xining, do następnego, otoczonego niskim murem miasta z mułowych cegieł, skupionego na dnie głębokiej doliny o spękanych i skalistych zboczach. Przy miejskiej bramie stacjonował oddział cesarskich żołnierzy, a pod murami pojawiły się nowe, drewniane koszary. Przestronny karawanseraj stał opustoszały, gdyż w tym roku było już za późno na rozpoczynanie podróży. Dalej znajdowały się otoczone murami huty ze swoimi walcowniami i kuźniami, wykorzystującymi niewielką moc przepływającej nieopodal rzeki.

- Okropne! - powiedziała Kang. - Myślałam, że Lanzhou jest najbardziej zakurzonym miastem na świecie. A jednak myliłam się.

- Wstrzymaj się jeszcze z ostateczną decyzją - poprosił Ibrahim -chciałbym ci najpierw pokazać jezioro inghai. Jest już niedaleko stąd. - Obyśmy nie spadli z krawędzi świata.

- Jedźmy, musisz je zobaczyć.

Kang zgodziła się bez słowa. Pao miała nieodparte wrażenie, że jej pani spodobały się te suche, barbarzyńskie rejony, a już na pewno sprawiało jej przyjemność narzekanie na nie. Im więcej kurzu, tym lepiej, zdawał się mówić jej twarz, bez względu na to, co wypowiadały jej usta.

Po kilku dniach jazdy wyboistą drogą wyjechali z wąwozu wprost nad brzeg jeziora Qinghai, na którego widok wszyscy zaniemówili. Całkiem przypadkowo przywitała ich tam szalona i wietrzna pogoda. Nad głowami, na szaroniebieskim tle przepływały wielkie, białe chmury. Niebo odbijało się w wodach jeziora, które w słonecznym świetle było tak niebieskozielone, jak sugerowała to jego nazwa. Po zachodniej stronie jezioro ciągnęło się aż po sam horyzont, a na widocznym zakręcie jego brzegu pięły się zielone wzgórza. Tutaj, pośrodku szarego pustkowia, widok ten był niczym cud.

Kang wysiadła z wozu i powolnym krokiem zeszła na kamienisty brzeg, recytując *Sutrę Lotosową* i rozkładając ręce, aby móc poczuć na dłoniach silny prąd wiatru. Ibrahim zostawił ją na chwilę samą, a później dołączył do niej.

- Czemu płaczesz? - zapytał.

- To wielkie jezioro - zaczęła recytować:

Teraz w końcu mogę już ogarnąć Bezmiar rzeczy we wszechświecie. Nowy sens znalazłam w życiu! Pomyśl jednak o kobietach Które nigdy nie opuszczą domów Które spędzą całe swoje życie Bez rozkoszy tych widoków.

Ibrahim ukłonił się.

- W rzeczy samej. Czyj to wiersz? Potrząsnęła głową, pozbywając się resztek łez.

- To była Yuen, żona Shen Fu, kiedy po raz pierwszy zobaczyła T'ai Hu, wielkie jezioro! Ciekawe, co by powiedziała widząc to! Ten wiersz jest fragmentem *Sześciu etapów dryfującego życia,* znasz to? Nie? Hmm... Cóż można powiedzieć?

- Chyba nic.

- Rzeczywiście - odwróciła się w jego stronę i złożyła dłonie.

- Dziękuję ci, mężu, że pokazałeś mi to jezioro. Jest naprawdę wspaniałe. Teraz mogę już się osiedlić, gdzie tylko sobie tego życzysz. W Xining, w Lanzhou czy po drugiej stronie świata, gdzie spotkaliśmy się w poprzednim życiu, gdzie tylko zechcesz. Dla mnie wszędzie będzie tak samo - i ze łzami na policzkach skłoniła się w jego stronę.

Ibrahim zdecydował, że osiedlą się w Lanzhou. Stamtąd był lepszy dostęp do szlaku towarowego, przechodzącego przez Gansu, a więc mieli niedaleko zarówno do dróg prowadzących na zachód, jak i tych powrotnych, w głąb Chin. Ponadto medresa, z którą za młodu miał najbliższy kontakt, również znalazła się w Lanzhou, gdyż musiała opuścić Xining ze względu na naciski ze strony nowo przybyłych muzułmanów z zachodu

Wprowadzili się do nowo wybudowanego kompleksu z mułowych cegieł, stojącego nad brzegiem rzeki Tao, niedaleko miejsca, gdzie łączyła się z Żółtą Rzeką. Woda w Żółtej Rzece była naprawdę żółta, wyglądała jak płynny, jaskrawo żółty piasek, wypływający

spomiędzy zachodnich wzgórz, o dokładnie tej samej barwie. Rzeka Tao była bardziej przejrzysta, a jej odcień miejscami wpadał w brąz.

Nowe domostwo okazało się być większe od tego, które Kang zostawiła w Hangzhou, szybko więc zagospodarowała jedno z tylnych zabudowań i urządziła w nim część żeńską. Dookoła budynku palikami oznaczyła teren pod przyszły ogród i zażądała drzew w donicach, aby móc rozpocząć aranżację krajobrazu. Chciała również mieć krosna, lecz Ibrahim wytłumaczył jej, że w tej okolicy nić jedwabna była niedostępna, gdyż nie było tu ani sadów morwowych, ani wylęgarni jedwabników, więc jeśli nadal chciała się zajmować tkactwem, będzie musiała nauczyć się obróbki wełny. Z głębokim westchnieniem zgodziła się i zaczęła pracę przy krosnach ręcznych. Ponadto kobiety nadal zajmowały się haftowaniem na jedwabiu własnej produkcji, którego dużo zabrali ze sobą.

Tymczasem Ibrahim wpadł w wir pracy. Spotykał się z dawnymi współpracownikami z muzułmańskich szkół i ze znajomymi z bractw oraz z nowymi lokalnymi urzędnikami dynastii Qing. W ten sposób rozpoczął proces porządkowania sytuacji politycznej i religijnej w rodzinie] okolicy, która od czasów jego ostatniej wizyty bardzo się zmieniła. Wieczorami zasiadał z Kang na werandzie, skąd mieli dobry widok na błotnistą rzekę. Opowiadał jej o wszystkim i odpowiadał na jej niezliczone pytania.

- Mówiąc nieco prościej, kiedy Ma Laichi wrócił z Yemenu, przynosząc ze sobą teksty o religijnej odnowie i oczyszczeniu, w muzułmańskiej społeczności tej części świata wybuchł konflikt.

Musisz zrozumieć, że muzułmanie żyli tutaj od wieków, niemal od samego początku islamu, a przy tak dużej odległości od Mekki i innych centrów muzułmańskiego nauczania rodziły się liczne heterodoksje i błędne doktryny. Ma

[Mamienie ludzi, będące poważnym przewinieniem w całych Chinach.]

Laichi chciał je zreformować, lecz tutejsza wspólnota, umma, wniosła przeciwko niemu pozew do cesarskiego sądu cywilnego, oskarżając go o huozhong.

Kang przybrała srogi wyraz twarzy, zapewne przypomniała sobie efekty takiego omamienia, z jakim spotkała się wewnątrz Chin.

- Ostatecznie główny gubernator tutejszej prowincji, Paohang Guangsi, odrzucił pozew. To jednak nie załatwiło sprawy. Ma Laichi zaczął nawracać na islam Salarów, tutejszy naród koczowniczy, posługujący się językiem tureckim. To ci w białych czapkach, którzy wcale nie wyglądają na Chińczyków.

- Ci, którzy wyglądają jak ty? Ibrahim zmarszczył czoło.

- Może trochę. Tak czy inaczej ludziom nie za bardzo się to podobało, gdyż Salarowie uchodzili za naród niebezpieczny.

- Wiadomo dlaczego. Na takich właśnie wyglądają.

- Ci podobni do mnie? Mniejsza o to. A więc widzisz, w islamie działa wiele różnych sił, czasem nawet sprzecznych. Jedna z nowych sekt, Nakszbandi, próbuje oczyścić islam poprzez zwrot ku starszym, bardziej ortodoksyjnym tradycjom, ich przywódcą w Chinach jest Aziz Ma Mingxin, który tak jak Ma Laichi spędził wiele lat w Yemenie i w Mekce, studiując pod kierunkiem Ibrahima Hasa

al-Kurani, wybitnego szejka, którego nauki znane są na całym muzułmańskim świecie. Ci dwaj szejkowie powrócili tu z Arabii z myślą o wprowadzeniu reform. Oboje pobierali nauki od tego samego nauczyciela, a tu proszę, ich pomysły okazały się całkiem odmienne. Ma Laichi wierzył w cichą recytację modlitw, zwaną dhikri podczas, gdy Ma Mingxin, jako że był młodszy, miał styczność z mistrzami popierającymi również ideę modlitwy na głos.

- Jak dla mnie to nie powód do niezgody.

- Oczywiście - zawsze kiedy Kang rozbrajała Ibrahima jego twarz przybierała bardziej chińskie rysy.

- Buddyzm pozwala nam modlić się na oba te sposoby.

- To prawda, ale niestety, często bywa też tak, że niewielkie różnice odzwierciedlają głębsze podziały. Tak czy inaczej Ma Mingxin praktykował modlitwę jahr, to znaczy “mówioną na glos", a to nie podobało się Ma Laichiemu i jego uczniom, gdyż zwiastowało pojawienie się w okolicy młodszego, jeszcze bardziej radykalnego ruchu odnowy, którego oczywiście nie byli w stanie powstrzymać. Ma Mingxin ponadto cieszy się poparciem sufich z Czarnej Góry, którzy kontrolują obie strony Pamiru, więc cały czas przybywa ich tu coraz więcej, uciekają od wojen irańsko-osmańskich i osmańsko-fulańskich.

- I to rzeczywiście jest taki duży problem?

- No cóż, właściwie tak. Islam nie jest tak dobrze zorganizowany jak buddyzm. - Słysząc to, Kang wybuchła śmiechem. A Ibrahim kontynuował. - Jak sama zauważyłaś, jest to problem. Obecny rozziew między Ma Laichim i Ma Mingxinem może pochłonąć nasze

nadzieje na osiągnięcie jedności w tym życiu. Wyznawcy doktryny Ma Laichiego, znanej jako Khafiya współpracują z dynastią Qing i oskarżają praktyki Jahriya o zabobonność, a nawet niemoralność.

- Niemoralność?

- Chodzi o tańce i wykonywanie rytmicznych ruchów w trakcie modlitw oraz o modlenie się na głos.

- Dla mnie jest to całkiem naturalne, w końcu jak świętować, to świętować.

- Zgadza się, dlatego też w odpowiedzi na to członkowie Jahriya zarzucili Khafiya kult jednostki, powstały wokół Ma Laichiego, a jego samego oskarżyli o ściąganie dziesięciny. Dali tym do zrozumienia, że cały jego ruch religijny to tylko przykrywka do walki o bogactwo i władzę, walki prowadzonej wspólnie z cesarzem przeciwko reszcie muzułmanów.

- To już jest problem.

- Tak. Chodzi również o to, że tutaj każdy ma broń, najczęściej broń palną, gdyż, jak pewnie zauważyłaś na naszych wypadach, ludzie nadal utrzymują się tu w dużej mierze z łowiectwa. Każdy, nawet najmniejszy meczet dysponuje własnym oddziałem strażników, gotowym w każdej chwili włączyć się w bójkę, a rząd dynastii Qing, próbując nad wszystkim zapanować, wysłał dodatkowe wsparcie do swoich koszar. Jak dotychczas dynastia Qing wspierała sektę Khafiya, której nazwę tłu-maczą jako “Starą Naukę", w odróżnieniu od Jahriya, którą nazywa się "Nową Nauką", co z definicji czyni ją złą. Jednak to, co jest złe dla dynastii Qing, jest dokładnie tym, co odpowiada wielu młodym muzułmanom.

Myślę, że czeka nas jeszcze wiele rewelacji. Tu, na zachód od Czarnych Gór, rzeczy szybko się zmieniają.

- Zawsze tak jest.

- Tak, ale tutaj dzieje się to znacznie szybciej.

- Chiny to kraj powolnych zmian - powiedziała po namyśle Kang.

- Lub, w zależności od temperamentu cesarza, kraj, w którym nic się nie zmienia. Tak czy inaczej ani Khafiya, ani Jahriya nie są w stanie sprostać potędze cesarza.

- To oczywiste.

- I właśnie dlatego tak często ze sobą walczą. W sytuacji gdy armia cesarska kontroluje cały teren aż po linię Pamiru, czyli ziemie, zajmowane niegdyś przez niepodległe emiraty muzułmańskie, ludzie z Jahriya doszli do przekonania, że islam musi powrócić do swoich korzeni, aby na nowo odzyskać to, co niegdyś było częścią Dar al-Islam.

- Mało prawdopodobne, wszystko zależy od cesarza.

- Oczywiście, że tak, ale większość z tych, co opowiadają takie rzeczy, nigdy nie była w środkowych Chinach, a już na pewno żaden z nich tam nie mieszkał, jak ty czy ja. Oni nie znają prawdziwej potęgi Chin. Widzą tylko koszary i żołnierzy rozstawionych dziesiątkami i dwudziestkami po całej okolicy.

[W tym wypadku chodzi o “szkodliwą energię", czasem tłumaczoną jako: “esencja witalności" albo “materia psycho-fizyczna", albo “złe wibracje".]

- Myślisz, że to by coś zmieniło? Widzę, że wywiozłeś mnie do krainy pełnej ki.

- Mam nadzieję, że nie będzie źle. Jeśli pytasz mnie, to powiem ci, czego nam potrzeba. Potrzeba nam rozumowego podejścia do historii

oraz solidnej analizy, która wykaże zasadniczą tożsamość nauk islamu i Konfucjusza.

- Naprawdę uważasz, że to możliwe? - Kang uniosła brwi.

- Jestem tego pewny. To jest moja praca, zajmuję się tym już od dwudziestu lat.

Twarz Kang odzyskała naturalny wyraz.

- W takim razie musisz mi pokazać wyniki tej pracy.

- Z chęcią. Może zechcesz pomóc mi przy opracowywaniu chińskiej wersji mojego dzieła. Zamierzam wydać je w języku chińskim, perskim, tureckim, arabskim, hindi i w innych, jeśli tylko uda mi się znaleźć tłumaczy.

Kang pokiwała głową.

- Z chęcią ci pomogę, jeśli tylko moja niewiedza nie stanie na przeszkodzie.

W końcu zadomowili się na dobre i już wkrótce, tak jak dawniej, każdy z domowników miał własną listę codziennych obowiązków. Niewielka grupa Hanów, wygnanych w ten odległy zakątek Chin, nadal obchodziła tu święta i uroczystości, a w świąteczne dni wspólnie wznoszono świątynie na nadrzecznych skarpach. Do tego dochodziły święta muzułmańskie, bardzo ważne wydarzenia dla większości mieszkańców miasta.

Każdego miesiąca z zachodu przybywało coraz więcej muzułmanów. Pojawiali się także konfucjaniści i buddyści z Mongolii

i z Tybetu, rzadko zaś zdarzali się taoiści. Lanzhou było miastem Chińczyków Han i muzułmanów, którzy żyli obok siebie w ciągłym napięciu, mimo iż wspólnie zamieszkiwali te tereny od wielu stuleci i jak dotąd jedynie czasami dochodziło do zbliżenia, poprzez zawieranie mieszanych małżeństw.

Dwoistość natury tego regionu przysparzała Kang nie lada problemów w związku z jej planami co do przyszłości Shiha. Jeśli zamierzał kontynuować naukę, aby w przyszłości zdać państwowe egzaminy, należało jak najprędzej znaleźć dla niego nauczyciela. On jednak tego nie chciał. Jedyną alternatywą było wysianie go na nauki do jednej z lokalnych medres, co znów pociągało za sobą jego przejście na islam. Dla wdowy Kang było to nie do pomyślenia. Shih i Ibrahim rozważali jednak tę możliwość na poważnie. Shih próbował wydłużyć czas dany mu na podjęcie decyzji. Mam dopiero siedem lat, mówił. Na co Ibrahim odpowiadał mu, żeby zorientował się na wschód lub na zachód. Oboje natomiast powtarzali chłopcu, że nie może tak po prostu siedzieć i nic nie robić.

Kang nalegała, aby uczył się pod kątem cesarskich egzaminów.

- Tego właśnie chciałby jego ojciec.

Ibrahim popierał ten plan, gdyż uważał, że kiedyś prawdopodobnie wrócą jeszcze do środkowych Chin, gdzie zdanie państwowych egzaminów było jedyną przepustką do marzeń o awansie społecznym.

Shih jednak nie chciał się niczego uczyć. Twierdził, że interesuje się islamem, z czego Ibrahim, aczkolwiek bardzo ostrożnie, mógł się tylko cieszyć. Dziecięce zainteresowanie Shiha skupiło się na

meczetach Jah-riya, w których śpiewano pieśni i tańczono, a czasem pito wino i biczowano się. Te dosłowne formy manifestowania wiary spychały na margines wszelki intelektualizm i niejednokrotnie prowadziły do zażartych walk z młodymi wyznawcami Khafiya.

- Prawda jest taka, że podoba mu się wszystko, co nie wymaga nakładu pracy - powiedziała złowrogo Kang - Musi się uczyć do egzaminów, bez względu na to, czy zostanie muzułmaninem, czy nie.

Ibrahim zgodził się z nią i obojgu im udało się zmusić Shiha do wzięcia się za naukę. Z czasem coraz mniej interesował się islamem, gdyż doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli zechciałby podążać tą ścieżką, musiałby dołożyć sobie jeszcze jeden obszerny przedmiot do i tak już długiej listy zajęć.

Oddawanie się książkom i pracy naukowej nie powinno mu sprawiać większych trudności, gdyż w jego nowym domu przede wszystkim tym się zajmowano. Kang wykorzystała moment przeprowadzki na zachód do zgromadzenia w jednym kufrze wszystkich wierszy, które miała. Zostawiwszy swoim dziewczętom większość pracy przy obróbce wełny i haftowaniu, sama spędzała dnie na przedzieraniu się przez stosy papieru. Na nowo odczytywała obszerne zwoje własnej poezji oraz wiersze przyjaciół, członków rodziny i nieznajomych, jakie zgromadziła na przestrzeni lat. Bogate i szanowane kobiety z południowych Chin niemal nałogowo pisały wiersze przez cały okres dynastii Ming i Qing. Przeglądając skromną kolekcję ich poezji, liczącą około dwudziestu

sześciu tysięcy tekstów, Kang opowiadała Ibrahimowi o najczęściej pojawiających się motywach: o cierpieniu życia w konkubinacie, o fizycznym zamknięciu i wszechobecnych ograniczeniach (była zbyt dyskretna, aby wspominać o konkretnych formach, jakie czasem przybierały te praktyki, a on z kolei musiał powstrzymywać się od spoglądania na jej stopy i cały czas patrzył jej prosto w oczy). Opowiadała mu o ciężkiej i beznadziejnej harówce przez długie lata ryżu i soli, o bólu, niepokoju i uniesieniu w związku z narodzinami dziecka, o potężnym wstrząsie, jaki przeżywa dziewczyna, którą wychowywano na najdroższą ulubienicę całej rodziny tylko po to, aby zmusić ją do wyjścia za mąż i uczynić niewolnicą, na usługach obcej rodziny. Kang z przejęciem opowiadała o permanentnym rozdarciu i utracie poczucia przynależności spowodowanych takimi wydarzeniami w życiu kobiet.

- To tak, jakby reinkarnować z nietkniętym umysłem. Umrzeć i odrodzić się na niższym planie, jako preta lub juczne zwierzę, zachowując w pamięci czas, kiedy było się królową świata! W przypadku konkubin musi być jeszcze gorzej - jakby schodziło się w dół, poprzez plan zwierząt i pretów, aż do samych piekieł. A przecież konkubin jest o wiele więcej niż żon.

Ibrahim kiwał głową i zachęcił ją do spisania swoich myśli na ten temat oraz do zebrania najlepszych wierszy z jej kolekcji w antologię, na wzór *Poprawnych początków* Yun Zhu, wydanej niedawno w Nanjing.

- Sama mówi we wstępie - zaznaczył Ibrahim - że na każdy zachowany przez nią wiersz przypada dziesięć tysięcy tych, które

musiała po-

minąć. A ileż z tych dziesięciu tysięcy było bardziej odkrywczych i bardziej niebezpiecznych od tego, który wybrała?

-Dziewięć tysięcy dziewięćset - odpowiedziała Kang, mimo iż uwielbiała antologię Yun Zhu.

Zaczęła więc organizować własną antologię. Ibrahim pomagał jej, kierując prośby do swoich znajomych ze środkowych Chin, ze wschodu i z zachodu o przysyłanie im wszelkiej kobiecej poezji, jaka tylko wpadła im w ręce. Z czasem projekt powiększał się, jak ryż gotowany w garnku, aż w końcu wszystkie pomieszczenia nowego kompleksu wypełniły się stosami papieru, skrupulatnie oznaczanymi przez Kang informacjami o autorstwie, prowincji, dynastii i tym podobnych. Praca ta zabierała jej większość czasu, lecz ona nie zwracała na to uwagi, przeglądając kolejne papiery.

Kiedyś przyszła do Ibrahima z kartką w dłoni.

- Posłuchaj - powiedziała niskim i poważnym tonem - to Kang Lanying, wiersz pod tytułem *Noc przed urodzeniem mojego pierwszego dziecka.* - Zaczęła czytać:

Nocą, przed pierwszym porodem
Duch mnicha Bai
Przyszedł do mnie i rzekł:
Za twoim pozwoleniem, o pani, powrócę
Jako twoje dziecko.
W tamtej chwili wiedziałam,
Reinkarnacja to prawda. Odparłam:

Czym dotąd byłeś, kim jesteś,
Ze chcesz wejść na miejsce duszy, która jest we mnie?
On na to: Od dawna jestem przy tobie.
Idę za tobą przez wszystkie stulecia,
Chcę cię uszczęśliwić, więc wpuść mnie do siebie,
A jeszcze raz spróbuję.

Kang spojrzała na Ibrahima, który pokiwał głową.

- Musiało się jej przytrafić to samo co nam - powiedział. – Takie chwile pokazują, że wokół nas dzieją się o wiele większe rzeczy.

W przerwach od pracy nad antologią Kang Tongbi lubiła przechadzać się po ulicach Lanzhou. Było to dla niej nowe doświadczenie. Brała ze sobą jedną służącą i dwóch największych mężczyzn, jakich zatrudniali, gęstobrodych muzułmanów z krótkimi, zakrzywionymi mieczami

u pasa i razem z nimi spacerowała po mieście. Chodziła wzdłuż piaszczystego brzegu rzeki, po żałosnym rynku i otaczających go zakurzonych bazarach oraz po promenadzie na szczycie miejskiego muru, biegnącego dookoła starej części miasta, skąd roztaczał się doskonały widok na południowy brzeg rzeki. Kupiła sobie kilka rodzajów tak zwanych “motylich butów", które idealnie pasowały na jej drobne stopy, lecz były nieco dłuższe, przez co nadawały jej stopom normalny wygląd, a ponadto, w zależności od fasonu i użytych materiałów, zapewniały dodatkową ochronę i lepszą równowagę. Kupowała więc wszystkie modele tych butów, jakie tylko znalazła na bazarach, a każda kolejna para była inna od

pozostałych. Pao miała jednak wrażenie, że motyle buty wcale nie pomagały pani w chodzeniu - nadal była powolna, a jej drobny chód wcale się nie zmienił. Mimo to Kang wolała chodzić pieszo, niż być noszoną w lektyce i najwyraźniej nie przeszkadzał jej suchy i surowy klimat miasta, w którym było albo za gorąco, albo za zimno i zawsze wietrznie. Przechadzała się niespiesznie, przyglądając się wszystkiemu z największą uwagą.

- Dlaczego zrezygnowała pani z lektyki? - narzekała Pao, kiedy pewnego dnia wracały zmęczone do domu.

Kang odpowiedziała jej tylko:

- Dziś rano przeczytałam coś takiego: “Wielkie zasady mają wagę tysiąca lat, upływające życie zaś lekkie jest jak ziarnko ryżu".

- Nie dla mnie.

- Ty masz przynajmniej sprawne stopy.

- To nie prawda. Są duże, ale bolą tak samo. Nie mogę wprost uwierzyć, że pani nie chce lektyki.

- Droga Pao, trzeba przecież mieć jakieś marzenia.

- No nie wiem. Jak mawiała moja matka, namalowanym ciastkiem ryżowym nigdy się nie najesz.

- Mnich Dogen zawsze odpowiadał na to stare przysłowie tak: “Bez namalowanego głodu nigdy nie staniesz się prawdziwym człowiekiem".

Każdego roku podczas buddyjskiego i muzułmańskiego święta zrównania wiosennego wybierali się nad jezioro Qinghai. Tam, nad brzegiem turkusowego przestworu, odnawiali swoje życiowe przysięgi, palili kadzidła i papierowe pieniądze i modlili się, każdy

na swój sposób. Kang była upojona wycieczką, a po powrocie do Lanzhou z niebywałą energią zabrała się ponownie do pracy. Wcześniej, w Hangzhou, służący byli zaskoczeni, jeśli ich pani zajmowała się czymś bezustannie, teraz

jednak ogarnęło ich przerażenie. Każdego dnia brała na siebie tyle pracy, że dla normalnego człowieka starczyłoby na tydzień.

Tymczasem Ibrahim nadal pełnił swoją misję na rzecz wielkiego pojednania dwóch religii, które na ich oczach zaczęły się ścierać w Gansu. Korytarz Gansu to szeroka przełęcz między wschodnią i zachodnią połową świata. Od niepamiętnych czasów ciągnęły tędy długie karawany wielbłądów, zmierzające do prowincji Shaanxi i na zachód, w stronę Pamiru, a teraz dołączyły do nich niekończące się łańcuchy wozów zaprzężonych w woły i nadciągających głównie z zachodu, lecz również i ze wschodu. W okolicy zaczęli osiedlać się zarówno Chińczycy, jak i muzułmanie. Ibrahim chętnie rozmawiał z przywódcami poszczególnych frakcji, zbierał od nich teksty i studiował je, wysyłał listy do uczonych na całym świecie i wiele godzin dziennie zapisywał kolejne strony w swoich księgach. Kang pomagała mu w tej pracy, tak jak i on pomagał jej, lecz wraz z upływem kolejnych miesięcy, kiedy oboje zaobserwowali zaognienie regionalnych konfliktów, jej pomoc zaczęła coraz częściej przybierać formę krytyki, a czasem nawet presji na jego poglądy, co zawsze jej wypominał, kiedy był zmęczony i nieskory do zażartej dyskusji.

Kang jak zwykle nie dawała wtedy za wygraną:

- Zrozum - mówiła mu - nie da się rozwiązać tego problemu

samymi słowami. Różnice pozostaną różnicami! Weźmy na przykład tego twojego Wang Daiyu, jeden z najbardziej odkrywczych myślicieli zadaje sobie ogromny trud, żeby zrównać ze sobą Pięć Filarów wiary muzułmańskiej z Pięcioma Cnotami konfucjanizmu.

- Zgadza się - powiedział Ibrahim. - I rzeczywiście łączą się one, tworząc Pięć Stałych, jak nazywa je Daiyu. Jest to oczywiste i niezmienne, uznawane wszędzie i przez wszystkich. Wyznanie wiary w islamie to konfucjańska dobrotliwość, ren. Miłosierdzie to yi, prawość. Modlitwa to li, kultura osobista, poszczenie to shi, czyli wiedza. Pątnictwo to xin, czyli wiara w ludzkość.

Kang wyrzucała wówczas ręce w powietrze.

- Czy ty słyszysz, co mówisz?! Przecież te pojęcia nie mają ze sobą prawie nic wspólnego. Miłosierdzie to co innego niż prawość, zupełnie coś innego! A poszczenie to nie wiedza! Twój nauczyciel ze środkowych Chin identyfikuje Pięć Filarów nie z Pięcioma Cnotami, lecz z Pięcioma Relacjami, wugang, a nie wuchang! On też musiał się sporo nagimnastykować przy terminach i pojęciach, musiał ponaginać je do granic rozumienia, żeby pogodzić ze sobą te dwa odrębne systemy. W ten sposób mamy teraz dwa zestawy całkowicie błędnych wyników. Jeśli zamierzasz podążać tą samą drogą co oni, wtedy w końcu okaże się, że wszystko da się ze sobą pogodzić.

Ibrahim wydął usta, wyraźnie niezadowolony, lecz nie zaprzeczył jej. Zamiast tego powiedział:

- Liu Zhi rozróżniał oba te podejścia, jak również wskazał na

podobieństwa między nimi. Dla niego Ścieżka Niebios, tindao, najlepiej wyrażona jest w wierze muzułmańskiej, natomiast Ścieżka Ludzkości, redao, przez konfucjanizm. Zatem Koran pozostaje świętą księgą, Analekta zaś są zbiorem fundamentalnych zasad obowiązujących całą ludzkość.

Kang potrząsnęła głową.

- Może i tak. Ale mandaryni ze środkowych Chin nigdy nie uwierzą w to, że Święta Księga Niebios pochodzi z Tiangfeng. Nigdy by na to nie poszli, przecież liczą się dla nich tylko Chiny. Królestwo Środka, w pół drogi między niebem a ziemią, Smoczy Tron, dom Nefrytowego Cesarza, reszta świata to barbarzyńskie ziemie, z których nie może wywodzić się coś takiego jak Święta Księga Niebios. Tymczasem, wracając to twoich szejków i kalifów na zachodzie, w jaki sposób oni mieliby zaakceptować zwyczaje Chińczyków, którzy przecież nie wierzą w jednego boga? To jest najważniejszy aspekt ich wiary! - i pod nosem dodała - jakby rzeczywiście mógł istnieć tylko jeden bóg.

Ibrahim znów wyglądał na zakłopotanego, lecz nie ustępował.

- Fundamentalna zasada jest taka sama. Poza tym, w tych okolicznościach, kiedy imperium rozrasta się na zachód i coraz więcej muzułmanów ściąga na wschód, musi zachodzić pewien rodzaj syntezy, bez niej nie wróżę nam ani długiej, ani szczęśliwej przyszłości.

Kang wzruszyła ramionami.

- Może i tak, ale nie można mieszać oliwy z octem.

- Idee to nie chemikalia, a może są czymś, co taoiści nazywali

siarką i rtęcią, które zmieszane tworzą materię wszelakiego rodzaju.

- Proszę, tylko nie mów mi, że chcesz zostać alchemikiem.

- Nie. Jedynie na planie idei, gdzie stale można dokonywać wielkich transmutacji. Poza tym alchemikom nie wolno odmówić licznych osiągnięć na planie materii. Te ich wszystkie maszyny i wynalazki...

- Łatwiej skruszyć skalę niż ideę.

- Mam nadzieję, że tak nie jest. Musisz przyznać, że już wcześniej zdarzały się wielkie kolizje cywilizacji, z których wyłaniały się spójne kultury. Na przykład w Indiach muzułmańscy najeźdźcy podbili jedną

- z najstarszych hinduskich cywilizacji. Od tamtej chwili regularnie dochodziło między nimi do wojen, aż do momentu, gdy prorok Nanak połączył ze sobą ich systemy wartości. To właśnie sikhowie wierzą w Allana w karmę, w reinkarnację i w boski sąd. Udało im się odnaleźć harmonię w niezgodzie. Zauważ, że teraz właśnie sikhowie są jedną z najbardziej wpływowych grup społecznych w Indiach, ba, oni są przyszłością Indii, biorąc pod uwagę nękające ją wojny i inne problemy. Coś takiego przydałoby się nam w tej chwili. Kang skinęła głową.

- A może to już jest, może od zawsze tu było, na długo przed Mahometem i Konfucjuszem, w formie buddyzmu?

Ibrahim zmarszczył brew, a Kang roześmiała się swoim niewesołym śmiechem, żartowała sobie, a jednocześnie była poważna - tej kombinacji często używała w stosunkach ze swoim

mężem.

- Musisz przyznać, że dowody są niepodważalne. Na tych odległych nieużytkach jest więcej buddystów niż gdziekolwiek indziej.

Ibrahim zaczął mamrotać coś o Birmie i Sri Lance.

- Tak, tak - odpowiedziała mu - tak samo w Tybecie, Mongolii i Annamie, w Tajlandii i w Malezji. Są po prostu wszędzie, w strefie granicznej między Chinami a islamem widzi się ich na każdym kroku. Już tam są. Przynoszą ze sobą fundamentalne nauki, najbardziej fundamentalne ze wszystkich.

Ibrahim westchnął.

- Będziesz musiała mnie jeszcze sporo nauczyć. Skinęła z zadowoleniem głową.

Tego roku, czterdziestego trzeciego roku panowania cesarza Qian-long, napływ muzułmańskich rodzin był najintensywniejszy w całej dotychczasowej historii. Przybywali z zachodu, mówili różnymi językami i były wśród nich kobiety, dzieci, a nawet zwierzęta. Całe wsie zostały wyludnione, a ich mieszkańcy ruszyli na wschód, powodowani strachem w związku z nasilającymi się konfliktami między Irańczykami, Afgańczykami i Kazahami oraz wojną domową w Fulanie. Ibrahim mówił, że większość z przybyłych to szyici, ale zdarzali się też przedstawiciele innych odłamów islamu - wahabici, nakszbandi, sufiowie... i kiedy próbował jej to wszystko wytłumaczyć, Kang wydęła z dezaprobatą usta.

- Islam jest popękany jak upuszczona na ziemię waza.

Nieco później, widząc agresywne reakcje muzułmanów

zadomowioych w Gansu na nowych przybyszów, powiedziała:

- To jak dolewanie oliwy do ognia. W końcu sami się pozabijają - wypowiadając te słowa, wcale nie wyglądała na specjalnie zmartwioną.

Shih znów zaczął ją prosić o pozwolenie na studiowanie w szkole Jahriya, twierdząc, że powróciła w nim chęć przejścia na islam, co według niej było jedynie efektem lenistwa i naturalną w jego młodym wieku tendencją do buntowania się. Kang zdążyła już się doskonale przyjrzeć muzułmańskim kobietom w Lanzhou i podczas gdy wcześniej często twierdziła, że chińskie kobiety są ciemiężone przez mężczyzn, teraz otwarcie deklarowała, że muzułmanki miały o wiele gorzej.

- Przyjrzyj się temu - powiedziała pewnego dnia do Ibrahima, kiedy razem siedzieli na werandzie nad rzeką. - Ukrywa się je pod czadorami jak boginie, a traktuje jak krowy. Możesz poślubić ich tyle, ile tylko zechcesz, i tym samym odciąć je od wszelkiej pomocy ze strony ich własnych rodzin. A do tego praktycznie żadna z tych kobiet nie potrafi czytać, to przecież wstyd i hańba!

- Za to chińscy mężczyźni biorą konkubiny - zauważył Ibrahim.

- Nigdzie na świecie nie jest dobrze być kobietą - odpowiedziała z irytacją Kang - ale konkubiny to nie żony, one nie mają takich samych praw rodzinnych.

- Zatem w Chinach życie jest łatwiejsze, kiedy jest się małżeństwem.

- Ależ to się wszędzie sprawdza, nie tylko w Chinach, ale żeby nie umieć czytać? Nawet córki bogatych i wykształconych mężczyzn!

Być odciętą od literatury, nie potrafić napisać listu do swoich własnych krewnych...

Tego Kang akurat nigdy nie robiła, lecz Ibrahim jej tego nie wypomniał, potrząsnął tylko głową i rzekł:

- Zanim Mahomet przekazał światu islam, kobietom było o wiele gorzej.

- To akurat niewiele nam mówi, jak źle komuś kiedyś było, a kiedy to było, ponad tysiąc lat temu! W tamtych czasach chińskie kobiety już od dwóch tysięcy lat cieszyły się szerokimi przywilejami.

Ibrahim zmarszczył czoło, spuścił wzrok i nic nie odpowiedział.

Na każdym kroku w Lanzhou zaczęli dostrzegać zmiany. Kopalnie rud żelaza w Xinjiang zaopatrywały w surowiec odlewnie, wyrastające jak grzyby po deszczu w górnym i w dolnym biegu rzeki, poza murami miasta. Napływ świeżej siły roboczej umożliwił szeroki postęp nie tylko w hutnictwie, lecz także w inżynierii. Jednym z głównych produktów wytwarzanych w odlewniach byty armaty, dzięki nim w miejskich koszarach

nigdy nie brakowało uzbrojenia dla chińskich żołnierzy Zielonego Sztandaru, wspieranych przez oddział mandżurskich jeźdźców. Odlewnie miały stały rozkaz sprzedaży wszelkiej wyprodukowanej broni cesarzowi Qianlong, któremu bardzo zależało na przepływie broni jedynie w kierunku do środka Chin, lecz jako że większość tamtejszych ludzi od najbrudniejszej roboty było muzułmanami, toteż niejedna armata, wbrew cesarskiemu edyktowi, wyjeżdżała z fabryk na zachód. Takie praktyki spowodowały wzmożenie nadzoru wojskowego, rozbudowę chińskich koszar, pojawienie się nowych

chorągwi mandżurskich i zaostrzenie stosunków między okolicznymi robotnikami a wojskowymi przedstawicielami dynastii Qing. Taka sytuacja nie mogła się dłużej utrzymać.

Ci, którzy najdawniej osiedlili się w tych okolicach, mogli się jedynie przyglądać, jak wszystko wokół nich stopniowo obracało się w ruinę. Nikt nie był w stanie temu zaradzić. Ibrahim wytrwale pracował nad utrzymaniem dobrych relacji między narodem Hui a cesarzem, lecz przysparzał sobie tym wrogów wśród nowych osadników, pragnących odnowy, a nawet dżihadu.

Jednego dnia, pośród wszystkich tych problemów, Kang powiadomiła Pao, że jest w ciąży. Pao była przerażona, a Kang wyraźnie oszołomiona.

- Myślę, że można zorganizować aborcję - wyszeptała Pao, odwracając wzrok.

Kang uprzejmie odrzuciła jej propozycję.

- Wygląda na to, że będę musiała zostać starą matką, a ty mi w tym pomożesz.

- Oczywiście, że tak, wszyscy pomożemy.

Ibrahim był nie mniej zaskoczony tą wiadomością, lecz bardzo szybko się dostosował.

- Wspaniale będzie móc zobaczyć dziecię zrodzone z naszego związku. To tak jak nasze księgi, tylko żywe.

- A może to będzie córka?

- Jeśli Allah sobie tego życzy, czemu miałbym się sprzeciwić?

Kang obserwowała uważnie jego twarz, po czym ukłoniła się i odeszła. Teraz już rzadko wychodziła na ulice, a jeśli już, to tylko w

lektyce i za dnia, gdyż po ciemku byłoby to zbyt niebezpieczne. Żaden szanujący się człowiek nie opuszczał teraz domu po zmroku, wszędzie wałęsały się tylko bandy młodych mężczyzn, często pijanych, z Jahriya, Khafiya i z innych sekt. Najczęściej to ludzie Jahriya wszczynali bójki. Jazgotacze prze-ciwko głuchoniemym, jak mówiła o nich pogardliwie Kang.

I rzeczywiście, według oceny Ibrahima to wewnętrzny konflikt muzułmański wywołał pierwszą, poważną lawinę problemów. Na wieść o walkach toczących się między Jahriya i Khafiya, w mieście pojawiła się chorągiew cesarska na czele z Xinzhu, wysokim urzędnikiem dynastii Qing, który połączył siły z miejskim prefektem, Yang Shiji. Ibrahim wrócił ze spotkania z tymi mężczyznami mocno zakłopotany.

[Zmiana dynastii]

- Oni nic nie rozumieją - powiedział do Kang - mówią o insurekcji, a tutaj nikt nie myśli o Wielkim Przedsięwzięciu, no bo jak? Jesteśmy tak daleko od centrum Chin, że ludzie nie wiedzą, co to tak naprawdę są te Chiny. Niby to tylko jakieś lokalne zatargi, a jednak przyjechali tu z myślą o wojnie. Pomimo udzielonych zapewnień nowi urzędnicy kazali aresztować Ma Mingxina. Dowiedziawszy się o tym, Ibrahim potrząsną posępnie głową. Później w wioskach na zachód od miasta pojawiły się kolejne chorągwie. Ich dowódcy spotkali się z wodzem Salarów z sekty Jahriya, Su Czterdzieści Trzy, w okolicy Baaizhuanngzi. Salarowie ukryli broń i uparcie twierdzili, że są wyznawcami Starej Nauki. Słysząc to, Xinzhu zdradził im, że planuje wytrzebić Nową Naukę.

Niedługo potem oddziały Su zaatakowały całą ich kompanię i zasztyletowały zarówno Xin-zhu, jak i Yang Shiji.

Kiedy wieść o tym przestępstwie dotarła do Lanzhou, razem z mandżurskimi jeźdźcami, którym udało się ujść z życiem z zamachu, Ibrahim jęknął boleśnie ze złości i niemocy.

- No to teraz mamy prawdziwą insurekcję - powiedział - pod rządami dynastii Qing, to się musi skończyć źle. Jak można było tak głupio postąpić?!

[Nadmuchiwane tratwy, których regionalna ludność od wieków używała do pokonywania rzeki Żółtej, Tao i Wci.]

Wkrótce przybyła spora grupa wsparcia, którą natychmiast zaatakowały wojownicze bandy Su Czterdzieści Trzy, zaraz potem przyjechały kolejne oddziały cesarskie. W odpowiedzi na to Su, dowodzący dwutysięczną armią, uderzył na Hezhou, a następnie przekroczył rzekę na pifaci i rozbił obóz tuż pod murami Lanzhou. Całkiem niespodziewanie znaleźli się nagle pośrodku wojny.

Urzędnicy cesarscy, którzy przeżyli zasadzkę Jahriya, kazali wystawić Ma Mingxina na widok publiczny, na szczycie miejskiego muru, a kiedy jego zwolennicy zobaczyli, że jest skuty łańcuchami, powstawali ze swoich kryjówek na drugim brzegu rzeki i na sąsiednich wzgórzach, krzycząc:

- Szejku! Szejku!

Zidentyfikowawszy w ten sposób przywódcę rebelii, władze nakazały ściągnąć go z murów i ściąć.

Kiedy do sekty Jahriya doszła wiadomość o egzekucji, jej członkowie od razu zapalali chęcią zemsty. Nie dysponując jednak

wystarczającymi środkami do oblężenia Lanzhou, wznieśli na okolicznym wzgórzu własny fort i stamtąd przeprowadzali regularne ataki na wszelki ruch odbywający się na drogach do miasta. W końcu o całej sytuacji powiadomiono cesarskich urzędników w Benjing, którzy rozgniewali się, słysząc o napaści na stolicę prowincji, i wysiali cesarskiego komisarza, Agui, jednego ze starszych gubernatorów wojskowych cesarza Qianlong, z rozkazem spacyfikowania całego regionu.

To mu się jednak nie udało, a życie w Lanzhou powoli stawało się nieznośne. Wtedy Agui wysłał z powrotem do Benjing Hushena, najwyższego rangą oficera, który, wróciwszy z nowymi cesarskimi rozkazami, zwołał dość liczną grupę uzbrojonych cywilów, w tym Tybetań-czyków z Gansu i Alashan i Mongołów, i wszystkich mężczyzn z pozostałych koszar Zielonego Sztandaru w okolicy. Ci potężni, rozwścieczeni ludzie przemierzali ulice miasta, które samo już zmieniło się w ogromne koszary.

- To stara sztuczka Hanów - zauważył Ibrahim z goryczą w głosie. - Postaw po obu stronach granicy ludzi spoza narodowości Han i pozwól im pozabijać się nawzajem.

Dysponując tak silnym wsparciem, Agui zdołał odciąć dostawy wody do fortu Jahriya, znajdującego się na wzgórzu po drugiej stronie rzeki- W ten sposób sytuacja odwróciła się, a najeźdźcy stali się ofiarami, dokładnie jak w grze go. Po trzech miesiącach do miasta doszły wiadomości o stoczonej ostatecznej bitwie, w której zginął Su Czterdzieści Trzy i cala jego wielotysięczna armia.

Ibrahim sposępniał, słysząc te wieści.

- Na tym się to nie skończy. Teraz będą chcieli pomścić Ma Mingxina i wszystkich zabitych. Im silniej potępia się Jahriyę, tym więcej młodych muzułmanów będzie się do niej zwracać. Prześladowania same przez się rodzą rebelię.

- To tak, jak w przypadku tego obłędu z kradzieżą dusz - zauważyła Kang.

Ibrahim skinął głową i odtąd jeszcze więcej pracował nad swoimi tekstami. Wyglądało to tak, jakby uwierzył, że jeśli uda mu się pogodzić obie cywilizacje na papierze, wtedy wszystkie krwawe bitwy dookoła nich ustaną. Pisał więc codziennie przez wiele godzin, nie zważając na służące, przynoszące mu do pokoju posiłki. Rozmowy z Kang były dla niego naturalną kontynuacją codziennych rozważań i odwrotnie, to, co w trakcie tych rozmów mówiła mu żona, czasem uwzględniał w swoich pismach. Niczyje opinie nie były dla niego tak ważne. Kang czasem przeklinała młodych muzułmańskich wojowników, mówiąc:

[Prawdopodobnie chodzi o pięciotomowe dzieło, wydane w sześćdziesiątym roku panowania Qianlong, jako *Pojednanie filozofii Lu Zhi i Ma Min-gxina.]*

- Wy, muzułmanie jesteście przecież zbyt religijni, żeby się tak wzajemnie mordować i to wszystko z powodu jakichś błahych różnic dogmatycznych - istne szaleństwo!

Wkrótce potem, w obszernym dziele Ibrahima będącym efektem jego długotrwałych badań, które Kang nazywała *Spotkaniem Mahometa z Konfucjuszem,* znalazł się następujący fragment:

Obserwując panującą w islamie tendencję do fizycznego

ekstremizmu, od postu, wirowania i samookaleczenia poczynając, a na dżihadzie kończąc, zaczynamy zastanawiać się nad jego licznymi przyczynami, gdyż oprócz słów samego Mahometa, sankcjonujących dżihad, w grę wchodzi również wczesna historia ekspansji islamu, srogi klimat pustynnych terenów, będących domem dla wielu muzułmańskich społeczności i, co najważniejsze, fakt, że dla wszystkich wyznawców islamu na świecie jedynym językiem religii od zawsze był język arabski, który dla rzeszy wiernych nie jest językiem ojczystym. Zjawisko to ma zgubne konsekwencje, gdyż jak wiadomo, język ojczysty osadza użytkownika głęboko w rzeczywistości fizycznej poprzez słownictwo, gramatykę, logikę, metaforykę, obrazowanie i różnorakie symbole, które z czasem mogą popadać w zapomnienie i zachowywać się jedynie w postaci słów. Islam jednak, zamiast łączyć się z namacalną rzeczywistością na poziomie werbalnym, posługuje się swoim świętym językiem, który dla wielu wiernych jest całkowicie oderwany od rzeczywistości, zubożony przez przekład, dający częściowy wgląd w naturę rzeczy, zdolny do przekazywania tylko abstrakcyjnych pojęć spoza tego świata i przenoszących wiernego w odległy świat idei, świat oderwany od życia, od zmysłów i od wszelkiej rzeczywistości fizycznej. Sytuacja ta stwarza możliwość, a raczej niebezpieczeństwo, rozwinięcia się ekstremizmu, wywołanego brakiem perspektywy i brakiem uziemienia. Aby dobrze zobrazować proces językowy, który mam na myśli, posłużę się następującym stwierdzeniem: “Muzułmanie, dla których język arabski jest językiem obcym »bujają w obłokach«, ich

zachowanie zbyt często powodowane jest abstrakcyjnymi myślami, które unoszą się samotnie w pustej przestrzeni języka. Tymczasem nam potrzeba świata. Aby w pełni zrozumieć zjawisko, musimy poznać towarzyszące mu okoliczności. Być może właśnie dlatego powinniśmy nauczać naszej religii w językach narodowych, a Koran przetłumaczyć na wszystkie języki świata. Drugim zaś rozwiązaniem byłoby nauczanie arabskiego na szeroką skalę, lecz mogłoby się wówczas okazać, że cały świat musi uznać język arabski za swój język ojczysty, co byłoby mało praktycznym posunięciem, które mogłoby być odczytane jako kolejny aspekt dżihadu".

Innym razem, kiedy Ibrahim pisał o teorii cykliczności dynastii, cieszącej się uznaniem zarówno wśród Chińczyków, jak i historyków i filozofów muzułmańskich, jego żona jednym ruchem ręki odrzuciła na bok papiery, jak spartaczoną robótkę ręczną.

- Żeby myśleć o historii jak o porach roku?! Toż to najbardziej naiwna z możliwych metafor. A co, jeśli nie mają ze sobą nic wspólnego, jeśli historia meandruje bez końca jak rzeka, co wtedy?

Wkrótce potem Ibrahim napisał w swoim *Komentarzu do doktryny o wielkim cyklu historycznym:*

Ibn Khaldun, najznamienitszy muzułmański historyk, mówi w swoim dziele *Muqaddimah o* wielkim cyklu dynastii. Również chińscy historycy rozpoznają w biegu historii pewną cykliczność, począwszy od historyka narodowości Han, Dong Zhongshu, który w *Obfitej rosie wiosennych i letnich annałów* podaje system, będący rozwinięciem myśli samego Konfucjusza, myśl tę w odpowiednim

czasie rozwija dalej Kang Yuwei, który w *Komentarzu do ewolucji rytuałów* mówi o Trzech Erach: Nieładzie, Małym Pokoju i Wielkim Pokoju. Każda z nich przechodzi wewnętrzne przeobrażenia z nieładu w mały pokój i w wielki pokój, tak więc z trzech robi się dziewięć, a następnie osiemdziesiąt jeden, które również się mnożą i tak dalej. Ponadto hinduska kosmologia, która dotychczas jako jedyna wystąpiła w imieniu naszej cywilizacji z twierdzeniem o historii jako takiej, również mówi o wielkich cyklach, pierwszy to kalpa. dzień Brahmy, trwa on 4 320 000 000 lat i podzielony jest na czternaście cykli manvantara, z których każdy dzieli się na siedemdziesiąt jeden maha-jug o długości 3 320 000 lat. Każda Maha-juga, tak zwana Wielka Era, dzieli się na cztery ery: Satia-juga, Era Pokoju, Treta-juga, Dvapara-juga i Kali-juga, która ponoć aktualnie trwa, czyli era upadku, rozpaczy i oczekiwania na odnowę. Te przedziały czasu, o wiele większe niż opisane przez inne cywilizacje, wielu późniejszym komentatorom wydawały się przesadzone, lecz należy zauważyć, że im więcej dowiadujemy się o starożytnych czasach naszej Ziemi, odnajdując morskie muszle na szczytach gór i odkrywając warstwy osadów skalnych ułożonych prostopadle wobec siebie, tym bardziej jesteśmy przekonani, że to właśnie indyjska myśl najskuteczniej przebiła się przez zasłonę przeszłości i dotarła do prawdziwej skali rzeczy.

W każdym z tych systemów obserwuje się struktury cykliczne, lecz dokonuje się tego z pominięciem większości wydarzeń, które rzeczywiście odnotowano, jako mające miejsce w przeszłości, ponadto najprawdopodobniej teorie te odwołują się do zjawiska

zmienności pór roku, a cywilizacje postrzegane są w nich jak liście na drzewach, przechodzące cykl wzrostu, obumierania i po-nownego wzrostu. Może jednak być tak, że historia wcale nie podlega takiemu wzorcowi, a każda z cywilizacji tworzy swój własny, unikalny los, którego nie sposób wpisać w cykliczny wzór bez dokonywania gwałtu na tym, co wydarzyło się naprawdę.

Wydaje się zatem, że tak szybkie rozprzestrzenianie się islamu nie podlega żadnemu cyklicznemu wzorcowi, co więcej, islam może zawdzięczać swoją popularność temu, iż nie propaguje ścieżki cyklicznej, lecz stopniowy rozwój i zbliżanie się do Boga - proste przesłanie, unikające popularnej w wielu filozofiach tendencji do problematyzacji, a zarazem sprzyjające zrozumieniu przez masy.

W owym czasie Kang Tongbi również dużo pisała, kompletowała antologię kobiecej poezji, dzieliła wiersze na poszczególne grupy i sporządzała komentarze odnośnie, ich znaczenia w całym zbiorze. Z pomocą męża zaczęła też pracę nad *Traktatem o historii kobiet z prowincji Hunan,* w którym jej własne myśli często pojawiały się formie komentarzy do tez, wysuwanych przez jej męża - podobnie jak jego pisma odzwierciedlały wiele myśli Kang, tak że późniejsi uczeni mogli zestawić ich pisma, powstałe w czasie ich pobytu w Lanzhou, i stworzyć z nich nieprzerwany dialog, a czasem duet.

Opinie Kang były oczywiście jej oryginalnymi przemyśleniami, a część z nich nie była nigdy wcześniej uzgadniana z Ibrahimem. Na przykład, nieco później tego samego roku, przygnębiona bezsensownym konfliktem antagonizującym lokalną społeczność, obawiająca się nadejścia poważniejszego kryzysu i czująca się,

jakby żyli pod ogromną burzową chmurą, która w każdej chwili może się na nich oberwać, Kang napisała w swoim *Traktacie:*

Obserwujemy zatem wyłanianie się różnych systemów myślowych i religijnych w zależności od modelu tworzących je społeczeństw. To, w jaki sposób ludzie zdobywają pożywienie, determinuje zarówno ich sposób myślenia, jak i wiarę. Społeczeństwa rolnicze wierzą w bogów deszczu, bogów nasion, bogów wszelkiego rodzaju rzeczy mających wpływ na zbiory (Chiny). Ludy hodujące zwierzęta wierzą w pojedynczego boga pasterza (islam). W obu przedstawionych kulturach spotykamy się z prymitywną koncepcją bogów, będących opiekunami, dużymi ludźmi obserwującymi nas z wysokości niczym rodzice, którzy i tak zachowują się jak rozwydrzone dzieci i decydują, kogo wynagrodzić, a kogo potępić jedynie na podstawie ofiar, składanych im przez wystraszonych ludzi, zdanych w całości na ich kapryśną wolę. Religie nakazujące składać ofiary i modlić się do takiego boga, którego można prosić o zrobienie czegoś materialnego, są religiami desperatów i ignorantów. Jedynie w społeczeństwach zaawansowanych, z rozwiniętym poczuciem bezpieczeństwa może powstać religia, będąca w stanie uczciwie wyjść naprzeciw wszechświatowi i ogłosić, iż nie istnieje żadna, wyraźna oznaka boskości oprócz kosmosu, który jest sam z siebie i w sobie, co oznacza, że wszystko jest święte, bez względu na to, czy istnieje jakiś patrzący na wszystko z góry bóg, czy nie.

Ibrahim przeczytał ten rękopis i potrząsnął głową, wzdychając.

- Poślubiłem człowieka mądrzejszego od siebie - powiedział, sie-

dząc w pustym pokoju - mam prawdziwe szczęście. Czasami tylko myślę, że lepiej byłoby, gdybym wybrał naukę o przedmiotach, a nie ideach. W pewnym sensie minąłem się ze swoim powołaniem.

Każdego dnia docierały do nich kolejne informacje o represjach Qing wobec muzułmanów. Ponoć Starą Naukę ceniono wyżej od Nowej, lecz kiedy ze środkowych Chin przybyli gorliwi i nieznający się na rzeczy urzędnicy, zaczęły zdarzać się pomyłki. Na przykład Ma Wuyi, następca Ma Laichiego, dostał nagle rozkaz przeniesienia się wraz ze współwyznawcami do Tybetu. Przenoszą Starą Naukę na nowe terytorium, opowiadali sobie ludzie, kręcąc głowami nad ewidentnym błędem lokalnej biurokracji, który z pewnością przyniesie ofiary w ludziach. Był to trzeci z Pięciu Wielkich Błędów, popełnionych w trakcie kampanii prześladowczej. Niepokój rósł nieustannie.

W końcu jeden z chińskich muzułmanów o imieniu Tian Wu zaczął otwarcie podburzać ludzi z Jahriya do rewolty i uwolnienia się spod dyktatu Benjing. Doszło do tego niedaleko na północ od Gansu, więc wszyscy w Lanzhou znów zaczęli gromadzić zapasy na wypadek wojny.

Wkrótce przybyły chorągwie i tak jak wszystko, tak i wojna, musia-ła przejechać przez Korytarz Gansu, aby dostać się ze wschodu na za-chód. Mimo iż walki toczyły się głównie daleko we wschodnim Gansu,

to jednak informacje docierały do Lanzhou bezustannie, podobnie jak i wojska, które ciągle przemaszerowywały przez miasto.

Kang niezmiernie denerwował fakt, że największe walki tej rebelii

toczyły się na wschód od nich, pomiędzy nimi a środkiem Chin. Upłynęło kilka tygodni zanim armia Qing zdołała poskromić buntowników Tian Wu, mimo iż sam wódz został zabity niemal od razu. Niedługo potem pojawiły się informacje, że cesarski generał Li Shiyao rozkazał wymordować ponad tysiąc kobiet i dzieci z sekty Jahriya we wschodnim Gansu.

Ibrahim był zrozpaczony.

- Teraz już wszyscy muzułmanie w Chinach są w swoich sercach członkami Jahriya.

- Być może - powiedziała cynicznie Kang - lecz jak widać, nie przeszkadza im to akceptować rządowej konfiskaty ziem należących do Jahriya.

Prawdą jednak było również to, że zakony sekty Jahriya zaczęły teraz powstawać prawie wszędzie, w Tybecie, Turkiestanie, Mongolii, Mandżurii i daleko na południu, aż po odległy Yunnan. Żadna inna sekta muzułmańska nie zgromadziła jak dotąd tak wielu wyznawców. Wielu uchodźców uciekających od wojen na zachodzie wstępowało do Jahriya od razu po przybyciu na miejsce i mając dość zamieszania wokół muzułmańskiej wojny domowej, z chęcią przyłączało się do dżihadu przeciwko niewiernym.

Nawet w trakcie tych zamieszek Ibrahim i Kang już w zaawansowanej ciąży udawali się popołudniami na werandę, by odpocząć, obserwując rzekę Tao, wpływającą do Żółtej Rzeki. Rozmawiali o najnowszych wieściach, o pracy, porównywali wiersze lub teksty religijne, jakby tylko to się dla nich naprawdę liczyło. Kang próbowała nauczyć się alfabetu arabskiego, co było dla niej

bardzo trudne, lecz jednocześnie budujące.

- Spójrz - mówiła do męża - tego alfabetu nie da się zapisać przy użyciu chińskich głosek. Pewnie tak samo jest i w drugą stronę.

Wskazała dłonią na zbieg obu rzek.

- Mówiłeś kiedyś, że dwa narody mogą mieszać się ze sobą, tak jak wody tych dwóch rzek. Może i tak jest, ale widzisz tę pofalowaną linię, w miejscu, łączenia się wód? Widzisz tę klarowną wodę, nadal obecną pośród żółtej?

- Owszem, ale sto li dalej - zasugerował Ibrahim.

- Być może. Tak się zastanawiam. Pewnie w końcu zostaniesz kimś w rodzaju tych sikhów, o których mi opowiadałeś, którzy łączą to co najlepsze ze starych religii i stwarzają coś nowego.

- A co z buddyzmem? - zapytał Ibrahim. - Mówiłaś, że zmienił on już całkowicie chińską religię. W jaki sposób więc mielibyśmy go odnieść również do islamu?

Zastanowiła się chwilę.

- Nie jestem pewna, czy to możliwe. Budda powiedział, że nie ma bogów, że raczej we wszystkim istnieje obdarzony czuciem byt, nawet w chmurach i w skałach. Wszystko jest święte.

Ibrahim westchnął.

- Bóg musi istnieć. Wszechświat nie mógł powstać z niczego.

- Tego nie wiemy.

- Ja wierzę, że stworzył go Allach. Teraz jednak wygląda na to, że wszystko zależy od nas. On dał nam wolną wolę, aby się przekonać, co z nią zrobimy. Może islam i Chiny znają dwie części tej samej prawdy. Może buddyzm jest kolejną jej częścią, a naszym

zadaniem jest odszukać całość, gdyż jeśli tego nie zrobimy, świat okaże się jałowym pustkowiem.

Nad rzeką zapadł zmrok.

- Musisz wznieść islam na kolejny poziom - powiedziała Kang. Ibrahima przeszedł dreszcz.

- Sufizm już od wieków usiłował to osiągnąć. Sufiowie próbują się wznosić, a wahabici ściągają ich z powrotem, twierdząc, że nie ma rozwoju, że postęp jest niemożliwy. A tutaj? Cesarz miażdży obie grupy!

- Nie do końca tak jest. Stara Nauka ma oparcie w cesarskim prawie, a księgi twojego Liu Zhu znajdują się w cesarskim zbiorze świętych tekstów. To nie jest tak, jak z daoistami. W porównaniu z islamem nawet buddyzm nie ma poparcia ze strony cesarza.

- Tak było kiedyś - odparł Ibrahim - dopóki, na zachodzie był spokój. Teraz jednak ci młodzi zapaleńcy zaogniają całą sytuację, zaprzepaszczając wszelkie szanse na pokojowe współistnienie.

Kang nic na to nie odpowiedziała, gdyż od zawsze powtarzała mu to samo.

Teraz zrobiło się już całkiem ciemno. Żaden roztropny obywatel nie wyszedłby na ulicę w tym ordynarnym, małym mieście, choć otaczał je mur. Było zbyt niebezpiecznie.

Nowe wieści napłynęły wraz z kolejną falą uchodźców z zachodu. Sułtan osmański najwyraźniej zawarł sojusz z emiratami stepowymi, leżącymi na północ od Morza Czarnego (państwa potomne Złotej Or-dy, które dopiero niedawno wyłoniły się z anarchii). Wspólnymi siłami pokonali armię mocarstwa Safawidów,

zrównując z ziemią twierdzę Szyitów w Iranie, i posuwali się dalej na wschód, w stronę zdezorganizowanych emiratów centralnej Azji i dróg Jedwabnego Szlaku. Skutkiem tego był prawdziwy chaos pośrodku świata, kolejne wojny w Iraku i w Syrii, głód i pożoga, choć mówiono, że wraz ze zwycięstwem Osmanów po zachodniej stronie świata może w końcu zapanować pokój. Tymczasem tysiące szyickich muzułmanów kierowało się na wschód i przez Pamir, gdzie, jak myśleli, władza była w rękach państw reformatorskich. Najwyraźniej nie wiedzieli, że tam właśnie znajdują się Chiny.

- Powiedz mi coś więcej o naukach Buddy - mówił czasem Ibrahim, kiedy spędzali wspólnie wieczór na werandzie. - Mam wrażenie, że to wszystko jest bardzo prymitywne i zadufane w sobie. No wiesz: rzeczy są takie, jakimi są, ktoś to przyjmuje i skupia się na sobie. Wszystko jest dobre. W porządku, ale przecież wiadomo, że nie wszystko na tym świecie dobrze się układa, czy buddyzm ma coś do powiedzenia na ten temat? Czy w buddyzmie jest miejsce na jakieś “powinno być" oprócz ciągłego “jest, jak jest"?

- “Jeśli pragniesz pomóc innym, ćwicz współczucie. Jeśli pragniesz pomóc sobie, ćwicz współczucie". To są słowa tybetańskiego Dalai Lamy. Sam Budda natomiast powiedział kiedyś do ucznia imieniem Siga-la, który oddawał cześć sześciu kierunkom, że według tej szlachetnej dyscypliny sześć kierunków to rodzice, nauczyciele, małżonka i dzieci, przyjaciele, służący i pracownicy, i ludzie religijni. Wszyscy oni winni być czczeni, powiedział mu. Czczeni, czy to jasne? Jak świętość. Wszyscy ludzie, których spotykasz w życiu. W ten sposób życie codzienne

staje się formą kultu, rozumiesz? Nie chodzi o to, aby w piątki się modlić, a przez resztę dnia terroryzować świat.

- Zapewniam cię, że Allah do tego nie nawołuje.

- Oczywiście, że nie, ale przecież macie ten swój dżihad, prawda? Aktualna sytuacja wygląda tak, że cały Dar al-Islam jest w stanie wojny, walczy ze swoimi jak i z obcymi. Buddyści nigdy z niczym nie walczą. W dziesięciu wytycznych dla Dobrego Króla, według Buddy, wystrzeganie się przemocy, współczucie i życzliwość zajmują ponad połowę

- z nich. Asoka za młodu pustoszył Indie, później został buddystą i już nigdy więcej nikogo nie zabił, stał się dobrem wcielonym. _ Ale niezbyt często naśladowanym.

- Niestety. Żyjemy w barbarzyńskich czasach. Buddyzm rozprzestrzenia się dzięki ludziom nawracającym się z własnej woli, pragną cym pokoju i dobrych uczynków. Niestety władza skupia się wokół ludzi gotowych użyć siły. Islam użyje siły i cesarz użyje siły. To oni będą rządzić tym światem, albo walczyć o niego, póki wszystko nie legnie w ruinie.

Innym razem znów powiedziała:

- Kiedy myślę o tych wszystkich religijnych postaciach ze starożytności, najbardziej zastanawia mnie Budda, który nigdy nie twierdził, że jest bogiem lub że z Nim rozmawiał. Wszyscy inni twierdzą, że są Bogiem albo synem Boga, albo że spisują słowa Boga, podczas gdy Budda po prostu powiedział, że Boga nie ma. Wszechświat sam w sobie jest święty, istoty ludzkie są święte, wszystkie czujące byty są święte i mogą, poprzez pracę, osiągnąć

oświecenie. Należy zwracać szczególną uwagę na życie codzienne, tę pośrednią drogę, dziękować i składać cześć w codziennym działaniu. Jest to najskromniejsza ze wszystkich religii. To nawet nie religia, raczej sposób na życie.

- A te posągi Buddy, które są niemal wszędzie, to oddawanie czci w buddyjskich świątyniach? Sama przecież spędzasz sporo czasu na modlitwie.

- Budda jest po części czczony jako wzór do naśladowania. Proste umysły mogą postrzegać to na różne sposoby, nie ma się czemu dziwić. W większości jednak są to ludzie, którzy oddają cześć wszystkiemu, co się rusza, Budda jest dla nich tylko jednym z wielu bogów. Są jednak w błędzie. W Indiach uczyniono Buddę awatarem Wisznu, awatarem, który celowo próbuje odwieść ludzi od właściwego kultu Brahmana, zgadza się? Oczywiście, że tak, wielu ludzi się myli. Jednak każdy może w końcu to zrozumieć, jeśli tylko zechce.

- A twoje modlitwy?

- Modlę się, aby móc lepiej rozumieć.

Wkrótce insurekcja wywołana przez sektę Jahriya została zmiażdżona i w zachodniej części cesarstwa zapanował spokój. Siły opozycyjne, Peszące się szerokim poparciem były zmuszone zejść do podziemia i tam nieprzerwanie pracować nad muzułmańską rebelią. Ibrahim oba-wiał się, że Wielkie Przedsięwzięcie nie było już tak całkiem wykluczone. Ludzie opowiadali o przeróżnych problemach w środkowych Chinach, o tajemnych zgromadzeniach i bractwach Hanów, oddanych całym

sercem idei ewentualnego obalenia mandżurskich władców i przywrócenia dynastii Ming. Rząd cesarski nie mógł już nawet ufać Hanom. Oczywiście nadal przy władzy byli Mandżurowie, dynastia outsiderów, i nawet skrupulatny konfucjanizm cesarza Oianlong nie mógł zmienić tego zasadniczego faktu. Jeśli zbuntowaliby się muzułmanie z zachodniej części imperium, wtedy i w środkowych Chinach, i na południowym wybrzeżu znaleźliby się Chińczycy, którzy skorzystaliby z okazji do wszczęcia własnej rebelii. Wówczas całe imperium zostałoby zgubione. Jedno było pewne, wyglądało na to, że sheng shi, czyli szczyt tego konkretnego cyklu dynastycznego, już minął.

Ibrahim kilkakrotnie przypominał cesarzowi o niebezpieczeństwie, nakłaniając go do okazania jeszcze większej przychylności Starej Nauce, aby islam mógł się stać kolejną cesarską religią, tak jak w przeszłości buddyzm i daoizm.

Nie dostał odpowiedzi na memoranda, a sądząc po treści przepięknej, cynobrowej kaligrafii, zamieszczanej u dołu innych petycji, odsyłanych przez cesarza z powrotem do Lanzhou, było raczej mało prawdopodobne, aby przychylnie rozpatrzono jego sugestie. “Dlaczego zewsząd otaczają mnie głupcy i niegodziwcy?" głosił jeden z cesarskich komentarzy. “Z każdym kolejnym rokiem naszego panowania przybywa w szkatule srebra i złota z Yingzhou, imperium jeszcze nigdy tak dobrze nie prosperowało".

Z pewnością miał rację, wiedział przecież o cesarstwie więcej niż ktokolwiek inny. Mimo wszystko Ibrahim nie odpuszczał. Tymczasem kolejni uchodźcy napływali na wschód, aż wreszcie, w

Korytarzu Gan-su, Shaanxi i Xining zaroiło się od przyjezdnych - sami muzułmanie, lecz niekoniecznie przyjaźnie do siebie nastawieni i nic sobie nierobiący ze swoich chińskich gospodarzy. Lanzhou kwitło. Wszystkie targi były zatłoczone, kopalnie, odlewnie, kuźnie i fabryki sprzedawały ogromne ilości uzbrojenia i przeróżne maszyny, młocarnie, krosna zasilane energią rzek, i wozy, lecz zachodnia, najuboższa część miasta, rozciągała się teraz na wiele li wzdłuż obu brzegów Żółtej Rzeki i po obu stronach rzeki Tao. Były to prawdziwe slumsy, gdzie ludzie mieszkali w namiotach lub pod gołym niebem. Nikt z mieszkańców Lanzhou nie poznawał już miasta i, o ile był roztropnym człowiekiem, siedział nocami w domu za zamkniętymi drzwiami.

Dziecię moje, które przychodzisz na świat,
Uważaj, dokąd skierujesz swe kroki.
Tak wiele rzeczy może stać się złych,
Czasami aż się boję.
Gdybyśmy tylko żyli w Erze Wielkiego Pokoju
Cieszyłabym się, widząc twą radosną twarz,
Oglądając jesienią gęsi lecące na południe.

Jednego dnia Kang pomagała Ibrahimowi posprzątać bałagan w jego pokoju i wśród książek, papierów, kałamarzy i pędzli zatrzymała się nad jedną z zapisanych przez niego stron.

Historię można rozumieć jako serię zderzeń cywilizacji. To w ich wyniku powstają nowe rzeczy i dokonuje się postęp. Niekoniecznie

musi zachodzić to dokładnie w momencie kontaktu obu cywilizacji, gdyż najczęściej jest to czas największego zamętu i wojny, lecz poza linią frontu, tam gdzie obie kultury dążą do dominacji i jak najprecyzyjniejszego zdefiniowania się, wielki postęp dokonuje się błyskawicznie, powstają wiekowe dzieła z zakresu sztuki i techniki. Kiedy ludzie uczą się dawać sobie radę, wtedy rodzi się najwięcej pomysłów, a w wyniku rywalizacji, wraz z upływem czasu, ostają się jedynie pomysły najsilniejsze, najbardziej elastyczne i najbardziej szlachetne. W ten sposób, w swoistym chaosie, rozwijają się Fulan, Indie i Yingzhou, podczas gdy Chiny słabną przez swoją monolityczną naturę i pomimo ogromnych ilości złota przywożonych zza Dahai. Żadna z cywilizacji nie rozwinie się w pojedynkę. Do rozwoju niezbędna jest kolizja dwu lub więcej cywilizacji. Podobnie jak w przypadku fali, która, uderzając o brzeg, nigdy się nie wypiętrzy, dopiero powracając, kiedy zderzy się z kolejną, nadchodzącą falą wysoki słup białej wody wystrzeliwuje w powietrze. Historia nie jest tak bardzo podobna do pór roku, jak właśnie do fal oceanu, sunących w jedną i w drugą stronę, przecinających się i tworzących przeróżne wzory, a czasem nawet posiadających potrójny grzbiet, to prawdziwa Diamentowa Góra kulturowej energii danych czasów.

Kang odłożyła papier z powrotem i spojrzała przyjaźnie na męża.

- Gdyby to rzeczywiście była prawda - powiedziała do siebie.

- Słucham? - zapytał ją, podnosząc wzrok.

- Jesteś dobrym człowiekiem, mężu. Ałe z tej dobroci wziąłeś na sie-bie zadanie najprawdopodobniej niemożliwe do zrealizowania.

Później, w czterdziestym czwartym roku panowania cesarza Qian-longg, deszcz padał nieprzerwanie przez cały trzeci miesiąc. Cała okolica została zalana, właśnie wtedy, gdy Kang Tongbi oczekiwała na rozwiązanie. Nikt nie wiedział, czy panosząca się na całym zachodzie rebelia wybuchła z powodu ogólnego przygnębienia, wywołanego powodzią, czy też była celowo obliczona na wykorzystanie zamieszania w związku z tą katastrofą. Tak czy inaczej muzułmańscy buntownicy atakowali kolejne miasta, podczas gdy sekty Szyitów, Wahabitów, Jahriya i Khafiya mordowały się wzajemnie na ulicach i w meczetach również chorągwie Qing ugięły się pod wściekłymi atakami rebeliantów. Sytuacja stała się na tyle poważna, że w końcu pojawiły się plotki o wysłanej na zachód wielkiej armii cesarskiej. Tymczasem spustoszenie zataczało coraz szersze kręgi, a w Gansu zaczęło brakować pożywienia.

Lanzhou znów zostało oblężone, tym razem przez koalicję przyjezdnych muzułmańskich rebeliantów ze wszystkich sekt i krajów. Cała rodzina Ibrahima robiła wszystko, co było w ich mocy, aby chronić panią domu, będącą w stanie zaawansowanej ciąży. Niestety, nawet tutaj, w swoim górnym biegu, Żółta Rzeka osiągnęła od ostatnich deszczów niebezpiecznie wysoki poziom, a przez to, że mieszkali u zbiegu Żółtej Rzeki i rzeki Tao całe ich domostwo stanęło w obliczu poważnego zagrożenia. Wysoka skarpa, na której stało miasto, okazała się niewystarczającą ochroną. Byt to przerażający widok. Wody rzek wzbierały bardzo szybko, brązowe i spienione, sięgały już górnej granicy wałów. Ostatecznie,

piętnastego dnia dziesiątego miesiąca, kiedy armia cesarska znajdowała się o dzień marszu w dół rzeki, a tym samym odsiecz zagrożonemu miastu była już niemal w zasięgu wzroku, zaczęło padać o wiele mocniej niż wcześniej, rzeki nadal wzbierały i zaczęły występować z brzegów.

Wszyscy zakładali, że rebelianci, wybrali najgorszy z możliwych momentów, aby przerwać tamę w górnym biegu rzeki Tao i posłać potężny nurt błotnistej wody w dół po całym zlewisku, ponad przepełnionym już korytem rzeki, wprost do Żółtej Rzeki i w ten sposób zasilić jej wystarczająco niszczycielski prąd, tak że cała woda zabrązowiła się i rozlała po podnóżach wzgórz, ciągnących się po obu stronach wąskiej doliny Huang He. Zanim cesarska armia przybyła do Lanzhou, cale miasto przykryła brudna, brązowa woda, sięgająca kolan, której poziom stale się podnosił.

Ibrahim pojechał na spotkanie z cesarską armią, dokąd wybrał się wraz z gubernatorem Lanzhou, aby skonsultować się z nowym dowództwem w sprawie odszukania przywódców rebelii i rozpoczęcia z nimi negocjacji. Więc kiedy woda nieubłaganie podchodziła pod ściany ich domostwa, wewnątrz pozostało jedynie kilka kobiet i służących, którzy sami musieli radzić sobie z powodzią.

Początkowo same ściany kompleksu i worki z piaskiem u bram były wystarczającą ochroną, lecz później, do kompleksu dotarły okrzyki ludzi, uciekających na wyżej położone tereny, o przerwanej tamie i nadciągającej fali powodziowej.

- Proszę pani, proszę się pośpieszyć - krzyczał Zunli - musimy

dostać się na wzgórze. Musimy uciekać!

Kang Tongbi go nie słuchała, była zajęta pakowaniem do skrzyń swoich papierów i prac Ibrahima. W całym domostwie było wiele pokojów dosłownie wypełnionych książkami i papierami, a Zunli, widząc, co robi jego pani, nie przestawał krzyczeć. Nie było czasu, aby wszystko uratować.

- No pomóż mi - burknęła Kang, uwijając się w szalonym tempie.

- Jak my to przeniesiemy?

- Wstaw pudła do lektyki, prędko!

- A pani jak pójdzie?

- Na nogach! No już, ruszaj się! Zaczęli pakować pudła.

- Bardzo niedobrze! - zaprotestował Zunli, patrząc na jej mocno zaokrąglony brzuch - Ibrahim z pewnością kazałby pani uciekać. Nie zależałoby mu na książkach!

- Właśnie, że by mu zależało! - wrzasnęła - Pakuj to! Znieś tu całą resztę i pakuj!

Zunli robił, co mógł. Szalona gonitwa po całym domu i towarzysząca wszystkiemu panika wyczerpała jego i resztę służby, lecz Kang Tongbi dopiero zaczynała.

W końcu jednak ustąpiła i razem z resztą domowników przeszła przez frontową bramę kompleksu, brodząc po kolana w brązowej wodzie, wlewającej się do środka dopóki z powrotem nie zamknęli bramy. Doprawdy był to dziwny widok, całe miasto zamieniło się w płytkie, spienione, brązowe jezioro. Lektyka była tak wyładowana książkami i papierami, że wszyscy służący musieli złapać za drążki,

aby unieść ją do góry. Niski, jeżący włosy na głowie dźwięk sunącej wody, wstrząsnął powietrzem. Brązowe jezioro, zakrywające obie rzeki i miasto, sięgnęło okolicznych wzgórz. Całe Lanzhou znalazło się pod wodą. Służące płakały, wypełniając przestrzeń piskami, wrzaskiem i okrzykami. Pao nie było nigdzie w pobliżu. W całej tej sytuacji tylko matczyne uszy mogły usłyszeć głos wydzierającego się chłopca.

Kang dopiero teraz zdała sobie sprawę, że zapomniała o swoim wlasnym synu. Zawróciła i przekroczyła z powrotem bramę, otwartą na oścież przez napierającą wodę, żaden ze służących nawet nie zauważył jej zniknięcia, wszyscy uginali się pod załadowaną po dach lektyką.

Przedzierała się przez rwący nurt prosto do pokoju Shiha. Cały kompleks stał już w wodzie. Shih w pierwszym odruchu schował się pod łóżkiem, lecz woda wymyła go stamtąd, więc leżał teraz skulony i przerażony na łóżku.

- Pomóż mi mamo! Pomóż mi!

- Chodź szybko!

- Boję się!

- Nie mogę cię przecież zanieść! No chodź już! Wszyscy służący już poszli, zostaliśmy tylko my dwoje!

- Ale ja się boję! - zaczął jęczeć, zwinięty w kulkę na swoim posłaniu, jak trzylatek.

Kang spojrzała na niego. Jej prawe ramię drgnęło w stronę bramy, jakby chciało pójść samo, zostawiając na miejscu resztę jej ciała. Warknęła na syna, chwyciła go za ucho i pociągnęła mocno,

tak że musiał stanąć na nogi.

- Pójdziesz albo oderwę ci ucho, ty mały Hui!

- Nie jestem Hui! To Ibrahim jest Hui! Wszyscy tutaj dookoła to Hui! Au! - zawył, kiedy wykręcała mu ucho do granic wytrzymałości. W ten sposób przeciągnęła go przez zalane domostwo, aż do samej bramy.

Kiedy minęli bramę, uderzyła w nich fala powodziowa, niezbyt wysoka, sięgająca jej po pas, a jemu po piersi. Kiedy przeszła, poziom wody pozostał wyższy niż poprzednio i szli teraz po uda w wodzie. Dookoła wzmagał się tak głośny szum, że w ogóle się nie słyszeli i nie mogli też nigdzie dojrzeć służących.

Większe wzniesienie terenu znajdowało się na końcu wąskiej uliczki, prowadzącej na południe, tam też znajdował się miejski mur, więc Kang brnęła w tamtą stronę, rozglądając się za swą służbą. W pewnej chwili potknęła się i zaklęła. Jeden z jej motylich butów został porwany przez wodę. Zrzuciła więc i drugi i szła dalej boso. Shih wyglądał, jakby zemdlał albo popadł w katatonię, objęła go więc ramieniem pod kolanami i niosła, opierając o górną część dużego brzucha. Wołała gniewnie na służących, lecz nie słyszała nawet własnego głosu. Poślizgnęła się i z rozpaczą w głosie wezwała Guanyin, Tę, Która Słyszy Wołania.

Wtedy też spostrzegła Xinwu, płynącego w jej stronę jak wydra, jego twarz miała poważny i zdeterminowany wyraz. Za nim brnęła Pao, a za nią Zunli. Xinwu oderwał Shiha od Kang i walnął go w zaczerwienione ucho.

- Tam! - zawołał do Shiha, wskazując na miejski mur.

Kang nie mogła wyjść z podziwu, widząc, jak Shih niemal pobiegł we wskazanym kierunku, wyskakując co jakiś czas ponad powierzchnię wody. Xinwu został przy niej i pomagał jej brnąć dalej uliczką. Była niczym barka towarowa, którą trzeba było holować pod prąd po kanale, a wysokie fale rozbijały się o jej wydęty brzuch. Pao i Zunli pośpieszyli jej z pomocą, Pao, zapłakana, wołała już z daleka.

- Poszłam dalej, żeby sprawdzić, jak jest głęboko, kiedy wróciłam, myślałam, że pani jest już w lektyce.

Jednocześnie Zunli mówił coś, z czego wynikało, że pani poszła dalej z Pao. Całkowite zamieszanie, w sumie nic nadzwyczajnego.

Reszta służby zgromadzona na szczycie miejskiego muru poganiała tych na dole, wpatrując się w górę rzeki. Ich oczy były ogromne i zdradzały wielkie przerażenie. “Szybciej!" ich usta układały się do tego tylko słowa, “Szybciej!".

U podnóża muru brązowa woda przepływała wartkim nurtem. Kang w dziwaczny sposób siłowała się z prądem, ślizgając się na swoich małych stopach. Z wierzchołka muru ludzie opuścili drabinę, a Shih czmychnął po niej pierwszy. Po nim zaczęta się wspinać Kang. Nigdy wcześniej nie wchodziła po drabinie, a Xinwu, Pao i Zunli, popychając ją od dołu, wcale jej nie pomagali. Z trudnością przychodziło jej stawianie stóp na zatopionych szczeblach, gdyż jej stopy były krótsze niż szerokość szczebli, przez co, ciężko było jej w nie trafić. Po chwili kątem oka dostrzegła wysoką, brązową falę, sunącą wzdłuż muru, niosącą ze sobą różne przedmioty i zrywającą drabiny i wszystko, co było oparte o mur. Podciągnęła się na rękach

i oparła stopę o pierwszy suchy szczebel.

Pao i Zunli wspierali ją od dołu i w ten sposób została ostatecznie podsadzona na sam szczyt miejskiego muru. Pao, Zunli i Xinwu pośpieszyli tuż za nią i wciągnęli na górę drabinę, zanim wielka fala przeszła tuż pod nimi.

Na szczycie muru znalazło schronienie wielu ludzi. Pośród całego rozlewiska była to jedna z niewielu wysp. Z dachu pobliskiej pagody machali do nich następni powodzianie. Wszyscy na murze przyglądali się Kang. która poprawiła suknię i odgarnęła palcami włosy z twarzy, rozglądając się i sprawdzając, czy wszyscy z jej domostwa byli w pobliżu. Uśmiechnęła się. To był pierwszy raz, kiedy widzieli ją uśmiechniętą.

Zanim nieco później tego samego dnia znów spotkała się z Ibrahimem, po tym, jak przewieziono ją w łodzi wiosłowej na południowe wzgórze, górujące nad zatopionym miastem, Kang już się nie uśmiechała. Przyciągnęła do siebie Ibrahima i razem siedzieli tak pośród panoszącego się chaosu.

- Posłuchaj mnie - powiedziała, trzymając dłoń na swoim brzuchu - jeżeli to będzie córka...

- Wiem - odpowiedział Ibrahim.

- Jeżeli będzie dana nam córka... to nie będzie więcej żadnego krępowania stóp.

4

Życie po życiu

Wiele lat później, całe życie później, dwoje starszych ludzi

siedziało na werandzie, wpatrując się w przepływającą rzekę. W przeciągu spędzonego wspólnie czasu przedyskutowali już niemal wszystko, wspólnie spisali nawet historię świata, lecz teraz rzadko ze sobą rozmawiali i tylko czasem wymieniali się obserwacjami na temat upływającego dnia. Bardzo rzadko rozmawiali o przeszłości i nigdy w swoich rozmowach nie wracali do tamtych czasów, kiedy razem zasiadali w ciemnym pokoju, aby wejść w płomień świecy i oglądać migawki ze swych przeszłych żyć. Zbyt niepokojące było dla nich przywoływanie trwogi i przerażenia tamtych chwil. Poza tym osiągnęli swój cel, zdobyli upragnioną wiedzę. Teraz już wiedzieli, że znają się od tysięcy lat. Byli starym małżeństwem. Wiedzieli o tym i to im wystarczało. Nie było sensu dalej tego zgłębiać.

To również jest bardo albo nawet nirwana, to jest właśnie dotyk wieczności.

Pewnego dnia, jakiś czas później, przed wyjściem na werandę, gdzie wraz z partnerką zwykł podziwiać zachód słońca, staruszek spędził całe, długie popołudnie nad czystą kartką papieru, rozmyślając i przyglądając się wysokim stertom ksiąg i rękopisów, zgromadzonych w jego gabinecie. W końcu wziął do ręki pędzel i zaczął pisać, wykonując nim powolne pociągnięcia.

Majątek i cztery wielkie nierówności Rozproszone zapiski i zniszczone ruiny Starego Świata mówią nam, że najstarsze cywilizacje zrodziły się w Chinach, Indiach, Persji, Egipcie, na Środkowym Zachodzie i w Anatolii. Pierwsi rolnicy tych urodzajnych

terenów nauczyli się uprawiać ziemię i magazynować płody rolne, dzięki czemu otrzymywali zbiory znacznie przewyższające ich potrzeby. Wspierani przez kapłanów wojskowi bardzo szybko objęli władzę w każdym z tych regionów i odtąd było ich tam coraz więcej. Gromadzili nadmiar płodów rolnych, głównie na własny użytek za pośrednictwem podatków i bezpośrednich konfiskat. Siłę roboczą, jako taką, podzielono na opisane przez Konfucjusza grupy oraz wprowadzono hinduski system kastowy: wojownicy, kapłani, rzemieślnicy i rolnicy. Wraz z podziałem siły roboczej podporządkowanie rolników żołnierzom i kapłanom uzyskało charakter urzędowy. Podporządkowanie to trwa do dziś i jest to pierwsza wielka nierówność.

Wraz z podziałem cywilizowanej siły roboczej, o ile nie wcześniej, mężczyźni ustanowili dominację nad kobietami. Być może doszło do tego już we wcześniejszych epokach, w czasie zwykłej walki o przetrwanie, lecz dziś nie sposób tego dociec. Dziś na własne oczy widzimy, że w kulturach rolniczych kobiety pracują zarówno w domu, jak i w polu. W gruncie rzeczy rolnicze życie wymagało pracy od wszystkich, lecz od wczesnych dziejów kobiety robiły to, co kazali im mężczyźni, a rozkład władzy w każdej rodzinie przypominał ogólnie panującą sytuację: król i jego następca sprawowali władzę nad resztą. To była druga i trzecia nierówność, dominacja mężczyzn nad kobietami i dziećmi.

W trakcie kolejnej małej epoki rozpoczął się handel pomiędzy pierwszymi cywilizacjami. Jedwabnymi szlakami łączącymi Chiny, Baktrię, Indie, Persję, Zachód i Afrykę transportowano nadmiar

płodów rolnych po całym Starym Świecie. Rolnictwo pozytywnie zareagowało na otwierające się okazje do handlu, nastąpił wzrost produkcji zbóż i mięsa oraz dalszy rozwój upraw wyspecjalizowanych, oliwek, winogron i sadów morwowych. Jednocześnie rzemieślnicy wytwarzali nowe narzędzia, maszyny rolnicze i statki. Grupy, a nawet całe narody kupców i handlarzy zaczęły naruszać monopol na władzę skupioną dotąd w pierwszych wojskowo-kapłańskich imperiach, a pieniądz zaczął wypierać ziemię, jako źródło władzy. Działo się to znacznie wcześniej niż podają, Ibn Khaldun i maghrebscy historycy, jeszcze przed nadejściem okresu klasycznego, tzn. około 1200 roku przed hidżrą, zmiany wywołane rozwojem handlu naruszyły stare obyczaje i pogłębiły trzy pierwsze nierówności, a tym samym zrodziły wiele nowych pytań odnośnie natury człowieka. Wielkie klasyczne religie powstały właśnie po to, aby udzielić odpowiedzi na te pytania: w Persji zoroastryzm, w Indiach buddyzm, a w Grecji filozofie racjonalistyczne. Bez względu na ich metafizyczne szczegóły każda z cywilizacji stała się częścią świata zaangażowanego w przepływ majątku, tam i z powrotem, tam i z powrotem, a ostatecznie do rąk elit. Przepływ majątku stał się siłą napędową zmian w stosunkach międzyludzkich, innymi słowy, historii. Gromadzony majątek rodził jeszcze większy majątek.

Począwszy od okresu klasycznego, aż do odkrycia Nowego Świata (powiedzmy od 1200 roku przed hidżrą, do 1000 roku po hidżrze) Środkowy Zachód stał się dzięki handlowi punktem centralnym Starego Świata i duża część majątku trafiała właśnie tam. Mniej więcej w połowie tego okresu, na co wskazują daty, pojawił się

islam i bardzo szybko stał się dominującą religią na świecie. Najprawdopodobniej istniały ku temu silne przesłanki ekonomiczne. Islam, być może przypadkiem, lecz niekoniecznie, pojawił się w “centrum świata", na terenie nazywanym czasem Międzymorzem, ograniczonym Zatoką Perską, Morzem Czerwonym, Morzem Śródziemnym, Morzem Czarnym i Morzem Kaspijskim. Wszystkie szlaki handlowe z konieczności przecinały się właśnie w tym rejonie niczym smocze arterie w analizie feng shui. Nie dziwi zatem fakt, że przez długi czas to islam zapewniał światu szeroko obowiązującą walutę w postaci denara oraz szeroko rozpowszechniony język w postaci arabskiego. Przede wszystkim jednak była to religia, która z czasem wyrosła na religię światową. Należy zrozumieć, iż popularność islamu wywodzi się częściowo z faktu, iż w świecie rosnących nierówności, mówi on o sferze, w której wszyscy są równi, równi wobec Boga, bez względu na wiek, płeć, zawód, rasę czy narodowość. Atrakcyjność islamu polega na tym, że wszystkie nierówności mogą być zniesione w najważniejszej ze sfer, w wiecznej sferze ducha.

Tymczasem jednak handel żywnością i towarami luksusowymi rozwijał się nieprzerwanie w całym Starym Świecie, od Al-Andalus po Chiny. Handlowano zwierzętami, drewnem i metalami, tkaninami, szkłem, przyborami piśmienniczymi, opium, medykamentami i wieloma innymi dobrami, a wraz z upływem kolejnych wieków, również niewolnikami. Niewolnicy pochodzili głównie z Afryki, a ich znaczenie stale rosło, jako że pracy było coraz więcej, a postęp techniczny nie umożliwiał na razie wykorzystania na dużą skalę

maszyn. Cały ogrom nowych prac musiał być więc wykonywany z pomocą zwierząt pociągowych i siły ludzkich rąk. Zatem oprócz podporządkowania rolników, kobiet i rodzin, była to czwarta nierówność ze względów rasowych, prowadząca do podporządkowania najbardziej bezbronnych ludzi i uczynienia z nich niewolników. Dzięki temu też nierówna kumulacja majątku w rękach elit mogła trwać dalej.

Odkrycie Nowego Świata tylko nasiliło te zjawiska, zapewniając jednocześnie napływ większego majątku i niewolników. Szlaki handlowe przeniosły się w dużej mierze z lądu na morza, a islam utracił kontrolę nad punktami węzłowymi, jaką miał przez ponad tysiąc lat. Centrum kumulacji majątku przesunęło się do Chin, lecz w zasadzie Chiny zawsze były punktem centralnym, zawsze miały najwięcej mieszkańców i od najdawniejszych czasów ludzie zawsze kupowali chińskie wyroby. Bilans handlu Rzymu z Chinami był tak słaby, że tracił on rocznie milion uncji srebra na rzecz Chin. Jedwab, porcelana, drzewo sandałowe, pieprz - Rzym i cała reszta świata wysyłali do Chin złoto po te dobra i w ten sposób Chiny bogaciły się. Teraz, kiedy Chiny zajęły zachodnie wybrzeża Nowego Świata, zaczęły również zwozić stamtąd ogromne ilości złota, srebra i niewolników. Ten podwójny tryb akumulacji majątku - ze sprzedaży własnych wyrobów i przez bezpośrednie jego zdobywanie - jest nowym zjawiskiem, swoistą kumulacją kumulacji.

Wydaje się więc oczywiste, że Chiny stają się dominującą potęgą na świecie, rywalizującą z poprzednim mocarstwem, Dar al-Islam, który nadal z wielką siłą przyciąga do siebie ludzi, marzących o

sprawiedliwości w obliczu Boga, której nie uświadczają na Ziemi. Z kolei Indie to trzecia dominująca kultura, która będąc łącznikiem i źródłem wpływu na pozostałe dwie, pozostaje jednocześnie pod ich wpływem. Tymczasem prymitywne kultury Nowego Świata, stosunkowo niedawno połączone z resztą ludzkości i automatycznie przez nią podporządkowane, walczą o przetrwanie.

lak widać zatem, historia ludzkości jest w dużym stopniu opowieścią o nierównej kumulacji majątku, przechodzącego z jednego ośrodka władzy do innego i zawsze pogłębiającego cztery wielkie nierówności. Tym właśnie jest historia. Nigdzie, o ile mi wiadomo, nie powstała jeszcze cywilizacja bądź nie nastał taki moment w dziejach, gdzie majątek zebrany przez wszystkich, były sprawiedliwie rozdysponowany. Władza wywiera nacisk, gdzie tylko może, a każdy udany akt przymusu przyczynia się do powiększenia ogólnie panującej nierówności, która rośnie wprost proporcjonalnie do gromadzonego majątku. Władza i majątek to mniej więcej to samo. Posiadacze majątku rozbudowują w konsekwencji swą potęgę zbrojną, by wymusić dalszy rozwój nierówności i w ten sposób koło się zamyka.

Jak dotąd efekt jest taki, że niewielki procent ludzi żyje w dostatku, ciesząc się materialnym komfortem i możliwością nauki, podczas gdy ci, niemający tyle szczęścia, stanowią rzeczywisty odpowiednik jucznych zwierząt, pozostających na usługach tych potężnych i bogatych, pomnażając ich majątek, lecz samemu nie czerpiąc z niego żadnej korzyści. Jeśli akurat jesteś młodą, czarną wieśniaczką, to cóż możesz powiedzieć światu albo cóż świat może powiedzieć

tobie? Twoje życie będzie zdeterminowane przez wszystkie cztery nierówności i będzie to krótsze życie, wiedzione w niewiedzy, głodzie i strachu. W rzeczywistości wystarczyłaby tylko jedna z tych nierówności, aby skutecznie obrzydzić człowiekowi życie.

Należy stwierdzić z całą stanowczością, iż większość ludzi, którym przyszło żyć na tym świecie, żyło w uciemiężeniu i w niewoli u ludzi bogatych i możnowładczych, stanowiących nieliczną mniejszość ogółu. Na każdego cesarza i urzędnika, na każdego kalifa i kadiego, na każde pełne przepychu życie przypadało tysiąc prymitywnych, zmarnowanych żyć. Nawet jeśli ustalimy minimalną definicję pełnego życia i powiemy, że solidarność międzyludzka zapewniła wielu biednym i bezbronnym poczucie szczęścia i spełnienia w ich codziennym trudzie, to i tak nadal pozostanie mnóstwo ludzi, których życie zniszczyło ubóstwo i uciemiężenie, tak więc nie da się uniknąć wniosku, że jak dotąd było więcej zmarnowanych żyć niż tych, przeżytych w pełni.

Wszystkie światowe religie próbowały na swój sposób wyjaśnić bądź złagodzić cztery nierówności, włącznie z islamem, który powstał z zamiarem stworzenia sfery, w której wszyscy byliby równi, wszystkie religie usiłowały uzasadnić istnienie nierówności na świecie i wszystkie zawiodły, nawet islam zawiódł. Dar al-Islam jest tak samo dręczony czterema nierównościami, jak każdy inny zakątek świata. Im się dłużej nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że hinduski i chiński opis życia po życiu, system sześciu loka lub sześciu sfer rzeczywistości: dewów, asurów, ludzi, zwierząt, pretów i mieszkańców piekieł, choć jest w rzeczywistości

metaforyczny, to jednak niezwykle precyzyjnie opisuje nasz świat i istniejące w nim zależności: dewowie żyją w luksusie i sądzą pozostałych, asurowie walczą, aby dewowie mogli utrzymać swoje wysokie pozycje, ludzie wiodą ludzkie żywoty, zwierzęta ciężko pracują, bezdomni pretowie cierpią w przerażeniu na skraju piekieł, a mieszkańcy piekieł są skazani na ubóstwo i uciemiężenie.

Według mojego przeczucia, dopóki liczba pełnych żyć nie przewyższy liczby żyć zrujnowanych, dopóty pozostaniemy uwięzieni w swoistej prehistorii, niegodni wielkiego ducha człowieczeństwa. Historia będąca opowieścią godną przekazania zacznie się dopiero wtedy, kiedy pełnych żywotów będzie więcej, niż tych zmarnowanych. To oznacza, że jeszcze wiele pokoleń przed nami- Wszystkie nierówności muszą być zniesione, wszelki nadmiar majątku sprawiedliwie rozdysponowany. Do tego czasu człowiek pozostanie tylko bełkoczącą małpą, a człowieczeństwo, tak, jak zwykliśmy o nim myśleć, dopiero zacznie nabierać właściwej formy.

Posługując się terminologią religijną, nadal jesteśmy w bardo i oczekujemy własnych narodzin.

Staruszka czytała kolejne stronice wręczone jej przez męża, chodząc w kółko po werandzie, w pełnym uniesieniu. Kiedy skończyła, położyła dłoń na jego ramieniu. Powoli zapadał zmrok, niebo na zachodzie było koloru indygo, zawisł na nim sierp księżyca, a poniżej przepływała czarna rzeka. Kobieta podeszła do swojego stolika z przyborami do pisania na drugim końcu werandy. Podniosła jeden z pędzli i szybkimi pociągnięciami zapełniła stronę:

Dwie dzikie gęsi lecą na północ w świetle księżyca.
Złamany lotos opada na płyciznę.
Pod koniec żywota
Coś, jakby strach wypełnia mi pierś.
Tygrys - następnym razem zaprzęgnę go
Do swego rydwanu. Spójrz, lecę.
Już więcej nie będę chwiać się na słabych stopach.
Nie ma już więcej nic do zrobienia,
Mogę pisać o zmroku i patrzeć z ukochanym
Jak kwiat brzoskwini unosi się na wodzie.
Patrząc wstecz, na te wszystkie długie lata,
Na to co się stało, radość i ból
Myślę, że najbardziej cenię sobie ryż i sól.

Księga VII

Era wielkiego postępu

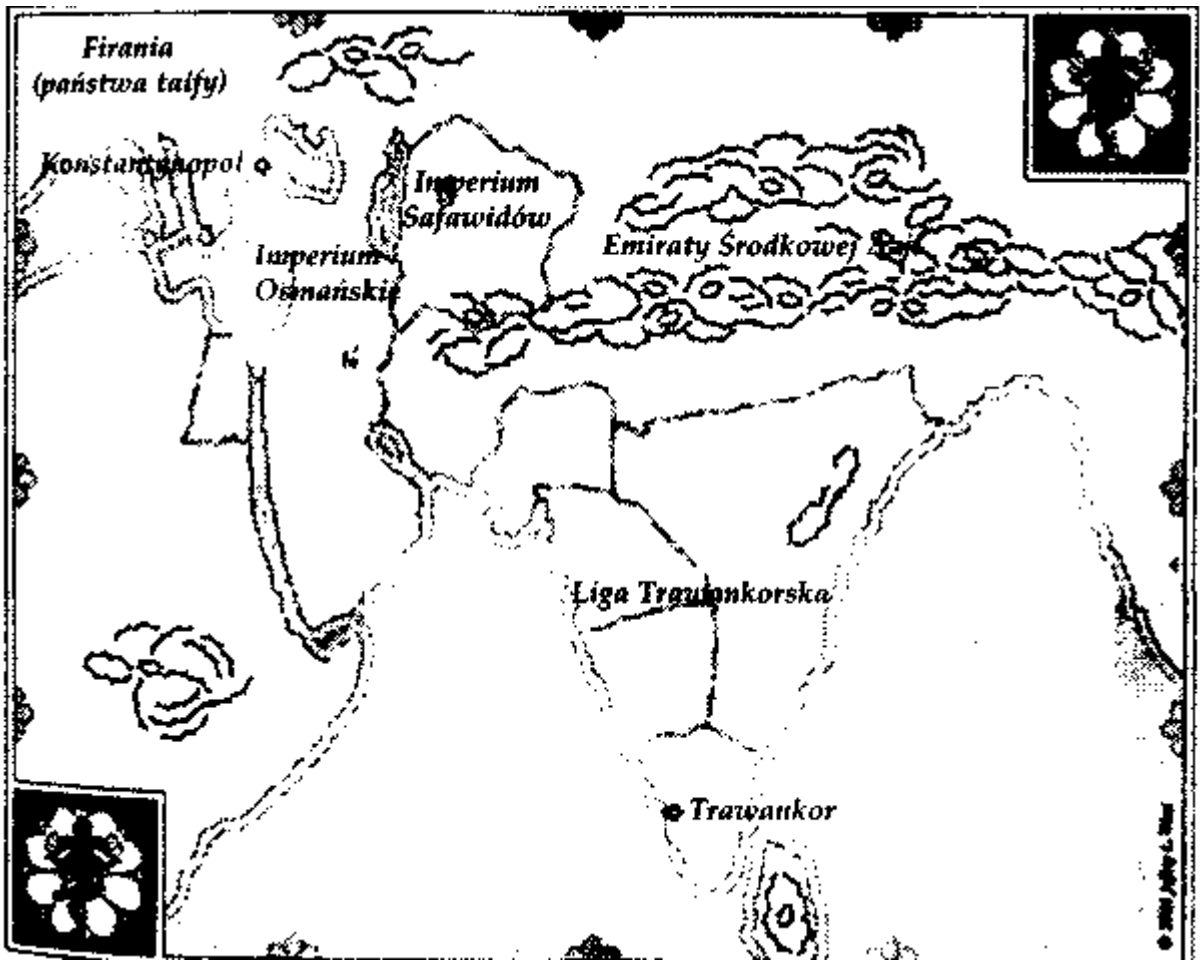

1

Upadek Konstantynopola

Ismail ibn Mani al-Dir, lekarz osmańskiego sułtana kalifa Selima III, zaczynał jako ormiański kadi, studiując prawo i medycynę w Konstantynopolu. Dzięki swojej skutecznej posłudze szybko piął się po szczeblach osmańskiej biurokracji, aż w końcu pewnego dnia sułtan zlecił mu opiekę nad jedną z kobiet z jego seraju. Dzięki zabiegom Ismaila nałożnica szybko wyzdrowiała, a wkrótce później Ismail pomógł również sułtanowi pozbyć się dziwnej dolegliwości skórnej. Po tych wydarzeniach sułtan uczynił Ismaila naczelnym lekarzem Wysokiej Porty i seraju.

Nie rzucając się nikomu w oczy, Ismail przez większość czasu składał wizyty swoim nowym pacjentom i kontynuował studia medyczne tak, jak zwykle robią to lekarze - poprzez praktykę. Zarzucił służbę w sądzie i zaczął zapełniać kolejne grube księgi opisami schorzeń, z którymi miał do czynienia, spisywał symptomy, użyte medykamenty, terapie i rezultaty. Zgodnie z wymogami prawnymi uczestniczył w przesłuchaniach janczarów, z których również sporządzał obszerne notatki.

Będąc pod wielkim wrażeniem poświęcenia i umiejętności swojego lekarza, sułtan zainteresował się jego badaniami i oddał do dyspozycji Ismaila ciała wszystkich janczarów, na których wykonano wyrok śmierci po nieudanym zamachu stanu w 1202 roku i w przypadku tych straconych kryminalistów uchylił religijny zakaz przeprowadzania dysekcji. Mieli do zrobienia mnóstwo

rzeczy w bardzo krótkim czasie, a w lodzie czekało na nich jeszcze sporo ciał. Sułtan osobiście uczestniczył w kilku dysekcjach i przy każdym cięciu zadawał szczegółowe pytania. Władca bardzo szybko docenił zalety przeprowadzonych sekcji zwłok.

Pewnej nocy 1207 roku sułtan wezwał doktora do pałacu w Wysokiej Porcie. Jeden z jego starszych koniuszych umierał i Selim kazał umieścić go w wygodnej pozycji na łożu, na jednej z szal wielkiej wagi, a na drugiej ustawić odważniki ze złota, w ten sposób, by obie szale unosiły się na tym samym poziomie pośrodku pokoju.

Kiedy starzec leżał na łóżku i rzęził ostatkiem sił, sułtan jadł popołudniowy posiłek i czekał. Zapewnił doktora, że eksperyment ten pozwoli stwierdzić obecność duszy, jeśli oczywiście takowa istniała, oraz jej ewentualny ciężar.

Ismail stał przy uniesionym łożu koniuszego, przykładając delikatnie palce do jego nadgarstka. Oddech mężczyzny stał się płytki i przeszedł w dyszenie. Sułtan wstał i odciągnął Ismaila na stronę, wskazując jednocześnie na niezwykle czuły punkt centralny wagi - nie wolno było niczego dotykać.

Starzec przestał oddychać.

- Zaczekajmy - wyszeptał sułtan - i popatrzmy.

Wszyscy się uważnie przyglądali. W pomieszczeniu było około dziesięciu osób, panowała cisza i bezruch, jakby cały świat zatrzymał się w biegu, aby wziąć udział w eksperymencie.

Powoli, bardzo powoli szala, na której leżał w łóżku martwy mężczyzna, uniosła się. Ktoś westchnął. Łoże podniosło się i wisiało nad ich głowami. Starzec ewidentnie stracił na wadze.

- Usunąć najmniejszy odważnik - wyszeptał sułtan. Jeden z jego strażników zdjął z szali kilka złotych listków, a potem kilka następnych. W końcu szala z martwym mężczyzną zaczęła opadać, aż znalazła się poniżej przeciwwagi. Strażnik położył z powrotem jeden złoty płatek i zręcznie wypoziomował wagę. Mężczyzna, umierając, stracił na wadze jedną czwartą grana.

- Fascynujące - stwierdził sułtan już normalnym głosem. Następnie wrócił do posiłku i skinął dłonią na Ismaila. - Chodź, zjedz coś. Później opowiesz mi, co sądzisz o tej chałastrze ze wschodu, która, jak mówią, zamierza nas pobić.

Lekarz odparł, iż nie ma zdania na ten temat.

- Z pewnością musiałeś gdzieś coś słyszeć - zachęcał go sułtan. - Powiedz mi, co na ten temat słyszałeś.

- Słyszałem to, co inni, że pochodzą z południowych Indii - odpowiedział posłusznie Ismail. - Pokonali Mogołów. Mają bardzo sprawną armię i marynarkę, która przenosi ich z miejsca na miejsce i ostrzeliwuje nabrzeżne miasta. Ich przywódca tytułuje się Keralą Trawankoru i podbił już Safawidów, zaatakował Syrię i Yemen...

- To wszystko stare informacje - przerwał mu sułtan. - Ismailu, ja chcę, żebyś mi to wytłumaczył. Jak im się udało to wszystko osiągnąć?

Ismail odpowiedział:

- Nie wiem, Ekscelencjo. W tych kilku listach, jakie otrzymałem od zaprzyjaźnionych lekarzy ze wschodu, nie było mowy o strategii wojen-nej. O ile mi wiadomo, ich armia potrafi się bardzo szybko przemieszczać, słyszałem, że nawet do stu lig dziennie.

- Sto lig! Jak to możliwe?

- Nie wiem. Jeden z moich znajomych pisał o sposobach leczenia ran poparzeniowych. Dowiedziałem się, że zazwyczaj oszczędzają jeńców i używają ich do pracy na roli na zdobytych ziemiach.

- Ciekawe. To Hindusi, prawda?

- Hindusi, buddyści, sikhowie. Oni chyba wyznają jakąś kombinację tych trzech wiar lub jakąś całkowicie inną religię, wymyśloną przez Keralę Trawankoru. Indyjscy guru często tak robią, a ten najwidoczniej jest jednym z nich.

Sułtan Selim potrząsnął głową.

- Jedz - rozkazał.

Ismail ujął w dłonie czarę z sorbetem.

- A czy oni używają greckiego ognia albo czarnej alchemii z Samarkandy?

- Nie wiem. Samarkanda, o ile mi wiadomo, opustoszała po latach zarazy i trzęsieniu ziemi, lecz alchemia mogła przetrwać i nadal rozwijać się w Indiach.

- A więc atakuje nas czarna magia - zastanowił się sułtan, a jego twarz przybrała zaintrygowany wyraz.

- Nie potrafię tego stwierdzić.

- A co z tą ich marynarką?

- Wiesz na ten temat więcej niż ja, Ekscelencjo. Słyszałem, że że-glują pod wiatr.

- Znowu jakieś czary!

- Raczej maszyny, Ekscelencjo. Jeden z sikhijskich korespondentów opowiedział mi kiedyś, że gotują wodę w

szczelnych kotłach, a parę z wielką siłą przepuszczają przez rury, niczym pociski w lufach pistoletów. Para napiera na łopatki, jak nurt rzeki na młyńskie koło i w ten sposób statek płynie do przodu.

- Przecież w ten sposób mógłby się poruszać jedynie do tyłu.

- Dla nich to jest właśnie do przodu, Ekscelencjo. Sułtan spojrzał na lekarza zdziwionym wzrokiem.

- A to nie wybucha?

- Jeśli coś pójdzie nie tak... Selim zastanowił się przez chwilę.

- To ci dopiero ciekawostka! Jeśli kula armatnia trafiłaby w kocioł z gotującą się wodą, wtedy cały statek wyleci w powietrze.

- Najprawdopodobniej tak. Sułtan byt już zadowolony.

- To będzie świetny trening dla moich artylerzystów. A teraz chodź ze mną!

I wyprowadził z pokoju całą świtę: sześciu strażników, kucharza,

kelnerów, astronoma, służącego i naczelnego, Czarnego Eunucha seraju Wszyscy udali się za doktorem, którego sułtan ujął pod ramię i przeprowadził przez Bramę Szczęśliwości, prosto do haremu, nie zwracając się ani słowem do strzegących go strażników i pozostawiając całą świtę na zewnątrz, aby sami ustalili, kto tym razem ma wejść za nim do środka. Ostatecznie weszli tylko kelner i Czarny Eunuch.

W seraju wszystko było z marmuru i złota, z jedwabiu i atłasu, ściany pokojów wejściowych pokrywały religijne malowidła i ikony z czasów Bizancjum. Sułtan skinął na Czarnego Eunucha, który płytkim ukłonem zgodził się pilnować odległych drzwi.

Po chwili pojawiła się jedna z konkubin, a za nią cztery służki. Była to młoda kobieta o rudych włosach i alabastrowej skórze. Nie była albinoską, miała naturalnie białą skórę i należała do tych sławnych, białych niewolnic seraju, które ocalały spośród rdzennych mieszkańców Firanii. Osmańscy sułtani wychowali wiele ich pokoleń, dbając przy tym o absolutną czystość krwi. Nikt spoza seraju nigdy nie oglądał tych kobiet i nikt poza pałacem sułtana nigdy nie widział mężczyzn używanych do rozpłodu.

Rude włosy młodej kobiety lśniły jak polerowana miedź, miała różowe sutki i niemal przezroczystą, białą skórę, spod której przeświytywały niebieskie żyły, szczególnie widoczne na piersiach, teraz nieco nabrzmiałych. Lekarz od razu zauważył, że dziewczyna była w ciąży. Sułtan najwyraźniej nie zwracał na to uwagi. Była jego ulubienicą i nadal posiadał ją każdego dnia.

Rozpoczęła się znana wszystkim rutyna. Odaliska podeszła do łoża osłoniętego draperią, sułtan podążył za nią i nawet nie trudził się, by zaciągnąć za sobą draperie. Asystujące kobiety pomogły dziewczynie odpowiednio ułożyć się na poduszkach, rozchyliły jej ramiona i uda, które uniosły nieco do góry. Selim, widząc to, rzekł:

- O tak. - I wszedł do łóżka.

Wyciągnął z pantalonów swój wzwiedziony członek i położył się na dziewczynie. Kołysali się razem w tradycyjny sposób, a po jakimś czasie sułtan zadrżał, wydał z siebie zduszony pomruk i skończył. Usiadł obok dziewczyny, głaskał jej brzuch i uda.

Spojrzał przez ramię na Ismaila, jakby coś przyszło mu do głowy, - Jak tam jest teraz? Tam, skąd pochodzi ta dziewczyna? - zapytał.

- Nie wiem, Ekscelencjo.

- Powiedz mi, co słyszałeś.

- Słyszałem, że Firania, rozciągająca się na zachód od Wiednia, jest podzielona między Andaluzyjczyków i Złotą Ordę. Andaluzyjczycy to w większości sunnici żyjący na starych ziemiach Franków i na wyspach na północ od nich. Oczywiście obecne są też frakcje sufickie i wahabickie, które walczą ze sobą o względy emirów. Wschód zaś to mieszanka Złotej Ordy i książąt powiązanych z Safawidami, z których wielu to szyici. Jest też wiele klasztorów sufich. Ponadto zajmują wyspy i Półwysep Rzymski, choć tam jest więcej Berberów i Maltańczyków.

Sułtan pokiwał głową.

- A więc rozwijają się.

- Tego nie wiem. Wiadomo, że pada tam o wiele częściej niż na stepach, i że wszędzie są góry albo wzgórza. Na północnych wybrzeżach rozciągają się równiny, tam uprawia się winogrona i inne rośliny. Z tego, co wiem, wynika, że Al-Andalus i Półwysep Rzymski mają się całkiem dobrze. O wiele gorzej jest za to na północ od gór. Mówią, że niziny nadal są nie do życia.

- A to niby dlaczego?

- Panuje tam zimny i wilgotny klimat, tak mówią. - Doktor wzruszył ramionami. - Do końca nie wiadomo, może biała skóra tamtejszych mieszkańców czyni ich bardziej podatnymi na zarazę. Tak twierdził niegdyś Al-Fregana.

- Teraz mieszka tam wielu dobrych muzułmanów i jak na razie nie zapadają na groźne choroby.

- Zgadza się. Są też bałkańscy Osmanowie, Andaluzyjczycy, Safawi-dzi, Złota Orda, sami muzułmanie, może oprócz garstki Żydów i Romów.

- Ależ islam jest różnorodny - zamyślił się sułtan, gładząc dłonią włosy tonowe swojej odaliski. - Opowiedz mi jeszcze raz, skąd pochodzą przodkowie tej dziewczyny?

- Z wysp leżących na północ od wybrzeży państwa Franków - zaryzykował twierdzenie lekarz - z Anglii. Tamtejsi mieszkańcy mieli wyjątkowo jasną karnację. Zaraza nie dotarła do najodleglejszych zakątków wysp, a mieszkające tam ludy zostały odkryte i zniewolone dopiero wiek czy dwa później. Ponoć nawet nie wiedzieli, że na świecie wszystko się zmieniło.

- Dobrą tam mieli ziemię?

- Raczej nie. Same skały i lasy. Żyli z hodowli owiec i połowu ryb. To były prymitywne ludy, podobnie jak te z Nowego Świata.

- A skąd mieli złoto?

- O ile wiem, Anglia była bardziej znana z cyny niż złota. - Ilu z ocalałych zabrano stamtąd?

- Z tego, co czytałem, wynika, że około kilku tysięcy. Większość wymarła bądź zmieszała się z resztą populacji. Być może jesteś w posiadaniu ostatnich żyjących przedstawicieli czystej krwi.

- Tak. A ta jest w ciąży z jednym z nich, ze wszystkim cię zaznajomię w odpowiednim czasie. Aby utrzymać linię, dbamy o mężczyzn równie dobrze, co o kobiety.

- Bardzo rozsądnie.

Sułtan spojrzał na Czarnego Eunucha.

- Jestem już gotów na Jasminę.

Do pokoju weszła następna dziewczyna, o głęboko czarnej skórze. Jej ciało bardzo przypominało ciało białej odaliski, lecz ta nie była w ciąży. Kiedy stały obok siebie, wyglądały jak dwie figury szachowe. Czarna dziewczyna zajęła teraz miejsce białej. Sułtan wstał i podszedł do niej.

- No cóż, Bałkany to smutna kraina - zadumał się - ale dalej na zachód jest chyba lepiej. Moglibyśmy przenieść stolicę imperium do Rzymu, tak jak oni przenieśli kiedyś swoją tutaj.

- Można by, ale Półwysep Rzymski jest w pełni zasiedlony.

- Wenecja też?

- Nie. Nadal jest pusta, Ekscelencjo. Często nawiedzają ją powodzie, a zaraza zebrała tam wyjątkowo bogate żniwo.

Selim wydął usta.

- Nie bardzo... ach, nie lubię wilgoci.

- Rozumiem, Ekscelencjo.

- No cóż, będziemy musieli walczyć z nimi na naszej ziemi. Przekażę moim żołnierzom, że najcenniejsze ćwierć grana ich jestestw, ich dusze, wzniosą się do Raju Dziesięciu Tysięcy Lat, jeśli umrą w obronie Wysokiej Porty. Będą tam żyć, tak jak ja żyję tutaj. Wyjdziemy na spotkanie najeźdźcom w cieśninach.

- Tak jest, Ekscelencjo.

- Zostaw mnie teraz samego.

Indyjska marynarka nie pojawiła się jednak na Morzu Egejskim, lecz

na Morzu Czarnym. Na Morzu Osmańskim stłoczyły się małe,

czarne

statki bez żagli, za to z kołami młyńskimi przy obu burtach i z komina-

mi sterczącymi z ich czarnych pokładów, z których buchały kłęby białe-

go dymu. Statki wyglądały jak pływające piece hutnicze i zdawać by się mogło, że powinny tonąć jak kamienie. A jednak nie tonęły. Zasnuwając wszystko gęstym dymem, przepłynęły przez słabo strzeżoną cieśninę Bosfor i, wysadziwszy w powietrze nabrzeżne baterie, zakotwiczyły w pewnej odległości od wybrzeża Wysokiej Porty. Stamtąd ostrzelali Pałac Topkapi oraz skromną gwardię honorową, broniącą tamtej strony miasta, od dawna zaniedbanej pod względem militarnym, gdyż od wieków nikt nie odważył się zaatakować Konstantynopola. Pojawienie się wrogów od strony Morza Czarnego zaskoczyło wszystkich.

Tak czy inaczej, byli teraz na miejscu i tak długo ostrzeliwali broniące się wojska, aż zapadła całkowita cisza. Następnie rozpoczęli ostrzał pałacowych murów i resztek baterii rozsianych po całym Złotym Rogu. Mieszkańcy miasta chowali się w domach i w meczetach albo uciekali z miasta na wieś, na drugą stronę Muru Teodozjusza. Po niedługim czasie miasto opustoszało. Na ulicach pozostała jedynie garść młodych mężczyzn, przyglądających się oblężeniu, a kiedy wydawało się, że stalowa flota nie zamierza więcej bombardować miasta, lecz tylko Pałac Topkapi, zdewastowany pomimo wzmocnionych murów, na ulice wyszło jeszcze więcej ludzi.

Wkrótce sułtan wezwał Ismaila do ostrzeliwanego pałacu. Lekarz zapakował do skrzyń całe stosy papierów, jakie zgromadził przez ostatnie lata: wszystkie notatki, historie chorób, szkice, próbki i okazy. Najchętniej wysłałby to wszystko do medresy medycznej w Nsarze, gdzie mieszkało i pracowało wielu jego zaufanych korespondentów, albo dó Trawankoru, kraju ich najeźdźców, gdzie również miał swoich medycznych korespondentów.

Teraz nie było jednak możliwości zrealizowania żadnej przesyłki, zostawił pakunki w swoim gabinecie, dołączył do nich notatki z opisem zawartości każdej ze skrzyń i pustymi ulicami udał się w stronę Wysokiej Porty. Był słoneczny dzień, z wielkiego, niebieskiego meczetu dobiegały głosy, lecz oprócz psów, na zewnątrz nie było nikogo, jak gdyby nastał dzień Sądu Ostatecznego, a Ismail został gdzieś daleko z tyłu.

Dla pałacu był to prawdziwy dzień sądu, pociski spadały na niego co kilka minut. Ismail wślizgnął się do środka zewnętrzną bramą, skąd zabrano go prosto do sułtana, który najwyraźniej był szczerze rozbawiony rozwojem wydarzeń, jak gdyby wszystko dookoła było jednym wielkim lunaparkiem. Selim III stał na najwyższej wieży Topkapi, skąd miał doskonały widok na bombardującą ich flotę i obserwował oblężenie przez długi, srebrny teleskop.

- Dlaczego te żelazne statki nie toną? - zapytał Ismaila. - Przecież one muszą być ciężkie jak skrzynie ze zlotem.

- W ich kadłubach zgromadzone jest powietrze, które pozwala im swobodnie unosić się na powierzchni - odpowiedział lekarz, robiąc przepraszającą minę z powodu niedoskonałości własnej

odpowiedzi. -Gdyby udało się poprzebijać te kadłuby, cała flota zatonęłaby szybciej niż statki drewniane.

Działo na jednym ze statków właśnie wypaliło, wyrzucając z siebie długą smugę dymu, a kadłub wyraźnie przechylił się na bok. Armaty strzelały nieustannie jedna po drugiej, z każdego statku po kolei. Były to niewielkie jednostki, jak duże dawy, pływające po zatoce, przypominające gigantyczne wodne robale.

Jeden z pocisków eksplodował w dole, tuż przy pałacowym murze po ich lewej stronie. Ismail poczuł pod stopami wstrząs. Westchnął.

Sułtan spojrzał na niego.

- Co, strach cię obleciał?

- Tak jakby, Ekscelencjo. Sułtan uśmiechnął się pod nosem.

- Chodź, pomożesz mi zdecydować, co zabrać. Będę potrzebował tylko tego, co najcenniejsze. - Po chwili zauważył coś na niebie. - Co to takiego? - Przyłożył oko do teleskopu. Ismail spojrzał do góry. Na niebie unosiła się czerwona plama, która dryfowała z wiatrem ponad miastem i wyglądała jak wielkie, czerwone jajo.

- Tam wisi jakiś kosz! - Wykrzyknął sułtan. - A w koszu siedzą ludzie! - Roześmiał się. - Ci to rzeczywiście noszą się wysoko!

Ismail przysłonił oczy dłonią.

- Czy mógłbym spojrzeć przez lunetę, Ekscelencjo?

Pod białymi, pierzastymi chmurami płynęła w ich stronę czerwona plama.

- Ciepłe powietrze unosi się do góry - powiedział zaskoczony Ismail, kiedy w końcu do niego dotarło. - Muszą tam mieć jakiś

źródło ciepła, koksiak albo niewielki piec. Powietrze nagrzane od płomieni unosi się i gromadzi w worku powyżej, w ten sposób całość wzlatuje w powietrze i leci z wiatrem.

Sułtan znów się uśmiechnął.

- Wspaniale - zabrał Ismailowi lunetę - nie widzę jednak żadnych Płomieni.

- To musi być niewielki ogień, w przeciwnym razie worek mógłby się zapalić. Pewnie mają jakiś specjalny mały piec opalany węglem

drzewnym, którego z tej odległości nie widać. Jeśli będą chcieli wylądować, wtedy przygaszą ogień i opadną miękko na ziemię.

- Też tak chcę - oznajmił sułtan. - Dlaczego nie zbudowałeś dla mnie czegoś takiego?

- Nie pomyślałem o tym.

Teraz sułtan był już w wyjątkowo dobrym humorze. Czerwona, rosnąca plama, sunęła w ich stronę.

- Miejmy nadzieję, że wiatr poniesie ich gdzie indziej - zauważył Ismail.

- Nic podobnego! - zawołał suitan. - Chcę zobaczyć, co jeszcze potrafią.

Jego życzenie wkrótce się spełniło. Latający worek unosił się teraz nad pałacem, tuż pod chmurami, na chwilę nawet zniknął w jednej z nich, co najmocniej uświadomiło Ismailowi fakt, iż ten wynalazek naprawdę latał w powietrzu jak ptak!

- Zestrzelić ich! - krzyczał rozentuzjazmowany sułtan. – Zestrzelić ten worek!

Straż pałacowa spróbowała swoich sił, lecz ostatniej armaty

ocalałej na zburzonym murze nie dało się ustawić pod takim kątem, aby strzał dosięgnął czerwonego celu. Do dzieła przystąpili więc muszkieterowie. Rozległy się tępe trzaski muszkietów, a po nich krzyki sułtana. Gryzący dym spalanego prochu strzelniczego wypełnił powietrze, mieszając się z zapachem cytrusów, jaśminu i gęstego kurzu. Lecz z tego, co zdołali dostrzec, wynikało, że ani kosz, ani worek nie został trafiony. Sądząc po maleńkich twarzach wyglądających znad. krawędzi kosza, owiniętych grubymi, wełnianymi szalami, cel znajdował się poza zasięgiem broni, pomyślał Ismail.

- Kule nie sięgają tej wysokości - powiedział.

Lecz ta sama wysokość wcale nie przeszkadzała pilotom zrzucać z góry różnych przedmiotów. Ludzie w latającym koszu pomachali tym na dole, a po chwili na tle nieba pojawił się spadający czarny punkt, jak pikujący jastrząb, nadzwyczaj zbity i szybki jastrząb, który wbił się prosto w dach jednego z wewnętrznych budynków i eksplodował, rozsiewając odłamki dachówek po całym podwórzu i ogrodzie.

Sułtan wrzasnął ekstatycznie. Na pałac spadły jeszcze trzy prochowe bomby. Jedna z nich uderzyła w mur, gdzie wokół działa stała grupa żołnierzy. Wszyscy zginęli na miejscu, a w murze powstała wielka wyrwa.

Ismaila rozbolały uszy nie tyle od wybuchów, co od krzyków sułtana, który wskazał na żelazne statki.

- Podchodzą!

Statki rzeczywiście podpłynęły bliżej brzegu, po czym opuściły na

wodę lodzie pełne ludzi. W trakcie desantu stalowa flota nasiliła ostrzał. W drodze na ląd, tam gdzie miejskie mury obrócono w gruzy, nieprzyjacielskie łodzie nie napotkały żadnego oporu.

- Wkrótce tu będą - ośmielił się stwierdzić Ismail. Tymczasem latający worek odpłynął wraz z koszem na zachód, mijając pałac i przelatując nad polami za murami miasta.

- Chodźmy - powiedział Selim, łapiąc Ismaila za rękę - musimy się śpieszyć.

Zbiegli na dół po zniszczonych marmurowych schodach, za nimi podążyła świta. Sułtan poprowadził wszystkich przez labirynt przejść i pokoi, głęboko do pałacowych podziemi.

Tam na dole lampy oliwne z ledwością oświetlały komnaty, w których zgromadzono łupy z czterech wieków panowania Osmanów, być może były tam też skarby Bizancjum, jeśli nie Rzymian, Greków albo Hetytów czy Sumerów - wszystkie bogactwa świata, złożone w sąsiadujących ze sobą pomieszczeniach. Jedno z nich było całkowicie wypełnione zlotem, głównie w postaci monet i sztab, inne bizantyjską sztuką sakralną, następne starą bronią, kolejne meblami z rzadkich gatunków drewna i futrami, a inne znów blokami kolorowych skał, nieprzedstawiającymi, według Ismaila, żadnej wartości.

- Nie ma czasu, żeby to wszystko przebierać - zauważył, krocząc za sułtanem.

Selim tylko się roześmiał. Przemknął przez długą galerię obrazów i rzeźb do małego pomieszczenia, w którym nie było nic oprócz rzędu toreb ustawionych na długiej ławie.

- Weźcie to! - rozkazał swoim służącym, kiedy tylko do nich dołączyli. Chwilę później ruszył dalej.

Doszli do schodów, schodzących w głąb skał, na których stał pałac. Dziwny to był widok: gładkie marmurowe stopnie, wcinające się w skalistą czeluść, wiodące wprost do wnętrza Ziemi. Zgodnie z wiedzą Ismaila, podziemny zbiornik wodny, z którego miasto czerpało wodę pitną, znajdował się o wiele dalej na południowy wschód. Kiedy zeszli na sam dół, do niskiej, naturalnie ukształtowanej jaskini, przez którą Przepływał podziemny potok, natknęli się na kamienne nabrzeże z przycumowaną doń długą i wąską barką, strzeżoną przez żołnierzy sułtana. Pochodnie i lampiony rozświetlały podziemny mrok. Najwyraźniej znajdowali się w bocznym korytarzu, prowadzącym do głównego zbiornika.

Selim zwrócił uwagę Ismaila na strop wokół schodów, którymi przed chwilą schodzili. Ismail zauważył szczeliny i specjalnie wywiercone otwory, w których umieszczono ładunki wybuchowe. Kiedy już odpłyną i będą daleko stąd, wejście zostanie wysadzone, a część budynków pałacowych zapadnie się. Tak czy inaczej, droga ich ucieczki zostanie zawalona, dzięki czemu złapanie ich będzie niemożliwe.

Mężczyźni zajęli się załadunkiem barki, po czym sułtan osobiście sprawdził wszystkie pakunki i kiedy byli już gotowi do odpłynięcia, władca uśmiechnął się i własnoręcznie odpalił lonty. Ismail przyglądał się całej scenie w miękkim świetle smołowych pochodni. Był to obraz rodem z bizantyjskich ikon, które zostawili za sobą w pałacowym skarbcu.

- Połączymy się z armią bałkańską, przepłyniemy Adriatyk i popłyniemy do Rzymu - ogłosił sułtan. - Najpierw podbijemy zachód, a później wrócimy tu i rozgromimy niewiernych za ich zuchwalstwo!

Barkarze rozchmurzyli się, słysząc od swoich oficerów sygnał do odpłynięcia, który niósł się po tafli podziemnego jeziora i odbijał tysięcznym echem od kamiennego nieba ponad ich głowami. Sułtan z radością przyjął ich gotowość i entuzjazm, po czym wszedł na pokład barki, podtrzymywanej przez trzech czy czterech jego ludzi. Nikt nie zauważył, jak Ismail odwrócił się i pobiegł w przeciwnym kierunku, do góry, schodami, które wkrótce miały legnąć w gruzach.

2

Trawankor

Jak się okazało, strażnicy sułtana rozmieścili w pałacu więcej bomb. Zniszczeniu uległy również klatki zwierząt i mury w pałacowym zoo, więc kiedy Ismail pokonał wszystkie stopnie i wyłonił się z powrotem na powierzchnię, zastał całą okolicę pogrążoną w chaosie. Zarówno najeźdźcy, jak i obrońcy biegali we wszystkich kierunkach, uciekając przed słoniami, lwami i żyrafami lub goniąc je. Para czarnych nosorożców, wyglądających jak potwory z koszmarów, przedzierała się, krwawiąc, przez tłum wrzeszczących i strzelających na oślep ludzi-Ismail podniósł ręce, w każdej chwili spodziewał się śmiertelnego strzału i pomyślał przez chwilę, że ucieczka z Selimem wcale nie była takim złym pomysłem.

Nic jednak im się nie stało, w odróżnieniu od zwierząt i niektórych

strażników pałacowych, którzy leżeli martwi bądź ranni. Reszta poddała się i była trzymana pod strażą. Teraz już wiedział, że krążące plotki były nieprawdą, a urządzanie masakry pokonanych nie było w zwyczaju tych ludzi. Wręcz przeciwnie, zaczęto w pośpiechu wyprowadzać jeńców z terenu pałacu, jako że ziemią zaczęły wstrząsać potężne eksplozje, a z klatek schodowych i okien buchały smugi dymu, waliły się ściany i dachy - w obliczu podziemnych eksplozji i oszalałych zwierząt naj-mądrzej było opuścić Topkapi na jakiś czas.

Wszystkich jeńców zgromadzono po zachodniej stronie Wysokiej Porty, tuż pod Murem Teodozjusza, gdzie znajdował się plac defilad, na którym niegdyś sułtan dokonywał przeglądu wojsk i jeździł konno. Eunuchowie i zwarty mur strażników otoczyli kobiety z seraju, które skrywały się pod czadorami. Ismail siedział razem z resztką świty sułtana: z astronomem, ministrami różnych departamentów, kucharzami, służącymi i innymi.

Dzień się kończył i wszyscy mocno już zgłodnieli. Późnym wieczorem grupa indyjskich wojskowych przyniosła im worki z płaskim chlebem. Byli to niscy, ciemnoskórzy mężczyźni.

- Jak się nazywasz? - zapytał Ismaila jeden z nich.

- Ismail ibn Mani al-Dir.

Mężczyzna przeciągnął palcem po kartce papieru, zatrzymał się na czymś i pokazał drugiemu. Ten, zapewne oficer, zaczął sprawdzać Ismaila.

- Czy to ty jesteś doktorem Ismailem z Konstantynopola, który pisał listy do Bhakty, przeoryszy szpitala w Trawankorze?

- Tak, to ja - odpowiedział Ismail.

- Chodź ze mną, proszę.

Ismail wstał i poszedł za mężczyzną, a idąc, jadł podarowany im chleb. Jak go nie stracą, przynajmniej nie umrze z głodu. Z drugiej strony, nic nie wskazywało, żeby prowadzili go na śmierć, wręcz przeciwnie, pojawienie się imienia Bhakty mogło wskazywać na zupełnie coś innego.

W skromnym, acz przestronnym namiocie mężczyzna za biurkiem przesłuchiwał więźniów, lecz Ismail nie poznawał żadnego z nich. Zaprowadzono go na sam przód kolejki, a przesłuchujący oficer spojrzał na niego badawczym wzrokiem i odezwał się po persku:

- Twoje nazwisko znajduje się wysoko na liście osób, mających stawić się u Kerali Trawankoru.

- Jestem zaskoczony.

- Należą ci się gratulacje. To na prośbę samej Bhakty, przeoryszy szpitala w Trawankorze.

- Tak, mojej wieloletniej korespondentki.

- Wszystko zatem wyjaśnione. Pozwól proszę, że kapitan zaprowadzi cię na statek odpływający do Trawankoru. Zanim jednak odejdziesz, jeszcze jedno pytanie. Z moich informacji wynika, że jesteś powiernikiem sułtana, czy to prawda?

- To prawda.

- Czy wiesz, dokąd on się udał?

- Zbiegł razem z obstawą - odpowiedział Ismail. - O ile wiem, mieli skierować się na Bałkany z zamiarem odtworzenia sułtanatu na zachodzie.

- Czy wiesz, w jaki sposób uciekli z pałacu?

- Nie wiem, nie zabrali mnie ze sobą.

Było dokładnie tak, jak słyszał Ismail. Ich mechaniczne statki napędzała energia ognia, pochodząca z rozpalonych pieców, które gotowały wodę, wytwarzając parę, pod ciśnieniem przepuszczaną rurami i doprowadzaną do kół łopatkowych, umieszczonych w dużych, drewnianych ramach przy obu burtach kadłuba. Ilość pary dochodzącej do każdego z kół była regulowana za pomocą zaworów, dzięki czemu taki statek potrafił wykonać zwrot, stojąc w miejscu. Hucząc i buchając, jednostka płynęła pod wiatr, podskakując niezgrabnie na falach i wzbijając bryzgi wysoko ponad pokład. Kiedy wiatr wiał od rufy, załoga wciągała na maszt niewielki żagiel, tak że statek płynął w tradycyjny sposób, korzystając z dodatkowego napędu kół. W piecach palono węglem kamiennym, załoga opowiadała o jego złożach w górach Iranu, których ponoć miało starczyć dla ich statków do samego końca świata.

- Kto zbudował tę flotę? - zapytał Ismail.

- Rozkaz wydał sam Kerala Trawankoru. Handlarzy stalą nauczono budowy pieców, bojlerów i kół łopatkowych, a resztą zajęli się budowniczowie statków z południowych wybrzeży Morza Czarnego.

Zawinęli do małego portu w okolicy starego Trapezuntu. Ismaila przydzielono do grupy jadącej na południowy wschód - przez Iran, przez pasma spalonych słońcem wzgórz, przez pokryte śniegiem góry - do Indii. Wszędzie napotykali oddziały niskich, ciemnoskórych ludzi, odzianych w białe szaty i dosiadających koni.

W każdym mieście i na każdym skrzyżowaniu stały wyeksponowane działa na ogromnych kołach. Wszystkie miasta wyglądały na świetnie zachowane, ruchliwe i rozwijające się. Konie zmieniali w ufortyfikowanych posterunkach, prowadzonych przez wojsko, i tam też spali. Wiele tych baz mieściło się u podnóża wzgórz, gdzie przez całą noc płonęły ogniska. Żołnierze przysłaniali płomienie w różnych odstępach czasu i w ten sposób przesyłali wiadomości na długie odległości po całym nowym imperium. Kerala byt tym czasem w Delhi i miał wrócić do Trawankoru za kilka tygodni, przeorysza Bhakta przebywała natomiast w Benaresie i jej spodziewano się w Trawankorze za parę dni. Ismailowi przekazano informację, że przeorysza z niecierpliwością oczekuje spotkania z nim.

Tymczasem Ismail przekonywał się, jak wielki, aczkolwiek nie nieskończony, jest świat. Po dziesięciu dniach nieprzerwanej jazdy konnej przeprawili się przez Indus. Na zielonym, zachodnim brzegu spotkała ich kolejna niespodzianka. Przesiedli się na żelazne wózki, które, tak jak ich żelazne statki, miały żelazne koła, i poruszały się po długich nasypach, na których ułożona była para żelaznych szyn, po których wózki toczyły się tak gładko, jakby unosiły się nad ziemią. W ten sposób przejechali przez stare miasta, od lat zarządzane przez Mogołów. Nasyp przecinał nierówną granicę Dekanu i ciągnął się dalej na południe, przez krainę niekończących się gajów kokosowych. Mknęli, napędzani siłą pary wodnej, tak szybko jak wiatr, prosto do Trawankoru, na południowo-zachodnie wybrzeże Indii.

Po ostatnich sukcesach imperium sprowadziło się tam mnóstwo ludzi, jechali teraz wolno przez strefę sadów i pól z nieznanymi Ismailowi uprawami, aż w końcu dojechali do granic miasta. Na przedmieściu roiło się od nowych zabudowań, obozowisk, tartaków i magazynów, w rzeczywistości wszystko w promieniu wielu lig wyglądało na jeden wielki plac budowy.

Wewnętrzna część miasta również była w trakcie przebudowy. Sznur żelaznych wagonów zatrzymał się na dużym placu, poprzecinanym parami szyn. Wysiedli i przeszli przez bramę, prosto do centrum miasta. Pośrodku parku, który zajmował większą część starego centrum stał pałac z białego marmuru, całkiem niewielkich rozmiarów w porównaniu z Wysoką Portą. Z parku roztaczał się widok na port

z zacumowanym mnóstwem przeróżnych statków, a po południowej stronie widać było stocznię. W zielone, płytkie morze wcinał się długi falochron, a na wodach między stałym lądem a podłużną wyspą roiło się, podobnie jak i w porcie, od statków i łodzi żaglowych i wiosłowych.

W porównaniu z zakurzonymi i niemrawymi portem Konstantynopola, tutaj było jak w mrowisku.

Ismaila powieziono na koniu przez tętniące życiem miasto, wzdłuż wybrzeża, do gaju palmowego, który stał przy szerokiej, żółtej plaży. Tutejszy klasztor buddyjski otoczony był solidnym murem, a w długiej drodze przez gaj mijali wiele nowo postawionych budowli. Spomiędzy nabrzeżnych zabudowań wyrastał szeroki pirs, przy którym stało kilka parostatków. Dotarli do

siedziby sławnego szpitala w Trawankorze.

Wewnątrz klasztornych zabudowań było spokojnie i bezwietrznie, Ismaila zaprowadzono do jadalni i podano posiłek, następnie zaproszono do łaźni, aby zmył z siebie brud podróży. Łaźnia wyłożona była kaflami i miał do wyboru baseny z zimną lub gorącą wodą, w zależności od upodobania, te ostatnie zaś znajdowały się na otwartym powietrzu.

Z tyłu łaźni, na zielonym trawniku stał niewielki pawilon, otoczony kwiatami. Ismail przywdział ofiarowane mu czyste szaty i przeszedł boso po krótko przyciętej trawie do pawilonu, gdzie starsza kobieta dyskutowała z grupą ludzi.

Kiedy zobaczyła ich, przerwała rozmowę, a przewodnik Ismaila przedstawił go.

- Ach, cóż za przyjemność - odezwała się kobieta w języku Persów. - Nazywam się Bhakta, jestem tutejszą przeoryszą i twoją oddaną korespondentką. - Wstała i ze złożonymi dłońmi ukłoniła się Ismailowi. Miała wykoślawione palce i sztywny chód, Ismailowi wyglądało to na artretyzm. - Witamy w naszym domu. Pozwól, że naleję ci herbaty, a może wolisz kawę?

- Może być herbata - odpowiedział Ismail.

- Bodhisattwo - rzekł goniec do przeoryszy - następnego księżyca odwiedzi nas Kerala.

- To wielki zaszczyt - odpowiedziała przeorysza - księżyc wejdzie wówczas w koniunkcję z gwiazdą poranną. Czy starczy nam czasu na skończenie mandali?

- Takie są nadzieje.

- To dobrze. Przeorysza upiła łyk herbaty.

- Dlaczego nazwał cię bodhisattwą? - zagadnął Ismail. Przeorysza uśmiechnęła się jak dziewczynka:

- To oznaka uwielbienia, niemająca oparcia w rzeczywistości. Jestem skromną mniszką, która, dzięki Kerali, dostąpiła zaszczytu prowadzenia szpitala.

- Nie wspominałaś o tym, kiedy pisaliśmy do siebie. Myślałem, że jesteś zwykłą mniszką, mieszkającą w czymś na kształt medresy połą czonej ze szpitalem.

- Przez długi czas tak było.

- Kiedy zostałaś przeoryszą?

- Według twojego kalendarza, był rok 1194. Poprzednim opatem był japoński lama, który ze swoimi braćmi i siostrami praktykował japońską odmianę buddyzmu, przyniesioną tu przez jego przodków, po podbiciu Japonii przez Chińczyków. W Chinach prześladowano nawet chińskich buddystów, a w Japonii było jeszcze gorzej, więc przenieśli się tutaj, a właściwie najpierw do Sri Lanki, a później tu.

- Rozumiem, że to oni zaczęli zgłębiać arkana medycyny.

- Tak, mój poprzednik był wyjątkowo spostrzegawczy i ciekawy świata. Z reguły patrzymy na świat, jakby ciągle trwała noc, on zaś stał w światłości poranka, gdyż dzięki regularnym doświadczeniom sprawdził prawdziwość tego, co dziś uważamy za pewne. Potrafił wyczuwać energię, emanującą z różnych rzeczy, potęgę ruchu, opracował przeróżne technologie i przetestował je na wiele sposobów. Nadal przechodzimy przez drzwi, które dla nas otworzył.

- Podążając za nim, zwiedzasz wiele nowych miejsc.

- Tak, ciągle objawia się coś nowego, poza tym bardzo ciężko pracujemy, odkąd opuścił swoje ciało. Dzięki szybkiemu rozwojowi żeglugi trafia do nas coraz więcej pożytecznych i zadziwiających tekstów, niektóre nawet z Firanii. Mam coraz silniejsze wrażenie, że wyspa zwana Anglią była czymś w rodzaju nienarodzonej Japonii po drugiej stronie świata. Teraz mają tam rosnące od stuleci lasy, które porastają stare ruiny. Drewna im nie brakuje, więc handlują nim i sami budują statki. Przywożą nam książki i rękopisy, odnalezione w ruinach, a naukowcy z Trawankoru, którzy nauczyli się tamtejszych języków, przekładają co ciekawsze z nich. Tacy ludzie, jak Mistrz z Henly, byli bardziej rozwinięci, niż myślisz. Popierali wydajność organizacji i precyzyjną księgowość, przeprowadzali kontrole ksiąg i wykonywali testy na danych finansowych w celu ustalenia zysków - jednym słowem prowadzili swoje gospodarstwa w sposób racjonalny, zupełnie tak jak my. Wykorzystywali energię rzek do napędzania miechów, potrafili rozpalać piece do białosci lub przynajmniej uzyskiwać jasnożółty ogień i już w tamtych czasach niepokoił ich proces degradacji lasów. Mistrz z Henly obliczył, że w ciągu czterdziestu dni w jednym piecu można spalić wszystkie drzewa w lesie w promieniu yoganda.

- Prawdopodobnie kiedyś znowu tak będzie - powiedział Ismail.

- Szybciej niż się tego spodziewamy. Tymczasem, właśnie dzięki temu się bogacą.

- A jak jest tutaj?

- My bogacimy się inaczej. Pomagamy Kerali, a on, z miesiąca na

miesiąc, powiększa królestwo i wewnątrz jego granic inicjuje szeroki postęp. Zbiory są coraz obfitsze, produkuje się coraz więcej tkanin i jest coraz mniej wojen i rozbójnictwa.

Bhakta oprowadziła Ismaila po całym obiekcie. Kompleks świątynny przecinała bystra rzeka, której wody przepływały przez cztery młyny, wprawiając w ruch ich wielkie, drewniane koła, a następnie przez śluzę wpadały do dużego zbiornika. Ziemię wokół rwącego strumienia porastał zielony trawnik i palmy kokosowe, tylko drewniane hale, stojących nieopodal, po obu stronach rzeki młynów ciągle huczały, stukotały i wyły, a biały dym buchał z kominów sterczących ponad dachami.

- Odlewnia, huta, tartak i manufaktura.

- W listach wspominałaś też o prochowni.

- Tak, ale Kerala nie chciał nas tym obarczać, jako że buddyzm z reguły wyrzeka się przemocy. Nauczyliśmy jego armię kilku rzeczy o budowie broni, bo przecież to w końcu oni mają bronić Trawankoru. Prosiliśmy o to Keralę, powiedzieliśmy mu o tym, jak ważna dla buddysty jest praca na rzecz dobra, a on obiecał, że na wszystkich ziemiach, które kiedykolwiek znajdą się pod jego rządami, ustanowi prawo, które będzie trzymać ludzi z dala od występku i przemocy. Efekt jest taki, że sami pomagamy mu bronić ludzi. Niejeden patrzy na to podejrzliwie, widząc, jak postępują inni władcy. Ten jednak bardzo interesuje się prawem. Koniec końców, robi to, co mu się podoba, lecz wiedz, że on naprawdę miłuje prawo.

Ismail przypomniał sobie niemal bezkrwawe zakończenie podboju

Konstantynopola.

- Coś w tym musi być. Inaczej już byłbym martwy.

- To prawda. Opowiedz mi o tym. Słyszałam, że stolica Osmanów nie broniła się zbyt zaciekle.

- Tak, ale częściowo stanowiło to skutek zaciekłego ataku. Ludzie byli zdezorientowani waszą żelazną flotą i workami latającymi na niebie.

Bhakta słuchała z zaciekawieniem.

- Muszę przyznać, że to nasza robota, choć zgodzisz się ze mną, że statki wcale nie prezentują się okazale.

- Wystarczy, że każdy z nich jest przenośną baterią artylerii.

- Przeorysza skinęła głową.

- Mobilność to jedno z haseł przewodnich Kerali.

- Trudno o lepszy pomysł. W ostatecznym rozrachunku mobilność zawsze bierze górę. Przy okazji można zbombardować wszystko, co znajduje się w zasięgu strzału od morskiego brzegu. Tak się jednak złożyło, że Konstantynopol w całości leży w zasięgu strzału z morza.

- Wiem, co chcesz powiedzieć.

Po skończonej herbacie przeorysza oprowadziła Ismaila po klasztorze, warsztatach, dokach i stoczniach, w których panował hałas i zgiełk. Późnym popołudniem udali się z powrotem do szpitala i Bhakta zaprowadziła Ismaila do pomieszczeń, w których odbywały się zajęcia dla mnichów, uczących się medycyny. Wszyscy nauczyciele zebrali się, aby go powitać i pokazać mu półkę na wielkim regale z książkami i papierami, przeznaczoną na

listy i szkice, które przez wiele lat wysyłał Bhakcie. Jego własne dzieła zostały skatalogowane według systemu, którego nie potrafił zrozumieć.

- Każda strona została wielokrotnie skopiowana - powiedział jeden z mężczyzn.

- Wasze praktyki są całkiem inne od chińskiej medycyny - zauważył inny. - Mamy nadzieję, że zechcesz porozmawiać z nami o różnicach między ich teorią a waszą.

Ismail potrząsnął głową, przeglądając pozostałości po swoim poprzednim życiu. Nigdy by nie powiedział, że napisał aż tak wiele. Pewnie na tej półce również leżało wiele duplikatów.

- Nie mam żadnej teorii - powiedział - spisywałem tylko to, co widziałem. - Jego twarz skamieniała. - Oczywiście z chęcią porozmawiam z wami, o czymkolwiek będziecie chcieli.

Przeorysza powiedziała:

- Najlepiej byłoby, gdybyś mówił do całego zgromadzenia. Z pewnością wielu chciałoby cię posłuchać i zadać pytania.

- Oczywiście.

- Dzięki ci. Zatem jutro zbierzemy się wszyscy.

W mieście rozległ się dzwon zegara, obwieszczający nadejście pełnej godziny i zmiany warty.

- Jakiego zegara używacie?

- Jednej z wersji wahadła rtęciowego, pomysłu Bhaskary - odpowiedziała Bhakta i poprowadziła Ismaila do wysokiego budynku, w którym znajdował się zegar. - Jest nieoceniony przy obliczeniach astronomicznych. Używając go, Kerala ogłosił

nadejście nowego roku o wiele dokładniej niż kiedykolwiek wcześniej. Mówiąc szczerze, przeprowadzamy teraz próby z chronometrami o mechanizmie wychwytu napędzanym doczepionymi ciężarkami. Testujemy również zegary z mechanizmem sprężynowym, które mogą przydać się na morzu, gdzie precyzyjny pomiar czasu jest niezbędny do ustalenia długości geograficznej.

- O nawigacji wiem niewiele.

- Wiem. Zajmujesz się przecież medycyną.

- Zgadza się.

Następnego dnia udali się z powrotem do szpitala, gdzie w przestronnej sali operacyjnej zebrało się liczne grono mnichów i mniszek ubranych w brązowe, rdzawoczerwone i żółte szaty. Audytorium rozsiadło się na ziemi, a Bhakta nakazała asystentom przynieść i rozłożyć przed Ismailem grube księgi i atlasy z rycinami anatomicznymi, w większości autorstwa Chińczyków.

Wszyscy czekali w milczeniu, aż zacznie mówić, więc odezwał się:

- To dla mnie zaszczyt, móc podzielić się z wami moją wiedzą. Nie mam pewności, czy to, co mam do powiedzenia, przyda się wam w praktyce, gdyż niewiele mi wiadomo na temat jakiegokolwiek formalnego systemu medycyny. Studiowałem nieco starożytnych klasyków greckich, przełożonych przez Ibn Sina i innych, lecz niewiele z nich skorzystałem. Trochę z Arystotelesa, nieco więcej z Galena. Osmańska medycyna sama w sobie nigdy nie była czymś nadzwyczajnym. Prawdę mówiąc, nigdzie nie

znalazłem ogólnej teorii, która pasowałaby do tego, co widziałem na własne oczy, więc już dawno temu zaniechałem stawiania wszelkich hipotez na rzecz szkiców i opisów tylko tego, co widziałem. Musicie zatem opowiedzieć mi co nieco o tych chińskich systemach, jeśli potraficie opisać je w języku perskim, a ja powiem wam, w jakim stopniu pokrywają się one z moimi obserwacjami. – Wzruszył ramionami. - To wszystko, co mogę zrobić.

Wszyscy wpatrywali się w Ismaila, a on niespokojnie mówił dalej:

- Jak dobrze, że jest perski. Ten język jest jak pomost między islamem i Indiami. - Pomachał ręką. - Są jakieś pytania?

Bhakta zdecydowała się przerwać milczenie.

- Porozmawiajmy o meridianach. Chińczycy mówią, że przebiegają one przez ludzkie ciało, od powierzchni skóry do wewnątrz i z powrotem.

Ismail spojrzał na szkice ciała ludzkiego, które pokazała mu w jednej z ksiąg.

- Czy to nie są nerwy? - powiedział. - Niektóre kanały pokrywają się z przebiegiem głównych nerwów. Później jednak zbaczają. Nigdy nie widziałem, żeby nerwy krzyżowały się w taki sposób, od policzka do karku, wzdłuż kręgosłupa, do uda, a później do góry, aż do pleców. Nerwy najczęściej rozgałęziają się jak konary migdałowca, a naczynia krwionośne jak gałęzie brzozy. Żadne jednak nie krzyżują się tak, jak te na tej rycinie.

- Nie uważamy, aby meridiany były nerwami.

- Czym więc są? Czy kiedykolwiek natknęliście się na nie podczas autopsji?

- Nie wykonujemy autopsji. Kiedy nadarzała się okazja do zbadania rozszarpanych zwłok, ich części wyglądały dokładnie tak, jak to opisywałeś w swoich listach. Mądrość Chińczyków wyrasta z wielowiekowej tradycji i jest wyrafinowana, poza tym osiągają oni wspaniale wyniki, wbijając, na przykład, cienkie igły w odpowiednie punkty na meridia-nach i używając wielu innych technik.

- Skąd to wiadomo?

- No cóż, niektórzy z nas sami tego doświadczyli. Najczęściej jednak wiedzę czerpiemy bezpośrednio od nich. Może Chińczycy odkryli jakiś subtelniejszy układ w organizmie człowieka, układ, którego nie widać gołym okiem? Czy jesteś pewny, że nerwy są jedynym przewodnikiem ruchu do mięśni?

- Tak sadzę - odpowiedział Ismail. - Wystarczy, że się przetnie odpowiedni nerw, aby mięśnie znajdujące się powyżej niego przestały się poruszać, albo podrażnić jakiś nerw i obserwować reakcję odpowiadającego mu mięśnia.

Słuchacze wpatrywali się w niego ze skupieniem. Zabrał glos jeden ze starszych mężczyzn:

- Być może w ciele odbywa się jeszcze inny rodzaj przekazywania energii, niekoniecznie poprzez nerwy, lecz poprzez kanały, które są tak samo potrzebne jak nerwy czy naczynia krwionośne.

- Być może, lecz zechciej spojrzeć tutaj - odpowiedział wskazując na jeden z diagramów. - Nie uwzględniono tu trzustki ani nadnercza, a oba organy odgrywają bardzo ważne role.

Na to Bhakta odezwała się:

- Według nich jest jedenaście najistotniejszych organów, pięć jin i sześć Jang: serce, płuca, śledziona, wątrobai nerki...

- Śledziona nie jest niezbędna.

- ... i sześć organów jang: woreczek żółciowy, żołądek, jelito cienkie, jelito grube, pęcherz i potrójny ogrzewacz.

- Potrójny ogrzewacz? Co to takiego?

Odczytała chiński komentarz pod rysunkiem.

- Mówią, że ma swoją nazwę, lecz nie ma kształtu. Łączy w sobie efekt działań wielu organów, regulujących żywioł wody, na tej samej zasadzie, co ogień, którego zadaniem jest kontrola wody. Górny ogrzewacz jest mgłą, środkowy pianą, a dolny bagnem, odpowiadają odpowiednio głowie i szczytowym partiom ciała, części środkowej, od linii sutków do pępka i dolnej, w okolicach brzucha, podbrzusza i poniżej pępka.

Ismail potrząsną głową.

- A czy znaleźli te ogrzewacze podczas dysekcji?

- Oni, podobnie jak i my, rzadko wykonują dysekcje. Obowiązują ich te same zakazy religijne. Kiedyś, za czasów Sung, około 390 roku według islamu, wykonali dysekcje na ciałach czterdziestu sześciu buntowników.

- Nie sądzę, aby to w czymś pomogło. Zanim cokolwiek stanie się jasne, trzeba wykonać wiele autopsji i wiwisekcji, odrzucając wszelkie przyjęte z góry osądy.

W tej chwili już wszyscy mnisi i wszystkie mniszki wpatrywały się w niego z dziwnym wyrazem twarzy, lecz on mówił dalej, przyglądając się rysunkom.

- To coś co krąży w ludzkim ciele, we wszystkich jego częściach, nie mają czasem na myśli krwi?

- To zbilansowana mieszanka fluidów, niektóre są w postaci materialnej, jak krew, inne w postaci duchowej, jak jing, szen i ki, znane jako Trzy Skarby.

- Wytłumaczcie mi proszę, czym one są?

- Jing jest źródłem zmiany - rzekła z pewnym wahaniem jedna z mniszek - wspiera i odżywia jak płyn. Innym perskim słowem, które mogłoby być dobrym tłumaczeniem jest “esencja". W sanskrycie, “semen" lub tak zwana możliwość twórcza.

- A szen?

- Szen to świadomość, przytomność, coś podobnego do duszy, lecz będące jednocześnie częścią ciała.

Ismail zainteresował się tym.

- Czy udało im się to zważyć?

W tej chwili śmiech Bhakty brzmiał najwyraźniej.

- Ich lekarze nie ważą rzeczy. Dla nich to nie są przedmioty, lecz siły i wzajemne ich relacje.

- No cóż, ja jestem tylko anatomem, to, co ożywia organy, leży po-za moimi kompetencjami. Czy trzy skarby, czy jeden, czy miriady - nie

- mnie sądzić. Nie wygląda jednak na to, aby istniała jakaś ożywcza energia która wpływa i wypływa, której przybywa i ubywa. Autopsja niczego takiego nie wykazuje. Może chodzi o duszę. Wy wierzycie w wędrówkę dusz, prawda?

-Tak.

_ Chińczycy też?

- Tak, przeważnie tak. Według daoistów nie istnieje coś takiego jak czysta dusza, gdyż zawsze zmieszana jest z jakąś materią. Nieśmiertelność zatem wymaga przemieszczania się z ciała do ciała. Cala chińska medycyna znajduje się pod silnym wpływem daoizmu. Ich buddyzm jest niemal taki sam jak nasz, lecz, jak zwykle, nieco bardziej materialistyczny. Przeważnie sprowadza się do działalności kobiet w starszym wieku na rzecz reszty społeczności i przygotowywania się do następnego wcielenia. Oficjalna doktryna konfucjańska nie rozwodzi się zbytnio nad tematem duszy, mimo iż uznaje jej istnienie. W większości chińskich pism granica między duchem i materią jest płynna, a czasem nie ma jej w ogóle.

- Najwyraźniej - rzekł Ismail, oglądając znów rycinę z układem meridianów. Westchnął. - No cóż, ich wiedza liczy sobie setki lat i jak dotąd wszystkim dobrze służy, podczas gdy ja tylko przeniosłem na papier wyniki kilku przeprowadzonych dysekcji.

Dyskusja toczyła się dalej. Coraz więcej osób zadawało pytania, dzieliło się spostrzeżeniami i komentowało inne wypowiedzi. Ismail starał się udzielać jak najdokładniejszych odpowiedzi. Obieg krwi w komorach serca, funkcja śledziony, jeśli takowa istniała, położenie jajników, reakcja szokowa po amputacji kończyny, zalanie przebitych płuc, ruch kończyn w wyniku pobudzania igłą odsłoniętych partii mózgu - opisywał wszystko dokładnie tak, jak tego doświadczał, i kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, tłum zebrany na podłodze wpatrywał się w niego z coraz większą powściągliwością i zdumieniem. Para mniszek opuściła pokój.

Kiedy Ismail opowiadał o krzepnięciu krwi po ekstrakcji zębów, w całym pomieszczeniu zapadła głucha cisza. Niewielu słuchaczy patrzyło mu prosto w oczy, a kiedy to zauważył, głos mu zadrżał.

- Jak już mówiłem, jestem tylko anatomem... będziemy musieli się przekonać, czy to, co widziałem, da się pogodzić z waszymi teoriami. -wyglądał, jakby nagle dostał gorączki.

W końcu przeorysza Bhakta wstała, sztywnym krokiem podeszła do niego i uścisnęła jego drżące ręce.

- Na dziś wystarczy - powiedziała delikatnym tonem, podczas gdy reszta mnichów i mniszek również wstała, składając przed sobą dłonie jak do modlitwy i kłaniając się w jego stronę.

- Udało ci się obrócić zło w dobro - powiedziała Bhakta. - Odpocznij teraz i pozwól nam o siebie zadbać.

Ismail zamieszkał w niewielkim pokoju w klasztorze, gdzie studiował chińskie teksty, przetłumaczone niedawno przez mnichów i mniszki na perski, i nauczał anatomii.

Pewnego popołudnia poszedł z Bhaktą do jadalni. Tego dnia powietrze było rozgrzane i parne, przedmonsunowe, jak ciepły, mokry koc. Przeorysza wskazała na małą dziewczynkę, przebiegającą między rzędami melonów w dużym ogrodzie.

- Oto nowe wcielenie poprzedniego lamy. Trafiła do nas dopiero w zeszłym roku. Urodziła się dokładnie w tej samej chwili, kiedy umarł nasz lama, co się bardzo rzadko zdarza. Odnalezienie jej zajęło nam oczywiście sporo czasu. Poszukiwania rozpoczęliśmy dopiero w ubiegłym roku, a ona niemal od razu się pojawiła.

- Jego dusza przeniosła się z ciała mężczyzny do kobiety?

- Najwidoczniej. Zgodnie z tradycją poszukiwania odbywały się wśród małych chłopców. Między innymi dzięki temu jej identyfikacja była taka łatwa. Nalegała, abyśmy poddali ją próbom, pomimo jej płci. Miała wówczas cztery lata. Rozpoznała wszystkie rzeczy Penga Roshi, więcej niż zazwyczaj udaje się rozpoznać nowym wcieleniom, oprócz tego zrelacjonowała mi moją ostatnią rozmowę z Pengiem, niemal słowo w słowo.

- Naprawdę? - Ismail spojrzał na Bhaktę zdziwionym wzrokiem, a ona odwzajemniła spojrzenie.

- Czułam się wtedy, jakbym znów patrzyła w oczy mistrzowi. Więc ogłosiliśmy, że Peng powrócił do nas jako bodhisattwa Tara i zaczęliśmy zwracać większą uwagę na dziewczęta i mniszki, do czego od dawna wszystkich osobiście zachęcałam. Wprowadziliśmy też chiński zwyczaj zapraszania do klasztoru starszych kobiet z Trawankoru, które chcą oddawać się studiowaniu pism i medycyny, aby po powrocie do rodzinnych wiosek mogły dbać o swoich ludzi i nauczać swoich wnuków i prawnuków.

Dziewczynka zniknęła między palmami z tyłu ogrodu. Na niebie pod wieczorną gwiazdą, zawisł srebrny sierp księżyca. Doszły ich odgłosy bębnów.

- Przyjazd Kerali się opóźni - powiedziała Bhakta, wsłuchując się w rytmy. - Dotrze do nas jutro.

Bębny rozbrzmiały znów o świcie, tuż po tym, jak dzwon zegara wybił nadejście nowego dnia. Dźwięki dochodziły z daleka, jak burzowe grzmoty lub salwy armatnie, tylko bardziej rytmiczne -

obwieszczały przybycie władcy. Kiedy wschodziło słońce ziemia pod nogami drżała. Mnisi i mniszki mieszkające w klasztorze z całymi swoimi rodzinami wylegli z dormitorium, aby uczestniczyć w powitaniu. Błyskawicznie uprzątnięto wielkie podwórze tuż za główną bramą.

Pierwsi żołnierze tańczyli. Stąpali razem równo i podskakiwali wysoko co pięć kroków, a następnie wydawali z siebie okrzyki i przekładali strzelby z ramienia na ramię. Za nimi szli bębniarze, podskakujący co krok i wybijający dłońmi rytmy na tablach. Kilku z nich uderzało w czynele. Ubrani byli w wojskowe koszule z czerwonymi latami na ramionach, a ich zwarta kolumna krążyła po dużym dziedzińcu, gdzie po jakimś czasie było już ponad pięciuset żołnierzy, stojących w półkolistych rzędach i zwróconych twarzą w stronę bramy. Kiedy wjechał Kerala ze swoją gwardią, żołnierze prezentowali broń i wykrzyknęli trzy razy. Kerala uniósł doń, a wysłany przez niego dowódca wykrzyczał rozkazy: muzycy odegrali na tablach narastający rytm, a żołnierze tanecznym krokiem udali się do sali jadalnej.

- Naprawdę są szybcy. Dokładnie tak, jak o nich mówiono - powiedział Bhakcie Ismail - wszystko u nich jest tak dobrze zgrane.

- Zgadza się, to dlatego, że żyją w komitywie. Podczas walk jest tak samo. Z tego, co wiem, przeładowywanie broni rozłożono na sekwencję dziesięciu ruchów, istnieje dziesięć rodzajów rozkazów, wybijanych na bębnach, tak że poszczególne grupy skoordynowane są z kolejnymi etapami całego cyklu, dzięki temu oddają salwy nieprzerwanym, zmasowanym ciągiem, a ich siła niszcząca jest

potężna. Żadna armia nie może się z nimi równać, tak przynajmniej było od wielu, wielu lat. Teraz jednak Złota Orda zaczyna szkolić wojska w podobny sposób. Lecz pomimo tego i pomimo nowoczesnej broni, jaką dysponują, nigdy nie będą w stanie odeprzeć ataku Kerali.

Mężczyzna właśnie zsiadł z konia, więc Bhakta podeszła do niego, prowadząc za sobą Ismaila. Kerala machnął ręką na ich głębokie pokłony, a Bhakta bez zbędnych wstępów powiedziała:

- To jest Ismail z Konstantynopola, sławny osmański lekarz. Kerala przyjrzał mu się uważnie. Ismail przełknął ślinę, czując na

sobie jego palący wzrok. Kerala był niski i krępy, miał czarne włosy, wąską twarz i szybkie ruchy. Je go tors wydawał się nieco za długi stosunku do tych krótkich nóg. Był przystojny, a jego twarz miała wyraziste rysy, niczym u greckiego herosa.

- Mam nadzieję, że spodobał ci się tutejszy szpital - powiedział czystą perszczyzną.

- Jest najlepszy ze wszystkich, jakie dotychczas widziałem.

- Czy medycyna osmańska była na równie wysokim poziomie, za-nim wyjechałeś?

- Osiągnęliśmy niewielki postęp, jeśli chodzi o zrozumienie funkcji poszczególnych części ludzkiego ciała. Jednak wiele rzeczy nadal jest dla nas tajemnicą.

Bhakta dodała:

- Ismail studiował teorie medyczne starożytnych Greków i Egipcjan, przejął od nich to, co pożyteczne, i podzielił się z nami, poza tym sam dokonał wielu nowych odkryć, poprawił błędy

starożytnych i poszerzył ich wiedzę. Listy, które do nas przysyłał, stanowią jedną z podstaw nauki i pracy w naszym szpitalu.

- Naprawdę?! - Teraz wzrok Kerali był jeszcze bardziej przeszywający. Wytrzeszczał oczy o różnokolorowych tęczówkach, przypominających kręgi w jaspisie. - Interesujące. Musimy o tym wszystkim porozmawiać. Najpierw jednak chciałbym porozmawiać z tobą, Matko Bodhisattwo, o ostatnich osiągnięciach.

Przeorysza skłoniła się i odeszła ramię w ramię z Keralą w stronę pawilonu, z którego roztaczał się widok na ogród. Nie towarzyszyła im obstawa, więc rozsiedli się wygodnie na dziedzińcu i podziwiali szpaler karabinów w rękach straży rozstawionej na klasztornym murze.

Ismail udał się z innymi mnichami nad strumień, gdzie przygotowywano ceremoniał piaskowych mandali. Wzdłuż brzegu przechadzali się mnisi i mniszki w rdzawoczerwonych i szafranowych szatach, rozkładali pledy i kosze z kwiatami, rozmawiając radośnie i uwijając się w pośpiechu, gdyż Kerala naradzał się ze swoją przeoryszą zawsze przez pół dnia, czasami dłużej. Ich przyjaźń była znana w całym Trawankorze.

Dzisiaj jednak skończyli znacznie wcześniej, a kiedy nad strumień dotarła wieść o ich szybkim wyjściu z pawilonu, tempo prac wyraźnie wzrosło. Kosze z kwiatami puszczono na wodę i znów pojawili się żołnierze i rozbrzmiały przyśpieszające puls table. Nieuzbrojona straż przysiadła na brzegu strumienia, robiąc w tłumie przejście dla władcy. W końcu się zjawił, szedł wraz z innymi i przystawał co chwilę, aby kłaść dłoń na ramieniu tego czy innego

poddanego, witał się z ludźmi, wzywając ich po imieniu, pytał o rany wojenne i tym podobne. Mnisi, którzy włożyli najwięcej pracy w mandale, wyszli z pracowni, intonując pieśni do dźwięku gongu i brzmienia basowych trąb i niosąc przed sobą dwie rnandale, dwa drewniane dyski średnicy kamieni młyńskich, każdy nich podtrzymywany przez dwóch mężczyzn, a na nich barwne rnandale usypane z piasku. Jedna miała kształt skomplikowanej figury geometrycznej w czerwieni, zieleni, żółci, błękicie, czerni i bieli. Druga zaś bvła mapą świata, na której Trawankor zaznaczono czerwoną kropką, niczym bindi na czole hinduskiej kobiety. Indie znajdowały się w centrum kręgu, a po bokach rozciągał się obraz niemal całego świata, od Firanii po Koreę i Japonię, u dołu zaś Afryka i Nowy Świat. Zachowano naturalne kolory, oceany były ciemnoniebieske, morza błękitne, ląd zielony lub brązowy, w zależności od ukształtowania terenu, łańcuchy górskie zaznaczono ciemną zielenią i gdzieniegdzie śnieżną bielą. Rzeki rozchodziły się niebieskimi nićmi, a wyraźna czerwona linia, jak domyślił się Ismail, obiegała aktualną granicę podbojów Kerali, do których należało już imperium osmańskie, wraz z Anatolią i Konstantynopolem. Brakowało jednak Bałkanów i Krymu. Było to jedno z najpiękniejszych dziel jakie Ismail kiedykolwiek widział, miał wrażenie, że ogląda cały świat z perspektywy słońca.

Kerala, władca Trawankoru, szedł z przeoryszą, której podał ramię, gdy schodzili stromą ścieżką w dół. Zatrzymali się nad brzegiem rzeki, Kerala, nie śpiesząc się, osobiście obejrzał obie rnandale. Wskazywał na niektóre szczegóły i pytał przeoryszę i

mnichów o ich znaczenie. Reszta mnichów intonowała basowe dźwięki, a żołnierze śpiewali pieśń. Bhak-ta zwróciła się twarzą do nich i zaśpiewała czystym i wysokim tonem, który uzupełnił i rozszerzył górną granicę ich skali. Kerala ujął rnandale w obie dłonie i ostrożnie ją uniósł, była o wiele za duża jak na jednego człowieka, on jednak wszedł z nią do rzeki. Bukiety hortensji i azalii unosiły się na wodzie wokół jego nóg. Uniósł nad głowę geometryczną mandalę i ofiarował ją niebu. Zaintonowano nową pieśń i zaryczały trąby, kiedy powoli opuszczał przed sobą dysk i jeszcze wolniej obrócił go na bok. Piasek zsunął się w jednej chwili, kolory rozlały się w wodzie i mieszały ze sobą, plamiąc jedwabne spodnie Kerali. Zanurzył dysk w wodzie, a reszta piasku odpłynęła z wielobarwną plamą, rzednącą w szybkim nurcie. Przetarł dysk dłonią i wyszedł z wody. Miał zabłocone buty i mokre spodnie, poplamione na zielono, czerwono, niebiesko i żółto. Z rąk samych twórców wziął drugą mandalę, pokłonił im się, odwrócił i wszedł znów do wody. Żołnierze skończyli taniec i zaczęli składać pokłony, dotykając czołami ziemi i intonując modlitwę. Kerala opuścił powoli dysk i jak bóg ofiarujący wyższemu bogowi cały świat, położył dysk na wodzie i pozwolił wirować z wolna w palcach – cały dryfujący świat, który w kulminacyjnym punkcie pieśni zanurzył najgłębiej, jak potrafił, uwalniając piasek do rzeki, w której zanurzył nogi i ramiona. Kiedy wychodził na brzeg, przystrojony we wszystkie kolory tęczy, jego żołnierze zawołali po trzykroć, a potem jeszcze trzy razy.

Później, przy herbacie, odświeżony i skropiony perfumami Kerala zasiadł, by odpocząć i porozmawiać z Ismailem. Wysłuchał

wszystkiego, co tamten opowiedział mu o sułtanie Selimie Trzecim, a następnie sam opowiedział mu historię Trawankoru.

- Nasza walka o wyzwolenie spod mogolskiego jarzma rozpoczęła się dawno temu, kiedy to Shivaji, nazywający siebie Panem Wszechświata, opracował nowoczesne metody prowadzenia wojny. Shivaji chwytał się każdej możliwej strategii, aby wyzwolić Indie. Pewnego dnia poprosił wielką jaszczurkę, mieszkającą na Dekanie, aby pomogła mu się wspiąć na wysokie klify broniące dostępu do Fortecy Lwa. Innym razem otoczyła go armia Bidżapuru, dowodzona przez wielkiego mogolskiego generała Afzal Chana. Po przeprowadzonym oblężeniu Shivaji zdecydował się oddać w jego ręce i stanął przed Afzal Chanem, odziany w płócienną szatę, w której fałdy zatknął sztylet zatruty jadem skorpiona, a pałce lewej dłoni wsunął w ostre jak brzytwa szpony tygrysa. Kiedy objęli się na przywitanie, Shivaji zaszlachtował Chana na oczach jego ludzi, a tym samym dał sygnał armii, która uderzyła na Mogołów i pokonała ich.

Następnie Alamgir rozpoczął ofensywę. Ponowne odbicie Dekanu trwało ponad ćwierć wieku i każdego roku kosztowało życie tysiąca osób. Zanim podporządkował sobie Dekan, jego imperium znalazło się w zapaści. Tymczasem na północnym zachodzie, w kręgach sikhów i Afgańczyków, wśród wschodnich poddanych Państwa Safawidów, wśród Radżputów, Bengalczyków i mieszkańców Tamilu, właściwie w całych Indiach, wybuchały ciągle nowe rewolty przeciwko Mogołom. Każda z indyjskich społeczności miała swój wkład w rebelię, a ponadto Mogołowie, którzy od lat ciemiężyli ludzi

wysokimi podatkami, musieli w końcu zmierzyć się z buntem własnych zamindarów i upadkiem państwowych finansów. Kiedy Marathowie, Radźputowie i sikhowie ugruntowali swoją władzę, każdy z nich wprowadził własny system podatkowy, tak że Mogołowie nie dostawali już żadnych pieniędzy, mimo iz przysięgli wierność Delhi.

Nie były to najlepsze czasy dla Mogołów, szczególnie tutaj, na południu. Mimo że Marathowie i Radźputowie byli Hindusami, to jednak posługiwali się innymi językami, przez co nie utrzymywali bliskich kontaktów i rozwijali się jako wzajemni rywale, co znacznie wydłużyło kres zniewolenia matki Indii w mogolskich rękach. W tamtych schyłkowych latach premierem chana, który rzadko kiedy rozstawał się z fajka wodną, a jeszcze rzadziej wychodził z haremu, został jeden z nazimów który przeprowadził się na południe i założył własne księstwo. Trawankor brał z niego przykład i zaczął szybko się rozwijać.

Następnie Nadir Szach przeprawił się przez Indus, używając tego samego brodu, co Aleksander Wielki, i złupił Delhi, mordując trzydzieści tysięcy osób i zabierając ze sobą miliard rupii w złocie i w klejnotach oraz Pawi Tron. Po tym wydarzeniu Mogołowie byli skończeni.

Marathowie nieustannie poszerzali swoje terytorium, sięgające już po sam Bengal. Afgańczycy oderwali się od Safawidów i odbyli długi pochód aż do Delhi, które również złupili. Po wycofaniu się oddali władzę nad Pendżabem w ręce sikhów, obarczając ich za to rocznym podatkiem w wysokości jednej piątej rocznych zbiorów.

Później Delhi jeszcze raz zostało spustoszone przez Pasztunów, którzy szabrowali miasto przez okrągły miesiąc. To był prawdziwy koszmar. Ostatni władca z mogolskim tytułem został oślepiony przez podrzędnego dowódcę Afgańczyków.

Następnie trzydziestotysięczna kawaleria Marathów ruszyła na północ, na Delhi, zabierając ze sobą dwieście tysięcy ochotników spośród napotkanych po drodze Radźputów i owego sądnego dnia na polanie w Panipat, gdzie tak często ważyły się losy Indii, stanęli naprzeciw armii Afgańczyków połączonych z byłymi oddziałami Mogołów, którzy ogłosili dżihad przeciwko Hindusom. Muzułmanie cieszyli się poparciem miejscowych społeczności oraz stojącego na ich czele wielkiego generała Szacha Abdali. W czasie walk zginęło sto tysięcy Marathów, a trzydzieści tysięcy uwięziono dla okupu. Później jednak Delhi najwyraźniej znudziło się afgańskim żołnierzom, gdyż nakłonili chana, by wrócili do Kabulu.

Marathowie mimo wszystko mocno podupadli. Następcy nazima objęli kontrolę nad całym południem. Sikhowie przejęli Pendżab, a Ben-galczycy Bengal i Assam. Tu, na południu okazało się, że sikhowie są naszymi najlepszymi sprzymierzeńcami. Ich ostatni guru obwieścił, że wszystkie święte teksty sikhów stanowią ucieleśnienie ostatniego guru i odtąd cała ich społeczność świetnie prosperowała, tworząc jednocześnie zwarty mur między nami a islamem. Wiele nauczyliśmy się od sikhów, których wiara stanowi pewną mieszankę hinduizmu i islamu,

dość niezwykłą w historii Indii i niezwykle pouczającą. Tak więc oni

przeżywali rozkwit, a my, ucząc się od nich i łącząc z nimi nasze wysiłki, również się rozwijaliśmy.

Później, już za życia mojego dziadka, przybyło tu wielu uchodźców z czasów chińskiego najazdu na Nippon, a do serca buddyzmu, Sri Lanki, zaczęli ściągać buddyści. Samurajowie, mnisi i marynarze, bardzo dobrzy marynarze - ponoć przepłynęli wielki wschodni ocean, Który nazywają Dahai, a do nas przypłynęli, kierując się na wschód, a później na zachód.

- Czyli dookoła świata?

- Dookoła. Nasi budowniczowie statków wiele się od nich nauczyli, tutejsze klasztory buddyjskie już wtedy były ważnymi ośrodkami hutnictwa, mechaniki i ceramiki, a tutejsi matematycy w pełni wykorzystywali potęgę obliczeń do morskiej nawigacji, rozbudowy artylerii i konstrukcji wielu innych maszyn. Wszyscy naukowcy zjechali się do naszych stoczni i już po niedługim czasie nasze floty handlowe i wojenne przerosły swoją potęgą marynarkę chińską, co jest dość pocieszającym faktem, jako że cesarstwo chińskie podporządkowuje sobie coraz więcej świata: Koreę, Nippon, Mongolię, Turkiestan, Annam, Siam, wyspy Archipelagu Malajskiego - to przecież ziemie, które niegdyś nazywaliśmy Indiami Większymi. Marynarka jest naszym jedynym narzędziem do obrony przed chińską potęgą. Na morzu jesteśmy bezpieczni, a tutaj, na południu, poniżej dzikich i nieprzystępnych rejonów Dekanu, nie tak łatwo jest zaatakować nas drogą lądową. Jeśli chodzi o Indie, o ile nie o cały Zachód, to na tych terenach najwyraźniej już skończyły się dobre lata dla islamu.

- Podbiłeś miasto, będące jego najpotężniejszą ostoją - zauważył Ismail.

- Zgadza się. Nigdy nie przestanę nękać muzułmanów, nie mogą już więcej atakować Indii. Delhi już się wystarczająco wycierpiało. Rozkazałem zbudować niewielką flotę na Morzu Czarnym i za jej pomocą zaatakować Konstantynopol, złamać Osmanów, tak jak nazim złamał Mogołów. Na ziemiach Anatolii założymy wkrótce kilka niewielkich stanów i przejmiemy nad nimi kontrolę, tak, jak zrobiliśmy to w Iranie i Afganistanie. Nieprzerwanie współpracujemy z sikhami i ciągle uważamy ich za naszych najważniejszych sojuszników i partnerów na tej ciągle rozrastającej się arenie indyjskiej konfederacji księstw i stanów. Ten sposób jednoczenia Indii nie budzi sprzeciwu u ludzi, ponieważ każde kolejne zwycięstwo oznacza pokój. Pokój, którego nie było od ponad czterech stuleci, kiedy to Mogołowie po raz pierwszy najechali na Indie.

- Indie już dawno wyłoniły się z mroków nocy. Teraz sprawimy, aby wszędzie nastał dzień.

Następnego dnia Bhakta zabrała Ismaila do pałacu Kerali w Trawankorze na przyjęcie w ogrodzie. W ogromnym parku stał niewielki marmurowy budynek, z którego roztaczał się widok na północną granicę portu. Nie dobiegał tu ani zgiełk ani dym stoczni, widocznych na południowym odcinku wąskiej zatoki i wyglądających z tej odległości zupełnie niegroźnie. Poza granicą parku stało jeszcze kilka bardziej wymyślnych, białych pałaców, których właścicielem nie był jednak Kerala, lecz miejscowi kupcy,

którzy wzbogacili się na budowie statków, na wyprawach handlowych, a przede wszystkim na finansowaniu innych tego typu ekspedycji. Wśród gości Kerali było wielu z nich, wszyscy w strojnych, jedwabnych szatach i w złocie. Jak zauważył Ismail, w tych sferach szczególnie ceniono kamienie półszlachetne: turkus, nefryt, lapis lazuli, malachit, onyks, jaspis i tym podobne, które szlifowano w duże, okrągłe guzy i paciorki, i wyrabiano z nich naszyjniki. Żony i córki mężczyzn miały na sobie lśniące sari, a co jakiś czas ktoś przechodził z gepardem na smyczy.

Ludzie snuli się w cieniu ogrodowych altan i palm, jedli ze stołów zastawionych przysmakami i popijali ze szklanych kielichów. Mnisi stali nieco z boku, w swoich rdzawoczerwonych i szafranowych szatach, i po chwili kilku z nich podeszło do Bhakty. Przeorysza przedstawiła niektórych Ismailowi. Pokazała mu też sikhów, którzy towarzyszyli mnichom na przyjęciu,

- To ci mężczyźni w turbanach i z długimi brodami. A tam są Marathowie, Bengalczycy, Afrykanie, Malezyjczycy, Birmańczycy, goście z Sumatry, Nipponu, a nawet Hodenosaunee z Nowego Świata.

Przeorysza znała większość z nich osobiście, a każdego potrafiła rozpoznać po jakimś charakterystycznym szczególe ubioru czy figury.

- Jacyż różnorodni ludzie tu przybyli - zauważył Ismail.

- To wszystko dzięki marynarce.

Wielu z nich nie mogło się już doczekać możliwość zamienienia słowa z Bhaktą, która właśnie przedstawiła Ismaila jednemu z

najbardziej zaufanych konsultantów Kerali, Pyidaungsu, niskiemu mężczyźnie o ciemnej skórze, który, jak sam mówił, dorastał w Birmie i na wschodnich wybrzeżach Półwyspu Indyjskiego. Znakomicie władał perskim, więc pewnie dlatego Bhakta przedstawiła go Ismailowi, podczas gdy sama musiała zająć się rosnącym gronem własnych rozmówców.

- Kerala bardzo się cieszy, że mógł cię poznać - rzeki bez zwłoki Pyidaungsu, odciągając Ismaila na stronę. - Bardzo mu zależy na postępie w pewnych dziedzinach medycyny, szczególnie jeśli chodzi o choroby zakaźne. Przez choroby i infekcje tracimy więcej żołnierzy niż podczas walk - to go wielce smuci.

- Niewiele wiem na ten temat - odpowiedział Ismail - jestem anatomem, próbuję zrozumieć budowę ludzkiego ciała.

- Wszelki postęp na drodze rozumienia ludzkiego ciała pomaga nam posiąść wiedzę, której żąda Kerala.

- Teoretycznie, z czasem, owszem.

- Może przyjrzałbyś się procedurom obowiązującym w naszej armii i wskazał na ewentualne czynniki sprzyjające rozprzestrzenianiu się chorób.

- Mógłbym, z tym że wielu rzeczy nie da się zmienić, na przykład wspólnego podróżowania czy wspólnego spania.

- Wiadomo. A to, w jaki sposób robi się te rzeczy?

- Być może da się coś zrobić - odpowiedział Ismail. - Jest wielce prawdopodobne, że niektóre choroby przenoszą się za sprawą mikroorganizmów, niewidocznych gołym okiem.

- Organizmów widzianych pod mikroskopem?

- Tak, a nawet jeszcze mniejszych. Wystawienie się na działanie niewielkiej ich liczby, lub podanie ich w uśmierconej postaci, najwyraźniej uodparnia ludzi na całe życie, tak jest z tymi, którzy przeżyli atak ospy.

- Mówisz o szczepieniach. Nasze oddziały są już zaszczepione przeciwko ospie.

Ismail był wyraźnie zaskoczony tym, co usłyszał, i jego rozmówca z pewnością to zauważył.

- Próbujemy wszystkiego - powiedział mężczyzna, śmiejąc się. - Kerala jest głęboko przekonany o potrzebie zrewidowania utartych zwyczajów, pod kątem ich zmiany i wprowadzania ulepszeń wszędzie, gdzie to tylko możliwe. Chodzi o zwyczaje żywieniowe, związane z higieną, z ewakuacją i tak dalej. Należy pamiętać, że władca zaczynał jako młody artylerzysta i już dawno docenił wartość sprawnych procedur. Zasugerował, aby działa armatnie nawiercano, a nie odlewano, jako że odlew nigdy nie będzie idealnie gładki. Po ujednoliceniu kalibru baterie armat stały się jeszcze potężniejsze, a przy tym lżejsze i o wiele bardziej precyzyjne. Sam wszystko sprawdzał i testował. Całą artylerię zorganizował według ściśle określonych sekwencji ruchów, jak w tańcu. To samo dotyczyło pozostałych baterii, o innych kalibrach. Teraz możemy przewozić je na statkach, a ich rozładunek i rozstawienie nie zajmuje więcej czasu, niż potrzebuje na to piechota albo nawet kawaleria. Wyniki, jak widzisz, są wspaniałe - powiedział zadowolony, czyniąc dłonią gest w stronę trwającego przyjęcia.

- Ty również, jak mniemam, byłeś oficerem artylerii? Mężczyzna roześmiał się.

- Tak, byłem.

- Więc przyjechałeś tutaj święcić triumf.

- Tak, lecz są też inne powody naszego spotkania. Bankowcy, przewoźnicy, lecz jeśli mogę wyrazić swoje zdanie, to wszyscy oni zawdzięczają swój sukces właśnie artylerii.

- A nie lekarzom?

- Nie. Lecz bardzo bym chciał, aby też tak było! Powiedz mi, proszę, raz jeszcze, w jaki sposób moglibyśmy, według ciebie, uzdrowić naszą armię?

- Ograniczyć kontakt z prostytutkami? Mężczyzna znów się roześmiał.

- No cóż, musisz zrozumieć, że dla wielu z nich jest to religijny obowiązek. Świątynne tancerki spełniają bardzo ważną rolę w trakcie każdej uroczystości.

- Rozumiem, a więc zalecam czystość. Mikroskopijne stworzenia przenoszą się z ciała do ciała razem z brudem, przez dotyk, jedzenie, wodę, a nawet oddech. Gotowanie narzędzi chirurgicznych przed ich użyciem znacznie ogranicza ryzyko infekcji, tak samo jak maski na twarzach lekarzy, sióstr i pacjentów.

Oficer wyglądał na zadowolonego.

- Czystość ciała to cnota każdej czystej kasty. Kerala sprzeciwia się kastom, lecz czystość ciała powinna stać się jednym z naszych priorytetów.

- Wygląda na to, że wrząca woda zabija mikroorganizmy. Należy więc gotować przyrządy, tace, garnce, wodę, to naprawdę może pomóc, choć może nie jest zbyt poręczne.

- Nie bardzo, ale nadal możliwe. Jakie inne metody można by zastosować?

- Z pewnością niektóre zioła i substancje niszczące mikroorganizmy, lecz nieszkodliwe dla ludzi, niestety nie wiadomo, czy coś takiego w ogóle istnieje.

- Można przeprowadzać testy.

- Oczywiście.

- Na przykład na więźniach.

- Tak robiliśmy u nas.

- Wspaniale, Kerala będzie zadowolony. On uwielbia testy, eksperymenty i liczby, które prezentują mu jego matematycy, aby wykazać, że pomysły jednego lekarza sprawdzą się w odniesieniu do całej armii. Na pewno będzie jeszcze chciał z tobą o tym porozmawiać.

- Podzielę się z nim całą swoją wiedzą - odpowiedział Ismail. Oficer uścisnął mu dłoń obiema rękami.

- Za chwilę zaprowadzę cię do Kerali, bo widzę, że właśnie zjawili się muzycy. Uwielbiam ich słuchać z górnego tarasu.

Ismail szedł za nim przez chwilę, jakby porwał go rzeczny wir, i wtedy jedna z pomocnic przeoryszy pociągnęła go za rękaw i zaprowadziła z powrotem do grupy towarzyszącej Kerali podczas koncertu w ogrodzie.

Śpiewaczki miały na sobie przepiękne sari, muzycy zaś jedwabne

kurtki, skrojone z wielobarwnych materiałów o różnorodnym splocie, przeważnie jednak w odcieniach błękitu, rozgwieżdżonego nieba i krwistej czerwieni. W końcu popłynęła muzyka, bębniarze wybijali rytmy na dwustronnych tablach, a inni grali na długich i smukłych instrumentach strunowych, podobnych do oud, lecz z nieco dłuższym, cienkim gryfem, których brzmienie przywołało w pamięci Ismaila obrazy z Konstantynopola. Wystarczyło, że wsłuchał się w brzęczenie tych dziwnych, lecz jakże podobnych do oud instrumentów, żeby całe miasto od razu stanęło przed nim jak żywe.

Jedna ze śpiewaczek wystąpiła naprzód i zaśpiewała pieśń w obcym języku. Jej głos piął się po kolejnych dźwiękach i nie zatrzymywał na żadnym konkretnym tonie, wijąc się tak po nieznanych Ismailowi tonacjach. Nie było w nim ani jednego dźwięku, ani nawet ćwierćtonu, który nie zawinąłby się od razu w górę lub w dół i nie upodobnił do śpiewu znanych mu ptaków. Towarzysze śpiewaczki tańczyli z wolna za jej plecami i niemal zastygali w bezruchu, kiedy zbliżała się do pojedynczego dźwięku. Ona sama, ciągle poruszając się, rozkładała ramiona, dłonie na zewnątrz, snuła opowieść w języku swego ciała.

Bębniarze przeszli na bardziej skomplikowany, lecz równy rytm, który splótł się z kobiecym śpiewem w równy warkocz. Ismail zamknął oczy. Nigdy wcześniej nie słyszał takiej muzyki. Melodie nakładały się na siebie i trwały bez końca. Z czasem cała widownia kołysała się z muzykami, żołnierze tańczyli w miejscu, a reszta ludzi krążyła wokół nieruchomego centrum placu, które zajmował Kerala - on zresztą też co jakiś czas wyraźnie poruszał się w rytm muzyki.

Kiedy bębniarze weszli w szaleńczy wir rytmów, obwieszczający finał utworu, roześmiani żołnierze wyskakiwali wysoko w powietrze i wznosili okrzyki. Uśmiechnięci śpiewacy i instrumentaliści ukłonili się nisko i wyszli naprzód, aby odebrać gratulacje od Kerali. Władca przez chwilę naradzał się z pierwszą solistką, rozmawiając z nią jak z dawną przyjaciółką. Ismail znalazł się nagle w kolejce ludzi, ustawionych spontanicznie przez przeoryszę w coś na kształt szpaleru honorowego i kłaniał się kolejno wszystkim spoconym, młodym muzykom, którzy przechodzili obok. Nozdrza Ismaila wypełniły się zapachami perfum: jaśmin, pomarańcza, morska toń, jego pierś aż falowała. Tymczasem bryza przyniosła prawdziwy zapach morza, który z miejsca zdominował inne zapachy, nawet te doń podobne. Zielononiebieskie morze rozpościerało się w oddali jak szeroka droga do każdego miejsca na Ziemi.

Przyjęcie znów powoli rozkręcało się w ogrodzie, gdzie Kerala niespiesznie przyjmował kolejnych gości. Ismaila przedstawiono czterem bankierom, wśród których było dwóch sikhów i dwóch mieszkańców Trawankoru. Przysłuchiwał się ich dyskusji, którą z grzeczności prowadzili w zrozumiałej dlań perszczyźnie. Mówili przede wszystkim o skomplikowanej sytuacji w Indiach, na Oceanie Indyjskim i na świecie, o podboju miast i portów, o budowie nowych miast przy niezaludnionych ujściach rzek i o zmiennym poparciu wśród ludności lokalnej, o muzułmańskich handlarzach niewolników w zachodniej Afryce, o zlocie na południu Afryki i o złocie Inków, i o wyspach na zachód od wybrzeży Afryki - to wszystko działo się już od wielu lat. Upadły stare muzułmańskie imperia,

rozpowszechniane są maszyny, powstają nowe stany, nowe religie i kontynenty, a wszystko wypływa stąd, jakby zacięta walka tocząca się w łonie Indii rozchodziła się we wszystkie strony potężnymi falami, niosącymi zmianę aż na drugą stronę świata, gdzie odbijały się od siebie i powracały do źródła.

Bhakta przedstawiła Ismailowi kolejnego mężczyznę. Obaj ukłonili się, kiwając zdawkowo głowami. Mężczyzna miał na imię Wasco i pochodził z Nowego Świata, z wielkiej wyspy na zachód od Firanii, którą chińczycy nazwali Yingzhou, natomiast Wasco określił ją jako Hodeno-sauneega.

- Oznacza to “ziemia zamieszkiwana przez lud długich domów" -Powiedział względnie zrozumiałą perszczyzną.

Z wyjaśnień Bhakty wynikało, że mężczyzna reprezentował naród Hodenosaunee. Według Ismaila wyglądał jak Syberyjczyk lub Mongoł

albo Mandżur, który odmówił zgolenia czoła. Był wysoki, miał orli nos, a jego widok był oszałamiający, nawet na tle blasku bijącego od samego Kerali. Jego postać zdawała się mówić, że tamte odległe wyspy po drugiej stronie świata zrodziły jeszcze zdrowszą i żywotniejszą rasę człowieka. Pewnie z tego powodu właśnie został wysłany tu przez swoich ludzi.

Bhakta opuściła ich, a Ismail odezwał się delikatnym tonem:

- Pochodzę z Konstantynopola. Macie u siebie muzykę, jak ta, którą przed chwilą słyszeliśmy?

Wasco zastanowił się.

- Owszem, śpiewamy i tańczymy, ale najczęściej robimy to razem,

mniej oficjalnie, a czasem wręcz spontanicznie, jeśli wiesz, co mam na myśli. Tutejsze rytmy są bardziej płynne i skomplikowane. Tworzą gęste brzmienie. Zafascynowały mnie. Z chęcią posłuchałbym ich raz jeszcze, żeby się przekonać, czy naprawdę słyszałem to, co słyszałem. Machnął ręką w niezrozumiały dla Ismaila sposób, wyrażający być może, zdumienie nad wirtuozerią bębniarzy.

- Pięknie grali - powiedział Ismail. - My też mamy perkusistów, lecz ci osiągnęli znacznie wyższy poziom gry na tych instrumentach.

- Z pewnością.

- A miasta, statki i cała reszta? Macie na swojej ziemi porty, takie jak na przykład ten? - zapytał Ismail.

Wyraz zdumienia na twarzy Wasco był taki sam, jak u każdego innego człowieka, co według Ismaila dokładnie się zgadzało, gdyż był to ten sam wyraz twarzy, jaki widuje się u nowo narodzonych dzieci. Ismail nie mógł się nadziwić, że dzięki płynnej perszczyźnie i pomimo swojej egzotycznej proweniencji, mógł się tak dobrze porozumiewać.

- Nie. Tam, skąd pochodzę, nie zbieramy się w tak licznych skupiskach. Mam wrażenie, że wokół tej zatoki mieszka więcej ludzi niż w całym moim kraju.

Teraz to Ismail miał zdziwioną minę.

- Jest was aż tak mało?

- Tak, rzeczywiście jest tu bardzo dużo ludzi. Mój lud żyje w gęstych i nieprzeniknionych lasach, a naszymi drogami są rzeki.

Zanim pojawiliście się u nas, zwykliśmy polować i uprawiać ziemię, i wytwarzać tylko tyle, ile potrzebowaliśmy, nie dysponując żelazem ani flotą. To muzułmanie przywieźli ze sobą żelazo, założyli własne forty przy przystaniach, przy ujściu Wschodniej Rzeki i na Long Island. Na początku nie było ich tak wielu, uczyliśmy się od nich i stosowaliśmy

- w praktyce zdobytą od nich wiedzę, lecz później padła na nas zaraza, jakiej wcześniej nie znaliśmy, i wielu z nas umarło. Tymczasem przybywało coraz więcej muzułmanów, którzy przywozili ze sobą niewolników z Afryki. Nasz kraj jest ogromny, a ziemie na wybrzeżach, gdzie gromadzili się muzułmanie, nie należą do najlepszych, więc handlowaliśmy z nimi. a później z Hindusami, po tym jak przypłynęli do nas mieszkańcy Trawankoru. Ucieszyliśmy się na ich widok, naprawdę bardzo się ucieszyliśmy, gdyż muzułmanie z Firanii już od dawna nas niepokoili i niepokoją nadal. Mają mnóstwo armat, wchodzą tam, gdzie tylko chcą, i ciągle powtarzają nam, że nie znamy Allaha, że powinniśmy się do niego modlić i tak dalej. W takiej sytuacji pojawienie się innych ludzi, którzy nie byli muzułmanami, było nam na rękę.

- A czy Trawankorczycy od razu zaatakowali tamtejszych muzułmanów?

- Jak dotąd jeszcze nie. Zacumowali przy ujściu Mississippi, bardzo dużej rzeki, więc kiedyś może w końcu dojść do starcia między nimi. Zarówno jedni, jak i drudzy są świetnie uzbrojeni, my niestety jeszcze nie. - Spojrzał Ismailowi prosto w oczy i uśmiechnął się serdecznie. -Muszę pamiętać, że ty też pewnie jesteś

muzułmaninem.

Ismail odparł:

- Nie narzucam nikomu swojej wiary. Islam daje każdemu możliwość wyboru.

- Oni też tak mówili. Tutaj, w Trawankorze, rzeczywiście tak jest. Sikhowie, hinduiści, Afrykanie, Japończycy, wszyscy tu są, a Kerali najwyraźniej wcale to nie przeszkadza, a wręcz mu się to podoba.

- Mówi się, że Hindusi przyjmują wszystko, co ich spotyka.

- Jak dla mnie, brzmi to całkiem słusznie - powiedział Wasco - w każdym razie o wiele lepiej niż Allah, który trzyma nas na celowniku. Na Wielkich Jeziorach budujemy teraz własną flotę i już wkrótce będziemy mogli okrążyć Afrykę i dopłynąć do was. Ponadto sam Kerala proponuje wykopać kanał przez pustynię Synaju, który połączyłby Morze Śródziemne z Czerwonym i umożliwił nam bezpośredni kontakt z wami. Sugeruje nawet, aby w tym celu zdobyć Egipt. Wiadomo jednak, że na razie jest jeszcze dużo spraw do omówienia i wiele decyzji do podjęcia. Moja Liga wysoko ceni sobie sojusze.

Obok nich przeszła Bhakta i znów zabrała ze sobą Ismaila. - Spotkał cię wielki zaszczyt. Kerala zaprasza cię na przejażdżkę Jednym z jego podniebnych rydwanów.

- To znaczy w latającym worku?

- Zgadza się - odpowiedziała z uśmiechem Bhakta.

- Już nie mogę się doczekać.

Podążając za utykającą przeoryszą, Ismail mijał kolejne tarasy, na każdym z nich dobiegała go inna, oszałamiająca woń perfum:

muszkatołowiec, limeta, cynamon, mięta, róża. Im wyżej wspinał się po niskich, kamiennych stopniach, tym silniejsze miał wrażenie, że wchodzi na coraz wyższy plan istnienia, gdzie zarówno zmysły, jak i odczucia były po stokroć intensywniejsze. Kręciło mu się w głowie. Nie bał się śmierci, tylko jego ciało niezbyt dobrze reagowało na myśl o tym, co musiałoby się stać, żeby do niej doprowadzić. Dogonił przeoryszę i szedł tuż przy niej, odzyskując równowagę w emanującym od niej spokoju. Kiedy tak szli po schodach do góry, zauważył, że Bhakta cały czas cierpiała, a mimo to nigdy się nie skarżyła. Przystanęła na chwilę, aby złapać oddech, i odwróciła głowę, żeby spojrzeć na ocean. Położyła swą koślawą dłoń na ramieniu Ismaila i wyznała, jak bardzo się cieszy, że znalazł się wśród nich, że wiele mogą razem zdziałać, pracując pod przewodnictwem Kerali, który tworzy przestrzeń wyjątkowo sprzyjającą osiągnięciom najwyższej skali, i że w końcu uda im się odmienić świat. Kiedy wypowiadała te słowa, j Ismail chwiał się na nogach, chwytając w nozdrza coraz bardziej upajają- i ce wonności, miał wrażenie, że widzi obrazy przyszłych wydarzeń, jak Kerala, odsyła do domów ludzi i rzeczy z całego świata, który zdobywał krok po kroku. Jak wysyła do klasztorów księgi, mapy, przyrządy, lekarstwa, urządzenia i ludzi z nieznanymi chorobami i z nowymi zdolnościami, z zachodniego Uralu, ze wschodnich rejonów Pamiru, z Birmy, Siamu i Półwyspu Malajskiego, Sumatry i Jawy i ze wschodnich wybrzeży Afryki. Ismail zobaczył też szamana z Madagaskaru, który pokazywał mu niemal przezroczyste skrzydła nietoperza, na których można było zbadać cały układ żył, a wyniki

przedstawić zaciekawionemu Kerali. Taki dar z pewnością by go ucieszył. Później Ismail ujrzał chińskiego lekarza z Sumatry, który tłumaczył mu chińskie znaczenie ki i szen, i okazało się, że jest to czymś, co on od dawna nazywał limfą, wytwarzaną przez niewielkie gruczoły pod pachami, których funkcje, według Chińczyków, można było regulować za pomocą kompresów z wywarów z ziół oraz innymi substancjami. Następnie zobaczył mnichów buddyjskich, komponujących diagramy pierwiastków z różnych rodzin, które układali według fizycznych i chemicznych właściwości, tworząc wspaniałą mandalę, o której dyskutowano w skryptoriach, warsztatach, odlewniach i szpitalach, wszędzie tam, gdzie ludzie odkrywali nowe lądy, choć nie żeglowali dookoła świata,

a nawet nigdy nie opuszczali granic Trawankoru. Każdemu z nich zależało, aby zawsze mieć coś ciekawego do opowiedzenia Kerali, kiedy znów pojawi się u nich z wizytą. Nie robili tego dla nagrody i pochwały, choć często je otrzymywali, lecz dla radości, jaką sprawiały władcy nowe informacje. Każdy pragnął ujrzeć ten jego szczególny wyraz twarzy - oto cała historia Trawankoru.

Wyszli w końcu na rozległy taras, do którego przywiązany był latający kosz. Ogromny, jedwabisty worek już wcześniej wypełniono gorącym powietrzem, a teraz wyrywał się on do góry, naprężając grube cumy. Bambusowo-wiklinowy kosz był wielkości dużego wozu i przymocowany był do spodniej części jedwabnego worka za pomocą misternej sieci linek o niewielkiej średnicy, która w całości miała ogromną wytrzymałość. Jedwab, z którego uszyto worek, był w dolnej części prześwitujący, a nad ich głowami, kiedy już weszli

do kosza, znajdowała się bambusowa rama, do której przymocowany był niewielki piec, opalany węglem, a obok niego mały poręczny miech.

Kerala, śpiewaczka, Bhakta i Ismail zajęli miejsca w rogach kosza. Pyidaungsu zajrzał do środka i rzeki:

- No cóż, wygląda na to, że nie ma tu już miejsca dla mnie, za duży byłby tłok. Polecę następnym razem, choć wielce żałuję, iż omija mnie taka okazja.

Pilot i jego pasażerowie odrzucili wszystkie liny, oprócz jednej, najdłuższej. Dzień był niemal bezwietrzny i, jak powiedziano Ismailowi, mieli odbyć lot kontrolowany. Pilot wytłumaczył wszystkim, że wzniosą się w powietrze jak latawiec, a kiedy lina zacznie się naprężać, ogień w piecu zostanie przygaszony, aby mogli zawisnąć w powietrzu jak prawdziwy latawiec, jakieś tysiąc dłoni ponad ziemią. Dzięki bryzie wiejącej o tej porze dnia od oceanu mieli pewność, że w razie pęknięcia liny zniesie ich w głąb lądu.

Powoli zaczęli wznosić się do góry.

-To niczym rydwan Ardżuny - powiedział Kerala. Wszyscy pokiwali głowami, a ich oczy lśniły z podekscytowania. Śpiewaczka wyglądała pięknie, wspomnienie o jej pieśni było żywe jak muzyka rozchodząca się w powietrzu, obok Kerala i Bhakta, najpiękniejsza z nich wszystkich. Pilot ze dwa czy trzy razy nacisnął na miech, wiatr zaświszczał na olinowaniu.

Z powietrza ląd okazał się być plaski. Rozciągał się na ogromną odległość, aż po sam horyzont i po zielone wzgórza na północnym

wschodzie

Południu. Po zachodniej stronie rozpościerała się niebieska plama oceanu, a słońce odbijające się od jego powierzchni lśniło jak złoto na błękitnej ceramice. Wszystko, co znajdowało się pod nimi, było teraz mniejsze, lecz nadal wyraźne. Drzewa wyglądały jak zielone kłaczki wełny, a cały widok przypominał panoramę z perskiej miniatury, rozłożoną w przestrzeni pod nimi i olśniewająco przyozdobioną. Pola ryżowe otaczał wijący się szpaler palm kokosowych, a dalej był sad z małymi drzewami, sadzonymi w równych rzędach, który wyglądał z góry jak gęsto tkany materiał, rozciągnięty aż po linię ciemnozielonych wzgórz na wschodzie.

- Co to za gatunek drzew? - zapytał Ismail.

Odpowiedzi udzielił mu Kerala, gdyż, jak się okazało, to na jego rozkaz założono większość sadów, jakie teraz widzieli.

- Sady zajmują część terenów miejskich i przeznaczone są pod uprawę drzew, z których otrzymujemy olejki eteryczne, które z kolei wymieniamy na towary, docierające do nas z całego świata. Kiedy szliście z Bhaktą na górę, musiałeś pewnie poczuć zapach niektórych z nich. Wetiweria, costus, waleriana i arcydzięgiel, mamy też krzewy: keruda, lotes, kadam, parijat i królową nocy. Trawy: palczatkę cytrynową i szczetną, trawę imbirową i pamarose. Kwiaty- jak sam widzisz: tuberozy, róże, jaśmin, frangipani, a z ziół miętę pieprzową i dlugolistną, patchouli i bylicę, natomiast tam daleko w lasach znajdują się gaje drzew sandałowych i aquilarii. Wszystkie te rośliny rozmnażamy, sadzimy, uprawiamy, zbieramy i przetwarzamy, a następnie pakujemy w worki czy flakony i sprzedajemy do Afryki,

Firanii, Chin, a nawet do Nowego Świata, gdzie wcześniej nie znano perfum ani tak silnych medykamentów. Wielu zachwyca się naszym towarem i pragnie go coraz więcej. Ostatnio wysłałem moich ludzi w świat w poszukiwaniu nowych surowców, chcę się przekonać, co jeszcze możemy hodować i uprawiać. Jeśli coś się przyjmuje, powiększamy uprawę, a otrzymane z niej olejki sprzedajemy na całym świecie. Zapotrzebowanie jest tak duże, że aż trudno nadążyć z produkcją. Do Trawankoru płynie rzeka złota, a my w zamian otulamy całą Ziemię cudną wonią naszych perfum.

Kiedy lina łącząca ich z ziemią naprężyła się, kosz lekko zawirował. Pod nimi leżało serce królestwa - Trawankor z lotu ptaka albo z perspektywy Boga. Ziemie nad zatoką zasłane były dachami, drzewami, dokami i nitkami dróg - wszystko tak małe, jak zabawki księżniczki - i choć wielkością miasto ustępowało Konstantynopolowi, to i tak było wystarczająco duże, o wiele zaś bogatsze w naturalne skupiska lasów, w większości nienaruszonych przez budynki i ulice. Jedynie w okolicach nabrzeża było więcej dachów niż drzew.

Tuż ponad nimi przepłynęła ciężka, burzowa chmura, która popłynęła z wiatrem w głąb lądu. Znad odległego oceanu sunął ku nim długi rząd wysokich białych i marmurkowych chmur.

- Dzisiaj będziemy musieli zejść wcześniej - rzekł Kerala do pilota, który skłonił się i sprawdził piec.

Ponad nimi zaczęło krążyć stado zaciekawionych sępów. Pilot krzyknął na nie, a po chwili z torby leżącej na dnie bambusowego kosza wyciągnął dubeltówkę. Jak sam przyznał, nigdy czegoś

takiego nie doświadczył, ale za to nie raz słyszał o ptakach, które spadały prosto z nieba i przebijały jedwabny worek. Pewnie chodziło o jastrzębie, broniące swego terytorium, gdyż sępy nie byłyby aż tak odważne. Tak czy inaczej nie mogli dać się im zaskoczyć.

Kerala roześmiał się, spojrzał na Ismaila i wskazał na kolorowe, wonne pola.

- Właśnie taki świat możesz pomóc nam stworzyć - powiedział - kiedyś wyjdziemy w świat, a nasze sady i ogrody sięgną wszystkich horyzontów, zbudujemy drogi poprzez góry i pustynie, zagospodarujemy górskie stoki i nawodnimy wyschnięte ziemie, ogród nasz będzie wielki i zapanuje powszechny dobrobyt. Nie będzie już więcej imperiów ani królestw, nie będzie kalifów, sułtanów, emirów, chanów ani zamindarów, żadnych królów, królowych i książąt, żadnych kadich, mułłów i ulemów, nie będzie niewolnictwa i ciemiężenia, własności i podatków, bogatych i biednych, zabijania, okaleczania, torturowania i karania śmiercią, nie będzie strażników ani więźniów, generałów, żołnierzy, wojsk i marynarek. Upadnie patriarchat, upadną klany i kasty, nie będzie już więcej głodu ani cierpienia ponad to, które przynosi człowiekowi jego życie z racji narodzenia się i konieczności śmierci. Dopiero wtedy przekonamy się, jakim to stworzeniem tak naprawdę jest człowiek.

3

Złota Góra

W dwunastym roku panowania cesarza Xianfeng wielka woda zalała Złotą Górę. Deszcz zaczął padać trzeciego miesiąca jesieni, kiedy to na tej części wybrzeża Yingzhou rozpoczynała się pora deszczowa, i padał nieustannie aż do drugiego miesiąca wiosny. Przez pół roku lało codziennie, a nierzadko rzęsiście i ulewnie, zupełnie jak w tropikach. Jeszcze przed półmetkiem tamtej zimy wnętrze wielkiej doliny centralnej w Złotej Górze wypełniło się wodą, tworząc płytkie jezioro, długie na 1500 li i szerokie na 300 li. Brązowa woda spływała spomiędzy zielonych wzgórz okalających deltę prosto do dużej zatoki i dalej przez Złotą Bramę do oceanu, w którym rozchodziła się błotnistą plamą, sięgającą daleko, aż po wyspy Penglai. Wody schodziły prędkim nurtem, do czego przyczyniał się odpływ i wysoki stan rzek, to wszystko było jednak za mało, aby opróżnić wielką dolinę. Chińskie miasta, wsie i gospodarstwa, założone na jej płaskim dnie, woda załata po dachy. Ludzie musieli opuścić domy i szukać schronienia na wyżej położonych terenach, na nabrzeżnym paśmie górskim albo u podnóża Złotych Gór. Większość zeszła do legendarnego miasta Fangzhang, a mieszkańcy wschodniej części doliny uciekali ku podnóżom gór. Wspinali się po stromych nasypach kolejowych i traktach dla wozów, prowadzących przez sady jabłoniowe i winnice, a dalej wzdłuż krawędzi głębokich kanionów, wcinających się w płaskowyż. Tam też natknęli się na niewielką grupę Japończyków, którzy od lat zamieszkiwali tę część pogórza.

Wielu z nich dołączyło do japońskiej diaspory zaraz po podbiciu Nipponu przez chińską armię cesarza Yung Chenga, mniej więcej sto dwadzieścia lat wcześniej. To oni jako pierwsi rozpoczęli uprawę ryżu w centralnej dolinie, lecz wystarczyły dwa pokolenia, żeby dolina po brzegi wypełniła się chińskimi imigrantami, tak jak teraz wypełniła się wodą. Większość Japończyków nisei i sansei przeniosła się wyżej na pogórze, gdzie poszukiwali złota, uprawiali winogrona lub jabłonie. Zetknęli się tam ze sporą grupą starców, ukrywających się przed epidemią malarii, która zabiła większość ich społeczności. Japończycy połączyli się z ocalałymi, a później z innymi starcami przybyłymi ze wschodu i wszyscy razem, przy użyciu wszelkich dostępnych metod oprócz pospolitego ruszenia, odpierali kolejne próby wtargnięcia Chińczyków na tereny pogórza. Musieli się bronić, gdyż zostali przyparci do muru. Za linią Złotych Gór zaczynały się, dzikie, alkaliczne pustynie, na których życie było niemożliwe.

Nagłe pojawienie się tak wielu uciekających przed żywiołem chińskich rolników i ich rodzin nie było zbyt radosnym wydarzeniem dla tych, którzy mieszkali tam od lat. Pogórze zbudowane było z wielu pochyłych plateau, piętrzących się ku wysokim górom i poprzecinanych głębokimi, gęsto zalesionymi i postrzępionymi wąwozami, których dnami płynęły rzeki. Zarośnięte niedźwiedzim gronem kaniony były dla chińskich władz przeszkodą nie do pokonania, w związku z tym wiele

japońskich rodzin znajdowało tam schronienie i utrzymywało się z płukania złota i pracy w niewielkich odkrywkach. Chińska kampania

budowy dróg objęła swym zasięgiem większość górskich plateau, lecz kaniony, pomimo obecności chińskich poszukiwaczy złota, nadal pozostawały w rękach Japończyków - niczym Hokkaido na wygnaniu, wciśnięta między dolinę zajętą przez Chińczyków i wielką pustynię należącą do rdzennych mieszkańców Nowego Świata, który powoli zapełniał się chińskimi hodowcami ryżu, brodzącymi po kolana w wodzie.

Żadnej ze stron sytuacja ta nie odpowiadała. Jak dotąd Chińczycy i Japończycy żyli ze sobą jak pies z kotem. Japończycy z podgórza starali się ignorować Chińczyków, zakładających obozy uchodźców przy każdym postoju wzdłuż dróg i traktów kolejowych, Chińczycy natomiast, starając się ignorować japońskich osadników, posuwali się coraz dalej. W końcu zaczęło brakować ryżu, wraz z nim skończyła się cierpliwość i w rejon pogórza zostały wysłane chińskie oddziały pacyfikacyjne. Deszcz nie przestawał padać.

Część Chińczyków opuściła zalane tereny i udała się drogą wzdłuż Rzeki Tęczowego Pstrąga. Na jej rozległym, północnym brzegu ciągnęły się jabłoniowe sady i zielone pastwiska, należące w większości do Chińczyków z Fangzhang, lecz uprawiane przez Japończyków. Chińczycy założyli obóz w jednym z sadów i wspólnymi siłami próbowali zbudować jakieś schronienie przed deszczem. Wznieśli drewniany stelaż na kształt stodoły, z gontowym dachem, paleniskiem i ścianami ze zwykłych prześcieradeł - mizerne było to schronienie, ale i tak lepsze niż żadne. Za dnia mężczyźni schodzili po stromych ścianach kanionów, aby łowić ryby w huczącej w dole rzece, a inni szli w las i

polowali na jelenie. Zwykle zabijali wiele sztuk naraz i suszyli zdobyte mięso.

Matka jednej z rodzin, o imieniu Yao Je, ciągle się gorączkowała z powodu swoich jedwabników, które musiała zostawić w gospodarstwie, w pudłach ukrytych pod krokwiami przędzalni. Według jej męża, nic nie dało się zrobić. Pozostali członkowie rodziny posłali więc po służącego, młodego, japońskiego chłopca o imieniu Kiyoaki, który na ochotnika zgodził się wrócić do doliny, odnaleźć łódź i pierwszego spokojniejszego dnia odzyskać jedwabniki. Pomysł nie przypadł do gustu jego panu, natomiast pani owszem, gdyż to jej najbardziej zależało na jedwabnikach. Tak więc któregoś z następnych deszczowych poranków Kiyoaki ruszył z powrotem do doliny, aby odszukać zatopione gospodarstwo swojej pani.

Szybko udało mu się znaleźć łódź rodziny Yao, nadal przywiązaną do tego samego dębu, przy którym ją zostawili. Odwiązał ją i powiosłował w rejon, gdzie znajdowały się pola ryżowe, należące do wschodniej części gospodarstwa, a później dalej, w stronę głównego kompleksu. Zachodni wiatr i wysokie fale znosiły go z powrotem na wschód, więc zanim dopłynął do kompleksu Yao, miał już odciski na obu dłoniach. W końcu otarł płaskim dnem o ścianę i przywiązał łódź do dachu przędzalni, najwyższego budynku w gospodarstwie. Wszedł do środka przez okno i wspiął się pod krokiew. Tam w pudełkach wyłożonych kamieniami i morwową mierzwą znalazł arkusze namokniętego papieru pokryte jajeczkami jedwabników. Zebrał wszystkie arkusze, schował je w swojej torbie z natłuszczonej tkaniny, a całość, z

wielkim zadowoleniem, opuścił przez okno na dno łodzi.

Tymczasem znów rozpętała się ulewa. Krople deszczu biły wściekle o powierzchnię wody stojącej w dolinie. Kiyoaki zaczął zastanawiać się nad spędzeniem nocy na strychu w domu Yao, wystraszył się jednak panującej tam ciemności i pustki. Tylko z tego powodu postanowił niezwłocznie płynąć z powrotem. Natłuszczona tkanina doskonale chroniła jajeczka przed wilgocią, a on z kolei, był tak bardzo przemoczony, że już przestał zwracać uwagę na deszcz. Wyglądał jak żaba, wskakująca z powrotem do swojego bajora, ale to też mu już nie przeszkadzało. Zszedł do łodzi i zaczął wiosłować.

Jak na przekór, wiało teraz ze wschodu, a fale zrobiły się wysokie i gwałtowne. Bolały go dłonie i ramiona, a łódź co rusz zahaczała o przeróżne rzeczy pływające w wodzie, korony drzew, połamane słupy telegraficzne i inne przedmioty. Dłoń topielca! Widoczność ograniczał gęstniejący mrok, a kiedy zapadła noc, całkowicie stracił orientację i już nie wiedział, dokąd płynie. W dziobie łodzi upchnięta była płachta impregnowanego tłuszczem płótna, służąca za zadaszenie. Rozciągnął ją na nadburciu, mocno przywiązał i wszedł pod spód. Położył się na dnie i dryfował po wodach, wybierając metalową puszką wodę wlewającą się do środka. Łódź już dobrze nasiąkła, lecz nadal była daleka od zatonięcia. Pozwolił jej bezwładnie podskakiwać na falach, aż w końcu zasnął.

W nocy budził się kilka razy, lecz po wybraniu wody zawsze zmuszał się do ponownego zaśnięcia. Łódź kręciła się i kołysała, jednak fale ani razu nie przelały się nad jej pokładem. Gdyby tak się stało, łódka zatonęłaby, a on wraz z nią - o tym jednak starał się nie

myśleć.

O świcie okazało się, że nie zdryfował na wschód, lecz bardziej na zachód. Znajdował się daleko od brzegu, na śródlądowym morzu,

które zmieniła się dolina. Niewielkie skupisko dębów, zdradzało obecność kawałka suchego lądu, wystającego ponad taflę powodzi, i Kiyoaki od razu powiosłował w tamtą stronę.

Płynął zwrócony twarzą w przeciwnym kierunku, więc nie przyjrzał się dokładnie małej wyspie, zanim dziób jego łodzi nie osiadł na brzegu. W tej samej chwili zorientował się, że na lądzie roi się od pająków, robaków, węży, wiewiórek, kretów, szczurów, myszy, szopów i lisów, które na raz zaczęły wskakiwać do łodzi, będącej dla nich nowym i nieco wyższym terenem. Kiyoaki był najwyższy z całego otoczenia, krzyczał więc przerażony, strącając z siebie wystraszone węże, wiewiórki i pająki. Wtem do łódki pełnej zwierząt wskoczyła młoda kobieta z dzieckiem na rękach, odepchnęła się od dębu, przy którym wylądował Kiyoaki i wrzasnęła:

- One chcą ją zjeść, one chcą zjeść moje dziecko!

Kiyoaki nadal zmagał się z chmarą obłażących go stworzeń i odganiając je, omal nie strącił do wody jednego wiosła. W końcu udało mu się zepchnąć i powyrzucać wszystkich intruzów za burtę, po czym osadził wiosła z powrotem w dulkach i prędko odpłynął. Dziewczyna i jej dziecko siedzieli na dnie łodzi, dziewczyna nadal jeszcze strącała z siebie pająki i inne insekty, i ciągle krzyczała:

- Fe! A fe! Fuj! Była Chinką.

Z niskowiszących szarych chmur zaczął sączyć się deszcz. We wszystkich kierunkach nie widzieli nic poza wodą i drzewami na wyspie, którą w wielkim pośpiechem opuścili.

Kiyoaki wiosłował na wschód.

- Płyniesz w złą stronę - zaczęła narzekać dziewczyna.

- Stamtąd właśnie przypłynąłem - odpowiedział Kiyoaki. - Tam też znajduje się rodzina, która mnie najęła.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała.

Z pasażerami na pokładzie wiosłowało się znacznie trudniej, a do tego fale były tak wysokie, że niemal przelewały się przez burty. Między ich nogami ciągle skakały świerszcze i pająki, a pod deskami na dziobie ukrył się opos. Kiyoaki wiosłował tak długo, aż jego dłonie zaczęły krwawić, lecz nadal nie dostrzegali lądu. Tak rzęsiście teraz lało, że deszcz tworzył coś na kształt gęstej, opadającej mgły.

Dziewczyna narzekała, piastowała dziecko i zabijała robaki.

- Wiosłuj na zachód - powtarzała ciągle - z prądem łatwiej będzie się płynęło.

Kiyoaki płynął na wschód. Łódź podskakiwała swobodnie na falach, a od czasu do czasu musieli wybierać z niej wodę. Cały świat nagle stal się morskim bezkresem. Raz, poprzez prześwit w niskich chmurach na zachodzie Kiyoaki dojrzał nabrzeżny łańcuch górski -byli znacznie bliżej niż się spodziewał. Prąd w wysokiej wodzie musiał znosić ich na zachód.

Kiedy zapadał zmrok, przepłynęli obok następnej zalesionej wysepki.

- To ta sama wyspa! - powiedziała dziewczyna.

- Rzeczywiście tak wygląda.

Wiatr znów się wzmagał, niczym bryza od delty, która zawsze przynosiła orzeźwienie w trakcie suchych i gorących letnich dni. Fale rosły coraz wyżej i gwałtownie uderzały o drewniane burty, rozpryskując się na płóciennym zadaszeniu i zalewając im stopy. Teraz już musieli wylądować gdzieś na suchym lądzie, gdyż łódź w każdej chwili mogła zatonąć.

Kiyoaki dobił do brzegu, gdzie od razu zaatakowała ich nowa fala insektów i innych stworzeń. Chinka klęła z zadziwiającą płynnością i odtrącała dłonią co większe zwierzęta, próbujące zbliżyć się do dziecka. Do wszystkich mniejszych stworzeń trzeba było się po prostu przyzwyczaić. Wyżej, wśród rozłożystych koron dębów, gęsto porastających dolinę, rozsiadło się niewielkie stado smętnych makaków, które przyglądały się im z wysokości. Kiyoaki przywiązał łódź do gałęzi, zszedł na ląd i na grząskim biocie między korzeniami rozłożył przemoknięty pled. Następnie ściągnął z łodzi płócienny dach i okrył nim dziewczynę i jej dziecko. Brzegi płótna przycisnął do ziemi ciężkimi gałęziami i wczołgał się pod zadaszenie, gdzie wspólnie z robactwem, wężami i gryzoniami mieli spędzić długą noc. Trudno było im zasnąć.

Następny poranek był tak samo deszczowy jak i większość poprzednich. Kobieta ułożyła córeczkę między sobą i Kiyoakim, aby nakarmić ją i ochronić przed szczurami. Pod płóciennym dachem było cieplej niż na zewnątrz. Kiyoaki bardzo chciał rozpalić ogień i usmażyć kilka wiewiórek i węży, ale wszystko dookoła zamokło.

- Myślę, że moglibyśmy się już zacząć zbierać - powiedział. Wyszli na zewnątrz, gdzie przywitała ich zimna mżawka i zeszli z powrotem do łodzi. Kiedy Kiyoaki odbijał od brzegu, z drzew zeskoczyło dziesięć makaków, które wdrapały się do łodzi i dołączyły do ludzi. Dziewczyna krzyczała, przykrywając dziecko koszulą, kuląc się nad nim i obserwując uważnie małpy. Te z kolei siedziały w łódce jak pasażerowie, ze wzrokiem wbitym w dno łodzi lub skierowanym gdzieś daleko w padający deszcz, jakby udawały, że myślą o czymś zupełnie innym. Wystraszyła jedną z nich, a ta odskoczyła.

- Zostaw je - powiedział Kiyoaki. Te makaki pochodzą z Japonii. Chińczycy ich nie lubią i ciągle narzekają na nie w Yingzhou.

Tak też błąkali się po tym wielkim, powodziowym morzu. Dziewczyna i dziecko byli cali pogryzieni przez pająki i pchły i wyglądali jak dwa martwe ciała. Po jakimś czasie małpy zaczęły ich iskać, zjadając część znalezionych insektów, a resztę wyrzucając za burtę.

- Nazywam się Kiyoaki.

- A ja jestem Peng-ti - odpowiedziała młoda Chinka, strącając z dziecka żyjątka i ignorując małpy.

Odciski na dłoniach Kiyoakiego znów dawały mu się we znaki, lecz po chwili ból przeszedł. Skierował łódź na zachód, poddając się prądowi, który i tak zaniósł ich daleko w tę stronę.

Z mżawki wyłoniła się nagle mała żaglówka. Kioaki krzyknął w jej stronę, budząc ze snu dziewczynę i dziecko, lecz ludzie na łódce już wcześniej ich zauważyli i teraz żeglowali ku nim.

Na pokładzie było dwóch japońskich marynarzy. Pengti przyglądała się im, mrużąc oczy.

Jeden z nich zwrócił się do rozbitków, żeby wdrapali się do ich łodzi.

- Ale małpy zostają - dodał mężczyzna ze śmiechem.

Peng-ti podała im dziecko, chwyciła się burty i wspięła na pokład żaglówki.

- Macie szczęście że to tylko małpy - powiedział drugi mężczyzna. - Powyżej północnej doliny, w okolicach Black Fort, ciągną się rozległe niezagospodarowane tereny górskie, tam to dopiero ciągnęło zwierząt, nie to co tu. Ludzie pozamykali wszystkie bramy. To jednak na niewiele się zdało, bo dla niedźwiedzi brunatnych i grizzly mury nie stanowią żadnej przeszkody. Zaczęto więc do nich strzelać, to znowu magistrat zakazał, bo można było stracić całą amunicję, a i tak w mieście pełno byłoby niedźwiedzi. Po jakimś czasie największym grizzly udało się sforsować bramę, wtedy do miasta wdarły się wilki i łosie, cała przeklęta flota Hsu Fu nagle spacerowała po ulicach Black Fort. Ludzie przestali wychodzić z domów i pozamykali się na strychach - mężczyzna śmiał się na samą myśl o tych wydarzeniach.

- Jesteśmy głodni - powiedziała Peng-ti.

- Na takich też mi wyglądacie - odpowiedzieli.

- Kierowaliśmy się na wschód - napomknął Kiyoaki

- A my na zachód.

- Świetnie - rzuciła Peng-ti.

Ciągle padało. Minęli następne skupisko drzew, porastających

lekkie wypiętrzenie terenu, który niedawno znalazł się pod wodą. Na gałęziach i konarach, niczym stado małp, siedział tuzin smętnych i przemokniętych Chińczyków, którzy jeden po drugim wskakiwali do żaglówki. Z ich opowieści wynikało, że siedzieli tam od sześciu dni, a fakt, że uratowali ich Japończycy, najwidoczniej nie robił na nich większego wrażenia.

Żaglówka i przywiązana do niej łódź wiosłowa popłynęły dalej, niesione przez brązowy nurt biegnący między zielonymi wzgórzami zasnutymi mgłą.

- Płyniemy teraz do miasta - odezwał się sternik - to jedyne miejsce z nadal bezpiecznym nabrzeżem. Poza tym chcielibyśmy się w końcu wysuszyć i zjeść prawdziwy obiad w Japantown.

Żeglowali dalej po smaganej deszczem tafli błotnistej wody. Tereny delty i znajdujące się tam wyspy, otoczone wałami, leżały teraz pod wodą. Cała okolica zamieniła się w ogromne, brązowe jezioro, z którego gdzieniegdzie wystawały rzędy koron drzew, na podstawie których żeglarze potrafili określić swoje położenie. Wskazywali rękami na kolejne zielone linie na wodzie i dyskutowali o nich z wielkim ożywieniem. Ich płynna, japońska mowa wyraźnie odróżniała się od kiepskiej chińszczyzny.

W końcu dopłynęli do wąskiej cieśniny o stromych i skalistych ścianach, a jako że wiatr wiał w górę Wewnętrznej Bramy, jak domyślał się Kiyoaki, opuścili żagiel i popłynęli swobodnie z prądem, aby utrzymać się w jego najszybszej części. Prąd zakręcał długim łukiem na południe i obiegał wzgórza, za którymi kończyła się cieśnina, a zaczynał szeroki przestwór Złotej Zatoki, teraz

brązowej, spienionej i rozkołysanej, okolonej pasmem wzgórz, które znikały pod niskim sufitem szarych chmur. Kiedy przecinali zatokę, kierując się prosto na miasto, chmury stopniowo rzedły, a po jakimś czasie nad skalistym grzbietem wyrastającym z północnego półwyspu, unosiło się już tylko kilka jasnych pasm. Słabe światło padło na gęstą plątaninę dróg i domów i zalało cały półwysep, aż po szczyt Tamlpi. Pośród ogólnie panującej szarzyzny niektóre okolice lśniły teraz bielą, srebrem i grafitem.

Zachodnią część zatoki, leżącej zaraz na północ od Złotej Bramy, przegradzało kilka mniejszych półwyspów, które wcinały się w wody i były gęsto zabudowane; w gruncie rzeczy były to jedne z najbardziej ruchliwych dzielnic w okolicy, ulokowanych na przylądkach trzech nie-

wielkich, naturalnych portów. Środkowy z nich był największy, był to port handlowy, a półwysep po jego południowej stronie dostarczał zaopatrzenie do Japantown, miasta magazynów, warsztatów i dzielnic pracowniczych. To właśnie tu, jak mówili wcześniej marynarze, pływające przystanie i keje były w nienaruszonym stanie i cały czas normalnie funkcjonowały, jakby dolina centralna wcale nie była zatopiona. Jedynie brudna, błotnista woda w zatoce świadczyła o tym, że coś się zmieniło. Kiedy zbliżali się do przystani, małpy stłoczone na lodzi wiosłowej zaczęły zdradzać zaniepokojenie. Dla nich było to nie tyle wejście z deszczu pod rynnę, co z deszczu prosto na patelnię, więc ostatecznie jedna z nich wyskoczyła za burtę i rozpryskując wodę wokół siebie, po-

płynęła w stronę wyspy majaczącej na południu. Pozostałe od razu

popłynęły za nią, kontynuując swoją dziwną rozmowę, którą rozpoczęły, będąc jeszcze na pokładzie.

- Dlatego właśnie nazywają ją Wyspą Małp - odezwał się kapitan żaglówki.

Dobili do środkowego portu. Pośród ludzi stojących na kei znajdował się też chiński sędzia pokoju, który, ze wzrokiem wbitym w ziemię, zapytał:

- Nadal wszystko zalane?

- Zalane, a do tego wciąż nie przestaje padać.

- Ludziom pewnie zaczyna doskwierać głód.

- Niestety.

Chińczycy wdrapali się na keję i podziękowali marynarzom, którzy pomagali właśnie wysiąść Kiyoakiemu, Peng-ti i jej dziecku. Sternik postanowił udać się wraz z nimi i sędzią pokoju do biura uchodźców z Wielkiej Doliny zorganizowanego w budynku urzędu celnego, na tyłach przystani. Tam też wszystkich spisano, imiona, miejsca zamieszkania przed powodzią, miejsce pobytu rodziny, sąsiadów, jeśli było znane - wszystko notowano. Następnie urzędnicy wręczyli im bony, które mogli wymienić na łóżka w budynkach urzędu imigracyjnego, na wyspie pośrodku zatoki.

Sternik potrząsnął głową. Kompleks ten wzniesiono jako kwarantannę dla imigrantów narodowości innej niż chińska, którzy ściągali do złotej Góry pięćdziesiąt lat wcześniej. Dookoła zabudowań ciągnął się wysoki plot z drutem kolczastym, a wewnątrz mieściły się sale sypialne, Podzielone na część dla mężczyzn i dla kobiet. Teraz znalazła tam schronienie duża część powodzian, którym

udało się dopłynąć do zatoki. Byli to w większości Chińczycy, przymusowo wysiedleni z doliny,

lecz ludzie zajmujący się obiektem nadal utrzymywali jego więzienny charakter, do jakiego przywykli przez lata pracy z imigrantami. Uchodźcy z doliny uskarżali się na panujące tam warunki i starali się jak najszybciej przejść oczyszczenie, by móc zamieszkać u swoich tutejszych krewnych lub przenieść się na wybrzeże, albo nawet wrócić do zatopionej doliny i czekać na opadnięcie wody. Wkrótce pojawiły się informacje o przypadkach zachorowań na cholerę. Gubernator prowincji ogłosił stan wyjątkowy, co dawało mu wystarczającą władzę do działania bezpośrednio w interesie cesarza. Niedługo potem wprowadził stan wojenny z udziałem wojska i marynarki.

Wytłumaczywszy to wszystko, sternik zwrócił się do Kiyoakiego i Peng-ti:

- Jeśli chcecie, możecie zostać z nami. Zatrzymujemy się w pensjonacie w Japantown, jest tam czysto i tanio i podejrzewam, że dadzą wam miejsca na słowo, jeśli się za wami wstawimy.

Kiyoaki spojrzał na Peng-ti, która utkwiła wzrok w ziemi. Jaskinia węża czy pajęcze sieci: dom dla uchodźców czy Japantown.

- Idziemy z wami - odpowiedziała dziewczyna. - Wielkie dzięki. Po obu stronach ulicy prowadzącej z przystani w głąb lądu i do góry,

ku centralnej dzielnicy miasta, stały restauracje, hotele i sklepy, a płynna, japońska kaligrafia rzucała się tam w oczy równie często, co bardziej kanciaste chińskie ideogramy. Boczne uliczki były znacznie węższe od głównej arterii, a spiczaste dachy rozchodziły

się łukami w powietrzu, tak że budynki niemal łączyły się ze sobą nad głowami przechodniów owiniętych w peleryny i płaszcze z natłuszczanego płótna lub schowanych pod czarnymi i kolorowymi parasolkami, z których niejedna była już w strzępach. Wszyscy byli przemoknięci i szli zgarbieni, ze spuszczonymi głowami. Środek ulicy zmienił się w potok, którego brązowy nurt spływał do zatoki. Zielone wzgórza okalające tę dzielnicę od zachodu mieniły się jasnymi barwami dachówek, zielenią, czerwienią i jaskrawym błękitem. Mimo bezpośredniego sąsiedztwa z Japantown, a może właśnie dzięki niemu, dzielnica ta znakomicie się rozwijała. Kiyoakiego nauczono, by nazywał błękit tych dachówek błękitem Kioto.

Minęli jeszcze kilka wąskich przecznic, zanim doszli do dużego domu kupieckiego, połączonego z zakładem, w którym produkowano świece. Dwóch japońskich marynarzy (starszy, jak później wyszło w rozmowie, miał na imię Gen) przedstawiło młodych rozbitków właścicielce pensjonatu, sąsiadującego z zakładem. Kobieta była starą, bezzębną Japonką, ubraną w zwykłe, brązowe kimono. W przestronnym przedpokoju jej pensjonatu mieściła się niewielka kapliczka i recepcja. Przekroczywszy próg, młodzi zaczęli zrzucać z siebie przemoknięte ubrania, a kobieta mierzyła ich wzrokiem.

- Wszyscy ostatnio tacy jacyś przemoczeni - narzekała. - Wyglądacie, jakby wyciągnęli was z dna zatoki, jakby przeżuły was tam wszystkie kraby.

Dała im suche ubrania, a ich własne kazała wysłać do pralni. Jej

przybytek posiadał skrzydła dla mężczyzn i dla kobiet, wiec Kiyoakiemu i Peng-ti przydzielono osobne maty. Później podano im gorącą zupę z ryżem, a na koniec po kilka czarek ciepłego sake. Gen płacił za wszystko, a na ich wylewne podziękowania machnął tylko ręką w charakterystycznym dla Japończyków, szorstkim geście.

- Oddacie po powrocie do domu - mówił - wasze rodziny z radością mi się odwdzięczą.

Żadne z rozbitków nie dodało nic więcej. Byli najedzeni i wysuszeni, nie pozostało więc nic innego, jak udać się do pokojów i zasnąć kamiennym snem.

Następnego dnia Kiyoakiego zbudził głos mistrza, który krzyczał na swojego pomocnika w sąsiednim warsztacie. Kiyoaki wyjrzał przez okno, wychodzące na okno zakładu, w którym produkowano świece, i dojrzał tam rozzłoszczonego mistrza, który w tej chwili uderzył nieszczęsnego młodzieńca liczydłem w głowę.

Wcześniej w pokoju zjawił się Gen, który beznamiętnie obserwował scenę u sąsiadów.

- Chodźmy - zwrócił się do Kiyoakiego - mam dzisiaj jeszcze kilka rzeczy do zrobienia, pokażę ci miasto.

Wyszli z pensjonatu i skierowali się na południe. Szli szeroką, nabrzeżną ulicą łączącą kilka pomniejszych przystani, wychodzących w wody wielkiej zatoki, ku leżącym na niej wyspom. Port najdalej wysunięty na południe był węższy od tego w Japantown, a jego zatokę pokrywał las drewnianych masztów i stalowych kominów. Miasto wznoszące się nad wodą było gęstym skupiskiem trzy- i

czteropiętrowych drewnianych budynków, krytych dachówką i stojącym ciasno obok siebie, tworzących strukturę, którą Gen określił mianem tradycyjnego chińskiego stylu miejskiego. Rozciągał się on aż po linię przypływu. Tu i ówdzie domy stały nawet ponad wodą. Zwarta masa zabudowań pokrywała cały czubek półwyspu. Ulice rozchodziły się tam

w liniach prostych na wschód i zachód, od zatoki po ocean oraz na

północ i południe, gdzie kończyły się parkami i promenadami, położonymi wysoko ponad Złotą Bramą. Cieśninę przysłaniała mgła, która unosiła się nad żółtą plamą powodziowej wody, spływającej wprost do morza. Żółto-brązowa smuga była tak rozległa, że nie sposób było dostrzec za nią oceanicznego błękitu. Na lądzie od strony oceanu ciągnęły się długie zespoły zabudowań obronnych, betonowe fortece, które, jak mówił Gen, broniły cieśnin i okolicznych wód, nawet do pięćdziesięciu li w głąb lądu.

Gen usiadł na niskim murku przy jednej z promenad, z której roztaczał się dobry widok na cieśninę, i wskazał dłonią na północ, gdzie jedyny widok stanowiła mozaika dróg i kolorowych dachów.

- Największy port na Ziemi. Największe miasto na świecie, jak niektórzy powiadają.

- Rzeczywiście jest ogromne, ale nie wiedziałem, że będzie aż tak...

- Ponoć jest tu już milion ludzi i cały czas ich przybywa. Budują się coraz dalej, na północ półwyspu.

Z kolei półwysep południowy, leżący po drugiej stronie cieśniny,

pokrywały jałowe bagna i strome wzgórza. Kiyoaki stwierdził, że w porównaniu z miastem, tamten teren wyglądał na niezaludniony.

- Za dużo bagien, jak sądzę, i za stromo na drogi. Kiedyś pewnie wezmą się za niego, ale na razie o wiele lepiej jest tu - wzruszył ramionami Gen.

Na wyspach rozsypanych po zatoce wznosiły się siedziby cesarskich urzędników, a na najdalej położonej, a zarazem największej z nich, stała posiadłość gubernatora, przykryta złotym dachem. Na spienionej powierzchni brązowych wód zatoki unosiły się pojedyncze żaglówki i niewielkie, dymiące dwusuwy, a w marinach u brzegów wysp stały zacumowane kwadratowe barki mieszkalne. Kiyoaki z radością podziwiał cały widok.

- A może by tak się tu przeprowadzić? Jakaś praca chyba by się dla mnie znalazła.

- Na pewno! W porcie, przy rozładunku frachtowców, a pokój możesz wynajmować w pensjonacie. Pracy nie brakuje, nawet w zakładzie produkującym świece potrzebują pomocnika.

Kiyoaki przypomniał sobie moment porannego przebudzenia.

- Dlaczego tamten mężczyzna tak się złościł? Gen zmarszczył czoło.

- To było rzeczywiście dość niefortunne. Tagomi-san to dobry człowiek i zapewniam cię, że zazwyczaj nie bije swoich pomocników. Ma po

prostu zszarpane nerwy. Nie udaje nam się przekonać władz do uruchomienia zapasów ryżu, którymi można by nakarmić wszystkich ludzi uwięzionych w dolinie. Ten człowiek od świec

zajmuje dość wysoką pozycję w tutejszej społeczności japońskiej i walczy już od kilku miesięcy. Jest zdania, że chińscy urzędnicy siedzą tam na wyspie - mówił wskazując dłonią w dal - i czekają, aż większość ludzi na lądzie po prostu umrze z głodu.

- To jakieś szaleństwo, przecież to Chińczycy!

- Owszem, wielu jest Chińczyków, ale to tylko oznacza, że Japończyków jest jeszcze więcej.

- Jak to możliwe?

Gen przyjrzał mu się uważnie.

- W centralnej dolinie jest nas o wiele więcej niż Chińczyków. Pomyśl o tym. Nie jest to do końca takie oczywiste, bo tylko Chińczycy mają prawo do posiadania ziemi na własność. Budują więc swoje pola ryżowe, szczególnie w stronach, z których pochodzisz ty, daleko na wschodzie. Z kolei w dolinie, w jej górnych i dolnych partiach żyją głównie Japończycy, a na pogórzu i w nabrzeżnym pasie gór jest nas jeszcze więcej. Prawda jest taka, że byliśmy tu pierwsi, rozumiesz? A teraz przyszła wielka powódź, mnóstwo ludzi uciekło, porzuciło swój dobytek i cierpi głód. Więc chińscy biurokraci myślą sobie, że kiedy tylko woda opadnie i znów wyłoni się ląd, zakładając oczywiście, że kiedyś to nastąpi, będą mogli wysłać w teren doliny nowych imigrantów - przecież większość żyjących tam wcześniej Japończyków i rdzennych mieszkańców zmarła z głodu - tym razem jednak będą to wyłącznie Chińczycy.

Kiyoaki nie wiedział, co odpowiedzieć.

Gen przyglądał mu się z zaciekawieniem. Był zadowolony.

- No i wiesz, Tagomi próbował uruchomić pomoc na własną rękę, a my pomagaliśmy ją nieść w głąb lądu i na tereny dotknięte powodzią, lecz nie idzie nam najlepiej i wiele nas to wszystko kosztuje, staruszek chodzi zdenerwowany, a to się odbija na jego biednych pracownikach - mówił, śmiejąc się, Gen.

- Mimo wszystko uratowałeś tych Chińczyków, którzy utkwili na drzewach.

- Tak, tak. Taką mamy pracę. Dobro musi wypływać z dobra, prawda? Tak przynajmniej mówi staruszka, u której mieszkasz, oczywiście ją też czasem ponosi.

Obserwowali teraz kolejny jęzor mgły wsuwający się w cieśninę. Deszczowe chmury na horyzoncie wyglądały jak nadciągająca flota.

Czarne strugi deszczu zdążyły już zmyć opustoszały półwysep południowy.

Gen poklepał Kiyoakiego przyjacielsko po plecach:

- Chodźmy, muszę wziąć dla niej kilka rzeczy ze sklepu.

Udali się na stacją kolejową i wsiedli do pierwszego tramwaju, jadącego do zachodniej części miasta, leżącej po stronie oceanu. Tramwaj toczył się z góry i pod górę. Jechali ulicami, przez cieniste dzielnice mieszkalne i tereny należące do władz, mijali betonowe fortece i wjeżdżali na wysokie wzgórza, z których roztaczał się widok na poplamioną taflę oceanu, przecinali też szerokie esplanady, obsadzone sadami wiśniowymi. Gen opowiadał, że to właśnie w tej pagórkowatej okolicy, na północ od fortyfikacji stały najbogatsze pałace i rezydencje. Kioaki podziwiał je z okna drewnianego wagonu, który z piskiem i łoskotem toczył się do

przodu. Kiedy wjechali na szczyt kolejnej stromej ulicy, ich oczom ukazał się widok na świątynie na górze Tamalpi. Zjechali w dolinę i przesiedli się do innego tramwaju, jadącego na wschód. Następnie, z torbami wypełnionymi żywnością, kupioną na targu specjalnie dla właścicielki pensjonatu, przejechali przez półwysep i wrócili do Japantown.

Po powrocie Kiyoaki poszedł do skrzydła dla kobiet, zobaczyć jak się miewa Peng-ti i jej dziecko. Dziewczyna siedziała w glifie okiennym i trzymała dziecko w ramionach, wyglądała na opuszczoną i samotną, a jej twarz była bez wyrazu. Ani nie wyszła w miasto na poszukiwanie swoich chińskich krewnych, ani nie szukała pomocy u chińskich władz, które zresztą nieskore były do jakichkolwiek działań w tę stronę - ewidentnie nic ją nie interesowało. Siedziała u Japończyków jak w kryjówce, choć nie znała japońskiego, a przecież tylko tego języka tutaj używano, chyba, że ktoś chciał coś bezpośrednio od niej to wtedy wyjątkowo przechodził na chiński.

- Chodź ze mną na zewnątrz - powiedział w jej ojczystym języku - dostałem od Gena trochę pieniędzy na pociąg, możemy zobaczyć Złotą Bramę.

Zawahała się, lecz w końcu przystała na propozycję. Kyoaki zabrał ją więc na przejażdżkę siecią tramwajową, którą właśnie poznał. Następnie zeszli ścieżką w dół, do parku wychodzącego na cieśninę. Mgła już niemal całkowicie wyparowała, a niebo nie zdążyło jeszcze zakryć się czarnymi chmurami. Miasto i zatoka tonęły w świetlistym blasku promieni słońca. Brązowa powódź

nieustannie wlewała się do morza, a prędkość jej nurtu znaczyły dryfujące w wodzie przedmioty i ciągnące się długie strugi piany. Najwyraźniej zaczynał się odpływ. Wszystkie pola ryżowe centralnej doliny zmyło z powierzchni ziemi i spłukało do oceanu. W głębi lądu wszystko będzie musiało być odbudowane na nowo. Kiyoaki wypowiedział na głos ostatnie zdanie, a na twarzy Peng-ti pojawiła się fala gniewu, dziewczyna jednak od razu się otrząsnęła.

- Bardzo dobrze - powiedziała - nie chcę już nigdy więcej oglądać tego miejsca.

Kiyoaki, zdziwiony, wbił w nią wzrok. Nie miała więcej niż szesnaście lat. Co się stało z jej rodzicami i krewnymi? Nie opowiadała o tym, a on z grzeczności nie pytał.

Zamiast tego usiedli w rzadko widywanym ostatnio słońcu i patrzyli na zatokę. Po jakimś czasie dziecko zaczęło kwilić, więc Peng-ti w dyskretny sposób je nakarmiła. Kiyoaki spoglądał to na twarz dziewczyny, to na wartki prąd odpływu w okolicach Złotej Bramy i rozmyślał o Chińczykach, o ich nieprzejednanej biurokracji, o ogromnych miastach i chińskim panowaniu nad Japonią, Koreą, Mindanao, Aozhou, Yingzhou i Inkami.

- Jak się nazywa twoje dziecko? - zapytał Kiyoaki.

- Hu Die - odpowiedziała dziewczyna - to znaczy...

- Rusałka - powiedział po japońsku Kiyoaki. - Rozumiem. - Machnął ręką, a ona uśmiechnęła się i skinęła głową.

Chmury znów zasłoniły słońce i od razu poczuli chłód morskiej bryzy, następnym tramwajem wrócili więc do Japantown.

Po powrocie do pensjonatu Peng-ti udała się do skrzydła dla

kobiet, a jako że w części męskiej nie było nikogo, Kiyoaki postanowił wstąpić do sąsiedniego zakładu produkującego świece i zapytać o pracę. W warsztacie na pierwszym piętrze nie zastał nikogo, lecz usłyszał jakieś głosy na drugim piętrze, więc wszedł po schodach na górę.

Na drugim piętrze znajdowały się pokoje księgowych i inne biura. Wielkie drzwi gabinetu mistrza były zamknięte, lecz spoza nich dobiegały wyraźne głosy. Kiyoaki podszedł do drzwi i usłyszał dwóch mężczyzn rozmawiających po japońsku. -

- ...ale jak skoordynować nasze działania? Skąd możemy mieć pewność, że wszystko rozpocznie się dokładnie w tej samej chwili?

Nagle drzwi się otworzyły, silna ręka chwyciła Kiyoakiego za szyję i wciągnęła do pokoju. Wpatrywało się teraz w niego ośmiu, może dziewięciu Japończyków, usadowionych wokół starszego, łysego obcokrajowca, siedzącego w fotelu dla gości specjalnych. Mistrz od świec ryknął na całą salę.

- Kto go tu wpuścił?!

- Na dole nikogo nie było... - odpowiedział Kiyoaki. - Chciałem tylko zapytać, czy...

- Co usłyszałeś?! - Japończyk spojrzał na niego tak, jakby chciał uderzyć chłopca liczydłem albo zrobić coś jeszcze gorszego. - Jak śmiesz nas podsłuchiwać! Moglibyśmy za to przywiązać ci do kostek kamienie i wrzucić do zatoki!

- To jeden z wieśniaków, którego wyłowiliśmy z doliny - odezwał się Gen, siedzący dotąd w rogu sali. - Zdążyłem już go trochę poznać, a teraz, skoro już tu jest, mogę równie dobrze wciągnąć go

na listę. Według mnie jest sprawdzony, a poza tym nie ma tu nic lepszego do roboty. Prawdę mówiąc, myślę, że może nam się przydać.

Kiedy starzec wyrzucał z siebie jakieś słowa sprzeciwu, Gen wstał i złapał Kiyoakiego za poty koszuli.

- Niech ktoś zamknie te drzwi - rzucił w stronę stojących obok, młodszych mężczyzn, którzy od razu wykonali rozkaz. Następnie zwrócił się Kiyoakiego: - posłuchaj mnie, młodzieńcze, my staramy się pomagać Japończykom, dokładnie tak, jak ci mówiłem u Bramy.

- Zgadza się.

-W rzeczywistości jednak planujemy ich uwolnić. Nie tylko tutejszych, lecz również tych w Japonii.

Kiyoaki przełknął ślinę, a Gen energicznie nim potrząsnął.

- O to przede wszystkim chodzi, o Japonię. O wojnę, o niepodległość starego państwa, którą można prowadzić również tutaj. Jeśli chcesz, możesz pracować dla nas i dołożyć się do największej ze spraw, jakie istnieją dla Japończyka. Wchodzisz, czy rezygnujesz?

- Wchodzę - odpowiedział Kiyoaki - oczywiście, że wchodzę! Powiedz mi tylko, co mam zrobić!

- Na razie możesz usiąść i się zamknąć - rzucił Gen. - Przede wszystkim słuchaj uważnie, później dowiesz się więcej.

Starszy mężczyzna pośrodku pokoju zadał pytanie w swoim języku. Inny machnął ręką na Kiyoakiego i odpowiedział coś w tym samym języku, a później zwrócił się do Kiyoakiego po japońsku.

- To jest doktor Ismail, przybył do nas z Trawankoru, ze stolicy Ligi Indyjskiej, on nam pomoże w zorganizowaniu ruchu oporu

przeciwko Chińczykom. Jeśli masz zamiar zostać na tym spotkaniu, musisz przysiąc, że nigdy nikomu nie powiesz o tym, co tu słyszałeś i widziałeś. Uznamy wtedy, że jesteś oddany sprawie, bez możliwości wycofania się. Zginiesz, jeśli dowiemy się, że z kimś na ten temat rozmawiałeś. Rozumiesz?

- Rozumiem - powiedział Kiyoaki - wchodzę w to, już powiedziałem. Możecie bez obaw kontynuować. Całe życie pracowałem jako niewolnik dla Chińczyków z doliny. Mam tego dosyć.

Zgromadzeni w pokoju mężczyźni wpatrywali się Kiyoakiego i tylko Gen uśmiechnął się na widok tak młodego chłopca, używającego określenia “całe życie". Kiyoaki zauważył to i spiekł raka. Mówił prawdę, bez względu na to, ile miał lat, przybrał poważną minę i usiadł na podłodze, w kącie, przy drzwiach.

Mężczyźni wrócili do rozmowy. Zadawali cudzoziemcowi kolejne pytania, a on patrzył na nich zimnym, ptasim spojrzeniem i gładził swoje siwe wąsy, dopóki nie odezwał się do niego tłumacz, używający płynnego języka, który brzmiał, jakby brakowało w nim niektórych głosek, przez co słowa wydawały się niedokończone. Starzec jednak rozumiał go i udzielał dokładnych i wyczerpujących odpowiedzi, zatrzymując się co kilka zdań, aby młody tłumacz mógł powtórzyć wszystko po japoń-sku. Starzec był najwyraźniej przyzwyczajony do pracy z tłumaczem.

- Mówi, że jego kraj przez wiele stuleci cierpiał w jarzmie Mogołów, lecz w końcu się wyzwolił, dzięki akcji zbrojnej zorganizowanej przez Keralę. Wszystkie użyte przez niego techniki wojenne zostały spisane i usystematyzowane, tak że można się ich

nauczyć. Kerala został zamordowany około dwadzieścia lat temu. Doktor Ismail mówi, że była to ogromna tragedia, której nie sposób opisać słowami, i że nadal czuje się wstrząśnięty, kiedy o tym opowiada. Jedyne, co pozostaje, to nieustannie dawać z siebie wszystko i robić to, czego życzyłby sobie Kerala. Pragnął on uwolnić od imperiów wszystkich ludzi na świecie. Dzięki niemu Trawankor jest teraz częścią Ligi Indyjskiej, która co prawda boryka się z wewnętrznymi konfliktami i nierzadko są to krwawe konflikty, lecz jej członkowie najczęściej starają się wspólnie rozwiązywać problemy, jak równy z równym. Mówi, że ten rodzaj ligi został pierwotnie opracowany tutaj, w Yingzhou, na wschodzie, przez rdzennych mieszkańców z rodu Hodenosaunee. Narody Firanii zajęły większość wschodniego wybrzeża Yingzhou, podobnie jak my zajęliśmy zachód. Wielu starych osadników poumierało na przeróżne choroby, z resztą tak jak tu, zaś naród Hodenosaunee nadal kontroluje tereny wokół Wielkich Jezior, ponadto Trawankorczycy pomogli im uporać się z muzułmanami. On mówi, że to jest właśnie klucz do zwycięstwa - ci, którzy walczą z wielkimi imperiami muszą współpracować. Mówi, że udało im się nawet pomóc Afrykanom, gdzieś daleko, na głębokim południu, królowi plemienia Basuto, o imieniu Moshesh. Doktor mówi, że udał się tam osobiście i sam organizował wsparcie dla ludności plemiennej, która dzięki temu mogła bronić się przed muzułmańskimi handlarzami niewolników i przed wrogim plemieniem Zulusów. Bez ich pomocy Basuto najprawdopodobniej nie przetrwałoby do dziś.

- Zapytaj go, co ma na myśli, mówiąc o wzajemnej pomocy?

Stary lekarz pokiwał głową, kiedy przełożono mu pytanie. Wyliczał na palcach kolejne punkty swojej odpowiedzi.

- Mówi, że najpierw pomagają, ucząc ludzi specjalnego systemu, opracowanego przez Keralę, który umożliwia sprawną organizację sił zbrojnych i oddziałów bojowych w przypadku, gdy armia przeciwnika jest znacznie większa. Po drugie, w niektórych przypadkach mogą pomóc w zakresie zbrojeń, a jeśli uznają, że poważnie myślimy o współpracy wtedy mogą nawet zorganizować przerzut broni. I po trzecie, co zdarza się bardzo rzadko, mogą się włączyć do walk, jeśli uznają, że takie rozwiązanie jest konieczne do zmiany biegu wydarzeń.

- Skoro walczyli z muzułmanami, dokładnie tak, jak Chińczycy, to dlaczego mieliby nam pomagać?

- Mówi, że to dobre pytanie, że chodzi o utrzymanie równowagi, o nastawianie dwóch największych potęg przeciwko sobie. Chińczycy walczą z muzułmanami na całym świecie, nawet w Chinach, gdzie wybucha mnóstwo muzułmańskich rebelii. Na chwilę obecną muzułmanie żyjący w Firanii i w Azji są skłóceni i mocno osłabieni, lecz nadal walczą z Chińczykami, nawet tu, w Yingzhou. Tymczasem Chiny obrastają w następne kolonie, mają je już na tej ziemi i po drugiej stronie Dahai i mimo że rządy dynastii Qing są nieudolne i zepsute, to jednak ich zakłady nie przerywają produkcji. Do Chin złoto spływa nieprzerwanym strumieniem z Yingzhou i z kraju Inków. Bez względu na to, jak złe nie byłyby ich rządy, i tak będą się bogacić. W tej sytuacji, mówi, Trawan-kor zastanawiają się, w jaki sposób nie dopuścić, aby Chiny stały się potęgą, zdolną

zawładnąć całym światem.

Jeden z Japończyków parsknął:

- Nikt nie jest w stanie zawładnąć całym światem - rzekł - jest za duży. Cudzoziemiec zapytał o słowa, które właśnie padły, więc tłumacz od razu je przełożył. Doktor Ismail uniósł palec, wsłuchując się w ich treść, po czym odpowiedział:

- Mówi, że kiedyś tak było, ale teraz, w dobie parowców, dalekodystansowej komunikacji poprzez ki, handlu i podróży transoceanicznych, maszyn dysponujących siłą tysięcy wielbłądów, może się zdarzyć, że jakieś odległe państwo zdobędzie przewagę nad pozostałymi i zacznie się rozrastać. Jest coś takiego, jakby to nazwać, jak podnoszenie potęgi do potęgi. Najlepiej więc nie dopuszczać, do nadmiernego wzrostu potęgi żadnego z państw, co najczęściej uruchamia cały negatywny proces. Mówi, że kiedyś, przez jakiś czas, to islam pretendował do miana władcy świata, zanim Kerala nie uderzył w samo serce starych, muzułmańskich imperiów i nie złamał ich. Być może Chiny potrzebują podobnej kuracji. Wtedy nie byłoby już na świecie imperiów, ludzie postępowaliby zgodnie ze swoją wolą i łączyliby się w ligi z każdym, kto byłby skory do współpracy.

- Ale w jaki sposób mielibyśmy kontaktować się z naszymi sojusznikami, skoro żyjemy po drugiej stronie świata?

- Zgadza się, to nie jest takie proste, ale parowce są naprawdę szybkie. Da się to zrobić. Udało się już w Afryce i w kraju Inków. Poza tym społeczności lokalne można łatwo połączyć siecią komunikacji ki.

Rozmowa toczyła się dalej. Padały coraz bardziej szczegółowe i techniczne pytania, w których Kiyoaki całkiem się pogubił, jako że nie wiedział, gdzie leżą takie miejsca jak Basuto, Nsara, Seminole i inne. Po dłuższym czasie Doktor Ismail zrobił się wyraźnie zmęczony, więc spotkanie zakończono wspólną herbatą. Kiyoaki pomagał Genowi napełniać czarki i podawać je zgromadzonym. Później Gen zabrał go na dół i otworzył z powrotem frontowe drzwi zakładu.

- Omal nie narobiłeś mi kłopotów - rzekł do Kiyoakiego - a przy okazji i sobie samemu. Będziesz musiał się dla nas sporo napracować, żeby wynagrodzić mi to, że mnie tak nastraszyłeś.

- Przepraszam, wszystko odpracuję, dziękuję, że mi pomagasz.

- Ach, to uczucie jest jak trucizna. Najlepiej będzie, jak obaj będziemy robić swoje.

- Racja.

- Teraz słuchaj. Staruszek przyjmie cię do zakładu produkującego świece, a ty zamieszkasz bramę obok. I czy będzie cię walił liczydłem po głowie, czy nie, twoim głównym zajęciem będzie dostarczanie dla nas wiadomości. Jeśli Chińczycy zwietrzą naszą działalność, zrobi się nieprzyjemnie, ostrzegam z góry. Idziemy na wojnę, rozumiesz? To będzie wojna prowadzona potajemnie, pod osłoną nocy, w wąskich alejkach i na wodach zatoki. Rozumiesz?

- Rozumiem.

Gen spojrzał mu w oczy

- Przekonamy się. Najpierw udamy się z powrotem do doliny i zaniesiemy informacje na pogórze, do moich znajomych. Potem

wrócimy do miasta i weźmiemy się do pracy.

- Cokolwiek rozkażesz.

Pomocnik mistrza oprowadził Kiyoakiego po całym zakładzie -miejscu, które wkrótce przyjdzie mu poznać tak dobrze. Następnie wrócił do pensjonatu obok. Peng-ti pomagała w tym czasie staruszce przy krojeniu warzyw. Hu Die wygrzewała się na słońcu, leżąc w koszu na bieliznę. Kiyoaki usiadł przy dziecku, podał mu do zabawy swój palec i zamyślił się. Patrzył, jak Peng-ti uczy się japońskich nazw poszczególnych warzyw. Ona też nie chciała wracać do doliny. Staruszka całkiem dobrze mówiła po chińsku, więc kobiety mogły ze sobą swobodnie rozmawiać. Peng-ti nie mówiła jednak o swojej przeszłości więcej niż Kiyoakiemu. W kuchni było ciepło, na zewnątrz znów zaczął padać deszcz. Dziecko uśmiechnęło się, jakby chciało dodać mu pewności siebie.

Kiedy następnym razem poszli do parku nad Złotą Bramą i patrzyli na brązową plamę powodzi, spływającą nieustannie do morza, Kiyoaki usiadł na ławce obok Peng-ti.

- Muszę ci coś powiedzieć - zwrócił się do niej. - Zamierzam zostać w tym mieście. Muszę jeszcze tylko wrócić do doliny, żeby oddać jedwabniki Pani Yao, ale wrócę tu i zamierzam tu zamieszkać.

Skinęła głową.

- Ja też - pomachała dłonią do swojego dziecka. - Dlaczegóż mieli byśmy stąd wyjeżdżać? - Podniosła Hu Die nad głowę i zwróciła ją pokolei we wszystkie cztery strony świata.

- To jest twój nowy dom, Hu Die! Tutaj będziesz dorastać! Hu Die

wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

Kiyoaki roześmiał się.

- Tak, z pewnością się jej tu spodoba. Ale posłuchaj mnie, Peng-ti, zamierzam też... - zastanowił się - zamierzam pracować dla Japonii, rozumiesz?

-Nie.

- Zamierzam pracować dla Japonii, przeciwko Chinom.

- Teraz rozumiem.

- Będę pracował przeciwko Chinom. Zagryzła zęby.

- Myślisz, że mnie to interesuje?

Spojrzała na zatokę i na Wewnętrzną Bramę, gdzie brązowa woda wcinała się pomiędzy zielone wzgórza.

- Tak bardzo się cieszę, że tu jestem - spojrzała mu w oczy, a on poczuł, że serce mocniej mu zabiło. - Pomogę ci.

4

Czarne chmury

Jako że dynamiczny rozwój chińskiego imperium zaczął w dużej mierze zależeć od kondycji marynarki, chińska flota po raz kolejny rozrosła się do rozmiarów największej na świecie. Oczywiście nacisk kładziono przede wszystkim na ładowność, przez co typowe chińskie jednostki z okresu wczesnej współczesności były ogromne i powolne. Prędkość nie była wówczas brana pod uwagę i dopiero później Chiny miały z tego powodu poważne problemy, w trakcie morskich sporów z Hindusami i z muzułmanami z Afryki, z terenów

śródziemnomorskich i z Firanii. Po wodach Morza Śródziemnomorskiego, Morza Islamu, pływały małe jednostki, budowane przez muzułmanów, lecz były one znacznie szybsze i bardziej zwrotne od swoich chińskich rówieśników. Floty muzułmańskie pokonały floty chińskie w kilku decydujących bitwach morskich dziesiątego i jedenastego stulecia, dzięki temu zachowano równowagę sil, a chińska dynastia Qing nie zawłaszczyła hegemonii nad światem. Rządy muzułmańskich państw nie zaprzestały jednak korsarskiej gospodarki, która stała się głównym źródłem ich dochodu i powodem tarć na linii islam-Chiny, co z kolei było jednym z wielu czynników prowadzących do wojny. Kiedy okazało się, że wody mórz i oceanów zajmują więcej powierzchni Ziemi niż ląd stały, wtedy przed handlem i sztuką wojenną otworzyły się nowe możliwości. Zdumiewająca prędkość i sterowność muzułmańskich statków dawała im przewagę, dzięki której mogli rzucić wyzwanie potędze morskiej Chin.

Rozwój maszynerii parowej i budowa metalowych kadłubów, zapoczątkowane w Trawankorze, zostały szybko przejęte przez dwie hegemonie Starego Świata, lecz wysoki poziom zaawansowania umożliwił Lidze Hinduskiej rywalizację z obiema potęgami.

Zatem dwunasty i trzynasty wiek według kalendarza muzułmańskiego lub okres panowania dynastii Qing w Chinach wypełniła walka tych trzech dominujących kultur Starego Świata o kontrolę nad globem i jego bogactwami naturalnymi, nad Aozhou oraz interiorem Starego Świata, który był już całkowicie zasiedlony i

eksploatowany.

Problem tkwił w tym, że stawka była zbyt wysoka. Dwa największe imperia były najsilniejsze i najsłabsze zarazem. Dynastia Qing nie tylko rozrastała się na własnym terytorium, ale również na północ i na zachód oraz powiększała zdobycze na Nowym Świecie. Tymczasem muzułmanie kontrolowali ogromną część Starego Świata i wschodnie wybrzeża Nowego Świata. Wschodni brzeg lądu oceanicznego Yingzhou zajmowali muzułmanie, centrum należało do Ligi Plemion, a zachód do Chińskich osadników, ostatnio również Trawankor założył tam kilka swoich portów handlowych. Państwo Inków było polem bitwy między Chińczykami, Hindusami z Trawankoru i muzułmanami z zachodniej Afryki.

Świat podzieliły między siebie dwie wielkie hegemonie: Chiny i islam oraz dwie mniejsze ligi: Indyjska i Yingzhou. Chińska potęga ze swoim handlem i podbojami sięgała z czasem coraz dalej w Dahai. Zasiedlono Aozhou, zachodnie wybrzeża Yingzhou, kraj Inków i wiele innych miejsc, do których dało się dotrzeć drogą morską. Chiny stały się prawdziwym Królestwem Środka i nie tylko nazwa o tym świadczyła, lecz również i liczby, które umiejscawiały je dokładnie w centrum świata, lecz przede wszystkim ich potężna, nowa flota. Chiny stanowiły teraz realne zagrożenie dla wszystkich nacji na świecie i to bez względu na wewnętrzne problemy, z jakimi borykała się biurokracja Qing.

W tym samym czasie Dar al-Islam rozprzestrzeniał się na terenach Afryki, wzdłuż zachodnich wybrzeży Yingzhou, w

centralnej Azji i w Indiach, których na dobrą sprawę, nigdy nie opuścił, obecny był również w południowo-wschodniej Azji, a nawet na oddalonych od reszty świata, zachodnich wybrzeżach Aozhou.

Pomiędzy tymi dwoma rozrastającymi się mocarstwami tkwiły Indie. Tam przodował Trawankor, lecz zarówno Pendżab, Bengal, Radżastan, jak i wszystkie inne państwa subkontynentu indyjskiego prosperowały na własną rękę i prowadziły ożywioną politykę zagraniczną, zawsze pełną sporów, zamieszania i rozbieżności, lecz za to wolną od absolutnej władzy cesarzy i kalifów. Polityczny i kulturalny ferment zaogniali dodatkowo wielcy intelektualiści, którzy ściągali do Trawankoru z całego świata, jako że indyjskie przyczółki handlowe znajdowały się już na wszystkich kontynentach; nieustannie w opozycji do hegemonów i w przymierzu z wrogami islamu, a czasem nawet i Chin, z którymi Indie miały niełatwe stosunki, gdyż zarówno się ich bały, jak i ich potrzebowały, lecz gdy mijały kolejne dekady i stare muzułmańskie imperia coraz agresywniej posuwały się na wschód, przez Transoksanię i na północ Azji, wtedy Indie coraz bardziej zaczęły skłaniać się ku Chinom, z którymi mogłyby stworzyć właściwą przeciwwagę, jednocześnie wierząc, że naturalny mur w postaci Himalajów i wielkiej dżungli birmańskiej uchroni je przed negatywnymi wpływami chińskiego protektoratu.

Często się zdarzało, że państwa indyjskie wchodziły w kłopotliwe przymierza z Chinami, licząc po cichu na wsparcie w walce z odwiecznym wrogiem, islamem. Więc gdy Chiny popadły w otwarty konflikt zbrojny ze światem muzułmańskim, rozgrywający się

początkowo w centralnej Azji, a następnie ogarniający cały świat, Trawankor wraz z całą Ligą Indyjską zostali automatycznie weń wciągnięci. W ten sposób rozpoczęta się kolejna, śmiertelna runda hindusko-muzułmańskiej przemocy.

Wszystko zaczęło się dwudziestego pierwszego roku panowania cesarza Kuang Hsu, ostatniego władcy dynastii Qing, kiedy to wszystkie potudniowo-chińskie enklawy muzułmańskie jednocześnie wypowiedziały posłuszeństwo imperialnej władzy. Na południe wysłano mandżurskie chorągwie, którym na przestrzeni kilku lat udało się stłumić większość rebelii.

Konspiracja najwyraźniej służyła muzułmanom - ci z zachodnich Chin już od wielu pokoleń uczestniczyli w przepychankach z wojskowym dyktatem Qing, a gdy na wschodzie zaczęło dochodzić do masowych mordów ich braci w wierze, mieli do wyboru tylko dżihad albo śmierć. Wzniecili więc powstanie na odległych pustyniach i w górach centralnej Azji, a ich brązowe miasta, położone w zielonych dolinach, szybko zabarwiły się na czerwono.

Zepsuty do cna, lecz za to cieszący się niewyobrażalnie silną pozycją i niewyobrażalnie bogaty, rząd dynastii Qing wykonał kolejny ruch przeciwko muzułmańskiej rebelii i wystał na zachód Azji kompanię wojskową, która na jakiś czas zdołała opanować sytuację, gdyż na wyludnionym środku świata nie znalazło się jedno silne państwo, które skutecznie przeciwstawiłoby się chińskiej potędze. Ostatecznie jednak muzułmanie z zachodniej Azji wspólnie wypowiedzieli Chinom dżihad. Najwidoczniej nic, poza groźbą chińskiej inwazji, nie było ich w stanie zjednoczyć.

Ta nieplanowana konsolidacja islamu była wielkim osiągnięciem. Wojny między pozostałościami po imperiach Safawidów i Osmanów, między szyitami i sunnitami, sufiami i wahabitami, państwami Firanii i Maghrebem trwały nieprzerwanie przez cały okres kształtowania się ich granic, lecz nawet gdy już większość z nich uznano za suwerenne, tu i owdzie zdarzały się spory, więc początkowo nic nie wskazywało na to, żeby muzułmanie potrafili odpowiedzieć na groźbę ze strony Chin jako jedna cywilizacja.

Jednak kiedy ekspansja Chin zaczęła zagrażać całej Azji, spękany Podzielony świat islamu zmobilizował się i odpowiedział na atak zjednoczoną siłą. Narastający od wieków konflikt między dwiema największymi i najstarszymi cywilizacjami osiągnął punkt kulminacyjny. Teraz każda z nich mogła zdobyć władzę nad światem lub ulec całkowitemu unicestwieniu. Trudno było sobie wyobrazić grę o wyższą stawkę.

Początkowo Liga Indyjska usiłowała zachować względną neutralność, podobnie jak zrobili to Hodenosaunee. Kiedy jednak muzułmańscy najeźdźcy wkroczyli na północ Indii, jak zresztą już nie raz się zdarzało, i podbili subkontynent aż po południe i Dekan, przekraczając Bengal i wchodząc do Birmy, wówczas wojenna zawierucha ogarnęła cały półwysep. Armie muzułmańskie prowadziły równolegle podbój Yingzhou, od wschodu na zachód, atakując zarówno Hodenosaunee w centrum, jak i Chińczyków na zachodzie. Cały świat pogrążył się w konfliktach.

Rozpętała się długa wojna.

Księga VIII

Wojna asurów

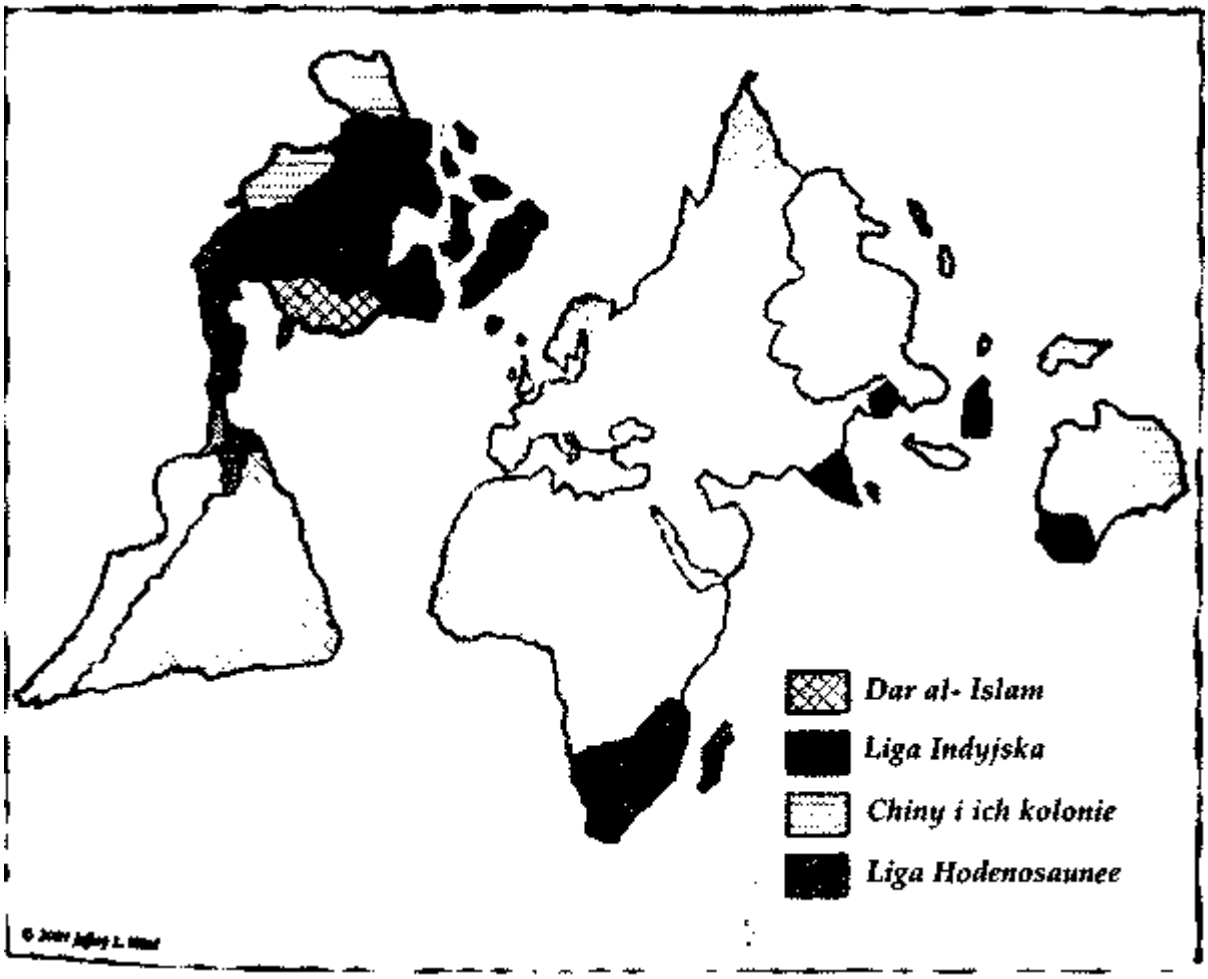

- Chiny są niezniszczalne! Jest nas zbyt wielu. Ogień, woda i głód to dla nas jak przycinanie dla drzew, pozbywanie się gałęzi, żeby obudzić nowe życie. W ten sposób drzewa rozrastają się coraz szerzej.

Major Kuo poczuł się wielki. Zbliżał się świt, chińska pora. Wczesne światło padało na wysunięte bastiony muzułmanów, porażając ich jasnym blaskiem i wyczulając na obecność snajperów, których często nie zauważali. Ich pora zaczynała się o zmierzchu. Zawołanie na modlitwę, snajperski ogień, a nierzadko też gęsty ostrzał artyleryjski. Po zachodzie słońca lepiej było zostać w okopach lub nawet zejść jeszcze głębiej, do jaskiń.

W tym momencie słońce było po ich stronie. Niebo skrzyło mroźnym błękitem. Stali w kręgu, rozcierali dłonie w grubych rękawicach - papierosy i herbata, i głębokie dudnienie dział na północy. Kanonada trwała już drugi tydzień. Czyżby wstęp do kolejnego szturmu, a może w końcu przełom, o którym od dawna wszyscy mówili, w sumie już od tylu lat, że aż wszedł on do mowy potocznej na określenie czegoś, co się nigdy nie wydarzy, tak że zamiast: “Jak mi kaktus na dłoni wyrośnie", mówiono: “Jak nadejdzie przełom" i tak dalej. Więc tym razem chyba też nie nadejdzie.

Nic, co widzieli, nie było w stanie podpowiedzieć im, co się tak naprawdę wydarzy. Tutaj, na odludziu, pośrodku Korytarza Gansu, rozległe góry na południu i niekończące się pustynie na północy byty niewidoczne. Okolica, w której się znajdowali, przypominała stepy. Przed wojną zresztą może i były to stepy. Teraz, na całej swej szerokości - od gór po pustynie - i na całej długości - od

Ningxia do Jiayuguan - korytarz zamienił się w bagno. Przez ostatnie sześćdziesiąt lat na tych terenach okopy przesuwano li po li, w tę i z powrotem. Przez ten czas każde źdźbło trawy i każda cząstka kurzu została co najmniej dwa razy wysadzona w powietrze. To, co pozostało, wyglądem przypominało wzburzony, czarny ocean, poprzecinany głębokimi bruzdami i pokryty kraterami, jak gdyby jakiś szalony artysta próbował tu odtworzyć w błocie powierzchnię księżyca. Każdej wiosny dzielne chwasty i trawy walczyły o wyłonienie się na powierzchnię, lecz nigdy im się to nie udawało. Niedaleko stąd, równolegle do rzeki Jo stało niegdyś miasto Gan-zhou. Teraz nie było śladu ani jednego, ani drugiego - pozostał ląd, zdarty do nagiej skały. W Ganzhou kwitła niegdyś kultura chińskich muzułmanów, więc widok tego pustkowia był znakomitą alegorią i ideogramem długiej wojny.

Za ich plecami rozległ się dźwięk dział. Pociski z poprzedniej salwy spadły niecałe dwieście li od nich. Słońce było coraz wyżej. Wycofali się na podziemny plan, wypełniony błotem i pełen rozmokłych bali, który stał się ostatnio ich siedzibą. Chronili się w okopach, tunelach i jaskiniach. W wielu grotach stały posągi Buddy, przeważnie w niewzruszonej pozie, z dłonią wyciągniętą do przodu jak gliniarz pokazujący odznakę. Po nocnych ulewach na dnie okopów zbierała się woda.

Poniżej w jaskini komunikacyjnej operator telegrafu odbierał kolejne rozkazy. Główny atak miał się rozpocząć za dwa dni szturmem na całej szerokości korytarza. Miało to, jak spekulował Iwa, zakończyć męczący impas. Korek wyskoczył z butelki, dalej na

stepy, na zachód, hej ho! Oczywiście nie było na świecie nic gorszego, niż być na szpicy w momencie wielkiego przełomu, stwierdził Iwa tonem naukowca. Kiedyś na froncie już w końcu nie będzie mogło być gorzej, a wtedy wszyscy oddadzą się dogłębnej kontemplacji kolejnych szczebli absolutu. Tak właściwie to już byli w piekle, zmarli za życia, o czym przypominał im Major Kuo z każdą kolejką wypitego rakszi.

- Jesteśmy martwi! Wypijmy więc za Pana Powolną Śmierć! Słuchając tego, Bai i Kuo pokiwali tylko głowami, najgorsze miejsce na Ziemi, może i tak, ale przecież ich zawsze wysyłali w takie miejsca, tam spędzili ostatnie pięć lat życia, a patrząc w szerszej perspektywie, całe życie. Kończąc herbatę, Iwa stwierdził:

- Nie ma co, to będzie fascynujące.

Lubił czytać telegrafy i gazety i próbował wywnioskować z nich, co się działo na świecie.

- Spójrzcie na to - mówił, przeglądając papiery, kiedy wszyscy leżeli już na swoich pryczach - muzułmanie wykopani z Yingzhou. Dwudziestoletnia kampania.

Albo:

- Wielka bitwa morska, zatonęło dwieście okrętów, z czego tylko dwadzieścia naszych, oczywiście nasze są o wiele większe. Na wodach północnego Dahai temperatura zero stopni, ależ tam musi być zimno, dobrze, że nie jestem marynarzem. - Sporządzał własne notatki i szkicował mapy, był prawdziwym badaczem trwającej wojny. Widok radia

w jaskini komunikacyjnej cieszył go najbardziej. Potrafił spędzać

tam wiele godzin na rozmowach z innymi entuzjastami z całego świata.

- W kisferze będzie dzisiaj wrzało. Słyszałem od koleżki z Południowej Afryki! Niestety, same złe wieści - mówił częściowo do siebie, zaznaczając coś na mapach. - Opowiadał, że muzułmanie znów odbili Sahel, a wszystkich mieszkańców zachodnich terenów wcielili do niewolniczej armii. - Docierające do niego z ciemnej przestrzeni głosy uważał za niepewne źródła informacji, tak samo zresztą jak i oficjalne komunikaty wysyłane z kwatery głównej, przesycone propagandą, zmyślnie skonstruowane kłamstwa, mające zmylić szpiegów wroga.

- Posłuchajcie tego - kpił sobie, leżąc na pryczy i czytając. - Piszą, że wyłapują i mordują wszystkich Żydów, chrześcijan, Romów i Ormian. Poddają ich eksperymentom medycznym... wymieniają ludziom krew na zwierzęcą, by przekonać się, czy przeżyją. Kto to wymyśla?

- Może to prawda - rzucił Kuo. - Mordują wszystkie niepożądane i niepewne jednostki, żeby ustrzec się przed zdradą w polityce wewnętrznej...

- Mato prawdopodobne - odpowiedział Iwa, przewracając stronę -po co marnować taką dobrą siłę roboczą?

Teraz znów siedział przy radiu i wyszukiwał nowych informacji o zbliżającym się szturmie. Nie trzeba było jednak być doktorem wojny, żeby wystarczająco dużo wiedzieć o wielkim przełomie. Bez nich nie byłoby przecież wszystkich dotychczasowych prób, byli integralną częścią wszystkiego, co ich otaczało, a myśl o tym

potrafiła skutecznie zepsuć im cały dzień. Przez trzy ostatnie lata front przesunął się o trzy li na wschód. Trzy kampanie ramadanu z rzędu, na których muzułmanie ponieśli kolosalne straty, milion mężczyzn na każdej, liczył na głos Iwa. Więc teraz pewnie walczą już z oddziałami chłopców i kobiet, zresztą po chińskiej stronie nie było lepiej. Tak wielu już zginęło, że ci, którzy przetrwali, zaczęli przypominać Ośmiu Nieśmiertelnych, pogrążonych w lunatycznym śnie, żyjących z dnia na dzień z dala od świata, o którym kiedyś tylko słyszeli lub widzieli przez odwróconą lunetę. Teraz liczyła się dla nich tylko gorąca herbata. Kolejny wielki szturm, ludzkie masy sunące na zachód, w błota, w drut kolczasty, w ogień karabinów maszynowych i deszcz pocisków artyleryjskich spadający z nieba: niech tak się stanie. Popijali gorącą herbatę i nie przeszkadzał im jej gorzki smak.

Bai już chciał mieć to za sobą. Kuo złościł się na Czwarty Kongres Talentu Wojskowego za rozkaz do rozpoczęcia szturmu podczas krótkiej pory deszczowej.

- Oczywiście, czegóż można było się spodziewać po ciele, nazywa jącym się Czwartym Kongresem Talentu Wojskowego?

Analizy Kuo wyjaśniały, dlaczego nie do końca wszystko było w porządku: Pierwszy Kongres tworzyła grupa starszych, próbujących wygrać poprzednią wojnę, Drugi Kongres to zapaleńcy z przerostem ambicji, gotowi używać ludzi jak kul, Trzeci Kongres był złą mieszanką przezornych kaprali i zdesperowanych idiotów, Czwarty Kongres zwołano zaraz po przewrocie, w wyniku którego upadła dynastia Qing, zastąpiona rządem wojskowym. W zasadzie

wyglądało to na krok w przód, a nawet dawało nadzieję, że Czwarty Kongres zaprowadzi w końcu jakiś porządek. Niestety, dotychczasowe rezultaty jego działań wcale na to nie wskazywały.

Iwa poczuł, że już zbyt wiele razy omawiali tę kwestię i ograniczył wypowiedź do skomentowania jakości dzisiejszego ryżu. Po posiłku wyszli na zewnątrz i powiedzieli swoim ludziom, żeby byli w gotowości. Oddziały pod dowództwem Baia składały się przeważnie z poborowych z Syczuanu. Trzy oddziały kobiet obstawiały okopy od czwartej do szóstej; wszyscy uważali je za szczęściarki. Kiedy Bai był małym chłopcem, jedyne kobiety, jakie znał, pochodziły z burdeli w Lanzhou, zawsze w ich obecności czuł dyskomfort, jakby zadawał się z przedstawicielami innego gatunku, zmarnowanymi istotami, które przyglądały mu się z otchłani ziejącej pustką, a ich twarze wyrażały powściągliwe przerażenie, połączone z oskarżycielskim grymasem, jakby chciały zawołać: “Ale z was idioci! Zniszczyliście cały świat!". Teraz jednak, kiedy znajdowały się w okopach, były takimi samymi żołnierzami jak wszyscy dookoła. Tylko ich widok czasem przypominał Baiowi, jak źle stały sprawy - nie było już nikogo na świecie, kto mógłby udzielić im reprymendy.

Tego wieczoru trzej oficerowie zebrali się na krótką naradę radiową z generałem tej części frontu, nowym luminarzem Czwartego Kongresu i człowiekiem, którego w życiu nie widzieli na oczy. Słuchali więc z umiarkowaną uwagą. Mówił zwięźle, kładąc nacisk na ogromne znaczenie szturmu, który miał się rozpocząć następnego dnia.

- To tylko pozoracja - stwierdził Kuo, kiedy generał Shen wsiadał

do swojego osobistego pociągu, by udać się z powrotem w głąb interioru. - Pośród nas jest wielu szpiegów, chciał ich zmylić, jeżeli to miałby być prawdziwy moment ataku, już dawno ściągnęłyby tu miliony żołnierzy posiłkowych, a z tego, co słychać, pociągi jeżdżą według normalnego rozkładu.

Iwa jednak zauważył, że rzeczywiście przyjechało ostatnio mnóstwo nadliczbowych składów. Przywieziono tysiące nowych poborowych, dla których brakowało już schronienia. Nie wyglądało więc na to, że mieliby tu zostać dłużej.

Tej nocy padało. Eskadry muzułmańskich lotników ryczały nad ich głowami, zrzucając bomby na tory kolejowe. Naprawy zaczynały się zaraz po nalotach. Lampy łukowe przebijały noc srebrną łuną białych błysków, jak na starej fotografii z kiepskiego negatywu. W tej chemicznej poświacie uwijali się mężczyźni ze szpikulcami, łopatami i taczkami, jak po każdej katastrofie, lecz tym razem w przyśpieszonym tempie, niczym na starych filmach. Pociągi przestały przyjeżdżać, a kiedy nadszedł świt, okazało się, że posiłki są niewystarczające i nie dostarczono nawet dodatkowej amunicji.

- Ich nie interesuje, co się z nami stanie - przewidywał Kuo.

Pian w pierwszej kolejności zakładał użycie gazu, który miał poprzedzić piechotę, sunąc w dół zbocza z porannym wiatrem wschodnim. W trakcie porannej warty przyszedł telegraf z rozkazem od generała: do ataku.

Tego dnia zabrakło jednak porannej bryzy, więc Kuo przekazał tę informację posterunkowi dowódców Czwartego Kongresu, znajdującemu się trzydzieści li w głąb korytarza, prosząc o dalsze

wytyczne. Wkrótce je otrzymał: przystąpić do ataku, gaz zgodnie z planem.

- Wszystkich nas pozabijają - prorokował Kuo.

Założyli maski, odkręcili zawory i ze stalowych zbiorników wypuścili gaz. Z rur wystrzeliła ciężka chmura koloru jadowitej żółci, która rozprzestrzeniała się wściekle, sunąc naprzód, w dół po niewielkim zboczu, gdzie koncentrowała się w strefie śmierci, zagradzającej im chwilowo drogę. Jak dotąd wszystko w porządku, choć z pewnością najmniejszy defekt maski przeciwgazowej mógłby teraz skończyć się katastrofą. A co musieli myśleć muzułmanie, widząc tę okropną żółtą mgłę, sunącą ociężale w ich stronę! Po chwili, fala za falą, zaczęły wyłaniać się z chmury monstra o owadzich twarzach, strzelające z granatników i pistoletów. Część z nich pozostała jednak przy karabinach maszynowych i traktowała Chińczyków ostrymi seriami.

Bai ruszył do przodu, przeskakując z jednego krateru do następnego i kryjąc się za zwałami ziemi i martwymi ciałami. Popędzał przy tym swoich ludzi, którzy chowali się w pomniejszych lejach.

- Wyłazić! Bezpieczniej jest teraz na górze, bo gaz zaczyna osiadać! Musimy przedostać się za linię wroga i zlikwidować gniazda karabinów maszynowych! - wrzeszczał w ogłuszającym huku wybuchów i strzałów, w którym nikt go nie słyszał. Lekki powiew porannej bryzy przesunął chmurę gazu z pola walki na linię muzułmanów, siejąc wśród nich spore spustoszenie, gdyż kilka karabinów ucichło. Atak nabierał teraz prędkości, każdy, kto miał

nożyce, pracował nad drutem kolczastym i rzeka ludzi przepłynęła na drugą stronę. Weszli do okopów muzułmanów, skierowali wielkie, irańskie karabiny maszynowe przeciwko wycofującym się wrogom i wystrzelali do nich resztę amunicji.

Gdyby w tym momencie przybyło wsparcie, mogłoby się zrobić naprawdę interesująco, niestety, pociągi utknęły pięćdziesiąt li od ich pozycji, bryza zwiewała gaz z powrotem na wschód, a wielkie muzułmańskie karabiny znów zaczęły razić ich seriami. Przełom okazał się nie do utrzymania. Bai rozkazał swoim oddziałom schronić się w muzułmańskich tunelach. Resztę dnia spędzili na obłędnym przekrzykiwaniu się podczas daremnych prób komunikacji przez przenośny telegraf i radio. To Kuo pierwszy wykrzykną), że nadszedł w końcu rozkaz do odwrotu. Zebrali więc swoich rannych i ruszyli z powrotem, przez wytrute i porozrywane błota, usłane ciałami, będącymi żniwem całodziennej walki. Godzinę po zmroku byli już w swoich okopach, w liczbie o połowę mniejszej niż nad ranem.

Było już dobrze po północy, kiedy oficerowie zebrali się w swojej niewielkiej jaskini, gdzie napalili w piecu i zabrali się za gotowanie ryżu. Nadal mieli w uszach ryk i wycie, tak że niewiele słyszeli ze swoich rozmów. Ten stan będzie utrzymywał się jeszcze przez najbliższe dwa, trzy dni. Kuo trząsł się cały ze zdenerwowania, nie trzeba było słyszeć, żeby wiedzieć, o czym mówił. Najwyraźniej wahał się, czy podciągnąć to, co się stało, pod Pięć Wielkich Błędów kampanii w Korytarzu Gansu, skreślając wpierw z listy najlżejsze uchybienie, czy też rozszerzyć listę do Sześciu Wielkich

Błędów. Prawdziwy kongres talentów, krzyczał podając miski z ryżem ponad rozpalonym piecykiem. Banda pieprzonych idiotów. Z góry dobiegał łoskot wagonów szpitalnych. Dzwoniło im w uszach. I tak zbyt dużo się wydarzyło, aby mogli teraz o tym rozmawiać. Jedli więc swój ryż powszedni w ryczącej ciszy. Bai zaczął wymiotować, a później nie mógł złapać oddechu, więc poprosił, by odprowadzili go do jednego ze szpitalnych wagonów, do innych zagazowanych, rannych i umierających. Przez cały dzień przesunęli się jedynie o dwadzieścia li na wschód, a później następny dzień postoju i opatrywanie rannych przez przeciążony i przepracowany personel medyczny. Bai omal nie umarł z pragnienia, w końcu jednak uratowała go dziewczyna w masce na twarzy, podając mu kilka łyków wody, podczas gdy lekarz zdiagnozował u niego poparzenie płuc gazem. Następnie zastosował akupunkturę, wbijając mu cienkie igły w kark i skórę twarzy. Po zabiegu Bai oddychał już z łatwością. Powoli odzyskiwał siły, więcej pił, a nawet samodzielnie jadł ryż. W końcu wykręcił się jakoś od szpitala, nim zdążyli zagłodzić go tam na śmierć lub zarazić jakąś infekcją. O własnych siłach wrócił na front, łapiąc po drodze okazję i pokonując część drogi na wozie zaprzężonym w muła. Była już noc, kiedy mijał jedną z ich najpotężniejszych baterii artyleryjskich. Uroczysty widok grubych moździerzy i dział mierzących w czarne niebo oraz miniaturowych postaci uwijających się przy nich, dokonujących ostatnich napraw w blasku łukowych lamp i zatykających sobie uszy (tak jak Bai) przed każdym wystrzałem, po raz kolejny uświadomił mu, że zostali w całości wciągnięci na inny plan istnienia, że utkwili

na wojnie Asurów, w konflikcie tytanów, w którym ludzie byli jak mrówki, miażdżeni kołami po-nadludzkich machin oblężniczych.

W jaskini Kuo śmiał się z niego, że tak szybko wrócił.

- Jesteś jak cyrkowa małpa, której nie da się pozbyć.

W odpowiedzi Bai stwierdził tylko, że tutaj czuje się o wiele bezpieczniej niż w szpitalu, co znów szczerze rozbawiło Kuo. Iwa wrócił z jaskini komunikacyjnej z mnóstwem nowych informacji: rzeczywiście, wyglądało na to, że ich szturm był tylko pozoracją, dokładnie tak, jak mówił Kuo. Zatyczka Gansu została wciśnięta głębiej, aby związać wojska muzułmańskie, jednocześnie japońskie siły zbrojne uznały w końcu zawarte porozumienie i zdecydowały się przystąpić do sprawy w zamian za swobody, które i tak już udało im się wywalczyć, lecz które nadal mogłyby być podważane. Dysponujący świeżymi siłami Japończycy zadali potężny cios na dalekiej północy, przełamali tam linię wroga i rozpoczęli wielki przełom, przetaczając się po zachodzie i południu, jak banda oszalałych roninów, urządzających sobie krwawe hulanki. Wszyscy mieli nadzieję, że uda im się zagiąć tylną linię frontu muzułmanów, co zmusiłoby wroga do odwrotu z Gansu, dzięki czemu zdziesiątkowani Chińczycy mogliby w końcu odpocząć.

- Wydaje mi się, że tradycyjna japońska nienawiść do Chińczyków została wyparta przez ich niechęć do muzułmanów jako władców świata - powiedział Iwa.

- Wybiją całą Koreę i Mandżurię - przewidywał Kuo - i już nigdy nie oddadzą ani tych ziem, ani tych kilku miast portowych. Teraz, kiedy Chiny wykrwawiły się już niemal do cna, oni mogą sobie

wziąć, co zechcą.

- Świetnie, no więc jeśli chcą, to dajmy im Pekin, może to nareszcie skończy tę wojnę.

- Kuo spojrzał na niego.

- No nie wiem, kto byłby gorszym panem: Japończyk czy muzułmanin. Japończycy są twardzi i wcale za nami nie przepadają, a po tym, jak trzęsienie ziemi zniszczyło Edo, sądzą, że udało im się przeciągnąć bogów na swoją stronę. Już przecież wymordowali wszystkich Chińczyków, mieszkających na Wyspach Japońskich.

- Podejrzewam, że ostatecznie nie będziemy służyć żadnej ze stron - rzekł Bai. - Chiny są niezniszczalne, pamiętacie?

Dwa poprzednie dni najwyraźniej nie do końca potwierdzały słuszność tego powiedzenia.

- Chyba, że zniszczą je sami Chińczycy - powiedział pogardliwie Kuo. - Chiński talent od siedmiu boleści.

- Może tym razem jednak udało im się zaatakować tyły północnej flanki wroga - zauważył Iwa - to już byłoby coś.

- Byłaby to ostateczna rozgrywka - powiedział Bai, pokasłując. Kuo roześmiał się.

- Bylibyśmy wtedy jak ziarna w moździerzu - rzekł. Po czym udał się pod błotnistą ścianę jaskini, gdzie znajdowała się ich zamykana na klucz szafa, z której wyjął dzban rakszi i pociągnął solidny łyk. Każde go dnia wypijał mniej więcej taki właśnie dzban owego mocnego trunku, oczywiście w zależności od zapasów i najbliższych dostaw, najczęściej jednak zaczynał pić zaraz po

przebudzeniu się i nie kończył, zanim znów nie zapadł w sen. - Wypijmy za Wielkie Dziesiąte Zwycięstwo! Czy też to było Jedenaste? I uwierzyć, że przeżyliśmy je wszystkie. - Pozwolił sobie złamać obowiązujące na co dzień normy bezpieczeństwa, zabraniające rozmów na takie tematy. - Przeżyliśmy je, tak samo jak przeżyliśmy Sześć Wielkich Błędów, Trzy Niewyobrażalne Bajzle i Dziewięć Wielkich Pechów. To cud, bracia! Głodne duchy z pewnością trzymają nad nami swoje wielkie parasole.

Bai skinął niechętnie głową. Nie lubił takich rozmów. Wsłuchiwał się w ryk i próbował wymazać z pamięci trzy ostatnie dni.

- Jak to możliwe, że przeżyliśmy tak długo? - zapytał zuchwale Kuo. - Wszyscy, z którymi zaczynaliśmy, nie żyją. Tymczasem nas troje przeżyło już pięć lub nawet sześć pokoleń oficerów. Ile to wszystko już trwa? Pięć lat? Jak to możliwe?

- Jestem Peng-zu - odezwał się Iwa - niefortunny nieśmiertelny. Nie da się mnie zabić, mógłbym zanurkować w chmurę gazu i nic by mi się nie stało - rzucił na nich złowróżbne spojrzenie sponad miski ryżu.

Nawet Kuo się wystraszył.

- Nie martw się. Jeszcze będziesz miał wiele okazji. Nie myśl sobie, że to się skończy lada dzień. Japończycy mogli zdobyć północ tylko dlatego, że nikomu na niej nie zależy. Pewnie dopiero zrobi się ciekawie, kiedy spróbują wyjść z tajgi na stepy. Nie sądzę, aby udało im się zagiąć linię frontu zbyt daleko. Byłoby o wiele korzystniej, gdyby przełom nastąpił na południu. Musimy połączyć siły z Hindusami.

Iwa potrząsnął głową.

- Tak się raczej nie stanie - tego typu analizy bardziej mu odpowiadały, więc pozostali dwaj poprosili, by im to wytłumaczył.

Dla Chińczyków front południowy opierał się głównie o wielki mur Himalajów, Pamiru oraz o dżungle w Birmie Annamie, Bengalu i Assamie. Istniało jedynie kilka szlaków przez góry, a ich obrona była nie do pokonania. Natomiast w przypadku dżungli najlepszym środkiem transportu są rzeki. Fortyfikacje na ich południowym froncie były naturalne i nienaruszalne, to samo jednak można było powiedzieć o muzułmanach, żyjących po drugiej ich stronie. Tymczasem Hindusi zostali unieruchomieni poniżej Dekanu. Ostateczną możliwością byty więc stepy, lecz tam obie strony już dawno temu skoncentrowały swoje armie i stąd impas.

- Kiedyś to się musi skończyć, bo inaczej nigdy się nie skończy. Kuo parsknął śmiechem, wypluwając w powietrze rakszi, które właśnie miał połknąć.

- Bardzo głęboka logika, kolego Bai! Ale ta wojna wcale nie jest logiczna. To jest koniec, który nigdy się nie skończy. Całe nasze życie spędzimy na tej wojnie i tak samo będzie z następnym pokoleniem i z następnym, aż w końcu wszyscy umrą i będzie można zacząć świat od nowa. Albo i nie.

- Na pewno nie - zaoponował łagodnie Iwa. - Aż tak długo nie może to trwać. Koniec nastąpi po prostu gdzieś indziej, ot co. Podczas bitwy morskiej albo w Yingzhou. Przełom nastąpi gdzieś indziej, a wtedy teren, na którym się znajdujemy, będzie jakimś... no czym będzie, znakiem długiej wojny, anomalią, nie wiem czym, frontem,

którego nie sposób ruszyć z miejsca. Skostniałym aspektem długiej wojny w jej największym zastoju. Historie o nas będą trwały wiecznie, ponieważ już nigdy na świecie nie będzie czegoś podobnego.

- Ty to potrafisz pocieszyć człowieka. I pomyśleć, że jesteśmy w najgorszych tarapatach, w jakich kiedykolwiek znajdowali się żołnierze.

- To czyni nas wyjątkowymi - powiedział Iwa.

- Dokładnie! To jest wyróżnienie, honor, jak się tak nad tym zastanowić...

Bai wolał się nie zastanawiać. Silna eksplozja na górze strząsnęła kurz z sufitu na ich głowy. Zaczęli krzątać się w koło, zakrywając dłońmi stojące na stole czarki i talerze.

Kilka dni później powróciła rutyna, jeśli na północy nadal trwał japoński przełom, to tutaj nie było po nim ani śladu. Muzułmanie codziennie ostrzeliwali ich pozycje pociskami artyleryjskimi i ogniem snajperskim, nic się nie zmieniło, jak gdyby Szósta Wielka Pomyłka nigdy się nie wydarzyła.

Wkrótce potem muzułmanie również użyli trujących gazów, wypuszczali na nich strefę śmierci z wiatrem, tak samo, jak robili to Chińczycy, lub zrzucali ją na nich w pociskach, które nadlatywały z głośnym świstem i w momencie eksplozji rozrzucały dokoła ostre odłamki (w tym wszystko, co mogło zrobić krzywdę, gdyż powoli kończył im się metal, toteż znajdywali tam różne rzeczy: wykałaczki, kocie kości, kopyta, sztuczne zęby). Po eksplozji szrapnela wybuchał gejzer żółtego, gęstego gazu. Naturalnie nie był to sam

gaz musztardowy, lecz różnorodna mieszanka trucizn i substancji kaustycznych, przez co Chińczycy stale musieli nosić ze sobą maski przeciwgazowe, kaptury i rękawice, jednak czy byłeś ubrany, czy nie, kiedy w pobliżu spadał taki pocisk i tak zawsze kończyło się na poparzeniach nadgarstków, szyi i kostek.

Inną, całkiem nową niedogodność sprawiały im ogromne pociski, wystrzeliwane przez ogromne działa. Kiedy ładunek spadał, poruszał się szybciej od dźwięku i nie było przed nim ostrzeżenia. Taki pocisk miał średnicę większą niż mężczyzna w talii i był też nieco dłuższy. Skonstruowano je tak, żeby wbijały się na pewną głębokość w błoto i dopiero potem eksplodowały. Ich wybuchy były potężne i nierzadko więcej ludzi grzebały żywcem w okopach, tunelach i jaskiniach, niż zabijały bezpośrednim uderzeniem. Niewypały takich pocisków wykopywano z ziemi i ostrożnie wywożono, umieszczając po jednym z nich w osobnym wagonie kolejowym. Materiał wybuchowy używany w tej broni był jakimś nowym wynalazkiem, wyglądał jak pasta rybna i pachniał jaśminem.

Pewnego popołudnia, tuż po zmierzchu, stali w kole, popijali rakszi i omawiali nowiny, które Iwa przyniósł z jaskini komunikacyjnej. Część południowej armii ukarano za jakąś porażkę na tej części frontu. Każdy dowódca oddziału musiał odesłać jeden procent swoich ludzi, których czekała egzekucja, mająca być zachętą dla pozostałych.

- Cóż za wspaniały pomysł! - powiedział Kuo. - Już wiem, kogo bym wysłał.

Iwa potrząsnął głową.

- Myślę, że loteria stworzyłaby sprzyjającą atmosferę solidarności.

- Solidarności... - zakpił sobie Kuo - można równie dobrze pozbyć się symulantów, póki nadarza się okazja, zanim oni strzelą ci w tył głowy, kiedy będziesz spal.

- Potworny pomysł - odezwał się Bai - przecież to tacy sami Chińczycy jak i reszta, dlaczego mielibyśmy zabijać swoich, skoro nic złego nie zrobili? To jakieś szaleństwo. Czwarty Kongres Talentu Wojskowego zwariował.

- Należy zacząć od tego, że oni nigdy nie mieli równo pod sufitem - powiedział Kuo - minęło już czterdzieści lat, odkąd ludzie na Ziemi przestali być normalni.

Nagle potężny wstrząs i silny podmuch powalił wszystkich na podłogę. Bai spróbował się podnieść i obijał się o Iwa, który również stawał na nogi. Nic nie słyszeli. Brakowało wśród nich Kuo. Zginął. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą stal, była teraz duża, idealnie okrągła dziura w ziemi, szeroka na jakieś dwanaście stóp i na trzydzieści głęboka. Z jej dna sterczały tylne lotki muzułmańskiego superpocisku. Kolejny niewypał.

Na skraju wyrwy leżała oderwana prawa ręka, jak gigantyczny krab.

- Jasna cholera! - krzyknął Iwa przez stojący w ich uszach ryk - straciliśmy Kuo.

Muzułmański pocisk wylądował dokładnie na nim. Było całkiem możliwe, jak wyjaśniał później Iwa, że jego obecność udaremniła w jakiś sposób eksplozję. Wcisnęło go w ziemię jak robaka. Została tylko biedna, prawa ręka.

Bai przyglądał się kończynie. Był zbyt oszołomiony, aby się poruszyć. W uszach nadal brzmiał mu gromki śmiech Kuo. On sam pewnie zrywałby boki, widząc, co mu się przytrafiło. Jego dłoń była wyraźnie rozpoznawalna jako dłoń Kuo. Bai uświadomił sobie, że znał ją intuicyjnie, nie do końca zdając sobie z tego sprawę, aż do teraz. Tyle godzin spędzonych razem w ciasnej jaskini. Kuo podający nad gorącym piecykiem miskę ryżu i czajnik z herbatą albo oferujący czarkę rakszi, jego ręka, jak cały on, fragment jego życia pokryty bruzdami i bliznami. Czyste wnętrze dłoni i brudny jej wierzch - nadal wyglądała jak jego dłoń, nawet bez całej jego reszty dookoła. Bai usiadł w błocie.

Iwa delikatnie podniósł oderwaną kończynę i odprawili nad nią taki sam ceremoniał pogrzebowy, jak nad kompletnym ciałem, po czym za-

nieśli ją do jednego z pociągów śmierci, do utylizacji w krematorium. Kiedy było już po wszystkim, wypili resztę rakszi Kuo. Bai nie mógł mówić, a Iwa nawet nie próbował go zmuszać. Dłonie Baia drżały z wycieńczenia psychicznego i znużenia okopowym życiem. Gdzie się podział ich magiczny parasol? Co on teraz zrobi bez dźwięcznego śmiechu Kuo, który potrafił rozproszyć śmiertelne miazmaty?

Następnie muzułmanie przystąpili do trwającego tydzień szturmu, zmuszając Chińczyków do wytężonej pracy przy obronie okopów, do życia w maskach przeciwgazowych, wystrzeliwania kolejnych pasów amunicji w stronę upiornych fellahin i innych morderców wyłaniających się z żółtej mgły. Płuca Baia znów nie wytrzymały,

więc musieli go szybko ewakuować. Lecz pod koniec tygodnia Iwa i Bai z powrotem spotkali się w tych samych okopach, w których się rozstali, lecz tym razem z nowym oddziałem, składającym się w większości z poborowych z Aozhou, Ziemi Żółwia - naiwne żółtodzioby z południa, wciągnięte w wir konfliktu, jak następny magazynek z amunicją, podpinany do karabinu. Byli tak bardzo zajęci wszystkim, co się działo dookoła, że wypadek z niewypałem wydawał im się już zamierzchłą przeszłością.

- Wiesz, kiedyś miałem brata, miał na imię Kuo - oznajmił Bai Iwie. Iwa skinął głową i położył rękę na ramieniu Baia.

- Idź, zobacz, czy mamy jakieś nowe rozkazy.

Miał twarz czarną od kordytu, poza jasnym polem wokół ust i nosa, tam gdzie zasłaniała go maska gazowa, i pod oczami, skąd biegły białe wyschnięte ślady łez. Wyglądał jak kukiełka w teatrze lalek, jego twarz skrywała się pod maską cierpiącego asury. Ostatnie czterdzieści godzin spędził przy karabinie, zabijając w tym czasie około trzech tysięcy ludzi. Jego oczy patrzyły poprzez ciało Baia i poprzez świat, lecz on nie widział nic.

Kulejąc, Bai udał się tunelem do jaskini komunikacyjnej. Przykucnął, po czym opadł na krzesło, próbując złapać oddech i czując, jakby nadal spadał poprzez spąg, poprzez ziemię, w głąb lekkiej otchłani zapomnienia. Ze snu wyrwał go nagły charkot, rozejrzał się i dostrzegł, że do stołu z radiem ktoś się dosiadł.

To był Kuo. Siedział przy nim i uśmiechał się.

Bai wyprostował się na jego widok.

- Kuo! - wykrzyknął. - Myśleliśmy, że nie żyjesz! Kuo skinął głową.

- Bo nie żyję, tak samo jak ty.

Jego prawe ramię było kompletne, a dłoń na swoim miejscu.

- Pocisk wybuchnął - mówił dalej - i zabił nas wszystkich. Od tamtej chwili jesteśmy w bardo. Każdy z nas. Weszliście do krainy umarłych, udając że wcale was tam nie ma. A poza tym, czy naprawdę wolałbyś tkwić w tym piekielnym świecie, w którym żyłeś? Jakoś sobie tego nie wyobrażam, jesteś tak cholernie uparty, Bai. Musisz zrozumieć, że to jest bardo, inaczej nigdy nie pojmiesz, co tak naprawdę się z tobą dzieje. Przecież wiesz, że ostatecznie liczy się tylko wojna w bardo, bitwa o nasze dusze.

Bai próbował powiedzieć “tak", a potem “nie", a potem obudził się na ziemi w jaskini, spadłszy właśnie z krzesła. Kuo zniknął. Krzesło, na którym siedział, było puste. Bai zawył:

- Kuo! Wracaj! Kuo! Lecz pokój był pusty.

Nieco później Bai drżącym głosem opowiedział Iwie, co mu się przydarzyło. Tybetańczyk rzucił mu tylko ostre spojrzenie i wzruszył ramionami.

- Może miał rację - powiedział, wskazując rękami na wszystko dookoła - a co mogłoby świadczyć, że jest inaczej?

Wkrótce uderzyła kolejna fala szturmu, a oni, całkiem niespodziewanie, dostali rozkaz do odwrotu. Mieli cofnąć się do końcowej linii frontu i tam wsiąść do pociągów. Na placu odjazdów panował chaos. Mężczyźni objuczeni bronią zaganiali pozostałych do wagonów, jak bydło. Kolejne pociągi z piskiem i szczękiem opuszczały stację.

Iwa i Bai siedzieli w kącie jednego z wagonów, ciągnących na

południe. Od czasu do czasu, korzystając z oficerskiego przywileju, wychodzili na niewielką platformę na łączeniu wagonów, żeby zapalić papierosa i popatrzeć na opadające stalowoszare niebo. Wjeżdżali coraz wyżej i wyżej i robiło się coraz zimniej. Rozrzedzone powietrze drażniło płuca Baia.

- No i co? - odezwał się, wskazując na lód i postrzępione skały, przesuwające się wzdłuż torów - może to naprawdę jest bardo?

- To tylko Tybet - odparł Iwa.

Lecz Bai widział wyraźnie opustoszałą, niemal wymarłą krainę, całkiem niepodobną do zwykłych gór. Srebrne sierpy cirrusów wisiały tuż ponad ich głowami, na płaskim tle czarnego nieba, zupełnie jak w teatrze. Widok ten ani przez chwilę nie wydawał się prawdziwy.

Bez względu na to, czy to Tybet, czy bardo, za życia czy też poza nim, wojna trwała nieprzerwanie. W nocy ryczące eskadry lotników przebiły się przez pas balonów zaporowych i zrzucały na nich bomby.

Odpalono patrolowe lampy łukowe, którymi wyławiano lotników na tle czarnego nieba i czasem ich zestrzeliwano, a wtedy rozerwane na strzępy maszyny spływały po niebie ognistą fontanną. Obrazy ze snów Baia wyłaniały się z rzadkiego powietrza. Czarny śnieg lśnił w białym świetle niskiego słońca.

Zatrzymali się przed niewiarygodnie wysokim łańcuchem górskim -kolejna scenografia z teatru snów i przed nimi otworzyła się gigantyczna przełęcz, która z tej odległości wyglądała, jakby rozcinała blat stepów na pół. W jej stronę zmierzali, lecz

najważniejsze to przebić się przez obronę, a potem zejść na południe, przez przełęcz i w dół, na niższe piętro wszechświata. Przejście do Indii, brama na niższy plan istnienia, świetnie strzeżona.

Broniący jej muzułmanie byli niewidoczni i ciągle ukryci za ogromną, śnieżną masą granitowych wierzchołków największych gór na świecie, gór asurów. Przeciwko nim wytoczono potężną artylerię dział, dział asurów. Dopiero teraz Bai zrozumiał, że zostali wciągnięci w jakąś większą rozgrywkę, na której zmarli miliony razy, działając dla sprawy, z którą nie mieli nic wspólnego. Lodowe i skaliste kły wbijały się w sufit gwiazd, a śnieżne pióropusze odpływały sponad szczytów z monsunowym wiatrem, łącząc się o zachodzie słońca z Drogą Mleczną i zamieniając się w ognie asurów, płonące równolegle do horyzontu, jakby plan asurów stykał się prostopadle z planem ludzkim i pewnie dlatego obrazy imitacji wojen, które ludzie prowadzili, były zawsze takie wypaczone.

Działa muzułmańskie stały po południowej stronie łańcucha, nie słyszeli ich wystrzałów. Pociski świstały ponad gwiazdami, zostawiając na czarnym niebie mroźne łuki. Większość z nich lądowała na ogromnej, białej górze stojącej na wschód od szerokiej przełęczy. Serie ogłuszających eksplozji rozrywały połacie lodu, jak gdyby muzułmanie wypowiedzieli wojnę wszystkim górom na świecie.

- Dlaczego oni tak bardzo nienawidzą tych gór? - zastanawiał się Bai.

- To Czomolungma - odpowiedział Iwa - najwyższy szczyt na

Ziemi.

Muzułmanie tak długo ostrzeliwali szczytową piramidę skał, aż obniżyli jej poziom poniżej drugiej góry świata, znajdującej się w Afganistanie. Szczyt świata jest więc teraz w rękach muzułmanów.

Jego twarz była jak zwykle pozbawiona wyrazu, lecz ton jego głosu zdradzał smutek, jak gdyby góra coś dla niego znaczyła. Zaniepokoiło to Baia: jeśli Iwa zwariował, to chyba już wszyscy na Ziemi zwariowali.

Iwa z pewnością byłby jednym z ostatnich. A może to już dawno się stało? Jakiś żołnierz z ich oddziału wybuchnął bezradnym płaczem na widok martwych koni i mułów. Rozszarpane ludzkie zwłoki nie robiły na nim żadnego wrażenia, lecz rozdęte ciała tych biednych stworzeń łamały mu serce. W dziwny sposób wydawało się to logiczne, lecz w stosunku do gór Bai nie potrafił wzniecić w sobie współczucia. Jedno bóstwo mniej lub więcej. Kolejny etap walki w bardo.

W nocy mróz unieruchamiał wszystko dookoła, a światło gwiazd łyskało na pustym plateau. Stojąc przy latrynach i paląc papierosa, Bai zastanawiał się, co tak naprawdę oznacza wojna w bardo. To właśnie tam segregowano dusze, godzono je z rzeczywistością i wysyłano w dół na świat. Wydawano wyroki i szacowano karmę. Dawano kolejną szansę, zsyłając dusze z powrotem na świat, lub otwierano przed nimi wrota ku nirwanie, ostatecznej wolności i błogości. Bai czytał kiedyś *Tybetańską księgę umarłych,* której egzemplarz nosił ze sobą Iwa. Teraz rozglądał się w koło i widział, jak poszczególne jej zdania tworzyły formy plateau. Żywi czy

martwi, przechodzili przez komnaty bardo, pracując wytrwale nad swoim własnym losem. Zawsze tak było, jest i będzie! Ta komnata była ponura jak pusta scena. Rozbili obóz na żwirze i piaskach, przy szerokim końcu szarego lodowca. Grube działa artyleryjskie skupione obok siebie, ich lufy wymierzone w niebo, mniejsze działa rozstawione na ścianach dolin, jako obrona przeciwlotnicza. Ich stanowiska wyglądały jak stare klasztory obronne w stylu dzong, które ciągle jeszcze stały na szczytach niektórych urwisk w tych górach.

Nadeszły wieści, że mieli przebić się przez Nangpa La, głęboką przełęcz, rozcinającą w tym miejscu pasmo gór. Był to jeden z dawnych szlaków solnych, najlepsza przeprawa przez góry na odcinku wielu li. Prowadzić mieli Szerpowie, Tybetańczycy, którzy przenieśli się na południową stronę przełęczy, gdzie zaczynał się głęboki wąwóz, prowadzący do niewielkiej stolicy, Namche Bazaar, teraz oczywiście obróconej w ruinę, jak i zresztą wszystko dookoła. Z Namche szlak wiódł prosto na południe, na równiny Bengalu - była to jedna z lepszych tras przez Himalaje. Lada dzień te ścieżki i drogi zamienią się w kolejowe nasypy. Wtedy przerzucą całą masę chińskich żołnierzy, a przynajmniej to, co z nich zostało, na Równiny Gangesu. Plotki krążyły w powietrzu jak motyle, codziennie nowe. Iwa całe noce spędzał przy radiu.

Bai miał wrażenie, że i bardo zaczyna się zmieniać. Następowało przejście do następnej komnaty, do piekła na Ziemi, zagraconego antyczną historią. Bitwa o przełęcz będzie wyjątkowo krwawa i brutalna, jak zresztą każda walka o wrota do innych światów.

Artylerie wrogich cywilizacji rozstawiły się po obu stronach gór. Celowo wywoływane lawiny często schodziły po granitowych skarpach. Tymczasem trwał ostrzał Czomolungmy, mający na celu obniżenie góry. Widząc to, Tybe-tańczycy walczyli jak pretowie. Iwa już się ze wszystkim pogodził.

- Muzułmanie mają takie powiedzenie o górze przychodzącej do Mahometa, ale nie sądzę, aby miało to jakieś znacznie dla bogini matki. Nadal jednak nie przestawali dziwić się szaleństwu, w jakie popadali ich wrogowie. Niedouczeni i surowi fanatycy pustynnych sekt, którym obiecano wieczność w raju, gdzie orgazm z pięknymi hurysami trwa dziesięć tysięcy lat. Nie dziwota zatem, że byli tak samobójczo odważni i zawsze chętni do oddania życia, rozzuchwaleni opiumową gorączką, której nie dało się powstrzymać. Wiadomo było, że pochłaniali ogromne ilości amfetaminy i palili opium, że przeszli przez całą wojnę zatopieni w nerwowym, narkotycznym zwidzie, w którym często zdarzały się ataki zwierzęcej wściekłości. Chińczycy z chęcią by się do nich przyłączyli, oczywiście opium już dawno dostało się w ich szeregi, niestety było go bardzo mało. Na szczęście Iwa miał lokalne dojścia i kiedy przygotowywali się do szturmu na Nanga La, udało mu się zdobyć trochę opium od żandarma wojskowego. Razem z Baiem palili je w skrętach, a czasem pili w postaci tynktury z goździkami i pastylką medykamentu z Trawankoru, który wyostrzał wzrok, tłumiąc jednocześnie emocje. Mieszanka ta działała całkiem nieźle.

W końcu na płaskowyżu bardo zgromadziło się tak dużo chorągwi i dywizji artylerii, że Bai pozbył się już wszelkich wątpliwości, plotki

okazały się prawdą, ostateczny szturm na Kali, na Śiwę czy Brahmę miał się wkrótce rozpocząć. Za niezbity dowód tego Bai uznał liczną obecność doświadczonych żołnierzy, a nie dzieci, rolników i kobiet. Były tam całe dywizje żołnierzy zaprawionych w bojach na wyspach Nowego Świata, gdzie walki zawsze były wyjątkowo intensywne i gdzie, jak twierdzili, zawsze odnosili zwycięstwa. Innymi słowy byli to ludzie, którzy już dawno powinni nie żyć. Wyglądali na martwych. Palili papierosy, wykonując ruchy zombi. Cała armia truposzów, zwarta i gotowa do najazdu na bogate południe żywych.

Księżyca przybywało i ubywało, a ostrzał niewidzialnego wroga po drugiej stronie gór trwał nieprzerwanie. Eskadry lotników, wygięte na niebie w ogromne sierpy, przelatywały przez przełęcz, lecz ani jeden z nich nie powracał. Ósmego dnia czwartego miesiąca, w dzień poczęcia Buddy, rozpoczął się szturm.

Przełęcz była obstawiona, lecz kiedy zabito pierwszych obrońców, a pozostali pouciekali na południe, wtedy ściany przełęczy rozpruły potężne eksplozje, a zwały skał i lodu zeszły w dół na szerokie siodło. Sam Cho Oyu stracił w pułapce część swoich sil. To był koniec dla wielu chorągwi, zabezpieczających przełęcz. Bai obserwował wszystko z dołu i zastanawiał się: dokąd idzie się po śmierci w bardo. To, że oddziału Baia nie wysiano na pierwszą linię uderzenia, było dziełem czystego przypadku.

Zarówno obrona, jak i pierwsza linia chińskiego frontu zostały po-grzebane żywcem. Teraz przełęcz należała do nich, mogli rozpocząć przemarsz gigantycznym wąwozem wyżłobionym przez

lodowiec, prowadzącym ich na południe, ku Równinom Gangesu. Byli atakowani na każdym kroku, głównie przez spadające pociski, wszelkiego rodzaju pułapki i ogromne miny przeciwpiechotne, zakopane w ziemi w kluczowych punktach szlaku. Te ostatnie rozbrajali lub wysadzali w powietrze, kiedy tylko nadarzała się okazja, czasem ponosili przy tym straty. Odbudowywali drogę i nasyp kolejowy, prace odbywały się w ekspresowym tempie, gdyż muzułmanie zaczęli odstępować i powoli wycofywali się na równinę, tak że teraz docierały do nich rzadkie pociski wystrzelone gdzieś z oddali, prawdopodobnie z okolic Delhi, były niecelne, wręcz żałosne, oprócz tych kilku, którym udało się sięgnąć celu.

Na dnie południowego wąwozu znaleźli się w innym świecie. Bai zastanawiał się, czy to jeszcze było bardo. Jeśli tak, to już na pewno zeszli na inny jego poziom: gorący, wilgotny, porośnięty chaszczami, drzewami i trawami, które wystrzeliwały z cienkiej warstwy czarnej gleby, zalegającej dookoła. Tu na dole granitowe urwiska byty jak żywe. A może Kuo ich okłamał, może lwa, Bai i pozostali kompani cały czas żyli w świecie pustoszonym przez śmierć. Cóż za potworna myśl! Świat zmienił się w bardo, tak że nie sposób ich od siebie odróżnić... Bai był przerażony i bezwolnie rzucał się w chaotyczny nurt upływających dni. Tak wiele już wycierpiał, a wszystko po to, aby odrodzić się w swoim własnym życiu, które nadal trwało i do którego powrócił niemal w jednej chwili, bez właściwej dla takich przejść przerwy. Zamiast niej, krótka chwila bolesnej ironii, kilkudniowe szaleństwo. Rozpoczynał nową, karmiczną egzystencję, lecz nadal tkwił w tym samym, żałosnym

cyklu biologicznym, który - nie wiedzieć czemu - zmienił się w wyrafinowane symulakrum piekła, jak gdyby pękło karmiczne kolisko i tryby karmicznego życia zsunęły się z trybów życia biologicznego, sprawiając, że człowiek przenosił się z jednego w drugie bez żadnego ostrzeżenia

i czasami żył w świecie rzeczywistym, a czasem w bardo, czasem we śnie, a potem znów na jawie, lecz najczęściej we wszystkich tych stanach naraz i w całkowitym niezrozumieniu ich przyczyn. Lata spędzone w Korytarzu Gansu, które wcześniej nazwałby całym swoim życiem, jawiły mu się teraz jako dawny i zapomniany sen. Co więcej, nawet ekstatyczna obcość tybetańskiej równiny zmieniała się od razu w nierealne wspomnienia, które Bai z trudem wydobywał z pamięci, mimo iż ich obrazy stały przed jego oczami, a on przenikał je na wskroś.

Pewnego wieczoru przybiegł do nich oficer radiotelegrafista z rozkazem natychmiastowego przeniesienia wojsk w góry. Muzułmanie zbombardowali zator lodowy na jeziorze lodowcowym w górnym biegu rzeki, spuszczając w dół ogromne ilości wody, która w węższych partiach wąwozu osiągała nawet pięćset stóp głębokości.

Rozpoczęła się wspinaczka - i to jeszcze jaka wspinaczka. Oto oni, martwi ludzie, nieżyjący już od wielu lat, gramolili się do góry w oszalałym tempie, niczym młode małpy. Ich obóz został w wąskim jarze o stromych zboczach, który chronił przed atakiem z powietrza, lecz teraz, kiedy wchodzili coraz wyżej, coraz wyraźniej słyszeli też głuchy huk, dobiegający z daleka i przebijający się przez chrzęst kamieni i odgłosy ich oddechów jak nieprzerwany grzmot. Może to

jeden z wodospadów na Rzece Mlecznej, lecz chyba jednak nie, to był dźwięk nadciągającej powodzi. W końcu zbocze położyło się. Po godzinie byli już dobre tysiąc stóp ponad poziomem Mlecznej Rzeki i przyglądali się jej białej nitce, wcale niewyglądającej groźnie z perspektywy płaskiego szczytu, gdzie oficerowie grupowali swoich ludzi, spoglądając w dół wąwozu oraz dookoła, na ogromne lodowe ściany i skaliste szczyty tego górskiego łańcucha. Wsłuchiwali się w basowy ryk, docierający do nich od północy, od strony jeszcze wyższych gór. Potężny, pulsujący huk, jak ryk tygrysiego bóstwa. Tu, na górze, mieli doskonały widok na powódź, która nadciągnęła wraz z zapadającym zmierzchem: ryk stał się wtedy niemal tak głośny, jak odgłosy bomb spadających na froncie, z tym że ten dobiegał z niższego poziomu, spod ziemi, zatem nie tylko wyraźnie go słyszeli, lecz również wyczuwali pod stopami. Po chwili ujrzeli chaotycznie kotłujące się czoło fali, brudnobiałą ścianę wody, niosącą pnie drzew i odłamki skalne w spienionej kipieli, która obdzierała ściany wąwozu do litej skały, wywołując gigantyczne osuwy ziemi i lodu, wpadające wprost w rozpędzony nurt. Niektóre z lawin byty tak ogromne, że na kilka minut blokowały strumień, dopóki woda nie przelewała się ponad osuwiskiem i nie rozrywała zatoru swoim silnym prądem, wywołując jeszcze jedno spiętrzenie w rozszalałym żywiole. Czoło powodzi znikło już z zasięgu ich wzroku, odpływając daleko w głąb wąwozu i pozostawiając po sobie odarte ściany i brązową, spienioną rzekę, huczącą w dole, niewiele wyżej od swojego normalnego poziomu.

- Powinniśmy budować drogi nieco wyżej - zauważył Iwa.

W odpowiedzi na jego spokój i opanowanie Bai mógł się tylko uśmiechnąć. Opium sprawiało, że świat wokół niego pulsował. Nagle coś sobie uświadomił:

- Oczywiście, że tak! Dopiero teraz do mnie to dotarło! Kiedyś już tonąłem w powodzi, czułem, jak dosięga mnie woda. Woda, śnieg i lód. Ty też tam byłeś! Ciekawe, czy czasem nie było nam to pisane i tylko przez przypadek uniknęliśmy śmierci. Mam ważenie, że nie powinno nas tu teraz być.

Iwa przyjrzał mu się uważnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- No to, że powinniśmy byli zginąć w tej powodzi!

- Wiesz - powiedział powoli i z wyraźnym zainteresowaniem Iwa -ja uważam, że po prostu udało nam się uciec.

Bai tylko uśmiechnął się: co za umysł.

- Masz rację! Do diabła z powodzią! Przecież to było w innym życiu. W tym czy w innym - budowniczowie dróg i tak dostali poważną

lekcję, nie ponosząc przy tym większych strat w ludziach (sprzęt i wyposażenie to zupełnie inne kwestie). Odtąd budowali już tylko wysoko na zboczach wąwozu, gdzie teren opadał i wypłaszczał się. Wyżynali w skale stopnie i trawersy i posuwali się coraz wyżej bocznymi wąwozami, budując mosty nad rzekami płynącymi ich dnem. Rozmieścili też w okolicy kilka stanowisk przeciwlotniczych, a nawet zorganizowali niewielkie lądowisko na płaskim wzniesieniu nieopodal Lukli. Praca w batalionie budowniczym była o wiele lepsza niż walka, którą w tym samym czasie prowadzili ludzie u

wylotu wąwozu, mający za zadanie utrzymać go do czasu, gdy nie dotrze do nich kolej. Nadal nie mogli uwierzyć w swoje szczęście, w te ciepłe dni i w rzeczywistość życia poza linią frontu - taki luksus, taka cisza, puszczające napięcia mięśniowe, mnóstwo ryżu i dziwaczne, ale za to świeże warzywa...

We mgle radosnych dni ukończyli prace nad drogami i torowiskami i jednym z pierwszych pociągów zabrali się na dół, gdzie na ogromnej, zielonej i zakurzonej równinie założyli obóz. Na razie nic nie zapowiadało nadejścia monsunowych deszczów. Dywizja za dywizją ciągnęły na front, leżący w stale zmieniającej się odległości na zachód od nich. To tam przeniosła się teraz scena główna.

Następnego ranka byli już z powrotem w drodze. Cały dzień w pociągu, na zachód, później długi marsz przez serie mostów pontonowych, aż w końcu znaleźli się w okolicy Biharu, gdzie stacjonowała już armia sprzymierzeńców. Sojusznicy - co za pomysł. Hindusi z krwi i kości, którzy wypuszczają się na północ swojego kraju, po czterech dekadach ukrywania się przed hordami muzułmanów na głębokim południu kontynentu. Oni również mieli swój przełom, przekroczyli Indus, stwarzając poważne zagrożenie dla muzułmanów, którzy mogli niebawem znaleźć się w kleszczach wielkości całej Azji. Niektóre ich oddziały już odcięto, na przykład w Birmie, a inne wrogie grupy nadal gromadziły się na zachodzie, rozpoczynając powolny i oporny odwrót. Tego mniej więcej dowiedział się Iwa po godzinnej rozmowie ze swoim przyjacielem z dzieciństwa, trawankorskim oficerem mówiącym po nepalsku.

Indyjscy oficerowie i ich żołnierze, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, mieli ciemną karnację i byli niscy, lecz za to bardzo szybcy i zwinni, czyści, dobrze ubrani i świetnie uzbrojeni - dumni, a czasem nawet aroganccy, gdyż sądzili, że wzięli na siebie najtrudniejszą część wojny z islamem, że tworząc drugi front, uratowali Chiny przed podbojem. Iwa oddalił się, nie będąc pewnym, czy rozmowa o wojnie to dobry pomysł.

Natomiast Bai był pod wrażeniem. Może jednak w końcu uda się uwolnić świat od niewolnictwa. Przełom na północy Azji najwyraźniej się opóźniał. Góry Ural były dla Złotej Ordy i Firanii tym, czym Wielki Mur dla Chin. Mimo to zachód stale kusił. Jak to się stało, że pod naciskiem takiego oporu przekroczyli Himalaje i połączyli się z armią Hindusów, aby rozciąć świat islamu na pół...

- No cóż, wiadomo, że morska potęga może w jednej chwili zniweczyć całą akcję lądową w Azji - powiedział pewnego wieczoru Iwa, kiedy siedzieli razem na ziemi, jedząc ryż, przyprawiony w całkiem nowy, ognisty sposób. Przełykając, krztusząc się i pocąc, mówił dalej - w trakcie całej tej wojny doświadczyliśmy już trzech czy nawet czterech generacji broni, a mówiąc ogólnie - technologii: ciężkiej artylerii, marynarki wojennej i lotnictwa, jestem pewny, że kiedyś nadejdzie taki czas, kiedy liczyć będą się już tylko eskadry i całe floty statków powietrznych. Walka przeniesie się wtedy do góry i rozpocznie się wojna o kontrolę nad niebami, zacznie się zrzucanie bomb, o wiele większych niż największe

pociski wystrzeliwane z dział, prosto na stolice nieprzyjaciół, na ich fabryki, na ich pałące i budynki rządowe.

- I bardzo dobrze - powiedział Bai - dzięki temu będzie mniej brudnej roboty. Wystarczy uderzyć w centrum, a reszta pójdzie gładko, Kuo zawsze to powtarzał.

Iwa skinął głową, uśmiechając się na samą myśl o tym, w jaki sposób powiedziałby to Kuo. Nawet ryż, który teraz dostawali, był niczym, w porównaniu do ich drogiego Kuo.

Generałowie Czwartego Kongresu Talentu Wojskowego spotkali się z generalicją indyjską. W trakcie ich obrad dobudowano jeszcze kilka linii kolejowych w stronę nowego, zachodniego frontu. Na naradzie z pewnością opracowywano strategię wspólnej ofensywy i na ten sam temat spekulowali też wszyscy dookoła. Że na pewno cofną ich do obrony tylów przed muzułmanami obecnymi jeszcze na Półwyspie Ma-lajskim, że zaokrętują ich na parowce w delcie świętego Gangesu i przerzucą na wybrzeża Arabii, aby zaatakować samą Mekkę, że posłużą się nimi do zdobycia przyczółków na półwyspach północno-zachodniej Firanii i tak dalej. Domysłom i opowieściom o ich dalszej tułaczce nie było końca.

Wreszcie zarządzono wymarsz. Szli teraz na zachód, rozciągając prawą flankę pod samo pogórze Nepalu. Były to wzgórza, które, ni stąd, ni zowąd, wystrzeliwały zielenią wysoko ponad Równinę Gangesu, jak gdyby - zauważył Iwa - Indie były ogromnym okrętem, który staranował Azję i zakopał się pod nią, aż po sam Tybet, przez co podwoił wysokość tamtych rejonów, a sam pozostał niemal na poziomie morza.

Bai kiwał głową, patrząc na geomorfologiczną ciekawostkę, lecz nie bardzo podobała mu się myśl o lądzie, poruszającym się jak

gigantyczny okręt, wolał rozumieć ląd jako coś stałego, ponieważ teraz też usiłował przekonać samego siebie, że Kuo wcale nie miał racji, że w tej chwili żył naprawdę i nie znajdował się w bardo, gdzie lądy mogły się przesuwać i zmieniać jak ruchoma scenografia w teatrze. Tak nagła śmierć musiała całkowicie zdezorientować Kuo, biedak nie wiedział, co się z nim działo, a to niedobry znak, jeśli wziąć pod uwagę jego wejście w kolejną inkarnację. A może to był tylko taki żart - Kuo potrafił nabrać człowieka jak nikt inny, choć rzadko robił sobie żarty. A może wyświadczył Baiowi przysługę i przeprowadził go przez najgorsze momenty wojny, przekonawszy go wpierw, że i tak już jest martwy i że nie ma już nic do stracenia - rzeczywiście, brał udział w wojnie na poziomie, na którym coś znaczyła, mogła być pożyteczna, mogła zyskać wpływ na

ludzkie dusze w momencie ich czystej egzystencji poza tym światem, gdzie zmiana jest możliwa, gdzie można pojąć to, co ważne, aby następnym razem powrócić do życia z nowymi zdolnościami w sercach i nowymi celami w głowach.

Cóż to mogłyby być za cele? O co oni walczyli? Wszyscy doskonałe wiedzieli, przeciwko komu walczyli - przeciwko fanatycznym reakcjonistom i zwolennikom niewolnictwa, którzy pragnęli, aby świat nie zwracał na nich uwagi, tak jak było za czasów dynastii Tang czy Sung, przeciwko nieprawdopodobnie zacofanym i krwiożerczym zelotom religijnym, przeciwko pozbawionym skrupułów mordercom, którzy walczyli odurzeni opium i zaślepieni swoją starożytną religią. Z pewnością walczyli przeciwko im wszystkimi, lecz o co walczyli? Bai długo się za-

stanawiał, o co Chiny tak naprawdę walczyły na tej wojnie. W końcu zdecydował, że walczą o... jasność sytuacji, a jeśli o coś innego, to na pewno nie o religię. Walczyli o ludzkość, o współczucie. O buddyzm, daoizm i konfucjanizm, potrójny wątek, który tak doskonale opisywał właściwe podejście do świata: o religię bez Boga, w której był tylko ten świat oraz kilka innych, potencjalnych planów istnienia i planów mentalnych oraz oczywiście próżnia, lecz żadnego Boga, żadnego pasterza ani obłąkanego patriarchy nagabującego starczym mędrkowaniem. Zamiast niego niezliczona liczba nieśmiertelnych duchów obecnych na wszystkich planach istnienia i w każdym bycie, zarówno w ludziach, jak i w innymi czujących istotach; wszystko żyje, wszystko jest częścią Boskości - tak, ponieważ Bóg istnieje, jeśli tylko mówiąc to, mamy na myśli transcendentną, uniwersalną i samoświadomą istotę, która sama w sobie jest rzeczywistością, kosmosem i wszystkim innym, łącznie z ludzkimi pomysłami, matematycznymi formułami i wszelkimi zależnościami. Idea ta była Bogiem, wywoływała szczególny rodzaj uwielbienia, które objawiało się koncentrowaniem uwagi na świecie rzeczywistym, jak w trakcie badań przyrodniczych. Chiński buddyzm był właśnie takim przyrodniczym studium rzeczywistości i prowadził do głębokiej czci jedynie poprzez obserwację spadających liści, zwyczajów dzikich zwierząt, zmieniających się kolorów nieba czy też przez proste czynności, jak czerpanie wody czy noszenie drwa. Początkowe stadium czci z czasem ewoluowało w głębsze zrozumienie, wtedy też wytrwale rozwijano teorie matematyczne, opisujące wszelkie zjawiska naturalne - wszystko to

robiono z czystej ciekawości, lecz również po to, by móc postrzegać świat jeszcze wyraźniej. Zaczęto więc budować instrumenty, pozwalające spojrzeć jeszcze dalej w głąb i w dal, w większe jang i głębsze jin.

To z kolei pociągnęło za sobą nowy rodzaj zrozumienia rzeczywistości, w którym największą wartość zyskało współczucie. Współczucie zrodzone z oświeconego zrozumienia natury rzeczy i z wytężonych badań nad światem. Iwa zawsze tak mówił, lecz Bai wolał myśleć o emocjach, które powstawały w wyniku właściwego skupienia uwagi i wytrwałej pracy: o spokoju, o wyostrzonej ciekawości, o zachwycie i o współczuciu.

Teraz jednak trwał koszmar. Koszmar nabierał tempa, rozpadał się i wypełniał absurdem, jak gdyby śniący rejestrował urywające się marzenie senne w postaci ostatnich impulsów, wywołujących szybkie ruchy gałek ocznych oraz pojedyncze obrazy rzeczywistości budzącego się dnia. Każdego dnia budzimy się w nowym świecie, każdy sen przynosi nam kolejną reinkarnację. Lokalni guru powiadają, że dzieje się tak z każdym naszym oddechem.

Wyszli z bardo na świat rzeczywisty, prosto na pole bitwy. Ich lewą flankę stanowiły wyborowe regimenty indyjskie - mali, brodaci, ciemnoskórzy mężczyźni, obok nich wyżsi, biali sikhowie, o haczykowatych nosach, długich brodach i w turbanach na głowach, dalej Gurkowie z gór i chorągiew nepalskich kobiet, z których każda była najprawdziwszą pięknością - tak im się przynajmniej wydawało. Hindusi wyglądali jak ogromna trupa cyrkowa, lecz byli

niezwykle szybcy, świetnie uzbrojeni, podzieleni na dywizje kolejowe i zmotoryzowane. Chińczycy nie mogli za nimi nadążyć, mimo iż w tym celu dobudowali jeszcze kilka linii kolejowych, posyłając do przodu ogromne zastępy ludzi wraz z całym zapleczem. Daleko przed czołem pociągów śpieszyły do przodu następne oddziały indyjskiej piechoty, niektóre na wozach z napędem silnikowym i na gumowych kołach. Były ich setki, biegli truchtem po wiejskich ścieżkach, wzbijając w powietrze tumany kurzu, w tę ciepłą i suchą jeszcze porę, a inni przemieszczali się po nadal ubogiej sieci dróg asfaltowych, które jako jedyne będą przejezdne po przejściu monsunów.

W okolicach Delhi znaleźli się mniej więcej w tym samym czasie i od razu natrafili na armię muzułmańską, wycofującą się w górę Gangesu. Do tego czasu Chińczycy zdążyli już zająć swoje pozycje u podnóża nepalskich wzgórz.

Oczywiście ich prawa flanka sięgała wysoko na wzgórza, gdzie obie armie usiłowały otoczyć i zaskoczyć wroga. Z uwagi na doświadczenie, jakie zdobyli w dolinie Mlecznej Rzeki, oddziały Baia i Iwy włączono do grupy górskiej. Ich rozkaz brzmiał: zdobyć i utrzymać teren wzgórz, co najmniej do pierwszego grzbietu, a to wiązało się z koniecznością zajęcia wysokich pozycji jeszcze dalej na północ. Przemieszczali się pod osłoną nocy, ucząc się wspinaczki po ciemku, po trasach wytyczonych przez zwiadowczą grupę Gurków. Wkrótce Bai dołączył do dziennych zwiadowców, a kiedy wspinał się po stromych ścianach wąwozów, porośniętych gęstymi chaszczami, wcale się nie martwił o to, że dopadną go

muzułmanie, gdyż ci trzymali się blisko swoich szlaków i obozowisk. Bardziej martwiło go to, w jaki sposób setki ich żołnierzy pokonają ten prawdziwy małpi gaj, przez który przedzierał się, wykonując często karkołomne ewolucje.

- To właśnie dlatego wysłali ciebie - wyjaśnił Iwa - jeśli ty tamtędy przejdziesz, to każdy przejdzie - uśmiechnął się i dodał - myślę, że tak właśnie powiedziałby Kuo.

Każdej nocy Bai wędrował w górę i w dół, przeprowadzał ludzi i sprawdzał, czy szlaki prowadziły tam, gdzie się tego spodziewał, uczył się i obserwował okolicę. Kładł się spać o wschodzie słońca, wypróbowując nowe kryjówki.

Kiedy razem z Iwą zajęci byli działalnością zwiadowczą, na flankę południową przebili się Hindusi. Słyszeli odległą kanonadę artylerii, a następnego, mglistego poranka dymy wzbijały się wysoko w białe niebo, a mgły zapowiadały nadejście monsunów. Rozpoczęcie przełomowego szturmu wraz z nadejściem monsunu było wręcz nie do pomyślenia. Całkiem możliwe, że takie posunięcie wylądowałoby od razu na pierwszym miejscu i tak już poszerzonej listy Siedmiu Wielkich Błędów. Kiedy popołudniowe chmury zbierały się i różowiły, a później ciężkie i czarne opadały na nich, rażąc zbocza dolin i równiny grubymi piorunami, które trafiały w metalowe części stanowisk przeciwlotniczych, rozlokowanych wysoko na górskim grzbiecie, oni z podziwem wsłuchiwali się w salwy napierających do przodu Hindusów. Narody te, oprócz wielu innych osiągnięć, do perfekcji opanowały sztukę prowadzenia wojny w deszczu. To nie byli chińscy racjonaliści obrządku buddyjsko-daoistycznego, Iwa i

Bai nie mieli wątpliwości, to nie był Czwarty Kongres Chińskiego Talentu Wojskowego, lecz dzicy ludzie wszelkiej religijności, jeszcze bardziej uduchowieni niż muzułmanie, których religia wydawała się pełna fanfaronady, pobożnych życzeń i tyranii ich jedynego Boga Ojca. Hindusi natomiast mieli całe miriady bogów, zarówno płci męskiej, jak i żeńskiej, niektóre z nich miały głowy słoni, a inne po trzy pary rąk, nawet śmierć była bogiem, kobietą i mężczyzną w jednym, tak samo jak życie czy szlachetność. Mieli bogów dosłownie od

wszystkiego, a każdy z nich był deifikacją któregoś z ludzkich przymiotów. W ten sposób tworzyli zwartą, kolorową zbieraninę pobożnych ludzi, zażartych wojowników, świetnych kucharzy i osób o głębokiej wrażliwości. Ich kadzidła, przyprawy, muzyka, kolorowe stroje, sztuka, w której przywiązywali uwagę do najdrobniejszego szczegółu, to wszystko było widoczne w ich obozowiskach: kobiety i mężczyźni stali wokół bębniarzy i śpiewali. Kobiety były wysokie i piersiaste, miały gęste brwi i duże oczy, były naprawdę niesamowite, a ramiona miały potężne niczym u drwala - to one tworzyły indyjski oddział strzelców wyborowych.

- Tak, tak - powiedział po tybetańsku jeden z indyjskich adiutantów - kobiety strzelają o wiele lepiej niż mężczyźni, zwłaszcza kobiety z Trawankoru. Zaczynają naukę jako pięcioletnie dziewczynki i chyba tylko temu zawdzięczają swoje wyniki. Gdyby chłopców uczyć od małego, myślę, że radziliby sobie równie dobrze.

Padający deszcz mieszał się w powietrzu z popiołem i spływał na

ziemię w postaci wodnistego błota. Czarny deszcz. Oddział Iwy i Baia otrzymał rozkaz natychmiastowego zejścia na równinę i zasilenia głównego szturmu. Zbiegli w dół wąskimi szlakami i wylądowali jakieś dwadzieścia li od linii frontu, gdzie zwarli szyki i rozpoczęli marsz. Mieli uderzyć na samym końcu flanki, dokładnie u podnóża pierwszych wzgórz, gotowi wkroczyć na nie w razie jakiegokolwiek oporu ze strony wroga.

Taki był plan, lecz gdy tylko zbliżyli się do frontu, doszły ich wieści, że muzułmanie odstąpili i rozpoczęli odwrót. Nie pozostało więc nic innego, jak puścić się za nimi w pogoń.

Wróg wycofywał się w szybkim tempie, mimo to Hindusi stale deptali mu po piętach, natomiast daleko w tyle za obiema szybszymi armiami ciągnęli Chińczycy, przez pola, lasy i kanały, przez wyrwy w bambusowych płotach i ścianach, przez skupiska domostw, zbyt małe, aby nazwać je wsiami, opuszczone i ciche, często doszczętnie spalone, które mimo wszystko w dziwny sposób spowalniały ich pochód. Na ziemi zalegały poskręcane ludzkie zwłoki, napuchnięte już i napęczniałe. Prawdziwe znaczenie cielesności urzeczywistniało się w nich poprzez swoje przeciwieństwo - bezcielesność, śmierć, odejście duszy, która tak niewiele po sobie zostawiała, gnijącą masę, podobną do tej, którą się czasem znajduje w kiełbasie. Nie miało to nic wspólnego z człowieczeństwem, może poza kilkoma wyjątkami, kiedy twarz ofiary była nienaruszona, a czasem nawet niewzruszona. Jeden Hindus, na przykład, leżał na ziemi i rozglądał się na boki rozbieżnym zezem, nie poruszał się ani nie oddychał, wyglądał jak

posąg mężczyzny o imponującej i silnej budowie, miał szerokie barki, wydatną pierś, majestatyczne, wysokie czoło, długie wąsy i oczy jak u ryb na targu, szeroko otwarte z zaskoczenia. Przechodząc obok niego, Bai musiał odmówić zaklęcie. Następnie wkroczyli na tereny, gdzie ziemia zasnuta była dymami, jak strefa śmierci w Gansu, w oazach stały głębokie, srebrzące się kałuże cuchnącej wody, a powietrze przesycone było dymem, kordytem i zapachem krwi. Tak musiało w tej chwili wyglądać bardo, zatłoczone nowymi przybyszami, rozwścieczonymi, zagubionymi, konającymi, słowem wchodzącymi do krainy umarłych w najgorszym z możliwych stanów. Tu, na świecie, obecne było tylko puste lustrzane odbicie tamtego miejsca, okopcone, spękane i nieruchome. Chińska armia przemaszerowała tamtędy w głuchej ciszy.

Bai i Iwa odszukali się w tłumie i razem ruszyli w stronę spalonych ruin miasta Bodh Gaja leżących na zachodnim brzegu rzeki Phalgu. Powiedziano im, że to właśnie tam rosło niegdyś Drzewo Bodhi, stary figowiec, pod którym wiele wieków temu Budda osiągnął oświecenie. Teren ten otrzymał niemal tyle samo ciosów, co Czomolungma. Nie pozostał nawet ślad po drzewach, parkach, wiosce czy strumieniu, wszędzie dookoła, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się czarne, gęste błota.

Grupa indyjskich oficerów badała kawałki korzenia, które ktoś znalazł w błocie w miejscu, w którym ponoć rosło kiedyś święte drzewo. Bai nie rozumiał ich języka. Usiadł, trzymając w dłoniach kawałek kory. Iwa podszedł do żołnierzy, posłuchać, o czym

rozmawiali.

Później przed Baiem stanął Kuo.

- Oto odszczepka - powiedział, wręczając mu niewielką gałązkę z Drzewa Bodhi. Bai przyjął dar z jego lewej dłoni, jako że prawej Kuo nadal nie posiadał.

- Kuo... - powiedział Bai i przełknął ślinę - to naprawdę ty? Nie może być.

Kuo przyjrzał mu się dokładniej.

- A więc jednak jesteśmy w bardo - powiedział Bai. Kuo skinął głową.

- Nie do końca mi wierzyłeś, no ale cóż, to niestety prawda. Stąd widać to najlepiej - powiedział, wskazując dłonią na czarną, dymiącą, równinę - dno wszechświata. Witamy ponownie.

- Dlaczego to się dzieje, nic z tego nie rozumiem!

- Czego nie rozumiesz?

- Nie wiem, co mam robić. Tak po prostu, życie po życiu? Chwila, teraz sobie ich wszystkich przypominam - zamyślił się - przecież próbowałem za każdym razem, cały czas próbuję!

Mieli wrażenie, że w oddali, na czarnej równinie, obaj widzą mgliste powidoki z przeszłych żyć, które tańczyły przed nimi na nieskończenie delikatnym tle padającego deszczu.

- To wszystko nie ma najmniejszego znaczenia. Moje działanie niczego nie zmienia.

- Tak, Bai. Masz rację, ale w końcu to ty jesteś głupcem, dobrodusznym, pieprzonym idiotą!

- Daj spokój Kuo, nie jestem w nastroju - mimo to mięśnie jego

twarzy wysiliły się na zbolały uśmiech. Jak dobrze znów dać się nabrać. Iwa i Bai często robili to dla siebie, lecz żaden z nich nie był tak skuteczny jak Kuo - może nie jestem tak wspaniałym dowódcą, jak ty, ale zrobiłem w życiu kilka dobrych rzeczy, które, uwierz mi, na nic się zdały. Najwyraźniej wszystkie prawa dharmy przestały obowiązywać.

Kuo usiadł obok niego po turecku i odprężył się.

- Któż to wie. Sam się nad tym zastanawiam, błądząc tym razem po bardo. Upłynęło już sporo czasu, uwierz mi, zbyt wiele istnień dostało się tu na raz, utworzył się zator, dokładnie tak samo jak na wojnie, zapanował jakiś logistyczny koszmar. Obserwowałem was, jak walczyliście, obijając się o siebie, niczym ćmy zamknięte w butelce. Wiem, że sam byłem taką ćmą, że rozbijałem się o ściany i dziwiłem się wszystkiemu. Później pomyślałem sobie, że może wcześniej coś poszło nie tak, może właśnie wtedy, kiedy byłem Kheimem, a ty Bagatelką, tą małą dziewczynką, którą wszyscy kochaliśmy. Pamiętasz?

Bai potrząsnął głową.

- Opowiedz mi.

Byłem Kheimem z Annamu. Wpisałem się w dumną tradycję największych chińskich admirałów cudzoziemców, którzy cieszyli się najgorszą sławą. Przez wiele lat byłem królem piratów, pustoszącym długie wybrzeża Annamu, aż w końcu Chińczycy zawarli ze mną pakt, tak jak robili z każdym większym potentatem. Ubili ze mną interes, zapłacili mi, abym się zgodził poprowadzić ich inwazję na Nippon, to znaczy wyprawę morską i być może również

lądową.

Niestety, cisza na morzu udaremniła nasze zamiary, minęliśmy Nippon, popłynęliśmy znacznie dalej, odkryliśmy nowe lądy oceaniczne i spotkaliśmy ciebie - zabraliśmy cię, żeby później utracić na zawsze. Ocaliliśmy cię z rąk katowskiego bóstwa obcych ludów południowych,

wtedy właśnie poczułem to po raz pierwszy, kiedy uratowawszy cię, schodziłem z góry. Mierzyłem z karabinku i pociągałem za spust, czując, iż posiadam moc odbierania i darowania życia. Mogłem zabić ich wszystkich, zasługiwali na to, cholerni kanibale, mordercy dzieci. Mogłem to zrobić jednym ruchem, mierząc po prostu w ich czoła. W tamtej chwili byłem przekonany, że tak wielka potęga, którą dysponowałem, musiała coś oznaczać. Choćby to, że nasza przewaga militarn, wywodziła się z ogólnej przewagi intelektualnej i moralnej, że byliśmy od nich lepsi. Zszedłem do naszych statków i pożeglowałem na zachód z myślą, iż w porównaniu do tych odrażających barbarzyńców byliśmy istotami nadrzędnymi, niemal bogami. Dlatego właśnie zmarła Bagatelka, dlatego właśnie umarłeś, abym mógł się przekonać, że nie miałem racji, że mimo iż ją ocaliliśmy, to i tak ją zabiliśmy, że to uczucie, które rosło w nas, kiedy przechodziliśmy zdecydowanym krokiem przez tłum dzikusów jak przez sforę psów, było trucizną, która będzie się rozprzestrzeniać tak długo, jak ludzie władać będą bronią palną. W końcu wymordujemy wszystkich, którzy tak jak Bagatelka żyli w pokoju i bez broni, a wówczas pozostaną na Ziemi już tylko ludzie uzbrojeni w pistolety, którzy będą zabijać się

nawzajem w zawrotnym tempie, łudząc się czczą nadzieją, iż śmierć na pewno ich nie spotka. Aż w końcu gatunek ludzki wymrze i zostaniemy zrzuceni na taki jak ten, plan pretów, a później do piekieł.

Sam więc widzisz, nasza mała jati utknęła tu razem ze wszystkimi. W tym momencie nie liczą się już twoje dokonania, oczywiście nie żebyś był jakoś wyjątkowo skuteczny... obawiam się że muszę powiedzieć ci to jeszcze raz, Bai, mając oczywiście na myśli twoje tendencje do naiwnej prostoty, twoją łatwowierność i dobroduszną, pobłażliwą i sentymentalną nieskuteczność...

- Dobra, dobra, to nie fair - przerwał mu Bai - przecież zawsze ci pomagałem.

- W porządku, niech ci będzie. Tak czy inaczej teraz już wszyscy jesteśmy w bardo, na drodze ku niższym planom istnienia, a w najlepszym przypadku z powrotem na plan ludzki, lecz równie prawdopodobne jest też to, że zjeżdżamy właśnie w dół po spirali śmierci prosto do piekielnych zaświatów, ukrytych pod stopami ludzi, być może właśnie to nas spotkało, zostaliśmy wkręceni w brutalny wir, z którego nikt z nas nie potrafi się wyrwać, i na chwilę obecną utraciliśmy nie tylko człowieczeństwo, lecz obawiam się, że również ewentualną możliwość jego odzyskania, tyle wyrządziliśmy krzywd! Banda idiotów! Do diabła z tym wszystkim! Co ty sobie wyobrażasz, że ja nie próbowałem, że nie walczyłem?! - Kuo z uniesienia aż poderwał się na nogi - myślisz, że na całym świecie tylko ty próbowałeś zrobić coś dobrego? - Pogroził jedyną pięścią najpierw w stronę Baia, a później na opadające na nich, szare niebo - niestety, wszyscy zawiedliśmy! Zabiliśmy rzeczywistość, rozumiesz? Rozumiesz to, czy nie?

- Tak - odpowiedział Bai, ściskając kurczowo kolana i trzęsąc się żałośnie - rozumiem.

- Więc posłuchaj mnie. Znajdujemy się na niższym planie istnienia, lecz mimo to musimy stale dawać z siebie wszystko. Nasza dharma nadal umożliwia prawidłowe działanie, nawet tutaj. Działajmy w nadziei na choćby najmniejszy postęp, tak aby dzięki wspólnym wysiłkom milionów ludzkich żyć w końcu przywrócić rzeczywistość, odbudować świat na nowo. Właśnie to nas teraz czeka - i wykonując pożegnalny gest dłonią w stronę Baia, odszedł,

zatapiając się z każdym krokiem coraz głębiej w czarnym błocie, aż w końcu zniknął całkowicie.

- Ej! - krzyknął Bai - Kuo, nie odchodź!

Po chwili wrócił Iwa, stanął przed nim i przyglądał mu się z nieskrywanym zdziwieniem.

- No i co? - zapytał Bai, podnosząc głowę z kolan i zbierając się z ziemi - jakieś wieści? Uda się nam ocalić Drzewo Bodhi?

- Mniejsza o drzewo, zdobędą odszczepkę z siostrzanego figowca, rosnącego na Sri Lance. Już wcześniej kilkakrotnie tak robili. Lepiej martwmy się o ludzi.

- Wszędzie nowe pędy. Dalej, w nowe życie, wypijmy za lepsze czasy! - krzyknął Bai, powtarzając słowa Kuo. - Wypijmy za lepsze czasy!

Iwa westchnął i usiadł dokładnie tam, gdzie wcześniej siedział Kuo. Padał na nich deszcz, na długi czas zapadła ciężka cisza.

- Chodzi o to - odezwał się w końcu Iwa - że co z nami będzie, jeśli nie ma czegoś takiego jak następny żywot? To jest to, tylko o tym ostatnio myślę. Fan Chen powiedział, że dusza i ciało są dwoma aspektami tego samego. Mówi o ostrości i nożu, o duszy i o ciele. Bez noża nie ma ostrości.

- A bez ostrości nie ma noża.

- Zgadza się...

- Ostrość nie przemija i nigdy nie umiera.

- A z drugiej strony, spójrz tam, na te martwe ciała. Ci ludzie już nie powrócą w formie, którą niegdyś posiadali. Kiedy przychodzi po nas śmierć, już nigdy nie wracamy.

- Bai pomyślał o Hindusie, który tak nieruchomo leżał na ulicy. W końcu odezwał się.

- Wpadłeś w jakąś rozpacz, to oczywiste, że wracamy, dosłownie przed chwilą rozmawiałem z Kuo.

Iwa wbił w niego zdziwione spojrzenie.

- Nie powinieneś go zatrzymywać. Właśnie tę wiedzę posiadł Budda w tym miejscu. Nie próbuj zatrzymywać czasu. Nikt tego nie potrafi.

- Ostrość pozostaje, to prawda, ranił mnie jak zawsze!

- Musimy się starać akceptować zmianę. Zmianę, która w konsekwencji prowadzi do śmierci.

- A później poza śmierć - Bai wypowiedział te słowa z największą radością, na jaką było go stać, lecz w jego głosie i tak brzmiała samotność. Tęsknił za Kuo.

Iwa zastanawiał się nad słowami kolegi, a jego twarz wyglądała, jakby chciał powiedzieć, że cały czas ma nadzieję, że buddyści od Drzewa Bodhi powiedzą jeszcze coś pomocnego. Cóż jednak mogliby powiedzieć? Przecież już dawno temu Budda powiedział wszystko: cierpienie jest prawdziwe. Należy się z nim zmierzyć i nauczyć się z nim żyć. Nie ma od niego ucieczki.

Po dłuższej chwili Bai podniósł się z ziemi i poszedł sprawdzić, co robili oficerowie. Intonowali sutry, najwyraźniej w sanskrycie, jak pomyślał Bai, kiedy przyłączał się do nich, śpiewając po chińsku *Lengyan jing.* Wraz z upływem dnia zbierało się w tym miejscu coraz więcej buddystów ze wszystkich armii, były ich setki, czarne błoto zakryło się ludźmi, którzy odmawiali modlitwy we wszystkich

językach buddyzmu, stojąc na spalonej i dymiącej ziemi, która, jak okiem sięgnąć, czerniła się i srebrzyła. Ostatecznie zamilkli. Pokój w sercach, współczucie i pokój. Ostrość pozostała w nich.

Księga IX

Nsara

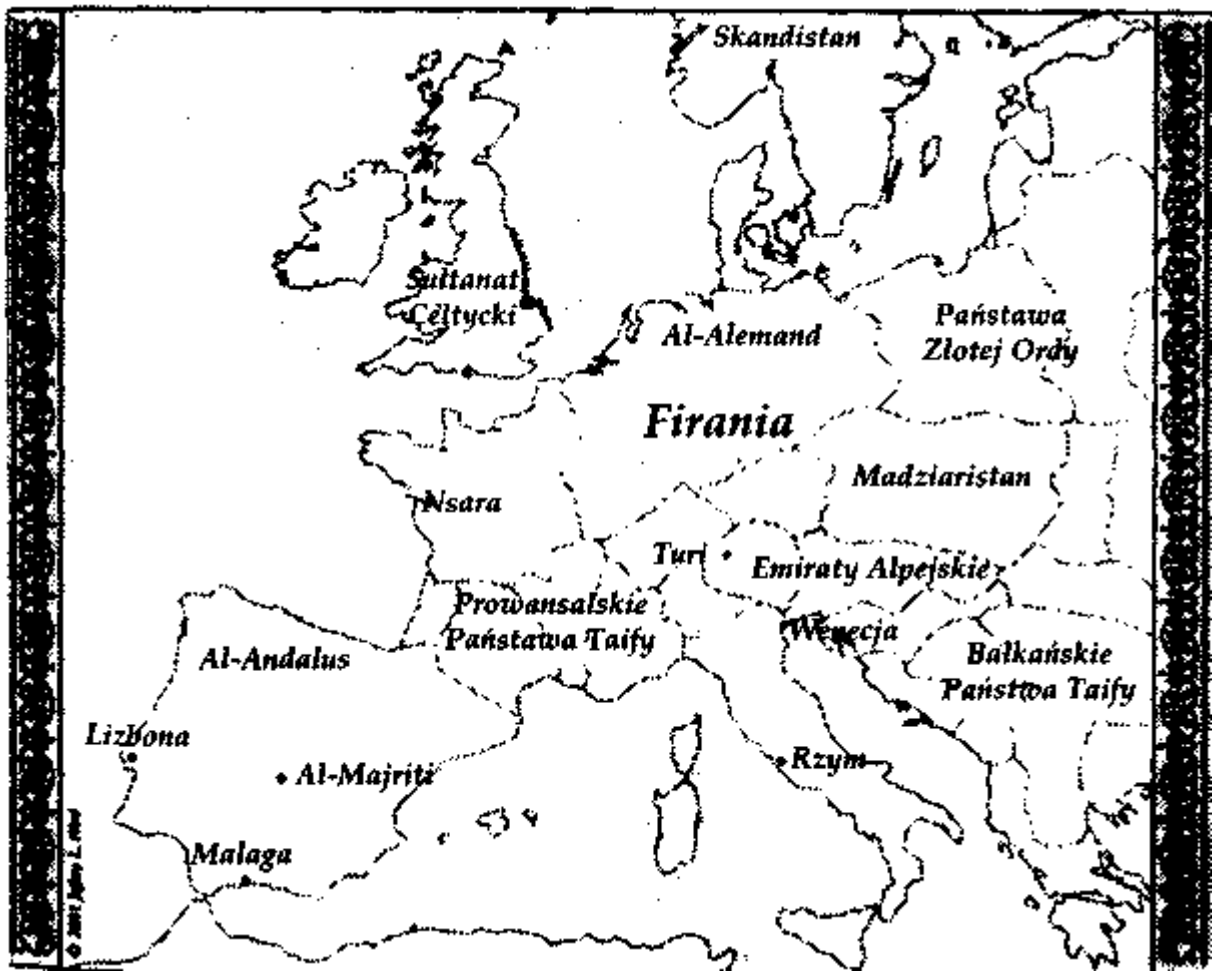

1.

W słoneczne poranki parki przy brzegu jeziora wypełniały się spacerującymi rodzinami. Wczesną wiosną, zanim rośliny zdążyły zmienić swoją szatę z zielonych, zbitych pączków w ciężkie, pachnące i nasycone barwami pąki kwiatów, wygłodniałe łabędzie zbierały się przy promenadzie, walcząc o okruchy czerstwego chleba, rzucane im przez dzieci. Kiedy Budur była małą dziewczynką, karmienie łabędzi było jej ulubioną zabawą, a od patrzenia na ptaki, które kotłowały się i wyrywały sobie z dziobów chleb, zawsze skręcała się ze śmiechu. Teraz sama przyglądała się dzieciom, które bawił do rozpuku ten sam widok, podczas gdy ją przeszył żal za utraconym dzieciństwem i świadomość, że łabędzie, choć tak piękne i zabawne, były też zdesperowane i głodne. Chciałaby mieć odwagę dołączyć do dzieci i razem z nimi rzucać chleb tym biednym stworzeniom, lecz jeśli zrobiłaby to teraz, wyglądałaby dziwacznie, niczym pacjent ośrodka dla umysłowo niedorozwiniętych na wycieczce szkolnej, a poza tym w ich domu i tak nie było zbędnego chleba.

Promienie słońca odbijały się od powierzchni jeziora, a budynki stojące z tyłu nabrzeżnej promenady lśniły na żółto, brzoskwiniowo i morelowo, jak gdyby same emitowały światło zamknięte jakimś sposobem we wnętrzu kamieni, z których je wzniesiono. Budur ruszyła przez stare miasto z powrotem do domu, mijając po drodze szary granit i czarne drewno starożytnych budowli. Na początku Turi był miastem rzymskim, stacją postojową na głównym szlaku przez Alpy. Ojciec kiedyś poprowadził ich w góry, ku mało znanej

przełęczy zwanej Dziurką od Klucza, gdzie wyraźnie widoczne były jeszcze odcinki starych rzymskich dróg, które jak grzbiet spłoszonego smoka pięły się zakosami w górę traw, a ich bruk ewidentnie tęsknił za stopami rzymskich legionistów i handlarzy. Teraz, po stuleciach umiarkowanej popularności, Turi znów był stacją postojową, lecz tym razem dla pociągów. Przede wszystkim jednak był największym miastem środkowej Firanii, stolicą Zjednoczonych Emiratów Alpejskich.

Centrum miasta tętniło życiem, panował gwar, a tramwaje skrzypiały na ostrych łukach skrzyżowań. Budur lubiła chodzić pieszo. Na Ahaba, swojego opiekuna, nie zwracała najmniejszej uwagi, choć osobiście bardzo go lubiła i nie miała do niego żadnych pretensji, jednak nie za bardzo podobała jej się jego praca, która polegała na towarzyszeniu jej w trakcie pieszych przechadzek. Z zasady starała się od niego stronić, a jego obecność uważała za afront dla swojego honoru. Z drugiej strony doskonale wiedziała, że Ahab od razu doniesie o wszystkim Ojcu. Kiedy opowiadał mu o jej braku poszanowania dla jego pozycji, tym samym kolejny mały protest z haremu docierał, choćby i okrężną drogą, do Ojca.

Szła przed Ahabem ulicą Wysoką, pomiędzy apartamentami, stojącymi na zboczu, skąd roztaczał się wspaniały widok na całe miasto. Ich dom otoczony był przepięknym murem, na którym widniał falisty wzór z przeplatających się szarych i zielonych ciosanych kamieni. Nad drewnianą bramą rozpinał się kamienny luk, w tym samym stylu co mur ozdobiony siecią rzeźbionych pnączy wisterii chińskiej. Odnosiło się wrażenie, że nawet gdyby

wyciągnięto z łuku kamień centralny, jego reszta nadal stałaby niewzruszona. Ich odźwierny, Ahmet, siedział w swoim przytulnym drewnianym gabinecie tuż za główną bramą i witał bądź zapowiadał wszystkich pragnących wejść do środka, a tym, którzy dysponowali wolną chwilą, proponował filiżankę gorącej herbaty.

Ciotka Idelba znów rozmawiała przez telefon, który stał na wewnętrznym dziedzińcu, na stoliku pod okapem, skąd praktycznie każdy wszystko słyszał. W ten sposób ojciec dbał, aby domownicy powstrzymywali się od mówienia czegokolwiek niestosownego, lecz prawda była taka, że ciotka Idelba najczęściej rozmawiała przez telefon o mikroskopijnej naturze materii i o matematyce wnętrza atomów, więc i tak nikt nie rozumiał, o czym tak naprawdę mówiła. Mimo to Budur lubiła jej słuchać, przypominały się jej wtedy bajki, które ciocia Idelba opowiadała jej w dzieciństwie, albo jej rozmowy kulinarne z matką, prowadzone najczęściej w kuchni. Gotowanie było jej kolejną pasją. Wertowała przepisy i receptury, dobierała odpowiednie przyrządy i naczynia, a wszystko wokół niej stawało się tak samo tajemnicze i ciekawe jak jej rozmowy przez telefon, jakby chciała zgotować całkiem nowy świat. Czasami po skończonej rozmowie na jej twarzy malował się niepokój, wtedy też beznamiętnie dawała przytulić się Budur i oznajmiała, że właśnie się stało: że ilmi, naukowcy i uczeni, zgotowali nowy świat, a przynajmniej byli na dobrej do tego drodze. Innym razem odłożyła słuchawkę oblana różowym rumieńcem i odtańczyła po podwórku swojego małego menueta, wyśpiewując jakieś dziwaczne sylaby i ludowe przyśpiewki praczek, “Bóg to potęga, potęga to Bóg, oczyść

Panie naszą odzież oczyść nasze dusze!".

Tym razem jednak skończyła rozmawiać, nawet nie spojrzała na Budur, wlepiła tylko wzrok w wycinek nieba, widoczny z dziedzińca.

- Co się stało, Idelbo? Znów masz globus? Globus to taki kobiecy termin na określenie lekkiej depresji, pojawiającej się bez widocznej przyczyny.

Idelba potrząsnęła głową.

- Nie nie, tym razem to mushkił - czyli konkretny problem.

- O co chodzi?

- No cóż, mówiąc prostymi słowami, naukowcy z laboratorium otrzymują bardzo dziwne wyniki i właściwie tylko do tego się to sprowadza. Nikt nie potrafi powiedzieć, co to tak naprawdę oznacza.

Rozmowy telefoniczne z laboratorium były jedynym kontaktem Idelby ze światem zewnętrznym. W Nsarze pracowała jako nauczycielka matematyki i badacz mikroskopijnej natury materii. Niestety, po przedwczesnej śmierci jej męża okazało się, że jego sprawy nie do końca były uregulowane, w wyniku czego pozostała bez środków do życia, a w ostatecznym rozrachunku wyszło na to, że ich wspólny dorobek, nad którym pracowali przez wiele lat, stał się jego dorobkiem, a ona nie miała już ani gdzie pracować, ani gdzie mieszkać. Tak przynajmniej wynikało z opowieści Yasminy, gdyż Idelba na ten temat nigdy się nie wypowiadała. Pewnego dnia po prostu zjawiła się z jedną walizką i zapłakana chciała pożalić się ojcu Budur, jej przyrodniemu bratu, który zgodził się ją przyjąć do siebie na jakiś czas. Nieco później Ojciec wyjaśnił, że właśnie po to

są haremy, aby chronić kobiety, które nie mają swego miejsca.

- Twoja matka i dziewczęta narzekają na ten system, lecz w rzeczywistości, jaką mają alternatywę? Wiesz, jak wielkie byłoby cierpienie porzuconych kobiet?

Słysząc to, matka i starsze kuzynki Budur prychały i burczały coś pod nosem, czerwieniąc się. Rema, Aisza i Fatima patrzyły na nie ze zdziwieniem, próbując zrozumieć, co powinny myśleć o tym, co w rzeczywistości było dla nich całkiem naturalnym stanem rzeczy. Ciotka Idelba nigdy się na ten temat nie wypowiadała, nie narzekała na swój los ani zań nie dziękowała. Starzy znajomi nadal do niej dzwonili, szczególnie jej siostrzeniec, który borykał się z konkretnym problemem i miał nadzieję, że właśnie ona będzie mogła mu pomóc. Dzwonił regularnie. Pewnego razu Idelba próbowała wyjaśnić Budur i jej siostrom naturę owego problemu i w tym celu posłużyła się dużą tablicą i kredą.

- Atomy posiadają powłoki, niczym sfery niebieskie, jakie widujemy na starych malowidłach, otaczają one serce atomu, które jest małe i ciężkie i zbudowane z trzech rodzajów cząstek, z których każda zawiera różną ilości substancji jin, jang oraz neutralnej. Cząstki te utrzymuje przy sobie ogromna siła, która jest potężna, lecz ma niewielki zasięg, innymi słowy, nie trzeba daleko odejść od serca, aby działająca siła drastycznie osłabia.

- To tak, jak w przypadku haremu - powiedziała Yasmina.

- Mniej więcej, lecz obawiam się, że bardziej przypomina to siłę grawitacji. Tak czy inaczej, pomiędzy wszystkimi cząstkami

występuje odpychanie ki, które jest równoważone przez siłę spajającą. Można powiedzieć, że obie siły rywalizują ze sobą i z innymi siłami. Niektóre ciężkie metale posiadają tak wiele cząstek, że część z nich uchodzi na zewnątrz, jedna po drugiej, owe pojedyncze, uchodzące cząstki, zostawiają po sobie charakterystyczne ślady w danych odstępach czasu. W laboratorium w Nsarze zaczęto ostatnio otrzymywać dziwne wyniki doświadczeń z jednym metalem ciężkim, elementem, który jest cięższy od złota, a w rzeczywistości jest to najcięższy z dotychczas odkrytych elementów, zwany alactinem. Bombardowali go cząstkami neutralnymi i otrzymali przedziwne wyniki na wszystkich powłokach, aż trudno to wyjaśnić, okazuje się, że serce tego elementu jest niestabilne.

- Zupełnie jak Yasmina.

- Mniej więcej, to znaczy, ciekawe, że tak mówisz, gdyż choć nie jest to całkowicie prawdą, to jednak pokazuje, w jaki sposób próbujemy wyobrażać sobie rzeczy, które są za małe, aby dostrzec je gołym okiem - zrobiła pauzę, spojrzała na tablicę i na swoich nierozumiejących słuchaczy, po czym jakaś silna emocja przemknęła jej przez twarz. -Tak... to jest następne zjawisko, które należałoby wyjaśnić, zostawmy je teraz. Potrzeba jeszcze wiele badań laboratoryjnych, zanim cokolwiek będzie jasne.

Następnie zaczęła kreślić coś w milczeniu na tablicy. Liczby, litery, chińskie ideogramy, równania, punkty i diagramy, z których powstało coś na wzór ilustracji z książki o Alchemiku z Samarkandy.

Po chwili zwolniła i wzruszyła ramionami.

- Będę musiała porozmawiać o tym z Pialim.

- A on czasem nie jest teraz w Nsarze? - zapytała Budur.

- Zgadza się - Budur już wiedziała, że to również było częścią mishkul - będziemy oczywiście rozmawiać przez telefon.

- Opowiedz nam o Nsarze - poprosiła Budur po raz tysięczny.

Idelba wzruszyła ramionami, nie była w nastroju do opowieści, właściwie to należałoby zacząć od tego, że nigdy nie była w dobrym nastroju. Długo zajęło jej przebijanie się przez grubą zasłonę żalu. Jej pierwszy mąż rozwiódł się z nią, kiedy zaczęła przekwitać, i zostawił ją bezdzietną. Drugi mąż umarł młodo. Musiała więc uporać się ze sporą dawką samotności. Mimo to Budur cierpliwie chodziła za ciotką po tarasie i po pokojach, wówczas Idelbie udawało się przezwyciężyć ból. Najwidoczniej pomagało jej w tym przechodzenie przez kolejne pomieszczenia, co współgrało z naturalnym podziałem naszego umysłu na osobne pokoje, zajmowane przez wszystkie miejsca na Ziemi, w których dotąd żyliśmy, z własnym niebem zamiast dachu, ze wzgórzami zamiast ścian i budynkami zamiast mebli - podobnie jest z ludzkimi wcieleniami, które przemieszczają się z jednego takiego pokoju do innego w ramach struktury wykraczającej poza umysł człowieka. Dawniej zajmowane pokoje nadal istnieją, a zarazem ich nie ma bądź opustoszały, więc w rzeczywistości człowiek może jedynie dobudować nowy pokój bądź pokoje albo zamknąć się w tym, w którym się znajduje, jak w więzieniu. Z kolei umysł człowieka...

Najpierw Idelba zaczęła opowiadać o tamtejszej pogodzie, o wzburzonym Atlantyku, o falach, które rozbijają się o brzeg, o

wietrze, chmurach, mgle i mroźnej mżawce, a nawet o śniegu. Deszcz przeplatał się tam ze słoneczną pogodą, w czasie której jasne plamy światła płynęły po ziemi jak kry po wodzie, złocąc nadmorski bulwar, ujście rzeki i porty wielkiego miasta, wypełniającego całą dolinę, po obu stronach rzeki i ciągnącego się w górę aż do Anjou. Mieszkańcy wszystkich państw Azji i Firanii ściągają właśnie tam, do miasta wysuniętego najdalej na zachód, gdzie spotykają kolejną falę ludzi, napływającą ze świata drogą morską. Byli tam przystojni Hodenosaunee, drżący o życie Inkowie, wygnani ze swojego imperium, odziani w barwne sarape i obwieszeni złotą biżuterią, która łyskała metalicznym poblaskiem w szare, zimowe popołudnia, zlane zimnym, sztormowym deszczem. Te egzotyczne szczegóły, jak mówiła Idelba, czyniły Nsarę miastem fascynującym, a do tego takie atrakcje, jak ambasady Chin i Trawankoru, które pracowały nad umocnieniem postanowień powojennych traktatów i stały tam jak pomniki wojennej klęski islamu - długie, kwadratowe budynki bez okien na końcu dzielnicy portowej. Kiedy Idelba opowiadała o Nsarze,

jej oczy lśniły, jej głos ożywiał się i prawie zawsze, jeśli tylko sama sobie nie przerywała w pół zdania, kończyła opowieść, wykrzykując Nsara! Nsara! O, Nssssarrrra! A potem najczęściej siadała, tam, gdzie stała, j zatapiała głowę w dłoniach, całkiem załamana. Budur była pewna, że Nsara to najpiękniejsze i najbardziej podniecające miasto na świecie.

Ludzie z Trawankoru już dawno założyli tam buddyjski klasztor i szkołę, jak zresztą robili w każdym mieście i wiosce na świecie,

takie przynajmniej miało się wrażenie, widząc najnowocześniejsze laboratoria i wydziały, stojące tuż obok starej medresy i meczetu, które funkcjonowały nieprzerwanie i w niezmienionej formie od lat dziewięćsetnych. Idelba mówiła, że duchowni z medresy wyglądali przy buddyjskich mnichach i nauczycielach na prowincjonalnych ignorantów, mimo iż ci drudzy zawsze odnosili się z uprzejmością do muzułmańskich praktyk, nie wywyższali się i byli pełni szacunku. Z czasem część sufickich nauczycieli i reformistycznych duchowych zbudowało swoje własne laboratoria i uczęszczało na wykłady do klasztornych szkół, aby przygotować się do badań nad prawami natury w swoich własnych placówkach.

- Dali nam czas na przeżucie, przełknięcie i strawienie gorzkiej pigułki przegranej - mówiła Idelba o buddystach. - Chińczycy postąpili bardzo sprytnie, trzymali się z dala i pozwalali Hindusom pełnić rolę swoich emisariuszy. Dzięki temu, nie było nam dane doświadczyć prawdziwej bezwzględności Chińczyków. Mamy teraz wrażenie, jakby cala ta historia skończyła się na przybyszach z Trawankoru.

Budur miała wrażenie, że Chińczycy nie byli aż tak twardzi, jak zapewne mogliby być. Nawet Ojciec przyznawał, że wyplata reparacji wojennych nadal była możliwa, a jeśli nie, to przecież dług zawsze można było anulować albo podzielić na raty. Jedynym widocznym śladem, jaki pozostawili po sobie zwycięzcy - z założenia narzucający swoją wolę przegranym - były, przynajmniej w Firanii, buddyjskie szkoły klasztorne i szpitale. Ciemną zaś stroną, swoistym cieniem zdobywców, było opium, które stawało się coraz bardziej powszechne we wszystkich fi-rańskich miastach.

Przeczytawszy dzienną prasę, ojciec stwierdził gniewnym tonem, że narkotyk musiał docierać do nich z Afganistanu i z Birmy, a przerzut na pewno kontrolowali Chińczycy. Nawet w Turi można było spotkać zbłąkane dusze z robotniczych dzielnic, ogłupione dziwnie pachnącym dymem. Ciotka Idelba mówiła, że w Nsarze, jak i w innych światowych miastach jej formatu, narkotyk był równie szeroko rozpowszechniony, mimo iż było to światowe miasto islamu, jedyna muzułmańska stolica, ocalała z czasów wojny. Inne, takie jak Konstantynopol, Kair, Moskwa, Teheran, Zanzibar, Damaszek czy Bagdad zostały zniszczone bombami zapalającymi i do dziś nie ukończono odbudowy wielu z nich.

Nsara jednak przetrwała. Teraz była miastem sufich, miastem naukowców, miastem Idelby. Przeprowadziła się tam po dzieciństwie spędzonym w Turi, na rodzinnej farmie w Alpach, gdzie po raz pierwszy poszła do szkoły, a język matematyki od razu przemówił do niej ze stron podręczników. Doskonale go rozumiała i bardzo szybko zaczęła się sprawnie posługiwać tym dziwnym językiem alchemii, którego gramatykę wykładali jej starsi naukowcy. Naśladowała swoich nauczycieli, coraz ciężej pracowała i coraz więcej się uczyła, aby już w wieku dwudziestu lat wnieść swój wkład w teoretyczne spekulacje odnośnie do mikroskopijnej materii.

- Młode umysły są najlepsze w matematyce - mówiła o sobie z perspektywy wieloletniego doświadczenia. Następnie trafiła do laboratorium w Nsarze, gdzie pomagała sławnemu Lisbiemu i jego zespołowi przy składaniu cyklotronu, wyszła za mąż i rozwiodła się, następnie, bardzo szybko i w dość tajemniczych jak dla Budur

okolicznościach, ponownie wyszła za mąż, co w Turi nie zdarzało się często. Później, ze swoim drugim mężem, znów dużo pracowała i była szczęśliwa, aż do jego niespodziewanej śmierci. Następnie zdarzył się kolejny tajemniczy zwrot, przeprowadziła się z powrotem do Turi.

Pewnego razu Budur zapytała ją.

- Nosiłaś tam czador?

- Czasami - odpowiedziała Idelba - wszystko zależało od sytuacji. Czador posiada specyficzną moc i w pewnych sytuacjach może być pomocny. Wszystkie tego typu symbole wskazują na konkretne rzeczy, to niczym zdania wypowiadane za pomocą formy materialnej. Obcym ludziom, na przykład, hidżab może nieść następujące przesłanie: jestem muzułmanką, solidaryzuję się z naszymi ludźmi i jestem przeciwko wam i przeciwko reszcie świata. Muzułmańskim mężczyznom natomiast mówi: w porządku, będę grała z wami w tę głupkowatą gierkę, spełnię ten wasz kaprys, lecz w zamian zrobicie wszystko, co wam rozkażę. Dla niektórych mężczyzn układ ten, ta swoista kapitulacja w obliczu miłości, pełni rolę uwolnienia się od szaleństwa, wiążącego się z byciem mężczyzną. Czador więc spełniał czasem rolę peleryny czarno-księżnika. - Widząc pełne nadziei spojrzenie Budur, natychmiast dodała - oczywiście może też być niewolniczą obrożą.

- A więc czasami nie nosiłaś go w ogóle?

- Najczęściej go nie nosiłam. W laboratorium wyglądałoby to głupio, zakładałam tam zwykłą laboratoryjną dżelabę, taką samą jak mężczyźni. Spotykaliśmy się w końcu, żeby badać budowę atomów,

żeby poznawać naturę, która jest najwyższą boskością i nie zważa na różnicę płci, w naszych badaniach przecież nie o płeć chodziło. Pracowałam z ludźmi twarzą w twarz, nasze dusze spotykały się na co dzień. “Lśniące oczy - zaczęła recytować jakiś stary wiersz - objawienie nadchodzi w każdej chwili i rozrywa grube brzuchy skał".

W ten oto sposób Idelba przeżyła swoją młodość. Teraz mieszkała w niewielkim, średnio zamożnym haremie swojego brata, który “chronił" ją w sposób wywołujący u niej coraz częstsze ataki globusu, przez co stała się osobą całkowicie nieprzewidywalną, zupełnie jak Yasmina, lecz zamiast gadulstwa zdradzała raczej tendencje do tajemniczości. Przebywając sam na sam z Budur, kiedy rozwieszały razem pranie na tarasie, patrzyła na wierzchołki drzew wystające ponad ścianami budynków. Mówiła:

- Ach, gdybym tylko mogła znów przechadzać się o świcie po opustoszałych ulicach miasta, skąpanego najpierw w błękicie a później w różach... obalić absurd, obalić świat, opierając się na jego własnych prawach. Wiem, że jest to staroświeckie, że jest to nie do przyjęcia.

Ciotka jednak z Turi nie uciekła, a Budur nie rozumiała do końca dlaczego. Mogła przecież pojechać tramwajem do podnóża wzgórz, wsiąść w pociąg, który zawiózłby ją prosto do Nsary, gdzie na pewno znalazłaby schronienie i godziwą pracę. Jeśli nie ona, to kto? Jakaż kobieta potrafiłaby się zdobyć na coś takiego? Z pewnością żadna, ciesząca się dobrą reputacją. Skoro Idelba nie potrafiłaby tego zrobić, to może nikt by nie potrafił? Budur tylko raz ośmieliła się zapytać ją o to. Ciotka wtedy potrząsnęła głową i

odparła szorstko:

- Jest wiele powodów. Nie mogę teraz o nich rozmawiać. Obecność Idelby w ich domu nie dawała Budur spokoju i codziennie przypominała jej o tym, że życie kobiety w każdej chwili może roztrzaskać się jak samolot, który runął z nieba. Im dłużej to wszystko trwało, tym bardziej Budur była zaniepokojona, a ponadto zauważyła, że Idelba również zdradzała narastający niepokój, że przechodziła z pokoju do pokoju, czytając coś i mówiąc do siebie, lub ślęczała nad papierami i wykonywała obliczenia na matematycznym kalkulatorze, w postaci gęstej sieć żyłek rozpiętych na drewnianej ramie z nanizanymi koralikami różnego koloru. Potrafiła też godzinami pisać na tablicy, piszcząc i szurając kredą, pękającą czasem z trzaskiem w jej palcach. Rozmawiała też przez stojący na dziedzińcu telefon, a jej głos raz brzmiał nerwowo, innym razem zdradzał zadowolenie, a kiedy indziej znów zwątpienie lub podekscytowanie. Rozmowa toczyła się wokół liczb i symboli, wartości tego i owego, siły i jej braku oraz sił drzemiących w mikroskopijnej materii, której nikt nigdy nie zobaczy. Kiedyś patrząc na swoje równania, Idelba powiedziała:

- Nie wiem, czy wiesz, Budur, ale we wszystkich rzeczach zamknięta jest ogromna energia. Trawankorski Chandala był największym myślicielem, jakiego kiedykolwiek wydał świat, można powiedzieć, że Długa Wojna była potworną katastrofą, choćby tylko dlatego, że on w niej zginął. Na szczęście pozostawił nam wielką spuściznę, weźmy pierwszy z brzegu pomysł, równoważność masy i energii. Spójrz, powiedzmy, że masa jest miarą pewnej wagi.

Mnożąc ją przez kwadrat prędkości światła, czyli pół miliona li na sekundę, otrzymujemy ogromne wartości nawet w przypadku odrobiny materii i obliczamy zamkniętą w niej energię ki. Kosmyk twoich włosów ma w sobie więcej energii niż lokomotywa.

- Nie ma się więc co dziwić, że tak trudno je rozczesać - powiedziała z zażenowaniem Budur, na co Idelba roześmiała się.

- Mimo to coś jest nie w porządku? - zapytała nieśmiało Budur. Idelba z początku nie odpowiedziała. Zamyśliła się. Przez dłuższą chwilę wszystko dookoła niej jakby przestało istnieć. Później wpatrywała się tylko w oczy Budur.

- Tylko wtedy coś jest nie w porządku, kiedy popełniamy błąd. Jak zawsze. W naturze wszystko jest w porządku.

Budur nie była tego taka pewna. To przecież natura stworzyła mężczyzn i kobiety, stworzyła ciało i krew, serce, menstruację i gorzkie uczucia... Czasami Budur miała wrażenie, że wszystko było nie w porządku, jak gdyby szczęście było okruchem suchego chleba, a jej serce wszystkimi, głodnymi łabędziami świata.

Taras na dachu był miejscem zakazanym dla kobiet. Tylko tam ktoś mógłby je obserwować z tarasów domów stojących wyżej na Wschodnim Wzgórzu Turi. Mężczyźni jednak prawie nigdy z niego nie korzystali, mimo iż był to idealny punkt widokowy, znajdujący się tuż ponad wierzchołkami parkowych drzew. Dalej, na południe od Jeziora Turi roztaczał się widok na Alpy. Kiedy mężczyzn nie było w domu, a Ahmet spał w swoim fotelu przy bramie głównej, ciotka Idelba i kuzynka Yasmina brały dwie drewniane żerdzie, których na co dzień używały do suszenia bielizny, wkładały je do garnca po

oliwie z oliwek i obwiązywały sznurem w regularnych odstępach, aby następnie użyć ich jako drabiny i wspiąć się po niej na dach. Ciotka trzymała żerdzie u góry, a dziewczęta pilnowały garnca na dole i po chwili już wszystkie były na dachu, w całkowitej ciemności, pod niebem pełnym gwiazd, gdzie wiatr smagał ich twarze. Musiały mówić szeptem, żeby Ahmet ich nie słyszał i żeby przypadkiem same się nie zapomniały i nie zaczęły krzyczeć w niebo, ile sił w płucach. Alpy jawiły się w blasku pełni jak makieta wycięta z kartonu, stojąca w tle sceny teatru lalek. Były idealnie pionowe i wyglądały dokładnie tak, jak powinny wyglądać góry. Yasmina wzięła ze sobą świece i pudry, aby odmówić zaklęcia, mające zawrócić w głowach jej absztyfikantom, jak gdyby nie mieli już wystarczająco namieszane. Yasmina miała nienasycony apetyt na mężczyzn, a ich brak w haremie tylko go u niej zaostrzał. Dym z jej trawankorskiego kadzidła wzbijał się spiralną smugą w nocne powietrze. Drzewo sandałowe, drzewo nagi, piżmo i szafran. Kiedy te egzotycznie zapachy wypełniły głowę Budur, świat wydał się jej całkiem inny, rozleglejszy, pełny tajemniczych znaczeń, w którym rzeczy nasycały się swoimi znaczeniami niczym wodą, do granic wytrzymałości napięcia powierzchniowego. Wszystko stało się swoim własnym symbolem. Księżyc był teraz symbolem księżyca, niebo symbolem nieba, a góry symbolem gór. Wszystko zaś tonęło w ciemnoniebieskim oceanie tęsknoty, będącym esencją tęsknoty, bolesną i piękną, i większą niż cały świat.

Podczas kolejnej pełni Idelba nie poprowadziła kolejnej ekspedycji na dach. Tamtego miesiąca spędziła wiele godzin na

rozmowach przez telefon i po każdej z nich była coraz bardziej przygnębiona. Nie opowiadała dziewczętom, o czym rozmawiała ani z kim, lecz z tonu jej głosu Budur wywnioskowała, że musiał to być jej siostrzeniec. Nie uzyskała jednak żadnego potwierdzenia swych domysłów.

Być może właśnie to sprawiło, że Budur stała się czujniejsza i wrażliwsza na wszelkie zmiany. Jednej nocy, w czasie pełni księżyca, prawie w ogóle nie spała. Budziła się co godzinę i wpatrywała się w długie cienie, tańczące na podłodze. Wyrywała się ze snów o niespokojnej gonitwie przez wąskie uliczki starego miasta, którędy uciekała przed czymś, czego do końca nie widziała. Tuż przed świtem obudził ja hałas docierający z tarasu. Wyjrzała przez okno i zobaczyła Idelbę, przenoszącą żerdzie do suszenia prania i gliniany garniec.

Budur wyślizgnęła się na korytarz, zeszła na dół i podeszła do okna w wykuszu, wychodzącego na frontowy dziedziniec. Idelba właśnie Kończyła wiązać drabinę, którą oparła o mur domostwa, tuż za rogiem domu, nieopodal głównej bramy zamykanej na noc przez Ahmeta, i wdrapała się na nią przy starym wiązie, który rósł po drugiej stronie, przy alejce odgradzającej ich domostwo od domu al-Dinów, pochodzących z Nashapuru.

Bez chwili wahania i bez jednej zbędnej myśli Budur pobiegła do pokoju i szybko się ubrała. Następnie zbiegła na dół, wyszła na dziedziniec, udała się za róg domu i wyjrzała ukradkiem, aby upewnić się, że Idelba przeszła na drugą stronę.

Ciotki nie było, Budur mogła ruszać bezprzeszkód.

Tym razem jednak zawahała się. Trudno byłoby opisać jej myśli w tym kluczowym momencie. Nie miała w głowie jednej, konkretnej. Teraz raczej ważyła całą swoją dotychczasową egzystencję: harem, humory matki, obojętność Ojca, prostą twarz Ahaba, który łaził za nią jak ogłupiały pies, płacz Yasminy i Turi, który balansował na dwóch wzgórzach, po obu stronach rzeki Limat oraz w jej głowie. Ponad tym wszystkim unosiła się ogromna i ciężka masa emocji, które kotłowały się i przelewały niczym chmury nad Alpami. To działo się w jej wnętrzu. Na zewnątrz miała wrażenie, że wpatrują się w nią setki oczu - może były to duchy towarzyszące jej w tym życiu, których nie musiała widzieć, żeby istniały, jak gwiazdy i księżyc. Zawsze tak jest w momencie zmiany, kiedy to wznosimy się ponad codzienność i odrzucamy ograniczające nas przyzwyczajenia, kiedy stajemy nadzy w obliczu własnej egzystencji, w obliczu sytuacji wyboru, niezgłębionej, mrocznej i wietrznej. W takich chwilach świat wydaje się ogromny, zbyt duży, aby dało się go ogarnąć, a jednocześnie widoczny dla wszystkich duchów - staje się centrum wszechświata.

Rzuciła się do przodu. Podbiegła do drabiny i wspięła się zwinnie do góry, dokładnie tak, jak robiła to piętro wyżej, kiedy wychodziły na dach. Gałęzie wiązu były na tyle grube i solidne, że dało się po nich zejść nieco niżej i zeskoczyć na ziemię z bezpiecznej wysokości. Twarde lądowanie ostatecznie ją obudziło, przekoziołkowała i stanęła na nogi, jakby było to w planie od samego początku.

Przebiegła na palcach przez ulicę i spojrzała w stronę przystanku

tramwajowego. Serce waliło jej jak młotem i choć było chłodno, pociła się z gorąca. Teraz mogła wsiąść do tramwaju albo pójść pieszo wąskimi uliczkami, które czasami były tak strome, że na ich poboczach budowano schody. Była pewna, że Idelba pojechała na dworzec kolejowy, jeśli by jednak się myliła, mogła zawsze przerwać pościg.

Była tak wczesna pora, że nawet w czadorze żadna kobieta z dobrego domu nie wsiadłaby sama do tramwaju. W rzeczy samej, było za wcześnie, aby szanująca się kobieta chodziła również sama po ulicy. Budur wbiegła więc po schodach na szczyt pierwszej górki i zaczęła schodzić w dół wijącej się drogi przez podwórza, park, alejki, wzdłuż klombów róż, przez aleje wysadzone japońskimi klonami i ciągle w dół, tą samą, dobrze znaną drogą, prowadzącą do starego miasta i do mostu nad rzeką, za którą stał dworzec kolejowy. Wbiegła na most i zatrzymała się. Spojrzała w górę rzeki na plamę nieba przeświturającego między starymi, kamiennymi budynkami. Dalej błękitny łuk rozpinał się ponad różową linią ledwo widocznych alpejskich szczytów i tonął w odległych wodach jeziora.

Kiedy na stacji zobaczyła Idelbę czytającą rozkład jazdy, w jednej chwili straciła całą pewność siebie. Kucnęła za latarnią uliczną i odczekała chwilę, po czym zerwała się na nogi, obiegła dookoła budynek dworca, weszła do środka od drugiej strony i również stanęła przed tablicą z rozkładem jazdy. Najbliższy pociąg do Nsary odjeżdżał z toru szesnastego, na drugim końcu stacji, punktualnie o piątej. Pozostało niewiele czasu, Budur sprawdziła godzinę na zegarze wiszącym nad rzędami pociągów, pod szerokim dachem

dworcowej hali. Pięć minut do odjazdu. Ruszyła zdecydowanym krokiem i wsiadła do ostatniego wagonu pociągu podstawionego do Nsary.

Pociąg szarpnął lekko i ruszył. Budur ruszyła w stronę czoła, przechodząc z wagonu do wagonu i trzymając się uchwytów na oparciach siedzeń. Jej serce biło coraz szybciej. Co powie Idelbie? A co jeśli ciotka nie wsiadła do tego pociągu, a Budur jedzie do Nsary sama, bez biletu i bez pieniędzy?

Idelba jednak była w pociągu, siedziała skulona i wpatrywała się w okno. Budur zebrała się w sobie, wpadła do przedziału i z płaczem przypadła do Idelby.

- Przepraszam ciociu! Nie wiedziałam, że jedziesz aż tak daleko. Szlam za tobą, żeby dotrzymać ci towarzystwa, masz pieniądze, żeby kupić mi bilet, prawda?

- Na Allaha! - Idelba była zszokowana, a po chwili wściekła, ale głównie na samą siebie, jak zdążyła ocenić Budur przez obficie lejące się łzy. Oczywiście ciotka nie odpuściła całkowicie i nie omieszkała wyładować się na Budur, mówiąc:

- Mam do załatwienia bardzo poważne sprawy, to nie są żadne dziewczęce igraszki! Co to będzie, co to będzie! Na następnej stacji odsyłam cię z powrotem pierwszym lepszym pociągiem!

Budur tylko potrząsała głową i pochlipywała. Pociąg zaskrzypiał przejeżdżając szybko po sieci zwrotnic. Jechali Przez wsie, tworzące monotonny krajobraz: wzgórza, domy, wzgórza,

domy, pastwiska i plamy lasów - panorama okolicy przewijała się z ogromną prędkością, od patrzenia w okno Budur robiło się

niedobrze, choć jeździła pociągami od dzieciństwa i nieraz z przyjemnością wychylała się przez okno w czasie jazdy.

Pod koniec długiego dnia pociąg wjechał na jałowe peryferia miasta, wyglądem zbliżonego do Downbrook, może nieco większego. Za oknem przez wiele li ciągnęły się rzędy bloków mieszkalnych, poprzetykane gęstymi skupiskami domów jednorodzinnych. Przejeżdżali nieopodal zatłoczonych bazarów, niewielkich meczetów i większych budynków o różnorakiej formie. Następnie wyłoniły się przed nimi naprawdę wielkie budowle, cała aglomeracja skupiona po obu stronach rzeki, poprzecinanej licznymi mostami, tuż przed jej ujściem do morza, które przebudowano w gigantyczny port, chroniony przez długie molo, wychodzące daleko w wodę i na tyle szerokie, że mieściła się na nim droga wraz ze straganami rozlokowanymi na poboczach.

Pociąg zawiózł je do samego centrum dzielnicy najwyższych budynków. Z ponurego dworca o przeszklonym, rozłożystym dachu wyszły na szeroką ulicę, obsadzoną po obu stronach drzewami. Dwa pasy jezdni oddzielała od siebie linia starych dębów, biegnąca prosto do centrum miasta. Znajdowały się zaledwie kilka przecznic od portu i molo, a w powietrzu unosił się zapach ryb.

Wzdłuż wysokiego brzegu rzeki biegła szeroka esplanada, osłonięta z jednej strony rzędem czerwonolistnych drzew. Idelba szła prędkim krokiem po nabrzeżu, które łudząco przypominało nabrzeże jeziora w Turi, z tym że było od niego znacznie większe. Następnie skręciła w wąską ulicę z trzypiętrowych budynków mieszkalnych. Na parterach i pierwszych piętrach mieściły się

restauracje i sklepy. Po trzech stopniach Idelba weszła do jednego z domów, przeszła przez korytarz i stanęła naprzeciw trojga drzwi. Zadzwoniła do środkowych, po czym drzwi się otworzyły i wpuszczono je do mieszkania, które wyglądało jak stary, zaniedbany i rozpadający się pałac.

2.

Jak się później okazało, nie był to pałac, lecz stare muzeum. Żaden pokój nie był tam jednak przestronny ani jakoś specjalnie ciekawy, za to było tych pokoi mnóstwo. W niektórych pomieszczeniach nie było sufitów, a w innych sufity były podwieszane. Gwałtowne przejścia pomiędzy barwami ścian i rodzajami boazerii czy lamperii świadczyły o tym, że większe pomieszczenia wielokrotnie dzielono na mniejsze. W większości pokojów nie było nic poza łóżkiem czy kołyską. Natomiast w ogromnej kuchni tłoczyło się mnóstwo kobiet gotujących posiłek lub czekających na możliwość zjedzenia go. Kobiety były w większości bardzo chude, w kuchni panował gwar i świst wiatraków w okapach nad piecem.

- Co to za miejsce? - zapytała Budur spod hidżabu.

- To jest zawija, swego rodzaju pensjonat dla kobiet - powiedziała Idelba, a następnie dodała z mdłym uśmieszkiem - taki antyharem.

Jak później wyjaśniła, w Maghrebie takie domy istniały od zawsze, a teraz można było je spotkać również w Firanii. Wojna pozostawiła po sobie mnóstwo samotnych kobiet, pomimo masowych mordów, trwających przez jej ostatnie dwie dekady, kiedy to zginęło więcej cywilów niż wojskowych, a odziały żeńskie

stały się powszechne na wszystkich frontach. Turi i Emiraty Alpejskie zatrzymały w domach o wiele więcej swoich mężczyzn, niż zrobiły to inne państwa, najczęściej zaprzęgano ich do pracy w zbrojowniach. Budur raz słyszała coś o problemie wyludnienia, ale, szczerze mówiąc, nigdy się z nim nie spotkała. Jeśli natomiast chodziło o zawije, Idelba mówiła, że technicznie rzecz biorąc, nadal były one nielegalne, jako że prawo, które zabraniało kobietom posiadania własności, nie zostało jak dotąd zmienione. Mimo to rejestrowano ich rocznie dziesiątki, a może nawet setki, posługując się męskim imieniem tytularnego właściciela lub wykorzystując inne kruczki prawne.

- Dlaczego nie zamieszkałaś w zawiji po śmierci swojego męża? - zapytała Budur.

Idelba zmarszczyła brew.

- Musiałam na jakiś czas zniknąć.

Przydzielono im pokój, w którym stały trzy łóżka, lecz mieszkały w nim tylko we dwie. Trzecie łóżko będzie służyło im za biurko i stół. W pokoju unosił się kurz, małe okienka wychodziły na równie ponure okna sąsiedniego budynku, a wszystkie zwrócone były w stronę kanałów wentylacyjnych, jak Idelba nazywała te najwęższe okoliczne uliczki. Budynki stawiano tu tak gęsto, że budowniczowie musieli zostawiać gdzieniegdzie wąskie przestrzenie między domami, aby ułatwić cyrkulację powietrza.

Żadna z nich jednak nie narzekała. Miały swoje łóżka, swoją kuchnię i towarzystwo innych kobiet, więc Budur była zadowolona. Idelba

nadal jednak wyglądała na zmartwioną, najprawdopodobniej czymś, co miało związek z jej siostrzeńcem, Pialim, oraz jego pracą. Kiedy siedziały w pokoju, Idelba wpatrywała się w Budur z niepokojem, którego nie potrafiła ukryć.

- Dobrze wiesz, że powinnam odesłać cię do ojca, mam już wystarczająco dużo kłopotów bez ciebie.

- Nigdzie nie pojadę.

Idelba spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Przepraszam, ale ile ty masz lat?

- Mam dwadzieścia trzy lata. - (Miała je skończyć dopiero za dwa miesiące).

Idelba była zaskoczona.

- Myślałam, że jesteś młodsza.

Budur oblała się rumieńcem i spuściła głowę. Idelba zmieniła ton.

- Przepraszam, to wszystko przez ten harem i dlatego, że nie ma już dla nas mężczyzn, których mogłybyśmy poślubić. Posłuchaj mnie, nie możesz tu siedzieć bezczynnie, musisz coś ze sobą zrobić.

- Chcę tu zostać.

- Nawet jeśli zostaniesz, musisz powiadomić Ojca, gdzie jesteś, i przekonać go, że cię nie porwałam.

- Wtedy sam się tu zjawi i zabierze mnie.

- Nie sądzę, aby chciał to zrobić. Tak czy inaczej musisz mu coś powiedzieć, zadzwoń do niego albo napisz list.

Budur bała się nawet rozmowy przez telefon ze swoim ojcem. Natomiast pomysł z listem zaintrygował ją. Mogła mu wszystko

wytłumaczyć, nie podając konkretnych informacji o miejscu swojego pobytu.

Usiadła na ziemi i zaczęła pisać:

Drogi Ojcze, szanowna Matko,

Udałam się w ślad za Idelba, bez jej wiedzy i zgody. Dotarłam do Nsary, gdzie chcę zamieszkać i uczyć się. Koran mówi, że wszystkie żywe istoty są równe w obliczu Allaha. Będę do was pisać regularnie, będę wiodła proste i uporządkowane życie, aby nie zhańbić dobrego imienia naszej rodziny. Aktualnie mieszkam w dobrej zawiji razem z Idelba, która dobrze o mnie dba. Poza tym w ten sposób żyje tu wiele młodych kobiet i zawsze są skore do pomocy. Będę studiować w medresie. Przekażcie proszę moje pozdrowienia dla Yasminy, Remy, Aishy, Nawah i Fatimy.

Wasza kochająca córka, Budur Z chwilą gdy wrzuciła list do skrzynki, przestała myśleć o Turi. Dzięki tym kilku zdaniom pozbyła się sporej części poczucia winy. Wraz z upływem kolejnych tygodni, kiedy to zajmowała się pracą biurową, sprzątaniem, gotowaniem, pomocą innym kobietom w zawiji oraz przygotowaniami do rozpoczęcia studiów na instytucie sąsiadującym z medresą, coraz wyraźniej docierało do niej, że nie otrzyma od Ojca listu z odpowiedzią. Matka była niepiśmienna, a jej kuzynkom pewnie zabraniano pisać, poza tym musiały się strasznie pogniewać na Budur za to, że je opuściła. Nie wysłano po nią również brata, który zapewne i tak nie chciałby się angażować w taką sprawę, nie zawiadomiono też policji, która mogłaby ją aresztować i odesłać do domu w zaplombowanym wagonie - na szczęście takie rzeczy

właściwie nigdy nie zdarzały się. W całej Firanii dosłownie tysiące kobiet uciekały z domów, wiele z nich dobrowolnie zwalniało swoje rodziny z obowiązku troszczenia się o nie. To, co w Turi wyglądało na odwieczny system prawa zwyczajowego, którego wszyscy przestrzegali, było w rzeczywistości niczym innym jak zbiorem przestarzałych nawyków chylącego się ku upadkowi segmentu odosobnionej społeczności, żyjącej w górach, podzielającej konserwatywne upodobania i z uporem godnym lepszej sprawy wynajdującym nowe, wszechmuzułmańskie “tradycje", nawet teraz, gdy społeczność ta znikała już z powierzchni ziemi jak poranna mgła lub, mówiąc dokładniej, jak dym nad polem bitwy. To, że już nigdy nie wróci do domu, stało się dla niej jasne jak słońce. Nikt nie mógł jej do niczego zmusić, a to, że nikt nawet nie próbował tego robić, było dla niej dodatkowym wstrząsem. Czasami wcale nie czuła, że uciekła z domu, najczęściej miała wrażenie, że została porzucona.

Każdego dnia, kiedy wychodziła z zawiji, uświadamiała sobie z całą mocą jeden zasadniczy fakt: nie mieszkała już w haremie. Mogła pójść dokąd tylko chciała i kiedy tylko chciała. Na samą myśl o tym kręciło jej się w głowie i czuła się dziwnie - wolna i osamotniona. Pewnego razu, kiedy dała się na dobre ponieść tej euforii, dostrzegła kątem oka mężczyznę wychodzącego z budynku dworca. Przez chwilę pomyślała, że był to jej ojciec, poczuła zadowolenie, a nawet ulgę. Kiedy jednak okazało się że to nie był on, jej dłonie trzęsły się do samego wieczora ze złości, wstydu i tęsknoty.

Podobne zdarzenia przytrafiły się jeszcze kilka razy. Budur zaczęła je traktować jak swego rodzaju spotkania z lustrzanym odbiciem ducha. Prześladowało ją dawne życie: jej ojciec, wujowie, brat, kuzynowie - wszyscy o twarzach obcych przechodniów, lecz wystarczająco podobni, żeby znów wtrącić ją w ten dziwny stan. Była przerażona, serce jej łomotało, mimo iż wszystkich tych mężczyzn naprawdę kochała. Tak bardzo by chciała, żeby byli z niej choć trochę dumni, żeby zależało im na niej choćby na tyle, aby po nią posłać. Lecz jeśli miałoby to oznaczać jej powrót do haremu, wolała już nigdy ich nie spotkać. Nigdy więcej nie podporządkuje się niczyim zasadom. Ostatnimi czasy nawet te codzienne, zdroworozsądkowe prawa, które obowiązywały praktycznie wszędzie, budziły w niej złość. Jak palący nerwoból przenikał ją niemy krzyk kategorycznego sprzeciwu: NIE! Islam oznaczał dosłownie poddanie się - a w jej wnętrzu brzmiało głośnie NIE! Utraciła zdolność do podporządkowania się. Kiedy policjantka pouczała ją o zakazie przechodzenia przez ruchliwą drogę portową w nieoznakowanym miejscu, Budur przeklinała ją. Na samą myśl o zasadach panujących w zawiji zaczynała zgrzytać zębami. Nie zostawiać po sobie brudnych naczyń w zlewie, prać bieliznę w każdy czwartek - NIE!

Cala złość bladła jednak w obliczu niepodważalnego faktu jej wolności. Wstawała o świcie, po raz kolejny uświadamiała sobie, gdzie się znajduje, i wyskakiwała z łóżka pełna radosnej energii. Przez godzinę z zapałem pracowała w zawiji, po czym mogła się odświeżyć i zjeść posiłek. Następnie brała się za dalszą część

wspólnych prac wokół domu, czyszczenie łazienek, zmywanie naczyń i za wszystkie inne rzeczy, które niegdyś wypełniali za nią służący. O ile przyjemniej było poświęcać tej pracy godzinę każdego dnia, niż skazywać na nią dożywotnio inne istoty ludzkie! Było to dla niej takie oczywiste, stało się niemal uniwersalnym modelem organizacji ludzkiej pracy oraz wszelkich relacji międzyludzkich!

Uporawszy się z obowiązkami domowymi, wychodziła na zewnątrz, odetchnąć świeżym, oceanicznym powietrzem, które działało na nią jak słone i zimne lekarstwo. Czasem miała ze sobą listę z zakupami, czasami torbę z książkami i przyborami do pisania. Gdziekolwiek się nie udawała, zawsze przechodziła obok portu, aby jeszcze raz spojrzeć na szeroki ocean. Wiatr smagał furkoczące chorągiewki, budził się kolejny, piękny dzień, a ona stała na końcu mola i nigdzie więcej nie musiała już iść ani nic więcej robić. Najprzyjemniejsze było to, że nikt oprócz niej nie wiedział, gdzie się znajdowała. Mój Boże! Co za uczucie! W porcie tłoczyły się statki. Nitka brązowej wody wpływała do oceanu z falą odpływu, a niebo rozwadniał przejrzysty lazur - w jednej chwili poczuła się kwitnąco, w jej piersi wzburzył się ocean białych chmur, zapłakała ze szczęścia. Och, Nsara! Nsaaaarrrrra!

Najczęściej jednak na jej liście porannych obowiązków znajdowała się wizyta w Białym Półksiężycu, w domu dla niepełnosprawnych weteranów wojennych, mieszczącym się w przebudowanych koszarach daleko w górę rzeki przepływającej przez tutejszy park. Był to jeden z tych obowiązków, które

podsunęła jej Idelba. Budur przekonała się, że odwiedziny te były jednocześnie straszne i podnoszące na duchu, że były dokładnie tym, czym nigdy nie były, choć zawsze powinny być piątkowe modlitwy w meczecie. Większą część baraków i szpitala zajmowały setki niewidomych żołnierzy, oślepionych przez gazy bojowe w czasie walk na wschodnim froncie. Każdego ranka zasiadali w milczeniu na łóżkach, krzesłach i wózkach, a ktoś z personelu, najczęściej któraś z kobiet, czytał im dzienną prasę, drukowaną czarnym tuszem na cienkich arkuszach papieru, oraz wiele innych tekstów. Czasem był to Koran, a kiedy indziej hadisy, choć te cieszyły się mniejszą popularnością. Wielu mężczyzn było nie tylko oślepionych, lecz również okaleczonych. Niektórzy nie mogli chodzić lub nawet poruszać się o własnych siłach, siedzieli więc w bezruchu, jeden z połową twarzy, inny bez nóg, lecz wszyscy w pełni świadomi swojego wyglądu, kiedy tak wlepiali swój nie-widzący, zgłodniały i zawstydzony wzrok w lektorkę, jak gdyby chcieli ją zabić i pożreć na miejscu, powodowani miłością lub zapiekłą urazą, a może obiema naraz. Nigdy wcześniej Budur nie widziała tak nagich ludzkich oblicz. Sama najczęściej starała się skupiać wzrok na tekście, który akurat czytała, jak gdyby przeczuwała, że kiedy choć na chwilę spojrzy na nich, oni od razu to wyczują i zaczną pomrukiwać i sykać z dezaprobatą. Kątem oka dostrzegała jednak swoją widownię rodem z koszmaru, jak gdyby jedna z piekielnych komnat wyłoniła się na powierzchnię ziemi i ukazała swoich mieszkańców, którzy oczekiwali na sąd, tak samo jak za życia oczekiwali na sąd i sądom podlegali. Pomimo

szczerych prób niespoglądania w ich stronę, Budur i tak za każdym razem dostrzegała, że któryś z mężczyzn płakał, bez względu na to, co akurat czytała, nawet jeśli były to relacje pogodowe z Firanii, Afryki, czy z Nowego Świata. Pogoda, w rzeczy samej, była ich najpopularniejszym słuchowiskiem.

W Białym Półksiężycu pracowały też inne lektorki, w większości kobiety o bladej cerze, lecz za to o prawdziwie pięknych głosach, niskich, czystych i melodyjnych. Kobiety te szły przez życie, śpiewając, i nawet o tym nie wiedziały (gdyby wiedziały, efekt nie byłby już ten sam). Kiedy czytały, mężczyźni siadali twarzami w ich stronę na swoich łóżkach

i w wózkach i trwali w bezruchu jak urzeczeni, jak zakochani w kobiecie, na którą pewnie nie chcieliby spojrzeć po raz drugi, gdyby choć raz ją ujrzeli. Budur zauważyła, że niektórzy słuchacze reagowali podobnie i na nią, choć w jej własnych uszach jej głos brzmiał zbyt wysoko i szorstko, mimo to miał swoich fanów. Czasem czytała im opowieści Szeherezady. Wtedy też zwracała się do nich, jakby to oni byli gniewnymi królami Szachrijarami, a ona przebiegłym gawędziarzem, któremu udaje się przeżyć kolejną noc. Pewnego dnia, wychodząc z tego przedsionka piekieł, omal się nie przewróciła, uświadomiwszy sobie, jak bardzo losy antycznej opowieści zostały odwrócone - Szeherezada odchodziła wolna, podczas gdy Szachrijarowie pozostawali na zawsze uwięzieni w swych kalekich ciałach.

3.

Spełniwszy ten obowiązek, szła przez bazar na zajęcia, których wybór zasugerowała ciotka Idelba. Sale instytutu medre-sy mieściły się w buddyjskim klasztorze i szpitalu. Z pieniędzy pożyczonych od Idelby Budur uiściła czesne i rozpoczęła trzy kursy: statystykę (która w rzeczywistości zaczynała się najprostszą arytmetyką), księgowość i historię islamu.

Ten ostatni kurs prowadziła kobieta o imieniu Kirana Fawwaz, niska Algierka o ciemnej karnacji i donośnym głosie mocno zmatowiałym przez papierosy. Wyglądała na czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Na pierwszym spotkaniu poinformowała swoich słuchaczy, że ma na swoim koncie służbę w kilku szpitalach polowych oraz w maghrebskich brygadach kobiet, w których służyła pod koniec Nakby (albo Katastrofy, jak często określano wojnę). W niczym nie przypominała jednak żołnierzy z domu Białego Półksiężyca, dla niej Nakba zakończyła się zwycięsko. Od razu na pierwszych zajęciach Kirana ogłosiła, że muzułmanie mogli wygrać wojnę, jeśli tylko nie doszłoby do zdrady.

- Kto nas zdradził? - zapytała swoim wronim skrzekiem, widząc jak pytanie to malowało się na twarzach jej studentów. - Powiem wam, kto nas zdradził: nasze duchowieństwo, a mówiąc dokładniej, nasi mężczyźni oraz oczywiście sam islam.

Cała sala wpatrywała się teraz w prowadzącą. Niektórzy słuchacze spuścili głowy, jakby spodziewali się, że Kirana zostanie z miejsca aresztowana lub co najmniej rażona gromem. Jeśli jednak tak by się nie stało, to z pewnością jeszcze tego samego

dnia zginie niespodziewanie pod kołami tramwaju.

W grupie było kilku mężczyzn. Jeden siedział tuż obok Budur. Miał skórzaną zaślepkę na jednym oku i podobnie jak pozostali nie odezwał się ani słowem. Wykład potoczył się dalej, jak gdyby wolno było swobodnie mówić takie rzeczy i nie ponosić za nie kary.

- Islam jest ostatnim z najstarszych pustynnych monoteizmów - mówiła Kirana. - Jest przez to w pewnym sensie przestarzały, to anomalia. Należy zwrócić uwagę, iż pojawił się i wzrastał dzięki monoteistycznym religiom pastoralnym Środkowego Zachodu, które pojawiły się na Ziemi kilka stuleci przed Mahometem: chrześcijaństwo, essenizm, judaizm, zoroastryzm, mitraizm i inne. Wyznania te cechowała silna struktura patriarchalna, która z czasem wyparła pierwotny politeizm matriarchalny, kultywowany przez pierwsze cywilizacje rolnicze, wyznające istnienie bogów w każdej roślinie uprawnej, a kobiety otaczające powszechną czcią za osiągnięcia w dziedzinie produkcji żywności i tworzenia nowego życia. Islam przyszedł na świat zbyt późno, przez co mógł być jedynie korekturą wcześniejszych religii monoteistycznych. Jednocześnie dana mu była szansa rozwinięcia się w najdoskonalszy monoteizm na świecie, co w wielu aspektach rzeczywiście udało się osiągnąć. Lecz dlatego, że wywodził się Arabii, kraju wyniszczonego wojnami między Imperium Rzymskim a państwami chrześcijańskimi, musiał odnaleźć się w sytuacji całkowitej anarchii, w stanie permanentnej wojny plemiennej, w której każdy walczył z każdym i w której kobiety zdane były na łaskę wojujących ze sobą stron. Z tak głębokich odmętów żadna nowa

religia nie miałaby szans wspiąć się wysoko. Mahomet był prorokiem, który pragnął czynić dobro, a jednocześnie nie pogrążyć się całkowicie w wojnie. Usłyszawszy boski głos, sam przegadał większość danego mu czasu, o czym zresztą donosi nam Koran.

Ta ostatnia wzmianka wywołała wśród słuchaczy falę niespokojnych pomruków. Kilka kobiet wstało i opuściło salę. Wszyscy mężczyźni pozostali jednak na swoich miejscach i siedzieli całkowicie oniemiali.

- Nie ma znaczenia, czy przemawiał do niego Bóg, czy też sam bełkotał, co mu ślina na język przyniosła. Początkowo liczyły się dobre efekty. Z czasem dokonał się olbrzymi postęp w dziedzinie praworządności, sprawiedliwości społecznej i praw kobiet oraz w ogólnym rozumieniu porządku na świecie i celu ludzkości w procesie historii. To właśnie z poczucia sprawiedliwości i boskiego celu wynikała ta wyjątkowa potęga islamu w pierwszych wiekach po hidżrze, kiedy to już zdążył się on rozprzestrzenić po całym świecie, choć nie oferował ani nie dysponował żadną przewagą materialną. Był jedną z niezwykle rzadkich w historii ludzkości, wyrazistą manifestacją potęgi idei. Później pojawili się kalifowie, sułtanowie, podziały, wojny i duchowni ze swoimi hadisami, które ostatecznie przerosły objętością Koran. W zasadniczo feministycznym dziele Mahometa zaczęto doszukiwać się licznych fragmentów mizoginicznych, które powyrywano z kontekstów i pozszywano razem w całun, nim zaś szczelnie owinięto Koran, jako zbyt radykalny do zrealizowania na tym świecie. Pokolenia patriarchalnego duchowieństwa wyprodukowały całą masę

hadisów, niemających nic wspólnego z autorytetem Koranu. W ten sposób próbowano również walczyć z tyranią. Sporządzano fałszywą dokumentację do hadisów, które mistrz osobiście przekazał swoim uczniom, jak gdyby kłamstwo przekazywane z pokolenia na pokolenie miało stać się jakimś cudem prawdą. Tak się jednak nie dzieje.

Islam, tak jak wcześniej chrześcijaństwo i judaizm, popadł w stagnację i zwyrodnienie, lecz z racji jego szybkiej ekspansji trudno było początkowo dostrzec ten upadek i tak naprawdę dopiero Nakba go unaoczniła. Przegraliśmy wojnę przede wszystkim dlatego, iż ośmieliliśmy się wypaczyć własną wiarę. Chiny, Trawankor i Yingzhou odniosły zwycięstwo tylko i wyłącznie dzięki temu, iż zagwarantowały prawa swoim kobietom. Islam przegrał z powodu braku tych praw, braku, który obrócił połowę społeczeństwa w nieproduktywne stado analfabetów i tym samym dołożył się do wielkiej przegranej. Wspaniały postęp techniczny i intelektualny zapoczątkowany przez muzułmańskich uczonych bardzo szybko się rozprzestrzeniał i już wkrótce jego osiągnięcia zostały przejęte i udoskonalone przez buddyjskich mnichów z Trawankoru i naukowców z diaspory japońskiej. Rewolucja przemysłowa ogarnęła Chiny oraz wolne państwa Nowego Świata, właściwie to cały świat, oprócz Dar al-Islam. Czy wiecie, że tak na dobrą sprawę to z wielbłądów przesiedliśmy się na pojazdy dopiero w polowie Długiej Wojny? W momencie gdy nasze drogi nie były szersze niż na dwa wielbłądy, a nasze miasta nadal przypominały kasby i medyny, ciasne, wąskie i zatłoczone jak bazar w dzień targowy, nie

sposób było myśleć o jakiejkolwiek modernizacji. Jedynie wojna mogła zrównać wszystko z ziemią, pozwalając nam odbudować nasze miasta w nowoczesnym stylu, i tylko nasze desperackie próby obrony przyniosły nam

postęp przemysłowy, którym można było się pochwalić, lecz wtedy niestety było już za późno.

Od chwili gdy Kirana Fawwaz rozpoczęła swój wykład, grono słuchaczy wyraźnie się przerzedziło. Po jej ostatnich słowach dwie kobiety wyszły z sali, krzycząc na odchodnym, że zamierzają zgłosić te bluźnierstwa duchowieństwu i policji. Kirana zrobiła pauzę i odpaliwszy papierosa, machnęła na nie ręką, po czym wróciła do wykładu.

- W następstwie Nakby - mówiła dalej spokojnym, nieugiętym i bezlitosnym tonem - musieliśmy wszystko rozważyć i przemyśleć od nowa, wszystko. Należało przebadać cały islam - od korzeni, przez gałęzie, a na liściach kończąc - aby uzdrowić go, o ile było to jeszcze możliwe, oraz umożliwić przetrwanie naszej cywilizacji. Pomimo tej palącej konieczności szerzyła się uwsteczniająca gadanina, a stary i zużyty hadis nadal władał magiczną niemal mocą uwalniającą dżinów z lamp. W takich państwach jak Afganistan, Sudan, a nawet przy granicach Fi-ranii i w Emiratach Alpejskich po dziś dzień panuje dyktat Hezbollahu, a kobiety zmusza się do noszenia czadoru, hidżabu i do życia w haremach. Mężczyźni sprawujący władzę w tych państwach, udają, że w Bagdadzie czy w Damaszku nadal jest rok trzysetny, a Harun al-Rashid stanie za chwilę w drzwiach i sprawi, że wszystko znów będzie

dobrze. Mogliby równie dobrze udawać, że są chrześcijanami i wierzyć, że na Ziemi znów wyrosną szpiczaste wieże katedr i kościołów, a Jezus przyfrunie do nich z nieba.

4.

Kirana nie przestawała mówić. Budur ujrzała w myślach niewidomych mężczyzn ze szpitala, wąskie ulice pomiędzy wysokimi murami w dzielnicach mieszkalnych Turi, swojego ojca, jak czytał matce, niebieską plamę oceanu, biały grobowiec w dżungli - zobaczyła cale swoje życie, a nawet więcej, rzeczy, o których nigdy wcześniej nie myślała. Siedziała teraz z otwartą buzią i czuła się jak odurzona. Bała się, a jednocześnie była radośnie upojona każdym z tych wstrząsających słów. Potwierdzały one wszystko, czego domyślała się w swoim marnym, niespokojnym i gniewnym dzieciństwie, kiedy tkwiła zamknięta w domu ojca jak w klatce. Przez całe dotychczasowe życie myślała, że coś było z nią nie tak, z nią, ze światem, a może z każdym po trochu.

Karana we wspaniałym stylu potwierdziła wszystkie podejrzenia Budur, a wtedy rzeczywistość otworzyła się przed nią jak zapadnia pod skazańcem. Chwyciła się kurczowo poręczy krzesła i utkwiła, wzrok w wykładowczyni. Była niczym gołąb zahipnotyzowany przez krążącego w powietrzu sokoła. Hipnotyzowała ją nie tylko gorzka analiza kolejnych porażek lecz przede wszystkim wyłaniający się z niej obraz historii -długiego i rozbudowanego ciągu wydarzeń, który doprowadził ją aż do tej chwili, aż do tu i teraz, w wychłostanym deszczem zachodnim mieście portowym. Była zahipnotyzowana stojącą przed nimi wyrocznią, która przemawiała ochrypłym,

rozgorączkowanym głosem czarnej wrony. Tak wiele się dotychczas wydarzyło, nakby i nahdy, raz za razem, czy po tym wszystkim można jeszcze coś powiedzieć? Trzeba mieć dużo odwagi, żeby w ogóle próbować o tym mówić.

Kiranie jednak odwagi nie brakowało, zrobiła krótką przerwę i rozejrzała się po na wpół opustoszałej sali.

- No cóż - powiedziała radosnym głosem, odwzajemniając lekkim uśmiechem pełne zdumienia spojrzenie Budur. Oczy dziewczyny były duże i okrągłe niczym oczy ryb sprzedawanych na czwartkowym targu. - Wygoniliśmy wszystkich, których trzeba było wygonić. Pozostali ci o walecznych sercach, gotowi wkroczyć w ciemną krainę naszej przeszłości.

O walecznych sercach czy raczej niepełnosprawnych, pomyślała Budur, rozglądając się dokoła. Stary, jednoręki żołnierz wpatrywał się przed siebie niewzruszenie. Jednooki mężczyzna nadal siedział obok niej. Kilka kobiet w różnym wieku rozglądało się nerwowo, wiercąc się na swoich miejscach. Niektóre wyglądały jak zwykłe ulicznice, jedna nawet się uśmiechała. Nie tak to sobie Budur wyobrażała, kiedy Idelba opowiadała jej o nsareńskiej medresie i instytutach nauk wyższych. Miała przed sobą szczątki Dar al-Islam, godne pożałowania, zwycięskie ofiary Nakby, zimowe łabędzie, kobiety, które straciły swoich mężów, narzeczone, ojcowie, bracia, osierocone dziewczęta, którym nigdy dotąd nie było dane spotkać mężczyzny, również sami weterani, a wśród nich oślepiony żołnierz podobny do tych, którym Budur czytała w Białym Półksiężycu, przyprowadzony tu przez własną siostrę, dalej mężczyzna bez ręki,

a tuż obok niej człowiek bez oka. Na sali były też matka z córką, pochodzące z ludu Hodenosaunee, niezwykle pewne siebie i poważne, a jednocześnie odprężone i zaciekawione, niemające jednak nic do stracenia, za nimi mieszkaniec wybrzeża z chorym kręgosłupem, który prawdopodobnie zjawił się tam tylko po to, by schronić się przed deszczem na jakieś sześć godzin w tygodniu. Oto ci, którzy wytrwali,

zagubione miejskie dusze, szukające zajęcia, nie wiedząc, czego tak naprawdę potrzebują. A może teraz wystarczyło tylko siedzieć i słuchać ostrego wykładu Kirany Fawwaz?

- Powiem wam, co chcę zrobić - zwróciła się nagle do swoich słuchaczy. - Chcę przebić się przez wszystkie opowieści i historie, które stworzyliśmy ze strachu przed rzeczywistością Nakby. Pragnę sięgnąć przyczyny i zrozumieć znaczenie tego, co się stało. Ten kurs to wprowadzenie do historii, coś jak u Khalduna, z tym że tu będziemy dysku tować. Z czasem będę podawała wam tematy różnych projektów badawczych, a teraz chodźmy się czegoś napić.

Wyprowadziła ich na zewnątrz, w długi, północny wieczór i poprowadziła na tyły doków, do kafejki, w której spotkali jej dawnych znajomych, posilających się, palących papierosy i nargillę z wysokich publicznych fajek, popijających smolistą kawę z maleńkich filiżanek i rozmawiających przez cały, długi wieczór i do późnej nocy. Za oknami stały puste i ciche doki, na czarnej powierzchni wody połyskiwały refleksy portowych świateł. Jak się później okazało, mężczyzna z zaślepką na oku był przyjacielem Kirany, miał na imię Hasan. Przedstawił się Budur i zaoferował jej

wolne miejsce na ławie obok siebie, w grupie jego znajomych, wśród których byli również aktorzy i śpiewacy z instytutu i teatrów miejskich.

- Oto, że ośmielę się tak powiedzieć, moja koleżanka ze studiów - zwrócił się do wszystkich - którą najwyraźniej poruszył wstępny wykład naszej pani profesor.

Budur skinęła z zawstydzeniem głową, podczas gdy oni uśmiechali się radośnie w jej stronę. Zapytała, czy może zamówić kawę.

Rozmowy przy brudnych, marmurowych blatach stołów toczyły się wokół najróżniejszych tematów, jak zwykle w tego typu miejscach na całej Ziemi, nawet w jej rodzinnym Turi: doniesienia prasowe, rozprawy o wojnie, plotki o miejskich urzędnikach. Kirana rozpierała się wygodnie w fotelu i słuchała, innym razem znów mówiła, jak gdyby nadal trwał jej wykład.

- Iran jest solą historii, zawsze był miażdżony.

- Jedna sól jest lepsza, inna gorsza...

- ...według nich wszystkie wielkie cywilizacje muszą w końcu zostać zmiażdżone.

- To samo mówił al-Katan, sądzę jednak, że to nie jest takie proste.

- Należy uprościć historię - powiedział jednoręki żołnierz, który, Jak się później dowiedziała Budur, miał na imię Naser Szach. Jego ak-

- cent, kiedy mówił po firańsku, wyraźnie świadczył o irańskim pochodzeniu. - Cały wic polega na tym, aby dotrzeć do przyczyn

wydarzeń, wyciągnąć sens z całej historii.

- A co, jeśli go tam nie ma? - zapytała Kirana.

- Musi być - odpowiedział spokojnie Naser. - Każdy człowiek, który kiedykolwiek żył na świecie, dołożył się do jego ogólnej historii. Jest to jedna opowieść. Da się w niej wyróżnić pewne schematy. Na przykład teoria zderzeń Ibrahima al-Lanzhou. Bez wątpienia znów chodzi mu o pewne aspekty jin i jang, lecz z drugiej strony całkiem jasno tłumaczy, że większość z tego, co na co dzień nazywamy postępem, pochodzi ze zderzenia kultur i cywilizacji.

- Postęp przez zderzenia, co to miałby być za postęp? Widziałeś, co zostało z tych dwóch tramwajów, które kilka dni temu zderzyły się czołowo?

- Ibrahim al-Lanzhou mówi o trzech rdzennych cywilizacjach zajmujących swoje naturalne terytoria: o monoteistycznym Islamie, polite-istycznych Indiach i Chinach niewierzących w żadnego Boga - dodała Kirana.

- To dlatego właśnie Chińczycy zwyciężyli - powiedział Hasan z szelmowskim błyskiem w swoim jedynym oku. - Ostatecznie okazało się, że jednak mieli rację. Świat powstał ze zgęstniałego pyłu kosmicznego, pojawiły się żywe organizmy, które ewoluowały, aż w końcu jedne małpy zaczęły wydawać z siebie więcej dźwięków niż inne i w ten sposób wystartowaliśmy, bez udziału Boga, bez sil nadprzyrodzonych, bez żadnych dusz reinkarnujących raz za razem. Na coś takiego stać było tylko Chińczyków. To oni stworzyli podwaliny nauki, nie szanując żadnego autorytetu, oprócz swoich

własnych przodków, i pracując zawsze dla dobra swoich potomków. W ten oto sposób zdobyli władzę nad nami wszystkimi!

- Po prostu jest ich więcej i tyle - powiedziała jedna z podejrzanie wyglądających kobiet.

- Lecz za to potrafią wyżywić większą liczbę ludzi skupionych na bardzo małym obszarze i chociażby to świadczy, iż mają rację!

- Sita każdej kultury może być jej największą słabością. Doświadczyliśmy tego w ostatniej wojnie. Przez swoją areligijność Chiny stały się potwornie okrutne.

Wkrótce w kawiarni pojawiły się kobiety Hodenosaunee, które wcześniej uczestniczyły w wykładzie. Okazało się, że one również były znajomymi Kirany. Ta przywitała je, mówiąc:

- Oto i nasze zwyciężczynie, z kultury, w której kobiety mają władzę. A swoją drogą, ciekawe, czy dałoby się ocenić cywilizacje pod względem osiągnięć ich kobiet.

- Bez kobiet nie byłoby cywilizacji - obwieściła najstarsza wśród nich, która jak dotąd tylko siedziała i robiła na drutach. Miała co najmniej osiemdziesiąt lat, co oznaczało, że przeżyła całą wojnę, ciągnącą się od jej dzieciństwa aż do późnej starości - żadna cywilizacja nie istnieje bez rodzin, które kobiety budują od wewnątrz.

- W takim razie, powiedzcie mi w którym państwie kobiety mają największy udział we władzy politycznej? I jak mężczyźni zapatrują się na pomysł posiadania przez kobiety takiej władzy?

- Chyba w Chinach?

- Nie, raczej wśród Hodenosaunee.

- A nie w Trawankorze?

Nikt nie ośmielił się tego rozstrzygnąć.

- Należy to zbadać! - powiedziała Kirana. - To będzie temat jedne go z projektów, historia kobiet w różnych kulturach świata, ich działanie na arenie politycznej, ich losy. To, że jak dotychczas w historii brakuje takiego opracowania, oznacza, że nadal żyjemy w schyłkowej erze patriarchatu i nigdzie tego tak wyraźnie nie widać, jak w islamie.

5.

Budur oczywiście opowiedziała Idelbie wszystko o wykładzie Kirany oraz o spotkaniu w kafejce po zajęciach. Mówiła z wielkim podekscytowaniem, kiedy razem zmywały naczynia i prały prześcieradła. Idelba kiwała głową, zadawała pytania i wyglądała na zainteresowaną. W końcu jednak powiedziała:

- Mam nadzieję, że tak samo będziesz się przykładać do zajęć ze statystyki. Rozmowy o historii mogą ciągnąć się w nieskończoność, lecz tylko liczby zaprowadzą cię daleko poza słowa.

- Co masz przez to na myśli?

- To, że świat można opisać za pomocą liczb, praw fizycznych i matematycznych wzorów. Jeśli dobrze się je pozna, można zyskać o wiele szersze spojrzenie na istotę rzeczy, a do tego zdobyć doświadczenie, które na pewno przyda się w pracy. Byłabym zapomniała, myślę, że mogę załatwić ci pracę przy zmywaniu naczyń laboratoryjnych. To będzie

- dla ciebie doskonałe zajęcie, zarobisz trochę pieniędzy i nabierzesz nowych umiejętności. Nie daj się wciągnąć w wir

kawiarnianych rozmów.

- Ależ ciociu, rozmowy też są dobre. Uczą mnie tak wielu rzeczy, nie tylko historii, ale również jej znaczenia. Rozmowa rozwiewa wiele wątpliwości. Pamiętasz przecież, jak było w haremie?

- Zgadza się! W haremie możesz mówić, co ci się rzewnie podoba, ale tylko w instytucie możesz uprawiać naukę. Skoro już zadałaś sobie trud, żeby tu dotrzeć, dobrze byłoby wykorzystać tę okazję i czerpać z niej, ile się da.

Słowa te zastanowiły Budur, tak że nie mówiła nic przez dłuższą chwilę. Idelba widziała, jak dziewczyna zastanawia się, więc po chwili sama się odezwała:

- Nawet jeśli chciałabyś studiować historię, co jest całkowicie zrozumiałe, istnieje pewien sposób jej uprawiania, który wykracza poza kawiarniane dysputy, który skupia się na badaniu artefaktów i miejsc z przeszłości oraz dowodzi tego, o czym zaświadczają fizyczne dowody, dokładnie tak, jak w innych naukach empirycznych. W Firanii nie brakuje starożytnych miejsc, które dopiero teraz po raz pierwszy badane są w sposób naukowy, to dopiero musi być fascynujące. Podejrzewam, że zbadanie wszystkich takich miejsc może zająć wiele dekad, a może nawet i stuleci.

Wyprostowała się i spoglądając na Budur, rozcierała sobie lędźwie.

- Chodź ze mną w piątek na piknik. Wezmę cię na wybrzeże i zobaczysz menhiry.

- Menhiry? Co to takiego?

- Zobaczysz w piątek.

Kiedy nadszedł piątek, udały się podróż. Wsiadły razem w tramwaj, którym dojechały aż na końcową stację, daleko na północnym wybrzeżu, następnie przesiadły się na autobus i jechały przez mniej więcej pół godziny, oglądając z okna sady jabłoniowe i wyłaniający się co jakiś czas ocean. Na jednym z kolejnych przestanków Idelba zarządziła wysiadkę, po czym udały się piechotą na zachód. Zostawiły za sobą niewielką wioskę i weszły do lasu ogromnych głazów, poustawianych w długie rzędy na porośniętej trawą, lekko opadającej równinie, z której tu i ówdzie wyrastały stare dęby, tworząc niesamowity widok.

- Kto je tu poustawiał? Frankowie?

- Raczej ktoś przed nimi, a może nawet jeszcze przed Celtami. Nikt tego nie wie na pewno. Jak dotąd nie odnaleziono osad mieszkalnych twórców tego miejsca, a poza tym bardzo trudno ocenić, w którym wieku te głazy ociosano i postawiono na sztorc.

- Przecież ustawienie tak dużej ich liczby musiało zająć całe wieki!

- To zależało od liczby ludzi zaprzęgniętych do pracy. Może budowniczych było tylu, ilu dziś jest naukowców, kto wie? Osobiście jednak nie sądzę, aby tak było, ponieważ w okolicy nie odnaleziono ruin żadnego większego miasta, jak w Egipcie czy na Środkowym Zachodzie. To musiała być jakaś mniejsza populacja, a sama budowa z pewnością trwała długo i kosztowała wszystkich sporo wysiłku.

- W jaki sposób historyk miałby pracować z czymś takim? -

zapytała Budur, kiedy szły aleją pomiędzy rzędami głazów, przyglądając się czarnym i żółtym wzorom porostów na ich chropawej powierzchni. Większość z głazów była dwa razy większa od Budur.

- W tym przypadku bada się konkretne rzeczy, a nie opowieści. To coś innego niż historia, bardziej przypomina naukową ekspertyzę warunków materialnych, w których żyły wczesne społeczności, oraz wytwarzanych przez nie przedmiotów. Archeologia to nauka, która pojawiła się w początkowej fazie rozkwitu islamu, głównie w Syrii i Iraku. Później zapomniano o niej na wiele łat, aż do rozpoczęcia się nahdy, czyli swoistego renesansu, odrodzenia się wysokiej kultury islamskiej w takich miastach jak Teheran czy Kair pod koniec pierwszego ćwierćwiecza, przed nadejściem Długiej Wojny, która ostatecznie obróciła wszystko w ruinę. Nasza dzisiejsza wiedza z zakresu fizyki i geologii umożliwia coraz nowsze metody przeprowadzania badań. Na wykopaliskach i przy rekonstrukcjach prace trwają nieustannie, odkrywane są coraz ciekawsze rzeczy, a wielu ludzi rozpoczyna poszukiwania na własną rękę. Wszystko rozwija się bardzo obiecująco. Ta gałąź nauki dopiero co się rozwija i chyba przez to jest tak fascynująca. Do tego Firania okazuje się być najlepszym miejscem do jej praktykowania, to przecież starożytna kraina.

Wskazała dłonią na rzędy stojących głazów, przypominających szkółkę zasadzoną ręką kamiennego bóstwa, które nigdy nie zjawiło się z powrotem, żeby zebrać plon. Nad ich głowami płynęły chmury, błękitne niebo zdawało się był płaskie i nisko zawieszone.

- Oczywiście chodzi nie tylko o to czy o kamienne kręgi w Brytanii, lecz również o kamienne grobowce, pomniki, a nawet całe wsie. Będę musiała cię kiedyś zabrać na Orkady, sama się tam wkrótce wybiorę, więc możemy jechać razem. Pomyśl o tym, może chciałabyś studiować coś takiego w ramach uziemienia się po madame Fawwaz i jej baśniach tysiąca i jednej nocy.

Budur przeciągnęła dłonią po powierzchni ciosanego kamienia, pokrytej cienką warstwą różnobarwnych porostów. Chmury przyśpieszyły.

- Dobrze, ciociu. Zastanowię się.

6.

Jej czas wypełniały zajęcia, praca w laboratorium, spacery po porcie i molo, sen o nowej syntezie i o islamie, który mieścił w sobie to, co najważniejsze w buddyzmie, wyznawanym przez większość naukowców w jej otoczeniu. Zauważyła, że prawie wszystkie kobiety pracujące w laboratorium Idelby były mniszkami, a wielu mężczyzn mnichami. Najważniejsze było współczucie, dobre uczynki czy agape, jak nazywali ją starożytni Grecy - duchy tych miejsc, ludzie, którzy w swoim utraconym raju przerobili już każdą historię, nawet tę o raju utraconym, w postaci platońskich opowieści o Atlantydzie, które według najnowszych badań archeologicznych, prowadzonych na Krecie, okazują się prawdziwe.

Budur zaczęła pojawiać się na zajęciach z nowego przedmiotu, z archeologii, historii, która wykraczała poza czcze gadanie i która pretendowała do miana prawdziwej nauki, jaką zajmowała się

dziwna mieszanka ludzi. Byli tam geolodzy, architekci, fizycy, uczeni w Koranie i historycy, a każdy z nich badał nie tylko opowieści, lecz również pozostałe po nich artefakty.

Tymczasem rozmowy toczyły się dalej, zarówno na zajęciach u Kirany jak i wieczorami w kawiarniach. Pewnej nocy w jednej z kafejek Budur zapytała Kiranę, co sądzi o archeologii, na co kobieta odpowiedziała:

- O tak, archeologia jest bardzo ważna, choć, jakby na to nie spojrzeć, cóż mogą nam powiedzieć stojące głazy! Ostatnio słyszałam, że gdzieś na południu odkryli jaskinie z bardzo starymi malowidłami na-ściennymi, które są ponoć jeszcze starsze od Greków. Zapisałam sobie gdzieś nazwiska ludzi, którzy zajmują się tym w Awinionie, mogę ci je podać.

- Dzięki.

Kirana popijała kawę i przez chwilę słuchała toczących się rozmów. Później w panującym gwarze zwróciła się do Budur.

- Sądzę, że to, co najciekawsze, oprócz oczywiście teorii, o których rozprawiamy, nigdy nie zostało spisane. Przede wszystkim chodzi o kobiety, jako że większość z naszych dokonań nigdy nie doczekało się uwiecznienia, proste rzeczy z życia codziennego, wychowywanie dzieci, karmienie rodziny, utrzymywanie domowego ogniska - wszystko to jest

przecież kulturą, przekazywaną ustnie z pokolenia na pokolenie. Kang Tongbi nazwała ją kulturą maciczną. Musisz kiedyś przeczytać jej prace. W każdym razie, w kulturach macicznych nie ma czegoś takiego jak dynastie, wojny czy odkrycia i podboje

nowych lądów, dlatego też historycy nigdy nie poświęcali czasu na ich opis i zbadanie - w jaki sposób są przekazywane, jak ewoluują w czasie wraz ze zmieniającymi się warunkami materialnymi i społecznymi.

- W haremie za to jest to na porządku dziennym - powiedziała Budur, czując się z lekka onieśmielona sytuacją, w której, na zatłoczonej lawie siedziały tak blisko siebie, że aż stykały się kolanami. Kuzynka Yasmina prowadziła niegdyś wśród dziewcząt tajne kursy całowania i inne przydatne sesje, tak więc Budur doskonale zdawała sobie sprawę, co mogło oznaczać kolano Kirany, napierające na jej udo. Zdecydowała się jednak nie zwracać na to uwagi i mówiła dalej.

- Rzeczywiście przypomina to baśnie Szeherezady. Snucie historii, aby przetrwać. Myślę, że tak właśnie wygląda historia kobiet, jak przekazywane sobie nawzajem opowieści. Każdego dnia proces ten zaczyna się od nowa.

- Zgadza się. Szeherezada to dobra bajka, ucząca nas radzić sobie z mężczyznami. Sądzę jednak, że istnieją o wiele lepsze metody przekazywania historii przez kobiety, innym, na przykład młodszym, kobietom. Grecy mieli własną, fascynującą mitologię, w której pełno było bogiń, urzeczywistniających wszelkie modele relacji między kobietami. Demeter, Persefona... Mieli też swoją poetkę tylko od tych rzeczy, Safonę. Nie słyszałaś o niej? Podam ci później kilka tytułów.

7.

W ten sposób zaczęły się ich liczne, osobiste rozmowy przy

kawie, trwające do późnej nocy w wychłostanych deszczem kafejkach portowych. Kirana pożyczyła Budur mnóstwo literatury na przeróżne tematy, lecz przede wszystkim o historii Firanii; o tym, jak Złota Orda przeżyła zarazę, która uśmierciła chrześcijan, o niesłabnących wpływach koczowniczych struktur Złotej Ordy na terenach potomków kultur państw Skandistanu, o napływie Maghrebczyków do Al-Andalus, Nsary i wysp Celtów, o strefie wzajemnej rywalizacji pomiędzy tymi dwoma nurtami napływającej ludności, która wytworzyła się wzdłuż linii doliny Renu. Inne woluminy opisywały pochody Turków i Arabów przez Bałkany, które dodatkowo zaogniały sytuację w emiratach firańskich, niewielkich państwach Taify, które od wieków walczyły między sobą w zależności od panujących władz: sunnici, szyici, sufiowie, wahabici, Turcy, Tatarzy czy Maghrebczycy, wszyscy desperacko walczyli o dominację lub o przetrwanie, tworzący przy tym porządek, w jakim kobiety były najczęściej poszkodowane. Wyjątkiem był Daleki Zachód. Tylko tam, na długo przed wybuchem Wielkiej Wojny prężnie rozwijała się kultura. Według Kirany, Nsara zawdzięcza swą charakterystyczną postępowość nie tylko oceanowi, który służył jako kanał komunikacyjny pomiędzy odległymi kulturami, lecz również swojej własnej historii, gdyż od samego początku była azylem dla środowisk skrajnych i heterodoksyjnych, miastem założonym przez legendarną uchodźczynię, sułtankę Katimę.

Budur zaniosła książki do siebie. Niektóre z nich próbowała czytać swoim niewidomym żołnierzom. Raz przeczytała im o Wspaniałej Rewolucji Ramadanowej, w której kirgiskie i tureckie

kobiety przejęły kontrolę nad elektrowniami na północ od Samarkandy, a następnie wprowadziły się do ruin tego sławetnego miasta, opustoszałego od ponad wieku z powodu serii potężnych trzęsień ziemi. Tam założyły nową republikę, w której święte prawo Ramadanu obowiązywało przez okrągły rok, a codzienne życie mieszkańców było nieprzerwanym aktem oddania bożej łasce, wszyscy ludzie byli równi wobec siebie, mężczyźni i kobiety, dorośli i dzieci. W ten sposób miasto odzyskało sławę, jaką cieszyło się w dziesiątym wieku, utrzymując jednocześnie wysoki poziom kultury i poszanowania dla prawa. Ludziom żyło się dobrze, dopóki szach nie wysłał swoich armii z Iranu na wschód i nie zmiażdżył ich pod zarzutem herezji.

Weterani słuchali i kiwali głowami. Tak to właśnie jest, zdawały się mówić ich nieme twarze. Dobro zawsze jest niszczone. Ci, których wzrok sięga najdalej, zostają oślepieni. Widząc, jak łapczywie spijają z jej ust każde słowo, niczym głodne psy patrzące na ludzi, posilających się przy stolikach wystawionych przed restauracjami, Budur przynosiła im kolejne pożyczone książki: *Księgę Królów* Firdausiego, pokaźnych rozmiarów poemat epicki, opisujący Iran przed erą islamu. Jego lektura cieszyła się sporą popularnością, podobnie jak suficcy poeci, Hafiz i oczywiście Rumi i Chajjam. Budur lubiła im też czytać ze swojego egzemplarza *Mukadimah* Khalduna, w którym strony były gęsto pokryte jej odręcznymi notatkami.

- Khaldun uczy nas tak wiele - mówiła do swoich słuchaczy. - Wszystko, czego dowiaduję się w instytucie, już wcześniej

znalazłam w jego dziełach. Jeden z moich wykładowców wyznaje teorię głoszącą, iż wszystko na świecie jest kwestią interakcji trzech czy czterech głównych cywilizacji, z których każda jest państwem rdzennym, otoczonym przez pewną liczbę państw peryferyjnych. Posłuchajcie, co mówi na ten temat Khaldun, w części zatytułowanej *Każda dynastia dysponuje daną i nieprzekraczalną ilością ziem i prowincji.* - Zaczęła czytać: - “Kiedy dane państwo dynastyczne zajmuje tereny swego pogranicza, jego liczebność staje się niewystarczająca. Jest to moment, w którym ekspansja terytorialna dynastii osiąga punkt kulminacyjny, w postaci zajęcia pasa ziemi dookoła ziem centralnych. Jeżeli dynastia przedsięweźmie dalszy podbój, wówczas jej poszerzające się terytorium pozostanie bez obrony militarnej, otwarte na atak wroga lub państwa sąsiedniego. W ostatecznym rozrachunku ma to niszczący wpływ na dynastię".

Budur podniosła wzrok.

- To bardzo zwięzły opis teorii rdzenno-peryferyjnej. Khaldun wskazuje również na brak muzułmańskiego państwa rdzennego, wokół którego mogłaby się gromadzić reszta współwyznawców.

Jej słuchacze kiwali głowami. Doskonale o tym wiedzieli. Brak koordynacji sił sojuszniczych na różnych frontach wojennych był dość głośnym problemem, który nierzadko przynosił opłakane skutki.

- Khaldun zwraca również uwagę na problem systemowy muzułmańskiej ekonomii, mającej swoje źródła w praktykach Beduinów, o których mówi tak: “Miejsca opanowane przez

Beduinów bardzo szybko obracają się w ruinę. Powodem jest to, iż Beduini to naród barbarzyński, przyzwyczajony do barbarzyńskich praktyk. Barbarzyństwo stało się ich naturą i ich sposobem życia. Ulubili je, ponieważ oznacza ono wolność od przywódców i jakiejkolwiek władzy. Tego typu naturalna predyspozycja jest negacją, antytezą cywilizacji". Dalej pisze tak: “W ich naturze leży grabież wszystkiego, co posiadają inni, a pożywienie znajdują tam, gdzie padnie cień ich miecza". Następnie formułuje laborystyczną teorię wartości: “Prawdziwym źródłem zysku jest praca. Jeśli brak jest poszanowania dla pracy, a ludzie ją wykonujący nie są odpowiednio wynagradzani, wtedy nadzieje na zysk się rozwiewają i wydajność spada, ludność osiadła zaczyna migrować i cywilizacja podupada". To niesamowite, jak wiele dostrzegał Khaldun i to w tamtych czasach, kiedy ludzie mieszkający na dzisiejszych terenach Nsary umierali z powodu zarazy, a reszta świata nawet się nie zastanawiała nad podejściem historycznym.

Pora czytania dobiegła końca. Słuchacze kładli się z powrotem na łóżkach lub siadali w fotelach i spędzali bezczynnie kolejne popołudniowe godziny.

Tego dnia Budur wyszła stamtąd jak zwykle z poczuciem winy, ulgi i radości, po czym udała się prosto na zajęcia Kirany.

- W jaki sposób możemy wyrosnąć i odciąć się od naszych korzeni, skoro zabrania nam tego nasza wiara? - zapytała żałosnym tonem wykładowczynię.

- Nasza wiara nic takiego nie mówi - odpowiedziała Kirana - to fundamentaliści powtarzają takie rzeczy, aby utrzymać się przy

władzy.

Budur była zdezorientowana.

- Lecz przecież Koran w wielu miejscach mówi, że Mahomet jest ostatnim prorokiem, a prawa Koranu są prawami ostatecznymi.

Kirana potrząsnęła niecierpliwie głową.

- To kolejny przypadek czynienia ogólnej zasady na podstawie wyjątku - typowa taktyka fundamentalistów. To fakt, że w Koranie spotykamy wiele prawd, które Mahomet określa mianem wiecznych - są to oczywiste prawidła codziennej egzystencji, jak to o zasadniczej równości wszystkich ludzi - jakże miałoby się ono zmienić? Natomiast bardziej ziemskie wytyczne, dotyczące na przykład budowy państwa arabskiego, zmieniały się wraz z okolicznościami, a nawet wraz z samym Koranem, który również bywa zmienny, jak w przypadku zakazu spożywania alkoholu. Podobnie rzecz się ma z regułą naskh, czyli z egzegezą - późniejsze nakazy koraniczne wypierają te wcześniejsze. Poza tym, w swoich ostatnich słowach Mahomet stwierdził jasno, że pragnie, abyśmy nie pozostawali obojętni na zmieniające się warunki i stale udoskonalali islam, abyśmy szukali nowych rozwiązań moralnych, zgodnych z podstawową wykładnią Koranu, lecz wychodzących naprzeciw nowym sytuacjom.

- Ciekawe, czy któryś z siedmiu skrybów Mahometa mógł zamieścić w Koranie swoje własne koncepcje? - zapytał Naser.

Kirana znów potrząsnęła głową.

- Przypomnijcie sobie, w jaki sposób kompletowano Koran. Pierwszy egzemplarz rękopisu w twardej oprawie, mushaf, został

skompilowany przez Osmana, który zwołał do siebie wszystkich, żyjących świadków recytacji Mahometa, jego skrybów, żony i towarzyszy, którzy wspólnie zgodzili się na jedną, właściwą wersję świętej księgi. Żadne interpolacje kopistów nie przetrwałyby tego procesu. Koran jest głosem jednorodnym, głosem Mahometa, głosem Allaha. To wspaniały przekaz o wolności i sprawiedliwości! To hadis zawiera fałszywe przesiania, ustanawia hierarchie i patriarchat, a z wyjątków czyni reguły. To hadis porzuca dżihad większy, czyli walkę z własnymi pokusami, na rzecz dżihadu mniejszego - obrony islamu przed atakiem wroga. Władcy i duchowieństwo wielokrotnie przeinaczali Koran na swój własny użytek. Takie rzeczy działy się oczywiście w przypadku każdej religii. To coś nieuniknionego. Wszystko, co boskie, dociera do nas przyobleczone w ziemską powłokę, przez co jest zmienione. Bóg jest jak deszcz, który spada na ziemię, przez to wiele naszych wysiłków w celu osiągnięcia boskości grzęźnie w błotach, może poza tymi kilkoma sekundami całkowitego zanurzenia w chwilach, o których opowiadają mistycy, kiedy to sami stajemy się deszczem. Sufiowie jednak twierdzą, że takie chwile trwają bardzo krótko. Może więc w końcu nadszedł czas, by wychylić ten kielich żywota do dna i dotrzeć do ukrytej tam prawdy? Podbudowana Budur rzekła:

- A więc w jaki sposób mamy stać się współczesnymi muzułmanami?

- Wcale nie mamy - żachnęła się najstarsza z kobiet, przerywając robótkę ręczną - to właśnie ten starożytny kult pustynny zgładził

niezliczoną ilość pokoleń, łącznie z moim i twoim. Najwyższy czas przyjąć to do wiadomości i ruszać dalej.

- Dalej? Ale dokąd?

- Tam, gdzie może nas coś jeszcze spotkać! - zawołała staruszka. -Do tych waszych nauk, chociażby, do samej rzeczywistości! Po co zawracać sobie głowę przestarzałymi wyznaniami?! W każdym z nich mamy do czynienia z dominacją: silniejszego nad słabszym, mężczyzny nad kobietą. A przecież to kobiety rodzą i wychowują dzieci, uprawiają ziemię, zbierają plony, gotują posiłki, dbają o dom i zajmują się starszymi! To kobiety tworzą ten świat! Mężczyźni prowadzą wojny i terroryzują resztę swoimi prawami, religiami i bronią. - Oprychy i gangsterzy, ot cała historia! Nie wiem, dlaczego po tym wszystkim mielibyśmy od nich cokolwiek przejmować!

Na sali zapanowała cisza. Staruszka wróciła do robienia na drutach, jakby chciała przebić nimi wszystkich królów i całe duchowieństwo tego świata. Po chwili na zewnątrz zaczęło padać, słyszeli teraz pokrzykiwanie studentów i niezmordowane klikanie stalowych drutów.

- Jeżeli myśleć w ten sposób - zabrał głos Naser - to Chińczycy naprawdę wygrali.

W sali znów pulsowała cisza. W końcu odezwała się staruszka.

- Owszem wygrali, ale nie bez przyczyny. Chińczycy nie mają Boga, a cześć oddają swoim przodkom i potomkom. Głęboki humanizm umożliwił im rozwój nauki i ogólny postęp: wszystko to, czego nam odmówiono.

Zapadła jeszcze głębsza cisza, w której usłyszeli odległe wycie

syreny burzowej.

Odezwał się Naser.

- Mówisz jedynie o wyższych sferach, tymczasem ich kobietom krępowano stopy, deformując je i kalecząc niczym ptaki, którym przycina się skrzydła. To zresztą też chiński wymysł. Chińczycy to twarde sukinsyny, możecie mi wierzyć, sam tego doświadczyłem na wojnie. Nie będę wam teraz opowiadał, co widziałem, ale wierzcie mi, wiem coś o tym. Chińczycy nie są bogobojni, przez co nie istnieją dla nich żadne nieprzekraczalne granice, nic nie jest w stanie ich przekonać, aby nie byli okrutni, i dlatego właśnie są okrutni, potwornie okrutni. Uważają, że ludzie żyjący poza Chinami nie są prawdziwymi ludźmi. Ludźmi są tylko Hanowie, cala reszta, my czy Hui, to psy. Są aroganccy i niewyobrażalnie okrutni. Nie wydaje mi się, aby byli dla nas najlepszym wzorem do naśladowania, nie uważam również, że naprawdę wygrali tę wojnę.

- Wcale nie byliśmy od nich lepsi - powiedziała Kirana.

- Ale nie wtedy, gdy zachowywaliśmy się jak prawdziwi muzułmanie. Wiecie, jaki byłby dobry projekt naukowy? Taki, który skupiałby się na tym, co w islamie najlepsze, co przetrwało wieki i nadal może być dla nas wskazówką. Prawie każda sura Koranu napomina nas w swoim pierwszym wersie: Bismallah, w imię Boga Miłosiernego Litościwego. Miłosierdzie i litość, jak to inaczej wyrazić? Chińczycy nie wyznają tych idei. Buddyści próbowali im je zaszczepić, lecz potraktowano ich jak żebraków i złodziei. Wiadomo jednak, że są to podstawowe idee i że na nich zbudowany jest islam. Zgodnie z naszą wizją, wszyscy ludzie są jedną rodziną, w której panuje

prawo współczucia i miłosierdzia. To powodowało Mahometem, powodował nim Allah lub jego własne poczucie sprawiedliwości, czyli Allah w każdym z nas. Tym właśnie jest dla mnie islam! O to walczyłem na wojnie i właśnie to mamy do zaoferowania całemu światu, coś, czego Chińczycy nie posiadają: miłość, mówiąc najprościej, miłość.

- A czy my naprawdę żyjemy według tych wszystkich wskazań?

- Proszę, nie zaczynaj znów! - powiedział Naser. - Nie widziałem, żeby w naszych czasach ludzie żyli w całkowitej zgodzie ze swoimi najlepszymi przekonaniami. Pewnie podobny obraz świata miał Mahomet, kiedy rozglądał się dokoła: wszechobecne barbarzyństwo, ludzie jak wilki. Dlatego właśnie każda sura rozpoczyna się od wezwania do współczucia.

- Brzmisz jak buddysta - powiedział ktoś z sali. Stary żołnierz energicznie włączył się w dyskusję.

- Współczucie? Czy nie jest to czasem ich myśl przewodnia, kierująca każdym ich działaniem? Osobiście podoba mi się to, co buddyści robią dla świata. Zawsze mieli na nas dobry wpływ. Podobnie na Japończyków i na Hodenosaunee. Kiedyś gdzieś przeczytałem, że cały nasz postęp w nauce i technice zawdzięczamy właśnie diasporze japońskiej, najmłodszej i najsilniejszej z diaspor buddyjskich, która czerpała zarówno z dorobku starożytnych Greków, jak i Samarkandczyków.

- Może powinniśmy wyłowić z islamu najbardziej buddyjskie wątki i skupić się na nich? - powiedziała Kirana.

- A według mnie, powinniśmy zerwać z historią! - klik, klik, klik!

Naser potrząsnął głową.

- Wtedy zrodziłoby się nowe, naukowe barbarzyństwo, jak podczas wojny. Naszym obowiązkiem jest zachować te wartości, które w naszym odczuciu są dobre i które wspierają współczucie. Musimy jak najlepiej wykorzystać stare zwyczaje, aby tworzyć nowe, lepsze niż kiedykolwiek.

- Podoba mi się taka polityka - powiedziała Kirana - a w dodatku to samo mówił Mahomet.

8.

Tak oto wyglądały gorzki sceptycyzm starej kobiety, niezłomna nadzieja żołnierza i uporczywe dociekania Kirany. Dociekania, które nigdy nie doprowadzały jej do żądanych odpowiedzi, jedynie toczyły się do przodu, od koncepcji do koncepcji, a ona po kolei Przepuszczała je przez filtr własnego światopoglądu oraz przez pryzmat trzydziestu lat zaspokajania głodu wiedzy czytaniem i prowadzeniem marnego życia na tyłach portu w Nsarze.

Owinięta w płaszcz przeciwdeszczowy i zgarbiona wpół Budur wracała poprzez gęstą mżawkę do zawiji. Przed oczami wraz z kolejnymi podmuchami wiatru pojawiały się niewidzialne obrazy: zacięta dezaprobata na twarzach okaleczonych, młodych mężczyzn przechodzących przez ulicę, niebo, które wisiało coraz niżej nad miastem, sekretne światy zamknięte w każdym doświadczeniu, które ciotka Idelba przeprowadzała w swoim laboratorium. Również jej własna praca przy zamiataniu i uzupełnianiu zapasów w tym samym laboratorium, lecz wieczorami, kiedy nie było w nim nikogo, wydawała jej się dziwnie znajoma. Esencją trwających tam prac,

ukrytą za wzorami rozpisanymi na tablicach, były prawdziwe wielkie rzeczy. Za doświadczeniami fizyków stały długie lata wytężonej pracy matematyków, a na polu badań nad materią realizowano całą, wielowiekową tradycję nauk empirycznych, zdolną powoływać do istnienia nowe światy. Budur wiedziała, że nie będzie w stanie opanować rządzącej tym wszystkim matematyki, wiedziała też, że laboratoria muszą pracować pełną parą, aby umożliwić jakikolwiek postęp, zdecydowała więc pomagać przy organizacji miejsca pracy. Uzupełniała zaopatrzenie, pomagała w kuchni, obsługiwała jadalnię i dbała o płacenie rachunków (rachunek za energię ki był najwyższy).

Tymczasem rozmowy naukowców ciągnęły się bez końca, brzmiąc niczym kawiarniany gwar. Idelba spędzała długie godziny przy tablicach ze swoim siostrzeńcem Pialim, rozważając kolejne pomysły i sprawdzając nowe rozwiązania tajemniczych zagadnień. Oboje byli pochłonięci pracą i zadowoleni, a nierzadko też zaniepokojeni, co można było poznać po specyficznym tonie głosu Idelby - jak gdyby równania, które rozpisywała na tablicach, ujawniały przed nią informacje, których nie chciała usłyszeć albo w które nie chciała uwierzyć. Nadal spędzała mnóstwo czasu przy telefonie, który tym razem stał w osobnym, niewielkim gabinecie w budynku zawiji, i często wychodziła w miasto, nikomu nie mówiąc dokąd. Budur nie wiedziała, czy to wszystko miało ze sobą jakiś związek, lecz była świadoma, że jeszcze wielu rzeczy nie wie o swojej ciotce. Te paczki, które odbierała, ci mężczyźni, z którymi spotykała się sam na sam poza zawija jej rozmowy telefoniczne...

pionowe zmarszczki, które wcinały się pomiędzy jej brwi, mówiły, jak wiele musiała mieć na głowie i jak bardzo skomplikowane było jej życie.

- Na czym polega problem z badaniami, które prowadzisz z Pilalim i innymi? - zapytała Budur Idelbę pewnego wieczora, kiedy ciotka zamaszystymi ruchami czyściła swoje biurko. W laboratorium zostały tylko one dwie. Budur poczuła wielką satysfakcję z tego, że tu, w Nsarze, obie mają swoje obowiązki i ponoszą za nie odpowiedzialność. Była przez to bardziej pewna siebie i dlatego ośmieliła się w końcu zadać to pytanie ciotce.

Idelba przerwała czyszczenie blatu i spojrzała na dziewczynę.

- Mamy pewne powody do niepokoju. Nie wolno ci o tym z nikim rozmawiać. Zresztą sama wiesz... a więc, tak jak już wcześniej mówiłam, świat składa się z atomów, maleńkich kulek, posiadających własne serca, wokół których krążą świetliste cząstki po torach, układających się w koncentryczne powłoki. Wszystko to odbywa się w mikroskopijnej skali, aż trudno sobie to wyobrazić. Każdy kłaczek kurzu, który ścierasz, składa się milionów atomów, a na czubku twojego palca są ich całe biliony -przeciągnęła tajemniczo dłonią w powietrzu. - Jednak mimo iż są tak małe, skupiona jest w nich potężna energia. Doprawdy, to tak, jakby w każdym z nich zamknięty był piorun, tak wiele energii ki, potrafisz sobie wyobrazić tę potęgę? Tryliony ki w każdej rzeczy? - wskazała dłonią na okrągłą mandalę pierwiastków, namalowaną na ścianie. Arabskie litery i liczby inkrustowane były na niej drobnymi punktami - wewnątrz serca atomu istnieje siła spajająca całą energię w

jednym miejscu. Tak jak ci mówiłam wcześniej, jest to ogromna siła, która działa na bardzo małej przestrzeni i wiąże energię pioruna z jądrem w nierozerwalny sposób. I bardzo dobrze, że tak jest, ponieważ ilość zawartej tam energii jest doprawdy przeogromna. Wszystko pulsuje w jej rytm.

- Tak to sobie właśnie wyobrażam - powiedziała Budur.

- Mało tego, energia ta wykracza daleko poza granice naszego odczuwania. Zaproponowany wzór, jak już pewnie wspominałam, mówi, że energia jest równa masie pomnożonej przez kwadrat prędkości światła, a jak zapewne wiesz, światło rozchodzi się z ogromną prędkością. Zatem jeśli dałoby się uwolnić energię z choćby niewielkiej ilości materii... - potrząsnęła głową - oczywiście siła spajająca atom nigdy na to nie pozwoli. Ostatnio jednak prowadzimy badania nad pierwiastkiem zwanym alacti-nem, nazywanym przez fizyków z Trawankoru Dłonią Tary. Sądzimy, że serce tego pierwiastka jest niestabilne. Całkiem niedawno Pilali zaczął przyznawać mi w tym względzie rację. Wiadomo, że w atomie zamkniętych jest wiele dżinów, zarówno jin, jak i jang. Według mnie dzieje się to na podobnej zasadzie jak w przypadku kropli wody, która zachowuje swój kształt dzięki napięciu powierzchniowemu. W tym przypadku kropla jest na tyle duża, że napięcie powierzchniowe z ledwością utrzymuje ją w zamkniętym kształcie, więc może się ona rozciągać niczym kropla wody spadająca w powietrzu, która odkształca w tę i z powrotem, lecz nadal zachowuje jedność. Zdarza się jednak też tak, że kropla rozciągnie się za bardzo i napięcie powierzchniowe, czyli w naszym

przypadku siła spajająca atom, nie wytrzymuje, wówczas wskutek naturalnej siły odpychającej występującej między dżinami, serce atomu rozpada się na pół i powstają dwa atomy

- ołowiu oraz uwalnia się część energii spajającej w postaci niewidzialnego promieniowania. Właśnie to zjawisko udało się nam zarejestrować na płytach fotograficznych, które pomagasz nam nosić. To całkiem spora dawka energii, biorąc pod uwagę fakt, iż rozszczepieniu uległo tylko jedno serce atomu. My natomiast, mówiąc w szerszym kontekście specyficznej natury tego zjawiska, zastanawiamy się, to znaczy zostaliśmy zmuszeni do za-stanawiania się, co by było, gdyby zebrać razem więcej takich atomów i rozszczepić serce choćby jednego z nich. Czy uwolniona w ten sposób energia ki nie rozszczepiłaby w jednej chwili kolejnych serc, a te następnych i tak dalej, z prędkością światła na przestrzeni niewiele większej niż ta? - mówiła, zagarniając dłonią przestrzeń wielkości piłki do lacrosse. -Czy nie wywiązałaby się wówczas krótka reakcja łańcuchowa...

- Co to znaczy?

- To oznacza potężną eksplozję!

Przez dłuższą chwilę wydawało się, że wzrok Idelby uwiązł w niewidzialnej przestrzeni czystej matematyki.

- Z nikim na ten temat nie rozmawiaj - powtórzyła.

- Dobrze.

- Z nikim, rozumiesz?

- Rozumiem.

Niewidzialne światy, przepotężne i pełne energii: subatomowe

haremy pulsujące na granicy eksplozji. Budur westchnęła głęboko, kiedy dotarł do niej ten obraz. Nie ma ucieczki przed przemocą ukrytą w sercu wszechrzeczy. Okazuje się, że nawet kamienie umierają.

9.

Każdego ranka Budur budziła się w swoim pokoju w zawiji i od razu brała się za pomoc w kuchni i w biurze. Jej obowiązki w zawiji i w laboratorium były podobne do siebie, lecz mimo iż w każdym z tych miejsc pracowało jej się inaczej, to i tak w obu przypadkach odczuwała tę samą nudę. Z drugiej zaś strony, zajęcia na instytucie i spacery po wielkim mieście stały się dla niej czasem wytężonej pracy nad swoimi własnymi marzeniami i pomysłami.

Teraz już swobodnie chodziła po porcie i wzdłuż rzeki i już nie obawiała się, że ktoś z Turi pojawi się niespodziewanie w mieście i zabierze ją z powrotem do domu Ojca. Nadal jeszcze nie znała dokładnie miasta, choć miała już swoje szlaki przez co niektóre dzielnice. Czasami jeździła tramwajami na pętle końcowe tylko po to, aby zobaczyć przez jakie dzielnice przejeżdżały. Szczególnie interesowały ją dzielnice tuż nad oceanem i wzdłuż rzeki, zbadanie ich zajęło jej sporo czasu i wysiłku. Blade światło przesączało się spomiędzy chmur, które sunęły tuż nad jej głową, niesione energicznym powiewem znad oceanu. Siadała przy stolikach w kafejkach na tylach portu lub po drugiej stronie ulicy, niedaleko plaży, i zawsze coś czytała i zapisywała, zadzierała głowę do góry, by spojrzeć na spienione grzywy fal, rozbijające się o fundament latarni morskiej na końcu mola, i mgły spowijające drugą latarnię na

skalistym wybrzeżu północnym. Lubiła spacerować po plażach. Spoza kotłujących się chmur wyłaniał się wyblakły błękit nieba i posiniaczony granat oceanu, porysowany tu i ówdzie załamującą się linią fali. Kochała te widoki, kochała je całym sercem. Tutaj mogła całkiem swobodnie być sobą. Nie szkoda deszczu, który tak cudownie oczyszcza powietrze.

Będąc kiedyś w biednej i wychłostanej burzami dzielnicy plażowej na końcu linii tramwajowej numer sześć, natknęła się na niewielką świątynię buddyjską, a przed wejściem do niej zobaczyła matkę Hode-nosaunee z córką, które uczęszczały na wykłady Kirany. Kobiety od razu dostrzegły Budur.

- Witaj! - odezwała się matka. - Przyjechałaś nas odwiedzić?

- Prawdę mówiąc, trafiłam tu przypadkowo, zwiedzając miasto -powiedziała zaskoczona Budur - podobają mi się te okolice.

- Rozumiem - odpowiedziała matka tonem, z którego przebijało niedowierzanie - wybacz moją śmiałość, ale ja i Idelba znamy się od dawna, więc pomyślałam sobie, że przyszłaś do nas w jej imieniu. A tu proszę, przychodzisz sama, może jednak miałabyś ochotę do nas wstąpić?

- Bardzo dziękuję - powiedziała z lekka oszołomiona Budur i udała się za matką do środka kompleksu, w którym mieścił się ogrodowy dziedziniec, porośnięty krzewami i poprzecinany żwirowymi alejkami, a pośrodku dzwonnica i niewielki staw. Grupa mniszek ubranych w ciemnoczerwone szaty przeszła obok i znikła dalej we wnętrzu budynku. Jedna z nich usiadła, żeby porozmawiać z kobietami Hadeno-saunee, Haneą i Ganagweh, matką i córką.

Kobiety mówiły po firańsku z silnym akcentem nsareńskim, zmieszanym z czymś jeszcze. Budur przysłuchiwała się, jak rozmawiają o naprawie dachu. Następnie zaproszono ją do pokoju, w którym stała ogromna radiostacja. Hanea usiadła przed mikrofonem i odbyła transoceaniczną rozmowę w swoim ojczystym języku.

- Następnie przyłączyły się do kilku innych mniszek i razem z nimi udały się do sali medytacyjnej, gdzie usiadły i przez jakiś czas intonowały mantry.

- A więc jesteście buddystami? - zapytała Budur kobiety Hodeno-saunee, kiedy sesja medytacyjna dobiegła końca i znów wyszły na zewnątrz do ogrodu.

- Tak - odpowiedziała Hanea - buddyzm jest wśród nas dość popularny, przypomina nieco naszą pierwotną religię. Myślę też, że to prawda, iż pasuje nam również dlatego, że czyni nas sojusznikami Japończyków z zachodniej części naszego państwa, którzy pod wieloma innymi względami są do nas podobni. Kiedyś potrzebowaliśmy ich pomocy w walce z najeźdźcami z waszej strony.

- Rozumiem.

Zatrzymały się przed grupą mężczyzn i kobiet, którzy siedzieli w kręgu i ciosali bryły z piaskowca, z których otrzymywali duże, płaskie cegły, o ściankach wyglądających niemal jak szlifowane. Hanea wskazała na ich stos i wyjaśniła:

- To są kamienie modlitewne, przeznaczone na szczyt Czomolungmy, słyszałaś o tym projekcie?

- Nie.

- Czomolungma była niegdyś najwyższą górą na świecie, lecz jej wierzchołek został zniszczony przez muzułmańską artylerię w trakcie Długiej Wojny. Całkiem niedawno uruchomiliśmy projekt, oczywiście długofalowy i powolny, mający na celu odbudowę szczytu. Każdy z górskich zdobywców wspinających się na Czomolungmę, oprócz butli z tlenem i całej reszty swojego sprzętu, weźmie ze sobą jedną z takich tabliczek i zostawi ją na wierzchołku, gdzie po latach ze zgromadzonego materiału kamieniarze wybudują nowy szczyt.

Budur przyglądała się piaskowcowym tabliczkom, które były o wiele mniejsze niż rzeźbione kamienie, zdobiące ogród na dziedzińcu. Poproszono, by wzięła jedną tabliczkę do ręki, co też chętnie zrobiła, szacując jej ciężar. Ważyła tyle, co trzy, cztery książki.

- Dużo będzie ich trzeba.

- Wiele tysięcy. To naprawdę długoterminowy projekt - uśmiechnęła się Hanea - sto lat, a może tysiąc? Zależy od liczby wspinaczy, gotowych zanieść na górę jeden kamień. Trzeba pamiętać, że w powietrze wysadzono spory kawał masywu. Ale ogólnie uważamy, że to dobry pomysł, taki symbol ogólnej odbudowy świata.

- Następnie przeszli do kuchni, gdzie inni już krzątali się przy przygotowywaniu posiłku. Budur zapraszano serdecznie na obiad, lecz ona wykręciła się pod pretekstem konieczności powrotu do domu następnym tramwajem.

- Oczywiście - odpowiedziała Hanea - przekaż, proszę, Idelbie nasze serdeczne pozdrowienia. Już nie możemy się wręcz doczekać kolejnego spotkania.

Nie wyjaśniła, o co jej chodziło, a Budur zastanawiała się nad tym przez całą drogę powrotną na przystanek przy plaży, gdzie czekała na tramwaj, schowana przed porywistym wiatrem w niewielkiej szklanej wiacie. Siedząc tam, przysnęła, a pod powiekami pojawił jej się obraz długiej kolejki ludzi wnoszących na dach świata całe biblioteki kamiennych ksiąg.

10.

- Jedziesz ze mną na Orkady? - zapytała ją jednego dnia Idelba. - Przydałaby mi się twoja pomoc, a poza tym pokazałabym ci tamtejsze ruiny.

- Orkady? Mówiłaś mi, gdzie one są, ale zapomniałam.

Okazało się, że Orkady to celtyckie wyspy najbardziej wysunięte na północ, leżące wysoko ponad Szkocją. Większość mieszkańców Brytanii stanowiły populacje, pochodzące z Al-Andalus, z Maghrebu i z zachodniej Afryki, później, w czasie Długiej Wojny Hodenosaunee wybudowali bazę morską na największej wyspie Orkad, dzięki czemu mogli śledzić rozwój sytuacji w Firanii i jednocześnie bronić resztek rdzennych mieszkańców tamtych ziem, Celtów, którzy przetrwali napływ Franków, a później Firańczyków, no i oczywiście wielką zarazę. Budur czytała legendy o tych, którzy przeżyli epidemię, o wysokich młodzieńcach o jasnej karnacji, rudych włosach i niebieskich oczach. I kiedy obie siedziały już przy stoliku w przeszklonej gondoli sterowca, i obserwowały

przepływające pod nimi zielone angielskie wzgórza i szachownice pól uprawnych pokryte łatami cieni chmur i pokreślone liniami żywopłotów i murów z szarego kamienia, Budur zastanawiała się, jak by to było stanąć twarzą w twarz z prawdziwym Celtem? Czy zniosłaby jego milczące i oskarżycielskie spojrzenie, czy mogłaby bez mrugnięcia spojrzeć w oczy albinosowi i patrzeć tak niewzruszenie na jego białą skórę?

Oczywiście wcale nie o to chodziło. Kiedy w końcu wylądowały na Orkadach, okazało się, że jest to kraina pagórkowata, porośnięta trawą i niemal całkowicie pozbawiona drzew, poza ich niewielkimi skupiskami wokół wiejskich domów z wyblakłego wapienia, o kominach wyrastających z obu krańców każdej budowli - rozwiązanie typowe dla starożytnego budownictwa, którego repliki z szarego kamienia stały na łąkach tuż nieopodal ich wersji współczesnych. Ponadto Orkadianie wcale nie byli pałąkowatymi rudzielcami o piegowatych twarzach półgłówków, jakich Budur spodziewała się spotkać, naczytawszy się tych wszystkich opowieści o białych niewolnikach w pałacach osmańskich sułtanów. Byli to raczej krzepcy rybacy, umazani smarem i pokrzykujący do siebie w swoim narzeczu. Mieli ogorzałe twarze i włosy jasne jak słoma, a czasem czarne lub brązowe, rozmawiali ze sobą i nawoływali się jak ciżba w pierwszej lepszej rybackiej wsi na nsareńskim wybrzeżu. W kontaktach z Firańczykami byli śmiali i energiczni. Nic ich nie peszyło i zachowywali się tak, jakby to oni byli najnormalniejsi na świecie, a przybysze z Firanii byli egzotycznymi gośćmi. Tak tu właśnie było, dla tych ludzi Orkady

były całym światem.

Kiedy Budur i Idelba jechały przez okolicę w wozie z napędem silnikowym, powoli zaczęło do nich docierać, dlaczego tak się działo. Przez ostatnie trzy tysiące lat przez Orkady przewinął się niemal cały świat, toteż tutejsi mieszkańcy mieli powody, by sądzić, iż od zawsze żyli w centrum wydarzeń, niczym na ruchliwym skrzyżowaniu. Każda kultura, która przeszła przez te ziemie, a na przestrzeni wieków było ich co najmniej dziesięć, budowała się tu z piaskowca, gładzonego przez morskie fale na poręczne płyty, belki i szerokie, równe bloki, które doskonale nadawały się do budowy ścian, a w połączeniu z cementem tworzyły konstrukcję nie do ruszenia. Najstarsi mieszkańcy wykorzystywali kamień nawet do budowy ram swoich łóżek i szafek kuchennych, tak więc teraz w niewielkich skupiskach traw na zachodnim wybrzeżu można było spoglądać z góry na rozkład kamiennych domów należących do ludzi, którzy żyli w nich ponoć pięć tysięcy lat temu. Z ich wnętrz usunięto, gromadzący się piach i odkryto przed zwiedzającymi narzędzia i elementy wyposażenia, tak jak je zostawili pierwotni użytkownicy. Zapadnięte pokoje przypominały Budur pomieszczenia w zawiji. Przez cały ten czas nic się nie zmieniło, pomyślała.

Idelba kiwała głową nad szacowanym wiekiem osady i nad metodami określania wieku innych przedmiotów i zastanawiała się na głos nad pewną geochronologią, która zrodziła się w jej głowie i którą, według niej, dało się zwięźle opisać. Po chwili jednak ucichła jak wszystko dookoła i tylko stała, spoglądając na piękne i opustoszałe wnętrza domów starszyzny. To wszystko, co wywodzi

się z nas i opiera się próbie czasu, pomyślała.

Z powrotem w Kirkwall, w jedynym miasteczku na wyspie, szły po brukowanej ulicy w stronę zabudowań zgnieżdżonych wokół kolejnej niewielkiej świątyni buddyjskiej, stojącej na tylach katedry starożytnych autochtonów. Budowla nie wyglądała na specjalnie okazałą, w porównaniu z gigantycznymi szkieletami z marmuru, które zostawili daleko za sobą na kontynencie, posiadała jednak oryginalny dach i była kompletna. Znajdująca się za katedrą świątynia prezentowała się bardzo skromnie, ot cztery wąskie budynki rozlokowane wokół skalnego ogrodu, który według Budur, urządzony był w chińskim stylu.

Tam też Hanea i Ganagweh przywitały Idelbę. Budur była zszokowana ich widokiem, a one śmiały się w głos z jej zdziwionej miny.

- A nie mówiłam, że się wkrótce spotkamy?

- To prawda, wspominałaś coś, ale że tutaj?

- Właśnie tutaj żyje najliczniejsza społeczność Hodenosaunee w całej Firanii - powiedziała Hanea - właśnie stąd dotarliśmy do Nsary i prawdę mówiąc, lubimy tu czasem wracać.

Najpierw oprowadzono je po całym kompleksie, a następnie zaproszono na herbatę do pokoju wychodzącego na podwórze. Idelba i Hanea wyszły gdzieś razem, zostawiając skonsternowaną Budur sam na sam z Ganagweh.

- Matka mówiła, że muszą porozmawiać z godzinkę albo dwie -powiedziała jej Ganagweh - wiesz, o czym rozmawiają?

- Nie - odpowiedziała Budur - a ty?

- Ja też do końca nie wiem, to znaczy domyślam się, że ma to

jakiś związek z działalnością Idelby na rzecz zacieśnienia kontaktów dyplomatycznych pomiędzy naszymi państwami... wiem, wiem, brzmi to dość banalnie...

- Nie szkodzi - improwizowała Budur - ciotka żywo się tym interesuje. To ciekawe... spotkałyśmy się po raz pierwszy na wykładzie Kirany Fawwaz...

- Tak, a później ty niespodziewanie pojawiłaś się w świątyni w Nsarze, najwyraźniej nasze ścieżki się łączą. - Dziewczyna uśmiechała się w sposób, którego Budur nie potrafiła zinterpretować. - Chodźmy na spacer. Ich rozmowa może jeszcze trochę potrwać, w końcu uzbierało się kilka rzeczy.

- Wszystko, co do niej docierało, było nowe i świeże, nie odzywała się zatem zbyt wiele i cały dzień spędziła, spacerując po Kirkwail z Gana-gweh, niezwykle energiczną dziewczyną, wysoką, stanowczą i zdecydowaną, dla której niestraszne były wąskie ulice Kirkwail i tędzy rybacy z Orkadów. Minęły ostatni przystanek tramwajowy i zeszły w dół na szeroką plażę, okalającą wielką zatokę, gdzie niegdyś znajdowała się ruchliwa baza wojskowa. Kiedy doszły do kilku ogromnych głazów, Ganagweh zatrzymała się, zdjęła z siebie ubranie i krzycząc i piszcząc, wbiegła do wody i rzuciła się do tyłu na spieniony grzbiet nadchodzącej fali. Jej połyskliwa, ciemna skóra lśniła w słońcu, kiedy z powrotem na brzegu strzepywała z siebie słone krople i pryskała Budur, zachęcając ją, aby sama dała nura.

- Dobrze ci to zrobi! Nie jest taka zimna, może w końcu się obudzisz!

Była to jedna z tych rzeczy, do których zrobienia z pewnością namawiałaby ją Yasmina. Budur jednak nieśmiało odmówiła, spoglądając z wyraźnym skrępowaniem na tę wilgotną i piękną istotę, stojącą w słońcu tuż obok niej. Podeszła do brzegu, dotknęła tafli wody i ucieszyła się, że nie dała się namówić na kąpiel, gdyż woda była lodowata. Mimo to rzeczywiście poczuła, jakby w tej chwili powtórnie się obudziła, energiczny, słony wiatr muskał jej twarz i rozwiewał na boki czarne, mokre włosy Ganagweh, strącając pojedyncze krople na Budur. Ganagweh, śmiejąc się, wciągała ubranie na mokre ciało. W drodze powrotnej dziewczęta minęły grupkę dzieci o mlecznobiałej cerze i każde z nich bacznie im się przyglądało.

- Chodźmy sprawdzić, jak się mają nasze staruszki - powiedziała Ganagweh. - Kto by uwierzył, że to akurat babcie wzięły w swoje ręce sprawy całego świata?

- Rzeczywiście - powiedziała Budur, zastanawiając się, co tak naprawdę działo się na świecie.

11.

W trakcie lotu powrotnego do Nsary Budur zadała to pytanie Idelbie, która, słysząc je, potrząsnęła tylko głową. Nie cnciata o tym rozmawiać, była zajęta zapisywaniem jakichś rzeczy w swoim notesie.

- Nie teraz - powiedziała.

Z powrotem w Nsarze Budur jak zwykle uczyła się i pracowała. Za podpowiedzią Kirany zaczęła wgłębiać się w historię południowo--wschodniej Azji i z lektur dowiedziała się, w jaki

sposób doszło tam do przemieszania się kultur, hinduskiej, buddyjskiej i muzułmańskiej w wyniku czego zrodził się nowy, energiczny i żywotny organizm społeczny, który z powodzeniem przetrwał wojnę, a obecnie, czerpiąc z ogromnych bogactw naturalnych Birmy, Półwyspu Malajskiego, Sumatry, Borneo i Mindanao, stał się wielonarodowościową grupą, zjednoczoną przeciwko odśrodkowej władzy Chin i skutecznie uwalniającą się spod jej wpływów. Już jakiś czas temu ludzie ci pojawili się nie tylko w Aozhou, na tej wielkiej, spalonej słońcem wyspie kontynentalnej na dalekim południu, lecz również za oceanami, w kraju Inków i po drugiej stronie, na Madagaskarze i w południowej Afryce. W ten sposób powstawało coś na kształt zrębów nowej kultury południowej, która miała już nawet swoje własne miasta jak Pyinkayaing, Dżakarta i Kwi-nana na zachodnim wybrzeżu Aozhou, która wiodła wśród nich prym, prowadząc ożywiony handel z Trawankorem i wyrastając na nową potęgę. Jej mieszkańcy jak w amoku wznosili coraz większe budowle i coraz wyższe stalowe drapacze chmur, liczące ponad sto pięter. Wojna odcisnęła się piętnem na tych aglomeracjach, lecz nie zdołała ich zniszczyć, więc kiedy światowe rządy zapragnęły w końcu spotkać się i opracować trwały i sprawiedliwy system reparacji wojennych, przyjeżdżały do Pyinkayaing.

Kiedy sytuacja stawała się coraz bardziej obłędna, organizowano jeszcze więcej spotkań - wszystko po to, by nie dopuścić do nawrotu wojny - tyle udało się ustalić. Sojusz pokonanych nie był zadowolony. Poza tym nie do końca było wiadomo, czy Chińczycy,

czy państwa Yingzhou, które później niż reszta przyłączyły się do konfliktu, będą w ogóle brać pod uwagę możliwość dostosowywania się do muzułmańskich standardów i zwyczajów. Na jednym ze swoich wykładów Kirana mimochodem stwierdziła, że najprawdopodobniej islam już dawno wylądował na śmietniku historii, z tym że jeszcze nie jest tego świadomy. Im więcej Budur czytała, tym mniej była pewna, czy taki los jej wiary byłby rzeczywiście złem dla świata. Stare religie przecież wymarły, a jeśli jakieś imperium próbowało podbić cały świat i przegrywało w decydującym starciu, wtedy najczęściej rozpadało się w pył.

W swoich pracach Kirana wyjaśniała to bardzo przejrzyście. Budur wypożyczała je z klasztornej biblioteki i czytała z zafascynowaniem. Niektóre wydrukowano niemal dwadzieścia lat wcześniej, jeszcze

w trakcie wojny, kiedy Kirana była młodą dziewczyną. Z każdym przeczytanym zdaniem słyszała w głowie jej głos, to było jak stenopis z jej wykładu, lecz może nieco bardziej rozwinięty. Pisała na wiele tematów zarówno teoretycznych, jak i praktycznych. Całe woluminy jej zapisków z Afryki dotyczyły problemów z publiczną służbą zdrowia i praw kobiet. Budur otworzyła przypadkowo jeden z tomów i zaczęła czytać wykład skierowany do akuszerek w Sudanie:

Jeżeli rodzice dziewczynki nalegają i żadnym sposobem nie da się im tego wyperswadować, należy pamiętać, iż wolno odciąć tylko jedną trzecią łechtaczki, dwie trzecie należy pozostawiać nietknięte. Ktoś, kto dopuszcza się napaści na dziewczynę z nożem w ręce i

wycina jej całą łechtaczkę, postępuje wbrew słowom Proroka. Mężczyźni i kobiety to istoty równe w obliczu Boga, lecz gdy kobieta zostaje pozbawiona łechtaczki, jest wtedy niczym eunuch. Staje się oziębła i leniwa, wygasa w niej pożądanie, ciekawość świata i temperament, jest niczym błoto czy kawał szarego kartonu, bez wyrazu, bez iskry, bez wytyczonych celów, niczym kałuża z mętną wodą, pozbawiona życia. Jej dzieci będą nieszczęśliwe i jej mąż będzie smutny, a ona sama niczego dobrego w życiu nie doświadczy. Zatem ci z was, którzy kiedykolwiek staną przed koniecznością wykonania żeńskiego obrzezania, niech pamiętają: jedna trzecia do odcięcia, dwie trzecie zostaje! Jedna trzecia do odcięcia, dwie trzecie zostaje!

Z lekkim zaniepokojeniem Budur przerzuciła kilka stron. Po chwili otrząsnęła się i zaczęła czytać inny akapit:

Miałam zaszczyt uczestniczyć w powrocie Raizy Tarami z jej podróży do Nowego Świata, gdzie bratam udział w konferencji poświęconej sprawom kobiet, która odbywała się na Long Island w Yingzhou zaraz po zakończeniu wojny. Uczestnicy konferencji, którzy przybyli tam z całego świata, byli zaskoczeni, widząc kobietę z Nsary wykazującą się pełną świadomością i szczegółową wiedzą z zakresu omawianych zagadnień. Wszyscy spodziewali się prymitywnej istoty, żyjącej za murami haremu, pogrążonej w niewiedzy i zakrytej czadorem, lecz Raiza taka nie była, prezentowała ten sam poziom co jej siostry z Chin, Birmy, Yingzhou i Trawankoru, a prawdę mówiąc, może nawet i wyższy, gdyż trudne warunki panujące w domu zmusiły ją do przeprowadzania

teoretycznych dociekań, które często wybiegały daleko w przód.

Godnie nas tam więc reprezentowała, a w drodze powrotnej do Firanii ostatecznie dotarło do niej, że to czador byt największą przeszkodą na drodze rozwoju muzułmańskich kobiet, gdyż oznaczał on ich utożsamianie się z całym panującym systemem. Należało zerwać czador, żeby reakcjonistyczny system padł. Tak też kiedy jej statek zawinął do portu w Nsarze, na spotkanie jej wyszły koleżanki z instytutu, a ona stanęła przed nimi z odsłoniętą twarzą. Jej najbliższe współpracowniczki od razu zdjęły swoje czadory. Wokół było słychać coraz głośniejsze oznaki dezaprobaty, a po chwili rozległy się krzyki i zaczęły przepychanki. Coraz więcej kobiet w tłumie zrywało z siebie czadory i ciskało je na ziemię na znak solidarności z tymi, które pierwsze się na to zdobyły. To była cudowna chwila. Po tym wydarzeniu czador zaczął znikać z Nsary w oszałamiającym tempie. Wystarczyło kilka lat, żeby zrywanie czadorów rozprzestrzeniło się na cały kraj. W ten sposób usunięto pierwszą cegłę z muru, wznoszonego przez reakcjonistów, a o Nsarze zrobiło się głośno, jako o liderze tych przemian, a ja miałam dużo szczęścia, mogąc osobiście w nich uczestniczyć.

Budur wzięła głęboki wdech i zaznaczyła ten akapit, zamierzając przeczytać go swoim niewidomym żołnierzom. Mijały kolejne tygodnie, a ona czytała dalej i brnęła przez kolejne tomy esejów i wykładów Kira-ny, co było dość wyczerpującym doświadczeniem, jako że kobieta nigdy się nie wahała przed otwartym atakiem i obszerną krytyką wszystkiego, co jej nie pasowało. A do tego, jakie miała życie? Budur wstydziła się zarówno swojego dzieciństwa i

młodości spędzonych w izolacji, jak i tego, że mając dwadzieścia trzy lata, już prawie dwadzieścia cztery, niczego w życiu nie dokonała. Zanim Kirana Fawwaz osiągnęła ten wiek, zdążyła już kilka lat spędzić w Afryce, walcząc na froncie i pracując w szpitalach polowych. Miała do odrobienia tyle straconego czasu!

Budur czytała też lektury, których Kirana im nie zadawała. O chińsko-muzułmańskich kulturach, zajmujących niegdyś centralną Azję, które przez wiele stuleci próbowały pogodzić zwaśnione cywilizacje. Ludzie ci uwiecznieni byli na starych i zniszczonych fotografiach w niektórych książkach: Chińczyk z wyglądu, z wyznania muzułmanin, używający języka chińskiego, lecz przestrzegający prawa islamu. Aż trudno uwierzyć, że tacy ludzie kiedyś istnieli. Chińczycy zgładzili większość z nich podczas wojny, a pozostałych wygnali za Dahai na pustynie i do dżungli Yingzhou, a także do państwa Inków, gdzie zaprzęgano ich do pracy w kopalniach i na plantacjach. Traktowano ich jak niewolników, mimo iż Chiny oficjalnie wyrzekły się niewolnictwa, nazywając je arabskim atawizmem. Jakkolwiek by tego nie nazwać, efekt był taki, że z północno-zachodnich prowincji Chin muzułmanie zniknęli prawie całkowicie. Najgorsze było to, że mogło to się zdarzyć praktycznie wszędzie.

Budur nabierała coraz silniejszego przekonania, że za którykolwiek rozdział historii by się nie wzięła, będzie on przygnębiający, obrzydliwy, przerażający i okropny, chyba że czytała o historii Nowego Świata, gdzie Hodenosaunee i Nawaho udało się stworzyć cywilizację zdolną oprzeć się Chińczykom,

nadchodzącym z zachodu, i Firańczykom, uderzającym od wschodu. Oczywiście nie ominęły ich też katastrofy, jak na przykład plagi i zarazy, które nawiedzały ich w dwunastym i trzynastym wieku, siejąc ogromne spustoszenie wśród tamtejszej ludności, która zdziesiątkowana musiała ukrywać się w centralnej części wyspy. Mimo iż zostało ich wówczas niewielu, udało im się przetrwać i dostosować do nowych warunków. Nadal pozostawali otwarci na zagraniczne wpływy i wplatali w swoje ligi kolejnych, nowych członków. Chętnie przechodzili na buddyzm, sprzymierzając się z Ligą Trawankorską, leżącą po drugiej stronie świata, której zresztą pomagali się kształtować, służąc własnym przykładem i doświadczeniem. Krótko mówiąc, znów rośli w siłę, choć żyli w ukryciu, w swoich dzikich twierdzach z dala od obu wybrzeży i od całego Starego Świata. Być może właśnie to im pomogło. Przejmowali od innych to, co użyteczne, resztę odrzucali i od zawsze powierzali władzę swoim kobietom. Teraz, kiedy Długa Wojna obróciła w ruinę Stary Świat, oni nagle stali się nowym gigantem o transoceanicznym zasięgu, reprezentowanym przez pięknych i smukłych ludzi, takich jak Hanea czy Ganagweh, które przechadzały się po ulicach Nsary w długich futrach lub płaszczach z impregnowanej skóry i kaleczyły język firański z właściwą sobie przyjazną powagą. Z tego, co Budur zdążyła się zorientować, wynikało, że Kirana nie poświęciła im zbyt dużo miejsca w swoich pracach, natomiast Idelba stale utrzymywała z nimi kontakt, a ostatnio nawet zaczęła wymieniać się z nimi tajemniczymi paczkami, które Budur zgodziła się przewozić tramwajem do

świątyni Hanei i Ganagweh na północnym wybrzeżu. Odbyła dla Idelby cztery takie kursy, sama nie pytając o nic, a od ciotki uzyskując zdawkowe informacje. Po raz kolejny, podobnie jak w Turi, Budur miała wrażenie, że Idelba wie o rzeczach, o których reszta ludzi nie ma najmniejszego pojęcia; doprawdy wiodła skomplikowane życie. Czasem przy ich bramie pojawiali się mężczyźni. Niektórzy adorowali ją w romantyczny sposób, a jeden walił kiedyś pięścią w zamknięte drzwi i krzyczał pijanym głosem: “Melbo! Kocham cię! Wyjdź proszę!", a następnie śpiewał dla niej piosenki w języku, którego Budur nie rozpoznawała, i pastwił się nad swoją gitarą. Idelba wówczas zamykała się w pokoju, a po godzinie wychodziła, udając, że nic się nie stało. Innym razem znikała na wiele dni z rzędu, po czym wracała, czasem ze zmarszczonym groźnie czołem, czasem wesoła, a czasem wzburzona - jednym słowem, miała bardzo skomplikowane życie, a do tego w większości prowadziła je w tajemnicy.

12.

- Zgadza się - odpowiedziała Kirana na pytanie Budur o Hodenosaunee, których grupa przechodziła właśnie obok ogródka kawiarnianego, gdzie kobiety spędzały popołudnie - oni rzeczywiście mogą być nadzieją dla ludzkości. Sądzę jednak, że nie rozumiemy ich jeszcze na tyle dobrze, aby stwierdzić to z całą pewnością. Kiedy proces przejmowania przez nich władzy nad światem dobiegnie końca, wtedy będziemy mogli powiedzieć więcej.

- Przez tę całą historię zrobiłaś się bardzo cyniczna - zauważyła

Budur. Kolano Kirany znów ciasno przylgnęło do uda Budur, która pozwalała na to, lecz jednocześnie w żaden znaczący sposób nie zareagowała. - Albo, mówiąc dokładniej, to, co widziałaś w trakcie swoich podróży i czego doświadczyłaś w całej swojej karierze naukowej, zrobiło z ciebie pesymistkę.

- Wcale nie - odrzekła Kirana, zapalając papierosa i wskazując na niego, po czym dodała mimochodem: - widzisz, jak nas uzależnili od tego zielska? Tak czy inaczej nie jestem pesymistką, raczej realistką, pełną nadziei, ha, ha! Przeciwności widać wszędzie, jeśli tylko ma się odwagę spojrzeć. - Wykrzywiła twarz, zaciągając się papierosem. -Wybacz, znów mam skurcze. O, już! Dotychczasowa historia przypomina mi nieco menstruację: w załomach codziennego życia ukryte jest jajo wszelkiej możliwości, hordy mikroskopijnych barbarzyńców próbują wtargnąć do środka i odnaleźć je, lecz nie udaje im się to, więc walczą między sobą. Ostatecznie wszyscy tracą szansę w obfitej, krwawej jatce i wszystko zaczyna się od nowa.

Budur roześmiała się, wstrząśnięta i rozbawiona zarazem. Nigdy wcześniej sobie tego tak nie wyobrażała.

Kirana uśmiechnęła się przebiegle, widząc jej reakcję.

- Czerwone jajo - powiedziała - krew i życie - jej kolano jeszcze mocniej przywarło do nogi Budur. - Pytanie brzmi, czy hordom plemników kiedykolwiek uda się odnaleźć jajo? Czy jednemu z nich uda się wyrwać do przodu, zapłodnić je i uczynić świat brzemiennym? Czy kiedyś w końcu narodzi się prawdziwa cywilizacja? Czy też historia skazana jest na pozostanie bezpłodną

starą panną!

Kobiety roześmiały się w głos, lecz tylko Budur z wyraźnym skrępowaniem.

- No cóż, chyba musi sobie najpierw znaleźć odpowiedniego partnera - odrzekła nieśmiałe.

- Zgadza się - powiedziała Kirana z emfazą, a kąciki jej ust uniosły się nieznacznie. - Może Marsjan?

Budur przypomniała sobie “praktyki pocałunków" prowadzone przez kuzynkę Yasminę. Kobiety zakochane w kobietach, kobiety kochające się z kobietami. Było to dość powszechne w zawiji, jak i pewnie wszędzie indziej. W końcu zarówno w Nsarze, jak i na całym świecie było o wiele więcej kobiet niż mężczyzn. Na ulicach Nsary czy w kawiarniach trudno było uświadczyć trzydziesto-, czterdziestoletnich mężczyzn, a ci, których się widywało, sprawiali wrażenie nawiedzonych lub co najmniej podejrzanych, bujających w obłokach palonego opium i świadomych swojej udanej ucieczki przed przeznaczeniem. To wszystko jednak na nic. Całe pokolenie mężczyzn zostało unicestwione, więc teraz wszędzie widywało się pary kobiet. Chodziły za rękę, mieszkały wspólnie w zawijach i w piętrowych domach bez wind. Od czasu do czasu Budur słyszała ich odgłosy w zawiji, w łaźni, w toalecie i na korytarzach, kiedy późną nocą wracały z miasta. Było to częścią ich życia, bez względu na to, co mówili ludzie. Ze dwa razy Budur sama uczestniczyła w haremowych zabawach, urządzanych przez Yasminę. Yasmina lubiła czytać na głos romantyczne powieści, słuchać audycji i tęsknych piosenek, które na falach radiowych

płynęły do niej prosto z Wenecji. Później spacerowała po dziedzińcu, śpiewała w świetle księżyca i wyobrażała sobie, że w tych chwilach podgląda ją z ukrycia mężczyzna, który za chwilę przeskoczy przez mur i porwie ją w ramiona. Niestety, w okolicy nie było mężczyzny. Spróbujmy poćwiczyć razem, jak to jest, szeptała matowym głosem do ucha Budur, żebyśmy wiedziały, co robić, kiedy... Zawsze wypowiadała te same słowa, a potem całowała namiętnie usta Budur i przywierała do niej swoim ciałem, a zanim Budur zdążyła się otrząsnąć, już czuła, jak namiętność przelewała się w jej usta, niczym energia ki, przekazywana wprawną dłonią uzdrowiciela. Odwzajemniając pocałunek, zastanawiała się: czy kiedy spotkam się z mężczyzną, moje serce też będzie tak mocno bić? Czy to możliwe?

Kuzynka Rima miała jeszcze większą wprawę. Nie była jednak tak namiętna jak Yasmina i, podobnie jak Idelba, raz była zamężna, a później zamieszkała w zawiji w Rzymie. Zwykle stała z boku i patrzyła na nie swoim chłodnym wzrokiem: nie, nie tak. Spójrz, musisz stanąć albo usiąść okrakiem nad nogą mężczyzny, którego całujesz, i mocno przycisnąć swoją kość łonową do jego uda. To sprawi, że on oszaleje. W ten sposób zamyka się obieg i ki zaczyna płynąć w was obojgu, jak w dynamie. Kiedy same spróbowały, nie miały już żadnych wątpliwości. W takich chwilach Yasmina oblewała się rumieńcem i zawodziła mało przekonującym tonem, że nie, że tak nie wolno, że to jest złe, na co Rima tylko parskała śmiechem i mówiła, że w haremach na całym świecie to zupełnie normalne. Oto, jak głupi są mężczyźni, oto, jakimi prawami od zawsze rządził

się świat.

Teraz więc, w odmętach nocy, w tej nsareńskiej kafejce, Budur odwzajemniła dotyk Kirany, przyciskając do niej swoje kolano, w znany jej sposób, który był zarazem przyjazny i neutralny w swojej wymowie. Od tamtego czasu po wykładach zawsze starała się wychodzić z sali razem z innymi studentami i unikać spojrzenia Kirany, kiedy ta patrzyła jej prosto w oczy. Za to w każdej innej chwili wodziła za nią wzrokiem, sama nie wiedząc dlaczego. Może dlatego, że nie była pewna, jak wpłynęłoby to na jej studia i na jej życie, gdyby zareagowała wówczas bardziej pozytywnie i zaangażowała się w to, czymkolwiek mogłoby to być, poza pocałunkami i pieszczotami. Seks w postaci, którą znała, był tylko najbardziej bezpośrednim elementem relacji, a co z całą resztą? Nie była pewna, czy chce się wiązać ze starszą i tak emocjonalną kobietą, która była jej nauczycielką i nadal w pewnym sensie obcą osobą. Z drugiej strony, świat pozostałby na zawsze nieznany, gdybyśmy się w nic nie angażowali.

13.

Kirana i Budur stały obok siebie na przyjęciu, odbywającym się na zatłoczonym patio, z którego roztaczał się widok na rzekę Liwaya, tuż przed miejscem, gdzie jej koryto przechodziło w szerokie estuarium. Ich ramiona ledwo się stykały, niby przypadkiem, jak gdyby tłum gromadzący się wokół możnego patrona sztuk i filozofa Tahara Labida był tak duży, że po prostu musiały stać tak, a nie inaczej, aby móc spijać nektar płynący z jego ust. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że był on potwornym gadułą i samochwałą,

człowiekiem, który powtarzał twoje imię za każdym razem, kiedy w trakcie rozmowy się do ciebie zwracał. Zaiste odpychające, jak gdyby próbował tobą zawładnąć lub po prostu usiłował, przy całym swoim solipsyzmie, zapamiętać, z kim prowadził dialog i do tego nigdy nie zauważał, że właśnie przez to ludzie mieli ochotę uciekać przed nim, jak najdalej się dało.

Po niejakiej chwili Kiraną wstrząsnął dreszcz, być może wywołany samouwielbieniem mówcy, które zbyt dobrze przypominało jej ją samą, aby mogła się odprężyć, więc poprowadziła Budur na stronę. Ujęła jej dłoń, całą wyblakłą i spękaną od ciągłego sprzątania, i rzekła:

- Powinnaś używać gumowych rękawic. Myślę, że w laboratorium mogliby zrobić jedną parę dla ciebie.

- Już je dostałam i nawet ich używam, ale czasami trudno w nich chwytać.

- Mimo wszystko...

Ta szorstka uwaga odnośnie stanu dłoni Budur padła z ust wielkiej intelektualistki i nauczycielki, w chwili gdy otoczył ją wianuszek słuchaczy, pytających ją o opinię na temat pewnej chińskiej feministki. Budur wsłuchiwała się w jej wyczerpującą wypowiedź, śledząc ruch jej warg, Kirana mówiła o początkach feminizmu, wywodzącego się od chińskich muzułmanów, a w szczególności od Kang Tongbi, która za namową męża, chińsko-muzułmańskiego uczonego Ibrahima Ibn Hassam, stworzyła podwaliny feminizmu, który następnie rozwijany był w głębi Chin przez wiele pokoleń chińskich kobiet, żyjących w późnym okresie

dynastii Qing. Większość z ich dokonań była oczywiście kwestionowana przez imperialnych urzędników, dopóki nie nadeszła Długa Wojna, która wszystkie dotychczasowe kodeksy postępowania rozpuściła w czystym racjonalizmie wojny totalnej. Żeńskie oddziały wojskowe i grupy pracownicze zakładów przemysłowych na całym świecie wypracowały sobie na tyle silną pozycję, że nawet najgorliwsze starania urzędników nie będą już w stanie ich jej pozbawić. Kirana potrafiła wyrecytować z pamięci listę żądań z okresu wojennego, sporządzoną przez Chińską Radę Żeńskich Pracowników Przemysłowych, i teraz właśnie to zrobiła:

- Równe prawa dla mężczyzn i kobiet, promocja edukacji wśród kobiet i budowa ośrodków temu służących, poprawa pozycji kobiet w rodzinie, monogamia, swoboda zamążpójścia, otwarcie możliwości rozwoju zawodowego, prawny zakaz konkubinatu, kupowania i sprzedawania kobiet i ich okaleczania, naprawa sytuacji politycznej kobiet,

reforma prostytucji. - Brzmiało to jak najdziwniejsza na świecie pieśń, mantra lub modlitwa. - Zwróćmy uwagę, że chińskie feministki uważały się za bardziej dyskryminowane niż kobiety z Trawankoru czy z Yingzhou. Z kolei trawankorskie feministki twierdziły, że wszystkiego nauczyły się od sikhów, którzy swą wiedzę czerpali z Koranu. My tymczasem skupiamy się na kontekście chińskim. Widzicie więc sami, że w każdym z tych przypadków mamy do czynienia z indywidualnym procesem stawania na własne nogi, w którym wszyscy uważają, że w innych krajach na pewno jest lepiej niż we własnym, dlatego należy

nieustannie walczyć, aby dorównać światowym wzorcom... - Kirana mówiła bez najmniejszego zająknięcia, splatając w genialny sposób najważniejsze wątki trzech ostatnich stuleci. Budur zaciskała w pięści swoje białe i wyschnięte dłonie, myśląc: ona cię pragnie, ona pragnie, aby twoje dłonie były zadbane, ponieważ jeśli wszystko pójdzie po jej myśli, dłonie te będą ją pieściły.

Budur oddaliła się samotnie, czując zamęt w głowie. Na jednym z tarasów dostrzegła Hasana, więc weszła na górę, aby dołączyć do grupy jego znajomych, wśród których znajdował się Naser Szah i czcigodna staruszka z wykładów Kirany, która rozglądała się dokoła, jakby brakowało jej nieodłącznej robótki ręcznej. Okazało się, że byli rodzeństwem, a ona gospodynią tego przyjęcia. Nazywała się Zainab Szach i była kobietą dość szorstką w obejściu, jak zorientowała się Budur, kiedy w końcu ją przedstawiono. Hasan natomiast był przyjacielem rodziny i łączyło ich to, że znali Kiranę od lat i wielokrotnie uczestniczyli w jej zajęciach, o czym Budur dowiedziała się od Nasera, kiedy wkoło wywiązały się ożywione rozmowy.

- Martwi mnie to, że brak mu charakteru i wykazuje się strasznie wąskim horyzontem intelektualnym, co z niego za prawnik...

- Dlatego właśnie pracuje przy wypełnianiu wniosków...

- Pracuje? Dla kogo? Przecież on pracował dla duchowieństwa.

- W każdym razie marny z niego pisarz.

- Tradycyjnie Koran przeznaczony był do recytowania i słuchania w języku arabskim, jest jak muzyka, a on jest cudownym poetą. Musisz kiedyś z nami pójść do meczetu i posłuchać.

- Nigdzie nie pójdę. To miejsce dla ludzi, którzy mają ambicje twierdzić, że są lepsi od innych, bo wyznają wiarę w Allaha. Wyrzekam się czegoś takiego, moim meczetem jest cały świat.

- Religia jest jak domek z kart, wystarczy dotknąć pewnych faktów, aby cała konstrukcja legia w gruzach.

- Bystra uwaga, ale całkowicie nieprawdziwa, jak zresztą większość twoich aforyzmów.

Budur zostawiła Nasera i Hasana i podeszła do długiego stołu, zastawionego przekąskami i kieliszkami z białym i czerwonym winem. Podsłuchiwała toczące się dokoła rozmowy i spróbowała marynowanego śledzia z krakersami.

- Słyszałem, że rada ministrów musiała się płaszczyć przed własną armią, aby powstrzymać ją przed wtargnięciem do skarbca, więc ostatecznie wyszło na to samo...

- ...sześć loka, odpowiada różnym częściom mózgu, odpowiedzialnym za różne rodzaje rozumowania. Poziom zwierząt to móżdżek, poziom zgłodniałych duchów to układ limbiczny, plan ludzkiej egzystencji to płaty odpowiedzialne za mowę, plan asurów to kora piatów czołowych, a plan boski to most łączący dwie półkule mózgu, który w momencie aktywacji daje nam wgląd w wyższą rzeczywistość. To naprawdę zdumiewające, potrafić rozwiązywać najtrudniejsze problemy jedynie za pomocą introspekcji...

- Ale to dopiero pięć, czym zatem jest piekło?

- Piekło to ludzie.

- .. .jestem pewny, że nie mają aż tylu partnerów.

- Kontrolują oceany, mogą więc się u nas zjawić, kiedy tylko będą chcieli, my natomiast musimy prosić ich o zgodę na wejście na ich tereny, więc...

- Więc powinniśmy dziękować naszej szczęśliwej gwieździe. Przecież chcemy, żeby nasi generałowie byli możliwie najsłabsi.

- Racja, ale bez przesady. Żeby się później nie okazało, że wpadliśmy z deszczu pod rynnę.

- ...to dość popularne twierdzenie, że wiara w reinkarnację obiega cały świat, przechodząc z jednej kultury do drugiej i znajdując swoje miejsce wśród tych najbardziej uciemiężonych.

- A może wiara ta wędruje razem z tymi kilkoma duszami, które wciąż odradzają się na nowo, myślałeś kiedyś o tym w ten sposób?

- ...niczym kolejne roczniki studentów. Jest w tym coś z wewnętrznego przymusu. Niczym wymiana przyjaciół czy coś w tym rodzaju. Smutne, ale w końcu studenci muszą swoje wycierpieć, więc trudno im tak naprawdę współczuć...

- Cała historia potoczyłaby się inaczej, gdyby...

- No właśnie, gdyby co?

- Gdybyśmy podbili Yingzhou, kiedy była ku temu okazja.

- On jest prawdziwym artystą, nie tak łatwo jest pracować z zapachami, każdy z nas ma własne skojarzenia, a jednak jemu udaje się dotrzeć do tych, które drzemią najgłębiej. To przecież węch, ze wszystkich zmysłów, najsilniej związany jest z pamięcią. On to znakomicie wykorzystuje. To przejście od wanilii przez kordyt do jaśminu... oczywiście to tylko zapachy podstawowe, a każda woń, jak sądzę, jest mieszanką wielu innych. Cóż za postęp, doprawdy,

porywające...

W pobliżu stołu z napojami stał znajomy Hasana o imieniu Tristan i grał na dziwnie nastrojonej lutni oud. Delikatnie trącał struny, wydobywając z instrumentu monotonne brzmienie prostych akordów i śpiewał w jednym ze starożytnych języków Franków. Budur popijała białe wino z kieliszka i obserwowała jego grę, starając się nie słuchać tych wszystkich rozmów, które trwały dookoła. Muzyka zaciekawiła ją, glos mężczyzny unosił się miarowo w powietrzu, a jego czarne wąsy okalały mu usta. Przez chwilę spojrzeli sobie w oczy, on uśmiechnął się ukradkiem. Pieśń dobiegła końca i rozległy się niemrawe oklaski, po czym muzyka otoczyła grupa ludzi, chcących zadać mu pytanie. Budur podeszła bliżej, aby móc wysłuchać odpowiedzi. Po chwili przyłączył się do nich Hasan, tak więc teraz Budur stała obok niego. Tristan odpowiadał krótkimi, urwanymi zdaniami, jakby się czegoś wstydził. Nie chciał rozmawiać o swojej muzyce i może dlatego od razu spodobał się Budur. Z tego, co mówił, wynikało, że pieśni pochodziły z Francji, z Nawarry i z Prowansji, z trzeciego i czwartego wieku. Ludzie prosili, aby jeszcze zagrał, lecz on tylko wzruszył ramionami i odłożył oud do futerału. Nie wytłumaczył się ze swojej decyzji, ale Budur pomyślała, że chodziło po prostu o zbyt duży gwar panujący na przyjęciu. Do stolika z napojami zbliżał się Tahar wraz z otaczającym go wianuszkiem rozmówców.

- Przecież ci powtarzam, Vika, cała rzecz polega to na tym...

- ...to wszystko zaczęło się w Samarkandzie...

- Ale żeby aż tak wszystkich rozczarować? -Właśnie tamtego dnia, wszystko się zaczęło...

- Czy ty, Vika, nie cierpisz przypadkiem na chwilową utratę słuchu? -Ale posłuchaj mnie...

Budur odłączyła się od tłumu i czując zmęczenie przyjęciem i gośćmi, wyszła. Na przystanku przeczytała rozkład jazdy. Następny tramwaj odchodził dopiero za niecałe dwie godziny, więc postanowiła pójść piechotą, wzdłuż rzeki. Zanim dotarła do centrum miasta, poczuła, że sam spacer sprawiał jej ogromną przyjemność, więc poszła dalej, w stronę mola, i minąwszy sklepy rybne, wyszła na otwartą, wietrzną przestrzeń,

gdzie molo przechodziło w asfaltową drogę, trzeszczącą ponad zielonymi głazami, które wyrastały z chlupoczącej wokół nich, oleistej wody. Zapatrzyła się w niebo i w jednej chwili poczuła przypływ radości, jakby nagle obudziła się w niej natura dziecka. Była to radość, przy której wszelkie zmartwienia bladły i oddalały się, niczym cienie chmur na granatowej tafli oceanu. I pomyśleć, że mogła spędzić całe swoje życie i nigdy nie ujrzeć oceanu!

14.

Pewnej nocy w zawiji przyszła do niej Idelba.

- Budur, pamiętaj, że nie wolno ci z nikim rozmawiać o tym, co ci opowiedziałam o alactinie, i o tym, co oznaczałoby jego rozszczepienie.

- Oczywiście, ciociu, ale dlaczego znów mi o tym mówisz?

- No cóż... Wszystko wskazuje na to, że zostaliśmy objęci pewnego rodzaju nadzorem. Najwyraźniej inicjatywa pochodzi od

jakiejś komórki rządowej, wydziału bezpieczeństwa czy czegoś w tym rodzaju. Nie do końca wiadomo, ale tak czy inaczej, musimy być bardzo ostrożni.

- Dlaczego nie pójdziecie z tym na policję?

- No cóż... - Idelba mówiła o wiele ciszej i wolniej - policja jest częścią wojska. Tak jest od czasu wojny i jak dotąd się to nie zmieniło, więc wolimy nie ściągać na siebie żadnej zbędnej uwagi.

Budur wskazała ręką dookoła.

- Ale tutaj chyba nic nam nie grozi? Żadna kobieta w zawiji nie zdradziłaby przecież swojej współlokatorki, prawda?

Idelba wbiła w nią wzrok, upewniając się, czy dziewczyna mówi poważnie.

- Nie bądź naiwna - odezwała się po chwili, już nie tak delikatnym tonem jak wcześniej, po czym klepnęła Budur w kolano i poszła do toalety.

Nie była to jedyna chmura, która w owym czasie przysłoniła radość Budur. W całym Dar al-Islam wiadomości prasowe emanowały niepokojem, a do tego szalała inflacja. Zbrojne przewroty w Skandistanie, nad Wełtawą, w al-Alemand i w Tyrolu, bardzo blisko Turi, zaalarmowały cały świat w stopniu nieproporcjonalnym do wielkości zagrożenia, które ponoć zdradzało odradzającą się agresję muzułmanów. Zaczęto oskarżać cały islam o łamanie zobowiązań, narzuconych mu na powojennej konferencji w Szanghaju, jak gdyby islam byt jednorodną i niepodzielną bryłą - śmieszny pomysł, nawet w obliczu wojny. Chiny, Indie i Yingzhou wzywały do nałożenia sankcji i embarga. Skutki tych gróźb dało się

wyczuć w Firanii niemal od razu: podskoczyła cena ryżu, później ziemniaków, syropu klonowego i kawy. Zaczęło się gromadzenie zapasów, stare wojenne zwyczaje znów zagościły w codziennym życiu i kiedy trwał niepohamowany wzrost cen, podstawowe artykuły spożywcze znikały ze sklepowych półek chwilę po dostawie. To samo działo się w przypadku innych dóbr. Ciułanie zapasów było bardzo zaraźliwe, upośledzało ludzką mentalność, odbierało nadzieję i wiarę w zdolność systemu do zapewnienia ludziom godziwego bytu, a jako że system rzeczywiście załamał się pod koniec wojny, niektórzy gromadzili zapasy już po pierwszej wzmiance o ewentualnym zagrożeniu. Przyrządzanie posiłków w zawiji stało się prawdziwym egzaminem z pomysłowości. Kobiety często jadły zupę ziemniaczaną przyprawianą na różne sposoby, aby zachować jako taki smak, jednak jeszcze częściej musiały ją porządnie rozcieńczać wodą, aby każda osoba przy stole dostała choć jedną czarkę gorącego płynu.

Tylko życie kawiarniane zdawało się toczyć dawnym rytmem, choć czasem dało się wyczuć odmianę w tonie głosu bywalców lokali. Ich oczy wydawały się bardziej błyszczące, śmiech donośniejszy, a pijaństwo coraz bardziej powszechne. Również opium stało się towarem deficytowym, podlegającym chomikowaniu. Ludzie chodzili po ulicach, pchając przed sobą taczki pełne papierowych pieniędzy, lub wyjmowali z portfela banknoty o nominale pięciu bilionów drachm, które niedawno przyjechały z Rzymu, i śmiali się, że to za mało, żeby móc zapłacić za filiżankę kawy. W gruncie rzeczy, nie było w tym nic śmiesznego.

Z każdym tygodniem ceny były coraz wyższe i nic nie wskazywało, aby coś miało się zmienić. Ludzie śmiali się ze swojej bezsilności. Budur chodziła teraz do kawiarni rzadziej niż zwykle. Chciała zaoszczędzić trochę pieniędzy i uniknąć kolejnego spotkania sam na sam z Kiraną. Czasami chodziła z Pilalim do innego rodzaju knajp, w których pojawiała się nieco bardziej obszarpana klientela. Pilali i jego kompani, wśród których pojawiał się czasem Hasan ze swoim przyjacielem Tristanem, najwyraźniej gustowali w takich niewybrednych miejscach, odwiedzanych regularnie przez dalekomorskich marynarzy i przybrzeżnych rybaków. Całą zimę, podczas której gęste mgły unosiły się nad ulicami miasta niczym pozbawiony grawitacji deszcz, Budur spędziła, wsłuchując się w opowieści o Yingzhou i o burzliwych wodach Atlantyku, najbardziej śmiercionośnego oceanu na świecie.

- Jesteśmy całkowicie zdani na łaskę innych - powiedziała gorzkim tonem Zainab Szach, robiąc na drutach przy stoliku w kawiarni, w której niegdyś spędzały razem więcej czasu - jesteśmy w podobnej sytuacji co Japonia, kiedy podbili ją Chińczycy.

- Musimy wychylić ten kielich goryczy - powiedziała Kirana. W przygaszonym świetle jej twarz wyglądała na pogodną i nieustraszoną.

- Do dna - rzekł Naser i usiadł w kącie, patrząc w deszcz za oknem. Strzepnął popiół z papierosa. - Nie powiem, żeby było mi przykro.

- W Iranie też się niczym nie przejmują - próbowała go pocieszyć Kirana - i posuwają się do przodu wielkimi krokami w wielu dziedzi-

nach nauki. Językoznawstwo, archeologia, fizyka, mechanika - mają od tego najlepszych ludzi.

Naser pokiwał głową, odwracając wzrok od okna. Budur dowiedziała się, że przeznaczył swój majątek na finansowanie takich właśnie działań, majątek wygnańca, który uciekał z niewyjaśnionych przyczyn - następny skomplikowany żywot.

Na zewnątrz rozszalała się ulewa. Pogoda zdawała się uzupełniać ich sytuację. Wiatr i deszcz uderzał w wielkie okna kawiarni Sułtanka i strugi wody sunęły w oszalałym tempie po taflach szklą, popędzane silnymi podmuchami wiatru. Stary żołnierz wpatrywał się w dym. Splecione smugi, białe i brązowe, zawijały się i meandrowały coraz wyżej. Pilali kiedyś zadał sobie trud opisania dynamiki owego leniwego ruchu oraz procesu powstawania deltowych strug deszczu na powierzchni szklą. Burzowe światło padło srebrną smugą na mokrą ulicę. Budur była szczęśliwa. Świat był piękny. Była taka głodna, że mleko, które dodała do kawy, było dla niej treściwym pokarmem. Światło pioruna było dla niej pokarmem. Pomyślała sobie: ta chwila jest piękna. Starzy Persowie są piękni, ich perski akcent cudowny. Odrzućmy przeszłość i przyszłość. Pers Omar Chajjam doskonale to rozumiał i między innymi dlatego tak bardzo nienawidzili go mułłowie:

Napełnijmy czary! Kłopotem najmniejszym jest to, że czas ucieka. Warto jutrzejszym dniem się martwić? Nie myśl też o wczoraj. Jeśli możesz, ciesz się słodkim dniem dzisiejszym. (Tłum. Janusz Krzyżowski)

Kiedy wszyscy wyszli, Budur została przy stole z Kiraną i

przyglądała się, jak kobieta zapisuje coś w brązowym notesie. Podniosła wzrok, była zadowolona, że Budur na nią patrzy. Przerwała pisanie, odpaliła papierosa i przez chwilę rozmawiały o Yingzhou i o Hodenosaunee. Wywód Kirany był, jak zwykle, meandryczny i fascynujący. Wynikało z niego, że to właśnie wczesny etap rozwoju cywilizacyjnego ludu Hodenosaunee, w momencie odkrycia go przez Stary Świat, zadecydował o jego przetrwaniu. Hodenosaunee byli zbieraczami i myśliwymi, ludźmi, którzy jako jednostki wykazywali się większą inteligencją niż mieszkańcy bardziej rozwiniętych cywilizacji, odróżniając się elastycznością od Inków, żyjących w niewoli surowej teokracji. Gdyby nie ich podatność na choroby przywleczone ze Starego Świata, Hodenosaunee już dawno by go podbili. Teraz mają okazję do nadrobienia straconego czasu.

Rozmawiały o Nsarze, o wojsku, o duchowieństwie, o medresie i klasztorze, o dzieciństwie Budur i o pobycie Kirany w Afryce.

Kiedy zamknięto kawiarnię, poszły do zawiji Kirany, do jej pokoju i gabinetu na poddaszu. Za zamkniętymi drzwiami rzuciły się na siebie, przewróciły na kanapę, całowały, tuliły i obejmowały. Kirana chwytała Budur tak mocno, że dziewczyna myślała, że pękną jej żebra. Jej ciało przeszło jeszcze jedną próbę, kiedy wygiął je w łuk silny, orgiastyczny skurcz.

Kiedy obie wyciszyły się, Kirana nadal trzymała głowę Budur w ramionach i uśmiechała się o wiele spokojniej niż zwykle.

- Teraz czas na ciebie.

- Ale ja już doszłam, ocierałam się o twoją łydkę.

- Znam o wiele milszy sposób.

- Nie, naprawdę nie trzeba, już sobie zrobiłam dobrze.

W tym momencie, z lekkim przerażeniem Budur zdała sobie sprawę, że Kirana nie zamierza pozwolić jej się dotknąć.

15.

Po tym wydarzeniu Budur czuła się dziwnie, przychodząc na zajęcia Kirany, zarówno w sali, jak i później w kawiarni. Ki-rana zachowywała się wobec niej tak jak zawsze, pewnie dla zachowania pozorów. Budur czuła, że to odrażające i smutne. W kafejce siadała teraz po przeciwnej stronie stołu i rzadko patrzyła jej w oczy. Kirana akceptowała to i wpuszczała się w rozmowę, toczącą się po jej stronie stolika. Dyskutowała jak zwykle zawzięcie, lecz jej mowa wydawała się teraz Budur nieco wymuszona i apodyktyczna, aczkolwiek nie traciła nic ze swej błyskotliwości.

Budur odwróciła się do Hasana, który opowiadał właśnie o Wy-spach Cukrowych, leżących pomiędzy Yingzhou a krajem Inków, gdzie każdego dnia paliłby opium i wylegiwał się na mlecznobiałych plażach lub pływał w turkusowych wodach, ciepłych niczym kąpiel w łaźni.

- Czyż to nie byłoby wspaniałe? - zapytał Hasan.

- Może w przyszłym życiu - rzuciła Budur.

- W twoim przyszłym życiu - parsknął Hasan, łypiąc na nią swoim przekrwionym okiem i mierząc ją sardonicznym spojrzeniem - no proszę, jak pięknie, że tak myślisz.

- Nigdy nic do końca nie wiadomo - odpowiedziała mu Budur.

- Racja. Może zrobimy sobie mały spacer i odwiedzimy Madame

Sururi. Dowiemy się, kim byliśmy w poprzednich życiach i porozmawiamy z naszymi przodkami, którzy nadal błądzą po bardo. Połowa wdów z Nsary robi takie rzeczy. Z pewnością jest to bardzo pocieszające. Jeśli się w to wierzy - ruchem dłoni wskazał na szklaną płytę, pod którą szli przechodnie w czarnych płaszczach i skuleni pod parasolami - wiem, że to głupie, ale większość z nas nie potrafi nawet prawidłowo przeżyć tego jednego życia, które ma.

Jedno życie. Budur miała pewne problemy z zaakceptowaniem tej myśli, mimo iż zarówno nauka, jak i wszystko dookoła, jasno wskazywały, że dysponujemy tylko jednym życiem i niczym innym poza nim. Kiedy Budur była małą dziewczynką, jej matka zwykła mawiać: “bądź grzeczna, bo wrócisz na świat jako ślimak", a na pogrzebach odmawiano modlitwy w intencji przyszłego żywota zmarłego, w których błagano Allaha o ofiarowanie jej lub jemu kolejnej szansy na poprawę. Teraz wszystko to negowano, kolejne żywoty, piekło i niebo, a nawet Boga - całą tę czczą gadaninę, te zabobony dawnych pokoleń, zatopionych w niewiedzy i układających mity, aby nadać rzeczom sens. Teraz żyli w świecie materialnym, który ewoluował w aktualną postać wskutek działań przypadku i praw fizyki. Ludzie zmagają się przez całe życie i umierają - oto, co zdołali nam objawić naukowcy w swoich pracach. Budur nigdy nie przeżyła niczego, co świadczyłoby, że jest inaczej. Widocznie więc tak było. Taka była rzeczywistość i należało się do niej dostosować albo żyć ułudą. Każdy człowiek musi sam się dostosować do samotności w kosmosie, do nakby, do głodu i niepokoju, do kawy i opium, do świadomości końca.

- Czy ja dobrze słyszałam, że sugerowaliście wizytę u Madame Sururi? - zapytała Kirana przez stół. - Świetny pomysł! Chodźmy! Będzie to niczym zajęcia z historii w terenie, niczym wizyta w miejscu, gdzie od setek lat ludzie żyją w niezmieniony sposób.

- Z tego co słyszałem, ta kobieta jest zabawną starą szarlatanką.

- Był u niej jeden mój znajomy i mówił, że się świetnie bawił.

Spędzili tu już stanowczo za dużo czasu, patrząc na te same popielniczki i czarne kółka od filiżanek z kawą, odciśnięte na blacie stołu, na te same delty strug deszczu na szybach. Założyli więc płaszcze, pozabierali parasole i udali się na przystanek tramwajowy linii numer cztery, jadącej w górę rzeki, w stronę ubogich dzielnic graniczących ze starą stocznią. Na rogach niewielkich zabudowań mieściły się małe maghrebskie sklepiki, a pomiędzy szwalnią i pralnią znajdował się ukryty przesmyk, prowadzący do pokoi ponad sklepami. Drzwi otworzyły się w chwili, gdy zapukali. Zaproszono ich do szerokiego przejścia, a stamtąd dalej do ciemnego pokoju, w którym stało kilka sof i okrągłych stolików - wnętrze wyglądało na zaadoptowany salon w starym i przestronnym mieszkaniu.

Trzech starych mężczyzn i osiem lub dziesięć kobiet siedziało na krzesłach. Byli zwróceni twarzami w stronę kobiety o kruczoczarnych włosach, która była młodsza, niż się Budur spodziewała, lecz nie wyglądała też dziecinnie. Nosiła cygańską szatę, na oczach miała grube cienie, a usta pociągnięte szminką i do tego mnóstwo taniej, sztucznej biżuterii. Do swoich wyznawców mówiła niskim, powolnym i skupionym głosem. Zrobiła przerwę i ruchem dłoni wskazała na wolne krzesła z tylu pokoju, lecz nie

odezwała się ani słowem.

- Za każdym razem, kiedy dusza przyobleka się w ciało - kontynuowała, kiedy już wszyscy zasiedli - jest tak, jak gdyby boski wojownik wkraczał na arenę życia, aby stoczyć bój z niewiedzą i z niegodziwością, aby objawić przed innymi swą wewnętrzną boskość i ustanowić rządy boskiej prawdy tu, na Ziemi i w ramach jej możliwości. Następnie, pod koniec wędrówki w danym wcieleniu, dusza powraca do swojego rejonu w bardo. W sprzyjających warunkach potrafię nawiązać kontakt z tymi rejonami.

- Jak długo dusza pozostaje w bardo, zanim znów powróci na świat? - zapytała jedna z trzech kobiet.

- To zależy od wielu czynników - odpowiedziała Madame Sururi. - Nie ma ujednoliconego schematu ewolucji wysoko rozwiniętych dusz. Niektóre najpierw są minerałem, a inne wywodzą się z królestwa zwierząt. Czasem też wszystko zaczyna się od końca i wtedy kosmiczni bogowie przybierają ludzką postać - pokiwała głową, jakby dobrze znany był jej ten fenomen - istnieje wiele różnych dróg.

- A więc to prawda, że mogliśmy być kiedyś zwierzętami?

- Owszem, to możliwe. Jeśli chodzi o ewolucję naszych dusz, to byliśmy już chyba wszystkim, łącznie ze skałami i roślinnością. To oczywiste, że nie sposób zmienić zbyt wiele w trakcie jednego życia, lecz w perspektywie wielu wcieleń można dokonać ogromnych przemian. Na przykład Budda ujawnił, że był kiedyś kozą, lecz jako że urzeczywistnił Boga w sobie, nie miało to najmniejszego znaczenia.

Kirana zdusiła nagłe parsknięcie i poprawiła się na krześle, aby zatuszować swoją reakcję. Madame Sururi nie zwracała na nią uwagi i mówiła dalej:

- Budda widział wszystkie swoje wcielenia. Niektórzy z nas również obdarzeni są tego rodzaju widzeniem, lecz on wiedział doskonale, że przeszłość nie jest ważna. Cel jest przed nami, a nie za naszymi plecami. Ludziom uduchowionym często mówię, że przeszłość to marność. I powtórzę to, ponieważ przeszłość nigdy nie da nam tego, czego pragniemy. Pragniemy urzeczywistnienia Boga oraz bliskości z tymi, których kochamy, a to zależy całkowicie od naszego wewnętrznego wołania. Musimy w końcu stwierdzić: “Nie mam przeszłości, rozpoczynam tu i teraz, z bożą łaską i własnymi aspiracjami".

Według Budur brzmiało to dość przekonywująco i w dziwny sposób trafiało prosto w jej serce. Czuła jednak wyraźnie, że w Kiranie wzbierał sceptycyzm i emanował od niej jak gorączka. I rzeczywiście, w pokoju robiło się coraz goręcej, jak gdyby ktoś ustawił na podłodze wiatrak ze spiralą ki i włączył go na wysokie obroty. A może to efekt wewnętrznego skrępowania Budur? Wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Kirany, miała wrażenie, że kobieta jasnowidz mówi dość ciekawie, a reakcja Kirany nie do końca była uzasadniona.

Podstarzała wdowa, mająca na sobie ozdobną broszę, jakie rozdawano im w środkowych dekadach wojny, zapytała:

- Kiedy dusza odnajduje ciało, w które zamierza wejść, czy wie, jakie życie ją czeka?

- Może dostrzegać jedynie pewne możliwości. Bóg wie wszystko, lecz zakrywa przed nami przyszłość, Bóg nie korzysta ciągle ze swej ostatecznej wiedzy, gdyby tak było, cała gra nie miałaby sensu.

Kirana siedziała z szeroko otwartymi ustami, co wyglądało, jakby za chwilę miała coś powiedzieć, lecz w ostatniej chwili Budur szturchnęła ją lekko.

- A czy dusza zapamiętuje szczegóły swoich poprzednich doświadczeń, czy też wszystko zapomina?

- Dusza nie musi wszystkiego pamiętać. To tak, jakby specjalnie zapamiętywać, co się jadło danego dnia lub jak smakowało jadło przygotowane dla ciebie przez twojego ucznia. Jeśli wiem, że uczeń był dla mnie miły i że mnie nakarmił, to w zupełności wystarczy, nie muszę znać przepisów na dania, którymi mnie częstował. Liczy się wrażenie z całego zdarzenia. W ten sposób dusza zapamiętuje różne rzeczy.

- Czasem z moją... z moją koleżanką medytujemy, wpatrując się sobie nawzajem w oczy, i kiedy tak trwamy w tym spojrzeniu, twarz drugiej osoby zaczyna się zmieniać. Czasem nawet zmienia się kolor włosów. Zastanawiam się, co to może znaczyć?

- To oznacza, że widzicie swoje poprzednie wcielenia. Aczkolwiek takie praktyki nie są wskazane. Załóżmy, że uda ci się spojrzeć dwa czy trzy żywoty wstecz i zobaczysz na przykład, że byłeś dzikim tygrysem? Co dobrego da ci ta wiedza? Powtarzam, przeszłość to marność.

- Czy twoi uczniowie... czy ktokolwiek z nas, tutaj

zgromadzonych, znał się z innymi w poprzednich wcieleniach?

- Tak. Zwykle podróżujemy w grupach i często na siebie wpadamy. Na przykład w tym pomieszczeniu znajduje się dwóch uczniów, którzy w tym wcieleniu są bliskimi przyjaciółmi i kiedy zaczęłam nad nimi medytować, okazało się, że w poprzednim wcieleniu byli biologicznymi siostrami, które żyły ze sobą bardzo blisko. Natomiast w jeszcze wcześniejszym żywocie, byli matką i synem. Tak to właśnie działa. Nic nie skryje się przed moim trzecim okiem. Kiedy choć raz ustanowi się więź duchowa między duszami, wtedy kontakt nigdy się nie urwie, a uczucie z nim związane tak naprawdę nigdy się nie zmieni.

- Czy możesz nam powiedzieć... czy mogłabyś nam powiedzieć, kim kiedyś byliśmy? Lub kto z nas związany jest tą więzią?

- Mówiąc to, nie wskazywałam na te dwie konkretne osoby, które siedzą wśród nas, lecz na tych dwojga, którzy są moimi prawdziwymi uczniami, udzieliłam im wewnętrznego przekazu, tak że teraz, w głębi swoich dusz oni już wiedzą. Oto moi prawdziwi uczniowie, oto ja ich przyjęłam, a oni mnie wybrali, osiągną spełnienie i całkowitą realizację już w tym wcieleniu bądź w przyszłym, lub w przeciągu kilku następnych. Niektórym uczniom zabiera to dwadzieścia inkarnacji, a czasem i więcej, wszystko z powodu bardzo słabego startu. Ci, którzy przyszli do mnie w swoim pierwszym czy drugim ludzkim wcieleniu, mogą zmagać się jeszcze przez setki żywotów, nim osiągną swój cel. Pierwsza i druga ludzka inkarnacja

- jest nadal pół człowiekiem, pół zwierzęciem. Wewnętrzna bestia

nadal okazuje się czynnikiem dominującym. Jakżesz oni mieliby osiągnąć urzeczywistnienie Boga w sobie? Nawet w Nsareńskim Ośrodku Rozwoju Duchowego, nawet pośród nas są uczniowie, którzy mają za sobą dopiero sześć czy siedem inkarnacji, na ulicach miast zaś widuję często Afrykańczyków czy przybyszów z innych zamorskich krajów, którzy ewidentnie przejawiają naturę bardziej zwierzęcą niż ludzką. Cóż mógłby guru począć z takimi duszami? Mógłby jedynie pomóc osiągnąć im wszystko.

- Czy możesz... czy mogłabyś nawiązać łączność z duszami, które odeszły? Czy to odpowiedni czas?

Madame Sururi odwzajemniła spojrzenie zadającej pytanie i odpowiedziała spokojnym i stonowanym głosem:

- Ależ one cały czas do was mówią, czyż nie? Nie możemy ich dziś tak publicznie przywoływać. Duchy nie lubią, kiedy się je eksponuje. Poza tym mamy dziś gości, którzy nie są jeszcze gotowi. A ja już jestem zmęczona. Mieliście okazję posłuchać, jak wspaniale jest mówić na głos słowa, które w duszy i w umyśle oznaczają to samo. Udajmy się teraz do jadalni i cieszmy się darami, które złożyliście. Posilimy się, wiedząc, że ci, których kochamy, mówią do nas z głębi naszych serc.

Przybysze z kawiarni porozumieli się jednym spojrzeniem i zdecydowali się wyjść, podczas gdy pozostali udali się do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie zamierzali popełnić zbrodnię kosztowania czyjegoś jadła, nie wyznając przy tym jego religii. Złożyli niewielką ofiarę w postaci kilku metalowych monet, które kobieta jasnowidz przyjęła z godnością, ignorując napięte spojrzenie Kirany i

odwzajemniając je czystym obliczem, bez śladu poczucia winy czy zażenowania.

Następny tramwaj mieli dopiero za połowę wachty, więc postanowili wracać na piechotę przez nadrzeczne dzielnice robotnicze, odgrywając przed sobą fragmenty rozmowy z medium i potykając się ze śmiechu. Kirana nie przestawała się śmiać, parskać i wyć, więc pewnie było ją słychać na drugim brzegu:

- Nic nie ucieknie przed moim trzecim okiem! Ale teraz wam nie powiem! Co za niewiarygodne bzdury!!!

Albo:

- Już wam wszystko powiedziałam moim wewnętrznym głosem, a teraz coś zjedzmy!

- Dwoje z moich uczniów było kiedyś siostrami, to znaczy siostrami kozami. Tylko taką wiedzę daje nam przeszłość! Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!

- Daj już spokój! - powiedziała ostrym tonem Budur. - Kobieta zarabia w ten sposób na życie. - Po czym zwróciła się do Kirany - ona mówi ludziom to, co chcą usłyszeć i za to jej płacą, czym to się różni, od twojej pracy? Ona przynajmniej sprawia, że czują się lepiej.

- Naprawdę?!

- Daje im coś w zamian za jedzenie. Mówi im, co chcą usłyszeć. Ty za to mówisz ludziom to, czego nie chcą słyszeć, nawet jeśli byś ich nakarmiła. Czy to jest o wiele lepsze?

- Oczywiście - powiedziała Kirana, chichocząc - cholernie sprytnie to ujęłaś! No więc proponuję taki układ! - krzyczała na całe gardło. -

Ja ci powiem coś, czego nie chciałabyś usłyszeć, a ty w zamian mnie nakarmisz!

Po tych słowach nawet Budur szczerze się roześmiała. I poszły już dalej razem, trzymając się pod rękę i śmiejąc w głos. Weszli do centrum miasta. Przestrzeń wypełniła się gwarem przechodniów i piskiem tramwajowych kół. Budur przyglądała się uważnie twarzom ludzi, wspominała obszarpane, fałszywe guru, chciwe i apodyktyczne. Kirana miała prawo się śmiać. Wszystkie mity, to tylko stare baśnie. Jedyna reinkarnacja jaka mogłaby nas czekać to możliwość obudzenia się kolejnego ranka. Nikt inny nigdy nie był tobą - ani tym tobą sprzed roku, ani tym, którym możesz być za dziesięć lat lub nawet jutro. Wszystko jest kwestią chwili obecnej, tej minimalnej, niewyobrażalnie małej cząstki czasu, która natychmiast staje się przeszłością. Pamięć bywa wybiórcza, tandetny, ciemny pokój w obszarpanej dzielnicy, rozświetlony blaskiem odległej błyskawicy. Kiedyś była dziewczyną z haremu dobrego kupca, lecz jakież miało to teraz znaczenie? Teraz była wolną kobietą, żyjącą w Nsarze, spacerującą nocami po mieście z grupą roześmianych intelektualistów - było tylko to i nic więcej. Sama się śmiała na myśl o tym, wydając z siebie dzikie, bolesne i brutalnie brzmiące okrzyki pełne radości graniczącej z wściekłością. Właśnie to zafundowała jej Kirana w zamian za jej jadło.

16.

W zawiji, w której mieszkały Budur i Idelba, pojawiły się trzy nowe kobiety. Trzy zwykłe kobiety, które przyniosły ze sobą zwykłe historie. Od razu wzięły się do pracy w kuchni, co by-

ło całkiem normalne w takich przypadkach, lecz Budur czuła się skrępowana, kiedy patrzyły na nią w sposób, w jaki nie spoglądały na siebie. Nadal nie mogła uwierzyć, że tak młode dziewczyny jak te mogłyby ją zdradzić, poza tym dwie z nich były dla niej bardzo miłe. W ich towarzystwie czuła się nieco sztywniej, niż by sama tego chciała, lecz nie zdarzało się, aby była dla nich nieuprzejma, przed czym przestrzegała ją Idelba, mówiąc, iż zdradzało to podejrzliwość. Był to dość wyrafinowany sposób prowadzenia towarzyskiej gry, do której Budur była całkowicie nieprzygotowana.... a może nie do końca całkowicie? Przypominało jej to trochę pozy, jakie musiała przybierać przed swoim ojcem i matką... bolesne wspomnienia. Teraz pragnęła, żeby wszystko było nowe, chciała być sobą, tak przed wszystkimi, twarzą w twarz, jak mawiali Irańczycy. Niestety, życie często oznaczało zgodę na przywdziewanie różnorakich masek. Na zajęciach u Kirany musiała być swobodna, a w kawiarniach nie mogła zwracać na nią większej uwagi, nawet jeśli siedziały ciasno obok siebie. Tym bardziej więc musiała zachowywać się po ludzku w stosunku do szpiegów.

Tymczasem w laboratorium po przeciwnej stronie placu trwały wytężone prace. Idelba i Pilali prawie codziennie wracali do domów późno w nocy, a do tego Idelba z dnia na dzień robiła się coraz poważniejsza, usiłując, jak zdawało się Budur, zatuszować swój niepokój bagatelizowaniem całej sytuacji.

- To tylko fizyka - odpowiadała na pytania Budur - próbuję rozwiązać pewne zagadnienie. Sama wiesz, jak fascynujące może być teoretyzowanie. Ale to przecież tylko teoria, nie to, co prawdziwe

problemy. - Wyglądało na to, że każdy na świecie przywdziewał maski, nawet Idelba, która wcale nie była w tym dobra, choć w jej sytuacji można by się spodziewać czegoś zupełnie innego. Teraz już Budur nie miała wątpliwości, że Idelba brała udział w grze o najwyższą stawkę.

- Czy chodzi o bombę? - zapytała niskim głosem Budur, kiedy pewnej nocy zamykały razem opustoszały budynek laboratorium.

Idelba bardzo krótko się wahała.

- Całkiem możliwe - wyszeptała, rozglądając się nerwowo dookoła. - Jest taka możliwość, więc proszę cię, z nikim o tym więcej nie rozmawiaj.

Przez kilka następnych miesięcy Idelba tak dużo pracowała i tak mało jadła, jak i zresztą pozostałe kobiety w zawiji, że w końcu zaniemogła i musiała położyć się do łóżka, co potwornie ją frustrowało, więc próbowała pracować, mimo iż słaniała się na nogach. W końcu

przeniosła swoje papiery do łóżka i odtąd, jeśli nie spała, z jej posłania dobiegało nieustanne skrobanie pióra wiecznego i stukanie suwaka logarytmicznego.

Kilka dni później, wczesnym popołudniem, kiedy Budur była w zawiji, zadzwonił telefon i zawołano po Idelbę, która zwlokła się na dół do korytarza, zawinięta w nocną koszulę. Po skończonej rozmowie wpadła z hukiem do kuchni i oznajmiła Budur, że chce z nią porozmawiać w swoim pokoju.

Budur poszła za nią, zdziwiona nieco szybkimi ruchami ciotki. Kiedy weszły do pokoju, kobieta zamknęła drzwi na zasuwę i

zaczęła zbierać na jedno miejsce wszystkie papiery, notatniki i bruliony, które ułożyła w jeden stos i wcisnęła do lnianej torby na książki.

- Możesz to dla mnie gdzieś schować? - zapytała z napięciem. - Myślę, że nie powinnaś wychodzić teraz na ulicę, zatrzymają cię i przeszukają... to musi być gdzieś w zawiji, ale nie w naszych pokojach, bo je pierwsze przeszukają Zresztą, pewnie będą szukać wszędzie. Nie potrafię ci nic podpowiedzieć - jej głos był niski, lecz ton zdradzał szaleństwo. Budur nigdy dotąd jej taką nie widziała.

- Kto taki?

- Nieważne, pośpiesz się, to policja, już tu jadą, ruszaj! Dzwonek na dole dzwonił i dzwonił.

- Niczym się nie przejmuj! - rzuciła Budur i zbiegła na dół do swojego pokoju. Rozejrzała się dokoła. Rewizja pokoju, rewizja domu. Rozglądała się dalej, przeglądając w myślach obrazy najróżniejszych kątów w budynku zawiji i zastanawiając się, czy Idelba miałaby coś przeciwko, gdyby Budur udało się jakimś sposobem zniszczyć zawartość tej torby - nie żeby obmyśliła już na to sposób, nie wiedziała przecież, jak ważne są zawarte tam informacje - może by się dało podrzeć wszystko i spuścić w toalecie?

Na korytarzu pojawili się ludzie, same kobiece głosy. Policja pewnie wysłała żeński oddział funkcjonariuszy, aby nie łamać zakazu wstępu mężczyzn do zawiji. A może to tylko działanie na postrach? Na zewnątrz było już słychać głosy mężczyzn, kłócących się ze starszyzną zawiji; kobiety tłoczyły się w korytarzu; rozległo się

głośne pukanie do drzwi pokoju Budur; przyszli do niej od razu, pewnie do Idelby też. Zawiesiła torbę na szyi, weszła na łóżko, jedną nogę postawiła na solidnej, żelaznej ramie ponad wezgłowiem i przywierając do ściany stanęła na jednej nodze, sięgając dłonią sufitu. Jeszcze raz energicznie się wyprężyła, stanęła na palcach i tanecznym gestem wypchnęła jeden kaseton sufitowy na drugą stronę. Potem już tylko wcisnęła kolano w róg ściany, chwyciła za krawędź powstałego nad nią otworu, podciągnęła się do góry i jednym zwinnym ruchem znalazła się na zakurzonym szczycie ściany działowej o szerokości mniej więcej dwóch stóp. Przykucnęła i po cichu umieściła kaseton z powrotem na miejscu, zamykając za sobą prześwit.

Budynek starego muzeum miał bardzo wysokie sufity, a w niektórych pomieszczeniach zamontowano szklane świetliki, które przykrywała gruba warstwa kurzu, zasłaniająca niemal cale światło. Siedząc tak w półmroku na krawędzi ściany, Budur miała widok z góry na podwieszane sufity kilku rzędów pokoi, otwarte przestrzenie korytarzy i grube linie właściwych ścian nośnych i działowych, które rozchodziły się we wszystkich kierunkach. Nie była to najlepsza kryjówka, znajdą ją od razu, wystarczy, że spojrzą do góry, idąc korytarzem.

Ściany działowe wieńczyły grube, koślawe belki, przybite do drewnianych ram, które po obu stronach obite były płytą gipsową. Na każdą ścianę przypadały więc dwie warstwy płyty. Gdyby tylko dało się choć trochę podnieść jedną z belek...

Przerzuciła torbę na plecy, ciężar ciała przeniosła na kolana i

dłonie, i ruszyła na czworaka, rozglądając się za prześwitem i unikając okolicy korytarzy, skąd każdy z łatwością mógłby ją dostrzec. Z tej perspektywy cały układ pomieszczeń w zawiji wyglądał jak niechlujna prowizorka, sklecona naprędce i bez rozmysłu. W końcu znalazła się w miejscu, gdzie zbiegały się trzy ściany. Belka jednej z nich była przycięta nieco krócej. Prześwit był za mały, żeby przepchnąć przezeń całą torbę, udało się jej jednak wpakować tam papiery luzem, a całość przykryć pustą torbą. Jeśli będą dociekliwi, to nawet ta kryjówka nie pomoże, choć było to najlepsze miejsce, jakie teraz przychodziło jej do głowy i prawdę mówiąc, była z niego całkiem zadowolona. Jeśli jednak znajdą ją tutaj, wszystko przepadnie. Zaczęła więc czołgać się dalej, najciszej jak tylko potrafiła. Zza pleców, z okolic jej pokoju, dobiegały głosy. Wystarczy, że wejdą na łóżko i uchylą kaseton... Nie słyszała natomiast, aby ktokolwiek korzystał w tej chwili z łazienki na tyłach domu. Poczołgała się więc w jej kierunku, rozcinając po drodze kolano o wystający gwóźdź. Uniosła jeden panel w suficie łaźni i zajrzała do środka. Pusto. Odsunęła panel na bok, usiadła na belce, zsunęła się w dół, próbując zawisnąć na rękach, i spadła, uderzając o kamienną posadzkę. Na ścianie została brunatna smuga kurzu zmieszanego z krwią. Jej kolana i piszczele były czarne, a dłonie znaczyły wszystko, czego się dotknęła, niczym krwawa dłoń Kaina. Zaczęła obmywać się przy umywalce, zdarła z siebie dżelabę i wcisnęła ją do kosza z brudną bielizną, z szafki wyciągnęła czyste ręczniki, jeden z nich zmoczyła, aby zetrzeć ze ściany ślady krwi. Na górze został odsunięty panel. W łaźni nie było

krzeseł, a z ziemi nie sięgała sufitu, więc ukradkiem wychyliła głowę na korytarz. Słychać było donośne głosy, między innymi zawzięcie protestującej Idelby, nikogo jednak nie było w zasięgu wzroku, więc przebiegła do sąsiedniego pokoju, zabrała krzesło, wróciła do łaźni, delikatnie stanęła na oparciu i szarpnęła za panel, przytrzaskując sobie palce. Uniosła panel drugą ręką, wyswobodziła dłoń i opuściła panel z powrotem na miejsce, krzesło zachwiało się i wysunęło spod niej, uderzając z łoskotem o sąsiednią ścianę, lecz jej tym razem udało się zeskoczyć miękko na ziemię. Wstała. Jeszcze jeden szybki rzut oka na korytarz, głosy były coraz bliżej, biegiem odniosła krzesło do drugiego pokoju i wróciła do pryszniców, gdzie odkręciła wodę i weszła do kabiny. Kiedy namydliła się, poczuła ostre pieczenie w miejscu zranienia. Długo i pieczołowicie szorowała obdarte kolana, wsłuchując się w głosy za drzwiami łaźni. W jednej chwili zmyłą z siebie mydło i zdążyła jeszcze owinąć się dużym ręcznikiem, kiedy do środka weszły kobiety. Dwie z nich nosiły mundury z okresu wojny i wyglądały jak żołnierze, których dawno temu Budur widziała na stacji kolejowej w Turi. Jej mina nie mogła wyrażać większego zdziwienia, aż przycisnęła mocniej do siebie ręcznik.

- Czy ty jesteś Budur Radwan? - zapytała jedna z policjantek.

- Tak. Czego chcecie?

- Chcemy z tobą porozmawiać. Gdzie byłaś przed chwilą i co robiłaś?

- Gdzie byłam? A jak myślisz, przecież widzisz, gdzie byłam! O co tu chodzi? Czego ode mnie chcecie? Dlaczego tak mnie

nachodzicie?

- Chcemy zamienić z tobą kilka słów.

- To może poczekajcie, aż się ubiorę, to wtedy porozmawiamy. Chyba nie zrobiłam nic złego i chyba mogę się ubrać, zanim zacznę rozmawiać ze swoją rodaczką?

- Jesteśmy w Nsarze - odparła jedna z nich. - A ty jesteś z Turi, czyż nie?

- To prawda, ale wszyscy żyjemy w Firanii! Tu, w zawiji, o ile mi wiadomo, mieszkają same porządne muzułmańskie kobiety!

. - Ubieraj się! - powiedziała umundurowana kobieta. - Mamy do ciebie parę pytań odnośnie tutejszych wydarzeń. Chodzi o zagrożenie bezpieczeństwa państwa. Gdzie masz swoje ubrania?

- Są w moim pokoju - odpowiedziała, prześlizgując się obok nich w drzwiach i zastanawiając się, pod którą dżelabą najlepiej ukryje krwawiące kolano. Jej krew była gorąca, lecz oddech spokojny. Czuła spokój i opanowanie, mimo to rósł w niej gniew, niewzruszony jak ciężki głaz wyrastający z dna zatoki, który zakotwiczał ją w jej własnym wnętrzu.

17.

Pomimo szczegółowej rewizji domu, nie udało się odnaleźć papierów Idelby, a po przesłuchaniach kobiet, policjantki wyszły z zawiji wzburzone i skonsternowane. Zawija wystosowała później pozew do sądu przeciwko policji za naruszenie ich prywatności bez stosownego nakazu i tylko obowiązujące prawo stanu wojennego o nie-jawności przewodów sądowych udaremniło wybuch wielkiego

skandalu w prasie. Sąd poparł decyzję policji o przeprowadzeniu rewizji, lecz jednocześnie zagwarantował zawiji prawo do prywatności. Po tych wydarzeniach wszystko pozornie wróciło do normy. Idelba już nigdy nie mówiła o swojej pracy ani nie pracowała w laboratoriach, które dotąd zajmowała, nie spędzała też już więcej czasu z Pilalim.

Budur wróciła do starej rutyny: domowych obowiązków, pracy, wizyt w kawiarni Sułtanka. Lubiła tam przesiadywać, zwrócona twarzą do dużego okna, wychodzącego na doki, las drewnianych masztów i stalowe superkonstrukcje. Wpatrywała się w światło latarni morskiej na końcu mola, podczas gdy rozmowy przyjaciół toczyły się nieprzerwanie wokół niej. Przy ich stole bardzo często gościli Hasan i Tristan, którzy siedzieli obok siebie jak dwa skałoczepy, odsłonięte przez odpływ i eksponujące w blasku księżyca swoje mokre skorupy. Dzięki swojej poezji i oratorskiej swadzie Hasan osiągnął pozycję, z którą, chcąc nie chcąc, należało się liczyć, i cala miejska awangarda, mniej lub bardziej entuzjastycznie, zgadzała się z tym faktem. Hasan zwykł mawiać o swojej reputacji z szelmowskim uśmieszkiem, przez co próbował umniejszać swoją wartość. W podobnie diabelski sposób uśmiechał się też, gdy przez chwilę okazywał swą wielkość w pełnej krasie. Budur lubiła go, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że pod pewnym względem był on bardzo niemiłą osobą. O wiele bardziej interesował ją Tristan i jego muzyka, nie tylko pieśni, jakich miała okazję posłuchać na przyjęciu na patio, lecz również większe i dłuższe formy, odgrywane przez zespoły, składające się nawet z dwustu muzyków, którym czasem

przewodził sam kompozytor na kundun, anatolijskim instrumencie w postaci pudełka z naciągiem strunowym i metalowymi sztabkami z boku, którymi zmieniało się brzmienie poszczególnych strun. Opanowanie gry na kundun wyglądało na diabelsko trudne wyzwanie. Tristan rozpisywał poszczególne partie każdego z instrumentów, notował każdy akord i każdą zmianę dynamiki i zapisywał każdy pojedynczy dźwięk. Podobnie jak w swoich pieśniach, również i w większych kompozycjach przejawiał zainteresowanie prymitywnymi tonacjami wymarłych chrześcijan. Były to w większości proste, harmoniczne współbrzmienia, posiadające jednak możliwość rozwinięcia się w bardziej wyrafinowane tonalności, które w strategicznych momentach utworu mogły powracać do swych pita-gorejskich pierwowzorów, w których lubowali się chrześcijanie, układając swoje chorały i pieśni liturgiczne. Zapisywanie każdej poszczególnej nuty i nakazanie członkom zespołu granie tylko i wyłącznie tego, co napisane na papierze, uchodziło powszechnie za akt zaawansowanej megalomanii. Muzyka zespołowa, choć posiadała ściśle ukształtowaną strukturę, wywodzącą się w linii prostej od tradycyjnych indyjskich rag, dopuszczała też element improwizacji przy wykonywaniu poszczególnych detali i wariacji, pozwalała tworzyć się na żywo, co czyniło ją jeszcze bardziej fascynującą, kiedy muzyk na przykład grał jednocześnie w ramach i poza tradycyjnymi prawami raga. Nikt nie zgodziłby się na szalone wymagania Tristana, gdyby nie efekt końcowy, którym, jak wszyscy zgodnie twierdzili, była przepiękna i znakomita muzyka. Tristan oczywiście tłumaczył, że dziwaczna

procedura wcale nie była jego pomysłem, w ten sposób muzykę tworzyła dawna cywilizacja. On tylko podążał tymi zapomnianymi ścieżkami. A w swoich snach i muzycznych zadumach wskazywał dobrą drogę zgłodniałym duchom dawnych muzyków. Stare, frankijskie utwory, które miał nadzieję wskrzesić, wywodziły się w większości z muzyki religijnej i dziękczynnej. Musiały zatem zostać odczytane i wykorzystane zgodnie ze swoim przeznaczeniem, jako muzyka świętych. Choć prawda była taka, że w hipereste-tycznych kręgach miejskiej awangardy to muzyka sama w sobie była święta, tak samo zresztą jak i inne sztuki, przez co wszelki jej opis stawał się zbędny.

Prawdą było również to, że traktowanie sztuki jak świętości często zaczynało się od palenia opium i picia laudanum. Niektórzy używali bardzo silnych destylatów opium, wynalezionych w czasie wojny, które Palili, lub nawet wstrzykiwali sobie nawzajem. Praktycy mówili, że to właśnie ten specyficzny stan snu na jawie czynił muzykę Tristana tak fascynującą, nawet dla tych, którzy nie gustowali w prostackich przygrywkach dawnych cywilizacji. Opium wywoływało stan głębokiego zanurzenia w zmysłowej warstwie melodycznych brzmień, pozwalało się rozpłynąć w prostych harmoniach, które wibrowały między odurzonym zespołem i odurzoną publiką. Jeśli koncert łączono z występem mistrza eterycznych woni, wówczas cale przedstawienie mogło być naprawdę mistycznym przeżyciem. Niektórzy oczywiście podchodzili do tego bardziej sceptycznie. Kirana stwierdziła kiedyś:

- Oni wszyscy są tam na takim haju, że mogliby przez godzinę

ciągnąć jedną nutę, wąchać się pod pachami i nadal być weseli jak szczygły!

Tristan najpierw przewodził ceremoniom opiumowym, zanim brał się za przewodzenie zespołowi swoich muzyków, więc podczas takich wieczorów panowała wśród nich niemal okultystyczna atmosfera, jak gdyby Tristan był starym sufickum mistrzem albo jednym z aktorów grających Hossejna, w sztukach o męczeństwie Hossejna, na których opiumowa publiczność pojawiała się tuż po wejściu w krainę snów, aby móc patrzeć, jak Hossejn owija się w swój całun i jak umiera od ciosów Szemra. Publiczność ryczała, nie z powodu morderstwa, popełnionego na scenie, lecz z powodu świadomego wyboru męczeństwa. Po spektaklu w niektórych krajach szyickich osoba grająca Szemra musiała uciekać ile sił i niejeden nieszczęśnik zginał z rąk wzburzonego tłumu. Tristan dobitnie i z powagą kiwał głową, właśnie taki stan zanurzenia w sztukę próbował wywoływać u swojej publiczności.

Oczywiście wszystko odbywało się na płaszczyźnie świeckiej, w imię muzyki, nie w imię Boga. Tristan był bardziej Persem niż Irańczykiem lub, jak sam zwykł mawiać, o wiele bardziej czuł się Chajjamem niż jakimkolwiek mułłą, mistykiem o zoroastriańskim rysie, obmyślającym tajemne rytuały ku czci Ahury Mazdy i oddającym cześć słońcu, które w mglistej i deszczowej Nsarze znajdował częściej w głębi swego serca niż na niebie. Prostował ścieżki wymarłych chrześcijan, palił opium, czcił słońce. Dla swojej muzyki robił wiele różnych i szalonych rzeczy, lecz także pracował każdego dnia długo i wytrwale nad umieszczeniem na papierze

każdej poszczególnej nuty, która nie miałyby żadnego sensu, gdyby powstająca z niej muzyka nie była dobra; ona jednak była dobra, była czymś bardzo ważnym, była to muzyka ich życia, muzyka Nsary z tamtych lat.

Tristan opowiadał o całym zapleczu teoretycznym swojego zamiłowania, lecz czynił to w kalamburowy i lakoniczny sposób, wypowiadając

pojedyncze aforyzmy, które później krążyły w towarzystwie jako “najnowsze perełki Tristana". Najczęściej jednak tylko wzruszał ramionami, uśmiechał się i podawał dalej fajkę, gdyż najwięcej mówiła sama muzyka. Komponował w całości oryginalne dzieła, których następnie wysłuchiwali wszyscy intelektualiści w mieście i dyskutowali o ich znaczeniu przez długie noce. Tahar Labid mógł rozwodzić się nad nimi bez końca, zwracając się do Tristana z udawaną, aczkolwiek przesadzoną agresją: “Zgadza się! Czyż to nie sam Tristan Ahura?". I nie czekając na odpowiedź, mówił dalej, jak gdyby Tristan był jakimś erudytą-idiotą, nie raczącym udzielać odpowiedzi, lub jakby w ogóle nie wiedział, co oznaczała jego własna muzyka. Uśmiechał się do Tahara, a jego twarz była tajemnicza jak oblicze sfinksa. Siedział na swoim miejscu przy oknie, jakby było to jego naturalne miejsce bytowania, spokojny i odprężony, wpatrywał się w mokry bruk za oknem lub obrzucał rozmówcę rozbawionym spojrzeniem.

- Dlaczego ty mi nigdy nic nie odpowiadasz?! - wykrzyknął kiedyś Tahar.

Tristan wydął wówczas usta i odgwizdał mu swoją odpowiedź.

- Daj spokój! - powiedział Tahar, czerwieniąc się ze złości. - Powiedz coś, bo sobie w końcu pomyślimy, że nie masz już w głowie żadnych pomysłów.

Na co Tristan aż podniósł się z miejsca:

- Nie bądź niegrzeczny! Oczywiście, że w mojej głowie nie ma żadnych pomysłów, za kogo ty mnie masz?

W tej chwili usiadła obok niego Budur, a on, minimalnym ruchem podbródka i wydęciem ust zaprosił ją do pomieszczenia na tyłach kawiarni, gdzie zwykle zbierali się palacze opium. Już wcześniej postanowiła się do nich przyłączyć, jeśli tylko zostałaby zaproszona. Chciała się przekonać, jak odbierze muzykę Tristana, będąc pod wpływem, i jak odbierze sam narkotyk, chciała posłużyć się muzyką jak ceremoniałem uwalniającym ją spod lęku przed dymem, jaki doskwierał jej jeszcze w Turi.

Pomieszczenie było niewielkie i zacienione. Fajka wodna używana do palenia opium, hukka, była większa od tej do nargilli i stała na niskim stoliku pośród poduszek rozrzuconych po podłodze. Tristan odkroił kawałek od czarnego kęsa opium i włożył go do metalowego cybucha. Następnie podpalił go srebrną zapalniczką, a ktoś inny w tym czasie zasysał dym. Fajka miała tylko jeden ustnik, palacze podawali go sobie w koło z rąk do rąk, zaciągając się i kaszląc. Czarna substancja w cybuchu topiła się i bulgotała, spalając się białym, gęstym dymem, który pachniał jak palony cukier. Budur postanowiła zaciągnąć się bardzo płytko, żeby nie zakrztusić się, lecz kiedy ustnik trafił w jej ręce i wzięła przez niego delikatny wdech, już pierwszy smak dymu sprawił, że rozkaszlała

się jak wściekły demon. Nie wierzyła, że coś, co znalazło się w niej na tak krótką chwilę, mogło tak silnie podziałać.

Druga fala była znacznie głębsza. Jej ciało wypełniała krew, coraz więcej krwi, która rozdymała ją jak balon, chcąc wytrysnąć na zewnątrz przez gorącą i napiętą skórę. Budur wibrowała w rytm swojego pulsu i cały świat pulsował razem z nią. Wszystko w dziwny sposób wyrywało się z tła i rozprężało w swojej własnej formie. Ciemne ściany pulsowały, ujawniając z każdym uderzeniem serca coraz bardziej intensywną barwę. Powierzchnia przedmiotów wirowała od skręcającego się spiralnie napięcia i ciśnienia, co sprawiało, że przedmioty wyglądały dokładnie tak, jak mówiła o nich Idelba, jak pęki skomasowanej energii. Budur podniosła się na nogi razem z pozostałymi i ruszyła chwiejnym krokiem ulicami miasta, prosto do sali koncertowej, mieszczącej się w starym pałacu. Znalazła się w długiej i wąskiej przestrzeni, przypominającej kształtem postawioną na boku talię kart. Muzycy powoli zajmowali miejsca, a ich instrumenty lśniły niczym egzotyczna broń. Zaczęli grać, podążając za gestem i spojrzeniem Tristana. Chór śpiewał pieśń w starożytnej, pitagorejskiej skali, jakże czystej i słodkiej, a ponad nią unosił się meandrujący dyszkant. Następnie Tristan wszedł na swojej lutni oud, a za nim pozostałe instrumenty strunowe, od sopranów po basy, wkradały się w linię melodyczną i burzyły proste harmonie, powołując do życia całkiem nowy świat, całą Azję dźwięków i skomplikowanych, ciemnych brzmień. Oto sączyła się już rzeczywistość, która powoli i mozolnie opanowywała stary, zachodni cantus planus. Tristan śpiewał pieśń o Firanii,

pomyślała nagle Budur, to jego własna interpretacja muzyczna historii miejsca, w którym przyszło im żyć. Irańczycy - późni przybysze, Frankowie, Celtowie i inni z odległych, mrocznych czasów... każdy w swoim czasie ustępuje miejsca następnemu. Tym razem nie połączono koncertu z feerią zapachów. Przed muzykami paliło się jednak kadzidło, którego sandałowo-jaśminowa woń rozchodziła się po sali wraz z kolejnymi taktami utworu. Kiedy aromat dotarł do Budur, poczuła, jak zaśpiewał on w jej wnętrzu skomplikowany rondel, harmonizujący z rytmem jej pulsu i z dobiegającą zewsząd muzyką. Muzyka była kolejnym, naturalnym językiem ciała, mową, którą doskonale rozumiała, w momencie gdy brzmiała, choć nie potrafiła jej zapamiętać ani opisać słowami.

Seks również był takim językiem, o czym przekonała się nieco później tej samej nocy, kiedy w zapuszczonym mieszkaniu Tristana poszła z nim do łóżka. Mieszkanie znajdowało się po drugiej stronie rzeki, w dzielnicy ciągnącej się wzdłuż południowego nabrzeża. Było to chłodne i wilgotne poddasze, urządzone w stylu pracowni artystycznej, w której nie sprzątano chyba od śmierci żony samego artysty, czyli niemal od końca wojny. To był wypadek w fabryce, jak dowiedziała się od innych, nieszczęśliwy splot nieuwagi człowieka i defektu maszyny. Nadal jednak stało tam szerokie łóżko, a pościel na nim była całkiem świeża, co od razu zrodziło w Budur pewne podejrzenia. Mimo to nieustannie okazywała Tristanowi swoje zainteresowanie, była dla niego mila, a poczucie własnej godności w dziwny sposób dodawało jej otuchy. Tristan byt kochankiem ze snów, grał na jej ciele jak na swojej lutni oud, pieszcząc ją leniwie i

drażniąc się z nią, przez co jej rozkosz nieustannie balansowała na granicy sprzeciwu i uległości, a cale doświadczenie stawało się jeszcze bardziej podniecające i rozchodziło się w niej falami, jak piekące, wewnętrzne ukłucie ostrego haka. Było to coś zupełnie innego niż rażąca bezpośredniość Kirany. Budur zastanawiała się, co Tristan chciał przez to osiągnąć, lecz już pierwszej nocy zdała sobie sprawę, że nie dowie się tego z jego ust, gdyż był on wobec niej tak samo oszczędny w słowach, jak i wobec Tahara. Będzie musiała zatem poznawać go drogą intuicji, słuchać jego muzyki i śledzić jego spojrzenia, które bardzo dużo mówiły o jego nastrojach i ich zmienności, a co za tym idzie, być może również o jego charakterze. Podobało jej się to, więc przez jakiś czas dość często zjawiała się w jego domu. Wcześniej jednak odwiedziła w zawiji zaprzyjaźnioną pielęgniarkę, która pomogła jej zdobyć wszystkie niezbędne środki zapobiegawcze. I tak wychodziła nocami do kawiarni i wykorzystywała każdą, nadarzającą się okazję, aby spotkać się z Tristanem.

Wkrótce jednak przekonała się, że rozmowa z człowiekiem, który potrafił tylko wydawać z siebie pieśni, może być denerwująca. Czuła się, jakby próbowała żyć pod jednym dachem z egzotycznym ptakiem. Jego zachowanie przypominało jej dystans, z jakim obnosił się jej Ojciec, oraz jej własne bezpłodne próby badania odległej, równie niemej przeszłości. Kiedy sytuacja w mieście pogarszała się, a na banknotach co tydzień przybywało kolejne zero, organizowanie tak licznego zespołu, jakiego wymagały najnowsze kompozycje Tristana, stawało się coraz trudniejsze. A to

miejscowy panczajat, zarządzający pałacem, nie chciał wynająć sali, a to część muzyków zajęta była normalną pracą, na zajęciach, w dokach i w sklepikach z kapeluszami i płaszczami przeciwdeszczowymi. W takich chwilach Tristan mógł już tylko dalej brzdąkać na swym oud, chwytać za ołówek i zapisywać niekończące się ciągi znaków w starej indyjskiej notacji, o której mówiono, że była starsza od sanskrytu. Przyznał się przed Budur, że w czasie wojny zapomniał zasad tego systemu i że obecnie stosował swój własny, którego musiał uczyć swoich muzyków. Miała wrażenie, że jego muzyka stawała się coraz bardziej posępna, słyszała w niej melodie płynące wprost ze wzburzonego serca, opłakujące wojenne zniszczenia i straty, jakie przynosił ze sobą każdy dzień i każda chwila, nawet teraz, gdy w ich uszach rozbrzmiewały te żałosne tony. Budur doskonale je rozumiała, dlatego nadal, od czasu do czasu, spotykała się z Tristanem. Obserwowała drgnięcia koniuszków jego wąsów i na tej podstawie oceniała, czy interesowało go to, co mówią inni lub ona sama, obserwowała jego pożółkłe palce, które same wyczuwały ciąg dalszy odgrywanych melodii lub pośpiesznie nanosiły na papier jeden rzewny lament za drugim. Usłyszała kiedyś śpiewaczkę i stwierdziła, że spodoba mu się jej głos, więc zabrała go na występ i rzeczywiście, spodobało mu się. Przez całą drogę powrotną nucił pod nosem swoje melodie, wystawiał głowę przez okno w tramwaju i wpatrywał się w ciemne miejskie ulice i ludzi sunących od latarni do latarni, ponad lśniącym wilgocią brukiem, skuleni pod parasolami lub owinięci w poncza.

- Tu jest jak w lesie - odezwał się, unosząc nieznacznie wąsy. -Tam wysoko, w twoich górach, są takie miejsca, gdzie schodzące lawiny pokładają na bok szeroki pas drzew i kiedy śnieg topnieje, drzewa nadal pozostają pochylone. - Wskazał dłonią na ludzi stłoczonych na przystanku - coś takiego przydarzyło się właśnie nam.

18

Mijały dni i tygodnie, a Budur z niesłabnącym zainteresowaniem pochłaniała kolejne lektury. Czytała w zawiji, w instytucie, w parkach, na końcu mola i w szpitalu dla niewidomych żołnierzy. Tymczasem, wraz z imigrantami ze Środkowego Zachodu przybyły banknoty o nominale dziesięciu bilionów piastrów, podczas gdy oni nadal byli przy dziesięciu miliardach drachm. Jeden mieszkaniec Nsary wypchał pieniędzmi swój dom od podłogi do sufitu, a potem zamienił cały zestaw za jednego prosiaka. W zawiji z rosnącym trudem przygotowywali posiłek, który wystarczyłby dla wszystkich. Kobiety uprawiały własne warzywa na dachu i co rusz przeklinały gęste chmury kłębiące się nad miastem. Żywiły się kozim mlekiem, jajkami i ogórkami marynowanymi w wielkich kadziach z octem, jadły też dynie, które przyrządzały na wszystkie możliwe sposoby, i zupę ziemniaczaną, jeszcze bardziej rozwodnioną niż mleko.

Pewnego dnia Budur przyłapała trzech szpiegów na przeszukiwaniu szafki nad jej łóżkiem. Wezwała policję i bez zbędnego namysłu kazała wydalić trzy kobiety z zawiji, jako zwykłe złodziejki, pomijając milczeniem niewygodny kontekst szpiegostwa i

zachodząc w głowę, co takiego posiadała, oprócz własnych pomysłów, co warto byłoby ukraść.

- Będą miały sporo kłopotów - stwierdziła Budur, kiedy już zabrano z domu trzy podejrzane dziewczyny - nawet jeśli ich prawdziwym mocodawcom uda się wyciągnąć je z więzienia.

- To prawda - przyznała Idelba - jak sama widziałaś, miałam zamiar potrzymać je tu jeszcze trochę, ale skoro same dały się przyłapać, nie mogłyśmy ich potraktować inaczej. Prawda jest taka, że i tak nas nie stać na ich utrzymanie, więc niech zajmie się nimi ten, kto je do nas przysłał. - Idełba miała ponurą minę. Nie chciała o tym wszystkim myśleć ani się zastanawiać, na co skazały te trzy dziewczyny. Teraz był to ich problem. Budur zauważyła, że przez ostatnie dwa lata, odkąd przyjechały do Nsary, Idełba stała się o wiele twardsza. - Tu nie chodzi tylko o moją pracę - tłumaczyła, widząc minę Budur - to tajemnica. Chodzi przede wszystkim o kłopoty, z którymi borykamy się na co dzień. Przecież nikt nie będzie chciał nas wysadzać w powietrze, jeśli wcześniej umrzemy z głodu. Koniec wojny był tragiczny w skutkach, nie tylko dla nas, jako przegranych, ale dla wszystkich, ot co. Świat został wytrącony z równowagi i niewiele potrzeba, aby całkowicie runął w gruzy. Każdy z nas musi wziąć się w garść, w przeciwnym razie... sama nie wiem...

- Ciągle zajmujesz się tą muzyką Franków - powiedziała Budur do Tristana, kiedy siedzieli razem w kawiarni. -A czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, jakimi byli ludźmi?

- Ależ owszem - odpowiedział, zadowolony z jej pytania - myślę o

nich cały czas. Uważam, że byli podobni do nas. Dużo walczyli, mieli własne klasztory, medresy i maszyny poruszane siłą rzek. Ich statki były małe, lecz potrafili żeglować pod wiatr. Myślę, że mieliby szanse stać się pierwszą potęgą morską na świecie.

- Nie ma szans - rzekł Tahar. - W porównaniu z chińską flotą ich jednostki to miniaturowe dawy. Daj spokój, Tristan, przecież dobrze o tym wiesz!

Tristan wzruszył ramionami.

- Posługiwali się dziesięcioma lub piętnastoma językami, tworzyli trzydzieści, czterdzieści księstw, zgadza się? - wtrącił Naser. - Byli zbyt podzieleni, aby móc kogokolwiek pokonać.

- Prowadzili jednak wspólne działania w celu przejęcia Jeruzalem -zauważył Tristan. - To dało im niezbędną wprawę na polu walki. Myśleli, że są narodem wybranym przez Boga.

- Ludy prymitywne często tak myślą.

- To prawda - uśmiechnął się Tristan, pochylając się na bok, aby spojrzeć przez okno wychodzące na sąsiedni meczet - byli tacy sami jak wy czy ja. Gdyby nadal żyli, byłoby więcej takich jak my.

- Nie ma na świecie drugich takich jak my - powiedział smutnym tonem Naser. - Sądzę, że Frankowie byli całkiem inni.

Tristan znów wzruszył ramionami.

- Możecie mówić o nich, co tylko chcecie, nie ma to najmniejszego znaczenia. Możecie powiedzieć, że zniewolono by ich jak Afrykańczyków albo że oni zniewoliliby resztę świata, albo że za ich sprawą nastałby złoty wiek, lub że wznieciliby wojny jeszcze krwawsze od Długiej Wojny - wszyscy przy stole kiwali głowami,

słysząc te nieprawdopodobne scenariusze - to wszystko nie ma znaczenia. Nigdy się nie dowiemy, jak było naprawdę, więc możecie mówić, co chcecie. Frankowie są takim naszym dżinem.

- To zabawne, że dziś patrzymy na nich z góry - zabrała głos Kirana - i to tylko dlatego, że oni umarli, a nam udało się przeżyć. Gdzieś w podświadomości uważamy pewnie, że to wszystko ich wina. Niemoc fizyczna, upadek moralny albo złe nawyki.

- Swoją dumą obrazili Boga.

- Byli tacy bladzi dlatego, że byli słabi, albo na odwrót. Przecież już Muzaffar udowodnił, że im ciemniejsza skóra, tym silniejszy człowiek. Czarni Afrykanie są najsilniejsi, a ludy Złotej Ordy najsłabsze. Z jego doświadczeń wynikało, że Frankowie byli dziedzicznie nieudolni. Przegrali w wielkiej grze ewolucyjnej o przetrwanie najsilniejszych.

Kirana potrząsnęła głową.

- Prawdziwym powodem była najprawdopodobniej jakaś silna mutacja zarazy, która uśmiercając wszystkich swoich żywicieli, doprowadziła do samounicestwienia. To samo mogło przytrafić się Chińczykom albo nam.

- Wśród mieszkańców okolic Morza Śródziemnego bardzo często występuje anemia. Może właśnie ona uczyniła ich bardziej podatnymi...

- Nie. Równie dobrze mogło to spotkać nas.

- Może tak byłoby lepiej - powiedział Tristan. - Oni wierzyli w bo-

ga litościwego, ich Chrystus był miłością i współczuciem.

- Trudno o tym mówić po tym, czego dopuścili się w Syrii.

- Albo w Al-Andalus...

- Było to w nich uśpione, lecz w każdej chwili gotowe się ujawnić. Podczas gdy w nas czyha uśpiony dżihad.

- Byli więc tacy sami jak my, powiadasz. Tristan uśmiechnął się.

- Być może. Oni są dla nas niczym białe plamy na mapie, ruiny pod naszymi stopami, puste zwierciadła i chmury na niebie, które przyjmują kształt tygrysów.

- Bezużyteczna gadanina - zwróciła uwagę Kirana. - Co by było, gdyby to czy tamto się zdarzyło. Co by było, gdyby Złota Orda sforsowała Korytarz Gansu na początku Długiej Wojny, co by było, gdyby Japończycy po odbiciu swoich ojczystych wysp zaatakowali Chiny, co by było, gdyby dynastia Ming nie rozwiązała swojej floty skarbów albo gdybyśmy to my odkryli i podbili Yingzhou, co by było, gdyby Aleksander Wielki nie umarł tak młodo? Domysły można ciągnąć w nieskończoność. Każde z tych wydarzeń miałoby globalne konsekwencje, a jednak rozmowa o nich jest bezużyteczna. Ci historycy, którzy do podtrzymania swoich teorii używają niezaistniałych faktów, są po prostu śmieszni, ponieważ nikt nie wie, dlaczego rzeczy dzieją się tak, a nie inaczej. Rozumiecie, co chcę powiedzieć? Cokolwiek może brać się z czegokolwiek. Nawet prawdziwa historia nic nam nie mówi, ponieważ nie znamy jej wrażliwości, nie wiadomo, czy z braku jednego gwoździa może upaść cała cywilizacja, czy też może nasze najpotężniejsze działania są jak płatki róż rzucane w fale

powodzi, albo coś pomiędzy, może jedno i drugie? Tego właśnie nie wiemy i żadnym gdybaniem wiedzy tej nie zdobędziemy.

- Dlaczego więc ludzie tak bardzo lubią gdybać? Kirana wzruszyła ramionami i zaciągnęła się papierosem.

- Może chodzi o tworzenie nowych opowieści?

I rzeczywiście już po chwili posypały się kolejne historie, gdyż, pomimo ich bezużyteczności w oczach Kirany ludzie nadal lubowali się rozpatrywaniem tego, co mogło się zdarzyć: co by było, gdyby flotę marokańską, zaginioną w 924 roku, zwiało na Wyspy Cukrowe i z powrotem, co by było, gdyby Kerala Trawankoru nie podbił tylu azjatyckich ziem, gdyby nie pociągnął linii kolejowych, nie wprowadził swojego systemu prawnego? Co by było, gdyby w ogóle nie istniały .wyspy Nowego Świata, a Birma przegrała wojnę z Syjamem? Kirana tylko potrząsała głową.

- Może lepiej byłoby się skoncentrować na przyszłości?

- I ty, historyk, mówisz coś takiego? Przecież przyszłości nie da się odgadnąć!

- Zgadza się, ale istnieje ona na zasadzie projektu, który musimy zrealizować. Wraz z nadejściem trawankorskiego oświecenia zaczęliśmy nosić w sobie przekonanie, że przyszłość jest czymś, co możemy tworzyć. Ta nowa świadomość, świadomość czasów, które nadejdą, jest niezwykle istotna, dzięki niej możemy snuć własną nić w gobelinie, który rozwija się przed nami od wieków i będzie robił to dalej, stulecia po nas. Jesteśmy w połowie pracy krosien - oto teraźniejszość. W wyniku naszych czynów nić układa się w danym

kierunku, a wzór na gobelinie zmienia się. Jeżeli zaczniemy się starać, aby wzór ten był miły dla nas i dla tych, którzy przyjdą po nas, wtedy możemy powiedzieć, że udało nam się pojąć historię.

19.

I co z tego, że siedziało się przy stole z takimi ludźmi i dyskutowało na takie tematy, skoro później człowiek musiał wstać i wyjść na mokrą i skąpaną w mglistym świetle ulicę, wciąż głodny i bez pieniędzy, za które dałoby się cokolwiek kupić. Budur ciężko pracowała w zawiji. Dla nowych, równie głodnych dziewcząt organizowała lekcje języka perskiego i firańskiego, gdyż większość z nich używała berberskiego, arabskiego, andaluzyjskiego, skandistańskiego lub tureckiego. Nocami jak zwykle odwiedzała kawiarnie i kafejki, czasem zaglądała też do palarni opium. Zdobyła pracę jako tłumacz przysięgły w jednej z agencji rządowych i jednocześnie kontynuowała studia archeologiczne. Kiedy Idelba znów się rozchorowała, zaniepokojona Bul-dur zaczęła spędzać z nią więcej czasu. Lekarze mówili, że cierpiała na wyczerpanie nerwowe, coś w rodzaju psychicznego znużenia, jakie obserwowano u żołnierzy zbyt długo przebywających na froncie. Według Budur, ciotka przede wszystkim osłabła fizycznie. Działo się z nią coś niedobrego, coś, czego lekarze nie potrafili nazwać. Choroba bez przyczyny - Budur bala się nawet o tym myśleć; a może przyczyna była ukryta? - Ta myśl przerażała jeszcze bardziej.

Coraz więcej pracowała dla zawiji. Przejąwszy po Idelbie większość obowiązków, miała coraz mniej czasu na czytanie. Poza tym, chciała robić coś więcej, nie tylko czytać czy nawet pisać

opracowania. Czytanie zaczęło przyprawiać ją o drżenie rąk, a zwykłe przerabianie stosów książek i artykułów i przetwarzanie ich w nowy tekst wydawało jej się osobliwą praktyką - to tak jak gdyby stać się destylarnią i rektyfikować wciąż nowe pomysły. Historia jak brandy. Budur zapragnęła czegoś bardziej konkretnego.

Nocami wychodziła w miasto i bawiła w kafejkach, a po północy przesiadywała zwykle w szerszym gronie przed hukką, w pokojach wypełnionych opiumowym dymem, zasłuchana w oud Tristana (teraz byli już tylko przyjaciółmi), a czasem pogrążona w opiumowym śnie, w którym przemieszczała się po zamglonych korytarzach myśli, nie wchodząc po drodze do żadnego konkretnego pomieszczenia. Raz popadła w głęboką zadumę nad ibrahimską teorią zderzeniową, opisującą postęp w historii ludzkości, która, jeśli wierzyć geologom, przypominała zasadę powstawania kontynentów - nowe fuzje, tak jak w Samarkandzie, w mogolskich Indiach czy w przypadku Hodenosaunee, którzy od zachodu ścierali się z Chinami, a od wschodu z islamem, albo taka Birma... Tak... wszystko stawało się jasne, niczym przypadkowe płytki kolorowych skał wirujące na posadzkach w Hagii Sofii i układające się w sklepieniach w nieskończone sploty arabesek - całkiem częsty efekt wizualny po zażyciu opium - lecz przecież tym właśnie była historia -halucynacyjnym wzorem projektowanym na przypadkowy zbiór wydarzeń. Czy tylko dlatego należałoby nie dawać wiary w olśnienie? Historia jak opiumowy sen.

Do zadymionego pokoju na tyłach kafejki wpadła Halali z zawiji i rozglądała się nerwowo dookoła. Kiedy Budur zauważyła ją,

wiedziała od razu, że chodzi o Idelbę. Halali podeszła bliżej:

- Znowu się jej pogorszyło.

Budur wyszła za kobietą, potykając się po drodze i czując ciężar opium w całym ciele. Spanikowana, próbowała stłumić efekt odurzenia, lecz to tylko pogłębiło utrzymujące się halucynacje. Nigdy wcześniej Nsara nie wyglądała tak obrzydliwie jak tamtej nocy. Krople deszczu odbijały się z łoskotem od powierzchni ulic, świetlne zawijasy uciekały spod jej stóp, a po bokach, jak szczury, przepływały ludzkie kształty...

Idelbę zabrano z zawiji do najbliższego szpitala, skomplikowanego gmaszyska wzniesionego jeszcze w czasie wojny na szczycie północnego wzgórza, tuż ponad portem. Budur z trudem pokonywała kolejne metry wysokości, grzęznąc w gęstej, burzowej chmurze. W budynku słychać było deszcz bębniący o cienkie poszycie dachu, a w pulsującym żółtobiałym świetle wszyscy pacjenci wyglądali jak blade trupy, niczym mięso armatnie - tak w czasie wojny mówiono o żołnierzach wysyłanych na pierwszą linię frontu.

Idelba wyglądała nie gorzej od pozostałych. Budur pospieszyła w jej stronę.

- Ma problemy z oddychaniem - powiedziała siedząca obok pielęgniarka, podnosząc wzrok znad gazety. Budur pomyślała: ci ludzie pracują w piekle. Była przerażona.

- Posłuchaj mnie - powiedziała spokojnie Idelba. - Proszę nas zostawić same na dziesięć minut. - Kiedy pielęgniarka oddaliła się, Idelba znów zwróciła się do Budur niskim głosem - jeśli umrę,

będziesz musiała pomóc Pilaliemu.

- Ależ ciociu! Przecież ty nie umierasz.

- Cisza! Spisywanie tego wszystkiego mogłoby być zbyt ryzykowne, a przekazanie tylko jednej osobie może nie wystarczyć, jeśli komuś również coś się stanie. Musisz przekonać Pilaliego, aby udał się do Isfahanu i opisał wyniki naszych badań Abdulowi Zoroushowi, informacja musi dotrzeć też do Anandy w Trawankorze i do Chena w Chinach. Ci ludzie mają istotny wpływ na środowiska rządowe w swoich krajach. Hanea zajmie się wszystkim od swojej strony. Przypomnij Pilaliemu, że to, co postanowiliśmy, jest jedynym i najlepszym rozwiązaniem. Wkrótce sama zobaczysz, że fizycy atomowi na całym świecie zrozumieją teoretyczne możliwości płynące z procesu rozszczepienia atomu alactinu oraz jego ewentualne zastosowanie w praktyce. Świadomość istnienia tej możliwości będzie dla nich najlepszą motywacją do działań w celu utrwalenia pokoju na świecie. Naukowcy mogą wywierać wpływ na rządy swoich krajów, naświetlając im zaistniałą sytuację i przejmując kontrolę nad dalszym kierunkiem rozwoju newralgicznych dziedzin nauki. Muszą utrzymać i utrwalić pokój, w przeciwnym razie rozpocznie się wyścig ku zagładzie.

- Tak... - powiedziała Budur, zastanawiając się, czy to rzeczywiście było możliwe. Na samą myśl o ciężarze, który miał spocząć na jej barkach, robiło jej się słabo. - Ciociu, proszę cię, nie przemęczaj się, wszystko będzie dobrze.

- Też mam taką nadzieję - skinęła głową Idelba.

- Tej nocy długo jeszcze walczyła z dolegliwościami i dopiero o

świcie poczuła się lepiej. Wtedy też Budur zaczęła z wolna wynurzać się z opiumowego delirium, które wymazało z jej pamięci większą część ciągnącej się eonami nocy. Pamiętała jednak dokładnie, o co poprosiła ją Ideiba. Wstał świt - ciemny jak podczas zaćmienia słońca, które nie chciało przeminąć.

Idelba zmarła w następnym roku.

Na pogrzebie kłębił się prawdziwy tłum. Przyszli ludzie z zawiji, z medresy, z instytutu i z buddyjskiego klasztoru, swoich przedstawicieli wysłała również ambasada Hodenosaunee, miejscowy panczajat, rada państwa i wiele innych organizacji rozsianych po całej Nsarze. Wśród nich zabrakło kogoś z Turi. Budur stała pośród starszyzny z zawiji i z nieobecnym wzrokiem przyjmowała kondolencje, ściskając dłoń za dłonią i obejmując się ze wszystkimi z długiej kolejki. Nieco później, w czasie żałobnego czuwania, podeszła do niej Hanea.

- My też ją kochałyśmy - powiedziała z kamiennym uśmiechem na twarzy - możesz być pewna, że zrobimy wszystko, aby dotrzymać danych jej obietnic.

Kilka dni później, jak co tydzień, Budur poszła czytać niewidomym żołnierzom. Weszła na oddział, usiadła i w zadumie przyglądała się słuchaczom. Coś jest nie tak, może i czuję się teraz bezradnie, ale przecież całkowicie bezradna nie jestem. Następnie opowiedziała o śmierci ciotki i próbowała nawet czytać im prace Idelby, które w niczym nie przypominały tekstów Kirany. Nawet niektóre pojedyncze zdania były dla nich niezrozumiałe, poza tym, większość naukowych tekstów, traktujących o zachowaniu

niewidzialnych cząstek, stanowiły tabele pełne liczb. Szybko zrezygnowała z tej lektury i sięgnęła po inną książkę.

- Oto jedna z ulubionych książek mojej cioci. Jest to zbiór autobiograficznych pism, wybranych spośród dzieł Abu Ali Ibn Sina, wczesne go naukowca i filozofa, którego bardzo wysoko ceniła. Z tego co o nim czytałam wynika, że mieli z ciocią wiele wspólnego. Oboje odznaczali się ogromną ciekawością świata. Ibn Sina najpierw opanował geometrię euklidesową, a dopiero potem wziął się za zrozumienie całej reszty. Ideiba zrobiła dokładnie tak samo. Ibn Sina jako młody człowiek popadł w wir naukowych dociekań, który zawładnął nim na ponad dwa lata. Przeczytam wam, co sam sądził o tamtym okresie:

W tamtym czasie nie przespałem w całości żadnej nocy i na nic innego poza nauką nie poświęcałem czasu. Stworzyłem specjalną kartotekę, w której umieściłem wszystkie, badane przeze mnie dowody wraz z sylogistycznymi założeniami, specyficzną klasyfikacją i wszystkim, co mogło z danego zestawu wynikać. Badałem przeróżne warunki, jakim mogły podlegać przyjęte przeze mnie założenia, i w każdym z przypadków dochodziłem do konkretnych i ostatecznych wniosków. Kiedy morzył mnie sen lub gdy czułem, że słabnę, sięgałem po czarę wina i wraz z nim wracały mi siły. Kiedy zaś zdarzyło mi się usnąć, we śnie rozważałem dalej te same problemy. Wiele dręczących mnie pytań znalazło swoje odpowiedzi we śnie. W ten sposób pracowałem nieprzerwanie, aż w końcu cała wiedza zapuściła we mnie korzenie i zrozumiałem ją na tyle, na ile tylko pozwalały mi możliwości

ludzkiego poznania. Wszystko, czego się wówczas dowiedziałem, pozostało we mnie niezmienione po dziś dzień i przez te wszystkie lata niewiele dodałem do tego od siebie.

- Taką właśnie osobą była moja ciotka - powiedziała Budur. Odłożyła książkę i sięgnęła po następną, wychodząc z założenia, że na jeden dzień wystarczy literatury inspirowanej Idelbą, a poza tym wcale jej to nie poprawiało samopoczucia. Książka, którą wyciągnęła z torby, nosiła tytuł *Opowieści nsareńskiego żeglarza* i zawierała prawdziwe historie o tutejszych ludziach morza, o rybakach i ich przygodach pachnących rybami i wielkim niebezpieczeństwem, lecz również morskim powietrzem, falami i wiatrem. Żołnierzom już wcześniej spodobały się fragmenty tego dzieła.

Tym razem przeczytała im historię zatytułowaną *Wietrzny ramadan,* której akcja działa się we wczesnej erze żaglowców, kiedy to przeciwne wiatry uniemożliwiały wejście do portu flocie zbożowej, przez co statki musiały zakotwiczyć w pewnej odległości od lądu. Kiedy zapadł zmrok, wiatr zmienił kierunek i znad Atlantyku nadeszła potężna burza, która ludziom na morzu odcięła drogę powrotną na ląd, a tym na lądzie pozwalała jedynie przemierzać nerwowym krokiem zatopiony w mroku brzeg. Autor sprawozdania miał żonę, zajmującą się trojgiem półsierotek, których ojciec był jednym z kapitanów zagrożonej floty. Nie mogąc już dłużej przyglądać się nerwowej zabawie dzieci, autor wyszedł na nabrzeże, gdzie dołączył do innych ludzi, podziwiających z trwogą potęgę żywiołu. Rano na plaży widać było linię wysokiego stanu

wody, w postaci wstęg napęczniałego ziarna zalegających na piasku, i wszyscy już wiedzieli, że stało się najgorsze.

- Ani jeden statek nie przetrwał nawałnicy i przez cały dzień morze wyrzucało na plażę martwe ciała marynarzy, a jako że był to piątek, muezin jak zwykle udał się na minaret, aby odśpiewać zawołanie na modlitwę. Wtedy miejscowy idiota zatrzymał go, krzycząc gniewnie: “Któż w takiej chwili mógłby chwalić Pana?".

Budur zamilkła. W pokoju zapadła głęboka cisza. Niektórzy mężczyźni kiwali głowami, jak gdyby mówili: no cóż, tak bywa, też mógłbym tak powiedzieć. Inni wyciągali ręce, jakby chcieli wyrwać jej z rąk książkę albo czynili gesty wypraszające ją z pokoju. Gdyby mieli wzrok, pewnie odprowadziliby ją teraz do drzwi. W tej sytuacji jednak nikt nie wiedział, jak się zachować.

Powiedziała im coś niewyraźnym głosem, wstała i opuściła szpital. Poszła w dół rzeki przez miasto, w stronę doków, a później na koniec mola. Wspaniałe, błękitne morze chlupotało pomiędzy głazami, rozpylając w powietrzu czystą, słoną mgłę. Budur usiadła na kamieniu wygrzanym w popołudniowym słońcu i patrzyła, jak nad Nsarę nadciągają chmury. Przepełniał ja żal, tak jak basen morza wypełniała słona woda, nadal jednak coś w tym gwarnym i zatłoczonym mieście dodawało jej otuchy. O, Nsaro, teraz jesteś moim jedynym, żyjącym krewnym, teraz ty będziesz moją ciotką, Nsaro.

20.

Nadszedł czas spotkania z Pilalim. Był to niski, egocen-• tryczny mężczyzna o marzycielskim usposobieniu i słabych zdolnościach

komunikacyjnych, którego najwyraźniej obchodziła wyłącznie jego własna osoba. Budur miała wrażenie, że tylko zdolności z zakresu fizyki mogą rekompensować jego wyjątkowy brak wdzięku.

Jego głęboki żal z powodu śmierci Idelby bardzo ją zaskoczył. Budur często myślała, że na co dzień traktował ją jak część wyposażenia laboratorium, jak niechcianego, aczkolwiek niezbędnego współpracownika. Teraz, kiedy odeszła, siedział na ławce, na rybackim molu, gdzie zwykł przesiadywać z Idelbą w czasie słonecznej pogody. Westchnął i rzekł:

- Tak przyjemnie się z nią rozmawiało o tych wszystkich rzeczach. Idelba była wyśmienitym fizykiem. Coś ci powiem, gdyby urodziła się mężczyzną, wszystko potoczyłoby się inaczej. Myślę, że mogłaby wówczas odmienić świat. Oczywiście było sporo rzeczy, na których się nie znała, ale za to miała wyjątkowy dar rozumienia mechanizmów pewnych zjawisk. Kiedy nasza praca utykała w martwym punkcie, ona

przypuszczała zmasowany atak i potrafiła przebić głową mur, aby dojść do rozwiązania. I kiedy ja już się poddawałem, ona walczyła dalej i zawsze potrafiła znaleźć jakiś nowy, sprytny sposób na uporanie się z przeciwnościami. Jeśli mur nie walił się od jej uderzeń, wtedy próbowała obejść go dookoła - to było wspaniałe. Była naprawdę cudownym człowiekiem. - Pilali miał poważny wyraz twarzy i z emfazą wypowiadał słowo “człowiek", nie “kobieta", jak gdyby Idelba już wcześniej nauczyła go, do czego zdolne są kobiety, a był przecież na tyle bystry, aby jej naukę zapamiętać. Nigdy również nie popełniał błędu wysuwania tez o wyjątkowości

tego czy owego, gdyż żaden szanujący się fizyk nie traktował wyjątku jako kategorii ostatecznej. Rozmawiał teraz z Budur niemal tak samo jak z Idelbą albo ze swoimi kolegami, z tym że był nieco bardziej uważny i skoncentrowany na osiągnięciu choćby pozoru ludzkiej normalności, co chwilami nawet mu się udawało. Pozostał tym samym, roztargnionym i nieeleganckim młodzieńcem, lecz z czasem Budur polubiła go.

Tak się złożyło, że Pilali również zaczął się nią bliżej interesować i przez kilka kolejnych miesięcy zalecał się do niej na swój osobliwy sposób. Przychodził pod zawiję, poznawał tamtejszą rodzinę Budur, słuchał, kiedy opowiadała o swoich problemach ze studiami historycznymi, a sam, czasami nawet zbyt obszernie, opowiadał o trudnościach, z jakimi borykał się na polu fizyki oraz w pracy w instytucie. Podzielał jej upodobanie do nocnego życia i najwyraźniej nie przejmował się grzechami młodości, jakie Budur zdążyła popełnić w czasie swojego pobytu w Nsarze. Nie zwracał na to uwagi, koncentrował się na sprawach związanych z umysłem, nawet wówczas kiedy siedział w kawiarni, sącząc brandy i notując coś zawzięcie na serwetkach, co było jego kolejnym osobliwym nawykiem. Potrafili godzinami rozmawiać o historii. To pod wpływem jego głębokiego sceptycyzmu i materializmu dokonał się w jej ostateczny zwrot w działalności naukowej. Porzuciła historyczne dociekania na rzecz archeologii, zostawiła teksty i zajęła się artefaktami. Przyjęła część jego argumentacji, zgadzając się, że teksty zawsze były tylko odzwierciedleniem pewnych wrażeń człowieka, podczas gdy przedmioty charakteryzowała niezmienna

rzeczywistość. Oczywiście przedmioty pociągały za sobą ludzkie wrażenia i zazębiały się z nimi, tworząc gęstą sieć argumentów, którą każdy student przeszłości musiał umieć zaprezentować, chcąc czegokolwiek dowieść. Budur znalazła sporą pociechę, mogąc rozpoczynać badania od narzędzi i budowli, a nie od słów z przeszłości. Była już zmęczona destylowaniem brandy.

Zaczęła świadomie rozwijać w sobie tę dociekliwość wobec świata rzeczywistego, którą Idelba tak bardzo sobie ceniła, i robiła to przede wszystkim w celu uczczenia jej pamięci. Za bardzo tęskniła za Idelbą, by móc tak po prostu o tym myśleć. Musiała zasłaniać się takimi jak ten i innymi sposobami składania jej hołdu i przywoływania jej obecności, na przykład przez przejmowanie jej nawyków. Czasami miała wrażenie, jak gdyby sama była kimś w rodzaju Madame Sururi. Wielokrotnie miała okazję się przekonać, że zmarłych ludzi można lepiej i dogłębniej poznać niż żyjących, jako że nie ma ich już przy nas i nie mogą w żaden sposób wpływać na nasze ich rozumienie.

Podążając tym tokiem myśli, Budur zaczęła stawiać sobie nowe pytania, które łączyły jej pracę z dziedziną Idelby. Zaczęła zastanawiać się nad zmianami, które z upływem czasu zachodziły w materiałach używanych, w zamierzchłej przeszłości, zmianami fizycznymi, chemicznymi i energetycznymi, a przede wszystkim, zmianami spowodowanymi rozpadem ki, które były niczym tykający zegar, zamknięty wewnątrz badanej materii. Zapytała o to Pilaliego, a on od razu opowiedział jej o zmianach, jakie z upływem czasu zachodzą w niektórych cząstkach, zarówno w sercach atomów, jak i

na ich powłokach. I tak, na przykład - po śmierci danego organizmu zawarty w jego tkankach cykloorganikum czternaście rozpada się, przechodząc powoli w cykloorganikum dwanaście. Proces ten zaczyna się około pięćdziesięciu lat po śmierci organizmu i trwa mniej więcej sto tysięcy lat. Do tego czasu cały cykloorganikum czternaście obecny w danej materii powraca do formy cykloorganikum dwanaście i wewnętrzny zegar staje.

To by w zupełności wystarczyło do oszacowania wieku wszelkiej ludzkiej działalności, pomyślała Budur. Razem z Pilalim rozpoczęła więc pracę nad tą metodą, wciągając w projekt wielu innych naukowców z instytutu. Pomysł wkrótce został podłapany i rozbudowany przez kolejny zespół nsareńskich naukowców, który powiększał się z miesiąca na miesiąc, aż w końcu rozrósł się na cały świat, jak to zresztą często bywa w świecie nauki. Nigdy wcześniej Budur nie pracowała tak ciężko.

Z czasem Budur została archeologiem i oprócz innych rzeczy, zajmowała się opracowywaniem metod datowania materii, w czym pomagał jej Pilali. Ostatecznie zajęła miejsce Idelby jako jego partner, a on z kolei przesunął część swoich badań na inną dziedzinę, dostosowując się w ten sposób do jej działań. Jego metodą na zbliżenie się do kogoś była wspólna praca, więc mimo iż Budur była młodsza i zajmowała się

inną dziedziną nauki, potrafił się do niej dopasować, nie przerywając własnych prac. Nadal oczywiście prowadził badania z zakresu fizyki atomowej, współpracując z wieloma uczonymi z instytutu i z kilkoma naukowcami z fabryki radiostacji na

przedmieściach Nsary, której laboratorium łączyło teraz wysiłki z medresą i instytutem, tworząc wielkie centrum naukowe fizyki doświadczalnej.

Oczywiście we wszystko włączała się też armia. Pilali prowadził badania według projektów opracowanych przez Idelbę i choć nie pojawiały się żadne publikacje, opisujące możliwość wywołania reakcji łańcuchowej rozszczepienia alactinu, to z pewnością w Skandistanie, Toskanii czy w Iranie istniały grupy muzułmańskich fizyków, które możliwość tę dyskutowały w hermetycznym gronie. Spodziewano się również, że podobne dyskusje trwały w laboratoriach Chin, Trawankoru i Nowego Świata. W Nsarze przeprowadzano analizy wszystkich międzynarodowych publikacji z tej gałęzi fizyki, aby sprawdzić, co zostało w nich pominięte lub czy pojawiały się jakieś nowe doniesienia, których można było się spodziewać, albo też czy nagle milczenie nie wskazywało czasem na próby utajnienia pewnych kwestii przez rząd. Jak dotychczas nie odnotowano rażących przypadków cenzury czy nabierania wody w usta, lecz Pilali czuł, że było to jedynie kwestią czasu, a najprawdopodobniej już się odbywało półświadomie i bez ustalonego planu, zarówno pośród nich, jak i w innych krajach. Pilali był zdania, że z chwilą nastania kolejnego globalnego kryzysu politycznego, jeszcze przed rozpoczęciem walk, cała ta dziedzina badań zostanie zamknięta w tajnych laboratoriach wojskowych, a razem z nią całe pokolenie najznamienitszych fizyków zostanie pozbawione kontaktu ze swoimi współpracownikami rozsianymi po całym świecie.

Oczywiście kłopoty mogły się pojawić w każdej chwili. Mimo iż Chiny wygrały wojnę, to i tak leżały w ruinie niemal tak samo jak kraje pokonanej koalicji, a do tego najwyraźniej popadały w anarchię i znajdowały się na skraju wojny domowej. Tamtejszy rząd wojskowy, który zastąpił dynastę Qing, chylił się ku upadkowi.

- Z jednej strony to bardzo dobrze - powiedział Pilali Budur - bo tylko wojskowa biurokracja zdecydowałaby się podjąć próbę budowy tak niebezpiecznej broni, a z drugiej strony to niedobrze, gdyż wojskowe rządy nigdy nie poddają się bez walki.

- Żaden rząd nie poddaje się bez walki - poprawiła go Budur. - Pamiętasz, co mówiła Idelba? Najlepszą bronią przeciwko przejęciu tej wiedzy przez rządy światowe będzie jej jak najszybsze rozprzestrzenienie wśród fizyków na całym świecie. Kiedy wszyscy będą wiedzieć, że każdy może skonstruować tak potworną broń, wówczas nikt się nie odważy tego zrobić.

- Może i nie, ale pewnie tylko początkowo - odparł Pilali. - Z biegiem lat na pewno do tego dojdzie.

- Nie ma znaczenia - ciągnęła Budur, nie dając spokoju Pilaliemu i nakłaniając go do podjęcia kroków zasugerowanych przez Idelbę. On nie sprzeciwiał się, lecz nie robił też nic w kierunku urzeczywistnienia jej zamiarów. W końcu Budur musiała przyznać mu rację. Niełatwo było zdecydować się na konkretne rozwiązanie tego problemu, obydwoje piastowali teraz powierzoną im tajemnicę niczym para gołębi kukułcze jajo.

Tymczasem sytuacja w Nsarze pogarszała się. Po kilku nieurodzajnych latach z rzędu nastał w końcu jeden urodzajny

sezon, co oddaliło bezpośrednią groźbę głodu. Gazety donosiły o rozruchach wśród głodującej ludności, o strajkach w fabrykach Ruhry, Renu i Rodanu, a nawet o buncie przeciwko reparacjom, który wybuchł w górach Małego Atlasu i był niełatwy do stłumienia, gdyż okazało się, że wojsko miało wśród buntowników swoich ludzi, którym bardziej zależało na zaognieniu konfliktu niż jego stłumieniu. Być może działo się tak w wyniku rosnącego poczucia solidarności z głodującymi, a może chodziło o pogłębienie destabilizacji, która uzasadniałaby wojskowy przewrót. Plotki o planowanym zamachu stanu brzmiały już wszędzie.

Aktualna sytuacja przypominała smutne rozgrywki, odbywające się pod koniec Długiej Wojny. Znów nasiliło się zjawisko gromadzenia wszelkich dóbr. Budur nie potrafiła się skupić na czytaniu, często dopadał ją obezwładniający smutek z powodu odejścia Idelby. Tym bardziej więc zaskoczył ją i ucieszył Pilali, przynosząc wieści o zbliżającej się konferencji w Isfahanie, międzynarodowym zjeździe fizyków atomowych, którzy spotykają się, by przedyskutować najnowsze osiągnięcia w swojej dziedzinie.

- W tym - powiedział, unosząc do góry wskazujący palec – palący problem alactinu.

Tegoroczną konferencję połączono z czwartym biennale naukowców z całego świata, które po raz pierwszy odbyło się poza granicami Ganono, wielkiego miasta portowego ludu Hodenosaunee. Oba wydarzenia określano mianem Konferencji na Long Island. Drugie biennale odbyło się w Pyinkayaing, trzecie w Pekinie, więc Konferencja

w Isfahanie była pierwszą, która miała odbyć się na terenie Dar al-Is-lam, a jej program przewidywał również serię dyskusji panelowych, poświęconych archeologii. Pilaliemu udało się zdobyć od instytutu fundusze na wspólny wyjazd z Budur, która wraz z Idelbą była współautorką artykułów o metodach datowania materii przy wykorzystaniu cykloorganikum.

- Mam wrażenie, że to będzie wyśmienite miejsce, aby spokojnie porozmawiać o odkryciach twojej ciotki. Planowana jest też sesja w całości poświęcona jej pracy, którą zorganizowali Zoroush i Chen. Na miejscu będą też inni jej korespondenci. No to jak, jedziesz?

21.

Bezpośredni pociąg do Iranu przejeżdżał przez Turi, rodzinne miasto Budur, i czy to z tego powodu, czy z jakiegoś innego, Pilali zarezerwował dla nich bilety na przelot statkiem powietrznym z Nsary do Isfahanu. Jednostka była niewielka, podobna do tej, którą Budur i Idelba leciały na Orkady. Teraz Budur siedziała przy oknie i patrzyła z góry na Firanię: Alpy, Rzym, Grecję, brązowe wyspy morza Egejskiego, dalej Anatolia i państwa Środkowego Zachodu. Płynęły kolejne godziny podróży, a Budur wciąż nie mogła wyjść z podziwu nad ogromem świata.

Nieco później przelecieli nad ośnieżonymi szczytami Zagrosu i zbliżali się do Isfahanu, leżącego w górnych partiach Zayandeh Rud, głębokiej doliny, którą płynęła całoroczna rzeka, uchodząca na słone rozlewiska na wschodzie. Kiedy nadlecieli nad lotnisko w Isfahanie, ujrzeli szeroki pas ruin okalających nowoczesne miasto. Isfahan leżał na trasie Jedwabnego Szlaku i był sukcesywnie

burzony i odbudowywany przez Dżyngis-chana i Timura Chromego, w dwunastym wieku przez Afgańczyków, a podczas ostatniej wojny przez najeźdźców z Trawankoru.

Bez względu na swą historię nowe wcielenie miasta Isfahan tętniło życiem. Budowy trwały tam na każdym kroku, a kiedy jechali tramwajem do centrum, mieli wrażenie, jakby przedzierali się przez las dźwigów i żurawi, krzyżujących się pod ostrymi kątami ponad wyrastającymi konstrukcjami z betonu i stali. Abdul Soroush i inni irańscy naukowcy powitali gości z Nsary przy wejściu do wielkiej medresy w centrum miasta, następnie zaprowadzili ich do przestronnych kwater gościnnych

przy tutejszym Instytucie Badań Naukowych, a później na obiad do restauracji w centrum.

Ponad Isfahanem stały góry Zagros, a przez południową część śródmieścia, która rozbudowywała się na ruinach najstarszego centrum miasta, przepływała rzeka. Miejscowi opowiadali, że należąca do instytutu kolekcja znalezisk archeologicznych stale się poszerzała o antyki i przedmioty codziennego użytku, pochodzące z minionych epok tego miejsca. Nowe miasto zaprojektowano wraz z siecią szerokich, trójpasmowych ulic, które rozchodziły się promieniście na północ od rzeki i nierzadko sięgały dużych wysokości u stóp jeszcze wyższych gór w oddali. Kiedy świeżo posadzone w tutejszych parkach drzewa osiągną swą właściwą wysokość, wtedy będzie tu naprawdę pięknie, lecz nawet teraz miasto robiło potężne wrażenie.

Mieszkańcy Isfahanu byli oczywiście dumni ze swojego miasta, z

instytutu i ogólnie z całego Iranu, który podczas wojny tyle razy upadał, a teraz znów budował się na nowo, i to w całkowicie nowym duchu perskiej doczesności, jak to określali sami mieszkańcy, w którym liczne skupiska ultra-konserwatywnych szyitów tonęły w powodzi bardziej tolerancyjnych imigrantów, intelektualistów na uchodźstwie oraz tutejszych myślicieli, nazywających się Cyrusami, od imienia pierwszego, domniemanego króla Iranu. Ten nowy rodzaj irańskiego patriotyzmu szczególnie spodobał się gościom z Nsary, jako że był on sposobem na częściowe uniezależnienie się od islamu bez wyrzekania się go. Kiedy zasiedli razem do stołu, Cyrusowie od razu radośnie oznajmili, że według ich pojmowania aktualny rok to nie 1381 po hidżrze lecz 2561 rok ery króla królów, po czym jeden z nich wstał i wzniósł toast, recytując tekst anonimowego wiersza, odkryty pod starymi warstwami tynku na ścianie w nowej medresie.

Pradawny Iran i odwieczna Persja,
W ciasnym uścisku świata i czasu,
Swoją cudną perszczyznę składają na ołtarzu,
Język Hafeza, Firdowsiego, Chajjama,
Głos mego serca, mej duszy śpiewanie.
Ciebie miłością darze największą,
Raz jeszcze zabrzmij we mnie swą pieśnią, Iranie!

Wszyscy miejscowi wznieśli kielichy i z radością wypili toast, choć większość z nich była przyjezdnymi studentami z Afryki, Nowego

Świata i Aozhou.

- Tak właśnie będzie kiedyś wyglądał cały świat, kiedy wszyscy ludzie na Ziemi będą całkowicie mobilni - powiedział Abdul Zoroush do Budur i Pilaliego, kiedy oprowadzał ich po rozległych terenach i nowoczesnych budynkach instytutu.

Później udali się na spacer wzdłuż rzeki, płynącej po południowej stronie naukowego kompleksu. Trwała właśnie budowa szerokiej promenady ze sklepami i kawiarenkami, z których roztaczał się widok na wysokie góry. Zoroush opowiadał, że projektowano ją na wzór bulwaru przy nsareńskim estuarium.

- Pragnęliśmy czegoś na miarę waszego pięknego miasta i mimo, że ogranicza nas ukształtowanie terenu, nadal pragniemy poczuć choć namiastkę tej waszej otwartości.

Konferencja rozpoczęła się nazajutrz i przez siedem dni z rzędu Budur nie robiła prawie nic innego, poza uczestniczeniem w różnorakich sesjach i dyskusjach powiązanych z tym, co wielu nazywało nową archeologią - prawdziwą nauką, będącą czymś więcej niż tylko hobbistycznym zajęciem antykwariuszy czy mglistym początkiem dla rozważań historyków. Tymczasem Pilali zniknął w budynku nauk fizycznych, na wykładach i sesjach ze swojej dziedziny. Najczęściej spotykali się dopiero wieczorami, podczas kolacji w licznym gronie naukowców z całego świata, przez co nie mieli czasu porozmawiać na osobności.

Wszystkie prezentacje z zakresu archeologii były dla Budur ekscytującą formą zdobywania wiedzy. Po jakimś czasie już nie tylko ona, ale i wszyscy inni zaczęli uświadamiać sobie, że właśnie

teraz, na ich oczach, w erze powojennej odbudowy, dzięki odkryciom i nowatorskim metodologiom, przy orientacyjnie ustalonych ramach wczesnej historii świata, rodziła się nowa nauka i nowy sposób rozumienia najodleglejszej historii człowieka. Sale wykładowe pękały w szwach, a dyskusje toczyły się czasem do wieczora. Niektóre prezentacje odbywały się w korytarzach. Prelegenci stali przed planszami lub tablicami, ze wskaźnikiem lub kredą w ręce, gestykulowali, omawiając szczegóły specyficznych zagadnień, i odpowiadali na pytania stłoczonych słuchaczy. Budur najchętniej uczestniczyłaby we wszystkich wydarzeniach, lecz jako że nie było to możliwe, szybko opracowała własną metodę uczestnictwa w wykładach. Zajmowała miejsce z tylu sali lub za skupiskami ludzi na korytarzach, wyłapywała sedno prezentowanego problemu i już sprawdzała w programie konferencji, gdzie spędzi następną godzinę.

W jednej auli zatrzymała się na dłużej, chcąc posłuchać starszego mężczyzny z zachodniego Yingzhou, o chińskich lub japońskich korzeniach, który posługując się dziwaczną perszczyzną, opowiadał o kulturach Nowego Świata w momencie ich odkrywania. Zainteresowało ją to przede wszystkim ze względu na przyjaźń z Ganagweh i Haneą.

- Choć pod względem technologicznym i architektonicznym mieszkańcy Nowego Świata trwali przy najstarszych rozwiązaniach, w Yingzhou nie udomawiano zwierząt, natomiast w kraju Inków hodowano tylko lamy i świnki morskie, to i tak kultura Inków czy Azteków przypominała w pewnym sensie to, czego dziś

dowiadujemy się o starożytnym Egipcie. Tak więc plemiona Yingzhou prowadziły podobny tryb życia co mieszkańcy Starego Świata przed powstaniem pierwszych miast, czyli około osiem tysięcy lat temu, podczas gdy południowe imperia Inków przypominały Stary Świat sprzed mniej więcej czterech tysięcy lat: to dość znaczna różnica, którą, jeśli pozwolicie, z przyjemnością wyjaśnię. Inkowie mieli pewną przewagę topograficzną i surowcową, przykładem niech będzie lama, zwierzę juczne o niewielkiej przydatności z perspektywy Starego Świata, a jednak Yingzhou nie miało nawet tego. Inkowie dysponowali zatem większymi zasobami siły, a jak wiemy od Mistrza Zorousha, w równaniach energetycznych, używanych do oceny stopnia rozwoju danej kultury, siła, jaką można wytoczyć naprzeciw potędze natury, jest zasadniczym czynnikiem decydującym o postępie.

Tak czy inaczej wysoki stopień prymitywizmu panujący na Yingzhou, nie przeszkadzał rozwinięciu się tam struktur, które przypominają nieco organizację społeczności Starego Świata w fazie preagrarnej, lecz jednocześnie, co ciekawe, wykazują wiele cech nowoczesnych. Po pierwsze mieszkańcy Yingzhou opanowali podstawy rolnictwa, uprawiali kabaczki, kukurydzę, fasolę i inne, po drugie, stanowili niewielkie, samowystarczalne populacje zdolne do utrzymania się z bogactw naturalnych, których źródłem były lasy pełne zwierzyny i owoców wielu gatunków drzew liściastych. Ich gospodarkę można by nazwać przedkry-zysową, w odróżnieniu od tego, co możemy obserwować i rozważać dziś, jako technologicznie wygenerowaną fazę postkryzysu. Zarówno w jednym, jak i w drugim

przypadku indywidualna jednostka ludzka (mężczyzna lub kobieta) jest nośnikiem o wiele większej wartości niż w systemie gospodarki kryzysowej. Poza tym, hierarchiczny ucisk społeczny nie był tam na porządku dziennym. W tych sprzyjających warunkach materialnego dobrobytu spotykamy się z wyjątkowym egalitaryzmem ludu Hodenosaunee: władza w rękach kobiet i całkowite wyrzeczenie się niewolnictwa, zamiast którego stosowano politykę asymilacyj-ną, wplatającą podbite plemiona w poszerzającą się strukturę państwa.

Do momentu powstania Pierwszych Wielkich Imperiów, to jest ja-kieś cztery tysiące lat później, ustroju tego już nie było, a na jego miejscu pojawiła się surowa, spionizowana hierarchia z boskim królem na szczycie, z kastą duchowieństwa cieszącą się władzą absolutną, z permanentnym dozorem wojskowym i zniewalaniem pokonanych narodów. Te wczesne osiągnięcia, a może należałoby powiedzieć patologie cywilizacyjne zaczynamy zwalczać dopiero dziś, czyli jakieś cztery tysiące lat później, i to tylko w niektórych, sprawnie rozwijających się społecznościach światowych.

W międzyczasie oba te relikty cywilizacyjne niemal całkowicie zniknęły z powierzchni Ziemi, głównie z powodu chorób przywleczonych ze Starego Świata, które atakowały populacje, niemające z nimi wcześniej kontaktu. Ciekawym zjawiskiem jest to, że w pierwszej kolejności i niemal od razu upadły stany południowe, które doszczętnie zdewastowała chińska armia poszukiwaczy złota, a wkrótce potem głód i zarazy. Zdawałoby się, że ciało pozbawione głowy musi również umrzeć. Tymczasem na północy sytuacja przedstawiała się inaczej, przede wszystkim dlatego, że

Hodenosaunee potrafili się bronić. Zaszywszy się w głębi lasów, nigdy do końca nie poddali się ani chińskim, ani muzułmańskim najazdom od strony Atlantyku. Poza tym byli mniej podatni na choroby Starego Świata, gdyż najprawdopodobniej zetknęli się z nimi wcześniej dzięki wędrownym mnichom japońskim, handlarzom, traperom i poszukiwaczom, którzy zarażali pojedyncze skupiska rdzennej ludności, lecz nie wywoływali epidemii na wielką skalę, przez co odgrywali rolę naturalnej szczepionki, dzięki której populacja Yingzhou przetrwała późniejszy, bardziej zmasowany najazd Azjatów. Ci z kolei nie przynieśli ze sobą tak wielkiego zniszczenia jak Chińczycy, lecz oczywiście zginęło wielu ludzi i wiele plemion wymarło.

Budur wyszła z sali, zastanawiając się nad terminem “społeczeństwo postkryzysowe", którego w wygłodniałej Nsarze nigdy wcześniej nie słyszała. Zbliżała się pora kolejnej sesji, wielkie wydarzenie, którego Budur nie chciała przegapić, a które, jak się okazało, cieszyło się jak dotąd największą popularnością. Była to dyskusja plenarna, poświęcona kwestii wymarłych Franków i przyczyn tak katastrofalnej zarazy, która na nich spadła.

Ogromnym dorobkiem w tej dziedzinie mógł się poszczycić romski uczony, Istvan Romani, który przeprowadził wiele badań na peryferiach

strefy zasięgu zarazy, w Madziaristanie i Mołdawii. Okres Długiej Wojny przyniósł ze sobą nowe badania, tym razem już nad samą chorobą, gdyż spodziewano się, że któraś ze stron wkrótce użyje jej jako broni. Według aktualnego stanu wiedzy choroba w pierwszych

wiekach przenosiła się przez pchły żyjące na szczurach, które podróżowały na statkach i w karawanach. Wspólnie z chińskim uczonym o imieniu Jiang, Romani prowadził badania na cmentarzu miejscowych nestorian w mieście Issyk Kul, na południe od jeziora Balhasz w Turkiestanie. Udało im się zdobyć dowody na drastyczny skok wskaźnika śmiertelności na tamtych terenach około roku siedemsetnego. Powodem musiała być zaraza. Najprawdopodobniej tutaj właśnie znajdowało się ognisko zapalne epidemii, która wzdłuż Jedwabnego Szlaku rozprzestrzeniała się na zachód do Saraju, ówczesnej stolicy chanatu Złotej Ordy. Jeden z ich chanów, o imieniu Janibeg, zdobył genueński port w Kaffie na Krymie, katapultując do obwarowanych miast martwe ciała ofiar zarazy. Genueńczycy pozbywali się zwłok, wrzucając je do wody, lecz to bynajmniej nie zatrzymało epidemii, która w szybkim tempie opanowała całą sieć genueńskich portów handlowych, łącznie z całym wybrzeżem Morza Śródziemnego. Plaga przenosiła się z portu do portu. Zimą przechodziła w stadium utajone, a na wiosnę znów atakowała, tym razem również w głębi lądu. Schemat ten powtarzał się przez ponad dwadzieścia lat. Wszystkie zachodnie półwyspy Starego Świata zostały wyniszczone, tak samo jak ziemie na północ od Morza Śródziemnego i dalej na wschód aż po Moskwę, Nowogród, Kopenhagę i porty nadbałtyckie. W tamtym czasie liczba ludności Firanii spadła o 70 procent w stosunku do stanu sprzed wybuchu epidemii. Następnie, w roku 777, który dla niektórych mułłów i sufickich mistyków miał szczególne znaczenie, uderzyła druga fala epidemii, przypuszczalnie tej samej choroby,

która uśmierciła niemal wszystkich ocalałych z pierwszego ataku. Podróżnicy i marynarze odwiedzający w ósmym wieku tamte tereny donosili o widokach całkowicie opustoszałych ziem.

Inni prelegenci starali się udowodnić w swoich prezentacjach, że przyczyną drugiej fali epidemii nie była, jak w pierwszym przypadku, dżuma, lecz wąglik. Jeszcze inni byli całkiem przeciwnego zdania i twierdzili, że najnowsze badania nad pierwszą chorobą wykazują znacznie częstsze występowanie czarnych krost, czyli znamion wąglikowych, niż obrzęku węzłów pachwinowych, wskazujących na dżumę, według nich, dopiero druga fala była epidemią dżumy. Na tej samej sesji wyjaśniono, że zaraza miała w istocie trzy postacie: obrzękową, po-

socznicową i płucną, z tym że zapalenie piuc wywoływane odmianą płucną okazało się najbardziej zakaźne, najszybciej się rozprzestrzeniało, a do tego było śmiertelne. Forma posocznicowa była jeszcze groźniejsza. W gruncie rzeczy wszystkie te choroby doczekały się najbardziej szczegółowych opisów w niefortunnym dla nauki okresie Długiej Wojny.

Dlaczego jednak zaraza ta, jakąkolwiek chorobą bądź kombinacją chorób by nie była, okazała się tak śmiertelna w skutkach akurat dla mieszkańców Firanii? W sympozjum brali udział kolejni prelegenci, którzy wysuwali teorię za teorią. Budur robiła notatki, z których pod koniec dnia, najczęściej przy kolacji, zdawała sprawę Piialiemu. Ten wszystko notował na serwetkach:

- W latach siedemdziesiątych ósmego wieku mikroorganizm

zarazy mutuje w formę o wirulencji podobnej do gruźlicy lub tyfusu.

• W ósmym wieku miasta Toskanii cierpią na przeludnienie, zawodzi kanalizacja, wskaźnik zachorowań skacze.

• Nagle wyludnienie wywołane pierwszą falą epidemii. Po nim seria katastrofalnych powodzi, które niszczą zbiory i sprowadzają głód.

• Pod koniec pierwszej fali epidemii w północnej Francji odnotowano ekstremalnie zakaźną odmianę mikroorganizmu zarazy.

• Jasna karnacja Franków i Celtów pozbawiona jest pigmentu, zwiększającego odporność na choroby i odpowiedzialnego za powstawanie piegów.

• Cykl plam słonecznych wywołuje anomalie pogodowe i co dwanaście lat sprowadza coraz groźniejszą formę epidemii...

- Plamy słoneczne? - przerwał jej Pilali.

- Tak mówił tamten człowiek - wzruszyła ramionami Budur.

- Tak... no więc, co to mogło być? - zastanowił się Pilali, spoglądając na swoją serwetkę - mikroorganizm zarazy albo jakiś inny mikroorganizm lub też swoista cecha tamtejszych ludów albo ich zwyczaje, a może gleby lub pogoda, lub plamy na słońcu... - uśmiechnął się pod nosem - to chyba wszystko nam wyjaśnia. Myślę, że powinni uwzględnić również promieniowanie kosmiczne. Czy w tamtym czasie nie zaobserwowano jakiejś eksplozji supernowej?

Budur nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Nie, chyba trochę wcześniej. Tak czy inaczej musisz przyznać, że warto jest szukać wyjaśnienia.

- Tak samo jak i warto robić inne rzeczy, gdyż na razie wszystko wskazuje, że do rozwiązania tej kwestii jeszcze daleka droga przed nami.

Prezentacje toczyły się dalej. Poruszano najrozmaitsze zagadnienia, od historii powszechnej sprzed Długiej Wojny, przez wszystkie wcześniejsze epoki, aż po szczątki i przedmioty najwcześniejszych ludzi. Wykład poświęcony pierwszym istotom ludzkim skłonił wszystkich do zastanowienia się nad jedną z poważniejszych kwestii, stawianych przez ich dziedzinę, nad kwestią początków ludzkości.

Archeologia jako dyscyplina wywodziła się w dużej mierze z Chin, gdzie szybko przyswoili ją sobie ludzie Nawaho, którzy prowadzili wspólne badania z Chińczykami. Po powrocie do Yingzhou planowali wykorzystać zdobytą wiedzę w celu dowiedzenia się czegoś o dawnych ludach zamieszkujących wyschnięty zachód ich kontynentu, które nazywali kulturą Anasazi. Pewien uczony z plemienia Nawaho o imieniu Anan, wraz z ze swoimi kolegami, jako pierwszy podjął się próby opisu globalnej migracji ludzkości oraz jej najwcześniejszej historii. Naukowcy twierdzili, że plemiona Yingzhou eksploatowały złoża cyny na Żółtej Wyspie, na największym z wielkich jezior, jeziorze Manitoba, a następnie, drogą morską transportowali surowiec przez ocean do wszystkich kultur azjatyckich i afrykańskich, gdzie nadal trwała epoka brązu. Grupa Anana twierdziła, że na Nowym Świecie cywilizacja narodziła się wraz z Inkami, Aztekami i plemionami z Yingzhou, a ściślej mówiąc, z ich najstarszymi przodkami, zamieszkującymi pustynie zachodu

jeszcze przed nastaniem kultury Anasazi. Te wielkie, pradawne imperia wykorzystywały swoją trzcinowo-balsową flotę do wymiany towarowej z praprzodkami dzisiejszych Azjatów, którym oferowano cynę w zamian za przyprawy i sadzonki roślin rolniczych. Ci wcześni handlarze z Yingzhou przyczynili się też do powstania cywilizacji śródziemnomorskich, starszych nawet od kultury starożytnej Grecji: starożytnych Egipcjan oraz środkowo-zachodnich państw Sumerów i Asyryjczyków.

Tak oto wyglądało stanowisko archeologów Nawaho, w rzeczy samej jasno wyłożone i szczegółowo udokumentowane znaleziskami z niemal całego świata. Z drugiej jednak strony, w Azji, Firanii i Afryce ciągle pojawiały się nowe dowody, wskazujące na nieprawdziwość ich teorii. Wyniki cykloorganicznego datowania reliktów ludzkości znalezionych w Nowym Świecie wskazywały na okres sprzed dwudziestu tysięcy lat. Początkowo wszyscy przyznali, że były to najstarsze ze znanych pozostałości po człowieku, starsze nawet od najstarszych cywilizacji Starego Świata, Chińczyków, Egipcjan czy ludów Środkowego Zachodu. Przy takim stanie wiedzy teoria Nawaho wydawała się bardzo prawdopodobna, lecz teraz, kiedy wojna się skończyła, naukowcy rozpoczęli badania Starego Świata przy użyciu niedostępnych nigdy wcześniej technik, które pojawiły wraz z narodzinami współczesnej archeologii. Badacze znaleźli mnóstwo śladów ludzkiej bytności z okresów znacznie starszych niż te, o których dotychczas wiedziano. Doskonale zachowane malowidła naścienne odkryte w jaskiniach na południe od Nsary datowano na czterdzieści tysięcy lat, a

szkielety ze środkowego zachodu okazały się mieć ponad sto tysięcy lat. Badacze z miasta Ingal w południowej Afryce donosili o odkryciu szczątków ludzkich lub raczej ewolucyjnych przodków człowieka, które pochodziły sprzed kilkuset tysięcy lat. W przypadku tych znalezisk nie sprawdzało się datowanie cykloorganiczne, więc zastosowano inne metody datowania, które według naukowców były równie precyzyjne.

Jak dotąd jeszcze nikt na świecie nie wysunął takiego twierdzenia, jakie zaryzykowali afrykańscy naukowcy. Większość seminarzystów odniosła się doń sceptycznie, inni dopytywali się o rodzaj zastosowanych technik datowania, a jeszcze inni z miejsca odrzucali takie pomysły jako rażące oznaki kontynentalnego czy też rasowego patriotyzmu. Reakcja ta naturalnie rozgniewała naukowców z Afryki i cale popołudniowe spotkanie przybrało nerwowy charakter, który mimowolnie przywodził ludziom na myśl atmosferę ostatniej wojny. Niezwykle ważną umiejętnością było utrzymanie dyskursu naukowego, dotyczącego faktów wolnych od religii, polityki i różnic rasowych.

- Myślę, że we wszystkim można się doszukać oznak patriotyzmu -zagadnęła Budur Pilaliego tamtej nocy. - Patriotyzm archeologiczny to czysty absurd, ale wszystko wskazuje na to, że właśnie taki był początek archeologii w Yingzhou. Pewnie jest coś takiego w człowieku, jak nieświadoma stronniczość na rzecz miejsca własnego pochodzenia. Dopóki nie uporamy się z problemem datowania znalezisk, dopóty kwestia zastąpienia jednego modelu innym pozostaje otwarta.

- Metody datowania z pewnością zostaną udoskonalone - powiedział Pilali.

- Owszem, ale do tego czasu wszystko pozostanie niejasne.

- I tak jest zawsze.

Dni upływały na niezliczonych spotkaniach. Budur wstawała o świcie, udawała się do jadalni medresy na lekkie śniadanie, a potem, aż do kolacji, a czasem i późnego wieczora uczestniczyła w różnorakich prezentacjach i rozmowach. Raz zaskoczył ją poranny wykład młodej kobiety, opowiadającej o odkryciu czegoś, co opisywała jako zapomnianą gałąź muzułmańskiego feminizmu. Był to nurt myślowy, który zasilił renesans samarkandzki, po czym popadł w zapomnienie. Najprawdopodobniej stworzyły go kobiety z miasta Qom, które sprzeniewierzyły się rządom mułłów i poprowadziły swoje rodziny na północny wschód, w stronę warownego miasta Derbent w Baktrii, gdzie mieszkańcy nadal prowadzili szczęśliwy transoksański żywot, mimo iż od podbicia ich miasta przez Aleksandra Wielkiego upłynęło ponad tysiąc lat. Muzułmańskie buntowniczki osiedliły się z rodzinami w Derbencie i wkrótce zdołały wypracować taki styl życia, w którym każdy był nie tylko równy w obliczu Allaha, ale i w obliczu drugiego człowieka. Aleksander pewnie stworzyłby coś podobnego, sam przecież był niegdyś gorliwym uczniem królowej Krety. Wszyscy mieszkańcy Derbentu żyli w zgodzie i dostatku jeszcze przez wiele lat, być może dlatego, że koncentrowali uwagę na własnych sprawach i nigdy nie próbowali w jakikolwiek sposób narzucać się światu. Oczywiście nie zatrzymali wszystkiego dla siebie i często dzielili się

wiedzą z ludźmi, z którymi handlowali w pobliskiej Samarkandzie, a tamci, czerpiąc z ich doświadczenia, rozpoczynali odrodzenie świata na własną rękę. Młoda badaczka twierdziła, że wszystko to dało się wyczytać z ruin i wykopalisk.

Budur zaczęła spisywać źródła bibliograficzne do wykładu i sporządzając notatkę, uświadomiła sobie, że archeologia również może wyrażać pragnienia, a nawet stawiać wymagania wobec przyszłości. Wyszła na korytarz. Zapyta o to Kiranę, a sama będzie musiała ów problem zbadać. Kto wie, co ludzie tak naprawdę robili w przeszłości? Na świecie wydarzyło się tyle rzeczy, o których nikt nigdy nie napisał ani słowa i o których nikt dzisiaj nie pamięta, wszystko albo prawie wszystko mogło się zdarzyć. Kirana wspomniała kiedyś o pewnej ludzkiej cesze, która skłaniała nas do myślenia, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Ta myśl dodawała nam odwagi do wprowadzania własnego państwa na drogę postępu. Podobnie rzecz miała się z kobietami, które od zawsze żywiły przekonanie, że wszystkim innym kobietom na świecie powodziło się znacznie lepiej niż im i to przekonanie również dodawało im sił do walki o zmiany. Takie tendencje przejawiały się też na inne sposoby. Ludzie zawsze wyobrażali sobie dobro absolutne jako coś istniejącego poza otaczającą ich rzeczywistością, jak na przykład w opowieściach o cudownych miejscach, które wkrótce po odkryciu znikały w tajemniczy sposób. Chińczycy nazywali je historiami ze Źródła Potoku Kwitnącej Brzoskwini, lecz trudno powiedzieć, ile w nich historii, ile przypowieści, a ile proroctwa. Prawdopodobnie dopiero przyszłe pokolenia

będą mogły o tym zawyrokować.

Budur odwiedziła jeszcze inne sesje, lecz na każdej z nich wyczuwała podobną, coraz silniejszą atmosferę ludzkiego trudu, bezustannych eksperymentów i zmagań. Ludzie wypowiadali setki tysięcy słów, aby porozumieć się co do spójnego sposobu koegzystencji. Imitacja Potali wielkości dwóch trzecich oryginału wybudowana przed granicą Pekinu, starożytny kompleks świątynny, najprawdopodobniej greckiego pochodzenia, odnaleziony w puszczach Amazonii i Syjamu, Stolica Inków założona wysoko w górach, szkielety pramieszkańców Firanii, które pod względem kształtu czaszki niezupełnie przypominały współczesną postać człowieka; koliste budowle z mamucich ciosów, kalendarzowa struktura kolistych konstrukcji kamiennych z Brytanii, nienaruszony grobowiec egipskiego faraona, świetnie zachowane szczątki średniowiecznej francuskiej wioski, wrak z półwyspu Ta Snu, ląd lodowcowy wokół bieguna północnego, wczesna ceramika inkaska malowana w południowojapońskie wzory, majska legenda o “wielkim nadejściu" boga Itzamna, który nosił to samo imię co współczesna mu sintoistyczna bogini matka; megalityczne budowle w in-kaskich dorzeczach, przypominające kształtem megality z Maghrebu, sta-rogreckie ruiny z Anatolii, będące najprawdopodobniej pozostałościami po Troi, opisanej przez Homera w Iliadzie; gigantyczne kształty geometryczne na równinach inkaskich, które w całości widać tylko z powietrza, nadmorska wioska na Orkadach, gdzie zabrała ją Idelba, kompletne grecko-rzymskie miasto w okolicach Efezu na wybrzeżu

anatolijskim... Te i wiele innych odkryć prezentowali pasjonaci i znawcy z całego świata. Każdy dzień wypełniały niekończące się rozmowy. Budur wszystko notowała w brulionie i dopytywała się o reprinty szerszych opracowań i esejów, jeśli były dostępne w perskim lub arabskim. Szczególnie zaciekawiła ją sesja poświęcona metodom datowania. Naukowcy zajmujący się tą dziedziną wielokrotnie wyrażali podziw dla pionierskich prac jej ciotki. Obecnie testowali alternatywne metody datowania materii, na przykład prężnie rozwijającą się dendrochronologię, polegającą na porównywaniu zmian zachodzących z czasem w słojach drzew. Inna metoda wymagała badań nad luminescencją ki z przedmiotów ceramicznych, wypalanych w odpowiednio wysokiej temperaturze. Nadal jednak wszystkie pomysły wymagały dopracowania i żaden z naukowców nie był w pełni zadowolony z aktualnego stanu umiejętności ocenienia wieku przedmiotów, które wykopywali z ziemi.

Jednego dnia grupa archeologów, wykorzystująca naukowe osiągnięcia Idelby, zaprowadziła Budur przez dziedziniec medresy na drugą stronę kompleksu, gdzie znajomi fizycy Idelby zorganizowali memoriał jej imienia. Było kilka przemówień, naświetlenie różnych aspektów dorobku naukowego oraz prezentacja nowych prac, bazujących na jej osiągnięciach. Później wszystkich zaproszono na skromne przyjęcie, gdzie chwilą ciszy uczczono pamięć wielkiej badaczki.

Budur przechadzała się pomiędzy ludźmi, przyjmując kondolencje i wyrazy uznania dla dokonań ciotki. Wszyscy mężczyźni na

przyjęciu, a była ich tam większość, okazywali Budur wiele troski. Budur była dumna, a czule słowa i spojrzenia były niezwykle krzepiące, choć i one czasem wywoływały chwilowy, bolesny skurcz: stracili nieocenioną koleżankę, Budur zaś ostatnią, liczącą się dla niej krewną. Nie potrafiła więc skupiać się wyłącznie na dokonaniach naukowych Idelby.

Poproszono ją o zabranie głosu przed całym zgromadzeniem. Poczuła ściśnięcie w żołądku, ale po chwili wzięła się w garść i ruszyła w stronę mównicy, myśląc o swoich niewidomych żołnierzach, którzy byli dla niej pewnym uziemieniem, kotwicą, punktem odniesienia, wobec którego mogła ocenić prawdziwy smutek. W porównaniu z nimi to, co działo się teraz dookoła niej, było prawdziwym świętowaniem, więc uśmiechnęła się do tych wszystkich ludzi, którzy przyszli oddać cześć Idelbie. Teraz jeszcze tylko musiała coś powiedzieć. Wchodząc na katedrę, pomyślała, że spróbuje rzec to, co z pewnością padłoby z ust Idelby, albo choć sparafrazuje jej słowa. W tego typu reinkarnację była w stanie uwierzyć.

Spojrzała na tłum fizyków. Czuła spokój i opanowanie.

- Wszyscy wiemy - mówiła - czym dla Idelby była fizyka atomowa, którą zajmujecie się dziś na co dzień. Wiemy też, jak bardzo zależało jej, aby wyniki tej pracy wykorzystać dla dobra ludzkości i w żadnym innym celu. Myślę, że najlepszym sposobem upamiętnienia jej osoby będzie powołanie stowarzyszenia naukowców, czuwających nad właściwym rozpowszechnianiem i zastosowaniem posiadanej wiedzy. Mam nadzieję, że będziemy

mieli okazję porozmawiać o tym szerzej. Taka organizacja powinna zrodzić się z myśli o intencjach Idelby, z jej przeświadczenia, że jeśli w grę wchodzi dobro człowieka, to na nikogo nie można liczyć tak jak na naukowców, gdyż większość problemów po drodze będzie właśnie natury naukowej.

Na widowni zapadła cisza i zapanował bezruch. Twarze zgromadzonych przypominały twarze niewidomych żołnierzy, malował się na nich ból i pragnienie, desperacka nadzieja i żal. Bez wątpienia wielu z obecnych udzielało się w wojskowych projektach swoich rządów, zwłaszcza pod koniec wojny, kiedy wyścig zbrojeń nabrał szaleńczego tempa, a sytuacja na świecie coraz bardziej się komplikowała. Całkiem niewykluczone, że byli tu również wynalazcy pocisków z gazem bojowym, od których stracili wzrok weterani Budur.

- Oczywiście zdajemy sobie sprawę - ciągnęła dalej ostrożnym tonem - że jak dotychczas nie zawsze tak było. Naukowcy nie zawsze robili to, czego wymagało od nich dobro ludzkości. Przez swoją wizję nauki Idelba pokazuje nam, że możemy ją nie tylko czynić coraz bardziej naukową, lecz przede wszystkim sukcesywnie ją udoskonalać. Jest to jeden spośród wielu czynników definiujących naukę i odróżniających ją od innych działalności człowieka. Dla mnie właśnie przez to wszelka działalność naukowa jest czymś w rodzaju modlitwy, jest formą oddania czci światu. To praca, która wymaga od nas oddania i poświęcenia - pamiętajmy o tym, kiedy wspominać będziemy Idelbę i kiedy będziemy myśleć o zastosowaniu wyników naszych prac. Dziękuję.

Po wystąpieniu do Budur podeszło wiele osób, pragnących wyrazić podziękowania i uznanie, mimo iż właściwej adresatki ich słów nie było już wśród nich. Kiedy uroczystość dobiegała końca, niektórzy badacze udali się do pobliskiej restauracji, a później już tylko garstka z nich zdecydowała się zostać na kawę i baklawę. Budur poczuła się przez chwilę jak w jednej z kafejek w deszczowej Nsarze.

Ostatecznie około północy zostało ich tam nie więcej niż tuzin, a kelnerzy mieli takie miny, jakby chcieli już zamykać. Wtedy Pilali rozejrzał się po pomieszczeniu i odwzajemnił spojrzenie Abdula Sorousha, po czym zwrócił się do Budur:

- Oto doktor Chen - powiedział, wskazując na siedzącego przy drugim końcu stołu Chińczyka o siwych włosach, który przywitał się z nią ukradkowym skinieniem głowy. - Przywiózł nam wyniki prac swojego zespołu nad alactinem, który, jak zapewne ci wiadomo, był jednym z ważniejszych zagadnień, jakimi zajmowała się Idelba. Doktor Chen pragnie podzielić się swoimi spostrzeżeniami ze wszystkimi uczestnikami konferencji. Chińczycy podzielają nasze zdanie w kwestii możliwości rozbicia atomu alactinu i wykorzystania go do budowy bomby. Wykonali dalsze obliczenia, które sprawdziliśmy razem z Mistrzem Anandą - kolejnym siwym mężczyzną, siedzącym obok Chena, który również skłonił się Budur. - Z obliczeń wynika, że rodzaj alactinu niezbędny do wywołania wybuchowej reakcji łańcuchowej występuje w przyrodzie niezwykle rzadko. Należałoby najpierw zgromadzić odpowiednią ilość alactinu w formie naturalnej, a następnie poddać go specjalnej

obróbce przemysłowej, lecz ta procedura istnieje dziś tylko w sferze teorii. Jeśli natomiast udałoby się ją urzeczywistnić w praktyce, wówczas wyprodukowanie minimalnej ilości materiału niezbędnego do skonstruowania jednej bomby pochłonęłoby całą moc przemysłową średniego państwa.

- Naprawdę? - zdziwiła się Budur.

Wszyscy dookoła pokiwali głowami, a na ich twarzach pojawił się wyraz ulgi, a nawet zadowolenia. Tłumacz doktora Chena powiedział do niego coś po chińsku, po czym naukowiec skinął głową i odpowiedział w swoim języku.

Tłumacz odezwał się po persku:

- Doktor Chen chciałby podzielić się własnym spostrzeżeniem. Według niego żadne państwo na świecie, pomimo najszczerszych chęci, nie będzie w stanie wyprodukować takiego materiału jeszcze przez wiele lat. Jesteśmy więc chwilowo bezpieczni.

- Rozumiem - powiedziała Budur i ukłoniła się w stronę starego Chińczyka. - Jak zapewne ci wiadomo, moja ciotka bardzo się tym przejmowała i z pewnością ucieszyłyby ją wasze wyliczenia. Mimo to sądzę, że i tak opowiadałyby się za stworzeniem międzynarodowej grupy naukowców, być może fizyków atomowych, którzy czuwaliby, aby ludzkość nigdy nie stanęła przed groźbą urzeczywistnienia rozważanych możliwości. Po tym, co wycierpieliśmy w czasie wojny, nie sądzę, abyśmy byli gotowi na przyjęcie superbomby - mogłoby się to skończyć globalnym szaleństwem.

- Racja - powiedział Pilali, po czym słowa Budur zostały

przetłumaczone na chiński. Następnie znów zabrał głos doktor Chen, a później jego tłumacz.

- Szanowny profesor mówi, iż jego zdaniem powołanie komitetu naukowców w celu skoordynowania, czy, czy zaradzenia...

Doktor Chen wtrącił jeszcze jedną uwagę.

- Mówi, że sterowanie światowymi rządami poprzez mówienie im o istniejących możliwościach i udzielanie cennych rad... mówi, że da się to osiągnąć w sposób dyskretny... zwłaszcza teraz w... w powojennej atmosferze wyczerpania. Mówi, że rządy zaakceptują taki komitet, gdyż początkowo nie zorientują się, co oznacza jego istnienie. Kiedyś jednak zrozumieją, lecz do tego czasu nie będą w stanie... rozmontować siatki całej organizacji. W ten sposób naukowcy będą mogli *zagrać...* jedną z głównych ról na arenie polityki światowej. Oto jego słowa.

Zgromadzeni wokół stołu kiwali głowami w zadumie, inni przyjmowali słowa z ostrożnością, a jeszcze inni byli zaniepokojeni, jedno było pewne: większość badań naukowych finansowały rządy ich państw.

Głos zabrał Pilali.

- Przynajmniej powinniśmy spróbować, to jedyny sposób, aby oddać hołd Idelbie. Poza tym myślę, że może się udać i na pewno nam nie zaszkodzi.

Wszyscy znów pokiwali głowami, a kiedy tłumacz skończył przekład, Chen również pokiwał głową. Następnie Budur wyszła ze śmiałą propozycją:

- Można by to po prostu przedstawić jako inicjatywę naukowców,

którzy prowadzą swoje badania i chcą, no wiecie, skoordynować działania, na rzecz udoskonalania nauki. Na początek trzeba zająć się czymś prostym i nieszkodliwym, jak na przykład matematycznym ujednoliceniem miar wagi i długości lub kalendarzem słonecznym, który odzwierciedlałby ruch Ziemi wokół słońca. Przecież my się nawet nie zgadzamy co do aktualnej daty. Każdy z nas przybył tu w innym roku, a do tego nasi gospodarze wskrzesili już następny system. W tym momencie istniejemy w wielu datach jednocześnie. Przecież nie zgadzamy się nawet co do długości roku. Żyjemy w różnych historiach, mimo że to wciąż jest ten sam świat, o czym boleśnie przekonała nas wojna. Myślę, że wy, badacze, powinniście spotkać się z matematykami i astronomami i stworzyć wspólny i precyzyjny kalendarz, którym zaczniecie posługiwać się w waszej pracy naukowej. Myślę, że to może zrodzić głębsze poczucie więzi między narodami.

- Ale kiedy byśmy zaczęli? - zapytał ktoś z tłumu.

Budur wzruszyła ramionami, nie zastanawiała się wcześniej nad tą stroną przedsięwzięcia. Co powiedziałaby Idelba?

- A dlaczego nie teraz? Nazwijmy tę konferencję rokiem zerowym. Mamy przecież wiosnę. Rozpocznijmy więc rok od równonocy wiosennej, tak jak w większości kalendarzy, i liczmy dni kolejnych lat, pomijając podziały na miesiące i tygodnie siedmio- i dziesięciodniowe. Dzień dwieście pięćdziesiąty siódmy roku pierwszego, w przód i w tył od daty zerowej, trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, w razie potrzeby dodać dni przestępne i robić wszystko, żeby zsynchronizować się z naturą. Kiedy na całym

świecie ujednolicimy podstawowe wielkości i wprowadzimy międzynarodowe standardy miar, a rządy zaczną naciskać na nas, abyśmy pracowali dla wybranych przez nie części ludzkości, powiemy im, przykro nam, nauka nie działa w ten sposób, to system dla wszystkich ludzi, a my tylko dbamy, żeby działał, jak należy.

Doktor Chen uważnie przyglądał się przemawiającej Budur. Kiedy skończyła, skinął głową i powiedział coś po chińsku.

Odezwał się tłumacz:

- Mówi, że to dobre pomysły. Mówi, wypróbujmy je i przekonajmy się.

Po tej nocy Budur nie przestała uczęszczać na sesje i nadal sporządzała obszerne notatki. Teraz jednak rozpraszała ją myśl o kuluarowych rozmowach fizyków, o których wiedziała, że trwają w budynku po drugiej stronie medresy. Pilali o wszystkim ją informował, ą jej notatki zamieniały się czasem w listę rzeczy do zrobienia. W słonecznym Isfahanie, w mieście antycznym, a zarazem całkiem nowym, niczym w ogrodzie świeżo posadzonym na starych ruinach, łatwo było zapomnieć o głodzie panującym w Firanii, w Afryce i w Chinach, właściwie na całym globie. Na papierze wszystko wydawało się do uratowania.

Jednego ranka jej uwagę przykuła prezentacja wizualna, zatytułowana *Odkrycie tybetańskiej wioski w nienaruszonym stanie* - zaledwie kilka plansz fotograficznych rozstawionych w korytarzu pośród wielu innych tego typu atrakcji. Główny opis u dołu planszy był w języku perskim, niżej znajdowały się zwięzłe tłumaczenia na chiński, tamilski, arabski i algonkiński - była to “wielka piątka"

języków obowiązujących na konferencji. Autorką i prezenterką plansz była duża, młoda kobieta o płaskiej twarzy, która z wyraźną tremą odpowiadała na pytania padające ze skromnej, kilkuosobowej widowni przechodniów, którzy przystanęli, aby wysłuchać jej wprowadzenia. Dziewczyna sama była Tybetanką i kiedy padały pytania, korzystała z pomocy irańskiego tłumacza. Budur do końca nie była pewna, czy dziewczyna mówiła po chińsku czy po tybetańsku.

Tak czy inaczej z odpowiedzi na czyjeś pytanie wynikało, że po zejściu lawiny i po skalnym obrywie cała tybetańska wioska znalazła się pod ziemią, niczym zamknięta w gigantycznej lodówce za skał i lodu, dzięki czemu wszystko w jej wnętrzu zachowało się w nienaruszonym stanie. Odkryto zamarznięte ciała mieszkańców i wszystko, co do nich należało: meble, ubrania, jedzenie, a nawet dwie odręczne notatki, które sporządzili, zanim zabrakło powietrza.

Na widok miniaturowych zdjęć odkopanej wioski Budur poczuła się nieswojo. Coś zasmyrało ją w nosie, tuż ponad podniebieniem, poczuła, że zaraz kichnie, zwymiotuje albo się rozpłacze. W tych zwłokach było coś okropnego, leżały tak w niezmienionej pozie przez tyle stuleci. Zaskoczeni przez śmierć i zmuszeni oczekiwać jej nadejścia. Niektórzy z nich zdążyli napisać krótkie listy pożegnalne. Spojrzała na fotografie tych listów, pismo odręczne, staranne i wyraźne, wyglądało na sanskryt, poniżej znajdował się prosty, arabski przekład.

Zostaliśmy pogrzebani przez lawinę i nie możemy się wydostać.

Kenpo nadal próbuje się przebić, ale już wiemy, że to nic nie da.

Nie zostało nam zbyt wiele czasu, zaczyna brakować powietrza.

W tym domu znajdują się Kenpo, Iwang, Sidpa, Zasep, Dagyap, Tenga i Baram.

Puntsok wyszedł tuż przed zejściem lawiny, nie wiemy, co się z nim stało.

“Wszelka egzystencja jest jak odbicie w zwierciadle, brak jej substancji, jest jak fantom wyobraźni. Wkrótce nowa forma będzie nam dana". Chwała niech będzie Buddzie Współczującemu.

Zdjęcia przypominały Budur obrazy wojennych katastrof, śmierci, która przychodziła znienacka, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu, a jednak zmieniając wszystko bezpowrotnie. Zakręciło jej się w głowie, wysoki hol medresy zawirował, niemal poczuła falę uderzeniową schodzącej lawiny, masy śniegu i skal, wpadające przez dach, unieruchamiające jej rodzinę, przyjaciół i ją samą. Ale czy tak właśnie nie było? Tak właśnie było.

Budur stała przed planszą jak zahipnotyzowana, a po chwili z transu wyrwał ją zdyszany Pilali.

- Obawiam się, że musimy jak najszybciej wracać do Nsary. Dowództwo armii próbuje zawiesić rząd i przejąć władzę w Nsarze.

22.

Następnego dnia polecieli z powrotem. Pilali całą drogę narzekał na powolne tempo statku powietrznego i denerwował się, dlaczego jednostek wojskowych nie wykorzystuje się do transportu publicznego. Zastanawiał się też, czy po wylądowaniu nie trafią prosto do aresztu, jako intelektualiści, odwiedzający obcą potęgę w

czasie stanu wyjątkowego.

Kiedy wylądowali na lotnisku poza granicami Nsary, nikt ich nie zaaresztował, co więcej, gdy oglądali miasto przez szyby tramwaju, nie dostrzegli jakichkolwiek zmian.

Dopiero kiedy wysiedli i ruszyli przez dzielnicę, w której stała medresa, różnice zaczęły rzucać się w oczy. W dokach panowała cisza. W proteście przeciwko zamachowi stanu pracownicy stoczni i rybacy zamknęli dojście do nabrzeża. W tym samym czasie żołnierze zajęli stanowiska na dźwigach i wieżach, z dołu przyglądały im się grupy mężczyzn i kobiet, przyczajonych za rogami budynków.

Pilali i Budur weszli do instytutu fizyki w kompleksie medresy i odwiedzili kolegów Pilaliego, aby zasięgnąć informacji. Dowództwo wojskowe rozwiązało nsareńską radę stanu i miejskie panczajaty i ogłosiło stan wyjątkowy. Nazwali to prawem szarii i mieli za sobą kilku mułłów, którzy zaświadczali o religijnej prawomocności całego zajścia. Nie wychodziło im to jednak najlepiej. Większość z nich wywodziła się ze skrajnych środowisk reakcjonistycznych i nie miała najmniejszego pojęcia o sytuacji w Nsarze od czasu zakończenia wojny. Tacy jak oni zasilali zastępy “wielkich wygranych" albo, jak zawsze nazywał ich Hasan: “wielkich wygranych, którzy przegrali z powodu żydów, sikhów, Ormian, Romów i wszystkich innych, których tak bardzo nienawidzą". Zwykły motłoch, krzyczący: wygralibyśmy, gdybyśmy tylko tak sromotnie nie przegrali. Żeby znaleźć ludzi o podobnych poglądach trzeba by ich szukać w Emiratach Alpejskich albo od razu w Afganistanie.

Nikt zatem nie nabrał się na podejrzany kamuflaż. Co więcej, sytuacja bytowa w mieście poprawiła się ostatnio, w związku z czym przewrót okazał się chybiony w czasie. W gruncie rzeczy był on całkowicie bezsensowny, a rozpoczął się tylko dlatego, że oficerowie zatrudnieni na sztywne stawki podczas długiego okresu hiperinflacji doszli do wniosku, że wszyscy dookoła są tak samo zdesperowani jak oni. Ludzie jednak mieli dosyć wojska i zgodnie popierali miejscowe panczajaty, a niektórzy nawet radę stanu. Budur była przekonana, że zrodziły się szanse na stworzenie ruchu oporu na miarę zwycięstwa.

Kirana prezentowała bardziej pesymistyczne stanowisko. Jak się okazało, była obecnie w szpitalu, dokąd Budur pobiegła, kiedy tylko się o tym dowiedziała. Wpadła do budynku, czując suchość w gardle i strach w żołądku. To tylko badania, rzekła zbywającym tonem Kirana. Później Budur dowiedziała się, że chodziło o krew i o płuca. Nie zważając na swój stan, wykonywała ze szpitalnego łóżka dziesiątki telefonów

dziennie, do wszystkich zawiji w mieście, sprawdzając stan przygotowań i załatwiając ostatnie sprawy.

- Mają broń, więc mogą nas pokonać, nie zamierzamy jednak im tego ułatwiać.

Wśród tłumów zgromadzonych na placu centralnym, na nabrzeżnym bulwarze, w dokach i na dziedzińcu wielkiego meczetu stało wielu studentów z instytutu i medresy, którzy krzyczeli, śpiewali, a czasem rzucali kamieniami. Kirana nie była z nich dumna i resztę dnia spędziła przy telefonie, konsultując szczegóły

organizowanego wiecu:

- ...zobaczysz, oni znów wam naciągną czador na twarz, chcą cofnąć czas i uczynić z was zwierzęta domowe. Musicie wyjść na ulice jak największymi grupami! Tylko to może wystraszyć przywódców przewrotu. - Ciągle mówiła “wy", nigdy “my" zauważyła Budur, jakby odcinała się od nich, niczym w pośmiertnym przemówieniu, choć jednocześnie najwyraźniej bawiły ją te wszystkie zajęcia. Cieszyła ją także wizyta Budur.

- Wybrali sobie najgorszy moment - powiedziała tonem złośliwej satysfakcji. Nie tylko coraz rzadziej zdarzały się teraz przerwy w dostawach żywności, lecz również były one coraz mniej dotkliwe, gdyż właśnie rozpoczynała się wiosna i od czasu do czasu wiecznie zachmurzone niebo nad Nsarą rozstępowało się i oczyszczało, a słońce grzało przez kilka coraz dłuższych dni z rzędu, budząc do życia zieleń w ogrodach i w pęknięciach chodników. Niebo wisiało ponad nimi jakby wyłożone lapisem, a kiedy na nabrzeżu handlowym zebrał się dwudziestotysięczny tłum, pochód ruszył Bulwarem Sułtanki Katimy w stronę Meczetu Rybaków. Na trasie powiększał się o kolejne tysiące ludzi, którzy przyłączali się doń spontanicznie i maszerowali wspólnie, do momentu gdy wojsko otaczające całą dzielnicę nie wystrzeliło w tłum pocisków z gazem pieprzowym. Ludzie rozpierzchli się, biegli szerokimi przecznicami, przechodzącymi przez medyny i ciągnącymi się wzdłuż brzegów rzeki Lawiji, co sprawiało wrażenie, jakby w całym mieście odbywały się zamieszki. Kiedy opatrzono i zabrano do szpitala poszkodowanych przez gaz, na miejscu zjawił się tłum dwukrotnie

większy niż za pierwszym razem.

Jednego dnia doszło do dwóch czy trzech takich starć, aż w końcu ogromny plac przed meczetem i starym pałacem wypełnił się ludźmi, którzy stali naprzeciw zasieków z drutu kolczastego, rozciągniętych wokół pałacu, śpiewali pieśni, wykrzykiwali slogany, wysłuchiwali przemówień i recytowali sury Koranu, mówiące o prawach zwykłych ludzi

wobec władców. Tłum nie opuszczał placu ani na chwilę, nie zdarzało się nawet, aby rzedł. Ludzie chodzili do domów na posiłki i za potrzebą, lecz na miejscu zostawali młodzi, którzy bawili na placu przez całe noce. Nad ranem, w świetle coraz dłuższych dni pojawiały się z powrotem niezliczone tłumy. Przez pierwszy wiosenny miesiąc całe miasto zamarło w bezruchu, jak w czasie najsurowszego ramadanu.

Któregoś dnia studenci zawieźli Kiranę na plac na wózku inwalidzkim. Widok tłumów wyraźnie ją ucieszył.

- To się musi udać - powiedziała - liczby mówią same za siebie!

Przeprowadzono ją przez tłum, w stronę podium skleconego naprędce z drewnianych palet ładunkowych. Weszła, wspierając się na ramieniu któregoś z mężczyzn, po czym rozpoczęła przemowę, jak zwykle z klasą, w swoim stylu i z werwą, pomimo fizycznej niedyspozycji. Złapała za mikrofon i rzekła:

- Wraz z Mahometem nastała era praworządności, a odbieranie człowiekowi należnych mu praw było równoznaczne z obrazą Stwórcy. Wszyscy ludzie są w takim samym stopniu dziećmi Allaha i żaden nie powinien uginać karku przed drugim. Ta prawda dociera

do nas dziś, kiedy zapomniano już o dawnych zwyczajach. A jednak postęp historyczny dokonuje się nadal i nadal precyzowane są pryncypia islamu i stawiany fundament sprawiedliwości. Oto zjawiliśmy się tu, aby kontynuować to dzieło!

Walka z tendencyjnymi interpretacjami Koranu dotyczy w szczególności kobiet, które więziono w domach i pod czadorami i skazywano na analfabetyzm, przez co cały islam pogrążył się w niewiedzy. Jakże mamy mieć mądrych i sprawnych mężczyzn, skoro przez pierwsze lata swojego życia uczą się wszystkiego od osób pozbawionych dostępu do wiedzy?

I oto walczyliśmy w Długiej Wojnie i przegraliśmy, to była nasza Nakba i ani Ormianie, ani Birmanie, ani żydzi, ani Hodenosaunee, ani nawet Afrykanie nie są winni tej klęski. Również islam nie jest winny, gdyż jest on sam sobie głosem miłości Boga, jest jednolitym głosem całej ludzkości. Jedyną przyczyną jest nieprawidłowe obchodzenie się z islamem na przestrzeni wieków i wypaczenie go do granic rozpoznawalności!

Zmagamy się z rzeczywistością naszego miasta od chwili zakończenia wojny i widzę, jak wielkie poczyniliśmy postępy. Byliśmy świadkami i współtwórcami tych wspaniałych osiągnięć, pomimo panującego głodu, niedostatku i ciągłego deszczu.

Generałom wydaje się, że mogą to wszystko zatrzymać, że mogą cofnąć czas i udawać, że nie przegrali wojny i nie zmusili nas biedą do wynalazczości. Jakby czas mógł rzeczywiście biec wstecz! Nic takiego się nie zdarzy! Stworzyliśmy nowy świat na starej ziemi i Allah dba o niego poprzez czyny ludzi, szczerze kochających islam

i wierzących w jego szanse na przetrwanie w przyszłym świecie.

Zebraliśmy się tu, aby toczyć walkę z opresją, wzniecać bunt, rewoltę i rewolucję, aby odebrać władzę wojsku, policji i mułłom i oddać ją w ręce ludu. Każde zwycięstwo czyni nas silniejszymi, dwa kroki w przód, jeden wstecz, to nieustanna walka. Jednak z każdym krokiem do przodu jesteśmy coraz dalej i nie dopuścimy, aby ktoś nas z tej drogi zawrócił! Jeśli sądzą, że im się to uda, rząd będzie musiał odwołać cały naród i wybrać sobie nowy. Nie sądzę jednak, aby kiedykolwiek do tego doszło!

Jej słowa zostały dobrze przyjęte. Tłum pęczniał, a Budur cieszyła się na widok tych wszystkich prostych kobiet, pracujących w kuchniach i w przetwórniach, dla których czador i harem nigdy nie były osobistym problemem, lecz które za to doskonale znały smak wojennego cierpienia i powojennego kryzysu. W rzeczy samej ludzie ci tworzyli najbardziej obdarty i wygłodniały tłum, jaki Budur dotąd widziała. Miała wrażenie, jakby stali tam i spali na stojąco. Liczyło się jednak to, że przyszli i trwali razem, zapełniali miejskie place i ulice i rezygnowali z pracy. W piątki zwracali twarze w stronę Mekki dopiero w chwili, gdy znaleźli się wśród nich duchowni wspierający rewolucję - nikt by przecież nie posłuchał policjanta, nawołującego z minaretu. Tutaj byli sami swoi, tacy jak Mahomet za życia. Nadszedł piątek i wybrany duchowny odśpiewał *Księgę Otwierającą* z Koranu, znaną doskonale wszystkim, nawet sporej grupie buddystów i Hodenosaunee, którzy razem rozpoczęli wielokrotną recytacją Al-Fatihy:

W Imię Boga Miłosiernego i Litościwego!

Chwała Bogu, Panu światów,

Miłosiernemu i Litościwemu,

Królowi Dnia Sądu.

Oto Ciebie czcimy i Ciebie prosimy o pomoc.

Prowadź nas drogą prostą,

Drogą tych, których obdarzyłeś dobrodziejstwami;

Nie zaś tych, na których jesteś zagniewany, i nie tych, którzy błądzą.

Następnego ranka ten sam duchowny, zaraz po obudzeniu się, zajął miejsce na podwyższonym siedzisku i rozpoczął dzień od recytacji przez mikrofon wiersza Ghaleba, którym budził wszystkich zgromadzonych i zwoływał ich ponownie na plac:

Wkrótce historią się stanę,

Lecz ciebie spotka to samo,

Więc może nie będę samotny w bardo.

Ludzie nie wiedzą, gdzie żyją

Przeszłość się splata z przyszłością

Wypuść te ptaki z klatki!

Po cóż ci one?

To opowieści, którym nie dasz wiary.

Lecz ty w nie uwierz.

Póki żyjesz, one znaczą.

Gdy umierasz, znaczą.

Dla tych, co po tobie przyjdą, pełne są znaczenia,

Więc ty w nie uwierz.

W swoich historiach Rumi widział wszystkie światy

Jako jeden i ten sam, który poznał i Miłością obwołał.

Nie muzułmanin, nie żyd, nie hindus, nie buddysta,

Lecz Przyjaciel, tym samym powietrzem oddychająca istota,

Ze swoją historią bodhisattwy, którą niedługo urzeczywistnimy w bardo.

Tego ranka w zawiji obudził Budur telefon. Dzwonił jeden z niewidomych żołnierzy. Chcieli się koniecznie się spotkać i porozmawiać.

Budur wsiadła do tramwaju i pełna obaw pojechała do szpitala. Czyżby się pogniewali, że ostatnio ich nie odwiedzała? A może zmartwiło ich to, jak się rozstali ostatnim razem?

Kiedy przybyła na miejsce, rozmawiał z nią najstarszy weteran, który mówił w imieniu większości. Żołnierze chcieli wziąć udział w demonstracji przeciwko przewrotowi wojskowemu, chcieli też, żeby to ona ich poprowadziła. Podobną chęć wyraziło mniej więcej dwie trzecie pacjentów całego oddziału.

Była to jedna z tych próśb, której nie wolno odrzucić. Budur zgodziła się i drżąc ze strachu i niepewności, wyprowadziła żołnierzy przez główną bramę szpitala.

Przybyło ich zbyt wielu na transport tramwajem, więc poszli drogą wzdłuż rzeki, a później nadmorskim bulwarem. Każdy trzymał dłoń na

ramieniu idącego przodem. W zamkniętym budynku szpitala ich

widok nie był niczym niezwykłym, lecz teraz w pełnym słońcu i na świeżym powietrzu prezentowali wstrząsający obrazek - trzystu dwudziestu siedmiu okaleczonych i brzydkich weteranów maszerowało zgodnie słonecznym bulwarem.

Manifestacja kalekich żołnierzy oczywiście przyciągała mnóstwo gapiów, niektórzy przechodnie dołączali po drodze i szli razem z nimi, aż do wielkiego placu. Obecny tam tłum rozstąpił się, aby wpuścić weteranów na czoło pochodu, kierującego się w stronę starego pałacu. Żołnierze pogrupowali się według swoich stopni i ściszonym głosem próbowali się odliczyć, w czym Budur musiała im trochę pomóc. Potem już tylko stali w milczeniu, a każdy z nich trzymał prawą rękę na lewym ramieniu sąsiada, i wsłuchiwali się tak w głos dobiegający z głośników. Tłoczący się za nimi tłum powiększał się z minuty na minutę.

Wojskowe statki powietrzne przelatywały nisko nad miastem i dobiegał z nich mechaniczny, wielokrotnie wzmocniony głos, nakazujący wszystkim opuszczenie ulic i placów i rozejście się do domów, gdyż wprowadzono właśnie godzinę policyjną. Najwyraźniej dowództwo wojskowe podjęło tę decyzję, nie wiedząc, że na placu przebywają niewidomi żołnierze. Jeden z okaleczonych weteranów zawołał:

- No i co oni z nami zrobią? Zagazują nas?

Niestety, wszystko było możliwe, poza tym gaz pieprzowy już został użyty przy sali posiedzeń rady stanowej, w okolicach koszar policyjnych i w dokach. Pod koniec tego pełnego napięć tygodnia wielu ludzi opowiadało, jak to przeciwko niewidomym żołnierzom

został użyty gaz łzawiący, jak to weterani stali niewzruszeni i przyjmowali na siebie ostrzał, gdyż nie mieli już więcej łez do uronienia. Stali, trzymając ręce na ramionach swoich sąsiadów, i recytowali Fatihę:

W imię Allana Miłosiernego i Litościwego! W imię Allaha Miłosiernego i Litościwego!

Budur nie widziała, żeby na pałacowym placu policja użyła gazu, za to słyszała miarowy głos żołnierzy, którzy godzinami intonowali modlitwy. Nie była tam nieprzerwanie przez cały tydzień, a jej grupa nie była jedyną, która zdecydowała się opuścić szpital i przyłączyć do protestujących. Było więc całkiem możliwe, że podobny incydent rzeczywiście się zdarzył. Oczywiście jakiś czas później wszyscy wierzyli, że tak właśnie było.

Tak czy inaczej cały ten tydzień ludzie spędzili na recytacjach obszernych fragmentów Rumiego, Firdowsiego, Nasreddina i firańskiego poety, Alego, oraz młodego Ghaleba, miejscowego poety sufickiego z Nsary, który zginął ostatniego dnia wojny. Budur często odwiedzała Kiranę w żeńskim szpitalu w Nsarze i dzieliła się z nią najnowszymi informacjami o wydarzeniach na placach, ulicach i w całym mieście, pulsującym w rytmie serc swoich mieszkańców, którzy wylegli na ulice i nie zamierzali odejść. Nawet kiedy znów zaczęło padać, nikt nie ruszył się z miejsca. Kirana pochłaniała zachłannie każde jej słowo, bardzo chciała tam teraz być i walczyć razem z ludźmi. Konieczność pobytu w szpitalu w takiej chwili doprowadzała ją do białej gorączki. Musiała być poważnie chora, w przeciwnym razie nie dałaby się tam zatrzymać. Była wychudła,

miała ziemistą cerę i czarne kręgi pod oczami, jak szop pracz z Yingzhou.

- No i utknęłam - mówiła - akurat teraz, kiedy robi się ciekawie. Akurat teraz, kiedy jej długi i cięty język mógł się naprawdę przydać,

przyczyniając się do tworzenia historii i komentowania jej na bieżąco. Niestety, nie było jej dane. Teraz mogła jedynie leżeć w szpitalnym łóżku i walczyć z chorobą. Tylko raz Budur ośmieliła się zapytać ją, jak się czuje. Na co ta odpowiedziała:

- Toczą mnie termity.

Nawet jednak w tym stanie pozostawała w pobliżu centrum wydarzeń. Delegacja przywódców opozycji wraz z przedstawicielkami miejskich zawiji spotkała się z adiutantami generałów celem omówienia warunków protestu i rozpoczęcia negocjacji. Ci sami ludzie często odwiedzali Kiranę i konsultowali z nią całą strategię. Po mieście zaczęły krążyć plotki, że wojskowi dobili targu z mieszkańcami. Kirana leżała w łóżku i słuchała. Jej oczy płonęły. Potrząsnęła nerwowo głową, mówiąc:

- Nie bądźcie naiwni - sardoniczny uśmiech zniekształcił jej wyniszczone oblicze - oni grają na zwlokę. Wychodzą z założenia, że jeśli uda im się wytrzymać wystarczająco długo, to protesty w końcu ucichną, a oni będą mogli przejść do robienia interesów. I chyba mają rację, w końcu mają broń.

Wkrótce do portu w Nsarze zawinęła parowa flota Hodenosaunee. To Hanea, pomyślała Budur, widząc czterdzieści ogromnych niszczycieli, najeżonych lufami dział, z których każde mogło miotać pociski na odległość stu li w głąb lądu. Wykorzystując

częstotliwość popularnej nsareńskej stacji radiowej, wystosowali swój apel do wszystkich mieszkańców posiadających odbiorniki radiowe i choć rząd przejął miejscową radiostację, to nie zdołał zatrzymać ich transmisji. Ci, do których dotarł przekaz, przekazywali go dalej ustnie: Hodenosaunee chcieli rozmawiać z prawowitym rządem, z tym, z którym dotychczas prowadzili interesy, nie zamierzali natomiast negocjować z generałami, którzy złamali postanowienia Konwencji Szanghajskiej, uzurpując sobie prawo do rządu, który został powołany zgodnie z konstytucją, a to było bardzo poważnym wykroczeniem. Ogłosili, że nie wycofają się z portu do momentu ponownego zebrania się rady stanu, powołanej do życia na mocy powojennych porozumień, oraz że nie będą handlować z rządem, któremu przewodniczą generałowie. W zeszłym roku to właśnie zboże od Hodenosaunee uratowało mieszkańców Nsary od śmierci głodowej, zatem wstrzymanie handlu było bardzo poważnym wyzwaniem.

Przez trzy kolejne dni sprawa pozostawała nierozwiązana. W tym czasie plotki rozchodziły się wśród ludzi z prędkością znikania towarów deficytowych z półek sklepowych. Mówiono, że dowództwo floty prowadzi negocjacje z juntą wojskową, że rozpoczęto rozmieszczanie min, że przygotowywany jest oddział amfibii i że negocjacje załamują się...

Czwartego dnia przywódcy przewrotu jakby zapadli się pod ziemię, a flota z Yingzhou skurczyła się o kilka jednostek. Wszyscy mówili, że ge-neralicja została odtransportowana na Wyspy Cukru lub Malediwy, w zamian za poddanie się bez walki. Reszta oficerów,

pozbawiona dowództwa, musiała odesłać swoje oddziały z powrotem do koszar i tam oczekiwać rozkazów od prawowitej rady stanu. Przewrót został odwołany.

Wśród ludzi zgromadzonych na ulicach wybuchła euforia, wszyscy śmiali się, krzyczeli, gwizdali, śpiewali i obejmowali się nawet z nieznajomymi. Budur również dala się ponieść tej radosnej fali, po czym odprowadziła swoich żołnierzy z powrotem na oddział i udała się do żeńskiego szpitala, odwiedzić Kiranę, aby opowiedzieć o wszystkim, co widziała. Kiedy w chwili zwycięstwa ujrzała ją taką zmarnowaną, poczuła ukłucie w żołądku. Kirana słuchała wieści i kiwała głową.

- Mieliśmy szczęście, że przyszli nam z pomocą, zobaczysz, to jeszcze nam wyjdzie na dobre. Choć z drugiej strony, nieźle się wpakowaliśmy. Teraz będziemy mogli się przekonać, jak to jest być częścią ich ligi i jakimi ludźmi oni naprawdę są.

Inni jej przyjaciele chcieli od razu wsadzić ją na wózek i powieźć na wiec, aby mogła wystąpić z przemówieniem, lecz Kirana odmówiła:

- Powiedzcie ludziom, żeby wracali do pracy, powiedzcie im, żeby rozpalili piece w piekarniach i zaczęli wypiekać chleb.

23.

Ciemność. Cisza. Z próżni dobiegł głos:

- Kirana? Jesteś tu? Kuo? Kyu? Kenpo?

- Czego?

- Jesteś?

- Jestem.

- Znów jesteśmy w bardo.

- Nie ma czegoś takiego jak bardo.

- Owszem jest. Właśnie w nim jesteśmy, chyba nie zaprzeczysz? Ciągle tu wracamy.

(Czarna ciemność, świdrująca cisza.)

- Daj spokój, nie możesz ciągle. Pojawiamy się tu regularnie i regularnie stąd wychodzimy, tak jak każdy. Tym właśnie jest dharma. Staramy się piąć do góry i udaje nam się robić postępy.

Odgłos ryczącego tygrysa.

- Naprawdę! Oto Idelba i Pilali i nawet Madame Sururi.

- A więc ona miała rację.

- Tak.

- To śmieszne.

- Tak czy inaczej, jesteśmy w bardo i za chwilę nasza jati zostanie zesłana z powrotem na ziemię. Naprawdę nie wiem, co bym bez was wszystkich zrobił. Myślę, że zabiłaby mnie samotność.

- I tak przecież nie żyjesz.

- Owszem, ale dzięki wam samotność nie jest aż tak dotkliwa. Tak wiele razem dokonaliśmy, nie wierzysz? Spójrz, co się stało, chyba nie zaprzeczysz temu?

- Stało się i tyle.

- Jasne, że się stało! Tak jak sama mówiłaś, przed nami tysiące pracowitych żywotów, grunt, że to działa.

- Przestań mówić ogólnikami, przecież to wszystko może jeszcze zostać zniweczone.

- Owszem, ale po to właśnie wracamy, aby podjąć się kolejnej

próby. Każde pokolenie musi stoczyć własną bitwę. Jeszcze kilka razy zakręci się kolisko samsary. No już! Z życiem! Do boju!

- Jakby można było odmówić.

- Nie zaczynaj znowu, nie odmówiłabyś, nawet gdybyś mogła. Przecież to ty zawsze pierwsza prowadzisz nas tutaj, zawsze jesteś gotowa do walki.

- Jestem już zmęczona. Skąd ty na to wszystko bierzesz siły? Zresztą ty też mnie męczysz. Z tą swoją nadzieją w obliczu totalnej klęski. Czasem mam wrażenie, że przydałoby ci się poczuć jej' smak. Czasem mam wrażenie, że sama muszę przyjmować na siebie to, co najgorsze.

- Przestań. Kiedy świat zacznie się dla nas kręcić, znów będziesz sobą. Idelba, Pilali, Madame Sururi, jesteście gotowi?

- Jesteśmy gotowi.

- A ty, Kirano?

- Niech ci będzie... spróbujemy jeszcze raz.

Księga X

Lata pierwsze

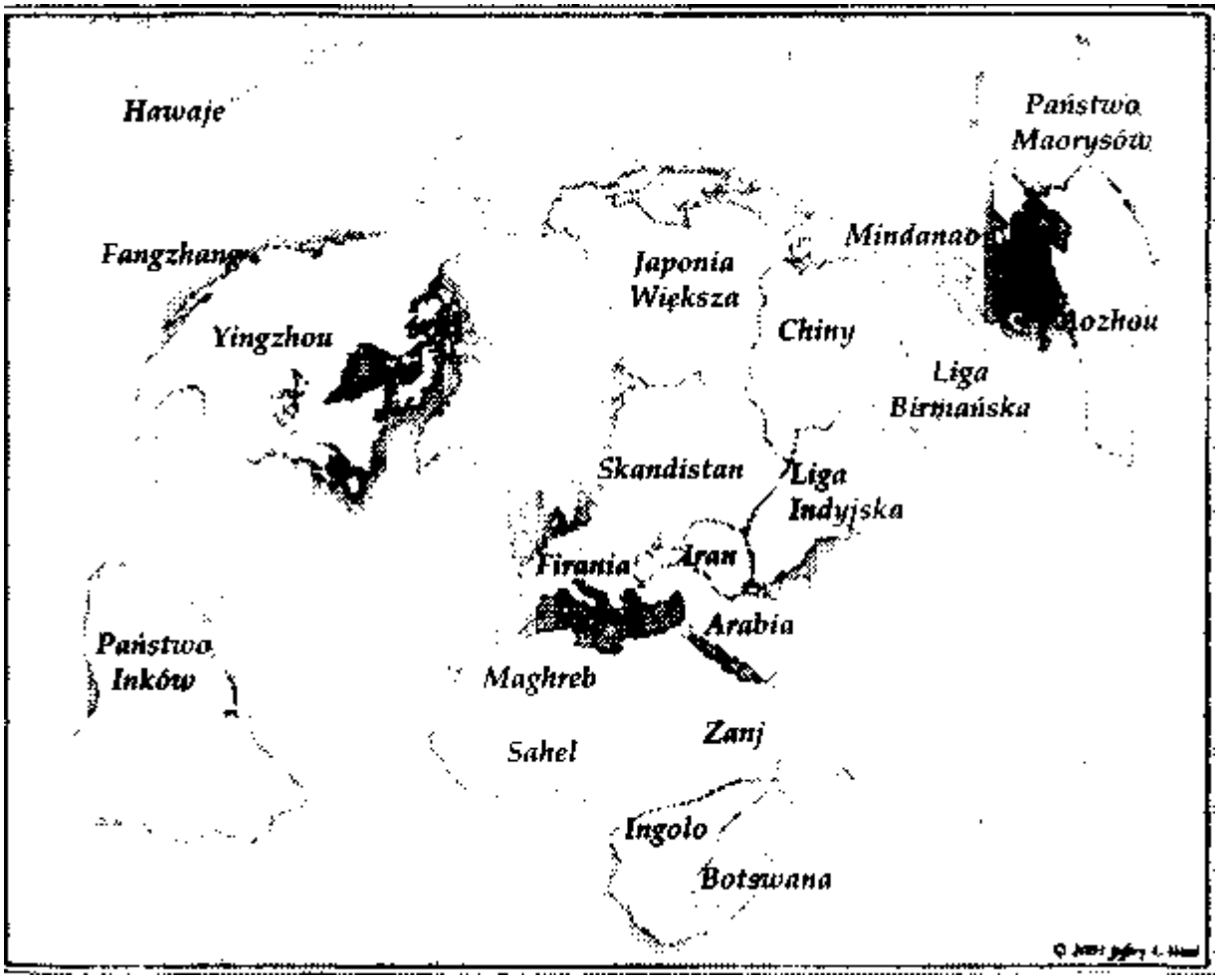

1

Niech żyją Chiny

Kiedy Bao Xinhua poznał Kunga Jinguo w swojej jednostce pracy w południowej części Pekinu, pod granicą z Dahongmen, Wielką Czerwoną Bramą, miał dopiero czternaście lat. Kung był tylko kilka lat starszy, co jednak nie przeszkadzało mu w kierowaniu komórką rewolucyjną, istniejącą w sąsiedniej jednostce pracy. Spore osiągnięcie, biorąc pod uwagę jego rodowód. Kiedy jako mały chłopiec dobrowolnie stawił się na komisariacie policji w dzielnicy Zhejiang, miał status sanwu, czyli “trzech niedostatków", bez rodziny, bez jednostki pracy, bez dowodu tożsamości. Policja osadziła go w aktualnej jednostce, lecz on, nawet tam uchodził za outsidera i często nazywano go indywidualistą, co nawet we współczesnych, tak bardzo zmienionych Chinach, nadal wyrażało ostrą krytykę. Upierał się przy swoim bez względu na to, co mówili inni, i ani na chwilę nie zbaczał z wytyczonego przez siebie kursu. Był taki samotny, że nawet nie miał własnego cienia - mówili o nim ludzie z jednostki pracy, a on nie zważał na to i jak zwykle wychodził poza jej mury, odwiedzał sąsiedztwo i włóczył się po całym mieście. Wszyscy łącznie z nim samym wiedzieli, że był dzieckiem ulicy. To jednak wychodziło mu na dobre. Już za młodu był znanym podżegaczem w świecie podziemnej polityki Pekinu i właśnie wtedy po raz pierwszy odwiedził jednostkę pracy Bao Xinhua.

- Jednostka pracy jest współczesnym odpowiednikiem

starochińskich kompleksów rodzinno- przemysłowych - mówił do grupy ludzi, która zjawiła się, żeby go wysłuchać - ma ona charakter duchowy, społeczny oraz ekonomiczny, jest próbą implantowania starych zwyczajów na gruncie nowej rzeczywistości. Wszystkim dookoła najwyraźniej odpowiada ten stan rzeczy, bo każdy przecież wolałby umierać w swoim własnym łóżku, a nie na bruku. To oczywiste, że każdy potrzebuje swojego miejsca, ale czy te otoczone murami fabryki przypominają choć trochę dawne wielopokoleniowe kompleksy mieszkalne? Otóż nie. Są to więzienia, wzniesione początkowo z myślą o organizacji naszej pracy na rzecz Długiej Wojny. Teraz, kiedy mija już pięćdziesiąt lat od zakończenia walk, nadal pozostajemy jej niewolnikami. Żebyśmy jeszcze pracowali dla Chin... Niestety, robimy to wyłącznie dla skorumpowanych i zepsutych gubernatorów wojskowych, nawet nie dla cesarza, o którym chyba już wszyscy dawno zapomnieli, ale dla generałów i watażków, którym wydaje się, że będziemy na nich pracować bez końca i nigdy nie zauważymy, jak bardzo zmienił się świat.

Mówimy, że pochodzimy z tej samej jednostki, jakbyśmy mówili, że pochodzimy z tej samej rodziny albo że jesteśmy dla siebie braćmi i siostrami, co poniekąd jest dobre. Nigdy jednak nie wychylamy się poza mury naszych jednostek i nie dostrzegamy reszty świata.

Wielu słuchających kiwało głowami. Ich własna jednostka pracy nie należała do najbogatszych, stanowili ją w większości imigranci z południa, którzy często trafiali tu niemal całkowicie zagłodzeni.

Powojenny Pekin doświadczył wielu zmian. Teraz, w roku 29, według rewolucjonistów, (posługiwali się tym samym systemem datowania co międzynarodowe organizacje naukowe, czym wyrażali solidarność z ich ideami), cała konstrukcja zaczęła się rozpadać. Dynastia Qing została obalona na półmetku Długiej Wojny, kiedy sytuacja była najcięższa, a sam cesarz, który miał wówczas sześć czy siedem lat, dosłownie rozpłynął się w powietrzu i dziś większość Chińczyków uważała go za zmarłego. Piąty Kongres Talentu Wojskowego nadal kontrolował konfucjańskich biurokratów i trzymał ster władzy. Była to jednak wyschnięta i pomarszczona dłoń starca, martwa ręka przeszłości. Tymczasem w całych Chinach wybuchały nowe rewolty. Powodów do buntu była cała gama, czasem impuls stanowiły obce ideologie, lecz najczęściej były to wewnętrzne rebelie, organizowane przez Chińczyków Hanów, którzy pragnęli raz na zawsze pozbyć się dynastii Qing i wyzwolić się od generalicji i wojskowych watażków. Bractwo Białego Lotosu, Rewolucja Małp, Szanghajski Ruch Rewolucyjny i inne. Ośrodki te przyciągały do siebie lokalnych rebeliantów przeróżnych narodowości i przynależności etnicznych, zarówno z zachodu, jak i z południa: z Tybetu, z Mongolii, z Xinzing, wszyscy chcieli się wyzwolić spod uścisku ciężkiej ręki Pekinu. Nikt już nie miał wątpliwości, że choć Pekin mógł teoretycznie wystawić do walki ogromną armię, cieszącą się nadal sporym autorytetem społecznym głównie z racji ofiarnej walki w czasie Długiej Wojny, to jednak jej dowództwo miało poważne problemy i chyliło się ku upadkowi. W Chinach znów ruszyło Wielkie Przedsięwzięcie,

dynastyczna sukcesja i tylko jedno pytanie pozostawało wciąż bez odpowiedzi: kto tym razem stanie u steru? Czy ktokolwiek lub cokolwiek zdoła zjednoczyć Chiny?

W jednostce pracy, do której należał Bao, Kung entuzjastycznie wypowiadał się o Szkole Rewolucyjnych Zmian Ligi Wszystkich Narodów, którą pod koniec Długiej Wojny założył Zhu Tuanjie-kexue (“jednoczcie się w imię nauki"), półkrwi Japończyk o imieniu rodowym Isao. Jeszcze przed nadejściem rewolucji Zhu Isao, bo tak go najczęściej nazywano, był chińskim gubernatorem jednej z japońskich prowincji, który po wybuchu rewolucji ułożył się z japońskimi siłami niepodległościowymi i nakazał wymarsz wojsk chińskich z okupowanych terenów Kiusiu i powrót do Chin. Odbyło się to bez rozlewu krwi. Wraz ze swoją armią wylądował w Mandżurii, w mieście portowym Tangshan, które obwołał międzynarodowym miastem pokoju - pośrodku Długiej Wojny i do tego w sercu ojczystych ziem władców dynastii Qing! W oficjalnym obwieszczeniu Pekin uznał Zhu za Japończyka i zdrajcę i zapowiedział, że kiedy tylko nadejdzie odpowiednia pora, jego bunt zostanie krwawo stłumiony. Tak się jednak złożyło, że kiedy wojna dobiegła końca i nadeszły posępne dni powojennego głodu i ubóstwa, miasto Tangshan pozostało niezdobyte. Mało tego, podobne rewolty zaczęły wybuchać w innych miastach Chin, szczególnie w dużych miastach portowych leżących na wybrzeżu, aż do wysokości Kantonu. Ponadto Zhu publikował niezliczoną liczbę teoretycznych wywodów, w których bronił działalności ruchu i wyjaśniał nowatorską organizację miasta Tangshan, które działało

na zasadzie wspólnego przedsiębiorstwa, należącego do wszystkich ludzi, żyjących w obrębie jego obwarowanych granic.

Kung rozmawiał o tym wszystkim z ludźmi w jednostce pracy Bao, tłumaczył im teorię Zhu o tworzeniu wartości wspólnotowej i wyjaśniał, co ona oznacza dla przeciętnego Chińczyka, który od dawien dawna okradany był z owoców swojej pracy.

- Zhu zwracał szczególną uwagę na to, co działo się wokół nas, z naukową precyzją opisał rządzącą nami ekonomię, politykę, metody sprawowania władzy i kumulacji majątku, po czym stworzył nowy model społeczeństwa, w którym całą dotychczasową wiedzę wykorzystał w służbie ludziom, żyjącym zarówno w małych społeczeństwach, jak i w całych Chinach albo w każdym innym państwie.

Podczas przerwy obiadowej Kung wdał się w rozmowę z Bao i zapytał go o imię. Bao miał na imię Xinhua (Nowe Chiny), a Kung nosił imię Jianguo (“buduj naród"), po czym obaj już wiedzieli, że są dziećmi Piątego Zgromadzenia, które zachęcało do nadawania noworodkom imion o patriotycznym zabarwieniu, aby zrekompensować własne bankructwo moralne i nieludzką wręcz ofiarę, jaką naród chiński musiał złożyć w czasie powojennych klęsk głodu. Wszyscy urodzeni mniej więcej przed dwudziestoma laty nosili imiona takie jak Huidi (“przeciwstaw się islamowi") albo Zhandou (“nie ustawaj w walce"), mimo że w tamtym czasie mijało jakieś trzydzieści lat od zakończenia wojny. Szczególnie ucierpiały na tym imiona żeńskie, gdyż rodzice, starając się zachować w nich tradycyjne elementy, łączyli je ze sloganowym hurra-patriotyzmem,

przez co wśród rówieśniczek Bao zdarzały się kobiety o imionach Wonny Wojownik, Wdzięczna Armia, Publiczne Pachnidło albo Kochająca Naród Orchidea.

Niektóre z imion szczerze ich rozbawiły. Później mężczyźni rozmawiali jeszcze o rodzicach Bao i o braku rodziców Kunga, po czym Kung wbił swój wzrok w Bao i rzekł:

- Musisz jednak przyznać, że słowo “Bao" samo w sobie jest bardzo ważnym pojęciem. To zadośćuczynienie, spłata, oddanie czci rodzicom i przodkom, trzymanie w garści i przetrwanie, to dobre imię.

Bao tylko skinął głową. Był całkowicie zaabsorbowany spojrzeniem tego ciemnookiego mężczyzny, tak pełnego życia, tak radosnego i tak bardzo ciekawego świata. Było w nim coś, co przyciągało Bao, przyciągało go na tyle mocno, że był aż skłonny pomyśleć, iż spotkanie z nim to kwestia yuanfen, “więzi z przeznaczenia", czegoś, co musiało się zdarzyć, jako część jego yuan, czyli “losu". Być może miało to uchronić go przed niuyuan, “złym losem", gdyż w tej chwili jego własna praca wydała mu się błaha, zniewalająca i otępiająca. Czuł, że zabija w nim duszę i zamyka w więzieniu, z którego nie sposób uciec i które już za życia staje się grobem. Jednocześnie miał wrażenie, jakby znał Kunga od zawsze.

Od tej chwili Bao stał się nieodłącznym towarzyszem Kunga i chodził za nim po całym Pekinie jak młodszy brat. Przez niego też zaczął wagarować z jednostki pracy, innymi słowy, został rewolucjonistą. Kung zabierał go na spotkania wszystkich komórek

rewolucyjnych, do których należał, i dostarczył mu książki i pamflety autorstwa Zhu Isao. Dbał o jego edukację tak samo jak o wykształcenie wszystkich innych, którzy do niego trafiali. Ani rodzice Bao, ani jego jednostka pracy nie mogli go powstrzymać. Należał teraz do nowej jednostki - do jednostki pracy tych, którzy zamierzają naprawić świat.

W tym czasie Pekin przeżywał okres skrajnego ubóstwa. Trzy miliony ludzi, które ściągnęły tu w czasie wojny, nadal żyły w dzielnicach nędzy na zewnątrz głównej bramy miejskiej. Wojenne jednostki pracy rozrosły się daleko na zachód i nadal wyglądały jak rząd szarych fortec ponad nowymi, szerokimi ulicami. W ciągu Dwunastu Ciężkich Lat wycięto w Pekinie wszystkie drzewa, więc teraz miasto było niemal całkowicie pozbawione zieleni. Nowe drzewa sadzono za stalowymi palisadami, a nocami czuwała nad nimi straż, co jednak nie zawsze zdawało egzamin. Biedni, starzy strażnicy budzili się czasem nad ranem, widząc nienaruszoną palisadę, a za nią puste miejsce po drzewie, które albo ucinano tuż przy ziemi i przeznaczano na opał, albo wyrywano z korzeniami, aby później sprzedać w całości. Niektórzy stróżowie płakali za młodymi drzewkami, inni popełniali samobójstwo. Nieprzyjemna jesień obwieszczała miastu rychłe nadejście kolejnej, trudnej zimy. Ulewne deszcze wypłukiwały z terenów zachodnich pokłady lessów, które w postaci gęstego, żółtego błota zalewały łyse, betonowe miasto. W pokojach było ciepło dzięki ogrzewaczom przestrzeni, lecz system energetyczny miał częste przerwy w dostawie ki, które czasem ciągnęły się tygodniami, a wtedy wszyscy cierpieli tak

samo, oczywiście oprócz urzędników rządowych, którzy dysponowali własnymi generatorami. Ludzie próbowali zatrzymać jak najwięcej ciepła, wypychając płaszcze starymi gazetami. I kiedy tak chodzili ulicami w tych zdeformowanych, szarych okryciach lub wykonywali wszelką pracę, jaka wpadła im w ręce, wyglądali na postawnych i przysadzistych, jakby nieustannie im się powodziło - tak jednak nie było.

Wielu Chińczyków już wtedy dojrzało do zmian. Kung był tak samo chudy i głodny jak wszyscy pozostali, lecz za to miał w sobie ogromny zasób energii i nie wyglądało na to, aby potrzebował dużo snu czy jedzenia. Ciągle tylko czytał i rozmawiał, czytał i rozmawiał, albo wsiadał na motocykl i jechał na kolejne spotkanie, gdzie zagrzewał następną grupę ludzi do jednoczenia się i przyłączania do ruchu rewolucyjnego, zainicjowanego przez Zhu Isao, w celu wprowadzenia w Chinach wielkich zmian.

- Posłuchajcie mnie - mówił poważnym tonem do publiczności - możemy zmienić Chiny, jesteśmy w końcu Chińczykami, prawda? Jeśli nam się uda, wówczas zmienimy cały świat, bo wszystko zaczyna się od Chin, rozumiecie? Jest nas najwięcej na całej Ziemi. Przez te wszystkie lata kolonializmu i imperializmu dynastii Qing większość światowego majątku spłynęła do nas, w szczególności złoto i srebro. Poprzednie dynastie gromadziły majątek poprzez handel. Następnie podbiliśmy Nowy Świat i zabraliśmy srebro i złoto jego mieszkańców, po czym znów przywieźliśmy je do Chin. Dziś nie pozostało z tego nic. Dziś jesteśmy biedni nie z powodu braku środków, lecz z racji złej organizacji naszego społeczeństwa,

rozumiecie? Długa Wojna przyniosła nam ogromne cierpienie, lecz tak samo cierpiały inne narody, biorące w niej udział. Reszta świata podniosła się już z upadku, a my nadal klęczymy, mimo że to my wygraliśmy wojnę. To wszystko jest efektem złej organizacji! Złoto i srebro spoczywa ukryte w skarbcach biurokratów. Zwykli ludzie głodują i zamarzają na ulicach, podczas gdy oni siedzą w swoich ciepłych i zasobnych kryjówkach. To się nigdy nie zmieni, chyba że sami ośmielimy się to zmienić!

Następnie przeszedł do wyjaśnienia teorii społecznych Zhu, jak to przez wiele dynastii z rzędu w Chinach i na całym świecie panował system wyzysku: ziemie dawały obfity plon, wieśniacy mieli z czego opłacać podatki, więc system się przyjmował. Ostatecznie jednak nastał kryzys. System zrodził zbyt wielu rządzących, ziemie wyjałowiły się, a rolnicy nie byli w stanie produkować wystarczająco dużo żywności, aby móc opłacić podatki. Kiedy więc pojawiła się alternatywa śmierci głodowej bądź rewolty, zbuntowali się, co zresztą często się zdarzało nawet przed wojną.

- Nauczono nas czcić pamięć o naszych przodkach, tymczasem tkanina pokoleń rozciąga się w obie strony i tylko dzięki geniuszowi drzemiącemu w ludziach możemy rozpoczynać dziś walkę o przyszłe pokolenia, możemy oddać swoje życia dla dobra naszych dzieci i dzieci naszych dzieci. W taki sposób powinniśmy czcić swoją rodzinę! W czasie dynastii Ming i we wczesnym okresie Qing było u nas kilka takich rewolt, również na świecie podobne powstania nie były rzadkością. Ostatecznie jednak sytuacja załamała się i wszyscy zaczęli walczyć przeciwko wszystkim.

Nawet Chiny, najbogatszy kraj na Ziemi, zostały zdewastowane. Prace jednak trwały dalej, a dziś to my musimy je kontynuować, aby położyć kres tyranii możnowładców i ustanowić nowy porządek, w którym światowe bogactwo rozdzielone będzie sprawiedliwie pomiędzy wszystkich ludzi. Złoto i srebro pochodzą z ziemi, a Ziemia należy do nas wszystkich, tak jak woda czy powietrze. W dzisiejszym świecie nie ma już miejsca na hierarchie, które ciemiężyły nas tak długo. Musimy kontynuować walkę! Musimy też wiedzieć, że każda porażka, każda przegrana, będzie następnym ważnym krokiem na długiej drodze do zrealizowania naszego celu.

Oczywiście ktoś, kto tak jak Kung spędzał wiele godzin dziennie na wygłaszaniu podobnych przemówień, musiał prędzej czy później popaść w konflikt z władzą. Pekin jako stolica i największe miasto przemysłowe kraju, niezniszczone przez wojnę, dysponował większą liczbą dywizji policji wojskowej niż inne miasta. Władze potrafiły w każdej chwili zamknąć bramy miasta i przeprowadzić szczegółowe rewizje w wybranych domach

- było to w końcu serce imperium. Jeśli tylko chcieli, mogli zrównać z ziemią całą dzielnicę, co zresztą nie raz się zdarzyło. Dzielnice nędzy, a czasem nawet legalne siedliska ludzkie były rozjeżdżane przez buldożery, a na ich miejscu wznoszono standardowe kompleksy jednostek pracy - wszystko po to, żeby pozbyć się malkontentów. Taki wichrzyciel jak Kung miał kłopoty wypisane na twarzy. W roku 31, kiedy miał siedemnaście lat, a Bao piętnaście, wyjechał z Pekinu w stronę południowych prowincji, aby zanieść dobrą nowinę masom, o co poprosił go sam Zhu i z czego

cieszyła się cała ich komórka.

Bao postanowił pójść za nim. Kiedy wyjeżdżali, spakował do torby parę jedwabnych skarpet, parę niebieskich, filcowych butów ze skórzanymi podeszwami, watowaną kurtkę, stary płaszcz na podszewce, parę ocieplanych i parę zwykłych spodni, ściereczkę do rąk, parę bambusowych pałeczek, emaliowaną miseczkę, szczoteczkę do zębów i egzemplarz *Analizy chińskiego imperializmu* autorstwa Zhu Isao.

Upływały kolejne lata i Bao coraz więcej dowiadywał się o życiu, o ludziach i o swoim przyjacielu Kungu Jianguo. Zamieszki roku 33 przerodziły się w ogólnonarodowy bunt przeciwko Piątemu Zgromadzeniu Militarnemu i wkrótce całe państwo stanęło w obliczu wojny domowej. Wojsko nieustannie walczyło o kontrolę nad głównymi miastami, więc rewolucjoniści rozproszyli się po polach i wsiach, gdzie przetrwali dzięki porozumieniom zawartym z rolnikami, które dały im szerokie poparcie społeczności wiejskich. Zadawali sobie sporo trudu, aby bronić ich rodzin, upraw i zwierząt, przy czym nigdy ich nie wywłaszczali i nie zabierali im pożywienia, gdyż woleli głodować, niż okradać ludzi, którzy tak samo jak oni pragnęli wolności.

Każda bitwa stoczona w tej dziwnej, rozproszonej wojnie nosiła znamiona makabry. Wyglądało to jak niekończący się ciąg mordów na ludności cywilnej, odzianej we własne, zgrzebne ubrania - żadnych mundurów, żadnych oficjalnych bitew - kobiety, mężczyźni, dzieci, wieśniacy w polu, sklepikarze na progach swoich sklepów, zwierzęta. Armia była bezlitosna. A jednak mimo to rewolucja

toczyła się dalej.

Kung został uznanym przywódcą wojskowej szkoły rewolucyjnej w Annanie, z siedzibą główną w delcie Brahmaputry i z odziałami w każdej komórce rewolucyjnej w kraju. Profesorowie i doradcy dokładali wszelkich starań, aby każde spotkanie z wrogiem było swego rodzaju lekcją, warsztatami w terenie. Kung wkrótce objął kierownictwo nad tymi działaniami, szczególnie gdy chodziło o walkę o miejskie i nabrzeżne jednostki pracy. Był niewyczerpanym źródłem pomysłów i energii.

Piąte Zgromadzenie Wojskowe porzuciło w końcu rząd centralny i rozpadło się na dziesiątki grup, dowodzonych przez lokalnych watażków. Był to spory krok w kierunku zwycięstwa, lecz teraz należało rozprawić się z każdym z watażków z osobna. Walka była nierówna i przenosiła się z jednej prowincji na drugą. Tu zasadzka, tam wysadzenie mostu. Kung kilka razy był celem nieudanych zamachów, przez co również życie Bao, jego towarzysza i asystenta, było w niebezpieczeństwie. Bao wielokrotnie próbował szukać zemsty na niedoszłych mordercach, tymczasem Kung pozostawał niewzruszony.

- Nie ma sensu - mówił - i tak w końcu wszyscy umrzemy - i cieszył się z tego faktu jak żaden z ludzi znanych Bao.

Tylko raz Bao widział poważnie rozzłoszczonego Kunga, lecz o dziwo, nawet w takiej sytuacji, nie stracił swojej radosnej promienności. Było to wtedy, gdy jeden z oficerów, niejaki Shi Fandi (“przeciwstawiaj się imperializmowi"), został oskarżony przez trzech naocznych świadków o gwałt i morderstwo więźniarki z obozu, nad

którym trzymał pieczę.

Shi wyłonił się z celi, w której został zamknięty, krzycząc:

- Nie zabijajcie mnie! Nie zrobiłem nic złego! Moi ludzie doskonale wiedzą, że ja tylko chciałem ich chronić. Ta kryminalistka była najbrutalniejszym oprawcą w całej prowincji Sechuan! Wasz osąd jest niesprawiedliwy!

Kung wyszedł ze spiżarni, gdzie spędził poprzednią noc, a Shi odezwał się do niego:

- Dowódco, miej litość, nie każ mnie zabijać. Kung odparł:

- Shi Fandi, przede wszystkim, nie mów już nic więcej. Kiedy mężczyzna dopuszcza się takiego czynu, wówczas wybija jego godzina, powinien się zamknąć i robić dobrą minę do złej gry, to wszystko, na co może sobie pozwolić w oczekiwaniu na kolejne przyjście na świat. Zgwałciłeś i zamordowałeś więźniarkę, troje ludzi było świadkami popełnienia przez ciebie tego najgorszego z możliwych przestępstw. Doniesiono mi również, że nie był to pierwszy raz. Jeśli pozwolimy ci żyć, a ty dalej będziesz robił takie rzeczy, ludzie znienawidzą ciebie i całą

naszą sprawę, a na to nie możemy sobie pozwolić. Nie rozmawiajmy o tym już więcej. Obiecuję ci, że twoja rodzina otrzyma odpowiednią opiekę i pomoc. Bądź mężczyzną honoru. Shi odpowiedział mu gorzkim tonem:

- Nie raz proponowano mi dziesięć tysięcy taeli za odebranie ci życia i za każdym razem odrzucałem oferty.

Kung machnął ręką.

- Spełniłeś tylko swój obowiązek. Myślisz, że cię to jakoś

wyróżnia? Mówisz, jakbyś, chcąc zrobić coś dobrego, musiał za każdym razem zmagać się ze swoim charakterem. Twój charakter nie jest żadną wymówką! Mam dość twojego charakteru. Ja również mam gniewną duszę, ale tutaj walka toczy się o Chiny! O człowieczeństwo! W takich chwilach trzeba zapomnieć o swoim charakterze i robić to, co do ciebie należy! - po czym odwrócił się, a Shiego odprowadzono z powrotem do celi.

Po tym wydarzeniu Kung wpadł w posępny nastrój. Nie był skruszony z powodu potępienia Shiego, lecz smutny.

- To było konieczne, chociaż nic nam nie dało. Tacy ludzie często się zdarzają i chyba nigdy nie wymrą doszczętnie i być może właśnie przez takich jak on Chiny nigdy nie odmienia swego losu - zaczął cytować Zhu - “Rozlegle terytoria, obfite bogactwa naturalne, wspaniały naród - czy mając tak doskonałą podstawę, będziemy już zawsze tylko kręcić się w kółko, zamknięci w pułapce koliska narodzin i śmierci?".

Bao nie znał odpowiedzi, nigdy wcześniej nie słyszał, żeby jego przyjaciel mówił coś bardziej pesymistycznego, choć teraz jego słowa brzmiały w uszach Bao znajomo. Kung miewał różne nastroje. W końcu jednak zawsze jeden z nich brał górę nad pozostałymi. Kung westchnął i wstał.

- Życie toczy się dalej. Dalej i dalej! A my możemy jedynie próbować. Przecież czymś musimy wypełnić swój aktualny żywot, dlaczego nie przeznaczyć go na walkę o dobro?

Jak się później okazało, to właśnie związki rolnicze miały decydujący wpływ na dalszy rozwój wydarzeń. Kung i Bao urządzali

nocne spotkania w setkach miast i wsi, na których tysiące żołnierzy rewolucji przekazywało ludziom analizy i plany Zhu. Większość ludności wiejskiej była nadal niepiśmienna, toteż informacje musiały krążyć drogą ustną -lecz czy w istocie istnieje szybsza i pewniejsza metoda komunikacji?

W tym czasie Bao nauczył się już niemal wszystkiego o życiu na wsi. Dowiedział się, że Długa Wojna zabrała z terenów wiejskich większość

mężczyzn i mnóstwo młodych kobiet. Gdziekolwiek by się nie poszło, spotykało się starców, a liczba ludności na tych terenach była nadal mniejsza od stanu sprzed wojny. Niektóre wioski stały całkiem puste, inne zajmowały rodziny zbielałych szkieletów. Również przez to praca przy zasiewach i zbiorach była utrudniona, mimo że młodzi ludzie, którzy zostali przy życiu, pracowali nieustannie, aby zapewnić odpowiednią ilość pożywienia dla miejscowej ludności oraz przygotować zbiory, przeznaczone na opłacenie podatku. Starsze kobiety pracowały tak samo ciężko jak i inni, w miarę możliwości pomagały we wszystkich zajęciach, zachowując przy tym cesarską powagę i godność charakterystyczną dla szanujących się gospodyń chińskich. Najczęściej było tak, że jedynymi osobami, które potrafiły czytać i znały się na rachunkach, były babcie i prababcie, wywodzące się z bardziej zamożnych rodzin. Teraz uczyły młodszą ciżbę obsługi krosien, radzenia sobie z władzą w Pekinie i czytania. Właśnie z tego powodu to one jako pierwsze padały ofiarami najazdów lokalnych watażków, zaraz przed młodymi mężczyznami, którzy mogliby

zasilić oddziały zbrojne.

Według systemu konfucjańskiego, rolnicy stanowili drugą z najwyżej cenionych klas społecznych, zaraz po badaczach i naukowcach, którzy opracowywali system, lecz przed rzemieślnikami i kupcami. Intelektualiści związani z Zhu organizowali więc rolników w odległych wsiach, a rzemieślnicy i handlowcy siedzieli w miastach, w oczekiwaniu na dalszy rozwój wydarzeń. Wynika z tego, że już Konfucjusz zidentyfikował klasy rewolucjonistów. Z pewnością rolnicy przewyższali liczebnością mieszkańców miast i kiedy ich armie zdążyły się zorganizować i rozpocząć marsz, wówczas wojskowe relikty Długiej Wojny niewiele mogły zrobić, jako że same były zdziesiątkowane i niechętne do mordowania tysięcy swoich rodaków, wycofały się więc do największych miast i przygotowywały do obrony jak przed muzułmanami.

Kiedy nastał impas, Kung zdecydowanie opowiadał się przeciwko zmasowanym szturmom i proponował w zamian bardziej subtelne sposoby na pokonanie pozostałości po armiach, stacjonujących w dużych miastach. Niektóre udało się odciąć od dostaw żywności, w innych zniszczono lotniska lub blokowano porty - imano się najstarszych taktyk oblężniczych, które unowocześniano o broń z okresu Długiej Wojny. Najwyraźniej szykowała się kolejna długa wojna, tym razem domowa, której nikt tak naprawdę w Chinach nie chciał. Nawet najmłodsze dzieci żyły w cieniu Długiej Wojny i zdawały sobie sprawę, że następny taki konflikt byłby ostateczną katastrofą.

W miastach kontrolowanych przez watażków Kung spotykał się z

członkami Bractwa Białego Lotosu i innych rewolucyjnych grup. Prawie w każdej jednostce pracy można było spotkać sympatyków rewolucji i wielu z nich dołączało do ruchu Zhu. W rzeczywistości nie spotykało się zwykłych ludzi, którzy popieraliby stary reżim. Jak to możliwe? Wydarzyło się zbyt dużo złego. Teraz należało już tylko zebrać wszystkich rozczarowanych i namówić ich do poparcia konkretnego ruchu oporu i opowiedzenia się za jedną strategią zmian. Kung okazał się najskuteczniejszym przywódcą w tym zakresie.

- W takich czasach jak te - mówił - każdy z nas staje się intelektualistą. W tak ciężkiej sytuacji musimy być twardzi. Na tym właśnie polega świetność naszych czasów - w końcu wyrwały nas z długiego snu.

Niektóre z tych rozmów i spotkań organizacyjnych były niebezpiecznymi wypadami na teren wroga. Kung wspiął się zbyt wysoko w hierarchii ruchu na rzecz Nowych Chin, aby czuć się bezpiecznie podczas takich misji. Stał się zbyt popularny, a za jego głowę wyznaczono wysoką nagrodę.

Pewnego razu, trzydziestego drugiego tygodnia roku 35 postanowili razem z Bao złożyć tajną wizytę w ich starej dzielnicy w Pekinie, gdzie przewieziono ich w ciężarówce wypełnionej kapustą i wysadzono w okolicy Wielkiej Czerwonej Bramy.

Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tam teraz inaczej. Dzielnica w najbliższym sąsiedztwie bramy została zrównana z ziemią, pojawiły się też nowe nitki jezdni, nie było więc szans na odszukanie starego miejsca ich spotkań, gdyż żadne z tamtych

zabudowań nie zachowało się. Na ich miejscu postawiono duży posterunek policji i kilka kompleksów jednostek pracy, ciągnących się równolegle do starego muru miejskiego, którego krótkie odcinki zachowały się po obu stronach bramy. Na rogach nowych ulic rosły wysokie drzewa, najprawdopodobniej sprowadzone z innych prowincji, otoczone żelazną palisadą z kolcami na szczycie, mimo to zieleń wyglądała wspaniale. Okna pokojów mieszkalnych w jednostkach pracy wychodziły teraz na ulice, co było kolejną pożądaną zmianą, gdyż dawniej jednostki otwierały się wyłącznie na wewnętrzne dziedzińce, a od świata zewnętrznego oddzielały je gładkie, lite ściany. Na ulicach roiło się od drobnych handlarzy, ciągnących za sobą wózki z towarami i od ulicznych sprzedawców książek.

- Wygląda to całkiem nieźle - przyznał Bao. Kung uśmiechnął się.

- Kiedyś bardziej mi się tutaj podobało. Chodźmy, zobaczymy, co nas tu czeka.

Spotkanie zaplanowano w starej jednostce pracy, mieszczącej się w kilku niewielkich budynkach na południe od nowej dzielnicy. Uliczki były tam ciasne jak za dawnych lat, budynki małe i z czerwonej cegły, wszędzie kurz i błoto i żadnej zieleni w zasięgu wzroku. Przechodzili tamtędy swobodnym krokiem, w okularach przeciwsłonecznych i czapkach pilotkach, jakie nosiła tutaj ponad połowa mężczyzn. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Kupili po misce makaronu i jedli, stojąc pośród przechodniów na rogu ulicy, obserwując dobrze znane im obrazki, które nie zmieniły się od ich wyjazdu przed kilkoma laty.

- Brakuje mi tego miejsca - powiedział Bao. Kung przyznał mu rację.

- Już za niedługo będziemy mogli się tu przeprowadzić. Będziemy mogli znów się rozkoszować Pekinem, sercem całego świata.

Najpierw jednak musieli doprowadzić do końca rewolucję. Zakradli się do jednego z zakładów tutejszej jednostki, gdzie już czekała na nich grupa brygadzistów, właściwie należałoby powiedzieć brygadzistek, gdyż w większości były to starsze i doświadczone kobiety. Żaden młody mężczyzna nie zdołałby zrobić na nich większego wrażenia opowieściami o wielkich zmianach, lecz Kung był znany i wszyscy słuchali go z wytężoną uwagą, zadając mnóstwo szczegółowych pytań. Kiedy skończył, podchodzili do niego, mówiąc, że jest dobrym człowiekiem i że powinien jak najszybciej wynieść się z miasta, dopóki go nie zaaresztowali, i że poprą jego sprawę, kiedy przyjdzie odpowiednia pora. Tak właśnie było z Kungiem: każdy, kto znajdował się w jego otoczeniu, czuł bijący od niego ogień i reagował w ludzki sposób. Jeśli podczas jednego spotkania potrafił zjednać sobie kobiety z pokolenia Długiej Wojny, to już chyba wszystko było możliwe. Kobiety te zamieszkiwały wiele wsi i miejskich jednostek pracy, podobnie jak w przypadku buddyjskich szkół i szpitali. Kung wiedział o nich niemal wszystko.

- Gangi wdówek i staruszek - jak sam je nazywał - to umysły, które budzą grozę. Są ponad tym światem, a jednocześnie znają go jak własną kieszeń, potrafią być naprawdę twarde i pozbawione wszelkich sentymentów. Często zdarzają się wśród nich wyśmienici

naukowcy i przebiegli politycy, nie są to ludzie, którym chciałoby się wchodzić w drogę.

Czego sam nigdy nie robił, zamiast tego uczył się od nich i miał dla nich wielki szacunek. W każdej sytuacji Kung potrafił szybko zorientować się, w czyich rękach spoczywała władza.

- Kiedy te staruszki połączą swoje siły z nami, wtedy zwycięstwo będzie na wyciągnięcie ręki.

Kung wyprawił się do Tangshan, gdzie razem ze starym filozofem, Zhu Isao, omawiali szczegóły kampanii na rzecz Chin. Pod egidą Zhu poleciał też do Yingzhou, aby spotkać się z chińskimi i japońskimi przedstawicielami Ligi Yingzhou, a w Fangzhang rozmawiał z Trawankorczykami i z innymi narodami. Nie powrócił, zanim od wszystkich rozwijających się rządów nowego świata nie otrzymał obietnic wsparcia chińskiej rewolucji.

Wkrótce potem do Tangshan zawinęła wielka flota Hodenosaunee, która przywiozła ogromne ilości pożywienia i broni. W tym samym czasie podobne floty zbliżyły się do wielu innych miast portowych, których jeszcze nie kontrolowały siły rewolucji, rozpoczynając ich blokadę. Przez kilka kolejnych lat siły Nowych Chin odniosły wspaniałe zwycięstwa w Szanghaju, Kantonie, Hangzhou, Nanjing i w wielu wewnętrznych prowincjach Chin. Ostateczne uderzenie na Pekin przypominało bardziej triumfalny przejazd przez miasto, gdyż żołnierze starej armii rozproszyli się lub uciekli do ostatniej twierdzy w Gansu. Kung jechał razem z Zhu w ciężarówce na czele gigantycznej, zmotoryzowanej kawalkady, która wjechała do stolicy przez Wielką Czerwoną Bramę, nie

napotykając po drodze żadnego oporu. Było to prawdziwe święto, tym bardziej, że wydarzyło się w dzień równonocy wiosennej znaczącej początek roku 36.

Nieco później tego samego tygodnia rewolucjoniści otworzyli bramy Zakazanego Miasta, które jak dotąd można było zwiedzać jedynie przez kilka lat w czasie wojny, po odejściu ostatniego cesarza, kiedy to służyło za miejski park i koszary. Przez ostatnie czterdzieści lat miasto było z powrotem zamknięte dla zwykłych ludzi, którzy teraz wlewali się do środka, aby wysłuchać słów Zhu i jego doradców, skierowanych do Chin i do całego świata. Bao był wśród nich, kiedy przechodzili przez bramę Wielkiej Harmonii, i zobaczył, że Kung rozgląda się nerwowo dookoła, jakby był czymś zaniepokojony. W końcu potrząsnął tylko głową, a jego twarz przybrała dziwny wyraz, który nie zmienił się nawet w chwili, gdy wchodził na podium, aby zająć miejsce obok Zhu i przemówić do rozentuzjazmowanego tłumu, który powoli wypełniał cały plac.

Zhu był w połowie zdania, kiedy padły strzały. Kung i Zhu padli na deski. Zapanował chaos. Bao przedarł się przez tłum, do kręgu ludzi

pochylających się nad rannymi, leżącymi na prowizorycznej scenie. Były tam kobiety i mężczyźni, których znał i którzy teraz ustalali szybki plan ewakuacji poszkodowanych do najbliższego szpitala. Bao rozpoznał jednego z mężczyzn w kręgu, który pozwolił mu się zbliżyć do Kunga. Zabójca użył wojennego wynalazku - kul o miękkim czubku. Widok był wstrząsający. Na drewnianej scenie powiększała się kałuża lśniącej, gęstej krwi. Zhu dostał w ramię i w

nogę, Kung, w klatkę piersiową. Jego twarz była szara, a w plecach miał ogromną postrzępioną dziurę. Umierał. Bao uklęknął przy przyjacielu, ujął jego prawą dłoń -i kilkakrotnie zawołał po imieniu. Kung otworzył oczy i spojrzał poprzez niego, Bao nie był pewny, czy Kung coś jeszcze widział.

- Kungu Jianguo! - krzyczał Bao, a słowa wydzierały się z jego krtani jak nigdy wcześniej.

- Bao Xinhua - wydusił z siebie Kung - działaj... dalej...

To były jego ostatnie słowa. Umarł jeszcze zanim zniesiono go ze sceny.

2

Sążeń Kwadratowy

Wszystko to się wydarzyło, kiedy Bao był młody. Po zabójstwie Kunga, Bao jeszcze jakiś czas dochodził do siebie. Był na pogrzebie i nie uronił ani jednej łzy, gdyż uważał, że był ponad tym wszystkim, że był realistą, że liczyła się tylko wspólna sprawa, która będzie trwać. Był nieczuły na swój żal i tłumaczył sobie, że go nie dotyczy. Miał wrażenie, że to trochę dziwne, ale tak właśnie było. W końcu nie było to aż tak prawdziwe, nie mogło być. Na szczęście, najgorsze miał już za sobą.

Zaszył się w swojej bibliotece i nie przestawał czytać. Uczęszczał na zajęcia na uczelni w Pekinie, gdzie studiował historię i nauki polityczne. Objął również stanowiska na misjach dyplomatycznych dla nowego rządu, najpierw w Japonii, później w Yingzhou, Nsarze i w Birmie. Program Nowych Chin rozwijał się, aczkolwiek wszystko

ciągnęło się powoli i bardzo opornie. Sytuacja poprawiała się, lecz nie pojawiły się żadne dramatyczne zmiany - było inaczej, lecz pod wieloma względami ciągle tak samo. Ludzie nadal walczyli, a korupcja nękała nowe instytucje - to była nieustająca walka. Wszystko następowało znacznie wolniej, niż się ludzie tego spodziewali, a jednak kolejne lata przynosiły ze sobą coś całkowicie nowego. Puls długotrwałej historii był znacznie wolniejszy od indywidualnego poczucia upływu czasu.

Po kilku latach spotkał na swojej drodze kobietę o imieniu Pan Xi-chun, dyplomatkę z Yingzhou na misji niestałej w Pekinie. Przydzielono im wspólne zadanie dotyczące Ligi Dahai, stowarzyszenia krajów otaczających Wielki Ocean. Rządy wysłały ich na konferencję odbywającą się na Hawajach, leżących pośrodku Dahai. Spędzili razem sporo czasu na piaszczystych plażach wyspy, a po powrocie do Pekinu byli już parą. Jej przodkowie wywodzili się z Japonii i z Chin, a pradziadkowie z Yingzhou i z Fangzhang. Kiedy misja Pan Xichun w Pekinie zakoń-czyła się, a ona sama zdecydowała się wrócić do domu, Bao załatwił sobie pracę w chińskiej ambasadzie w Fangzhang i przeleciał nad Dahai ku spektakularnym, zielonym wybrzeżom i złotym wzgórzom Yingzhou.

Tam też Bao i Xichun pobrali się i żyli razem przez dwadzieścia lat, wychowując dwójkę dzieci: syna Zhao i córkę Anzi. Pan Xichun dostała pracę w jednym z ministerstw rządu Yingzhou, co wiązało się z jej częstymi wyjazdami na Long Island, do Qito i do wielu innych państw dookoła Dahai. Bao zostawał sam domu, pochłonięty

pracą dla ambasady chińskiej, opieką nad dziećmi, pisaniem i nauczaniem historii na tamtejszej uczelni. Dobrze im się żyło w Fangzhang, najpiękniejszym ze wszystkich miast. Czasem, kiedy Bao rozmyślał nad swoją buntowniczą młodością, jawiła mu się ona jako sen, który śnił dawno temu. Czasami odwiedzali go znajomi naukowcy, z którymi rozmawiał o dawnych czasach. Napisał też kilka artykułów poświęconych tamtym wydarzeniom, lecz przeszłość oceniał z bardzo odległej perspektywy.

Pewnego dnia, pieszcząc Pan Xichun, wyczul niewielkiego guza na jej prawej piersi. To był rak. Zmarła po roku cierpienia. I znów zniknęła z jego życia, tak jak dotychczas zwykła to czynić, lecz tym razem na zawsze.

Bao musiał samotnie wychowywać dzieci. Zhao był już niemal dorosły i wkrótce dostał pracę za morzem w Aozhou, przez co widywali się bardzo rzadko. Dla dobra Anzi robił wszystko, co mógł, zatrudnił nawet stałą opiekunkę. Lecz najwyraźniej za bardzo się starał i za bardzo mu zależało, gdyż Anzi często się na niego złościła i wychodziła z domu, kiedy tylko miała okazję. W końcu wyszła za mąż i nie odwiedzała ojca prawie wcale. Bao był pewny, że w jej wychowaniu popełnił błąd, lecz nie wiedział jaki i kiedy.

Zaproponowano mu posadę w Pekinie. Zdecydował wrócić, lecz tym razem stolica wydawała mu się całkiem obca. Czuł się jak preta, błądzący po komnatach swojej przeszłości. Zatrzymał się w zachodniej dzielnicy miasta, w okolicy, która w żaden sposób nie przypominała miejsca, w którym dorastał. Teraz sam zabronił sobie wejścia do Zakazanego Miasta. Próbował czytać i pisać, myśląc, że

jeżeli uda mu się spisać wszystkie wydarzenia, wówczas one więcej nie powrócą.

Po kilku latach starań dostał pracę w Pyinkayaing, w stolicy Birmy, gdzie dołączył do Agencji na Rzecz Życia w Zgodzie z Naturą, założonej przez Ligę Wszystkich Narodów, jako przedstawiciel Chin i dyplomata na misji stałej.

3

Pisanie historii birmańskiej

Pyinkayaing leżał przy wysuniętym najdalej na zachód kanale ujściowym Irawadi, tej wielkiej trasy rzecznej, po której toczyło się birmańskie życie i której cala delta została zurbanizowana na kształt ogromnego, nadmorskiego miasta albo raczej skupiska miast, ciągnących się w górę każdego ramienia delty aż do wysokości Henzady i dalej do Mandalaj. Tylko w Pyinkayaing można było podziwiać prawdziwy ogrom tego supermiasta. Kanały rzeczne biegły w stronę morza jak szerokie aleje pomiędzy drapaczami chmur, które stały niczym strome ściany głębokich wąwozów rzecznych, poprzecinanych niezliczoną liczbą ulic, alejek i mostów krzyżujących się na wielu poziomach.

Bao otrzymał apartament na sto sześćdziesiątym piętrze w jednym z wieżowców, stojących przy głównym kanale Irawadi, w pobliżu nadmorskiego bulwaru. Kiedy po raz pierwszy wyszedł na balkon, był zaskoczony i całe popołudnie spędził, podziwiając panoramę miasta: na południu rozlewało się morze, na zachodzie widniała Pagoda Złotej Skały, pozostałe kanały Irawadi uciekały na

wschód, a w dole zalegały połacie dachów supermiasta. Kiedy zaś patrzył przed siebie, w oczach mieniły mu się miliony okien innych drapaczy chmur, ciągnących się wzdłuż brzegów rzek i wypełniających obszar całej delty. Wszystkie budynki zatopione były głęboko w aluwialne ziemie i stały na litym podłożu skalnym, a sławny system tam, śluz i falochronów zabezpieczał miasto przed wysoką falą na rzece, przed przypływami Oceanu Indyjskiego i tajfunami. Nawet powolne podnoszenie się poziomu morza nie stanowiło poważnego zagrożenia dla miasta, które w istocie było swoistym portem pełnym architektonicznych okrętów, zakotwiczonych na stałe w podłożu. W ostateczności, gdyby ludzie musieli opuścić niższe kondygnacje i przenieść się wyżej, wówczas byłoby to jedynie kolejne wyzwanie dla inżynierów - coś, co dostarczyłoby zajęcia na lata tutejszemu przemysłowi budowlanemu. Birmańczycy niczego się nie bali.

Spoglądając w dół na stare łajby i taksówki wodne, kreślące na niebiesko-brunatnej wodzie swoją delikatną, białą kaligrafię, Bao miał wrażenie, że dociera do niego jej przesłanie, że odczytuje je tuż na pograniczu świadomego poznania. Teraz rozumiał, dlaczego Birmańczycy spisali “historię birmańską". Może tak właśnie było, może wszystko, co się dotąd wydarzyło, wydarzyło się po to, aby właśnie tutaj zderzyć się z całą resztą i stworzyć coś znacznie większego od poszczególnych elementów. Jak w przypadku kilwaterów, które zderzając się ze sobą, wystrzeliwują w górę ścianę spienionej wody na wysokość, której nie sięgnęłaby żadna pojedyncza fala.

Przez siedem kolejnych lat monumentalne miasto Pyinkayaing było domem Bao. Każdego dnia wsiadał do wagonika kolejki linowej i przedostawał się na drugą stronę rzeki, do biur ligi, gdzie zajmował się problematyką ludzkiej egzystencji w zgodzie z naturą, gdyż negatywne skutki zaniedbań w dziedzinie ekologii dawały się już we znaki mieszkańcom całego świata, powodując zniszczenia, od których nawet Birma mogła wkrótce ponieść straty, chyba że mieszkańcy zdecydują się przenieść Pyinkayaing na księżyc, co, biorąc pod uwagę ich energię i pewność siebie, nie było do końca wykluczone.

Z drugiej strony, nie byli potęgą na tyle długo, aby poznać dogłębnie zasady obrotu koła losu. Przez te wszystkie lata Bao odwiedził setki krajów i wiele z nich przypominało mu, że w wielowiekowej perspektywie cywilizacje rozkwitają i upadają, a większość z nich już nigdy się nie podnosi. Ognisko potęgi i władzy przemieszcza się po obliczu Ziemi jak samotny nieśmiertelny, podążający za słońcem. Dlaczegóż by Birma nie miała podzielić tego losu?

Bao podróżował teraz najnowszymi samolotami kosmicznymi, które wystrzeliwały w atmosferę jak pociski artyleryjskie z okresu Długiej Wojny, aby trzy godziny później wylądować po drugiej stronie globu. Latał również ogromnymi statkami powietrznymi, które nadal obsługiwały większość transkontynentalnego ruchu osobowego i ciężarowego, a swoją niewielką prędkość rekompensowały ponadprzeciętnym tonażem. Jak wielkie, niezatapialne okręty sunęły po powietrznym oceanie, wydając z

siebie basowy szum. Obradował z urzędnikami niemal wszystkich państw na świecie i z wolna zaczęło do niego docierać, że problem życia w zgodzie z naturą dawał się w prosty sposób sprowadzić do liczb. Po Długiej Wojnie populacja Ziemi zaczęła się powiększać, sięgając aktualnie ośmiu miliardów, co jest liczbą znacznie przekraczającą naturalne możliwości planety. Tak przynajmniej twierdzi część naukowców, szczególnie ci bardziej konserwatywni, podzielający doktryny daoistyczne, popularne w Chinach i w Yingzhou.

Poza liczbą ludności problemem była również akumulacja dóbr i nierówna dystrybucja majątku. Przykładowo, dla mieszkańców Pyinkayaing nie było problemem zorganizowanie przyjęcia w Ingali czy w Fangzhang i wydanie przez jeden weekend równowartości dziesięcioletnich oszczędności szeregowego pracownika z Maghrebu, podczas gdy mieszkańcy Fi-ranii i kraju Inków nadal cierpieli na niedożywienie. Te rażące rozbieżności utrzymywały się pomimo sporych wysiłków Ligi Wszystkich Narodów oraz aktywności egalitarnych ruchów społecznych w Chinach, Trawankorze, Firanii i Yingzhou. W Chinach egalitaryzm zrodził się nie tylko z wizji Zhu Isao, lecz również z daoistycznych idei harmonii, na co Zhu zawsze zwracał uwagę. W Trawankorze jego źródłem była buddyjska idea współczucia, w Yingzhou wyrósł on z wyznawanej przez Hodenosaunee idei równości wszystkich ludzi, a w Firanii z wiary w równość człowieka w obliczu Boga. Idea ta istniała wszędzie na świecie, lecz świat nadal należał do mniejszości bogaczy. Majątek gromadzony byt przez wieki w niewielu rękach, a

ci, którzy przyszli na świat w gronie starej arystokracji, żyli tak, aby zachować jej zwyczaje, według których królewskie przywileje należały się najbogatszym na Ziemi. Już nie grunt, lecz pieniądze stanowiły teraz gwarancję władzy. Pieniądze, które przepływały zgodnie z własną grawitacją i prawami kumulacji, które choć nie miały nic wspólnego z prawami natury, rządziły większością państw na Ziemi, bez względu na wyznawaną przez nie religię i filozofię miłości, bez względu na współczucie, miłosierdzie, równość, dobroć i tym podobne. Stary Zhu miał rację: zachowanie ludzi nadal opierało się na starych zasadach, precyzujących sposób przywłaszczania sobie pożywienia, ziemi, wody, nadmiaru majątku i owoców pracy ośmiu miliardów ludzi. Jeśli zasady te nie zostaną zmienione, nasza szansa na przetrwanie może zostać zaprzepaszczona, a Ziemię odziedziczą po nas mewy, mrówki i karaluchy.

Bao wciąż podróżował, debatował, pisał i rozmyślał. Ogromną część energii poświęcił pracy dla Agencji na Rzecz Życia w Zgodzie z Naturą i przez wiele lat koordynował działania w Starym i Nowym Świecie na rzecz ocalenia największych żyjących gatunków ssaków. Część z nich i tak była skazana na wyginięcie, a bez podjęcia odpowiednich kroków mogli stracić wszystkie, co byłoby antropogeniczną degradacją na ogromną skalę, przewyższającą inne globalne katastrofy, o których świadczyły najnowsze odkrycia paleontologiczne.

Podróżując nowym, ogromnym statkiem powietrznym, będącym kombinacją sterowca i samolotu, poduszkowca i katamaranu, który w zależności od panujących warunków i przenoszonego ładunku,

ślizgał się po powierzchni wód lub unosił w powietrzu, Bao wracał z misji dyplomatycznych do Pyinkayaing. Wychodził z apartamentu na balkon, spoglądał w dół, na świat i w ligaturach kilwaterów, w białych smugach za samolotami i w głębokich dolinach ze szkła i ze stali dostrzegał szkic relacji człowieka z naturą. Oto świat, w którym żył i który zmieniał się z roku na rok. Kiedy był w Pekinie, próbował sobie przypomnieć swoją młodość, podobnie w Kwinanie w Aozhou, gdzie wybrał się w odwiedziny do syna, i w Fangzhang, gdzie chciał wspomnieć Pan Xihun, z którą przecież żył tam tyle lat, lecz niestety, pamięć za każdym razem zawodziła go. Z drugiej strony, nie do końca było to kwestią pamięci, gdyż w istocie pamiętał sporo wydarzeń z przeszłości. Chodziło raczej o uczucia, które wiązały się z tymi wydarzeniami i które z biegiem lat wyblakły i odeszły bezpowrotnie. Czuł, jak gdyby to wszystko przydarzyło się komuś innemu, jakby były to obrazy z przeszłych jego wcieleń.

Ktoś w lidze wpadł na pomysł, by zaprosić do Pyinkayaing samego Zhu Isao z serią wykładów dla pracowników ligi i wszystkich innych, którzy chcieliby go posłuchać. Bao zdziwił się, kiedy przeczytał o tym wzmiankę w prasie, gdyż spodziewał się, że stary Zhu już dawno nie żył - przecież minęło tyle lat, odkąd wspólnie zmienili Chiny, a już przecież wtedy Zhu był starcem. Okazało się to jednak młodzieńczą pomyłką ze strony Bao, którego poinformowano, że Zhu miał aktualnie około dziewięćdziesięciu lat, co oznaczało, że wówczas musiał mieć około siedemdziesiątki. Bao śmiał się ze swych błędnych kalkulacji i z wielkimi nadziejami zapisał się na kurs starego mistrza.

Zhu Isao okazał się być dziarskim staruszkiem o siwych włosach, niewielkiego wzrostu. Jego spojrzenie było nadal żywe i pełne blasku.

Kiedy Bao podszedł doń przed inauguracyjnym wykładem, Zhu uśmiechnął się przyjaźnie, uścisnął mu dioń i rzeki:

- Pamiętam cię. Byteś jednym z oficerów Kunga Jianguo, racja? Bao odwzajemnił silny uścisk i skłonił się pokornie, po czym usiadł

na miejscu, czując wzbierające w nim gorąco. Starzec nadal nieznacznie utykał, w wyniku ran odniesionych tamtego okropnego dnia, lecz wyraźnie cieszył się ze spotkania z Bao.

Na pierwszym wykładzie opisał z grubsza plan całego kursu, który, zgodnie z jego założeniem, miał być serią konwersacji na temat historii, jej konstruowania, znaczenia oraz sposobu wykorzystania przy planowaniu działań na przyszłe, niełatwe zresztą dekady:

- Kiedy to w końcu będziemy zmuszeni nauczyć się, jak zasiedlać Ziemię.

Bao sporządzał notatki, wsłuchując się w słowa starca, który mówiąc, stukał palcami w drewniany pulpit, co zdarzało się wielu mówcom. Zhu wyjaśnił, iż na początku pragnie omówić powstałe na przestrzeni wieków teorie historii, a następnie zanalizować je nie tylko w kontekście danych wydarzeń:

- Co jest dość trudnym zadaniem, gdyż fakty zapamiętujemy na tyle, na ile są one dowodem na słuszność danych teorii.

Lecz również pod względem ich konstrukcji oraz tego, jaką przyszłość implikują.

- Gdyż przede wszystkim na tym polega ich przydatność. Jestem zdania, że w historii najważniejsze jest to, co możemy z niej wykorzystać w praktyce.

Tak więc plan na kilka miesięcy został ustalony i co trzeci dzień grupa słuchaczy spotykała się w sali na wysokim piętrze jednego z budynków ligi nad rzeką Irawadi: kilkunastu dyplomatów, miejscowi studenci i wielu młodych historyków z różnych zakątków świata, którzy przyjechali do Pyinkayaing specjalnie na kurs. Wszyscy siedzieli i słuchali Zhu, mimo iż on zachęcał do wejścia w dyskusję i zmienienia jej w szerszą debatę. Jednak większość zadowalała się słuchaniem myślącego na głos wykładowcy i podpuszczaniem go kolejnymi pytaniami.

- Ależ ja tu jestem również po to, żeby słuchać - stawiał się, lecz gdy prosili, żeby nie przestawał, mówił, że musi być jak Pao Ssu, który mawiał, że jest najlepszym z istniejących słuchaczy, gdyż potrafi słuchać poprzez mówienie.

Dyskutowali więc o teorii czterech cywilizacji, rozsławionej przez alkatalana, a następnie o teorii zderzeniowej autorstwa al-Lanzhou, o postępie wynikającym z konfliktu (teoria trafna pod wieloma względami, jako że ostatnimi czasy na świecie nie brakowało ani konfliktów, ani też nie sposób było narzekać na brak postępu) oraz o podobnych do niej teoriach koniunkcji, według których sprzężenie działań w dziedzinach pozornie niezależnych od siebie dawało w efekcie poważne konsekwencje. Zhu podał na to wiele przykładów, a o jednym mówił z uśmiechem - o wynalezieniu kawy i prasy drukarskiej mniej więcej w tym samym czasie w kalifatowym Iranie,

co wywołało wręcz lawinowy rozwój literatury. Omawiali również teorię wiecznego powrotu, która łącząc w sobie elementy hinduskiej kosmologii i najnowszych osiągnięć fizyki teoretycznej, sugerowała, że wszechświat był tak wielki i tak stary, że wszystko, co było w nim możliwe, już nie tylko się wydarzyło, lecz wydarzyło się nieskończoną ilość razy (ta teoria miała ograniczone możliwości praktycznego zastosowania, poza próbą eksplikacji ludzkiego wrażenia, że to, co się nam przydarza, miało już kiedyś miejsce). Poruszyli również temat teorii cyklicznych, opartych najczęściej na zmienności pór roku i cykliczności procesów zachodzących w organizmach żywych.

Następnie Zhu wspomniał o “historii dharmy" czy “historii birmańskiej", czyli każdej historii, która wierzyła w istnienie postępu w kierunku wyłaniającego się celu lub w realizację konkretnych planów na przyszłość. Ciekawym zagadnieniem była też “historia Bodhisattwów", sugerująca istnienie kultur oświeconych, które jakimś sposobem osiągnęły wyższy stopień rozwoju od pozostałych, aby następnie zawrócić i wspierać ich rozwój - wczesne Chiny, Trawankor, Hodenosaunee, diaspora japońska, Iran - kultury te powszechnie uznaje się za reprezentantów tego wzorca.

- Choć wydaje się, że jest to kwestia indywidualnego bądź kulturowego osądu, który historykom poszukującym globalnego wzorca na nic się nie zda. Cóż nam pomoże nazywanie tego tautologią? Prawdę mówiąc, każda teoria nosi znamiona tautologii. Cała nasza rzeczywistość jest tautologiczna.

Któryś z słuchaczy zadał stare pytanie o “wielkiego człowieka" i o

“ruch masowy" jako dwie zasadnicze siły, odpowiedzialne za zmiany. Zhu z miejsca uznał to za chybiony problem.

- Wszyscy jesteśmy wspaniałymi ludźmi, nieprawdaż?

- Może ty jesteś - mruknął pod nosem mężczyzna, siedzący obok Bao.

- .. .ważne jest to, na ile się sprawdzamy w życiu codziennym, kiedy nawyki już nie wystarczają i należy dokonywać wyboru. Właśnie wtedy,

- na krótką chwilę stajemy się wspaniałymi ludźmi, a wybory jakich dokonujemy w takich chwilach, które zresztą zdarzają się zbyt często, splatają się, tworząc to, co nazywamy historią. W tym sensie wydaje mi się zasadne wspieranie mas, jako że proces, o którym mówimy, może mieć również charakter zbiorowy.

Ponadto sformułowanie “wspaniały człowiek" winno zmuszać nas do zastanowienia się nad kwestią kobiet - czy ta definicja je uwzględnia? Czy też powinniśmy mówić o historii jako o opowieści o kobietach walczących o władzę polityczną, którą utraciły wraz z wprowadzeniem rolnictwa i rozpoczęciem procesu gromadzenia nadmiaru majątku? Czy stopniowy rozkład patriarchatu ma być najobszerniejszym rozdziałem historii? Wraz z, na przykład, opowieścią o niekończącej się walce z chorobami zakaźnymi? A więc o naszej walce z mikro- i makropasożytami, tak? Z wirusami i patriarchami? - Uśmiechnął się, po czym przeszedł do opisu zmagań ludzkości z Czterema Wielkimi Nierównościami, poruszając przy okazji wiele innych koncepcji, wyrosłych na gruncie dorobku naukowego Kang i al-Lanzhou.

Kolejne wykłady poświęcone były opisowi momentów fazowych przemian w historii globalnej, które Zhu uważał za szczególnie ważne: powstanie diaspory japońskiej, niepodległość Hodenosaunee, przejście od handlu lądowego do handlu morskiego, okres samarkandzkiej prosperity i tak dalej. Kilka sesji poświęcił również na omówienie najnowszych trendów rozwijających się wśród historyków i badaczy społecznych, które nazywał “historią animalistyczną", czyli nauką o ludzkości z perspektywy biologii, gdzie na pierwszym planie nie było religii ani filozofii, lecz walka ssaków naczelnych o pożywienie i terytorium.

Dopiero po kilku tygodniach intensywnych dyskusji, Zhu powiedział słuchaczom:

- Teraz już jesteśmy gotowi zająć się tym, co mnie aktualnie interesuje najbardziej, a mianowicie nie treścią historii, lecz jej formą, już na pierwszy rzut oka zauważamy, że to, co nazywamy historią, ma co najmniej dwa znaczenia: pierwsze odnosi się do tego, co wydarzyło się w przeszłości, a czego tak naprawdę nikt z nas poznać nie zdoła, gdyż z biegiem czasu fakty zacierają się. Drugie zaś znaczenie odnosi się do wszystkich opowieści, które relacjonują nam to, co się wydarzyło w przeszłości. Są to oczywiście przeróżne historie, którym tacy ludzie jak Rabindra czy Biały Badacz nadali odpowiednie kategorie. Pierwszą kategorię stanowią sprawozdania naocznych świadków i kroniki wydarzeń, sporządzane ex post. Do tej kategorii zalicza się również dokumenty i protokoły. Wszystko to można nazwać ziarnem historii, które spoczywa w ziemi, lecz jeszcze nie wzeszło i nie zostało

przerobione na mąkę, z której robi się wypieki - to surowe rozpoczęcia, zakończenia i przyczyny opowieści. Dopiero później, jak chleb z mąki pszennej, powstają z nich historie, które stawiają sobie za cel uporządkowanie i ujednolicenie materiałów źródłowych, historie, które nie tylko opisują, lecz przede wszystkim wyjaśniają fakty.

Jeszcze później pojawiają się opracowania, które trawią ten wypieczony chleb historii, usiłując odkryć jego recepturę i działanie i opisać jego związek z rzeczywistością i sposób wykorzystywania faktów przez człowieka. Tak oto powstają filozofie historii, epistemologie i inne. Wiele z tych przetrawiających opracowań wykorzystuje pionierskie metody badawcze Ibrahima al-Lanzhou, nawet jeśli odrzucają one uzyskane przez niego wyniki. Bez wątpienia warto wracać do tekstów al-Lanzhou, aby odczytywać je na nowo. Na przykład, w jednym z dzieł wykazuje, iż istnieją dwa rodzaje argumentów: argumenty wyrażone w sposób bezpośredni oraz te, nieuświadomione, wyrastające z głęboko zakorzenionych uprzedzeń ideologicznych. Te ostatnie można zidentyfikować na podstawie trybu fabularyzacji użytego w celu opowiedzenia danej historii. Schemat fabularyzacji używany przez al-Lanzhou, wywodzi się z typologii narracji stworzonej przez Rabindrę i jest to dość uproszczony schemat, lecz na szczęście, co zauważa sam al-Lanzhou, historycy to dość naiwni pisarze, ograniczający się zazwyczaj do jednego z kilku podstawowych schematów fabularyzacji Rabindry, w odróżnieniu od wielkich powieściopisazy, jak na przykład Cao Xueqina lub Murasakiego, którzy w jednym

dziele potrafią połączyć wiele z nich. Zatem historia Thana Oo będzie tym, co niektórzy nazywają “historią birmańską", lecz w tym przypadku jest to zbyt dosłowny termin, który wolę zastąpić “historią dharmy", będącej rodzajem romansu, opisującego walkę ludzkości o wypracowanie pozytywnej dharmy, o poprawę ogólnej sytuacji bytowej poprzez stopniowy rozwój z pokolenia na pokolenie, poprzez krzewienie sprawiedliwości i zapobieganie niedostatkowi z nadzieją na ostateczne zwycięstwo, czyli na dotarcie na samą górę, aż do Źródła Potoku Kwitnącej Brzoskwini, co będzie równoznaczne z nastaniem ery wiecznego pokoju. Jest to świecka wersja hinduistycznej i buddyjskiej opowieści o podążaniu wznoszącą się, spiralną ścieżka ku nirwanie. Zatem historia birmańska czy opowieści Sambali czy też jakakolwiek inna historia teleologiczna, zakładająca stopniowy postęp, jest historią dharmy.

Przeciwieństwem tej metodologii jest ironiczno-satyryczne podejście, które nazywam historią entropową - termin zaczerpnięty z fizyki, używany przez nihilistów i często wykorzystywany w pewnych legendach i opowieściach o upadku. Ten tryb fabularyzacji zakłada ostateczną porażkę wszelkich starań człowieka lub też zwrócenie się jego działań przeciwko niemu samemu. Występuje tu również szczególna kombinacja rzeczywistości biologicznej człowieka z jego moralną słabością, kombinacja śmierci ze złem, która oznacza, iż jakikolwiek postęp ludzkości jest niemożliwy. Skrajne stanowisko w tej materii prezentuje Pięć Wielkich Pesymizmów czy też nihilizm Shu Shena albo antydharma rywala Buddy, Purana Kassapa. Ludzie ci twierdzą, że rzeczywistość jest

chaosem pozbawionym przyczyn, a świadomość tego rodzi przeświadczenie, iż najlepiej byłoby się nigdy nie narodzić.

Te dwa tryby fabularyzacji prezentują punkty skrajne kontinuum narracji historycznej. Według pierwszego, jesteśmy panami świata, potrafiącymi przezwyciężyć śmierć, podczas gdy z drugiego wynika, iż jesteśmy niewolnikami świata i ze śmiercią nigdy nie wygramy. Zdawałoby się zatem, że są to jedyne możliwe tryby fabularyzacji, jednak pomiędzy tymi dwoma skrajnościami Rabindra umieszcza kolejne dwa, które nazywa komedią i tragedią. W porównaniu do dwóch poprzednich, absolutystycznych trybów, te reprezentują stanowiska mieszane i umiarkowane. Rabindra sugeruje, iż wiążą się one z ideą pojednania. W przypadku komedii następuje pojednanie ludzi czy, mówiąc ogólnie, społeczeństw. Splatanie się rodzin i plemion z klanami - tak najczęściej kończą się komedie i to czyni je komediami. Przykładem niech będzie małżeństwo przedstawiciela jednego klanu z kobietą z innego klanu i nadejście wiosny.

Tragedie zaś prezentują ponure pojednanie. Biały Badacz mówił, iż opowiadają one historię ludzkości, stającej twarzą w twarz z rzeczywistością, zmierzającą się zatem ze śmiercią, rozpadem i klęską. Bohaterowie tragiczni giną, a przy życiu pozostają ci, którzy później opowiedzą ich historię, przyczyniając się tym samym do podniesienia poziomu wiedzy o rzeczywistości i do pogłębienia świadomości, co samo w sobie jest ogromną wartością, mimo iż wiedza ta często miewa gorzki smak. - W tym momencie Zhu Isao przerwał wykład i rozejrzał się po sali, aż natknął się na wzrok Bao i

skinął głową w jego stronę. Chociaż mogłoby się zdawać, że dyskusja dotyczyła tylko rzeczy abstrakcyjnych, zwykłych kształtów jakie można było nadać opowieściom, to jednak Bao poczuł, że w tej chwili serce w nim zamarto.

Zhu kontynuował wykład:

- Jestem zdania, iż jako historycy nie powinniśmy dać się zamknąć w jednym bądź drugim trybie fabularyzacji. Niestety, często tak się dzieje, gdyż jest to najprostsze rozwiązanie, które jednak w żaden sposób nie odzwierciedla tego, w jaki sposób dane wydarzenia przeżywany. Zamiast tego winniśmy snuć historię, której wzorzec będzie maksymalnie komplementarny z rzeczywistością. Niechaj przypomina on da-oistyczny symbol jin i jang, w którym ogniska tragedii i komedii będą znaczyć większe pola dharmy oraz nihilizmu. Ten prastary symbol to najdoskonalszy obraz wszystkich naszych opowieści razem wziętych, w którym ciemny punkt ludzkich komedii szpeci jasność dharmy, a jaskrawy płomień gorzkiej wiedzy wylania się z czarnej otchłani nicości.

Historię ironiczną możemy z miejsca odrzucić. To oczywiste, że jesteśmy źli, że rzeczy nie dzieją się po naszej myśli, lecz po co tracić czas na rozmyślanie o tym? Ironia to nic innego jak śmierć przechadzająca się wśród nas, jakież może nieść wyzwanie, skoro nie ma nic wspólnego z życiem?

Obawiam się jednak, że musimy również zrezygnować z najczystszej formy historii dharmy, z wykraczania poza świat, poza życie, z osiągania idealnego stanu istnienia. Takie rzeczy mogą owszem dziać się w bardo, jeżeli istnieje coś takiego jak bardo, lecz w

naszym świecie wszystko jest ze sobą przemieszane. Jesteśmy zwierzętami, a nasz los to śmierć. Możemy więc jedynie stwierdzić, że obowiązkiem naszym jest tworzenie historii na podobieństwo dharmy, za sprawą zbiorowego aktu woli.

Co zatem zrobić z pozostałymi dwoma trybami fabularyzacji, tragedią i komedią? - Zhu zrobił pauzę i rozłożył ręce w geście zakłopotania. - Z pewnością nie brakuje nam ani jednego, ani drugiego. Być może budowanie właściwej historii polega na zapisaniu wszystkich przestrzeni symbolu jin-jang i stwierdzeniu, że dla jednostki, jest ona ostatecznie tragedią, a dla społeczeństwa komedią.

Zhu Isao miał osobiście zamiłowanie do komedii. Był osobą bardzo towarzyską i zapraszał Bao i innych uczestników wykładów, łącznie z ministrem zdrowia środowiska naturalnego ligi do pokojów oddanych do jego dyspozycji na czas pobytu w Pyinkayaing. W trakcie tych kameralnych spotkań Zhu bawił wszystkich swoim szczerym śmiechem i ciekawością świata. Bawiły go nawet jego własne badania. Z Pekinu kazał przysłać sobie całe mnóstwo książek, tak więc pokoje w jego tymczasowym mieszkaniu wyglądały teraz jak prawdziwe składy biblioteczne. Z racji rosnącego przekonania, iż historia winna być opowieścią wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek żyli na Ziemi, Zhu studiował teraz antologię biografii, którą traktował jak odrębny gatunek literacki i posiadał ze sobą wiele dzieł, będących przykładem tejże formy. To zamiłowanie wyjaśniało poniekąd olbrzymie liczbę woluminów poukładanych w wysokie, niestabilne stosy w całym mieszkaniu.

Zhu wziął ogromny tom, tak ciężki, że ledwo mógł go podnieść jedną ręką:

- To jest tom pierwszy - powiedział z uśmiechem. - Niestety, nigdy nie odnalazłem reszty serii. Ta książka jest jak przedpokój w całej nienapisanej bibliotece.

Jak sam mówił, kładąc pieszczotliwie dłoń na jednym z wyższych stosów książek, pierwsze kolekcje żywotów na papierze pojawiły się w literaturze religijnej: żywotach chrześcijańskich świętych, muzułmańskich męczenników oraz w tekstach buddyjskich, opisujących życie z perspektywy długich sekwencji kolejnych inkarnacji. Były to utwory o wysoce spekulatywnym charakterze, co najwyraźniej bardzo podobało się Zhu:

- To historia dharmy w najczystszej postaci, rodzaj protopolityki, która może być niezwykle zabawna. Weźmy na przykład Dhu Hsiena, który dopasowuje daty śmierci i urodzin swoich bohaterów, przez co udaje mu się odtworzyć całe ciągi inkarnacji wybitnych postaci historycznych, twierdząc, że w każdym przypadku chodzi o jedną i tę samą duszę, o czym najczęściej świadczy zawód danej postaci. Ze względu na oczywiste trudności z dopasowaniem wszystkich dat, zmuszony był wprowadzić do sekwencji różne wstawki, a następnie podeprzeć całość teorią, według której po okresie wytężonej pracy następował okres odpoczynku. W ten sposób uzasadnił nagłe zmiany, pojawiające się w żywotach niektórych reinkarnujących bohaterów, którzy z generałów i geniuszy przechodzili w szewców czy podrzędnych portrecistów. Mimo to wszystkie daty się zgadzały! - Zhu uśmiechnął się szeroko.

Położył dłoń na innym stosie, gdzie znajdowały się kolejne dzieła z badanego przezeń gatunku: *Czterdzieści sześć transmigracji* Ganghadary, tybetański tekst *Dwanaście objawień Padmasambhavy guru,* który zaszczepił buddyzm w Tybecie. Była tam też *Biografia Gyatso Rimpocze* - żywoty od pierwszego do dziewiętnastego, która opisywała życie Da-lai Lamy aż po dzień dzisiejszy. Bao kiedyś spotkał tego mężczyznę, lecz nie zdawał sobie wówczas sprawy, że jego pełna biografia mogłaby zajmować tyle woluminów.

Zhu miał też ze sobą kopie *Żywotów sławnych mężów* Plutarcha oraz *Biografie przykładnych kobiet* Liu Xiang z mniej więcej tego samego okresu. Od razu przyznał, że książki te nie były aż tak ciekawe, jak kroniki reinkarnacji, które w niektórych przypadkach poświęcały bodaj tyle samo miejsca opisowi wędrówki bohaterów przez bardo i pięć lok, co i ich historii za życia w ludzkiej postaci. Bardzo podobała mu się *Autobiografia Żyda Wiecznego Tułacza, Testamenty jati z Trivicum* oraz przepiękny tom *Dwustu pięćdziesięciu trzech podróżników* i ordynarnie wyglądająca kolekcja najprawdopodobniej o zabarwieniu pornograficznym, zatytułowana *Tantryczny złodziej na przestrzeni pięciu wieków.* Zhu opowiadał swoim gościom o tych książkach z wielkim entuzjazmem. Według niego, właśnie na ich kartach ukryty był klucz do historii człowieka, zakładając, że coś takiego w ogóle istniało: historia będąca zbiorem żywotów.

- Jakby na to nie spojrzeć, wszystkie najważniejsze wydarzenia historyczne zdarzyły się w ludzkich umysłach. Moment zmiany,

klinamen, jak go nazywali Grecy.

Moment ów stał się główną wytyczną, a może i obsesją samarkandzkiego antologisty Starego Czerwonego Tuszu, który w swoim kompendium reinkarnacji zgromadził opisy wielu żywotów, kierując się przy wyborze swoich bohaterów czymś w rodzaju klinamenu, tak że każdy ustęp jego kolekcji zawiera opis momentu, w którym reinkarnujący bohaterowie, przybierający imiona, zaczynające się zawsze tą samą literą, znajdują się na rozdrożu życia, po czym zmieniają kurs na inny, niż można by się tego po nich spodziewać.

- Podoba mi się ten mechanizm nadawania imion - wtrącił Bao, kartkując jeden z tomów omawianego zbioru.

- No cóż, w jednej z glos Stary Czerwony Tusz zwraca uwagę, że jest to tylko środek mnemotechniczny, zastosowany dla wygody czytelnika, podczas gdy w rzeczywistości dusze powracają na świat z całkowicie odmienioną fizjonomią, brak jest jakichkolwiek śladów powinowactwa, znamion czy podobieństwa imion. Autor nie chciałby, aby jego metoda przywodziła na myśl stare klechdy domowe.

Minister zdrowia środowiska naturalnego zapytał o stojący nie-' opodal stos wyjątkowo cienkich woluminów, na co Zhu uśmiechnął się radośnie i wyjaśnił, że aby nie ograniczać się wyłącznie do tych niekończących się kompendiów wiedzy o reinkarnacji, wyrobił w sobie nawyk kupowania wszystkich książek, które ze względu na swoją tematykę powinny zachowywać jak najkrótszą formę. Nierzadko były to tak skromne dzieła, że ich tytuły z ledwością

mieściły się na ich grzbietach. I tak były tam *Sekrety udanego małżeństwa, Kilka dobrych powodów, aby pokładać nadzieję w przyszłości* lub *Dlaczego nie należy bać się duchów.*

- Szczerze mówiąc, nawet jeszcze ich nie przeczytałem. Dla mnie istnieją jako same tytuły, które w zasadzie mówią wszystko. Równie dobrze mogłyby mieć w środku puste strony.

Nieco później Bao usiadł na balkonie obok Zhu i podziwiał pulsujące w dole miasto. Popijali razem zieloną herbatę i rozmawiali na różne tematy. Kiedy zaczęło się ściemniać, a Zhu coraz bardziej zatapiał się we własnych myślach, Bao zapytał go:

- Powiedz mi, czy często myślisz o Kungu Jianguo? Czy w ogóle jeszcze wspominasz tamte czasy?

- Rzadko - przyznał Zhu, wpatrując się prosto w jego oczy - a ty? Bao pokręcił głową.

- Nie wiem czemu, bo przecież nie są to aż tak bolesne wspomnienia. Mam jednak wrażenie, że było to tak dawno temu.

- To prawda, bardzo dawno.

- Zauważyłem, że nadal utykasz.

- Niestety, ale cóż mogę poradzić. Chodzę przez to trochę wolniej, ale grunt, że żyję. Kula została w środku, przez co teraz mam problemy z wykrywaczami metalu przy wejściach do stref strzeżonych - roześmiał się. - Ale rzeczywiście, to było tak dawno temu, tyle żywotów temu, że aż mi się wszystko myli. A tobie nie? - Uśmiechnął się.

Jedna z ostatnich sesji naukowych Zhu Isao była dyskusją nad celem uprawiania historii jako nauki oraz tym, w jaki sposób może

być pomocna w obecnej, niełatwej sytuacji.

Zhu był bardzo ostrożny w tych kwestiach.

- Prawda jest taka, że historia może nam nic nie dać - powiedział. - Nawet jeśli zrozumiemy wszystko, co się wydarzyło w przeszłości, może się okazać, iż w niczym nam to nie pomoże, gdyż nadal jesteśmy uwikłani w teraźniejszość. Można by powiedzieć, że przeszłość zapośredniczyła teraźniejszość, zamknęła ją w swoich prawach, instytucjach i zwyczajach. Z drugiej strony, dobrze jest wiedzieć jak najwięcej, choćby i po to, aby móc obmyślić jak najlepszy plan na przyszłość. Pamiętamy omawiane wcześniej zjawiska rezydualności i emergencji? Każdy okres historyczny posiada elementy odziedziczone z dawnych kultur oraz elementy emergentne, czyli nowe jakości, które objawiają się dopiero z czasem - mając ich świadomość, dysponujemy potężnym narzędziem badawczym i jedynie historia jako nauka umożliwia nam dokonanie tego rozróżnienia, jeżeli w ogóle jest ono możliwe. Możemy zatem spojrzeć na świat, w którym żyjemy, i stwierdzić: oto prawa rezydualne, które przetrwały do dnia dzisiejszego od czasów Czterech Wielkich Nierówności i nadal nas zniewalają, a zatem należy się ich pozbyć. Z drugiej strony, możemy przyjrzeć się mniej znanym elementom naszych czasów, na przykład wspólnej własności ziemi w Chinach, i stwierdzić, że najprawdopodobniej jest to cecha emergentna, która dopiero w przyszłości zyska na wyrazistości, że dziś wydaje się pomocna i że w takim razie należy ją pielęgnować. Oczywiście istnieją też pozytywne elementy rezydualne, które od zawsze były przydatne człowiekowi i które

należy zachowywać. Nie chodzi tu zatem o to, że nowe jest dobre, a stare złe. Należy umieć dokonywać rozróżnień. Im więcej rozumiemy, tym dokładniejsze możemy stworzyć kategorie.

Coraz bardziej skłonny jestem twierdzić, iż zagadnienie późnych cech emergentnych, poruszane przez fizyków w ich dyskusjach o układach złożonych i o wrażliwości kaskadowej, jest niezwykle ważną kwestią dla współczesnych historyków. Może późną cechą emergentna jest sprawiedliwość. Może potrafimy zidentyfikować moment, w którym rozpoczęło się jej wyłanianie, a może wyłoniła się już dawno temu, wśród ludów pierwotnych i dopiero teraz zyskuje na popularności, dzięki możliwościom materialnym okresu postkryzysowego? Ciężko powiedzieć - na jego twarzy znów pojawił się uśmiech. - Na tym chciałbym zakończyć nasze spotkanie.

Jego ostatni wykład nosił tytuł *Co jeszcze czeka na wyjaśnienie* i składał się z pytań, na które Zhu nie znalazł odpowiedzi mimo długich lat wytężonej pracy naukowej. Do niewielu pytań dołączał szerszy komentarz, toteż Bao musiał szybko notować, aby spisać wszystkie padające zagadnienia:

Co jeszcze czeka na wyjaśnienie

Dlaczego od najdawniejszych czasów panuje niesprawiedliwy podział dóbr? Co powoduje nadejście i cofanie się epok lodowcowych? Czy Japonia uzyskałaby niepodległość, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności w postaci Długiej Wojny, trzęsienia ziemi i pożaru na Edo? Gdzie się podziało całe złoto Rzymu? Dlaczego władza demoralizuje? Czy możliwe było uchronienie rdzennych ludów Nowego Świata przed wyniszczającymi

chorobami przywleczonymi ze Starego Świata? Kiedy po raz pierwszy ludzie przybyli do Nowego Świata? Dlaczego cywilizacje Yingzhou i kraju Inków znajdowały się na tak różnych etapach rozwoju? Czy Trawankor zainicjowałby nowożytną erę i zdominował Stary Świat, gdyby nie było Kerali? Czy istnieje życie pozagrobowe i wędrówka dusz? Czy ekspedycja polarna z pięćdziesiątego drugiego roku Długiej Wojny dotarła na biegun południowy? Co sprawia, że ludzie żyjący w bezpieczeństwie i dostatku pracują na rzecz zniewolenia biednych i głodujących? Czy Sarnowie przeżyliby, gdyby al-Alemand podbiło Skandistan? Czy świat powojenny cieszyłby się stabilniejszym pokojem, gdyby na konferencji szanghajskiej nie wyznaczono tak wysokich reparacji? Ilu ludzi może wykarmić Ziemia? W jaki sposób Hodenosaunee wypracowali swój sposób sprawowania rządów? Jaka choroba czy też kombinacja chorób wytępiła mieszkańców Firanii? Czy technologia napędza historię? Czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby rozwój nauki w Samarkandzie nie został zahamowany przez zarazę? Czy Fenicjanie przekroczyli Atlantyk i dotarli do Nowego Świata? Czy jakiekolwiek ssaki większe od lisów przeżyją kolejne stulecie? Czy Sfinks jest o tysiąc lat starszy od piramid? Czy istnieją bogowie? W jaki sposób możemy przywrócić do życia wymarłe gatunki zwierząt? Jak prowadzić przyzwoite życie? W jaki sposób przekazać naszym dzieciom i kolejnym pokoleniom świat w jak najlepszej kondycji?

Po ostatnim wykładzie odbyło się pożegnalne przyjęcie, po którym Zhu Isao wrócił do Pekinu i Bao już nigdy więcej go nie

spotkał.

Po wyjeździe Zhu naukowcy jeszcze wiele lat pracowali nad sformułowaniem odpowiedzi na niektóre z jego ostatnich pytań. I jak w przypadku geologów przydatne okazało się stworzenie ram rozumowania, bazujących na zjawisku wędrowania płyt skorupy ziemskiej, tak i biurokratom, technokratom, naukowcom i dyplomatom Ligi Wszystkich Narodów pomogły teoretyczne rozważania Zhu Isao. Ponieważ dobrze jest mieć plan, jak powtarzał sam Isao.

Bao znów przemierzał świat. Spotykał się i rozmawiał z mnóstwem ludzi, starając się ułożyć elementy międzynarodowej układanki na ich odpowiednie miejsca i zacieśniać wątki i osnowy porozumień i traktatów, dzięki którym narody na całej planecie mogły żyć ze sobą w zgodzie. Jego działania obejmowały wiele dziedzin. Pracował nad reformą praw własności ziemskiej, usprawnieniem gospodarki leśnej, ochroną zwierząt i terenów wodonośnych, zabiegał o wsparcie dla instytucji panczajatu i o likwidację skumulowanych majątków, poprzez rozbijanie skostniałych lobby, będących reliktami Długiej Wojny i wielu wcześniejszych stuleci. Wszystko toczyło się niezmiernie wolno, a postęp dokonywał się małymi krokami. Bao zauważył jednak, że usprawnienie jednego wymiaru sytuacji na świecie często pomaga w rozwiązaniu innych problemów. I tak na przykład w Chinach czy w państwach muzułmańskich lokalne rządy panczajatu otworzyły drogę do władzy wielu ludziom, szczególnie gdy przyjęto prawo trawankorskie, zgodnie z którym co najmniej dwoje z pięciu

członków panczajatu winno być kobietami. To z kolei pomogło załagodzić wiele sporów odnośnie ziem. Prawda była taka, że większość światowych problemów wynikało z faktu, iż zbyt wielu ludzi rywalizowało o dostęp do coraz bardziej ubogich zasobów naturalnych, wykorzystując do tego celu prymitywne technologie, a kolejnym pozytywnym efektem wzrostu znaczenia władzy panczajatów i kobiet był dramatyczny spadek wskaźnika urodzeń. Minimalny wskaźnik gwarantujący utrzymanie stałego wieku danej populacji wynosił 2,1 dziecka na kobietę, podczas gdy przed Długą Wojną osiągnął więcej niż 5, a w najbiedniejszych krajach nawet wartość 7 czy 8. Teraz, w każdym kraju, w którym kobiety korzystały z szerokiego spektrum praw, rozpowszechnianych przez Ligę Wszystkich Narodów, wskaźnik ten spadł poniżej 3, a jeszcze częściej poniżej 2, co w połączeniu z rozwojem rolnictwa i nowych technologii doskonale wróżyło na przyszłość. Następowało wyraźne spajanie wątku i osnowy międzynarodowych tkanin, była to wyjątkowa manifestacja późnych cech emergentnych, która napawała nadzieją jak jeszcze nigdy wcześniej. I mimo iż wszystko przebiegało strasznie wolno, wśród mieszkańców Ziemi zapanowało przeświadczenie, iż są w stanie utkać swoją własną historię dharmy Może nie wszyscy jeszcze wiedzieli jak, ale bez wątpienia część prac już została wykonana.

Kiedy kilka lat później Bao przeczytał w gazecie nekrolog Zhu Isao, z jego gardła wydarł się stłumiony krzyk. Upuścił bezwiednie prasę i resztę tamtego dnia spędził na balkonie, czując wewnątrz niewyrażalną pustkę. W gruncie rzeczy, nie było nad czym płakać,

cała sytuacja skłaniała raczej do radości: wielki mistrz żył sto lat, przyczynił się do odmienienia oblicza Chin i całego świata. Jak się okazało, pod koniec życia staruszek bynajmniej nie odmawiał sobie rozrywek, podróżował po całym świecie i słuchał poprzez mówienie. Wszędzie, gdzie się pojawił, sprawiał wrażenie człowieka, który znał dokładnie swoje miejsce w świecie.

Bao nie miał swojego miejsca. Podziwiając z góry przeogromne miasto, patrząc na głębokie wąwozy drapaczy chmur, zdawał sobie sprawę, że żył w tym mieście już ponad dziesięć lat i nadal nic o nim nie wiedział. Ciągle wracał bądź wyjeżdżał i tylko patrzył na wszystko ze swojego balkonu, przyjmował pożywienie z tego samego otworu w ścianie, rozmawiał z kolegami z ligi, spędzał większość ranków i wieczorów na czytaniu. Miał już prawie sześćdziesiąt lat, lecz nadal nie wiedział, dokąd tak naprawdę zmierzał i jak powinien żyć. Wielkie miasto było jak maszyna lub jak okręt uwięziony na mieliźnie. Z jego strony Bao nie spodziewał się pomocy. Każdego dnia ciężko pracował, poszerzając naukowy dorobek Kunga i Isao i próbując zrozumieć historię i pracować nad nią w chwili, kiedy się zmieniała. Coraz bardziej wierzył, że gdy tylko uda mu się ją wyjaśnić, wówczas przestanie go tak bardzo dręczyć. Tak się jednak nie działo. Miał wrażenie, że wszyscy ludzie, którzy kiedykolwiek coś dla niego znaczyli, już dawno nie żyją.

Kiedy wszedł z powrotem do mieszkania na ekranie pulpitu czekała na niego wiadomość od Anzi, która prawie w ogóle do niego nie pisała. Okazało się, że urodziła córkę i zastanawiała się,

czy Bao zechciałby odwiedzić ją i swoją wnuczkę. Bao wystukał na klawiaturze odpowiedź i spakował walizkę.

Anzi mieszkała wraz ze swoim mężem, Dengiem, nieopodal Shark Point, w zatłoczonej i pagórkowatej dzielnicy przy zatoce w Fangzhang. Ich córeczka miała na imię Fengyun, Bao uwielbiał brać ją na ręce i zabierać w wózku na spacery po parku w południowej części miasta, wychodzącej na Złotą Bramę. W twarzy dziecka było coś, co przypominało mu Pan Xichun - ta charakterystyczna linia policzków czy też to uparte spojrzenie... Tak, to oczywiste, że przekazujemy swym potomkom takie cechy. Przyglądał się jej, gdy spała, kiedy mgły przelewały się ponad nowym mostem, i wsłuchiwał się w słowa mistrza feng shui, kierowane do niewielkiej grupy uczniów, skupionych u jego stóp.

- Jak widzimy, jest to jedna z najpiękniejszych lokalizacji miejskich na całym świecie...

Było to według Bao prawdą. Nawet w Pyinkayaing nie było takich widoków. Piękno birmańskiej stolicy ograniczało się do zaskakujących form architektonicznych, bez których cała przestrzeń wyglądałaby jak delta każdej innej rzeki, w odróżnieniu od tego cudownego miejsca, które tak ukochał w swym poprzednim życiu.

- ...ależ skąd! Tylko jakiś fanatyczny geomanta ulokowałby miasto po drugiej stronie cieśniny. Oprócz czysto praktycznych względów, związanych z rozkładem ulic, miejsce to posiada swoje naturalne ki, jego smocze arterie są za bardzo odsłonięte na działanie mgieł i wiatru, toteż dobrze, aby był tam park.

Rzeczywiście, na przeciwległym półwyspie znajdował się

przepiękny park pełen zieleni i łagodnie falujących wzgórz, wyrastających sponad wody, oświetlonych promieniami słońca, które przebijały spoza chmur. Był to tak intensywny i wspaniały widok, że aż Bao wyjął dziecko z wózka, uniósł do góry i pokazał mu wszystkie cztery strony świata. W jednej chwili obraz zaszedł mgłą, jakby Bao również stał się dzieckiem. Kształty zlały się ze sobą, a pierzaste masy lśniących barw dryfowały w powietrzu, jasne i błyszczące, lecz odarte ze znaczenia, białe i błękitne w górze, żółte u dołu - czuł, że sam spogląda poprzez oczy dziecka, dziecka które w tym samym momencie rozpłakało się. Wsadził je z powrotem do wózka i zabrał do domu, gdzie dostało mu się od Anzi za to, że pozwolił Fengyun zmarznąć.

- A do tego jeszcze ma mokro! Trzeba zmienić jej pieluchę!

- Wiem, zajmę się tym.

- Nie trzeba. Sama to zrobię. Ty nie umiesz.

- Umiem lepiej, niż ci się wydaje. Swego czasu sam zmieniałem ci pieluchy.

Syknęła z dezaprobatą, jak gdyby mówiąc to, naruszył jej prywatność. Wziął ze stołu książkę i zdenerwowany wyszedł na spacer. Coś między nimi nadal było nie tak.

Dźwięki wielkiego miasta zlewały się w basowy szum, drapacze chmur wyrastające z zatokowych wysp wyglądały jak wysokie góry południowych Chin, a na stokach góry Tamalpi roiło się od masywnych budowli, jednak większość miasta leżała skupiona ciasno wokół wzgórz na stałym lądzie, gros tamtejszych budynków było w ludzkiej skali, dwu lub trzypiętrowe domy z dachami w

starym stylu, o wywiniętych do góry rogach dachów, niczym w mieście pagód. Kiedyś tak bardzo kochał to miasto, miasto, w którym spędził lata swojego małżeństwa.

Teraz czuł się tu jak preta, jak pierwszy lepszy głodny duch. Poprzez wzgórza doszedł nad ocean i po chwili znalazł się w dzielnicy, w której kiedyś mieszkał z Pan. Przemierzał kolejne ulice, nie myśląc, dokąd tak naprawdę się kierował, i oto stanął tuż przed swoim starym domem.

Był to zwykły blok mieszkalny, pomalowany jasnożółtą farbą. Mieszkali na piętrze, tam, gdzie najbardziej wiato, dokładnie tak jak teraz. Wpatrywał się uporczywie w fasadę bloku, lecz nie czuł nic. Nawet skupił się na swoim wnętrzu i próbował coś poczuć - nic z tego. Jedyne, co czuł, to zdziwienie, że właściwie nic nie czuje - mało zadowalający wniosek, biorąc pod uwagę taką bliską konfrontację ze swą własną przeszłością. Taka jednak była rzeczywistość. Każde z ich dzieci miało osobną sypialnię, a on z Pan spali w salonie na rozkładanym futonie. Tuż przy ich stopach stal niewielki piec zajmujący większą część aneksu kuchennego. Cale to mieszkanie było zwykłą klitką, mieszkali jednak tam we czworo: mąż, żona, syn i córka, i przez chwilę wydawało się, że tak już będzie zawsze - zamknięci w ciasnym mieszkaniu w Fangzhang, spędzający każdy dzień i każdy tydzień w ten sam sposób. Rutyna, która miała wiecznie trwać. Stąd też brała się potęga bezmyślności, potęga ludzkiej niepamięci, dzięki której upływający czas nie pozostawiał w nas po sobie śladu.

Ruszył dalej, na południe, w stronę bramy. Szedł ruchliwą prome-

nadą ponad brzegiem oceanu, gdzie co rusz z piskiem mijały go tramwaje. Kiedy doszedł do parku wychodzącego na cieśninę, zorientował się, że wrócił tam, gdzie przed kilkoma godzinami byt ze swoją wnuczką. Rozejrzał się dokoła - nic się przez ten czas nie zmieniło, kształty i znaczenia pozostały takie same, żadnych dryfujących barw, żadnych żółci na powierzchni oceanu. To poprzednie doświadczenie tego miejsca było bardzo dziwne, wstrząsnął nim dreszcz na samą myśl o nim.

Usiadł na murku nad zatoką. Z kieszeni płaszcza wyjął książkę, tomik wierszy przełożonych z sanskrytu. Otworzył go na chybił trafił i zaczął czytać: “Ten czterowiersz autorstwa Kalidasa, zatytułowany *Sakuntala,* jest przez wielu badaczy sanskrytu uważny za najpiękniejszy wiersz w tym języku":

ramyani viksya madhurans ca nisamya sabdan paryutsuki bhavati yat sukhito pi jantuh tac cetasa smarati nunam abodhapurvam bhavasthirani jananantarasauhrdani

Nawet szczęśliwiec czasem coś spostrzeże Lub w jego uchu zabrzmi dźwięk dotkliwy

Wnet jego serce przepełnia się tęsknotą Której smaku dotąd nie znał

I w pamięci obraz staje

Miejsc odległych, ukochanych ludzi

Których spotkał w swym poprzednim życiu Ich ślad w nim

pozostał i czeka na zbadanie

Spojrzał w niebo, rozejrzał się dokoła. Znajdował się w niesamowitym miejscu, tuż przed bramą, otwierającą się na ocean. Może powinienem tu zostać. Może ten dzień jest ważną wskazówką. Może to jest właśnie mój dom. Bez względu na to, czy jestem zgłodniałym duchem, czy nie. Może każdy z nas w końcu stanie się zgłodniałym duchem, bez względu na to, jakie prowadził życie - więc może to jest właśnie mój dom, pomyślał.

Wstał i ruszył z powrotem do domu córki. Tam na pulpicie czekał na niego list od znajomego, który mieszkał w gospodarstwie uczelni Fangzhang, leżącym sto li w głąb lądu, w dużej dolinie centralnej. Był to jego kolega jeszcze z czasów pekińskich, który dowiedziawszy się, że Bao jest z wizytą w okolicy, zaprosił go na swoją uczelnię na serię wykładów z chińskiej rewolucji, ze stosunków międzynarodowych, działań ligi, czy z czegokolwiek, co uznałby za wskazane, jako że dla tamtejszych studentów Bao sam w sobie był chodzącą historią - nie tylko zresztą z racji znajomości z Kungiem.

- Chodzącą historią, a może żyjącą skamieliną - parsknął - jak ta ryba latimeria, która ponoć wymarła siedemdziesiąt milionów lat temu, a niedawno złapano ją w sieci u wybrzeży Madagaskaru.

Do znajomego wysłał wiadomość, potwierdzającą przyjazd, a do Pyinkayaing prośbę o przedłużenie urlopu.

4

Czerwone jajo

Uczelniane gospodarstwo rolne, które na jakiś czas również zamieniło się w ośrodek nauki, mieściło się na zachodnim krańcu miasta Putatoi, na zachód od Północnej Rzeki Lung, przy strumieniu Puta, który wypływał z nabrzeżnego pasma wzgórz w postaci wartkiego nurtu, oddzielonego od doliny niewysokim, aluwialnym nasypem, porośniętym z obu stron szpalerem dębów. Resztę doliny przeznaczono pod uprawy ryżu, nawadniane przez dwie większe rzeki, wypływające z sąsiednich gór i rozgałęziające się na dole w skomplikowany system irygacyjny. Płaskie dno doliny podzielone było w szachownicę kaskadowych tarasów, zalanych wodą, przy czym każdy z kwadratów leżał o pięść wyżej od pozostałych. Pomiędzy nimi meandrowały rowy irygacyjne - główne arterie systemu zapobiegającego erozji gruntu, przez co krajobraz przypominał nieco Annam albo

Kampucheę, albo inne tropikalne rejony Azji, z tą jedną różnicą, iż tam, gdzie grunt nie był sztucznie nawadniany, panowała zaskakująca susza. Po zachodniej stronie ciągnęły się trawiaste i spalone słońcem wzgórza, a za nimi kolejne nadmorskie pasma górskie, oddzielające zatokę od doliny centralnej, daleko na wschodzie zaś bieliły się ośnieżone szczyty Złotych Gór - niczym odległe Himalaje.

Putatoi leżało w niewielkim skupisku drzew pośród tych rozległych połaci zieleni i żółci. Była to wioska w japońskim stylu. Nad przecinającym ją strumieniem stały stłoczone domy i sklepy, a

nieco dalej na północ, wokół centrum, niewielkie skupiska wiejskich chat. Po widokach Pyinkayaing wszystko tutaj wydawało się małe i proste, senne, zielone i nudne, Lecz Bao właśnie to się podobało.

Studenci tutejszej uczelni pochodzili głównie z gospodarstw w dolinie i kształcili się na wykwalifikowanych hodowców ryżu i zarządców sadów. Pytania, jakie padały podczas zajęć z historii Chin, które prowadził z nimi Bao, zdradzały ich zaskakującą niewiedzę. Lecz przecież byli to młodzi ludzie, pełni życia i radości, którzy nie przejmowali się wydarzeniami powojennymi ani rolą, jaką odegrał w nich Bao. I to również mu się podobało.

Prowadził też seminarium dla niewielkiej grupy starszych studentów, specjalizujących się wyłącznie w historii, i ci wykazywali większe zainteresowanie jego osobą. Oczywiście pytali o Zhu Isao, o Kunga Jianguo i o chińską rewolucję. Bao udzielał im odpowiedzi, jakby zagadnienia te były częścią jego wieloletnich i wnikliwych badań, popartych kilkoma publikacjami w fachowej prasie, nie zarzucał ich swoimi osobistymi wspomnieniami i częściej odczuwał raczej ich brak. Kiedy mówił, przyglądali mu się i słuchali go z uwagą.

- Musicie zrozumieć jedną rzecz - mówił do nich - że Długiej Wojny nikt nie wygrał, że wszyscy przegrali, a my do dzisiaj się z niej podnosimy. Dobrze zapamiętajcie to, czego was nauczono: że wojna trwała sześćdziesiąt siedem lat, to jest dwie trzecie wieku, i pochłonęła miliard ludzkich istnień. Spróbujcie pomyśleć o tym w ten sposób: ostatnio rozmawiałem ze znajomym biologiem, pracującym nad zagadnieniami populacyjnymi, który postanowił

oszacować liczbę wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek żyli na Ziemi - ktoś na sali roześmiał się - co, nie słyszeliście o tym projekcie? Ostatecznie udało się ustalić, że od pojawienia się gatunku ludzkiego na Ziemi żyło już około czterdziestu miliardów ludzi, że w dotychczasowej historii świata wzięło udział czterdzieści miliardów bohaterów, z których co czterdziesty zginął w czasie Długiej Wojny - przyznacie, że to ogromny odsetek.

Tak więc świat popadł w nieład. Zbyt długo żyliśmy w cieniu wojny, aby pamiętać, jak wygląda rzeczywistość w pełnym słońcu. Nauka rozwija się coraz szybciej, lecz postęp ten niejednokrotnie dokonuje się naszym kosztem. Środowisko naturalne cierpi z racji przeludnienia i agresywnej eksploatacji złóż i jeśli znów doszłoby do międzynarodowego konfliktu, wszystko, co wypracowaliśmy, zostałoby zaprzepaszczone. Zapewne nie tylko rządy waszych państw, lecz również i wy zdajecie sobie sprawę, że nauka jest w stanie wyprodukować bomby o niespotykanej dotąd sile rażenia. Mówią, że wystarczyłaby jedna taka bomba na miasto... a więc i ta smętna groźba wisi nad nami. Jeżeli któreś z państw spróbuje użyć takiej broni, reszta zrobi to samo.

Świadomość tych niebezpieczeństw była podstawą zawiązania Ligi Wszystkich Narodów, która postawiła sobie za cel stworzenie globalnego systemu do rozwiązywania problemów natury globalnej. Prace organizacyjne rozpoczęły się wkrótce po ustanowieniu przez Ligę roku 1, wprowadzono standaryzację miar i wykonano inne zabiegi służące tak zwanemu unaukowieniu świata, czyli przeprowadzeniu gruntownej modernizacji i realizacji programu

Hodenosaunee - proces ten ma wiele nazw, a jego efektem jest charakter naszych czasów.

- W islamie coś takiego nigdy by nie przeszło - zauważył jeden ze studentów.

- To prawda, muzułmanie zawsze mieli problem z pogodzeniem wiary i nauki. Widzimy jednak, jak głębokie zmiany zaszły w Nsarze i na większości terenów Firanii, Firanii zjednoczonej, której narody zgodziły się na istnienie wielu różnych modeli bycia dobrym muzułmaninem. Jeżeli twój islam jest formą sufizmu, będącego w istocie buddyzmem, ukrytym pod inną nazwą, a ty sam mówisz, że to podejście jest dobre, wówczas nie potępisz buddystów żyjących w sąsiedniej dolinie. Tak już jest na całym świecie, wszystkie wątki powoli splatają się w jeden wzór, rozumiecie - Liga musiała powstać, inaczej byśmy nie przetrwali.

Kiedy kurs dobiegał końca, grono historyków zaproponowało mu objęcie stałej posady na uczelni, na co Bao zgodził się po długim namyśle. Lubit tych ludzi, cenił ich pracę. Większość wysiłków uczelni nastawiona była na produkcję żywności oraz na jak najsprawniejsze dopasowanie człowieka do systemów, panujących w przyrodzie. Historia stanowiła tylko niewielką część całości, lecz tutejsi jej nauczyciele byli bardzo przyjaźnie nastawieni do Bao, szczególnie jedna wykładowczyni językoznawstwa, kobieta mniej więcej w jego wieku, która od początku wizyty była mu najbliższa. Zazwyczaj wspólnie jadali lunch, a z czasem te ich południowe spotkania przy kawie stały się zwyczajem. Miata na imię Gao Qingnian.

Bao przeprowadził się do chaty na niewielkim osiedlu, na którym mieszkała Gao, i wynajął świeżo oddany do użytku budynek, sąsiadujący z gospodarstwem Gao. Chaty zbudowane były w japońskim stylu, miały cienkie ściany i duże okna, i stłoczone były wokół wspólnego ogrodu. była to miła i zaciszna okolica.

Nad ranem Bao podlewał i pielęgnował swój ogródek warzywny, który urządził sobie w rogu centralnego ogrodu i przez prześwit między chatami spoglądał na wijący się po dnie doliny szpaler dębów i zielone tarasy ryżowe ponad nimi. Na horyzoncie, jakieś sto li na południe od wielkiej delty, stał samotny szczyt góry Miwok, na północy i wschodzie ryżowe pola układały się w kaskadowe płaty zieleni, na zachodzie rysowało się nadmorskie pasmo górskie, a Złote Góry leżały w oddali na wschodzie. Bao wsiadał na stary rower i jechał na uczelnię, gdzie przy drewnianym stole, nad strumieniem, pod rozłożystymi koronami dębów spotykał się ze swoimi seminarzystami. Raz na jakiś czas wypożyczał łódź z napędem śmigłowym z lotniska, leżącego na zachód od miasta, i płynął w dół wielkiej delty, do Fangzhang, w odwiedziny do Anzi i jej • rodziny. Chociaż między nim a córką stale utrzymywała się napięta atmosfera, to jednak duża częstotliwość wizyt sprawiła, że w końcu wszyscy się przyzwyczaili, a rodzinne spotkania stały się przyjemnym rytuałem. Rodziny nie traktował jako części wspomnień o przeszłości, które nosił w sobie, oni byli dla niego rzeczywistą kategorią tu i teraz. Czasem Bao mówił do Gao:

- Wiesz co, jutro chyba wybiorę się do Fangzhang, pojeździć z córką na rowerze.

- Bawcie się dobrze - odpowiadała mu Gao.

Większość czasu spędzał w Putatoi, na wykładach i seminariach. Lubił swoich studentów, lubił patrzeć na ich młode twarze. Lubił też ludzi, którzy mieszkali w chatach, wokół ich wspólnego ogrodu. Byli to głównie ludzie związani z rolnictwem, pracownicy uczelnianych laboratoriów agronomicznych, pól eksperymentalnych i właściciele pól ryżowych i sadów. Tym właśnie zajmowali się ludzie, mieszkający w dolinie.

Wszyscy sąsiedzi dzielili się z nim radami, co do prowadzenia jego małego ogródka, i nierzadko ich wskazówki były ze sobą sprzeczne, co nie wróżyło najlepiej, biorąc pod uwagę fakt, że byli to światowi eksperci w tej dziedzinie, a na świecie wkrótce mogło zabraknąć dla nich pożywienia. Z tego też płynęła dla niego nauka, niepokoiło go to i cieszyło zarazem. Lubił tę pracę, lubił brudzić się ziemią, pielić grządki, obserwować dojrzewające warzywa i spoglądać wzdłuż falistych linii tarasów na stokach góry Miwok. Młode małżeństwa w mieście najmowały Bao do opieki nad swoimi dziećmi. Sąsiedzi chętnie zapraszali go do siebie, a on spędzał z nimi popołudnia i wieczory, rozmawiając o życiu całego miasteczka lub grając w kręgle na trawie z grupą studentów, którzy lubili taką rozrywkę.

Po niedługim czasie ten ustalony porządek tutejszego życia stał się dla niego jedynym porządkiem, jaki kiedykolwiek znał. Jednego ranka, opiekując się małą dziewczynką chorą na ospę, siedział przy niej, kiedy leżała apatycznie w kąpieli z owsianki i ze stoickim spokojem pstrykała co rusz palcem w wodę. Wówczas w jednej

chwili poczuł, jak przepełniła go nagła fala radości tylko dlatego, że był jedynym takim starym wdowcem, najmowanym do opieki nad dziećmi. Starą latimerią. Drugi taki jak on był w Pekinie i mieszkał w dziurze w murze nieopodal Wielkiej Czerwonej Bramy, naprawiał ludziom buty i pilnował dzieci, bawiące się na ulicy.

Głębokie poczucie samotności, które zwykło go dopadać jeszcze długo po śmierci Pan, teraz przestało go dręczyć. Teraz już nie mieszkał z towarzyszami swojego losu: z Pao, z Kungiem ani z Zhu Isao, mieszkał pośród ludzi, z którymi zżył się przez przypadek, lecz mimo to stali się oni jego społecznością. Może zawsze tak było, że rzeczy działy się bez żadnego zrządzenia losu - może po prostu człowiek zżywał się z tymi, z którymi obcował na co dzień, bez względu na całą historię i wydarzenia na świecie? Z perspektywy jednostki, najważniejsze zawsze są lokalne znajomości: wioska, pluton, jednostka pracy, klasztor, medresa, zawija, gospodarstwo, blok mieszkalny, statek, dzielnica - te miejsca wyznaczają granice naszego świata, w skład którego wchodzi jeszcze kilkadziesiąt gadających głów, zestawionych razem, niczym aktorzy na scenie. Z pewnością w każdej z kast znalazłyby się wszystkie typy bohaterów z japońskiego teatru Noh lub z teatru lalek. Bao grał teraz rolę starego wdowca, opiekuna dzieci, podupadłego poety na państwowym wikcie, który popijał wino nad strumieniem i wyśpiewywał nostalgiczne pieśni do księżyca w pełni lub dreptał po swoim marnym ogródku ze szlauchem w dłoni. To go bawiło i sprawiało mu przyjemność. Lubił swoich sąsiadów i podobała mu się jego własna rola wśród nich.

Czas upływał. Nadal prowadził na uczelni kilka grup studentów i kompletował nową grupę chętnych na jego seminarium pod dębami.

- Historia - mówił do nich - to twardy orzech do zgryzienia. Nie sposób łatwo jej sobie wyobrazić. Ziemia obiega słońce przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, nieprzerwanie. Mięły już tysiące takich lat. W tym czasie jeden gatunek małp zaczął coraz intensywniej zajmować się otoczeniem, wytwarzać nowe przedmioty i powiększać swoją liczebność, aż w końcu podporządkował sobie całą planetę za pomocą słów i znaczeń. W niedługim czasie większość materii nieożywionej i ożywionej na planecie została zaprzęgnięta na użytek przedstawicieli tego gatunku, który w końcu stanął przed pytaniem, czego, poza zwykłym przetrwaniem, tak naprawdę chcą dokonać. Zaczęli więc opowiadać sobie historie o tym, co doprowadziło do obecnej sytuacji, co się wydarzyło i co to oznaczało.

Bao westchnął. Studenci bacznie śledzili każdy jego ruch.

- Według Zhu Isao, historia to indywidualna tragedia i społeczna komedia. Na przestrzeni wielkich cyklów historycznych wyłaniają się możliwości pojednania między narodami - oto oblicze komedii, lecz jednocześnie każdego z nasz czeka tragiczny koniec. Czy nie zgodzicie się ze mną, że bez względu na wszelkie rozważania śmierć oznacza ostateczny koniec i porażkę?

Studenci przyglądali mu się w napięciu, gotowi z miejsca przyznać rację, a jakże inaczej, byli tam przecież sami młodzi ludzie, w wieku dwudziestu, dwudziestu pięciu lat, którzy nadal

uważali się za nieśmiertelnych, podczas gdy on zbliżał się już do siedemdziesiątki. Taka widocznie jest ewolucyjna rola starszych wobec młodzieży, podsumował w myśli Bao: dawać młodym coś w rodzaju psychicznej tarczy chroniącej ich przed rzeczywistością, poddawać ich sugestii, w wyniku której mogą ignorować fakt, że kiedyś zestarzeją się i umrą, i że mogą umrzeć nagle - bardzo przydatna funkcja! Spełnianie jej może być też rozrywką dla starszych, którzy dzieląc się swoją śmiertelnością, sami uczą się doceniać wartość życia.

Uśmiechnął się na myśl o nieugruntowanym spokoju ich dusz i rzekł:

- W porządku, przyznajemy, że to katastrofa, ale przecież życie toczy się dalej! Wszyscy pracują wytrwale nad własnymi wątkami w wielkiej tkaninie narodów. Zhu Isao zwykł mówić, a powtarzał to też mój stary towarzysz Kung Jianguo, że każde pokolenie w końcu zbiera się w sobie i buntuje przeciwko zastałemu porządkowi rzeczy, aby uczynić go jeszcze bardziej sprawiedliwym - wiadomo, że jest to działanie z góry skazane na porażkę, ale pod wieloma względami odnosi skutek i zawsze przyczynia się do postępu, choćby i przez dostarczanie gorzkiej wiedzy o rzeczywistości, co w dłuższej perspektywie również okazuje się sukcesem. W ten sposób życie toczy się dalej.

Głos zabrała młoda kobieta z Aozhu, która, podobnie jak inni studenci z wielu zakątków świata, przyjechała tu, aby studiować rolnictwo razem z najstarszymi adeptami tej sztuki:

- Ale czy rzeczywiście śmierć to taka katastrofa, skoro i tak

wszyscy reinkarnujemy?

Bao poczuł, że musi wziąć głębszy wdech. Jak większość naukowo wykształconych ludzi, nie wierzył w reinkarnację. Traktował ją jak jedną z wielu istniejących opowieści, relikt starych religii. A z drugiej strony, w jaki sposób wyjaśnić to dręczące poczucie kosmicznej samotności z powodu utraty swoich odwiecznych towarzyszy? Jak wytłumaczyć to, co się z nim działo przy Złotej Bramie, kiedy pokazywał swojej wnuczce cztery strony świata?

Tak długo się nad tym zastanawiał, że aż studenci zaczęli nerwowo spoglądać po sobie. Po chwili odezwał się:

- Zróbmy taki eksperyment. Wyobraźmy sobie, że nie ma bardo, nie ma nieba ani piekła, nie ma życia po śmierci i nie istnieje żadna kontynuacja naszej świadomości ani duszy. Wyobraźmy sobie, że wszystko, czym jesteśmy, wyraża się poprzez nasze ciało, które, gdy przychodzi pora, poddaje się i umiera. Wówczas my raz na zawsze umieramy razem z nim.

Młoda kobieta i pozostali studenci wbili w niego wzrok. Mówił dalej:

- Teraz z kolei zastanówmy się, jakie znaczenie może mieć dla nas reinkarnacja. Potrzebujemy jej, to prawda. Wszyscy jej potrzebujemy, więc może istnieje jakiś sposób uzmysłowienia sobie jej zasady, tak abyśmy mogli ją zrozumieć, mimo iż jesteśmy skłonni przyznać, że śmierć naszego ja jest ostatecznym faktem.

- Ale jak to ze sobą pogodzić? - zapytała kobieta.

- Spróbujmy od początku. Najpierw jesteśmy dziećmi. Odradzamy

się w postaci całkiem nowej istoty, która jednak jest mieszanką dwóch wcześniej zrodzonych istot, przekazujących swoje cechy poprzez splecione, drabiniaste struktury, które rekombinują i żyją w ciałach swoich potomków.

- Ale to nie ma nic wspólnego ze świadomością.

- Zgadza się. Świadomość reinkarnuje inaczej, kiedy, na przykład, ludzie będą nas wspominać w przyszłości, kiedy będą używać naszego języka i nieświadomie budować swoje życie na naszym i wcielać w nie rekombinacje naszych wartości i zwyczajów. Po śmierci żyjemy więc w myślach i mowie naszych potomków. Nawet jeśli wszystko zmieni się nie do poznania, tak że podobne pozostaną tylko pewne biologiczne nawyki, to i tak pozostaną one najprawdziwsze na świecie - być może nawet bardziej prawdziwe niż nasza świadomość, bardziej zakorzenione w rzeczywistości. Pamiętajcie bowiem, co dosłownie oznacza reinkarnacja: “powrót do nowego ciała".

- Z częścią atomów naszych ciał rzeczywiście może się tak dziać -zauważył jeden z młodszych studentów.

- To prawda. W perspektywie wieczności atomy, które przez jakiś czas budowały nasze ciała, będą krążyć w przyrodzie i z czasem wejdą w skład nowego życia, na tej, a być może i na innej planecie, w sąsiedniej galaktyce. A więc reinkarnujemy poprzez dyfuzję ze wszechświatem.

- Ale to nadal nie ma nic wspólnego z naszą świadomością - powtórzyła młoda kobieta.

- Ani z naszą świadomością, ani z naszym ja, ani z ego, ani ze

strumieniem świadomości, których żaden tekst czy obraz oddać nie zdoła.

- Ale ja bym nie chciała, aby moja świadomość ustała.

- Nikt by tego nie chciał, a jednak taka jest rzeczywistość, nie da się jej zmienić naszymi pragnieniami.

- Budda mówi, że winniśmy się pozbyć naszych pragnień - wtrącił młody mężczyzna.

- Ależ to z kolei samo w sobie jest pragnieniem! - odpowiedziała mu kobieta.

- A więc w istocie nigdy się nie pozbędziemy pragnień - podsumował Bao. - To, co sugeruje Budda jest nieosiągalne. Pragnienie jest życiem, które usiłuje przetrwać. Wszystkie żywe stworzenia odczuwają pragnienie, bakterie pragną, życie opiera się na poczuciu braku.

Młodsi studenci zamyślili się nad tymi słowami. To właśnie ten wiek, pomyślał Bao, wspominając dawne czasy. Jest w życiu taki czas, kiedy jest się młodym i wszystko wydaje się możliwe, kiedy pragnie się wszystkiego, kiedy wręcz pęka się z pożądania i gdy kocha się przez całą noc, gdyż tak bardzo pragnie się posiadać. Po czym mówił dalej:

- Inną linią obrony reinkarnacji byłoby myślenie o naszym gatunku jak o żywym organizmie - organizm żyje i zachowuje zbiorową samoświadomość w postaci języka, historii czy drabiniastych struktur organizujących nasze mózgi - to, co się dzieje z poszczególnymi komórkami organizmu, nie ma większego znaczenia, a ich śmierć jest w istocie niezbędna do stworzenia

miejsca dla nowych komórek. Jeśli będziemy myśleć o tym w ten sposób, to może uda nam się wzniecić w nas większe poczucie solidarności i odpowiedzialności wobec innych. To chyba jasne, że jeśli jedna część ciała cierpi, a inna, zawiadująca ustami, śmieje się i oznajmia, że wszystko jest w porządku, przy czym porywa ją opętany taniec, niczym wymarłych chrześcijan, kiedy odpadały z nich ostatnie piaty ciała - wówczas wiemy, że organizm ten, ta zbiorowa istota, jest niespełna rozumu i nie potrafi zmierzyć się ze swoją chorobą. Patrząc na to z tej perspektywy, może w końcu więcej ludzi zrozumie, że organizm winien utrzymywać w zdrowiu całe swoje ciało, a nie tylko wybrane części. Młoda kobieta potrząsała głową.

- Ale to nie ma związku z reinkarnacją, reinkarnacja oznacza co innego.

Bao wzruszył ramionami i dał za wygraną.

- Wiem. Wydaje mi się, że wiem, co masz na myśli. Też uważam, że coś w nas powinno być nieśmiertelne. Czasem sam miewam dziwne stany. Kiedyś przy Złotej Bramie... Skąd jednak mielibyśmy o tym wiedzieć? Reinkarnacja to opowieść, którą snujemy przez całe swoje życie, ostatecznie jednak to opowieść ta staje się reinkarnacją.

Z czasem Bao zrozumiał, że nauczanie również było jedną z form reinkarnacji. W ciągu tych lat przez uczelnię przewinęło się wiele pokoleń młodych ludzi - wszyscy w tym samym wieku, wszyscy uczęszczający na te same zajęcia i na nowe wcielenia jego zajęć pod dębami. Bao spodobał się ten sposób myślenia i odtąd każde

pierwsze zajęcia z nową grupą studentów zaczynał od słów: - No proszę, znów się spotykamy.

Młodzi ludzie udzielali zawsze tej samej, milczącej odpowiedzi, nie wiedząc, co powinni przez to rozumieć.

Oprócz wielu innych rzeczy dowiedział się też, że nauczanie było najbardziej rygorystyczną formą zdobywania wiedzy. Nauczył się uczyć od swoich studentów o wiele więcej, niż sam im przekazywał - jak w wypadku wielu innych rzeczy, prawda o nich bywa przeciwieństwem tego, co o nich myślimy. Uczelnie więc istnieją po to, aby skupiać w jednym miejscu młodych łudzi, zdolnych nauczyć wybrane grono starszych tego, co sami wiedzą o życiu, a o czym starsi mogli już dawno zapomnieć bądź po prostu nie wiedzieć. Bao więc pokochał swoich studentów i uczył się od nich wytrwale. Większość z nich, jak się okazywało, wierzyła w reinkarnację. Wiarę tę wynieśli z domów, nawet jeśli nie mieli wykształcenia religijnego. Transmigracja dusz była częścią ich kultury i jej temat regularnie wychodził w trakcie uczelnianych dyskusji. Z czasem studenci sami zaczęli poszerzać jego prywatną listę sposobów na uzmysłowienie sobie reinkarnacji, sposobów na zrozumienie tego, że naprawdę możemy odradzać się w nowych wcieleniach, że dotychczasowe etapy w naszym życiu to kolejne odsłony walki z karmicznymi więzami, że co rano budzimy się na nowo w swojej świadomości, że każdego dnia reinkarnujemy w nowe życie.

Bao lubił wszystkie te sposoby. Lecz tylko ten ostatni próbował wcielić w swój codzienny żywot, przywiązując większą wagę do porannych chwil w ogrodzie, przyglądając mu się i ciesząc się jego

pięknem, jakby nigdy wcześniej go nie dostrzegał. W czasie zajęć stara! się mówić o historii w całkiem nowy sposób. Przemyśliwal wszystko na nowo i nie pozwalał sobie na mówienie czegoś, co już wcześniej mówił - było to niełatwe lecz zarazem interesujące. Pewnego dnia (było to zimą i padał deszcz) w sali wykładowej powiedział do swoich uczniów:

- Najtrudniej jest uchwycić nam życie codzienne. To ono prawie nigdy nie jest opisane ani nawet zapamiętane przez swoich twórców - to, co robicie każdego dnia, wykonując codzienne czynności, to co czujecie, dokonując drobnych wariacji na temat codziennych zajęć, wciąż tych samych, z dnia na dzień i z roku na rok. Wszystko z wolna staje się kwestią powtórzeń, innymi słowy, nie dzieje się nic, co można by przypisać istniejącym kategoriom fabularyzacji, drachmy czy chaosu, a nawet tragedii czy komedii. To po prostu... nawyk.

Jeden z młodzieńców, o gęstych, czarnych brwiach, który pilnie śledzi! jego stówa, odpowiedział mu tonem niezgody:

- Przecież nic dwa razy się nie zdarza!

Tę odpowiedź musiał również dobrze zapamiętać. Była to niepodważalna prawda: nic dwa razy się nie zdarza!

W końcu przyszedł ten jedyny, szczególny dzień: pierwszy dzień wiosny, Dzień Pierwszy roku 87 święto, pierwszy dzień nowego życia, nowy rok starego świata. Bao i Gao wstali wcześnie i razem z innymi wyszli do ogrodu, aby ukryć farbowane jajka i słodycze w trawie w ogrodzie i na łące nad brzegiem strumienia. Panował tu zwyczaj, zgodnie z którym w pierwszy dzień nowego roku starsi

ukrywali w trawie jajka, malowane poprzedniego dnia, oraz słodycze zawinięte w kolorowe sreberka. Następnie, o umówionej porze, wypuszczano z domów dzieci, które z koszykami w dłoni wychodziły na poranne łowy. Młodzież wyrywała się do przodu i zachłannie upychała znaleziska w koszykach, dzieci, jak zaczarowane, podążały chwiejnym krokiem od jednego znaleziska do drugiego. Bao nauczył się kochać te poranki, a zwłaszcza ten ostatni etap poszukiwań, wzdłuż strumienia, gdzie zbierali się po odnalezieniu wszystkich jajek i słodyczy. Spacerował wśród wysokich i wilgotnych traw, czasem nawet nie zakładał okularów, przez co kwiaty i ich żywe barwy zlewały się ze sztucznymi kolorami jaj i sreberek od łakoci. Okoliczna łąka oraz brzeg strumienia jawiły mu się niczym obraz, sen - halucynacyjna łąka i brzeg rzeki, ich kolory jeszcze bardziej nieprzebrane i niezwykłe, wręcz niespotykane w środowisku naturalnym, otoczone wszechobecną, pulsującą zielenią.

Po raz kolejny wyszedł więc na spacer, jak zwykł czynić to od lat, niebo rozpościerało się ponad nim jak kolejne farbowane jajo, powietrze było rześkie, a źdźbła traw uginały się pod ciężarem rosy. Czuł na stopach wilgoć. Granatowe, zielonkawe, żółte i różowe paczuszki z łakociami łyskały w trawie jeszcze jaśniej i wyraźniej niż zeszłego roku, zamyślił się. Strumień Puta wyraźnie przybrał i szemrał radośnie na przepławkach dla łososi. Na drugim brzegu zatrzymały się zajęczyca i jelonek i w bezruchu przyglądały mu się, gdy przechodził obok.

W końcu doszedł do miejsca zbiórki. Usiadł na trawie i przyglądał

się dzieciom, które pokrzykując, śmiejąc się i nawołując, wyławiały kolorowe jajka z traw. Zamyślił się: skoro wszystkie te dzieciaki są szczęśliwe, to może jednak wszystko będzie dobrze.

Tak czy inaczej teraz trwała ta radosna chwila. Dorośli stali w kręgu, popijając zieloną herbatę i kawę, jedząc ciastka i jajka na twardo, ściskając się nawzajem i życząc sobie szczęśliwego nowego roku. Bao siedział na przyniesionym dla niego krześle i spoglądał w twarze ludzi.

Jedna z trzylatek, którą Bao opiekował się czasem, przechodziła obok całkowicie zapatrzona w zawartość swego wiklinowego koszyka.

- Patrz - powiedziała, kiedy go ujrzała - jajko!

Wyciągnęła z koszyka czerwone jajko i podsunęła mu je energiczne pod nos. Odchylił ostrożnie głowę. Jak wiele dzieci z sąsiedztwa, ta dziewczynka przyszła prawdopodobnie na świat jako wcielenie jakiegoś szaleńca, więc można było się spodziewać, że rozbije jajko na jego czole tylko po to, żeby się przekonać, jak to jest.

Tym razem jednak była spokojna i trzymała jajko w wyciągniętej ręce, tak by oboje mogli mu się przyjrzeć. Jajko długo moczono w roz-

tworze barwnika z octem, przez co było tak jaskrawo czerwone, jak żywo błękitne było niebo. Czerwona obłość na tle błękitnej plamy, czerwień i błękit razem.

- Piękne! - powiedział Bao, odsuwając głowę, aby móc wyraźniej je zobaczyć. - Czerwone jajko oznacza szczęście.

- Jajko!

- Zgadza się, to też jest czerwone!

- To dla ciebie - powiedziała, wkładając mu je w dłoń.

- Dziękuję.

Dziewczynka poszła dalej. Bao przyglądał się jajku: jego czerwień była bardziej intensywna niż barwnik, którego użył do farbowania, a skorupka była nakrapiana, lecz przeważała na niej głęboka czerwień.

Śniadanie na trawie powoli dobiegało końca, dzieci siedziały dookoła, żując swoje skarby, a dorośli znosili do domów papierowe talerze. Panował spokój. Przez moment Bao zatęsknił za Kungiem - szkoda, że nie mogli razem podziwiać tego widoku. Tak długo walczył o taki właśnie spokój, walczył pełen gniewu i radości, że sprawiedliwym wydawało się, aby mógł na niego choć popatrzeć. I cóż mu po sprawiedliwości! Nic. Może wkrótce w wiosce znajdzie się kolejny Kung, może to ta mała dziewczynka, tak niespodziewanie poważna i skupiona. Przecież każdy z nich wielokrotnie się odradzał, cala ich kasta: w każdej grupie byli jacyś Ka i Ba, jak w antologii Starego Czerwonego Tuszu. Ka zawsze narzekał na krakanie kruka, koci kaszel i krzyk kojota, kra, kra - brzmiał jego fundamentalny głos sprzeciwu, a z kolei Ba to banalny bek bawołu, muzyka pługu rozcinającego ziemię, beczenie przepełnione nadzieją i obawą. Ba tęskniący za nieobecnym Ka, tak wyraźnie odczuwający jego brak, choć jeszcze częściej zaprzątnięty codziennym życiem, lecz zawsze robiący wszystko, co w jego mocy, aby pod nieobecność Ka świat toczył się prawidłowym

rytmem. Działajmy dalej! Świat został odmieniony przez Kungów, lecz tacy jak Bao musieli dbać, by zmiany były trwałe i owocne. Każdy z nich odgrywał własną rolę, podejmował kroki, jakich wymagała od nich dharma, której żaden z nich do końca nie rozumiał.

Teraz jego zadaniem było nauczanie młodych. Trzecie zajęcia z tą konkretną grupą, wreszcie zaczęli docierać do sedna sprawy. Z niecierpliwością oczekiwał kolejnego spotkania ze studentami.

Zabrał czerwone jajko z powrotem do chaty i położył je na biurku. Spakował wszystkie papiery do naramiennej torby, pożegnał się z Gao, wsiadł na rower i pojechał na uczelnię. Ścieżka rowerowa biegła wzdłuż strumienia Puta. Nowe liście na gałęziach drzew rzucały ocień na drogę, tak że na asfalcie pozostała jeszcze wilgoć po porannej rosie. Kwiaty, które wyrastały z traw, wyglądały jak barwione jajka, wszystko nasycone było żywą barwą. Niebo nad doliną było wyjątkowo czyste i niebieskie jak sam kobalt, a wody strumienia niczym płynny nefryt, stare dęby, większe od niejednej chaty, zwieszały swe korony ponad wartkim nurtem.

Zaparkował rower przed wejściem do uczelni, lecz spostrzegłszy grupę makaków japońskich siedzącą na najbliższym drzewie, przykuł go łańcuchem do stojaka. Tutejsze makaki lubiły porywać rowery i rozpędzać je w dół brzegu, prosto do wody. Zawsze brały się do tego parami lub trójkami. Rower Bao już nieraz wylądował w wodzie, więc od jakiegoś czasu używał kłódki i łańcucha.

Poszedł w dół strumienia, w stronę drewnianego stołu, gdzie umawiał się ze studentami na wiosenne seminaria. Jeszcze nigdy

zieleń traw i młodych liści nie wydawała mu się tak soczysta - zakręciło mu się od niej w głowie. W pamięci stanął mu obraz dziewczynki, jej czerwonego jajka i spokoju, który towarzyszył ich spotkaniu, ludzi robiących to, co robił każdy pierwszego dnia roku. Te zajęcia również będą takie same. Zawsze przecież było tak samo. Wszyscy już zebrali się pod wielkim dębem wokół okrągłego stołu, po czym on zasiadał i zaczynał opowiadać to, czego nauczył się przez całe życie, usiłował im przekazać choćby i najmniejszą część swojego doświadczenia. Mówił:

- Chodźcie i siadajcie. Mam dziś dla was kilka opowieści o tym, jak to ludzie się realizują.

Lecz dobrze wiedział, że był tam również po to, aby uczyć się samemu, i dopiero teraz pod nefrytem i szmaragdem świeżych liści spostrzegł młodą i uderzająco piękną kobietę, która dołączyła do ich grupy. Była to nowa studentka z Trawankoru, miała śniadą cerę, czarne włosy i gęste brwi ponad dużymi oczami, które łysnęły, kiedy spoglądała nań z przeciwnej strony stołu. Jej spojrzenie było ostre, przesycone sceptycyzmem. Od razu wiedział, że dziewczyna nie wierzyła swoim nauczycielom, że im nie ufała, że nie była jeszcze gotowa, aby dać wiarę jego słowom. Będzie musiał od niej jeszcze sporo się nauczyć.

Uśmiechnął się i odczekał, aż ucichnie gwar.

- Widzę, że nasza grupa powoli się rozrasta - powiedział, wskazując uprzejmym skinieniem głowy na młodą kobietę. - Możesz się nam przedstawić?

- Witam wszystkich - powiedziała - mam na imię Kali.

Spis treści

Księga I

PRZEBUDZENIE W PUSTCE

Księga II

HADŻDŻ W SERCU HADŻIEGO

Księga III

LĄDY OCEANICZNE

Księga IV

ALCHEMIK

Księga V

WĄTEK I OSNOWA

Księga VI

WDOWA KANG

Księga VII

ERA WIELKIEGO POSTĘPU

Księga VIII

WOJNA ASURÓW

Księga IX

NSARA

Księga X

LATA PIERWSZE